MUZEUM DOMOWE

ALBO

CZYTELNIA WIECZORNA.

DZIEŁO

POŚWIĘCONE HISTORRYI, STATYSTYCE, MORALNOŚCI, NAUKOM, SZTUKOM PIĘKNYM, I LITERATURZE KRAJOWEJ.

Z 200 RYCINAMI.

PRZEZ

F. S. DMOCHOWSKIEGO.

ROK 1837.



WARSZAWA,

W KSIĘGARNI F. S. DMOCHOWSKIEGO PRZY ULICY MIODOWÉJ № 470.

1837.

ZA POZWOLENIEM CENZURY RZĄDOWEJ.

W DRUKARNI POD FIRMĄ J. WĘCKIEGO.



CZYTANIE.

OBRAZY TOWARZYSTWA

WŁADYSŁAW I JEGO KUZYNKA.

ROZDZIAŁ Iszy.

Są ludzie którzy wątpią o wszystkiém, są tacy którzy śmieją się ze wszystkiego, a wielka liczba mniema, że do wszystkiego jest zdolną.

Wątpić o wszystkiem, to rzecz bardzo wygodna, wówczas bowiem nie zadaje się téj pracy, ażeby zgłębić i uczyć się; zaprzecza się po prostu temu czego się nie rozumie. I tak, widziałem iż wiele osób ruszało ramionami gdy im powiadano jaka jest odległość słońca od ziemi; mówiły że nikt tam nie mógł dojechać, a wychodząc z téj zasady nie chciały wierzyć w astronomią. Sekta Pirronistów jest bardzo liczną.

Plus negare potest asinus quam probare philosophus.
(Więcéj może zaprzeczyć osioł aniżeli dowieśdź filozof.

Smiać się ze wszystkiego, jest także bardzo łatwą rzeczą. Ach mój Boże! iluż to ludzi uchodzi za dowcipnych dla tego że się z innych naśmiewają. Nędzny to jest dowcip i najciaśniejsze głowy posiadaią go chociażby odrobinkę. Wszystko staje się powodem śmieszności temu, kto się za nią ubiega, nawet i szczytność sama (a zwłaszcza szczytność naszych tegoczesnych autorów) Jeźli ci się podoba, możesz śmiać się na wystawie arcy-dzieła traicznego, albo też na akademickiéj przemowie: na to potrzeba tylko mieć ochotę.

Nareście, jak to już powiedziałem, są ludzie, którzy nie powątpiewają o niczém, którzy rozumieją że są zdolni do wszystkiego, do wszelkiego powołania; że posiadają wszelkie talenta, że jeźli czego nie u-

mieją to tylko z téj przyczyny iż sobie niezadali tyle pracy ażeby się nauczyć, lecz mogliby w tém celować; że jeźli czego nie robią, to tylko dla tego że nie chcą wziąść się do roboty: gdyż posiadają wrodzoną umiejętność do wszystkiego, robiliby złoto gdyby je robić można było. A tymczasem, proszą o pożyczenie niebieskiego papierka, bo zazwyczaj ci ludzie umiejący wszystko, nie umieją zarobić sobie na kawałek chleba.

Do czegóż zmierza ten wstęp filozoficzny? zapytacie się moi czytelnicy. Oto do tego, iż młody Władysław C....... którego historyą opowiem, należał do téy ostatniéy kategoryi. Lecz nim go lepiéj dam poznać, pozwólcie ażebym was przeniósł do małego pomieszkania, na trzeciém piętrze w porządnym domu na Nowém Mieście.

Tam, w pokoju, który był razem bawialnym i sypialnym, a którego meble proste lecz gustowne oznaczały porządek i byt dobry, trzy osoby siedzą przy okrągłym stoliku, na którym stoi lampa z daszkiem blaszanym.

Było to wieczorem w zimie; gotów jestem powiedzieć wam i godzinę i jak wówczas było na dworze, jeśli tylko zechcecie.

Najprzód widzicie młodą osobę, mającą około dwudziestu lat, piękną szatynkę z czarnemi i łagodnemi oczyma (co nie jest rzeczą niezgodną) na jéj twarzy rozlany jest powab, który podoba się i przyciąga od razu. Jéj włosy pięknie ułożone, spadają w dużych puklach po obu stronach twarzy, lecz nie zasłaniają wysokiego i białego czoła, na którem fałsz i kłamstwo nigdy postać nie mogą. Ta młoda dziewczyna, zowie się Konstancya T... jest kuzynką Władysława C..... o którym już namieniłem.

Przy Konstancyi siedzi druga panienka. Wyobraźcie sobie tę fizognomiją figlarną i wesołą z której nigdy uśmiech nie schodzi, usta średniéj wielkości, lecz dość przyjemne, oczy bardziéj złośliwe niżeli wielkie, nos raczéj mały niżeli kształtny, w ogólności rysy bardziéj figlarne niżeli ładne, a mieć będziecie obraz panny Pelagii przyjaciołki Konstancyi.

Trzecia osoba, jestto młody człowiek, mający około 26 lat, bardziéy brzydki niżeli przystojny, nieco ospowaty, z nosem za grubym, z czołem za niskiém, z oczyma zbyt jasnemi, lecz który okupuje to wszystko, postawą nieśmiałą i skromną, już nie będącą w modzie u młodzieży.

Ten młody człowiek ubrany porządnie lecz bardzo skromnie, siedzi od strony kominka i czyta dwom panienkom siedzącym nad robotą.

»W środku lasu wznosiła się stara kapli»ca waląca się w gruzy, a w któréj kruki, »puszczyki i sowy założyły ulubione mie»szkanie waleczny Adhemar«.

O Boże! panie Dobroduski jakże źle czytasz! rzekła panna Pelagia przerywając mu w samym środku kommatu. Czytasz, czytasz, mieszasz jedno z drugiém, nie podobna zrozumieć.

—»A przecież zatrzymuję się na punktach i kommatach.

—»Nie wiem czy puszczyki czyli waleczny Adhemar zamieszkiwał w staréj kaplicy?

—»Zacznę raz jeszcze, panno Pelagio. »W któréj kruki puszczyki i sowy, założy»ły ulubione mieszkanie, punkt. Waleczny »Adhemar, nie lękał się wnijść wśród zwa»lisk, o saméj północy....

—»O! co ty panie Dobroduski nie byłbyś tak odważnym.

—»A to dla czego?

—»Gdyż mniemam że jesteś tchórzem.

—»Panno Pelagio, nie jestem junakiem, zapaleńcem, to prawda, lecz proszę mniemać, że gdyby wypadło bronić cię, ratować w niebezpieczeństwie, nic by mię nie zatrzymało.

—»A tymczasem, boisz się iśdź po ciemku po schodach.

—»Bo schody są tak wywoskowane na pierwszém piętrze, iż lękam się abym nie spadł.

—»A prawda, przy świetle nie tak jest ślizgo. Ach! ach! ale czytajże daléj.

»Pośród zwalisk, o północy xiężyc świecił »w pełni, a jego światło tworzyło w lesie »tysiące fantastycznych obrazów które....

—»Gdzież się podziała moja igła? tylko co miałam ją w ręku. To jest prawdziwa igła angielska.

—»Poszukam ją na ziemi.

—»Ach! otóż jest. Jakżem nieuważna! była w robocie.

»Tysiąc fantastycznych obrazów, które „byłyby mogły przestraszyć każdego inne„go, nie zaś walecznego i szlachetnego ry„cerza, który....

— Mój naparstek upadł na ziemię! O Boże! jakże mi się wszystko nie wiedzie. Muszę go znaleźć, mój naparstek ze słoniowéj kości, gdyżby można nadeptać na niego i zgnieść go, a jest to podarunek od mego Wujaszka, co mi się nie często zdarza . . . Ach! oto jest, leżał na moich kolanach. Czytajże Panie Dobroduski, zatrzymujesz się co chwila, jakże możemy zrozumieć to co czytasz?

„Nie zaś szlachetnego i mężnego ryce„rza, którego odwaga nigdy się nie za„chwiała. Lecz młody Adhemar, wydoby„wszy szpadę z pochwy....

Ach! co za niedorzeczność! ponieważ dobywa szpady, to rzecz oczywista że ją do-

bywa z pochwy. To jest twój dodatek Panie Dobroduski.

— Nie panno Pelagio nic nie przydaję; a jeśli zechcesz zobaczyć.

— Nie potrzeba, czytaj pan daléj:

„Z pochwy, wszedł bez wachania się, pod „ciemne sklepienia staréj kaplicy, a pod „jego nogami skrzypiały stare flizy posa„dzki.“,

— „Powiedz mi Konstancyo, czy cię to bawi? Mnie się zdaje że w tem nie ma żadnego związku, żadnego zajęcia; wolałabym historyą o Magiellonie; a przytem pan Dobroduski czyta tak jednostajnym tonem, iż zdaje mi się że słyszę szałamajkę ślepego dziadka.

Aż dotąd milczała Konstancya; dozwalając swojéj przyjaciołce dokuczać panu Dobroduskiemu, mało zważała na czytanie, lecz często zwracała oczy na zegar stojący nad kominkiem, a na którym wybił już kwandrans na dziewiątą. Konstancya wzdychała, widząc że wieczór upływa a jéj kuzyn Władysław nie przychodzi: gdyż młoda dziewczyna kochała go czule. Konstancya wychowała się razem z Władysławem; ich matki były ciotecznemi siostrami, obie owdowiały bardzo młodo i przyrzekły sobie iż nie pójdą za mąż i wyłącznie poświęcą się wychowaniu swoich dzieci.

Obie siostry mieszkały razem, a najmilszy ich zamiar był ten, ażeby z czasem zaślubić Władysława z Konstancyą, która o lat cztéry młodszą była od swego kuzynka.

Wszystko zdawało się wróżyć, iż ten związek stanowić będzie szczęście tych dwojga dzieci; kochali się jak brat i siostra, można było mniemać, że z wiekiem miłość zastąpi miejsce przyjaźni. Stosunki majątkowe zgadzały się zupełnie; każda siostra miała po cztery tysiące złotych dochodu, które w zupełności przeznaczała dla swego dziecięcia, a jednakże te damy znały komedyą *Dwaj zięciowie*, graną na teatrze Warszawskim, lecz to nie zmieniło ich postanowienia; dobre matki nie wierzą w niewdzięczność dzieci i mają słuszność; tak słodko jest rachować na miłość i na wdzięczność ukochanych osób. Oprócz tego, niewdzięczne dzieci nie stanowią prawidła w naturze, są tylko wyjątkiem.

Lecz dobre te matki nie doczekały spełnienia ułożonego zamiaru, Pani C.... umarła gdy jéj syn skończył lat osiemnaście. Władysław pozostał przy ciotce i przy swojéj kuzynce, któréj czuła przyjaźń osładzała jego smutek; lecz następnego roku Konstancya także postradała matkę i biedne dzieci zostały sierotami.

Władysław miał lat dziewietnaście, Konstancya szesnaście; jeszcze byli za młodzi do zawarcia ślubów małżeńskich. Oprócz tego, musiał upłynąć czas żałoby, a że nie przystoi aby młodzi narzeczeni mieszkali razem, Konstancya przeniosła się do domu Pana Oktawki, wuja swojéj przyjaciołki Pelagii.

Pan Oktawka był muzykantem trzeciego rzędu; od dwunastego roku życia grał na basetli a miał wówczas lat 55, jednakże nie wiele posunął się w sztuce swojéj. Namiętnie grał na basetli, a mimo tego grał dosyć miernie i czasem nie trzymał się taktu. Lecz pan Oktawka był zacnym człowiekiem, pilnym, regularnym; najpierwszy przychodził do orkiestry i nie gniewał się gdy mu na próbie trzeba było pięć lub sześć razy jeden kawałek powtarzać. Wszystkie te przymioty zjednały mu szacunek przełożonych i wymawiały mierność talentu.

Pan Oktawka nie był bogatym, chociaż w wieku naszym muzyka czyni wielkie postępy i pełno jéj jest w wszystkich miejscach; lecz nie wiele można zarobić grając na basetli w orkiestrze. Kilka lekcyi które Pan Oktawka dawał rano, powiększały nieco jego dochód: lecz uczniowie porzucali go, skoro tylko dobrze rozpoznali nuty. Mimo tego, poczciwy muzykant, tak rządny w domu, jak pilny w wypełnianiu swoich obowiązków, żył szczęśliwy i spokojny, maiąc przy sobie swoją siostrzenicę Pelagią, psotniczkę, którą widzieliśmy jak szyła przy swojéj przyjaciołce i dokuczała panu Dobroduskiemu, aplikantowi w jednéj z kommissyi rządowych, dobremu chłopcu, może nawet aż za bardzo dobremu, a który szalenie w niéj się kochał.

Pan Oktawka dawał kiedyś lekcye ojcu Konstancyi i bywał u nich czasami. Konstancya i Pelagia zaprzyjaźnili się; w młodości przyjaźń zawięzuje się tak prędko!

Konstancya nie raz słyszała jak jej matka chwaliła poczciwość i dobre serce pana Oktawki; po stracie matki pymyślała, iż nie mając bliskich krewnych, w jego domu znajdzie schronienie i opiekę. Wuj Pelagii z radością przyjął młodą sierotę: byłby toż samo uczynił gdyby Konstancya nie miała żadnych funduszów, lecz młoda panienka, posiadając uczciwy mająteczek, pod tym warunkiem wprowadziła się do jego domu, że płacić będzie pensyą za utrzymanie swoje; tak więc pomnożył się przez to dobry byt w domu Pana Oktawki i uprzyjemniło się jego pożycie.

W czasie w którym zaczyna się nasza powieść, Kostancya już od lat trzech mieszkała u pana Oktawki; Władysław miał lat dwadzieścia i cztery i nic mu nie było na przeszkodzie do zaślubienia ładnej kuzynki, która już lat dziewiętnaście skończyła i posiadała wszystko czego potrze-



SWIATOWIT, BOZYSZCZE SŁAWIAŃSKIE.

* * * * *

ba, ażeby zostać doskonałą młodą gosposią.

Dla czegoż więc dotąd jeszcze nie zawarł się ten związek skoro nic nie sprzeciwiało się szczęściu tych dwojga młodych ludzi. Zapewne dla tego iż nie miał żadnéj przeszkody, Władysław nie śpieszył się zostać szczęśliwym. Zdaje się, że ludzie do tego przywiązują cenę co im z trudnością przychodzi; jeżli cel jest łatwy do dopięcia, bardzo mało znajdzie się współzawodników. I tak, Władysław pewien miłości swojéj kuzynki, pewien że skoro tylko zechce, ona odda mu rękę, odwlekał ten związek, którego tak pragnęły były obie matki.

Muszę także powiedzieć, że Władysław zbyt młodo objąwszy nie zły mająteczek po matce, nie wiedział jaki zawód ma obrać, a sądząc że mu się uda wszystko co tylko

przedsięwezmie, już probował kilkunastu, zatrudnień i stanów, lecz przez wrodzoną niestałość odstręczał się i porzucał jedne po drugich. A jednakże, chciał przed ożenieniem się, mieć stan pewien, majątek, a nawet i sławę, którąby przyniósł w ofierze swojéj kuzynce; że zaś dotąd nie mógł dopiąć tego celu, odwlekał epokę ślubu.

Znacie teraz wszystkie osoby, o których czytać będziecie; powróćmy więc do okrągłego stolika dla słuchania dalszego ciągu rozmowy.

ROZDZIAŁ II.

Konstancya nie odpowiedziała na zapytanie przyjaciółki, tak była zamyślona, gdyż Władysław co wieczór bywał w domu pana Oktawki, a dziś jeszcze nie przyszedł chociaż na zegarze było już wpół do dziewiątéj.

Pelagia uśmiechnęła się i rzekła.

—»Ach! mogę pozazdrościć Konstancyi, przez ten czas kiedy pan Dobroduski czyta, ona myśli o czém innem i nie zważa czy to jest złe czy dobre. Czytanoby przy niéj gazetę warszawską, a mniemałaby że to są *Tajemnice wieży południowéj*. Jaka to jest korzyść, mieć kuzyna, za którego pójśdź mamy.

—Kuzyna! rzekła Konstancya rumieniąc się i wychodząc z zamyślenia. Tak, to prawda; uważam iż Władysław spóźnił się dzisiejszego wieczora.

—O wiedziałam ja że o nim myślisz! tak go kochasz!

—Nie taję się z tym; moja matka zaręczyła mię z Władysławem i często powtarzała mi że powinnam go kochać, gdyż będzie moim opiekunem, moim mężem.

—»Jakże jest szczęśliwym ten młody człowiek! pomruknął pan Dobroduski poprawiając ogień na kominku.

—Co pan mówisz? rzekła Pelagia szyderczym tonem.

—Ja? nic wcale panno Pelagio, poprawiam ogień.

—Lecz kiedyż będzie wesele Konstancyo? tak pragnęłabym tańczyć na niém... Ubranie już mam gotowe... O! jak jest ładne!

—Czyliż mogę się spodziewać iż będę miał zaszczyt bydź drużbą? rzekł Dobroduski bojaźliwym tonem i nie śmiejąc spojrzeć na pannę Pelagię.

—Dobrze, panie Dobroduski, zobaczymy, pomyślimy, lecz nie nudź nas przedwcześnie twojem żądaniem, Ja najprzód, jako pierwsza druchna, urządzę to wszystko, Konstancya mi przyrzekła: Wszakże ślub, nastąpi w przyszłym miesiącu w same ostatki nie prawdaż?

—»Lecz... to zależy od Władysława.

—To rzecz osobliwsza, że narzeczony nie okazuje większego pośpiechu. Będąc na twojém miejscu, rzekłabym do niego. »Mój kuzynku jeźli nie chcesz ożenić się ze mną, powiedz otwarcie.

—Ach Pelagio! — co za myśl.. czyliż mogę przypuścić że mój kuzyn już mię nie kocha? cóż mię obchodzi kiedy będzie nasz ślub? Ponieważ pewna jestem że będę kiedyś jego żoną, dosyć mi na tém, jestem szczęśliwa.«

To mówiąc młoda dziewczyna przytłumiła westchnienie, i rzekła po chwili.

—Władysław chce zajmować zaszczytne miejsce w towarzystwie, ale nie wie jeszcze jaki stan ma obrać. Żądza pozyskania chwały, wsławienia swego nazwiska, odurza go i zajmuje bez ustanku. Nie mogę mu tego mieć za złe, chociaż nie mniemam aby chwała czyniła nas szczęśliwemi. Wiesz, że najprzód bardzo lubił muzykę, uczył się kompozycyi, chciał bydź Weberem, Rossynim.

—Tak jest, i z tego wszystkiego wyniknął walc któren kazał wylitografować i w którym jak mój wuj powiada, są bardzo ładne rzeczy.

—Ja nie mogłem wygrać jego walca na fleciku: odezwał się pan Dobroduski: rzecz dziwna! jak on jest trudny.

—Bo grasz bez taktu. Ach! panie Dobroduski wiem że nigdy nie potrafisz skomponować walca.

—Panno Pelagio, dwa tygodnie temu zrobiłem piękną galopadę, którą chcę pani przypisać.

- Galopadę! To będzie coś ładnego. Nareście Konstancyo twój kuzyn porzucił muzykę dla poezyi. Napisał komedyą we trzech aktach wierszem. To była rzecz piękna.

—Na którą przez cały czas reprezentacyi sykano, nikogo nie wywołano i nie zapytano się nawet o imie autora; mruczał Dobroduski poprawiając ogień i nie postrzegając że panna Pelagia daje mu znak aby milczał.

(*Dalszy ciąg nastąpi*).

SWIATOWIT W ARKONIE.

W Arkonie, nad morzem baltyckiém, w północnéj stronie półwyspu Wittow, stał za czasów Karola W. starożytny posąg bożka wendyjskiego, Swiatowita. Był to najwyższy bożek, sławny wyrocznią, do któréj z dalekich okolic schodziło się pogaństwo, badające przyszłości; coro-

cznie znakomitsi kniaziowie i panowie słowiańscy przysyłali mu swe dary; kupcy przyjeżdżający z towarami, obowiązani byli, za pozwolenie przedawania ich tamże, najkosztowniejsze rzeczy składać bożkowi w ofierze. Nawet S w e n o król duński, aczkolwiek chrześcianin, co rok mu dary i haracz przysyłał.

Żadne też miejsce nie było stósowniejsze na mieszkanie bogów, jak Arkona; z wysokiego przylądku można było przejrzeć znaczną przestrzeń Baltyku. Posąg sam bożka, olbrzymiéj był wielkości; miał cztery ludzkie głowy, osadzone na tyluż z których dwie naprzód, drugie dwie w tył byłyzwrócone. Twarze okazywały zamyślenie; broda rozczochrana; włosy zaś, obyczajem tamtejszych mieszkańców, nieco podstrzyżone. W prawéj ręce trzymał róg wykładany klejnotami, który co rok świeżém winem napełniano. Lewa ręka na boku wsparta z ciałem łuk tworzyła. (Inni twierdzą, że istotnie łuk w ręku trzymał). Nogami dotykał się ziemi. Suknia spadała aż do kolan. *)

Swiątynia Swiatowita stała na rynku w zamku; drewniana wprawdzie, ale była zewnątrz i wewnątrz, z przepychem, rozmaitą rzeźbą i niezmiernemi skarbami ozdobiona: dwa przysionki prowadziły do niéj, przedzielone kosztowną scianą; na około piękne zasłony i kobierce tworzyły ściany. Uchyliwszy ostatnią zasłonę, wchodziło się do samej świątyni, w której stał posąg. Niedaleko wisiało siodło i muszluk bożka, tudzież inne godła jego bóstwa: nadto miecz jego ogromnéj wielkości i cudnej roboty, wzbudzał podziwienie. W samejże świątyni ściany pokryte drogiemi obiciami, których kolor błyszczał jeszcze, ale wiekiem tak zbutwiałe, że za dotknięciem palca kruszyły się. Nadto w téj świątyni było mnóstwo rogów rozmaitych zwierząt, po większéj części kunsztownie wyrabianych. Arkona obwarowana była od wschodu, południa i północy skalistemi brzegami morza, na zachód zasłaniał ją wał na 50 łokci wysoki.

Przesądni Wendzi takie w tym rodzaju warowni pokładali zaufanie, że na wieży nie było innych narzędzi wojennych, prócz chorągwi, od których się ocalenia spodziewali. Dla tejże saméj przyczyny, w czasie pokoju, zamek ten, podobnie jak inne, wcale nie był ludźmi osadzony; lecz zamknięty, polecany bywał opiece Swiatowita.

Swiątynia Światowita bogato była uposażona; prócz podarunków i haraczu wyżéj wzmiankowanego, przeznaczono dla niego trzecią część łupów zdobytych, pierwiastki owoców, dziesięcinę z bydła, i pogłówne od osób obojéj płci. Na cześć Światowita i jego kosztem, utrzymywano trzysta zbrojnych jeźdźców, którzy łupy swe oddawali kapłanom. Kapłani ci, zostawali w wielkiém poważaniu u ludu, i mieli na sprawy publiczne wpływ znaczny. Im tylko wolno było ofiary sprawować, nosić długie brody, kapłanom jedynie dozwolony był przystęp do świątyni. Co dziwniejsza, najwyższy kapłan większą jeszcze od króla miał powagę. On podług upodobania, kierował wojennemi wyprawami; nawet inne sławiańskie pokolenia nic ważnego nie przedsiębrały, nie zasiągnąwszy wprzód jego rady. On zawierał pokój i przepisywał nieprzyjaciołom warunki, albo jeżeli zostali pokonani, był pośrednikiem, dla wyjednania pokoju; skarbów, złożonych w świątyni, umiał użyć na swe wygody i zbytki, wmawiając w lud, że leżą zamknięte w skrzyniach.

Swiatowitowi poświęcony był koń biały, na którym tylko jeden kapłan pielęgnujący go, jeździć mógł. Kapłani wmawiali w lud, że Swiatowit w nocy się na nim przejeżdża i nieprzyjacioły bije: aby lepiéj udać oszukaństwo, pokazywali nieraz rano rumaka spoconego i okrytego kurzawą, jakoby dopiero wracał z przejażdżki. Żadnéj wojny i w ogólności żadnego ważnego dzieła nie przedsiębrano, nie wybadawszy wprzódy przyszłości przez tego konia. Po uroczystéj modlitwie, prowadził go kapłan z kaplicy za cugle przez potrójny rząd dzirydów tak, że każdy rząd prawą nogą przestępował. Jeżeli raz tylko lewą nogą przestąpił, wyprawa nie przychodziła do skutku.

Po żniwach co rok w Arkonie powszechna odbywała się uroczystość. Lud zgromadził się z całego kraju, przynosząc bogu pierwiastki zebranych owoców i plonów. Przed świątynią stały zwierzęta przeznaczone na ofiarę. Dniem wprzódy, kapłan poważny, w długiéj szacie, z długą brodą, z spadającemi na barki włosami, zamiatał świątynią, do któréj sam wolny tylko miał przystęp. Przy téj pracy wystrze-

---

*) Posąg Swiatowita wyobrażał słońce: ogromna jego postać znaczyła moc przewyszającą wszystko, cztery głowy z tyląż twarzami, wystawiały zarazem cztery pory roku i cztery strony świata, na które równie świeci oblicze słońca: łuk i strzały brano za obfitość, któréj pierwszym sprawcą jest słońce rozweselające całą naturę, podobnie, jak wino rozwesela człowieka, koń wyrażał szybki bieg téj gwiazdy. A tak widzimy że posąg świalowita jest tworem rozsądku? a liczne własności słońca, nie mogły być ani wyraźniéj, ani dowcipniéj połączone w jednym zmyślonym obrazie.

gać się musiał, aby oddechu nie wydał, gdyż to uważano za znieważenie Bóstwa; ile razy więc oddychał, musiał zawsze wychodzić za drzwi. Pierwszém jego zatrudnieniem było, zrewidować wielki róg, w prawej ręce Swiatowita. Jeżeli jeszcze był pełny, to wróżyło rok bardzo urodzajny: jeżeli zaś trochę napoju ubyło, to znaczyło nieurodzaj i drożyznę; i podług tych znaków kapłan nakazywał oszczędzać plonów lub też używać w obfitości. Stary napój wylewał potém bałwanowi pod nogi, napełniony róg sam duszkiem wypijał i powtórnie nalany oddawał bożkowi w ręce. Potém poświęcał bożkowi placek okrągły, takiej wielkości, że się w nim człowiek ukryć mógł: położywszy go przed sobą pytał ludu: a widzicie placek? Widziemy,— odpowiadali zgromadzeni. Za rok, już go nie zobaczycie! (i nie dziw, bo go po oddaleniu się ludu zjadał, twierdząc, że się nim bożek posilił). Potém napominał lud, aby szanował bogi, pozdrawiał go imieniem bożka, obiecując zwycięztwo i bogate łupy. Następowała ogólna uczta, na którą zabijano przyniesione na ofiarę zwierzęta, i oddawano się wesołości i wszelkiego rodzaju zbytkom.

Na przypadek wojny, znajdowała się w świątyni Arkony wielka krajowa, kolorowa chorągiew (stanica). Gdy ją obnoszono, można było popełniać wszelkie bezprawia bezkarnie, burzyć miasta, kruszyć ołtarze bożków nawet obrażać i palić.

Ponieważ Arkona stolicą niejako była bałwochwalstwa słowiańskiego, łatwo pojąć, z jakiemi wprowadzenie chrześciaństwa walczyć tutaj musiało przeszkodami. Biskup Bamberski Otto, nawróciwszy Pomorzan, chciał z miasta Usedom udać się na wyspę Rugen; ale przyjaciele jego odradzali mu, aby tego nie czynił i trzymali go niejako w więzieniu, by bez ich wiedzy potajemnie zamiaru swego nie wykonał. Mieszkańcy bowiem téj wyspy poprzysięgli biskupowi zemstę, grożąc mu śmiercią, gdyby się poważył przybyć do nich. Dla tego Otto skłonił swego kapelana Ulrycha do tego niebezpiecznego przedsięwzięcia. Jednak chwalebne zamiary gorliwego biskupa nie przyszły do skutku; albowiem okropna burza 7 dni ciągle trwająca, wstrzymała Ulrycha. Jeszcze była nie wybiła ostatnia godzina Swiatowita; Arkona była jeszcze siedliskiem bałwanów, wysoki Swiatowita zamek jeszcze panował nad morzem, i groził jego rozhukanym wałom.

(*Dalszy ciąg nastąpi*)

ANIOŁ STRÓŻ.

Późno w noc z balu, w świecącym się stroju,
Wróciwszy Zosia do swego pokoju,
Z tańczącem sercem, z myślą rozegraną,
Gdy do modlitwy przed spoczynkiem biegła
Dziękować Bogu za radość doznaną,
Nagle swą postać w zwierciedle postrzegła.
Stanęła, żywiéj zapłonęło lice;
Skromnie ku ziemi spuściła zrenice.
Stoi i myśli i poirzała z trwogą
Czy prócz niéj w izbie nie było nikogo.
Widać w tym wzroku, że myśl jakaś cudza,
Jéj saméj dziwna w sercu się obudza.
Stoi i myśli, jakaś niepojęta
Chęć, jakiś urok, tajemna ponęta
Gwałtem jéj kroki ciągną do zwierciadła,
Już z ust i myśli modlitwa wypadła.
W pełnym rozkwicie jéj piękność dziewicza,
I blask spojrzenia i gładkość oblicza,
I miękość bujnych warkocza pierścieni,
Ujętych wstęgą gwiazdzistych kamieni,
I postać lekka, powietrzna, wiejąca,
Bez skrzydeł zda się ku niebu lecąca,
I pierś w nieznanym lubym niepokoju
Lekkiem się tchnieniem wznosząca z pod stroju
Wszystko ją samą cieszy i zdumiewa.
Tajna się lubość po sercu rozlewa,
Coraz w krysztale głębiéj toną oczy;
Im dłużéj patrzy, tym obraz uroczy
Coraz ją bardziéj czaruje i nęci,
Dziś to raz pierwszy rozbiera w pamięci
Czułe zabiegi, pochlebne wyrazy,
Względy, spójrzenia, co jéj tyle razy
Twarz mimowolném rumieńcem oblały —
Dotąd w prostocie skromnéj i nieśmiałéj,
Widząc w nich tylko dobroć, pobłażanie,
Bogu i ludziom dziękowała za nie.
Teraz — nieprawda — teraz myśli inne...
Były to hołdy jéj wdziękom powinne!
I lekki uśmiech — wesela — próżności,
Nowego blasku dodał jéj piękności.
Jakaż mgła nagle jéj wzrok jéj zasłoniła?
Twarz zadumaną ku ziemi skłoniła;
Żywszem westchnieniem pierś chwiać zaczyna...
Jakaż myśl w sercu? — Kochała dziewczyna!
Młodzian towarzysz jéj od lat dziecinnych,
Wspólnik jéj zabaw, jéj uczuć niewinnych
Pierwszy powiernik... Rodzice weseli
Z pociechą miłość wzajemną widzieli;

A ona! — ona! — w nim dotąd jéj cała
Nadzieja, szczęście, ufność spoczywała;
Często się sama dziwiła dla czego
Wszędzie jéj tęskno i smutno bez niego?
Czemu gdy przyjdzie nie chcąca się płoni,
Czemu się gniewa gdy nie mówi do niéj?
Czemu wprzód sama przemówić się wstydzi?..
Chciałaby płakać, gdy go smutnym widzi;
Lub gdy z nią tkliwie rozmawia, żartuje,
Tak pełne serce, tak łzy bliskie czuje,
Iżby je ukryć, ucieka — i nieraz
Długo się, długo modli — Ale teraz!...
Dla czegoż teraz, raz pierwszy dziewczyna
Z upokorzeniem te chwile wspomina?
Myśli jéj błądzą po balowéj sali;
Wszyscy się o nią w tańcu ubiegali;
Gdzie tylko okiem rzuciła na stronę
Spotkała oczy na siebie zwrócone;
Każdy chciał z jaką pośpieszyć usługą; —
Znów we zwierciadło spojrzała i długo
Patrzy. — Dla czegoż miałaby, dla czego
Tak dbać, tak bać się o względy jednego?
Gdy tylu innych, byle chęć, wzrok, słowo...
On tylko dzisiaj z postacią surową
Poglądał na nią zimno i nieczuło;
I to spojrzenie wesołość jéj truło!..
Nigdy z ust jego tych słów uwielbienia,
Nigdy tych względów, przysług, uprzedzenia....
Muszę być wartą ich, gdy tylu innych!...
Jużem też przecie wyszła z lat dziecinnych!
Czy chce mną rządzić? — on nie mój brat — cudzy,
Jak każdy inny — niech widzi jak drudzy...
Będzie się gniewał — i cóż ztąd — toć przecie
Nie ja z nim jedna jesteśmy na świecie.
Pojdzie — niech idzie! — bylebym pragnęła
Może ktoś lepszy.. — tu się uśmiechnęła,
Lecz coś takiego było w tym uśmiechu,
Że się go sama przelękła jak grzechu,
Chciała się cofnąć — w tém lice jéj zbladło.
Jak mgłą się całe powlekło zwierciadło,
Krzyk skonał w ustach — musiała pozostać....
W zwierciadle druga zjawiła się postać!
Nie ziemska, jasna jako światło dzienne.
Śnieżyste skrzydła i czoło promienne,
Liliję białą w jednéj trzyma dłoni.
A lica, jakich oko nie widziało,
Były — czy prawda, czy jéj się tak zdało?
Do jéj kochanka podobne i do niéj. —
Strach ją ogarnął — w oczach się zaćmiło
Krew pozimniała i serce nie biło.
W tém ciche słowa do uszu jéj płyną:
„Jam twój stróż Anioł: — nie boj się dziewczyno!
»Jam twój stróż Anioł, jam jest dusza twoja!
»Cóż jest ta piękność co tak wzrok twój ludzi?
»Piękniejszaś w oczach Boga, niżli ludzi;
»Dziewczyno patrzaj, jaka piękność moja!
»Kiedy się modlisz co wieczor, co rana,
»Ja twoje modły zanoszę do Pana!
»Seraf z uśmiechem przed tronem mię stawi.
»Z uśmiechem we mnie Bóg cię błogosławi,
»I z jego woli niosę ci w powrócie,
»Niebieski pokój i słodkie uczucie
»Którem twoj Anioł z swym bratem cię kocha.
»Lecz od złych duchów idzie próżność płocha!
»Dziewczyno! dziś się twój Anioł zasmucił,
»Nie wysłuchany od bram nieba wrócił.
»Widzisz tę białą lilię w méj dłoni;
»Widzisz ten promień w około méj skroni;
»Promień to łaski co nad tobą świta.
»W lilii obraz twych uczuć rozkwita,
»A z nich twe czyny i myśli Bóg czyta!
»Póki blask świeci w całéj swéj jasności,
»Póki kwiat kwitnie w całéj swéj białości,
»Póty stróż Niebios z uśmiechem wesołem
»Otwiera bramę przed twoim aniołem.
»Lecz dziś, patrz! — blask się otoczył mgłą siną
»Kwiat więdnąć zaczął; — zgrzeszyłaś dziewczyno!
»Zgrzeszyłaś! żałuj, popraw się — masz porę!
»Kwiat jeszcze żyje i blask jeszcze gore!
»Skończył« jéj życie powracać zaczyna,
Grzech swoich myśli uznała dziewczyna
Żal ścisnął serce — i łzami zalana
Twarz kryjąc w dłoniach padła na kolana.
I wśród modlitwy spojrzawszy wesoła,
Raz jeszcze swego ujrzała anioła,
Wznosił się w górę, lecz już kwiat był bielszy,
I blask jaśniejszy i anioł weselszy!
A gdy z kochankiem zmieniwszy pierścionki,
Szła mu poprzysiądz na miłość małżonki,
I przed ołtarzem stanąwszy nieśmiało,
Modląc się w myślach, wzrok wzniosła ku górze,
Anioł jéj w kadzideł ulatywał chmurze,
I błogosławił ją lilią białą.

OGRÓD W ZOFIÓWCE.



ZOFIÓWKA

Jednym z najpiękniejszych tworów sztuki ogrodnictwa w Europie, jest ogród Zofiówką zwany, nie daleko Humania w gubernii Podolskiéj w dobrach Szczesnego Potockiego znajdujący się. Szczesny Potocki, jeden z najbogatszych panów w kraju, poświęcił ogromne nakłady na założenie tego ogrodu, któren tak nazwał od imienia swéj żony. Prawie każden z miłośników poezyi naszéj, zna poemat Zofiiowka przez Trembeckiego, opisaniu tego ogrodu poświęcony.—Pani Potocka Zofia, rozkazała zrobić piękne jego wydanie, ośmią rycinami ozdobione, z tłomaczeniem francuzkiém. Hr. Raczyński przejeżdżając do Turcyi zwiedził Zofijowkę i jeden jéj widok, załączył do rycin ozdabiających dziennik swojéj podróży. Kopią téj ryciny zamieszczamy w Muzeum, oraz miejsce z Dziennika jego podróży wyjęte. Z poematu Zofijowka te tylko wiersze przytaczamy które obejmują w sobie opis ogrodu i wodotrysków.

»Ogród Zofiówką zwany, leży o ćwierć mili od miasta, w dolinie między dwoma skalistemi wzgórkami, po których kręte wiją się ścieszki; celniejszą jego ozdobą jest wodospad strumienia, który z pośród ogromnych kamieni i urwisk skał granitowych wypływa, i z wysokości dwudziestu czterech łokci wylewa się w staw do kilkuset sążni długości mający. W przezroczystéj jego wodzie, odbijają się jak w zwierciedle, tysiączne nad brzegami zasadzone kwiaty i zwisłe wierzb płaczących gałęzie. Wśród stawu sterczy skała, a z niéj wzbija się wytrysk czyli fontanna trzydzieści dwa łokcie wysoka. Słup wody, u dołu dziewięć cali obwodu mający, rozszerza się u wierzchu i kształci niezmierną pieniącą się kolumnę, która już zdaleka podróżnego zadziwia. Zdaje się, że twórca Zofiówki miejsce to szczególniéj przyozdobić sobie zamierzył; o kilkunaście łokci od stawu stoi posąg marmurowy konsula Rzymskiego, który starożytnym bydź mniemają; głowa jego i tułów bardzo są piękne, nogi i ręce są dorobione, i podobno mniéj dobrze.

Powyżéj kaskady wznosi się budynek z granitu z przepychem wystawiony, świątynią Kanopa zwany. Zaprowadzono strumień po nad jego kopułę, z któréj nagle spada i wystawę (portique) tego gmachu przezroczystą okrywa zasłoną.

Obfite wody znacznym nakładem z daleka sprowadzone, szczególniéj zdobią Zofiowkę. Strumień środkiem ogrodu płynący, tu się na kilka koryt dzieli, tam się znowu łączy, raz z szumem z kamienia na kamień spada, drugi raz między niemi się, wijąc niknie, i zdaje się wabić, aby go szukano.

»et fugit... et se cupit ante videri.»

Upewniano mię że założenie tego ogrodu do trzech milionów Złotych Polskich kosztowało«

Gdzie Sielnica z Tulczynką strugi czyste sączy.
Hymen twoje z Zofiją przeznaczenia złączy,
Imię jéj tym dasz miejscom, gdziem ci się objawił,
Słusznie byś je z tych przyczyn wiekopomnie wsławił,
A na powinny dla mnie dodatek ofiary,
W rozkoszne zamień sady te niezgrabne jary,
Własnéj ku budownictwu nie żałując dłoni,
Poznaczę ci abrysy grotem mojéj broni.
Tu, gdzie się w amfiteatr wyższe łączą góry,
Wznieś mieszkanie dla naszéj przyjaciółki Flory,
Tam daléj, pysznym rzędem koryntska kolumna
Niechaj dźwiga świątynię kochanki Wertumna,
Nie jest ona niewdzięczną: jéj odpłatnym darem
Giąć się będą jesiennym gałęzie ciężarem.
Tam, gdziebyś miał rozrywkę ty i twoje dziatki,
Z tajoną wspaniałością porozsiewaj chatki.
Resztę oddałbym woli, gdy postawisz z przodu
Posąg Minerwy, twego opiekunki rodu.
Te umowy rzetelność iścić każe święta,
Z tąd dane Zofijówce i wzrost i przynęta.
Łamanych skał rządniejsze poczyniwszy składy,
Mieszkać na nich zanorskie wezwano Dryady,
Skały dające opór i chropawe głazy,
Przechodzą na kolosy i Bogów obrazy,
Robota trwa bez granic, i po każdéj wiośnie
Zawsze coś pamiętnego zdobieniom przyrośnie.
Chudą piérwéj golizną świecące pagórki,
Zdaleka przyniesione ocieniły borki,
Gdzie między krajowemi umieszczone drzewy,
Są z Libanu, z Atlasu, z Antypodów krzewy.
Stąd krążę, gdzie rozlewu pilnujący ścieków...
Z jednego most granitu kły wyzywa wieków;
A na rzucenie z procy czworogranną miarą,
Leży ucieczka pewna udręczonych skwarą.
Gmach ten, z miąższego muru, od wierzchu do dołu
Z płynącego namiotem okryto żywiołu...
Wraz mię na wszystkie strony rozmaitość woła,
Pierwszość otrzyma brzegów zieloność wesoła.
Mierzę potém, na garbek wstępując wysoki,
Jedne więcéj nad drugie żądniejsze widoki.
Spuszczając się w niziny, dobiegłem potoka,

Który hojnie z otworów kamiennych wynika,
W koło kryty, gałązka żadna go nie trąci,
Ani promień rozciepli, ani ptak zamąci.
Przejrzystość dyamentu, a lekkość deszczowa
Sprawia, że się ta woda zda innych królowa.
Podoba się smakowi, podoba się oku,
Pragnienia nigdy w milszym nie złożyłem stoku.
Dostatek, moc przemysłu, i sztuka rzemiosła,
Bliższe wody ściągnęła złączyła podniosła
Z nich kanały, fontanny, z nich obrusy szklane
Płyną, skaczą i błyszczą, pod wagą rozlane.
Ale przemogła inne ogromna kaskada,
Którą, od siebie większą, Kamionka wypada.
Rozścielać się, nurkować, czy piąć się na głazy,
Wzięte posłuszna Nimfa dopełnia rozkazy.
I mimo praw swej równi, służąc do igrzyska,
Albo ryje otchłanie, albo w obłok tryska.
Kto gajów Tuskulańskich smakował ochłody,
Kto uwieńczał Tyburu spadające wody,
Kto straszne Pauzylipu przebywał wydroże.
Jeszcze i w Zofijowce zadziwiać się może:
I przyzna, jeżli szczerość usty jego włada,
Czém tamte w częściach słyną, ta razem posiada.

OBRAZY TOWARZYSTWA.

WŁADYSŁAW I JEGO KUZYNKA.

(*Dalszy ciąg*)

—Mojemu kuzynowi nie powiódł się zawod autora drammatycznego, rzekła Konstancya wzdychając i nie mniemam ażeby go znowu chciał doświadczać.

—I cóż chcesz! nie od razu Kraków zbudowany; ale mimo tego trzeba mieć wiele dowcipu dla napisania komedyi, nawet takiéj która się nie podoba. Panie Dobroduski, zdaje mi się że przez całe życie ani dwóch wierszy nie skleciłeś.

— Przepraszam panią; zrobiłem powinszowanie na imieniny mojéj matki, składało się z dwudziestu i czterech wierszy.

—O! to musi bydź rzecz bardzo osobliwa. Przeczytasz mi je którego wieczora, kiedy będę chciała zasnąć.

—Teraz Władysław zajął się namiętnie malarstwem, rzekła Konstancya, ukończył obraz i posłał go na wystawę.

—Czy to jest obraz historyczny? zapytał się Dobroduski przestając nareście poprawiać na kominku.

—O nie! jest to tylko obraz ułożony z fantazyi.

—Ach! panie Dobroduski, w zapytaniach twoich nie ma żadnego sensu. Jakże chcesz ażeby Władysław dopiero od dwóch miesięcy zajmując się malarstwem, zaczynał od obrazu historycznego?

— Cóż to szkodzi? mój siostrzeniec ma dopiero lat dziewięć a co dzień rysuje *Juliuszów Cezarow*, *Epaminondasów*, *Romulusów*, co nie jest tak trudną rzeczą, jak to sam widzę.

—Cicho bądź panie Dobroduski, gadasz jak o żelaznym wilku; widać iż się nigdy nie uczyłeś rysunku.

—Mylisz się panno Pelagio; uczyłem przez pół roku, i już bardzo dobrze rysowałem wiatraczki... Czy mam czytać daléj?

—Nie. Widzisz przecie, że rozmawiamy; rozcinaj mi ten tiulik, lecz uważaj ażebyś krzywo nie przeciął.

—Nie boj się panno Pelagio, będę uważał.

—Pan Dobroduski wziąwszy tiul i nożyczki, przecina, nie śmiejąc oderwać oczu od roboty.

—Gdyby nie przyjęto na wystawę obrazu Władysława, rzekła Konstancya, pewna jestem iż porzuciłby malarstwo tak jak porzucił muzykę.

—I cóż chcesz!... szuka swego powołania, chciałby wszystko zrobić. To rzecz nie podobna. Twój kuzyn ma wiele talentu, lecz nie ma wytrwałości.

—Na miejscu kamień porasta! odezwał się po cichu pan Dobroduski nie przestając rozcinać.

—To dobrze panie Dobroduski, zobaczemy jak też porośniesz WPan, co się aplikujesz od lat siedmiu, a dotąd nie jesteś na etacie.

—Panno Pelagio, wyrządzono mi niesprawiedliwość, ale muszę wnijść na etat...

—Jeżli tak daléj potrwa, za lat pietnaście zostaniesz kancelistą — Ach, panno Pelagio! — Uważaj, byłbyś krzywo przeciął mój tiulik — Chyba naczelnikiem kancelaryi, chciałaś panna powiedzieć.

Pelagia zaczyna śmiać się; w tejże chwili zadzwoniono do drzwi. Rozpogodziło się oblicze Konstancyi: nie wątpi bowiem że przyszedł jéj kuzyn, lecz ta radość trwa krótko.

Wszedł człowieczek niski, pękaty, mający na środku twarzy mały garbek z dwiema dziurkami, co ma wyobrażać nos, a daléj ogromną massę tłustego ciała, kończącą się uszami: co wszystko, z dużemi wytrzyszczonemi oczyma, z najeżonemi włosami które się prawie od samych brwi zaczynają, tworzy najśmieszniejszą postać, jaką tylko sobie wyobrazić można, nawet w

zbiorze karykatur. Jest to pan Oktawka, wuj Pelagii.

Pan Dobroduski położył nożyczki, ażeby z uszanowaniem przywitać pana Oktawki, i ustąpił mu swego miejsca przy kominku. Usiadłszy na drugim końcu stolika, wziął się znowu do przecinania tiulu, lecz mu się nie powiodło i przeciął krzywo.

—Zważaj że co robisz, panie Dobroduski! zawołała Pelagia, zepsułeś mi tiul. Daj mi go, nie chcę abyś go więcej wziął do ręki.

—Przepraszam, nie uważałem... to będzie można obrówniać.

—Nie... dosyć już, dosyć.

Pelagia odbiera tiul panu Dobroduskiemu, któren niezmiernie zmieszał się i zasmucił; w téj chwili znowu zadzwoniono.

—»To on! rzekła Konstancya.

Młody człowiek z włosami gładko zaczesanemi, z hiszpańską bródką, a którego rysom dosyć regularnym, wyraz zarozumiałości wszelkie powaby na nieszczęście odbiera, wchodzi do pokoju i nie witając nikogo rzuca się z gniewem na krzesło i woła:

—To rzecz okropna! niesłychana! niegodziwa!

—Cóż ci to, mój kuzynie? rzecze Konstancya.

—Czy widziałeś nową sztukę? pyta się pan Oktawka, bijąc takt palcami na kominie jak gdyby kierował orkiestrą; a przecież zdaje mi się iż są tam ładne rzeczy.

—Co mię tam do nowéj sztuki, idzie tu o mój obraz... Obraz prześliczny, tak wykończony, z tak pięknym kolorytem!

—I cóż mój kuzynie?

—I cóż?... Nie przyjęto go na wystawę; dziś wieczorem dowiedziałem się o tém.

— Nie przyjęto go?

—Tak jest moja kuzynko; miej chęć, talent, geniusz, powołanie do sztuk pięknych, na cóż przyda się to wszystko, jeśli nie masz za sobą koteryi, któraby cię protegowała; spotykasz przeszkody, zmuszające cię do porzucenia zawodu, w którymbyś przez tryumfy twoje zaćmił wszystkich współzawodników.

—A jednakże, m[illegible]j przyjacielu: rzekł pan Oktawka usiłując oznaczać takt na trzy tempa, poruszeniem głowy: publiczność nie jest koteryą; prędzéj czy późniéj talent wyjdzie na widok, lecz potrzeba wytrwałości. Bierz ze mnie przykład; zawsze przepadałem za muzyką; basetla była mojém bożyszczem; malowałem basetle węglem na ścianie. Ojciec powtarzał mi często: «Lepiéj byś wszedł za czeladnika do bławatnego sklepu, aniżeli grał na tych ogromnych skrzypcach; zrodzony jesteś do kantoru, nie zaś do rzępolenia na tych struniskach.« Lecz ja czułem żem się zrodził do muzyki; nie ustawałem, ściągnęło to na mnie tysiące nieprzyjemności, lecz nareście stanąłem u mety; jestem członkiem orkiestry teatru w stolicy; dosyć mi na tém.

Władysław powściąga szyderczy uśmiech który pokazał się na jego ustach i odpowiada:

—Nie chcę czekać przez lat dwadzieścia lub trzydzieści; żyjemy w wieku w którym wszystko idzie prędko, w którym od razu każdy chce bydź bogatym, szczęśliwym, uwielbianym. Chcę czynić iak drudzy. Nie brakuje mi na zdolnościach; w muzyce zrozumiałem od razu prawidła kompozycyi.

—O, tak! byłbyś się wsławił; są bardzo ładne rzeczy w twoim walcu.

—A komedye! byłbym co tydzień jedną napisał, gdyby je tylko grać chciano. A romanse! albożto rzecz tak trudna? Wychodzi teraz takie mnóstwo złych romansów.

—To prawda, że nie musi bydź rzecz trudna pisać złe romanse.

—A mój obraz! widziałeś go panie Oktawka? powiedz mi, czyliż źle wyglądał?

—Są w nim bardzo ładne rzeczy, odpowiada pan Oktawka, ciągle bijąc takt palcami.

Władysław wstaje i przechodzi się po pokoju, pogrążony w głębokich myślach. Obie panny szyją i milczą: gdyż jedna myśli że znowu odwlecze się epoka jéj małżeństwa, a druga że nie tak prędko ubierze się w piękną suknią jako druchna Pan Oktawka także milczy i tylko wybija andante lub presto, a pan Dobroduski, od chwili jak był nieszczęśliwy iż zepsuł tiulik panny Pelagii, nie wie co z sobą zrobić.

Wkrótce rozpogodziły się jego rysy, zajaśniały oczy i zawołał:

—W rzeczy saméj, jakże jestem dzie! cinny, zajmując się takiemi przedmiotami Zresztą nie jestże to głupstwem pracować dla nabycia talentów, których nie potrafią ocenić nasi współziomkowie, które może nawet oczerniać będą przez zazdrość? Poświęcaj że się dla zazdrośników, dla niewdzięcznych! Co za głupstwo! Bogactwa, same tylko bogactwa trzeba posiadać; ponieważ bogactwom oddają cześć i przyznają wszelkie zalety. Tak, to rzecz skończona; wyrzekam się sztuk pięknych; nie chcę znać innego bożka prócz Plutusa; jemu tylko składać będę ofiary. Kochana kuzynko, już nie zaślubisz sławnego człowieka, żyjącą chwałę, lecz zaślubisz milionowego pana, mieć będziesz pałace, powozy, dyamenty, lokajów.

Co mówisz kuzynie, jakiż to nowy projekt przyszedł ci do głowy.

—O! jest to projekt niecofniony, ostateczny. Chcę zostać bardzo bogatym. Czyliż nie ma codziennych przykładów, że głupcy, ludzie do niczego nie zdatni, robią majątek? Zdaje mi się więc, że gdy człowiek rozumny zechce zadać sobie tę pracę, łatwo tego dokaże.

—Nie zawsze się to sprawdza: rzecze Konstancya wzdychając: a przytem, Władysławie, alboż to wielkie bogactwa koniecznie są potrzebne do szczęścia? Każde z nas ma pomierny, lecz dostateczny majątek i możemy żyć w przyzwoitym dobrym bycie. Nie pragnę ani jaśnieć w świecie, ani też zaćmić kogo.

—A ja, kuzynko, chcę abyś zaćmiła wszystkie damy twojém ubraniem, twojemi dyamentami, chcę ażeby zazdroszczono losu mojéj żony, aby mówiono, że możesz przywieśdź do skutku każde twoje żądanie, że twój mąż niczego ci nie odmawia. Już ułożyłem sobie tysiące projektów, i wkrótce przyniosę ci w ofierze moje bogactwa i rękę.

—Jak zechcesz mój kuzynie; lecz pamiętaj, że bogactwa nie pomnożą naszego szczęścia.

—Chciałbym wiedzieć, jakim sposobem zamyśla w prędkim czasie zrobić ogromny majątek, mówił do siebie uczciwy basetlista, wstrząsając głową.

—Panie Dobroduski, zdaje mi się że i ty także powinienbyś postarać się aby zostać milionowym panem: rzekła Pelagia spoglądając złośliwie na młodego aplikanta; przez to uwolniłbyś się od długiego aplikowania.

—Ja! panno Pelagio! jestem nieszczęśliwy we wszystkiém: rzekł pan Dobroduski z ciężkiem westchnieniem. I cóż mam robić?

—Na wszelki przypadek nie radzę ci mieszać się do przecinania tiulu, bo to ci się wcale nie udaje.

Młoda dziewczyna śmieje się do rozpuku, a Dobroduski spuszcza oczy i prawie ma ochotę płakać.

—Moje dzieci, rzekł po chwili pan Oktawka, tym czasem nim Władysław zostanie panem milionowym, czyliżby nie wypadało, ażeby każdy poszedł do domu na spoczynek?

—Dobra noc mój kuzynie: rzecze Konstancya wstając od roboty: zobaczymy się jutro.

—Tak jest kochana kuzynko. O! co dzień będę przychodził, a w krótce przekonasz się, żem nie tworzył sobie płonnych nadziei. Lecz już późno, czy idziem panie Dobroduski.

—»Idę, zaraz idę... szukam kapelusza.

—»Co wieczór zawsze masz ten sam kłopot panie Dobroduski, rzekła Pelagia; nie wiesz nigdy gdzieś położył twój kapelusz.

Pan Dobroduski wiedział dobrze gdzie leży jego skromny kapelusz, ale udawał że go szuka, spodziewając się że jeszcze znajdzie sposobność zbliżenia się do Pelagii i przeproszenia ją po cichu, za to że zepsuł jej tulik; czuł bowiem poczciwy chłopak, że przez całą noc oka nie zmruży, jeżeli panna Pelagia będzie zagniewana na niego.

Lecz Pelagia na umyślnie odsuwała się od pana Dobroduskiego, a Władysław już był w sieni żegnając się z dwiema pannami i panem Oktawką.

Panna Pelagia znowu odezwała się z właściwą sobie uszczypliwością.

—Panie Dobroduski, jeżeli nie znajdziesz kapelusza, mój wuj pożyczy ci swojéj szlafmycy.

—Mam go już, mam! odpowiedział Dobroduski ze zwarzoną miną... Jestem niezmiernie zmartwiony, że z mojéj przyczyny musieli państwo czekać przy drzwiach... jestem tak nieszczęśliwy dzisieyszego wieczora... jestem tak, że... iż...

—Dosyć tego panie Dobroduski; dobry wieczór, resztę powiesz mi innym razem.

Gdy biedny kochanek kłaniał się i kłaniał, zamknięto mu drzwi przed nosem. Gdy postrzegł iż kłania się samym tylko gołym ścianom, zszedł na dół lecz smutny i mruczący.

»Gniewa się na mnie! Jakże jestem nieszczęśliwy! Wszystko co tylko posiadam, poświęciłbym dla pozyskania serca panny Pelagii... a zawsze tak jestem przy niéj niezgrabnym.

Dwaj młodzi ludzie wyszli na ulicę, tam mieli się rozstać, gdyż Władysław szedł na ulicę Senatorską a Dobroduski na Nalewki. Lecz Dobroduski oparł się o ścianę i nie myślał odejśdź. Władysław trącił go w rękę, mówiąc;

—Dobra noc panie Dobroduski. — Dobra noc panie Władysławie.— Czyliż tu stać będziesz aż do rana, oparty o ścianę?— Nie wiem co z sobą zrobić, tak jestem nieszczęśliwy. Ach! panie Władysławie, nie wiesz jaka to jest męczarnia, kochać bez nadziei, bo ty jesteś pewnym serca twojéj kuzynki; lecz ja uwielbiam niewdzięczną, okrutną, z sercem ze skały! Choćbym przez piętnaście dni płakał bez przerwy, panna Pelagia nawetby mnie się nie zapytała dla czego mam czerwone oczy. —A więc lepiéj zrobisz jeśli nie będziesz płakał. — Czyliż to jest w mojéj mocy? Gdy Panna Pelagia surowo obchodziła się ze mną wieczorem, płaczę przez całą noc tak mocno, iż moi sąsiedzi już chcieli się

na mnie skarżyć do Komissarza, o to że im spać nie daję. — Biedny Dobroduski!... Dobrą noc, będę myślał o moich spekulacyach, i zrobieniu majątku.« Władysław odchodzi, zostawując biednego kochanka, opartego o ścianę. Nareszcie Dobroduski postępuje parę kroków, obraca się i patrzy w okna pomieszkania pana Oktawki, mówiąc do siebie. »Gdyby chciała wyjrzeć przez okno, gdybym ją przynajmniéj dojrzał przechodzącą ze światłem...

Stał z wyciągniętą szyją, z podniesioną głową, z oczyma wlepionemi w okna trzeciego piętra, a jak ten astronom, który patrząc na xiężyc nie widział dołu przy nogach swoich, tak i Dobroduski patrząc w okno kochanki nie widział klocka porzuconego przy rynsztoku. Potknął się o niego i wpadł w sam środek wody, któréj nieszczęściem pełno było po całodziennéj odwilży. Taka zimna kąpiel nie jest przyjemną, lecz że niespodziane wrażenie fizyczne przerywa wrażenia moralne, Dobroduski wstaje przemokły i pośpiesza do domu, nie mając już ochoty patrzeć w okna mieszkania panny Pelagii.

ROZDZIAŁ III.

IGRZYSKA LOSU.

Cztery miesiące upłynęły, Władysław o niczem inném nie mówił tylko o kursie listów zastawnych, obligacyi udziałowych, o papierach pożyczki 140 milionów, o licytacyach, dostawach, dzierżawach, a nawet o kursie papierów francuzkich, hiszpańskich i t. d. Gdyż jego sposób zbogacenia się było po prostu spekulacyą na papiery publiczne. Sciągnął wszystkie swoje fundusze i spodziewał się że wkrótce o czterykroć pomnoży swój kapitał. Znalazł natychmiast doradzców gotowych korzystać z jego lekkomyślności. Kurs naszych krajowych papierów nie ulegających nagłym i znacznym przemianom, nie odpowiadał jego zamiarowi;za pośrednictwem przeto usłużnego ajenta, połowę swoich funduszów posłał do Paryża i tam polecił zakupienie wielkiéj ilości papierów, spodziewając się iż na nich w ciągu roku, ogromne zyski odniesie. Drugą połowę, umyślił obrócić na chwycenie się a przynajmniéj na współubieganie się do rozmaitych znacznych przedsięwzięć.

Dobry pan Oktawka zmarszczył brwi gdy się dowiedział o zamiarach Władysława, lecz Konstancya, zawsze dobra, zawsze łagodna i słodka, nie śmiała ganić swego kuzyna; oprócz tego, nie źle powiodło mu się z początku, zyskiwał, jak to zawsze zdarza się spekulantom i bardzo był wesół ilekroć przychodził odwiedzieć kuzynkę. To prawda że te odwiedziny bywały bardzo krótkie, mówił tylko o interessach, co nie bawiło wcale obu dziewcząt; lecz ubierał się jak najmodniéj i jeździł karyklem, tymczasem nim sobie kupi powóz i konie.

Pan Dobroduski zawsze chodził piechotą w bronzowym tużurku i w czarnéj kamizelce, z czego nie raz żartowała sobie złośliwa Pelagia. Przecież jednego wieczora, przyszedł uradowany, w materyalnéj kamizelce, w nowym atłasowym halsztuchu i z białym półkoszulkiem z guziczkami.

—Coś nadzwyczajnego musiało stać się panu Dobroduskiemu, rzecze Pelagia; zmienił nieco swoj uniform, zdaje mi się nawet iż kazał wyszuwaxować swoje buty.

—Panno Pelagio, zdaje mi się, że nigdy nie stanąłem przed tobą, nieporządnie ubrany i zabłocony; przy tém, wycieram nogi o wszystkie słomianki.

—Panie Dobroduski, odpowiedz mi proszę... Czy prawda że ci się coś stało? Nie jesteś w zwyczajnym humorze; zdaje mi się nawet że trochę zyzem patrzysz.

—Nie wiem dla czego miałbym zyzem patrzéć z radości,lecz to rzecz pewna,że jestem bardzo uradowany. Zaczynając od pierwszego tego miesiąca, już nie jestem aplikantem, wszedłem na etat, mam pensyą.

—Pensyą! to rzecz przepyszna!... a wieleż wynosi ta pensya?

—Tysiąc dwieście złotych panno Pelagio.

—Tysiąc dwieście złotych!.., czy na miesiąc?

—A gdzie tam... na rok. Zdaje mi się że jak na początek, nie powinienem się uskarżać.

—Zapewne że tak, rzekł pan Oktawka, który jeszcze nie był poszedł do teatru. Z takiej pensyi młody człowiek może utrzymać się; życie w Warszawie nie kosztuje wiele,jeźli tylko kto umie bydź rządnym i oszczędnym.

—Ach! mój wuju! może chciałbyś żeby kto prowadził gospodarstwo z żoną i z dziećmi, mając tysiąc dwieście złotych dochodu?

—Moja kochana siostrzenico, znałem urzędnika, który taką tylko pensyą pobierał a żył z żoną i czworgiem dzieci, nie zaciągając ani grosza długu: tem bardziéj, że niktby mu pożyczyć nie chciał.

Poczciwy Dobroduski nie pisnął ani słówka; mniemał, że panna Pelagia wiedząc o jego pensyi etatowéj, lepiej z nim obchodzić się zacznie, a znowu zawiodła go

ta nadzieja. Lecz pan Oktawka odchodząc ścisnął go za rękę i rzekł:

—Winszuję ci mój przyjacielu, szczerze winszuję... bo w moich oczach, tysiąc dwieście złotych pewnéj pensyi, więcéj są warte, niżeli miliony w wątpliwych spekulacyach i nadziejach. Do zobaczenia, idę przygrywać do melodramy, w któréj jest bardzo wiele ładnych rzeczy.

Nawykłe do słuchania Władysława, jak rozprawiał o pięćdziesięciu, lub stu tysiącach złotych, obie dziewczyny nie bardzo się ucieszyły powodzeniem pana Dobroduskiego. Cóż bowiem znaczy tysiąc dwieście złotych rocznie, przy kimsiś który na jednéj spekulacyi może zarobić trzydzieści razy więcej?

Jednakże Konstancya będąc świadkiem westchnień biednego Dobroduskiego, często łajała Pelegią że tak źle z nim się obchodzi; lecz Pelagia odpowiadała:

Mogę powiedzieć mu wszystko co mi przyjdzie do głowy. Jeżeli mię istotnie kocha, czyliż nie powinien bydź szczęśliwym iż pozwalam aby co wieczor przychodził... Jest bardzo zabawny? nie prawdaż. Nie raz przyjdzie, usiędzie i przez dwie godziny ust nie otworzy.

—To wtenczas tylko, jeźli na niego nie spojrzysz gdy ci powiada dobry wieczór. Ten młody człowiek chce ożenić się z tobą; jeźli go nie kochasz, powiedz mu od razu, zamiast uwodzenia prożną nadzieję.

—Ja mu nie powiedziałem aby miał nadzieję. Czy chcesz abym poszła za niego kiedy ma tylko 1200 złotych pensyi? Piękne byśmy prowadzili gospodarstwo. Niechaj sobie mój wujaszek gada co chce; nie jest to rzecz powabna i przyjemna. Chciałabym żeby pan Dobroduski także zajął się zrobieniem majątku jak twój pan Władysław, lecz na to jest za ciężki, za gnuśny. Ach! ty to będziesz szczęśliwa, mieć będziesz pałac, dyamenty, powóz. Będę z tobą jeździć w twoim powozie, nie prawdaż?

—Ach! jeszcze go nie mam.

— O! jakże się wówczas bawić będziemy; pojedziemy co dzień do ogrodu botanicznego, do Królikarni, do Wilanowa, na Bielany. Kto ma powóz, może jeździć gdzie mu się podoba... Ach! pojedziemy do wód za granicę... weźmiesz mię z sobą?

— Jakże jesteś roztrzepana droga Pelagio!

— O! mam wielką ochotę pojechać do wód zagranicznych; ale z mężem co ma tysiąc dwieście złotych pensyi, nie można nigdzie się ruszyć, trzeba pilnować domu.

—Czyliż nie jest miło żyć z osobą którą kochamy?

—Miłość nie wyłącza rozrywek... Ach! Konstancyo, musisz mieć loże na obu Teatrach. Będziesz dawać tańcujące wieczory, bale, koncerta, obiady.

—Moia Pelagio, na te wszystkie rzeczy, potrzeba mieć wielki majątek.

—Zdaje mi się że z czterdziestu tysiącami złotych dochodu, można zadosyć czynić wszystkim swoim fantazyom.

— I sądzisz że Władysław mieć będzie czterdzieści tysięcy złotych dochodu?

—Niezawodnie! a może i więcéj. Zdaje się że twój kuzyn zbogaci się bardzo prędko. Ostatnim razem taki był wesół, taki zadowolony ze swoich spekulacyi; zacierał sobie ręce, mówiąc: *audaces fortuna*... Ach! mój Boże, nie spamiętałam reszty, lecz były to wyrazy łacińskie, znaczące zapewne: »Jestem bardzo bogaty.

—Nie wiem o tem; lecz wiem że mój kuzyn bardzo krótko bawił się z nami, iż ledwie odpowiadał na to com do niego mówiła, i uważam iż daleko był czulszym dla mnie wprzódy, nim zaczął myśleć o zbogaceniu się.

Wieczorem tego dnia Władysław nie przyszedł do pana Oktawki, nazajutrz pan Dobroduski przyszedł sam tylko; młody człowiek miał osobliwszą minę, był smutny, pomięszany, stał nie mówiąc ani słowa.

— Panie Dobroduski, coś ci się stało jak uważam: rzekła Pelagia: a chociaż nie wziąłeś materyalnéj kamizelki, masz jakąś zwarzoną minę. Czyliż ci odebrano twoją pensyę?

— O nie, panno Pelagio, nie idzie tu o mnie,

— Nie o pana?... więc to będzie rzecz bardziéj zajmująca. No! gadaj że pan.

—Bo... idąc tu, spotkałem pana Władysława.

—Mego kuzyna?—Tak iest panno Konstancyo, kuzyna pani... był tak pomięszany, blady, zmieniony.

— O Boże! czyliż jest chory?

—Nie panno Konstancyo, nie jest chory... lecz zapewne musiało mu coś złego zdarzyć się. Najprzód wziął mię za rękę i tak mię ścisnął że aż mię jeszcze boli.

— Do rzeczy panie Dobroduski, do rzeczy... mówisz nam o twojéj ręce, a Konstancya jest jak na szpilkach.

— Nareście pan Władysław rzekł do mnie: »Dziś wieczorem czy pójdziesz do pana Oktawki? gdym odpowiedział że pójdę, wyjął list z kieszeni i rzekł: »Oddaj go mojéj kuzynce...ale nie zapomnij... Przyrzekłem że uskutecznię jego zlecenia, a wtedy znikł jak błyskawica.

— A ten list panie Dobroduski?

—Mam go w kieszeni.

— Dajże go czemprędzéj, rzekła Pelagia, od tego powinieneś był zacząć.

Dobroduski podaje list Konstancyij, ona bierze go drżącą ręką i czyta.

»Moja kochana kuzynko; chciałem pro-»bować szczęścia; powiodły się pierwsze mo-»je usiłowania .. Ośmielony tym począ-»tkiem, może posunąłem się za daleko... »Jednakże moje plany były bardzo trafne, »i spodziewałem się że w krótce będę mógł »stanąć w położeniu godném ciebie. — »Los zawiódł moje nadzieje. Mój korre »spondent z zagranicy doniósł mi, że nagłe »spadnięcie papierów wyczerpało cały mój »fundusz któren mu powierzyłem. Podją-»łem się znacznej entrepryzy, która mi się »zupełnie nie powiodła; na nią nie tylko »wydałem resztę moich kapitałów, lecz »zaciągnąłem znaczne długi. Straciłem »wszystko.... Gdybym tylko stracił to »co do mnie należało, mógłbym się jeszcze »pocieszyć, lecz winienem dwa razy tyle; »podpisałem wexle, nie mogę ich zapłacić. »Postradać honor! to mię przyprowadza do »rozpaczy, to mię zabija... tak jest, gdyż nie »przeżyję mojéj niesławy. Żegnam cię dro »ga kuzynko, lituj się nademną, lecz mię »nie przeklinaj. Żegnam cię na zawsze.«

Władysław

(*Ciąg dalszy nastąpi*)

LITERATURA.

Wianek Noworocznik na rok 1837, *zebrany i ułożony przez Karola Korwella, zawierający w sobie oryginalne utwory prozy i poezyi, z sześcią rycinami i muzyką, wydany nakładem Józefa Kaczanowskiego. — Cena* zł: 20 *w pięknéj oprawie.*

Jeżeli Noworoczniki wydawane za granicą, a mianowicie we Francyi i Anglii, uważane bydź mogą jako piękne bawidełka na podarunek dla płci pięknej służące, albo jako płody próżności bogatych xięgarzy chcących gust swój i zamożność okazać publiczności, Noworocznik nasz który już po raz drugi wychodzi na widok publiczny, nieskończenie wyższe i ważniejsze miejsce zajmuje w literaturze krajowej. Gdy wszystkie niemal bieżące prace literackie, składają się tylko z encyklopedycznych zbiorów i z tłómaczeń, Noworocznik jest jedynym składem oryginalnych płodów, jak to wskazuje skromne i trafne godło położone na nim:

„Miej ty sobie pałace, ja mój domek ciasny,
„Prawda, nie jest wspaniały szczupły ale własny.

Bardziéj przeto niżeli wszelkie inne wydania będzie miarą stanu i kierunku literatury w Warszawie. Z tego to powodu, nie może bydź obojętny jej miłośnikom. Zdaniem naszem artykuły znajdujące się w Noworoczniku na rok 1837my odznaczają się dobrym wyborem, smakiem, czystością stylu i pięknością wysłowienia. — Autorami prozy są PP Karol Korwell, Malecka Wanda. Fr... Hr... Sk..., Szabrański A. J:—Wojcicki K. Wł.—Autorami poezyi, Burski Alexander, Dziewicki Seweryn, Nowosielski Teofil, Szabrański A. Stanisław z Dzikowa, (Jachowicz) Starzyński Stanisław, Zieliński Wiktoryn i czterech bezimiennych, cyframi tylko oznaczonych. Z prozy, szczególniéj zwróciły naszą uwagę, powieści *O to jest królowa Francuzka, (Marya Leszczyńska) Ecyn Gieraj i Wysoki zamek.* — Z poezyi, *Pokuta Niniwy i Nagroda Śpiewaka.*

Ryciny sprowadzone są z zagranicy, i nie można żądać piękniejszych. Nie mniejszego starania dołożono o dobór druku i papieru, oraz o oprawę xiążki.—Sprawiedliwa zatém wdzięczność należy się panu Korwellowi, któren nie szczędził starań i zachodów o dobor artykułów, i wydawcy, panu Kaczanowskiemu, któremu Wianek winien jest piękną powierzchowność swoją.

NOWE DZIEŁA W XIĘGARNI F. S. DMOCHOWSKIEGO.

Żyd, romans historyczno obyczajowy, Spindlera, przełożony z niemieckiego przez F. S. Dmochowskiego, 1836, 4 Tomy zł. 16ście.

Spindler jest jednym z najlepszych naśladowców Waltera Skotta. Romanse jego obfitują w piękne obrazy; dobrze maluje charaktery, a przy tém wolny jest od rozwlekłych opisów i ciągle podnieca ciekawość czytelnika. — Dotąd nie mieliśmy żadnego z jego romansów, przełożonego na język polski, chociaż przełożone już są na język francuzki, angielski i rossyjski.

Prenumeraty w Xięgarni F. S. Dmochowskiego na dzieła wydawane nakładem właściciela tejże Xięgarni.

Muzeum Domowe rok 1837—fl. 18 w Warszawie—fl. 24 na prowincyi.

Podróż Malownicza po Europie: rok pierwszy obejmuje opisanie Włoch, z 48 rycinami fl. 15 w Warszawie, fl. 18ście na prowincyi.

Czytania pożyteczne i przyjemne, dzieło w języku polskim, niemieckim i francuzkim, z rycinami, zł. 12ście w Warszawie, zł. 14ście na prowincyi.

Osoby razem prenumerujące na te trzy dzieła, mają odstąpione sobie od ceny 10 od sta procentu.



RODZINA PAŃSTWA PAJTALSKICH.

OBRAZY TOWARZYSTWA.
WŁADYSŁAW I JEGO KUZYNKA.
(*Dalszy ciąg*)

List wypadł z ręki Konstancyi, przerażonej tak niespodziewanym ciosem.

—Stracił wszystko! pomruknął Dobroduski.

—Stracił wszystko! powtórzyła Pelagia.

Lecz Konstancya zbiera myśli i rzecze: O Boże! chce więc umrzeć, ponieważ żegna się ze mną na zawsze. Umrzeć dla tego że mu trochę pieniędzy zabrakło... Lecz to wszystko co ja posiadam czyliż nie należy do niego? Czyliż Władysław wątpi o mojéj miłości? Ach! trzeba go ocalić, nie dopuścić wykonania tak okropnego zamiaru. Pelagio, spiesz się, daj mi kapelusz, chustkę... lecz mniejsza o to.. pójdę i bez niéj. Panie Dobroduski zaprowadź mię, podasz mi rękę. Pójdź. pójdź czem prędzéj!... Trzeba ocalić Władysława.

Konstancya wzięła pod rękę Dobroduskiego i zbiegła z nim po schodach. Dobroduski nigdy w życiu swojém nie szedł tak prędko i myślał sobie: »Ach! jakże ten pan Władysław jest kochany, jakże jest kochany! Ach! byleby mię tak kochała panna Pelagia, gotów jestem co dzień topić się w Wiśle.

Wyszedłszy na ulicę, Konstancya rzekła do pana Dobroduskiego.—Prowadź mię pan spieszniéj, gdyż okropnie byłoby przyjśdź za późno.—Tak jest panno Konstancyo, tak jest, zaprowadzę cię, ale dokądże mam cię zaprowadzić?

—Do Władysława...Wiesz gdzie mieszka?

—Wiem—Czy go tylko zastaniemy?

—Ach! to rzecz wątpliwa.

—Wreszcie, dowiemy się...

—O! muszę go widzieć.

Dobroduski myślał sobie że jeźli kuzynka nie masz w domu, nie wiadomo gdzie go szukać. Lecz nie mówił tego Konstancyi, widząc że jéj zmartwienie i niespokojność powiększa się co chwila.

Przyszli do mieszkania Władysława; nie było go w domu; służący powiedział im że jego pan wyszedł już dawno, niewiadomo dokąd. Okropny ciężar obarczył serce Konstancyi; obraca się strapiona do swego towarzysza, mówiąc:

—Nie masz go w domu! Niewiadomo dokąd poszedł...

—Tegom się domyślał. Gdym go spotkał, nie zdawało się że myśli pójśdź na spoczynek. — Mnieysza o to... musiemy go znaleśdź... Pójdź panie Dobroduski, pójdźmy.

— Gdzie tylko zechcesz panno Konstancyo; lecz dokąd?

— Na giełdę... do Banku....

— Wieczorem nikt nie chodzi do Banku, giełda jest zamknięta.

— Do Lursa, do Teatru... wszędzie.

—Nie zdaje mi się aby pan Władysław miał bydź w Teatrze albo u Lursa. — A przecież mój kuzyn musi gdzieś bydź, musimy go znaleśdź.

Młoda dziewczyna ciągnęła za sobą Dobroduskiego; szli na los szczęścia po ulicach miasta.

Gdy jaki młody człowiek podobny wzrostem i postawą do Władysława, przechodził koło nich, Konstancya wołała: To on!—i kazała Dobroduskiemu biedz za przechodzącym; lecz Dobroduski powracał mówiąc: „To nie on, a nawet z bliska wcale do niego nie podobny.“

Gdy przechodzili koło jakiéj kawiarni, restauracyi, cukierni, Dobroduski musiał wstępować, dla przekonania się czy nie ma tam Władysława. Przez trzy godziny biegali bez spoczynku po Warszawie. Konstancya traciła nadzieję, nie płakała, lecz jéj oddech był krótki, czoło pałające, spojrzenie ponure i wryte. Dobroduski wstąpił w miejsc kilkadziesiąt, gonił za dwudziestu przechodzącemi, z których nie jeden oburknął się na niego; już ledwie nogi stawiał, lecz nie śmiał tego powiedzieć, gdyż Konstancya nie skarżyła się, a mężczyzna nie śmie pokazać mniéj odwagi niżeli kobieta; chociażby nawet tak było w rzeczy saméj.

Wybiła jedenasta, Pan Dobroduski ośmielił się powiedzieć:

— Już jest późno. Lękam się czy Panna Pelagia i Pan Oktawka nie są niespokojni o Panią.

— Jest późno, mówisz Pan?

—Wybiła jedenasta.—A więc musiał już wrócić?—„Pan Oktawka? O zapewne że wrócił.

— Mój kuzyn Mości panie! mego kuzyna szukamy. Wróćmy do niego.» Dobroduski nie śmie odmawiać, chociaż mniema, iż ta podróż na nic się nie przyda. Lecz idąc obok Konstancyi nie przestaje mówić do siebie:

— Oto jest człowiek którego kochają, człowiek szczęśliwy! I chce się zabić! Skarży się!.... Ach! nie na próżno malują miłość z zawiązanemi oczyma.

Przyszli przed dom gdzie mieszka Władysław. Konstancya zatrzymuje się drżąca, siły już ją prawie opuszczają, czuje bowiem że jeśli Władysław nie wrócił, już wszelka nadzieja zginęła; pukają, otwiera im stróż domowy; pytają się o Władysława, odpowiada im, że przed kwadransem powrócił.

—Jest u siebie! zawołała z radością Konstancya i natychmiast biegnie na schody, nie zważając czyli jéj towarzysz idzie za nią.

Przyszła w samą porę. Władysław bowiem przez cały wieczór nachodziwszy się po ulicach, zamyślony o nieszczęśliwém położeniu swojém, przekonał się, że chcąc załatwić swoje interessa nic mu nie pozostaje jak sobie w łeb strzelić. To prawda, że to jest sposób daleko prędszy, aniżeli przez pracę, cierpliwość i wytrwałość, odzyskać poniesione straty: lecz w naszych czasach, cierpliwość, wytrwałość i miłość pracy, są daleko rzadsze niżeli wystrzał z pistoletu; a utrzymują, iż jesteśmy w wieku oświaty i postępów!... Co się tycze dawawania obiadów, bydź to może; lecz co się tycze rozsądku, nie wierzę temu.

Władysław wrócił przeto do domu, z mocném postanowieniem odebrania sobie życia. Nabił pistolety, położył je na stole i wspomniał z żalem na krótki swój zawód. Zapewne Konstancya zajmowała znaczne miejsce w jego wpsomnie-

niach, a przynajmniéj biedna dziewczyna zasługiwała na to.

Lecz w chwili gdy Władysław chwytał za nieszczęsną broń, Konstancya wchodzi do jego pokoju, wstrzymuie mu rękę i klęka przed nim, wołając:

— Władysławie! chceszże i mnie zabić?

Władysław zatrzymuie się, spogląda na swoją kuzynkę, na jéj błagające oczy; rozrzewnienie następuje po rozpaczy; pada na krzesło, mówiąc; ,,Jakże mam żyć shańbiony! a będę shańbionym jeźli nie zapłacę moich długów.

— Mój kuzynie! zapomniałeś więc że wszystko co posiadam należy do ciebie. Rozrządzaj moim majątkiem; tego chcę, tego wymagam, w imie naszych matek, które tak nas kochały i uważały ciebie za mego opiekuna, za małżonka którego mi niebo przeznaczyło.

— Konstancyo, czy zastanowiłaś się nad tem? Ja mam rozrządzać twoim majątkiem? Czy wiesz, że gdy zapłacę wszystko com jest dłużny, nic ci prawie nie pozostanie?

— Cóż mię to obchodzi? wówczas będę szczęśliwą. Czy mniemasz że byłabym szczęśliwa opłakując śmierć twoją? Przyjmujesz Władysławie; chcę tego, tak bydź musi. Daj mi czém prędzéj papier i pióro, dam ci upoważnienie do banku, abyś ztamtąd odebrał mój kapitał... Ach! tak jestem szczęśliwa iż ledwie mogę pisać.

Konstancya usiadła przy stoliku i pisała z taką radością, że jéj krewny mógł tylko uwielbiać ją i milczyć. Nieco daléj w kącie pokoju, Dobroduski płakał jak bóbr, mrucząc:

»Co! za czyn!.. Co za poświęcenie! co za przywiązanie! Oto jest człowiek kochany! Ach, panno Pelagio! jakże byłbym szczęśliwy gdybym wzbudził w tobie chociaż dziesiątą część takiego przywiązania!

Konstancya przestała pisać. Dobroduski przestał płakać.

Władysław przyjął pomoc swojéj kuzynki. Są szczęśliwi, zapomnieli o troskach, już układają plany przyszłego szczęścia, a Konstancya nie żałuje tego świetnego majątku, za którym ubiegał się Władysław.

Dobroduski czyni uwagę że już jest bardzo późno; żegnają się, przyrzekaiąc iż się zobaczą nazajutrz. Wierny przewodnik odprowadza Konstancyą do pomieszkania pana Oktawki i opowiada jéj czyn, gdy tymczasem ona z oczyma spuszczonemi i zmieszana, stoi jak winowajczyni oczekująca wyroku.

Pelagia ściska przyjaciołkę i mówi: ,,Ach! gdyby twój kuzyn nie ubóstwiał cię, gdyby nie uczynił cię najszczęśliwszą z kobiet, byłby bardzo niewdzięcznym.

— Nie myślałam o tem spiesząc mu z pomocą, rzekła Konstancya.

Zacny pan Oktawka słuchał z rozrzewnieniem opowiadania pięknego czynu Konstancyi, potém przyjaźnie ścisnął ją za rękę, mówiąc:

,,Kochana przyjaciołko! jest wiele pięknych rzeczy w twojém postępowaniu, lecz byłoby lepiéj gdyby twój kuzyn nie był myślał o zrobieniu milionowego majątku. Nareszcie, będzie to dla niego zbawienną nauką i spodziewam się iż obierze sobie jakie użyteczne powołanie.

Pieniędzmi kuzynki zapłacił Władysław wszystkie swoje długi, lecz jéj pozostało się tylko tysiąc dwieście złotych dochodu: tyleż właśnie, ile wynosiła pensya Dobroduskiego.

Z tém wszystkiem, Konstancya nie żałowała utraty majątku; to tylko jéj było przykro że musiała zmniejszyć pensyą którą płaciła panu Oktawce. Mimo tego, uczciwy muzykant, okazywał dla niéj też samą przychylność. Można bydź miernym artystą, a mieć doskonałe serce; jedno drugie wynagradza.

ROZDZIAŁ IV.

RODZINA PAŃSTWA PAJTALSKICH.

I dla czegóż jeszcze Władysław nie żeni się ze swoią kuzynką? mówiła sobie Pelagia, wkrótce po tych wypadkach. Najprzód żądał chwały, potém majątku; teraz, czyliż potrafi poprzestać na miłości?

Konstancya nic nie mówi, lecz zdaje się że ją zajmowały też same myśli. Od czasu jak rozproszył swój majątek i swojéj kuzynki, Władysław był częstokroć smutnym, zamyślonym, albo też mawiał do Konstancyi: »Jakiż los mieć będziesz przy mnie? Nie mam nic, jestem niczym. Jakaż przyszłość czeka ciebie z człowiekiem, którego nieszczęście prześladuje bez przerwy?

A Dobroduski myślał sobie: ,,Nie chce ożenić się z nią bo już nic nie ma; nie ożenił się gdy miał majątek, i kiedyż się ożeni? Ach! gdyby mnie kochano, jakże byłbym szczęśliwy gdybym się mógł ożenić.

Władysław codziennie mówił do siebie: ,,Muszę zająć się czymśiś.“ Lecz nic nie robił i tylko użalał się na los, na ludzi i na spekulacye.

Pan Oktawka, chciał umieścić Władysława, za skrzypka trzeciéj klassy w orkiestrze; bo chociaż młody człowiek nie był znamienitym muzykantem, tyle jednak umiał iż byłby mógł grać za drugiemi.

Władysław odpowiedział na tę propozycyą: I cóż mieć będę z tego?—Cztery dukaty na miesiąc, przyjacielu.—I cóż u licha zrobię z czterema dukatami?



TANIEC

— Lecz... mając coś pewnego, przy pracy, przy oszczędności, można coś zrobić.

— Nie, panie Oktawko, nie mogę grać w orkiestrze za cztery dukaty na miesiąc, bo zamiast nabrać upodobania w muzyce, zostałbym na zawsze miernym muzykantem. Gdy kto wie że tak mało zarabia, nie stara się o dobre granie. — Mylisz się mój przyjacielu; człowiek zamiłowany w sztuce swojéj, nie czyni takiéj rachuby, usiłuje doskonalić swój talent i częstokroć daleko więcéj pracuje gdy mało zarabia, niżeli wtenczas gdy mu drogo płacą. Mógłbym na poparcie mego twierdzenia stawić za przykład wielu wirtuozów i wielkich artystów, którzy zawód swój rozpoczęli od grywania w orkiestrze, a nawet w kawiarniach i oberżach.

Władysław nie przyjął ofiarowanego miejsca w orkiestrze. Nie długo potém, dobry pan Oktawka usiłując koniecznie wynaleść mu zatrudnienie, rzekł, iż mówił o nim ze swoim przyjacielem, fabrykantem obiciów.

Czy chcesz ażebym malował obicia? rzekł Władysław z gorzkim uśmiechem.

—Nie mój kochany przyjacielu, lecz powiedziałem że umiesz ładnie malować pejzaże; polecił mi abym cię prosił o wymalowanie sześciu ekranów do komina, z przedmiotów jakie sobie wybierzesz...sceny domowe, albo krajobrazy; zapłaci po trzydzieści złotych za sztukę.

—Malować ekrany! zawołał Władysław zapłoniony od gniewu; ja mam do tego stopnia poniżyć mój talent, dla zarobienia trzydziestu złotych?.. Ach! panie Oktawko, nie zastanowiłeś się nad tem co mi doradzasz.

— Lecz mój kochanku, sześć razy trzydzieści złotych czyni sto osiemdziesiąt; a z resztą cóż w tém jest tak złego że będziesz malował ekrany do kominów? Czytałem o wielu znakomitych malarzach, którzy w początkach malowali szyldy do sklepów. Czy mniemasz że przez to umniejszył się ich talent? Wiadomo, że artyści muszą jeść tak jak drudzy i że przed pracowaniem na chwałę, trzeba było zapracować na żołądek.

—Możesz mówić wszystko co tylko zechcesz, lecz nie będę malował ekranów do

komina; wolałbym robić wykałaczki do zębów.

—A więc mój przyjacielu rób wykałaczki, lecz rób co przecie.

Te przełożenia nie bawiły Władysława; dla rozerwania się, bywał jeszcze w towarzystwach do których wprowadzono go wtenczas gdy się zajmował spekulacyami. Przyjmowano go tam, gdyż nikomu nie powierzył utraty swego majątku, był ubrany pięknie i modnie, miał dobry ton i ładną postawę.

Na jednym zgromadzeniu tych ludzi, którzy wydają się bogatemi, a z których nie jeden, podobnie jak Władysław nie ma ani szeląga, kuzyn Konstancyi poznał rodzinę państwa Pajtalskich, składającą się z ojca, matki i córki.

Ojciec, był człowieczek bardzo małego wzrostu, głowę miał trochę zagłębioną między łopatkami, oko żywe, nos długi, kończasty i wklęsło zagięty; minę zawsze uśmiechającą się i niby złośliwo-szyderczą. Jak to zwykle czynią ludzie małego wzrostu, ożenił się z wysoką kobietą, która z wiekiem rozrosła się jeszcze i roztyła. Jéj mąż mógłby łatwo schować się za nią.

Córka podobna była do ojca ze wzrostu, do matki z tuszy, i cokolwiek przytém upadała na nogę.

Między mężem i córką, pani Pajtalska wyższa była o głowę i pół szyi.

Taka była powierzchowność téj familii; przejdźmy teraz do moralnego usposobienia.

Pan Celestyn Tyberyusz Pajtalski, był synem fabrykanta octu i musztardy, który zarobił nie mało pieniędzy, naśladując dobrze musztardę paryzką.

Pan Pajtalski syn, nie tylko stał się godnym wziętości swego ojca, lecz korzystając z gotowizny pozostałéj po nim, prędko powiększył swój majątek. Ale mając jedną tylko córkę, uwiedziony dumą, w pięćdziesiątym roku życia porzucił musztardę, ocet i korniszony, dla rzucenia się w piękny świat i używania majątku.

Pan Pajtalski, zupełnie zaniechawszy handlu, miał tę niedorzeczną słabość, iż chciał aby zapomniano o jego dawniejszém zatrudnieniu. Najął piękne pomieszkanie, dawał wieczory, obiady, na których nigdy nie stawiano musztardy, tak dalece obawiał się zastósowania; krótko mówiąc, przybierał ton wielkiego pana.

Pani Pajtalska była sobie dobra kobieta; jednę tylko w życiu miała namiętność, to jest upodobanie w tańcu i zachowała ją ciągle, chociaż skończyła już lat czterdzieści pięć. Z resztą, przystawała zawsze na zdanie męża, i uważała go za człowieka z wyższym rozumem.

Uczucia dwojga małżonków, zlewały się na córkę, ich jedyne dziecię. Panna Praxeda miała rysy dosyć regularne, a jéj rodzice nie znali nic piękniejszego w świecie, od swojéj córeczki. Przyjęli dla niéj nauczycielów muzyki, rysunku, języka francuzkiego, angielskiego, włoskiego, tańca, geometryi, geografii, i historyi. Z tego wszystkiego wynikło, że w siedemnastym roku życia, panna Praxeda spiewała fałszywie, rysowała oko tak iż można było poczytać je za ucho, gadała po francuzku pronuncyacyą zupełnie polską, mówiła *yes* każdemu anglikowi a *si signor* każdemu Włochowi, tańczyła bez taktu, mniemała że Sztokholm jest w Szwajcaryi a Lozanna w Szwecyi, i mocno wierzyła w traiczną historyą króla Popiela i w ćwieczki króla Leszka.

Pan i pani Pajtalska nie mogli poznać się na pomyłkach, których w rozmowie dopuszczała się ich córka, i nie przestawali powtarzać, że panna Praxeda otrzymała doskonałe wychowanie.

Z tém wszystkiem, gdy trzeba było przyjmować gości, częstować ich i utrzymać ton wyższego towarzystwa, pan Pajtalski nie raz był w wielkim kłopocie, i ani żona, ani córka nie mogły mu w tem poradzić. Okoliczność pewna, z któréj korzystał czemprędzéj, posłużyła mu doskonale.— Umarł bogaty hrabia mieszkający nie daleko niego. Były fabrykant octu i musztardy, pobiegł natychmiast do pałacu, zapytał się o kamerdynera hrabiego i poszedł do jego izby.

—Czy ty służyłeś u nieboszczyka hrabiego? —Ja panie.—Wiele ci płacił?—Siedemset złotych rocznie, ubior, pomieszkanie i częste gratyfikacye.—Dam ci tysiąc złotych rocznie i też same korzyści; oprócz tego będziesz u mnie wszystkiém rozrządzał; i tylko żądam abyś nie kiedy udzielił mi pewnéj porady... to jest... przypomniał mi zwyczaje które wyszły mi z pamięci... gdyż przez długi czas mieszkałem na prowincyi i cokolwiek odwykłem od modnego tonu stolicy. Służąc u hrabiego, który przyjmował u siebie najpierwsze towarzystwa, musisz znać to wszystko;... odświeżysz mi pamięć.

Fryderyk, tak się nazywał kamerdyner hrabiego, chętnie przystał na propozycye pana Pajtalskiego, i od razu poznał jak wiele będzie mógł skorzystać u swego nowego pana. Jakoż, stał się dla niego nieuchronnie potrzebnym i pan Pajtalski w każdéj rzeczy radził się swojego kamerdynera.

Jeżeli chciał sobie sprawić garnitur, fabrykant musztardy przywołał Fryderyka i pytał się.—Jak pan hrabia kazał sobie ro-

bić suknie? — Podług najświeższej mody, panie — A jakiego koloru? — Podług swojej fantazyi.

A pan Pajtalski obracając się do krawca. mówił mu: — »Zrób mi suknie podług najświeższéj mody, koloru podług mojéj fantazyi.

Trzeba było odmienić meble w salonie, wołano Fryderyka.

—Jakie meble pan hrabia miał w swoim salonie? — Jak wszyscy; kanapy, sofy, krzesła, fotele, fortepian i t. d.

Wówczas pan Pajtalski wołał fabrykanta mebli i tapicera, rozkazując im aby umeblowali jego salon jak było u pana hrabiego.

Lecz nadewszystko w dniach przyjmowania gości, podczas wielkich obiadów, Fryderyk był nieoszacowanym człowiekiem; on wybierał potrawy, wskazywał porządek służby i chwilę kiedy trzeba zasiąśdź a kiedy wstać od stołu; on to urządzał jak ma bydź salon oświecony, gdzie mają stać stoliki do kart i jak się wita i przyjmuje gości; krótko mówiąc, on stanowił wszystko. a gdyby kto był nadszedł wtenczas, byłby łatwo poczytał sługę za pana, a pana za służącego.

Ponieważ, mimo tych wszystkich nauk, pan Pajtalski lękał się aby jakiéj niedorzeczności nie popełnił, umówił się ze swoim kamerdynerem o znak pewien. Gdy gadał lub czynił coś takiego co nie było przyzwoitém w dobrém towarzystwie i przestępowało prawidła etykiety, Fryderyk skrobał się po nosie, a pan Pajtalski prawie zawsze wpatrując się w swego sługę, ostrzeżony był tém samém że wystąpił z dobréj drogi i starał się wynagrodzić pomyłkę.

Taka to była rodzina państwa Pajtalskich. Miała 25,000 złotych dochodu, w chwili gdy się z nią poznał Władysław.

Przypadek zrządził, że ten młody człowiek towarzyszył pannie Praxedzie na fortepjanie, że zaprosił matkę do tańca ażeby nie brakowało czwartéj pary do mazura, że pana Pajtalskiego zapytał się o familiią, przydając że znał na Podlasiu szlachtę tegoż nazwiska. Od téj chwili, podobał się całemu domowi. Kuzyn Konstancyi posiadał ten powierzchowny talent, dostateczny dla zabawienia towarzystwa; umiał tyle przynajmniéj grać na fortepianie, iż po jego graniu można było tańcować; śpiewał, rozmawiał o jakimkolwiek bądź przedmiocie, z resztą miał wprawę i śmiałość jako człowiek bywający pomiędzy ludźmi; więcéj nie potrzeba dla złudzenia głupców a częstokroć nawet i rozumnych ludzi.

Pan Pajtalski zaprosił Władysława na obiad. Władysław przyjął zaproszenie, a po jego odejściu, Pajtalski zapytał się kamerdynera:

Jak ci się podoba ten młody człowiek?— »Bardzo mi się podoba panie, ma ton znakomitego człowieka.

—Fryderyk powiada że ma ton znakomitego człowieka: rzekł pan Pajtalski do żony, mówiąc o Władysławie; muszę go częściéj zapraszać.

—Damy dla niego wieczór tańcujący; tańczy bardzo dobrze, odpowiedziała jego połowica. — Powiedział że moja familia jest szlachtą... Musiał to wyczytać z z mojego oblicza. — Zapewne, mój przyjacielu.

Panna Praxeda nic nie mówiła, nie zaręczam czyli co myślała: jednakże bardzo była kontenta że Władysław podobał się jéj rodzicom.

ROZDZIAŁ V.

WIELKI WIECZOR.

W kilka dni potém, pan Pajtalski dał wielki wieczór i zaprosił Władysława. Miało tam bydź wielu kapitalistów, spekulantów, pasibrzuchów z dobrym tonem i kilkunastu młodzieży, lecz ani jednego kupca. Rodzina Pajtalskich zerwała z niemi wszelkie stosunki.

Tego dnia, pani Pajtalska miała suknię trochę przy krótką i trzewiki niezmiernie ciasne, lecz chciała jaśnieć na tym wieczorze i spodziewała się że tańczyć będzie. Panna Praxeda trzymała się prościuteneczko, aby się wydawać wyższą, a jéj ojciec postanowił spoglądać na Fryderyka, ilekroć zacznie mówić co lub robić.

Wszystko urządzono na przyjęcie gości. Pan Pajtalski z dumą spoglądał na swój salon, zupełnie tak umeblowany jak było u pana hrabiego i myślał sobie: Nic tu nie czuć octem i musztardą.

Ilekroć zadzwoniono, pan Pajtalski miał zwyczaj biedz do przedpokoju, Fryderyk zatrzymywał go za suknię, mówiąc: »Panie! trzeba czekać w salonie, nie zaś biedz na przeciw każdego.

—Dobrze Fryderyku... już się nie ruszę z salonu. Lecz gdy dadzą kolacyą?

—Wówczas weźmiesz pan jednę z dam za rękę, zaprowadzisz ją do stołu a za panem pójdą inni goście.

—To dobrze; czy mam zaraz usiądź przy niéj?

—Nie.. umieścisz pan po prawéj ręce damę którą poprowadziłeś; drugą posadzisz po lewéj. Pani toż samo uczyni z dwoma panami.

Czyliż nie trzeba będzie napisać na kartkach nazwiska gości i powkładać je w kieliszki od szampańskiego wina, jak to widziałem w resursie?

—Nie panie; tego się nierobi w domach prywatnych. Reszta gości siada podług woli. Z tém wszystkiém, łatwo możesz pan wskazać niektóre miejsca, aby osoby znajome siedziały jedne przy drugich.

—Rozumiem Fryderyku, rozumiem. Oprócz tego, zawsze będę patrzeć na twój nos, a jeźli popełnię jaki błąd, ostrzeżesz mię.

—Dobrze panie.

Goście zaczęli się zbierać. Pan Pajtalski witał ich zupełnie tak, jak go nauczył jego kamerdyner; pani Pajtalska krzywiła się do każdego z przychodzących: musiała bowiem wstawać, a uciskały ją trzewiki; lecz wykrzywienie to uważano za uśmiech. Panna Praxeda stała jak żołnierz pod bronią, a całe towarzystwo gadało sobie zwyczajne grzeczności, w których nie było ani słowa prawdy: co jest także zwyczajem.

Władysław poszedł na ten wieczór do państwa Pajtalskich, ponieważ Pan Oktawka dzień wprzódy nastręczył mu przepisywanie rękopismów, co go tak rozgniewało, iż bardzo potrzebował rozrywki.

Stoliki do kart były zastawione w przyległym pokoju, lecz pan Pajtalski nie lubił gry; jeszcze nie można było rozpocząć tańców, brakowało tańcujących; a chociaż pani Pajtalska, kuleiąc trochę, kilkakrotnie stawała do figury, większa część gości wolała zasiąśdź do wista lub do ekarte.

Dla zabawy gości, pan Pajtalski zaproponował ślepą babkę i już chciał aby mu zawiązano oczy, gdy postrzegł swego kamerdynera, któren, ustawiając krzesła, bez przerwy drapał się po nosie.

Pan Pajtalski stanął na środku pokoju lecz nie zawiązuje oczów, a spojrzawszy na Fryderyka mówi. »Nie, w rzeczy samej, mniemam iż byłoby to w bardzo złym tonie grać w ślepą babkę; zostawmy niższym klassom te dziecinne zabawy.

Władysław przyłączył się do gier towarzyskich, mając swoje powody unikania gry w karty i odezwał się w tej chwili.

—Dla czegoż nie mamy bawić się w gry wesołe i przyjemne? Ja utrzymuję że ślepa babka i gotowalnia lepsze są od wołoszyna i ekarte; można się zabawić bez straty, to jest oczywista korzyść. Wiemy oprócz tego, że najsławniejsi ludzie lubili takie drobne niewinne igraszki; kardynał Ryszelieu skakał równemi nogami przez rów w ogrodzie, Katon lubił tańcować, a król Henryk IVty chodził na czworakach dźwigając na plecach dzieci swoje.

Skoro Henryk IVty chodził na czworakach, rzekł pan Pajtalski, możemy grać w ślepą babkę... Nie wiem dla czego Fryderyk drapie się po nosie, pomyślał sobie.

Władysław zajął miejsce pana Pajtalskiego, chwytał damy, zgadywał która jest, i wszyscy śmieli się do rozpuku. Tym czasem zebrało się więcéj gości i zaczęto tańcować. Władysław usiadł do fortepianu, i grał ciągle.

Pani Pajtalska była niezmordowana, tylko co skończyła jeden taniec, chciała natychmiast zaczynać drugi. Ponieważ nie było mężczyzn do tańca, Pajtalski zaprosił do mazura swoją ukochanę połowicę, czego już od dawna nie było.

Lecz były fabrykant musztardy wpadł w dobry humor i przypomniał sobie, jak to przed dwudziestu pięcią laty wyskakiwał w mazurze na weselu swego kolegi; porwawszy więc swoją tancerkę, wybijał hołubca i rzucał nogami jakby jaki wieśniak w karczmie. Gdy tak dokazuje, postrzega w kącie salonu, Fryderyka, który drapie się w nos prawie aż do krwi. Przerażony, przelękły, puszcza żonę, a z nogą jeszcze podniesioną zatrzymuje się i rzecze:—»Jakże jestem roztrzepany! chciałem wyskoczyć raźno i żwawo, jak to bywało kiedy człowiek był młodszym.. lecz to nie uchodzi... teraz tak nie tańczą.

—Przepraszam pana, odzywa się Władysław nie wstając od fortepianu; w wielu słusznych domach tańcują mazurka żywo i ochoczo, i dobrze robią. Po cóż zamieniać taniec z natury swojej tak wesoły, tak raźny, w nudny i oziębły chód, jakby w odwiecznym menuecie?

,,Prawda! prawda! powtórzyło kilku z młodzieży, już nieco rozgrzanych ponczem i porwawszy między siebie pana Pajtalskiego, wywijali mazura tak, że aż się trzęsła podłoga.

»W rzeczy samej, ten młody człowiek ma daleko więcej dowcipu, aniżeli Fryderyk: pomyślał pan Pajtalski; mój kamerdyner tylko raz wraz drapi się po nosie ostrzegając mię iż robię głupstwa, on zaś tak dobrze umie wszystko ułożyć; iż uchodzę za człowieka z taktem i dowcipem. A przy tém twierdzi że jestem szlachcicem Ach! gdybym go zawsze miał przy sobie doskonale umiałbym się znaleźć w towarzystwie.

(Dalszy ciąg nastąpi)

WYJĄTKI Z PODRÓŻY PO SYBERYI.

Wkrótce wyjdzie z druku nowe dzieło: Opisanie Syberyi: ozdobione licznemi rycinami, na miejscu zdejmowanemi. Z tego dzieła, które w wysokim stopniu obudzi ciekawość powszechną, umieszczamy wyjątek, życzliwie udzielony nam przez autora. Ogólne wyobrażenie o niem damy później.

,,Wyjechałem z Irkucka dnia 15 Stycznia 1832 r. o godzinie czwartéj rano. Termometr Romiura okazywał dwadzieścia siedm stopni niżej zera; księżyc bladawém światłem oświecał drogę. W wygodnych krytych saniach, w niewielkiéj odległości od miasta, spuściliśmy się na stojącą w części rzekę Angarę, któréj długość ztąd wynosi sześćdziesiąt werst do Bajkału z którego bierze początek; szerokość ma znaczną, tak jest bystrą, że lody na sobie utworzone pogrąża w nurty swoje, a kry zdają się z pod wody wydobywać, co daje powód tutejszym mieszkańcom do mniemania, że lody tworzą się na dnie rzeki: wodę ma czystą ale niezdrową i bezrybną; żegluga na niej trudną jest i niebespieczną, z przyczyny licznych katarakt i skał podwodnych. Bystrość jéj biegu wynosi ośm stop na jednę sekundę.

Wiedząc że Angara miejscami tylko jest zmarzłą, w ciągłej byłem obawie, a że noc zwykle wystawia nam otaczające przedmioty strraszniejszemi, dla tego, choć rzęsy powiek zlepiały się od mrozu, przecierałem je bezustanku aby mieć oko na wszystkie strony; z tem wszystkiém, znajomość drogi tutejszych powożących, tak dalece oswaja podróżnego, iż tam nawet, gdzie istotne zagraża niebezpieczeństwo mniej się lęka. Woźnica raz trzymał się jednego brzegu, to znów tam gdzie rzeka była zamarzłą, przejeżdżał na drugi i tak naprzemian wybierał wygodniejszą i bezpieczniejszą drogę. Im bardziéj zbliżaliśmy się do jeziora tém więcéj pasmo gór otaczających Angarę ścieśniało się i droga coraz była trudniejszą; sanie ledwie mogły się pomieścić na zlodowaciałym brzegu, ocierając się z jednéj strony o stopy gór i skał wznoszących się po nad głowami naszemi, a z drugiéj wrzące nurty czarnéj Angary, groziły co chwila pohłonięciem. Widoki przecież były malownicze, księżyc oświecał śnieżne góry a odbijając swe drżące światło o bryły lodów wydobywających się bezprzestannie z kipiących wód, sprawiał jakieś urocze na patrzącym wrażenie. Przeciwny zaś brzeg w ciemności pogrążony, przedstawiał wzrokowi czarne olbrzymie massy gór, kryjących w obłokach śniegiem pokryte wierzchołki. W niektórych miejscach jechaliśmy przez naturalne aleje z Akacyi, obficie rosnącéj nad brzegami Angary *a*). Przemienialiśmy konie na kilku stacyach pocztowych; minąwszy kościelną wieś *Nikolskoe*, gdzie jest port zimowy przewozowych statków Bajkału, zostający pod zarządem marynarki, zbliżyliśmy się do samego jeziora, wylewającego z siebie massy wód Angary. Wspaniały to i zachwycający widok, pomimo wiatru i dokuczliwego mrozu, z ciekawością przypatrywałem się widokręgowi; z płaszczyzny nieruchoméy zamarzłego Bajkału, w pośród niebotycznych skał stromych, wychodzi jak szeroka czarna wstęga bystra Angara giną- ca pomiędzy górami. Stanąłem po prawym brzegu rzeki, na samym zakręcie wzniosłéj góry, tam właśnie, gdzie woda zdawała się z nadzwyczajną mocą wyrywać z pod gniotących ją lodów Bajkału; nurty jéj pieniące rozbijały się o dwa ogromne granity, sterczące w środku koryta; gęsta para wznosiła się pod niebiosa, a miliony dzikich kaczek kołysały się na wrzących wodach. Bajkał *morze święte*, jak ogromne zwierciadło, utworzone z gołoledzi, odbijało rażące promienie wschodzącego słońca, gdyby nie przykrość klimatu, trudnoby było oderwać się od podobnego widoku.

W dalszym ciągu podróży, jechaliśmy brzegiem Bajkału, przemieniając konie na dwóch stacyach, ustanowionych w wioseczkach wprawdzie małych, ale malownicze i zachwycające mających położenie u stóp wysokich gór, gęstym lasem ciemno zielonéj jodły obrosłych; w téj okolicy znajduje się Talcińska fabryka fajansu i huta szkła. Z ostatniéj stacyi zwanéj *Listwieniczną*, droga nasza zmieniła swój kierunek, puściliśmy się więc wszersz jeziora, czterdzieści przeszło werst ztąd odległego; pomimo jednak téj odległości, perspektywa tak była łudzącą, że przeciwnéj strony wzniosłości, nie zdawały się bydź daléj jak o parę werst. Zdziwiony byłem mocno, widząc że wpakowano w sanie łom żelazny i kilka deszczek, ostrożność przecież ta nader była potrzebną jak się późniéj pokazało.

(a) Robinia Caragana, Akacya Syberyjska, krzew od czternastu do szesnastu stóp wysokości mający, pochodzi pierwotnie z Syberyi, ma liście parzysto-pierzaste, kwiat w kształcie grona, bez zapachu, żółty.

(*Dokończenie nastąpi.*)



WINOBRANIE.

HODOWANIE WINNIC.

Hodowanie winnic, jest, po uprawie zbóż, jednym z najważniejszych przedmiotów rolnictwa. We Francyi, Hiszpanii, Portugalii, większy nawet dochód przynosi aniżeli obsiewanie roli zbożem. — Wiadomo, że nie każden klimat zdolny jest do hodowania winnic. Pierwiastek cukrowy w jagodach rozwija się tylko przez działanie ciepłego słońca, a w krajach bardziej ku północy posuniętych, wino ma smak cierpki i kwaśny. Zbyteczny upał wysusza winogrona. Wino jest przeto wyłącznym płodem klimatów umiarkowanych. We Francyi, północna granica winnic zaczyna się w departamencie Ardennów, przy mieście Mezieres i dochodzi do ujścia Loary. Widać ztąd, że idzie ukośnie w porównaniu z szerokością geograficzną i zniża się od zachodu ku wschodowi. Tenże sam kierunek ukośny, postrzegamy co do uprawy kukurudzy i drzew oliwnych, które także potrzebują znacznego ciepła, dla dojrzenia. Grunta suche, lekkie, kamieniste, są najlepsze do zakładania winnic, w brew zbożom, które potrzebują gruntów tłustych. Na gruncie mocnym i gliniastym, korzenie macicy winnéj nie mogą rozrosnąć się należycie i gniją nareście w ciągłéj wilgoci którą tam napotykają.

Natura doskonale zastósowała rozmaite gatunki ziemi do uprawy rozmaitych roślin, i dla tego większa część gruntów wydających najlepsze wino, nie mogłaby wydawać innych płodów. Brak wody, ziemi roślinnéj i nawozu, zniszczyłby, mówi

Chaptal, wszelkie usiłowania rolnika. W Szampanii, grunta właściwe do uprawy winnic, leżą prawie zawsze na pokładach kredy; wina Bordo zbierają się na piaskach; a ziemie wulkaniczne wydają także wyborne wina. Wina z gruntów tłustych i żyznych mają bydź obfite lecz ich gatunek nie jest dobry; nawozy powiększają ilość wina, lecz niszczą jego dobroć.

Dochody z winnic, najbardziéj ze wszystkich płodów rolniczych zależą od stanu atmosfery. Jeźli rok był za dzdżysty, wino jest nie smaczne, bez tęgości i prędko się psuje; jeśli było zimno, wino jest ostre i kwaśne; jeźli deszcz padał podczas kwitnienia, winogrona nie zawiązały się; jeźli padał pod czas winobrania, winogrona przesiąkają wodą; jeźli w lecie była zbyteczna susza, winogrona nie urosły; wiatr wysusza łodygę; mgła zabójcza dla kwiatu, szkodzi także owocom już uskztałconym; jednem słowem, potrzeba takiego następstwa słońca i deszczu, a każda zmiana atmosfery tak jest ważną, iż lata dobrych win są bardzo rzadkie i troskliwie bywają zapisywane. Nie jeden właściciel winnic nie ma innego kalendarza historycznego; jeden rok pomyślny powraca mu koszta i straty, wyłożone w kilku latach poprzednich. Z powodu takiéj niepewności, winnice mogą tylko należeć do osób posiadających znaczne kapitały: koszta bowiem uprawy zbioru i zachowania wina są bardzo wielkie, a gdy trzeba ponosić, przez długi czas, bez pobierania dochodów, można stracić cały kapitał.

Czas winobrania jest także bardzo ważną rzeczą: jeźli źle wybrany będzie, cały zbiór może przepaśdź. Niegdyś, mówi Chaptal, w krajach posiadających winnice, uroczystością publiczną ogłaszano czas winobrania. Rządcy, w towarzystwie biegłych i doświadczonych rolników, zwiedzali winnice dla przekonania się o dojrzałości winogron i nikt nie miał prawa zaczynać winobrania, dopóki uroczyście nie ogłoszono pozwolenia. Te starożytne zwyczaje, uświęcone były w krajach sławnych z dobroci wina; ich sławę uważano za współną własność.

Bogaci właściciele posiadają prasy do wytłaczania winogron, ubożsi, a mianowicie we Włoszech, wytłaczają wino w kadziach na tym samym wozie w którym zwożą winogrona. Takie postępowanie wyobraża rycina umieszczona na czele tego artykułu.

MONTAIGNE (MICHAŁ EYQUEM DE)

(Urodzony w 1533, zmarły w 1592)

W prowincyi Perigord 28go Lutego 1533. urodził się Michał Montaigne, sławny filozof francuzki, syn Piotra Eyquem, pana z Montaigne. Przyszedł na świat w domu rodzicielskim, domu szlacheckim i wzniesionym na wzgórzu, jak to wskazuje jego nazwisko. Jego familia pochodząca z Anglii, była bogata i starożytna, lecz mało wsławiona. Ojciec Montaigna żył prawie zawsze w ukryciu i dopiero przy schyłku życia, mieszczanie w Bordeaux obrali go prezydentem swego miasta: który to urząd tym był zaszczytniejszym, iż żadnych nie przynosił korzyści i wynagrodzeń. Człowiek ten nie bardzo uczony lecz z mocnym i wzniosłym rozumem, osobliwsze miał wyobrażenia, jeźli uważać będziemy na wiek w którym żył i na stan jego. Poczytał za rzecz użyteczną i mądrą, ażeby syn jego wprawiony był do najuboższego i najpospolitszego sposobu życia, dla tego, posłał go zaraz po wykarmieniu, do biednéj wioski, i tam go przez długi czas zostawił.

Wychowanie młodego Montaigna zaczęło się razem prawie z życiem. Pierwsze obrazy które uderzyły wzrok jego, były żywą nauką prostoty i skromności. Ojciec jego mało cenił nauczanie umyślnie udzielane i więcéj miał zaufania w wpływ wrażeń i nałogów; sądził, że trzeba ochraniać organa dzieci, stósownie do ich pojęcia i humoru. Troskliwość o to posuwał tak dalece, iż sądząc że nagłe przebudzenie miesza słaby mózg dziecinny, kazał budzić syna swego, dzwiękiem harmonijnéj muzyki. Co się zaś dotycze karania, Michał Montaigne chociaż był bardzo nie pojętny i złą miał pamięć, dwa razy tylko otrzymał karę cielesną i to nie wielką. Ojciec nabił sobie głowę, że czas stracony na uczenie starożytnych języków był przeszkodą do rozwinięcia władz umysłu i duszy, postanowił przeto zmienić macierzysty język swego syna, i zamiast po francuzku nauczyć go w niemowlęctwie po łacinie. Takim więc sposobem wziął się do tego: Gdy jeszcze był przy piersi, poruczył go Niemcowi nieznającemu języka francuzkiego, lecz bardzo biegłemu w łacińskim, którego w tym celu na umyślnie sprowadził. Niemiec zawsze go piastował i mówił do niego tylko po łacinie; ani ojciec, ani matka, ani nawet służący nie mówili inaczéj w obecności Michała: i musieli nauczyć się wyrazów łacińskich dla rozmawiania z dziecięciem, tak, iż dziecię doszedłszy do

szóstego roku, nie umiało ani słowa po francuzku.

Posłano potém młodego Michała do kolegium Guyenny, bardzo kwitnącego podówczas i najlepszego we Francyi. Nie odznaczył się między uczniami. W krótce, gdy doszedł do lat stósownych, użyto go do służby publicznéj i miał urząd radcy w parlamencie Bordeaux. Był wówczas inny radzca w tym samym parlamencie, zwany Stefan de la Beotie, który w szesnastym roku życia wsławił się polityczną rozprawą. Montaigne zaprzyjaźnił się z nim; przyjaźń ta niezmiernie była tkliwą i zajmującą; na nieszczęście zbyt krótko trwała, gdyż Beotie umarł w cztery lata po zapoznaniu się z Montaignem.

Wiek w którym żył Montaigne, był wiekiem sporów religijnych; reforma Lutra i Kalwina, wystawiła Francyą na długie pasmo wojen domowych. Montaigne nie przyjął nowych zasad reformatorów, lecz nie pochwalał także gwałtowności ich przeciwników, i którakolwiek strona dopuszczała się prześladowań i gwałtów, ganił ją i potępiał. Montaigne przybył do dworu pod czas małoletności Karola IX. Poznała się na nim Katarzyna Medycejska i kanclerz de l'Hopital; królowa poleciła mu nawet, ułożenie dla jéj syna, instrukcyi o sztuce panowania. Potém został szambelanem królewskim i otrzymał order Sgo Michała, wysoko jeszcze ceniony w owym czasie. Wkrótce złożył urząd członka parlamentu w Bordeaux. Znajomość ludzi była jego najulubieńszą nauką. Dla oddania się filozofii dla i ulgi w chorobie dziedzicznéj w jego familii (kamień) odbył podróż do obcych krajów. Zwiedził Niemcy, Szwajcaryą, Włochy i wszędzie przyjmowany był z jak największém poważaniem. W Rzymie r. 1581, otrzymał tytuł obywatela rzymskiego. W 1582 został prezydentem miasta Bordeaux. — Urząd ten trwał tylko dwa lata, lecz można było obranym bydź powtórnie: do czasów Montaigna dwa tylko zdarzyły się przykłady powtórnego obrania Montaigne był trzecim.

Skończywszy urzędowanie, powrócił do swego zamku i zupełnie zajął się naukami; lecz walka stronnictw zakłóciła jego spokojność. Ligiści zrabowali dom jego, a ich przeciwnicy prześladowali jego samego. Do tych klęsk przyłączyło się morowe powietrze, które w Guyennie wybuchło. W r. 1586. Montaigne uszedł przed niém do Paryża, a za powrotem do domu umarł 13 Września 1592. po ciężkiéj i bolesnéj chorobie, lecz ze spokojnością godną prawdziwego mędrca.

Skreśliwszy wiadomość o życiu Montain a, umieścimy uwagi nad jego dziełami, wyczerpane z pochwały tego filozofa, napisanéj przez pana Villemain, jednego z najznamienitszych teraźniejszych pisarzy francuzkich.

»We wszystkich wiekach, w których umysł ludzki doskonali się i postępuje, zjawiają się ludzie z wyższym geniuszem, którzy rozpościerają światło i daléj posuwają się niżeli ich współziomkowie. Rzadszy jeszcze widok przedstawia geniusz, któren nie nie jest winien wiekowi swemu, albo raczéj, który w brew wiekowi, samą potęgą myśli stawa sam przez się obok najcelniejszych pisarzy wykształconych wieków; takim jest Montaigne, głęboko myślący w epoce pedantyzmu, swietny i dowcipny pisarz w języku jeszcze nie ukształconym i grubym; piszący z pomocą własnego rozumu i starożytnych autorów: dzieło jego pozostaje i samo stanowi całą chwałę naukową Francyi w wieku XVIstym, a gdy po długim lat upływie, przychodzi wiek dobrego smaku i talentu, dzieło to postaje zawsze oryginalném i mimo licznych tworów geniuszu nie przestaje wzniecać uwielbienia. Nowy wiek nastaje tak sławny jak i poprzedzający, bardziéj wprawiony w sądzenie, trudniejszy w pochwałach; a w jego sądzie, pisma Montaigna nie straciły wartości. — Jakaż to jest owa cudowna zasługa, która przetrwała zmianę języka i obyczajów? Jest to naturalność i prawda, powab któren się nie może zestarzéć. Dzieło Montaigna, ma prosty tytuł *Zarysy* (Essais) traktuje on w niem o rozmaitych przedmiotach moralnych; zastanawia się nad człowiekiem, rozbiera jego cnoty i występki, zalety i wady.—Jest ona mówi P. Villemain, poufałém wyłożeniem uczuć i myśli; zdaje się czytelnikowi, że prowadzi zajmującą i żywą rozmowę, przez co znika tęsknota z którą zwykle czytamy dzieła moralności poświęcone. Autor przyznaje się do swoich słabości, aby nas przekonać o naszych, poprawia nas bez upokorzenia i nigdy nam nie sprzykrzy.

»Montaigne już w dojrzałym wieku zaczął pisać swoje zarysy; zebrał w nich to wszystko co widział, czuł, myślał, co odkrył sam w sobie i w innych, są one obszernym składem wspomnień i uwag, które się z nich zrodziły. Traktując jaki przedmiot, zaczyna od powiedzenia wszystkiego co wie, a na końcu własne zdanie powiada. Moralność Montaigna ukształci niezawodnie, dobrego obywatela i uczciwego człowieka. — Nie opiera się na wyrzeczeniu się siebie samego, lecz zą pierwszą zasadę naznacza życzliwość dla drugich, bez różnicy krajów, obyczajów i zdań religijnych. Naucza nas, jak mamy szano-



MONTAIGNE.

wać prawa którym jesteśmy podlegli, nie gardząc prawem i rządem innych narodów; ostrzega nas że nie posiadamy wyłącznego składu sprawiedliwości i prawdy. Nie jest bohatyrską, lecz nie jest także słabą: nie raz unosi naszą duszę, obrazami wzniosłych cnot, pogardą rzeczy znikomych, i zapałem do wielkich prawd; lecz wkrótce zwraca nas do prostoty pospolitego życia, przywiązuje do niéj i zdaje się że dla tego tylko wzniosła nas tak wysoko w szczytnych teoryach, ażeby tém łatwiéj zwróciła nas do wykonywania cnót i powinności praktycznego życia.

OBRAZY TOWARZYSTWA.

WŁADYSŁAW I JEGO KUZYNKA.

(Dalszy ciąg)

ROZDZIAŁ VI.

PROPOZYCYA.

Gdy już się rozjechali goście, rodzina państwa Pajtalskich pozostawszy sama, nie mogła dostatecznie wychwalić Władysława; oprócz bowiem wszelkich przysług wyrządzonych gospodarzowi domu, ciągle grał na fortepianie, z tak uprzejmą chęcią, iż matka i córka, były mu za to bardzo wdzięczne. Wniesiono ztąd, iż trzeba go prosić ażeby często bywał i zapraszać na każden wieczór tańcujący.

Pan Pajtalski, co raz większą mając ochotę grać rolę wielkiego pana, bywał w świecie; tam przyjmowano go z powodu jego dwudziestu pięciu tysięcy złotych dochodu, lecz nie zawsze napotykał Władysława, którenby prostował jego niezgrabność, i często nie wiedział co z sobą zrobić.

Nareście, na wielkim obiedzie u jednego z adwokatów, pan Pajtalski tyle głupstw popełnił, iż nos Fryderyka zaczerwieniał się jak wiśnia, od nieustannego drapania. Za powrotem do domu, pan poróżnił się ze służącym.

—Skoro tylko usta otworzę, albo ruszę się: rzekł pan Pajtalski do Fryderyka: natychmiast drapiesz się w nos; mieszam się przez to i sam nie wiem co robię.

—Bo nie należy wołać na służących: hej dajcie mi tam rosołu! ani też opierać się obiema łokciami na stole; rzekł Fryderyk. Kazałeś pan ażebym go ostrzegł ilekroć czynisz co nie stósownego; nie mo-

ja wina iż to się zdarza za każdym kro-kiem.

—Gdyby tam był pan Władysław, ułożył by to wszystko jak najzręczniej, i przez to byłby mi dodał śmiałości i zaufania w sobie... ty zaś mieszasz mię i wtedy zupełnie głowę tracę.

—Dalibóg, i mnie to nie bawi iż bez ustanku muszę pana ostrzegać; od czasu jak tu jestem, nos mój spuchł jak bania.

—To nie prawda!— Musisz mi pan dodadź pięćset złotych, albo się odprawię.

—Bierzesz tysiąc złotych i nic nie robisz tylko drapiesz się po nosie; sądzę iż to jest dosyć; nie powiększę ci zasług.—A więc porzucam służbę pana.

Pan Pajtalski nie żałował swego kamerdynera. Od czasu jak postrzegł że Władysław chwali to co Fryderyk gani, służący hrabiego wiele postradał w jego mniemaniu; lecz za to nie mógł obejśdź się bez Władysława i zapraszał go codziennie.

Po odejściu Fryderyka, pan Pajtalski rzekł sam do siebie. »Chociaż nabrałem bardzo dobrego tonu, czuję że w wielkim świecie nie kiedy nie umiem znaleźć się. Sam tylko pan Władysław trafi każden mój krok wystawić w jak najlepszém świetle, gdyby ten młodzieniec zawsze był z nami, byłbym zawsze rozumnym i dowcipnym i poczytanoby mię ze wszystkiém za człowieka najlepszego tonu. Jakim że sposobem przywiązać do nas Władysława? Dalibóg! żeniąc go z moją córką. Ten młodzieniec wyznał przedemną, że nieszczęśliwe spekulacye pozbawiły go majątku, lecz ma dobry ton i zna świat. Mam jedynaczkę córkę i wolę że pójdzie za słusznego człowieka którego uszczęśliwi, aniżeli za jakiego bogatego niezgrabiasza, któryby mi przypominał ocet i musztardę.

Pan Pajtalski powierzył swój zamiar żonie; aż podskoczyła z radości: mając bowiem zięcia grającego doskonale na fortepianie, spodziewała się iż codzień tańczyć będzie.

Zawołano potem pannę Praxedę. Jako posłuszna córka, ukłoniła się i odpowiedziała iż chętnie zgodzi się z wolą rodziców

Wypadło tylko uwiadomić Władysława. Pan Pajtalski nie wątpił iż Władysław jak najchętniej zaślubi jego córkę, i sam podjął się oznajmić mu co chce uczynić dla jego szczęścia.

Zaprosił Władysława na śniadanie do restauracyi, a przy deserze wziął go za rękę, mówiąc:

—Kochany przyjcielu! jesteś z szlachetnéj familii, wiem o tém; otrzymałeś jak najpiękniejsze wychowanie, każdy to widzi; masz dowcip, to mi jest na rękę, a więc chociaż nie posiadasz majątku, chcę uszczęśliwić ciebie. I dla tego oddaję ci rękę mojéj córki. Jest jedynaczką; mam dwadzieścia pięć tysięcy złotych dochodu, natychmiast oddam jéj połowę; żyć będziemy razem a ty będziesz prowadził dom cały.

Ta niespodziana propozycya tak dalece odurzyła Władysława, iż przez kilka chwil stał oniemiały, wahający się i nareście odpowiedział?

—Panie, wzrusza mię ta ofiara... lecz nie mogę żenić się.

—Nie możesz się żenić! czyli jużeś się ożenił?...— Nie panie.— W takim razie, nie widzę dla czego nie mógłbyś zaślubić mojéj córki?

—Panie!. żałuję bardzo.. iż..—»Nie zastanowiłeś się kochany przyjacielu... panna Praxeda Pajtalska... przepyszna partya!... —Właśnie dla tego. Ach! rozumiem.. to przez delikatność; chciałbyś bydź bogatym i nie bydź winien wszystkiego twojéj małżonce. Lecz powtarzam ci iż na to nie zważamy... Pieniądze! fe!... to tylko jacy Dochrapscy mają wzgląd na nie... Postawa szlachetna... Nawyknienie do pięknego tonu, to jest u mnie rzecz główna. Jesteś mi nieuchronnie potrzebnym... odprawiłem Fryderyka... chcę twojéj tylko rady słuchać. Od téj chwili uważaj się za należącego do naszéj familii. O! nie przyjmuję wymówek; zastanowisz się i zobaczysz że nie możesz odrzucić ręki mojéj córki.

Władysław pożegnał pana Pajtalskiego, a ta propozycya stała się ciągłym przedmiotem jego rozmyślań.

ROZDZIAŁ VII.

POŚWIĘCENIE SIĘ.

Przez ten czas, Konstancya poświęciwszy dla Władysława prawie cały swój majątek, pracowała razem z Pelagią nie skarząc się wcale; a jéj przyjaciołka dokuczała zawsze biednemu Dobroduskiemu.

Jednakże Konstancya płakała niekiedy, ale to było pośród ciszy nocnéj, gdy nikt nie mógł jéj ani widzieć, ani słyszeć, postrzegała bowiem, że odwiedziny jéj kuzyna były coraz krótsze, iż zamiast rozmawiania z nią poufale, po przyjaciesku, Władysław był oziębły, zamyślony, a czasem nawet nic nie mówił.

Z razu przypisywała tę zmianę zmartwieniu Władysława po stracie majątku, lecz w głębi jéj duszy, odzywała się ta myśl: »Gdyby mię kochał tak, jak ja go kocham, czyliżby myślał o saméj stracie pieniędzy?.. Czyliż niczém nie jestem dla niego? A skoro ja mu pozostałam, czyliż jeszcze nie może bydź szczęśliwym?

Pelagia nie śmiała mówić o swojem ślubném ubraniu; nawet i pan Dobroduski nie śmiał wzdychać głośno: lękał się bowiem, ażeby to nie było przykro Konstancyi, iż słyszy rozmawiających o miłości, gdy ten który ją ubostwiać powinien, jest dla niéj tak oziębłym. Poczciwy pan Oktawka, bez ustanku szukał zatrudnienia dla Władysława i zawsze coś wynalazł: lecz aby nie słuchać tych propozycyi Władysław ocdhodził zawsze przed jego powrotem z teatru.

Przez kilka dni, Władysław nie przychodził o zwyczajnéj godzinie; potem bytność jego co raz stała się krótszą, był bardziéj roztargnionym, bardziéj zajętym.

Nie zawodnie musi coś bydź twojemu kuzynowi, rzekła pewnego wieczora Pelagia do Konstancyi, usiądzie w kącie, wzdycha, ledwie słowo jedno powie. Ma zapewne jaki nowy projekt... chce zbogacić się, i żeniąc się z tobą zdziwić cię świetnemi podarunkami; zaręczam iż o tém bez ustanku rozmyśla.

Konstancya wstrząsała głową i nic nie odpowiedziała. Dobroduski przyszedł i rzekł do nich.

—Wiem teraz, dla czego pan Władysław tak jest zamyślony!... Spotkałem go dziś rano i długo rozmawialiśmy z sobą... Młodzi ludzie powierzają sobie nawzajem swe interesa.

—Zmiłuj się panie Dobroduski, przystąp do rzeczy.

—Pan Władysław mówił mi o familii państwa Pajtalskich u których bywa bardzo często... Są to ludzie bogaci, dawni kupcy, mają jedną tylko córkę, osobę dość przystojną, lecz która trochę upada na nogę.

—A więc? panie Dobroduski.

—Otoż Władysław rzekł do mnie: Nie zgadłbyś mój kochany Dobroduski, co mi ofiarował pan Pajtalski?

—Zapewne iżbym nie zgadł, odpowiedziałem; a najprzód nie mam talentu do zgadywania, i nie odgadłem ani jednéj szarady z Kurjera.

—Ach! panie Dobroduski nadużywasz naszéj cierpliwości: rzekła Pelagia.

—Przepraszam panię, lecz powtarzam słowo w słowo naszą rozmowę. Otóż, rzekł Władysław, pan Pajtalski ofiarował mi rękę córki swojéj.

—Córki! rzekła Konstancya blednąc.

—Zmyślasz, panie Dobroduski! zawołała Pelagia, pan Władysław nie mógł tego mówić.

—Przysięgam iż powiedziałem prawdę. Lecz nie martw się panno Konstancyo, twój kuzyn przydał: »Domyślasz się kochany Dobroduski, żem odmówił. Chociaż nie mam ani grosza, a panna Praxeda jest bardzo bogata, nie przyjmę jéj ręki, gdyż jestem z moją kuzynką połączony związkami przyjaźni, wdzięczności i obowiązku. Już się uważam za jéj męża. Nasze matki zaręczyły nas.

—O Boże! panno Konstancyo! Cóż to? zasłabłaś?

W rzeczy saméj, Konstancya pochyliła głowę na poręcz krzesła i prawie zemdlała. Pelagia trzeźwiła ją i rzekła po cichu do pana Dobroduskiego:

»Potrzebne były rzeczy powiadać o tém! O! jaki z ciebie gaduła. Zawsze tylko przynosisz złe wiadomości.

—Lecz panno Pelagio, nie są to żadne złe wiadomości i owszem pan Władysław nie myśl: wcale żenić się z inną.—Mniejsza o to, nie trzeba było powiadać tego Konstancyi.

Gdy Konstancya przyszła do zmysłów Dobroduski znowu zawołał. Mam honór zapewnić pannę, że jéj kuzyn rzekł do mnie. Gdyby mi nawet ofiarowano rękę panny z milionowym posagiem, nie przyjąłbym jéj... ponieważ nie mogę tego uczynić. Jestem już połączony z moją kuzynką i nie zdołam przestąpić mojéj powinności. Chociażby była hrabianką, xiężniczką, nie przyjąłbym jéj; uczciwy człowiek dotrzymuje raz danego słowa.

To dobrze, to dobrze, panie Dobroduski: rzekła Konstancya usiłując udawać spokojność. Dziękuję ci żeś mi o tém powiedział.

—To ci jest przyjemnie, panno Konstancyo, nie prawdaż?

—Tak jest, cieszę się że wiem o tém.

Biedna Konstancya nie rzekła ani słowa przez cały wieczor; daremnie Pelagia usiłowała rozweselić ją, a pan Dobroduski odzywał się czasami. »O! pan Władysław jest zacnym młodzieńcem. Nie przyjąłby milionów... uważa że jego ręka i słowo już należy do panny Konstancyi.

A Pelagia trącała Dobroduskiego, ażeby milczał.

Konstancya powróciwszy do swego pokoiku, mogła bez przeszkody oddać się boleści: nie łudziła się bowiem, czuła, że jeźli jéj kuzyn odrzuca korzystne partye, to dla tego iż mniema że już nie może sobą rozrządzać.

»Lecz nie z miłości dla mnie odrzuca rękę innéj; mówiła Konstancya; o nie! bo gdyby mię kochał, nie byłby smutnym i zamyślonym przy mnie. Żeniąc się ze mną wypełni tylko powinność, nic więcéj... i będzie nieszczęśliwym... dwakroć nieszczęśliwym, ponieważ mu przeszkodzę do osiągnięcia świetnego losu, któren mu ofiarowano. Lecz dla tego że mu raz uczyniłam przysługę, mamże być przeszkodą do

jego szczęścia?.. mamże wymagać aby przez wdzięczność poświęcił mi swoją wolność, swoją przyszłość?—Ach! tak bardzo kocham Władysława iż nie mogę pozbawić go tak korzystnego ożenienia. I cóż ztąd że potém umrę ze smutku, byleby tylko mój kuzyn był szczęśliwym?...

Lecz, jeśli mu powiem że jest wolnym... jeśli sama zachęcać go będę ażeby zaślubił tę pannę Praxedę, nie usłucha mię. O nie! znam Władysława, nie zechce mię zmartwić. O Boże! jakże zrobić ażeby rozumiał że jest panem swojéj ręki? Trzeba, tak jest, trzeba ażeby mniemał iż to ja sama już go nie kocham.

Przez całą noc płakała biedna Konstancya i rozmyślała jakim by sposobem wmówiła w swego kuzyna, że już go nie kocha, ażeby mógł tym samym ożenić się z inną.

Nad ranem ułożyła wreście co ma czynić. Skoro tylko się rozwidniło, napisała brulion listu, a potém poprosiła jednego ucznia, w tymże domu mieszkającego, ażeby go przepisał; i z sercem wzdętém od żalu, ledwie mogąc oddychać, poszła z tym listem do domu w którym mieszkał Władysław.

Biedna dziewczyna drżała i ledwie iśdź mogła, zatrzymywała się nie raz, czuła że ten krok stanowi szczęście jéj życia. Ma poświęcić przyszłość swoją, wszystkie złudzenia młodości; nic jéj nie pozostanie prócz łez i wspomnienia pięknego uczynku. W dwudziestym pierwszym roku życia, trzeba mieć wiele odwagi dla spełnienia takiéj ofiary. Ileż to ludzi żyje i umiera, nie pojmując takiego poświęcenia.

Jednakże czas upływa; Konstancya przezwycięża swoją słabość i oddaje list stróżowi domowemu, prosząc aby go wręczył Władysławowi. Wspomniała sobie tę chwilę, gdy wieczorem, już około północy, biegnąc z panem Dobroduskim, tegoż samego człowieka zapytała się o Władysława. Na to wspomnienie, łzy stanęły jéj w oczach, wówczas bowiem chciała ocalić życie i honor swego kuzyna i nie myślała iż kiedyś sama zechce zerwać ten związek.

Lecz jeszcze nie dopełniła ofiary; myśli że potrzebować będzie nie mało odwagi ażeby uskutecznić swój zamiar; zbiera więc siły i powraca do domu.

Władysław był w domu, dumał o swojém położeniu o miłości Konstancyi i propozycyi pana Pajtalskiego, gdy mu list oddano.

Spogląda na pismo, którego nie zna, i obojętnie list otwiera, nie spodziewając się ani złéj ani dobréj wiadomości. Na liście nie ma podpisu, lecz zapłonił się Władysław czytając te wyrazy; „Rozumiesz iż cię kocha twoja kuzynka, Konstancya. Mylisz się; oddawna już nie myśli o tobie, serce swoje oddała innemu. Jeżeli wątpisz o tém, bądź dziś nad wieczorem w ogrodzie Saskim, w bocznéj alei od strony cukierni Lesla, a znajdziesz tam twoją niestałą kuzynkę czekającą na twego szczęśliwego rywala. Uwiadamia cię o tém, ten którego twoje szczęście obchodzi."

„Konstancya kocha kogo innego, rzekł Władysław z gniewem, gniotąc list bez imienny. To nikczemna potwarz! jakiś nędznik ten list napisał... Konstancya, wzór cnoty, ona która mi okazała tak wielkie dowody przywiązania, Konstancya miałaby mię zwodzić, mnie który mam bydź jéj mężem?... Lecz bez imienny list... źli tylko ludzie piszą je; osoby które chcą nam uczynić przysługę, śmiało wyjawiają swoje nazwisko.

Jednakże, Władysław był niespokojnym wzruszonym; potwarz, chociażby najniedorzeczniejsza, zakłóci naszą spokojność. I, dziwny to skutek namiętności a zwłaszcza miłości własnéj w sercach mężczyzn, Władysław, który przed chwilą ozięble a nawet ze smutkiem myślał o ożenieniu się z Konstancyą, Władysław, któren chociaż pewien że ona go kocha, nie starał się odpłacać jéj wzajemnością, jest teraz zazdrośnym, i namiętnie przywiązanym do Konstancyi, gdy sobie pomyśli iż mogłaby kochać innego. Przechadza się po pokoju, odczytuje bilet i powtarza sobie jak mało cenić trzeba list bezimienny, lecz kiedy niekiedy mówi.

A przecież... dla czegóżby przesłano mi tę wiadomoś? ćKonstancya od niejakiego czasu nie wspomina mi ani o zamęściu ani o miłości... To prawda że i ja o tem nie wspominam, nie mam nic, nie mam ani stanu, ani widoków na przyszłość. Mogła się namyśleć... mogli jéj poradzić żeby zapomniała o mnie. Lecz Konstancya tak mię kochała... Nie to niepodobna... schadzka na dziś wieczór.... w alei Saskiego ogrodu... Konstancya nigdy tam nie bywa... jest to obmierzłe kłamstwo! Lecz mi powiedziano iż mogę przekonać się własnemi oczyma. Ach! ubliżałbym Konstancyi idąc tam; nie zastanę jéj... chcą żartować ze mnie...Nie, nie pójdę przekonywać się o prawdzie tego co mi piszą.

Tak mówiąc sam do siebie, Władysław uważał iż czas posuwa się bardzo leniwo. Często spoglądał na zegarek i niecierpliwie czekał na oznaczoną godzinę. Nie mógł jeść, a gdy siódma dochodziła, już szedł do Saskiego ogrodu, powtarzając iż tam iśdź nie powinien.

Upłynął kwadrans, Władysław nie postrzega żadnéj kobiety któraby podobna była do jego kuzynki; oddycha swobodniéj, mówiąc: »O Boże! jakże można wierzyć bezimiennym listom.

Lecz w tym postrzega osobę podobną do Konstancyi. Czeka, zatrzymuje się, okropny ciężar przygniata jego piersi. Już się zmierzchało, ta osoba zbliża się nieśmiałym krokiem, częstokroć spogląda za siebie, jak gdyby lękała się czyli za nią nie idą; wszystko to oznacza schadzkę. Władysław nie może oddychać, gdyż ta osoba przeszła koło niego, i mimo kapelusza kryjącego jéj rysy, poznał Konstancyą.

—To ona, rzekł, to ona! nie zwodzono mię... Ach! lecz nie... jeszcze nie mogę wierzyć, łudziły mię oczy moje... muszę z nią mówić.

Natychmiast biegnie za nią, bierze ją za rękę... ona ogląda się... Była to Konstancya, tak blada, tak drżąca, tak wzruszona na widok swego kuzyna, iż wszystko to utwierdziło go w mniemaniu że jest winną.

—Władysławie, tyżeś to... rzekła i chustką twarz zasłoniła.

—Tak jest, to ja! odpowiedział Władysław w najżywszém uniesieniu. Ja to którego zdradzasz, którego już nie kochasz! Przynajmniéj bądź szczerą; powiedz mi po co tu przychodzisz sama... nad wieczorem? I cóż? milczysz, nic nie możesz powiedzieć... jesteś zawstydzona... Było to więc prawdą Konstancyo... kochasz kogo innego i spodziewałaś się że go tu zastaniesz.

—Nie będę tego zaprzeczać: odpowiada Konstancya gasnącym głosem. Tak jest mój kuzynie... wiesz prawdę. Już cię nie kocham... od dawna chciałam ci to powiedzieć, lecz nie śmiałam... Przebacz mi.. zapomnij o mnie... Żegnam cię Władysławie... po cóż mamy widywać się z sobą?

Domawiając tych wyrazów, Konstancya oddala się z pośpiechem, gdyż łkania tłumiły jéj głos i gdyby zazdrość nie zaślepiła Władysława, byłby się zdziwił zapewne, że jego kuzynka płacze tak ciężko powiadając mu że go już nie kocha. Za zwyczaj, nie takim to sposobem, kobieta powraca nam wolność. Płaczą z kochankiem, lecz śmieją się przy tych, których kochać przestaną. Władysław jedną tylko rzecz zrozumiał i słyszał, to jest że Konstancya już go nie kocha i że oddawna chciała to wyznać przed nim. Głęboko uczuł tę ranę, gdyż pewny był serca Konstancyi, i może ta pewność, ta ufność w przywiązanie zasięgające lat dziecinnych, odrętwiła i prawie zgasiła w duszy jego, słodkie uczucia któremi tchnął dla swéj kuzynki. Zasypiamy pewni będąc szczęścia, ale czuwamy gdy mamy jaką o niego obawę.

Odurzony tym ciosem, Władysław pozostał w alei i dozwolił odejśdź Konstancyi, nie zatrzymując jéj wcale.

I po cóż bym ją zatrzymywał? pomyślał, smutnie patrząc w koło siebie; czyliż nie powiedziała mi że już nie potrzebujemy widzieć się z sobą?

Natłok myśli obarczył wtedy Władysława, w jednéj chwili przypomniał sobie całe postępowanie swoje, oziębłość i obojętność dla Konstancyi, ciągłe odwlekanie ślubu, gdy od dawna od niego tylko samego zależało zostać mężem swéj kuzynki, owe zamiary szczęścia, chwały, majątku, które doprowadziły do zupełnego upadku i których byłby nie czynił, gdyby był poprzestał na rzeczywistém szczęściu, zależącém od jego woli.

Przez moją winę postradałem serce Konstancyi, rzekł Władysław wzdychając; źle postępowałem, wiele mam sobie do wyrzucenia, lecz przecie gdyby mię kochała tak, jakem się tego spodziewał, byłaby mi przebaczyła to wszystko.

Gniew i zazdrość przejęły znowu jego duszę i zawołał. „Po cóż się mam smucić? I ja także zapomnę o niéj. Swietny los ofiarowano mi; teraz nic mi nie przeszkadza do jego przyjęcia... Na łonie uciech, których dostarczają bogactwa, zapomnę o mojéj niewdzięcznéj kuzynce.

Nazywał niewdzięczną tę, która wszystko poświęciła dla niego. Lecz zazdrość czyni ludzi niesprawiedliwemi, przytłumia i gasi wdzięczność; a wieleż to ludzi i tego nawet nie potrzebuje ażeby wyrzec się wdzięczności?

Władysław poszedł do pana Pajtalskiego i bez żadnego wstępu rzekł, skoro go tylko spostrzegł:

—Panie, zmieniłem zdanie... przyjmuję rękę córki pana; gdy zechcesz, będę twoim zięciem.

—Dalibóg, kochany przyjacielu, byłem pewny iż wszystko skończy się w ten sposób. Nie mogłeś odrzucać mojéj Praxedy która otrzymała doskonałe wychowanie i mieć będzie dwadzieścia pięć tysięcy złotych dochodu. Zasługujesz na wyrzuty, za to żeś mógł wahać się chociaż przez chwilę, lecz skoro jużeś skłonił, nie będę cię łajał... Byłaby to musztarda po obiedzie... Ach! cożem powiedział? Jest to bardzo gminne przysłowie. Chciałem powiedzieć... sam już nie wiem co... Uściskaj mię mój zięciu, uściskaj twoją teścinę i przyszłą małżonkę.

(*Dokończenie nastąpi*)



PIOTR TOMICKI, KANCLERZ I BISKUP KRAKOWSKI.

(Z wizerunków Preka.)

»Urodził się Piotr Tomicki w gnieździe rodzinnem, we wsi Tomicach, niedaleko Poznania, z Mikołaja Chorążego Poznańskiego i Anny z Szamotuł. Po śmierci ojca, wuj Jędrzej Szamotulski, wojewoda poznański, objąwszy nad synowcem opiekę, wysłał go najprzód do szkół poznańskich, później zawiózł go do Lipska, aby tam prócz innych nauk, nabył języka niemieckiego. Za powrotem z Lipska do Krakowa, oddał się Tomicki filozofii: jakoż w krótce w publicznej dyspucie złożył dowód niepospolitego w tej nauce postępu. Przedsięwziął puścić się do Włoch, dla poświęcenia się sztuce lekarskiej; lecz za radą wuja, zmienił postanowienie i jął się prawnictwa i wymowy. W Bononii tedy przez lat pięć ćwiczył się w naukach wyzwolonych pod Filipem Beroaldem; w prawie zaś mistrzem jego był uczony Hiszpan Antoni Burgo. Otrzymawszy wieniec doktora obojga prawa, udał się do Rzymu szukać sposobności użycia nabytych nauk. Lecz wnet powołany do kraju listami kardynała królewicza Fryderyka, zaszczycony archydyakonią Krakowską, bjął przy nim urząd kanclerza. Po trzech latach umarł kardynał Fryderyk, a Tomicki odstręczony bezrządem króla Alexandra, przeniósł nad dwór jego, swobodny pobyt w domu Lubrańskiego, biskupa poznańskiego, którego z nim czuła łączyła przyjaźń. Skoro zaś Zygmunt zasiadł na tronie po bracie, Tomicki wiedziony już to wewnętrznym jakimś pociągiem, już szacunkiem dla pięknych przymiotów tego pana, zbliżył się do niego: który znając jego głowę i serce, wezwał go, do ułatwienia ważniejszych czynności, do kancelaryi swojej; nadał mu urząd sekretarza, a zaszczycając szczególnejszem zaufaniem, częste i trudne powierzał mu poselstwa. W roku 1509 wyprawiony został z sejmu Piotrkowskiego do Juliusza II. do Rzymu, i do xiążąt pomorskich. Na Wołoszczyznie z Krzepskim, kaszt. Bełz., odbierał od Bogdana hospodara wołoskiego przysięgę na zatwierdzenie zawartej z nim ugody: a potém od Władysława, króla węgierskiego. Zygmunt nagradzając tak ważne usługi, obdarzył Tomickiego biskupstwem przemyskiem, a na sejmie roku 1515 oddał mu pieczęć mniejszą po Szydłowieckim, posuniętym na kanclerstwo. Roku 1520 otrzymał po Lubrańskim, biskupstwo Poznańskie, z tym jednak warunkiem, aby się od urzędu i królewskiego boku nie oddalał. W krótce też Konarski, biskup Krakows: folgując niemocy i wiekowi, złożył w ręce Tomickiego rządy swego biskup-

stwa, warując sobie połowę dochodów do śmierci, która gdy w lat dwa (roku 1523) nastąpiła, Tomicki zasiadł na stolicy biskupstwa Krak. z niemałą króla radością, że tym sposobem zatrzyma go przy sobie. Kiedy Jan Łaski, prymas żyć przestał, nikt nie był godniejszym nad Tomickiego onéj naczelnej dostojności; lecz gdy go król z nią spotykał, podziękował on za ten wzgląd pański, mówiąc: że przestaje na zaszczytach, które już od niego odebrał. Zatrzymał więc podkanclerstwo z biskupstwem Krakowskiém do zgonu, Drzewickiego na arcybiskupstwo Gnieźnieńskie zaleciwszy; i gdy osierociałe po śmierci tegoż, znowu mu dawać chciano, wolał je wstawieniem się swojém dla siostrzeńca swego, Andrzeja Krzyckiego, naówczas biskupa Płockiego, wyjednać.

Kochał go i szanował Zygmunt stary i polegał na nim zupełnie, a głos jego był oraz wyrocznią dla całego senatu, że kiedy słabość nie dozwoliła zasiąść podkanclerzemu w radzie, przez wysłańców do domu zasięgano zdania jego. Bawiąc z królem w Litwie, gdzie panów koronnych do obrad nieprzypuszczano, on jeden nie tylko miał tam wstęp wolny, a nawet bywał często zapraszany od panów Litewskich. Tak wielka była wziętość i znaczenie Tomickiego.

Umiał Tomicki używać bogatych dochodów na wielorakie szlachetne cele, tak trafnie, że się pospolicie dziwiono, jak mu, przy téj pańskiej wspaniałości, z jaką się wszędzie, a osobliwie w przyjmowaniu i podejmowaniu posłów i innych cudzoziemców pokazywał, i przy jego hojnéj szczodrocie, mogło starczyć na rozliczne wydatki. Obracał on dostatki swe na pomnożenie czci bożéj, na potrzeby kraju, na rozkrzewienie nauk i wsparcie ubóstwa, dla których, w zimę na sam przyodziewek do 300 czerwonych zł: wydawał. Stawiał on kościoły, zdobił i opatrywał hojnie; przysparzał dobra kościelne przez nowe nabycia, upiększał je wspaniałemi dworami, budował i odnawiał w nich zamki obronne. W roku 1526, kiedy Turcy i Tatarzy naiechali na kraje ruskie, biskup chcąc dobrym przykładem zagrzać, stukonną chorągiew własnym kosztem wystawił, i ze wszystkich dóbr dziesiątego z poddanych swoich na wyprawę wysłał.

Dla nauk Tomicki był prawdziwym pierwszym mecenasem. Zaprawiony na wzorach pisarzów starożytności, on to upowszechniając ich znajomość, starał się naprawić zepsowany smak w ówczesnéj literaturze naszéj. Zwabiał więc biegłych mistrzów do Krakowa. Z jego polecenia Jerzy Liban obznajmiał młodzież z mową i dziełami Greków, przez niego wezwani Leonard Dawid i Jan Kampens, uczyli języka hebrajskiego. Najuczeńsi wtenczas w Europie mężowie, zostawali z Tomickim w poufałej przyjaźni. Erazm Rotterdamczyk, w dowód téj, przypisał mu poprawne swe wydanie dzieł Seneki: w tych liczbie byli: Cochlaeus, Sichardus, Buonamico, Jan arcybiskup Upsalski. Dom Tomickiego, któremu wielu z młodzieży winno było swe wychowanie, był oraz szkołą najpierwszych wieku owego mężów. Przy nim otworzył sobie w obowiązku sekretarza wiekopomny Hozyusz, pole przyszłego znaczenia; przy jego boku sposobili się: Krzycki, Maciejewski, Padniewski, Myszkowski, Dantyszek. Nie zostawił on wprawdzie żadnego własnego dzieła; jaśnieją jednak w listach jego ślady wysokiego talentu. Dla czystéj łaciny i gładkiego stylu, któremi się zalecały pisma wychodzące z kancellaryi jego, zwano go powszechnie ojcem i wzorem kanclerzów.

Miłujący prawdę i sprawiedliwość, przy dostatkach i okazałéj dostojeństwa powadze, był Tomicki wzorem umiarkowania; pracowitość niezmordowana, nie odstąpiła go do zgonu. Zapadłszy na zdrowiu, oddalił się za poradą lekarzy do Kielc i Borzęcina, zkąd przez Zygmunta na wesele królowéj Jadwigi wezwany, gdy mimo niemocy do Krakowa śpieszy, wzmogła się słabość, a z niéj wpadłszy w puchlinę, żyć przestał 29. Października 1535, wieku swego 71 roku. Starożytny obraz Tomickiego, znajduje się na krużgankach OO. Franciszkanów w Krakowie.

PIELGRZYMKI W WIEKACH ŚREDNICH.

W średnich wiekach, największa liczba pielgrzymów udawała się do miast Jeruzalem, Rzymu, Loretu i Kompostelli w Hiszpanii. Każden kościół posiadający święte relikwie był celem pielgrzymki mniéj lub więcéj wsławionéj. Dwie pielgrzymki do miejsca niezbyt odległego, starczyły za jednę dalszą. Kto nie mógł sam odbywać podróży, wysyłał ubogich na swój koszt i powszechnie mniemano, że jeżli za życia nie wypełniono tym lub owym sposobem tak pobożnéj powinności, dusza musiała odbywać ją po śmierci.

Sen, widzenie, ślub, pokuta, były zwyczajnym powodem pielgrzymek.

Przed wyruszeniem w podróż, pielgrzym wyznawał wszystkie swoje grzechy, klęka

przed ołtarzem, ubrany w strój pielgrzymi i prosił o poświęcenie swojéj laski i sakwy.

W Normandyi odprowadzano ich w processyonalnie z kościoła na drogę. W wielu krajach, gdy jeszcze rzadko zdarzały się takie pielgrzymki, wierni wracający z Palestyny, dawali xiędzu ułomki palmy, który je zatykał na ołtarzu. Ubiór pielgrzyma składał się w ogólności z długiéj i obcisłéj szaty, ze skórzanego pasa, z rożańca, z kapelusza z szerokiemi skrzydłami, ze skórzannéj sakwy i kija — Karol W. nosił złocone sakwy podczas swojéj pielgrzymki do Rzymu.

Laska pielgrzymia, był to długi kij z sękiem we środku. Mylnie mniemano że na jego wierzchu był krzyż. Czasem kij ten był wydrążony i tworzył pewien rodzaj prostego narzędzia muzycznego, na którym przygrywano spiewając święte pieśni. Bogatym pielgrzymom lub gromadom pielgrzymów częstokroć towarzyszyli muzykanci.—Ubranie zmieniało się z resztą, stósownie do miejsca dokąd odprawiano pielgrzymkę. I tak, pielgrzymi którzy byli w Palestynie, mieli kij zrobiony z gałęzi palmowéj; pielgrzymi wracający z Rzymu mieli na płaszczu wyszyte dwa duże klucze; pielgrzymi z Kompostelli przyczepiali muszlę do kapelusza: gdyż mylném jest to mniemanie, że muszla była wspolném godłem wszystkim pielgrzymom.

Papież Alexander III, Grzegorz IX i Klemens X. zabronili przedawać muszli pielgrzymskich gdzie indziéj nie zaś w San Jago. Muszla w herbie, świadczyła, że jeden z przodków odbył pielgrzymkę do Kompostelli.

Od czwartego wieku, upowszechnił się zwyczaj odbywania pielgrzymki do Ziemi Swiętéj. Droga do Azyi lądem, długo zamknięta była przez bałwochwalczych Węgrów. Pielgrzymi dążyli wtedy wszyscy do Rzymu i do Loretu. Wielkie Jubileusze zwłaszcza, ściągały mnóstwo chrześcian ze wszystkich krajów do stolicy Papieżów.—Nieraz, przeszło 200,000 wiernych odwiedzało kościół Loretański i odbywało processyą około domku Najświętszéj Panny Maryi.

W piętnastym wieku, pielgrzymka do Śgo Jakóba z Kompostelli, patrona Hiszpanii, posiadała największą wziętość. Karol W: ufundował biskupstwo w Kompostelli, później zaś Ferdynand i Izabella założyli tam szpital dla pielgrzymów, a biskupstwo wynieśli na godność arcybiskupstwa.

Po nawróceniu Węgrów, pielgrzymki do Ziemi Świętéj wznowiły się z gorliwością co raz bardziéj wzrastającą. W jedenastym wieku, lud prosty, szlachta, damy i monarchowie. przedsiębrali tę długą i ciężką podróż. Częstokroć, wycieńczeni trudami, bez sposobu wyżywienia się, prześladowani od machometanów w których mocy było Jeruzalem, pielgrzymi zostawali w jak najsmutniejszém położeniu. Wiadomo że ich narzekania za powrotem do Europy i wymowny głos Piotra pustelnika, były powodem krucyat.

Nie można zaprzeczyć wpływu pielgrzymek na cywilizacyą ludów. W czasach gdy nie było jeszcze związków handlowych, gdy podróże, powolne i trudne, narażały na wielkie niebezpieczeństwa, sama tylko silna i gorąca wiara, skłonić zdołała do zwalczenia tylu przeszkód i do podróżowania do miejsc uświęconych łaską i miłosierdziem bożém.

Ileż to przesądów i niezgód między ludami, zmniejszyło się i rozproszyło, przez połączenie tylu różnorodnych indywiduów, ożywionych jednémże religijném uczuciem! Ileżto uprzedzeń względem nałogów, zwyczajów i charakterów, ustać musiało za pośrednictwem tych dalekich odwiedzin, między chrześcianami częstokroć nieprzyjaznemi! Lecz nadewszystko, ileż to wiadomości rozszerzyło się daleko spieszniéj przez opowiadania pielgrzymów, którzy po drodze i za powrotem głosili to wszystko co uderzyło ich umysł, rozjaśniło ich wyobrażenia! Ktożby zdołał ocenić to wszystko, co za pośrednictem pielgrzymów dostało się do Europy, z cywilizacyi Wschodu! Chrześcianie z krain zachodnich, którzy byli w Konstantynopolu, w Grecyi i Arabii, nie ustawali w opowiadaniu cudów, które tam widzieli i słyszeli. Wielkie wspomnienia cywilizacyi Greków, zamiłowanie w poezyi i wymowie, upodobanie w architekturze i rzeźbie, kosztowne rękopisma i delikatne malowania Carogrodu, umiejętność Arabów i jéj skarby nagromadzone podaniami, dostały się najprzód na Zachód za pośrednictwem pielgrzymów. Szli oddać cześć Bogu, w miejscach świętych, a przynieśli sztuki i nauki, wzbudzające cześć i uszanowanie dla potęgi boskiéj. Taka to jest prawda, że wszystko co się czyni w imieniu wielkiego religijnego pomysłu, jest wielkiém i płodném. Ludzie pojedynczy, po większéj części żebracy, na pół obnażeni, biednym kijem podpierając kroki swoje, tyle zrobili przez kilkanaście wieków dla postępu rodu ludzkiego, ile Rzym zwycięzki zdołał zrobić przez swoje krwawe wojny i tryumfy.



MUSZLA PIELGRZYMIA.

* * * * *

WYJĄTKI Z PODRÓŻY PO SYBERYI.

(Dokończenie)

Dwa są główne wiatry działające na powierzchnią Bajkału, jeden jak mówią łamiący jego lody, drugi wzmacniający je, często więc w czasie trwania pierwszego, pęka lód przez całą długość jeziora i tworzy znacznej szerokości rozpadlinę; podróżny powierza się wtedy jedynie roztropności i śmiałości powożącego, oraz bystrości koni, jednym ich skokiem tę przeszkodę przebywając. Wiatr na nieszczęście nasze był mocny, mroźny. Choć okryty ciepłém futrem w saniach jak najstaranniej opatrzonych, zdawało się jak gdybym w zimnéj moczony był wodzie. W niewielkiém od brzegu oddaleniu, widać skały granitowe wznoszące się po nad jeziorem, u spodu których, *Foki* czyli tak zwane *Cielęta bajkalskie* (*a*) w miejscach nie zamarz-

(*a*) Cielęta wodne rozmnażają się w Bajkale w wielkiéj obfitości, samica rodzi po jedném i karmi je piersiami. Buryaty zabijają cielęta z brzegów strzałami. Stare Foki w czasie prześladowania swego, ryczą, młode zaś wydają głos podobny do ludzkiego oh! Są bojaźliwe, ostróżne, szybkie. Zasypiają mocno, nagle przebudzone drętwieją ze strachu, przyszedłszy do siebie uciekają plując przed sobą, aby śliną ugładzić drogę. Wychodzą na ląd i za pomocą swych pletw dostają się niekiedy na dość znaczne wysokości skały, są koloru białawego z cętkami i zupełnie podobne do tych, jakie poławiają około Archangielska.

łych, wychodziły oddychać świeżem powietrzem opierając się pletwami o brzegi lodu.

Lód na jeziorze, od jednostajnego zamarznięcia był gładki jak szkło, a suchy śnieg pędzony wiatrem, toczył się tumanami po jego powierzchni, dając obraz pustyni piaszczystej. Biada w podobnym czasie podróżnemu lub myśliwemu, przebywającemu pieszo te ślizgawice! Niesiony gwałtowną zawieruchą po gołoledzi, z wielką trudnością dostaje się do brzegów jeziora. Dla tego, mieszkańcy tych okolic przechodząc lody Bajkału, zaopatrują się w topory, które utkwione w lodzie, w podobnych zdarzeniach, trzymającemu się trzonka, służą za zbawienną kotwicę.

Droga nasza wysadzona była ściętemi gałązkami sosniny umocowanemi w lodzie; trzy konie buriackie założone do sani naszych, biegły prędkim i równym kłusem, skry sypały się z pod kopyt, a ostra podkowa śladu nawet nie zostawiała na gołoledzi Bajkału; brzeg przeciwny coraz się zbliżał i tak był wyraźny, że doskonale rozeznać można było wioskę, klasztor, a za niemi wysokie góry i ciemne lasy. Zniecierpliwiony długą i jednostajną podróżą, chciałem dla rozgrzania się pieszo przebydź tę małą odległość, ale było to łudzące pokazywanie się przedmiotów bardzo dalekich, powożący bowiem rzekł z uśmiechem: »Jeszcze do brzegu mamy pietnaście »werstw a ten wiatr, mało co dobrego »wróży,» w istocie też, słowa jego stały się przepowiednią; nie ujechaliśmy bowiem i sto kroków, kiedy rozległ się huk trwający kilka sekund, a tak mocny, jak wystrzał licznej bateryi i ujrzeliśmy przed sobą rozpadlinę na kilka stóp szeroką, ciągnącą się przez całą długość jeziora; zdawało się że grób otworzył się przed nami, ale oswojony z tem zjawiskiem woźnica, zatrzymał konie opodal, wziął ów łom żelazny który wcześnie przysposobił, postaczał gdzie mógł znaleźć kawały lodu i sposobem zwykle tu używanym, spuściwszy się na rzutkość koni, zamierzył rozpadlinę przebyć; siadł w sanie, przeżegnał się, puścił zaprzęg z początku równym kłusem, lecz zbliżając się do rozpadliny, powstał nagle, krzyknął, machnął kańczukiem jakby czarodziejską laską po nad grzbietami koni, które jak iskrą elektryczną rażone, puściły się pędem a oparłszy razem tylne nogi o krawędź rozpadliny, przeskoczyły wraz z saniami na drugą stronę. Przyznać należy, że z zamkniętemi oczami wstrzymałem prawie oddech i nie prędzej się obejrzałem, aż konie zostawiwszy daleko za sobą tę niebezpieczną przeprawę, znowu równym kłusem iść zaczęły.

Bajkał w języku Buriackim, oznacza kotlinę od ognia i w samej rzeczy, przypatrując się tutejszej okolicy, przekonać się można, że tu są ślady dawnego trzęsienia ziemi: widać ostygłe wulkany, bryły granitu i skał porozrywanych otaczające jezioro, góry odwiecznym okryte śniegiem, a pośrodku nich, jakby ogromny kocioł, Bajkał rozciągający się na tysiąc werstw wzdłuż i półtorasta w największej szerokości, dostatecznie o powstaniu jego przekonywają. Dno tego świętego morza czczonego od Buriatów, nader jest nierówne: w jednem miejscu głębia niezmierzona, spuszczony bowiem pion w pięciuset arszynach nie zawsze znajduje oparcie, w innem znów miejscu bród, gdzie żegluga ustaje; są to podwodne wzgórza, a w czystem jego słodkiem płynie tu i owdzie widać zapadłe lasy, z których liczne wydobywają skamieniałości; pokazują także miejscowi żeglarze źródła gorące i żydowskiej smoły. Około dwóchset większych i mniejszych rzek, niesie daniny świętemu morzu, z tych znaczniejsze są: *Sielenga*, *Barguzin*, *i Górna Angara.* Jedna tylko właściwa Angara wypływa z Bajkału. Za pomocą rzek połączonych z tem jeziorem, łatwoby można utworzyć kommunikacyją od Kiachty przez całą długość Syberyi.

Bajkał dostarcza w obfitości ryb dla tutejszych mieszkańców, w miesiącach bowiem Sierpniu i Wrześniu, poławiają tu do dziesięciu milionów sztuk różnego gatunku *Chajruzów*, *Tajmeni*, *Linów*, *Miętusów*, *Szczupaków*, *Okuni*, *i Sig. Jesiotrów* zaś i *Sterletów* do tysiąca pudów. *Omule*, podobny gatunek ryb do śledzi, miljonami się poławiają, i nie tylko tu lecz i w rzekach wpadających do Bajkału, obficie się znajdują. Tunguzy i Buriaty jedzą je surowe.

Z pomiędzy gór otaczających Bajkał, najwznioślejszą jest Chamar-Daban *Grzbieto-nos.*

Na obszernej wodzie, albo raczej morzu, liczne znajdują się wyspy; z tych najznaczniejszą jest *Olchon.* Długości ma około siedmdziesięciu a szerokości przeszło dwanaście werstw; na gruncie jej piaszczystym rosną bujne sosny, jodły, modrzewy i brzozy. Wielkie wiatry panujące zimą, zmiatają śniegi z miejsc piaszczystych wyspy. Dzikie Buriaty, trudniąc się paszeniem bydła, mieszkają na *Olchonie*, którego brzegi otoczone stromemi skałami, długo niedostępnemi były dla obcych, dopiero w roku 1643 odważny Pięćdziesię-

tnik kozacki *Kurbat Iwanów* z oddziałem z siedmdziesięciu pięciu ludzi złożonym, puścił się na Bajkał i pokonał wyspiarzy. Lecz śmiałość zwycięzcy w tém miejscu, mniéj była szczęśliwą w upokorzeniu Tunguzów przy rzece Górnéj-Angarze, zmuszonym bowiem był Iwanów schronić się z znaczną stratą na wyspę Górno Lenską. Przy północnym cyplu Olchona, wznosi się Szamański kamień, któremu wyspiarze oddają pokłony i ofiary; zdaje się że tylko sama dzikość miejsca, mogła natchnąć nie oświecone umysły, do wzniesienia tu przybytku swemu bóstwu. Na wierzchołku skały widać szczątki rozrzuconéj świątyni, wyspiarze utrzymują iż w tém miejscu stoi żelazny trojnóg a na nim kocioł Czyngis-Hana w którym gotuje się głowa końska (a); dziś na téj skale wznosi się godło wiary Chrystusa, krzyż Pański. Bałwochwalni Buriaci znoszą do Szamańskiego kamienia ofiary, jako to: monetę srebrną lub miedzianą, futra soboli, lisów i inne. Gaj sosnowy w pobliskości téj *Kumyrni* czyli bałwochwalni w języku buriackim, uważany jest za święty i nikt nie śmie tknąć siekierą żadnego drzewa, ani zabijać w obwodzie jego znajdujących się tu łosi, lisów i mnóstwa dzikich kaczek, które w nich żerują a może przed wiatrem się chronią. Tu także ważniejsze przysięgi wyspiarze wykonywali. W małéj odległości od tego świętego Kamienia, widać rozwaliny od niepamiętnych czasów zniszczonéj warowni, mieszkańcy opowiadają, że to było schronienie wielkiego w świecie człowieka. Miałżeby to bydź Czyngis-han!...

Jadąc daléj, stanęliśmy nakoniec w drugiéj stacyi za Bajkałem, w klasztornéj wsi zwanéj *Poselską* (Посольское) leżącéj nad rzeką *Sielęgą*; znając już to miejsce z historyi, zwiedziłem w czasie przeprzęgu koni, groby posłów Rossyjskich, którzy padli ofiarą zdrady Buriatów i od których to miejsce nazwisko wzięło.

(a) Wspomina o tém Pan Martoz.

OBRAZY TOWARZYSTWA.

WŁADYSŁAW I JEGO KUZYNKA.

(*Dalszy ciąg*)

Władysław dozwolił aby go zaprowadzono do jego przyszłéj, lecz ściskając ją wzdychał mocno i myślał o swojéj kuzynce. Wspomnienie Konstancyi nie odstępuje go ani chwilę; jest jakoby wyryte w głębi jego duszy; wszędzie go ściga, daremnie usiłuje oddalić je, rozerwać się; zawsze widzi swoją kuzynkę, tak piękną, tak kochającą; wyobraża sobie tę chwilę kiedy jego matka połączyła ich, mówiąc... »Oto jest twoja narzeczona!« Widzi Konstancyą jak klękając przed nim wstrzymała jego rękę, w chwili,gdy uniesiony rozpaczą chciał sobie życie odebrać.

»O Boże! jakiż skarb postradałem, mówił do siebie: ledwie zwracałem nań uwagę gdym był pewien że go posiadam.

Lecz mimo tych wszystkich uwag, panna Praxeda Pajtalska, została za dwa tygodnie żoną Władysława C....

ROZDZIAŁ VIII.

ZAMĘŹCIE.

Władysław zaprzestał bywać u pana Oktawki. Pelagia i wuj jéj dziwili się temu; nie rozumieli postępowania Władysława; gdy go Pelagia oskarżała, gdy mówiła co myśli o jego obojętności, o niewdzięcznem postępowaniu względem Konstancyi, ona go jeszcze broniła.

Chociaż bardzo cierpiąca, bardzo zmieniona od tego wieczora gdy po raz ostatni widziała Władysława, Konstancya taiła boleść swoją, usiłowała zamknąć w głębi duszy swój smutek i nigdy nie wspominała nazwiska kuzyna. Jeźli oskarżała go Pelagia: co się zdarzało prawie każdego wieczora: Konstancya odpowiadała spokojnie. »Jeźli mój kuzyn nie przychodzi do nas, to zapewne dla tego, że jego zatrudnienia... albo zabawy, zatrzymują go gdzie indziéj. Dla czegoż ma nudzić się przy nas, kiedy w świecie znajdzie tysięce rozrywek?

—Nudzić się przy nas!... Czyliż twój kuzyn powinien nudzić się przy tobie... przy tobie któréj wszystko winien... swój honor, swój byt... przy tobie tak dobréj dla niego... przy tobie jego narzeczonéj? W rzeczy saméj, Konstancyo, nie pojmuję jak możesz tak spokojnie znosić niegodne zapomnienie twego kuzyna. Na twojém miejscu, napisałabym do niego. »Mości panie, jesteś potworem, człowiekiem niegodnie postępującym.

—Ach! Pelagio, czy mniemasz, że takim sposobem wzbudzimy stygnące uczucia w kochanku?

—Nie, pomruknął pan Dobroduski przewracając karty xiążki; nie trzeba pisać takich rzeczy... jest to bardzo nie przyzwoicie.

— Panie Dobroduski, nie pytam się o zdanie twoje. Powtarzam iż Władysław jest niewdzięcznikiem i niegodnie postępuje ze swoją kuzynką.

—Może go nie sprawiedliwie oskarżasz, kochana Pelagio; nie wiesz.... nie możesz wiedzieć jakie powody wpływają na jego postępowanie. Mój kuzyn jest wolnym; raz jeden uczyniłam mu przysługę; bardzo byłoby mi przykro gdyby przez to uważał się za niewolnika, związanego obowiązkiem wdzięczności. Nasi rodzice chcieli zaślubić nas to prawda, lecz straciliśmy ich, a od tego czasu tyle zdarzeń zaszło... Sądzę, iż powinnam uważać jako marzenia te układy naszéj młodości i zapewne Władysław myśli toż samo.

—To co innego! jeżli mniemasz, że twój kuzyn dobrze robi iż nie bywa u ciebie i nawet nie spyta się czy żyjesz, w takim razie, nie mam nic do powiedzenia. - i nie słusznie go oskarżałam.

Jakoż Pelagia przez niejaki czas nie wspominała o Władysławie, ale w głębi duszy pomnażał się jéj gniew, jéj niecierpliwość: gdyż przekonana była że Konstancya tai swoje zmartwienie, lecz z téj właśnie przyczyny tak jest smutna, tak zamyślona, a jéj twarz wprzódy czerstwa i pięknym rumieńcem pokryta, schudła i okropną pokryła się bladością.

Pelagia chciała koniecznie wiedzieć co się stało z Władysławem i kilkakrotnie mówiła tajemnie do pana Dobroduskiego, »Staraj dowiedzieć się co robi, gdzie jest; pójdź do jego pomieszkania i powiedz mi co się dowiesz.

Dobroduski usłuchał rozkazu panny Pelagii; z początku nie dowiedział się o niczem, prócz tego tylko, że Władysław opuścił swoje dotychczasowe pomieszkanie. Lecz pewnego wieczora, gdy obie panny siedziały nad robotką przy panu Oktawce, któren tego dnia nie grał w teatrze, Dobroduski przyszedł z miną niezmiernie zwarzoną, tak iż mu oczy prawie na wierzch wylazły, wzruszenie jego tak było widoczne, iż dobry pan Oktawka któren za zwyczaj na nic nie zważał, odezwał się:

—Mój kochany przyjacielu, czyliż zasłabłeś idąc do nas?

—Nie panie, nie... O! wolałbym zasłabnąć... wolałbym sam nie wiem co.

—Czyliż postradałaś twoje miejsce? rzekła Pelagia.

—Nie, panno Pelagio i owszem, w krótce dostanę wyższą pensyą. Moi przełożeni są bardzo kontenci ze mnie.

—A więc dla czego tak jesteś zmieszany? rzekła Pelagia, nie uważając że Dobroduski mruga na nią gdy Konstancya tego nie widzi.

—Ach! gdyżem się dowiedział!... to rzecz okropna!... Po jego ostatniéj rozmowie nigdybym się nie spodziewał iż popełni czyn tak niegodny... Z resztą... Panna Konstancya będzie musiała w końcu dowiedzieć się o tém.

—Ja? rzekła Konstancya, spoglądając na Dobroduskiego; a Pelagia domyślając się o co idzie, czyniła znaki Dobroduskiemu ażeby milczał. Lecz on był rozjątrzony; już go nie podobna było powściągnąć; przechadzał się po pokoju i uderzał pięścią we wszystkie sprzęty, powtarzając.

—Ach! to rzecz okropna! postępowanie niegodne słusznego człowieka... Jeźli zaciągniemy obowiązki, powinniśmy je wypełniać... Nie należy żartować z miłości. W moich oczach nic nie jest szacowniejszego i dla tego powiadają że jestem głupim; ale mniejsza o to, wolę bydź głupim, a czułym i uczciwym człowiekiem!

—Mój kochany przyjacielu rzekł pan Oktawka, są piękne rzeczy w tém co nam powiadasz, lecz to nas nie objaśnia, a Konstancya podobnie jak my, niecierpliwi się i chciałaby wiedzieć o co rzecz idzie.

—Otóż.. panie Oktawko... otóż.. dowiedziałem się dziś wieczorem, że kuzyn panny... ożenił się z panną Praxedą Pajtalską...

—Ożenił! zawołali razem wuj i siostrzenica.

Konstancya nic nie rzekła i tylko spuściła głowę na piersi.

—To bydź nie może panie Dobroduski: rzekła Pelagia; ktoś zażartował z ciebie.

—Nie panno Pelagio, nie żartowano sobie ze mnie; to jest aż nazbyt wielka prawda. Gdy mi to powiedziano, chcąc się o tém przekonać, poszedłem dowiedzieć się... do domu gdzie teraz mieszka pan Władysław... ze swoim teściem. W rzeczy saméj, już od miesiąca jest mężem panny Pajtalskiéj.

—Ach! lecz to jest najniegodziwsze postępowanie! rzecze Pelagia. Konstancyo! opuścił cię!... I cóż! nic jeszcze nie mówisz, nie przeklinasz go? Ach! jesteś zbyt dobra, aż za nadto dobra!... Mężczyzni!... kochajmyż ich!...Ach!...ale ja nigdy nie rozstanę się z tobą, nie opuszczę cię, będę cię pocieszała, nie pójdę za mąż, ażeby nie rozłączyć się z tobą.

To mówiąc, Pelagia całowała Konstancyą, płakała, tuliła ją w swoich objęciach; a Konstancya przestawszy wreście wstrzymywać się od łez, oparła się na ramieniu przyjaciółki i oddała się boleści swojéj: bo chociaż sama przygotowała ten wypadek, nie miała przecież tyle siły, ażeby spokojnie znieść mogła wiadomość, że ofiara już się spełniła i że jéj kuzyn na zawsze jest dla niéj straconym.

Pan Oktawka nic nie mówił, lecz mocno był wzruszony. Dobroduski płakał i ocierając oczy, mruczał: »Dla tego że je-

den mężczyzna źle postąpił, nie należy wszystkich nienawidzieć hurtem... A przy tém przysięga iż nigdy nie pójdzie za mąż!... Jak to pomnaża moją nadzieję!...

I teraz jeszcze Konstancya musiała pocieszać wszystkich; przezwyciężyła boleść i z uległością losowi swemu, rzekła.

Po cóż tak bardzo litujecie się nademną? Ach! zapewniam was że już oddawna spodziewałam się tego zdarzenia. Jedno tylko życzenie miałam zawsze... ażeby mój kuzyn był szczęśliwym i spodziewam się że nim będzie z osobą którą zaślubił. Przy mnie byłby może doznawał żalu i nudów. Byłby żył w niedostatku... Czyliż go mogę obwiniać, że wolał ożenić się z majętną osobą? O! nie, przysięgam, iż mu tego nie mam za złe, ja co nigdy nie byłam dumną i posiadam prawdziwych przyjaciół. Lecz proszę was o jedną łaskę, niechay nigdy nie będzie mowy o moim kuzynie.. Zapewne już go nie ujrzymy. Będę usiłowała żeby go zapomnieć; przeszłość niczém będzie dla mnie.

Przyrzeczono Konstancyi iż zastosują się do jéj woli; każdy uwielbiał rezygnacyą i odwagę młodéj dziewczyny, lecz nie podzielano jéj pobłażania dla Władysława. Uczciwy pan Oktawka gnił go, Dobroduski nim pogardzał, przeklinała go Pelagia.

Władysław ożenił się i żył pośród rodziny Pajtalskich. W pierwszych dniach po ślubie, odurzony jeszcze tém wszystkiem co go spotkało, i nowym związkiem który zawarł, mało był zważał na wszystko co go otacza, lecz gdy się uspokoiło wzruszenie, Władysław zaczął rozmyślać i przypatrywać się osobom z któremi żyć musi.

Roztrząsanie to musiał zacząć od swojéj żony. Praxeda była dosyć przystojna, lecz należała do rzędu tych osób których fizyonomia nic nie wyraża, albo raczéj które nie mają żadnéj fizyonomii. Z jéj kosztownéj edukacyi nic jéj w głowie nie pozostało i dla tego też jéj rozmowa była niezmiernie ograniczona. Z początku, Władysław rozumiał że milczenie żony albo też jéj niestósowne odpowiedzi, są skutkiem jéj bojaźliwości; lecz po sześciu tygodniach małżeństwa, można przecież ośmielić się do pogadania z mężem.

Pewnego dnia, Władysław chciał zasięgnąć jéj zdania co mają zrobić ze swoim majątkiem.

—Kochana żono, rzekł do niéj, twój ojciec oddał mi twój posag, wynoszący przeszło 250,000. Zł. Jak ci się zdaje, czyliż mamy poprzestać na procencie od téj summy, czyli też mam starać się o powiększenie majątku?

Praxeda wytrzyszczyła oczy, z podziwieniem spojrzała na męża, a potém wpatrując się w końce palców u nóg, odpowiedziała:

—Ach!... dalibóg... nie wiem.

—Lecz zasięgam twojéj rady; idzie o twój majątek; nic nie chcę przedsiębrać bez twojego zezwolenia... Czy masz ambicyą?

—Ambicyą! nie wiem... nigdy mi o tém nie gadano.

—Czy przestajesz na tém co mamy? czy chcesz abyśmy kupili dom w Warszawie, albo też ażebym został bankierem, przedsiębiercą?

—O! to mi wszystko jedno.

Władysław tupnął nogą, zniecierpliwiony i przygryzł sobie usta ze złości. Przelękła się jego połowica i cofnęła się, mówiąc:—Cóż ci to? takeś się skrzywił?.

—Nic mi nie jest, nic wcale.

I odszedł ciężko westchnąwszy, myśląc sobie... »Widzę teraz, że moja żona jest wielkie ciele.

Pani Pajtslska cieszyła się wydając córkę za Władysława, gdyż pochlebiała sobie że co dzień tańczyć będzie.

Jakoż, skoro tylko Władysław wszedł do salonu, pani Pajtalska mówiła: »Ach mój zięciu, zagraj nam kondradansa lub mazurka, przypomnimy sobie parę nowych figur» Gdy zaś przyszło z wizytą kilka osób, zaraz biedny Władysław musiał siadać do fortepianu, a pani Pajtalska i jéj córeczka tańczyły bez wytchnienia.

Pan Pajtalski przez godzinę nie mógł obydź się bez swego zięcia; na każden obiad, na każden wieczór brał z sobą Władysława. Gdy przyjmował gości, Władysław musiał być przy nim; to mu dodawało zaufania; ex-fabrykant musztardy, śmiał wówczas otworzyć usta, w tém przekonaniu że z pomocą swego zięcia gadać będzie ruzumnie i dowcipnie.

Lecz wkrótce znudził się Władysław takiém nieustannem towarzystwem. Od czasu jak się ożenił z panną Pajtalską, nie miał ani chwili swobodnéj. W domu musiał przygrywać na fortepianie, a jeźli chciał wyjśdź, teść towarzyszył mu nie odstępnie. W cóżem się wdał! mówił do siebie Władysław mój to zły duch, wtrącił mię do familii Pajtalskich. Ach! moja kuzynko! gdybym się z tobą ożenił jakże byłbym szczęśliwy, gdyż jesteś ładna, łagodna i przyjemna; trzy rzeczy bardzo rzadko połączone... Lecz mię nie kochałaś... kto inny pozyskał twoje serce!... To prawda, że gdybym był twoim mężem, nie byłabyś poznała tego, który mię pozbawił twojéj miłości.

(*Dokończenie nastąpi*)



BRAMA ŚWIĘTA W KREMLINIE.

OPISANIE MIASTA MOSKWY.

(Artykuł zebrany z dzieła wydanego w Petersburgu, przez M. J. H. Schnitzler. r. 1834. u J. Brieff.)

Miasto Moskwa, pierwsza stolica i jedna z dwóch rezydencyi monarszych państwa Rossyjskiego, leży pod 55° i 45' 13" szerokości północnéj a 55°, 17' 11" długości wschodniéj, o 695 wiorst od Petersburga, w bardzo malowniczéj okolicy, przerzniętéj rzeką Moskwą i pięknemi wzgórzami otoczonéj. Rzeka wijąc się, przecina miasto, a w jego obrębie wpadają do niéj rzeczki Jauza i Neglinna, ta druga zamieniona w podziemny kanał. Rzeka Moskwa bierze początek w gubernii Moskiewskiéj, w powiecie Mozajskim. Na wiosnę po roztopach bywa spławną i w ówczas ułatwia związek stolicy z Wołgą, za pośrednictwem rzeki Oki, w którą wpada. Grunt na którym stoi Moskwa, jest bardzo nierówny, co uprzyjemnia jéj postać, gdyż za każdym krokiem nowe okazują się widoki. Wzgórza otaczające Moskwę, od południa i wschodu tworzą obszerny amfiteatr, a w samymże środku, Kremlin znacznie wyniesiony nad koryto rzeki, stoi na wzgórzu z którego objąć można wzrokiem południową część miasta. Od brzegów rzeczki Jauza, grunt wznosi się stopniami, a miasto wstępuje że tak powiem na pasmo wzgórzów które je otaczają, aż do bogatych i wspaniałych klasztorów, uwieńczających ich wierzchołki. Moskwa jest bardzo pięknem miastem; od pożaru w 1812 r. przybrała prawie zupełnie nowożytną postać; obwód jéj zajmuje przeszło 35 wiorst, a cała powierzchnia 16,120,880, kwadratowych sążni; po Konstantynopolu jest najrozleglejszém miastem w całéj Europie.

W odległych wiekach, mówią badacze poetycznych a częstokroć bajecznych podań, brzegi rzeki Moskwy okryte były gęstym lasem; w środku niego znajdowało się bagno a na nim wysepka, na któréj pustelnik zwany Bukal zbudował sobie mieszkanie. Na tém miejscu uświęconém przez pobyt pustelnika, powstała najprzód osada, a po tém miasto. Pomniki historyczne wskazują, że w roku 1147 kniaź Jerzy Dołgoruki, syn Włodzimierza Monomacha, miał stolicę w Kijowie, lecz

powierzywszy xięstwo Włodzimierskie i Suzdalskie synowi swemu Włodzimierzowi, udał się do miasta Włodzimierza dla osadzenia go na xięstwie. W téj podróży, uderzony został pięknością okolicy nad brzegiem rzeki Moskwy i kazał tam zbudować miasto, na tém samem miejscu gdzie teraz stoi Kremlin. Inne budowy, rozpoczęte niżéj trochę, gdzie po tém zbudowano klasztor Znamenskoi, wzięły nazwisko *Kitaj*. Nowo założone miasto, nazwano Moskwą, od nazwiska rzeki. Jerzy umarł w 1157 i jeszcze na łożu śmierci mocno polecił synowi swemu aby starał się o wzrost Moskwy. Andrzej rezydując w Włodzimierzu, gorliwie zajął się wykonaniem rozkazu ojca, i aby tém bardziéj przynęcić lud, złożył w cerkwi nowego miasta, cudowny obraz Matki Boskiéj, przysłany niegdyś z Konstantynopola do Kijowa. Cerkiew ta zbudowana została z kamieni i nazwana Uspeńska, to jest Wniebowzięcia albo raczéj snu Matki Boskiéj, ozdobiona była złoconemi wieżyczkami. Rozległe grunta wyznaczono na jéj utrzymanie, a święty obraz ozdobiono perłami i drogiemi kamieniami. Nie trzeba mięszać téj cerkwi, z dzisiejszym Uspeńskim soborem.

Po zgonie Andrzeja, miasto zostało zaniedbane. Było następnie posiadłością wielu xiążąt pochodzących od Jerzego, lecz podczas najazdu Batu Chana i Mongołów, zostało zrabowane i spalone; jednakże w 1248 już jest wzmianka o xięciu Moskwy. Lecz dopiero w 1260 miasto znowu zaczęło się wzmagać. Daniel, najmłodszy syn Alexandra Newskiego, otrzymał w dzieciństwie posiadłości nad rzeką Moskwą; zwiedził je doszedłszy do wieku dojrzałego. Miasto i słoboda Kitaj już nie istniały, a miejsce gdzie teraz stoi Kremlin, zarosło gęstym lasem, pośród którego wyspa otoczona bagnami stała się schronieniem pobożnego pustelnika. (jakeśmy o tém wspomnieli) Lecz piękność miejsca tak mocne wrażenie zrobiła na Danielu, jak niegdyś na jego dziadku. Na jego rozkaz, chatę pustelniczą zamieniono w cerkiew poświęconą Przemienieniu Jezusa Chrystusa, wyspę otoczono palisadami i zbudowano pałac dla xięcia. Daniel już nie opuścił miasta, które podźwignął. Osadził tam biskupa, zbudował klasztor na cześć Świętego Daniela, przy końcu życia przywdział w nim suknią zakonną, i zwłoki jego tamże pochowano. Syn jego Jerzy III. objął posiadłość xięztw Włodzimierza, Suzdala i Moskwy, a chociaż Nowogrod był przyłączony do tych xięztw, Moskwa została ich stolicą, nadała mu nazwisko, a sam Jerzy przezwany był Moskiewskim. W roku 1326, cnotliwy Piotr metropolita Włodzimierski osiadł w Moskwie; w krótce zbudowano w środku miasta nową cerkiew Uspeńską, a dawna cerkiew drewniana, Przemienienia Pańskiego, zastąpiona została kamienną. Od roku 1364, aż do wstąpienia na tron Iwana IIIgo Wasilewicza w 1462, wielorakie klęski pustoszyły to miasto, niezgody domowe, powietrze, pożary, najazdy Litwinów i Tatarów. Jednakże wzniesiono w tym czasie w obrębie Kremlina kilka klasztorów. — Za rządów Iwana III, Moskwa zaczęła dźwigać się po tylu klęskach. Zbogaciwszy miasto łupami Nowogrodu, Iwan rozciągnął obwód jego, rozszerzył Kremlin i otoczył go nowym murem zbrojnym wieżami, z których jedna wychodząca na taras od strony rzeki, ozdobiona była obrazem Zbawiciela; jest to owa Brama Święta, wyobrażona na rycinie na czele tego artykułu, koło któréj nikt nie przejdzie bez oddania pokłonu. Iwan III kazał także odlać wielką armatę cytadelli, zbudował teraźniejszą cerkiew Uspeńską, dokończył sklepień i tajemnych ganków pod pałacem xiążęcym. Wasil IV. syn Iwana, starał się również o wzrost Moskwy. Za jego rządów, budowniczy włoski zbudował w Kitajgrodzie cerkiew Świętéj Barbary Męczenniczki; cerkiew z kamienia zbudowano w Kremlinie, i uczyniono ją katedralną cerkwią stolicy: jéj to dzwonnica sławna jest pod imieniem dzwonicy *Iwana wielkiego*.

Za panowania Iwana IV, zwanego Groźnym, zbudowano na pięknym placu, od strony rzeki, cerkiew osobliwéj architektury, zwaną pospolicie Wasili Błażennoi, w któréj architektura ludów Azyi miesza się z Bizantyjską i uderza oko podróżnika mnóstwem wież różniących się jedna od drugiéj i powleczonych żywemi kolorami. Kitaj-grod obwiedzony został murem. *Granowitny pałac*, stał się jedną z głównych ozdob Kremlinu. Lecz także, za tegoż samego panowania w 1547, całe to miasto już wtedy bardzo obszerne, stało się pastwą płomieni, a w tym okropnym pożarze wszystko zginęło, skarb, zbroje, zabytki piśmienne, obrazy świętych, oprócz Matki Boskiéj Włodzimierskiéj, któréj jak mówią, nie śmiały dotknąć płomienie. Wszystkie domy drewniane spłonęły do szczętu, ocalała tylko mała liczba gmachów z kamienia, lecz i te wiele ucierpiały od ognia. Takież same klęski dotknęły Moskwę w 1571, i w 1611. Pożary zdarzały się bardzo często, miasto bowiem budowane było z drzewa, domy stały jedne przy drugich i nie zachowywano żadnych środków ostrożności.

Nim się zajmiemy opisem teraźniejszego stanu Moskwy, skreślimy jéj obraz taki jaki przed dwoma wiekami Olearius i Meyerberg, zostawili nam w 17 wieku.

Podobnie jak dziś, Kremlin i Kitaj-grod składały zawiązek miasta, leżały prawie w jego środku; ich obwód utworzony z murów najeżonych wieżami, opierał się na południe o Moskwę, na zachód i północ o Neglinnę, któréj leniwe wody jeszcze odkryte w ówczas, kończyły się stawęm zwanym Lebedi ›y Prud; ze strony tylko wschodu woda nie broniła przystępu. W około tego zawiązku, Carski-grod tworzył niezmierne półkole na północ Moskwy, a drugie półkole daleko większe, rozciągało się za pierwszém od jednego punktu rzeki do drugiego i nazywało się Skorodom. Sam ten wyraz oznacza z jakim pośpiechem zbudowane bydź musiało. Za Moskwą i Jauzą jest przedmieście Słoboda, które Olearius nazywa przedmieściem Strzelców; mogło mieć także inne nazwanie. Gdy car Fedor Iwanowicz odbudował miasto po pożarze zdarzonym w roku 1571, Carski-grod nazwany został Białym-grodem, od muru z białego kamienia którym go opasano, a Skoro-dom przybrał imie Ziemno-grodu gdyż opasany został wałem z ziemi usypanym.

Teraźniejsze miasto Moskwa, po pożarze zaszłym w roku 1812, odbudowane stosownie do potrzeb i zasad już wysoko posuniętéj cywilizacyi, straciło po większéj części starożytną i wschodnią postać.

(*Dokończenie nastąpi*)

MITOLOGIA SŁOWIAŃSKA.

Jakkolwiek skąpe są zabytki obrządków i domowego życia dawnych pogańskich ludów; łączą się one jednak mocnym węzłem z ciemnemi początkami dziejów i pomysłami ich bujnéj wyobraźni; każdy też niemal z współczesnych narodów uczcił już pobożném wspomnieniem popioły pogańskich swych przodków.

Słowianie tylko, lubo już za pogańskich czasów mieli swe dzieje, prawa, wiarę, i bujną krainę bajecznych podań ludu, dotąd mniéj dbali o swą przeszłość. Cześć oddawana przez Zoryana Chodakowskiego tym starym bożkom słowiańskim, dla wielu z nas obcém jest dotąd uczuciem; a poezya, pozbawiona tym sposobem uroczego wdzięku, jakim szkoccy i niemieccy wieszcze, korzystając z uczonych mitologicznych badań swych ziomków, pienia swe napełniają.—

Wspomnimy o jednym z tych obrzędów, zwanym *świętém Kozła.*

Uroczystość ta, w celu pojednania człowieka z bóstwem postanowiona, utrzymywała się długo jeszcze po zaprowadzeniu chrześciaństwa w Litwie i Prusiech. Mieszkańcy jednéj wioski zgromadzali się w najobszerniejszéj stodole: tam niewiasty gniotły ciasto na chleby ofiarne, a Wajdelota brał czarnego kozła za rogi: mężczyzni kładli na jego grzbiecie prawice i głośno wyznawali swoje grzechy; potém z każdy wyznawających, podług ilości i ważności grzechów, bywał przez Wajdelotę karany, biciem, targaniem za włosy, lub innym bolesnym sposobem. Po tém Wajdelota zabijał grzechami obarczonego kozła, krwią jego skrapiał zgromadzonych wieśniaków, dla zgładzenia ich grzechów, a mięso brał z sobą do domu, jak mówił, bogom na ofiarę. (*) Kończono uroczystość na pijatyce, podczas któréj Wajdelota, dopóki jeszcze był trzeźwy, opowiadał dawne dzieje. Jeszcze w roku 1657 w parafii Pobetańskiéj w Prusiech, (podług Hartknocha) wieśniacy zebrawszy się, wybrali z pośród siebie Wajdelotę, któryby ofiarę tę sprawował.

Nazwisko Wajdelotów starożytnym pisarzom zupełnie nieznane: jest zaś słowo pruskie, a może słowiańskie od wajdiu (wiedzy), zkąd także nazwisko pierwszego ich króla Wajdewuta pochodzić się zdaje. Kapłani więc, Wajdelotami zwani, byli to mężowie rozumni, w rzeczach do czci bogów należących biegli, którym także pisarze pruscy Wurskajtów lub Sigonotów imię nadają. Bezimienny biograf Śgo Wojciecha, opisując przybycie tego apostoła do Pruss i jego męczeństwo, dodaje: »Wyskoczył z pośród rozjuszonéj tłuszczy zapalczywy Sigo, i z całych sił rzuciwszy pocisk, przeszył nim serce świątobliwego męża; będąc bowiem kapłanem i wodzem pogańskiéj tłuszczy, poczytał sobie za powinność dać hasło do zamordowania apostoła. Nazwisko Sigonotów zdaje się pochodzić od słowa sigas, znaczącego porządek, jakoby porządni kapłani. Nie wszyscy bowiem kapłani w Romowe ofiary sprawowali, lecz tylko z porządku do tego wyznaczeni, i tych Sigonotami mianowano.

Pomiędzy Wajdelotami byli nie tylko kapłani ale i kapłanki, wszyscy zaś w bezżeństwie żyli. Mieszkało ich wielkie mnóstwo naokoło świętego dębu w Romowe, w oddzielnych chatach; inni zaś po wsiach rozproszeni, i te miejsca zwały się Rykajoth.

(a) Coś podobnego znajdujemy w prawie Mojżesza. 3. X. Mojż. r. 16. 1. r. 23. 27.



WAJDELOTA Z KOZŁEM.

Powinności ich miały być następujące: sprawować ofiary, obeznawać lud z obrządkami czci pogańskiéj, czuwać nad ich sposobem życia i obyczajami, błagać bogów ofiarami i ogłaszać ludowi ich wolą, w wątpliwych przypadkach udzielać rady i przepowiadać przyszłość. Oni także zapowiadali święta uroczyste, żniwa i inne prace rolnicze. Wajdeloci obierani byli od wyższych kapłanów (Krywe krywejtów) ku pomocy i do różnych posług; lecz gdy w Romowe cześć pogańską zniweczono, stać się mogło, iż potém po kraju sami mieszkańcy, z przywiązania do dawnych zwyczajów, Wajdelotów sobie obierali, co szczególniéj działo się po opanowaniu Pruss przez krzyżaków, ponieważ lud, pomimo powierzchownego nawrócenia się do wiary chrześciańskiéj, długo jeszcze trwał w pogańskich błędach.

W. M.

OBRAZY TOWARZYSTWA.

WŁADYSŁAW I JEGO KUZYNKA

(*Dokończenie*).

Rok się skończył. Spokojnie i jednostajnie upływały dni w domu pana Oktawki; praca rozmowa i czytanie zapełniały je. Kon-

stancya była smutna, lecz uległa swemu losowi, a na jéj bladych ustach, uśmiech usiłował pokazywać się czasem. Nigdy nie mówiono przy niéj o Władysławie i zdawało się że zapomniała o nim.

Pan Oktawka myślał tylko o basetli, Pan Dobroduski o Pelagii: ona zaś wyrządzała tysiące psot biednemu kochankowi swemu, który doszedł wreście do 3000 złotych rocznéj pensyi.

W familii państwa Pajtalskich nie panowała bynajmniéj taka spokojność. Praxeda żaliła się na męża, który był zawsze w złym humorze przy niéj, pani Pajtalska narzekała że nie chce tak często grywać kontredansów, a pan Pajtalski także był zły na Władysława, iż kilkokrotnie dozwolił mu odezwać się z głupstwem i nie usiłował sprostować je i zagładzić.

Władysław nie kochał żony, obrzydził sobie oboje państwa Pajtalskich; ażeby więc rozerwać się w nudach, przyszło mu na myśl spekulować, nie już na papiery i przedsiębierstwa, lecz na zboże, na wełnę i na rozmaite towary hurtem kupowane.

Na nieszczęście, nie miał żadnego wyobrażenia o tego rodzaju przedsięwzięciach; kupował drogo, przedawać musiał tanio, nie poprzestawał na pewnym chociaż miernym zarobku, pomijał korzystną porę sprzedaży i coraz to większe straty ponosił. Wówczas wracał do domu w bardzo złym humorze i gniewał się na panią Pajtalską, która prosiła go o kontradansa, albo na swego teścia, który go chciał wziąźć na wieczór.

Zamiast zaniechać niepomyślnych przedsięwzięć, rzucał się w nie, z tym uporem, właściwym człowiekowi chwytającemu się rzeczy na któréj wcale się nie zna. Podżegała go miłość własna; a przy tém Władysław chciał odzyskać stracone pieniądze, rzucał się na wszystkie spekulacye jakie tylko mu nastręczano i do reszty trwonił posag żony: podobny do tych graczów, którzy raz zacząwszy przegrywać, dopóty nie wstaną od kart, póki nie stracą ostatniego szeląga.

Dnia pewnego, chodząc po mieście, co mu się często zdarzało aby jak najmniej przestawać z familią żony; spotkał Dobroduskiego, ten spostrzegłszy Władysława odwrócił się i nie chciał mówić z kuzynem Konstancyi, gdyż jego postępowanie wcale mu się nie spodobało. Władysław pobiegł za nim, gwałtem go zatrzymał i rzekł.

—Ach! jakże cię dawno nie widziałem. Ileż zmian zaszło od tego czasu! Spotkanie z tobą sprawia mi zarazem przyjemność i smutek... Ale cóż to? zdaje mi się że mnie unikasz, dla czegoż?...

—Tak jest panie, rzekł Dobroduski z wahaniem; od czasu twego ożenienia, jakeś opuścił twoją kuzynkę, tak przywiązaną do ciebie, nie dbam już o twoją przyjaźń!

—Moją kuzynkę! Ach panie Dobroduski, widzę że sądzisz jak świat cały... to jest z pozoru.... Nie mówiłżem ci że nie przyjmę ofiarowanego małżeństwa...że się uważam jako zaręczony z Konstancyą?

—Tak jest; mowiłeś mi, a postąpiłeś przeciwnie.

—A jeźli też moja kuzyna była pierwsza w uchybieniu danego słowa; jeźli wyrzekła jesteś wolnym, nie kocham cię wcale?... Tak jest, powiedziała to...Jeszczébym temu był nie wierzył ale niektóre okoliczności zupełnie mię przekonały że mnie oszukuje; wypatrzyłem Konstancyą na s hadzce...

—Pannę Konstancya!...

Tak, Konstancyą... Zawstydzona moją obecnością nie ukrywała się więcéj; w ówczas dopiero, nie będąc kochanym, oburzony, ożeniłem się na złość Konstancyi... Poznaję że takie małżeństwo nie jest szczęśliwe. Przekonaj się Panie Dobroduski że ja nie zerwałem tego związku... Bądź zdrów... szczęśliwszym jesteś odemnie.... Zapewne widujesz moją kuzynkę... Mimo jej uchybień względem mnie, miłoby mi było ją widzieć... Z nią to rozmawiać można... nie mówi ustawnie. »Nie wiem!« albo »wszystko mi jedno«... Ale nie myślmy o tem... jesteśmy rozłączeni na zawsze.«

Ostatnie słowa wymówił Władysław ze łzami w oczach; chciał pokryć wzruszenie, ścisnął Dobroduskiego za rękę i odszedł, zostawując go w osłupieniu nad tem co usłyszał. A że łatwo było wyczytać z jego twarzy, gdy mu się co ważnego zdarzyło; przeto wieczorem Pelagia od razu domyśliła się że zaszło coś nowego.

Dobroduski milczał przy Konstancyi, ale Pelagii dawał znaki, których młoda dziewczyna zrozumieć nie mogła, a które pobudzały jéj ciekawość. Konstancya spostrzegła pomięszanie Dobroduskiego. Odgadła że nie chce przy niéj mówić, udała potrzebę wyszukania wzoru do haftu i wyszła do swego pokoju.

Pelagia natychmiast zapytała Dobroduskiego o czém takiém dowiedział się czegoby Konstancya słyszeć nie mogła.

—O czém! Ach! zawołał wznosząc oczy ku Niebu: ach!.... nie pojmuję jeszcze.... Mój Boże! ktożby się spodziewał... osoba tak dobrze wychowana.

—Na Boga! proszę się jaśniej tłómaczyć!.....

Dobroduski raz jeszcze spojrzał w górę, dwa razy uderzył w ręce i zdobył się na opowiedzenie całéj rozmowy z Władysławem.

W miarę jego opowiadania, Pelagia coraz więcéj była wzruszona, widać było że zaledwie wstrzymać się mogła. Słuchała jednak uważnie aż do końca. Rumieniec okrywający jéj lica, ogniste spojrzenie, nareście trudny oddech, malowały dostatecznie jéj oburzenie.

—To rzecz okropna!... zawołała Pelagia; to jest szkaradna potwarz!... Czy nie dość na tém że opuścił niegodnie tę która dla niego się poświęciła, trzebaż ją jeszcze zniesławiać przed światem! Konstancyo! dobra, droga Konstancyo!.... wzorze cnot wszystkich, któréj serce ożywiają same szlachetne uczucia!.. Konstancyo!... Ciebież to śmieją oskarżać!... A ty panie Dobroduski mogłżeś słuchać z krwią zimną tak czarnych potwarzy? Nie broniłeś mojéj przyjaciółki... nie zaprzeczyłeś temu co ci mówiono?...

Dobroduski się zmieszał, nie widział bowiem nigdy Pelagii, tak mocno zagniewanéj, wyjąkał z drżeniem te słowa:

»Pani... nie mogłem... nie wiedziałem...

—Co? nie mogłeś pan bronić Konstancyi, mojéj najdroższéj przyjaciółki!?... Jesteś mężczyzną a pozwalasz znieważać kobietę? Słuchaj panie Dobroduski, ważną ci rzecz powiem. Zdajesz się że mnie kochasz... Czy chcesz bydź moim mężem?..

—Ach! Pani, byłoby to nadmiarem mego szczęścia.

—Dobrze! Idź zaraz do kuzyna Konstancyi, musisz wymódz na nim odwołanie tych potwarzy, niech je na piśmie odwoła, albo go zabij, za to niegodne kłamstwo. Rozumiesz pan, albo powróć z odwołaniem Władysława, albo jego zwycięzcą... a ja oddam ci rękę moją.

—Jakto pani? czy zechcesz?..

—Abyś się pojedynkował z Władysławem... Tak panie... Jeżeli nie uczynisz czego żądam, możesz zaprzestać bywać u mnie... Nigdy żoną twoją nie będę... I cóż? namyślasz się jeszcze...

—Nie pani... nie, nie waham się... Bić się będę.... zapewne.... chociaż bić się nie umiem... Ale jak mnie zabije?....

—Na ten czas Władysław na większą jeszcze zasłuży wzgardę; a ty, który stracisz życie w obronie tak pięknéj sprawy, ty który polegniesz dla mojéj przyjaciółki, będziesz przedmiotem moich wspomnień i ciągłego żalu... Codziennie będę chodziła płakać na twoim grobie i wieńczyć go kwiatami...

—Ach! rozumiem... będziesz mnie kochać po śmierci.... Jest i to nie małą pociechą. Jutro niezawodnie będę się bił z Władysławem.

—Zalecam milczenie; ani słowa o tym przed Konstancyą...

—Ani ust nie otworzę...

W téj chwili wchodzi Konstancya; domyśliła się że jest mowa o Władysławie, nie mogła oprzeć się ciekawości i wysłuchała rozmowy Pelagii z Dobroduskiem. Młoda dziewczyna nie okazała bynajmniéj że wie o wszystkiém; cały wieczór udawała spokojną, przeciwnie Pelagia, okazywała czasami gniew i niecierpliwość, a ciężkie westchnienia pana Dobroduskiego, dowodziły że dzień następny wcale go nie cieszy.

Żegnając się, Konstancya ścisnęła przyjaźnie rękę młodego człowieka; on zaś tak się żegnał jakby ich oglądał po raz ostatni, mimo że Pelagia czyniła co mogła aby w nim ożywić męztwo.

Nazajutrz bardzo rano, Dobroduski wybierał się do Władysława, chodził wielkim krokiem po pokoju, mówił sam do siebie, ocucał swoje męztwo, a kiedy to upadać zaczynało, przywodził na pamięć Pelagią; miłość sił mu dodawała: jedno uczucie dodaje zwykle mocy drugiemu.

Gdy już wychodził z domu z pistoletami w ręku, odźwierny oddaje mu list... Otwiera go i czyta co następuje. »Słyszałam wczoraj waszą rozmowę z Pelagią. Nie możesz się pojedynkować z Władysławem; to co ci mówił nie było potwarzą, lecz prawdą. Bądź zdrów, powiedz Pelagii i jéj wujowi, że ich kochać nigdy nie przestanę, ale opuścić ich muszę. Wiedząc o wszystkiém, zapewne osądzą że jestem nie godna mieszkać z niemi.

Konstancya.«

Dobroduski, przeczytawszy list, upuścił pistolety; odczytał go znowu, z obawy czy nie ma pomyłki. Odniósł pistolety pożyczone od sąsiada i pobiegł do Pelagii. Zastał ją razem z wujem, pytał ich najprzód gdzie jest Konstancya.

—Wyszła dziś bardzo rano, rzekł pan Oktawka, zapewne odniosła robotę szwaczce, nie wróciła jeszcze.«

Natenczas Dobroduski oddaje Pelagii list który dziś rano odebrał. Ta zaś, z płaczem i rozpaczą opowiada wujowi co zaszło wczorajszego wieczora. Pan Oktawka nagania postępowanie siostrzenicy co do pojedynku z Władysławem, ale temu wierzyć nie chce aby Konstancya była winną.

— Nie! nie!... jest niewinną! zawołała Pelagia, ten list oskarżający przekonywa mnie, że się lękała pojedynku i śmierci swego kuzyna, którego kocha. Nigdy nie przestawała życzyć mu szczęścia... Jestem tego pewna! Gdzież się udała?... Cóż się

z nią stanie?... Sama jedna... bez przyjaciół, bez pociechy.... Panie Dobroduski, zapowiadam ci iż póty mężem moim nie będziesz, dopóki nie wynajdziesz mojéj nieszczęśliwéj przyjaciółki...

—Ależ pani, czy moją jest winą że panna Konstancya dom ten opuściła?

—To nic nie znaczy. Ponieważ bez niéj nie mogę bydź szczęśliwą, a idąc za mąż chcę bydź szczęśliwą, tak więc bydź musi.

Biedny Dobroduski, rwał sobie włosy z rozpaczy mówiąc. »Widzę że mi trudno będzie zostać mężem panny Pelagii.«

Nazajutrz rozpoczął poszukiwanie; wszystkie wolne chwile od biórowych zatrudnień poświęcał na bieganiu po ulicach i dopytywaniu się o Konstancyą; daremne były jego poszukiwania, a gdy wracał do Pelagii bez żadnéj wiadomości, młoda dziewczyna kwaśno go przyjmowała.

Kiedy się to działo, inne okoliczności zaszły w rodzinie Pajtalskich. Pan teść wymagał aby zięć zawsze bywał z nim w towarzystwach. Dnia jednego zdarzyło się iż Władysław pierwszy wyśmiał rubaszność Pajtalskiego. Popełnił bowiem kilka głupstw na które nikt może byłby nie zważał, gdyby ich Władysław nie wytknął, ztąd przyszło do przykréj kłótni.

—Dla tego wydałem moją córkę za ciebie, abyś mi dodawał rozumu gdy tego potrzebuję; odprawiłem dla ciebie Fryderyka, który przynajmniéj drapał się po nosie, gdym niedorzecznie mówił, a ty pozwalasz sobie wyśmiewać się kiedy zawikłam się w rozmowie; nie, to nie uchodzi.

—Nie chcesz grać kiedy mam ochotę tańczyć, rzekła pani Pajtalska, albo grasz tak prędko że tańczyć nie podobna, i od razu się zmęczę. Nie, tak się nie postępuje z matką żony.

—Nie chcesz mnie prowadzić, a ja tak lubię iśdź na przechadzkę, »rzekła Praxeda.«

Władysław odpowiedział na to: »Mój kochany ojcze, dając mi córkę trzeba mi było powiedzieć że mię bierzesz za nauczyciela. Już jest za późno rozpoczynać wychowanie; wierz mi, nie naśladuj wielkich panów, nie dokażesz tego, a na śmieszność się wystawisz.

»Moja kochana matko, nie ganię ci gustu do tańca, ale nie mogę przepędzać życia przy fortepianie. Co do ciebie moja żono, jeżeli cię tak często nie prowadzę na przechadzkę, to dla tego że poziewasz kiedy mówię do ciebie, ztąd wnoszę że moje towarzystwo nie spodobało ci się wcale.

Odpowiedź Władysława bynajmniéj nieuspokoiła umysłów; coraz było gorzéj, zwłaszcza gdy różni ludzie zaczęli się dopominać o pieniądze u Władysława. Okazało się iż stracił prawie cały posag żony. Praxeda płakała, matce słabo się robiło, a pan Pajtalski chciał zięcia wsadzić do kozy i trzymać go tam, dopóki mu nie zwróci summy lekkomyślnie strwonionéj; ale że prawa do tego nie miał, skończył na tém że rozkazał Władysławowi opuścić dom jego, nie pokazywać mu się więcéj na oczy dopóki biednym będzie i rozłączyć się z żoną.

Władysław miał prawo zabrać żonę z sobą, ale bynajmniéj nie pragnął korzystać z tego prawa. Opuścił Praxedę i jéj rodziców, bez żadnego żalu. Najął sobie mieszkanie na poddaszu, wziął się do malowania obrazów, które zaledwo mogły bydź użyte do zastawek przed kominki, dawał lekcye muzyki i żył z tego. Znudzony uciechami świata, nie mając przyjaciół, Władysław nie wychodził nigdzie i cały czas poświęcał pracy. Zdziwił się znajdując przyjemność w takiém życiu i nieraz mówił do siebie. »Gdybym był słuchał pana Oktawki, widzę że mógłbym bydź szczęśliwym z Konstancyą. Przy pracy, oszczędności i porządku, nie znalibyśmy biedy... Ach! nieszczęsna miłość własna! ta mnie zgubiła! Odrzuciłem szczęście którego byłem tak bliski, straciłem czas na robieniu głupstw, dla tego żem się uważał za mądrzejszego od innych! Przejadłem majątek matki, straciłem majątek kuzynki, zmarnowałem posag żony, bo mi się zdało że jestem poetą, muzykiem, spekulantem, a to bez powołania, bez nauki i tylko powodowany tą myślą którą w szkołach powtarzałem kolegom! »Oh! gdybym tylko chciał, potrafiłbym zrobić jeszcze lepiéj.«

Czyniąc te uwagi chociaż za późno, miał zasługę, iż błędy swoje uznawał. Tylu jest ludzi których nawet doświadczenie poprawić nie zdoła.

Rok upłynął. Władysław ciągle malował obrazy, i dawał lekcye, w tém dnia jednego odebrał list od pana Pajtalskiego, donoszący iż Praxeda umarła na nerwową gorączkę. Przed śmiercią wymogła na rodzicach zapis majątku dla Władysława. Nie mogli odmówić córce, z warunkiem iż za życia swego nic mu nie dadzą.

Władysław odpowiedział panu Pajtalskiemu iż jest wdzięczny za ten dowód pamięci Prazedy, i że zostawia mu zupełną wolność rozrządzenia swoim majątkiem. Nawykł już do pracy, coraz lepiéj mu szło; drożéj płacono jego obrazy i w krótkim czasie został prawdziwym artystą. Opuścił szczupłe mieszkanie na poddaszu, najął inne i miał porządną pracownią. Trzy miesiące upłynęło jak Władysław wprowadził się do nowego mieszkania, żył samotnie, nikogo prawie nie znał w tym do-

mu, gdy wieczorem zapukano do drzwi jego. Była to stara sąsiadka, zajmująca pokoik nad jego mieszkaniem. Wchodząc, zawołała z płaczem.

—Na miłość Boga! panie, pomóż mi ratować młodą chorą kobietę. Mieszka obok mnie... sama jedna, nie wychodzi nigdy, pracuje dzień cały. Nikogo nie widywała prócz mnie, tysiączne czyniła mi przysługi; dnia onegdajszego niebezpiecznie zachorowała, dziś ma mocną gorączkę... malignę... A ja nie umiem zaradzić, obawiam się zostawić ją samą idąc po doktora.«

Władysław poszedł natychmiast za starą sąsiadką, do choréj. Izba wyglądała ubogo, skromnie, ale czysto i porządnie. Nie mógł odgadąć dla jakiéj przyczyny mocnego doznał wzruszenia, zbliżając się do łóżka; lecz cóż się z nim stało gdy poznał swoją kuzynkę!

—Konstancyo! zawołał Władysław.

—Znasz pan tę kobietę? zapytała stara.

—Czy ją znam! To moja kuzynka! ona miała bydź moją żoną, a długi czas była najlepszą moją przyjaciółką... Konstancyo! droga Konstancyo!... Nie słyszy, nie poznaje mnie!... Pani, biegnij prędko po doktora. Ja tu zostaję; nie odstąpię jéj póki nie wyjdzie z niebezpieczeństwa.«

Stara wyszła, Władysław sam zostaje przy Konstancyi, która jest w gwałtownym paroxyzmie gorączki i w obłąkaniu powtarza często imie Władysława; ten przysłuchuje się pilnie, nareście zrozumiał te słowa.

»Myśli żem winna... Mój Boże! sądził że kocham innego... Wszakże dla tego aby go uwolnić... Ten list... ten bilet... to ja go kazałam napisać... mam kopią... tam..... w tym pugilaresie, który mi sam darował. To jest jedyna pamiątka od niego... Tam zachowałam to, co miało stanowić jego uszczęśliwienie. Wymawiając te słowa, chora wskazała ręką na szkatułkę stojącą na komodzie. Pierwszy raz Władysławowi przyszło na myśl, że kuzynka jego z umysłu się oskarżyła aby mu wrócić wolność; na tę myśl zalał się łzami, biegnie, otwiera szkatułkę, znajduje pugilares a w nim kopią biletu, pisanego ręką Konstancyi w którym uwiadomiono go o jéj zdradzie.

Pojął dopiero Władysław jéj wspaniałość; nie tylko oddała mu majątek, ale jeszcze poświęciła najdroższe dobro kobiety, honor i reputacyą. Rzuca się do nóg Konstancyi, bierze jéj rękę oblewa ją łzami, błaga o przebaczenie że mógł ją posądzać, przeklina się że był sprawcą nieszczęść kobiety, która zasłużyła na miłość jego. Lecz Konstancya nie słyszy go: maligna powiększa się, jéj cierpienia wzmagają wyrzuty i rozpacz Władysława.

Sąsiadka sprowadza doktora; ten oświadcza iż nie zaręcza za życie choréj, zapisuje lekarstwo i odchodzi.

Konstancya całą noc cierpiała; Władysław oka nie zamknął, stara nie mogła snu odeprzeć, spała głęboko, a Władysław poznał że nie wiele przyda się do czuwania przy choréj. Nagle uderzyła go myśl pewna, i pobiegł prędko do Pana Oktawki; tam opowiedział wszystko co mu się wydarzyło i o piękném postępowaniu Konstancyi. Jeszcze nie dokończył kiedy Pelagia słuchając go wzięła szal i kapelusz i zawołała. »Prowadź mię do niéj... Znałam ją lepiéj od ciebie, ani na chwilę jéj nie posądzałam!

W dziewięć dni potem, po ciągłéj gorączce i walce ze śmiercią, nastąpiło szczęśliwe przesilenie; głębokie uśpienie było jego skutkiem; późniéj nastąpił sen łagodny, dobroczynny, ożywiający, a skoro Konstancya otworzyła oczy, uśmiech okazał że już zapomniała o cierpieniu. Wystawić sobie można jakie było jéj zadziwienie, ujrzawszy koło siebie Pelagią, dobrego pana Oktawkę, swego kuzyna, a nawet i Dobroduskiego.

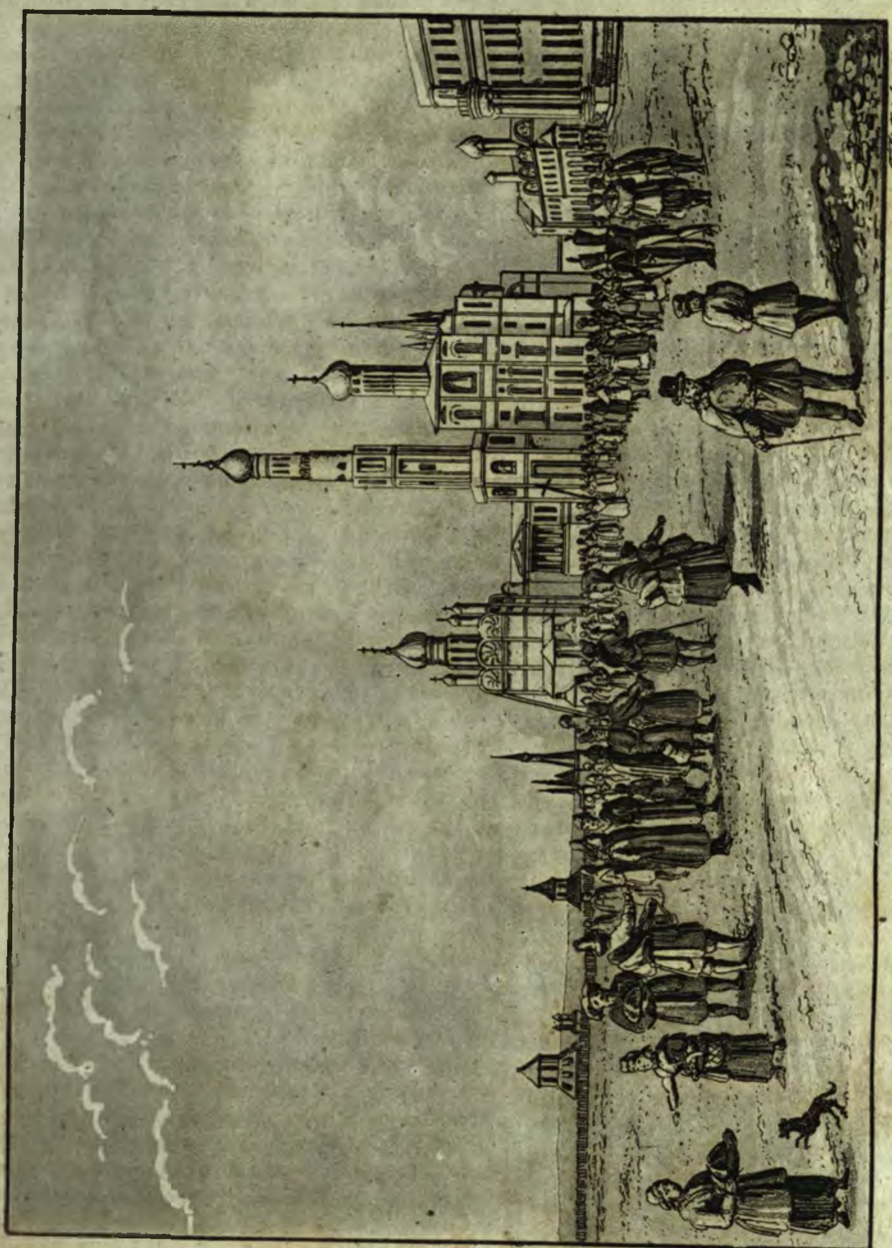
—»Jest że to sen! zawołała zamykając oczy, z obawy aby złudzenie nie znikło.

— Nie, odpowie Władysław ściskając zlekka jéj rękę; przeszłość raczéj była snem tylko... ale zapomnisz o niéj droga kuzynko... tak byłaś dla mnie wspaniałą że nią bydź nie przestaniesz... Wiem o twojém poświęceniu się. Jestem wolny, zapewne Bóg to zrządził abym wynagrodził przeszłe błędy. Raz jeszcze powtarzam, Konstancyo, przeszłość snem była, oto jest przy tobie twój narzeczony, jak w tym dniu kiedy nasze matki złączyły ręce i przyszłość naszą.«

Konstancya słowa wymówić nie mogła; łzy szczęścia płynęły z jéj oczu, a chociaż doktorzy zakazują wzruszeń chorym, te jednak przyśpieszyły wyzdrowienie Konstancyi.

Wkrótce potém, Władysław połączył się z Konstancyą; pan Dobroduski spojrzał z westchnieniem na Pelagią i rzekł. — Nie moją jest winą, że kto inny wynalazł twoją przyjaciółkę; mogę zapewnić iż szukając jéj, co dzień trzy mile uszedłem.

Pelagia zamiast odpowiedzi oddała mu rękę, jakoż biedny chłopiec zasłużył na nią. Nie zaręczam czy Pelagia była posłuszna woli swego męża, ale za to zapewnić mogę, iż pan Dobroduski zawsze wypełniał wolę żony.



WIEŻA IWANA WIELKIEGO.

W KREMLINIE.

OPISANIE MIASTA MOSKWY.

(*Dalszy ciąg*)

Moskwa jest teraz wspaniałém miastem, lubo nieregularnie zabudowaném; na nieszczęście skutkiem pożaru w r. 1812 straciła tę oryginalną cechę, która była jéj największym powabem i podobna jest do innych stolic, z wyłączeniem tylko jéj nie przeliczonych cerkwi i starożytnego Kremlinu, którego warowne mury opatrzone wieżami, obejmują gmachy będące w największém uczczeniu u całego narodu i złoconych kopuł, nad któremi wznosi się złoty krzyż Iwana Wielkiego, a to wszystko przedstawia tak czarodziejski widok oczom zdziwionego podróżnika, iż prawie poczytuje go z razu, za utwór swojéj wyobraźni.

Środek miasta, tworzą jak to było od wieków, Kremlin i Kitaj-grod; pierwszy mocno obwarowany, drugi opasany wysokim murem. Pomiędzy Kremlinem i Kitaj-grodem znajduje się *Piękny Plac,* czyli *Plac Czerwony.* Szczegółowo wspomnimy o gmachach Kremlinu; Kitaj grod i inne części miasta, nie tyle zabiorą miejsca i dla tego wyliczymy je w krótkości. Kitaj-grod jest ogniskiem interesów, najludniejszą częścią miasta i nie tak malowniczą jak Kremlin. Na Czerwonym Placu rozciąga się jego wspaniały bazar, zwany *Riady*, obszerny labirynt, zajęty przez szczegółowych kupców. Do niego przytyka *Gościnny Dwor*, obejmujący wielkie składy towarów, a nie daleko ztamtąd jest Giełda. Na lewo, w ulicy Sgo Mikołaja, stoi klasztor Zajkonospaski, sławny akademią, a teraz szkołą duchowną i drukarnią Świętego Synodu; po prawéj ręce jest Gimnazyum rządowe. Dwie wielkie ulice idące z *Pięknego Placu* do przyległych bram Kitaj-grodu, przecinają tę część miasta, zowią się *Jllińskaja* (Sgo Eliasza) i i *Warwarskaja* (Stéj Barbary).

Od strony zachodniéj, ogród Alexandra oddziela Białogrod od Kremlinu i ciągnąc się przy murach téj cytadelli, upięknia miasto, zastępuje błotne koryto Neglinny i jeziorko, które niegdyś łączyło się z tą rzeczką. Białogrod dzieli się na dwie sekcye, jedna zwana jest *Twerska*, po lewéj stronie Czerwonego Placu, druga *Miasnicka* po prawéj. W sekcyi Twerskiéj znajduje się uniwersytet, dwa gimnazya od niego zależące, dwa teatra, wielka ujeżdżalnia, pałace gubernatora generalnego, gubernatora cywilnego, i naczelnika policyi. Główna ulica dziś zwana Twerska, zwała się niegdyś ulicą *Cara,* a po prawéj ręce była ulica *Carowéj.* W sekcyi Miasnickiéj znajduje się akademia medyczno-chirurgiczna, wielki dom pocztowy i ulica Kuzniecki-most, zamieszkana po większéj części przez francuzów i zapełniona magazynami strojów. Białogród otaczają piękne bulwary, zasadzone drzewami, założone na miejscu dawnych murów tego okręgu. Ziemny-grod otacza w koło trzy pierwsze części miasta i także obwód jego jest wysadzony drzewami. Ziemny-grod składa się z następujących sekcyi: na prawym brzegu rzeki Moskwy, Piatnicka i Jakimańska; na lewym Preczysteńska, Arbatska, Streteńska i Jauzka. Niezmierna przestrzeń znajdująca się za Ziemnym-grodem aż do kollegskiego wału oznaczającego zewnętrzny obwód miasta, podzielona jest na dziesięć sekcyi, jak następuje: Na południe: *Sierpuhowska*, z pięknemi pałacykami i wielkim klasztorem zakonnic; *Chamownicka*, gdzie jest niezmierna płaszczyzna zwana *Dziewicze pole; Nowińska; Presneńska*, nazwana od pięknych stawów Presny otoczonych ogrodami; *Suchczowska* którą przecina droga idąca do Peterzburga; *Mieszczańska*, obejmująca oprócz czterech alei, wielki szpital hrabiego Szeremetowa, ogród botaniczny i *Piękny Staw*; *Pokrowska*, obejmująca obszerny plac Sokolniki; *Lefortowska* tak nazwana na cześć nauczyciela Piotra Wielkiego i głównie zamieszkana przez cudzoziemców, ztąd zwana także niemiecką Słobodą. Jest w niéj kilkanaście pałaców, kościół niemiecki wyznania luterskiego, wielki gmach korpusu kadetów i dwa szpitale wojskowe; *Bassmanna* w któréj jest szpital xiążąt Kurakinów; *Ragoska*, z drugiéj strony rzeki Jauzy, z klasztorem Androniewa, nareście *Tagańska,* obejmująca targ zwany Taganka, sławny klasztor Simonowa i magazyn prochu.

Do tych dziewiętnastu sekcyi. któreśmy wymienili, przydajmy dwudziestą, *Grodzką* czyli stare miasto, obejmującą Kremlin i Kitaj-grod, a mieć będziemy dwadzieścia sekcyi, na które dzieli się starożytna stolica Rossyi. Ludność natłoczona w Kitaj-grodzie nie jest już tak nasiadła w Białym i Ziemnym grodzie, w innych zaś sekcyach, czyli na przedmieściach, domy rozdzielone są znacznemi przestrzeniami, na których znajdują się place, ogrody, sady, stawy, pola i łąki. Bruk ulic nie jest bardzo dobry, często się psuje, wydobywany bywa z kopalni kamiennych w pobliskości Moskwy i z koryta rzeki.

Podług dzieła pana Androssowa, *Statisticzeskéja Zapiska o Moskwe,* było w Moskwie w 1812 roku, 7632 domów, podług raportu guberuatora hrabi Rostopczyna;

W 1832 Pan Andrössow liczył ich 9182, między temi 3127 kamiennych, 6715 drewnianych. Ich wartość oznacza na 200,226,371 rubli assy: dochód z nich na 1,001,181 rubli Podług tegoż autora, jest teraz w Moskwie 288 cerkwi, a między temi 7 katedralnych, parafii 241, klasztorów 21, z tych 14 męzkich a 7 żeńskich, 188 ulic, 635 uliczek, 54 placów, 8 mostów kamiennych, 98 drewnianych. Ludność podług P. Androssow, wynosiła w 1830 r. 305,631 mieszkańców, to jest; duchowieństwa 4946;—szlachty i wyższych urzędników, wraz z ich familiami, 22394;—przybywających na czas nieoznaczony, 19546;—kupców rossyjskich 16210; mieszczan 47,287; — rękodzielników i robotników 12461;—cudzoziemców 2691;—włościan łącznie ze służącemi i czeladzią po warsztatach, 143,969;—wojskowych niższych stopni 27,476;—więzniów w rozmaitych zakładach, 8,651. W 1831 było w Moskwie 9 drukarń i 2 litografie, 4,381 warsztatów, a w nich 35118 robotników i 10,032 chłopców. Pan de Laveau liczy w Moskwie 8,396 sklepów, a tych przeszło 6,000 w samym Gościnnym Dworze — Miasto oświeca 3162 latarni; jest 33 łaźni publicznych, a 600 prywatnych.

Po tym statystycznym wykazie, pozostaje nam szczegółowy opis znaczniejszych gmachów, pomników i zakładów.

Pomniki religijne. Jużeśmy wymienili liczbę cerkwi i klasztorów Moskwy; niepodobna byłoby opisać każden z osobna. Wiele z nich zasługuje na wzmiankę jako pomniki historyczne, albo też zajmuje pod względem położenia, budowy i ozdób; lecz uwagę naszą zwrócimy przedewszystkiem na świątynie najbardziej szanowane, a które umieszczone w środku miasta, liczą się do głównych i najświętszych przybytków narodu.

Katedralna cerkiew Wniebowzięcia (*Uspeński Sobor*) najcelniejsza z pomiędzy wszystkich, taka jaka jest teraz, zbudowana została na rozkaz Iwana III. Wasilewicza, w 1475. Architektem jéj był Bolończyk Ridolfo Fioravanti, którego w Moskwie przezwano Aristotilem. Jest to gmach na pół bizantyńskiej na pół azyatyckiéj budowy, obwód jego jest prawie kwadratowy; małe wysunięcie przeznaczone jest na *sanctissimum* a cztery ogromne filary utrzymują dach nad którym wznosi się wielka kopuła z czterema mniejszemi, w stylu rossyjskim. Cerkiew ta różni się od innych, w których niskie sklepienia przygniatają wewnętrzny obwód, jest wzniosła i jasna, ale dość szczupła; światło pada z wierzchu na malowania *al fresco* na tle złotém, które pokrywają mury i dostatecznie oświeca postacie olbrzymiéj wielkości. Malowania te uskuteczniono na rozkaz Wasila Iwanowicza w roku 1514stym. Kopuły są pokryte miedzią mocno złoconą, nad każdą kopułą stoi krzyż umieszczony na pół księżycu. Gmach ten odnowiony został w r. 1771. na rozkaz Katarzyny IIgiéj i w nim odbywa się koronacya cesarzów. Po prawéj stronie *drzwi carskich*, jest obraz Zbawiciela siedzącego i trzymającego w ręku ewangelią Sgo Jana; obraz ten jak mówią wymalowany był przez cesarza greckiego Emmanuela i aż do roku 1570 należał do kościoła Stéj Zofii w Konstantynopolu. Po lewéj stronie jest obraz Matki Boskiéj Włodzimierskiéj, ozdobiony bardzo kosztownemi kamieniami: obraz ten, cel najgłębszego uczczenia dla Rossyan, malowany był, podług podania, przez świętego Łukasza ewangielistę.

Cerkiew Świętego Michała Archanioła, i *cerkiew Zwiastowania*, założone były w drugiéj połowie wieku 14go lecz odbudowane w 1507 przez medyolańskiego architekta Alewiso, a naprawione na rozkaz Cesarzowéj Katarzyny IIgiéj. W cerkwi Sgo Michała spoczywają zwłoki dawnych władzców Rossyi, zacząwszy od Andrzeja Iwanowicza zmarłego w r. 1253, aż do Iwana Alexewicza zmarłego w 1696. i widać tam długi szereg ich grobowców.

Wzniosły gmach z wysoką złoconą kopułą, tworzy czwarty bok placu, opasanego czterema kościołami Kremlinu; zowią go cerkwią *Sgo Mikołaja Cudotworcy*, służy on raczéj do pomieszczenia dzwonów niżeli do odprawiania modlitw, liczą tam na różnych piętrach 32 dzwonów, a między temi najsławniejszy dawny wielki dzwon Nowogrodu. Przed tym gmachem wewnątrz obwodu, jest wielka brama prowadząca do zamku, zewnątrz zaś leży dzwon największy jaki się znajduje na świecie, wbity w ziemię i przykryty dachem. Dzwon ten odlany został w 1734 na rozkaz cesarzowéj Anny Iwanowny, waży 10000 pudów, ozdobiony jest figurami i napisami, wysokość jego wynosi stop 19ście, grubość ścian 22 cale. W tym dzwonie jest wielka szczerba którą dwie osoby razem wnijśdź mogą. Dzwon ten, wyszczerbił się jak mówią, spadłszy z wieży podczas pożaru. Był on przelany z dawnego dzwonu stłuczonego w pożarze 19 Czerwca 1701 któren ważył 8,000 pudów. Meyerberg zachował rysunek i opisanie dawnego dzwonu. Niektóre z tych 32 dzwonów zawieszone są w rozmaitych piętrach, w osobnéj dzwonnicy zwanéj wieżą Iwana Wielkiego.

Cerkiew katedralna *Opieki Matki Boskiéj*, którą lud nazywa *Wasili Błażennoj*,

*

mieści w obie kilkanaście cerkwi, z których każda ma swoje nazwisko, i dla tego cerkiew ta rozmaite ma imiona w dawnych opisach. Dzieli się na dwa piętra i składa się z dwudziestu kaplic czyli małych cerkwi, dość podobnych jedna do drugiéj, sklepionych i niskich. W jednéj z nich jest ciało Świętego Bazylego. Car Iwan Wasilewicz zwany Groźnym, kazał ją zbudować w 1554. na dziękczynienie Bogu za zdobycie Kazanu. Żaden gmach w świecie nie uderza bardziéj nadzwyczajnością budowy. Nie ma tam żadnego układu; żadna z szesnastu wież i kopuł, wielkich i małych, nie jest podobna do drugiéj, ani kształtem ani ozdobami. Cudowna rozmaitość zadziwia lecz nie obraża smaku, i jest dowodem niewyczerpanéj wyobraźni architekta. Pośród tych wszystkich kulistych kopuł, wystrzela w górę piramidalna dzwonnica przeciężona szczegółowemi ozdobami i kończąca się takąż samą kopułą kulistą, na któréj stoi krzyż na pół-xiężycu oparty, zapewne dla okazania tryumfu wiary chrześciańskiéj nad religią Machometa, wyznawaną przez Tatarów.

Poprzestaniem tylko na wymienieniu innych cerkwi i klasztorów, jako to *Cerkwi Zbawiciela w lasach*, najdawniejszéj ze wszystkich. — *Matki Boskiéj Kazańskiéj* — *W niebowzięcia*. — *Sgo Mikołaja* i t. d.

W klasztorach znajduje się po kilka cerkwi; niektóre są bardzo bogate, posiadają biblioteki, skarbce i ciekawe historyczne malowidła: — jako to: *Klasztor Sgo Szymona*, na cmentarzu którego znajdują się groby najznakomitszych rodzin: — *Nowy klasztor Zbawiciela*. — Klasztor *Daniłowa*, założony przez xięcia Daniela w XIII wieku — *Klasztor N. Panny Maryi Donskiéj*, sławny cudownym obrazem i przepysznemi pomnikami grobowemi: główną cerkiew tego klasztoru otacza pięć pomniejszych.

(*Dokończenie nastąpi*)

EDUKACYA.

O kształceniu charakteru dzieci.

Upadłem, stłukłem się, a nie płakałem, mówił trzechletni chłopczyna, tonem ukontentowania i pychy. Upadł on sam, lecz gdyby go kto był popchnął, nie byłby tego zniósł tak cierpliwie. Jeżeli możesz znaleźć jakowe lekarstwo przeciw dolegliwości, na którą się twój uczeń użala, nie odmawiaj go; lecz jeżeli nic nie najdziesz, trzeba go czém rozerwać; ten tylko jest sposób zrobienia mu ulgi. Trzeba dopomagać dzieciom do rozpoznawania tych dwóch rzeczy, i tym końcem pochwalić je równie, gdy potrafią uniknąć przed nieszczęściem którego się ustrzedz można, jak gdy ulegają nieuchronnéj potrzebie.

W chorobach powinniśmy okazywać im dowody troskliwości i przywiązania, w miarę cierpliwości, z jaką się zachowują: nie potrzeba do tego używać wybiegów. Nic nie jest naturalniejszego w rodzicach, nad tę uprzejmość dla dziecięcia, znoszącego spokojnie swoje cierpienia. Pochwała tych którzy go kochają, jest dla niego rzeczywistém ulżeniem, i nawet innego w jego stanie znaleźć nie można.

Często w pierwszych początkach nauki dziecięcia psujemy jego naturę. Pewnego razu, trzyletni chłopiec uczył się Alfabetu. Zastanowił się długo nad jedną literą stojąc przed swoim ojcem, spojrzał na niego z miną szczerą i zaufaną i rzekł: Kochany ojcze, chciałbym usiąśdź. Ojciec wziął go na kolana, a chłopiec wkrótce przypomniał sobie literę. Gdyby ojciec przymuszał go do stania, dziecko byłoby się rozkwiliło z żalu, lub gniewu, a ta jedna okoliczność mogłaby stać się nasieniem rozmaitych wad na przyszłość. Lecz pokazać dziecięciu chęć dopomożenia mu w jego usiłowaniu, nie jestto przyzwyczajać je do mniemania, iż wyręczamy je w tém, co samo czynić powinno; pierwsze jest czynem kochającego, drugie psującego ojca. Dzieci przyzwyczajone widzieć uprzątaną przed sobą każdą zawadę, rozumieją doprawdy, iż je krzywdziemy odmawiając im czasem téj saméj posługi. Dziecię ciągnące za sobą na sznurku stołeczek zamiast wózka, krzyczy, gdy o podłogę zawadzi, woła o pomoc, bije stołek ze złości. Inne dziecię szuka przyczyny, uważa przeszkodę i tę bez płaczu uprząta. Te dwoje dzieci może mają równą z przyrodzenia cierpliwość; lecz jedno z nich stało się popędliwém i gwałtownem, drugié łagodném i cierpliwem. Co mówiemy o uwadze, powiedzieć należy o stałości: prawdziwą jéj nagrodą jest pomyślne uwieńczenie dzieła. Jeżeli dajemy, lub odmawiamy naszéj pomocy, bez innych pobudek oprócz samego dziwactwa, przekonamy naszych uczniów, iż skutek nie tyle od ich usiłowania, jak od naszéj pomocy zależy.

W edukacyi publicznéj charakter dzieci podpada często zepsuciu przez upor i niesprawiedliwość ich rowienników. Rodzice powinni zapobiegać takim skłonnościom, chwaląc w dzieciach powolność i ustępowanie przed popędliwemi sprzeczkami swoich kolegów. Tym sposobem mło-

dzież uczy się sztuki roztrząsania, która nie pozwala zapędzać się aż do kłótni, a tak zasługuje na pochwałę, jaką *Franklin* dał jednéj młodéj panience: »Otrzymałaś WPanna zwycięztwo w rozprawie, ponieważ ustąpiłaś bez sprzeczki.«

Nauka wstrzemięźliwości w sporach, jest nadewszystko potrzebna kobietom, ponieważ największa moc ich dowodów znajduje się w łagodnym ich głosie i słodkich spojrzeniach. Biada kobiecie, która dowodzi prawdy z wymową *Demostenesa*. Mężczyzna obraszony, może bydź strasznym dla swoich nieprzyjaciół, ale kobieta w zapale, jest nawet przyjaciołom nieznośna i obrzydliwa, utraca prawo do względów użyczanych słabości, a nie może pozyskać tych, jakie siła dowodów przynosi. Ta uwaga jest dostateczną dla okazania, jak jest niebezpieczne dla szczęśliwości kobiet to prawidło, ażeby im dadź wspólną z mężczyznami edukacyą, pod pozorem, iż natura dała im równe prawa. Czemże są te równe prawa w porównaniu z uszczęśliwieniem? Wychowujmy kobiety tak, żeby były szczęśliwe w stanie, jaki im jest przeznaczony. Ułożenie i charakter są w nich rzeczą tak ważną, iż w kształceniu ich nie można zbytecznego dokładać starania. W biegu życia przeznaczone do znaczniejszych ofiar swojéj wolności, dziewczęta powinny bydź wcześnie do większego usposobione przymusu. Trzeba, ażeby się nauczyły znosić lekkie nagany bez użalenia się i smutku. Należy bez wątpienia, wysłuchać lecz razem pokazać, iż nie masz dla nich pewniejszego sposobu poparcia swoich dowodów, jak w jednostajnem łagodności zachowywaniu. Znajdują się mężczyzni, których pierwsze zapędy są niezmiernie gwałtowne, lecz którzy są tak wspaniali i dobrzy, iż im przebaczenia odmówić nie można. Doktor *Swifft* był nadzwyczajnie popędliwy, atoli miał służących zawsze do siebie przywiązanych, gdyż postrzegłszy się w swoim gniewie, sowicie im połajanie płacił. Kobieta któraby była dobrą w sposobie Swiffta, możeby była kochaną od służących, ale dla męża i dzieci stałaby się męczarnią. Bardzo trzeba zapobiegać, ażeby młoda dziewczyna nigdy nie myślała, iż niedostatek łagodności, można nagrodzić inną jakową cnotą.

Lord *Kames* mówiąc o ojcu wychowującym swoje dzieci, wyraża, iż miał trzy córki, od dwunastego do szesnastego roku. Chcąc je przyzwyczaić, ażeby bez szemrania widziały zawiedzione swoje nadzieje, często dla zabawy obiecywał im jaką przejażdzkę, lub odwiedziny, które im były przyjemne. Już konie były zaprzężone, już panienki przybrane w najparadniejsze stroje, czekały na zajechanie powozu, gdy nagle ojciec odmienia swoje postanowienie. Był to zawód okrutny, lecz ponieważ jego przyczyna była tylko skutkiem dziwactwa, a nie wypływała z natury rzeczy, mogła rozdraźnić serce, zamiast ułagodzenia humoru. Pokazywać rzeczy takiemi, jakiemi nie są, nie jest najlepszy sposób ukształcenia charakteru, jako i wydoskonalenia rozsądku.

Humor kobiety zależy wiele od jéj rozsądku, i gdy młodéj dziewczynie dajemy przesadzone wyobrażenia o jakich rozrywkach światowych, gotujemy jéj przykrości bez końca. Nie potrzeba, mówimy, ażebyś żałowała tak małéj rzeczy: pozbawienie się tego, czego płaczesz, jest fraszką; lecz nie należało przyzwyczajać dziecięcia do przeciwnego wyobrażenia. Trzeba pracować nad rozsądkiem, trzeba wystawić rzeczy w odmiennym widoku, ażeby zapobieżeć żalom, i uprzedzać niesmaki. Wystawmy sobie panienkę, która nigdy nie widziała maskowego balu, a wyobraża go sobie, jako widowisko najrozkoszniejsze. Nieprzewidziana przeszkoda nie pozwala na bal wyjechać, trzeba się więc wyrzec. Na próżno jéj powtarzają, iż to jest fraszka, nie warta ażeby jéj żałować. Uwiedziono w téj mierze jéj rozsądek, i zapalono imaginacyą, a tego jednem słowem naprawić nie można.

Pozwolmy dzieciom wszelkich uciech, jakich skosztować są w stanie, byle tylko przyszłość nie stała się ofiarą chwili obecnéj. Na tém prawidle ustanowione rozkosze, nie mogą skazić ich duszy i szkodzić charakterowi.

Z ufnością podajemy naszym czytelnikom te przepisy, ponieważ skutek pomyślny usprawiedliwił onych przystósowanie na wielkiéj liczbie dzieci, od trzeciego do piętnastego roku. Były wszystkie tak szczęśliwe, jak tylko wiek ich pozwolił: nigdy ich na niepewne nie wystawiono proby, i nie masz z nich żadnego, któreby jakowemu dziwactwu podlegało.

POEZYA.

Hej, hejsa, wesoło,

JARMAREK.

(*wiersz J. N. Kamińskiego*).

Rojno, tłumno, jak nabito,
Wszystko w targu, wszystko w swarze;
Pieszo, wozem i karétą,
Pełno ludu na bazarze.

Huczą kramy, stajnie, domy,
Pogwar w każdym zakamarku;
Słowa niesie wiatr bez komy,
Sens zawiły na jarmarku.
Ten przedaje, ten nabywa,
Ten chce drogo, ten chce tanio;
Jakem poczciw, każdy śpiewa,
Wszyscy zacni, choć cyganią...

Pajazzo.

Panowie i panie! najpiękniej prosimy!
W tej budzie dość miejsca, w niéj wszystkich zmieścimy.
Dwa dytki nie wiele, rozważcie to przecie,
Już tańszej zabawy nie znajdzie na świecie!"
Tak głosi Pajazzo, siedzący na budzie,
I bębni i trąbi—już biegną i ludzie,
I wielki i mały dwa dytki już wtyka,
I w budzie prześliczna zagrzmiała muzyka.
Już małpa po linie wiezie małpę w wózku,
Już druga z bębenkiem tańczy po francuzku,
Już niedźwiedź uczony, przewraca koziołka.
W publice śmiech wielki od kołka do kołka!
Już Hancwurst wyskoczył z Marjandlą do dzieła,
Już trząsł ją w policzek; harcap mu ucięła!
Już krzyku nie wstrzymać, już brawa bez miary.
Od śmiechu się kładzie i młody i stary!
Sam tylko Pajazzo, ta dusza publiki,
Coś dzisiaj nie swoim, nie dba na okrzyki.
„He, hola, Pajazzo!" krzyknie majster z góry,
„Już śmiech się rozpasał, ty stoisz ponury?"
„Czyś chory, hultaju, czy gardło twe pości?
Rusz dowcip z kopyta, baw mi zaraz gości!—
—Hej, hejsa" podskoczył i krzyknął Pajazzo,
„Nie prawdaż, żem wesoł, że przydam się na co?"
Choć radość udawał, oko zaprzeczyło:
Jak zmarłe, strętwiałe, nie widząc patrzyło.
Daremnie na rozśmiech swe chęci wywierał,
Żart nie szedł mu z serca, na ustach umierał!
Zasłona zapadła—koniec widowisku.
Publika Pajazza wzywa po nazwisku,
Wychodzi i patrzy w swój kołpak spiczasty;
„Co powie!" ciekawe najbardziéj niewiasty
Bo zawsze gdy wyszedł, śmiech zewsząd zaszumiał;
A teraz—jak gdyby trzech zliczyć nie umiał,
„I cóż mu takiego, i cóż mu się stało?
„Tu idzie, patrzajcie, jak idzie nieśmiało."

Pajazzo śród widzów, dziećmi otoczony—
Czekają żerciku, jak ziarnka gawrony.
On kołpak ma w ręku, łzę z oka ociera,
I cicho, żałośnie, tak usta otwiera:
„O! zacni panowie! łaskawe panicze!
„Ja żebrać nie umiem—ani sobie życzę—
„Lecz muszę, Bóg świadkiem, bo mam żonę chorą,
„Ach! chce mnie opuścić i dziatek pięcioro!
„A bez niej—my biedni—nie ma nam pociechy,
„Tam ciężko złożona—ja tu robię śmiechy.—
„Przez litość, panowie, rzućcie groszy kilka,
„Już może zapóźno!" to rzekłszy umilka.
„He hola Pajazzo! czy mam znijść do ciebie?
„Ty widzę chcesz płacy o leżanym chlebie?
„Czy śmiać się nie umiesz, chcesz mojéj nauki?
„Tak woła ze sceny mistrz nadobnéj sztuki—
„Hej hejsa wesoło! będą nowe zbytki,
„Kto chce je oglądać, niech daje dwa dytki!"
Tak wzywa Pajazzo—aż tu jednym razem,
Wrzask budę przeleciał, on stanął jak głazem.
I jakaś dziewczynka łachmany otkana,
Wprost bieży do niego, ściska mu kolana,
I woła; „Ach! ojcze, nasza mama blada,
Chociaż ją wołamy, nic nie odpowiada!"
Tym gromem uderzon, jak piorunem w ciemię,
Kołpak z rąk wypuszcza, groszem sieje ziemię,
W słup oczy stanęły, boleść serce zwarła,
Członkami wstrząsł strasznie i krzyknął—„Umarła!
Skończyłaś,, Heleno!—Twoja wola Boże"
Chwieje się—opiera—już ustać nie może—
„He, hola, Pajazzo, co ty dzisiaj broisz?"
„Czy wróble chcesz straszyć, że jak bałwan stoisz?"!
Tak mistrz sztuk nadobnych odezwie się z krzykiem
I trzaska Pajazza z leciutka biczykiem.
Pajazzo się ocknął, i otarł pot z czoła—
„Hej hejsa wesoło!" dziwnym głosem woła;
„Panowie i panie! najpiękniéj prosimy!
„W téj budzie dość miejsca, wszyscy się zmieścimy.
„Trzy łokcie, nie wiele—tam pokój prawdziwy
To mówiąc upada—„Ach ojcze!" nie żywy!
Już w budzie ucichło—Już scena w chałupie;
Na słomie, patrzajcie, trup leży przy trupie.
Ich wieńcem w około—pół nagie dziecięta,
Przeczuciem swéj straty złożyły rączęta

Na goździu kołpaczek, na nim oręż z gonty;
Przy ciele z dziadami cztery puste kąty;
W świeczniku groszowa dogorywa świca;
Z zapieca ciekawa wgląda uczennica,
Noc razem ze świerszczem pieśń głuchą śpiewała,
Publiki nie było, a ma'pa się śmiała.

LITERATURA. (1)

I.

Stosownie do przyrzeczenia któreśmy uczynili w przedostatnim zeszycie Muzeum z roku zeszłego, zaczynamy zarys liteatury naszéj. Zapatrywanie się na płody myśli człowieka, jest teraz daleko wznioślejsze i rozciąglejsze jak dawniéj. Krytycy z końca wieku zeszłego, a zwłaszcza szkoły francuzkiéj, oceniali dzieła wymowy i poezyi, podług utworzonych a priori zasad o piękności, podług nich wymierzali naganę i pochwałę, bardzo mało mając względu, jaki wpływ wywarł na autorów i na ich płody, owczesny stan cywilizacyi i na wzajem jak ciż autorowie mogli działać na wiek, w którym żyli. Przekonano się teraz, że historya literatury jest aż nazbyt czczą, niedostateczną, błędną nawet, jeźli ją od historyi cywilizacyi kraju oddzielimy, że raczéj nie jest ona niczém innem tylko samą historyą cywilizacyi, jest cząstką wielkiego obrazu historyi ludów i krajów, nad któréj skreśleniem pracują najuczeńsi wszystkich narodów mężowie. I dla tego nie spuszczając z pamięci téj zasady, zarys nasz jakkolwiek niedokładny, nie zacznie się jak to bywało dawniéj, od pisarzy 16go wieku, ale najprzód przedstawimy czytelnikom to, co dotąd dało się wyszukać, wydobyć i dorozumieć, o stanie oświaty i nauk, zasięgając najdawniejszych czasów: który to przedmiot, jest teraz bezprzestannym celem pracy naszych gorliwych i uczonych badaczy, jako to W. A. Maciejowskiego, K. W. Wojcickiego, L. Łukaszewicza i innych.

Ze wszystkich ludów Europy, żaden nie zachował tak mało zabytków z odległéj przeszłości, jak szczęp Sławiański, a my pomiędzy Słowianami. Hiszpanie, Włosi, Francuzi, Niemcy, Szkoci, mieszkańcy Skandynawskiego półwyspu, posiadają zbiory starożytnych podań, pieśni, dum, powieści rycerskich i bajecznych, będących zrzódłem natchnienia dla poetów z późniejszych wykształceńszych wieków. U ludów Słowiańskich, dopiero w początku bieżącego stólecia, szczęśliwy traf połączony z niezmordowaną gorliwością uczonych, wynalazł *Królodworski rękopism Czechów*, *wyprawę Igora xięcia ruskiego na Połowców*, zbiory pieśni Serbskich: te pamiątki ich ciągłych wojen z Turkami: pieśn: ruskie z Podola i Ukrainy, i szczupłą liczbę naszych nadwiślańskich pieśni ludu. Z tych, Rossyanie i Czesi posiadają najcelniejsze zabytki, prawdziwym duchem poetyckim tchnące, po nich następują Serbowie, my co do zbiorów naszych w trzecim rzędzie stoimy. Niechaj to jednak nie odstręcza szacownych wyszukiwaczy tych zabytków; może tak, jak się stało z rękopisem Królodworskim, spoczywa w jakim zakątku kościelnym, albo w wiejskiém ustroniu, starożytny pargamin, któren hojnie wynadgrodzi dotychczasowe zachody. Nie ma ludu, któryby nie posiadał swoich podań, bajecznych w obrazach i szczegółach, lecz na tle historycznem opartych, swoich pieśni, swoich bohatyrskich rapsodii. I nasi naddziadowie mieli je bez wątpienia; napotykamy ich wzmiankę w kronikach. Główną przyczyną ich zatraty było wprowadzenie obcéj cywilizacyi, która przyszedłszy do naszego kraju razem ze światłem prawdziwéj wiary, szybko objęła wyższe stany społeczeństwa, wpoiła w nie pogardę, a nawet wstręt do pieśni, podań i obrzędów, uważanych jako zabytki pogaństwa, a przez to nie zachowania ale wytępienia godnych.

Zaprowadzenie języka łacińskiego, używanie go we wszystkich aktach publicznych, znajomość pisma posiadana zrazu przez samych cudzoziemców, późniéj zaś przez tych którzy nie umieli cenić pomników z czasów przed chrześcijańskich, trudność dostania materyałów piśmiennych, co raz to większe odstrychnięcie się panów od wieśniaków, a napływ cudzoziemców do miast: wszystkie te okoliczności jednocześnie działające, tak grubą zasłoną pokryły nasze słowiańskie zabytki, iż literatura nasza dopiero w szesnastym wieku zaczęła się zjawiać i to jeszcze nie na krajowych podaniach oparta, nie z krajowych zrzódeł czerpana, nie ożywiona słowiań-

---

(a) Wydowca oceniając chwalebne prace uczonych wszystkich narodów słowiańskiego plemienia, nad językiem, literaturą podaniami i zwyczajami téj wielkiéj gałęzi rodu ludzkiego, poczytuje za obowiązek upowszechniać ich postrzeżenia, w piśmie, które z powodu układu swego i nizkiéj ceny, przystępne jest ogółowi publiczności, i dla tego, po skreśleniu zarysu literatury polskiéj, umieści następnie zarys literatury rossyjskiéj i czeskiéj.

sko-polskim duchem, lecz zupełnie naśladownicza, podług łacińskich a trochę podług włoskich wzorów. Ślady i wzmianki o płodach poprzedzających wiek Reja i Kochanowskiego, poznachodzone w kronikach i innych zrzódłach, przedstawimy czytelnikom; wyczerpaliśmy je z rozprawy P. W. A. Maciejowskiego. p: t: *Nauki i sztuki piękne aż do czasów Kazimierza W.* i z innych.

Nie mamy żadnych zabytków języka, aż do połowy XIV. wieku. W. A. Maciejowski przekonał się, zebrawszy porozrzucane po kronikach i urzędowych aktach wyrazy polskie, iż co do oznaczenia i zewnętrznej swojej postaci, miała mowa nasza wyrazy częścią też same co dziś, częścią do dzisiejszych albo zupełnie albo wielce podobne. Te wyrazy porównawszy z takiemiż w języku czeskim i ruskim, dostrzegł, że im odleglejszych czasów sięgają dyalekta słowiańskie, tém są więcéj do siebie podobne, co wielkie światło rzuca na jedność jaka wówczas też ludy połączała. I tak, przydomek *Chrobry* używany był równo u Polaków jak u Rusinów. Wyraz *Bolesław* oznaczał człowieka większej nad innych sławy, *bolszaja sława*, jak mówi Dytmar. W Gallu, Kadłubku, Bogufale, znajdujemy wyrażenia i imiona *gniazdo*, *ceber*, *dobrowa*, *Mesko*, *rostoki*, *swanowo* czyli *zwanowo*, *Zemomysł*, *gerzmo* czyli *jarzmo*, *Wanda* czyli *Wenda*, *Semowit* (od wyrazu mówić, mowa). W akcie urzędowym 1250 czytamy wyrazy *ciosna* (znak graniczny) ztąd i dziś zowiemy zaciosy, *poyedzum* (pójdziem). W Długoszu jeszcze więcéj znajdziemy takich wyrazów, lecz autor ten jako późniejszy, mniej jest ważny co do badań nad najdawniejszym językiem.

O pieśniach przed zaprowadzeniem religii chrześciańskiej, mamy tylko krótką wzmiankę w historyku Bogufale. Jeden z niemieckich xiążąt, mówi ten kronikarz, ujęty pięknością Wandy córki Krakusa, śpiewał iż mocą swych wdzięków gotowa była podbić pod swoje panowanie morze, ziemię i powietrze. Z czasów chrześciańskich są pewniejsze ślady poezyi. Podług P. W. A. Maciejowskiego i Lesława Łukaszewicza, znajdujemy w kronikarzu Marcinie Gallu zachowany w języku łacińskim a śpiewany niegdyś w polskim *Tren na śmierć Bolesława W.* w tymże wzmiankę o *pieśni na cześć Bolesława Krzywoustego*; — śpiew o Kazimierzu Iszym, — śpiew o ubogim xiędzu obdarzonym przez Bolesława szczodrego; — pieśń do Sgo Jakuba o uproszenie potomstwa Judycie i t: d: lecz recenzent w Kwartalniku krakowskim, (Tom 1 zeszyt I.) wzbudza powątpiewanie o autentyczności pieśni przy- toczonych przez Marcina Galla i mniema że one są tylko deklamacyą kronikarza lubiącego popisywać się z dowcipem swoim. Cóżkolwiek bądź, liczne wzmianki napotykane w dziejach, wskazują żeśmy posiadali w owych odległych wiekach pieśni historyczne i religijne; takiemi były pieśń na powrót Kazimierza Igo. Pieśń o Ludgardzie. Jakoż przez analogią z innemi ludami, ani wątpić o tém nie można. Im bowiem rzadszém jest albo też wcale nieznajomém pismo, tém więcéj pieśni upowszechnia się w kraju i dochowuje pamiątkę ważnych zdarzeń. Dopiero za upowszechnieniem pisma, część podań i pieśni przechodzi w kroniki i zbiory, reszta ginie mgłą niepamięci zakryta.

(*Dalszy ciąg nastąpi*)

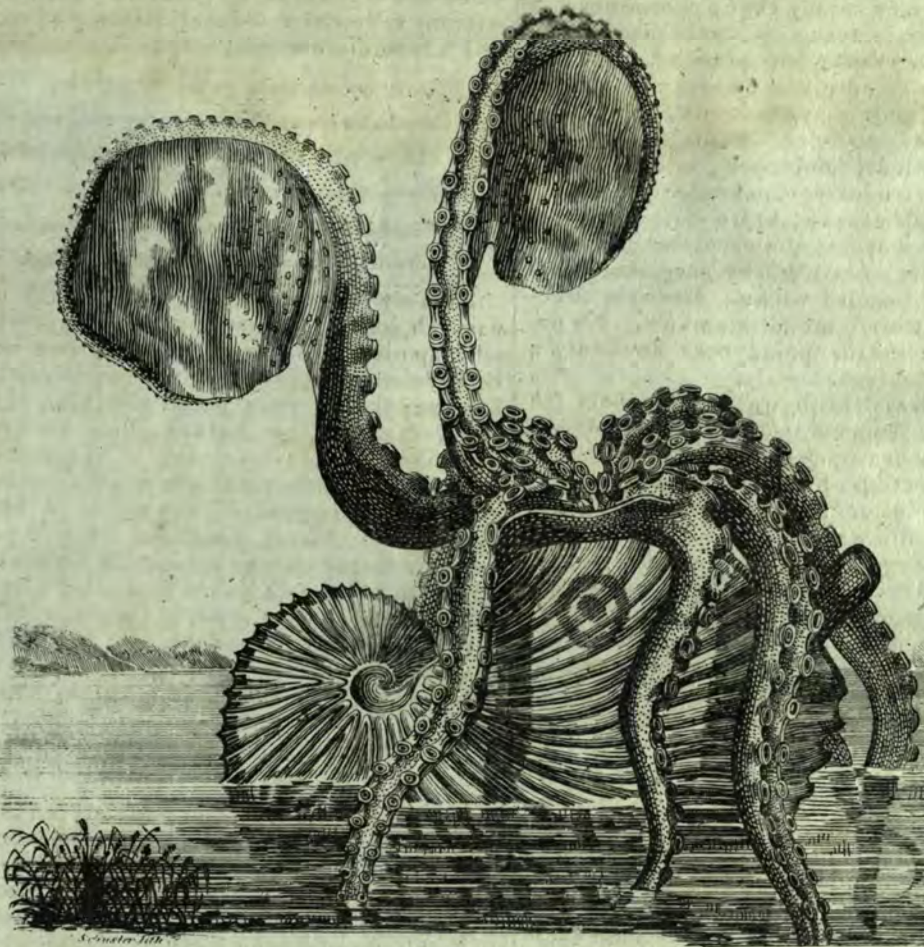
SONET.

Widziałem wczoraj, błądząc po nad brzegiem rzeki,
Jak nić z swéj piersi pająk wywijał z pośpiechem,
I wiatru ją powierzył, który swym oddechem
Chwycił ją, i niósł górą aż na brzeg daleki.

Zawiesił ją na drzewie; jakby po drabinie
W ten czas pająk po lekkiéj nici śmiałym krokiem,
Szybko, bezpiecznie przebiegł nad groźnym potokiem
I stanął na nieznanéj mu dotąd krainie.

Znowu z drzewa do drzewa lekki most budował,
Pił rosę, liść wysysał, wesoło wędrował,
I tak go co raz daléj prowadzi ta droga.

Mędrzec jest tym pająkiem, rzeką fale świata,
Drzewem dalekiém prawda, nitką myśl skrzydlata,
A wiatrem, co myśl niesie, jest natchnienie Boga.—



ŻEGLAREK (*ARGONAUTA ARGO*).

ŻEGLAREK (ARGONAUTA ARGO).

Z pomiędzy głowonagich miaczaków, Żeglarek (*Argonauta argo*) zasługuje na szczególniejszą uwagę. Skorupa jego jest symetryczna, bardzo cienka, tworząca trąbkę, której okręg tak jest wielki w stosunku do innych, iż podobna jest do szalupy, którejby ta trąbka tworzyła rufę i dla tego zwierzątko używa jéj, jako statku.

Argonaut bardzo lubi podróżować, lecz podobnież jak wszystkie miaczaki, ma ruch niezmiernie powolny i gdyby tak chodził albo pływał, jak inne zwierzęta téj gromady, uszedłby przez dzień cały, maleńki tylko kawałek drogi. Gdy morze jest ciche a dzień pogodny, wypływa na powierzchnią morza i wylewa wodę znajdującą się w jego skorupie; przez co staje się tak lekką, iż może pływać jak muszla. Wówczas rozwija sześć swoich ramion, wyciąga je zewnątrz boków swego statku i używa jako wioseł. Podnosi dwa inne ramiona szerokie i błonowate i wystawia je na wiatr jak dwa żagle, tym sposobem płynie dopóki mu się podoba, kierując się dokąd chce, za pomocą swoich wioseł. Za zbliżeniem się burzy, albo innego jakiego niebezpieczeństwa, zwija żagle swoje i wiosła, i chowa je w skorupę, zanurza się na dno morza, a tam ukryty w piasku między skałami, czeka dopóki burza nie przeminie.

ANEKDOTY O KRASICKIM.

Nie wszyscy mamy chęć, sposobność, i nie wszyscy jesteśmy w stanie pisania pamiętników; rzadko się przecież znajdzie taki, któryby od ojców swoich nie słyszał jakiego zajmującego zdarzenia, jakich dowcipnych odpowiedzi dawniejszych osób, jakich powieści gminnych, miejscowych, familijnych, i jakiego nakoniec opowiadania dawnych czasów, które dotąd rozproszone giną marnie, umieszczone zaś w jakiém piśmie, ułatwiałyby skreślenie charakterystyki osób i wieku. Radbym zwrócił na nie uwagę moich ziomków. Na początek przesyłam pojedyncze anekdoty z życia Krasickiego.

Długo Krasicki bywał ulubieńcem tak Stanisława Augusta, jak i Fryderyka Wielkiego. Za przybyciem jego do Potsdamu, przeznaczył mu Fryderyk pokoje, które dawniéj Wolter zamieszkiwał, mówiąc, iż czyni to dla wzbudzenia w nim natchnienia do nowego dzieła poetycznego. Utrzymują współcześni Krasickiego, że wierny wezwaniu króla, celniejszego z dzieł swoich tamże dokonał, a monarcha nie raz z żartem oświadczał, że i on jest w części twórcą poematu Polskiego. Znana nam jest dowcipna odpowiedź Krasickiego, dana Fryderykowi względem obciętego płaszczyka. Słowem, wszystkie nam znajome szczegóły pobytu jego w Potsdamie, dowodzą, ile miłym był królowi, i jak swobodnie tamże przepędzał chwile. Raz przecież niepomnę, czy z Warszawy, czy też z Potsdamu, mniéj zadowolniony wracał do Heilsberga, a przez czas popasu w jednéj wiosce przechadzając się blisko wodnego młyna, takie na nim skryślił i zostawił wierszyki:

Życie na świecie jak woda przy młynie,
Wznosi się, szumi, upada i ginie.

Krasicki w czasie pobytu swego w Warszawie, zapraszał nieraz na obiady celniejszych wówczas poetów. Na jednym z tych wszczęła się rozmowa o wpływie poezyi na życie ogółu. Przyznawano Krasickiemu, że walcząc bronią smieszności, z wielu przywar kraj swój uleczył. »Może być,« rzekł Kracicki, »lecz cóż dotąd uczyniono na wykorzenienie gęszczących się zbrodni? Gdybym miał siłę i czerstwość stylu Naruszewicza lub Trębeckiego, nie małobym był gromów naciskał. Wstydem jest prawdziwie, że dotąd nic dość jędrnego w téj mierze nie mamy.« Mamy, zawoła, jeden z obecnych. Znam ja wiersze, którychby nam każda pozazdrościła literatura; i przytoczył wyjątek z satyr Krasickiego.

To Juwenal! krzyknie Krasicki.—Nie Juwenal, ale Krasicki, który tyle pięknych dzieł utworzywszy, mógł kilku własnych wierszy zapomnieć.—Jeżeli istotnie są moje i zapomniałem ich, odpowie Krasicki:

Chylącego się wieku zwykle to przywary,
Wzniosłeś mnie jak poetę, przypomniał żem stary:
Słabym tylko płomyczkiem dawny ogień pała,
Zerwana już ta struna, co dźwięk ten wydała
Niegdyś rzeka spieniona, dziś strumyk wąziutki,
Pomruczeć tylko mogę, i to na czas krótki.

Ktokolwiek przed czterdziestu laty po naszych jeździł drogach, pamięta zapewne ich stan nieszczęśliwy, a zwłaszcza owe wąskie grobelki i węższe jeszcze na nich mostki. Zawsze prawie była przed mostkiem kałuża, za mostkiem kałuża, bale zaś prawie nigdy nie przybite, tak, iż koniecznie trzeba było samym środkiem mostku jechać, aby się nie przeważyć i nie wpaść w błoto po uszy. W tak smutném właśnie położeniu zastał starego szlachcica Krasicki, objeżdżający swoje dobra Biskupie, a rozkazawszy służącym wydobyć mały wózek, tak się odezwał do podróżnego: złe panie bracie mamy drogi, a gorsze pono jeszcze mosty. Ita est, reverende Domine, odpowiedział szlachcic, nieznający Krasickiego. Noster episcopus est bonus episcopus, sed malus pontifex.

Zaproszony raz został Krasicki na łowy, gdzie w gronie polujących znajdował się i S...., kawaler Maltański, znany z nadzwyczajnie krótkiego wzroku. Kiedy więc wszyscy zajmowali swoje stanowiska w kniei, wyznaczono i dla S... jedno, najmniéj znaczące, z pewnością, że żaden zwierz na niego wyjść nie może. Lecz jakież było wszystkich zadumienie, gdy wśród powszechnéj jeszcze ciszy, usłyszano nagle strzał w stronie S..., a po nim krzyki przeraźliwe. Pewni, że kawalerowi naszemu zdarzyło się nieszczęście, biegną ku niemu z przestrachem, który wkrótce w najweselszy śmiech się zamienił. Zaledwie bowiem stanął S... na swojém miejscu, usłyszał jakiś szelest w krzaku, a pewny, że w zwierza uderzy, strzelił, i śpiącą tam babę ugodził. Nagrodzono sowicie babinę, zaledwie draśniętą, a Krasicki natychmiast improwizował czworowiersz, stosowny do okoliczności, i bardzo dowcipny, szkoda że go nie mogę umieścić, gdyż zupełnie wyszedł mi z pamięci.

OSWOBODZENIE POMPIARZA DUFAWETA,

Przed kilkoma miesiącami, przerażające zdarzenie ogłoszone w pismach publicznych francuzkich, wzbudziło powszechne zajęcie. — W Champwert nie daleko Lugdunu, pompiarz imieniem Dufawet, zasypany został w głębokości 62 stóp, przez oberwanie się piasku i cembrowania. W krótce przekonano się iż żył jeszcze, zdołano spuścić mu przez kawały cembrowiny, które zatrzymały się nad głową jego, tyle pożywienia, iżby mógł pozostać przy życiu i natychmiast zaczęto ratować go, kopiąc drugą studnią obok téj, która się zarwała. Na nieszczęście, grunt składał się z piasku niezmiernie rzadkiego, i praca postępowała bardzo zwolna, codziennie mniemano, że już można będzie oznaczyć dzień, w którym nieszczęśliwy pompiarz uratowanym zostanie i codzień nowe przeszkody przy kopaniu zachodzące, pomnażały trudność i oddalały chwilę ocalenia. I tak, w chwili gdy studnia zaczęta przez pompiarzy współtowarzyszów Dufaweta, doszła do téj głębokości w któréj znajdował się nieszczęśliwy, zarwała się i stała się na nic nie przydatną. Jedyną wówczas miano nadzieję w studni, którą kopali robotnicy inżynieryi. Pracowali bezpieczniéj, lecz daleko wolniéj, a publiczność przejęta politowaniem dla człowieka zakopanego żywcem, z utęsknieniem spoglądała na ich pracę. Czas upływał i czternaście dni naliczono, nim można było powiedzieć: »Jutro przecież ten nieszczęśliwy ocalonym będzie.« Obawa powiększyła się w tych ostatnich godzinach; oznajmiono bowiem, iż będzie to najniebezpieczniejsza chwila.

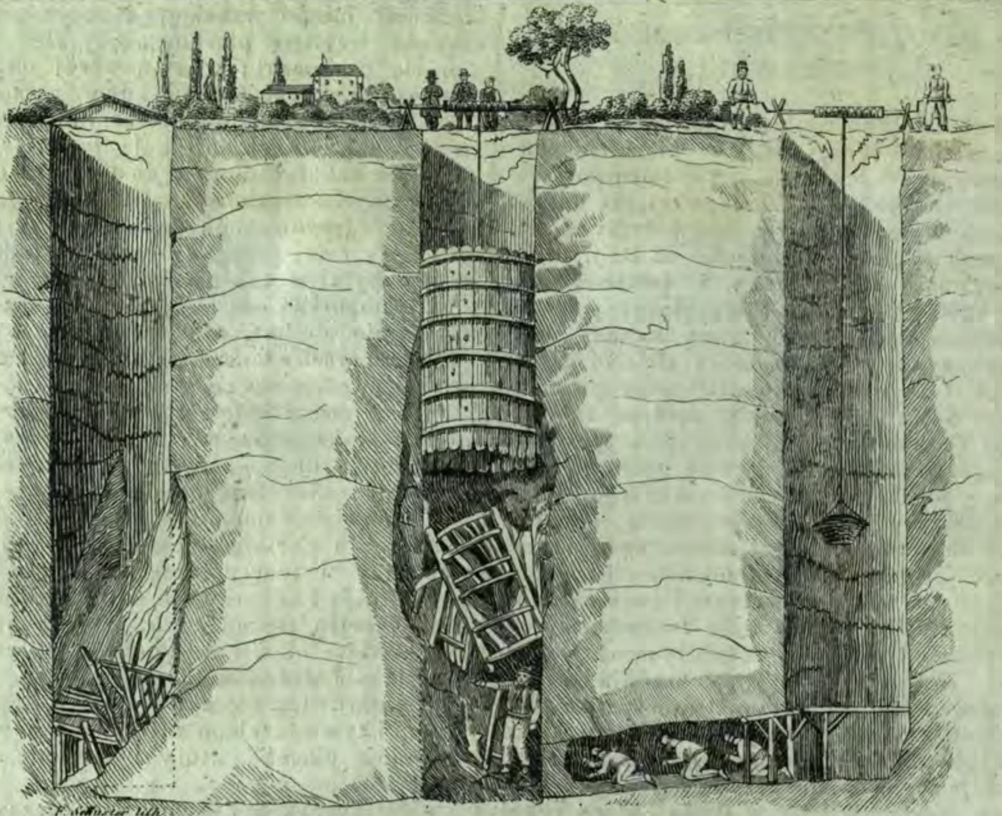
Rycina należąca do tego artykułu, wystawia w środkowéj studni stojącego Dufaweta, nad którego głową zatrzymane kawały cembrowiny, ochroniły go od śmierci; studnia zarwana po lewéj ręce, jest ta, którą bezskutecznie wykopali pompiarze; studnia po prawéj ręce jest dziełem inżynieryi i widać jak kopią galeryą przez którą zamyślają wydobyć nieszczęśliwego robotnika.

Już tylko kilka calów oddzielało ich od niego, lecz bydź mogło, że przy rozkopaniu téj słabéj ścianki, zarwą się kawały cembrowiny cudownym i opiekuńczym sposobem, zatrzymane nad głową jego i piasek z gwałtownością spadający, zadusi ofiarę wprzódy, nim zdołają zrobić tak znaczny otwór, iżby go można przezeń wyciągnąć; wiedziano przytem, że deski otaczające go, powiększały trudność wydobycia i dla tego myślano użyć hazardownych i nagłych środków; miano przeciągnąć sznur przez ostatnią warstwę piasku, ażeby Dufawet nim się przepasał; w stanowczéj chwili miał sobie zakryć twarz rękoma, a sapery gwałtownem pociągnieniem sznura, byliby go wywlekli do horyzontalnéj galeryi. Oswobodzenie uskutecznionem zostało bez tych ostatecznych sposobów. Dufawet przyszedłszy do zdrowia, opowiedział wszystkie szczegóły swéj przygody i czternastodniowego pobytu, w tak okropnem położeniu.

»Byłem mówi on, przy otworze studni; o godzinie siódméj rano, gdy jeden z moich towarzyszów kazał wyciągać się czemprędzéj, wołając iż się studnia zarywa. »*Ba* rzekłem, *jeszcze będę mógł spuścić się po mój koszyk.* I kazałem aby mię spuszczono. W połowie drogi usłyszałem iż spadały kamienie; niecofnąłem się mimo tego i dostałem się na dół, włożyłem dwie deski w koszyk i chciałem kazać się wywindować, gdy w tém usłyszałem trzask nad głową moją i zobaczyłem że pięć cembrowin złamało się od razu. Krzyknąłem, lecz w tejże chwili zasypała mię ziemia i nic już nie widziałem.

»Cembrowina zatrzymała się w poprzek studni i tym sposobem zatrzymała nad głową moją piasek, który byłby mię zasypał.

»Mój koszyk był jeszcze przywiązany do sznuru, na którym się spuściłem. Miejsce gdziem był zamknięty, miało siedem stop wysokości pierwszego dnia, lecz ta przestrzeń zmniejszała się co raz bardziéj, a trzeciego dnia opuszczanie się desek i osypywanie się ziemi zniewoliło mię zostawać w tém przykrem położeniu, w którém byłem aż do chwili gdy mię uwolniono. Moi towarzysze, którzy pozostali na górze, pociągnęli sznur rozumiejąc iż mię tym sposobem ocalą, lecz koszyk pociągnięty aż do desek wstrząsał je i osypywał ziemię. Poznałem wówczas że go nie wyciągną do góry; nawet siła dwudziestu wołów byłaby tego nie dokazała. Moi biedni towarzysze rozumieli żem już zginął, gdyż przestali ciągnąć sznur. Wówczas pociągnąłem go do siebie i bojąc się aby drugi raz nie czynili tegoż samego usiłowania, lecz wkrótce znowu zaczęli ciągnąć. Wtenczas odciąłem sznur nożem i dobrzem zrobił. Sznur zniknął, zrobiwszy mały otwór przez któren spadał piasek... Na szczęście kamień zamięszał się i zatkał dziurę, stałem przy jednéj stronie studni, plecami oparty o ziemię, a nad moją głową była zarwana ziemia; piasek i kamienie spadały na mnie. Piasek ten zawadzał mi, musiałem udeptywać go nogami, a tym sposobem, byłem mimo woli mojéj wyniesiony ku deskom tworzącym



OSWOBODZENIE POMPIARZA DUFAWETA.

sklepienie nad moją norą. Trzeciego dnia już byłem tak wywyższony, że musiałem schylić się i umieścić następującym sposobem. Prawę nogę miałem zgiętą pod siebie, lewą wyciągniętą obok koszyka, prawe kolano pod lewém, ciało złożone, lewą łopatkę opartą o dwie deski cembrowin, a głowę pochyloną ku lewemu ramieniu; ręce miałem prawie wolne, mogłem je do połowy wyciągnąć, a głową dotykałem się sklepienia, które się tak cudownie w koło mnie utworzyło.

— Lecz jakimże sposobem, spytano się, mogli rozmawiać z tobą? Jakim sposobem dochodziło do ciebie powietrze potrzebne do oddychania?

»Czując iż ciągle piasek spada mi na głowę, wniosłem iż tam musi bydź dziura. W sobotę rano o drugiéj godzinie, usłyszałem iż na mnie wołają z góry; odpowiedziałem. *Szukajcie po tej stronie, gdzie jestem, od strony drzewa wiśniowego, musi tam bydź otwór.* Skoro go tylko znaleziono, rzekłem iż mam odwagę, lecz że trzeba postępować ostróżnie. Prosiłem pić, cierpiałem głód, ale jeszcze bardziéj pragnienie; powiedziałem po tém ażeby mi spuszczono sznurek, przywiązałem do niego woreczek z pieniędzmi i kolczyki dla mojéj żony. Dopiero w sobotę, o szóstéj wieczorem, spuszczono mi buteleczkę napoju, wielką przyniósł mi ulgę, lecz ilość była bardzo mała. W niedzielę spuszczono mi rosołu i wina, lecz i to było niedostateczne, zjadałem korki, postrzeżono to i odtąd spuszczano butelki bez korków, zatkane liściami winnemi, które także zjadałem.

»Dni i nocy mogłem liczyć za pomocą muchy, która była w mojéj jamie. Pierwszego dnia usłyszałem iż przyleciała od strony mojéj głowy i brzęczała w koło mnie; gdym jéj nie słyszał wniosłem że już noc była. Co dzień przylatywała o wschodzie słońca, siadała mi na głowie, na rękach, a nawet na pożywieniu, wieczorem już em jéj nie słyszał. Ach! ileż razy, myślałem sobie: *Szczęśliwa mucho jakże bym chciał podobnie jak ty przejść przez ten mały otwór!* Jéj towarzystwo było dla mnie wielką pociechą.

»Na trzy dni przed uwolnieniem, zostawałem w okropnéj obawie; wszystko zaczęło trzeszczeć nademną, piasek spadał mię-

dzy ziemią i deskami o które oparte było moje ramie lewe; a moja głowa bardziéj naciśnięta została do lewego ramienia; szczęściem, że się wszystko znowu wstrzymało.

»Gdy mi powiedziano, że saperowie robią studnią od téj strony o którą oparłem plecy, rzekłem: iż wybrali dobre miejsce. Gdy zaczęli kopać w piasku na 10 stop głębokości, usłyszałem każden sztych rydla. Słyszałem także jak moi towarzysze pompiarze robili studnią z drugiéj strony; rzekłem wówczas: iż mię niezdołają wydobyć, ponieważ przedemną studnia była zawalona połamanemi deskami, ziemią, piaskiem i to wszystko, za poruszeniem zawaliłoby się na mnie.

»W wigilią uwolnienia spuszczono mi żywności na 24 godzin; ta okoliczność nie przestraszyła mnie wcale. Pomyślałem tylko, iż gdy otwór się zmniejszył już nie będą mogli przez niego spuszczać żywności a przez ten czas saperowie dokończą galeryi.

Wtedy słyszałem głosy saperów pracujących nad moim uwolnieniem. Mogłem im odpowiedzieć i słyszałem jak odkopywali piasek. W tém obróciwszy nieco głowę, postrzegłem światło i zawołałem natychmiast. Ach! widzę świecę. Była to chwila bardzo radośna dla mnie, lecz uczułem nagle zimno zrządzone przeciągiem powietrza i usunąłem głowę od otworu.

»Porucznik będący w galeryi, dwa razy rzekł do mnie abym na niego spójrzał i pokazał mu twarz moją. Uczyniłem to, lecz musiałem znowu usunąć się z powodu zimna któregom doznał.

»Kazał mi wówczas nie poruszać się, gdyż trzeba było przeciąć dwie deski, o które byłem oparty, abym się mógł dostać do galeryi. Bał się ażeby za poruszeniem tych desek wszystko się nie zasypało, lecz rzekłem do niego iż bynajmniéj nie służą do podpierania cembrowiny. I ja także zacząłem jednę przecinać nożem. Była to zepsuta deska i łatwo ją przeciąłem, chociaż mi trudno było ruszać się. Sapery podcięli drugą deskę. Porwał mię jeden z nich za ramiona i wciągnął do galeryi. Wykrzyknąłem! *Ach zacni Inżynierowie!* Położono mię na sianie; żołnierze okryli mię przygotowaną kołdrą, a na wierzch sukniami swemi, i wkrótce usnąłem na kilka chwil. Byłem ocalony!

Jeden z lekarzy spuścił się dla przekonania się o stanie zdrowia Dufaweta. Kazał go umieścić na krześle okryć troskliwie i wyciągnąć w górę.—Tak okropny przypadek i czetrnastodniowy pobyt w miejscu tak ciasném, w położeniu prawie nie podobném do zniesienia, w obec śmierci zagrażającéj co chwila, nie miał jednakże szkodliwych skutków. Po kilku dniach wypoczynku, Dufawet odzyskał zupełne zdrowie.

OPISANIE MIASTA MOSKWY.

(*Dokończenie*)

Gmachy publiczne.

Pałace Kremlinu, podobnie jak i kościoły, nie zasięgają daléj nad wiek czternasty.

Dawny pałac Monarchów jest utworem tak dziwnéj budowy jak cerkiew Wasili Błażennoj, lecz tylko zewnątrz. Na każdym piętrze są galerye z oknami sklepionemi w półkole. Piętra są coraz to mniejsze i tworzą w około jakoby stopnie, tak iż ostatnie jest tylko małym czworobocznym Belwederem. Niezmiernéj wielkości schody wiją się wzdłuż tego osobliwego budynku aż do dwunastu kopuł kulistych, wzniesionych na lewéj stronie pałacu, po prawéj zaś jest jedna tylko kopuła tego samego kształtu. Utrzymują że architekt Aleviso zbudował ten gmach za panowania Iwana IIIgo Wasilewicza w 1487, gdy jednakże nie ma go na planach Oleariusa i Meyerbergera, ani też nie wspomina o nim Margaret, wnoszą ztąd że zbudowany został dopiero za pierwszego władzcy z familii Romanowów.

Granowitny pałac, stykający się z nim od strony zachodniéj, jest daleko dawniejszym i są dowody, że zasięga panowania Iwana IV Wasilewicza (r. 1533). Pałac ten składa się z jednéj sali sklepionéj, mającéj we środku ogromny filar, przy którym sklepienie wszędzie dosyć niskie, zniża się jeszcze bardziéj. Sala ta pełna jest historycznych wspomnień. W niéj to cesarze po odbytym obrzędzie koronacyi przyjmują powinszowania duchowieństwa, dworu i wyższych urzędników. W prawym rogu stoi wspaniały tron w tegoczesnym smaku.—*Pałac cesarski*, zbudowany był za panowania cesarzowéj Elżbiety, i zupełnie przerobiony w 1817. Z tarasu jest widok bardzo piękny.

Pałac Patryarchów założony przez patryarchę Nikona w 1655, był dawniéj stolicą Sgo Synodu, a teraz mieści się w nim jedna jego sekcya. Posiada bibliotekę bogatą w manuskrypta biblii; podług Szafarzyka jest ich 700 w językach sławiańskich, a wiele z nich należy do XIII i XIV wieku. Pomiędzy rękopismami greckiemi, jest rękopism ewangelii, może najdawniejszy ze wszystkich jakie dotąd istnieją.

Pałac oruzennaja, zwany także skarbcem, jest niezmierny gmach leżący w pół-

nocnéj części Kremlinu. Zaczęto go budować w r. 1810. Zawiera bardzo wiele ciekawych zabytków starożytnych, jakoto: tron, korony, berła, chorągwie, zbroje, siodła i t. d. W zbiorze tym zasługuje na wspomnienie oryginał praw ustanowionych przez Alexego Machałowicza w 1649. Pomnik *Minina i Pożarskiego* tworzy kolosalną bronzową gruppę, umieszczoną na granitowym postumencie. To arcy dzieło pana Martos wzniesione w 1818 stoi na *Pięknym placu* wprost Kremlinu.

Pomniki sztuk i umiejętności.

Uniwersytet cesarski w Moskwie, znajduje się w obszernym i pięknym gmachu przy ulicy Makowa, równo odlegle ciągnącéj się od Kremlinu i od ogrodu Alexandra. Składa się z czterech wydziałów, uczniów jest około 700, posiada gabinety, muzea, i bibliotekę.

Od uniwersytetu Moskwy, zależą następujące uczone instytucye: *Towarzystwo historyi i starożytności rossyjskich, Towarzystwo cesarskie naturalistów Moskwy.—Fizyko-medyczne. — Przyjaciół literatury rossyjskiéj, — Rolnicze,* utrzymujące szkołę rolniczą.

Akademia cesarska medycyny i chirurgii, jest sekcyą takiejże akademii Petersburgskiéj, 200 stypendystów uczy się tam medycyny, chirurgii, farmacyi i weterynaryi.

Instytut wychowania dziewcząt szlachetnego rodu, pod imieniem Swiętéj Katarzyny, mieści w wspaniałym pałacu z ogrodem, w części miasta zdrowéj i prawie jakby na wsi.

Najznaczniejsza biblioteka w Moskwie jest hrabiego Fedora Andrzejowicza Tołstoi; jéj katalog wynosi kilkanaście dużych tomów, posiada 1093 rękopismów słowiańskich, między niemi jeden jest z XI albo XII. wieku, 8 z XIII 19 z XIV... Najjaśniejszy Cesarz MIKOŁAJ I. zakupił z niéj wszystkie rękopisma i xiążki słowiańskie; do biblioteki cesarskiéj w Petersburgu.

Z pomiędzy zakładów dobroczynnych, pierwsze miejsce zajmuje dom podrzutków i sierot, niezmierny zakład, dzieło Katarzyny IIgiéj.—Mieści w samym obrębie około 1500 dzieci płci obojéj, z tych trzecią część niemowląt, na mieście utrzymują przeszło 3000 dzieci, a na wsi 17000. Inne znaczniejsze, *Szpital Stéj Katarzyny, Szpital Galiczynów*, i *Dom Miłosierdzia* hrabiego Szeremetowa.

Zakłady wojskowe: Arsenał w Kremlinie zaczęty w 1762 przez Piotra W. jest jednym z najobszerniéjszych gmachów Moskwy, niezmierne sklepienia służą za skład, na przeciw arsenału stoją armaty zdobyte na Francuzach pod czas odwrotu w 1812 i armata olbrzymiéj wielkości, kalibru 42 cetnarów, ważąca 849 centnarów, dzieło ludwisarza rossyjskiego odlana w 1586. *Cesarski korpus kadetów* zajmuje większą część cesarskiego pałacu Katarzyny IIgiéj; leży w sekcyi Lefortowskiéj. — Niedaleko ztamtąd, wznosi się wielki szpital wojskowy należący do ozdób stolicy. Założony był w 1706, lecz odbudowany na rozkaz cesarza Pawła Igo, a inaugurowany w 1801 po koronacyi cesarza Alexandra—Urządzenie jego zasługuje na jak największe pochwały. Na przeciw niego nad brzegiem Jauzy, ciągnie się niezmierny ogród cesarski.

Moskwa posiada dwa teatra, większy i mniejszy, zbudowane na środku placu Petrowskiego. *Dom zgromadzenia szlachty, Klub kupców, Klub angielski i Klub niemiecki,* są to instytuta do zabawy, nakształt naszéj resursy.

W okolicy Moskwy jest mnóstwo pięknych pałaców i ogrodów, jako to: *Kuskowa i Astankina* posiadające piękne zbiory sztuk i osobliwości.—Zamek Archangielski ma bogatą bibliotekę, galeryą obrazów i posągów.

Moskwa jest także niezmiernie ważném miastem pod względem handlu. Jest punktem centralnym, rozległych krain cesarstwa, tam spotykają się i zamieniają wzajemnie płody i wyroby północy i południa, zachodu i wschodu, dla tego też można tam codziennie napotkać kupców i podróżników ze wszystkich części świata.

WYIMKI Z PAMIĘTNIKÓW MŁODEGO FILOZOFA.

Możnaby ogólnie podzielić ludzi na myślących i na ludzi niemyślących; chociaż granica między nimi nie będzie zupełnie odrębna, odcięta, ale powoli schodząca; od człowieka myślącego, aż do tępego; od gieniuszu, aż do tego rodzaju istoty, która trzyma środek między zwierzęciem, a człowiekiem, która nie jest zupełnie człowiekiem, ale która jest trochę wiecéj od wołu; która jest orangutanem z ludzkiemi zwyczajami i naukami, są nie zliczone stopnie, nieznacznie zstępujące. Przejdźmy tu niektóre z tych stopni, zróbmy przegląd głupców. Niewiem kto powiedział, że dobroć jest przymiotem tych, którzy żadnego innego nie mają. Twarde to twierdzenie, ale często prawdziwe na nieszczęście. Ztąd poszło, że mówiąc; »to dobry człowiek,« daje się do zrozumienia, że to człowiek ograniczony. Znałem prawdziwie ludzi takich, którzy każdego mają za przyjaciela, dla których każdy jest

panem, którzy są, jakby mieli pod nogami kółka; gdyż idą, skoro ich kto popchnie, idą, jak ich kto popchnie, i gdzie ich kto popchnie. Jeżeli posiadają majątek, stopnieje on niezadługo jak śnieg w Marcu; pożyczą człowiekowi, którego pierwszy raz widzą, sto dukatów, zapłacą obiad, na który byli proszeni. — Rzec im słówko, natychmiast to zrobią, co chcesz: zapalą ci świecę, zaniosą list twój na pocztę, nieoledwie wychędożą ci suknie. Zdarzy ci się ich trącić, udepnąć; nie zdążysz ich przeprosić, a oni cię już kilkakrotnie przeprosili. Skoro tylko znają cię z twarzy i z nazwiska, nie opędzisz im się jak muchom na schyłku lata; będą ci po piętach chodzić. Jest to obraz człowieka przylepiającego się swoją nadzwyczajną dobrocią do każdego; jest to obraz dobroduszności, bez zasługi i bez owocu.

Drugi rodzaj głupców, są to eleganci, modnisie, którzy żyją tylko modą, których upaja podziwienie, jakie wzbudzają w pospólstwie; których mody nie są wczorajsze, ani dzisiejsze, ale te, co jutro będą. Krój ich sukni jest fenomenem w okolicy, w jakiéj żyją, zaczesanie włosów zagadką. Tém tylko umieją światu zaimponować, a są jak piękne woreczki delikatnéj kobiecéj roboty, które leżą na wystawie zawsze próżne; tak w ich głowie nie znalazłbyś ani za trojaczka myśli.—Ale, żeby się to twierdzenie nie zdawało paradoxem, trzeba powiedzieć, co tutaj rozumiem pod myślą, co jest człowiek myślący i nie myślący; bo gotów mi zarzucić jaki taki, że nie masz człowieka, któryby nie myślał, że każdy czyn człowieka jest skutkiem mysli. Myśl, o któréj tu mowa, jest to myśl pierwotna, matka pomysłów; myśl, która w sobie mieści tysiące myśli, jasna, czysta, zupełna, skończona; myśl, która nie jest jutrzenką, ani zmrokiem, ale słońcem systemu umysłowego, środkiem, około którego wszystkie władze umysłowe obracają się i poruszają. I czyż mieszczą się takie słońca w mózgach, nad którémi stoi utrefniony czubek? Ani jedno słońce nie oświeca téj ciemnéj pieczary. Inaczéj przez szklanne ich oczy, żadnego ognia niemające, zaświeciłby promyk tego słońca; ich twarz nie byłaby tak jak z wosku ulepiona; chód i postawa nie byłyby tak wymuszone, słowa tak czcze, włosy tak wymuskane starannie. Przy opowiadaniu jakiego zdarzenia wzruszającego, gdzie się wszyscy, prócz nich rozczulili, nie poprawialiby kołnierzyków, nie czesaliby faworytów.—To twierdzenie jest już zupełnie dowiedzione, że wszelki człowiek wymuskany i wystoperczony jak koń na jarmarku; człowiek, który się przez świat myśli przepchnąć chce tylko powierzchownością, nie jest stworzony do myślenia: jest jak paw lub indyk.

Trzeci rodzaj są to ludzie, którzy mało mają zaufania w swoim rozumie i dla tego trzymają się prawd oczywistych; są jak chrząszcze, skoro poczną wzlatywać, zaraz głową uderzą o cokolwiek; tak oni, skoro zaczną rozumować, zaraz uderzą o prawdę prawdziwie prawdziwą, czyli oklepaną. Tacy ludzie często się odzywają: »mamy dziś 16 Grudnia, za piętnaście dni będzie nowy rok.« »Napoleon był sławnym człowiekiem.« Czasem z morałem wystąpią: »ja lubię to, co jest dobre;« albo też: »ja lubię to lub owo,« zawsze dodając; »ale nie nadto; ja lubię zjeść, ale nie nadto; trzeba do tego dodać cukru, ale nie nadto; trzeba dla zdrowia wiele chodzić, ale nie nadto;« naturalnie bo każde »nadto« jest już samo przez się złém w czemkolwiek, chociaż w najlepszéj rzeczy. »Zdrowie jest to największe dobro.« Mężczyzni nie są tak, jak kobiety; i pełno podobnie subtelnych uwag, o których jeszcze nikt nigdy nie wątpił. Czasem zrobią wycieczkę w krainę wyobraźni: » myślę, że jutro będzie piękny dzień; « lub też wnijdą do pokoju z gilem na nosie, trąc sobie ręce, zbliżą się do pieca i ogłoszą uroczyście wielką nowinę:»dziś jest mocny mróz!«

Mamy prócz tych wszystkich czwarty rodzaj: jest to familia myślokradzców, którzy posługują się cudzym mózgiem, jak kapeluszem, gdy przypadkiem swego wziąść zapomnieli. W tym rodzaju pierwszy gatunek, jest człowiek Zoko, to jest pół człowieka, pół małpy, który gada, gdy gadasz; milczy, gdy milczysz; któryby sobie gardło poderznął, widząc, że na twojém brzytwą jeździsz. Jest to twoje ciągłe echo. Mówisz: »pokój jest nie oceniona rzecz, gdy nie drożéj okupiony jak wojna!« — Tak, nie drożéj okupiony jak wojna; natychmiast powtarza. Jeżeli sobie chcesz zrobić zabawę, powiedz największą niedorzeczność, a z równym pośpiechem, bez zastanowienia, powtórzy ją po tobie. Drugi gatunek jest to człowiek papuga, czyli ten, który zbierając tu i ówdzie, to z jakiego dzieła, to z ust jakiego rozumnego człowieka myśli nowe, obiega wszystkich, szukając okazyi i starając się, aby złupioną myśl w rozmowę wrazić. Trzeci gatunek jest to człowiek jastrząb, który czyha na myśl nową i dobrą, gdziekolwiek ją znajdzie, nie tylko w nowéj książce lub w ustach sławnych, tam ją sobie przywłaszcza; w tym celu zaczyna z każdym rozmowę, aby z niéj coś wynieść nowego, oryginalnego i dobrego. Wygadaj się przed nim z myślą nową

i dobrą, którą sam chcesz jakie wrażenie zrobić; o mój Boże! już się skończyło: tak, jakbyś oszustowi pokazał twój zegarek! Skradł ci twoją ideę; w niezadługim czasie wszyscy twoi znajomi będą ją na pamięć umieć. Jeżeli potém, o niczém nie wiedząc, z okazyi, lub z miłości własnéj, gdziekolwiek z nią wystąpisz, spojrzą na ciebie z uśmiechem, i wezmą ciebie samego za myślokradzcę. Jest to przyjemnie; ale przyjemniéj jeszcze, kiedy cię w twojéj przytomności okradnie, a ty ani słówka nie rzeczesz. Dajmy na to, ja nie lubię i nie mam zwyczaju donośnym głosem jak woźny odzywać się w towarzystwie, a przytém mam chrypkę i jestem mocno zakatarzony. Toczy się rozmowa, czy mamy oryginalne romanse historyczne w literaturze naszéj, i któremu z nich dać należy prym. Ja się odzywam: nie tak pochopnie przyznawać należy oryginalność i mistrzostwo miernym pisarzom; tylko ten, ktoby miał wspaniały poetyczny talent i głęboką znajomość dziejów, byłby Walter-Skotem polskim; lecz wśród żwawości dysputy z moją chrypką i katarem, nie byłem dosłyszany, tylko od pana N. Natychmiast pan N. powstaje i głosem Stentora *) odezwie się: »panowie, mnie się zdaje, że zbyt łatwo przyznajecie mistrzostwo i oryginalność miernym pisarzom; podług mnie, tylko ten, ktoby miał wzniosły poetyczny talent i głęboką znajomość dziejów, byłby Walter-Skotem polskim.« Dodatek »mnie się zdaje, podług mnie« jest to ten srebrny proszek, którym się fałszywa moneta pociera. Rozstrzygnął dysputę; wszyscy uderzeni trafnością téj uwagi, w milczeniu zadumani stanęli; na mnie, który się zdaję żadnego udziału nie mieć w rozmowie i żadnego nie dzielić wrażenia, patrzą z politowaniem jak na słup bez czucia. Pan N. tryumfuje, ale mnie unika.

Piąty rodzaj, są to koncepciści, którzy myślą, że są dowcipni, ponieważ im się najczęściéj uda drugich rozśmieszyć. Gadasz takiemu o Napoleonie, zapyta ci się serio: »o którym?» Czytasz gazetę, prosi cię o nią w ten sposób: proszę cię, pedaj mi gazetę, ale jéj nie zgub! Są przecież ludzie, którzy się z tych konceptów uśmieją, a przez to wbijają ich w większą miłość własną. Drugi gatunek tego rodzaju są to facecyoniści i psotnicy. Taki człowiek uwziął się, żeby ci się sprzeciwiać; kiedy się śpieszysz, on ci drogę zabiega; widząc, że z usilnością jakiéj rzeczy szukasz, lepiéj ją jeszcze schowa; gdy siadasz, umknie z pod ciebie krzesełko; zamknie cię na klucz w pokoju, niby przez zapomnienie; założy ci papierem szkło od okularów, przypnie szpilkę na kanapę, żeby kogo ukłuła. Gdy dama jaka śpiewa, w najpiękniejszém miejscu, uciera z łoskotem nos; w ciżbie popycha cię, a woła głośno: »nie popychaj tak pan!« Idąc w czasie błotnistym, pokazuje ci coś na niebie, żeby cię w kałużę wprowadzić, i w tém jest niezmordowany. Jak w przyrodzeniu każde zwierzę ma swego naturalnego nieprzyjaciela, wrodzonego przeciwnika, tak człowiek, spokojny lub czynny, ma wrodzonego nieprzyjaciela w psotniku. Taki człowiek gdy cię spotka w miejscu, gdzie się dobrze bawisz, natychmiast przemawia: »cóż pan tu robisz? pan N. czeka na pana w ważnym interesie! Przyjechałeś jedynie w tym celu, żeby znajomego zobaczyć, który w daleką puszcza się podróż, uprzedza cię natychmiast, że już odjechał. Wie jaką ważną nowinę dla ciebie; próżno go prosisz, błagasz, żeby ci powiedział; odpowie ci: jestem kontent, że cię mogę intrygować! »zobaczymy; jutro, albo po jutrze ci powiem.« Psotnik jest to najnieznośniejsze stworzenie; jest to człowiek, którego nieraz masz ochotę oknem wyrzucić. Gdy mu co z zapałem opowiadasz, robi wszystko, co może, żeby ci pokazać, jak obojętnie cię słucha; nieraz idzie do zwierciadła, głaszcze faworyty i patrzy oknem. Tacy mają też wszystkie małe talenta towarzyskie, umieją pełno sztuk w karty, zgaduję kartę, którąś obrał; umieją szczekać, piać, gwizdać jak słowik, wypuszczać dym z lulki w pół godziny po jéj wypaleniu, dziurką od nosa grać na flecie, podrzeźniać po każdym i t. p. a to wszystko, żeby zapełnić próżność umysłową, brak myśli. Nieboracy!

Powinni tu jeszcze należeć effronty, to jest wytartego czoła ludzie; ale że ci myślą jednakowoż więcéj od powyższych, to jest myślą jak imponować, przeto nie tutajbym ich pomieścił, ale z innego jeszcze względu pomiędzy niemoralnych ludzi. Dość mi na tém, że tu kilka im właściwych umieszczę frazesów, które brzmią jak uderzenia pałki. »Pan wcale nie jesteś głupi.« Prosisz go o sekret w pewnéj delikatnéj materyi, gdzie może być narażone dobre imię mężczyzny, lub kobiety; a on w przytomności twojéj i wielu osób głosi go i zaczyna od tego: »chociaż to miał bydź sekret i t. d.« Będzie się unosił nad kibicią panny, która lubo nie bardzo widoczną, ale jednakże taką ma ułomność, że jéj kibici chwalić nie można, i to jeszcze w przytomności brata lub jéj narzeczonego. Wołać cię będzie przez dwa pokoje iż ci ma coś do powiedzenia: gdy przyjdziesz, powie, że już zapomniał i t. p.

W. A. W.

*) Stentor, był to Grek, nadzwyczajnym obdarzony głosem tak, że głos jego poszedł w przysłowie.



MAMMUT.

ZABYTKI PRZED-POTOPOWE.

Ziemia nasza okazuje ślady wielokrotnych wstrząśnien i przemian, a mianowicie ślady powszechnego potopu, którego podanie dochowały nam xięgi święte. Przy rozkopywaniu gór znaleziono rozmaite warstwy ziemi jedne na drugich naniesione siłą wody, a w nich ślady zwierząt i roślin już teraz zagubionych zupełnie. Naturaliści naszego wieku, mianowicie Cuvier i Brogniart we Francyi, Sindléj i Hutton w Anglii, Schlothein i hrabia Sternberg w Niemczech, Nilson w Szwecyi; gorliwie zajęli się tym przedmiotem. Krótki ogołowy zarys ich badań, postrzeżeń i domniemań, nie może bydź obojętnym.

Pan Boitard, autor obszernego artykułu w Rodzinném Muzeum francuzkim, którego treść udzielamy czytelnikom naszym, bierze Paryż i okolice jego za miejsce uwag swoich. Rozważanie pokładów ziemi rozkopywanych do znacznéj głębokości, i petryfikacye w nich znalezione, dostarczyły mu osnowy do jego pracy.

O sześset metrów niżéj od teraźniejszéj powierzchni Paryża, znajdują się pierwotne pokłady z granitu, na których spoczywało morze. Gdy ustąpiło, uformowała się cienka warstwa roślinnéj ziemi, na któréj wzrosły ubogie kępki zieloności tu owdzie rozrzucone, a z działu zwierząt były same tylko zwierzokrzewy, muszle i raki morskie. Następny pokład już o trzydzieści lub czterdzieści metrów wywyższony, zawiera ślady mchów i traw różnych, a nawet drzew palmowych, ze zwierząt zaś są ślady żółwi, jaszczurek, krokodylów. Bynajmniéj

nie można ztąd wnioskować, że wówczas tak było ciepło jak jest teraz w krajach pod zwrotnikowych. W wyższych jeszcze warstwach o sto metrów, znaleziono szczątki dziwacznego zwierzęcia, które uczeni złożywszy z pozbieranych kości i petryfikacyi, nazwali *Plesiosaurut*; był to płaz z korpusu ciała podobny do wielkiéj ryby, lecz okryty szeroką żółtawą łuską, miał cztery nogi krótkie, których palce połączone były grubemi błonami, jak u żółwia morskiego, ogon jak u krokodyla, a szyję długą i paszczę jak u węża z zębami i żądłem. Drugie zwierze podobne było do pierwszego, z tą tylko różnicą że miało krótką szyję i głowę jak u delfina. W następnych pokładach bardziéj zbliżonych do teraźniejszéj powierzchni ziemi, znajdują się szczątki krokodylów, kaimanów i potwornych latających smoków, ze skrzydłami jak u niedoperza, którym Cuvier dał nazwisko Pterodaktylów. Nie masz tam jeszcze śladu ptaków, ni czworonożnych zwierząt ssących.

W bliższych jeszcze, są kości przedpotopowych zwierząt olbrzymiéj wielkości. Cuvier złożył i odgadnął ich kształt zupełny. W piśmie poprzedzającem Muzeum Domowe, w Gabinecie Czytania z 1831 r. umieściliśmy rycinę Mastodonta, zwierza z wielu względów podobnego do słonia. Inne rodzaje opisane przez tego naturalistę są: Paleoterion, dzielący się na kilka gatunków stósownie do wzrostu. Jedne były wielkości konia, nos ich kończył się muszkularną trombą podobną do trąby tapira, oko miały głupowate i małe jak u świni, głowę ogromną, ciało zwięzłe i krępe, nogi krotkie i grube, pokryte ostrą i krótką szczecią. — Zwierz nazwany *Anoplotherion* wysoki był na 3½ stopy, 8 stop długi, licząc w to i ogon gruby przy początku a bardzo cienki przy końcu. Oprócz tych wielkich zwierząt były i pomniejsze, które także zupełnie zaginęły.

W pokładach najświeższéj formacyi, postrzeżono dopiero kości zwierząt najpodobniejszych do gatunków jeszcze żyjących. Między niemi pierwsze miejsce zajmuje Mammuth. Wzrostem przewyższał największego indyjskiego słonia, z resztą był do niego podobny, lecz jeszcze krępszy i cięższy. Na jego szyi powiewała długa czarna grzywa, przeciągająca się aż do kości pacierzowéj; reszta ciała okryta była szczecią długą na pietnaście cali, czarniawą, pod którą ukrywała się wełna cienka jedwabista, gęsta, jasno płowa w wielu miejscach, czerwonawa w niektórych. Trąbę miał taką jak trąba słonia, ale kły daleko dłuższe zaginały się w półkole. Głowę miał przedłużoną, czoło zaklęsłe i uszy opatrzone gęstą kępą włosów. Nad brzegiem morza lodowatego w Syberyi, wieśniak tunguski znalazł zamarzłego w lodach Mammuta i z niego wzięto załączony rysunek i opis tego zwierza. Kości Mammutów znaleziono także i w rozmaitych krajach Europy i Azyi. Nosorożec przed potopowy, podobny był do istniejącego dotąd, miał tylko nogi niezmiernie krótkie, a róg na nosie dłuższy, ciało pokryte siercią i wolne od rozpadlin.

MŁODOŚĆ FRANKLINA.

I.

W 1724, w mieście Filadelfii było tylko dwóch drukarzy, jeden bogaty, nowo przybyły i już bardzo wzięty, drugi ubogi, osiadły od dawna i walczący z niemałym trudem przeciw tak groźnemu współzawodnikowi. Jego córka jedynaczka, Betty Keimer, odważnie dopomagała mu w tak ciężkiéj pracy i nie wahała się razem prowadzić gospodarstwo domowe i doglądać xięgarni, którą jéj ojciec obok drukarni utrzymywał. Dopełniała obowiązków domowych, w godzinach kiedy goście zazwyczaj nie przychodzili do sklepu, resztę dnia przepędzała w xięgarni, a każdy z kupujących odchodził zadowolony jéj czynnością, uprzejmością i miłym wyrazem jéj bladéj twarzy, jasnemi upięknionéj włosami.

Pogodzić dwa zatrudnienia tak odmienne, nadzór kuchni i kierunek xięgarni, nie zawsze była to rzecz łatwa dla panny Keimer: jakoż tego poranku o którém mówić chcemy, już dwunasta biła, a ona nie dokończyła jeszcze ubrania; zadzwoniono w xięgarni i musiała zbiedz czémprędzéj, zarzuciwszy na siebie jedwabny popielaty szlafroczek. Wyobraźcie sobie jéj pomieszanie: był to sir William Keith, wielkorządzca prowincyi, a z nim jego córka Marya i druga młoda osoba z pogardliwą i szyderczą miną, panna Read, znana w całém mieście ze swoich ucinków.

—Czego potrzebuje JWPan? wyjąkała młoda dziewczyna zapłoniona i drżąca.

—Najprzód xiążek, a potém będziemy prosić cię o jednę łaskę.

—O łaskę milordzie!

—Tak jest panno Keimer: odpowiedział wielkorządzca, powściągając surowym rzutem oka śmiechy swojéj córki i jéj przyjaciółki. Lecz zajmijmy się najprzód xiążkami. Chcę kupić *życia sławnych ludzi* przez Plutarcha, dzieła Foe i Loka.

—Czy to już wszystko milordzie?

—Tak jest i niech mi wolno będzie powinszować ojcu twojemu, że tak czynną i rozsądną wyręczycielkę znalazł w tobie. Zaiste, musi chlubić się takiem dziecięciem. Niestety! ileż to rodzicow, widzi w swoich córkach, prawdziwe tylko papugi z pustą głową i tem próżniejsze, im bardziej są do niczego nie przydatne.

—Twój ojciec, kochana Maryo naszym kosztem chce gadać komplementa, szepnęła panna Read do ucha swéj towarzyszki.

—Ach! otoż jesteś panie Keimer. Przyszliśmy kupić kilka xiążek i jak to mówiłem do panny Betty, prosić was o jedną łaskę. Te młode dziewczyny nigdy niewidziały drukarni; czy będziesz tak łaskaw i pozwolisz im aby obejrzały twoją?

—Jestem gotów na rozkazy państwa, odpowiedział drukarz schylając się aż do ziemi, i wprowadził ich do drukarni, a tym czasem Betty wybiegła dokończyć toalety.

—Zobaczmy zecernią, to jest pracujących nad układaniem liter.

I otworzył drzwi od izby, w któréj panował gwar radosny i pomieszany.

—O mój Boże! co za wrzawa! Spodziewałam się że taką ciszę znajdę w drukarni.

W rzeczy saméj, chociaż drukarnia nie jest zazwyczaj pracownią bardzo cichą i milczącą, zecery pana Keimer robili wrzawę przechodzącą wszelkie granice. Jedli śniadanie i żartowali sobie z młodego człowieka, któren z rękami zawiniętemi po łokcie, odpowiadał im wesoło.

—Pitagorejczyk! Pitagorejczyk! wołali wszyscy.

—Filozof! wołał jeden piskliwym głosem.

—Zjadacz kartofli!

—Mędrzec!

—Pitagorejczyk! Pitagorejczyk! powtarzali jednozgodnie wszyscy, uderzając winkelakami w kaszty.

—Jesteście głupcy; śmiejecie się z tego czego nie rozumiecie. Powtarzam że pożywienie roślinne najlepiéj służy do utrzymania czerstwości zdrowia i umysłu. Patrzcie, od miesiąca jak żyję samemi tylko roślinami, czyliż jestem słabszym od was? Odpowiedzcie.

—Pitagorejczyk! zawołano.

—I cóż dowodzą wasze krzyki?

» Niech was diabli porwą kiedy tylko wrzeszczyć umiecie, zawołał z pogardą młody człowiek. Śmieliście się ze mnie gdym posypywał gipsem mój ogródek. I cożem zrobił? Wykopałem głębokie litery na ziemi, litery te napełniłem gipsem i całą ziemię zasiałem okruchami od siana. Po trzech miesiącach, silna roślinność panowała nad resztą murawy i każdy czytał te zwycięzkie litery. *To było wysypane gipsem.*

—Pitagorejczyk! Pitagorejczyk!

Po tych krzykach i pukaniu, nastąpiło najgłębsze milczenie, gdyż właściciel drukarni wszedł do niéj w towarzystwie dwóch panien i wielkorządzcy. Lord William Keith, bawiąc się tą sceną którąśmy opisali, zatrzymał pana Keimer na progu pracowni i nie pozwolił mu wcześniéj przywrócić porządku.

—Co to za hałas! zawołał surowym tonem pan Keimer.

—To Pitagorejczyk! bezczelnie odezwał się jeden z uczniów, lecz uderzenie pięścią zmusiło go do milczenia.

—Dalibóg, młodzieńcze, rzekł wielkorządzca do zecera, któren cały stanął zapłoniony i czem prędzéj schował swoją miseczkę z warzywem, obrałeś sobie zbyt surowy sposób życia. Z resztą, jeśli tak jest dobry jak twoje rady w rolnictwie, musi bydź doskonałym. Dziś jeszcze, okólnik do znaczniejszych gospodarzy w osadzie, uwiadomi ich o używaniu gipsu za nawóz.

Młody zecer wyjąkał kilka słów, z tém większym pomieszaniem, że obie panny po cichu romawiając ze sobą, szydziły z jego kłopotu i ubioru. Współtowarzysze jego trzymali się za boki od śmiechu.

Lecz jedna osoba stanęła odważnie w jego obronie. Była to Betty, która wszedłszy w téj chwili do drukarni, zbliżyła się do prześladowanego.

—Szydzą bez ustanku z Benjamina Franklina, rzekła, dla tego iż się żywi samém tylko warzywem, lecz nie mówią milordzie iż obrał tak surowy sposób życia, aby oszczędził trochę pieniędzy na zakupienie xiążek. Nie powiadają, że jest najłagodniejszym, najpracowitszym, najlepszym zecerem w drukarni; nie przydają że w chwilach wolnych od pracy, czyta i doskonali swoje wychowanie. Nie prawdaż mój ojcze, nie prawdaż moi panowie? A jéj wzrok pałał szlachetnym ogniem, zapłoniły się jéj lica.

—Tak jest moje dziecię, masz słuszność

—Panna Betty prawdę mówi! jednozgodnie zawołali zecery.

Wielkorządzca podał rękę *zecerowi*; dwie panny uśmiechnęły się szyderczo, wskazując na córkę drukarza; Benjamin, niewdzięczny Benjamin, ani nawet jednem spojrzeniem nie podziękował jéj za udzieloną opiekę. Scigał oczyma dwie damy które z zecerni poszły do preserni. Po tem zajął się robotą pogrążony w myślach.

Nagle zadrżał i upuścił winkielak.



BENJAMIN FRANKLIN.

Ach! jakże piękna jest panna Read, zawołał.

II.

« Betty, zgadnij kogo spotkałem jadącego pięknym powozem i ubranego jakby jaki hrabia.

—Co mówisz ojcze? przebacz mi, byłam roztargniona.

—Tak jest moje dziecię, jak zazwyczaj, zawsze zamyślona, zawsze smutna. Ale cóż ci to?

—Nic mój ojcze, nic zaręczam ci.

—Otóż chciałem ci powiedzieć żem spotkał jednego z naszych dawnych znajomych, przyjaciela któregośmy nie widzieli od lat czterech, Benjamina Franklina. Ach mój Boże! cóż ci to? jakżeś zbladła?

—To nic mój ojcze, nie. I cóż ci powiedział?

—Zakurzony powóz jechał jak najtęższym kłusem. Panie Keimer zawołał Franklin, za godzinę będę u ciebie. Wiele rzeczy zaszło od czasu mego odjazdu. Powracam ożenić się w Filadelfii.

» Ożenić się!... powtórzyła Betty i zapłonęły się jéj lica: ożenić się! Czyliż wyczytał w moiém sercu? czyliż odgadnął myśli moje? Zdawało mi się żem je tak dobrze ukryła. Ach, mój Boże, mój Boże spraw aby tak było!

I pomieszana, wzruszona, pobiegła do swojego pokoiku, a powodowana instynktem kobiecym, ubrała się najpiękniéj jak tylko mogła.

Już noc zapadła, a jeszcze nie przyszedł Benjamin. Biedna dziewczyna! przez ten czas ileż wycierpiała!

Nareście przyszedł blady, zapłakany, w rozpaczy.

—Zaślubiona! zawołał, zaślubiona! mimo jéj obietnic! mimo jéj przysiąg! Ach! panno Betty, jakże jestem godzien pożałowania.

Słuchała go z zakrwawionėm sercem.

—Ach! nie możesz pojąć panno Betty ile ja cierpię, gdyż ty nie kochasz, nie oddałaś całego twojego życia, wszystkich twoich myśli, całéj twojéj przyszłości, temu kto ją odrzuca. Nie wiesz co to jest kochać bez wzajemności. Ach! panno Betty, panno Betty, jakże jestem godzien pożałowania!

»A ja! pomyślała nieszczęśliwa.

—Dla niéj, mówił daléj Franklin, aby jedno spojrzenie od niéj otrzymać, wyszedłem z niskiego stanu mojego; już byłem znany, szanowany, moje artykuły ogłaszane w gazecie Filadelfii zjednały mi sławę. Byłem wspólnikiem twego ojca, ja przed niedawnym czasem pracujący u niego, i dzięki moim staraniom, zbogaciliśmy się obydwa. Nareście, rzekła do mnie że mnie kocha, pisała do mnie, a zawierzając jéj obietnicy popłynąłem do Anglii, ażeby tam dopełnić mego majątku i sławy a tym sposobem pozyskać zezwolenie jéj familii. Dosiągłem celu prac moich. Biada mi panno Betty! powracam i zastaję ją zaślubioną innemu. Nie przeżyję tego ciosu!

Rzucił się w krzesło i zasłoniwszy twarz rękoma, przez długi czas zostawał pogrążony w myślach.

Zerwał się nagle.

—Panno Read! panno Read! pomszczę się za twoją pogardę. Przeniosłaś nademnie złoto i tytuły; będę posiadał złoto i tytuły którą zgnębią twoją dumę.

—Panna Read! boleśnie zawołała Betty, panna Read... Ją to kochałeś?

—Ją, dumną i niestałą! Ale pomszczę się panno Betty, czuję że jestem zdolnym do wielkich rzeczy. Wykonam je, aby umarła z żalu i wstydu. Ty płaczesz, ty podzielasz moje cierpienia. Ach, jakże jesteś dobra! jesteś aniołem!

—Zaufaj naszéj przyjaźni Benjaminie...panie Franklin, chciałam powiedzieć. Ona ciebie pocieszy, przy niéj zapomnisz o twoich zmartwieniach i téj która była ich sprawczynią.

—Zapomnić! zapomnić! Nie wiesz chyba, że mimo jéj niewiary, kocham ją bardziéj jak wprzódy. Lecz razem z miłością czuję rozpacz w sercu.

III.

Pięć lat upłynęło i przyniosło szczęśliwe zmiany w położeniu dawnego drukarza, Benjamina Franklina. Kalendarz poczciwego Ryszarda szybko rozsławił jego imie; towarzystwo zabezpieczenia od pożarów, urząd dyrektora poczt, rozmaite przedsięwzięcia handlowe, a nadewszystko spółka założona pod tytułem *Library company* przynosiły mu niezmierne summy; wynalazek konduktorów, świeży jeszcze, zwrócił na niego uwagę Ameryki i całéj Europy; współziomkowie obrali go członkiem zgromadzenia w Pensylwanii. Wszystko działo się w Filadelfii za jego wpływem; oświadczył że trzeba ustanowić korpus pompiarzy, a współziomkowie uchwalili potrzebny na to wydatek; ofiarowano mu dowództwo nad wojskiem 10000 ochotników, których za jego radą zebrano dla odparcia napadów Indyan; urządził szkoły, zakładał kolegia i szpitale, i rzucał zarody przyszłéj pomyślności tego kraju.

Nie tylko chwała i fortuna obsypywały go darami swemi. Franklin był szczęśliwy.

Pozostawszy wolną po śmierci męża, panna Read oddała rękę temu, którego nigdy kochać nie przestała, pomimo smutnych wydarzeń i rozdziału któren się wiecznym bydź zdawał. Skoro tylko upłynął czas żałoby, opuściła Anglią i popłynęła do Ameryki.

Okręt na którym się znajdowała, zawinął dla wypoczynku do portu, gdzie był także okręt amerykański. Tylko co wysiadłszy na ląd, rzuciła się w objęcia Franklina.

—Płynąłem do Anglii ofiarować ci moją rękę rzekł, pośród czułych pieszczot panny Read.

—A ja, odpowiedziała kryjąc twarz na łonie przyjaciela, płynęłam do Ameryki, prosić abyś mi przebaczył.

Nazajutrz dał im ślub kapelan okrętowy i powrócili do Filadelfii.

A biedna Betty?... Ileż to młodych dziewczyn ukryć musi w niewinnėm i rozżalonėm sercu, nieszczęśliwą miłość, która na zawsze zniszczy im urok całego życia.

MYŚLI O OGRODNICTWIE.

Ogrodnictwo nie jest prostą, rodzimą, lecz zidealizowaną naturą; nie jest dzikiém, lecz kształtnėm przyrodzeniem. Jako rzeźbiarstwo nie uwiecznia poczwar, muzyka wzgardza dzikiemi dźwiękami, tak i ogrody, te tylko przedstawiają krajobrazy, co umysłowem napełnione życiem, do duszy widza przemówią. Człowiek, wszystko co go otacza, piętnuje cechą wewnętrznego ducha: uświetnił swoje mieszkanie w budownictwie, swoje ciało zidealizował w rzeźbiarstwie, swoje czucia w mu-

życe, swoje czyny w poezyi, zidealizował obwody, powierzchnie, cienie, barwy, dźwięki i słowo ludzkie; pragnie zidealizować i przyrodzenie jeszcze w niemowlęctwie pogrążone, ożywić je iskrą Pigmaliona, aby łącznie pagórki i gaje, nie tylko echem głosu człowieka, ale i wyrazem myśli jego się stały. Nowy urok rozleje się w naturze: odmienne kolory pożeni dłoń mistrzowska, i światło w całém igrzysku ciemności i słonecznego blasku najrozmaitsze stworzy odcienia; nawet wonie spływać się będą społy, nowy zmysł zachwycając. — Inne piękne sztuki czerpały swoje wzory z natury: w budownictwie mówią, że kopuła ma bydź na wzór firmamentu, kolumna nakształt wysmukłych dziewiczych postaci, łuki gotyckie podobne do rozłożystych drzew leśnych; w ogrodnictwie natura się nie przeistacza, ale rozwija siłą żywotnią sama z siebie; jak pieśń muzyczna w każdej chwili się zmienia; a przecież zostaje zawsze równą sobie, wielkim poematem wód i łąk, lasów i kwiatów, obrazem innym w porannéj, innym w wieczornéj dobie, innym o świetle księżyca, innym w każdéj roku porze; jakby mieniącym się kameleonem słonecznego ognia.

Ogrodownictwo acz z malarstwem spokrewnione, więcéj ma rozmaitości, więcéj widokręgu; jak budownictwo, potrzebuje przestrzeni; lecz w większych jeszcze rozmiarach. Spólnie z muzyką zmienia się nieraz bez przyczynienia człowieka — Niby arfa eolska, co bez niego w tkliwych się dźwiękach odzywa. Ogrodnictwo tyle ma z innemi sztukami wspólnych własności, gdyż jest idealizacyą przyrodzenia; a wszystko w okół nas, i my sami jesteśmy przyrodzeniem. Lecz czemuż je Chińczycy odgadli i wykonali?

Pytanie to pewnie każdy czciciel tego kunsztu sobie zadał. Jakżeż rozwiązać tę zagadkę? Lud chiński, co sam siebie nie ceni; taki lud, bez wiary, bez uczucia godności, nie ma i poezyi, muzyki, rzeźbiarstwa, sztuk pięknych; ledwo mu tylko budownictwo znane; lecz ma otaczającą go, pełną życia naturę. Jakżeż ją rozumie? Nie uznawszy, nie zdoła pojąć owéj godności, która z wewnątrz przyrodzenia odezwała się panteicznemu Egipcyanowi lub Grekowi; nie czci on drzew i gajów, jako siedzib bogów i bogiń; bo w naturze nic nie wyczytał; szelest leśny nic mu nie powierza, nie szepce do ucha, bieg wody nic nie zdradza jego oku; jest on bez wyobraźni, bez wiary, bez poezyi; a w bogatych zjawiskach przyrodzenia nie szukał i nie znalazł zagadki. Nie wiele się różni od takiego człowieka, którego spółczesna cywilizacya jednostronnie rozwinęła, nauczyła liczyć, rachować i mierzyć; nauczyła dzielić i cenić, a przepomniała o owéj najtrudniejszéj nauce, o wykształceniu ducha; rozwinęła mu rozsądek; lecz gnębiąc wyobraźnią, w karłowatych kształtach nieszykownéj rubaszności związała; dała mu chleb i wodę, lecz wszelkiéj przyprawy skąpiąc, wypchnęła oziębłego człowieka wśród ogniem pałającéj natury, osierociła go przedwcześnie z wszelkiéj wiary i z całéj miłości tego, co jest pięknem i nadludzkiém.

Podobnież i w Chinach, naród zmechanizowany w karbach najnieruchomszéj hierarchii towarzyskiéj, spętany, żyje roślinném swojém życiem, równie czczém i nudném, jak długiém i niezmierném. Czemże mu jest natura, jeśli nie prostém zjawiskiém zewnętrznem? Upodobał się w niéj i w jéj wygodzie; nie rozumie jéj, lecz widzi ją, przypatruje się jéj, i to w ogrodach powtarza, co miłe sprawiło uczucie; powtarza wiernie, skrupulatnie. Nie tworzy on idealnéj natury sam przez się; on ją kopiuje i do tego stopnia w naśladownictwie się zacieka, że kiedy mu przestrzeni nie staje, natenczas bledniejącą barwą murawy i liścia karłowatością drzew, oko durzy i sztuczne oddalenia udaje. U nas ogród przemawia do oka i do czucia; nie dosyć nam patrzeć nań obojętnie; ma on nas rozweselać lub skłaniać do tęsknoty, do rozmyślania, tak iż sztuka ogrodownicza ma swoją zewnętrzną i duchowną stronę. Dla Chińczyka, ogród jedynie dla oka stworzony, jest czczą tylko zabawką, atoli nie dosyć mu na samym ogrodzie, rękodzielnéj misterności jego nie wystarcza kunszt ten nadobny; trzeba mu ogrody krasić budownictwem, równie śmiałém w wykonaniu, jak kapryśném w pomyśle; ową dziwaczną architekturą, tak różno-rodną od klasycznej indyjskiéj, jak gotycka jest od greckiéj. W ogrodach, które podobnież kaprys wywołał, nie ocenisz stósowności i współzależności krajobrazów, lecz największą ich rozmaitość. Chińczyk wszelkie przeszkody przestrzeni umiał przebiegłym zwalczyć kunsztem, lecz nieustannie powtarzając swoje kioski, pagody i pałacyki, tym niemym węzłem architektury z ogrodnictwem, w którym nigdy nie wyzwoli jednéj sztuki od drugiéj, męczy wędrowca. Rodzaj ten z razu polubiony w Anglii, dotąd się przechowuje w Niemczech w tak zwanych ogrodach angielskich, atoli ogrody, że tak rzekę budowlane, coraz więcéj ustępują łącznym i leśnym.

Poczytaliśmy wprawdzie chińskie ogrody za czcze zabawki narodu, pozbawiają-

cego je wszelkiego duchownego uroku, ale nie zaprzeczamy im może jedynéj im właściwéj poezyi. Może i to ogrodnictwo z czystych wypłynęło źródeł. Mechanicznie ucywilizowany Chińczyk, w jednostajności mandaryńskich rządów uśpiony, czuł tęsknotę za ową kolebką swojej młodości, za owém koczowaniem po leśnych i łącznych nadbrzeżach rzeki żółtéj, gdzie przeżył swobodnie tyle wieków, nim go czczony Fohi wyprowadził na pola, nauczył kopać i orać, szanować prawa i przepisane cnoty. A dzisiaj, czy go religijne nęci wspomnienie, czy też wrodzona, a nieprzeparta miłość piękności opanuje, śledzi i odkształca przyrodzenie, nie szczędząc wszelkich zabiegów sztuki, aby naturę w dziewiczą jéj przywdziać szatę.

Długośmy, jak mniemam, ogrody naturalne, czyli tak zwane angielskie od Chińczyków przejmowali; lecz w istocie, tak mało wdzięczności winniśmy im za nie, jak za proch, druk i inne wynalazki, wcześniejsze od naszych. Cywilizacya ich sama sobie uboczną torowała koléj, gdyśmy mozolnie dobijali się o wszelki postęp naukowy i przemysłowy. Nie dziw więc, że naród jednoistny i tak liczny jak niemal cała ludność Europy, nie znający potrzeb ducha, potrzebom przemysłowym prędzéj i lepiéj dogodzić zdołał, a nawet i prozaiczne swe życie miléj sztuką uprzyjemnić umiał. On jeden dokazał tego, na co się u nas tyle rodów składało. Nasze zaś nawet kunszta są tylko zbiorem mnogich usiłowań rozmaitych ludów; wreście i piękne ogrodnictwo, zwolna rozwijane, wiąże się z dziejami cywilizacyi. Stworzone pod pięknem niebem syryjskiém, sięga poetycznych czasów Haruna Raszyda, którego pamięć dotąd przyświeca nad kolebką wschodu, którego przyjaźń Karol W. za największy sobie poczytywał zaszczyt. Kalif ten bagdadzki silny nadał popęd naukom i kunsztom; on też wskrzesił botanikę i pierwszy zakładał owe ogrody syryjskie, które do dziś dnia Turcy po swych cmentarzach powtarzają. Później Krzyżacy walcząc o grób Zbawiciela, nie jednę niezamierzoną zdobycz odnieśli: rozwinęło się uczucie honoru, rycerska miłość średnich wieków, prawość towarzyska, wszelka oświata, przemysł i handel, i ogrodnictwo. Szczególniéj we Włoszech zaczęto pielęgnować ogrody. Już w XIV. wieku Piotr Crescenti skreślał przepisy sztucznego ich zakładania. Atoli szczególniéj Medyceusze sprzyjali rozwinięciu się téj sztuki. Oni to nadali ogrodom tę właściwą cechę, która na całą rozprzestrzeniwszy się Europę, dwa wieki dzierzyć jéj nie przestała. Owe to świetne ogrody ojczyste, natchnęły śpiewaka wyzwolonéj Jerozolimy, do skreślenia cudownego obrazu ogrodów Armidy, które Anglicy za wzór Raju Miltona uznają, i ztąd początek ogrodnictwa wywodzą. Tasso więc pierwszy odważył się tak czarodziejski rzucić urok na naturę, dotąd osieroconą od człowieka; rozdarł tę zasłonę, która przed nim zakrywała jaśniejące lica matki i promieniste jéj czoło. — Później dopiero nową czcią ją otoczył Milton; on to pokazał, że cała ziemia jest rajem, byle jéj przywdziać szatę nadobną, pierwotnéj piękności: każden wiersz jego tchnie silną miłością przyrodzenia, tą samą miłością, która w naszym wieku tak potężnie ogarnęła namiętną dnszę Bajrona, i w tak wysokie uniosła go sfery. Milton także wywołał długi szereg poetów, którzy całe pole ogrodnictwa przebiegli, skreślając mnogie wrażenia téj wewnętrznéj poezyi, co się równie da objawić w niemym wyrazie gajów, jak i strumieni, myślą i ręką człowieka stwarzanych; jak się objawia w dźwięcznem następstwie tonów. Ścisły związek przyrodzenia z idealném ogrodnictwem, nie mógł ujść bystrego oka Bakona; filozof ten mocno zrozumiał i ocenił krzywdę, którą człowiek naturze wyrządza, pstrząc je w czcze stroje swego utworu, gdy znamienitszą, a wrodzoną jéj pięknością pogardza. Ubiegał on się z poetami o skreślenie prawideł sztuki ogrodniczéj; a poeta Mason cześć mu składając, zowie go prorokiem ogrodownictwa, tak jak Miltona heroldem, Popa, Adissona i Kenta, rycerzami téj sztuki. Z Popa, Adissona Shenstona i Masona dydaktycznych poematów, czerpamy przepisy sztuki, którą tak szybko rozwinięto w Anglii. Obok nich Thomson mnogie myśli nasuwa, najczarowniejsze skreśla krajobrazy, maluje piękności w następstwie pół roku zmienne, a zawsze liczne i harmonii pełne. We Francyi śpiewał ogrody Delil, a poema najwytworniejsze z dzieł jego, nigdy nie wyjdzie z rąk miłośników sztuki. I nasz Krasicki, listami o ogrodach pierwszy się przyczynił u nas do wyrugowania złego a wprowadzenia lepszego smaku. Opisy pojedynczych ogrodów winniśmy znakomitym poetom naszego kraju.

Silniéj niż poezya, przyczyniło się malownictwo do rozwinięcia ogrodownictwa; bezpośrednim węzłem złączone te sztuki, wspólnie się rozwijały. Wspólny zakres, wspólne trudności w ocenianiu pięknéj zewnętrznéj roślinnéj natury, wspólna chwała w przekształceniu jéj idealnem. W pierwszych wiekach, malownictwo wstępowało z snycerstwem w szranki, ubiegając się o doskonałość bohaterskiego lub boskiego wyrazu twarzy ludzkiéj. Kompozycye pro-

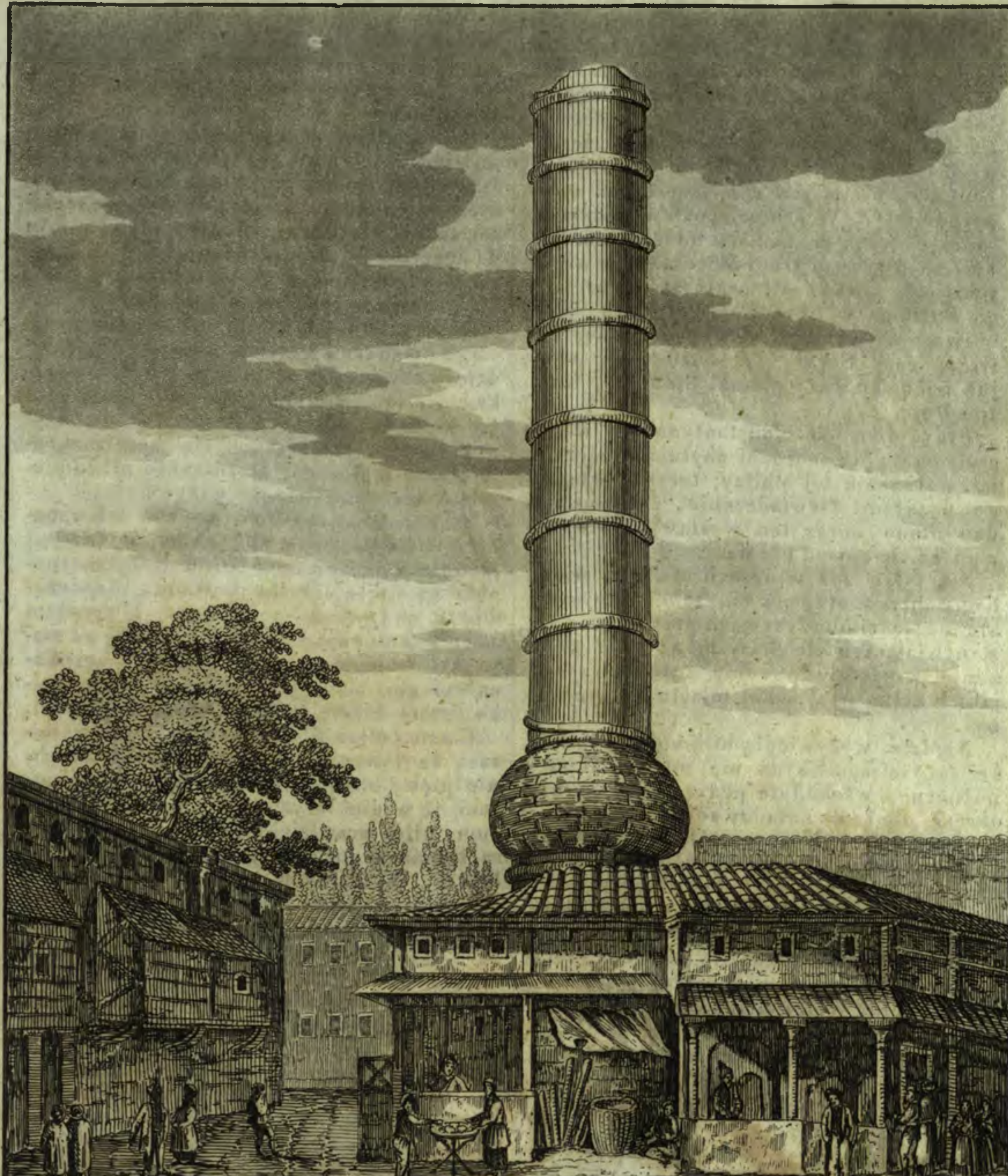
ste nie wystawiały pojedynczych momentów życia; były tylko wyrazem ogólnych stanów i sytuacyi duszy, bez względu na otaczające zmienne przyrodzenie. Takiemi są owe byzantyńskie obrazy z złotolitém niebem, takiemi jeszcze najstarsze płody włoskiéj szkoły, na których niebo gaszone jest przez szerokie kobierce, wznoszące się za tronem Maryi. Zaprawdę ten niemy wyraz wszelkich otaczających attrybutów obrazu, nie zdoła zniweczyć niezmiernego wrażenia, które na nas czynią; bo wśród ognistego byzantskiego nieba, na tle smutnego włoskiego dywanu, pałają oczy i lica, jakich ziemia nie oglądała, które tylko wiara takiem życiem napełnić mogła, wiara nieskażona, co nie wie, że już ktoś zwątpił, i tak silna, że sama cuda stwarzać zdoła. Pokąd malarz w religijném zostawał zachwyceniu, i sięgał swych wzorów tam gdzieś daleko, po za sferą codziennego życia poziomu; pokąd przyrodzenie zostawało bez czciciela. Późniéj dopiero, gdy od biblijnych do mitologicznych, a wreście do historycznych zstąpiono obrazów, i zewnętrzna natura w malarstwie rzeźwić się poczęła. Lecz nie poetyckie Włochy zdołały ją uświetnić; czekała ją apoteoza u innego rodu, który żadnych nie miał pamiątek, ani pogańskiéj wiary, ani chrześciańskich męczenników, ani nawet historyi, i całą swą wewnętrzną poezyą wylał w cześć natury, i i przelał na tło obrazów: był to naród flamandzki. Naród ten, co nie żył w czynach, ni w słowie, stał się nieśmiertelnym w czarodziejskich malowidłach swych mistrzów: nie odegrał on historycznéj roli na teatrze świata, lecz poetyczną. Nie przekazał potomnosci pamięci wielkich czynow, lecz zostawił w puściźnie arcydzieła sztuki. Tak i wśród Słowiańskich szczepów, mieszkańcy Podola najwięcéj mają gminnéj poezyi i muzyki. Chociaż nie chcemy zazdrościć tych kwiatów, któremi Flamandczyk stroił swoją ziemię i przenosim blask oręża nad świetne farby pendzla, oddajmy hołd ludowi, co w rozkrzewianiu oświaty tak wielkie ma zasługi przez rozwinięcie przemysłu, kunsztów i sztuk pięknych; a ponieważ u niego najwyższy przemysł szedł społem z najwyższém wykształceniem, przeto i malarstwo przejęło cechę téj mistrzowskiéj zręczności.

Nie sięgało ono tak daleko jak włoskie wzorów swéj sztuki, mniéj utwarzało ideałów; lecz wierniéj, sumienniéj kopiowało naturę. Nic nie ujdzie oka Flamadczyka, niczem on nie wzgardzi; a nad całą rozmaitością przedmiotu, samowładnie panuje nie idea malarza, lecz światła igrające z cieniami. Koniecznie więc musiał Flamandczyk i roślinną naturę, w obręb swego pendzla podciągnąć. Nie znał on gwałtownéj walki alpejskiego przyrodzenia; powtarzał więc owe spokojne dęby rozłożyste, ciemne gaje, i łąki i wody, szumiące młyny i mieszkalne domy. W tych to cichych krajobrazach uczciliśmy po raz pierwszy ową spokojną naturę, w któréj obok przyrodzenia i człowiek panuje, a dzieła obu, pod jednem berłem piękności się mieszczą; słowem, poznaliśmy początki ogrodownictwa angielskiego. W jednym bowiem czasie i flamandzki przemysł przeniósł się do Anglii, i pierwsze początki ogrodniczéj sztuki tamże zaszczepione zostały. Anglicy, nie zdolni pendzlem powtarzać utworów flamandzkich, kreślili je rylcem na miedzi w niezliczonych i doskonałych swych kopersztychach, i niemi smak do pięknych krajobrazów rozszerzyli i ugruntowali w swéj ojczyźnie na zawsze.

Malarstwo więc flamandzkie i poezya angielska były wewnętrzemi przyczynami, z których powstało piękne ogrodnictwo, również jak architektura klassyczna dała pochop do rzymskiego, a późniéj francuzkiego ogrodownictwa. Tak to sztuki piękne silnym łącząc się węzłem, tylu wieńcami ustroiły historyą rodu ludzkiego i tak świetną aureolę nad czołem jego zakreślają.

W tych dniach wyszło pożądane i z niecierpliwością oczekiwane dzieło, o wyrabianiu cukru z buraków przez Józefa Bełzę, Tom jeden z 30 arkuszy in 8vo majori z ośmiu tablicami rycin, cena Zł. 20. Przedmioty w nim traktowane tak są ważne pod względem bogactwa krajowego iż w następnym zeszycie pisma naszego, pośpieszemy udzielić czytelnikom naszym a zwłaszcza na prowincyi zamieszkałym, zarysu tego dzieła i rezultatu w nim zawartego.

KOLUMNA KONSTANTYNA W.
NA PLACU FORUM W KONSTANTYNOPOLU.



KONSTANTYNOPOL.

(*wyjątek z Podróży do Turcyi, Edwarda hr: Raczyńskiego*).

Wieczorem popłynąłem kaikiem do Stambułu; jest to rodzaj łodzi dosyć długich, lecz bardzo wązkich, tak zaś lekkich, że kiedy trzech ludzi robi wiosłami, lub wiatr niezbyt mocny rozpiąć pozwoli bardzo mały żagiel, mówić można, że wody jak strzały porzą. W téj tak szybkiéj żegludze nikną przed okiem coraz nowe przedmioty. W krótce spostrzegłem przylądek Seraju; za każdém uderzeniem wiosła, zachwycający obraz coraz się więcéj rozwijał. Już spostrzegam pałac wielkiego Sułtana w Beszyktasz, i nieco wyżéj na wzgórku koszary artylleryi konnéj, już widzę cały Seraj, już Skutary w Azyi, już nakoniec cały niemal Stambuł, Galatę i Perę.

Przybyłem do Konstantynopola w tém mniemaniu, iż podróżni zbytnie przechwalali położenie téj stolicy; teraz z własnego uczułem doświadczenia, że albo bardzo zimno obraz ten wystawili, albo raczéj że się opisać nie da.

Nie tylko zaś w oczach malarza widok Konstantynopola nie ma sobie równego, ale nadto zimna rozwaga przekonywa zastanawiającego się Statystyka, iż to położenie wszystkie w sobie łączy korzyści, jakich tylko wielkiemu miastu życzyć można.

Nigdzie wyżywienie milionowéj ludności łatwiejszém bydź nie może. Wiatry północne i wschodnie pędzą do Stambułu okręty zbożem naładowane, z Rumelii, Bulgaryi, Wołoszczyzny, Multan, Synopy i Trebizondu. Wiatry południowe i zachodnie sprzyjają żegludze okrętów z Archipelagu, Grecyi, Morei, Egiptu i Syryi. Nakoniec, gdyby nadprzyrodzoném zdarzeniem, wszystkie wiatry na czas nieiaki ustały, wtenczas pęd morza z północy tak jest silny, że statki z czarnego morza prawie bez pomocy wiatru przybywać mogą; a port Stambułu, pod murami Seraju, pod okiem panującego, jest miejscem, które natura na środkowy punkt handlu znacznéj części Azyi i Europy przeznaczyła; jest miejscem, gdzie wszystkie skarby z rogu obfitości sypać się zdają.

Stambuł panowaćby powinien południowym morzom Europy. Prócz portu od wszystkich wiatrów bezpiecznego, w którym częstokroć po kilkaset stawa okrętów, zdaniem mojem nazwaćby można portem całe morze Marmora, ze wszystkich stron ziemią otoczone. Rozległe morza Czarnego, Propontydy i Archipelagu brzegi, znaczną liczbę żeglarzy flotom wojennym dostarczaćby mogły, gdyby Rząd turecki z tak szczęśliwego stolicy swojéj położenia korzystać umiał.

Późno wieczorem przypłynąłem do Stambułu, a widząc mury i Minarety Seraju cieniem swoim do Azyi sięgające, zdawało mi się widzieć cień Mahometa II. lub Solimana, berło swoje nad tą częścią świata rozciągającego.

Konstantynopol a po turecku Istambuł, jest jednem z największych miast Europy. Obwód téj stolicy jest w kształcie trojkąta, którego jeden bok zawiera dwa tysiące sześćset sążni długości, od przylądku Seraju do meczetu Ejub wzdłuż portu; drugi bok od meczetu Ejub do zamku siedmiu wież, obwiedziony jest murem trzy tysiące dwieście sążni długim; trzeci bok nakoniec rozciąga się do trzech tysięcy dwóchset pięciudziesiąt tysięcy domów; liczy 660,000 mieszkańców wraz z przedmieściami, nie rachując w to ludności miasta Skutary, w Azyi położonego, czterdzieści tysięcy mieszkańców zawierającego, które także przedmieściem Konstantynopola nazywają.

Stolica państwa Ottomańskiego, tak wspaniały z morza wystawiająca obraz, nie jest pięknie zabudowaną. Ulice Konstantynopola są kręte, źle brukowane, nieporządne i nadzwyczajnie ciasne. Mierzyłem ulicę Bakczekapussijół, prowadzącą od morza ku meczetowi Swiętéj Zofii, i przekonałem się, ze w jednem miejscu ma tylko cztery łokcie szesnaście cali szerokości.

Ciasne ulice Stambułu tém są ciemniejsze, że Turcy tak dalece zwykli wierzchnie piętra domów swoich naprzód wysuwać, iż w niektórych miejscach widziałem domy ulicą przedzielone, ledwie o półtora łokcia w górnych piętrach od siebie odległe. W ciasnych tego miasta ulicach, dwa powozy obok siebie nie wszędzie stanąć mogą; Turcy atoli rzadko ich używają. Najznakomitsze w Stambule osoby, urzędnicy Porty, sam nawet Sułtan, konno w mieście jeździć zwykli; kobiety jednak majętne jeżdżą powozami, do których konie lub bawoły zaprzęgają. Powozy te wyzłacane i axamitem niestrzyżonym wybite, przypominają dawne kolasy naddziadów naszych. Jednę tylko w Stambule piękną widziałem ulicę, którą Turcy Dywan Joli zowią; ulica albowiem ta jest bardzo długa, dosyć prosta, i kształtnemi drewnianemi domami zabudowana.

Tém więcéj zdobią miasto dziedzińce obok znaczniejszych meczetów, a szczególniéj plac przed meczetem Sułtana Achmeta, który Grecy Hippodromem, a Turcy Atmejdanem zowią. Plac ten długości ma

pięćset kroków, szerokości sto dwadzieścia. Za cesarzy Greckich, Hippodrom był polem gonitw, na którém ubiegano się do mety; dzisiaj Turcy w tém miejscu konie ujeżdżają. Sztuka i zręczność jezdzców tureckich na tém zależy, że konia jak najbardziéj rozpuściwszy, nagle go wstrzymują lub na miejscu zwracają.

Starożytności Stambułu, które celniejszym zwykły bydź przedmiotem ciekawości podróżnych, stolicę tę zwiedzających, nie odpowiedziały memu oczekiwaniu, gdy pomimo znajoméj obojętności Turków na płody sztuk pięknych, mniemałem, że więcéj w tém mieście pozostało śladów świetnego przepychu Konstantyna wielkiego i jego następców.

Znajdujący się na Atmejdanie obelisk z jednego ciosu granitowego wykuty, z Egiptu do Konstantynopola był sprowadzony. Pomnik ten trzydzieści i jeden łokci wysoki, w środku na każdéj stronie ma strefę Hierogłryfami głęboko wyrytemi ozdobioną, i stoi na czterech sześcianach śpiżowych, ośmnaście cali wysokości i tyleż szerokości mających. Czworoboczna jego podstawa wznosi się o sześć łokci nad ziemię, i u wierzchu gzemsem jest ozdobiona. Słup ten ogromny zadziwia na pierwszy rzut oka, rozumiem jednakże, że w miarę obwodu nie dosyć jest wysokim. Rzeczą jest do wiary podobną, że część tego obelisku w przewożeniu lub podnoszeniu odłamano; szczyt jego albowiem nie prosto jest zaostrzony; zdaje się zaś, że Egipcyanie nie byliby popełnili tak grubego błędu przeciwko pierwszym prawidłom architektury. Cesarz Teodozyusz, w czwartym wieku Ery chrześcijańskiéj, na Hippodromie czyli Atmejdanie wznieść go kazał, co wskazuje łaciński napis w pięciu wierszach na podstawie nad samą ziemią wyryty.

Drugi jeszcze na Atmejdanie stoi obelisk z marmurowych ciosów, mający czterdzieści siedm łokci wysokości, a cztery łokcie tylko miąższości. Godną jest zastanowienia trwałość tego pomnika od tylu wieków, pomimo słabéj jego posady w porównaniu wysokości; tém bardziéj że z trzech stron mocno jest wyszczerbiony. Konstantyn Porfirogenit kazał ten ostrosłup pokryć wyzłacanemi śpiżowemi blachami, których dziś śladu nawet nie zostało.

Konstantyn wielki, chcąc przyozdobić i uświetnić miasto imie jego noszące, zbierał z wszystkich części obszernego państwa posągi, obrazy i rzeźby najdoskonalszych malarzy i snycerzy dawniejszych wieków. Na środku placu Forum zwanego, wystawił kolumnę porfirową, i na niéj wznieść kazał śpiżowy posąg Apollina przez Fidyasza robiony. Plac ten w ówczas tak wspaniały, upiększony posągami Bogów i bohatyrów dawnego Rzymu, dziś nędznemi drewniannemi zabudowany jest domami. Kolumna atoli porfirowa, dotąd się dochowała. Turcy ją spalonym nazywają słupem, z przyczyny pożarów, które część tę miasta tyle razy w perzynę obróciwszy, tak kolumnę nadpsuły, iż ją kilkunastu obręczami żelaznemi opasać musiano. Ciężki kształt téj kolumny i nieforemne jéj stosunki, nie mogły odpowiadać szlachetnym rysom Boga światła i nauk, którego sławny Fidyasz zapewne w całym blasku młodości i wdzięków wystawił. Za panowania Nicefora Botoniatesa w jedenastym wieku, piorun posąg ten ztrącił i kolumnę znacznie nadwerężył.

Podstawa słupa porfirowego tak jest domami otoczona, że pomimo mego usilnego starania dostąpić do niéj nie mogłem; nie czytałem więc napisu znajdować się na niéj mającego.

Boleśną jest dla miłośnika kunsztów strata tylu posągów, obrazów i rzeźb przez najsławniejszych malarzy i snycerzy starożytnéj Grecyi robionych, których ślady dziś znajdujemy tylko w opisaniu historyków, unoszących się nad ich pięknością. Stratę tylu pomników sztuki przypisać należy po części odmianom dynastyów w monarchii wschodniéj, i zaburzeniom od podobnych gwałtownych wypadków nie oddzielnym. Turcy zapewne też wiele posągów i rzeźb zniweczyli. Największą atoli w tym względzie szkodę zrządziły pożary, które tylokrotnie stolicę państwa wschodniego niszczyły. Dziejopisowie Byzantyńscy w najmocniejszych wystawiają wyrazach gwałtowność ognia, który po kilkanaście tysięcy domów w jednym dniu w Konstantynopolu w perzynę obrócił. Tak gwałtownego ognia, ani marmurowe ani śpiżowe rzeźby wytrzymać nie mogły

---

LITERATURA KRAJOWA.

(*Dalszy ciąg*)

Pieśni religijne istniały od pierwszych lat zaprowadzenia chrześcijaństwa. Zabytki tych utworów albo w zupełności znikły, albo też przerabiano je w miarę postępu języka i dziś już nie możemy dojść co i kiedy było utworzonym. Najdawniejszą zdaje się bydź pieśń Boga-rodzica przyznawana S: Wojciechowi. W roku zeszłym w Kwartalniku naukowym ogłoszono daleko starszą jej wersyą, od téj która jest znana powszechnie. Jan Opaliński czyli Jan z Brena her-

bu Łodzia biskup poznański, zmarły w 1341 r: miał ułożyć kilka pieśni nabożnych i latopisarze powiadają że pieśni te śpiewały bractwa w Poznaniu i innych miejscach. Żadna z nich nie doszła do nas.—Są wzmianki o pieśniach biczowników, przez Jana opata z Witowa, lecz nie dochowała się żadna. W bibliotece polskiej z roku 1826 w Tomie Iszym, karta 87—znajduje się artykuł A. T. Chłędowskiego, znanego ze swoich badań biograficznych, w którym donosi o znalezieniu kilku pieśni w rękopiśmie XV. wieku, między rokiem 1481 a 1493 — Utrzymuje autor artykułu iż pieśni te są daleko starsze od téj epoki i nie pisane ale tylko przepisane wówczas były. Domniemanie swoje opiera na niedokładności w budowie wiersza, na wyrazach które już w polszczyźnie z końca wieku XVgo albo się nie znajdują, albo inne zupełnie mają znaczenie iako to: *zamatek* zamiast *smutek*, *żena* zamiast *kobieta*, *wisa*, od czego zostało tylko pochodny wyraz zawisać, zwisłość i t. d. Wyraża więc domniemanie swoje, że pieśń ta zasięgać musi początków XIVgo wieku, jest więc jedna z najstarożytniejszych. Drukowana teraźniejszą pisownią, jest zupełnie dla nas zrozumiałą. Na przykład przytaczamy dwie strofy.

Zamęt ciężki dostał się mnie ubogiéj *żenie*
Widząc rozkrwawione me miłe *narodzenie*
Ciężka moja chwila, krwawa godzina,
Widząc niewiernego Żydowina,
Iż on bije męczy mego miłego syna.
Synku miły i wybrany
Rozdziel z matką swoje rany,
A wszakom cię synku miły w swém sercu nosiła
A i takież tobie wiernie służyła,
Przemów k'matce bych się uciesżyła
Bo już idziesz odemnie moja nadziejo miła.

Pomników piśmiennych prozą, nie znajdujemy żadnych. O widowiskach teatralnych czyli dyalogach, znajdujemy ślad w Kadłubku i Długoszu; iakie bydź mogły, niewiadomo.

Mieliśmy historyków i kronikarzy, ale ci pisali w języku łacińskim. Takiemi są Gallus, Kadłubek, Mateusz, Dzierzwa, Boguchwał, Jan kronikarz, Archidyakon gnieźnieński, Baszko i kilkunastu bezimiennych kronikarzy. W ogółowym przypominku, nie jest miejsce zastanawiać się nad ich zaletami, nad ich duchem. Są to bogate materyały; teraźniejsi badacze, przystępując do nich z krytyką i filozofią historyi, która wieku naszego jest dziełem, zaczęli dopiero wydobywać z nich i odświeżać zatarte rysy obyczajów i ducha odległych wieków.

W przeciągu czasu od założenia akademii krakowskiéj aż do pierwszego wytłoczenia polskiéj xiążki, to jest, od 1347 aż 1522, mamy cokolwiek więcéj pomników językowych, ale jeszcze ich liczba jest zbyt szczupła; ich wartość wewnętrzna prawie żadna. Janocki chwalebnie wspomina Stanisława Ciołka biskupa poznańskiego, żyjącego na początku XV wieku.»Szczególniéj »słynął poezyą (mówi) i nie tylko owe staro»żytne wiersze w których wzorem innych »narodów, waleczne, mądre i szczęśliwe »dzieła ojców sławionemi były, z grobów »niepamięci wydobył przybrawszy je w »nowego życia postać, ale wiele pieśni z »własnego dowcipu utworzył, w których i »ważność rzeczy i wdzięk języka uwielbienie wzbudzają.—Wzmianka ta jest nowym dowodem istnienia i zaguby starożytnych poezyi.—Lecz niestety! ani jeden wiersz Ciołka do nas nie doszedł. W dykcyonarzu poetów przez Juszyńskiego, znajdujemy wzmiankę o Janie Przeworszczyku autorze pieśni kościelnych, żyjącym około roku 1435. O Jędrzeju Gałce z Dobczyna, pisze p: L. Łukasiewicz, iż żył około r: 1450, był magistrem akademii krakowskiéj; przyjąwszy błędy Wiklefa, rozsiewał w wierszach jego zasady; pozostał po nim wiersz o Wiklefie z czternastu zwrotek składający się; jedynie tylko ważny jako dawny zabytek języka. Są także wzmianki o religijnych dyalogach.

Z prozy doszłéj do nas, wspomnimy: Psałterz królowéj Małgorzaty z wieku XIV, wydany przez Stanisława Borkowskiego w 1834, Ułomek biblii królowéj Jadwigi z wieku XIII.—Xiążeczkę do nabożeństwa na któréj modliła się Sta Jadwiga, wydaną w Poznaniu 1823. Zdaje się że téj xiążki używała królowa Jadwiga, zmarła w 1379 ale nie Sta Jadwiga, zmarła w 1243.

Biblia królowéj *Zofii* z r. 1455; znajduje się w Węgrzech w Saros-Patak.—*Biblia polska* dawna znajduje się w Wiedniu; mówi o tém Stan. Borkowski w przedmowie do Psałterza Małgorzaty. Jeszcze nie opisana.— *Agenda kościelna*, poprawna z rozkazu Mikołaja Trąby arcybisk. gnieznieńskiego (został nim około r. 1410), w któréj wspomina Innocentego III. na zbiorze lateraneńskim, nakazującego, aby obrządki kościelne sprawowano językiem własnym, przyrodzonym, wyrozumiałym. (była w książnicy Załuskiego). — *Agenda poprawna*, przełożona na polskie przez mistrza Trzciankę, kaznodzieję arcykatedry lwowskiéj, z rozkazu Pawła Tarły arcybiska lwowskiego, a w skutek życzenia

Dzierzgowskiego prymasa; (znajduje się w autografie w książnicy Prażmowskiego bisk. płockiego).—Swiętosław z Wocieszyna (mistrz i doktor; kustosz kościoła ś. Jana w Warszawie;) wytłómaczył *Statut Wiślicki i jagielońskie ustawy* r. 1449 i 1450. — Maciej z Rożana (pisarz skarbny, kanonik warszawski i pleban w Czersku) wytłumaczył około r. 1450 *Statut Mazowiecki.* — Bezimiennego przekład z r. 1503 *Statutu Wiślickiego i jagielońskich ustaw*, te wszystkie wydane w dziele: Pomniki ustaw polskich i mazowieckich: Wilno 1825 roku.

O krasomowstwie zachodzimy także dwa ślady w Długoszu; *a*) »Mistrz Paweł z Zatora miał *w języku polskim* (na pogrzebie Władysława Jagiełły, † 1434) *mowę*, w której wyliczając pobożne i dobre postępki króla Władysława, wszystkim słuchaczom słodką wymową łzy wycisnął.« — W jagiel: książnicy znajdują się jego: *Sermones de tempore, et Sanctis;* wtedy był taki zwyczaj pisać kazania po łacinie, a mówić to samo po polsku.—*b*) »Władysław syn Kazimierza Jagielończyka, przyjąwszy r. 1471 czeską koronę, miał *mowę* do czeskich posłów w przytomności ojca i senatorów *w języku polskim*, którą wielą do łez pobudził.«

Że już w tym okresie zajmowano się ułożeniem prawideł języka ojczystego, mamy dowód oczywisty, gdyż posiadamy następujące dziełko: »Jacobi Parkossii de Zorawice *antiquissimus de ortographia polonica libellus*; *rogatu et sumptibus Ed. Raczyński*, *opera et studio G. S. Bandtkie editus Posnaniae* 1830.«—Ten Jakób syn Parkosza z Zorawicy, doktor prawa i rektór akademii krakowskiéj, był kanonikiem i plebanem na Skałce przy Krakowie około r. 1440.

Nareście *pamiętniki Janczara*, drukowane w Warszawie 1829—w zbiorze pisarzy wydania Gałęzowskiego, są najpóźniejszym a przytem najznaczniejszym tworem piśmiennictwa naszego, z lat poprzedzających wiek Reja i Kochanowskiego, ową to epokę w któréj literatura silny otrzymała popęd i nagle stanęła w równi z literaturą najoświeceńszych narodów. Odtąd zarys nasz nie będzie samym tylko suchem zbiorem śladów i napomknień. Lecz nim daléj postąpim; w tém właśnie miejscu, najwłaściwiéj wypada nam zamieścić obraz dawnych wędrownych śpiewaków, których istnienie zasięga przedchrześcijańskich czasów u Słowian, a którzy prawie zupełnie podupadli i wyginęli w końcu 17go wieku— Obraz ten, skreślony przez K. Wł. Wójcickiego, będzie uzupełnieniem pierwszéj części zarysu literatury naszéj.

GUŚLARZE, CZYLI WIEJSCY WĘDROWNI ŚPIEWACY.

Zagasła pierwsza *Guślarów* nazwa, wraz z ich pamięcią, a starożytne śpiewy, głuchły coraz bardziéj w ustach jedynie wieśniaczych zostawiwszy słabe echo, nie już wspomnień historycznych, ale właściwie słowiańskiego ducha, barwy i myśli.

Dziś Kobzę rzadko zobaczyć, rzadko napotkać wędrownego z rzemiosła grajka dudarza: a przecież taka ich mnogość była że r. 1578 ustanowiono, iż każdy dudarz rocznie podatku dać winien 24 groszy owoczesnych. Duda i Lira brzmiały gędzką po zamkach, i modrzewiowych dworach, a rycerz w okurzonéj zbroi, wróciwszy z wyprawy, żądać kobzy nie wstydził, lub przygrać na Lyrze, alboli bandurze.

Ow zawołany Samuel xiąże Korecki, którego Samuel z Skrzypna Twardowski słusznie »*piorunem tureckim*« nazywa, gdy szedł w jassyr turecki, po nieszczęśliwéj bitwie, przygrywając na kobzie smutnych pocieszał towarzyszów.

Kobza inaczéj koza, duda zwana, najpowszechniejszą była w krajach nadwiślańskich, jak lyra i bandura u Rusinów. (a) Jeżeli dudarzy pełno było nie tylko w miastach, i po wsiach osiadłych, nie mniéj i wędrujących, którzy przebiegali z kobzą w ręku, a pieśnią w ustach, sioła i dwory i zamki.

W Rusi wszakże dostrzegam oddzielną niejako kastę śpiewaków. Są to *Slepcy* niewidomi, którym przyroda nie odjęła wzroku, lecz albo sami się oślepili, lub od własnych rodziców zostali oślepieni. Znałem w Pokuciu (nad Prutem) dziada, który dwóch synów oślepił. Dziad taki niewidomy, gra lub sam na lirze, lub go prowadzi syn młody, co przygrywając na niéj, towarzyszy pieśniom.

Rzewnie patrzeć na starca, który pozbawiony wzroku, z sakwami na plecach, trzymając za ramię młodego syna, obchodzi dziś jeszcze sioła i dwory na Rusi. Usiędzie starzec, miasto oczu drgają mu tylko białka, a syn obok niego pokręca korbę, uderza zręcznie w klawisze lyry i wydobywa z niéj tony do pieśni świętéj i smutnéj dumy.

(a) Na pokuciu między Dniestrem a Prutem był sławny kmieć ruski doskonale grający na dudzie, który przy tém tańcem i śpiewkami wesoło zabawiał szlachtę po dworach. Dotąd jeszcze pamięć jego żyje w tamtéj okolicy.

Ale nie zacznie ni dumy starodawnéj, ni wesołéj kołomyjki póki nie odśpiewa pieśni o swiętym Mikołaju.

»Bo nie masz na ziemi (tak śpiewa lirnik) większego patrona nad Sgo Mikołaja; w nim jest pomoc cała, on rozum jest. »On ratuje więźnia, sierotę i wdowę. Jeżeli błądząc pomodlisz się jemu, on cię »naprowadzi na drogę; nie wpadniesz między wilków; on bisowski rozpędzi obłęd!

»Opiekun sierót, karmiciel biednych, o »co go błagać w tém poratuje; a gdy przyjdzie dzień strasznego sądu, w nim pomoc »i obrona grzesznika.«

A gdy zakończy pieśń pobożną, starzec przypomina mu dumę jaką, lyrnik młody gra i śpiewa już wtedy światowe pieśni, zwykle wesołą kołomyjką zakończając.

I tak chodząc ode wsi do wsi, od domu do domu, ślepiec napełnia sakwy żywnością, grosza uzbiera, wraca do swojéj chaty, gdzie swobodnie żyje. Zwykle albowiem ten *paniońko* jak go Ruś sama nazywa, do najbogatszych należy, nie masz we wsi nad jego zamożniejszéj chaty; żadna dziewka tak się nie wystroi, jak córka panionka, a pomiędzy swymi jest w powadze i znaczeniu. Dla tego też używając dobrego bytu, ojciec ślepi synów własnych, by w jego krwi i pokoleniu, utrzymał się zaszczyt rodu *Dida* (dziada) bo to już nie mała chluba gdy paniońko może powiedzieć o sobie, że did z dida, dziad z ojca i pradziada (b)

Że podobny rodzaj ślepych dziadów i u nas był przed laty, napomyka dowód stary dyalog 1553 roku (c) w którym czarownica przyznając się do swoich występków, między innemi mówi.

„A drugą'm rzecz uczyniła
„*Strychowi* oczy skaziła,
„Ale mu to nic nie wadzi,
„Rychło mu da pieniądz każdy,
„Widząc tę jego lichotę
„Którą cierpi przez ślepotę!

I sami *paniońki* grywają na lyrze. W górach w pobliżu sławnego wodospadu Prutu, spotkałem młodego ślepca. Nadszedł w to miejsce widomy lyrnik, i począł przygrywać: na pierwszy odgłos zadrżał ślepy, i błagał ażeby użyczył mu liry; drgały mu palce, z chciwością wyciągnął ręce jakoby po skarbiec jaki. Ale nieużyty grajek nie chciał mu dać liry, i zaledwie datkiem znaglony został do spełnienia gorących życzeń ślepego. W on czas ślepiec schwyciwszy lirę, odetchnął wolniéj, pochylił głowę przysuwając bliżéj ucho: zakręcił korbą, puścił palce uczone po klawiszach. Na bladéj twarzy wnet wybił rumieniec, w całym było widać głębokie uczucie: mogę powiedzieć że nigdy lira lepszego nie miała mistrza: a gdy skończył, z wysilenia opuścił bezwładne ręce, oparł głowę o skałę pod którą siedział, a pot kroplisty oblał twarz rozpaloną.

Lyrnicy odwiedzali często i nasze strony. Mazury, równie lubili tych grajków i śpiewaków razem, jak swoje sławne *mazowieckie dudy* (d) Jeszcze zapamiętam starca lyrnika co obchodził po Warszawie. Wysoki, nachylony nieco laty, siwy jak gołąb, poważnego oblicza, okryty zawsze jasno niebieskim szerokim płaszczem z krótkim kołnierzem, pod którym nosił lirę.—Chodził od gospody do gospody, grając na lirze prześpiewując drżącym głosem, dawne dumy i pieśni. Często i na publicznych przechadzkach usiadłszy, obudzał smętne tony. Pamiętam go dobrze! Ta twarz sędziwa zmarszczkami okryta, ale szlachetna, z któréj rozpusta nie spędziła młodzieńczéj róży, ten włos siwy, w długich splotach co go wiatr rozwiewał, płaszcz długi, ubior niezwykły, przy wykwintnym stroju cudzoziemskim mieszkańców Warszawy, używających przechadzki; cała postać poważna, wspaniała; ten głos drżący, co się tak dobrze godził z drżącą struną liry, silne, na młodzieńczym umyśle, musiał czynić wrażenie. Był to ostatni lirnik, śpiewak, co wśród zfrancuziałego i przeniemczonego miasta, dobywał grobowego głosu, do wyśpiewania starodawnéj pieśni, któréj słabe echo nie odbiło nawet. Któż wtedy zwrócił nań oko? Pamiętam jego słowa, gdy raz wychodził z gospody, nie mogąc nic zarobić, zagłuszony wrzaskliwą kataryną. »Zle, że starego nie chcecie słuchać.«

We dwa lata, jakem go poznał (było to między 1816 a 1818 rokiem) w zimie umarł. Napróżno'm go czekał tam gdzie zawsze zwykł przychodzić, gdzie słuchałem jego

(b) We wsi Matyjawie nad Prutem w pobliżu miasta Kolomii (w Galicyi austryackiéj) znalazłem odwieczne gniazdo tych *paniońków*. Mam pewną wiadomość że w Hrubiszowskiém byli przed kilkunastu laty w osadach Ruskich podobni *ślepcy*, zapewne znajdzie ich i teraz.

(c) Rozmowy (dyalogi) in 8vo min: 1553 u Florjanowéj wdowy w Krakowie.

(d) Inventores rerum albo opisanie co kto wynalazł i do używania ludziom podał, Jana Protosowicza w Wilnie 1608 in 4to, Mazowieckie dudy *sławnymi* nazywa.

liry i pieśni, nie ujrzałem już więcéj *Niebieskiego płaszcza,* jak go nazywano. Pogrzebiono go w tym płaszczu, a lira na któréj nikt grać nie umiał, rzucona na komin, posłużyła do zgotowania obiadu ubogiéj rodzinie, przy któréj zamieszkiwał starzec.

Wiele przyczyn wiązało się na zgubę tych śpiewaków i muzyki, która w gęśli, dudzie, lyrze i bandurze żyła. Główne powody zamiłowanie cudzoziemczyzny, rozkrzewienie muzyki włoskiéj, i ćma muzykantów z tamtéj krainy, upowszechnienie instrumentów obcych, zgubny wpływ wywarły. Czuł dobrze tę szkodę Jan Gawiński kiedy napisał (r. 1668) kobzie nagrobek, bo już o niéj zapomniano.

„Ja ona kobza sławna, z derenia zrobiona,
„Z cnoty, nad cytry swemu panu ulubiona:
„Dla lutni w kąt rzucona, dziś brzęczę z swierszczami,
„Ach! cudze w cenie! swemi gardzimy cnotami. (e)

W XV i XVI wieku, ziemianin miał jeszcze nadwornego dudarza, lub bandurzystę i gdzie szedł grajek należący do wystawy dworskiéj, poprzedzał swego pana, wygrywając na kobzie, lub śpiewając przy bandurze. Późniéj zastąpili ich trębacze, często mięszani razem z dudarzami dla większéj okazałości. (f)

Na Rusi po dworach, do naszych niemal czasów utrzymali się bandurzyści.

Duda pod nazwą kozy, używana jest w krakowskiém; w Wielkopolsce, nie masz do dzisiaj muzyki u pospólstwa, gdzie dudy nie masz. Wysmukli górale, na brzmienie kozy, w chyżych skokach okazują radość, jak górale Słowaki wśród Tatrów, kiedy swoje gajdy usłyszą.

Przy dudzie używanéj w Wielko-polsce, gdzie grajek sam nie dmie ale za pomocą mieszka nadyma, śpiew z grą jeden połącza, tak jako ruski lirnik. Przy kozie krakowskiéj, kobzie góralskiéj i gajdach Słowaków, gdzie nadymać potrzeba, częściéj śpiewak towarzyszy grajkowi, lubo i sam ma dosyć czasu po nadęciu do wyśpiewania krótkiéj piosnki.

Tym to dudarzom, lirnikom, i bandurzystom, kiedy zagasła pamięć słowiańskich guślarzy, winniśmy dochowanie najdawniejszych i najpiękniejszych poezyi gminnych. Byli to prawdziwi Apostołowie, co przechodzili ode wsi do wsi, od dworu do miasta, nauczając pieśni i cnoty.

Gdy się pokazał lirnik, dudarz, zbiegali się do niego, otaczali w około, a ten zwykle do słuchaczów obracał pierwsze słowa:

»Czy czuły wy dobri lude taku nowynoczku.« albo »O takoj nowyni.« (g)

A dudarz, kobeźnik zaczynał, gdy miał śpiewać dumę historyczną lub zdarzenie z rodzinnego pożycia:

»Stała się nam nowina« (h)

Gdy stanął w zamku lub we dworze, zwykle jakby prosił o posłuchanie. »Posłuchajcie panny i wy zacne panie.« (i) i kończył nieraz, gdy śpiewał o zwiedzioném dziewczęciu, moralną nauką.

„Posluchajcie panny i wy zacne panie
„Jakie z hultajami dobre wędrowanie.“

albo:

„Patrzajcie panienki i wy też mężatki,
„Jak to źle wędrować, od ojca od matki.“

Jak zaczyna dziś lirnik, kobziarz czy dudziarz, mając śpiewać starą dumę, tak zaczynali i przed kilkoma wieki śpiewcy, których zabytki do nas doszły. Mamy tego dowody w rękopiśmie królodworskim, że jak nasz dudarz zaczyna; »*Posłuchajcie panny i wy zacne panie,* tak tam przed opisem świetnych turniejów (siedani) u kniażia Załabskiego.

„Znamenaite stari mlodi,
„O pólkach, i o siedani “

Tak przed zaczęciem powieści o Jarosławie:

„Zwiestuju wam powiest weleslawnu
O welikych pólkach, lutych boiech:
Nastoite i wes swoi um zbieraite,
Nastoite, i nadiwne wam sluchać! (l)

Widzimy to i z wyprawy Igora, owego pomnika poezyi Słowiańskiéj z ostatnich lat XII wieku, którą tak zaczyna śpiewak stary.

»Nie pięknież byłoby bracia! począć staremi słowy trudne powieści o pułku Igorowym, Igora Swiatosławicza! Poczyna, że się pieśni wedle wydarzeń tego wieku, nie wedle *bojańskiego* zmyślenia.«

K. Wł. Wójcicki.

(e) Sielanki 1668 r.

(f) S. Klonowicz Worek Indaszów. „On idzie za trębaczem, on idzie za dudą.“

(g) Wacław z Oleska (Zaleski). „Pieśni polskie i ruskie ludu Galicyjskiego. Rzadko kiedy wspomina śpiewak o sobie: jest jedna tylko pieśń w tym zbiorze która się kończy.

„Totu tobi śpiewanoczku sestryczka składała,
„Szoby brata Stefanoczka ta nie zabuwala.

(h) Pieśni ludu Białochrobatów, Mazurów, i Rusi z nad Bugu; K. Wł. Wojcickiego T. 1. w Warszawie 1836 r.

(i) 1836 T. 1.

(k) 1836 T. 2.

(l) Wyprawa Igora na Połowców poemat słowiański, wydany przez Augustyna Bielowskiego, Lwów roku 1833.

GOSPODARSTWO I PRZEMYSŁ.

Donieśliśmy w poprzedzającym zeszycie o wyjściu ważnego dzieła, *O wyrabianiu cukru z buraków* przez P. Bełzę, teraz udzielamy obszerniejszą o niém wiadomość.

W krótkiéj przedmowie wykłada autor, że w teraźniejszym stanie rolnictwa w Europie i przy tanności innych produktów, uprawa buraków i wyrabianie z nich cukru, jest najważniejszym przedmiotem.

»Dwa dotychczasowe najgłówniejsze źródła dochodu w gospodarstwie były, wypalanie kartofli na wódkę i wełna. Pierwsze znacznie podupadło drugie jakkolwiek jeszcze zyskowne nie jest trwałém i od wielu przypadkowych okoliczności zależy.«

»To wskazuje konieczną i nagłą potrzebę nowéj gałęzi przemysłu, którabyi stalsze powodzenie i niewątpliwe zyski zapewniała. Taką właśnie jest wyrabianie cukru z buraków. Przedstawia ono obfite źródła bogactwa, tém godniejsze dokładnego poznania i przyswojenia, że dla kraju, jak nasz, wyłącznie prawie rolniczego, zapewnia wielkie korzyści, o których wątpić, po tylu doświadczeniach i przykładach, jakich dostarczają Francya, Niemcy i Rossya, byłoby to chcieć gwałtem nieść hołd uprzedzeniu i nie uznawać zaradczych środków tam, gdzie ich skutki są nieomylne.«

Kreśli następnie historyą fabrykacyi cukru z buraków. Pierwszym wynalazcą był Margraf chemik Berlinski w 1747 r. lecz odkrycie jego poszło w zapomnienie. W 40 lat po nim, Achard także chemik Berliński, wznowił doświadczenia swego poprzednika, lecz fabryki pozakładane za jego przykładem, w krótce poupadały i tylko utrzymały się w Rossyi. Przyczyną tego była wysoka podówczas cena zboża, a niska cukru z trzciny cukrowéj.

Napoleon zaprowadziwszy systemat lądowy i chcąc wszelkiemi sposobami szkodzić handlowi Anglii upowszechniał i wspomagał wyrabianie cukru z buraków; upadek Napoleona i pokój z Anglią bardzo zaszkodził tym zakładom, jednakże część ich utrzymała się, a w ostatnich kilku latach tak zaczęły się powiększać, że w od 1829, do 1836go, liczba fabryk cukru z buraków, pomnożyła się o czterykroć.

»Tak nagły wzrost zakładów cukru z buraków nie mógł ujść baczności rządu francuzkiego, i dla tego w celu zrównoważenia ich z zakładami cukru trzcinowego w osadach zamorskich, wniósł minister Duchatel projekt nałożenia podatku na cukier z buraków. Możeż być jaśniejszy dowód użyteczności tego rodzaju przemysłu? Poznały zapewne całą jego ważność inne państwa Europejskie, kiedy bez względu na łatwiejszy dowóz i większą daleko taniość, jak u nas, cukru trzcinowego, wzięły się z zapałem do wyrabiania tego pierwiastku z buraków. Rossya np. pokrywa już $\frac{1}{8}$ część ogólnego zużycia cukrem własnym krajowym. Toż samo powiedzieć można o wielu krajach Niemieckich, a szczególniéj o Czechach i Szląsku.«

Wszystko to przekonywa, że korzyści z téj gałęzi przemysłu są bardzo znaczne i pewne.

Dzieło pana Bełzy traktuje w części pierwszéj *O uprawie buraków,*— w części drugiéj, *o przerabianiu buraków na cukier*— w trzeciéj *opis machin i aparatów używanych po cukrowniach.* — W części drugiéj, rozdział VIII traktuje o nakładach na cukrownią z buraków, o kosztach jéj utrzymania i zarobku.—W rozdziale tym, autor zamieścił wyrachowanie nakładów i kosztów, w Austryi w Czechach, w kraju naszym, i w Rossyi. — Wykazuje się ztąd, że fabryka już na bardzo znaczną stopę urządzona, którаby do 18,000 korcy buraków wyrabiała, potrzebuje nakładu na sprowadzenie aparatu i machin około 44,000 złp: na koszta roczněj fabrykacyi 26,000 — Budowla, rachowana jest na 40,000 złp: lecz wydatek ten, dla zamożnych obywateli wiejskich nigdy nie jest ani trudnym, ani odstraszającym. — Przyjąwszy to prawidło, ułożył autor tabellaryczny wykaz; biorąc najwyższe i najniższe ceny buraków i cukru; wykazuje niemi że gdy cena targowa korca buraków wynosić będzie zł. 3, a cena mączki cukrowéj, tak jak jest teraz zł. 1 gr, 15ście, zysk czysty na sto, wyniesie 70. od sta: i $\frac{3}{4}$te.—Gdy cena buraków będzie po Zł: 1. a funt mączki cukrowéj po gr. 20 zysk czysty jeszcze wyniesie $33\frac{1}{3}$ od sta.

Między temi dwoma ostatecznościami przyjmując środek i mając na względzie, że pomnożone fabryki cukru krajowego, będą musiały z czasem ten sam dochód przynieść skarbowi, jaki ma od cukru sprowadzonego z zagranicy: okazuje się, że gdy funt mączki cukrowéj przedawać będą fabrykanci po 23 gr: a buraki płacić po złotych 2 za korzec, to od kapitału swojego mieć będą 33 od sta czystego zysku. Taki stan bardzo długo utrzyma się niezawodnie. -Jakie zaś korzyści osięgną pierwsi założyciele, gdy jeszcze i mączka cukrowa w wysokiéj cenie jak dotąd (po 45 gr:) stać będzie, a buraki na własnym gruncie wyrabiane, albo przy niskiéj cenie zboża i zatamowanie odbytu na nie po 2 a nawet i 1 zł. gr. 15 kupowane będą, łatwo przewidzieć; zysk ten dochodzi od 90 aż do 100 na sto procentu.



POŁÓW KORALI.

POŁÓW KORALI.

Koral jest jednym z płodów morskich na które zawsze zwracano uwagę. Od dawna używano go do ozdoby; starożytni poczytywali go za kamień bardzo szacowny i przypisywali mu cudowną własność; Rzymianie nosili go jako tajemnicze godło, jako strój miły bogom. Naszyjniki koralowe zawieszali nowo narodzonym dzieciom, aby ochronić je od zaraźliwéj choroby.

W rozmaitych okolicznościach używano koralu, dla odwrócenia nieszczęścia. Gaulowie ozdabiali narzędzia wojenne, paciorkami korali. Indyanie lubili i lubią jeszcze korale tak mocno, jak Europejczycy lubią perły. Pliniusz, Dioskorides i naturaliści z ery odrodzenia nauk, uważali korale za krzaczek opatrzony korzeniami i gałęziami, lecz nie mający liści. Marsigli w

1703 przypatrzywszy się koralowi świeżo wydobytemu z morza i ujrzawszy na jego powierzchni ciałka białe w kształcie gwiazdeczek, poczytał je za kwiaty. Ogłosił to odkrycie, a wówczas nic nie brakowało ażeby koral był rośliną morską. Wszyscy naturaliści owocześni przyjęli to zdanie i nikt nie sądził aby mogło bydź inaczej, gdy doktór z Marsylii Peysonet, dowiódł że koral nie jest rośliną, ale płodem zwierzęcym. Nie wszyscy uczeni przyjęli to zdanie, zbijał je nawet Reaumur, podówczas pierwszy między naturalistami. Akademia umiejętności chcąc roztrzygnąć tę sprzeczkę, wyznaczyła kilku swoich członków, między innemi sławnego botanika Bernarda de Jussieu, ażeby na miejscu sprawdzili spostrzeżenia Pejsonneta. Wszyscy przekonali się, że koral powinien przejśdź z królestwa roślin do królestwa zwierząt.

Koral ma kształt drzewka mającego tylko pień i gałęzie. Przyczepiony jest do skał szeroką podstawą i nie wyrasta na półtory stopy. Jego powierzchnia pokryta jest narostkami, w środku których mieści się zwierzątko, znane pospólstwu pod nazwiskiem mleka koralowego. To zwierzątko jest białe jak mleko, opatrzone ośmioma różkami otaczającemi gębę jego. Może zupełnie schować się do swéj komorki i czyni to skoro mu się sprzeciwiają. Cała powierzchnia zamykająca w sobie to zwierzątko, jest daleko większa niż środek, i zwana korą polipową. Nie tak jest czerwona i łatwo można ją oderwać. Wewnętrzny rdzeń jest bardzo twardy i z niego wyrabiają różne ozdoby koralowe.

Korale czerwone używane do stroju, wyłącznie niemal znajdują się w morzu śródziemnem i tworzą bardzo zyskowną gałąź handlu. Corocznie wielka liczba statków udaje się na brzegi Sycylii dla połowu korali. Rząd neapolitański musiał go ograniczyć, ażeby zupełnie ich nie wygubiono. Teraz poławiają obficie korale nad brzegami Afryki nie daleko Bony.

Koral znajduje się w morzu, od 15 stop aż do 300. Lecz w takiéj głębokości jest mały i nie wielkiéj wartości. Ażeby oderwać go od skał do których jest mocno przyczepiony, poławiacze używają dwóch narzędzi. Pierwsze składa się z dwóch belek na krzyż zbitych, których końce są opatrzone siecią. Gdy narzędzie wpuszczone jest w ławę koralową, sieci zaplątują się o gałązki, a poławiacze ciągnąc je w górę, wydobywają oderwane krzaczki. Drugie narzędzie nie tak często używane, ma kształt łyżki żelaznéj, długiéj na półtory stopy, mającéj u spodu i po obu stronach sieci dla chwytania oderwanych gałązek. Przywiązują to narzędzie do belki częstokroć dłuższéj niżeli łódź, a spuściwszy je na sznurze w głąb wody, wprowadzają w wydrążenia, dokąd pierwsze narzędzie nie może dosięgnąć.

Koral gdy już zostanie wyrobionym, często zmienia kolor. Od potu nie których osób, blednieje. Nadają w handlu rozmaite nazwiska licznym jego odmianom; jako to, koral pierwszéj, drugiéj, trzeciéj krwi i t. d. W ostatnich czasach, moda strojenia się w korale, znacznie upadła w Europie, lecz bardzo cenią go i zakupują do innych części świata.

Na morzach Azyi i Australii znajdują się niezmierne ławy koralowe, lecz korale te nie są czerwone, ale tylko szare i natłoczone jedne na drugie. Narastają one nadzwyczaj szybko tak, iż w przeciągu lat dwóch lub trzech zawalają przejścia którędy płynęły okręty i stają się przyczyną ich uszkodzenia. Ławy takie zrównawszy się z powierzchnią morza, sterczą po tém po jego opadnieniu, rozkładają się przez działanie promieni słonecznych i tworzą wysepki na których z czasem przyjmują się rośliny i drzewa i osiadają ludzie. — Wyspy Maldywskie, zdaniem jeografów, są niczém innem tylko ławami koralowéj materyi.

FABIAN BIRKOWSKI.

Osieroconą przez X. Piotra Skargę kazalnicę, objął słynny już wymową za życia jego, godny następca, X. Fabian Birkowski, Dominikan. »Obadwaj ze Skargą, mówi K. Brodziński, samą religijną energią nad swój wiek się wznieśli, wpływ przeważny wywarli, i mowę od zepsucia ocalając, ubogacili. Były to istotnie dwie czyste pochodnie, które nieszczęśliwemu wiekowi swemu przyświecając, w miłości wiary zgorzały. Większą swą wziętość dotychczas, winien Skarga zgromadzeniu, do którego należał, a które troskliwe było o rozszerzanie sławy swych członków; lecz potomność nie mniejsze przyzna Birkowskiemu zalety.«

Urodził się Birkowski we Lwowie w roku 1564. Wykształcony w Akademii Krakowskiéj, w młodym wieku objął przy niéj katedrę filozofii i wymowy, wkrótce jednak porzucił ją i wstąpił do zgromadzenia OO. Dominikanów w Krakowie, mając dopiero lat 28, do czego odmówienie kanonii miało być przyczyną. W zakonie wykładał Teologią, i przez lat 14 kazywał w

konwencie Krakowskim u S. Trójcy. Po powrocie swoim z Włoch, słynął w Warszawie, i zalecony królowi Zygmuntowi III., wezwanym został przez niego na nadwornego kaznodzieję królewicza Władysława. Od tego czasu, był Birkowski nieodstępnym towarzyszem młodego Monarchy, tułał się z taborami w Wołoskich wyprawach; tam wśród mrozów i głodu, wśród cierpień i trudów, spieszył od wodza do prostego żołnierza z religijną pomocą. Po śmierci Skargi powołany na jego miejsce, przeznaczony był do rady duchownéj, dla roztrząśnienia układów z Dyssydentami, z najbieglejszych teologów złożonéj. Starzec, prawie siedmdziesięcioletni, stargawszy swe siły na usługach przy dworze, nic więcéj nie pragnął, jak zakończyć swe życie w ubóstwie zakonném, zkąd wyszedł na nauczyciela monarchy. Powrócił do konwentu Krakowskiego, na łono braci swoich, i w gronie ich urząd Przeora sprawując, w roku 1636 dług śmiertelności wypłacił.

Był to mąż równie naukami, jak i cnotą znakomity. O pracowitości jego i biegłości w starożytnych językach, świadczą pisma zostawione; kapituła zaś Walentyńska po jego śmierci odprawiona, dała mu publiczną pochwałę, że nawet wśród dworskiego zgiełku kochał osobność, surowe i pobożne życie, i miał upodobanie w uczonéj pracy. Wyniesiony na przeorstwo w podeszłym już wieku, wzorem był dla młodszych braci w przestrzeganiu ustaw zakonu, i przyłożył się wielce, według świadectwa Bzowskiego, do zbogacenia xiąźnicy konwentu Krakowskiego. Pisma jego, powinny bydź obok Skargi niemal w ręku wszystkich tych, co pragną poznać gruntownie kościelną owego naszej literatury wieku wymowę, i gorliwością wzorowych mówców, zachęcić się do ich naśladowania. Wymowa Birkowskiego, ma charakter zakonu, którego był członkiem. Skarga okazuje jeszcze smak 16go wieku, w którym zgromadzenie jego się rozpostarło, gdy układnością i rozumowaniem walczyć należało przeciw obyczajnemu i wątpiącemu społeczeństwu. Ztąd więcéj jest ogładzony i ujmujący, chce raczéj przekonywać i zniewalać, niżeli zawstydzać i gromić. Birkowski, zatrzymał całą pierwotną nieokrzesaną energię średnich wieków i entuzyazm kaznodziejski, jakim zakon jego zasłynął wkrótce po wojnach krzyżowych. Kreśląc obraz kaznodziei, tak się pomiędzy innemi wyraża: »Pierwsza ozdoba kaznodziei jest, iż w oczach ludzkich porywa się jak ogień. Winien bydź iak ogień, czystym jasnym i gorejącym.« Przejęty duchem pierwszych Chrześcijaństwa rozkrzewicielów, gorzał Birkowski całym zapałem swego powołania, i czy to nauczał lud prosty, czy kazywał przy dworze, lub w obozach, wśród trudów i niebezpieczeństw, czy sławił poległych, wszędzie okazuje równą gorliwość. W ubogiéj szacie zakonnika, nieulękniony mówi prawdę, powstaje na nadużycia, gromi występki. Ważne dla historyi są kazania jego z powodu zwycięztw i na pogrzebach wielu znamienitych mężów: *) brał do nich za osnowę, hymny uroczyste Mojżesza, lub wzniosłe pienia Dawida, i lubo obok mocy i użycia, wpada niekiedy w nadętość, i okazuje nieokrzesane szkolnictwo, smak dzisiejszy obrażające, unosi jednak i zachwyca serce czytelników. — W kazaniach niedzielnych i świętalnych **) więcéj jest umiarkowanym: położywszy na czele Ewanielią, bądź ją całą rozbiera, bądź jednę myśl bierze, i z niéj nauki wywodzi, nie wdając się nigdy w polemikę, jak Skarga. Zazwyczaj okazuje wyższość Chrystyanizmu nad inne znane religie, roztrząsa starożytności kościelne, tłómaczy obrządki, tudzież niektóre z życia świętych szczegóły. Powstaje na rozrzutność, pychę, i rozwiązłe obyczaje panów; pociesza ubogich chłopków, wystawiając chlubne ich w społeczeństwie powołanie, i nagrodę nieomylną po krótkich życia cierpieniach.

Jak Birkowski w duchu czasu działał i jak do serc wszystkich trafiał, najlepszym jest dowodem, iż gdy po bibliotekach duchownych rzadkimi się stali Wujek, Skarga i Białobrzeski, kazań Birkowskiego, mianowicie na niedzielę i święta, niemal każda książnica po kilka exemplarzy posiada. Tok mowy jego jest czysty, wyrażenia mocne, wykład przedmiotu zawsze dobrze uporządkowany, mnóstwo porównań

---

*) Do mów pogrzebowych Birkowskiego należy, Kazanie na pogrzebie X. P. Skargi. Kraków 1613 r. Syn korony albo kazanie na pogrzebie Joachima Osieckiego. Krak. 1613. — Jan Zamojski na mszy zadusznéj w Katedrze Krak. wspomniany roku 1605. — Kawaler Maltański na pogrzebie Zygmunta Srzedzińskiego Krak. 1623. Krzyż kawalerski albo pamięć Bartłomieja Nowodworskiego. Warszawa 1625. — Xiąże Krysztof Zborowski. Krak. 1627. — Jan Karol Chodkiewicz i Jan Weyher. Krak. 1627. — Stefan Chmielewski Wojewoda Kijowski. Warsz. 1632. — Kwiaty koron królewskich nieśmiertelne albo pamięć Zygmunta III. i królowéj Konstancyi. Krak. 1633. —

**) Kazania na niedziele i Swięta doroczne. 2 Tomy, (każdy ma 2 części) w Krakowie u Piotrkowczyka. Pierwszy 1623, drugi 1628 fol. Powtórne wydanie.



FABIAN BIRKOWSKI.

i podobieństw ułatwia zrozumienie rzeczy. Zasługi Birkowskiego i piękne jego przymioty, nie tylko jako kaznodziei lecz jako poety, filozofia i filologa, wyliczył w dzień pogrzebu X. Adam Makowski, Jezuita, w kazaniu pod napisem: »Obraz Wielebnego F. Birkowskiego zakonu S. Dominika doktora, wystawiony w kościele S. Trójcy. Kraków 1636 u Piotrkowczyka.

STAROŻYTNE I TEGOCZESNE ATENY.

Każden podróżny zwiedzając Grecyą nie pominie Aten; tam jest miejsce schadzki starożytników i uczonych i nikt nie może poszczycić się że widział Grecyą jeźli nie zwiedził miasta Minerwy. I dla tego, mamy niezliczone opisy Aten, widoki, rysunki i objaśnienia pomników tego miasta. Nazwiska mnóstwa podróżnych wyryte na kolumnach Parthenonu i świątyni Tezeusza, oznajmują nowo przybyłemu cudzoziemcowi, jak wielu miał poprzedników.

Piękny kolor pomników ateńskich przedewszystkiem uderza oko podróżnego. W klimatach północnych, pod atmosferą obciążoną dymem lub deszczem, najbielszy kamień w krótce stanie się czarnym lub zielonawym. Jasne niebo i świetne słońce Grecyi, pokryło tylko marmury z Paros i Penteliku, barwą złotą podobną do kłosów dojrzałych, albo do liści w jesieni. Trafność, harmonia i prostota architektury, zwraca po tém uwagę; nie widać tam ani porządków architektonicznych natłoczonych jedne na drugie, ani kolumn stojących na kolumnach, i kopuł na kopułach. Świątynia Minerwy, na przykład, jest, albo raczéj była prostym przedłużonym równoległościanem, ozdobionym filarami, portykiem i stojącym na trzech stopniach ciągnących się w około gmachu. Portyk zajmował blisko trzecią część długości gmachu; wnętrze świątyni dzieliło się na dwie nawy przedzielone murem; światło wchodziło tylko drzwiami: w jednéj stał posąg Minerwy, dzieło Fidyasza; w drugiéj chowano skarb publiczny. Rzeźba zdobiła dwa frontony świątyń; ofiary, puklerze zdobyte na Persach i Medach, zawieszone były na zewnętrznych ścianach gmachu; między temi puklerzami umieszczone były napisy, zapewne z bronzowych liter.

Taka była ta świątynia, sprawiedliwie uważana za arcydzieło budownictwa. Harmonia i moc wszystkich części, jeszcze okazuje się w jéj zwaliskach, i bardzo fałszywe mielibyśmy wyobrażenie o tym gmachu, gdybyśmy rozumieli że to był mały lecz przyjemny budynek, obciążony rzeźbami na nasz sposób. Jakże wielka jest różnica między Parthenonem, tak oszczędnie ozdobionym, przedstawiającym tak szczęśliwy zbiór prostoty i wdzięków, a naszym mnóstwem ozdób, rzeźb, kolumn, natłoczonych jedne na drugie! Po ogólnéj harmonii i stósowności do miejsca i celu, uwielbiamy w gmachach Aten wykończenie wszystkich szczegółów. Przedmiot nie będący na widoku, jest wypracowany tak troskliwie, jak zewnętrzne ozdoby. Połączenie bloków tworzących kolumny kościoła Minerwy, tak jest dokładne, iż z największą usilnością ledwie go dostrzedz można, i nie jest grubsze od najcieńszéj nici. Rozety i wszystkie wyzłobienia również są doskonałe; roboty z kości słoniowéj nie byłyby delikatniejsze, jak ozdoby świątyni Erechteja. Jedném słowem, jeźli temu kto widział pomniki Rzymu, gmachy Francyi i Niemiec wydają się grube i nie okrzesane; pomniki Rzymu wydają się barbarzyńskie w oczach tego, kto widział pomniki Grecyi.

Ateny pełne są dzieł największe wzbudzających uwielbienie. Ateńczycy, lud nie bogaty, nie liczny, dźwignęli olbrzymie massy. Kamienie Pnyxu, czyli placu na którym odbywały się narady, są rzeczywiście kawałami skał; tablice marmurowe, pokrywające Propyleum były tak wielkie, iż równych im nie wyciosano dotąd; wysokość kolumn świątyni Jowisza olimpijskiego może do 60 stop dochodzi, a cały kościół

miał blisko pół ćwierci mili obwodu. Mury Aten, licząc w to mury trzech portów, ciągnęły się 4 ½ mili; mury łączące miasto z portem Pirejskim tak były grube, iż dwa wozy mogły na nich jechać obok siebie, a co pięćdziesiąt kroków wznosiły się na nich, czworoboczne wieże. Rzymianie nigdy nie wznieśli tak znacznych warowni. Nie można nasycić się widokiem starożytnych pomników Aten. Któżby mógł z obojętnością spoglądać na dzieła najświetniejszego, najdowcipniejszego ludu starożytności? Tu stoi świątynia Tezeusza i skała Areopagu; tam więzienie Sokratesa i mównice wyciosane w skale. Kościół Tezeusza tak dobrze zachowany, tak doskonałą całość tworzący, tak wytworny, jest dowodem szlachetnych uczuć Ateńczyków. Taki był początek téj świątyni: wieść rozeszła się, że widziano cień Tezeusza walczący w szeregach Greków, przeciw Persom; syn Milcyada przywozi z sąsiedniéj wyspy kości bohatyra, a mieszkańcy wznoszą mu świątynię upięknioną sztukami pięknemi. Grota czyli więzienie Sokratesa, jest o sto kroków od placu narad publicznych, i bez głębokiego uczucia nie można spoglądać na miejsce, gdzie ten wielki człowiek żyć przestał, wznosząc duszę do najszczytniejszych myśli moralności i filozofii. Przez jakąż fatalność, te arcydzieła starożytności,do których nowożytni zbiegają się z dalekich krain, po większéj części zniszczone były przez nowożytnych?Parthenon stał w całości aż do r. 1687. Chrześcianie zamienili go najprzód na kościół, a Turcy przez zazdrość ku chrześcianom, zrobili z niego meczet. Wenecyanie dopiero, pośród oświaty 17go wieku, przypłynęli bombardować pomniki Peryklesa; rozpalone kule rzucali na świątynię Minerwy; bomba przebiła sklepienie, zapaliła baryłki z prochem i część gmachu wysadziła na powietrze. Po zdobyciu miasta, Morosini chcąc upiększyć Wenecyą szczątkami Aten, chciał zdjąć posągi z frontonu Parthenonu i pokruszyły się przez nieostróżne zdejmowanie.

Teraz wypada nam opisać tegoczesny stan Aten, nowéj stolicy odrodzonéj Grecyi. To miasto było stosem gruzów w r. 1830. dziś panuje w niém ruch i czynność. Ulice są zapełnione sklepami, trzymanemi przez Greków i Francuzów. Przed kilkoma laty nie można było nic dostać w Atenach; dziś znajduje się targ obfity i hotele, gdzie można znaleźć też same wygody co w miastach Francyi. Ateny wzrastają codzień; po dwóch miesiącach niebytności prawie ich poznać nie można. Miasto odbudowało się z nadzwyczajną szybkością. Nie przestają budować począwszy od r. 1830, w którym to czasie stało ledwie kilkadziesiąt domów pomiędzy gruzami. A jednakże Ateny, tylokrotnie dźwigane ze zwalisk, jeszcze wyglądają jak miasto dopiero powstające; nic jeszcze nie skończono; ładny dom stoi obok zawalonego muru, i z podziwieniem widzimy wśród ulicy świeżo zabudowanéj, zbiór starych rozwalin, w których mieszkają ubogie rodziny greckie. Nie łatwo byłoby opisać ze wszystkiemi szczegółami, miasto zmartwych-wstające; panuje tam jeszcze zamęt, co krok są kawałki ulic, i znowu uliczki bez układu, złożone z małych sklepików drewnianych. Dotąd Ateny są mieszaniną zwalisk i nowych domów. Są tylko dwie ulice należycie wytknięte: jedna nazywa się ulicą Eola, dzieli miasto na dwie części i dochodzi do wieży wiatrów, stojącéj u podnóża cytadelli. Druga zwana ulicą Hermesa, zaczyna się od wjazdu ze strony portu Pirejskiego i przecina ulicę Eola. Wielu domów brakuje do uzupełnienia tych ulic, a te które zbudowano, są bardzo nie regularne.

Budują bardzo lekko i prócz pomieszkań głównych członków rządu, reszta domów jest tylko skleconych z drzewa. Lud któren stawia tak nie trwałe pomieszkania, nie myśli o przyszłości, i w rzeczy saméj, nie sądzimy, ażeby ci którzy dziś trudnią się odbudowaniem Aten, chcieli tam ugruntować ważne i trwałe miasta.

Budują teraz pałac dla króla Ottona; pałac ten zaczęty jest od dziesięciu miesięcy; robota postępuje bardzo zwolna, dla braku pieniędzy. Znaczna liczba ciosów marmurowych wydobytych z kopalni Penteliku, leży na miejscu gdzie stać będzie pałac królewski. Teraźniejsze pomieszkanie króla Grecyi, zupełnie podobne jest do prywatnego domu. Szpital założony obok kolumn kościoła Jowisza, dokończają teraz właśnie; gmach ten niczém się nie odznacza. Targ znajduje się na miejscu gdzie było gimnazyum Adryana. Obok targu, stoją koszary i bardzo nędzna wieża, zbudowana przez lorda Elgin; chciał on tym sposobem wynagrodzić Ateny za arcydzieła sztuki z których ogołocił to miasto. Wieża ta miała służyć do pomieszczenia zegara, dziś służy za więzienie. Szanują zwaliska starych Aten i nie użyto ich jako materyały budowy. Ludność Aten wynosi 15000 mieszkańców, między temi jest tylko 2500 cudzoziemców, po większéj części Bawarczyków. Obojętność i zimna krew Niemców nie zgadzają się z żywym i lekkim charakterem Greków i dla tego nienawidzą się nawzajem.

Mówiąc o Atenach, nie podobna pominąć port Pirejski. Jest znowu ruch i życie w tym porcie, niegdyś tak sławnym, a przez

długi czas tak samotnym. Znajduje się tam znaczna liczba domów lepiej zbudowanych aniżeli w Atenach. Rząd przedał część gruntów mieszkańcom wyspy Scio, ci zaś prawie wszyscy trudniąc się handlem, wkrótce wskrzeszą port założony przez Temistoklesa. Droga prowadząca z Pireum do Aten, tak jest dobrze utrzymana jak najpiękniejsze drogi Francyi i przecina wielki las oliwny.

Po prawej stronie szczątków sławnego muru, łączącego port Pirejski z miastem, jest grobowiec marmurowy, wzniesiony na pamiątkę Karajskakisa dowódzcy Greków, zabitego w bitwie pod murami Aten w r. 1827. Nie zapomniano także o rzeczce Cefizus; troskliwie oczyszczono jéj koryto, a wody téj poetycznéj rzeki spokojnie płyną aż do morza. Tajemnicza potęga i niewymowne uwielbienie, zwracają nas zawsze do starożytnych pomników miasta; stoją one przed oczyma naszemi i zdają się wyzywać tegoczesnych Ateńczyków, że nigdy nic takiego nie wzniosą coby im wyrównało w trwałości i wdzięku. Zbliżając się ku cytadelli Akropolis, uderzają wyobraźnię naszę, rozmaite kształty warowni na pół rozwalonych. Ileż narodów przeszło tędy! były tam warownie Helleńskie bizantyńskie, francuzkie, weneckie, tureckie. Rząd zaczął rozkopywać to miejsce; znaleziono łzownice, naczynia z kośćmi ludzkiemi i mnóstwo małych posągów bożyszcz, z marmuru i kruszcu. Wielu robotników pracuje nad uprzątnieniem gruzów; już odkryto sześć pięknych kolumn i zdaje się, że w krótkim czasie będzie można widzieć wspaniałe szczątki przysionka, któren służył za wnijście do cytadelli.

Opuszczając Ateny, wychodzimy na drogę świętą, drogę przy któréj stały niegdyś sławne pomniki, uświęcone najznakomitszemi obrzędami u starożytnych. Co pięć lat obchodzono tam, tajemnice Cerery Eleuzyjskiéj. Dzięki pisarzom starożytnym których dzieła doszły do nas, baczny wędrownik może jeszcze znaleźć ślady cudów które upiękniały Atykę. O milę od Aten, w lesie oliwnym, znajdują się szczątki kaplic, rozbite kolumny, a w niejakiéj odległości, klasztor Dafne, zbudowany na zwaliskach świątyni Apolina. Eleuzys przedstawiała w skróceniu całą mitologią starożytnych; do wszystkich części jéj okręgu, przywiązane były wspomnienia religijne i z pismami Pauzaniasza można wskrzesić sobie Grecyą a zwłaszcza tę krainę. Lecz nie podobna odgadnąć tajemnic Cerery nie przebytą zasłoną pokrytych. Pauzaniasz już gotowy odkryć je, pisze, iż zjawienie we śnie odwróciło go od tego czynu, i zatrzymuje się przejęty przestrachem, podobnie jak Wenecyanie, którzy nawet nie śmieli wymówić groźnego imienia sądu Trzech. Zdaje się, iż te obrzędy zaczęły upadać za panowania Walentyniana, a cesarz Julian daremnie usiłował je podźwignąć. Wykształcił się rozum ludzki, bałwochwalstwo ginęło ze starości, okryte było śmiesznością, i tylko kilkanaście starych kobiet modliło się przy bramie świątyni Cerery, gdy nawał barbarzyńców zagarnął Eleuzys, jéj świątynie, ołtarze i gasnące obrzędy, w katastrofie, która zniszczyła pomniki i całą prawie ludność Grecyi. Pośród wspaniałych zwalisk kościoła Eleuzyjskiego, leżących jak kolos wywrócony podziemném wstrząśnieniem, zbudowano ubogą wioskę Lepsina; czterdzieści rodzin składa jéj ludność i odzywa się na pół barbarzyńskim językiem, w miéjscu, gdzie niegdyś śpiewano bałwochwalcze hymny.

FILOZOFIA.

Charaktery rozumów ludzkich, skreślone przez Michała Wiśniewskiego, Kraków 1837 Tom in 8vo: cena zł. 9.

P. Wiśniewski zaszczytnie znany w piśmiennictwie naszem z wielu dzieł i prac naukowych, a między innemi z dzieła: Bakona metoda: wydał w roku bieżącym, Obraz charakterów rozumów ludzkich.

»Uważano i rozbierano dotąd, mówi we wstępie do tego dzieła, jaki wpływ ma serce na rozum, lecz nikt nie rozbierał jeszcze jaki wpływ wywierają na serce i charakter człowieka, wady, niedoskonałości i skłonności rozumu, tudzież nałogi i przymioty władz umysłowych.—Różnice w rozumach nie tylko postrzegać się dają w ludziach pojedynczych, lecz i w całych narodach. Ta uwaga naprowadza autora do kreślenia obrazu rozumu rozmaitych narodów, poczynając od najbardziéj upośledzonych. Zajmujący jest obraz Arabów i Greków.— O ziomkach swoich tak pisze P. Wiśniewski.

»Ludzie są bardzo dowcipu ostrego (mówi Gwagnin tłum. Paszkowskiego na karcie 267 o Polakach XVI wieku) i rozlicznych narodów języki umieją, a osobliwie łacińskim językiem tak dobrze mówią, iżby drugi rzekł że się w nim urodzili, a to jest pospolita bogatemu i ubogiemu.« Skłonni do uniesień, przekonanie rozumu słabiéj działa na ich wolą, jak zapał który prędko ostyga. Nie wytrwali w pracach rozumu, do długiego namysłu, do zimnéj rozumu rachuby, wstręt jakiś czują. Naród to poetyczny—w dymnéj chacie i złoconych komnatach jednakie w poezyi upo-

dobanie. Prócz téj wspólnéj wszystkim do poezyi skłonności, wreszcie nie małe różnice i odcienia w skłonnościach umysłu, i zdolnościach rozumu postrzegać się dają. Litwini mają zimniejszą rozwagę i duszę bardziéj w sobie zamkniętą. Ruś czerwona a mianowicie Lwów i Samborz obfitowały niegdyś w ludzi górujących dowcipem i rozumem. Marcin Radzimiński dziejopis akademii krakowskiéj, naliczał jednym tchem pięćdziesięciu Samborzanów, wielką pojętnością, dowcipem, i rozległą nauką w kraju i akademii krakowskiéj słynnych. Mazur a podobno i Wielkopolanin ma najmniéj do poezyi skłonności. Krakowiaków naturalne i zwięzłe porządkowanie myśli chwali. Lud wołyński bywa mniéj dowcipny od ukraińców dumki śpiewających, głosem rozciągłym, stepowym i podobnym do echa. Podhalanie mają wrodzony dowcip, otwarte głowy, i przetarty wędrówkami rozum.

Jakkolwiek, wychowanie i uprawa umysłu i nauk wpływa na rozmaitość charakterów rozumu, jednakże od wrodzenia już, są pewne właściwe cechy rozumu, które jednych od drugich odróżniają.

»W piśmie niniejszem, mówi autor, chciałem skreślić obraz siły, słabości, przymiotów, wad i przywar rozumu, opisać wpływ serca na rozum, i nawzajem rozumu na skłonności serca. Ztąd nie raz przyszło opisywać przywary i śmieszności ludzkie, które nie z samego tylko krzywego rosądku, nie w samych wadach rozumu biorą początek; skłonności albowiem samego rozumu, tylko w myśleniu ogólném objawiają się; w czynach, równie jak w stylu, nie tylko rozum, ale i serce człowieka, słowem cały człowiek maluje się.

»Jest to nowy zupełnie zawód: wszystko tu niemal z własnéj zebrałem obserwacyi, już zastanawiając się nad nałogami i skłonnościami własnego umysłu, już pilnie przypatrując się głowom, które mi z bliska się nawinęły, rozczytując żywoty rozmaitych ludzi, zwłaszcza tych, co sami życie swoje opisali; szukając niekiedy w poezyi, płodach rozumu, a niekiedy nawet w czynach, śladów wrodzonéj umysłu ich skłonności, a uzbierawszy wiele faktów, wielką liczbę wzorków, usiłowałem opisać a raczéj odmalować je wedle natury w całéj świeżości; pokazać z niestartą barwą i nie zmiętą postacią, i uchwycić główne rysy które są fundamentem rozróżnień, jakie między skłonnościami umysłowemi w ludziach, i siłą ich rozumu zrobiłem.

»Na przodzie mojego obrazu postawię największą w charakterze umysłowym przywarę, kalectwo, to jest: głupstwo. Pokażę głupstwo (które dotąd tylko przedmiotem uszczypliwych żartów bywało) w różnych odcieniach, pokażę jak coraz bardziéj malejąc, zmniejsza się na pewne wady i ułomności rozsądku, i nieznacznie spływa z rozsądkiem.

»Mówić potém będę o ludziach z tak nazwanym pospolitym rozsądkiem, który wszakże nie bardzo jest pospolity; opiszę daléj ludzi dowcipnych, rozumnych, światłych, oświeconych, odpowiadające tym przymiotom wady, nakoniec, co jest z przymiotów rozumu najwznioślejszego, *geniusz.*

»Między temi charakterami nieskończona jeszcze liczba środkuje innych, które z każdego z wyliczonych wad i przymiotów nieco zarywają.—Z téj to osobliwszéj mieszaniny rozumu, rozsądku, głupstwa i t. d. składa się charakter rozumów pospolitych.

»Nie mając w tym zawodzie żadnego przewodnika, żadnych śladów ludzkich, sam pierwszą sobie przetorowałem ścieszkę, i zrobiłem na co mnie stać było; tą ciągle ożywiony i zachęcony myślą, iż przynajmniéj dla przyszłego Linneusza rozumów, otworzyłem nową drogę, do poznania ludzi, i co w nich najszlachetniejszego wiodącą, i przy zakładzinach nowéj budowy byłem obecny.«

Że dzieło to jest zajmującém i ważném o tem można przekonać się z założonego planu przez autora. Uskuteczniając go w ciągu dzieła, zarysy swoje nacechował trafnością i prawdą. Objaśnia je przykładami czerpanemi z życia najsławniejszych mężów. I tak, za wzór rozsądku przemyślnego stawia Franklina; kreśląc rozmaite rodzaje dowcipu, zastanawia się nad Cerwantesem, którego dowcipu nie mogła przytłumić nędza, ubóstwo i ciągła niedola. Idąc stopniowo, przystępuje do charakteru rozumu.

»Rozum jakby jakie oko, rozeznaje pozory od rzeczywistości, zdrożne rzeczy od prawych, sądzi o zgodności środków z celem, równie w potoczném życiu, jak w najtrudniejszych naukach, jest umysłu i serca przewodnikiem, odkrywa pomyłki pojęcia, pamięci, i złudzenia imaginacyi, i one prostuje, jak ręka błędy i złudzenia wzroku. Jest to gospodarz w tém dziwném stworzeniu, z ciała, serca i duszy złożonem, które człowiekiem zowiemy.

»Wewnętrzna, ciągła, i pomimowolna prawie chęć, a raczéj skłonność do śledzenia przyczyn, i przewidywania skutków, jest główną cechą, przymiotem rozumu. Skłonność ta zaraz w pierwszéj rozumu jutrzen-

ce objawiająca się, z dojrzałością wzmaga się i rozwija przez nauki logicznie doskonałe, i z natury swojéj jasne, jak n. p. Matematyka.

»Człowiek rozumny miewa łatwe pojęcie i wierną pamięć; przyjmuje wrażenia łatwo jak wosk, a zachowuje upornie jak marmur; wszystkie działania rozumu łatwo i należycie odbywa; trafnie sądzi, lubi i umie cofać się do przyczyn, wszystkie wyprowadzić wnioski, i w rozumowaniu żadnego nie opuści ogniwa. Jasny w szykowaniu myśli, bystry w wiązaniu prawd odległych, głęboki w tworzeniu wyobrażeń ogólnych, umie rozplątywać zawiłe myśli, rozróżnić pozory od rzeczy, cień od przedmiotu, własne wyobrażenia od rzeczy im odpowiadających, i od wyrazów na oznaczenie ich użytych. U niego myśl prędko z wyrazem właściwym się zbiega. Wyobrażenia ogólne, które są okiem rozumu, albo sprawdza, albo sam sobie utworzył; ztąd zna dobrze i pamięta ich ród czyli genealogią. Wyrazy mają w jego pamięci umocowany związek z wyobrażeniami, do których oznaczenia służą; ztąd pochodzi iż się zawsze jasno tłómaczy i wyraża poprawnie, rzadko wszelako ze zwyczajnego zstępując toru. Wiadomości nabyte wiąże w łańcuch przyczyn i skutków, i po tych śladach najłatwiéj sobie przypomina, czego się dawniéj nauczył.

»Człowiek w którym serce ulega rozumowi, którego namiętności tą siłą umysłu się powodują, który wszystkiego skutki przewiduje, i w życiu codziennem zawsze na przyszłość ogląda się, zowie się rozumnym. Człowiek rozumny niczemu się nie dziwi, jest zawsze zgodny z sobą, i rzadko zdanie swoje odmienia, postępki całego życia jego, odpowiadają wewnętrznemu sposobowi myślenia. Nie tylko serce, namiętności i wszystkie władze umysłu, w należytéj u niego zostają równowadze, powodują się i usługują rozumowi; nigdy na skrzydłach imaginacyi, w świat zaczarowany, unosić się nie daje. Działania umysłowe odbywa w porządku, bez przerwy i przeskoków, pilnując między prawdami starszeństwa; myśli jego płyną ciągiem jak spokojna rzeka, w któréj łożysku żadne przeszkody niesterczą.«

Ludzie rozumni miewają także właściwe sobie przywary; skreśliwszy je autor, opisuje potém rozmaite rodzaje rozumu, dzieląc go na systematyczny, samorodny, matematyczny, spekulacyjny, sceptyczny. Przykład rozumu samorodnego nie nabytego nauką, wystawia w mechaniku angielskim Jakóbie Brindléj, i w naszéj Elżbiecie Drużbackiéj.

Zajmujące są uwagi o *rozumie kobiecym.* Przez rozum spekulacyjny oznacza autor zdolność i popęd do głębokich spekulacyjnych metafizycznych badań i w tym względzie Kanta za wzór przedstawia.

Między obrazem rozumu a geniuszu, zamieścił autor wady ze złego kierunku rozumu wynikłe, obłąkanego silną wyobraźnią. Umysły takie zbliżają się nie kiedy do geniuszu, ale jeszcze nim nie są i mimo świetnych przymiotów, stają się urojeńcami, zapaleńcami. Obok wszystkich zalet i zasług położonych dla nauk i filozofii, sławny Dekart do tego rzędu umysłów policzonym bydź musi.

Ostatni rozdział jako uwieńczenie dzieła całego, mieści w sobie obraz geniuszu.

Wielka rozłożystość, moc i dzielność wszystkich władz umysłu, głęboki i silny rozum, nowe sobie torować i wyrąbywać lubiący drogi, i tworzyć nowe pomysły, który z powszednich, dawno znanych myśli, całe familie nowych prawd wyprowadzać umie; dusza ognista, bujna i rozłożysta imaginacya, i nieunoszona czułość serca, jest cechą, przyznaką, znamieniem geniuszu. Geniusz więc nie jest władzą umysłu, lecz najwyższą jego i najbujniejszą doskonałością, przymiotem osobistym, wrodzonym niebios darem.

»Zewnętrzne okoliczności wpływają na prędsze lub późniejsze rozwinięcie geniuszu, lecz nie są jego źródłem: i tak n. p. niemasz piękniejszego kraju, jak Szwajcarya, a jednak widok tak rozmaitych i wzniosłych piękności natury, nie wzbudził w Szwajcarach poetyckiego geniuszu.

»Geniusz wszystkie roboty umysłowe szybko odbywa, między najodleglejszemi rzeczami dostrzega podobieństwa, a wielkie podobieństwa łatwiéj, niż drobne różnice; w rozumowaniu przeskakuje ogniwa prawd wiążących się, i spiesznie leci do wypadku; żadne wszelako pokrewieństwo między myślami, żaden między prawdami związek, przed orlim wzrokiem jego ukryć się nie zdoła, lecz go w krokach długo nie zatrzymuje. W myśli powszedniéj, upatruje nowe prawdy, których w niéj nikt jeszcze nie dostrzegł, i całą jéj rozległość ogarnąwszy, wyprowadza z niéj liczne pokolenie prawd dotąd nieznanych. Tak Newton widząc upadające jabłko z drzewa, z tego małoważnego postrzeżenia, wyprowadził prawo, któremu świat pod słoneczny ulega.«



DON ŻUAN AUSTRYACKI.

WOJOWNIK I POETA.

(*Obraz historyczny*)

Karól V cesarz, zamknąwszy się w klasztorze Sgo Justa, zostawił synowi swemu Filipowi, niezmierne państwo i mnóstwo poświęconych i wiernych sług, gotowych służyć synowi, jak służyli ojcu, głową i ramieniem, w radzie i wojsku. W ich liczbie, najgorliwszym i najbardziéj poświęcającym się był don Ludwik Quixada, wielki komandor Kastylii, mężny żołnierz, z sercem lwiém i dziecęcém. Karol Vty, niezłomnie przywiązał go do siebie, nie tyle może wpływem geniuszu, ile raczéj powierzeniem swoich słabości. Don Ludwik przeniósł na syna to przywiązanie i cześć któremi tchnął dla Karola V. Był to z resztą szlachcic hiszpański staréj daty, jakich widzimy na obrazach Welaskeza, poważny i wspaniały, a w obozowém życiu zachował wrodzoną szczerość i prawość, tak dogodną i usłużną przebiegłemu Filipowi. Dla tego też Filip, obchodził się z nim poufaléj i otwarciéj jak z innemi. Cały czas wolny od służby przy dworze, przepędzał don Ludwik Quixada nie daleko Walladolid, w zamku Villa Garcia, zajęty wychowaniem sieroty, o którym jego żona, Magdalena d'Ulloa, miała jak najtroskliwsze staranie.

Nikt w zamku, a nawet spowiednik dony Magdaleny, nie wiedział o dziecięciu więcéj nad to co następuje.

Pewnego dnia, w r. 1546, podczas gdy Karól Vty był w Ratyzbonie i gdy mniemano że don Ludwik jest przy cesarzu, don Ludwik przyjechał wieczorem do Villa Garcia, sam, a nawet bez żadnego giermka. Przywiózł pod płaszczem, maleńkie nowo narodzone dziecię. Rozmówił się sam na sam z żoną, i téjże nocy wyjechał. Uważano że koń jego był niezmiernie zgrzany, a na czapraku nie było herbów domu Quixada. Tworzono wiele domysłów w zamku i w okolicy o tajemniczém dziecięciu, lecz powoli ustały za czasem, i obudzały je tylko niekiedy, nieważne zapytania jakiéj obcéj osoby.

Dziecię zwane Jan, wychowało się w zamku pod okiem dony Magdaleny, szlachetnéj kobiety, która z rezygnacyą bywała u dworu w dniach etykietalnych, lecz szczęśliwszą była w ustroniu Villa Garcia. Czułe jéj serce potrzebowało tylko macierzyńskiéj rozkoszy, a téj odmówiły jéj nieba. Przywiązała się więc do Jana, jako do ukochanego syna, czuwała nad rozwinięciem pierwszych jego myśli i młodego pojęcia. Była matką jego duszy i wywierała na niego wpływ wielki, którego skutków doznawał aż do kresu życia.

Quixada nie mniéj go kochał; gdy raz pożar wybuchnął w zamku, widziano iż wprzódy wyratował dziecię aniżeli żonę, i nie troszczył się po tém, iż płomień pożera dom jego przodków. Następnie sposobił go wszystkich ćwiczeń rycerskich, składających wychowanie młodego szlachcica, i do téj prawości duszy, któréj sam najlepszym był nauczycielem.

Jan, w krótce przewyższył w zręczności wszystkich rywalów, których mu dodano dla podniecenia ochoty. Nikt lepiéj nie robił szpadą, nikt lepiéj nie umiał zrzucać pierścienia, trzymać włoczni i kierować koniem.

Quixada spoglądał na niego z czułą radością. Zakonnik któremu powierzono ćwiczyć Jana w naukach, narzekał na mały postęp swego ucznia. Jan poprzestawał na tém że był odważny jak Cezar, lecz nie lubił jego języka. Łacina i xiążki były mu ze wszystkiem nie do smaku.

Quixada zamierzał sobie napomnieć go surowo i wskazać mu potrzebę nauki; lecz gdy go tylko zobaczył, natychmiast zapominał o naganie i opowiadał mu piękne czyny znamienitych wodzów, z któremi żył za czasów Karola Vgo. — Jan słuchał go z zachwyceniem, a Quixada odchodził powtarzając sam w sobie, że chłopiec nie jest winnym, że nie potrzebuje umieć po łacinie, gdyż nie będzie duchownym; że i on sam nie mógł nauczyć się ani słowa po łacinie, a mimo tego jest dobrym katolikiem i prawym doradzcą królewskim.

Towarzyszami zabaw i ćwiczeń Jana, były dzieci sąsiedniéj szlachty. Quixada sprzyjał tym zabawom, urządził je i ustanowił nagrody dla najśmielszych. Starsi zajęli się temi dziecinnemi rozrywkami; a głośne dni zgromadzeń stały się widowiskiem, na które przyjeżdżały damy w towarzystwie mężów.

Na tych turniejach, tak zgodnych z rycerskim duchem Hiszpanów. Jan zdobył pierwsze miejsce i nikt nie śmiał z nim walczyć o nie. Nazwyczajenie do jego wyższości, uśpiło samą nawet zazdrość, nikt nie mierzył się z nim na prawdę i nazywano zwycięzcą tego który po nim drugie miejsce zajmował.

W środku Września, ćwiczenia te odbywały się z największą uroczystością. Na ten dzień od dawna sposobiła się każdego miłość własna. Widzowie przesadzali się w przepychu strojów, mułów i orszaku; młodzież zaś wzdychała do wyznaczonych nagrod.

Nadszedł ten dzień uroczysty. Pośród szranek ocienionych rozłożystemi dęba-

mi, ubiegali się współzawodnicy. Jan okazywał zwyczajną zręczność i siłę, lecz znalazł godnego siebie rywala w młodzieńcu, którego prosty ubiór odbijał się od wytwornego ubrania innych. Ten młodzieniec wyrównywał Janowi we wszystkich najtrudniejszych ćwiczeniach i zyskał życzliwość, która zawsze towarzyszy nowéj sławie, wznoszącéj się obok dawnéj już ustalonéj.

Tym razem ogłoszono drugą tryumfującą barwę, obok téj która dotąd tryumfowała sama. Uwagę i spojrzenia dam ściągnął już nie tylko sam Jan, piękny chłopiec z błękitnemi oczyma, lecz także i jego szczęśliwy współzawodnik, szlachetny młodzieniec, z postawą natchnioną, z śmiałem spojrzeniem, a którego usta zacienione były lekkim dopiero co wysypującym się wąsikiem.

Jan zapytał się kto jest ten nowo przybyły; nie wiedziano o tém. To tylko powiedzieć mogli, że od niejakiego czasu mieszkał w klasztorze Epine, gdzie przeorem był wuj jego.

Wkrótce potém, Jan, nie spuszczając go z oczu, ujrzał, iż jakby od niechcenia, konno puścił się ścieszką, którą tylko pieszo można było przebydź i to z niemałym trudem. Wsiadł natychmiast na konia i pojechał za nim.

Scieszka ta mogła podobać się tylko poetom i awanturnikom, tyle na niéj było przeszkód i zawał. Swiatło dnia ledwie dochodziło do niéj; a jeźli tu i owdzie promień słońca ciekawie przedzierał przez wysokie szczyty drzew tworzących jéj sklepienie, gasł na gęstym pokładzie dolnéj wegetacyi; grunt złożony z opadłych liści szeleściał pod nogami koni; tu i owdzie wysoka i gęsta trawa wykazywała bieg ukrytego strumienia, którego strzedz się należało. Nareście, w miejscu gdzie las już się przerzedzał, ciągnął się szeroki wąwóz; nie było na nim innego mostu, prócz starego wywróconego wiązu. Pierwszy podróżny, nie zważał wcale ani na przykrą drogę, ani na towarzysza który uporczywie jechał za jego śladem; zdawało się iż nie postrzega jak niebezpieczna jest przeprawa przez ten wąwóz. Puścił cugle koniowi i poruczył się instynktowi zwierzęcia. Jan, stanąwszy nad brzegiem wąwozu, patrzał na tę niebezpieczną przeprawę, z tém okropnem zajęciem jakiego doznajemy widząc śpiącego lunatyka idącego spokojnie na krawędzi dachu; lecz gdy nieznajomy szczęśliwie stanął na drugiej, stronie, uczuł głęboką nienawiść ku niemu; zwrócił konia, spiął go ostrogami, rozpędziwszy się przesadził wąwoz i stanął obok swego rywala.

—Niech diabli porwą natrętnika, pomruknął tenże, jak gdyby wychodził z zadumania; już go nie zobaczę... pojechał... A w tém, poznając przeciwnika:

—Niech cię Bóg strzeże, panie, rzekł do niego z uprzejmym uśmiechem.

—Czy jesteś szlachcicem? wręcz zapytał się Jan, jeszcze wzruszony nieco, tak gwałtownym skokiem.

Zagadnięty, zdziwił się tém zapytaniem i wahał się cokolwiek, nim rzekł:

—Lecz, gdybym nie miał prawa do tego nazwiska, nie mógłbym walczyć z tobą.

Jan przygryzł usta i mówił daléj:

—Nie jesteś z téj okolicy. Skądże jesteś?

—Z Alcala de Henares, nie daleko Madrytu.

—I co tu robisz?

—Sam nie wiem dla czego ci odpowiadam, rzekł; kończę nauki w Madrycie, pod Janem Lopez szanownym nauczycielem, którego ci życzę. Ten człowiek nauczyłby cię wielu bardzo użytecznych rzeczy, a między innemi, kiedy masz dobrze mówić a kiedy milczyć.

—Rozumiem; a twój ojciec jak się nazywa?

—Na świętego Michała mego patrona! nie sądziłem że jestem tak cierpliwy, rzekł młodzieniec zatrzymując konia. Mój ojciec, przydał, nazywa się Rodrygues Cervantes de Saavedra; nie wiem czyli podobnie możesz twojego wymienić.

—Za takie gadanie warto odpowiedzieć szpadą; nie prawdaż? rzekł Jan, zeskakując z konia.

—Jak ci się podoba; odpowiedział tamten. Spokojnie zsiadł z konia; na jedną rękę zarzucił cugle konia a drugą dobył szpady.

Przeciwnik ten nie wzruszony i oziębły, zajęty jedynie odbijaniem żelaza grożącego jego piersiom, miał wyższość nad burzliwym Janem, który nacierał na niego nie myśląc o własnéj obronie. Jednakże został lekko pchnięty w ramię; lecz wówczas zmieniła się rola. Zaiskrzyły mu się oczy i za chwilę wytrącił szpadę z ręki Jana.

—A teraz, rzekł z szczerym uśmiechem wskazując na swoje ramię, twoja szpada zapłaciła za moje słowa. Oddaliśmy sobie wet za wet; przebacz mi.

—Podaj mi rękę rzecze Jan, wolę być twoim przyjacielem niżeli nieprzyjacielem, a muszę być jednym albo drugim.

Dwaj młodzi ludzie wsiedli na koń i rozmawiali o swoich życzeniach i widokach.

—Ja, rzekł Jan, będę żołnierzem. Don Ludwik mój opiekun powiada, iż to jest najlepsze rzemiosło. Przyrzekł mi iż będę oficerem; będę dowodził żołnierzami; bę-



WYDRA OSWOJONA
W ZAMKU WILANOWSKIM.

dę sławnym! Król dowie się o moiém nazwisku; może kiedyś przemówi do mnie.... Król!...

—Zapominasz o niedogodnościach tego stanu, odpowiedział jego towarzysz. Co do mnie, chcę oddać się poezyi. W niéj szukam szczęścia; chcę iśdź gdzie mi się spodoba, swobodny jak powietrze, patrząc na niebo, na drzewa, zbierając rozmaite pomysły, pielęgnując je troskliwie. A potém, wszystkie te pomysły któreś chował tak długo jak ukochane dziecię, gdy już wzrosną i dojrzeją, wydasz na świat, i stosownie do formy którą przybrały, widzowie zgromadzą się w sali, aby je słuchać, albo czytając je i rozbierając samotnie, oddadzą oklaski ich ojcu.

—Rozumiem cię, rzecze Jan; jesteś tém co to zowią poetą. Czy jesteś bogatym?

—Nie, rzecze Cerwantes: muszę pracować; lecz mało mam potrzeb, a za łaską Bożą wystarczą na to moje dzieła.

—Odpowiem ci na to, mówił daléj Jan; iż nie sądzę, ażeby poezya była rzemiosłem, a na wszelki przypadek dobrém rzemiosłem z którego wyżyć można. Pewnego dnia, przyszedł do zamku Villa Garcia, człowiek w sukniach brudnych i wyszarzanych. Dano mu inną odzież i nakarmiono go, gdyż nieborak umierał z głodu. Był to poeta, któren prosił don Ludwika aby mu pozwolił przypisać dzieło swoje. Opowiedział nam swoje nędzne życie. Napisał sztukę któréj klaskano wieczorem, lecz rano jego samego miano za nic; wierzyciele naciskają na niego, xięgarz mu nie płaci, nie zawsze ma kilka groszy na obiad. Skarżył się na swoich współtowarzyszów co go oczerniali w pismach, a jednakże zapewniał nas że z pomiędzy tych pisarzy on tylko sam jeden jest obdarzony talentem. Język jego nie przepuścił nikomu; o wszystkich źle mówił prócz o don Ludwiku, któremu nie ustannie pochlebiał. Nie mogę porównać cię z tym człowiekiem, ale obawiam się o ciebie. Mając takie uczucia, jakże zdołasz zarobić na życie?

Dziękuję ci, może prawdę mówisz. I ja także oddaję się moim złudzeniom.

—Nie bluźnij przeciw twoim nadziejom! mówił daléj Jan; trzeba w nie wierzyć. Widzę iż obydwa jednéj rzeczy szukamy, ty przez poezyą, ja orężem; to jest chwały. I mnie i tobie przedstawia się ze smutnemi kolejami, które nie odstraszą stałych umysłów.

—Ja tylko szukam szczęścia, odpowiedział Cerwantes.

Zapadający zmrok, zniewolił ich do rozstania się; jeden wrócił do klasztoru, drugi do Villa Garcia.

—A więc Michale, nie wierzysz w chwałę? rzekł Jan przy rozstaniu?

II.
MONT-TOROS.

W kilka dni potém, Jan otrzymał list od don Ludwika Quixady, donoszący mu iż nazajutrz przedstawi go królowi, podczas polowania w lesie Mont-Toros. Polecił mu zatém aby gotów był na wszystko co go spotkać może, gdyż dzień ten będzie obfitym dla niego w nieprzewidziane zdarzenia.

Pobiegł do donny Magdaleny, swojéj matki, jak ją nazywał, i opowiedział jéj swoje marzenia, nadzieje i szczęście.

—Janie, mój synu, odpowiedziała, jutro spotka ciebie wszystko czego pragniesz, a może i więcéj. Jutro po raz pierwszy zobaczysz świat którego nie znasz jeszcze. Świat, Janie, nie jest jak matka. Dla wielu jest nieprzyjacielem, dla ciebie będzie czemsiś gorszém, będzie podchlebcą. Powinieneś zachować prawość twego serca, chociaż świat mało dba o to. Wszakże będziesz kochać prawdę? Ażebyś poznał tych którzy ci ją mówić będą, porównasz tylko ich słowa z temi któreś tu słyszał; gdyż tu postępowano z tobą jak z człowiekiem. Nie zapominaj o tém i bądź wdzięcznym, a to ci zjedna szczęście. Dosięgniesz wysokich stopni, i cieszę się z tego, mówiła z płaczem; lecz opuścisz nas... Janie, Janie, nie zapomnij że jestem twoją matką.«

Jan smutny był tego wieczora, gdyż dona Magdalena płakała, a w marzeniach nocnych nie widział tłumu klęczącego przed nim. Sniło mu się że jest paziem królewskim, po tém oficerem w wojsku; to jest marzył po prostu, o pięknych piórach, o hartownych szablach, o koniach andaluzyjskich i tym podobnych rzeczach.

Nazajutrz o świcie, obudziwszy się, nie mógł wrócić do zwyczajnego trybu życia; spotkała go przygoda Abul Hassana z powieści arabskich. Ludzie których nie znał cisnęli się do niego aby mu usługiwać; zamiast zwyczajnych sukien znalazł bogaty strój; a gdy się ubierał, małe szyby w oknie, drżały od przenikliwego dźwięku rogów.

Za kilka chwil potém, dosiadłszy dzielnego rumaka, towarzyszył don Quixadzie i zapuszczał się z nim razem, w lasy pokrywające okolice Villa Garcia i pochyłość góry Toros.

Obydwa milczeli zajęci myślami smutnemi i radosnemi razem. Jan obarczony był tak nagłą przemianą, która nie dozwolała mu zebrać myśli W około nich panowała cisza i spoczynek, szmer owadów coraz bardziéj ustawał, a gasnący powiew poranny ledwie poruszał liściem drzew. W dalekości tylko, dźwięki rogów myśliwskich zdawały się spór toczyć z odgłosem dzwonów klasztoru Epine.

Don Quixada i Jan nadstawili ucha na niespodziany szelest gałęzi w gęstwinie lasu i ujrzeli starego jelenia, którego rogi niezmiernéj wielkości pokryte były liściami. Szlachetny zwierz zakłócony od rana w swojém schronieniu, chciał je opuścić. Zatrzymał się przed nimi, spójrzał i spokojnie wrócił do lasu.

Z tém wszystkiem, im bardziéj zbliżali się do szczytu góry, tém bardziéj powiększała się wrzawa. Załosne wycie psów, krzyki i razy służących, głosy myśliwych, rozlegały się po lesie.

Dojechali nareście na szczyt góry Toros. Tam, wspaniałe ujrzeli widowisko. Obszerne i puste zazwyczaj płaszczyzny, ciągnące się od góry Toros aż do Walladolid, okryte były tłumem w świąteczne suknie przybranym. Nieco bliżéj stał świetny orszak konny, szlachty hiszpańskiéj towarzyszącéj królowi, a klasztor Epine przyparty do wzniosłych gór otaczających widokrąg, zaczerniałym obwiedziony murem przypominał uroczystém biciem w dzwony, pośród radości i pychy, myśl o śmierci i pokorze.

Zaczęło się polowanie i kilku dojeżdżaczy wjechało galopem na drogę z któréj wyjechali don Quixada i don Jan. Rozstawili się w niejakiéj odległości tak, iż tylko jedno wyjście pozostało dla zwierza którego miano wyruszyć.

Don Quixada i Jan byli z tamtąd o kilka kroków. Komandor Kastylii zsiadł z konia razem z swojém przysposobionym dziecięciem, i poprowadził go z obnażoną głową do stóp człowieka, który szedł na przód, przed tłumem panów i szlachty. »To król! rzekł Quixada.

Jan nic nie widział i nie słyszał: przed oczyma widział tysiące iskier, a w uszach czuł taki szum jak człowiek któren się topi.

W krótce uczuł iż go zatrzymała czyjaś ręka i ujrzał się w obec króla Hiszpanii, któren z uśmiechem zapytał się czy wie kto jest jego ojcem.

Jan zapłonił się patrząc na Quixadę.

—»Twój ojciec, rzekł do niego Filip, był wielkim człowiekiem, a teraz jest już w przybytku błogosławionych. Obydwa jesteśmy synami Karola Vgo. I uściskał go. »Mości panowie, rzekł obracając się do orszaku, oddajcie cześć don Janowi, xięciu Austryi bratu naszemu.«

Panowie najbliżéj stojący i którzy słyszeli te słowa, zawołali: Niech żyje don Żuan. Stojący daléj, mniemali że król rozkazał rozpocząć łowy. Natychmiast ruszy-

ło się wszystko. Psy spuszczone ze sfór, poszły, zabrzmiały rogi, jeleń wypadł na płaszczyznę, konie najmłodszych panów pobiegły w pogoń za nim w brew przepisom etykiety, a ujadania psów, dźwięki rogów, rżenie koni, krzyki ludzi, w dzikiéj połączone harmonii, zdawały się porywać w tym hałaśnym wirze całą okolicę i górę i lasy.

Król oświadczył że łowy już się skończyły, że nigdy nie były, tak pomyślne, a wracając do Walladolid zapytał swego brata, o jego dotychczasowe zatrudnienia, do czego ma upodobanie i co sobie życzy.

—Dzięki niebu, Najjaśniejszy Panie, odpowiedział Jan, moje życzenia są takie jakie mieć powinien syn Karola Vgo i brat twój; pragnę być żołnierzem W. K. Mości.

Filip przeznaczał dla swego brata kapelusz kardynalski i nic na to nie odpowiedział.

Gdy Monarcha przejeżdżał koło klasztoru, wyszli z niego w uroczystéj processyi wszyscy zakonnicy i zaśpiewali hymn radości.

Jan zbliżył się na koniu ku młodemu człowiekowi, którен stał przy bramie klasztoru:

—Dzień dobry Michale, rzekł do niego.

—Dzień dobry Janie, odpowiedział tamten; mowią że syn Karola Vgo jest tu; pokaż mi go?

—Michale, rzekł Jan, powiadają że to ja; lecz nie jestem tego pewny.

(*Dalszy ciąg nastąpi*)

WYDRA.

Zwierze to, postacią swoją ma wielkie podobieństwo do kuny, z tém tylko wyjątkiem, iż palce u nóg ma błoną porosłe, do pływania, gdyż często w wodzie przebywa. Wydry znajdują się u nas, ale już bardzo rzadko. Długości ma do pół trzeciéj stopy, włos siwo popielaty, sklniący, który nie przyjmuje wody za życia zwierzęcia. Futro z wydry w znacznéj jest cenie. Wydra utrzymuje się w wysokich brzegach rzek, jezior i sadzawek, w norach głębokich na 4 do 5 stóp, skąd wychodzi do wody na połów ryb, żab i raków. Nie może długo wytrwać bez powietrza i często z wody na wierzch wypływa. Wydra z przyrodzenia jest zapalczywém stworzeniem. Tam gdzie ludzi przeczuwa, siedzi spokojnie w dziurze aż do nocy, i wówczas dopiero na zdobycz wychodzi; w miejscach samotnych wychodzi także i we dnie. Jedna tylko wydra, może bardzo wyniszczyć ryby w stawie, cóż dopiero gdy się ich więcéj znajduje?—Młode, schwytane bardzo wcześnie, dadzą się obłaskawić, ale z nie małym trudem.

W francuzkim Magazynie Malowniczym, na rok bieżący, z miesiąca Lutego, znaleźliśmy ciekawy artykuł o wydrze króla Jana Sobieskiego, wyjęty z owczesnych pamiętników pewnego szlachcica; umieszczamy go w przekładzie polskim, zrobionym z przekładu francuzkiego.

»Niezmiernie lubiłem oswajać zwierzęta najsprzeczniejszych nałogów i charakterów, i spoufalać je ze sobą. Na moim dziedzińcu, widzieć było można lisa igrającego z psami, a w izbie zając sypiał bezpiecznie na jedném posłaniu z pudlem. Łowy moje były celem podziwienia dla wszystkich. Gdym na nie wyjeżdżał z mego dworu, można było poczytać mię za Noego, otoczonego wszystkiemi zwierzętami z arki. Między moją psiarnią, znajdowała się kuna, borsuk, lis i zając, mający na szyi obróżkę z dzwoneczkami, sokół siedział na mojém ramieniu, a kruk tak wprawiony do chwytania kuropatew i zajęcy, jak sokół, ulatywał nad nami albo siedział na grzbiecie charta, któren rzucał się chcąc się pozbyć tak natrętnego towarzysza. Prości ludzie mieli mię za czarownika, niech im tego Bóg nie pamięta. Skoro tylko wypłoszono zająca, całe towarzystwo leciało za nim i jego obłaskawiony towarzysz czynił toż samo; jednakże gdy zając dościgniony skwierczeć zaczął, *oswojony jego kolega* uciekał do domu i przez cały dzień siedział w kącie.

»Najciekawszém zwierzem mojém, była wydra. Lubiłem ją bardzo. Sypiała zawsze w mojém łóżku; była z resztą niezmiernie zła. Gdy kto zbliżał się do mojéj izby obudzała mię przytłumionem warczeniem, i zdarzyło się, że gdym poszedł spać nieco podchmielony i spał mocniéj jak zazwyczaj, siadała mi na piersiach, rzucała się i tak hałasowała iż się musiałem obudzić.

»Nigdy nie jadła surowych ryb i mięsa; w piątek i sobotę, musiano dla niéj gotować kurczę albo gołębia i to jeszcze nie chciała jeśdź, jeźli nie były zaprawione z pietruszką, gdyż bardzo lubiła to ziele.

»Ze wszystkich psów lubiła tylko jednego; chętnie się z nim bawiła, lecz wypędzała innych, a żaden nie śmiał jéj zaczepić; lecz najszacowniejszym jéj przymiotem było to, iż dostarczała mi tyle ryb ile tylko potrzebowałem na kuchnią. Skoro tylko rzekłem do niéj: »Moja kochanko, mam gości, trzeba mi ryb na obiad« zanurzała się w stawie i wynosiła sztuka po sztuce. W post wielki była niespracowaną. W owéj porze roku, zawsze miewa-

łem wiele gości. Ona dostarczała ryb dla wszystkich. Zawsze brałem ją w drogę, a gdym przejeżdżał koło stawu lub rzeki, pewien byłem iż mieć będę ryby na obiad i na wieczerzę. Lecz zdarzyło się że król Jan III. nasłuchawszy się tyle o mojéj osobliwéj wydrze, zażądał ażebym mu jéj ustąpił, ofiarował mi w zamianę dwa piękne arabskie konie i tyle pieniędzy ile sam zechcę. Żal ścisnął mi serce, opierałem się długo, lecz nareszcie widząc iż nie odstępuje od swego, umyśliłem podarować ją królowi. Gdym wsadził moją kochaną wydrę do klatki, aby ją posłać jéj nowemu panu, biedaczka zaczęła krzyczéć i wyć tak boleśnie, żem uciec musiał zatkawszy sobie uszy; nigdy tyle nie ucierpiałem. Przywieziono do króla wychudłą i smutną. Skoro tylko kto chciał się z nią pieścić, wyszczerzała zęby ze złością. Pewnego razu król rzekł do królowéj. »Marysiu, cóż ci się zdaje, gdybym też ją pogłaskał? Królowa krzyknęła prosząc męża aby tego nie czynił; jednakże król posunął rękę, mówiąc. »Jeźli mię nie ugryzie będzie to dobry znak.« Pogłaskał ją, a zamiast ugryzienia zaczęła się łasić, co tak bardzo zabawiło króla, iż od téj chwili bez ustanku bawił się z nią i wywieźć kazał ulubionego bobra i ostrowidza które miał w zwierzyńcu. Posyłając wydrę, napisałem cały arkusz instrukcyi jak się z nią trzeba obchodzić i jak ją żywić; zastósowano się do mojéj rady i wydra powoli przyzwyczaiła się do nowego pomieszkania. Lecz pewnego dnia, gdy biegała po łąkach i gajach zamku Willanowskiego, postrzegł ją żołnierz od pociągu, zabił ją kijem i za złotówkę przedał jéj skórę żydowi. Skoro postrzeżono że nie ma wydry, okropny hałas zrobił się w zamku. Zaczęto szukać i wkrótce wyśledzono prawdę. Gdy skórę pokazano królowi, uniosł się wielkim gniewem, i kto wie coby się stało z owym żołnierzem, gdyby xiądz biskup spowiednik królewski nie był wstawił się za nim i nie pohamował króla.

O TREFNISIACH CZYLI BŁAZNACH.

Odwieczny jest początek błaznów, to jest ludzi, których jest zajęciem bawić i rozśmieszać drugich. Ale odkąd się stało popłatném rzemiosłem sprawujących je dla zysku, z pewnością czasu oznaczyć niemożna. Zawsze ludzie bawić się lubili z cudzą szkodą; królowie płacili takich, którzy by ich rozśmieszali, ztąd powstały błazny nadworne; naśladowali ich możniejsi i swoich także mieć chcieli. Ukazywali się tacy na widowiskach publicznych, śmiał się z nich gmin i płacił ich za to. Tych, którzy nadymali gębę, aby odebrane policzki głośniej odbijały, dla wzbudzenia większego śmiechu; zwano po łac: *buffo*, ztąd urosł wyraz francuzki *bouffon*. — Jedni byli, którzy pokazywaniem sztuk róż ych do wykonania trudnych i nie trudnych, bawili widzów, zwani byli po łacinie *histriones*, u nas *kuglarze*, od zręcznego kul rzucania i chwytania; inni od miotania się w kłębach, stawiania koziołków, po łac: *petauristae*, po pol. *mietelnicy*: inni skakali przez obręcze, podrygali w uczonych pląsach, po łac. *saltatores*; po pol. *skoczki*; inni gry wyprawiali w migach, po łac. *mimi*, po pol. *podrzeźniacze*, jak tłómaczy Knapski; lubo tych okrywano ogólnym wyrazem błaznów, ci z nich jednak, których trefnisiami zwano, byli w cale innego rodzaju; nie bawili oni jak tylko dowcipem i żartami, przymówkami śmiałemi, ucinkami i drwinkami, uszczypliwemi najwięcéj; wyraz łaciński, który im dawano: *morio*, *sannio*, *scurra*, nie miały wcale dobrego znaczenia, tak jak u nas *błazen*, lubo w swym pierwiastku *błogi*, od ktorego pochodzi, szczęśliwego i wesołego tylko właściwie znaczył, i mógłby nawet przystać najrozsądniejszemu mędrcowi. Chociaż mówią z Cyceronem, jestli co tak nierozumnego, czegoby który nie pomyślił filozof? Spodliliśmy wyraz błazna, uważając go pospolicie w złem znaczeniu, jako głupca w postępowaniu i w mowie; w téj też chcąc wyrazić paplącego bez braku, co mu ślina do ust przyniesie, *błazgon* mówimy. Trefniś wyraz lepiéj znaczy, bo od trafnego dowipu od trefnowania, czyli żartowania pochodzi.

Co na dworach panów byli trefnisie, to *wesołkowie* u ludu pospolitego. W niektórych ziemiach kraju naszego używani są dotąd dla większéj zabawy obchodów weselnych. Przybrany maszkarnie wesołek, jeden lub więcéj, skacze z wiechą, spiewa i różne sztuki wyprawia przed drużyną, prowadząc państwo młode do miejsca biesiady. Tych, który śpiewem lud bawili, *smykami* zwano. Strój błaznów bywał pospolicie pstry i szachowany, z przydatkiem dziwnych wisiadeł, Rej opisując w wizerunku człowieka dwór Wenery, tak go kreśli:

A za niemi błazenek w kukli i z cepami.
Zowią go *stultitia*, a pas okowany;
Uszy, jako u sarny u nich wiszą dzwonki,
A cepy na pstrym kiju z lisiemi ogonki.

Nie wielu trefnisiów, chociaż ich pewnie było nie mało, pamięć doszła czasów naszych. Najdawniejszego z nich czytam

Bieńka, czyli *Bieniasza*, który był nadwornym trefnisiem Szydłowieckiego Krzysztofa, Kasztelana i Starosty krakowskiego i Kanclerza W. Kor. Dowcipny on był w żartach i wesoły, ale nikogo nie obrażał. Gdy pan Krakowski frasował się i smucił, on wtedy go najwięcéj rozerwać i przywieść do śmiechu usiłował. Siedział raz pod oknem, z którego pan Krakowski poglądał zamyślony na otaczające zamek jego łąki, wody i gaje. Bieńko wrzekomo chciałby wskoczyć do okna, po kilka kroć się zapędzał. Czego, gdy dokazać nie mógł, bo nad dwa chłopy dobrze wyżéj było, przyniósł drabinę, i z głośnym śmiechem wlazł po niéj do okna. Cóż to Bieńku znaczy? rzekł Kasztelan do niego.—Tak panie róbcie, jak ja, a nie będziecie mieli przyczyny, tak często się kłopocić z waszemi myślami. Nie mogłem wskoczyć, a snadno po drabinie wlazłem.

Smiał się zawsze z tego zwyczaju, przez który godniejszy brał zawsze prawą stronę, i pospolicie po przed innymi chadzał.

Nagrobek Bieńka opisuje, iż był bardzo nabożny, miłosierny dla biednych, wielomowny, a samą postacią ułożoną ku temu, do śmiechu pobudzał. Umarł roku 1516.

Stanisław, pospolicie zwany *Stańczyk*, trefniś nadworny dwóch królów Zygmunta, I. i Zygmunta Aug., których żartami i sztukami swemi rozśmieszał, dowcipem bawił. Rodu i życia jego żaden nam ślad nie pozostał. Niektóre powieści i żarty jego zachowali nam pisarze, jako i to, że wielce był kochany i wzięty, nieraz zdrowe dawał przestrogi, a zawsze prawdę mówić lubił.

Gąska, trefniś za panowania Zygmunta Augusta. Jan Kochanowski, pisząc mu w swoich fraszkach nagrobek, zawarł o niém wiadomość, któréj gdzie indziéj znaleść nie można; jako pod Eperiaszem, czyli Preszowem harcował, jako nagabany i szarpany od swawolnych żaków, gloty na nich, czyli kule od strzelby ręcznéj sypał; że nosił odzież szachowaną, i takowę dla pamiątki stanu, w którym życie przepędził, nad jego grobem zawiesić, a razem stósownie do jego nazwiska gęś twardo kowaną, radzi.

»A to, żeby mógł każdy, kto tędy przebieży,
»Domyśléć się zarazem, że tu Gąska leży.

Tenże poeta, w drugim dlań nagrobku wyraża, że żył lat 80, że śmierć tak długo czekała, aby się poprawił i mówił grzeczy.

»Nie mogła się doczekać, błaznem go tak wzięła,
»I tąż drogą, gdzie mądre zajmuje, pojęła.

Był Gąska spółczesnym Stańczyka, bo w wyrządzoném błazeństwie jakiejś kobiécie, w parze ich Kochanowski kładzie.

Antoni Rialto, Włoch, rodem z Bononii, w młodości na komedyanta się sposobił i grywał na przenośnych teatrach. Wędrował po różnych krajach, szukając zdarzenia, któreby mu los dobry zrobiło. Oprócz rodowitego języka, nauczył się po niemiecku, rossyjsku, polsku, kroacku mówić i tłómaczyć. Zacząwszy od niższéj pokojowéj służby, którą u dworów możniejszych sprawował, u Dymitra samozwańca na poufnika do tajnych poleceń wykierował się.

Z miasta Moskwy dostawszy się do Polski, w domu Stan. Ostroroga Wojewody poznańskiego, był syna jego Mikołaja nauczycielem. Nie za naszych więc tylko czasów, ladajakim włoczęgom, byle cudzoziemcom, niebacznie powierzano wychowanie dzieci. Poznawszy się na nim Ostroróg wojewoda, że zdatniejszym był śmieszyć, niżeli uczyć, polecił go Zygmuntowi III. królowi, jako trefnisia, i tam lat kilka króla i dwór jego bawił. Nudził go nareszcie ten życia sposób, do którego przy chylącym się wieku, coraz mniéj czuł się sposobnym. Oddaliwszy się od dworu, przybył do Poznania, w tym właśnie czasie, gdy grali komedyę uczniowie szkolni, a w téj udawano osobę śmieszną trefnisia *Rialto*. Rozgniewany Włoch o to, gdy i na ulicy szydzono z niego, spotkawszy aktora, porwał się nań do kija i uderzył. O mało téj nierozwagi życiem nie przypłacił. O trefnisiach przy dworach zachodniéj Europy, późniéj damy wiadomość.

DONIESIENIE LITERACKIE.

Wyszły już cztery zeszyty Podróży Malowniczéj po Europie, obejmujące opis Włoch, pod redakcyą F. S. Dmochowskiego, ozdobione 16stą rycinami przez F. A. Dietrich. Znajduje się w nich opis Piemontu, Lombardyi, Xięstw Modeny, Luki, Parmy i W. Xięstwa Toskanii.—Dzieło to kosztuje dla prenumeratorów zł. 15. na cały rok 1837. Po zamknięciu prenumeraty, kosztować będzie zł. 21.



MICHAŁ CERWANTES.

KOSZENILLA AMERYKAŃSKA I CZERWIEC POLSKI.

Roślina znana pod nazwiskiem Nopalu (Cactus cochinellifer) należy do rodzaju kaktusów, pielęgnowanych u nas w ogrodach, a chodowanych w Ameryce z wielką starannością dla owadu, koszenillą zwanego, który suszony, piękną czerwoną daje farbę i w sztuce lekarskiéj, jako skuteczny środek w chorobach pęcherzowych używanym bywa. Hiszpanie poznali owad ten i jego użytek w Mexiko roku 1518; w Europie miano koszenillę aż do roku 1694 za ziarno nieznanéj jakiejś rośliny; sprowadzona bowiem suszona, w worach skórzanych, podobną jest do ziarnek białym pyłkiem okrytych.

Indyanie nazwani od hodowania rośliny, na któréj się koszenille lęgą, Nopaleros, zakładają w miejscach gdzie słońce bez przeszkody ciepłem swojém działać może, znacznéj wielkości ogrody i sadzą w nich 50 do 60,000 krzaków Nopalów, równemi rzędami, aby na nich pielęgnować owady, stanowiące największe ich bogactwo.— W Kwietniu lub Maju, zbierają pilnie młode owady, trzymają je w domach przez dni 20, potém wystawiają na słońce, a gdy dość są mocnemi do płodzenia, rozsadzają one w Sierpniu lub Wrześniu na krzaczki Nopalu, tyle na nich zniosą jajek, iż w cztery miesiące pierwszy zbiór owadów przedsiębrać można, a po nim dwa inne następują. Zbieranie koszenillów wielkiéj wymaga staranności; zmiatać je bowiem trzeba ogonkami królików lub wiewiórek z kosmatych liści rośliny, i przy każdym krzaczku robotnik jeden kilka godzin siedzieć musi. Na I ff. idzie podług obrachunku znawców, 70,000 owadów. Zebrane robaczki zabijają się ukropem lub nadzwyczajném ciepłem w piecach. P. Humboldt podaje wartość koszenilli, wywożonéj corocznie z Mexyku na 500,000 ff. szterlingów. Cały handel idzie zwykle przez Kadyx, a od roku 1827 zachęca rząd hiszpański po-

łudniowe prowincye kraju do hodowania koszenilli, uwolniając tych, którzyby pierwsze zakłady do tego porobili, od wszelkich podatków na lat 10.

Miejsce koszenilli zastępował dawniej owad, znany pod nazwiskiem Czerwca polskiego, którego opis dołączamy.

Zaiste ważnym być musiał przedmiot, który jednemu z dwunastu miesięcy imię nadał. Wspominają o nim wielokrotnie dziejopisowie, tak krajowi jak zagraniczni. Wyprowadzany za kraj i szeroko po świecie rozwożony Czerwiec, pod nazwiskiem Coccus polonicus, Cochenille de Pologne do najdalszych dostawał się narodów. Roku 1601, to jest pod panowaniem Zygmunta Wazy, postanowioną została, celna opłata od wyprowadzania tego płodu, któren wyłączną kraju naszego był własnością. — Odtąd wnosiło to cło do skarbu polskiego corocznie 6,000 dukatów Węgierskich, a za tym szacować można ogólną wartość wyprowadzonego corocznie Czerwca najmniéj na dwa miliony złotych polskich na stopie ówczesnéj, a na dzisiejszéj więcéj dziewięciu milionów.

Tak ważnym przedmiotem handlu był Czerwiec, aż do połowy siedmnastego wieku. Dziś tak dalece poszedł w zapomnienie, że w wielu częściach kraju mieszkańcy nie mają już wyobrażenia, i że nie jeden z naszych współczesnych gotów zapytać, co to jest ten Czerwiec? czy to kruszec? czy żywica? czy grzyb? czy sok jakiego drzewa? Nie jeden nawet więcéj już znający obce płody, niż krajowe, marzannę czyli krap Szląski, dla tego, że również czerwoną farbę dostarcza, za starodawny Czerwiec poczytuje.

Ukraina tylko i Podole, nie straciły jeszcze tradycyi o Czerwcu i jego przedmiotach. Tam każdy włościanin wie, że to jest owad, wielkości pchły, koloru rudobrunatnego, znajdujący się na korzonkach i łodygach niektórych roślin, najbardziéj jednak kosmaczka, którego, dla czepiących się na nim robaczków, tymże samym nazwiskiem Czerwca przezywają.

Nie zostawili nam historycy i krajo-pisowie żadnéj wiadomości, czy było w przeszłych wiekach jakie szczególne chodowanie Czerwca. Dziś tam, gdzie go jeszcze znają, włościanie bez żadnéj innéj przyprawy wygniatają z owadu farbę, i pasy mężczyzn, tudzież kobiece chusty nim farbują. — Kolor ten, (któremu jednak przymieszanie Ałunu znaczną dodaje świetność) jest pierwiastkowie ciemno karmazynowy, i dał może powód do częstszego, aniżeli w innych krajach, używania tego gatunku czerwoności na mundurach, bądź wojskowych, bądź cywilnych.

Cóż więc zrządziło upadek tak korzystnego przemysłu? Ta sama przyczyna, co i chów wina, przed dwieście lat tak bardzo u nas kwitnącego zniweczyła. Oto nic innego, tylko rozwożenie w Europie obcego i lepszéj natury towaru, z którym polski płód konkurrencyi wytrzymać nie mógł. Były założone winnice w całéj Polsce i Prusiech, aż pod Żuławy Malborskie, wywożono wino wielkiemi partijami do Danii i Szwecyi. Nie wiemy, czy było dobre, ale było popłatne, i wprowadzało pieniądz do kraju. Atoli gdy zaczęto rozwozić aż na północ nierównie lepsze wino francuzkie i niemieckie, nie było już pokupu na trunek nadwiślański, i przestano zatém uprawę niekorzystnéj już gałęzi rolnictwa. Upadły nasze winnice, i gdzie niegdzie tylko starodawne imię wioski, przypomina, że kiedyś tam istniały tego gatunku posady.

Tak się też stało z Czerwcem. Poszukiwany był od farbiarzy Europejskich, dopóki się lepszy materyał nie zjawił. Ale gdy przybyła z Ameryki Koszenilla Mexykańska, żywszy kolor i większą massę farbnego zarodu dostarczająca, wszyscy farbiarze do nowego się płodu rzucili, i upadła tak ważna gałęź przemysłu.

Ale każda rzecz ma swoją koléj. Przy nieustannéj zmianie rzeczy ludzkich, wracają się i dawne rzeczy, wskrzeszają podupadłe. Czy nie widzimy dziś, jakby dotknięty rószczką czarodziejską rozwijający się na nowo przemysł wincerski. Już okolice okrywają się winnicami. Od roku do roku rozszerza się ich przestrzeń, wzmagają się zyski, a zatem i ochota dalszego rozprzestrzenienia. Nieznacznie kraj napełni się wskrzeszonemi na nowo winnicami. Nie będzie zaiste walczyć nasze wino o niedoścignione pierwszeństwo z obcemi; nie będzie nigdy bogatych stołów okrasą, ale dla mniéj majętnéj, a przecie liczniejszéj klassy ludzi, dostarczać będzie napój zdrowy, popłatny, którego uprawa właśnie jest najstósowniejsza do piaszczystych gruntów, większość kraju naszego stanowiących.

Tak się też może stać z Czerwcem. Przy postępie cywilizacyi, przy coraz większym pomnożeniu miernych, pośrednich majątków, nie tylko co lepsze, co piękniejsze, już teraz i tańsze ma swoją zaletę i przewagę. Podług zdania farbiarzy zagranicznych, Czerwiec przy lekkim tylko zaprawieniu, bardzo dobrą i trwałą może wydać farbę. Cena jego w porównaniu z bardzo drogą koszenillą amerykańską, nieskończenie bydź może fabrykantom dogodną. W porównaniu zaś z Marzanną farbiarską, daleko mniéj wyciąga starania i nakładu, a przytym żywszéj i piękniejszéj dostarcza farby. Może zatém handel Czerwca na no-

wo zakwitnąć, zwłaszcza przy większym rozwinięciu się rękodzielni.

Przejęło się tym widokiem w pierwszych już latach swego istnienia Towarzystwo przyjaciół nauk w Warszawie, i naznaczyło nagrodę za najlepsze pismo o uprawie i pożytkach Czerwca. Pisali o nim później Kortum, Kitajewski i Alexander Chodkiewicz, ale najgruntowniéj rzecz tę rozebrał Nagórski, professor przy instytucie agronomicznym w Marymoncie. Zajął się praktycznie owadu Czerwcowego uprawą, i wielorakie na nim doświadczenia i uwagi w osobnym zebrał dziele. Atoli brak sposobności nie pozwolił mu tak szacownego pisma drukiem ogłosić. Niektóre tylko części téj P. Nagórskiego pracy, wyszły na jaw w zbiorze Piasta; czyli poradnika domowego wychodzącego przez niejaki czas w Warszawie. Żałować należy, że reszta pisma nie doszła jeszcze do wiadomości publicznéj.

Zdaje się, że południowsze położenie sprzyja rozmnożenia Czerwca; albowiem Ukraina, Podole i Gallicya więcéj go wyradzają nad inne kraje. Wszelako natrafia się on choć mniéj obficie na Wołyniu, na Polesiu, na Podlasiu i Mazowszu, i nie masz przyczyny, aby nie miał bydź łatwo przyswojony. Próby, które się P. Nagórskiemu pod Warszawą udały, powinny bydź zachętą.

Chcąc mieć większą ilość Czerwca, trzeba go chodować, a do tego przedewszystkim potrzebna uprawa bądź kosmaczka (Sceleranthus perennis) bądź Jastrzębca (Hieracium pillosellae) na których wspomniony owad najduje pożywienie. Obie te rośliny wyciągają piaszczystego i nieco tylko gliną przemieszanego gruntu. Jest że to właśnie gatunek ziemi, najwięcéj u nas rozprzestrzeniony? Przysposobiwszy potrzebną dla owadu strawę, przesadzają się do niéj w miesiącu Lipcu, nabyte zkąd kolwiek, i już w doroślejszym stanie będące owady, z tą tylko ostrożnością, aby zasiane dla nich pole, ile możności, zasłonione było od wiatrów północnych i wschodnich. Spust ku południowi, jaki dla winnic i sadów owocowych bywa używany, najkorzystniejszy jest i dla Czerwcowego pola. — Ale tu poprzestać musiemy, aż nadto może długiego ustępu. Tych zaś czytelników, którzyby ciekawi byli większych w tym przedmiocie szczegółów, do wyżéj wspomnionych pisarzy odsełamy. S. H. P.

MACHINY WOJENNE, UŻYWANE PRZED WYNALEZIENIEM PROCHU.

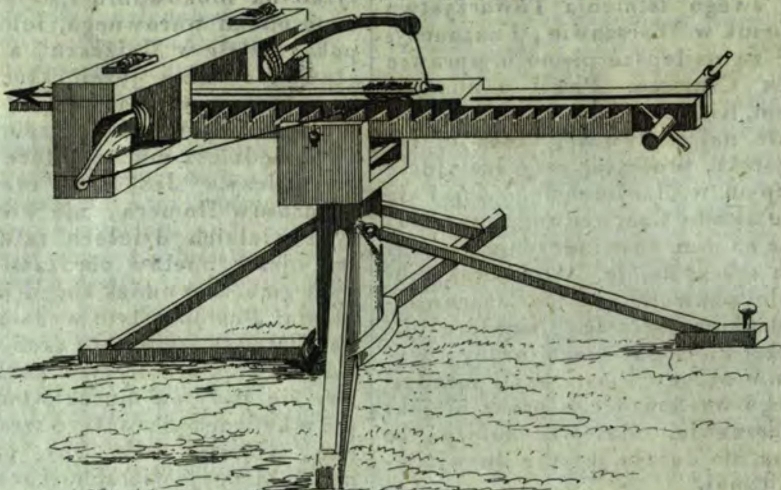
W najdawniejszéj starożytności zdobywano szturmem nieprzyjacielskie mury. Pismo święte nie pokazuje, aby żydzi biegli byli w téj sztuce. Ich usiłowania kończyły się tylko na blokowaniu i usypaniu pod miastem obozu warownego, lubo ślad machin pokazuje się w Mojżeszu, a mianowicie w słowach: »Lecz jeżeli które drzewa nie są rodzące owoc, ale leśne, i na insze potrzeby służące; wytnij a sporządź machiny, aż dobędziesz miasta, które przeciwko tobie walczy.« Jest także rzeczą pewną, iż za czasów Homera, nie wiedziano nic o tych wielkich dziełach sztuki. O ileżby ten ojciec poetów obrazami tak wspaniałych gmachów umiał zbogacić swoje boskie pienia! Postęp w tym wydziale szedł zwolna. Pierwsze powstały drabiny różnego rodzaju: niektóre były z kołami na górze, aby się dały po murze wtaczać. Czasem też w końcach pierwszego szczebla od wierzchu, wiązano dwie liny, przewlekano je na bloki przy wierzchołkach dwóch wkopanych słupów, ciągnięto, aż drabie stanęły prostopadłe przy słupach, potém zbliżone ku murowi, lekko opuszczano, dopokąd się nie oparły, jak trzeba było.

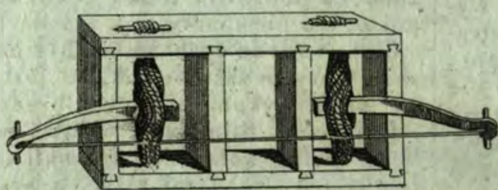
Ciekawszy od tych drabin był obrót wojska, który je zastępował, to jest tak zwany żółw wykonany nie raz przez Greków i Rzymian. Silniejsi i wyżsi, przyklękali na jedno kolano i trzymali tarcze na ramionach, za tymi niżsi, a przy samym murze najwyżsi okrywali się w ten sam sposób, ale stojący; na ten most żywy wchodzili najlżejsi, zasłaniając głowy także tarczami. Jeżeli przy murze był przekop wodą zalany, natenczas podprowadzano łodzie i na nich formowano takiego żółwia. Oczywistą jest rzeczą, iż mury u starożytnych nie były tak bardzo wysokie, skoro człowiek stojący na człowieku, mógł się wdrapać. Do przełamania murów, używali Grecy i Rzymianie tak zwanego barana, czyli tarana. Nie tylko łeb, ale i cały drąg bywał pospolicie z żelaza. Jeźli szturmujący mogli być rażeni z murów, natenczas robiono mocną budę na kołach, w niéj obsadzano barana i podjeżdżano bezpiecznie. Jakkolwiek taki drąg żelazny ma w uderzeniu wielką siłę, jednak na tęgie mury małoby skutkował, i dla tego tylko mógł być przydatny u starożytnych, że cegły kładli jedynie na glinę, a czasem nawet używali i prostéj surówki.

Obmyślano także sposoby do zniweczenia barana: zrzucano z miasta ciężkie kłody, tak, iż mu łeb przycisnęły do ziemi, albo go też rodzajem obcęgów, umyślnie na to robionych, za kark chwytano, i do góry podciągano.

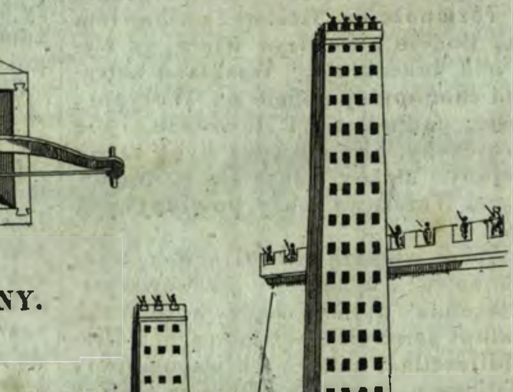
Z tarana okrywanego budą, powstała z czasem machina olbrzymia. Pierwszą miał

BALISTA Z WAŁEM.





BALISTA ZWYCZAJNY.



WIEŻE RUCHOME.

MACHINY WOJENNE U STAROŻYTNYCH.

zbudować niejaki Diades z Abdery. Była to wieża, któréj podstawa wynosiła czasem do dziesięciu tysięcy stóp kwadratowych, wysokości miewała 180 stóp; była nie raz o 9ciu piętrach i stała na 8miu kołach, których średnica 16 stóp dochodziła. Często 3 strony tego gmachu obijano blachami, aby się ogień nie zajął. Każde piętro miało dwoje wschodów, aby wychodzący nieprzeszkadzali wchodzącym. Trzeba było 3400 ludzi do podciągnięcia tego ciężaru. Przy grze szachów, figury stojące na skrzydłach drugiego szeregu, nazywają się wieżami, i mają wystawiać te machiny. Na samym dole wieży, mogli pracować podkopywacze, w wyższém piętrze bito taranem albo też wiercono dziury świdrem, daléj ku górze mieścili się ci, co walczyli przeciw obrońcom i spuszczali pomost. Na dnie wierzchowym osadzono machiny do rzucania mnóstwa strzał, za jednym razem.

Było jeszcze mnóstwo innych machin, któremi rzucano strzały, pociski, lub kamienie. Starożytni i jedne i drugie nazywają raz katapultami, drugi raz balistami, tak, iż zdaje się, że sami między niemi różnicy nie robili. Balisty i katapulty zastępowały miejsce armat u starożytnych, siła ich polegała na linach z włosia kręconych, które naciągano za pomocą drąga, a potém nagle spuszczane, wyrzucały w znacznéj odległości kamienie, strzały, a czasem zapalone pochodnie, Balisty, mówi Witruwiusz, zręcznie użyte, przechodzą wszelki inny oręż. Przeciw nim nie ma żadnéj obrony. Z tych machin, niektóre były bardzo skombinowane, potrzebowały umiejętnych budowniczych, i zręcznéj posługi w czasie boju. Z tego powodu, nie które greckie nie przeszły do drugich narodów; inne znowu powstały u Rzymian i u nich zaginęły.

WOJOWNIK I POETA.

(*Obraz historyczny*)

Dokończenie.

III

LEPANTO.

Wyspa Cypr wpadła w moc Turków; odurzeni ciągłem powodzeniem, mierzyli wzrokiem kraje, które im się podoba nawrócić na wiarę Proroka. Azya ulegając prawu natury, nadającemu popęd wyobrażeniom i pomysłom podobnie jak falom oceanu, miała wylać na Europę te krucyaty, któremi ją niegdyś zalała Europa. Mocarze chrześciańscy, pobudzeni głosem papieża Piusa Vgo, utworzyli związek ażeby stawić tamę téj klęsce. Tym wszystkim wojskom, zebranym dla obrony życia i wiary narodów, trzeba było dać jednego wodza, z nazwiskiem ulubionem i znaném całéj Europie, z przewagą tak wielką, iżby mógł powściągnąć wszystkich współubieganie się i dumę, człowieka nareście, któryby godnym był prowadzić ich do zwycięztwa.

Wybor xiążąt padł na wodza wsławionego zniszczeniem niewiernych Maurów Grenady, a którego pierwsze tryumfy były szczęśliwą wróżbą dla tak świętéj sprawy. Nadano tytuł naczelnego wodza, siły morskiéj Hiszpanii, Rzymu i Wenecyi, Don Żuanowi Austryackiemu, młodzieńcowi, u którego doświadczenie, ta stałość duszy, wyprzedziło lata.

Don Żuan, nie miał już dla czuwania nad sobą, Don Ludwika Quixady; starzec zginął przy bramach Guejar w Hiszpanii, ugodzony strzałą, wymierzoną może przeciw jego przysposobionemu dziecięciu. Po jego śmierci nikt już nie był pośrednikiem między burzliwemi żądzami Don Żuana, a groźną podejrzliwością jego, brata Filipa; śledzono tylko każdy krok jego każde słowo. Jedyna niewiasta którą był kochał, Marya Mendoza, umarła; zdawało się że jego uczucia śmierć przynoszą; Don Żuan zestarzał się więc przedwcześnie i mógł rozkazywać ludziom.

Jego eskadra, na któréj znajdowało się mnóstwo szlachty rozmaitych narodów, popłynęła najprzód do Genui, tam don Żuan przyjąwszy hołd i życzenia wice królów Włoch i posłów głównych narodów chrześcijańskich, natychmiast popłynął do Neapolu, gdzie Nuncyusz papiezki podał mu buławę hetmańską; poprowadził po tém okręty swoje do portu Messyny i połączył się z exkadrami Rzymu i Wenecyi. 16 Września 1571, flota złożona z dwóchset dziesięciu galer, z 25 okrętów i 10 fregat, wyszła pod żagle, poprzedzona dwoma bryguntynami, które wysłał don Żuan pod rozkazami kawalera Andrada dla rozpoznania sił tureckich.

Turcy spustoszywszy Korfu, wszystkie wyspy Archipelagu i Cefalonią, zawinęli do zatoki Lepanto i rozbroili część okrętów, w przekonaniu, że chrześcianie już w tym roku nie rozpoczną kampanii. Gdy się dowiedzieli o poruszeniu floty chrześciańskiéj, dwaj Baszowie dowódzcy wojsk lądowych i morskich, Ali i Pertau, uwiadomili o tém Sułtana. Zdaniem ich było ażeby unikać spotkania; Selim rozkazał im walczyć aż do ostatka. Pozbawieni pomocy okrętów barbaryjskich, które już odpłynęły do Afryki, czemprędzéj wsadzili na flotę sześć tysięcy spahów z nadbrzeżnych fortec i posłali na zwiady starego korsarza Caragiali, któren przedarł się w nocy w środek floty chrześciańskiéj i porachował jéj okręty.

Don Żuan przybył 7go Października na wysokość wysp Curzolari, dawnych Echinadów, o mil ośm od Lepantu.

W ówczas zwołał radę wojenną, złożoną z głównych dowódzców wojska.

Don Ludwik Requesens, wielki komandor Hiszpanii, który zajął wszystkie urzędy Quixady w kraju i miejsce jego przy Don Żuanie, który na krok nie odstępował xięcia i jak zło wróżby cień przecinał promienie jego chwały, doradzał odwrót, stosownie do tajemnych rozkazów. Don Żuan zaufany w obietnice papieża i zachęcony potężnym głosem Pawła Odescalchi biskupa Pienny, oraz przeczuciem które czuł w głębi serca, postanowił stoczyć bitwę i posuwał się ku Lepantowi.

W krótce ujrzano turecką flotę; płynęła na spotkanie chrześcian i rozciągała w szyku bojowym niezmierzony rząd żagli, pomyślnym wiatrem wzdymanych.

Ali i Pertau znajdowali się w środku, otoczeni najmocniejszemi galerami; Ulucìali sandziak Algieru, po lewéj stronie, Mahmud i Sirocco baszowie Alexandryi, po prawéj, prowadzili dwa skrzydła. Surowi przestrzegacze praw proroka, postrzegli ze zmartwieniem i smutném przeczuciem, że tym razem nie zachowano w szyku bojowym kształtu świętego znaku, *pół xiężyca.*

Don Żuan podzielił flotę na cztery oddziały, jeden z nich pod dowództwem margrabiego de Sainte Croix składał rezerwę, i nie miał mieszać się do bitwy, dopóki nie rozpoczną boju wszystkie nieprzyjacielskie okręty. — Wydawszy te rozporządzenia, don Żuan padł na kolana i pobożnie błagał pomocy Boga. Od rana, xięża zachęcali żołnierzy na okrętach i mówili podług textu wskazanego przez kardynała Antonio Perenotte: *Fuit homo missus a Deo cui nomen erat Joannes.* Don Żuan wsiadł na brygantynę i raz jeszcze przebiegł linię bojową, dla zachęcenia żołnierzy. W jednéj ręce trzymając szpadę, drugą pokazywał im obraz ukrzyżowanego Zbawiciela, za którego walczyć mieli i wzywał ich aby poświęcali krew swoją za tego, któren ich krwią własną okupił. Wskazywał im tysiące jeńców chrześciańskich, których jęki z galer Tureckich, dochodziły aż do ich ucha, i galery obciążone łańcuchami, które Ali przygotował dla nich samych, nareście w imie Boga obiecywał im zwycięztwo.

Zatknięto sztandar admiralski, i wystrzał armatni dał hasło do bitwy, Don Żuan posunął się przeciw admiralskiemu okrętowi Turków i walka rozpoczęła się na całéj linii.

Na lewém skrzydle Turcy wypuścili na początku bitwy grad strzał; jedna z nich uderzyła w oko generała Wenecyanów Augustyna Barbarigo, Kontaryni jego siostrzeniec objąwszy po nim dowództwo, poległ pod czas bitwy; lecz rozjątrzone wojska śmiercią wodzów, walczyły tak zajadle, iż przestraszeni Turcy porzucili okręty i schronili się na ląd.

Co innego działo się na środku linii, każden okręt walczył na zabój z okrętem nieprzyjacielskim, dopóki jeden z nich nie wyleciał w powietrze, albo nie postradał całéj osady. Don Żuan i Ali starli się jak bożkowie w Iliadzie; otoczeni byli gęstymi kłębami dymu i tylko połyski i huk armat oznajmiał ich obecność. Lecz nareście rozproszył się dym i ujrzano po jednéj stronie pływające szczęty masztów i desek, w około których zawieszało się kilkaset biednych Turków, a z drugiéj, okręt noszący chwalebne znamiona ciężkiéj walki, na którym obok admiralskiego sztandaru zatknięta była głowa Alego baszy. Na ten widok, zapał chrześcian wzniosł się bez granic, rozpacz ogarnęła niewiernych. Stary admirał Pertau opierał się przez dwie godziny czterem okrętom, aż nareście, okryty ranami, ujrzał, że wszyscy jego żołnierze zostali wybici, a okręt ogarnięty pożarem. W téj ostatecznéj chwili zapomniał że powinien umrzeć i rzucił się w szalupę.

Lecz na prawém skrzydle, sprawa religii zostawała w niebezpieczeństwie, Doria widząc iż linia Turków dłuższa jest niż jego, zmienił plan napadu bojąc się aby otoczonym nie został i uderzył na galerę stojącą na samym końcu dywizyi Turków. Ulucìali korzystając z tego obrotu, uderzył na środek któren Doria zostawał bez dostatecznéj siły, lecz don Żuan pozbywszy się Alego i Pertau, uderzył na nieprzyjaciół i po drugi raz rozstrzygnął zwycięztwo. Uluciali opuścił zdobycz którą już poczytywał za swoją. Przebył całą linię bojową, odpowiadając na wszystkie wystrzały armatne i oddalił się dumnie jak lew zmordowany rzezią.

Po rozstrzygnięciu zwycięztwa, mnóstwo częściowych walk toczono jeszcze aż do zmroku. Morze pochłaniało tu i owdzie jaki wielki okręt, wylatujący w powietrze. Miejsce gdzie Don Żuan odniósł to wiekopomne zwycięztwo, jest nie daleko od Prewezy. Preweza jest to starożytne Akcyum.— I za naszych czasów, w tychże samych miejscach, spór Europy i Azyi rozstrzygnęła pamiętna bitwa pod Nawarynem.

Turcy stracili pod Lepantem przeszło 30,000 ludzi i całą flotę; 12,000 więzniów chrześciańskich odzyskało wolność a zwycięzcy podzielili się niezmiernemi zdobyczami. Chrześcianie stracili 10,000 ludzi.

Po bitwie, Don Żuan przebiegał wszystkie okręty dla odwiedzenia rannych. Przy-

bywszy do eskadry rzymskiéj admirała Kolonny, zbliżył się do rannego, któremu wystrzał z muszkietu strzaskał ramię i lewą rękę. Długo i tajemnie mówił z nim po hiszpańsku. Człowiek, którego taki zaszczyt spotkał, był Hiszpanem w służbie papieża. Nędza wypędziła go z własnego kraju, a biedny w Rzymie, równie jak w Madrycie, był kamerdynerem kardynała Juliusza Aguaviva.

Był to Michał Cerwantes.

IV.

ALGIER.

26 Września 1512, galera hiszpańska odwożąca z Neapolu do Kartageny oddział żołnierzy, wzięta została nie daleko wysp Balearskich, przez najgroźniejszego z korsarzy algierskich, Arnauta Mame, renegata albańskiego, który wsławił się tém postępowaniem z chrześcianami. Zdobycz rozdzielono w porcie Algieru. Arnautowi Mame dostał się niewolnik zwany Michał Cerwantes Saavedra, przezwany mańkutem z powodu kalectwa. Arnauta Mame najsrożéj obchodził się ze swemi niewolnikami, ażeby tém prędzéj zniewolić ich do złożenia okupu, lecz stałość i odwaga Cerwantesa większą była od jego okrucieństwa i dla tego zawsze uchodziła mu bezkarnie. Cerwantes nie przestawał myśleć o ucieczce. Trzy lub cztery razy o mało nie wbito go na pal, lub nie spalono na stosie, lecz właśnie pogardą śmierci uniknął tego losu.

Pewnego dnia, gdy go posłano za sprawunkami, usunął się dla przepuszczenia Maura, którego prowadził renegat Soliman.

Spojrzawszy na niego Cerwantes nie mógł wstrzymać się od powiedzenia po hiszpańsku. »Gdyby to nie był niewierny poganin, przysiągłbym że to jest xiąże Don Żuan austryacki.«

Maur idący poważnie, zadrżał jak gdyby zrozumiał te słowa i zwrócił się; skinął na mańkuta aby poszedł za nim i zaprowadził go na ulicę żydowską; usiedli na ławce kamiennéj przed domem.

Maur, był to Don Żuan austryacki.

Don Żuan zwyciężywszy niewiernych w Hiszpanii i przy Lepante, wylądował ścigając ich, na brzegi krajów barbarzyńskich. Zwyciężył barbarzyńców bardziéj postrachem swego imienia niżeli bronią. Tunis, Hippona i zwaliska Kartaginy, wpadły w moc chrześcian, lecz było to niczem dla niego, dopóki Algier, miasto święte, dzielne i obwarowane, które oparło się potędze jego ojca, stać będzie; chciał je zdobyć, i awanturniczy bohater sam wcisnął się do Algieru, dla poznania jego słabéj strony.

Piękna i ciekawa żydówka która postrzegła przez okno otwarte nieco, Maura i niewolnika bez ręki, siedzących na kamiennéj ławce przed oknem domu jéj ojca, byłaby z większem uwielbieniem patrzyła na szlachetną twarz Maura, a z większym przestrachem na niewolnika, gdyby była zrozumiała ich rozmowę.

Ułożono się że gdy wojsko Don Żuana, podstąpi pod mury Algieru, Cerwantes wzburzy wszystkich niewolników w mieście, a tak Algierczykowie nie będą mogli obronić się i w domu i na wałach.

Lecz don Żuan nie podstąpił z wojskiem, ponieważ Filip II. odwołał go z Tunis podobnie, jak z Grenady i Lepante.

Cerwantes mimo tego podburzył niewolników; zdradzono go, nie został ukarany śmiercią, lecz tylko strzeżony był z większą bacznością, a Assem déj algieru mówił o nim: »*Dopóki ten mężny mańkut będzie w bezpieczném miejscu, zaręczam za całość miasta i okrętów.*«

V.

BAUGES

Ostatnie spotkanie.

Don Żuan, pozbawiony przez nieufność Filipa, owoców zwycięztwa pod Gemblout, cofnął się z wojskiem na górę Bouges, przy Namur, gdzie niegdyś jego ojciec Karól V. obozował, ścigany przez trzy wojska francuzkie. Smutek ścisnął jego serce. Już to nie był ów młodzieniec, którego zachwycały swietne zabawy hiszpańskiego dworu, ani ten bohatyr, którego szlachetna twarz oświecała się posępnym ogniem na pobojowisku zasłaném trupami. Czoło jego pokryły zmarszczki, głowa wyłysiała, przygasły oczy, płakał nad poniżeniem swojem, postradał bowiem miłość ludzi a nie mógł pozyskać zaufania brata. Ogarnęło go zupełnie zniechęcenie; wspomniał swoje lata dziecinne, przepędzone w ukryciu, pośród przyjaciół i rówienników. Sprzykrzyła mu się wielkość i chciał zamknąć się w klasztorze Montserratu jak Karol Vty w klasztorze Justa. W krótce zapadł w chorobę; lekarze oświadczyli że jest śmiertelną. Don Żuan uwiadomiony o tém, odzyskał to zaufanie które na jego twarzy malowało się pod czas bitwy. Urządził swoje światowe interessa; Alexandra Farnese, swego siostrzeńca, mianował wielkorządcą Niderlandów. W testamencie zaklinał brata, aby wyznaczył pensye urzędnikom jego domu i prosił jak o łaskę, aby jego zwłoki złożone były w grobie Karola Vgo.

1go Października 1578 r. don Żuan ocknął się z długiego uśpienia i zwrócił uwagę młodego Farnese i generałów otaczających jego łoże, iż ten dzień jest rocznicą zwycięztwa pod Lepante i Tunis; potém zaczął

konać. W obłąkaniu wzywał dowódzców wojska, nakazywał obroty wojenne. Ostatnie słowa które wyrzekł, były imiona Karola Vgo i Quixady, dwóch jego ojców.

Natychmiast po jego śmierci poprzedzonéj straszliwemi konwulsyami, ciało pokryły sine plamy i głucho mówiono o otruciu.

Pewnego dnia, biedny człowiek wyglądający przez pół na pielgrzyma przez pół na żebraka, szedł z królestwa Walencyi, a chociaż wycieńczony trudem, nie zatrzymał się w Madrycie i wyszedł z miasta bramą prowadzącą do Henares, w tejże saméj chwili gdy przejeżdżał tamtędy mały orszak, z którego jeden człowiek wiózł dwa worki skórzane, przywiązane na przodzie siodła, a trzeci trochę większy, przywiązany z tyłu nad mantelzakiem. Na zapytanie strażnika co jest w tych workach, odpowiedział smutnie, że to są szczątki don Żuana Austryackiego. Ciało odjęto od kości, w jednym worku były piszczele nóg, w drugim kości głowy i rąk a w trzecim, samego tułuwu

Biedak usłyszawszy tę odpowiedź, ukląkł i prosił aby mu wolno było pocałować róg tego worka. Gdy to uczynił, oparł się na jedynéj ręce, aby się podnieść, gdyż był mańkutem, otarł łzy i poszedł daléj.

VI.

MADRYT.

W trzydzieści siedem lat po tém zdarzeniu, w nędznéj izbie, w któréj z szyderczym zbytkiem widać było dary niezręcznéj dobroczynności, umierał Michał Cerwantes, w 69 roku życia. Była przy nim żona, licencyat, Franciszek Nugnes jego sąsiad i kilku przyjaciół.

Druga połowa jego życia była tak smutna jak pierwsza; do trudów ciała przyłączyły się trudy duszy. Po wykupieniu z niewoli algierskiéj i powrocie do Hiszpanii, połączył cudzą nędzę ze swoją, pojął żonę. Wówczas, ponieważ było to jedynym jego sposobem do życia i jedyném szczęściem, wziął pióro w pozostałą rękę i pisał. *Galathea*, *Powieści* i nieśmiertelny *Donkiszot* rozpostarły po całéj Europie sławę jego nazwiska, lecz nie dały mu chleba. Stary żołnierz, musiał dla utrzymania życia, głaskać próżność bogatych, przypisując im dzieła swoje. Przyjęli dedykacyą i rozumieli że już dosyć uczynili dla autora. W tymże czasie, zazdrość pastwiła się nad jego dziełami, krytyka wyrzucała mu że jest ubogim i bez ręki, a Jan de Villamail jego księgarz, którego zbogacił i wsławił, napominał go aby nie kładł tyle wierszy między prozę swoją, gdyż jego wiersze są nic nie warte. Tak przez długie lata wlókł życie, jak niegdyś okowy w Algierze, postradawszy ostatnie swoje złudzenie, poezyą. Nadzwyczajna praca nad ostatnim jego romansem, *Persiles i Zygmunt*, wycięczyła jego siły; puchlina na którą cierpiał, szybko się wzmogła. Na śmiertelném łożu napisał jeszcze przedmowę do tego dzieła i dedykacyą hrabiemu de Lemos.

»Wczoraj dano mi ostatnie namaszczenie, dziś piszę do ciebie panie. Czas i nadzieja niczem są dla mnie; śmiertelne paroxyzmy idą szybko jeden po drugim; przyszły, będzie może już ostatnim. Tego tylko żałuję że nie mogę widzieć JW Pana. Zdaje mi się że to szczęście mogłoby mi życie przywrócić, lecz odmienne są rozrządzenia Boże; niech się spełni jego wola. JWPan przynajmniéj wiedzieć będziesz jakie były moje ostatnie życzenia, dowiesz się że wspomnienie jego dobroci, wdzięczność i przywiązanie, były ostatnią moją myślą i ostatnią pociechą.«

Ten list i ten romans został jedyném dziedzicem jego wdowy.

Spokojniejszy po tém wysileniu pracy, Cerwantes śmiało czekał śmierci, jako dobry chrześcijanin.

Dziełko pod tytułem *Buscapie* powiększyło ciekawość i zajęcie jakie wzbudził Donkiszot, utrzymując, że wszyscy jego bohatyrowie nie byli owocem imaginacyi, lecz rzeczywistemi osobami owego czasu. Cerwantes nie chciał w tym względzie udzielić żadnych objaśnień. W ostatnich chwilach jego życia, licencyat Nugnes zapytał go o prawdziwe imie dobrego rycerza z Manszy.

»Donkiszot, odpowiedział Cerwantes ze smutnym uśmiechem, Donkiszot, ja to sam jestem.«

Ciało Cerwantesa pochowano w kościele trynitarzy w Madrycie. Nawet nie wyryto jego nazwiska na kamieniu grobowym, lecz Hiszpania przypomina sobie o swoim wielkim pisarzu; i sława zaczęła się dlań w jego własnym kraju, dopiero w 150 lat po jego zgonie.

Tak więc, ci dwaj ludzie, don Żuan i Cerwantes, do jednego dążąc celu, dosięgli go obydwa, bardzo odmiennemi drogami. Jeden, żył pośrod ubogich, drugi pośród możnych tego świata; jeden nieśmiertelny pisarz, drugi nieśmiertelny wojownik; nieszczęśliwi obydwa.

KLASZTOR XXży MIECHOWITÓW. W MIECHOWIE.



ZGROMADZENIE XXży MIECHOWITÓW.

Jaxa Gryff po ukończonéj świętéj wyprawie przeciwko Saracenom,zwiedził grób Chrystusa Pana w Jerozolimie, i uzyskawszy pozwolenie u Almeryka Patryarchy, założenia zgromadzenia stróżów grobu Chrystusa, które Bolesław kędzierzawy i Innocenty III. Papież w roku 1,162 potwierdzili, wybudował kościół i klasztor we wsi swéj Miechowie Wdztwie Krakowskiém i dobrami uposażył, lecz pierwszy ten kościół zbyt szczupły, na kaplicę obrócony został, a w roku 1233 Wisław Wiślimierz Biskup krakowski, założył węgielny kamień pod kościół obszerny, do dziś dnia wraz z wieżą istniejący.

Pożary trzykrotne a mianowicie w r. 1745, budowli téj straszne zadawały ciosy, zawsze jednak odbudowany i do pierwszego stanu wrócony, jest wewnątrz nader wspaniały; wszystkie ołtarze pokryte stukiem mozajkowym i ozdobione obrazami, z których dwa Śtéj Anny i Sgo Józefa pędzla Szmuglewicza, na szczególną uwagę zasługują.—Chór również wspaniały z organem, jednym z największych w królestwie,—Wieża na rycinie widziana, wysoka jest na 145 stop, z kulą z blachy miedziannéj 18 stóp średnicy mającą, tak, że 3ch ludzi wziąwszy się za ręce, od jednéj strony do drugiéj zaledwie dosięgnąć zdołają.

W czasie tylokrotnych pożarów zniknęły wszelkie pomniki Jaxów i dopiero ostatni proboszcz wystawił nagrobek z czarnego marmuru, dla Jaxy Gryfa założyciela zgromadzenia.

Proboszcze Jeneralni Miechowscy czyli tak zwani Jenerałowie zgromadzenia, byli najczęściéj obierani z pomiędzy biskupów, mieli wielką władzę świecką, a nawet w obrębie swych własności prawo miecza (jus gladii) przy nich zostawało. Swieckim osobom znanym z pobożności i przystępującym do bractwa, udzielali order krzyża złotego patryarchalnego Jerozolimskiego podwójnego, na czerwonéj wstędze z czarnymi brzegami, i zwyczaj ten aż do śmierci ostatniego Jenerała w r. 1830 zeszłego dotrwał. Kościół obchodzi obrządki i ceremonie wielkanocne aż do adwentu; ostatniéj zaś Niedzieli przed adwentowéj; zastawiano nawet stoły ze zwykłém wielkanocném święconém.

Lud Miechowski jest oddany cały pobożności, mało przemyślny, a szczególna budowla domów, gdzie w obszernym rynku zaledwie 4 do 5 okien widzieć można było, całemu niemal miastu nadawała postać jednego klasztoru. L. R.

PAMIĘTNIKI XIĘCIA RAGUZY

(*Marszałka Marmont*)

Umieszczamy wyjątki z dzieła,które marszałek Xże Raguzy wkrótce ogłosi drukiem. Wszystko wzbudza w niem wielkie zajęcie. Xiąże Raguzy zwiedził krainy prawie nieznane czytelnikom Europy, kraje w których teraz toczą się najważniejsze kwestye polityki i cywilizacyi, przebiegł je jako filozof, wojownik i uczony; uczynił nad niemi głębokie postrzeżenia, skreślił dokładny ich zarys.

Każdy zapewne szukać będzie, w pamiętnikach xięcia Raguzy, śladów, czyli boleśne wspomnienia człowieka tak srodze dotkniętego od losu, nie zmieszały jego duszy, nie obłąkały sądu. Z próby téj wyjdzie korzystnie dzieło jego, jest bowiem nacechowane wyrozumiałością i spokojem umysłu. Widać w niem, roztropne umiarkowanie człowieka, któren zbyt często będąc nieszczęśliwym świadkiem i ofiarą błędów ludzkich, nie dowierza własnemu zdaniu i sądowi. Ta pogoda duszy w nieszczęściu i na wygnaniu, ta mądrość umysłu i ta stałość serca, czynią, że dzieło xięcia Raguzy wzbudza głębokie zajęcie, przywiązane do wielkich nieszczęść, znoszonych z talentem i odwagą.

XiążeRaguzy wyjechawszy w r. 1834,umyślił zwiedzieć południową Rossyą, Turcyą, Syryą, Palestynę i Egipt. Aby udać się do Odessy, jechać mógł na Galicyą albo na Węgry i Transylwanią. Obrał sobie tę ostatnią drogę. Węgry i Transylwania są to krainy bogate w przyszłość. Mieszczą w sobie żywioły niezmiernych bogactw i będą kiedyś główną podstawą potęgi domu Austryackiego. Umieszczamy niektóre wyjątki z ciekawéj podróży xięcia Raguzy po Węgrach.

Kraj w Węgrzech zdaje się bydź pusty i zupełnie ogołocony z mieszkańców. Przejeżdża się przez niezmierzone płaszczyzny. Osady rolników, których ludność od 30 do 40 tysięcy dochodzi, znajdują się w wielkiéj odległości jedne od drugich. Na wiosnę każden wychodzi ze swojéj siedziby zimowéj i obozuje na polach które uprawiać będzie. Przez cały tydzień pracują w polu, a w osadzie pozostają same tylko dzieci, kobiety i trochę służących. Wieczorem w sobotę, naczelnik rodziny wraca do domu, zostawiając na polu wszystkie narzędzia rolnicze, lecz w poniedziałek rano idzie do pracy. Po sprzęcie i zasiewie zboża, wszyscy wracają do osady. Ale te tymczasowe obozy już się zamieniają w baraki, które upiękniają zasadzonemi drzewami; baraki wkrótce stają się domami, a wtedy pozostaną tam mieszkańcy, kraj po-

kryje się folwarkami i wioskami, a Węgry żyć będą jak reszta Europy. Miasta postradają znaczną część ludności, przybiorą inną postać. i zamieszkane będą przez ludzi nie trudniących się uprawą roli, lecz żyjących z dochodu swego, z handlu i rękodzieł.

Kraj któren przebydź potrzeba jadąc z Wiednia do Budy, bardzo niedokładne wyobrażenie dałby podróżnemu którenby nie posunął się w głąb Węgier. Jest dobrze uprawiony i przypomina Niemcy. Nie daleko Budy, kraj jest gorzysty, wysokie brzegi panują po obu stronach rzeki, a piękne wyspy na Dunaju, upiękniają krajobraz.

Miasto Buda wspaniały widok przedstawia. Ta starożytna stolica Węgier mocne czyni wrażenie w oczach podróżnego i przypomina średnie wieki. Stojąca na górze i otoczona murami, była niegdyś warownią. Gdy Turcy zajmowali Węgry, w Budzie rezydował Basza i tam zebrane były ich wojska. Z tamtąd najeżdżali Austryą i oblegali Wiedeń. Było to zaczepne stanowisko z którego zamyślali podbić cały świat chrześciański.

Dwa razy Wiedeń zasłonił Europę. Węgry, które Turcy tylko tymczasowo posiadali, wysliznęły się z ich ręku i odtąd Niemcy odetchnęły spokojnie. — Buda jest stolicą władz rządowych, jest piękną, o ile jej położenie tego dozwala; zdobią ją wspaniałe pałace. W tém to mieście rezyduje palatyn; tam wymierzają sprawiedliwość wyższe sądy; jest to miasto królewskie.

Z drugiej strony rzeki jest miasto Pest, miasto handlu i przemysłu. Pest szybko wzrasta, ludność jego powiększa się co chwila, wznoszą się piękne gmachy, a jednakże, niezwyciężona przeszkoda sprzeciwiać się będzie, ażeby którekolwiek bądź miasto w Węgrzech stało się wielkiém miastem handlowym, dopóki nie ulegną zmianie cywilne prawa tego kraju. Nie ma obszernego i korzystnego handlu bez kredytu; nie ma kredytu tam, gdzie własność jest wątpliwa i gdzie dłużnik nie może bydź zniewolonym do płacenia. Tak dzieje się w Węgrzech: wierzyciel nie ma innej rękojmi, prócz moralności dłużnika.

Jest u Węgrów wewnętrzne uczucie dobra kraju i potrzebnych ulepszeń; lecz ponieważ każda zmiana użyteczna ogółowi, jest niekorzystna pojedynczym stanom lub osobom, przeto we wszystkiém napotyka się opor; krzyżują się pomieszane wyobrażenia, chcą i nie chcą. I tak, chcą budować drogi, ten główny żywioł cywilizacyi i ulepszenia, ale ponieważ skarb nie ma potrzebnych kapitałów, towarzystwo handlowe musiałoby podjąć się tego przedsięwzięcia, a opłata drogowego zapewniłaby zwrót kosztów; lecz ci którzy najmocniéj pragną dróg, nie chcą opłacać drogowego, ponieważ szlachcic węgierski nie może i nie powinien opłacać żadnych podatków. Jeszcze nie rozumieją w Węgrzech, że trzeba płacić, jeźli chcemy zbogacić się i powiększyć przyjemności życia. W ogóle, wyobrażenie opłaty oburza dumę szlachcica węgierskiego, a dopóki nie zostaną wykorzenione te przesądy, pochodzące z braku najprostszych wyobrażeń administracyi, kraj nie postąpi i pozbawiony będzie niezmiernych ulepszeń do których jest zdolnym.

W następnych kartach, Xiąże Raguzy dowodzi do jakiego stopnia feodalność panuje w składzie rządu i obyczajach Węgrów. Oto jest najmocniejszy przykład tej prawdy.

Przy Edenburgu jest warownia Forchtenstein, należąca do Xięcia Esterhazego; leży na wzgorzu i mieści w sobie znaczną artylleryą, broni ręcznej na 3 lub 4 tysiące żołnierzy i skarb składający się z bardzo kosztownych klejnotów. Statut domu xiążąt Esterhazy, obowiązuje każdego z tych xiążąt aby ten skarb powiększali. Mogą naruszyć go jedynie na wykup którego z xiążąt Esterhazych, jeźli dostanie się w niewolę Turecką. Przypadek taki już się zapewne nie wydarzy. W r. 1809, komitat Edenburgu zajęty był przez wojska francuzkie. Oddział jazdy stanął przed Forchtensteinem; żołnierze xięcia Esterhazego nie chcieli otworzyć bram, oddział cofnął się, a warownia i bogactwa w niéj zamknięte, pozostały w mocy właściciela. Taki dom Esterhazych, już tylko sam ieden w całej Europie przypomina domy wielkich lenników w wiekach średnich. Niezmierne włości i majątek, któren pod dobrym zarządem zrównałby majątkowi monarszemu, warownie posiadane jako własność, wojsko utrzymywane kosztem prywatnym, prawo uświęcone zwyczajem, trzymania warty przy osobie panującego ilekroć wstąpi na ziemię wazala, prawo wjeżdżania na przedmieścia stolicy z oddziałem własnych żołnierzy i z rozwiniętemi chorągwiami: wszystko to, już tylko w Węgrzech istnieje. Xiąże Esterhazy może bydź prawą ręką monarchy i dobroczyńcą swego kraju.

Przytaczamy jedno jeszcze najwydatniejsze znamie wieków średnich w konstytucyi Węgier. Idzie o koronacyą królów.

Teraźniejszy cesarz austryacki Ferdynand, był koronowany w Prezburgu w 1830 jako król węgierski. Wspaniały ten obrzęd, jedyny w Europie, zachował swoją pierwotną cechę. Wszystko odbywa się na

koniach, pod otwartém niebem. Sami nawet biskupi, w kapłańskich szatach, z mitrą na głowie, z pastorałem w ręku, jadą na koniach, w wspaniałe rzędy ustrojonych i prowadzonych przez masztalerzy bogato przybranych. Okazuje się ztąd, iż jest to życie i przepych koczującego i ciągłemi wojnami niegdyś zajętego ludu.

NOWE DZIEŁA.

Biruta część pierwsza: wydawca Józef Krzeczkowski, Wilno 1837. (z ryciną) cena zł: 15.

Pod tym tytułem wyszedł w Wilnie zbiór prozy i poezyi, w rodzaju Noworoczników zagranicznych i naszego Wianka. Wydawca przyznając że zbyt wielkie znalazł trudności w wygotowaniu rycin, nie zajmował się niemi i tylko jedną litografią zbiór ten ozdobił, za to zaś usilnie starał się o pomnożenie i dobór textu. W *Birucie* znajdujemy poezye niektórych już od lat kilkunastu odznaczających się pisarzy i proby wielu nowych wierszopisów. — Wszystkie zaleca gładkość, a niektóre prawdziwy duch poetyczny, mianowicie zaś poezye i wyjątki z tragedyi, Józefa Korzeniewskiego. Ważna jest rozprawa p: t: *Litwa pod względem cywilizacyi w trzech pierwszych jéj chrześcijaństwa wiekach.*—rozprawa Trynkowskiego p: t: *Geniusz wieku*—Obraz historyczny: *Pożar zamku wileńskiego*, przez P. Kraszewskiego, jest bardzo żywo i z pięknym talentem skreślony. Powiastka *Samowar* przez Ignacego Chodzkę, odznacza się tą prawdą i trafnością kolorytu, oraz przyjemnością stylu, którą już czytelnicy nasi znaleźli z mocnem upodobaniem, *w Domku Mojego Dziadka*, umieszczonym w Numerze 4tym Muzeum domowego z r. b. Te dwa artykuły dały nam poznać w Panu Chodźce Ignacym, znamienitego malarza obyczajów, wad i śmieszności swego kraju: niecierpliwie przeto oczekujemy liczniejszych płodów jego pracy. Powiastkę *Samowar*, umieszczamy w całości.

SAMOWAR,

(powiastka)

„Twoja fortunka choćby i chatka,
Będzie się dobrze wydawać,
Jeżli sta złotych będzie intratka
A z nich choć dziesięć zostawać: * *
Lecz gdy ci w głowie wielmożność zaświeci,
Zechcesz żyć hucznie, hucznie przyjąć gościa;
Jak jegomościem zostałeś z waszeci,
Tak znów waszecią będziesz z jegomościa.
* * *

§.

Któż w Litwie nie zna starego Muchnina? Któryż dom nie ma go przynajmniéj raz na rok gościem? od kogoż odlegli od miast mieszkańcy dostają wybornéj, lub miernéj w miarę jak chcą płacić, herbaty? któż dostarczy ciepłego przed zimą tułuba? smacznego na post kawioru? słodkich dla paniczów i panienek konfitur? na które swoje całoroczne małe, gromadzą dochody. Zna on już wszędzie po imieniu każdego, każdego dawnym mianuje przyjacielem, każdemu ma cóś do przypomnienia, dla wielu przywozi ukłony i nowiny o zdrowiu od daleko mieszkających krewnych lub przyjaciół: słowem on tu w Litwie, ma pewnie więcéj znajomych i dłań uprzejmych, niżeli w swéj rodzinnéj stronie. — Ten tedy Muchin w mroźny styczniowy poranek w wigilią Trzech Króli zajechał przed dom folwarczny rozległego zabudowania, którego dziedzic płacąc nieuważnéj młodości długi, zbankrutował nakoniec i opuściwszy staroświeckie pradziadów swych gniazdo, popędził się w świat za fortuną która mu z własnego domu uciekła.

Muchin wie czego komu potrzeba; po serdecznem więc przywitaniu się z gospodarzem, gdy mu towary przynieść rozkazano; dobywał tułuby z doskonałych macic dla Jegomości, błamy kotów i okopconych zajęcy dla Imości, a płócienka, rypsy i najlepsze perkaliki dla panienek; ale na ten raz Muchin się oszukał: bo pan Baltazar Sularski, który w ciągu roku przedzielającego tu bytność kupca, z ekonoma, został właścicielem części majątku rozdzielonego między dłużników rozrzutnego dziedzica, któremu własne jego dochody pożyczając jak swoje, naliczył sobie należność i za nią usadowił się wieczném a wilczém prawem na folwarku gdzie wprzód ekonomską zajmował gospodę. W przeszłym jeszcze roku Muchin nic już w pałacu a wiele na folwarku utargowawszy, poznał na co się zanosi, przepowiedział zły koniec dziedzicowi, i dla tego prosto już teraz przed folwark zajechał. Wniosłszy do izby towary, postrzegł w niéj niejakie odmiany, była na nowo wybieloną, na miejscu zedla stała kanapa, którą on niegdyś w pokojach dziedzica widział; przed nią stolik czeczotkowy, kilka krzeseł około stolika; na ścianach na miejscu pobożnych obrazów, cztery pory roku, Wenus a la Titien i historya syna marnotrawnego. Ha! pomyślił stary lis, coś tu inszego pokazać przyjdzie; jakoż z oburzeniem odrzuciła Imość i panienki wszystko co przyniosł, a Jegomość objaśnił zadumienie Muchina, wykrzykując w pełności ukotentowanéj miłości własnéj: »Ja tu już pan! panie Muchin, ja pan! diabli wzięli mego pana, Podkomorzyca: a teraz ja tu pan!—*No pozdrawlajem! pozdrawlajem* rzekł Muchin; napijemy się wódeczki za zdrowie

pańskie! to dobrze! to wyśmienicie! *ja etomu oczen rad*! I imość kochanińka! i panienki *tepier baryszmie! eto charaszo, eto oczeń charaszo!* Tym czasem mruknął kilka słów niezrozumianych towarzyszowi, a gdy ten zabierał wszystkie towary i wynosił, Muchin wyliczał długi regestr innych, przy każdym dodając zalety i nazwiska kupujących; gdy wspomniał czaj i samowary, panna Salomea starsza córka Ichmość gospodarzy, podskoczyła raźnie jakby starego Muchina pocałować chciała! — Ach! samowary, trzeba koniecznie kupić samowary. Papuniu! samowary, trzeba koniecznie kupić Papuniu samowar i czaju: wszak to wszędzie piją herbatę z rana i wieczorem nawet, a my tylko jedni lipowym kwiatem i dziéwanną dusić się musiemy: papa dalibóg musisz kupić samowar: czy pan Bóg papie nie dał, chwała Bogu teraz i majątku? czy nie ma za co? — Ej! co tam bredzisz ofuknął się Jegomość: idź precz z tym swoim samowarem; ot napijemy się z poczciwym Muchinem żytnéj herbaty, to lepiéj będzie; do Wać pana panie Muchin — Salomeja widząc, że idąc tak otwartą drogą nie trafi do celu, pociągnęła nieznacznie mamę za suknią, weszła do alkierza, a za nią i mama: tam z płaczem przełożyła mamuni, że nigdy za mąż nie pójdzie kiedy tak, rzekła, żyć będziemy jak dotąd, bo nikt nie bywa u nas, więc któż nas obaczy? a choćby kto i przyjechał, czy my po ludzku przyjmiemy: ot pan assessor może i do prawdy ma się do mnie, bo nie raz powtarza że mnie kocha; ale cóż? kiedy jak tu przyjedzie, to Jegomość wita go pierwszém słowem: »Ja podatki opłaciłem« — traktuje potém prostą wódką, a dla koni nie daje obroku: i czy mało ktoby się zdarzył... — Nu dak co? przerwała mama chcąca dopomodz losowi córeczki, czegoż trzeba? — Trzeba mamo kupić samowar i herbaty, mieć czém przyjąć i potraktować gości! Czy mama nie potrafi jak i drugie gospodynie zasiąść pięknie za stolikiem, nalewać herbatę i prowadzić rozmowę? czy mama nie widziała ludzi i świata?... — Da to prawda, czy mało gdzie ja była, i czy mało co widziała! Salomeja tym sposobem wzruszywszy w sercu mamy i miłość rodzicielską i miłość własną, była pewną swojego — Niechajże mama idzie, dodała całując jéj rękę i niech Jegomość kupi Samowar. — Da kupi, pewnie kupi, rzekła mama i obie wyszły z alkierza. — Pan Sularski tym czasem potrójną odbywszy z flaszki kolejkę z Muchinem, dobił targu o tułub, i wnet się weń ustroiwszy, przechadzał się rozkosznie po izbie, podejmując go u pasa obiema rękami w górę, bo był za długi na niską a krępą figurę Jegomości: — A co duszko? widzisz w jakim ja sobie tułubie? Powlekę go suknem i dam kołnierz ze staréj *miedźwiedni* nieboszczyka podkomorzego, którą na licytacyi w czasie exdywizyi kupiłem, ot będę miał i *miedźwiedzie* — Da mniejsza o twoje miedźwiedzie! ot waszeć Jegomość (bo pani Sularska dla któréj przez lat 30 mężulo był *waszecią*, trudno do Jegomościa przywyknąć mogła, i najczęściéj etykietalne i nałogowe zwanie męża razem łączyła) ot waszeć jegomość kup lepiéj *samowar* i *herbaty*! — Czy znowu z samowarem? na co tobie duszko on potrzebny? Ja piję zrana wódkę i ty czasami mnie pomagasz; no i kawę zgotujesz kiedy jaki Mości Pan przywlecze się; córki niech piją mleko, niechaj sobie i dziewannę z miodem... — Ot waszeć bałamucisz przerwała Imość i po wszystkiém: chcesz gdyby ciebie ludzie znali, chcesz córki za mąż powydawać, a nie chcesz żyć jak ludzie! — Papa wszak mówił onegdaj, odezwała się pokornie Salomeja, że chcesz zostać Sędzią Granicznym — Ale sędzia! a czy ten samowar zrobi mię sędzią? Poparł całą swą wymową żądanie Imości i Panienki Muchin; jeszcze razy ze trzy Imość traktowała go wódeczką, a za każdym razem Muchin podwyższał cenę Samowaru: obawiając się aby udobruchawszy się nie zapomniał się i nie stracił na przedłużonym targu: nakoniec jegomość *volens nolens* uległ rozkazom żony, prośbom córki, i radom Muchina; który odebrawszy podwójną wartosć samowaru zaniósł go z poważną miną na stolik w kącie jakby umyślnie na przyjęcie dostojnego a błyszczącego gościa przygotowany: funt herbaty dopełnił reszty kupli, i pan Sularski ostatnią z Muchinem z flaszy wychyliwszy kroplę; po kilkokrotném zapewnieniu kupca że nigdy nie minie tak *czesnych* gospodarzy, rozstali się wzajemnie z siebie kontenci.

Nie mogła się nacieszyć panna Salomea z nowego naczynia! ustawiała go rozmaicie na stoliku, przypatrywała mu się z siostrami i braciszkiem Mateuszkiem, i zdalcka i zbliska; rozbierała go na części, exenterowała wewnątrz, ale zawsze w duchu przyznać musiała, że ani sama, ani nikt w domu nie wiedział jak postąpić aby przygotować herbatę na samowarze: nagle myśl ją wielka objęła! Jutro imieniny papy!!! jutro... i znowu skoczyła pędem i znowu pociągnęła mamę za suknię do alkierza.

Wiesz co mamo? — Nu dak co? — Jutro imieniny Jegomościa, Trzech Króli; Kasper, Melchior i Baltazar! — Aha! nu dak co? — Zrobim mamo siurpryzę! — Co to jest siurpryzę? czy to pieczono czy gotowano? może wiele trzeba jajek i masła? a tu niema: a może jeszcze co z kramów? — Ale nie

mamo! nie!—Waszeć Salomciu nie potrzebnie u pani sędzinéj nauczyłaś się pańskich fumów! my szlachta, na co nam to potrzébno! tak. Daj pokoj tym syr... sur-.. jak tam gadasz!—Ale mamo to nie potrawa, to co innego!—Nu dak coż?—To znaczy, że animo wiedzy Jegomościnéj zaprosiemy na jutro gości, i wydamy herbatę z samowara, i obejdziemy imieniny papy; siurpryza znaczy to, że jegomość tego się nie spodziewa, i wiedzieć o tym niepowinien:—Nu dak co? dak trzeba powiedzieć Jegomości? Zniecierpliwiona córunia taką niewyrozumiałością mamy:—Ale co imości dzieje się rzekła i zaczęła obszerniej tłomaczyć swoje plany, a że na końcu matka nie powtórzyła swojego nu dak co? więc milczenie wziąwszy za zgodę i wyrozumienie, wyszła z alkierza panna Salomea i do dalszych zabrała się na jutrzejszą fetę przysposobień.

(Dokończenie nastąpi).

BERNARDIN DE ST. PIERRE.

Gdy w połowie ośmnastego wieku, materyalizm zatruł umysły i serca, podkopał podstawy społeczności i religii, a jego zwolennicy i apostołowie tryumfowali imieniem filozofów ozdobieni, objawiła się reakcya przeciw ich zgubnemu działaniu, słaba z razu i nieśmiała, ale w krótce po tém potężna i zwycięzka. Pierwszym autorem, w którego pismach okazał się znowu zbawczy duch moralności i wiary, był Bernardin de Saint-Pierre; życie jego równie jest zajmujące jak jego pisma. — Skreślonem ono było w Wizerunkach Naukowych wileńskich.

Zbyt małe upowszechnienie w kraju naszym, tego użytecznego i zajmującego czasopisu, skłania nas i upoważnia do umieszczenia w wyjątkach, zarysu życia i pism Bernardina de Saint-Pierre, jako rzeczy, nowszéj dla nas i mniéj znanéj niestety, aniżeli przekłady z francuzkich i niemieckich magazynów malowniczych, w liczbie kilkadziesięciu, a może i parę set exemplarzy do Warszawy sprowadzanych i czytanych.

Miejscem urodzenia Bernardina de Saint-Pierre było miasto *Hawr*. W dziecinnym zaraz wieku odznaczył się pilnem przykładaniem się do nauk, tudzież skłonnością do dumania: przytrafiło się jemu, podobnie jak wszystkim, wiele drobnych przygód, wiele niedorzeczności pierwiastkowego wieku, które w życiu ludzi sławnych, w anegdoty się zamieniają. Rysem znamionującym rodzący się jego charakter, było żywe do wsi, oraz do samotności upodobanie. Zdarzyło mu się znaleźć, w domu rodzinnym, *Żywoty Ojców Pustelników*: przeczytał je z całą ciekawością młodéj i żywéj wyobraźni. Te cudowne opowiadania, te ucieczki do Tebaidy, napełniły go entuzyazmem ku życiu samotnemu i zaufaniem w pomocy Opatrzności, tak dalece, iż w dziewiątym roku życia, zostać sobie pustelnikiem ułożył. Sprzętem jego jedynym pustelniczym był mały koszyk, w którym składano żywność przeznaczoną mu do szkoły. Z tém udaje on się do lasu o ćwierć mili od Hawru i tam dzień cały przepędza. Niańka udała się na jego szukanie i przyprowadziła do domu wieczorem: owoż koniec najpierwszéj przygody jego życia.

Pierwiastkowe te skłonności, które nic szczególniejszego w dziecięciu nie okazywały, przyprowadziły później za sobą żywe nader upodobanie w podróżach. Wrażenie to podsycane czytaniem podróży, jakich tylko mógł dopaśdź, było jeszcze podniecane pobytem w Hawrze, tudzież widokiem tamtejszego pełnego życia portu. Zaiste skłonności młodego Bernardina de Saint-Pierre, miały w sobie coś rzetelnie stanowczego, ponieważ we dwunastym roku rodzice jego zgodzili się, ażeby się udał do Martyniki, z jednym ze swoich stryjów, który był kapitanem. Znudziło go przebywanie na okręcie; nie nazbyt zajął się widokiem Martyniki, wrócił się zatém kończyć swoje nauki w kollegium jezuickiém w *Caen*. Z Jezuitów byli biegli i dowcipni nauczyciele; z upodobaniem uprzyjemniali oni naukę, ale to zawsze na korzyść swojego zakonu. Przetoż w godzinach wytchnieniu a nawet niekiedy naukom poświęconych, czytali swoim uczniom budujące listy (*Lettres édifiantes)*, dzieło, które tak lubił Montesquieu, dzieło pełne opisań ciekawych Indyj, Chin, tudzież całego wschodu, a razem anegdot cudotwornych, na chwałę Jezuitów.

Imaginacya naszego poety porwana została z nową żywością przez te czytania; postanowił przeto zostać missyonarzem, nie tyle dla nawracania niewiernych, jak dla widzenia dalekich i nowych krajów, tudzież dla przejęcia się widokiem tego wspaniałego wschodu, który w opisaniach Jezuitów tak urzekał. Wiadomo, że Fenelon także miał tęż samą żądzę udania się na wschód, do Persyi, Grecyi, dla pozyskania dusz Bogu, oraz zaspokojenia swojéj imaginacyi oczarowanéj pamiątkami starożytności greckich. Młody de Saint-Pierre, równie jak Fenelon, ustępując prośbom rodziny, przedsięwzięcia tego zaniechał; ale upodobania swojego w wędrownictwie nie stracił.

Obdarzony łatwém nader pojęciem, prowadził dalej swoje nauki, doskonaląc się w matematyce, w któréj szybkie postępy

uczynił. To usposobienie naukowe, stan mu wkrótce uczciwy zjednało. Mianowany inżynierem dróg i mostów, udał się do Niemiec, gdzie Francuzi wtenczas prowadzili wojnę, bez pożytku wprawdzie i sławy dla swojego oręża. Znajdował się przy oblężeniu Düsseldorfu, i potykał się tam z wielkiém męztwem. Powrócił potém raniony i złéj chęci. Powiadają, że charakter jego był opryskliwy, że się waśnił ustawnie ze swoimi naczelnikami i z równymi sobie. Zaprzeczać zaiste nie można, żeby imaginacya żywa i talent wyższy, nie miały w sobie coś wyniosłego i niełatwo giętkiego, co umysły mierne lub skłonne do prześladowania, nazywają pychą. Powróciwszy do Francyi, domagał się o to, na co obojętność do zniechęcenia wystarcza. Podawał potém plany, projekta, rozprawy; słowem, umysł jego tysiącem projektów reformy i nowości był zajęty. Coś stanowczo gruntownego i razem romansowego w nim się mięszało: miał on systemata ulepszenia praktycznego w sztuce wojennéj; a przy tém nadzieję zaprowadzenia nowéj kolonii, doskonale szczęśliwéj, wolnéj od nieszczęść i występków wielkich państw naszych.

Pełen tych różnych projektów, bez protektora, bez żadnego wsparcia, przy kilku jeszcze błahych podrzędnych zawiściach, de Saint-Pierre z talentami tudzież ambicyą romansową, a tém samém niewinną, ujrzał się odepchniętym od wszystkiego. Popadł w ubóztwo i zraził się niezmiernie. Wtenczas przyszło mu na myśl opuścić Paryż i swoje nędzne pomieszkanie, przedadź swoje książki matematyczne, które prawie całe jego mienie składały, pożyczyć kilka luidorów u przyjaciół i udadź się w głąb Rossyi, dla zaprowadzenia kolonii nad brzegami jeziora Aralu. Zawsze to cóś kosztuje, mieć żywą imaginacyą; przyczynia się to do jakiegoś dziwacznego postępowania w życiu i w zamiarach, które je napełniają. Wyjeżdża, przybywa do Hollandyi; a tam zamiast zostania założycielem kolonii i twórcą nowego państwa, tymczasem dziennikarzem zostaje. Pewny Francuz, człowiek utalentowany, który wydawał gazetę w Amsterdamie, przybrał go sobie za wspólnika: korzystał z jego talenu, obchodził się względem niego z szacunkiem, wystawił mu widoki korzystne; ale nie zdołał, przez czas długi przywiązać do miejsca, niestatecznego i młodego wędrownika. Przepędziwszy pięć lub sześć miesięcy na pisaniu do gazety amsterdamskiéj, de Saint Pierre wspomniał sobie na swoję kolonią; udaje się do Lubeki, z Lubeki do Kronsztadu, a ztamtąd, pewnego poranku, do Petersburga przybywa.

Rozstawszy się prędko ze swoimi towarzyszami podróży, z którymi w jednym jachcie płynął, zagubił się w tém niezmierném mieście, w którém nikogo nie znał. Wkrótce zaczęło mu schodzić na pieniądzach, przewodniku powszechnym u narodów cywilizowanych. Błąkał się po granitowych wybrzeżach ciągnących się po nad Newą, bez przyjaiół, bez środków utrzymania się, sześć już ledwie franków mając na życie, a zawsze jednak zajęty nadzieją założenia swojéj kolonii, w jakiejsiś żyznéj dzielnicy stepów Rossyjskich.

Przypadek zbliżył go do marszałka Munich, który interesując się jego losem, wyprawił go do Moskwy. Tam de Saint-Pierre znalazł opiekuna w P. Vilbois wielkim mistrzu artyleryi; przedstawiony był Cesarzowéj Katarzynie W. poruczony Orłowowi, który, jak część większa magnatów rossyjskich, lubił nauki i sztuki, hojnego na nie wsparcia nie oszczędzając. Gdyby de Saint-Pierre miał umysł praktyczny i przebiegły, albo przynajmniéj baczenie na swój interes osobisty lub ambicyą, pod przemożną protekcyą tego pana, byłby się, jak wielu innych, zbogacił i przyszedł do zaszczytów. Lecz go zawsze myśl założenia nad brzegami jeziora Aralu kolonii, nadania jéj praw mądrych i dobrych obyczajów, zaprzątała. Rozwinął więc przed Orłowem wszystkie swoje projekta. Magnat ten uznał je za romansowe marzenia, jakiemi były w istocie, a Pana de Saint-Pierre wysłał do Finlandyi, w stopniu kapitana artyleryi, ażeby rozpoznał i oznaczył pozycye wojenne.

Tak więc, ten umysł pełen złudzeń dobroczynnych, ten nowoczesny Platon, ten roiciel nowej Atlantydy, udaje się do lasów finlandzkich, wybierać i oznaczać pozycye, rachować opór, jaki te puszcze gęste mogą stawić ogniowi działowemu. Przepędził on tam wiele miesięcy, zaprzątniony całkowicie kombinacyami wojennemi, w pośrodku tych brzóz i sosen niezmiernych, których tak malownicze opisy wystawił.

Po ukończeniu téj roboty powrócił do Moskwy; ale już nie znalazł swoich opiekunów przy znaczeniu u dworu; zamiar przeto jego, zaprowadzenia kolonii, okazał się bardziéj nie podobnym, niż kiedykolwiek. Rzuca więc służbę i nadzieje pomyślniejszego w niéj losu; udaje się do Warszawy, gdzie oddawszy się zabawom i uroczéj przyjemności życia, zapomniał o wszystkiém. Ulegając dziwacznym poruszeniom swojego drażliwego humoru, oddalił się do Wiednia; powrócił potém znowu do Warszawy, ale już na próżno; udał się zatém do Drezna; żył tam, czas niejaki, wśród

uciech i rozkoszy. Wybiegł potém do Prus, gdzie mu wszystko do smaku nie przypadło; nie chciał więc tam długo przemieszkiwać. Owoż dziwactwa i rzuty dowcipu wspaniałego, szlachetnego, niepodległego, ale razem z niespokojnością i niestatkiem połączonego, które mu w przeciągu sześcioletnich wędrówek, losu swojego ustalić nie dopuściły. Chociaż zaiste przeciąg ten lat sześciu zmarnował de Saint-Pierre na bezowocnych wędrówkach, chociaż nie miał ani pieniędzy, ani przyjaciół, ani protektorów, ani zasług, któreby mu prawo do czegoś nadawały, z Pruss atoli do Francyi powrócił. Cóż tedy w biegu tych sześciu lat zrobił? przez który zdaje się bydź płochym, próżniakiem, a nawet rozpustnikiem?—Widział, czuł i cierpiał wiele: nagromadził wzruszenia i kolory; różnym się wcale od innych ludzi uczynił: w mniemaniu pospolitych sędziów był on awanturnikiem; ależ za to przeszedł przez szkołę, w któréj się rozwijają malarze, poeci i ludzie z wyższemi talentami. Tyle więc zyskał na swoich długich wędrówkach. Wszelakoż umierał prawie z głodu.

Zaczął więc pracować, ale nie dla chwały; nie wiedział nawet o tém że dla niéj był stworzony: pracował dla bióra ministerskiego; układał rozmaite projekta: projekt udania się do Jndyi nową drogą, projekt kolonizowania wyspy Madagaskaru i t. d. Nakoniec pisał w różnych przedmiotach administracyjnych i prawodawczych traktaty, które do rozmaitych biór posyłał. Przyjaźń P. Henin, do którego pisywał listy pełne zajęcia i szlachetności, zjednała mu skromną łaskę udania się na Wyspę Francuzką (*l'Ile-de France*), w charakterze inżeniera, z tajemném poruczeniém udania się, jeśliby można, do Madagaskaru, i do założenia tam fundamentów swojéj kolonii.

Tu życie Pana de Saint-Pierre mniéj się już zaczyna w cieniu ukrywać: powiadają, że to na jego krzywdę. Lecz nasze mniemanie jest różne; nie lubimy uwłaczać sławie i charakterowi człowieka, niepospolitym obdarzonego talentem. Pojmujemy i umiemy sobie wytłumaczyć żywość niecierpliwą w człowieku, który miał w sobie wyższość rzetelną, a widział się zawsze wystawionym na sztych fortuny, tudzież głupich ulubieńców, których ona sobie najczęściéj przysposabia. Łatwo się nader obrażał; ale dla czegożby się miał wyrzekać szlachetnéj pychy? Wystawiony był na zazdrość, oskarżenia, niedowierzania. To się zdaje rzeczą bardzo naturalną, albowiem nie zajmował swojego miejsca.

Pobyt jego na wyspie Francuzkiéj, zszedł na sporach z inżynierem naczelnym, z kommisarzem marynarki. On pisał przeciwko nim, oni przeciwko niemu. Wszystko to bardzo mało nas obchodzi.

Cóżkolwiek bądź, wtenczas to po raz pierwszy talent pana Bernardin de Saint-Pierre, zbogacony już tylą rozmaitych wrażeń, dał się poznać publiczności przez dzieło. Powrócił on ubogi, jak zawsze, z Wyspy Francuzkiéj; ale przywiózł z sobą książkę, natchniętą widokami miejscowości, napełnioną interesującemi uwagami nad klimatem, płodami wyspy i wymownemi myślami nad życiem kolonijalném, tudzież losem niewolników. W wieku około lat czterdziestu, nakoniec zbliżył się do przeznaczenia, ku jakiemu natura go utworzyła, jakiego szukał w pośród zmiennych życia czynnego kolei: został wreście malarzem przyrodzenia i pisarzem moralistą. W téj epoce, książka była wielkim sposobem odznaczenia i wziętości. De Saint-Pierre z uprzejmością przyjęty przez d'Alembert'a, wprowadzony został do towarzystwa filozofów.

Nakoniec, z pośrodka tego nieszczęśliwego życia, z tego ciągłego prawie ubóstwa, z téj ledwo niezupełnéj samotności, z tego rzadkiego, lecz pełnego natchnień porozumiewania się z Russem, wyszedł pisarz oryginalny, i dzieło Badań Przyrodzenia (*Etudes de la Nature*).

Ach! jeżeli w życiu człowieka, który wiele ucierpiał, z którym się źle ludzie obeszli, a który ma wewnętrzne swojego niepoznanego genjuszu uczucie, jeżeli mówię w życiu jego jest dzień pogodny, który mu za wszystkie jego trudy i cierpienia odpłaca, który za nie odpłaca z lichwą, jest to, zaiste, ta chwila, kiedy się talent odkrywa, kiedy się przez odgłos publiczny, o chwale swojéj zapewnia! Przypomnijmy sobie opowiadanie Russa, kiedy opisuje jak był obecnym przy wystawieniu Wieszczka Wiejskiego (*Devin de Village*) pośród okazałego przepychu w *Fontenaibleau*, przy całéj świetności dworu, on nieznany, ubogi, w swojéj zaniedbanéj odzieży, słyszał znagła podziwienie, krążące około siebie i tysiąc głosów powtarzających: »Jak to jest bozko! jak te wszystkie tony trafiają prosto do serca!« Dla tego Russo, w duszy swojéj poetyckiéj, największą, jak można, czuł rozkosz.

Owoż! tego upadającego wzruszenia, sprawiedliwéj pychy, doświadczył Bernardin de Sains-Pierre, aż dotychczas tak nieszczęśliwy, kiedy w pośrodku téj społeczności, która się żywiła systematami ekonomii społecznéj i ulotnemi wierszykami, podniósł się głos entuzyazmu, witający pisarza nowego, który takie czarodziejstwo na widok przyrodzenia rzucił.

(*Dokończenie nastąpi*).



O. FRANCISZEK LEXYCKI.

O. FRANCISZEK LEXYCKI, BERNARDYN, MALARZ. WIEKU XVII.

Zbyt mało mieliśmy artystów rodaków w dawnych czasach. Przodkowie nasi raczéj baczność zwracali na odpór hord muzułmańskich, do kraju naszego wciskających się, niż na kształcenie się w pięknych kunsztach, wykonywanie ich u siebie zostawując zwykle rękom obcych przychodniów.

Z liczby niewielkiéj dawnych naszych malarzów, jest O. Franciszek Lexycki, bernardyn którego wyobrażenie zdięte jest z portretu jego niegdyś znajdującego się w klasztorze krakowskim Bernardynów. Miał on bydź rodem z Krakowa, co do prawdy jest podobném, ile, że rodzina tego nazwiska jeszcze się tam znajduje. Według podania, sztuki malarskiéj uczył się we Włoszech, zkąd po wykształceniu się, dobrym malarzem do Krakowa powrócił.

Początkowo, jak wieść niesie, żył w stanie małżeńskim, lecz potém rozłączył się z żoną i wstąpił do zakonu OO. Bernardynów w Krakowie, a żona jego również sukienkę tejże reguły przejęła w klasztorze krak: zakonnic, przy kościele S. Józefa, który fundował Jakób Zadzik, Biskup krak: między rokiem 1635—1612.

Zakonnikiem będąc, malował Lexycki na polecenie Jana Zebrzydowskiego miecz-

nika Kr., (syna Mikołaja starosty Krak: pamiętnego rokoszem stężyckim) który umarł roku 1641, cztery sławne obrazy do kaplicy ukrzyżowania na Kalwaryi, zwanéj od imienia fundatora Zebrzydowicką, od Krakowa o mil 4 leżącéj, dotąd przez znawców z uwielbieniem oglądane. Również słynnemi są jego wielkie obrazy na płótnie, znajdujące się w kościele S. Bernarda w Krakowie, dwa w ołtarzach bocznych, wystawujące ukrzyżowanie i zdjęcie z krzyża, a trzeci w wielkim ołtarzu wyobrażający wieczerzą Pańską. Według podań, jeszcze i inne kościoły krak: ozdabiały się płodami pendzla tego artysty, jak n. p. kościół xięży Augustyanów, gdzie w wielkim ołtarzu, w części górnéj, miał bydź obraz jego ręki, także obraz do Chorągwi bractwa męki Pańskiej przy kościele ś. Franciszka.

Z Krakowa przeniół się Lexycki do Grodna, gdzie zakończył życie roku 1667. W biegu czasów zapomnianém zostało imię tego znakomitego malarza, pomimo, że w klasztorze OO. Bernardynów utrzymywało się podanie, że jeden z ojców zgromadzenia ich te piękne obrazy malował; (Sołtykowicz o Akad. Krak. p. 367) w późniejszych dopiero badaniach udało się, imię jego od zupełnego zatracenia uratować.

NORYMBERGA.

Wiele miast w Niemczech przywodzi na myśl wspomnienia średnich wieków, uroczystości cesarskich, zborów, sejmów, dumną władzę i surową wspaniałość feodalnych baronów. Niechętnie przeto, wyobrażamy je sobie, zaludnione przez tegoczesnych mieszkańców i będące miejscem zwyczajnych scen obecnego życia. Do liczby takich miast należy Norymberga, miasto Frankonii, leżące nad brzegami rzeki Peguitz, pośród piaszczystéj płaszczyzny, którą użyźniła uprawa. Jeźli samo nazwisko tego miasta wywołuje tłum pomieszanych obrazów z wieków średnich; na widok jego murów, przybierają one kształt i rzeczywistość. Uchodząc przed nawałą barbarzyńców, którzy pod przewodnictwem Attyli przezwanego biczem bożym zaleli Europę w Vtym wieku, kilka rodzin Norycyanów, schroniło się, jak niesie podanie, w głąb Hercyńskich lasów, na wzgórze gdzie teraz stoi zamek Norymbergi. Ich chaty stały się początkiem miasta. Wielkie klęski, nagłe przemiany panów, koleje pomyślności i nędzy, rozlewają rozmaitość i zajęcie na historyą Norymbergi. Już było stołecznem miastem gdy za Karola Wgo przyjęło wiarę chrześcijańską. Wcielone do cesarstwa przez cesarza Ludwika IIIgo, na początku Xgo wieku zostawało w kolejném posiadaniu cesarzów niemieckich, xiążąt Szwabii, Burgrabiów Norymbergi, xiążąt Frankonii i założycieli domu Brandeburgskiego. Był czas kiedy mieszkańcy okupili prawo rządzenia się sami sobą; spustoszone przez jednych, upiększone i powiększone przez drugich, miasto Norymberga nie przestawało wzrastać i rozmaite dowody świadczą o jego ważności i potędze. Pierwszy sejm państwa odbył się w tém mieście w 936, zwołany przez cesarza Ottona. Na pamiątkę tego zdarzenia, każden nowy cesarz musiał tamże odbywać pierwszy sejm po wstąpieniu na tron cesarski. Odbyło się w niem także wiele zgromadzeń religijnych; między r. 1438 a 1487. Blisko przez wiek cały opierało się elektorom Brandeburskim; a gdy król szwedzki Gustaw Adolf przybył z wojskiem do Niemiec, pod czas wojny trzydziestoletniéj, w 1631, Norymberga była jednym z głównych punktów wojennych i w jéj murach zebrał się w 1650 zjazd, któren nakazał wykonanie Munsterskiego traktatu. Była to epoka największéj pomyślności dla tego miasta; od tego czasu zwolna zaczęło upadać i ludność z 90,000 zeszła na 40,000. W skutku wielkich przemian zaszłych w Europie po wojnach Napoleona, dostało się pod panowanie Bawaryi i dziś objęte jest w cyrkule Rezat.

Może zbyt poważne i oschłe dzieje Norymbergi, gdy je w tak krótkim przytaczamy zarysie, mocne wzbudzają zajęcie, jeźli je kto wyczytywać będzie z starożytnych gmachów miasta, z jego zwalisk, obrzędów i zwyczajów. Zwiedzać Norymbergę jest toż samo co wyczytywać kroniki średnich wieków. Stare mury opatrzone staremi rowami i zbrojne wieże, opasują miasto. Gotycki zamek *Reichsfeste* zastósowany do nierówności wzgórza na którem go zbudowano, nosi jeszcze znamiona dumnéj warowni, w któréj przebywali Cesarze niemieccy. Znajduje się w nim przepyszny zbiór obrazów. W ratuszu, zbudowanym roku 1619, jednym z najpiękniejszych w całych Niemczech, zachowują rękawiczki, pas rycerski, dalmatykę i koronę Karola Wgo. Kościoły wzbudzają podziwienie piękną architekturą gotycką i kolorowemi szkłami, których malowania, mianowicie w kościele Stéj Klary, od sześciu wieków trwają nie uszkodzone. Domy prywatnych osób stoją przy ulicach nieregularnych lecz szerokich, zbudowane są z kamieni ciosowych delikatnie wyrobionych i pięknemi malowidłami ozdobione. Nareście, wewnętrzny rozkład domów, sprzęty, obyczaje i zwy-

czaje mieszkańców, zachowały dotąd cechę wieków średnich.—Nie możemy także pominąć milczeniem. studni w Norymberdze, nad którą wznosi się wieżyczka gotycka, arcy-dzieło tego rodzaju architektury. Z pomiędzy kościołów, najpiękniejsze są, Sgo Wawrzyńca i Sgo Sebalda. Nim jeszcze mieszkańcy Norymbergi przyjęli reformowane wyznanie, dzień Sgo Sebalda był uroczystym świętym dla całego miasta —

Zachowanie gotyckiego piętna w Norymbardze, tém więcéj zasługuje na uwagę, że przemysł i handel, za którego wpływem, ludność postępuje z duchem wieku, kwitnął i kwitnie dotąd w tém mieście. Wprzódy nim handel ze wschodem wziął inny kierunek przez odkrycie drogi około przylądka Dobréj Nadziei, Norymberga była jednem z najhandlowniejszych miast w Europie i składem towarów wschodnich, które z Włoch prowadzono do północnéj Europy. I teraz jeszcze liczy przeszło 500 rękodzielni, a handel wyrobami miejscowemi ciągle utrzymuje się w kwitnącym stanie. We wszystkich miastach Europy znajdujące się handle *Norymberskich towarów*, są tego dowodem. Bardzo umiarkowana cena wyrobów norymberskich, jest skutkiem oszczędnego życia fabrykantów i wieśniaków turyńskiego lasu, których dzieci trudnią się w zimowéj porze wyrabianiem drewnianych towarów i cacek dziecinnych. Zwróćmy uwagę na użyteczne wynalazki poczynione w tém mieście, a przyznamy że Norymberga ma prawo do wdzięczności rodu ludzkiego. Piotr Hell wynalazł tam zegarki kieszonkowe przy końcu XVgo wieku, Trandorf pedały, Rudolf sposób robienia drutów, Jan Lobsinger wiatrówki, nieznajomy zamki do broni palnéj, w miejsce lontów używanych z początku; Krysztof Denner klarynety, Erazm Ebbner mieszaninę znaną pod nazwiskiem mosiądzu, Marcin Bohann globus ziemski, a Jan Muschels wydoskonalił trąby. Same wymienienie tych rozmaitych wynalazków, okazuje, że wszystkie gałęzie umiejętności, sztuk i przemysłu, kwitnęły w Norymberdze. I dziś jeszcze to miasto zaszczyca się usiłowaniami o rozszerzenie oświaty. Jego naukowe zakłady i szkoły słyną w całych Niemczech a gimnazyum jest jednem z najcelniejszych na uczonéj ziemi Germanów.

SAMOWAR.

POWIASTKA

(*Dokończenie*)

§§.

W spustoszałym gmachu pozostałym dziedzicowi od rozdzielonych obszernych wiosek, jakby na pomnik grobowy dostatniéj jego przedtém fortuny, mieszkał kucharz jeszcze dziadowski, duszą i sercem przywiązany do familii panów swoich, których trzem pokoleniom wiernie służył; płacząc on codzień nad zniszczeniem ostatniego swego pana, którego na ręku wypiastował, pilnował ścian pałacu, i zazierał niekiedy do kuchni, rozmyślając sam o przeszłości z uczuciem takiém, z jakiém stary wojownik pogląda na pola które niegdyś były placem jego tryumfów: nienawidził on Sularskich, bo znał że oni przyśpieszyli ruinę panicza, i podzielał tę nienawiść ze współmieszkańcem swoim Józefem, niegdyś lokajem, kamerdynerem i faworytem panicza: ten włócząc się z panem po miastach, dworach i miasteczkach, przejął obyczaje i manierę sługom wielkich panów właściwą, to jest grubijaństwo i zarozumiałość dla niższych, a usłużność i filuteryę dla wyższych stanów: nie cierpiał także Sularskich, bo gdy dawniéj odnosząc im często rozkazy pańskie połajał Ekonoma, zniósł on to cierpliwie i jeszcze imość nieraz pana Józefa na śmietanę zaprosiła; a teraz Sularski kwitując za swoje, nie raz eleganta Józefa chamem nazwać odważył się i stu bizunami grożąc, dodawał. — »Odpowiem panu twojemu i zapłacę mu, bo taki on hołysz jak i ty« Oba zaś słudzy, jak Izraelici Messyasza, tak czekali powrotu swojego pana: wraz po exdywizyi pojechał on do bogatego a bezdzietnego stryja swojego, którego jedynym był dziedzicem, z nadzieją możnego odeń wsparcia i powrotu z pieniędzmi do fortuny, a zatém ze sposobnością wyrugowania z niéj nowych jéj posiadaczów.

Wieczorem w dniu bytności Muchina, w jednym z pokojów pałacu, stary Michał siedząc w milczeniu, wiązał siatkę, bardziéj z nałogu niżeli z potrzeby: staw bowiem ryb pełny należał do pana Sularskiego; zażywał przy tym często tabakę, kiwał głową i wzdychał kiedy niekiedy: Józef w ostatkach niegdyś sajetowego surduta, poprawiał ożogiem ogień w piecyku, palił fajkę z długiego pańskiego cybucha, i przewalając się na łóżku prawił Michałowi androny o swoich dowcipnych sztukach w Warszawie, w Wilnie, i wszędzie gdzie bywał, wydarzonych: za każdém nowem jego kłamstwem, Michał kiwał głową i zażywał tabakę; a w tym weszła panna Salomea do izby.

—»Dobry wieczór Michale; dobry wieczór Józefie!!» Nie odpowiadając na komplement Michał, a prosto zawsze zmierzający do interesu,—»A czego Waćpanna chcesz? zapytał. — »Przyszłam mój kochany Michale prosić u was jednéj rzeczy! —Jakiéj rzeczy?



NORYMBERGA.

my z łaski waćpaństwa żadnéj już rzeczy nie mamy: stoły, stołki, krzesła i kanapy, wszystko a wszystko zabraliście, siedzicie, jecie, spicie, na naszych rzeczach!!! Niech wam pan Bóg... zatrzymał się stary... ale grzech przekliaać pomyślał, dokończył więc odmieniając przekleństwo na życzenie, nie zupełnie wszakże życzliwém bydź mogące, niech wam pan Bóg po sprawiedliwości dopomoże! Czego waćpanna chcesz?—Panna Salomea zaróżowała się ponsowo na tę apostrofę staruszka, jednak cierpliwie zniosłszy:—»Nie o to idzie kochany Michale, rzekła, ja nic brać od was nie chcę, ale przyszłam prosić abyście mnie nauczyli jednéj rzeczy.“ Grzeczniejszy Józef od Michała wstał przecież z łóżka i zapytał:—»Czegoż takiego chce panienka nauczyć się od nas?—»Mój papa kupił dziś od Muchina samowar!—»Ehe! już i samowar od Muchina, lepiejby kupił garnków od Ławryna, mruknął uszczypliwy Józef. Znowu rumieniec oblał piękną buzię Salomei, ale jakby nie słyszała gorzkiego konceptu, kończyła—»Ja wcale tego nie chciałam, bo na co to nam potrzebne, ale cóż? ojciec uparł się i kupił; otoż proszę kochany panie Józefie naucz mię jak robić herbatę na samowarze. —»Herbatę na samowarze? powtórzył niedbale pan Józef, poprawiając znowu ożogiem w piecu, to wielki zachód!— »Zdaje się że nie tak bardzo, ot wszak to jest ogień i żar, ja każę przynieść samowar, a Józef tak będziesz dobry że mnie pokażesz jak co zrobić? będę starać się odsłużyć tę łaskę panu Józefowi:—»A dla czegoż koniecznie dziś? Już późno, węgle niewypalone, będzie czas, pochorujem na głowy, i nic więcej: niechaj którego tam dnia innego, to obaczemy:—»Ale bo mój Józefie, ale bo widzisz.. Panna Salomea nie chciała powiedzieć przyczyny pośpiechu, lecz nie było innego sposobu zobowiązania Józefa, więc odważyła się nakoniec.—»Bo widzisz mój kochany Józefie jutro Trzech Króli: —»Aha! jutro Trzech Króli, odezwał się Michał, wielkie święto! Nieboszczyk pan stary, niech Bóg świeci nad duszą jego, zawsze w wigilią Trzech

Króli pisał sam swoją ręką kredą jakieś święte litery na każdych drzwiach i powiadał, tędy bieda nie wejdzie: i chwała Bogu za jego czasów nie weszła: ale po nim nikt liter nie pisał i.... tu zażył mocno tabaki, pokiwał głową, westchnął głęboko, i znowu siatkę wiązał spokojnie.—Dowcipna Salomea wnet schwyciła za węgiel i rada, że się przypodoba staremu:—»Ja kochany Michale, rzekła, tym czasem choć węglem napiszę na waszych drzwiach te trzy litery: właśnie tylko co ojciec napisał toż samo i u nas, a jutro przyjdę z kredą i przepiszę.« Nieszpetną więc rączką ująwszy delikatnie aby się nie umazać węgielek, napisała Salomea na drzwiach wielkie C. M. B. Michał trzymając iglicę w niedowiązaném oku siatki, patrzał na piszącą. — »Czekaj Waćpanna! jeszcze nie wszystko, rzekł: jegomość nieboszczyk kładł krzyżyki między literami;« Salomeia podjęła węgielek i położyła krzyżyki:—»Nu teraz dobrze, daj Boże Waćpannie zdrowie, i męża da pan Bóg, kiedy nosów w górę zadzierać nie będziecie, jak zaczynacie. Cierpliwa panienka, znowu do Józefa się obróciła i rozumiejąc że zapomniał o zaczętéj powieści:—»Więc że kochany Józefie nauczysz mię zaraz o co cię proszę? Ale Józef chciał wyczerpać do dna przyczyny i zamiary panny ekonomówny i postanowił albo dobrze ze zręczności skorzystać, albo odpłacić znakomitym figlem za niegrzeczne przegróżki Sularskiego. —A cóż panienka zaczęłaś mówić o jutrzejszych Trzech Królach i nie kończysz? Dla czegoż koniecznie jutro potrzeba herbaty z samowaru? Czy będą goście jacy? — »Otóż to widzisz kochany Józefie, jutro imieniny papy.—»Jakiéj papy? odezwał się znowu Michał, papa to chleb; a kiedyż to imieniny chleba?—»Nie Michale! to imieniny naszego ojca; wiesz że jemu imie Baltazar; a teraz to zwyczajnie ojca dzieci nazywają papą!—»Dawniéj odpowie Michał, dzieci chleb nazywali papą, a ojca tatulem; ale to wszystko jedno, zawszeż ojciec dzieci swoje chlebem karmi, więc i to papa i to papa. Po téj moralnéj uwadze, znowu Michał siatkę wiązał:—»Otóż mój kochany Józefie może jutro ktoś zdarzy się do nas, toby ojciec był rad gdyby dać herbatę z kupionego samowara: —»A któż może się zdarzyć chyba zaprosicie kogokolwiek sami: —»Mama podobno ma poprosić z kościoła na podwieczórek i na herbatę panią sędzinę z córkami; podobno będzie pan Assessor i jeszcze tam ktokolwiek może—»A to co innego! to będą huczne imieniny pana Sularskiego. No! to sprawiedliwie, trzeba dadź i herbatę z samowara.—»Więc Józefie ja pobiegnę po samowar.—»Na co to potrzebne! jutro jak się zbiorą goście, panienka daj mi znać, ja przyjdę do piekarni i tam wszystko należycie urządzę—»Ale bo mój kochany Józefie jak czasem jutro w domu nie będziecie a my naprosimy gości.—»Kiedy ja panience daję słowo że nigdzie nie oddalę się i będę czekał tu na miejscu, bądź panienka spokojna!—»Zmiłuj się kochany Józefie! i sam herbaty się napijesz, i podwieczorkiem potraktujemy, i jeszcze postaram się chusteczki jakiéj na szyję dla Józefa.—«Nu dobrze, dobrze, idź Waćpanna spać, a jutro wszystko pójdzie jak najwyśmieniciéj.« Nie dowierzając panna Salomea szalbierskiemu uśmiechowi Józefa, jeszcze mu powtarzając prośby, raz i drugi dygnęła; po uroczystych nakoniec zaręczeniach poszła do domu, zostawując Michała już drzymiącego, a Józefa zamyślonego nad wyborem swego jutrzejszego postępowania. Ważył on na jednéj stronie zyski swoje: podwieczórek! herbata! chusteczka! na drugiéj śmiech, wstyd, i złość dla Sularskich: ważył, rozważał, miarkował;— i jak to najczęściéj bywa na świecie, w wyższych i niższych stanach złe przeważyło; zasnął więc wybierając już tylko sposoby.

§§§.

Nakryto pięknie stolik, a zebrani liczni goście obsiedli go do koła; imieniny Sularskiego wybornie obchodzono. Pani sędzina prima donna téj fety, z trzema córeczkami rówiennicami w wieku trzech panien Sularskich, w wybornym była humorze! Pan assessor zalecający się naprzemian to do starszéj panny sędzianki, to do starszéj panny bywszéj Ekonomówny, znajoméj nam Panny Salomei, w wybornym był humorze: jego sekretarz, człek tłustych policzków i bogatego wąsa, poglądający z roskoszą na sporą karafkę czerwonéj cieczy w rezerwie na kominku stojącą, wróżąc jéj smakowity wkrótce użytek, w wybornym był humorze. Pan komornik byłéj tu exdywizyi, przybyły po resztę od kopca doliczanych solariów i odebrawszy je od pana Sularskiego z sowitością, w wybornym był humorze: sam jegomość dobrodziéj gospodarz i solenizant w nową czarną suto taśmami oszamerowaną był odziany węgierkę, szeroka jedwabna zielona na szyi chustka, w długich końcach spadała mu niedbale na piersi i łączyła się z łańcuszkiem od zegarka za nadrę wepchniętym, a tym sposobem, grubo-płaska figurka jegomościa na dwie szerokie połowy bławatno złocistą w zdłuż się przedzielała pręgą—Grzeczni goście w niedostatku koniecznego dlań tytułu, nazywali go bez różnicy to skarbnikiem, to rotmistrzem; ustrojony więc

*

i utytułowany Sularski w wybornym był humorze. Jejmość nakoniec poglądając z rozkoszą na swoje trzy pociechy, rzeczywiście piękniejsze od trzech panien sędzianek, podchodziła do jegomości i szepcząc mu do ucha, tę sprawiedliwą swéj radości przyczynę, gładziła go pod brodę i ze szczególniejszém przymileniem pytała pomrukiwającego mężula:—»Nu dak coż duszko? Nu dak co?« a to oznaczało wyraźnie że w wybornym była humorze! A tak cała zebrana czereda w najpiękniejszém usposobieniu około stolika jakem to powiedział, osiadła.

Tym czasem Józef dotrzymując wczorajszéj obietnicy, za daniem mu hasła przystawił się na przeciwek i już od półgodziny z młotkiem pracował około samowara; dowodząc pannie Salomei że zepsuty samowar kupiono, że go klinować i naprawiać musi: samowar był wyśmienity i cały; na co zaś ten ladaco godził, skutek to potém okazał; lecz nie uprzedzajmy w opowiadaniu kolei, ważnych dnia tego wypadków!!!

Dwoma przeciwnemi sobie elementami wodą i ogniem napełniony samowar; wzniosł oburącz Józef i powolny prośbie panny Salomei, zadarłszy jak naywyżéj nos w górę, raczył wnieść do pokoju i postawił wśród gości na stoliku to nieszczęściem brzemienne naczynie. Natychmiast Salomea z niewymownym wdziękiem piękną swą rączką na wierzchołek kurzącego się komina czajnik wzniosła.

O dziewico! dla czegoż tyle wiesz o sile pary, ile przed stu laty najwięksi filozofowie wiedzieli? dla czegoż nie wiesz że ona dziś pędzi okręta przez morza, pędzi wódkę w browarach! że hamowana rozrywa! Ale dziewica siedzi najspokojniéj przy panu assessorze i nim w czajniku herbata naciągnie, słucha z miłym uśmiechem jego duserów.

Kipi war, syczy, niecierpliwie mocując przybitém wiekiem. »Czas nalewać herbatę odezwała się pani sędzina: panna Salomea powstaje i chce ująć czajnik; pan sekretarz ujmuje za butelkę czerwonéj cieczy... a w tym... zrywa się wieko samowara i wylatując do góry wywraca imbryk, który spada na głowę kochanego pieszczotki Mateuszka i gorącą go po twarzy i uszach oblewa herbatą. Wierzch spadając trafia na łysinę papuni który jęczącém oj! oj! oj! zawtórował wrzaskom dziecięcia; tym czasem nagle uwolniony war prysknąwszy gwałtownie na oczy, twarze, nosy i gorse osiadłéj około i zamoderowanéj męzkiego, żeńskiego i niejakiego rodzaju gawiedzi; jak lawa z krateru gorącemi potokami się rozlał: na dobitkę w powszechném zamieszaniu i wrzasku ktoś trącił nieostrożnie, modny na jednéj nożce stolik, wywraca się samowar i raptem półwiadrem waru podlewa obróconych tyłem do stolika panią sędzinę i pana komornika, a panu assessorowi ocierającemu właśnie trzewiczki na sparzonéj nóżce panny Salomei, w gęstą czuprynę gorącego z żarem zasypuje popiołu. Tu zgiełk i krzyki przeszły wyobrażenie, wszyscy jednym popędem skoczyli do bokówki uciekając od piekielnego smoka; lecz assessor z kurzącą się czupryną wyleciał do sieni i krzyknął: *palim się!* Na to słowo przerażeni w bokówce rzucają się gwałtem do okna, w mgnieniu oka wyparte z uszaków i wybite otworzyło wolny przestwór, przez który cisnąc się jedno przez drugiego cała kompania nakoniec w wysokiéj zaspie śniegu tuż pod ścianą osiadła!!! Niech mi daruje przezacne towarzystwo w śniegu uwięzłe, gdy powiem że nie jęczało, nie krzyczało, lecz nakształt rui wilków około Gromnic zebranych, różnemi głosami wyło: a co najgorsza, że jak prawie zawsze i wszędzie w złéj doli, niezgoda wszczyna się między nieszczęśliwemi, tak pani sędzina poczęła łajać panią Sularskę, po razy kilka ją przeklętą Ekonomową nazywając: można było darować tak boleśnie podlanéj sędzinéj, i pani Sularska skłonną bydź się okazała do puszczenia płazem obelgi, bo tylko zawołała:—»Nu dak co? że ekonomowa! nu dak co? Ale panna Salomea obok matki w zaspie siedząca, wcale niegrzecznym sposobem pomściła się za mamę wykrzykując: »Ach! Waćpani sędzina! osobliwość! sędzina! osobliwość! — i byłoby daléj zaszło, lecz wybiegła czeladź, a na jéj czele z zalanym pożarem na głowie assessor i sekretarz jego z butelką czerwonéj cieczy w ręku, którą arcy-przytomnie z powszechnego uratował zniszczenia. Wydobyto niektórych, niektórzy sami wybrnęli i powrócono do pokoju: nikt nie bez szwanku, każdy oparzony złorzeczył i przeklinał; Imościanki piszcząc i płacząc z bolu, pytały się wszelako jedna drugiéj, czy zblakują oblane sukienki?— Proszę tu ufać losowi! przed chwilą wszystko było wesołe!!!

Sam jegomość złapał czającego się za piekarnią Józefa i całą winę nań zwalając, chciał pójść z nim w tuzy; rejterujący się Józef oskarżył pannę Salomeę: »Jam panienkę nauczył jak postępować z samowarem, cóż ja winienem? «Usprawiedliwiony Józef uciekł, a jegomość wpadłszy z zakrwawioną łysiną do sieni, jednym zamachem dwa smagłe policzki wyciął po pięknéj buzi Salomei: ledwie drugiego dokończył, gdy bolesny w plecy kułak dał mu uczuć, że córka ma mścicielkę w mamuni; chciał więc i żonę aplaudować zapamięta-

ły Sularski, lecz pan komornik stanął w obronie! —

Owoż na przekór wszystkim prawie powieściom kończącym się pospolicie weselem, moja kończy się *nie weselem*, bo katastrofa taka zniweczyła wszelkie nadzieje panny Salomei z oświadczeń pana assessora powzięte, a które świetnym obchodem imienin papy, i wyniesieniem się nad dotychczasową ekonomską sferę, ugruntować chciała. Chociaż bowiem po najrychlejszym odjeździe rozgniewanéj sędzinéj i dalszéj kompanii, pan assessor z sekretarzem i komornikiem, powodem uratowanéj czerwonéj cieczy zostali, i oną z udobruchanym gospodarzem do ostatniéj wyszyli kropli; wszelako uległa tak sowitéj konfuzyi panna Salomea nie pokazała się więcéj—»Nu dak co? że ojciec ciebie szturchnął! nu dak cóż? dla tego to nic! ot tylko wstań i wyjdź zaraz; mówiła do niéj matka w alkierzu. Na tę rozsądną radę Salomea odwróciła się tylko do ściany i mocniéj stękać poczęła: a tym czasem i pan assessor wyjechał, zabrawszy z sobą samowar, który mu pan Sularski jako przyczynę wszystkich kłopotów, z ukontentowaniem darował.

Gdzież oryginały? zapytasz czytelniku, dla którychby powiastka ta za obrok duchowny służyć mogła? Komużby ją poświęcić, i że tak powiem przypisać należało? Ach! zejdź czytelniku do wielkich niegdyś hrabstw naszych, na malutkie dziś przez exdywizye porozdzielanych cząstki; zejdź do tych kilkochatkowych panków, pragnących piąć się jak kilkodziesiętni; iluż tam Sularskich? ileż panien Salomeek najdziesz! im więc to poświęcam moją powiastkę, z wróżbą niechybną w godle i z sensem moralnym w takim Epilogu.

„Gdy cię los w niskim pomieścił stanie,
„Zbytkiem się nie unoś zdrożnym—
„Lepiéj bydź dobrym M o s p a n i e,
„Niżeli śmiesznym W i e l m o ż n y m.

Ignacy Chodźko.

BERNARDIN DE ST. PIERRE.

(Dokończenie)

Po ogłoszeniu *Badań Natury*, znakomita chwała uwieńczyła pana de Saint-Pierre, był on uznany za najpierwszego z jednoczesnych z sobą pisarzy; Russo albowiem od lat już kilku żyć przestał.

Tymczasem, Bernardin de Saint-Pierre nie był jeszcze ogłosił swojego uroczonego dzieła: *Paweł i Wirginija.* Tę pasterkę, w kształcie tak nowym, natchnęły mu wrażenia jego wędrówek, tudzież anegdota, którą opowiadaną na wyspie Francuzkiéj słyszał. Lecz rzeczona anegdota nie miała tych uroków, jakie autor w opowiadaniu swojém, rozsiał, On to utworzył te dwie osoby tak idealne, o których nigdy nie zapomnimy; on wyobraził sobie to życie tak proste i tak czyste; on to przywodząc do rzeczywistości marzenia młodych lat swoich, odmalował szczęśliwość z cnoty i z niewinności, w téj ubogiéj rodzinie, daleko od Europy, przez nieszczęścia i przesądy rzuconéj.

Dzieło to powiększyło jeszcze zapał, jakim publiczność ku autorowi *Badań* przejęta była. Cokolwiek było rzetelnego w filantropii ośmnastego wieku, cokolwiek było sztucznego w jego czułości, naturalność i moda, było zarówno interesowane, idąc za urokiem tych malowideł nie mających wzoru.

Tymczasem się rewolucya przybliżyła. Wtenczas, kiedy się umysły zajmowały spokojnie temi obrazami szczęścia, prostoty, czystości patryarchalnéj, wszystkie burze straszliwe, zawichrzeń politycznych; przysposabiały się, a serce ludzkie miało się okazać nagiém, we wszystkiém, co tylko największego i najohydniejszego w niém się zawierało. W cóż się obróci filozof, marzyciel samotny, przyjaciel ludzkości, w pośrzód tego głębokiego zaburzenia? Przyznać to, zaprawdę, potrzeba, że postępowanie P. de Saint-Pierre było tu proste i czyste. Sława i wziętość, która go otaczała, systemata, jakie utrzymywał, jego nienawiść ku ohydnemu frymarkowi czarnymi, oraz tyle innych pomysłów, tchnących ludzkością, zaleciły go ludziom, wówczas przemożnym. Przetoż, Bernardin de Saint-Pierre, przez wybór naturalny, dyrektorem ogrodu botanicznego (*Jardin des plantes*) mianowany został.

Napoleon cenił talent tego pisarza i był zawsze dla niego życzliwym.

Powiadają, że autor *Badań Przyrodzenia* mógł zostać senatorem. Mówią także, iż znakomity wojownik proponował mu, ażeby opisywał jego wyprawy, i że się pisarz od tego uchylił; wymówienie musiało bydź nie do smaku. Żył on spokojnie, cichy dosyć wielbiciel nowéj władzy, zajmując się naukami które stanowiły jego chwałę, i małym ogródkiem; uczęszczając na Instytut, gdzie nie jednę walkę wytrzymał i zawsze gorliwie obstawał przy świętych naukach, bytności Boga i nieśmiertelności duszy.

Zdaje się, że ten pisarz, tak wymówny i tak czysty, był szczerym i poczciwym człowiekiem; czego wszystkie jego postępki, mianowicie bezinteresowność, pod życzliwym sobie mocarzem, dowodzą. Wre-

szcie był on przyjacielem Ducisa, którego samo imie jest obroną, jest pochwałą osób ścisłym węzłem przyjacielskiéj i poufałéj zażyłości z nim połączonych.

Mówiliśmy już nie mało o P. de Saint-Pierre, a nieśmy jeszcze o jego talencie nie powiedzieli. Oryginalność jego, natchniona przez cierpienia doznane w życiu, rozwinęła się nade wszystko przez wyrażenie uczuć religijnych i malowanie piękności natury. Dwie te rzeczy trzymają się ściśle siebie i porywają duszę z większą siłą w czasach wykwintności towarzyskiego życia.

Wystawił on przed oczy ośmnastego wieku najczystsze przyrodzenia obrazy; lecz nie opisywał, jak Delil, dla opisywania tylko jedynie; przypatrywał się przyrodzeniu, dla odbierania od niego wzruszających wrażeń, w tém wszystkiém, co tylko dusza ludzka najreligijniejszego i najgłębiéj w sobie zawartego posiadać może; nie był on jedynie pisarzem malowniczym, ale był poetą moralistą. Z tym instynktem gustu, zrozumiał dostatecznie, że téj publiczności przesyconéj i wzgardliwéj, nie dosyć było wskazać piękności pospolite, natury ją otaczającéj. Oglądał on tę bogatą i potężną podzwrótnikową naturę; wydał ją w świetnych nieśmiertelnych barwach: ale nade wszystko, jéj obrazy, przez wrażenia moralne ożywił; a w téj naturze, którą tak doskonale czuł i pojmował, nie widział, ani przypuszczał nic tak wielkiego, jak piękność duszy, tudzież widok niewinności z cnotą, pod okiem Boga. To jest jego potęga i jego oryginalność, która się zawsze podobać będzie. Troskliwość drobiazgowa względem szczegółów, żywa dokładność, piękna imaginacya, zrobiły go malarzem; ale uczucia religijne którém jest napełniony, ukształciły go na poetę zniewalającego duszę, urokiem swojego wysłowienia.

Kiedy był wystąpił z takiém dziełem przed oblicze surowości matematycznéj i szyderczéj dokładności d'Alamberta, poważnego rozumu Neckera, pięknéj literatury Laharpa i Chamforta, tudzież tylu innych pisarzy, którzy nie wyobrażali sobie, ażeby na całym świecie był inny przedmiot interesu, jak społeczność, oraz praca umysłu nad sobą samym; wtenczas to Bernardin de Saint-Pierre zdawał się bydź osobliwszym nowatorem.

Powiadają, że kiedy po raz pierwszy zaczął czytać jedno z dzieł swoich u pani Necker, sam wybor towarzystwa był tam zgromadzony. Tam się znajdował Buffon, Thomas, Chastelluxe, tudzież inne sławne osoby. Zaczyna czytać: była to powieść *Paweł i Wirginija*: P. Buffon zastanawia się z upodobaniem nad kilkoma wyrazami tyczącemi się historyi naturalnéj, lecz prostota, niewinna szczerość tych malowideł, pomysł nawet sam téj historyi, ta stara niewolnica, te dwoje dzieci, tak wzbudzające współczułość, nakoniec go utrudzają; kazał zajechać powozami: P. Thomas niemniéj się oziębłym okazał; pani Necker ledwo kilka wyrazów na pochwałę wybąknęła. Autor po tém czytaniu odszedł zniechęcony i prawie w rozpaczy. Przez piętnaście lat ścigał nadzieję utworzenia dzieła genjuszu, w swojém ustroniu przy ulicy *des Grés*. Zasięga rady swojego przyjaciela, malarza Verneta; który nie był literatem, ale człowiekiem ukształconego smaku, światowym, a przez swoję sztukę i genjusz malarski, poetą. Vernet dziwi się tym ognistym opisom bogatéj podzwrotnikowéj natury, tym rysom szczerym obyczajów, połączonym z tak żywemi barwami; mówi panu de Saint-Pierre: »Posiadasz prawdziwy genjusz!« Wszelakoż to świadectwo szczere i pełne entuzyazmu, nie wystarczało; potrzeba było wsparcia, protektorów, chwalców, nakoniec księgarza. Autor szukał go przez czas długi i pokazywał swoje *Badania Natury* najsławniejszym księgarzom: zwracano mu zawsze rękopism, powiadając: że to dzieło nie było w modnym guście: a nie postrzegano tego, że dzieło mające zostać najmodniejszém, musi mieć właśnie najmniéj podobieństwa z temi wszystkiemi, jakie aż dotychczas za modne uchodziły.

Po wielu ociąganiach się i opóźnieniach, *Badania Natury* wyszły z druku; i pomimo uchybienia w planie, nowość obrazów oczarowała wszystkich. Dzieło to było przedrukowane wszędzie, a nawet już za nadto dla autora, który się na fałszowane edycye użalał. *Pawła i Wirginii* powodzenie było jeszcze popularniejsze. Uczeni, ciekawi, nie umiejętni nawet, słowem wszystkie umysły oczarowane były urokiem nieskończonym tego dzieła, gdzie interes romansowy tak jest niewinnie prosty, a opisania tak namiętne.

Wymieniliśmy ważną przyczynę powodzeń pana Saint-Pierre, to jest, iż był poetą, w takim wieku, w którym, pomimo rzadki talent Delilla i całą dowcipnéj sztuki jego, wersyfikacyą, nie było już zgoła poezyi; prócz tego jeszcze, że poezya jest rzeczą prawdziwą, która się nigdy ukryć nie może, ażeby się nie dała poznać i nie opanowała potężnie serc ludzkich,

Niechaj wiek jaki zajęty będzie ważnemi sprawami, umiejętnościami technicznemi, albo niech będzie płochy, epikurejski, miłośnik pięknego dowcipu w literaturze;

okaż tylko mu prawdziwą poezyą, a rozerwiesz go,pociągniesz za sobą i będziesz słuchanym. Poeto! ktokolwiek ty jesteś, nie obwiniaj twojego wieku! ale wiek może czasami oskarżać swoich poetów.

Tak więc dzieło P. de Saint-Pierre ujęło imaginacyą współczesnych, wróciło im pojęcie piękności naturalnych i obudziło w duszach wzruszenia poetyckie, które się obcemi filozofii siedmnastego wieku zdawały. Teraz rozbierzmy pierwiastki składające tę poezyą? Czyliż znajduje się w niéj wiele sztuki? Czy nie masz tam śladu erudycyi osobliwszéj, jaką przejął się geniusz autora, w pośród życia pełnego przygód? albo, czy się tam daje postrzedz erudycya wyczerpnięta z książek i nauk wielkich wzorów? — Wpływ ten podwójny, widoczny jest w jego pismach. Łączy on do wrażeń osobistych i szczerych wszystkie tradycye gustu; zna je i umie znaleźć zarazem.

Pod względem języka i stylu, Bernardin de Saint-Pierre zręcznje się cofnął ku innemu wiekowi. Przy takiéj nowości obrazów, przebija się zdawniałość, w sposobie pisania. Literatura od wieku Ludwika XIV, postępowała zawsze, bogacąc się czystością, wyborem, szlachetnością, dostojeństwem w formach. Buffon, tak wielki zkąd inąd pisarz, powiedział: »Bądź ścisłym i skrupulatnym w wyborze wyrażeń, miéj baczenie na to, ażebyś mianował rzeczy najogólniejszemi terminami.« To jest, bądź nadętym i obłędnym. Przeciwnie, Bernardin de Saint-Pierre, pomimo zwrót świetny swojéj imaginacyi, nie lęka się terminów prostych, wyłącznie do rzeczy stósownych, imion właściwych. Jego wyrażenie, chociaż ubarwione, jest wszakże poufałe. Jest w niém naukowość niezbyt naukowa, jeżeli tak rzec można, która używa czasami wyrazów technicznych, jeżeli te są dosadniejsze, ale częściéj obchodzi się językiem powszechnego pojęcia, dla wyrażenia z wdziękiem i żywością przedmiotów, które umiejętność rozbiera. Widać w jego stylu, wędrownika, żeglarza, botanika, równie jak poetę. Poznajemy człowieka, który nawalnice życia wytrzymał. Język jego nie ma téj okazałości i przepychu, co język gabinetowy i teatralny. Obrazy gminne i żywe, w które tak obfitują dawni pisarze francuzcy, nie obudzają w nim wstrętu. Pisarz tak harmonijny i tak czysty, zniżył o ton jeden dostojność pięknego stylu. Jak Russo, a może i bardziéj jeszcze, odnawia on przez pospolitość porównań, wyrazistą prostotę obłoków; jego wzgarda ku bogactwom i przepychowi, pod jakiemi bądź formami, od zbytku pałacowego aż do książkowego i stylowego, cofnęły go ku literaturze francuzkiéj szesnastego wieku. Jest on uczniem Montenia i Amyota. Nauczył się w ich dziełach podwójnéj starożytności, uczuć greckich i rzymskich, oraz dawnego stylu francuzkiego. Naśladuje ze sztuką nieskończoną, ten język mniéj foremny, mniéj ukształcony, nie tak ściśle związany, jak język klassyczny francuzki. ale swobodny, szczery, obfity w obrazy i w szczęśliwe wyrażenia, od którego samo odwyknienie nadaje mu świeżość. Przyrodzenie nastręcza mu przedmioty jego obrazów; dawna literatura francuzka, po większéj części, dostarcza mu kolorów.

Tak więc uczucie przyrodzenia, zamiłowanie starych pisarzów fracuzkich, pojęcie namiętne i głębokie starożytności; oto są trzy pierwiatski, trzy zrzódła talentu, które się do utworzenia geniuszu pana de Saint-Pierre przyłączyły.

Nakoniec celuje on potęgą poety i człowieka wymownego, któréj zasięga od uczucia religijnego, tak rzadkiego w jego wieku. W tych kartkach pełnych zadumania i tkliwości, Bernardin de Saint Pierre, nie tylko jest teistą spirytualnym; lecz wyjawia, że więcéj coś jeszcze miał w duszy. Pomiędzy pisarzami ośmnastego wieku, jest on jeden, który przytaczać lubi księgi hebrajskie i Ewangelią. Ma upodobanie w obrzędach religijnych. Widzieć to można ze sposobu opowiadania, jak raz udawszy się z Russem na odwiedzenie zakonników Góry-Waleryańskiéj (*Mont-Valerien*) obadwa, słysząc ich odprawujących litanije do bozkiéj Opatrzności, w szczególniejszy sposób wzruszeni zostali. Cóż to ma oznaczać? — oto, że ich umysły były bez przestanku wzruszane i miotane uczuciami religijnemi, które nie ograniczały się samym jedynie spirytualizmem: dusze ich żywe szły daléj: miały one coś z téj pobożności, na wyobraźni i uczuciu opartéj. To zmieszanie wrażeń mistycznych z żywém zamiłowaniem powabow natury, po większéj części oryginalność ich stanowiło.

Spokojnie upłynęły ostatnie lata Bernardina de Saint-Pierre. Napoleon ozdobił go krzyżem Legii honorowéj a brat jego Józef Bonaparte dał mu pensyą 6,000 franków rocznie. Umarł w roku 1814, w posiadłości wiejskiéj pod Paryżem, mając lat 77. Między jego papierami znaleziono nieukończone dzieło *Harmonie Natury*, pamiętniki jego życia, i znaczną liczbę lekkich tworów jego fantazyi.

GOSPODARSTWO.

Rybactwo krajowe czyli historya naturalna ryb krajowych, gospodarstwo dziko żyjących w rzekach i jeziorach. Rybołóstwo: opisanie rozmaitych narzędzi rybackich i sposobów ich używania. Rozmnażanie i przeprowadzanie ryb. Zakładanie stawow; chow stawowy karpi i innych ryb. Szacowanie stawow rybnych, i kalendarz rybacki (*z* 7 *tablicami rycin.*) *przez P. E. Leśniewskiego b. P. N. P. cena Zł*: 13 *gr*: 10. *Warszawa 1837, nakładem xięgarzy Zawadzkiego i Węckiego; jeden tom in 8vo majori.*

Gdy w ciągu lat kilku wyszły u nas dzieła traktujące o rozmaitych gałęziach rolniczego przemysłu, hodowanie ryb zupełnie zapomnianem było i mimo znacznych drogości ich w ogóle, a zupełnego braku w bardzo wielu częściach kraju, niczyjéj nie zwróciło uwagi. A jednakże, jest to przedmiot ważny, korzystny, potrzebny i mógłby znacznie wpłynąć na pomnożenie dochodów właścicieli ziemi. Za dawnych czasów, prawie każda wioska posiadała stawy; liczne ich ślady napotykamy na polach. Byłoż to skutkiem powszechnego zachowywania postu, czyli też ziemia nasza obfitowała w większą ilość wody jak teraz? I jedna i druga okoliczność wpłynęła po części na upadek gospodarstwa rybnego, a najbardziéj i najszkodliwiéj działały klęski lat dawnych, które zniszczywszy nasze miasta i wioski, wyludniwszy kraj, pokryły go lasami, wszelkie rodzaje gospodarstwa przywiodły do upadku, pozbawiły wzoru i zachęty, a tém samem podały w zapomnienie to wszystko, co do koniecznych potrzeb życia bezpośrednio nie służyło.—Już przed kilkudziesięcią laty gorliwy o pożytek współziomków, xiądz Krysztof Kluk, w swojéj historyi naturalnéj udzielił dobrych praktycznych rad o zakładniu stawów i gospodarstwie rybnem. Ale dzieła Kluka wyczerpały się, poszły w zapomnienie; słusznie więc należy się wdzięczność *P. E. Leśniewskiemu*, że przedmiot ten z niepamięci wydobył, a traktując go w odrębnéy xiążce, wyłożył obszerniéj od Kluka. Dzieło P. E, Leśniewskiego o Rybactwie krajowém, składa się z trzech części i dołączonego do nich kalendarza rybackiego. W pierwszéj części znajduje się historya naturalna ryb krajowych, w drugiéj gospodarstwo ryb dzikich i rybołóstwo: tu autor zamieścił ciekawe obliczenie rzek i jezior w kraju naszym, okazał oraz, że wody w nich zawarte, są bardzo zdrowe i dogodne dla ryb: spływają bowiem do nich szczątki roślin i części zwierzęcych z bujnych łąk i dobrze uprawnych gruntów, a przez to dostarczają pożywienia rybom. Gani niedbałość i obojętność właścicieli, którzy na utrzymanie i rozmnożenie ryb żadnéj prawie nie zwracają uwagi, łowią w czasie tarcia się, bo wtedy najłatwiéj można je chwytać a przez to wytępiają je zupełnie, dozwalają łowić rybakom trzymanym dla dogodności, puszczają kaczki i gęsi na stawy o których zarybnienie niby starać się pragną, zatruwają je moczeniem przędziwa, nie wycinają przerębli w zimie, a przez to giną ryby dla braku powietrza; zgoła, kreśli prawdziwy a bardzo smutny obraz gospodarstwa rybnego w kraju naszym.— Mówi potém o narzędziach rybackich, o przynętach, o łowach dla zabawki, o rozmnażaniu i przeprowadzaniu ryb, o raku.

W części trzeciéj, traktuje o gospodarstwie stawowém.— Stawy te dzieli na rybne i fabryczne; głównie zwraca uwagę na stawy rybne. —Ten rodzaj gospodarstwa rybnego jest prawie nieznanym u nas, bo jeźli są stawy to tylko dla młynów i kuźnic utrzymywane, zarosłe trzciną, nie rybne, szkodliwe zdrowiu przez wyziewy swoje.—Wymienia autor jakże są przymioty dobrych stawów i w jakiem miejscu zakładać je trzeba, żeby odpowiedziały zamierzonemu celowi, wskazuje, jak należy zakładać stawy, jak je zalewać, zarybiać, jak w nich przechowywać ryby, jak potém spuszczać stawy i wyławiać.—Nakoniec zamieścił oszacowanie przychodu z rybołóstwa stawowego.—Podług P. Leśniewskiego, licząc 50 złotych za centnar karpiów, wypadnie po odtrąceniu wszelkich kosztów po zł. 75 rocznie z morgi stawu.

Zamieszczony na końcu kalendarz rybacki, naucza co w którym miesiącu w gospodarstwie rybnem czynić należy.

Ukończywszy zarys tego tak użytecznego i potrzebnego dzieła, odznaczającego się gruntownym rzeczy wykładem, winniśmy jeszcze sprawiedliwą przyznać zaletę xięgarni warszawskiéj panów Zawadzkiego i Węckiego, za wyłożenie nakładu na druk tego dzieła i życzyć aby nie przestawała zajmować się wydawaniem dzieł nie mały pożytek krajowi przynoszących.

LISTY XIĘDZA ALBERTRANDEGO.

(*Dalszy ciag.—patrz Nra*: 29—30—33—35 *i* 41. *Muzeum z roku 1836go*).

Sztokholm 1789 r. 17. Grudnia.

Nie spodziewaj się JWPan dobrodziéj, abym mu dał w tym liście opisanie miasta Sztokholmu i ciekawości w nim zawartych, to miasto którem przyjeżdzając skwapliwie przejechał, jeszcze mi jest nieznajome, ponieważ z ulicy na któréj mie-

szkam, dotąd prawie nie wyszedłem, wyjąwszy, iż raz byłem w kościele katolickim, teatra zaś opery i komedyi francuzkiéj w których kilka razy byłem, na końcu są tejże ulicy i niedaleko zamku królewskiego, który mało mi jest znajomy. Życia mojego tu układ, ten prawie jest co i w Warszawie. Do godziny siódméj wieczorem z domu nie wychodzę, a dotąd trawiłem czas na przepisaniu ogromnego, który mi się trafunkiem zdarzył manuskryptu, zawierającego negocyacye naszego rządu ze Szwecyą od r. 1618 aż do tych które wojnę za Jana Kazimierza poprzedzały, tak dokładnie opisane, iż wszystkie by najdrobniejsze negocyatorów rozmowy do słowa w nim są zawarte. Niebytność tu królewska na przeszkodzie dotąd mnie w szukaniu pism polskich była, ponieważ to samo przez instrukcyą posłowi jest zalecono, a ująć mu tę negocyacyi okazyą, albo ją uprzedzić, w wielkim innych materyi niedostatku, nie godziło się. Bardzo mi więc przypadkowe tego rękopismu znalezienie posłużyło do korzystania z czasu i nie wątpię że z niego miłe i pożyteczne wyniknie przymnożenie kollekcyi królewskiéj.

Tamże 29 Stycznia 1790 r.

Miałbym zaiste czym zarzut długiego milczenia z siebie zwalić, będąc jak w saméj rzeczy jestem, nie wymównie zaprzątniony. Osmą już librę papieru na przepisaniu niektórych tu znalezionych rękopismów trawię, które u ludzi partykularnych i w xięgarni gymnazyi Lincopiensis znalazłem. Do tamtego pocztu należy manuskryp mający z 800 kart, łaciński i polski, wszystkie negocyacye z Szwedami o pokoj lub wojny przerwę zawierający, z lat 1618, 1622, 1623, 1624, 1625, 1626, 1627, 1628, 1629, 1635, 1651, 1654, 1655, którego część ledwie piętnasta do dokończenia pozostaje. Drugi manuskrypt całkiem już odemnie przepisany, zawiera oryginalne listy kardynała Hozyusza do różnych, i różnych do kardynała Hozyusza pisane, wiele do dziejów onego wieku i obrad publicznych rzeczy należących zawierające. Ten manuskrypt sprowadzony z Linkoping, dokąd się od Benzeliusza sławnego Szweda dostał, musiał niegdyś z księgarni kapituły warmińskiéj bydź zabrany. Trzy inne manuskrypta, jak mnie powiadają, oryginalnych listów Kromera, już na mnie czekają z tegoż miasta przysłane, jeszczem ich nie widział, i może przed zawarciem tego listu o nich co dokładniejszego mówić potrafię. Jednego i drugiego z tych rękopismów, jak się cokolwiek uwolnię, contenta do Warszawy na ręce JW. pana dobrodzieja przeszlę. Oprócz tego mam jeszcze inne zaprzątnienia, do których mię stan mój pociąga. Na Wszystkich Swiętych i każdéj niedzieli adwentowéj miałem kazania w kaplicy poselskiéj, a na Boże narodzenie, kazanie francuzkie w kościele katolickim. Zbliża się post wielki, a toż samo czynić potrzeba będzie i w kaplicy po polsku i w kościele po francuzku, bo katolikom usilnie tego pragnącym wymówić się nie mogłem, i jest tego wprawdzie nieuchronna potrzeba, bo jeden tylko ksiądz tu jest karmelita niemiec, który po niemiecku kazać może, ale po francuzku nie zdoła; jałmużnicy zaś poselstw francuzkiego i hiszpańskiego, wstręt wielki od pracy okazują.

Daj Boże wiosnę, abym do Upsalu mógł zajechać i tameczną przebieżyć księgarnią. Ma w tychże stronach bydź także sławna księgarnia Oxenstiernów, ale podobno ta rozproszona została. Sprawiwszy to, o powrocie jak najrychlejszym będę myślał. Rozumiem że prześwietna deputacya, kommunikowała N. Panu notę w interesie bytności tu mojéj podaną. Na tę notę dopiero teraz odpowiedziano. Odpowiedź tą pocztą posyła się prześwietnéj deputacyi. Treść jéj jest, iż mało co znajduje się w tym rodzaju pism, bo biblioteka królewska po śmierci Karola XI zgorzała; że względem tego co jeszcze jest, jak tu, tak po prowincyach dadzą wszelką pomoc. Ale najprawdziwsza podobno przyczyna przynajmniéj co do tutejszéj dawnéj biblioteki jest ta, że nie ułożona, że bez katalogu, że po większéj części w pakach zawarta, czego się bardzo wstydzą. Nie wiem co jest w Upsalu, ale z tego co dotąd widziałem, stan nauk nie jest osobliwszy. Duchowni na pomiernéj wiadomości języka łacińskiego przestają, który u świeckich bardziéj jeszcze jak u nas jest zaniedbany. Wszyscy jednak, edukacyą celujący pospólstwo, umieją po francuzku, tak duchowni, jak i świeccy; język Niemiecki rzadszy jest jak u nas. W akademii tutejszéj *des inscriptions et belles letres*, *antiquités* i drugiéj z 18 osób na wydoskonalenie języka szwedzkiego złożonéj, szwedzkim tylko językiem i piszą i mówią. Ale ubóstwo kraju sprawuje, iż uczeni dla utrzymania siebie innych sposobów potrzebując, samych nauk pilnować nie mogą. Między temi których tu poznałem, pierwszeństwo daję Oxenstiernie przeszłemu ministrowi do interessów zagranicznych, a teraźniejszemu marszałkowi królowéj, Rosensteinowi królewicza nauczycielowi, Adlerbetowi sekretarzowi akademii starożytności. Z duchowieństwa nie znam dotąd jak tylko biskupa Wexionskiego Wallquista, którego w interessach politycznych domowych największa jest sława, gdyż na wielkiéj królowi był pomocy na ostatnim sejmie dla pocią-

gnienia na jego stronę niektórcyh stanów. Duchowieństwa tego pomierne są intraty, ale przecię uczciwe. Z biskupów znajduje się który do 70,000 naszéj monety liczy, co w tak ubogim kraju bardzo wielką jest summą. Ale o tym więcéj innego czasu. Katolicy, których kilka tysięcy tu liczą, mają dwóch księży.

Po odebranéj nocie, odpowiadającéj na notę posła względem pism tyczących się kraju naszego a w Szwecyi znajdujących się, mogłeś JWPan dobrodziej łatwo wyrozumieć, iż tu nie tak wielka jest obfitość takowych pism, jaką sobie nasi z podania przodków swoich wróżyli; a przynajmniéj że wiele ich ogniem spłonęło w pożarze zamku Sztokholmskiegona początku panowania Karola XII. który wielką część księgarni królewskiéj pochłonął. Mam jeszcze pod ręką niektóre manuskrypta do prywatnych należące, i więcéj onych spodziewam się.

Tamże 16 Kwietnia 1790 r.

Charakter narodu tutejszego z gruntu jest dobry, ale po prowincyach lepszy jeszcze niż w stolicy. Nie mało do tego pomaga, iż w powszechności mówiąc, każdy obywatel ma stan jakiś przystojny i własność dogadzającą potrzebie, najczęściéj bez zbytku. Zatym pozorna jakaś jest, w pospolitości, fortun równość, wiele passyi tamująca, a dostatki bardzo wielkie i zazdrość sprawić mogące są dosyć rzadkie. Coer i Fersen nad innych górują, ale daleko są od onych bogactw, które tak wielką nierówność u nas i we Włoszech sprawują. Nie wiele domów Szwedzkich w historyi wzmiankowanych zgasło, ale wiele nowych przybyło, a z dawnych jedne jako Oxenstiernów i la Gardie zubożały; drugie choć jeszcze bogate, dalekie są od świetności przodków, jak Brahowie i Sparrowie. Cechą narodu jest niejaka oziębłość i melancholia, ale spokojna, nie zaś desperacka jak w Danii. Gdyby nie huk karet, ulice byłyby prawie tak ciche jak klasztory, nigdy hucznéj wesołości, nigdy szumnych z brzmiącą muzyką schadzek nie słyszałem, dni nawet zapustne skromniejsze tu były, niż u nas wielki tydzień. W Sztokholmie trochę więcéj jest przewrotności niż na prowincyach, a trochę więcéj ostrożności użyć potrzeba względem obywatelów tutejszych, ale i to kończy się na lekkiem jakim podejściu bez gwałtu, bez narażenia publicznéj spokojności. Przy chytrości jakiejkolwiek, mają ludzkość wielką i chęć do usłużenia, zwłaszcza cudzoziemcom. Prawdzi się po prowincyach ad literam, że z pieniędzmi jawnie niesionemi wszędzie bespiecznie jeździć można. Tu w stolicy, gdzie większa jest przewrotność, kradzieże są dziwnie rzadkie, i ostrożność przeciw złodziejom tak mała, że i domy i pokoje otworem stoją, i sklepy czasem bez stróża zostają. Rzeczy zgubione nie tylko znajdują się z dziwną łatwością, ale nawet mało zabiegów ich przywrócenie potrzebuje. Lud jest cichy, powolny, nabożniejszy nawet w swojéj religii nad inne Luterskie kraje. Nie masz dnia bez nabożeństwa w jednym lub kilku kościołach, a do tych nabożeństw z ochotą uczęszczają.

Ten tak dobry naród ma jednak dwie wielkie wady. Jedna jest używanie gorzałki, pospolicie z zboża pędzonéj, tak powszechne, że się do kobiet, do panien, do dzieci nawet rozciąga, i rzadko jest któryby kilka razy na dzień, przynajmniéj przed obiadem i kolacyą nie wziął *Sup*, tak nazywają miarkę gorzałki, którąbyśmy z łacińska haustem nazwali. Miejsca gdzie ten napój sprzedają, przynajmniéj tak częste są, jak w Warszawie szynki piwne. Na ulicy *Drotteng-gate*, to jest na któréj mieszkam, i która przynajmniéj na półmile naszéj rozciąga się, co trzeci dom szynk takowy opowiada, kiedy na całéj téj ulicy ledwie dwa kaffenhauzy znajdują się. Jednakże, czy to przywyknienie sprawuje, czy głów ułożenie, czyli umiejętność utajenia zbytku, rzadko pijanego widzieć można, a nasi niższéj rangi Polacy, częściéj to widowisko dają Szwedom, niż Szwedzi Polakom.

Drugą wadą jest zbyteczna łatwość i rozwolnienie obyczajów. Krew tu w obudwóch płciach i postać jest bardzo okazała. A w ostatnim gminie pospólstwa, piękności są bardzo zwyczajne, zadziwienie sprawujące. Te piękności w śród dnia, przechodzących, mruganiem, słowy, wszelkiemi sposobami wabią.

Pomimo to wszystko, i w stanach wszystkich, zwłaszcza miejskim i od tego niższym, taka zgoda i spokojność panuje, że nigdy o żadnem zakłóceniu, a dopieroż o rozwodach słyszeć nie można, chociaż powszechny zwyczaj niesie, że rzemieślnik i kupiec każdy bez żadnego wyłączenia, z rana robotę czeladnikom wydzieliwszy, interessa swoje ułożywszy, obiad około dwónastéj zjadłszy, zaraz po obiedzie udaje się do kaffenhauzu, szynku, lub takowego gatunku publicznego domu, gdzie do godziny 10 wieczornéj, rozmawia, polityku je, gazety czyta, lulkę ciągnie, i wieczerzę odbywa na grzance chleba z masłem lub śledziu, kiedy tym czasem żona domu pilnuje i zwyczajną dla siebie i czeladzi wieczerzą, to jest, kaszę gotuje, czekając niedzieli kiedy ją mąż na przechadzkę zaprowadzi. Ta podobno jest przyczyna, dla któréj rzemieślnicy w robocie bardzo są opieszałemi, i nie w wielkiéj liczbie. Robota ich jednak, zwyczajnie na podziw

jest dobra i tańsza daleko, niżby się spodziewać należało w kraju, w którym wyżywienie trzy lub cztery razy droższe jest niż w Warszawie, i mieszkanie także nie najtańsze. Co do żywności, dosyć jest powiedzieć, że funt mięsa wołowego, jakie u nas najzwyczajniejsze jest, kosztuje blisko złotego polskiego. Ryby tylko tańsze są jak u nas i w większéj obfitości. Z rzemieślniczych robót najtańsze tu są i najlepsze, tańsze nawet daleko niż w Warszawie, stolarskie z drzewa Mahoni i zegarki równiające się co do doskonałości angielskim, ale daleko tańsze. Rząd ma osobliwszą czułość nad tą fabryką, za każdy zegarek, cudzoziemcowi, albo za granicą przedany, daje nadgrodę, ale zegarek pierwéj od wyznaczonych na to osób powinien być examinowany. Pozłoty także lisztu i snycerskich tym podobnych robót, są nie tylko tanie, ale równe rzymskim, i lepsze daleko od paryzkich. Te rzeczy są tańsze jak u nas, lubo w tych ostatnich leciech bardzo dla wojennych nakładów podrożały.

Kopenhaga 27 Lipca 1790 r.

Wykonawszy dane mi zlecenia w Sztokholmie przez wyszukanie tego wszystkiego, coby tam w bibliotekach i archiwach kraj nasz mogło interessować; po przepisaniu własną ręką moją 400 kilkudziesiąt listów od Hozyusza, Kromera, i do nich pisanych, po przepisaniu ręką moją tomu tysiąc przeszło kart mającego, przedsięwziąłem podróż na odwrót. Lecz dla potrzeby odwiedzenia nie których księgarni po prowincyach rozproszonych, ułożyłem podróż moję trochę a la Grecyne abym nie był zniewolony powrócić do Sztokholmu. Z Sztokholmu puściłem się prosto ku Upsalu, ale o dwie mile od tego miasta wyboczyłem do Skoo-kloster zamku należącego do Graffa de Brahé pierwszego szlachcica królestwa Szwedzkiego. Zamek ten jest położony pośród jeziora Meller, od samego Sztokholmu na różne strony obszernie ciągnącego się, na klinie ostatnim wesołéj półwyspy. Było to miejsce wsławione niegdyś klasztorem panien zakonu Cysterskiego, ale oprócz kilku rozwalin niekształtnych nie masz tam innych tegoż klasztoru i kościoła śladów. Z rozszarpania dóbr kościelnych, dostało się to miejsce familii Wranglów, a Wrangel sławny podczas trzydziesto-letniéj wojny generał, zamek wymurował, którego obszerniejsze na inny czas opisanie JWPanu Dobrodziejowi zachowuję. Ostatnia dziedziczka domu Wranglów wniosła tę majętność w dom hrabiów de Brahé. Posiadacz onych teraźniejszy, pan młody, bardzo grzeczny, ludzki i uczynny, mający żonę z familii de Geer najbogatszéj w Szwecyi, sprowadził był do Sztokholmu katalog ksiąg swoich drukowanych, gdzie łatwość miałem konnotowania bardzo wielu pism drukowanych, do Polski należących. Ale że rękopismów żadnego katalogu nie było, musiałem udać się na miejsce abym je in natura przetrząsnął. Hrabia de Brahé tak był ludzki, że sam będąc w innych dobrach, wysłał tam majora Wetterquist dla przyjęcia mię, co z największą dla mnie attencyą uczyniono, wysławszy bat naprzeciw mnie, i opatrzywszy w tym zamku wygodami. Wszakże oprócz dorywczego pokarmu, żadnéj tam innéj wygody użyć nie mogłem. Kwapiąc się albowiem, abym uprzykrzonym gościem nie był, dni dwa w bibliotece, tyleż nocy bezsennych u siebie nad manuskryptami do izby mojéj sprowadzonemi strawiłem. Niepodobna rzecz jest dać tu choć powierzchowną wiadomość tego wszystkiego co w téj księgarni znalazłem. Repertoria moje to lepiéj opowiedzą, a resztę do innego dokładniejszego opisania tych miejsc zachowuję.

Przystąpiłem potym do biblioteki, gdzie znowu niezmierne dla mnie otworzyło się żniwo. Znalazłem tam siedm pęków ogromnych listów oryginalnych ludzi w Polsce najsławniejszych, jako to Dantiska, Hozyusza, Kromera i innych także do nich pisanych, bardziéj jeszcze interessujących, niż te które w Sztokholmie przepisywałem. Znalazłem kilka tomów innych rękopismów, które użyczone mi do stancyi były i których jak mogłem najdokładniejszy rejestr sporządziłem. Znalazłem wiele ksiąg polskich i słowiańskich drukowanych i pisanych, między któremi ostatniemi jest Stryjkowskiego historya po słowiańsku przetłumaczona. Znalazłem na koniec niezliczoną kwotę pism drukowanych chartae palantes albo folia volantia, które iż czasowe są, łatwo giną i bardzo są trudne do zebrania.

WYJĄTKI Z PAMIĘTNIKÓW XIĘŻNÉJ D'ABRANTES.

Ciekawy byłby wewnętrznych opis stosunków familii Napoleona. Ileż to okoliczności łączyło się z interessami daleko ważniejszemi od interessów prywatnych, a publiczność nie domyślała się o nich! I tak, od r. 1807 aż do 1809 ciągle toczyły się negocyacye między Napoleonem a jego bratem Lucyanem. W owéj epoce, Napoleon chciał ustanowić w swojéj familii uniwersalną monarchią i znowu była nadzieja zbliżenia się dwóch braci.

Dla wiadomości czytelników wspomnieć należy, że chociaż Lucyan Bonaparte silnie

przyłożył się do wyniesienia swego brata w dniu 18 Brumaire, a po tém był ministrem spraw wewnętrznych i posłem do Hiszpanii, jednakże opierał się jego zamiarom objęcia nieograniczonéj władzy cesarskiéj, a gdy w r 1803 wbrew woli Napoleona zaślubił się z wdową bankiera Joubertou, poróżnienie między dwoma braćmi tak się wzmogło, że Lucyan w 1804 opuścił Paryż, kupił wiejskie pomieszkanie nie daleko Rzymu i usunąwszy się od interessów politycznych, żył prywatnie, zajęty naukami i sztukami pięknemi.

Powodem do negocyacyi między dwoma braćmi, było żądanie zaniesione przez xięcia Asturyi, ażeby mógł zaślubić jedną z osób do familii Napoleona należących. Napoleon wiedział że Lucyan nie zechce zapewne poświęcić córki, wydając ją za człowieka któren dla ojca swego i matki okazał się tak nieżyczliwym i niewdzięcznym; trzeba więc było zręcznie skłonić go do tego żądania, i pan Kampi udał się z temi propozycyami do Kanino; gdzie się Lucyan wówczas znajdował.

Pan Kampi był przyjacielem rodziny Bonapartych. Był rodem z Korsyki i odznaczał się znakomitą zdolnością w zawodzie administracyjnym. Osobliwszy był to człowiek; przypominał te piękne starożytne charaktery, które uwielbiamy czytając Plutarcha i Xenofonta. Cechowała go nadzwyczaj surowa prawość i rzetelność; najmniejsze powątpiewanie o czyim charakterze już go odstręczało; nigdy nie jadał mięsa, żył warzywem i owocami, pił samą tylko wodę i nigdy się nie uśmiechnął. Był to dziwaczny lecz uczciwy i cnotliwy człowiek. Ten pan Kampi był sekretarzem przybocznym Lucyana, pod czas, gdy Lucyan był ministrem spraw wewnętrznych, posiadał jego szacunek i dla tego Napoleon wysłał go z tém ważném poselstwem.

Pan Kampi przywiózł Lucyanowi list Napoleona, w którym wzywał go cesarz aby przyjechał do Paryża i roztrząsnął z nim razem propozycyą którą mu zechce uczynić. Napoleon ofiarował mu tron Neapolu. Józef *miał bydź przeniesiony gdzieindziéj.* Napoleon już zamyślał wówczas o zagarnieniu Hiszpanii; znając moralną i fizyczną odwagę Lucyana, chciał użyć go na powściągnienie Włoch. Lecz pokazał w téj okoliczności, jak dalece jego postanowienie raz już powzięte, nie osłabiało się lecz jeszcze wzmacniało z czasem. Powiedział był w radzie stanu. „Nigdy nie przyznam za moją bratową, żony mego brata Lucyana.“ A te wyrazy głośno wyrzeczone w przybytku prawa, uważał jako nieodmienne zobowiązanie się względem siebie i cesarskiego majestatu; lecz w gruncie rzeczy, był to tylko skutek despotycznéj woli, którą chciał wywierać nad wszystkiemi, a nawet i nad członkami swojéj rodziny. Im szlachetniejszy był opór Lucyana co do jego zasad politycznych, tém bardziéj Napoleon usiłował przywieść go do uległości w stosunkach domowych, a Lucyan byłby ubliżył godności swojéj, gdyby się do jego woli nakłonił. Napoleon prawie nienawidził żonę Lucyana. Słyszałam go nie raz tak cierpko mówiącego o niéj, że aż cesarzowa Józefina, która nie miała powodów do sprzyjania Lucyanowi, rzekła raz do cesarza tym pieszczonym głosem przenikającym serce.

»Mój przyjacielu, pamiętaj że to jest kobieta!»

I w rzeczy saméj, tytuł ten powinien był bydź dostatecznym, gdyby nawet żona Lucyana nie była tém czém wówczas okazywała się w Rzymie, stanowiąc szczęście męża i będąc w całym znaczeniu tego wyrazu, matroną rzymską, taką, jak wyobrażamy sobie matki i żony sławnych Rzymian. Prowadziła dom szlachetnie i wspaniale, jak tego Lucyan wymagał, lecz nie bywała nigdzie, żyła otoczona liczną rodziną; żadne pociski obmowy bynajmniej szkodzić jéj nie mogły. Jéj postępowanie było nienaganném, uszczęśliwiała męża, razem z nim zajmowała się literaturą i osładzała troskliwością swoją, troskliwością małżonki, zmartwienia których Lucyan codziennie doznawał z powodu postępowania Napoleona. Nareście, gdyby to było prawdą, jak mówił cesarz, że Lucyan ożenił się umyślnie na przekorę jemu, związek ten, zjednał mu więcéj domowego szczęścia, aniżeli byłby go znalazł w małżeństwie podług woli brata zawartém.

Napoleon, jak największą wagę przywiązywał do stosunków domowych i w tym względzie podobny był do kobiety najbardziéj zważającéj na drobiazgi. — Były osoby przeciwne pojednaniu się Lucyana z cesarzem, i dla tego stawiały przeszkodę rozpoczętym negocyacyom. Na nieszczęście, nie mogły one przyjśdź do skutku, i te osoby których wymienić nie chcę, uśmiechnęły się z radości, gdy usłyszały co ofiarowano Lucyanowi.

Cesarz upoważnił pana Kampi ażeby zawiózł jego bratu inwestyturę na xięztwo Parmy, nie *dla niego* lecz tylko *dla jego żony*; on zaś miał panować w Neapolu. Pani Lucyanowa, pojechałaby z Rzymu do Parmy, jako xiężna Parmy, wziąwszy z sobą dwoje dzieci, lecz tylko córki, i odtąd już miała bydź na zawsze rozłączona od męża. Za tę ofiarę, Napoleon uzna ją za bratowę, i stanie się dla niéj życzliwym krewnym... Lecz trzeba było skruszyć wszy-

stkie ogniwa które ją przywiązywały do życia takie bowiem rozstanie się z ukochanym mężem... z dziećmi... a zwłaszcza rozstanie się dla widoków interessowanych, czyliż nie wyrównywało śmierci?... Okropne były te chwile które nastąpiły po obwieszczeniu życzenia Napoleona. Lucyan natychmiast wszystko odrzucił, koronę Neapolu nawet bez warunkowo ofiarowaną, a nadewszystko xięztwo Parmy, byłby tak ciężką ofiarą pozyskał.

Pani Bonoparte w odmiennem była położeniu; on powinien był odrzucić, ona powinna była przyjąć, powinna była postępować drogą którą nam przeznaczenie nasze wskazuje, nam biednym kobietom: bo całe życie nasze składa się z pasma poświęceń... Jakoż, rozmyślała przez całą noc, a po tém weszła do gabinetu Lucyana i oświadczyła że nie chce bydź przeszkodą do jego wielkości i prześle odpowiedź swoją cesarzowi.

—»Gdzież jest ten list? rzekł Lucyan z pozorną spokojnością.

Żona podała mu list; schwycił go, podarł i podeptał, nie chcąc go nawet czytać.

—»Mój przyjacielu! mój przyjacielu, mówiła z płaczem: chceszże pozbawić korony twoje dzieci?

—»Czyliż za tę koronę mam ich pozbawić matki? zawołał Lucyan.

—»Lucyanie! rzekła jego żona, tym harmonijnym głosem który przenikał do serca: Lucyanie, nie odrzucaj bez namysłu, tego, czém nas Bóg chce obdarzyć. Czy pamiętasz z jakiem udręczeniem myśleliśmy, że póżniéj, gdy ty i twój brat już zejdziecie z tego świata: bo chociaż wielka jest jego pomyślność, musi skończyć się razem ze śmiercią, tak jak skończą się wówczas udręczenia twoje biedny mój przyjacielu... twoje dzieci zależałyby wówczas od dzieci twojego brata. Nie miałyby niezależnego bytu, któren mogę im zapewnić przez poświęcenie moje.... Nie mój przyjacielu.... nie.... powinieneś mieć na pierwszym względzie że jesteś ojcem,, a ja że jestem matką.

Jakże zachwycającą była, mówiąc te słowa! Jéj wysoka postać jeszcze się podniosła, jéj piękna głowa otoczona promieniami chwały macierzyńskiéj, nadawała jéj nie pojęty nie zrównany urok... Lucyan z uniesieniem spoglądał na nią przez chwilę, a potém przycisnął ją do serca.

—»I okazując się tak godną uwielbienia, rzekł, chceszli skłonić mię abym się z tobą rozstał, nie nigdy... nigdy tego nie uczynię. Jeżeli mój brat chce powrócić mi przyjaźń swoją, niechaj uczyni to bez naznaczania warunków, zwłaszcza tak okrutnych. Zawsze będziemy połączeni, kochana przyjaciółko! nigdy się nie rozłączym!...

Słowa ukochanego męża przezwyciężyły postanowienie żony. Po niejakim oporze, zgodzili się że nie przyjmą królestwa Neapolitańskiego i xięztwa Parmy, pod warunkami które cesarz naznaczył. Co się zaś tycze zaślubienia córki Lucyana z xięciem Asturyi, nie odmówili bezpośrednio, zaczęli nawet czynić przygotowania do jéj odjazdu. Karolina córka Lucyana, piękną i przyjemną była osobą; miała wówczas lat piętnaście; ładna, miła, dobra, dowcipna, uszczęśliwiłaby męża swego. Już wszystko było gotowe do jéj wyjazdu; gdy pewnego poranku Lucyan kazał zawołać hrabiego Chatillon, swego przyjaciela, któren z powodu nieszczęść rewolucyi obrał sobie zawód sztuk pięknych i towarzyszył Lucyanowi pod czas jego wygnania do Włoch. Lucyan powiedział mu aby cofnął wszystkie przygotowania do odjazdu Karoliny.

—»Nie mogę rozstać się z tém dziecięciem: rzekł z rozrzewnieniem z serca pochodzącem: nie mogę nadewszystko posłać ją do dworu hiszpańskiego.

Taka była pierwsza okoliczność dotycząca się małżeństwa xięcia Ferdynanda z krewną Napoleona... Pan Kampi wrócił do Francyi z odmówną odpowiedzią Lucyana, a to jeszcze bardziéj rozjątrzyło Napoleona przeciw jego bratowéj.

W owéj epoce (przy końcu roku 1807) zjawił się w Paryżu człowiek istotnie nadzwyczajny. Talma, pewnego dnia wspomniał mi o nim; chciał koniecznie przyprowadzić go do mnie, aby mi deklamował swoją tragedyą, którą Talma bardzo wychwalał. Ten człowiek był szewcem.

—Ależ, rzekłam do Talmy, niech robi trzewiki i buty, gdyż nie wiele ufam jego talentowi poetycznemu.

Przykre było Talmie, moje niedowierzanie.—»Pozwól pani, niech go przyprowadzę: rzekł z naleganiem: sama osądzisz.

—Zezwoliłam; bo z resztą nie mogło to bydź nudną rzeczą; naznaczyłem czas i przyprowadził mi *szewca—poetę*.

Ujrzawszy go, nie zmieniłam zdania i bardziéj gotowa byłam wyciągnąć nogę ażeby mi wziął miarę, aniżeli podać mu krzesło aby mi czytał swoją tragedyą. Był to człowiek niskiego wzrostu, krępy, z fizognomią niezmiernie gminną; grube miał rysy, żadnego wyrazu w spojrzeniu, jednem słowem szewc prawdziwy. Zaczęłam przeto żałować mojéj uległości, gdy Talma rzekł mu, aby deklamował kilka scen ze swojéj tragedyi. Zbliżyłam się i wlepiłam wzrok w pana Franciszka: to było imie tego szewca poety: nie zmieszał się by-

najmniej, stanął na środku salonu i tylko przed zaczęciem rzekł do Talmy.

—»Ależ panie Talmo, dla czegoż nie chcesz tak zrobić jak innym razem zrobiłeś u siebie? lepiéj powiedziałeś moje wiersze niżeli ja powiedzieć je mogę, *rzecz pewna*.

I ja tak myślałam, słysząc zwłaszcza ten gminny ton, to pospolite wyrażenie. Lecz Talma niby nie zgadując mojéj myśli, rzekł do niego.

—»Nie, nie chcę tego, panie Franciszku, wytłumaczę się przed panią Junot.

Franciszek oparł się o poręcz krzesła, przez chwilę zebrał myśli swoje, a gdy podniósł głowę, twarz jego przybrała zupełnie odmiennny wyraz. Opowiedział nam że pewnego dnia przechodząc koło kramów xięgarskich na bulwarze, natrafił na xiążkę, w któréj był traktat o szczytności i uwagi nad Longinem. Obraz Longina okazał mu się pięknym i wielkim; ten charakter filozofa, w całéj czystości, musiał trafić do czystego serca i pięknéj duszy, a Franciszek posiadał to oboje.

Franciszek chciał zrazu napisać sztukę w którejby samego tylko Longina umieścił. Lecz dla wzbudzenia i utrzymania zajęcia przez pięć aktów, trzeba było obszerniejszego przedmiotu. Zrozumiał to, zostawił Longina na urzędzie ministra jak jest w historyi, a wybrał królowę jako główną bohatyrkę sztuki (a) Widać jednak w każdéj scenie jego upodobanie w Longinie i w ogólności głównie stara się o wydanie jego charakteru. Prowadzenie sztuki jest złe i widać że autor wcale nie znał teatru. Lecz ileż to połysków geniuszu, ileż oznak świętego ognia poety! w każdéj scenie znajdują się znakomite piękności. Zasługuje na uwagę, z jaką biegłością mówią i działają jego osoby, gdy idzie o politykę. Cesarz Aurelian sam przyciągnął pod mury Palmiry, a Longin broni królowę przeciw namowom posła cesarskiego, który chce ją przestraszyć a jego uwieść.—Longin widząc że umowy do żadnego skutku nie doprowadzą, nakłania królowę do ucieczki. W tém miejscu jest zachwycająca scena, gdy Zenobia nie może przewieśdź na sobie ażeby opuściła Palmirę bez dzieci swoich, ani też ażeby same wyprawiła z miasta. Każde jéj słowo pochodzi z serca matki. Jéj powiernica udziela jéj zimnych i rozumnych rad, których nie może zrozumiéć matka.

—Ach! rzecze Zenobia, nie mogę oddalić od siebie moich ukochanych dzieci.... nie powinnam... nie mogę tego uczynić.

Nie podobna opowiadać całą sztukę, jest bowiem bardzo długa i źle prowadzona. Mówiłam o talencie poetycznym tego człowieka, lecz nic jeszcze nie wspomniałam o nim samym, o jego akcencie zastosowanym do wysokości przedmiotu, o jego spójrzeniu udzielającém to wzruszenie którego sam doznawał. Gdy mówił, już nie widziano artysty z grubemi i czarnemi rękoma, z włosami spadającemi aż na oczy. Nie, stała przedemną jedna z tych uprzywilejowanych istot, których dusza otrzymała razem z tchnieniem bóstwa, iskierkę twórczego ognia.

—Lecz, rzękłam postępując ku niemu; zapewne nie z traktatu o szczytności nauczyłeś się robić wierszy, są bowiem dobre, bardzo dobre.

—Ach! już oddawna pisałem je... miałem straszliwych nauczycieli.

A jego fizyonomia znowu przybrała szczytny wyraz.

—Okropności roku 1793 zrobiły mię poetą: rzekł nareszcie posępnym tonem po długiém milczeniu. Widziałem że główną pobudką śmierci tylu ofiar, była zemsta, chciwość, i żądza wywyższenia się« Talma rzekł do niego aby deklamował odę o któréj namienił, a człowiek ten zaczął jeden z najpiękniejszych kawałków poezyi, jakie kiedykolwiek słyszéć mi się zdarzyło.

Było to wezwanie do potwór leśnych, ażeby uczyły się okrucieństwa od ludzi. »Wy przynajmniéj, mówi poeta, szanujecie słabość waszej samicy, waszego starego towarzysza, macie staranie o waszych dzieciach. Lecz tu, ani wiek, ani płeć, nie ochrania od śmierci, od śmierci okropnéj, krwawéj!«

Ten wieczór uczynił na mnie mocne wrażenie; patrząc na tego zadziwiającego człowieka, wielbiłam jego talent, zapytałam się Talmy dla czego nie chciał deklamować wierszy Franciszka.

—Ponieważ chciałem przekonać panią, rzekł na to. Królowa Hortensya i wielka xiężna Bergu chciały go także słuchać. Wyznaczyły mu pensyę, każda po 100 luidorów. Królowa Hortensya podarowała mu Plutarcha. Mniemaliśmy, że po przeczytaniu tego dzieła napisze cóś doskonałego. Bynajmniéj, ten człowiek tak wielki, tak wzniosły gdy był zostawiony sam sobie, nic nie zrobił, skoro stanął w kole przeszkód, zwanych prawidłami.

Longin wielbiciel Platona żył w trzecim wieku ery chrześciańskiej. Był nauczycielem syna Zenobii królowej Palmiry i jéj ministrem. Gdy cesarz Aurelian zdobył Palmirę, Longin jako główny doradzca oporu przeciw potędze Rzymian, został ujęty i śmiercią ukarany. Posiadamy jego traktat o szczytności.



GROTA BALME.

OSOBLIWOŚCI NATURY.

GROTA BALMY

Do rzędu najciekawszych osobliwości natury należy grota Balme we Francyi w departamencie Izery znajdująca się niedaleko miasta Cremieu.—Jadąc z tego miasta do wioski Balme, przebywamy drogę, wzdłuż której po jednej stronie ciągną się skały bardzo wysokie, a z drugiej spiekłe- płaszczyzny; wierzchołki skał uwieńczone są wspaniałemi lasami. Płaszczyzny między drogą do Balme a Rodanem, bardzo smutny przedstawiają obraz. Tu i owdzie kilka ździebeł trawy, kilka nędznych kłosów, wyrasta na czerwonym i kamienistym gruncie; podróżny z żalem spogląda na te nędzne grunta, opuszczone i bezludne, któremi pyszny Rodan zdaje się pogardzać. Z takiem to uczuciem smutku i politowania, przybywamy do wioski Balme; ubodzy jej mieszkańcy przyjmują podróżnych i dziwią się zawsze, że zdaleka przyjeżdżają do nich, zwiedzać i uwielbiać rzecz tak prostą, jaką jest *jaskinia w ziemi.*

Lecz w istocie, ukrywa się cud przyrodzenia, między górami, pośród gromadki lepianek, biedny wieśniak zbudował swoją chatkę pod cieniem ogromnych głazów, z których utworzyła natura przysionek do tych podziemnych świątyń zbogaconych

arcy-dziełami rzeźby, nietkniętéj nigdy młotem i dłutem snycerza.

Wziąwszy przewodnika z wioski, człowieka któren patrzy nie widząc i widzi nie rozumiejąc, można śmiało przebyć trudny przystęp do téj czarodziejskiéj jaskini. Przewodnik zawsze oziębły, zawsze jednostajny, stawia stopę swoją w miejscu wydeptanym stopami jego dziadów, powtarza wyrazy których się od nich nauczył i podobnie jak oni, jest świadkiem uniesienia, przestrachu, uwielbień, a nigdy żadna iskra tego zapału nie rozgrzeje jego zmysłów. Wtedy tylko doznaje wzruszenia lub obawy, gdy słyszy iż się kamień odrywa, gdy uważa iż pochodnia gaśnie, i w tym względzie używa jak największych środków ostrożności.

Wnijście do groty jest pośród wioski; sklepienie jest wzniosłe i wyciosane jak łuk tryumfalny pośród stronnych skał, rozciągających się nieskończenie. Ze szpar tego sklepienia wypada potok i ginie w głębokiem wydrążeniu obok skały. Pęki bluszczu, rozrosłe drzewa i massy skał wznoszące się w kolumny, ozdabiają i uzupełniają ten wytworny przysionek.

Po jednéj jego stronie jest kaplica na pół rozwalona, a krzyż święty stoi tam, dla zaspokojenia w razie niebezpieczeństwa, dla dodania odwagi.

Tylko cośmy przestąpili próg i minęli kaplicę, ściemnia się za każdym krokiem. Wchodzimy do przysionka, mającego blisko sto stóp wysokości, ściany są nieregularne, najeżone głazami albo też wyżłobione dziwacznie. Chcąc iśdź daléj, trzeba wedrzeć się na te skały a jeźli zatrzymawszy się na ich wierzchołku spojrzymy za siebie, widzimy najpiękniejszy krajobraz: wioseczka Balme, zieloność portyku, potok spadający po kamiennem łożu, niebo ginące w dalekości, wszystko to oświecone promieniami słońca, tém cudowniejszą sprzeczność przedstawia z przepaścią, którą u stóp naszych widzimy i z ciemnem wydrążeniem które nas otacza. Za każdym krokiem zdaje się podróżnemu, iż ziemia roztworzy się pod jego stopami; wlecze się po osuniętych głazach; zwalone góry wiszą nad głową jego, jak szczątki zniszczonych zamków, musi suwać się po czarnéj i śliskiéj ziemi, otworami przez które ledwie jeden człowiek przecisnąć się może i takim sposobem dostaje się do drugiéj jaskini, obszernéj sali, któréj grunt i sklepienie nie są równe, ozdobionéj wapiennemi osadami czyli stalaktytami. Za tą salą jest kilkanaście amfiteatrów, gdzie symetrycznie ustawione są liczne miednice, w które spada woda strumienia.

Te miednice, dzieło natury, wydają się jakby ręką rzeźbiarza zrobione, jedne mają postać ogromnych muszli, drugie starożytnych naczyń z Paros; ich białość odbija się od czarnych ścian groty i tém wydatniejszemi czyni ich festony i wyżłobienia.

Ztamtąd idziemy do groty zwanéj dyamentową, jéj ściany pokryte są kryształami rzucającemi jak najżywsze światło, gdy blask pochodni pada na ich powierzchnią, a miliony ścianek łamią je i odbijają na wszystkie strony. Wilgoć téj sali jest niebezpieczna dla zdrowia i porzucamy ją czémprędzéj, udając się, łagodną pochyłością, lecz wązkiem przejściem, nad brzeg jeziora.

W owéj to chwili doznajemy nie wymownego uczucia podziwu i dobrego bytu. Znużeni czołganiem, suwaniem i wdrapywaniem się, znajdujemy wreście chwilę wypoczynku; małe czółenko jest przy brzegu, siadamy w nie i bez trudów przewozimy się na drugą stronę jeziora. Wody tego jeziora są tak czyste iż wszędzie dojrzeć można jego dno z żółtego piasku. Sklepienie już to zniża się tak, że ledwie przepłynąć zdołamy, schylając się równo prawie z powierzchnią wody, już to dostajemy się do rozległych pieczar, których obwodu dojrzeć nie można. Jezioro ma przeszło milę obwodu, a po téj żegludze wysiadłszy na ląd, zapuszczamy się w nową drogę, gdzie i innego rodzaju wrażenia czekają na nas.

Aż dotąd, smętność przysionka, ciemne i niebezpieczne pieczary, amfiteatra, rzeźby, krystalizacye, mamiły i zachwycały zmysły nasze, a ta łódka, ta czysta woda, wzbudziły w nas, po uroczystych i poważnych myślach, myśli wesołe i przyjemne. Gdyby się na tem kończyła podróż, zachowalibyśmy tylko wspomnienie podziwu i uwielbienia, lecz w pieczarze do któréj zstąpić mamy, przestrach ogarnia duszę.

Przebiegłszy niezmiernie długie korytarze, wilgotne i zimne, przychodzimy do niezmiernéj jaskini, żadna pieczara przeznaczona na chowanie ciał zmarłych, nie przedstawia tak smutnego i razem uroczystego obrazu. Ze wszech stron wznoszą się massy skał wyciosane jak groby, na tych grobach klęczą olbrzymie widziadła, podobne do modlących się mnichów tu i owdzie są pęki broni i grobowe urny, tam znowu kolumny utrzymujące niezmierne sklepienie gotyckiego kościoła, owdzie ściany pokryte długiemi rurami nakształt organów, massy podobne do ołtarzy, a wszystkie te ozdoby, igraszki natury, nie wyczerpanéj w tworzeniu kształtów, są dziełem ścieku wód, które nasycone wapienną materyą, osadzają onę, skoro tylko zetkną się z powietrzem.

O kilka kroków od tego obwodu, powietrze staje się duszne i cuchnące; im się dalej idzie, tem bardziej tłumi się oddech. Po ciszy grobowej panującej w tych pieczarach, następuje daleka wrzawa; za każdym krokiem powiększa się hałas i woń nieznośna. Ktoby się znajdował sam jeden w téj zatrutej atmosferze i pośród téj piekielnéj wrzawy, mógłby mniemać że jest w siedlisku potępieńców. Nie raz chcieliśmy zaniechać dalszéj drogi, lecz ciekawość wzięła górę nad wstrętem. Po godzinie drogi dostajemy się nareście do pieczary, z jednéj strony idącéj w niezmierzoną głębią, a z drugiéj strony ciągnącéj się jakby taras. Z tego miejsca można poznać przyczynę wrzawy i zepsucia powietrza; tam od najdawniejszych czasów miliony niedoperzy ma schronienie; siedzą przyczepione do ścian, a ich szczątki wpadają w głębię na spód pieczary. Skoro tylko światło przedrze się do ich smutnego mieszkania, zrywają się, latają nad głowami podróżnych i trzeba czemprędzéj opuszczać to miejsce, z uczuciem utrudzenia i wstrętu. Bardzo wązki korytarz prowadzi do izby królewskiéj: tak zwanéj, ponieważ król Franciszek I. spoczął tam przez chwilę: z tamtąd dostajemy się nareszcie do przysionka groty.

W kaplicy znajdującéj się przy wnijściu do pieczar, xiądz odprawia mszę co niedziela, a raz w rok w dzień Wniebowzięcia Matki Boskiéj, uroczyste nabożeństwo ściąga mnóstwo ludu z okolicy. Tłumy wiernych klęczą na drodze prowadzącéj do groty, a nawet i w głębi przysionka; nabożne pienia łączą się z szmerem potoku i giną w głębinach pieczary; posępność tych miejsc wzmaga religijne uczucia; wątpliwe światło pada na gromady stojące na masach skał; to wszystko tworzy uderzający obraz.

WARTOŚĆ ŻYCIA.

USTĘP Z PAMIĘTNIKÓW SZLACHCICA BRETOŃSKIEGO.

Powieść filozoficzna

EUGENIUSZA SCRIBE.

Pan Scribe nie wyczerpany autor tylu przyjemnych wodwilów, wydał teraz kilka powieści, które z mocném zajęciem przyjęła publiczność francuzka. Jednę z nich umieszczamy.

Józef otwierając drzwi salonu, uwiadomił mię, że powóz pocztowy już zajechał. Matka i siostra rzuciły się w moje objęcia. »Jeszcze jest czas mówiły, wyrzecz się téj podróży i zostań z nami.—»Moja matko, jestem szlachcicem, mam 20 lat, chcę pozyskać sławę, chcę odznaczyć się w zawodzie wojskowym lub u dworu. »A jak odjedziesz, powiedz mi Bernardzie co się ze mną stanie? — »Z radością i chlubą dowiesz się matko o powodzeniu twego syna.—»A jeżeli zginiesz w bitwie?—„Mniejsza o to! Cóż jest życie, któż o tém myśli? Nie, młodzieniec szlachetnego rodu w dwudziestym roku życia, myśli tylko o chwale. Za kilka lat wrócę do ciebie jako pułkownik, marszałek, albo wielki urzędnik dworu? —»I cóż ztąd wyniknie?—»To że będą mnie szanować i poważać. — »A potém? — »Każdy powita mię z uszanowaniem. —»A potém?— »Ożenię się z moją kuzynką Henryką, siostry wydam za mąż, i żyć będziem wszyscy szczęśliwi i spokojni, w moich posiadłościach w Bretanii.—»A dla czegoż od tego dziś jeszcze nie zaczniesz? Czyliż twój ojciec nie zostawił najpiękniejszego majątku w kraju? Czyliż o dwadzieścia mil na około są bogatsze dobra i piękniejszy zamek jak *Roche Bernard?*—Czyliż każdy nie pozdrawia cię i nie odkrywa głowy przed tobą? Nie opuszczaj nas mój synu; zostań przy twoich przyjaciołach, twoich siostrach i twojéj staréj matce, któréj za powrotem może już nie zastaniesz; nie rozpraszaj na próżną chwałę, i nie skracaj przez zabiegi i umartwienia wszelkiego rodzaju, życia, które i tak prędko upływa. Życie jest słodką rzeczą mój synu, a słońce Bretanii jest tak piękne.« To mówiąc wskazała na piękne aleje mego parku, na stare kasztany, kwieciste lilie, powoje, których woń napełniała powietrze, a zieloność lśniła się od słońca.— W przedpokoju stał ogrodnik ze swoją rodziną; smutny i milczący, zdawał się także upominać mnie: »Nie odjeżdżaj młody panie, nie odjeżdżaj « Hortensya młodsza moja siostra uścisnęła mię; mała Amelia zatrudniona przeglądaniem rycin z bajek *La Fontena,* przybliżyła się do mnie z książką. »Czytaj, czytaj mój bracie mówiła z płaczem... Była to bajka Dwa gołębie. Zerwałem się z krzesła i rzekłem. »Mam lat dwadzieścia, jestem szlachcicem, potrzeba mi zaszczytów, chwały, dozwólcie mi odjechać«. I wybiegłem na dwór. Wsiadałem już do powozu, kiedy dziewica pokazała się *we drzwiach.* Była to Henryka! ona nie płakała, nie wyrzekła ani słowa... lecz blada i drżąca zaledwie mogła utrzymać się na nogach. Chustką którą trzymała w ręku, uczyniła mi znak ostatniego pożegnania i upadła bez przytomna. Pobiegłem do niéj, podniosłem, ścisnąłem w moich ręku, i przysięgałem miłość wieczną; a w chwili kiedy zaczęła powracać do zmysłów, pozostawiwszy ją staraniom matki

i mojéj siostry, pobiegłem do powozu bez zatrzymania się, nie odwracając nawet głowy. Gdybym był patrzał na Henrykę nie mógłbym odjechać. Za chwilę powóz toczył się po szerokim gościncu.

Przez długi czas myślałem tylko o moich siostrach, o Henryce, o mojéj matce i o tém szczęściu które porzucam; lecz te myśli zagładzały się w miarę jak wieżyczki *Roche Bernard* nikły przed mym wzrokiem, a wkrótce marzenia dumy i chwały owładnęły mój umysł. Jakież stawiałem zamki na lodzie, o jak pięknych czynach marzyłem sobie w powozie pocztowym! Bogactwa, honory, godności, powodzenie we wszystkiém, nic sobie nie odmawiałem, godzien ich byłem; wreszcie wynosząc się stopniami w miarę przejechanéj odległości; byłem xięciem, parem, rządcą prowincyi, a nakoniec marszałkiem Francyi, kiedy wieczorem zajechałem na nocleg. Głos służącego który nazwał mię skromnie, *panem*, zwrócił mię do rzeczywistości. Nazajutrz i dni następnych, bawiły mię też same marzenia, albowiem podróż moja dość długo trwała. Jechałem w okolice Sedanu do xięcia C*** dawnego przyjaciela mego ojca, i protektora mojéj familii. On zabierze mię do Paryża, przedstawi u dworu, i otrzyma dla mnie kompanią dragonów, przez wpływ Markizy de F*** młodéj i zachwycającéj kobiety. Przybyłem wieczorem do Sedan, a nie mogąc o téj godzinie udać się do zamku xięcia, stanąłem w najpiękniejszym hotelu w mieście, gdzie zgromadzają się wszyscy oficerowie: albowiem w Sedan stoi załoga.

Wieczerzałem przy wspólnym stole; spytałem się o drogę prowadzącą do zamku xięcia C*** »Każdy panu wskaże: odpowiedziano: zamek ten znany jest w okolicy. Tam umarł wielki wojownik i sławny człowiek Marszałek Fabert«. I rozmowa zwróciła się na marszałka Fabert Mówiono o jego bitwach, o jego skromności, którą powodowany nie przyjął tytułu szlachectwa i orderów. Mówiono zwłaszcza o nadzwyczajném szczęściu, które go z prostego żołnierza wyniosło do godności marszałka Francyi. Był on synem xięgarza: jedyny to był przykład takiego wywyższenia. Za życia Faberta, pospólstwo przypisywało je nadprzyrodzonym przyczynom. Mówiono że zatrudniał się od dzieciństwa czarnoxięztwem, że zawarł przymierze z szatanem. A nasz oberzysta, który do głupowatości szampańskiéj, łączył łatwowierność bretońskich wieśniaków, zapewniał nas z najzimniejszą krwią, że w zamku xięcia C*** gdzie umarł Fabert, widziano człowieka czarnego, którego nikt nie znał, wciskającego się do jego pokoju i niknącego nagle z duszą zmarłego, którą był dawniéj kupił, a która tém samém do niego należała. I teraz nawet, w miesiącu Maju, w dzień śmierci Faberta, widziano iż człowiek czarny chodził ze światłem po pokojach. Rozweseleni tą powiastką, wypiliśmy butelkę szampana na cześć ducha familii Faberta, prosząc go ażeby także i nas wziął pod swoją opiekę i dozwolił wygrać kilka bitew.

Nazajutrz rano udałem się do zamku xięcia C***. Był to obszerny gmach gotycki; w innym czasie byłby nie zwrócił uwagi mojéj, lecz oglądałem go z ciekawością pomieszaną z niejakiém wruszeniem, przypominając sobie opowiadanie naszego oberżysty.

Służący zamkowy odpowiedział mi że nie wie czyli można widzieć się z jego panem. Kazałem oznajmić kto jestem; wyszedł, zostawując mnie samego w sali rycerskiéj, ozdobionéj godłami myślistwa i obrazami familii.

Czekałem jakiś czas i nikt nie przychodził. Ten zawód chwały i zaszczytów, o którym marzyłem, zaczyna się więc od czekania w przedpokoju, mówiłem sobie: takim wstępem zacząłem się niecierpliwić: przeliczyłem już dwa czy trzy razy wszystkie portrety familijne, i wszystkie belki sufitu, gdy w tém usłyszałem lekki szelest za obiciem. Wiatr otworzył drzwi zle zamknięte. Rzuciłem wzrokiem i ujrzałem bardzo ładny budoar oświecony przez dwa wielkie okna i drzwi szklanne wychodzące na okazały zwierzyniec; postąpiłem kilka kroków i zatrzymałem się. Jakiś człowiek tyłem obrócony do drzwi przez które wszedłem, leżał na kanapie; podniósł się nie spostrzegając mię i pobiegł porywczo do okna. Łzy spłynęły po jego licach; głęboka rozpacz napiętnowała wszystkie jego rysy; pozostał kilka chwil niewzruszony; głowę ukrył w rękach, potém zaczął się przechadzać po pokoju wielkiemi kroki. Byłem wtedy blisko niego; spostrzegł mię i zadrżał; ja sam chciałem się cofnąć, przepraszając go za moją natrętność. »Kto jesteś? czego chcesz? zapytał się głosem mocnym, wstrzymując mię za ramie.« Jestem kawaler Bernard z *Roche Bernard* i przybywam z Bretanii... »Wiem, wiem, odpowiedział mi, i rzucił się w moje objęcia, kazał usiądź przy sobie, mówił żywo o moim ojcu i o całéj familii którą znał tak dobrze, iż nie wątpiłem aby to był kto inny jak pan zamku.

»Pan jesteś książe C***? zapytałem go. Podniósł się, spojrzał na mnie z żalem i odpowiedział:—Byłem, lecz już nim nie jestem, a widząc moje zadziwienie: wykrzyknął: Ani słowa młodzieńcze, nie przerywaj mi.—»Jeżeli panie, byłem pomiwol-

nym świadkiem twego smutku, i twojéj boleści, i jeżeli ci mogę przynieść jaką ulgę...
—»Tak jest, prawdę mówisz,nie dla tego ażebyś mógł zmienić los mój, lecz usłyszysz moją ostatnią wolą, moje ostatnie wyznania... téj jedynéj usługi wymagam od ciebie.

Zamknął drzwi,a potém usiadł przy mnie. Wzruszony i drżący, słów jego oczekiwałem; miały one w sobie coś poważnego i uroczystego; postać jego zaś przybrała szczególny wyraz, któregom nigdy jeszcze nie widział. Wpatrywałem się w jego oblicze i zdawało mi się że go napiętnowała jakaś fatalność. Twarz miał bladą, z czarnych jego oczu sypały się błyskawice, a od czasu do czasu, jego rysy chociaż zmienione przez cierpienie,przybierały uśmiech szyderczy i piekielny.

»To co mam opowiedzieć, pomiesza twój rozum, rzekł; będziesz wątpił... nie uwierzysz... ja sam często jeszcze wątpię... Chciałbym jednakże... lecz dowody są oczewiste i w tém wszystkiem co nas otacza, w naszéj organizacyi nawet, jest wiele tajemnic ,którym musiemy poddać się, nie mogąc ich zrozumieć « Zatrzymał się jak gdyby dla zebrania myśli, pociągnął ręką po czole i mówił daléj.

»Miałem dwóch starszych braci, do których należały dobra i zaszczyty naszego domu; stan duchowny jedynym był dla mnie zawodem.

Jednakże uczucia dumy i chwały burzyły się w mojéj głowie i miotały sercem. Nieszczęśliwy w mojém ukryciu, chciwy sławy, marzyłem tylko o sposobach jéj nabycia, a ta myśl zrobiła mnie nie czułym na wszelkie przyjemności i słodycze życia. Obecność niczém była dla mnie, żyłem tylko w przyszłości, a ta przyszłość przedstawiała mi się w najczarniejszéj postaci. Miałem blisko 30 lat, a niczem jeszcze nie byłem. Wówczas zjawili się w stolicy sławni pisarze, których odgłos doszedł aż do naszych prowincyi. Ah! nie raz mówiłem do siebie, gdybym mógł przynajmniéj wsławić się w zawodzie literackim! Powiernikiem mego smutku, był dawny sługa, stary murzyn; znajdował się on w zamku jeszcze przed mojém urodzeniem; nikt nie pamiętał jego wejścia; krajowcy utrzymują nawet, że znał marszałka Fabert i był obecny przy jego smierci"...

W téj chwili opowiadający zatrzymał się na widok mego zdumienia, i spytał coby mi było.—,,Nic; odpowiedziałem, lecz mimo woli myślałem o czarnym człowieku, o którym wczoraj nasz oberzysta opowiadał. Pan de C*** mówił daléj.

»Pewnego dnia, w obecności Jago (to było imie murzyna) zacząłem ubolewać nad moją nicością, nieużytecznością mego życia i rzekłem. »*Dałbym dziesięć lat życia*» ażeby stanąć w pierwszym rzędzie naszych autorów.—,,Dziesięć lat: odpowiedział obojętnie: to jest wiele, drogo chcesz płacić za rzecz tak małą; mniejsza jednak, przyjmuję twoje dziesięć lat. Biorę je; przypomnii sobie twoje przyrzeczenie, ja dotrzymam mojego." Nie zdołam odmalować jakie podziwienie wzbudziły we mnie te słowa. Sądziłem że lata osłabiły jego umysł; ruszyłem ramionami uśmiechając się, a w kilka dni potém opuściłem zamek, w celu udania się do Paryża. Tam zacząłem uczęszczać do towarzystwa ludzi uczonych. Przykład ich ośmielił mię, wydałem wiele dzieł których powodzenia nie będę opowiadał... Pisma publiczne napełnione były: memi pochwałami; nowe imie którem przybrał stało się sławne, i wczoraj jeszcze, młody człowiecze, ty sam uwielbiałeś mię...

Zdumiony, przerwałem to opowiadanie... »Pan nie jesteś więc xiąże C*** rzekłem.

—»Nie odpowiedział obojętnie.« A ja mówiłem do siebie: Człowiek sławny w literaturze... Jestżeto Marmontel? d'Alembert? Wolter?...

Mój nieznajomy westchnął; uśmiech żalu i pogardy ukazał się na jego ustach i daléj mówił.

»Ta sława literacka któréj tak zazdrościłem, w krótce nie wystarczyła dla duszy tak pałającéj jak moja. Wzdychałem do szlachetniejszych powodzeń, i mówiłem do Jago, który udał się ze mną do Paryża i nie opuszczał mię więcéj »Nie masz chwały rzeczywistéj, nie masz Prawdziwéj sławy prócz téj,która się nabywa w zawodzie wojskowym. J cóż to jest człowiek uczony, poeta? nic. Mów mi o wielkim wodzu; otoż to jest przeznaczenie którego zazdroszczę, i za sławę wojskową dałbym drugie *dziesięć lat życia.* — Przyjmuję je, odpowiedział Jago; biorę je, one do mnie należą; nie zapomnij.

Stąpał wielkiemi krokami, mówił z takim zapałem i uniesieniem; podziwienie zlodowaciło moje zmysły, mówiłem do siebie. Któż to jest?... Coigny?... Richelieu... marszałek de Saxe?...

Po tém uniesieniu, mój nieznajomy zesłabł; przybliżając się do mnie rzekł z miną ponurą. »Jago mówił prawdę i kiedy późniéj uczuwszy niesmak do chwały wojskowéj, wzdychałem do tego co jest rzeczywistém i pewnem na tym świecie, kiedy za cenę pięciu albo sześciu lat życia, żądałem złota i bogactw, on mi jeszcze nie odmawiał.... Tak jest młodzieńcze, miałem majątek dostateczny, przechodzący nawet wszelkie moje chęci. Ziemia, lasy, zamki, tego rana jeszcze wszystko było w mojéj mocy, a jeżeli wąt-

pisz o mnie, jeżeli wątpisz o Jago.... zaczekaj... zaczekaj... on przyjdzie... i zobaczysz na własne oczy, albowiem to co mięsza twój i mój rozsądek, na nieszczęście bardzo jest rzeczywistém.«

Nieznajomy przybliżył się do komina, spojrzał na zegar, zadrżał i rzekł cichym głosem. »Dzisiejszego poranku czułem się tak osłabionym, że zaledwie mogłem się podnieść. Zadzwoniłem na służącego. Jago mi się pokazał. — »Cóż mi jest? zapytałem go. — »Panie to rzecz bardzo naturalna. Godzina przybliża się, chwila nadchodzi. — »Jaka chwila? rzekłem. — »Nie domyślasz się? niebo przeznaczyło ci 60 lat życia. Miałeś 35 kiedy zacząłem ci bydź posłusznym.—»Jago, rzekłem z przestrachem, czyliż ty mówisz prawdę?—»Tak panie, w pięciu latach rozproszyłeś 25 lat życia, mnie je dałeś, one do mnie należą; te dni których się pozbawiłeś, będą do moich przyłączone.—»Co? taka była cena twoich usług?—»Inni płacili mi jeszcze drożéj, świadkiem jest Fabert którym się także opiekowałem.—»Milcz, milcz, rzekłem mu, to nie podobna, to nie prawda! —»Jak ci się podoba, lecz przygotuj się albowiem pozostaje ci tylko pół godziny życia.—»Żartujesz ze mnie, zwodzisz mię.—»Bynajmniéj; rozważ to sam dobrze. Trzydzieści pięć lat prawdziwego życia, i dwadzieścia pięć straconych czynią ogólnie 60, to jest twój rachunek, każdy ma swój» Chciał wyjśdź... a ja czułem iż siły moje gasną, głos słabieje.—Jago! Jago! zawołałem, daj mi kilka godzin, kilka godzin jeszcze.—»Nie, nie, odpowiedział, musiałbym odjąć je od mego rachunku, a ja znam lepiéj cenę życia. Nie masz skarbu któryby mógł opłacić dwie godziny życia.—»A więc! rzekłem mu, odbierz te dobra za które tyle poświęciłem, cztéry godzin jeszcze, a wyrzeknę się mego złota, bogactw, i tych dostatków których tak żądałem.—Niech i tak będzie: byłeś dobrym panem, chcę zatem cóśkolwiek dla ciebie uczynić; zezwalam.«

»Czułem iż się wzmacniają siły moje, i wykrzyknąłem: Cztéry godziny! to jest tak mało!... Jago... Jago!... jeszcze cztéry godziny, a wyrzeknę się mojéj chwały literackiéj, wszystkich moich dzieł, tego co mnie tak wysoką zjednało wziętość u świata. — „Cztéry godziny za to! odrzekł murzyn z pogardą... to za wiele; mniejsza jednak, nie odmówię ci téj ostatniéj łaski. — Nie ostatniéj, rzekłem składając ręce... Jago! Jago! błagam cię daj mi aż do wieczora 12ście godzin, dzień cały, a wtenczas moje czyny, moje zwycięztwa, moja sława wojskowa, niech to wszystko na zawsze będzie wygładzone z pamięci ludzi i niech nic z niéj nie pozostanie na ziemi... dzień... Jago, dzień cały a będę bardzo szczęśliwy.—»Nadużywasz mojéj dobroci, rzekł, a ja nie korzystne uczyniłem kupno: mniejsza jednakże, daję ci życie aż do zachodu słońca, lecz późniéj nie proś mnie już o nic więcéj. Tego wieczora przyjdę po ciebie. — I oddalił się: mówił nieznajomy z rozpaczą: a dzień obecny jest ostatnim mego życia!" Po tém, przybliżając się do drzwi szklannych wychodzących na zwierzyniec, rzekł: »Już nie zobaczę pięknego nieba, tych zielonych trawników, tych strumyków mruczących, nie będę oddychał balsamicznem powietrzem wiosny. Jakże byłem nierozsądny! te dobra które Bóg daje dla wszystkich, dobra na które byłem nie czuły, a których słodycz teraz pojmuję.... przez 25 lat jeszcze mógłbym ich używać, a strawiłem moje dni, poświęciłem je dla próżnego znaczenia, dla nieużytecznéj chwały, która nie uczyniła mnie szczęśliwym i znikła pierwéj niżeli ja żyć przestałem!... Patrz... rzekł wskazując na wieśniaków, którzy śpiewając szli na robotę, czegożbym nie dał ażeby podzielić ich pracę i nędzę... lecz nie mam nic do dania, ani do żądania na téj ziemi, nic.. nawet nieszczęścia!«

W téj chwili, promień majowego słońca, oświecił jego rysy blade i obłąkane; chwycił mię za rękę z uniesiem rozpaczy i rzekł: »Widzisz... widzisz więc, słońce tak jest piękne, a ja muszę je opuścić... Ach! gdy bym jutro mógł się jeszcze cieszyć jego widokiem, używać tego dnia tak pięknego... który już nie będzie dla mnie.«

Wybiegł do zwierzyńca, i na zakręcie alei znikł mi z oczu.

Upadłem na kanapę odurzony tém wszystkiem com dopiéro widział i słyszał. Wkrótce podniosłem się, przechadzałem ażeby tym lepiéj się przekonać że mi się nie śni. W tém drzwi buduaru otworzyły się, a służący oznajmił xięcia C***. »Człowiek 60 letni, postawy odznaczającéj się wszedł, ścisnął mię za rękę i prosił o przebaczenie, że tak długo musiałem czekać.« Nie byłem w zamku, mówił mi, powracam z miasta gdzie radziłem się o zdrowie hrabiego C*** mego brata młodszego. —»Czyliż życie jego jest w niebezpieczeństwie? zapytałem.— Nie panie, dzięki Niebu, odpowiedział książe, lecz w młodości wyobrażenia ambicyi i chwały wzburzyły jego umysł, a choroba bardzo mocna i z któréj zaledwie wyszedł, zostawiła w jego umyśle pewien rodzaj obłąkania; wyobraża sobie iż pozostaje mu tylko jeden dzień życia. I to jest jego słabość.

Zrozumiałem wszystko.

»Teraz, mówił daléj książe, poznajmy się bliżéj, młodzieńcze; zobaczymy, co

mogę uczynić dla ciebie. Pojedziem przy końcu tego miesiąca do Wersalu. Przedstawię cię u dworu.—»Znam twą dobroć dla mnie xiąże, i przychodzę ci za nią podziękować. Jakto! czyliżbyś się wyrzekł dworu i korzyści, których się tam możesz spodziewać?

—»Tak jest panie. — »Lecz uważ że za moją pomocą, prędko będziesz postępował, a przy pilności i cierpliwości... możesz za lat dziesięć.—»Dziesięć lat straconych! rzekłem.—»I cóż zapytał się z podziwieniem, czyliż to jest droga zapłata za chwałę, majątek, zaszczyty?... Młodzieńcze pojedziemy do Wersalu — »Nie xiąże, odjeżdzam do Bretanii, i proszę cię racz przyjąć podziękowanie całej mojej familii...

—»Co za głupstwo zawołał xiąże. A ja myśląc o tém wszystkiém com dopiero widział; i słyszał, mówiłem sobie. »Nie głupstwo lecz rozsądek.

Nazajutrz pojechałem do domu. Z jakąż przyjemnością ujrzałem mój piękny zamek *Roche Bernard*, stare drzewa mego zwierzyńca, piękne słońce Bretanii, moich wieśniaków, moje siostry, moich przyjaciół!.. Znalazłem szczęście... które odtąd nie opuściło mię więcej, albowiem w krótce zaślubiłem Henrykę.

ŹRÓDŁA WISŁY

przez

APOLONIJUSZA TOMKOWICZA

Anglia wysyła w odległe południka strefy, nieustraszonych Landerów, aby wyśledzali biegi rzek obcych, w niepewnéj nadziei, że późne kiedyś pokolenia użytek z téj wiadomości odniosą. My od wieków ciągnąc niezliczone korzyści z téj wspaniałéj rzeki, przez samą wdzięczność za tak mnogie przysługi i dary, powinnibyśmy znać ją dokładnie. A jednak dotąd nikt podobno jeszcze źródeł jéj nie zwiedził, nikt o nich publiczności nie doniósł. Tą więc myślą uczynienia zadość serc moich ziomków potrzebie oddawna wiedziony, w pobliżu zamieszkały, postanowiłem przed rokiem jeszcze, odbydź pielgrzymkę do źródeł Wisły. Lecz różnemi wstrzymany przeszkodami, niedawno dopiero zamiar mój do skutku doprowadzić zdołałem.

Jakoż w dniu 3 Października 1834 r. na noc *w Ustroniu* wsi Szląska Cesarsko-Austryackiego, od 1¾ mili powyżéj *Skoczowa* stanąwszy, nazajutrz rano, wózkiem góralskim, w dalszą brzegami Wisły, w górę puściłem się drogę. W pół godziny późniéj wjechałem w granicę wsi, również jak strumyk ją przerzynający, *Wisłą*, po niemiecku także *Weichsel* nazwanéj. Wieś ta niezmiernie rozległa, dwa kościoły, ewangielicki i katolicki i 2800 dusz mająca, należy równie, jak i poprzednie *Ustronie*, tudzież cała tutejsza okolica, do dóbr Jego Cesarzewiczowskiéj mości, arcy xięcia Karola, a źródła Wisły, i dziewięciu naprzód zasilających ją potoków, w jéj się obwodzie mieszczą. We dwie godziny po wyjeździe z *Ustronia*, przybyłem tutaj do mieszkania Leśniczego, po Szląsku myśliwiec zwanego: zkąd gościnnie przyjęty, wziąłem za przewodnika, Leśnego imieniem Jakób *Szarzec* (*) i w dalszą pieszo ruszyłem podróż; gdyż wozowéj nie ma już wyżéj kolei, i tylko ścieszkami w górę piąć się potrzeba. Tak idąc przez cztery godziny, ciągle pod górę *Barania* zwaną, a ostatnie ćwierć mili po złomiskach odwiecznego lasu, w dniu tym, już na trzy palce śniegiem pokrytych, stanąłem wreszcie u pożądanego celu, stanąłem u źródeł naszéj poważnéj Wisły. Na zachodniéj wklęsłéj pochyłości, wzmiankowanéj góry, któréj nazwa podług wieści ztąd pochodzi, iż na niéj niegdyś las, a w nim trzysta paszących się zgorzało baranów; i w połowie jéj wysokości, ośm w półkole na 50 do 100 kroków od siebie oddalonych, i pod rozłożystych świerków cieniem, ukrytych poników tryska, każdy grubości ręki. Te przezroczyste strugi, z całéj okolicy, a daléj z całego kraju, unoszą z sobą wody, pod głowném imieniem Wisły znane. Miejsce to, w narzeczu tamtejszym *Wyrch* (wierzch, szczyt, punkt najwyższy) *Wisełki* zwane, ledwie na 300 kroków od granic państwa i wsi *Kameszniсy*, w Obwodzie Wadowickim odległe, jest prawdziwym i najdalszym początkiem Wisły, a ośm zródeł, łącząc może, o sto kroków niżéj, w kierunku ku zachodowi, swoje nurty w jeden potok, przybierają nazwę czarnéj Wisełki. Mieszkańcy bowiem wsi *Wisły*, niby przywiązani do niemowlęcia rodzice, potok ten, w obrębie całéj swojéj dziedziny, *Wisełką* pieszczotliwie mianują, A jak krzepki młodzieniec, od łona troskliwéj matki oderwany, brzmiące przybiera imie, pod którém kiedyś, mąż dojrzały, ma wświecie zasłynąć; tak i drobniuchna zrazu *Wisełka*, dopiero wówczas prawdziwe swoje otrzymuje miano, aż ro-

---

(*) Uczciwy ten Góral, prosił mnie w swojéj prostocie ,,*żeby ludzie wiedzieli że ich* (*pana*) *Jakób Szarzec kludził* (prowadził) *i wszystko dobrze pokazał*" Czyniąc więc zadosyć, tak niewinnéj dumie, z któréj i ktoś drugi korzystać może, imię tu jego umieszczam.

dzinnéj wsi Wisły opuści zagrody, i pod niém Kraków i Warszawę minąwszy, nareszcie w burzliwych ginie Baltyku falach. W pomienionym kierunku, od wschodu na zachód, z ćwierć mili w dół ciągle po kamieniach skacząc, czarna *Wisełka* nagle się na północ zwraca; i daléj się ku zachodniéj skręcając północy, przebywa śluzę, dla spławienia szczepu (*) od lat kilku wybudowaną, aż wreszcie po raz ostatni w przeciwną ku zachodowi obracając stronę, i pochłonąwszy już potok zwany *Wolna* od wschodu z pod góry *Rubowska* z pół mili płynący, w miejscu zwanym *Uśczarny* (zapewne ujść, czyli ujście czarnéj) o pięćset sążni, powyżéj wspomnianéj już Leśniczówki swoje czyste i zielonawe wody, aż z potokiem *Białką* połącza. *Białka* ta, co do ilości wody, *Czarnéj* równa, a w tym samym kierunku co i *Wolna* płynąc, wytryska z pod górki *Skałka* o $1\frac{1}{4}$ mili na wschód od swego ujścia i jéj to zapewne źródła wziął naprzód Długosz, a za nim Swięcki za początek Wisły, gdy go pod Skałką naznaczają. Nazwisko jéj pochodzi od mętnéj barwy, którą w czasie słoty przybiera, kiedy *Czarna* zawsze czyste wody toczy. Złączywszy się zaś *Białka* z *Czarną* wspólne już przybierają nazwisko *Wisełki*, która odtąd silniejsza, nagle swój bieg niepewny i kręty na prościejsze, szczerze ku północy zniżone koryto zamienia. W tym więc nowym kierunku płynąc, zabiera po drodze od wschodu potoki: *Malinkę* z pod góry *Kopiec* o milę i *Gościejów* z pod góry *Smerkowiec* (**) o poł mili wyżéj wytryskające, nareszcie *Partaznik*, strumyk mały i krótki. Zaś od zachodu wpadają do niéj, również jeszcze w obrębie wsi *Wisły*: *Jawornik* z pod *Beskidka,* góry nad wsią *Niedek* pół mili, *Gachora* z pod tejże ćwierć mili, *Dziechein* z pod *Stożka* $\frac{3}{4}$ i *Kopydła* z pod góry *Kiciory* o milę płynące. Tak więc wodami dziewięciu potoków wzmocniona *Wisełka*, wyrywa się z macierzyńskiego łona wsi Wisły, wpada w granice wsi *Ustronia*, i tu dopiero sama rodzinne i w świecie głośne nazwisko *Wisły* przybiera. Ten jest prawdziwy początek królowéj rzek naszych, która z razu szczupła i słaba, dopiero o ćwierć mili poniżéj wspomnionéj leśniczówki, dokąd śpiesznie idąc ledwo za $6\frac{1}{2}$ godziny wróciłem a przynajmniéj o dwie mile od swego źródła i z wielą już potokami złączona, pierwszy młyn poruszać zdoła. Aż w *Ustroniu*, nowemi wzrosłszy zasiłkami, *Bukowéj*, *Dobki* i t. d. wody swoje na przekop pół mili długi wracając, nadaje ruch pięknéj papierni, wielkiemu piecowi do topienia rudy i mnogim fryszerkom do przekowania żelaza i miedzi. (*) Daléj w tym samym kierunku na północ płynąc, dotyka murów miasteczka *Skoczowa* (Skotschau) o $1\frac{3}{4}$ mili od *Ustronia* odległego, i tu ją każdym gościńcem podróżujący po owym długim przebywa moście. Wreszcie, o dwie mile daléj na północ od *Skoczowa*, pod miasteczkiem *Strumień* (Schwartzwasser) nagle się ku wschodowi zwraca i w tym kierunku *Białkę*, która Szląsk od Galicyi dzieli, od miasta *Białéj* płynącą, pod wsią Dziedzice z sobą zabrawszy, do *Oświecimia* przybywa. Tutaj *Solą* od południa i *Przemszą* od północy bieżącą, która znów granicę między Prusami a Królestwem Polskiem stanowi, zasilona, zaczyna bydź spławną, ciągle ku wschodowi śpiesząc, *Tyniec* i *Zator* pomijając, wezbrane spotykanemi wodami nurty niesie w hołdzie Krakowu.

Sądząc, że początek rzeki tak wielkiéj, w siedliskach ludu dawne powieści namiętnie miłującego, jakim w ogóle są Sławianie a osobliwie nasi górale, ustne między nimi uwiecznić musiał podanie, rozmawiałem w saméj wsi *Wiśle* i po drodzę z włościanami, z nauczycielem szkółki parafialnéj i z plebanem miejscowym, w celu wybadania jakiéj gadki, którąby zamierzonemu opisowi źródeł Wisły wdzięku dodała, a bacznego czytelnika uwagę treścią swoją zająć mogła. Lecz nad moje oczekiwanie, starania tak liczne żadnego nie odniosły skutku, a szanowny kapłan tutejszy i nauczyciel rodem z *Wisły*, przeszło trzydzieści lat dzieci tam uczący, zapewnili mnie, iż żadne w uściech ludu miejscowego nie utrzymuje się podanie względem poważnéj téj rzeki. W *Skoczewie* dopiero jest podanie, że księżna jakaś i kiedyś w Wisłę wskoczyła; a ztąd miasteczko w miejscu tam stojące, nazwę *Skoczew* otrzymało. Pewne tu zatem podobieństwo, z historyą naszéj Wandy upatrywaćby można,

(*) *Szczepem* w prowincyonaliźmie naszych w Wadowickiem, i szląskich górali, zowie się drzewo na opał, naprzód w kloce czyli gnatki rznięte, a potem wzdłuż łupane, szczepane albo szczepione; a ztąd i łuczywo bukowe do swiecenia, szczypami, czyli właściwie szczepami się tu mianuje.

(**) Tutejszy *Smerk*, albo *smrek* jest to właściwie świerk. Góra *Barania*, w $\frac{3}{4}$ swojéj wysokości, biorąc od szczytu, tém pięknem drzewem jest okryta, a niżéj dopiero jedliną.

(*) Mimo tego *Wisła* tak jeszcze tutaj jest mała, iż w porze, kiedy tam byłem, piec tylko szedł wielki, a wszystkie fryszerki i hamernie stały; na głównem jéj korycie ani kropli wody nie było.

które przenikliwym dziejów badaczom, nie jeden wniosek nastręczyćby zdołało. Z rozmów z włościanami dostrzegłem tylko, iż nazwisko *Wisła* w ich uściech, liczby jest mnogiéj, i tak, mowią np. idę do *Wisel* i t. p. U nas w polskim języku, *Wiosło* do kierowania statków na wodzie, pospolicie *wiesło* wymawiane, równie się przypadkuje. Może więc w starożytności, zwyczajny dotąd w Galicyi, a na górnéj Wiśle, w r. 1834 używany (*) spust drzewa aż pod Kraków tratwami, które także wiosłem się kierują, nazwiska wsi i rzeki, w niéj źródła mającéj, nadał początek.

(*) Obacz dzieło xiędza *Kneifel* pijara pod napisem: *Topographie des K. K. Antheils von Schlesien, Brünn* 1804 Część 2ga str. 88.

LISTY XIĘDZA ALBERTRANDEGO.

(Dalszy ciąg)

Kopenhaga 27 Lipca 1790 r.

Tegoż dnia w Piątek byłem z wizytą u Arcybiskupa Upsalskiego Prymasa Szwedzkiego *Uno de troil* nazwanego. Jest to człowiek mający około 40 lat, wzrostu słusznego, figury najkształtniejszéj, przy powadze nie zmyślonéj pełen grzeczności i obyczajności. Długośmy z sobą rozmawiali z największą poufałością; oglądałem jego księgarnią, z któréj darował mi księgę ciekawą bardziéj niż użyteczną, językiem Czeskim, zawierającą nabożeństwa kościelne obrządkiem Hussytów. Zaprosił mię nazajutrz na obiad, który był z wszelką wspaniałością. Była przytomna matka jego sędziwa, siostra, i żona jego młoda, kilku Professorów, ośmioro dzieci jego, obojéj płci rozmaitego wieku, dozorca synów i guwernantka córek. Wszyscy po Francuzku mówili, przystojność, szczerość, otwartość serca, wesołość wynikająca z poznania gościa z tak dalekich krain, wydawała się w wszystkich, a w dzieciach można było upatrować najlepszą edukacyą. W kościele znowu widziałem różne groby mianowicie Gustawa Wazy, któremu nowe mauzoleum król dzisiejszy tamże wystawia, Jana III i Jagellonki królowéj Szwedzkiéj Katarzyny, któréj czworograniaste jest z kamienia mauzoleum z kolumnami po rogach takiemiż i herbem tylko Polskim i Litewskim po prawym boku. Na nim figura królowéj leżąca, a w głowach przybity do ściany nagrobek na spiżowéj tablicy wierszem pisany, bardzo długi bo sto wierszy łacińskich przechodzący. To mauzoleum bardzo jest nadpsute przez pożar, który w czasach przeszłych wielką w tym kościele szkodę sprawił; ale powiadano mi, iż król Szwedzki oświadczył, iż nakładem swoim chce naprawę onego i przyozdobienie przedsięwziąść. Teraz wracam się do mojéj w Upsalu kwerendy. Tak z Arcybiskupów jako i z Akademików i Bibliotekarzy wyrozumiałem, iż pęki ogromne listów królowi Jmci darują, zwłaszcza, że im są cale nieprzydatne. Księgi zaś inne pisane, które dla sławy pisarzów zaszczytem być mienią biblioteki swojéj, pozwolą przewieść, aby przepisane a potém odesłane były. Ale tak do darowania pierwszych, jakoteż do użyczenia drugich, trzeba zezwolenia kanclerza Akademii Upsalskiéj, którym iż jest królewicz Szwedzki, przeto ztąd wynika, iż potrzeba pozwolenia królewskiego.

Z Upsalu wyjechałem w Niedzielę 2 Julii prosto na zachód do Westeras, w którym to mieście w Bibliotece katedry słyszałem, iż są rękopisma ruskie, o których miałem podejrzenie, iż bydź mogą dawnemi księgami grodzkiemi lub ziemskiemi litewskiemi. Przyjechałem tam około godziny trzeciéj po południu. Udałem się do Biskupa Benzeliusza albo Benzenstierny, tamto jest przezwisko dawne familii, to przezwisko tejże familii już uszlachcionéj. Wszyscy Biskupi synowie tu zwykli szlachectwem być zaszczyceni, a wszystkim prawie uszlachcionym łamią przezwisko, kończąc je na Stierna, strom, hielm, styold.

Oglądałem bibliotekę, ale rękopisma ruskie nic nie zawierały oprócz ksiąg z Francuzkiego tłomaczonych, a to jeszcze małéj wagi i cale przedsięwzięciu memu obcych, nabytych na końcu przeszłego wieku przez Sparwenfelda w stolicy. Tegoż dnia więc ruszyłem daléj, na Orebro i Arbog i ciągnąłem nad jeziorem Wetter zawsze to jezioro mając ku prawéj ręce do Wadsteny, gdzie stanąłem we środę następującą na samo południe. Wadstena miasto jest jak i inne wszystkie wyżéj wspomnione całe prawie z drzewa budowane, wyjąwszy kilka kamienic i zamku królewskiego. Każde tu miasto ma zamek królewski, ale pospolicie opuszczony i w stanie opłakanym. Zamki najlepsze obrócone są na kwatery żołnierzy. Wadstena miasto wsławione jest klasztorem zbudowanym od S. Brygitty i grobem tejże świętéj i córki jéj S.

Katarzyny Wastaneńskiéj. Kościół pryncypalny zawiera kilka grobów królów i wiele ostatków katolictwa, obróconych teraz na luterskie obrządki, nawet bez rugowania tego co się z wyznaniem luterskim mniéj zgadza. W zakrystyi jest kilka kielichów starożytnych i ornatów które katolikom służyły, na formę których są zrobione ornaty, których i teraz w Luterskich Szwedzkich kościołach w dni uroczystsze używają, z tą różnością, iż biskupi kapy używają a równie biskupi jako i niżsi komży tylko pod kapą lub ornatem. Kolor czarny ornatów jest najuroczystszy i takiego na Boże Narodzenie i Wielką noc używają. W tejże zakrystyi jest wielka skrzynia z uczciwością zachowana, a w niéj trumienka w któréj są złożone kości S. Brygitty i S. Katarzyny Wastaneńskiéj. Ta trumienka długa iest na łokci 2 czworograniasta, u góry spiczasta nakształt szczytu zakończona deszczką na zawiasach będącą otwiera się. Obita jest całe aksamitem karmazynowym i przyozdobiona ze wszystkich stron blachami na przemianę kwiaty proste i kwiaty z herbem naszym *Swinka* nazwanym, szmelcowanym zawierające, wyrażającemi srebrnemi złocistemi i może złotemi. Nie mogłem się na miejscu dowiedzieć, coby ten herb polski znaczył, ale mam nadzieję iż dojdę, który to był nabożny Polak, który grób téj świętéj przyozdobił. Otworzono trumnę w któréj było cokolwiek pozostałych kości, od krzyża, nóg, rąk i żebrów ale w małéj bardzo kwocie.

W innéj stronie miasta jest kościół Klasztorny od S. Brygytty zbudowany, teraz opuszczony i walący się. Z jednéj strony jest klasztor panien, który przez czas niejaki służył na kwaterowanie żołnierzom, teraz ruiną ze wsząd grozi, z drugiéj strony jest klasztor zakonników w lepszym trochę stanie, ponieważ i teraz żołnierze przynajmniéj inwalidowie w nim stanowisko mają. Przyczyną położenia takowego tych klasztorów, jest przepis reguły S. Brygitty, która chciała aby kościoły spólne obojéj płci były, i obie w chórach sobie właściwych i osobnych, ale temuż kościołowi przyległych, kościelne nabożeństwa odprawowały. Jest przy tym kościele salka, w któréj zebrano wszystkie z kościoła katolickiego pozostałe nabożeństwa przeszłego ostatki. Między któremi wiele jest posągów, figurek, ołtarzyków trybem drobiazgowego płci niewieściéj a mianowicie zakonnic nabożeństwa. Pokazują tam posągi w których głowy i ręce wyjmują się lub na różne strony obracają. Mienią to bydź zabobonności dowodami. Ale luterskiemu kapłanowi to mnie pokazującemu dowiodłem, iż tak były sporządzone te posągi, aby zakonnic zwyczajem, we dni uroczystsze łatwiéj w świetne lub bogate suknie mogły być przybrane.

Miałem intencyą wyjeżdżając z Sztokholmu wyboczyć do Kund, dla zwiedzenia tam matki żyjącéj Engeströma wdowéj biskupa Lundskiego i siostry jego żony professora Theologii w tamecznéj akademii, tudzież chciałem oglądać tameczną bibliotekę, ale tak znużony byłem podróżą więcéj sta mil naszych wynoszącą, przez kraje w których ani obmyśleć sobie wygody nie można, ani z nikiem rozmówić się, co nudę niewypowiedzianą sprawuje, że, z inąd zasłyszawszy iżbym w bibliotece Lundskiéj nic kwoli zamiarowi memu nie znalazł, przedsięwziąłem prosto udać się do tutejszéj stolicy. Stanąłem więc dnia 16 Julii w Helsingborg, a nazajutrz przeprawiwszy się przez Sund na samo południe w Helisingor alias Elsenorze, a tegoż dnia o godzinie 9 w Koppenhadze w przeciągu 5 godzin jednym ciągiem 6 mil ujechawszy.

(Dokończenie nastąpi).

SEMILASSO W AFRYCE.

PRZEZ XIĘCIA PUKLER MUSKAU

(5 *tomów in 8vo*, *Sztutgard* 1836*go*)

Xiąże Pukler Muskau, znany całej Europie ze swoich przygód, podróży, pojedynków, pism, o którym nie raz wspominały także nasze gazety, odbył w roku 1835 podróż do Afryki, a postrzeżenia w niéj zebrane wydał w języku niemieckim, pod tytułem, przytoczonym na czele tego artykułu, *Semilasso w Afryce*. Semilasso jest to przybrane nazwisko, użył go już xiąże Pukler Muskau w dwóch tomach, które poprzedziły jego podróż do Afryki i obejmują jego najświeższe wycieczki do Francyi i Niemiec. Widać iż autor chciałby uczynić z niego oddzielną osobę utwór fantastyczny w rodzaju Childa, — Harolda, lecz nie

nadał mu dosyć wyrazistéj fizyonomii, ani też oddzielnego charakteru, ażeby czytelnik nie brał zmyślenia na rzeczywistość. Już to jest kronika, a wtedy jest mowa o Semilasso; już to dziennik; lecz najczęściéj są to listy pisane przez autora, bądź do xiężnéj de Muskau (jego żony) badź do hrabiego Puckler (jego brata) bądź do innych osób. Xiąże Pukler blisko przez rok przebywał w Afryce, trzy miesiące poświęcił na zwiedzenie Algieru, resztę na zwiedzenie regencyi Tunis.

Xiąże Pukler Muskau przybył do Algieru 13 Stycznia 1835; nie będziem zatrzymywać się nad opisem tego miasta, malowniczych grup ożywiających jego place, wschodniego zbytku sklepów ulicy Babazum; nie będziemy towarzyszyć podróżnemu pośród labiryntu ciasnych ulic, przecinających miasto Maurów; lecz pójdziemy z nim razem do Kassauba, zamienionéj w koszary. Ten świetny gmach jest teraz opustoszały. Sławne kioski, wielka galerya zwierciadeł, bogata marmurowa posadzka, już nie istnieje; stłuczono prawie wszystkie wykładania różnobarwną porcelaną, które ozdabiały drzwi i okna.

Tarasy z których tak piękny był widok, są zeszpecone nieczystością i pozbawione wspaniałych drzew które je zacieniały. Zaledwie pozostał jeden olbrzymi wiąz i kilka biednych drzew pomarańczowych. A jednakże szczątki tego gmachu, przedstawiają wspaniały widok. Jedna tylko altanka ocalała, w niéj to był dany ten sławny policzek, któren Francuzi nazywają trąceniem wachlarzem i któren przyprawił deja o utratę państwa.

Nie zaszło nic ważnego na wyprawie jenerała Rapatel, któremu towarzyszył xiąże, lecz widziemy tam obrazy miejscowości, obozowanie wojska, ustępy z życia Arabów i słabe zarodki kolonizacyi, nie mogące się rozwinąć. Targ Bufarel, uczęszczany przez pokolenia przyjazne Francuzom, przedstawia malowniczy i ożywiony widok. Nie ma tam stopniowania między cywilizacyą i barbarzyńcami. Ta patryarchalna powaga wodzów, to pasmo wojny i rabunku, te stosunki między mocnym i słabym, przypominają średnie wieki naszemu podróżnemu, unoszą jego wyobraźnię i zdaje mu się, iż łatwo byłoby wielkiemu kapitaliście, utworzyć sobie w téj krainie byt zupełnie feodalny.

»Dosyć byłoby na to, mówi on, nabyć obszerną przestrzeń gruntów nad brzegiem morza, wystawić murowany zamek, otoczyć posiadłość wałem opatrzonym kilkoma blokhauzami, trzymać na załodze ze stu żołnierzy i podarunkami zjednać sobie przyjaźń sąsiednich pokoleń. Tym sposobem, możnaby w krótkim czasie i pośród zupełnego bezpieczeństwa, otrzymać znaczne dochody, wielki wpływ, a nawet prawdziwą potęgę. Mała przypadkowa wojna z dzikiemi hordami gór Atlasu, nastręczyłaby w takim położeniu nowy powab, podałaby sposobność okazania sił swoich. Tak więc, z jednéj strony byłyby wieki średnie i feodalność, z drugiéj, tegoczesna cywilizacya i przyjemność europejskiego towarzystwa. Lecz Francuzi są nieczuli na to wszystko co jest poetycznego w tych pomysłach, nie lubią pobytu w Afryce, pragną jak najśpiesznéj powrócić do kraju i trudno im będzie zaprowadzić w téj krainie trwałą cywilizacyą i korzystne osady.«

Nikt nie posiada w wyższym stopniu od xięcia Pukler Muskau, sztuki korzystania z towarzystwa z ludźmi i pozyskania ich ufności, umie wyciągnąć z nich to wszystko co jest najbardziéj zajmującem i najtrafniejszém: a przez to staje się biografem wszystkich znakomitych ludzi, których napotyka. Admirał Bretoniere, opisuje mu swoje kampanie w Indyach i negocyacye z byłym dejem. Jussuf dowódzca mameluków, a teraz szef szwadronu w służbie francuzkiéj, opowiada mu nietylko życie pełne krwawych i romansowych przygód, lecz także ciekawe szczegóły o obyczajach Mameluków i o tajemnych stowarzyszeniach, znajdujących się w krajach machometańskich. Pan le Coq konsul Belgicki, udziela mu szczegółów o Chinach, dziwacznych anegdot o lordzie Bajronie i charakterystycznych szczegółów o cesarzu Marokańskim, Legion cudzoziemski, ten zbiór ludzi ze wszystkich krajów zgromadzonych na tém miejscu dziwacznem igrzyskiem losu, otwiera ważne pole filozofowi i malarzowi obyczajów.

Lecz nie zatrzymując się na tym przedmiocie, pójdziemy wraz z naszym podróżnym w okolice Algieru. Tam on, jak prawdziwy malarz krajobrazów, kreśli obraz roślinności afrykańskiéj, lecz ubolewa nad zniszczeniem, które wszędzie rozpostarło się za śladami Francuzów; przepyszne pałace deja zamienione w lazaret, ogrody zasadzone warzywem, gmachy tylko na pół w gruzach leżące, laski drzew pomarańczowych i posadzki mozajkowe poświadczają dawną wspaniałość. Same tylko domy wiejskie konsulów i dom pułkownika Bernelle, zachowały ślady maurytańskiego wytworu i zbytku. Domy bogatych algierczyków są opuszczone, zniszczone; marmurowe fontanny, schody z fajansu, stłuczone albo zawalone nieczystościami; drzewa wycięte; kilka tylko cyprysów stoi tam jak pomnik grobowy

Po daremnem oczekiwaniu na wyprawę któraby ułatwiła zwiedzenie gór Atlasu, xiąże umyślił przedsięwziąźć na swój własny koszt i z narażeniem się, wycieczkę, którą jak mówiono, tylko z oddziałem 2000 żołnierza uskutecznić było można. Tym razem przedsięwzięcie to umieszczone jest na rachunek Semilassa. Widzimy go jak wyjeżdża ubrany po maurytańsku, na czele małego oddziału Arabów; przedziera się w te części Atlasu których żaden Europejczyk nie zwiedził od czasu zdobycia Algieru, jest gościem *Kaidów z Beni-Massa i Krasna*; doznaje u nich jak najserdeczniejszéj gościnności; śpi pod ich namiotami, je ich pilaw i z niemi razem wdziera się na wierzchołek góry Hammal, jednéj z najwyższych w tym łańcuchu, a przepędziwszy sześć dni w towarzystwie Arabów, powraca do Algieru, koło przylądku Matifu, wzdłuż brzegów morza.

Przerywa się kronika i następuje dziennik, zaczynający się od opisu bytności pana Klemmerath, przedsiębierczego podróżnika, siostrzeńca jenerała Rapp, u sławnego Abdel-Kadera.

Po krótkim pobycie w Oran, Pan Klemerath towarzyszył do Maskary niejakiemu panu Lepellisier, któren chcąc założyć dom handlowy w Arsoe, dawnéj Arsenania, otrzymał od Abdel-Kadera prywatne posłuchanie.—Nim ich wprowadzono przed oblicze tego naczelnika pokoleń, Arabów, przeszli przez kilkanaście izb, w których znaleźli Kaidów, niechętnie patrzących na to, że przed niemi dano pierwszeństwo cudzoziemcom. Abdel-Kader przyjął ich, siedząc na bogatym kobiercu. Jest to człowiek pięknej postaci, ale trochę blady; uprzejmem skinieniem głowy pozdrowił obubwóch francuzów, nie czyniąc przy tém żadnego ruchu, a po tém dał im znak aby usiedli obok niego, na sofie europejskiego kształtu. Rozmowa była bardzo ożywiona i bez najmniejszego przymusu; przyjemność, trafność i przebiegłość odpowiedzi Abdel Kadera, zdziwiły pana Klemerath; sądzi że podobniejszy jest do naszych zręcznych dyplomatów, aniżeli do groźnego wodza Arabów.

Xiąże Pukler opuszcza Algier i płynie do Bony. Statek zawija do portu Bugia; położenie tego miasta jest bardzo malownicze; strome skały wystają z łona wód; jedna podobna jest do olbrzymiego przysionka i w dalekości wspaniały widok przedstawia. Cytadella zawieszona jest jak gniazdo orle na wierzchołku skał. Bugia jest z resztą zbiorem rozwalonych domów.

Dowódzca artylleryi, wielki przyjaciel starożytności, zebrał znaczną ich ilość, obejmującą ciekawe dowody o pobycie Rzymian w tych stronach. Zdaje mu się, że klima Bony było daleko zdrowsze aniżeli teraz, a przynajmniéj tak wnosić można z starożytnych nagrobków niejakiego Terencyusza, zmarłego w 80 roku życia, Semproniusza w 88, a nareście jednego z familii Scypionów, któren dożył lat 95. Teraz, zaraźliwe gorączki i nieznośne upały w lecie, więcéj szkodzą załodze francuzkiéj, aniżeli kule Arabów. Jakkolwiek pięknie wygląda miasto Bona od strony morza, jest tylko nędznym zbiorem zwalisk. Muzułmanie nigdy nie naprawiają domów; syn nie chce mieszkać w domu gdzie umarł jego ojciec i nowy sobie buduje; ztąd pochodzi, że wszystkie miasta muzułmańskie, tak są zapełnione rozwalinami.

Generał d'Uzer zdołał zabezpieczyć od napaści okolice Bony, jest to jedyne stanowisko w regencyi, gdzie można bez obawy przebywać okolice. Xiąże Pukler Muskau, korzystając z tego, zwiedził zwaliska starożytnéj Hippony i towarzyszył generałowi w wyprawie przeciw nieprzyjacielskiemu koczowiskowi. Obydwa wyjeżdżają na dziki, których jest wielka liczba na płaszczyźnie; xiąże dwa zabił własną ręką, co mu wielką sławę zjednało. Z Bony udał się do Tunis.

Wprzódy nim pójdziemy za jego śladem, zdajmy sobie sprawę o jego opinii względem francuzkiéj osady w kraju Algierskim. Nie jest pochlebna dla francuzów. Trwonią wiekie siły dla osiągnienia bardzo małych skutków; pustoszą i niszczą zamiast zakładania; nie wzbudzili w Arabach ani zaufania ani bojaźni; a ludy te, uderzone płochością, a zwłaszcza religijnem niedowiarstwem tych zdobywców, nie mogą wierzyć, aby chcieli rzetelnie dotrzymać danych przyrzeczeń.

Codziennie wysyłają wyprawy z kilku tysięcy ludzi złożone, dla odebrania kilkuset sztuk bydła, zabranego przyjaznym pokoleniom, czyliż nie wypadałoby przywiązać do nich nie tak materyalnego celu? W ostatniéj wycieczce, wojska francuzkie przeszły około bardzo ważnego i zupełnie nieznanego pomnika, któren Arabowie zowią *Kobur er runnia*: przeszli o kilka wystrzałów od niego, a nikt ani go rozpoznał ani nawet obejrzał. Jakże zajmującą byłaby wyprawa naukowa do Czorczora, najwyższéj z gór małego Atlasu. Rzecz dziwna, że prowincya Konstantyny, tak kwitnąca za Rzymian, i pełna najznamienitszych i najlepiéj zachowanych starożytności, jest jeszcze zupełnie nieznana Francuzom, którzy pominęli sposobną porę do objęcia jéj w posiadanie. Uwagę każdego bezstronn go człowieka uderza ta okoliczność, że Francuzi, po kilkoletniém posiadaniu, z piętnastu ty-

siącami wojska nie mogli tego dokazać, ażeby o dwie mile od Algieru, można wyjechać bez eskorty wojennéj, a chcąc dostać się do Bleda, o cztery mile od stolicy, trzeba wyruszyć z korpusem 2 lub 3 tysięcy żołnierzy. Nie można wstąpić w góry Atlas, a zyzna równina Metidja jest nieuprawną i pustą, ponieważ osadnicy nie są pewni ani swoich posiadłości ani życia. Tém bardziéj zadziwiać to powinno iż rząd Deja, z siedmiu tysiącami Turków, utrzymywał w posłuszeństwie cały kraj, od Maroku aż do Tunis. Zdaje się, iż Francuzi mimo tylu świetnych zdolności, nie znają się na sztuce kolonizacyi, albo rząd nie myśli wcale o zachowaniu Algieru, a jeźli nie porzucił go do tego czasu, uczynił to jedynie przez wzgląd na opinią powszechną i dumę Francuzów, którzy tak mocno oświadczyli się za utrzymaniem téj posiadłości.

Po ośmiu dniach burzliwéj żeglugi na wątłym statku Genueńskim, xiąże Pukler przypływa do Bizerty; w tém mieście postrzega po raz pierwszy piętno afrykańskie, wolne od wszelkiego wpływu europejczyków. Pola, sprzecznie z regencyą Algieru, są bardzo dobrze uprawne; załoga z pięćdziesięciu inwalidów, ktorych Aga dostaje około piętnastu soldów, czyli złoty jeden dziennie, wystarcza do utrzymania porządku i pokoju. Rządzca i poborca, tyleż płatni, uzupełniają cały skład urzędników cywilnych i wojskowych, miasta liczącego 12000 mieszkańców, załatwiają wszystkie interesa nie mają ani sekretarzów, ani komissantów ani kancellaryi, ani bióra.

Wszystkie archiwa Deja Tunetańskiego, mieszczą się w jednéj szafie. Taka prostota uderza naszego podróżnika; wartoby zwrócić uwagę na tak ekonomiczny sposób administrowania.

Szkoda, że zamiast Algieru nie zajęto regencyi Tunis. W Tunis zamiast w Algierze, Francuzi byliby znaleźli powolniejszą ludność, grunt niezmiernie zyzny i doskonałe porty. Klima jest może najzdrowsze w świecie; wiatry północne umniejszają upał letni, zima jest bardzo łagodna; nie panują tam żadne choroby, prócz morowego powietrza, które wkrada się z powodu nie używania żadnych środków ostrożności.

Nasz podróżny przybywszy do bram miasta, napotyka obóz rozłożony przy zwaliskach wieży. Wojska niedawno wyćwiczone na sposób europejski, zgromadziły się na musztrę. Ich uniform, karykatura naszego, postradał powagę i świetność wschodnią, jest niezgrabny i nędzny.

Xiąże Pukler był przedstawiony dejowi, co mu podało sposobność opisania *Bordu*, rezydencyi deja. Wpływ Franków co raz jest większy, konsulowie europejscy co raz większą mają powagę; lecz pośród miejscowych przesądów, cywilizacya zwolna postępuje.

Postrzeżenia swoje rozwija autor, nie trzymając się żadnéj metody, są to, jakeśmy już powiedzieli, bardziéj wrażenia aniżeli sądy; przerzuca się z jednego przedmiotu do drugiego, od ludzi do rzeczy, od obrazów do wyobrażeń, od teraźniejszości do przeszłości; już to wystawia nam bazary, te ciągłe wystawy krajowego przemysłu: widzimy tam sławne essencye z róży i jarminu, szale tureckie, rzędy na konie, obciążone złotem i haftami, szale tkane złotem, jedwabiem, sławne czerwone czapeczki których żywa i trwała barwa pochodzi od zródeł góry Sowan; już to zwiedzamy z nim razem Kassaubę, czyli rezydencyą Deja, w któréj kilka sal jeszcze jest pokrytych zbrojami żołnierzy Karola Vgo i tarczami Abenceragów. W téj cytadelli jest fabryka prochu; robotnicy palą tytuń i używają tłuczków żelaznych. Rzecz dziwna, że dotąd nie zdarzyło się nieszczęście. Allah strzeże prawo-wiernych i fatalizm jest bez wątpienia rzeczą bardzo wygodną.

Nowe koszary mogące pomieścić 2000 ludzi, wzbudzają uwielbienie xięcia. Zbudowane na starożytnych cysternach, obfitują w wodę, i kształtna ich budowa doskonale zastósowana jest do ich przeznaczenia.

Rozdział o kobietach nie obejmuje nic ciekawego; na całym wschodzie biedne te stworzenia są zawsze zamykane i tuczone jak drób. Upojone kadzidłami, przybrane w bogate suknie, wegetują na miękich sofach. Rzadko się zdarza, aby w ich sercach znalazła się moc i namiętność, jaką pokazała córka deja Tunetańskiego, kochanka Jussafa beja mameluków. Jéj romans skończył się śmiesznym i pospolitym sposobem. Nie mogąc pójśdź za swego kochanka, poszła za starego wodza Mameluków, i spokojnie poddała się przeznaczeniu swojemu, jak młoda sierota, w komedyi *Małżeństwo z Rozumu.*

Niecierpliwie pragnąłbym opuścić Tunis i towarzyszyć xięciu Pukler Muskau w jego wyprawach, lecz przedewszystkiém winienem dać wyobrażenie o rozmaitych plemionach mieszkających w obrębie regencyi tunetańskiéj. Oprócz 50000 żydów i wielkiéj liczby chrześcian, ludność składa się z Turków, z dawnych Maurów wygnanych z Hiszpanii, z Negrów sprowadzonych z wnętrza Afryki, i z Beduinów gór Atlasu. Wszystko to tworzy massę sprzecznych interessów.

Bereberowie byli posiadaczami tego kraju przed najazdem Arabów. Jest to zlé-

wek Numidów, Kartagińczyków, Rzymian i Wandalów. Posiadają zalety i wady swoich przodków, są mężni, wstrzemięźli i stali, lecz obok tego są okrutni rozbójnicy i mściwi. Beduini, daleko liczniejsi, nieodrodni następcy Arabów, wojowniczego i pasterskiego ludu, rozbijają namioty wszędzie gdzie ich wiedzie fantazya i potrzeba. Negrowie są niewolnikami, lecz łagodnego doznają obejścia i są w Tunis weselsi niźli gdziekolwiek bądź indziéj. Handel niewolnikami sprowadzanemi z głębi kraju, jest bardzo ważnym przedmiotem dla regencyi. Wszyscy rzezańcy beja są negry, posiadają wielką wziętość u swego pana, a niekiedy wywierają wpływ na polityczne wypadki.

Turcy odznaczają się niezmierną chciwością i zabobonami.

Żydzi składają się z familii oddawna osiadłych w tym kraju, oraz z wygnańców z Portugalii i Hiszpanii. Dawniéj byli bardzo prześladowani, i dziś jeszcze obchodzą się z niemi z zuchwalstwem i pogardą; jednak mimo tego pozornego uciemiężenia, wywierają wielki wpływ w Afryce, podobnie jak w Europie. Są na czele komor celnych, trzymają w dzierżawie dochody regencyi, oznaczają wartość pieniędzy, są podskarbiemi beja, jego poufałemi sekretarzami i tłómaczami.

Bez wątpienia, byłoby nam bardzo przyjemnie zapuszczać się z xięciem Pukler Muskau w wnętrze Afryki, lecz to przechodziłoby ogólny zarys jego dzieła. Późniéj udzielimy z niego pojedyncze wyjątki. Xiąże zwraca się najprzód ku północy, wzdłuż szczątków wspaniałego wodociągu, którym szły wody ze źródeł gór Sawan, aż do Kartaginy; w odległości mil dziesięciu. Po drodze zwiedza mało znane zwaliska Uthery, piękniejsze od szczątków Kartaginy i Utyki, wdziera się na górę Sowan a po dwudziennych trudach zstąpiwszy na pustą i spiekłą płaszczyznę przybywa do miasta Kirwan, które miane jest za święte, dla tego, że golibroda przyjaciel proroka, jest w nim pochowany.

W podróży po regencyi tunitańskiéj odkrył zwaliska wielu miast rzymskich jako to, *El Djemme*, dawne Tisdrus; Truzzo, dawne *Aquae regiae* Cilma, Sufchula, Hydra, dawne Tynidrum, gdzie są najwspanialsze zabytki starożytności. Między Hydrą a Keff spotyka zwaliska miasta mającego przeszło dwie mile obwodu, Arabowie zowią je Tela albo Sela. Daremnie by go szukano w Ptolomeuszu, Strabonie i Prokopie. Xiąże uważa to miasto jako starożytne Thala, lecz nie mógł wyczytać żadnego z licznych napisów znajdujących się na jéj pomnikach. Wynajduje zwaliska miast Sufis i Medagra, podług napisu którego w zupełności przytacza, ale ponieważ nie ma wzmianki o takiém mieście w żadnym starożytnym historyku, sądzę więc że to jest miasto zwane od Ptolomeusza *Naraggara* a od Liniusza *Nadagara*. Xiąże widział tam wspaniały teatr mający 250 stop średnicy i wiele innych gmachów. Wypocząwszy kilka dni w Keff, *Sicca Veneria* starożytnych przybywa do wioski Dugga, zbudowanéj pośród zwalisk miasta Tukka, może największych w całéj Afryce, które opisuje szczegółowo. Beduinowie opowiadają ciekawe legendy o tych zwaliskach. Rzecz dziwna, że to miasto leżące o trzy dni drogi od Tunis, było aż dotąd nieznane.

Po tych opisach starożytności, wpadamy znowu w romans i dramnę: to jest że Semilasso pokazuje się na scenie, lecz tylko na krótką chwilę; gdyż umiera otruty złym obiadem. Nie będę się rozwodził nad temi zmyśleniami, ani nad przemianą Semilassa w kameleona; nie wątpię bowiem, że podobny do Fenixa, w krótce odrodzi się z popiołów swoich, w innéj części świata.

Zarys ten zakończymy kilkoma uwagami nad autorem i jego dziełem. Nie trzeba go oceniać, ani jako dzieło sztuki ani jako naukową pracę. Xiąże Pukler maluje z trafnością i mocą, lecz bez planu i metody to co mu pod oczy podpadnie; podróżuje po kraju którego geografia jest prawie nieznana, gdzie są tylko same zwaliska i dzika natura, a nie wziął ze sobą ani antykwaryusza, ani rysownika, co byłoby zrządziło tak szczęśliwe rezultata. Nie bawi się zbieraniem napisów, nie dbając o erudycyą usiłuje zaspokoić tylko własną ciekawość, a dla niéj, ten człowiek, żyjący jak Sybaryta w stolicach Europy znosi mężnie w najcieplejszych miesiącach letnich, skwary afrykańskiego słońca i ten uczeń Epikura dobrowolnie wystawia się na jak największe trudy, na wszelkie niebezpieczeństwa i choroby. Opłakując że xiąże Pukler nie zwrócił usiłowań swoich do wyższego i trwalszego celu, przyznać musimy, że w zupełności osiągnął cel którego sobie założył, zajęcia i zabawienia czytelników. Wdzięczni za tę przyjemność, spodziewajmy się, że opisy tak żywe, tak ciekawe ustępy z koczownego życia, że krajobrazy Afryki tak pięknemi zwaliskami urozmaicone, zwrócą uwagę powszechną na tę krainę, a łatwość z którą przebiegać ją można, zachęci jakiego podróżnika do zwiedzenia jéj pod naukowym względem. To tylko możemy twierdzić, że

nikt lepiéj od xięcia Pukler Muskau nie odda jéj malownéj piękności.

ISLANDYA.

W roku 861, rozbojnik morski z Norwegii, zwany Nadod płynąc do wysp Feroe, zaskoczony został od burzy i wyrzucony na nieznaną wyspę: była to Islandya. W dziesięć lat po tém, znaczna liczba rodzin szlacheckich, prześladowana przez Haralda przezwanego piękno włosym, opuściła Norwegią i szukała przytułku na téj wyspie nowo odkrytéj, którą zrazu nazwano Ziemią Śniegu, a po tém ziemią lodu (*Is* znaczy lud; *land* ziemia) Podzielili się krajem i założyli rząd arystokratyczny, pod naczelnictwem dożywotniego prezydenta. Wojny domowe wszczęły się między mieszkańcami, a nieszczęśliwa kraina spustoszona przez wiele stronnictw i wybuchy wulkanów, poddała się Norwegii. W czternastym wieku przyłączona została do Danii i dotąd należy do niéj. Taka jest w krótkich słowach historya Islandyi, wyspy mało znanéj dotąd, w któréjby jednakże mógł zebrać podróżny i badacz przyrodzenia, tyle ważnych i ciekawych postrzeżeń.

Islandya jest bardzo wielka, większa od Danii i Holsztyńskiego xięstwa, a ledwie ma 50000 mieszkańców; dawniéj miała dwa razy tyle, jak mówią, lecz przykre klima, wulkany, głod i powietrze, bez ustanku wytępiają jéj ubogą ludność. Ze wszystkich stron widać same tylko nagie i spiekłe skały, pola okryte grubą skorupą lawy i bagniska. Nie ujrzysz tam, ani jednego drzewa, ani roli okrytéj zbożem. Tu i owdzie napotyka się kawałek zieloności otoczony grubym murem, w środku stoi chata ulepiona z ziemi i wyłożona darniną. Jest tam jedno tylko ciasne i niskie wnijście, wązkie okna po każdéj stronie i dziura w środku dachu, dla wypuszczania dymu. Pomieszkanie to, dzieli się na pięć lub sześć części: tu jest kuchnia, tam spiżarnia, nieco daléj kuźnia i obora. Zimno nie dochodzi lecz cuchnąca wilgoć panuje. Tam żyje wieśniak islandzki. Jest ubogi, pracowity i cierpliwy. Na polu które uprawia, zbiera tylko trochę paszy na zimę dla krów i koni. W zimie, pod czas długich nocy, tak posępnych i zimnych w Islandyi, wychodzi na połów ryb, a dochód z rybołóstwa zaopatrza wszystkie jego potrzeby. Suszy ryby na sprzedaż a dla siebie zachowuje tylko głowy stokfiszów i pstrągów. Na wiosnę, kupcy duńscy zawijają do brzegów, a biedny rybak przynosi im ryby z takim trudem uzbierane, kręgi łoju i wełnę. Bierze w zamianę żyto, cukier, wódkę i odzież. W lecie także trudni się rybołóstwem, sprząta pole, a resztę czasu obraca na robienie potrzebnych mu narzędzi. Żona dopomaga mu gorliwie, przędzie wełnę, robi płótno do żagli, ma staranie o domu, a dzieci gdy już podrosną, idą za ojcem na połów ryb i uczą się ciesielstwa i kowalstwa. Cały dzień przepędziwszy na tak ciężkiéj pracy, biedni ci ludzie, nie mają innego pożywienia oprócz mąki zrobionéj z suszonych i utartych ryb, trochę gorzkiego masła i zupy z żytniéj mąki, piją wodę pomieszaną z mlekiem, albo napój z fermentowanego mleka zrobiony, zwany syna, a pod czas wielkich uroczystości, trochę wódki albo piwa. Mimo tego, są mocni i czerstwi, a kobiety odznaczają się kształtnością kibici i świeżością rysów.

Wieśniacy żyją w odosobnionych domach. Czasem kilka mil drogi odbyć można, nie napotykając żadnego, a gdy znajdzie się trzy lub cztery razem, nazywają to miastem. Może temu odosobnieniu przypisać należy obojętność Islandczyków dla muzyki; nie ćwiczą się w niéj, ponieważ na to potrzeba koncertów, zgromadzeń i zabaw publicznych. Nie malują także, lecz zręcznie wyrzynają ozdoby na sprzętach drewianych i mają zamiłowanie w nauce. Chociaż nie posiadają szkółek elementarnych, wszyscy umieją czytać i pisać; do matek należy nauczanie dzieci; i pilnie i gorliwie wykonywają one ten obowiązek. Co wieczór w zimie, mieszkańcy chaty islandzkiéj zbierają się przy bladéj lampie i wypoczywają po całodziennych trudach, czytając sagi czyli stare kroniki gminne. Islandya wydała wielu znamienitych uczonych i od jedenastego wieku ciągle miała szkoły łacińskie. Xięża Islandzcy są ludzie światli, a nawet między wieśniakami znajdują się ludzie umiejący po łacinie.

Islandczycy zachowali starożytne swoje zwyczaje i podania, zachowali także ubiór naddziadów. Strój mężczyzn jest bardzo prosty, składa się z sukiennego kaftana bez kołnierza z kamizelki ozdobionéj metalowemi guzikami, z sukiennych spodni, wełnianych pończoch. Noszą długie włosy i kapelusz z szerokiemi skrzydłami. Ubiór kobiet jest bogatszy i wytworniejszy. W dni powszednie noszą gorset z czarnego sukna; suknię takąż samą szeroką i fałdowaną; trzewiki podobnie jak u mężczyzn zrobione są ze skóry baraniéj, złożonéj we dwoje i przywiązanéj do nóg. Długie włosy rozpuszczają na ramiona i noszą czapeczki z



ISLANDKA
W STROJU ŚWIĄTECZNYM.

czarnego sukna, z długą frendzlą jedwabną. W dni świąteczne biorą suknie obszyte tasmą srebrną lub axamitną, gorset z galonami srebrnemi; przy rękawach wiszą guziki srebrne, a na szyi mają halsztuch jedwabny, albo haftowany axamitny kołnierzyk. W te dni kryją swoje włosy i obwijają głowę chustką jedwabną, na wierzchu której wznosi się kołpak płócienny. Wszystkie te hafty i ozdoby, nabyte zostały zarobkiem z rybołóstwa; lecz jeźli ubodzy Islandczycy łożą wydatek na ubranie żon swoich, przynajmniéj ubranie to nie ulega ustawicznym zmianom i zawsze toż samo przechodzi od wieku do wieku.

Islandya jest bardzo ciekawą i ważną krainą pod względem geograficznym. Wszystkie góry są wulkaniczne. Największy z tych wulkanów znany jest pod nazwiskiem Hekli. Inne wyrzucają wrzącą wodę lub błoto do znacznéj wysokości; najznaczniejsze z nich, są dawny i nowy Geizer.

Zdaje się, że klima Islandyi było dawniéj łagodniejsze, podobnież jak i Grenlandyi która od łąk i smugów wzięła swoje nazwisko. Udawał się tam jęczmień, owies i żyto; lecz teraz mrozy i zimna niszczą wszelkie zasiewy. W przeciągu jednego wieku było czternaście lat głodu. W roku 1784 i 5tym wymarło 9000 mieszkańców, to jest piąta część ludności, wyginęło 28000 koni, 12000 sztuk bydła rogatego i 200000 owiec. Znanym i ważnym produktem Islandyi jest tak zwany *Mech Islandzki* którego u nas używają do lekarstw, tam zaś do pożywienia. Ogródki są wszędzie pozakładane, niegdyś obszerne lasy rozciągały się w południowych dolinach, lecz wycięto je nie rozważnie, a teraz znajduje się ledwo trochę brzóz i dużo krzaków. Ten niedostatek drzewa, wynagradza morze, wyrzucając na brzegi Islandyi niezmierne mnóstwo sosen i jodeł.

KANTON VAUD W SZWAJCARYI.



KANTON VAUD W SZWAJCARYI.

Kanton Vaud, inaczéj zwany krajem Vaad, (po niemiecku *Waadtland*) należy do Szwajcaryi, liczy około 150000 mieszkańców. Należał dawniej do xiążąt Sabaudyi; przerznięty jest niższemi górami do pasma gór Jura należącemi, obfituje w bydło i tytuń, z korzyścią trudnią się w niém uprawą wina. W tym Kantonie znajdują się jedyne kopalnie soli w całéj Szwajcaryi. Fabryki zegarków, klejnotów i wyrobów jedwabnych kwitną w Lozannie, w Vevay i innych miastach nad jeziorem genewskiém. Stolicą tego Kantonu jest Lozanna, przyjemne, miasteczko nad jeziorem genewskiém liczące 8000 mieszkańców. Znakomita jest akademia tego miasta, złożo-

na z czternastu katedr, mężowie sławni naukami i talentem byli w liczbie jéj proffessorów, Zamek Lozanny, rezydencya rządu, jest to wielki gmach czworoboczny, wystawiony był w drugiéj połowie XIII wieku.

Piękną rycinę tego zabytku wieków średnich, umieściliśmy na czele dzisiejszego zeszytu.

LUZACYJA.

Od czasów Karola W. który luzackich Sławian wojował i do wiary chrześcijańskiéj nawracał, ciągle kraina ta zostawała pod panowaniem niemieckich rządów, z krótką tylko przerwą. Zdaje się, iż Luzacya zamieszkana była przez dwie odnogi szczepu sławiańskiego, przez Serbów w wyższéj, i Wendów w niższéj Luzacyi, i do dziś dnia, jedni zowią swój język serbski, swój kraj i naród *serbska rez*, drudzy zowią się Wendami; w mowie ich zachodzi także niejaka różnica.

Jak Serbowie od ojczyzny swojéj, dzisiejszéj Serbii oddzieleni zostali, czy przez dobrowolną wędrówkę i osady, czy przez posunięcie się Polan ku morzu Baltyckiemu, lub też czy Wendowie albo Wandowie byli częścią narodu naszego, oderwaną przez wojny domowe, na to trudno byłoby odpowiedzieć, kiedy chwila ich śmierci politycznéj przypada właśnie w epokę naszego początkowego życia oddzielnego, w ową epokę, któréj własne dzieje musimy nazywać bajecznemi. To pewna, że przecięcie związków, które czy to pod Duchonem i w czasie dziejów świetnych serbskiego ludu, Luzacyę z właściwą Serbiją, łączyć musiały, osierociło przednią straż Sławiańszczyzny i wystawiło ją, jak odcięty od ogółu ułamek, na cały wpływ zachodnich cudzoziemskich sąsiadów.

Mają jednakże Luzacy i w tém odosobnieniu, piękne w swoich dziejach karty. Zdołali rozszerzać się aż do Sali; Helmold nazywa ich kraje »szeroko rozciągającą się od brzegów Warty prowincyą; r. 161 po N. C. zdobyli na Rzymianach twierdzę Merseburg; pod Krokusem czyli Krakusem wojowali w wieku trzecim z Gallami, zdobywali miasta w dzisiejszéj Francyi położone; z Karolem W. i jego następcami długo wojowali, nim się stali tém, czém ich nazywa Chytraeus w kronice saskiéj: »nędznym ludem heneckim czyli sławiańskim, w szczątkach tylko, tu i owdzie nad rzeką Elbą w Luzacyi mieszkającym.«

Język ich był niegdyś w poszanowaniu, cesarz Otto wielki nim mówił, tak podobnie, jak podług Mikreliusza, znany był język sławiański na dworze Porty Ottomańskiéj. Lubili wojować i podług *Annales Saxonum* Wittikinda, mało zważali na nieszczęścia wojen; był to ród podług tego samego świadectwa, do pracy cierpliwy, w jedle niewybrydny, uciech chciwy, z nieprzyjaciołmi okrutny, w domowém życiu łagodny, a podług Melanchtona sumienny i cnotliwy. W rozprawie historycznéj o Luzacyi w r. 1675 pisanéj, a znajdującéj się w zbiorze Frenkla, czytamy o nich te słowa: »Niedbają o cudzoziemca, który nie zna ich języka, rozumiejąc, że ich lekce waży;... przy kieliszku lubią śpiewać pieśni nabożne; gościa nieznanego, który umie ich język, radzi przyjmują i nosiliby go na rękach; do pracy i biedy nawykli, że w nocy nawet mało spoczywają. Nauk nie znają.... Z wielkiem są uszanowaniem dla swoich kapłanów i kaznodziei, i wszystkie ich słowa, za słowa boże biorą, a w prostocie swojéj, wszystkie książki drukowane, mienią być książkami do nabożeństwa, tak, iż widząc kogo czytającego, mówią, że się modli.«

Pod Ottonem przeszli pod zupełne panowanie Niemiec. Goldstadius widział obraz tego cesarza z tym podpisem: »*Wend, Daen, Serb, Böhmen, Markoman, Delmantz, macht ich mir unterthan.*«

Jak się z niemi obchodził Gero, jeden z namiestników państwa niemiecko-rzymskiego, dowodzi podpis pod jego obrazem, o którym także wspomina dawna Wittikinda kronika.

Luzacya w wiekach średnich zostawała pod zwierzchnictwem królów czeskich i od nich ważne otrzymała przywileje. Razem z Czechami przeszła w r. 1526 pod władzę cesarzów niemieckich z domu austryackiego. Jan I, Kurfirszt saski, osadził ją w zastaw za koszta wojenne aż do 1635, w którym to roku stanowczo odstąpiona została Saxonii. Od tego czasu podzielała wszystkie losy Saxonii. Natura obdarzyła ten kraj wszelkiemi bogactwy. Przemiana gór i dolin przedstawia bardzo malownicze widoki. Obfituje w lasy i rzeki; pola wydają zboża nietylko na potrzebę mieszkańców ale i na zagraniczny handel; uprawa tytuniu i wina, hodowanie bydła i pszczół, stanowi znaczną gałęź gospodarstwa; fabryki sukna, płótna i innych wyrobów kwitną w téj prowincyi.

W takim stanie rzeczy, ich grody, osady i inne miejsca, podostawały od niepamiętnych czasów odmienne nazwy, lubo pierwotne do dziś dnia ma w poszanowaniu tamtejszy lud sławiański.

Oto jest ich słowniczek niemiecko-sławiański, podług Frenkla:

Belgern, w Luzacyi wyższej, Bielagora.

Belschitz, także *Ebendörfel*,—Bielszyca, Bielice, Belwitz.

Beskau, w Luzacyi niższéj, do Brandeburgii przyłączone, Pieschowa, ztąd tak nazwane, że w dawnych czasach mieszkańcy téj osady, obowiązani byli, zamiast innych danin, panom s woim psy żywić.

Bresen, *Brieschke*, *Briesing*; osady te mają sławiańskie nazwy—Briezow, Briezena, Briezica, Briezenka, od lasów brzozowych.

Bautzen—Budziszyn. Nazwę tę wzięło miasto Budziszyn od tego, że jak kronikarze piszą, jakiś baron czeski, żonie swojéj przyrzekł założyć miasto, jeśli mu powije syna. Spełniło się jego życzenie, i założone w skutku zrobionego ślubu miasto nazwał Budiesyn. Podług innych miasto to założone było jeszcze w siódmym wieku i zwało się Budszec, co miało znaczyć warownię.

Denckwitz—Dziencze, jakoby wieś dnia, położona na górze z pięknym widokiem.

Dietrichsbach—Ditrichscze, od strachów, które w postaci karłów z gór leśnych miały do tego miejsca schodzić, Ditrychami były zwane.

Drebko—Drewko. Wendowie w miasteczku tém żyjący, zowią je także Trebacz, od biédy i potrzeby, w jakiéj zwykle ci górale żyją.

Drebenka albo Drebence, od kamieni drobnych, w wielkiéj ilości tu będących.

Drebnów—Drewnowo, od zamku drewnianego, który się tu niegdyś znajdował.

Fridland—Brillan, od wyrazów dobry lian albo lien, dla tego, że len dobry w tych stronach uprawiano.

Görlitz—Sorlce, albo Zgorzelice, dawniéj Drewnów zwane. Po zgorzeniu wystawione na nowo przez Sobiesława księcia czeskiego r. 1131, i nazwane Zgorzelice. Inni wywodzą nazwę tego miasta *Gora* i *lisa*, dla tego, że leży przy górach bezleśnych.

Guben—Gubień, dla tego, że przez wojny husyckie zgubione zostało; jak się dawniéj nazywało, nie mówi Frenkel.

Kunnersdorf, *Kolmen*, *Schwarz*, *Kolm*, *Klein-Koinz*, *Gross-Koinz*, *Kunnerwiz*; rozmaite te miejsca zachowują ciągle dawne nazwy, wywodzone od drzewa choiny, w tych okolicach pospolitego; *Koinca*, *Koince*, *Biele Koince*, *Czarne Koince*, *Mała Koinca*, *Wielka Koinca*.

Kersche albo *Kirschau*—Korsem, położone pod górami, od wyrazu *Korim k' ziemi*, jakby, że domy pod górami położone korzyły się przed ziemią.

Kotbus albo *Kotwitz*—Kotiebus.

Kuhna—Kuhnow albo Koinów, zarówno wywieść można od kuny zwierzęcia, w tych miejscach dawniéj bardzo rozpłodzonego, jak od sosniny, *koiną* u Wendów zwanéj.

Ossig, *Deutsch-Ossig*, *Wendisch-Ossig*—Wosiek, Nemski Wosiek, Berski Wosiek, od *Wosiek*, co znaczy drzewo osina.

Osteriz albo *Ostriz*—Wotrow albo Wotrozna; to samo pochodzenie, co naszego wyrazu Ostrów, znaczącego wyspę, gdyż rzeka Niża często okolice tego miasta przez wylewy w wyspę zamienia.

Polsniz—Polsnica, miasto i rzeka, dzieląca na pół Misnię od Luzacyi, ztąd pochodzenie od wyrazu pol czyli połowa. Inną rzeczkę Polsnicę w Luzacyi, nazywają Niemcy *Pülsnitz*.

Schmöllen—Smelnów od wyrazu Smelna, znaczącego trzcina, w którą okolica obfituje.

Soraw—Zarow, wywodzą tę nazwę od żórawiów, inni od *Zor* czyli zorza, jak w czasach przedchrześcijańskich to miasto miało się nazywać.

Spremberg — Grodek w Luzacyi niższéj, a w Luzacyi wyższéj Hordk.

Strele—Cielan, dawniéj nazywano to miejsce Strzelan.

Sammerfeld—Semrin, miasto dziś w Brandeburgii. Kronikarze nie wiedzą nawet, a przynajmniéj nie zgadzają się, jakim sposobem to miasto dawniéj niższo-luzackie, potem śląsko-czeskie, odpadło: najpodobniejsza, że dane było w zastaw margrabiemu brandeburskiemu, a niewykupione, pozostało jego własnością. Leży nad rzeką Lupą, zwaną przez Niemców Lubus.

Tschirne; *Schirne*, pod tą nazwą wiele jest w Luzacyi miejsc, które mieszkańcy Sławianie nazywają swoim językiem Czorny, Czerny.

Od niepamiętnych czasów szlachta w Luzacyi jest niemiecka. Pierwotni kraju tego panowie wyginęli w częstych bojach, albo pojedynczo zniszczeni zostali, a ziemię ich zagarneło rycerstwo zwycięzkie. Również miasta luzackie zamieszkałe są od kilku wieków przez Niemców, którzy jednak z powodu stosunków z włościanami, często ich językiem mówić umieją. Wsie zamieszkałe są najwięcéj przez potomków pierwotnych kraju tego mieszkańców słowiańskich, robią oni pańszczyznę, przenoszą rolnictwo nad handel i życie przemysłowe, i odznaczają się piękną budową i czerstwością ciała, tak, iż zamożniejsi mieszkańcy Drezna i innych miast, dla dzieci swoich wybierają często mamki pośród Wendejek i Sorabek.

Do epoki kongresu wiedeńskiego, stanowiła Luzacyja oddzielną prowincyę; od roku 1815 podzieloną została między Saxonię i Prussy.—Saxonii zostało 40 mil

kwadrat: i blizko 200,000 mieszkańców; część ta Luzacyi otrzymała miejscową konstytucyję, z prawem wysyłania szlacheckich i miejskich deputowanych na sejm drezdeński. Prussy wzięły z Luzacyi 151 mil kwadrat: i przeszło 300,000 mieszkańców; rząd pruski nie zostawił téj krainie dawnej oddzielności, ale kazał ją przyłączyć w części do rejencyi frankfurtskiéj, w części do rejencyi głogowskiéj.

Na przeszło pół-miliona mieszkańców w obudwóch częściach dawnéj Luzacyi, przypada około 200,000 Wendów mówiących ojczystym językiem. Wyznają oni w części katolicką, w części protestancką religiją. Ich książki do nabożeństwa drukowane są głoskami gotyckiemi, ich mowa więcéj niż które bądź inne narzecze sławiańskie, zbliża się do języka polskiego.

Wartoby zebrać pieśni tego, powoli z ziemi znikającego ludu, dla przekonania się, czy w nich nié ma jakiego śladu spólności dziejów wendyjskich, wandalskich z dziejami naszemi.

LISTY ALBERTRANDEGO.
(Dokończenie).

Zastałem tu Imci Pana Kochanowskiego naszego Chargé d'affaires, który z osobliwszéj grzeczności swojéj chciał mię z gościńca do swego mieszkania przenieść, ale się z tego wymówiłem z przyczyny, iż mieszkanie jego teraz jest w Friderisbergu miejscu od miasta o pół mili leżącym i zbytecznie mię od biblioteki królewskiéj i wszelkich miejsc gdzie mam do czynienia oddalającym. Zamysł mój był zabawić tu dni tylko trzy lub cztéry i powziąść tylko wiadomość o pewnych rękopismach, których ślad w księgarni królewskiéj Stokholmskiéj znalazłem, zawierających bardzo wiele traktatów, listów, pism publicznych między Danią i Polską od r. 1200 do r. 1563. Wyjeżdżając z Sztokholmu podałem był o tym notę Panu Reventlau niewypowiedzianéj grzeczności i wielkiego oświecenia ministrowi u dworu Sztokholmskiego, jako bibliotekarzowi en chef księgarni królewskiéj w Koppenhadze, który o tym do Grafa de Bernsdorf tutejszego pierwszego ministra pisał. Ale z rozmaitych powodów muszę się dłużéj zabawić niż z razu umyśliłem. Przełożono mi, iż dla uniknienia dwóch Bełtów i podróży lądem na 60 mil, tudzież dla zredukowania prawie do połowy kosztów, dobrzebym uczynił, gdybym pakebotem do Kiel udał się, zkąd ledwie 12 mil jest do Hamburga. Uważając, iż ta żegluga mało co przenosi dwie po dwóch Bełtach żeglugi, zezwoliłem na to. Tym sposobem otwierała się mnie pogoda oglądania sławnéj w tutejszych krajach akademii w Kiel, przeto też obstalowałem sobie na pakiebocie miejsce i przeszłéj Soboty alias 24 Julii wyjechać miałem, ale tym czasem nowy zaszedł interes który mię do następującéj Soboty zatrzymał.

Dałem był przeszłego roku przez JWWM Pana dobrodzieja Najjaśniejszemu Panu wiadomość o znalezionych tu rękopismach, mianowicie jednym po większéj części polskim językiem pisanym kanclerza Zadzika, którego też contenta wypisałem. Podobało się Najjaśniéjszemu Panu prosto do Grafa Bernsdorffa o kommunikacyą tych rękopism pisać. Graff Bernsdorf, pamiętny jak mi powiadają łask doznanych Najjaśniejszego Pana nie wiem w jakiéj okazyi, chcąc zupełną uczynić przysługę, przedsięwziął kazać te rękopisma przepisać, aby bez innego zachodu mogły bydź przesłane. Łatwo to wykonano względem rękopismów łacińskich, ale kiedy przyszło do rękopisma Zadzika, język Polski tak operacyą tę zatrudnił, iż nie widziano sposobu przyprowadzenia jéj do skutku. Po długiém szperaniu Graff Bernsdorff rozumiał, iż hrabia Strasoldo wsławiony swojemi nieszczęśliwościami, a mogący rozmówić się po polsku, to wykona. Podjął się téj pracy Strasoldo, ale na samym wstępie trudności nieprzezwyciężone względem czytania tego co naszym językiem jest pisane, hamowały jego pracę. Udał się doj Zochowskiego przy pośle naszym na on czas będącego, ale gnuśny ten człowiek i téj mu pomocy odmówił. Widziałem dwie karty od niego napisane, ale tak pełne omyłek, iż ta kopia byłaby cale nie użyteczną. To widząc, przedsięwziąłem otrzymać ten manuskrypt, abym albo sam go przepisał, albo przynajmniéj do kraju zawiózł i przepisanie onego ułatwił. Przełożyłem tę rzecz ministrowi Bernstorffowi przez pana Kochanowskiego, który popomyślną na to odebrał rezolucyą, co sprawiło, iż chybiwszy odjazd pierwszego pakiebotu, przewłóczyć wyjazd do drugiego musiałem. Ten manuskrypt jest teraz u mnie; mam nadzieję, iż na pakiebocie, na pocztach, czekając koni, w miastach, po drodze, gdzie się zabawić przytrafi, na noclegach, będzie w czasie podróży mojéj przepisany, albo cały, albo po większéj części. Względem zaś innych rękopism, których ślady w Sztokholmie znalazłem, pozwolono mi szukać onych w księgarni królewskiéj co z wielką starannością uczyniłem, ale nic dotąd nie znalazłem. Zostaje więc szukać onych w archiwum albo w księgarni akademickiéj, co nie omieszkam z pilnością wykonać. Jeżeli się nie znajdą,

trzeba będzie domyślić się, iż zabrane od Szwedów zostały, i w nieszczęśliwym pożarze który we dwa dni po śmierci Karola XI pochłonął bibliotekę królewską w Sztokholmie, zgorzały. Ślad ich był następujący: Pisał Historyą Duńską około 1644 Stephanus Joannis Stephanius, z rozkazu dworu, i miał sobie z Biblioteki Królewskiéj użyczone na to pewne rękopisma, których contenta wypisał w księdze odemnie w Sztokholmie w księgarni królewskiéj znalezionéj. Dwa tytuły ma ta księga: 1mo „Designatio variorum documentorum et anti„quitatum pertinentium vel ad conscriben„dam vel illustrandam Historiam Danicam „que mihi sub inde a Bibliothecario Regiae „Academiae Haffniensis tradita sunt, vide „ab A. 1640.“ 2do: „In nomine Jesu Chri„sti, variorum decretarum, diplomatum, con„stitutiorum, provilegiorum, condicillorum, „aliorumque documentorum, monumento„rum, quae pertinent ad pacem, bella, indu„cias foedera, societates, transactiones, o„mniaque tam sacra quam profana negotia, „quae Danicae genti intercessere cum aliis „regnis, nationibus et rebus publicis, juxta „seriem alphabeticam brevis designatio eum „in finem potissimum concinnata et col„lecta, ut si res alicujus momenti viderit „de qua diligentius inquirendum, ad eam si„ne labore recurri possit. Excerpta vero „et descripta ex variis codicibus mscr, qui „antea in archivis regiis, nunc in bibliotheca regia Haffniensi asservantur.

Następują potym manuskrypta same z wyrażeniem tego co zawierają: naprzykład, In codice mcer: insignito litera C. 19 continentur: *Polonica*, następuje kilkadziesiąt artykułów zawierających argumentum i datę różnych transakcyi, i listów między Danią i Polską od r. 1315 do 1577. Takież rzeczy Polskie, Inflandskie, Pruskie wyliczają się w tomach 10. Co na kilkaset artykułów wynosi, a dla dawności swojéj niezmiernie interessuje.

Wiedzieć zaś należy, że rzeczony Stephanius nie w Kopenhadze mieszkał, ale w mieście Sora, zkąd Szwedzi do Danii wpadłszy Bibliotekę mu zabrali, do Szwecyi przenieśli i do królewskiéj przyłączyli. Ale że to nierychło po wydaniu Historyi Duńskiéj stało się, przeto domyślam się, iż te manuskrypta tam wrócone zkąd wzięte były. Potwierdza mię w tym mniemaniu, iż ani jednego z tych rękopism w księgarni królewskiéj Sztokholmskiéj nie znalazłem, gdzie żaden manuskrypt rąk moich nie uszedł, trudno zaś pojąć jako repertorium ich wyratowano, a z samych manuskryptów ani jednego z kilkudziesiąt tomów nie zachowano. Nie tracę więc nadziei znalezienia ich w Danii i te kilka dni co tu jeszcze zabawię, z jak największą usilnością szukać ich będę. Gdyż mnóstwo przytoczonych od Stephaniusa dokumentów, ich dawność i powaga, wielce mię do znalezienia onych zagrzewają. Jeśli prace moje daremne będą, to przynajmniéj będziemy mieli w zysku, że treść ich i daty wiedzieć będziemy: co samo rzeczą jest nie mało użyteczną, przytém dla mnie zaletą u tych, którzy wiedzą że kiedy znaleziona jest — 10, szukanie musiało być — 10,000. Ale pospolicie za tamte dziękują, a tego nie widzą.

O WĘŻACH I ŻMIJACH ŚRODKOWEJ EUROPY.

Od wszech czasów *Gady*, czyli *Płazy*, wstręt jakiś w człowieku wzbudzały. Obrzydliwa sliskość ich skóry, postać i poruszenia nie przyjemne, przywiązały do nich wyobrażenia jadowitego ukąszenia, lub przynajmniéj szkodliwych wyziewów. Nadewszystko zaś wężów rodzaj ohydne wrażenia w ludziach wzniecał, i w tym względzie trudno zaprzeczyć, aby ten wstręt miał być nie ugruntowanym. Doświadczoną jest jadowitość niektórych Europejskich wężów, a to, co nam powiadają o okropnych potworach tego rodzaju w innych częściach świata, powiększa naszą odrazę do krajowych nawet wężów. Wszelako są między niemi zupełnie nie szkodliwe i użytecane nawet gatunki. Warto jest zatém poznać je i rozróżnić, aby się już nie każdego bać ukąszenia, bo w téj mierze, jak w wielu innych przypadkach, rozogniona imaginacja, powiększyć może złe skutki nieszkodliwéj nawet rany. Dajemy tu więc krótki rys istniejących w naszych stronach wężów, wskażemy ich mniejszy lub większy stopień szkodliwości, i nakoniec sposoby ratunku, przeciw złym skutkom ukąszenia.

Oprócz sławnych na Podolu wężów olbrzymich, *Połozami* zwanych, o których wiele mówiono, ale których nikt dotąd nie udzielił dokładnego opisu ani rysunku, i które może już nie istnieją, ośm liczymy gatunków wężów, a te są: *Padalce*, dwa gatunki *właściwy chwężów*, pięć gatunków żmij. Z tych wszystkich same tylko żmije są jadowite.

Padalec jest najmniejszy gatunek węża, bo tylko pół łokcia długości domierza. Kolor jego orzechowy, ruch powolny, a ciało tak kruche, że przy lekkiém nawet uderzeniu, rozpada się na części. Ztąd imię *Padalca* mu dano. Niemcy nazywają go *Blindschleiche* a Francuzi *Orvet*, zupełnie jest nieszkodliwy.

Węże właściwe. Tych dwa są gatunki. Jeden z wierzchu orzechowy, drugi szary.

Oba długości półtora łokcia, oba równie jak Padalce bez wszelkiego jadu, ostatni gatunek w niektórych stronach *domowym wężem* nazwany, nietylko nie jest szkodliwym, ale od wszech czasów spoufalony był z ludźmi. Ten to jest wąż, którego dawni Litwini w pogańskich czasach uwielbiali, i za domowego uważali bożka. Dziś jeszcze w wielu miejscach przesąd gminy upatruje w tych wężach, równie jak w bocianach nasłanych stróżów domowéj pomyślności. Przyswojone do włościan i zamieszkałe w chatach przechadzają się te węże po podłogach. Wciskają się w pościel, śpią z małemi dziećmi w kolebkach, igrają z niemi, i wypijają mleko z garnków. Tego też gatunku wężów używają Guślarze i Szarlatany, aby przewijając je około rąk i szyi, dziwną sobie nadawać postać i durzyć gmin nieumiejętny. Wreście ten szary, czyli domowy wąż, żyje i w wodzie, i zręcznie po niéj pływa. Niemcy go nazywają *Natter*, a francuzi *Couleuvre*.

W ogólności *Węże* i *Padalce* lubią miejsca wilgotne, bagna i lasy błotniste. Pokarmem ich są owady, gąsienice, glisty, żaby i ropuchy, które w wielkiéj liczbie wytępiają, w czém nam istotną czynią przysługę.

Żmije poznają się po krótszém i płaszszém ciele. Są też szersze w stosunku ich długości, ta zaś nie przechodzi trzech ćwierci łokcia. Z tych jeden tylko gatunek w bagnach, który jest ciemno czarny. Inne wszystkie są mniéj lub więcéj szare, z wielką pręgą ciemniejszego koloru na grzbiecie. Te ostatnie przemieszkiwają po miejscach suchych, to w gęstych cieniach, to pod kupami nieruszanych z dawna kamieni, to nakoniec między urwiskami skał. Ruch ich jest daleko powolniejszy, jak właściwych. W chwili tylko zagniewania, skaczą do człowieka, ale zaraz po ukąszeniu, wracają do zwyczajnéj im powolności. Jad ich nie jest, jak mylnie gmin utrzymuje, w długim języku, który z paszczy wysuwają, i który niewłaściwie żądłem przezwali; ale w kilku zębach zwierzchniéj szczęki. Ten jad tak jest działający, że z nieżywéj nawet żmii wytryśnięty, na jakąkolwiek zadraśniętą cześć ciała ludzkiego, w ten moment ją rozogni, i te same skutki sprawia, jak przy ukąszeniu żyjącego gadu. W niektórych stronach Polski nazywają żmije *Gadzinami*. Niemcy je zowią *Otter* a Francuzi *Vipere*.

Rozmaite są podług indwidualności osób skutki ukąszenia żmii. Rzadko jednak się trafia, aby takowe o śmierć przyprawić miały. Symptomata bywają niekiedy gwałtowne, jako to: palący ból w ranie, puchlina otaczającego ją ciała, daléj gorączka i palenie, ckliwość, womity, ciśnienie piersi, bicie serca, i mdlenia. Ale najczęściéj natura pokonywa działanie jadu, a powyższym symptomatom łatwo zaradzić można.

Zwyczaj to pospolity, że ukąszony od żmii członek, mocno przewiązują wyżéj rany, w mniemaniu, że tym sposobem przetnie się jadowi droga do dalszego ciała. Takowe przewiązanie nie tylko nie jest pomocném, ale częstokroć gangrenę na obrażony członek sprowadza.

Przyłączamy poniżéj sposoby, jakie z wielokrotnego doświadczenia okazały się być najskuteczniejszemi przeciw ukąszeniu żmii. Wyczerpaliśmy je z dzieła *Paulickiego*: *Medycyna dla włościan.*

Nasamprzód trzeba ponacinać ranę, (która za zwyczaj bywa bardzo mała) i obmyć ją wodą ciepłą, lub téż uryną. Potem trzeba ranę i otaczające ją ciało wysmarować oliwą, i tę nad żarem trzymając, zlekka wcierać wewnątrz rany, szarpię zwilżoną olejem na nią przykładać i płatkiem płóciennym lub bibułą, w oleju zmaczaną, obwijać.

Jeśli tego wszystkiego nie ma pod ręką, można naparzać członek przez kwandrans ciepłem mlekiem, a potem wpuszczać w ranę sok z czosnku lub z cebuli, albo nakoniec, kiedy już nie można inaczéj, nasypać trochę prochu i zapalić.

Co dwie lub trzy godziny trzeba dać choremu po dziesięć kropli *płynu amoniakowego solnego* z wodą; a jeśli tego mieć nie można, co dwie godziny po łyżce oliwy; w braku oliwy, można użyć jakiegokolwiek oleju.

Chory zaś powinien wstrzymać się od wszelkiego gatunku wina, wódki, lub innego mocnego napoju, tudzież płynów kwaśnych; a obficie pić herbatę z bzowego kwiatu, albo mleko ciepłe, dla dostania potów, na których główny polega ratunek.

POEZYA.

NARZECZONA LWA.

(*Prawdziwe zdarzenie, przypadłe za panowania Rudolfa IIgo cesarza Niemieckiego*).

I.

Rudolf, w cesarskiéj koronie,
Zasiada na wzniosłym tronie,
Obok młodéj Cesarzowéj;
W koło cesarska rodzina;
I liczna dworzan drużyna
Świecąca w szacie galowéj; —
I wielkie tłumy narodu
Zewsząd płyną do ogrodu:

W którym gmach się nowy wznosi;
Skończony pałac wspaniały,
Cesarz i dwór jego cały
Dziś się do niego przenosi.
Dla wiekopomnéj pamięci
Wielką ucztą dzień ten święci,
I przez rycerskie turnieje
Zaczęto różne igrzyska;
Radość w każdym oku błyska,
Zdrój obfity wino leje.
W tém do cesarskiego koła,
Dziecię piękności anioła
Przybiega trwożliwym krokiem:
Wdzięczne, jak utwór dumania,
Szatą się białą osłania,
Jak lekkim srebrnym obłokiem.
Do Cesarzowéj się zbliża,
Piękne swoje czoło zniża,
Strojne wstydliwym rumieńcem,
I całując brzeg jéj szaty,
Sypie przed nią wonne kwiaty,
Świeżym otacza ją wieńcem.
Szmer głośny.... znowu milczenie;..
I słodkie wdzięczności pienie
Zanucą usta dzieciny;
Inne ustają zabawy,
I ciśnie się tłum ciekawy
W koło cesarskiéj rodziny.
A w tém przy zwierzyńca bramie
Krzyk powstał, krata się łamie. —
I lew ogromny wyskoczy —
Otworzył paszczę straszliwą,
Trzęsie najeżoną grzywą,
Kołuje krwawemi oczy.
I zawył... lud przerażony
Rozbiegł się na wszystkie strony.
Lew prosto do tronu leci:
Wśród dworu postrach się szerzy,
Tysiąc powstało rycerzy,
I tysiąc mieczów zaświeci.
Natężają się cięciwy...
Strzały świszczą... w tém o dziwy!
To piękne, maleńkie dziecię,
Biegnie, lwa swym ciałem kryje,
Woła, cisnąc go za szyję,
»Mego lwa nie zabijecie!«
I głaszcze go ręką małą,
Zadziwia tłuszczę struchlałą:
»Darujcie mu, głośno woła;
On tak dobry, tak łaskawy,
Nie miejcie żadnéj obawy,
Głos mój poskromić go zdoła.

Pieści się z nim, jak z szczenięciem;
Lew się kładzie przed dziecięciem,
Ogień złości w oczach gasi,
Już swojéj grzywy nie jeży,
Lecz spokojnie przed niem leży,
Podchlebia mu się i łasi.

Nikt oczom nie chce dać wiary,
Czy to cud? czy zdradne czary?
Kto to dziewczę? zkąd przybywa?
A w tém uklękła przed tronem
I z okiem łzami zroszoném
Tak się do Pana odzywa:

»Ojciec mój, twój sługa wierny,
Jest już od dawna odźwierny
Krolewskich zwierzyńców twoich.
Jam się z tym lwem wychowała,
I towarzysza w nim miała
Dziecinnych rozrywek moich. —

Słysząc to Cesarz powstaje,
I rycerzom rozkaz daje.
By schowali w pochwy miecze:
»Zachowałoś nam dziś życie,
Przybliż się tu moje dziécię,
Przyjmij moje dzięki« rzecze.

»Nikt ci lwa nie zamorduje,
I w tej chwili cię mianuję
Króla zwierząt narzeczoną.
Zwierz ten do ciebie należy,
Dopóki który z młodzieży,
Nie nazwie ciebie swą żoną,«

Na te słowa, pod niebiosy
Biją radośne odgłosy,
Każdy wita parę młodą,
I dziewice i młodzieńce,
Rzucając im z kwiatów wieńce,
Do bram zwierzyńca ich wiodą.

Ach! był to widok wspaniały,
Gdy przy pani swojéj małéj
Król zwierząt powoli kroczył;
I łagodny jak baranek,
Posłuszny jako kochanek,
Do bramy klatki się wtoczył.

II.

Już dziesiąta wiosna mija,
Z pączka się róża rozwija,

Z młodéj dziewczyny niebianka;
Dotąd w miłości swéj stała,
Lwa swego czule kochała
Jako wiernego kochanka.

I była dumną z przyjaźni
Tego, przed którym z bojaźni
Drżeli rycerze zuchwali;
I czuléj się z nim pieściła,
Śmiało do piersi tuliła,
Gdy trwożni z daleka stali.

Takich dowodów stałości
Nie jeden rycerz zazdrości,
Który ją kocha tajemnie;
Ale nadeszła godzina,
W któréj ta młoda dziewczyna
Poznała miłość wzajemnie.

Herman szlachetny i młody,
Wzór męztwa, siły, urody,
Uczuł miłości płomienie;
Długo ich nie śmiał wyrazić,
Nie chcąc kochanki obrazić,
Nareście przerwał milczenie.

I błagał długo, wymownie,
Aż mu dziewica zarownie
Dozgonną miłość przyrzeka;
Wtenczas, z rozkazu Cesarza
Kapłan u stopni ołtarza,
Na szczęśliwą parę czeka.

Lecz dawna lwa narzeczona
Znikła z pośród gości grona,
Do przyjaciela pobiegła;
Ma się z nim rozstać na wieki,
Łzy jéj zrosiły powieki,
Kiedy go zdala spostrzegła.

Od dawna go nie widziała.
Serce, w którém miłość pała,
Inne zapomina czucia;
Lecz zaledwie przy nim staje,
Straszną w nim zmianę poznaje,
Jak gdyby ślady zatrucia.

Słaby, drżący i ponury,
Ledwie podnosi do góry
Swoje czoło pochylone,
Zemdlony przed nią upada,
Smutném wyciem odpowiada,
Słysząc jéj słowa pieszczone,

I krwawém wita ją okiem:
Przerażona tym widokiem
Sługi zwierzyńca się pyta:
Jaka przyczyna być może,
Iż dawniéj zwierzę tak hoże,
Z boleści zębami zgrzyta?

„Któż téj choroby dociecze?
Od téj chwili, sługa rzecze,
Jak tu pani nie przychodzi,
Smutnie wyje i usycha,
Nie pije, pokarm odpycha,
„I umyślnie siebie głodzi.“

Uczuła skryte zgryzoty,
I najczulszemi pieszczoty
Obsypuje przyjaciela;
Ręką mu grzywę ścisnęła,
Radość w oczach lwa błysnęła,
Wzrok się szczęściem rozwesela.

Czołgając zbliża się do niéj,
Nóżki liże i łzy roni,
Spogląda na nią namiętnie,
Jakby chciał coś jéj wyrzucić:
Ona, by rozstanie skrócić,
Mówi głaskając go smętnie;

»Ach! żałość dręczy mą duszę!
Dzisiaj żegnać ciebie muszę,
Już cię może nie zobaczę.«
Słysząc to lew wznosi głowę,
Jak gdyby pojął jéj mowę,
I do bramy klatki skacze.

I na progu się rozwala,
Wyjść jéj z klatki nie dozwala,
Próżno go prosi i łaje:
Boże, ratuj! woła blada,
Aż w tém rycerzy gromada
Z Hermanem na czele staje.

„Co to znaczy? zkąd ta trwoga?
Czemu milczysz, moja droga?
Wszak to lew twój ulubiony!
»Ah patrzcie, woła dziewica,
Jak mu się iskrzy źrenica!
Zapewnie on jest szalony.«

Nieszczęśliwa, ręce łamie,
I wyciąga je ku bramie:
Hermanie, ocal twą żonę!
Wściekłość lwa widocznie rośnie,
Spojrzał się na nią zazdrośnie,
Trzęsie kudły najeżone.

Herman oręża dobywa,
W tém lew się z ziemi porywa,
I do dziewicy poskoczy;
W pierś jéj topi kły błyszczące,
I wydziera serce drżące,
Swoją paszczę w krwi jéj broczy. —

I spokojnie czeka śmierci.
Rozrąbano go na ćwierci,
Bo już nie bronił się dłużéj;
Nieczuły, martwy jak skała,
Obok narzeczonéj ciała
Pada, i oczy swe mruży. H H P.



DOLINA WESTFIORDDALEN W NORWEGII.

NORWEGIA.

Jéj organizacya, mieszkańcy i obyczaje.

Norwegia jest jednym z krajów najmniéj znanych w Europie. Położona na północno-zachodnim krańcu naszego lądu, zamieszkana od prostego skromnego i ubogiego ludu, mało posiadająca płodów, któreby zamieniać mogła za zbytkowe przedmioty, umieszczona pod ostrém niebem, chociaż bardziéj umiarkowaném aniżeli z szerokości jeograficznéj wznosićby można, wcale nie zajmująca się politycznym ruchem państw południowych, kraina ta w ogóle nie przynęca podróżnych, nie obudza ich ciekawości; wolą oni szukać poetycznych i pobożnych myśli nad brzegami Jordanu, albo świetnych zabaw i uciech w Paryżu i Francyi. Lecz dla téjże samej przyczyny, wiadomość o politycznéj orga-

nizacyi, prawach, handlu Norwegii, zwyczajach i obyczajach jéj mieszkańców, mocne zajęcie wzbudzać powinna.

Z pomiędzy wszystkich ludów, może sama tylko Norwegia posiada instytucye, które nie wylęgły się ze zwalisk i wstrząśnień, nie były oblane krwią współziomków, lecz wypracowane w gabinecie prawodawcy filozofa, okazały się łatwe i zbawienne w zastósowaniu

Królestwo Norwegii jest krajem mającym rząd oddzielny, własny, połączonym ze Szwecyą pod berłem jednego monarchy. Kształt rządu jest monarchiczny, religia luterska jest panującą, wszyscy mieszkańcy muszą w niéj wychowywać dzieci swoje, a żydom wzbroniony jest wstęp do kraju. Zadziwia nas taka nie tolerancya niezgodna z duchem naszego wieku, lecz posłuchajmy powodów które na jéj poparcie przytaczają Norwegczycy. „Wszyscy mieszkańcy są wyznania luterskiego, nie tolerancya prawie nikomu nie przynosi uszczerbku; tolerancya zaś, byłaby korzystna małej tylko liczbie cudzoziemców, którzyby zakłucili kraj rozszerzaniem nowych mniemań: albo żydom którzyby spekulowali na ubóstwo nasze i dawali przykład złéj wiary, naszym poczciwym i rzetelnym mieszkańcom.«

Król przebywa corocznie kilka miesięcy w Norwegii, jeżeli mu ważne okoliczności nie przeszkodzą. Rada państwa składa się z ministra i siedmiu obywateli norwegskich. Następca tronu może bydź wicekrólem. Sejm Norwegski nazywa się *Storthing*, składa się z dwóch izb, czyli z dwóch sekcyi. Ich wybór odbywa się przez podwójne głosowanie; najprzód, głosują na wyborców i na stu głosujących obierają jednego, a ci dopiero wybierają deputowanych. Tak więc liczba deputowanych na Storthing zależy od większéj lub mniejszéj liczby głosujących. Deputowani otrzymują wynagrodzenie półtora talara na dzień, przez czas posiedzeń i oprócz tego na koszta podróży. Wynagrodzenie to jest bardzo znaczne, albowiem w najlepszych oberżach Chrystyanii, całe utrzymanie kosztuje dwadzieścia talarów na miesiąc, a w prywatnych domach tylko szesnaście! Większa część wieśniaków deputowanych na Storthing, wydaje tylko pół talara na dzień i powraca do domu z małym kapitałem, owocem ich spekulacyi prawodawczéj. Lecz z drugiéj strony uważać trzeba, że gdyby nie było wynagrodzenia, znaczna liczba ludzi oświeconych i znających lepiéj niżeli drudzy, potrzeby i położenie kraju, nie mogłaby przyjąć tak ważnych i użytecznych obowiązków.

Ludność dochodzi do 1,200,000; wieśniacy dzielą się na trzy klassy ludzi: 1, właścicieli posiadających prawo *odelsret*; 2 Selvejers mających warunkowe prawo własności; 3, *Hausmaind* czyli czynszowników i odrabiających zaciągi. Prawo *odelsret* jest to dziwny starożytny zwyczaj w Norwegii, a przy którym bardzo obstają mieszkańcy. Mocą tego zwyczaju, członkowie familii do któréj pierwotnie grunta należały, mogą odebrać je za złożeniem opłaty za którą były sprzedane, chociażby nawet po upływie kilku wieków, byleby tylko pokazali tytuły familijne i co dziesięć lat ponawiali zastrzeżenie praw swoich. Zwyczaj ten został w ostatniéj organizacyi kraju znacznie ograniczony i tylko do pięciu lat zastrzeżenie trwa w swojéj mocy.

Wojsko dzieli się tak jak w królestwie pruskiem, na pułki liniowe, na landwehr, czyli rezerwę i na landsturm, czyli pospolite ruszenie. Wojsko liniowe wynosi 12000 ludzi, marynarka liczy 5 do 6000 zaciągnionych majtków, i 14000 zapisanych, których powołują w razie potrzeby. Siła morska składa się z fregaty, dwóch korwet, dwóch brygów i znacznéj liczby pomniejszych statków. Kraj dzieli się na cztery prowincye zwane *Stedts*, te zaś na parafie czyli gminy, który jest 340. Każda gmina posiada swoją miejscową radę. W sądownictwie są trzy instancye; najwyższy sąd znajduje się w Chrystyanii. Prawa cywilne i kryminalne Norwegii są też same co w Danii. W chwili połączenia Norwegii ze Szwecyą, długi bardzo wielkie w porównaniu z dochodami, obarczały skarb tego kraju. Wielkie ofiary musiano uczynić dla zaradzenia temu położeniu. Dwadzieścia lat pokoju i troskliwość rządu bardzo polepszyły stan Norwegii. Mimo wzrostu ludności, powiększyła się massa produktów rolniczych, zmniejszył się dowóz zboża z zagranicy, handel deskami i żegluga znacznie wzrosły. Z powiększeniem się dochodów z ceł, zmniejszono aż do trzeciéj części podatki gruntowe.

Rybołowstwo jest jedną z najważniejszych gałęzi handlu Norwegii i dla tego szczegółowo zastanowimy się nad niém.

Rybołowstwo dzieli się na zimowe i letnie; zimowe jest ważniejsze, ma na celu chwytanie wielkich stokfiszów zwanych w Norwegii *Skrie*, znajdują się one w niezliczonéj ilości w okolicach wysp Lofoden pod 68 stóp: szerokości północnéj. Na początku Lutego ryby przypływają szerokiemi ławami zwanemi *fiskebierg* (góry ryb), grubemi na kilka sążni. Przy końcu Marca albo na początku Kwietnia, ryby oddalają się od brzegów, dokąd przyciągnęły dla tarcia się i wracają na pełne morze.

Wieśniacy Nordlandu i Finmarku, przybywają na ten połów ze statkami i jachtami. Przy końcu Stycznia czynią przygotowania na tę wyprawę, zbierają zapasy żywności, sieci, wędy, liny i t. d. Dzielą się potem na stowarzyszenia, z których każde składa się z dwóch statków, mających dziesięć wioseł i dwadzieścia ludzi: dwadzieścia lub trzydzieści takich stowarzyszeń, mają jeden jacht wspólny. Podczas połowu, jacht stoi przy brzegu i służy za magazyn. Dochód każdego stowarzyszenia dzieli się na jedenaście części, każden rybak bierze jedną, a jedenasta dzieli się między właściciela jachtu i właściciela statku. Koszta wyprawy wynoszą na każdego człowieka 40 specyes papierowych: około 250 złp.

Rybacy przybywszy do Lofoden, wysiadają na ląd niedaleko miejsca gdzie chcą łowić. Każdy wybiera miejsce dla zbudowania chaty i założenia w niej prętów na których suszą ryby. Chata jest z drzewa, ma obszerności 12 do 16 stóp, z ogniskiem w środku i dziurą w dachu dla wypuszczania dymu.

Rybołowstwo urządzone jest podług przepisów bardzo starożytnych; osoby wybrane przez rybaków, czuwają nad ich wykonaniem i utrzymują porządek.

Ryby przyrządzają dwoma sposobami: albo je suszą i to jest stokwisz jaki do nas przychodzi, albo też je solą, i w takim stanie produkt ten zowie się *Klipfisk*. Klipfisk rzadko robią w Lofoden z powodu wilgotności klimatu. Kupcy z Drontheimu i z Bergen zakupują surowe ryby i urządzają je po tém. Z wątroby wytapiają tłuszcz, któren przedają beczkami. Aby dać wyobrażenie o ważności tego połowu, przytoczymy że w r. 1827 przypłynęło do Lofoden i Westeren na połów zimowy 29177 statków i 124 jachtów, a na nich było 15,824 ludzi; złapano 16, 456,000 ryb które dostarczyły 43,000 baryłek tłuszczu. Wartość połowu dochodziła do 4 milionów złp. Mimo tak wielkiéj kwoty, czysty zysk każdego rybaka nie jest zbyt wielki, gdyż koszta wyżywienia są znaczne, a statki i narzędzia często się psują pod czas gwałtownych fali.

Obyczaje mieszkańców miast są wszędzie prawie też same. Chrystiania, Dronthein i Bergen, jedyne miasta w których ludność jest nagromadzona, mają uderzające podobieństwo: taż sama grzeczność, taż sama regularność, też same obyczaje. Kto chce poznać charakter ludu, powinien badać go po wsiach; pierwotne obyczaje dochowują się tam najdłużéj.

A jeżeli ta uwaga wszędzie jest prawdziwa, tém bardziéj bydź musi w krainie tak ustronnéj jak Norwegja, gdzie odległość wiosek jednych od drugich utrudnia związek pomiędzy mieszkańcami, gdzie cudzoziemcy prawie nigdy nie zabłądzą. Zwróćmy przeto uwagę na zwyczaje rozmaitych klass Norwergczyków żyjących na wsi.

Pełne prostoty obyczaje właścicieli folwarków, mają w sobie coś przyjemnego i zachwycającego. Sala w któréj zbiera się cała rodzina, posypana jest świeżemi zielonemi liśćmi, wszystkie sprzęty są czyste i szklniące się. W rogu stoi wielki zegar ścienny, w drugim kredens; w około ścian stoją ławki i krzesła z wielkiemi drewnianemi poręczami. Członkowie rodziny zajmują się pracą, przedstawiającą szczęśliwe połączenie starożytnych obyczajów i tegoczesnéj cywilizacyi. Tu czeszą wełnę lub konopie: w rogu sali przy kominie którą oświeca i ogrzewa zarazem, dwa lub trzy kółka są w ruchu; a tym czasem młodzież gra na gitarze, śpiewa chórem lub tańczy. Sniadanie zastawiają na stole w jednym końcu téj sali, zazwyczaj bardzo obszernéj. Śniadanie jedzą stojąc; składa się ono z chleba z masłem, z wędliny, kiełbas, ryb suszonych; piją przy nim mocne piwo natoczone w dzbanek srebrny. Mężczyzni piją prócz tego po kieliszku wódki. Z resztą, jest to już drugie śniadanie: pierwsze składające się z filiżanki kawy, bierze się na parę godzin wprzódy i każdemu przynoszone bywa do jego sypialnéj izby. Gdy mężczyzni przechodzą się wzdłuż i wszerz po sali, rozmawiając i jedząc, gospodyni domu krząta się koło gospodarstwa, wydaje rozkazy służącym; sąsiedzi przychodzą w odwiedziny, dzieci uczą się lekcyi albo też bawią się w kącie wyłącznie dla nich przeznaczonym; wszystko to przedstawia scenę pełną życia, chociaż bez zamętu, a zgodność panująca między wszystkiemi członkami rodziny i grzeczne obejście się, tém więcéj powabów jéj dodają. Ta grzeczność jest upowszechniona we wszystkich klassach mieszkańców Norwegii.

Pomiędzy zwyczajami które w innych krajach popadły już w zaniedbanie, jeden niezmiernie uderza cudzoziemca. Wstawszy od stołu po obiedzie, wszyscy podają sobie ręce, mówiąc *Tack for mad* (dziękuję ci za obiad) albo *Welbenkome* (niech ci wyjdzie na dobre). Uczą dziecko ażeby kłaniało się matce i mówiło do niéj *tack for mad*; mąż i żona wstając od stołu ściskają się za rękę i mówią bardzo poważnie *tack for mad*. Gdy towarzystwo jest liczne, zdaje się iż jakiś taniec odbywa się około stołu; nawet najstarsze osoby, nie omieszkają powiedzieć poważnie i ceremonialnie *tack for mad* najmniejszemu dziecięciu. Oprócz téj formuły grzeczności, dwaj przyjaciele nie omieszkają przy spot-



ALEXANDER GWAGNIN.

kaniu powiedzieć: »Dziękuję ci za przyjemność któréj doznałem przy ostatniem widzeniu się z tobą.« Zaniedbanie téj ceremonii byłoby ważnym błędem. Rzemieślnik nie przejdzie nigdy koło rzemieślnika zajętego robotą, bez życzenia mu szczęścia i apetytu.

Dzień Bożego Narodzenia jest wielkim dniem uciechy; bogaci właściciele zbierają wtedy w domu swoim tylu przyjaciół ile tylko można. Zapraszają onych przez konnego posłańca, mającego listę na któréj każdy wpisuje obok swego nazwiska, czyli przyjmuje zaproszenie czyli odmawia. Gdy się zbliża dzień uroczysty, słychać zdaleka dzwięki sanek, odgłos wzmaga się coraz bardziéj, pierwsze sanki nadjeżdżają, a wkrótce przybywa za niemi dwadzieścia lub trzydzieści innych, lecąc jak strzała po śniegu. Rączy pęd małych koników, kształtne i lekkie sanki, damy obwinione w szale i futra, mężczyzni w wilczurach stojący z tyłu sanek, pan domu i słudzy wychodzący ze światłem na przyjęcie gości: wszystko to przedstawia nowy i przyjemny widok, cudzoziemcowi, przybyłemu z południowych krajów Europy. Każdego z gości natychmiast po przybyciu częstują herbatą i kawą. Siadają w około salonu i rozmawiają, dopóki się wszyscy nie zbiorą; wówczas przynoszą *millim maallid,* czyli pośrednią biesiadę. Składa się podobnież jak śniadanie, z chleba, masła, śledzi, wędliny, pekeflejszu i sera. Zasiadają potém do kart, lecz tylko sami mężczyzni. Kobiety nie grają nigdy. Zwyczajne gry są, w lombra, w bostona, w Stervenzel, rodzaj rumel pikiety, w lanturela; stawki są w ogólności małe. Starsi którzy nie grają, palą tytuń i rozmawiają. Młodzież gra na gitarze, tańczy walca, galopadę i t. d. Szklanki z ponczem roznoszą tém obficiéj iż nie ma zwyczaju pić przy wieczerzy albo po niéj. Wieczerza jest zawsze taż sama: składa się z ryb, z pieczystego, z renów i dzikich ptaków, kończy się plackiem. Gospodyni ani na chwilę nie usiędzie, częstuje, ma oko aby o nikiem nie zapomniano; ta któraby inaczéj postępowała, okazałaby brak dobrego wychowania. Skrzętność ta nie pochodzi z braku służących; pełno jest we wszystkich domach, świeżych i porządnie ubranych dziewczyn. Obfitość i radość panuje w całym kraju pod czas świąt Bo-

żego Narodzenia, a te uczty trwają przez dwa tygodnie.

Wszyscy podróżni zwrócili uwagę na ochędóstwo ubioru i domów wieśniaków Norwegskich. Domy są wszystkie zbudowane z okrąglaków, których szpary mchem upchano. W najzimniejszych prowincjach ściany są podwójne, co bardzo utrzymuje ciepło. Dachy są z rozmaitych materyałów, czasem pokryte są grubą warstwą kamieni, czasem korą brzozową która opiera się wilgoci. Prawie zawsze kładą ciężkie kawały kamieni na dachu, aby go wiatr nie zerwał, i dla tego często można widzieć rosnącą trawę a nawet i spore drzewa na dachach domów. Okna są opatrzone firankami z muślinu i gazy, a wszędzie wieśniacy posypują podłogę izby sypialnej gałązkami jałowcu, które rozpościerając woń przyjemną, skłaniają do snu.

Wieśniacy Norwegscy żyjąc daleko od miast, w oddzielnych odosobnionych folwarczkach pośród gór, częstokroć od kilka mil od najbliższych sąsiadów oddaleni, musieli nauczyć się różnych rzemiosł i nabyli w nich niepospolitej zręczności. Nie tylko mają wielki talent do rzeźbiarstwa na drzewie, lecz prócz tego robią małe naczynia z miedzi i srebra, naprawiają swoje zegary, a nawet budują organy. Są wielkiemi miłośnikami muzyki, ulubionem ich narzędziem jest pewien rodzaj trąby, bardzo podobnej do trąby szwajcarskiej, długiej na pięć stóp i zrobionej z kory brzozowej. Mają także gitarę o pięciu stronach, dosyć harmoniyną. Lubią taniec i całe noce trawią na tej zabawie. Na nieszczęście, ich uciechom zawsze towarzyszy pijaństwo, wada wrodzona wszystkim ludom północnym. Mężczyzni i kobiety piją wódkę aż do zbytku, lecz nie są kłótliwi. Głównie upijają się w dzień Sgo Jana, w Boże narodzenie, podczas ślubów i zaręczyn.

Do liczby ich zwyczajnych rozrywek zimowych, należy polowanie na wilka; jest to zarazem rozrywka i wyprawa potrzebna aby uwolnić kraj od tych żarłocznych zwierząt. Polowanie odbywa się rozmaitemi sposobami, lecz jeden z nich jest bardzo osobliwy. Myśliwcy jadą saniami, mając z sobą prosię. Gdy staną pośród lasów i skał, męczą prosie aby kwiczało; na ten krzyk zbierają się wilki i to w tak wielkiej liczbie że nie raz myśliwcy narażają się na znaczne niebezpieczeństwo. (*)

(*) Te wszystkie zwyczaje i obyczaje, które wydają się tak osobliwe dla autora tego artykułu wyjętego z pism francuzkich, nie dziwią bynajmniej nas, już należących do północnych ludów Europy i upatrujemy w nich wiele podobieństwa z naszemi.

Pod czas długiej zimy, gdy doliny i góry pokryte są śniegiem a rzeki i jeziora zamarzną, Norwegjanie odbywają dalekie podróże sankami, jadąc prosto, nie czyniąc żadnych wyboczeń do których są zniewoleni w lecie. Przez to droga między Chrystjanią a Drontheim, 80 mil wynosząca w lecie, o połowę jest krótsza w zimie. Lecz mają także inny sposób odbywania podróży w zimie, prawie tak szybki a daleko łatwiejszy, za pomocą *skries* czyli łyżew. (W nrze 37 Muzeum domowego z roku 1835 umieściliśmy opisanie tego sposobu, i rycinę łyżwy).

Wieśniacy, podobnie jak wszyscy mieszkańcy dzikich i romantycznych krajów, są bardzo zabobonni, wierzą w złe duchy zwane Neiss, złośliwe istoty które mieszkają w samotnych miejscach i przybierają rozmaite postaci. Jezioro Dillingen jest ulubionem siedliskiem *Neko*, bardzo złego i bardzo złośliwego genjusza, który pokazuje się w ogólności pod postacią wielkiego konia czarnego. Jeśli wieśniak zdoła go okiełznać, staje się zwierzem bardzo użytecznym i wiernie służy panu swemu, lecz trzeba zawsze mieć go na wędzidle. Jeźli je zdejmą chociażby na chwilę, ucieknie i już go nie można złapać. Norwegianie wierzą także w przepowiednie śmierci, jako to w nadprzyrodzone światełka albo tajemnicze odgłosy, które dają się słyszeć wśród nocy. Lękają się także czarowników; wieśniacy są przekonani że małe czworonożne szkodliwe zwierzęta, zwane *Lemminger*, pokazujące się niespodzianie, spadają z deszczem, a nie jeden rybak gotów przysiądz, że widział na własne oczy potworną rybę Kraken, podobną do wyspy pływającej, mającą przeszło pół mili obwodu.

Zima w stronie wschodniej Norwegii jest najprzykrzejszą; przy brzegach, morze czyni ją nieco lżejszą: a gdy, co jest osobliwością, różne odnogi i porty zawalone są lodami, leżące najdalej na północ, wcale nie zamarzają. Lato bywa ciepłe, często nawet zbyt gorące: co ztąd pochodzić musi, że odbijające się o góry i skały promienie słoneczne bardziej się w jedno miejsce zbierają i czynią ciepło silniejsze; tudzież, iż krótkie nocy nie dają czasu ziemi do ostygnienia. Z tem wszystkiem mieszkańcy tak mocnego są składu ciała, iż zarówno zimno i gorąco znoszą. Kraj ten wszędzie górzysty, przerzynają płaszczyzny małemi rzekami skrapiane; niektóre góry ciągle okryte są lodami. Pasmo ciągnących się gór z strony północno-wschodniej, ku południowo-zachodniej, dzieli Norwegią

na północną i południową. W dolinach znajdują się pomieszkania, a na górach pasą się trzody, gdzie pasterze mają chałupki, i robieniem serów się trudnią. Najwyższa z gór zowie się *Kjölen*. Są miejscami dobre pastwiska, mimo tego jednak barany i woły są drobne. Nie masz przykładu, aby tam kiedy zaraza na bydło panowała. Nietrudno o kozy i świnie; konie maleńkie, lecz kształtne, dzielne i rześkie, w piersiach nadewszystko mocne: pospolicie mają sierć żółto-białą, grzywę najczęściej czarną, i takąż pręgę przez grzbiet. Jest dosyć zająców, renów, wszelkiego rodzaju ptastwa do jedzenia, dzikich zwierząt, prześliczne futra mających, a szczególniej gronostajów i różnego gatunku drapieżnych ptaków; po obszernych lasach i pustych górach, siedliska swe mających; z tych wiele puchu dostają. Rzeki zaś i morza tak wiele ryb dostarczają, że te najznaczniejszą część handlu Norwegianów składają. Z tych największą mają zaletę łososie, śledzie, dorsze, raki morskie, a w skorupach ostrygi.

Język norwegski ten sam co duński; ma jednak dyalekt mocniejszy, dobitniejszy, milszy, do szwedzkiego przystępujący, i przez szczególniejszą odmianę głosu, a trudną do naśladowania, w śpiewanie wpadający. Co się tycze języka Duńczyków, tak wiele do niemieckiego, holenderskiego i angielskiego przystępuje, że umiejąc te języki, łatwo jest zrozumieć mówiącego po Duńsku. Znajduje się jednak w języku norwegskim tyle dawnych krajowych wyrazów, że je nie wszyscy w Danii rozumieć mogą. Norwegianie, równie jak Duńczykowie i Niemcy, używają dotąd charakteru gockiego w pisaniu i druku, gdy Szwedzi już do siebie litery rzymskie zaprowadzili.

Co tycze pięknych kunsztów, te właśnie wywołane są z Norwegii. Obfitując ten kraj w przepyszne pozycye, nie ma żadnego doskonałego malarza; mieszcząc na swém łonie tyle osób, tak pięknego i regularnego, tak zręcznego i giętkiego kształtu, gdzie się marmur za każdém stąpieniem znajduje, nie ma żadnego rzeźbiarza. Zaledwie jednego lub dwóch poetów liczyć może prawdziwie; a mimo wrodzonej mieszkańców wesołości, mimo delikatności i melodyi języka i mimo długości wieczorów zimowych, wymagających naturalnie rozrywki z muzyki, mało kto tę tak miłą sztukę posiada, ani słychać nareszcie o dobrym mówcy w tym narodzie.

Urodziłem się na wsi w Norwegii, gdzie zostawałem aż do dwunastego roku mego życia. Później potem dwa razy bawiłem na wsi, pierwszą razą dwa lata, drugą rok jeden: miałem więc dosyć sposobności poznać należycie moich współziomków.

Zawsze prawie znalazłem rolnika Norwegii usłużnym, dobroczynnym i gościnnym. Przekonany jestem, że go takim każdy cudzoziemiec znajdzie, jeżeli przez czas niejaki z nim pożyje, i bez uprzedzenia uważać go będzie. Prawda jest, żem się szczególniej nad mieszkańcami koło *Moss* i *Dorve* osiadłemi, zastanawiał i że tych najlepiej poznałem; lecz znając w ogólności kraj ten, zapewnić mogę, że opis jednéj części służyć może całemu narodowi, osobliwie co się tycze gościnności. Jeżeli niektórych wędrowników inne jest w téj mierze zdanie, przypisać to należy przyczynom szczególnym. Niektórzy z nich na przykład, szybko kraj przebiegając, mieli tylko do czynienia z trzymającemi oberże i traktyernie: a ludzie takowi ucząc się swego rzemiosła, razem i ducha jego nabrali.

Często objeżdżałem Norwegią mniejszemi traktami. Gdy mię noc zaskoczyła, udawałem się do najpierwszéj chaty którą znalazłem na drodze. Nie postrzegłem nigdy ociągania się z udzieleniem mi noclegu: gospodarz ściskał mnie za rękę, zapraszał do swego stołu, wyznaczał najwygodniejszą izbę i najlepsze łóżko. Nazajutrz mając wyjeżdżać, gdym się pytał co się należy, odpowiedział mi: *nic nie potrzeba*, i gniewał się jeżeli chciałem koniecznie płacić.

Krój sukni rozmaity jest w różnych powiatach: lecz wszystkie są z materyi robionéj przez samychże wieśniaków. W dni powszednie noszą suknią z paklaku bardzo grubego, rzadkiego, koloru niebieskiego lub szarego. W święta używają innego pakłaku cieńszego i do sukna podobnego. Suknie kobiet są także z materyi roboty domowéj, która jest częstokroć tak piękna, że osoby wyższéj rangi nie wstydzą się jéj używać, a nawet chełpią się, że ją same tkały. Często można zastać córkę pastora, officera, albo też urzędnika publicznego, przy swym warsztacie; rzemiosło to nie ujmuje panience bynajmniéj wdzięków: owszem równie piękną i kochania godną wydaje się przy krosnach, jak są damy po miastach przy toalecie, grze, lub fortepianie. Do kobiet prócz tego należy domowe gospodarstwo.

W *Guldbraudsdalen*, *Pesterdalen* i *Hallingdalen* znaleść jeszcze można zabytki owych starych Norwegianów, owych ludzi wysokich, czerstwych, zdrowych i wesołych, o których poeta *Malling* mógł powiedzieć: *Nagie piersi wesołych starców gardziły śniegiem i bojem.* W czasie naj

tęższej zimy noszą tylko jeden kaftan, na który wdziewają suknią dość krótką; oboje to przepasują szerokim pasem skórzanym, który się z przodu na trzy lub cztery sprzączki zapina. Suknia zwierzchnia i spodnia otwarte są na piersiach, tak zalece, że tę część ciała widać zupełnie obnażoną: koszula zapina się na szyi wielkim guzikiem srebrnym; u wielu jednak nie jest zapięta. Na głowie czapka ze czterech kawałków sukna: ubiór nóg, pończochy wełniane i trzewiki; na wierzchu noszą nagolenice i spodnie skórzane. Przeto też nieraz obaczyć można człowieka u pracy, mającego zapocone czoło, a piersi okryte lodem: w takim stanie ujrzysz go nagle wchodzącego do izby należycie ogrzanéj i siadającego przy piecu, a to jednak żadnego uszczerbku zdrowiu jego nie przynosi. Przed tém wieśniacy nie golili brody, teraz rzadko kogo z brodą obaczyć można.

Żywność rolnika zależy od gruntu, na którym mieszka, i podług odmienności płodów ziemskich jest odmienna. Wzdłuż brzegów morskich, ryby są zwyczajnem pożywieniem. W niektórych miejscach dyecezyi *Bergen* i *Drontheim*, najbardziej ku północy posuniętych, niedawnemi czasy ryby świeże pożywano wraz z suszonemi, na miejscu których później zaczęto używać chleba, przecież ta żywność nie jest ani tak pospolita, ani zdrowa, jak pokarmy zwyczajne: dla tego też parchy w téj okolicy były przed tém bardzo pospolite. Wreszcie Norwegia wewnętrzna, wydaje acz nieobficie, wszelakiego gatunku zboże, jako to: pszenicę, żyto, jęczmień, owies, groch i t. d. zboża te udają się należycie, i jeśli nocne mrozy nie zważą plonu, ziarno bywa większe i lepsze, niż na przykład w Danii, albo w xięztwie Holsztyńskiém. Owies nadewszystko rodzi się przedni, i służy w całej prawie Norwegii na chleb dla rolników. Chleb ten zwany *Flandbröd*, piecze się w płaskich i cienkich sztukach, od czego dobroć jego zależy: pieką go na okrągłych blachach żelaznych, trzy blisko stopy średnicy mających, które mu nadają kształt i miarę. Przymieszawszy jęczmienia albo jeszcze lepiéj żyta, chleb ten nabiera smaku bardzo przyjemnego, i wieśniak nie oddałby go ani za chleb pytlowy, ani za biały, który zwykł jadać tylko w dzień Bożego narodzenia, i podczas uczt, nie żeby w nim więcéj smakował, ale dla tego, że chleb taki jest rzadszy, a tém samém więcéj szacowany. *Fladbröd*, do którego nie wchodzą drożdże, daje się łatwo chować, nie wysycha, ani pleśnieje, tak dalece, że dobrzy gospodarze mają ten zysk, że go dwa lub trzy razy, a czasem raz tylko na rok pieką. W niektórych miejscach jest zwyczaj podczas wesela, częstować gości chlebem, który był pieczony w dzień urodzin nowożeńców; dawność ta jednak bynajmniéj dobroci jego nie odmienia.

Mleko i masło nie wiele mają tłustości, lecz tem są zdrowsze i smaczniejsze, że krowy pasą się po łąkach okrytych kwiatami i rozmaitém zielem. Ser norwegski, zwany *starym serem*, który ma smak ostry, i *Mysest*, ser bardzo słodki, są znajome i szukane za granicą. Kiedy urodzaje chybią, ubodzy opodal od miast żyjący, przymuszeni są częstokroć mieszać do mąki wewnętrzną korę jodłową, którą wprzód suszą i mielą z owsem, z czego robią sławny *Baraebröd* (chleb z kory); smak tego chleba równie jest nieprzyjemny, jak używanie szkodliwe. Szczęściem srogi ten ratowania się w niedostatku sposób, co dzień staje się mniéj potrzebnym, kiedy zasiewanie zboża i sadzenie kartofli bardziéj się upowszechnia.

Jednym z najpiękniejszych krajobrazów Norwegii jest dolina Westfiorddalen, leżąca w powiecie Christiansand. Od zachodu na wschód przecina ją rzeka, a w dalekości upiększa ją góra mająca kształt stołu, zwana Gusta. Widok tej góry i doliny zamieściliśmy na czele tego zeszytu.

Wspaniała kaskada znana pod nazwiskiem Rinhand, od dawna wsławiła dolinę Westfiorddalen. W odległości mil pięciu, można dostrzedz nad dziką i górzystą okolicą dym obfity, któren już się wznosi już zniża. Przybywszy na miejsce zwane skokiem Maryi, zwiedzający znajduje się wprost wodospadu, w odległości 400 do 500 sążni i wtenczas widzieć może całą jego wspaniałość. Massa wody spada z wierzchu skał z okropnym hukiem, przez wydrążenie mające tylko 12 stóp szerokości, w przepaść na 150 sążni głęboką, Woda spadająca, tworzy słup zapieniony, co chwila odmienną przybierający postać, a na dole rzuca się jak strzała w koryto rzeki.

Mieszkańcy téj doliny mają osobliwszy zwyczaj: skoro tylko naczelnik rodziny oszczędzi i zbierze 1000 dolarów (około 4500 złp.) zawiesza nade drzwiami głównej izby, wielki kocioł miedziany i ile posiada tysięcy dolarów tyle jest kotłów. Nigdy nie używają tych naczyń, tylko poświadczają one majątek właściciela.

AELXANDER GWAGNIN.

»Zmarnowanie drogich darów natury, zatracenie ich przez wstręt do pracy i brak szlachetnéj stałości w ich rozwinieniu i wzmaganiu, jest grzechem niewdzięczności przeciw naturze, jest jedną z głównych wad naszych« wyrzekł *Leon Borowski* w życiu Euzebiusza Słowackiego, i wytknął podobno, najpospolitszą a najszkodliwszą wadę: że to nie jest złośliwa obmowa, ale niestety! szczera prawda, dowodzą pomiędzy innemi cudzoziemcy uczeni, dla nas o naszym kraju, najczęściéj w obcym języku piszący, a dzieła ich niekiedy, ważne bardzo zawierają wiadomości. Do licznego ich szeregu należy także *Alexander Gwagnin*, którego wizerunek niniejsza rycina wystawia. Urodził się roku 1511 w Weronie. Odbywszy z chlubą nauki we Włoszech, i nie mając w zawodzie wojskowym, który sobie obrał, żadnych pomyślnych widoków w własnym kraju, postanowił szukać szczęścia na północy. Przybył w młodym bardzo wieku do Polski, za czasów Zygmunta Augusta, zaciągnął się do hufców, odbywał liczne wyprawy, inflantską, wołoską, i jako biegły inżynier był przez lat 18 dowódzcą załogi w twierdzy Witebsku. Kraj za te przysługi przyjął go pomiędzy swoje dzieci, zaszczycił go indygenatem i opatrzył chlebem, którego w ostatnich latach życia spokojnie zażywając, umarł w Krakowie r. 1614, w 76 roku wieku swego. Gwagnin pisał się Hrabią pałacu lateraneńskiego, rycerzem passowanym i rotmistrzem królewskim. Bardziéj atoli niż orężem, odznaczył się Gwagnin piórem; a kłótnia literacka, którą miał z kronikarzem naszym Stryjkowskim, wsławiła imię jego w inny jeszcze sposób. Stryjkowski, podkomendny jego, wyjeżdżając z poselstwem do Turcyi, zostawił Gwagninowi, z którym w ścisłéj żył przyjaźni, raptularze swoje o Sarmacyi europejskiéj. Gwagnin nie omieszkał z nich korzystać, napisał dzieło w łacińskim języku i wydał w Krakowie roku 1578 pod tytułem: *Sarmatiae Europae descriptio.* Stryjkowski, powróciwszy do kraju, obwinił go o kradzież literacką, o przywłaszczenie sobie cudzéj pracy. Wszyscy ówcześni uczeni krajowi, sarkali na tak bezczelny czyn cudzoziemca; ale gniew ich uśmierzył się wnet, skoro się kronika Stryjkowskiego na świat ukazała. Różnica jéj od dzieła Gwagnina, zbyt jest wielką, zbyt w oczy bijącą, aby Gwagnina o kradzież literacką posądzać można. Nasamprzód układ obudwóch dzieł zupełnie jest odmienny; daléj, kronika Stryjkowskiego jest po polsku pisana, Gwagnina zaś po łacinie; Stryjkowskiego wierszem przeplatana, Gwagnina wszędzie prozą ułożona; w dziele pierwszego pełno nieładu, sprzeczności, anachronizmów; w drugim wszystko w jak najlepszym porządku i w swojém miejscu. »Gwagnin« mówi Gołębiowski w dziele o dziejopisach polskich, »nie stworzył nic nadzwyczajnego, ale usiłował w niewielkim foliale objąć dzieje każdéj prowincyi, wyłuszczyć jeograficzną nomenklaturę i dać o kraju dobrą wiadomość.« Gdy tymczasem praca Stryjkowskiego niczém więcéj nie jest, jak, że tak powiemy, stosem materyałów, z których piszący dzieje krajowe wybór z największą ostrożnością czynić powinni. Wreszcie, że Gwagnin wolnym powinien bydź od zarzutu kradzieży, dowodzą następujące słowa, wyjęte z dedykacyi Zebrzydowskiemu, wojewodzie krakowskiemu, z dzieła jego w roku 1611 w polskim języku pod tytułem: *Kronika Sarmacyi Europejskiéj* wydanego: »W tych krainach, Sarmacyey europejskiéj, przez lat niemało wiek swóy trawiąc« mówi Gwagnin, »y wszystko moje jakiekolwiek staranie w rzeczach rycerskich, na posługę téj Rzeczypospolitéj obracając, nigdy nie zabiegałem o mój użytek, ale o honor i dobro kraju (a to acz częstokroć gdzie indziéj, na różnych expedycyach, jako w Inflanciech, w Włoszech), osobliwie jednak na zamku witebskim, przez lat 18 rotmistrzem będąc, urząd mnie zlecony, jako najlepiéj mogąc, z pilnością odprawowałem: tak jako i wiary méj całe a zupełne dochowanie i miejsca potrzebna sposobność wyciągała: a za długim zwyczajem, języka, obyczajów, postępków i praw koronnych przyuczywszy się, wszystkichem krain Sarmacyi europejskiéj położenie, po większéj części z własnego mego doświadczenia przewidział i na oko obaczył. Zaczém na on czas urywając nieco czasu z ustawicznych igrzysk marsowych, teraz też już w łabędzim prawie pierzu, wytchnąwszy od prac moich i kunsztów zwykłych wojennych, kruciuchne zebranie spraw na świecie, wiadomości godnych, żołnierskim piórem uczynić pilnuchno umyśliłem.« Byłżeby tak bezczelnym, aby pracę cudzą tak śmiele i temi wyrazami za swoją udawał. — Gwagnin wydał następujące dzieła:

1. Sarmatiae Europae descriptio. Cracoviae 1578 f.

2. Rerum polonicarum tomi tres. Francoforti 1584 in 8vo. Dzieło to przełożone przez *Paszkowskiego* na język polski, kosztem i staraniem Gwagnina, wydane zo-

stało w Krakowie 1611 pod tytułem: *Kronika Sarmacyi Europejskiej.*

3. Gesta praecipua, Monarchae Moscoviae, nuper perpetrata. Spirae 1581.

J. Ł.

WSPOMMIENIA Z PODRÓŻY

Kiel—Podania morza Baltyckiego.

W każdym tygodniu jest jeden ważny dzień dla mieszkańców miasta Kiel. Jest to sobota. W tym dniu statek parowy przychodzi z Kopenhagi o czwartéj rano, odchodzi o siódméj wieczorem. Tego dnia widać obce twarze na ulicach, a mieszkańcy silą się nad odgadywaniem stanu, majątku i nazwiska podróżnych.

Żegluga statkiem parowym, wygodna i szybka, pozbawiona jest tego uroku poetycznego, któren tak mocno działał na osoby żywą obdarzone wyobraźnią, żeglujące zwyczajnym okrętem. Nie ujrzysz tam ani majtków wdzierających się na bocianie gniazda, ani chłopców zawieszonych na rejach jak ptaki morskie, ani żagli nadymających się jeden po drugim, albo z jękiem spadających wzdłuż masztów. Statek parowy jest okrętem kupieckim. Wszystko odbywa się na nim jak w kantorze kupca, wszystko jest czyste, wywoskowane, lakierowane, ułożone porządnie. Podróżni płacą z góry. Wyjeżdżają o naznaczonéj godzinie i wiedzą o któréj godzinie staną na miejscu. Przez drogę rozmawiają jedni z drugiemi i zabierają znajomości.

Ci, którzyby chcieli uniknąć téj poufałości, zwyciężeni są słabością morską. Słabość ta niszczy wszystkie przedziały, ostudza próżność. Bogacz dotknięty słabością morską, nie myśli o swoich tytułach ani o zamkach; kładzie się na pokładzie, obok biednego rzemieślnika. Lecz właściciele statków lubią tę słabość i na nią rachują. Płynący, z Kiel do Kopenhagi, chętnie czy niechętnie muszą z góry płacić za obiad, czy go chcą jeśdź czyli nie chcą. Jest to bardzo roztropny środek ze strony przedsiębierców. Zastawiają obiad, przybywszy pod *Kioge*, w miejscu, gdzie wiatr wieje najgwałtowniéj, a morze jest najburzliwsze. Podróżni krzywią się okropnie na widok talerzy; bifsztyk obnoszą od jednego do drugiego; nikt go się nie tknie, a pieniądze podróżnych pozostają jako czysty zarobek w kassie administracyi. Posłania na statku parowym tak są niedogodne i szczupłe, iż niepodobna zasnąć, i wszyscy dziękują sobie, że tylko jedną noc przypędzić muszą w tym przybytku dolegliwości.

To szczęście, że ze wschodem słońca, znajdujemy piękną i poetyczną naturę. O téj godzinie, statek okrąża cypel Falster, płynie między Seeland i wysepkami mało co wyniesionemi nad powierzchnią wody, na których jest nieco trawy i kilka chatek. Każden wieśniak mieszka tam jak w łodzi. Fale miotane wiatrem, padają aż na jego chatę. Morze huczy w dzień koło jego stołu, a w nocy przy jego posłaniu. Morze jest jego żywiołem, jego pociechą i smutkiem, jego światem. Na niém rosną jego dzieci, w niego codzień zarzuca sieć swoją, szukając w niém swego żniwa. Niekiedy morze wzywa go na swoją czystą i gładką powierzchnię; niebo nie jest tak czyste jak ta wielka płaszczyzna, a szmer wiatru w lesie nie jest tak miły dla ucha, jak szmer tych bałwanów, które zginają się około łodzi rybaka i uciekają zostawiając za sobą długą brozdę piany, podobną do srebrnéj wstęgi. Wówczas to, duch wód śpiewa w grocie swojéj. Wówczas *Meermaid* występuje na powierzchnią wody, z lirą złotą, i wzywa podróżnych. Potem niespodzianie, burzy się i huczy morze w około odosobnionej wyspy. Wtedy rybak wraca do domu i czeka dopóki burza nie przeminie.

Lud prosty utrzymuje, że niektóre z tych wysp zrobili czarnoxiężnicy, ażeby im łatwiéj było przenosić się z jednego miejsca na drugie; w niektórych punktach tak są zbliżone do siebie, iż morze podobne jest do wielkiéj rzeki, jakby Ren lub Skalda. Z obudwu stron widać brzegi, można policzyć domy, a w niedzielę gdy statek przypłynie przed wyspę Falster, słychać dźwięk dzwonów i śpiewy kościelne. Nieco daléj, krajowcy prowadzą cię na przód statku i z dumą pokazują wielką massę skał, białą, stromą, uwieńczoną krzakami, na któréj wierzchu stoi kilka ostrych głazów wybiegłych w górę. Jest to podług ich podań, młoda i piękna wróżka panująca nad wodami i wyspą.

Ta naga skała jest to jéj szata w długich fałdach spadająca do morza, ta ostra piramida jest jéj berłem, a te gałązki dębowe są jéj koroną. Siedzi na wierzchołku cypla zwanego stolicą królowéj, ztamtąd czuwa nad swojem państwem i opiekuje się łódką rybaka i statkiem kupca. Częstokroć słyszano harmonijne głosy, niepodobne do tych, które słychać na świecie. Są to młode wróżki tańczące i śpiewające w około swojéj królowéj, ona patrzy na nie i uśmiecha się do nich. Ach! lud jest największy ze wszystkich poetów.

Tam, gdzie zimny rozum roztrząsa i bada, on wynajduje martwą naturę i życiem obleka.

Przy Maensklint, morze znowu się rozszerza, mnóstwo statków wymija się i spotyka; o godzinie piątej po południu, statek parowy zawija do Kopenhagi.

Na tych brzegach Baltyckiego morza, pełno jest podań, jedne nacechowane prawdziwém religijnem uczuciem, drugie noszą jeszcze znamię pogaństwa; jedne są proste i tkliwe jak elegia, drugie są ozdobne i upięknione jak czarodziejskie powieści. Żeglarz jest łatwowiernym i zabobonnym; życie pełne przygód i niebezpieczeństw, utrzymuje w jego umyśle zamiłowanie w cudowności; częstokroć burza zaskoczy go pośród jego najpiękniejszych nadziei, a ponieważ nie może wytłumaczyć sobie takich nagłych zmian atmosfery, przypisuje one nadzwyczajnym wpływom.

Na wyspach północy, podania te utrzymują się przez odosobnienie mieszkań. Zrodzone na gruncie wyspy, przechodzą od pokolenia do pokolenia. Każdy umie tam powieści o elfach i olbrzymach, o czarownych szpadach, o skarbach, których smoki pilnują. Są tam ludzie morscy, z zieloną brodą, z włosami spadającemi na ramiona, jak łodygi liści wodnych, a którzy śpiewają wieczorem nad brzegiem morza, ażeby przyciągnąć młode dziewczyny i zaprowadzić je do ich grot kryształowych. Są czarownicy, którzy mocą zaklęcia, wzburzają fale i wywracają łodzie rybaków. Są, podobnie jak w innych górzystych krainach Europy, myśliwcy skazani za występki na wieczne bieganie po bagnach, po zaroślach. Tam wierzą także w króla Elfów, panującego nad wyspami Stern, Moe i Rugen. Ma on wóz zaprzężony czterema czarnemi ogierami. Przejeżdża przez powietrze z jednéj wyspy do drugiéj, wówczas bardzo dobrze można rozróżnić rżenie jego koni, a morze zupełnie jest czarne. Ten król ma wielkie wojsko na swoje rozkazy, a jego żołnierze są to wielkie dęby rozsiane po wyspach. W dzień muszą żyć pod korą drzew, lecz w nocy biorą szyszaki i oręże i dumnie przechodzą się przy świetle xiężyca.

Inne podania mają zupełnie religijną cechę. Jest to prawo miłosierdzia i pokuty, przyobleczone w postać powieści. *Wyspa Xiędza*, przypomina świętą legendę. Był tam niegdyś kapłan zwany Anders, szanowany od wszystkich z powodu cnót swoich. Był bardzo ubogim i posiadał jeden tylko denar. Lecz gdy czego potrzebował, posyłał swój denar do kupca lub do rolnika, i zawsze odnoszono mu go pobożnie, z przyłączeniem tego czego pragnął.

Na innem nadbrzeżu Baltyckiego morza, kościoł znieważony przez bezbożnych, zapadł się w wodę. W nocy słychać jak ci nieszczęśliwi śpiewają ze łkaniem psalmy pokutne, a gdy morze jest spokojne, widać przez wodę świece które zapalają przed ołtarzem. Za grzechy swoje muszą płakać i żałować w tym kościele aż do dnia sądu ostatecznego.

Przy tym samym brzegu, kilkakrotnie podczas burzy, przy świetle błyskawic, majtkowie postrzegli okręt dziwacznego kształtu, niewiadomo jakiego narodu.

Dowódzca okrętu i majtkowie dopuścili się kiedyś wielkiej winy i muszą błądzić po morzu, bez wypoczynku, aż do skończenia świata. Gdy postrzegą zdaleka inny okręt, posyłają przez niego listy do swoich krewnych i przyjaciół. Lecz te listy pisane są do osób zmarłych już od wieków, i na ulice o których nazwiskach nikt już nie wie.

Następującą legendę opowiada Oehlenschlaeger poeta duński: jest to raczéj dramat z rzeczywistego życia. Biedny majtek postradał syna pod czas burzy, boleść pozbawiła go rozumu. Nieszczęśliwy siada na łodź płynie na pełne morze, tam uderza w bęben i głośno woła swego syna. »Pójdź! mówi do niego, pójdź porzuć twoje ukrycie, płyń do mnie, umieszczę cię w łodzi obok mnie, a jeźli już nie żyjesz, dam ci grób na cmętarzu, grób między kwiatami i krzewami, tam lepiéj spać będziesz, aniżeli pośród fali morskich.

Lecz daremnie woła, daremnie patrzy nieszczęśliwy. Za nadejściem nocy powraca, mówiąc: »Jutro daléj popłynę, biedny mój syn nie usłyszał mego wołania.«

BUDOWNICZOWIE.

Powieść historyczna z wieku Ludwika 8go.

W Muzeum domowém z r. 1835. umieściliśmy dwie ryciny wyobrażające zewnętrzną postać jednego z kościołów paryzkich, znanego pod nazwiskiem Swiętéj Kaplicy, należącego do najcelniejszych pomników architektury gotyckiéj. Z budową tego kościoła łączy się zajmujące podanie, które wznowił pięknem piórem pan Berthoud, główny redaktor francuzkiego rodzinnego Muzeum. Znajdą w niem czytelnicy wzruszające obrazy żądzy chwały, zamienionéj w szaloną namiętność, a obok nich przeważną potęgę religijnego ducha.

I.

Przepędziwszy dwie godziny przy łożu przewielebnego ojca Bonawentury generała zakonu świętego Franciszka, zakonnik odziany dominikańskim habitem, zwolna i ze spuszczoną głową szedł przez błotną brudną ulicę Paryża, zwaną w owym czasie Glatigny. Już miano zadzwonić na gaszenie ognia, bo już runty zaczynały swój objazd, a mieszczanie zaciągali łańcuchy żelazne, któremi na noc zamykali ulice.

Wtem zakonnik ten jak gdyby odpychając myśl grzeszną i światową, uczynił znak krzyża świętego i zawołał:

Deus in adjutorium meum intende,

a potem przydał ze wzruszeniem:

Fiat voluntas tua!

Gdyż tkliwa przyjaźń łączyła go z ojcem Bonawenturą, gdyż mimo zupełnego wyrzeczenia się wszelkich uczuć światowych, mimo nieograniczonego poddania się woli Boga, nie mógł bez żalu i boleści pomyśléć, że już nie ujrzy na tym świecie tego towarzysza swojej młodości, przywiązanego brata, z którym aż dotąd przebywał krok w krok drogę cierpień i doświadczenia. Komuż teraz będzie mógł powierzyć myśli swoje, któż będzie zbijał jego powątpiewania, przysposabiał jego prace? Sam pozostał dla odbywania wielkiej podróży tego świata. Gdy we dwóch jesteśmy w drodze, wspieramy się nawzajem, dopomagamy sobie, uprzyjemniamy przykrości, dodajemy sobie siły słowami politowania i zachęty! Lecz iśdź sam tylko, spoglądać wokoło siebie i widzieć tylko, przerażającą samotność! mówić a nie słyszeć odpowiedzi! czuć że serce bije z przestrachu, a nie mieć nikogo, ktoby powiedział: Bracie miéj odwagę: Ach! to jest okropnie, bardzo okropnie.

»Słabym i samolubnym jestem człowiekiem, rzekł, brat mój dochodzi do kresu podróży, a ja płaczę; spocznie na łonie wieczności, a ja płaczę; już nie dozna ani utrudzenia, ani trudu, a ja się nie cieszę! A jednakże mieć będę w niebie orędownika, któren prosić będzie Boga, ażeby skrócił podróż moją. Jestem zaprawdę słabym i nikczemnym chrześcijaninem.

Lecz daremnie uzbrajał się postanowieniem, daremnie przyzywał rozumowania wiary na pomoc swoją, łzy nie przestawały toczyć się z jego oczu i płynąć po licach bardziéj wynędzniałych umartwieniem, aniżeli wiekiem; jakoż w rzeczy saméj, z uwagą przypatrując się jego głowie i prawie łysej, i tylko z tyłu pokrytéj czarnemi włosami, do których mieszało się trochę siwizny; łatwo można było poznać, że ten zakonnik miał zaledwie lat trzydzieści sześć. Starszym czyniło go jakieś znużenie po jego obliczu rozlane, i które szerokiemi zmarszczkami pokrywało jego czoło. Lecz jeźli podniósł głowę zwykle pochyloną, jeśli jego czarne oko spuszczone ku ziemi, zapaliło się nagle, naówczas zestarzałe to i osłabłe ciało, odzyskiwało dawną młodość. Lecz za rzadkie i krótkie były te błyskawice, podobne do pochodni, która purpurowym blaskiem napełnia podziemną pieczarę, aby ją potém znowu w głębokiej ciemności pogrążyć.

W rogu ulicy Glatigny, tłum pospólstwa nie dopuścił Dominikanowi iśdź dalej. Tłum ten otaczał człowieka, któren rzucał się po ziemi pośród konwulsyi pijaństwa, i bez litości szydził z niego, ponieważ jego ubranie oznajmiało człowieka wyższego stanu. Cieszyli się więc, że tarza się w błocie jeden z tych, których dobrego bytu, wychowania i dostojeństwa zazdroszczą.

—»O! paskudny pijak, rzekł jeden z tych żebraków, którzy fałszywemi ranami do litości pobudzają; paskudny pijak, byłby lepiéj zrobił, gdyby pieniędzmi temi poratował jakiego biednego kalekę, nie zaś niszczył zdrowie swojego ciała.

—»Tak jest, tak: przydała stara kobiéta, któréj czerwony nos wskazywał, iż często zagląda do butelki: tak jest, ci ludzie mają na wszelkie zbytki i wymysły, a my biedacy umieramy z głodu.

—»Ah! nie z pragnienia, moja imość: odezwał się chłopak, i nagłém wstrząśnieniem wytrącił z ręki staréj garczek z winem, któren trzymała pod fartuchem.

—»Ach: synu szatana! zawołała baba, biegnąc za uciekającym ulicznikiem, któren wkrótce powrócił, ażeby szydził ze swojéj nieprzyjaciółki, i bardziéj ją rozdrażniał. Zaślepiona gniewem, stara koniecznie chciała schwytać chłopaka, kręcącego się w koło niéj jak ptak i uciekającego w téj właśnie chwili, gdy jéj się zdawało, że go pochwyci suchemi i drżącemi rękoma.

To drugie widowisko zaszkodziło pierwszemu; porzucono pijaka dla zabawienia się zręcznością chłopca i złością staréj. Dominikan mógł więc zbliżyć się do nieznajomego, któren leżał przede drzwiami szynkowni i udzielić mu jakiéj pomocy. Gdy podźwignął tego człowieka, i gdy za prożbą zakonnika i przyrzeczeniem zapłaty, szynkarz zaniósł go do swego pomieszkania, nędznik przyszedł do zmysłów. Wtedy zrzucił gnój, którym go pokryło pospólstwo, ujrzał zakonnika i chciał sobie twarz zasłonić, a potém zalał się łzami.

—»Mój bracie, rzekł z wyrozumieniem sługa Boży, bezwątpienia nie jesteś nawy-

kły do nałogów tak niestósownych dla porządnego człowieka, na jakiego wyglądasz. Twój wstyd i żal maże winę twoją. Noc coraz jest głębsza; jeśli zechcesz, odprowadzę cię do twojego pomieszkania.

Nieznajomy ponuro spojrzał na kapłana, który stał przed nim, a skinąwszy na karczmarza aby odszedł.

—»Nie do mego pomieszkania, rzekł, lecz do kościoła pójśdź powinienem, ojcze; albowiem Bóg nie zaś przypadek przyprowadził cię do mnie. Słuchaj, przydał cichym i powolnym głosem; jeźli piję, to tylko ażeby zapomnieć, jeźli tracę przytomność, to tylko dla tego, ażeby nie widzieć mary, która mię ściga bez przerwy i staje przedemną skoro tylko zmysły zbiorę. Patrz, oto jest... ojcze... śmieje się z dziką radością... pokazuje mi zakrwawioną pierś swoją; woła na mnie: morderca! morderca!

Dominikan czémprędzéj poniósł rękę do ust nieznajomego.

—»Milczenie mój bracie; w tém miejscu nie przystoją takie słowa. Jeźli masz siłę, pójdź ze mną; nasz klasztor jest niedaleko, mogę cię wysłuchać i pocieszyć u trybunału pokuty. Tam nie będziesz się lękał, ażeby obce ucho nie schwyciło twoich wyznań; tam nie będziesz mówił jak ty do grzesznego człowieka, lecz do Swiętego Ducha, który zstępuje z Nieba na kapłana, przyodzianego świętém znamieniem spowiednika.

Nieznajomy podniósł się zwolna, jak machina posłuszna sprężynie która nią włada; obwinął się płaszczem wziętym od szynkarza, a za który zapłacił zakonnik: gdyż widzowie uliczni nie omieszkali obrać go z płaszcza, pieniędzy i zwierzchniéj sukni... i poszedł za swoim obrońcą. Oba udali się do klasztoru Dominikanów.

II.

W kilka minut weszli małemi drzwiczkami: gdyż wielkie oddawna były zawarte: Ogromna nawa, któréj olbrzymie ławki spoczywały na małych, krótkich kolumnach, oświecona była światłem kilku lamp, palących się w kaplicach, albo u stóp posągu świętego.

Gdy ci dwaj ludzie spostrzegli się sami wśród głębokiego milczenia w kościele, smutek i przestrach ogarnął ich serca. Jeden z nich miał uczynić okropne wyznanie, a drugi pojmował jak straszliwe będą słowa które miał słyszeć. Był to widok uroczysty; xiądz klęczał i odmawiał modlitwę; tamten, wybladły, przerażony, z sercem mocno bijącém, doznawał cierpień winowajcy w obec sędziego, mającego zarządzić jego losem, który może przywrócić mu wolność albo oddać w ręce kata.

Nakoniec xiądz podniósł się i dał znak grzesznikowi, aby ukląkł przed nim.

—»Błogosław mnie ojcze, bom zgrzeszył, wyjąkał. I zaczął odmawiać zwykłe słowa zaczynające spowiedź.

Xiądz pobłogosławił go w milczeniu, ale nieznajomy zamiast kończyć modlitwę, zerwał się gwałtownie.

—»I dla czegóż chcę się spowiadać, po cóż mam wzywać miłosierdzia Boskiego? Nie, nie masz dla mnie przebaczenia. Xięże, słuchaj mnie uważnie, odwrócisz się z przestrachem odemnie, wypędzisz mnie bez litości z kościoła, wyrzeczesz przekleństwo i złorzeczenie. Jestem zabójcą, nikczemnym zabójcą; uderzyłem moją ofiarę w nocy, zabiłem słabego starca, który na klęczkach błagał mnie, aby mu nie wywydzierać życia... Ani proźby, ani łzy rozbroić mnie nie zdołały; prosił, zaklinał, mówił o zbawieniu duszy; nie wstrzymałem się, zabiłem duszę jego wraz z ciałem. Od tego czasu, głos potępieńca powtarza w tém siedlisku płaczu i zgrzytania zębów: »Będziesz przy mnie na całą wieczność!« Głos ten wychodzi z piekła, ściga mnie wszędzie, prześladuje, słyszę go we dnie i w nocy, czy śpię czy czuwam. Pojmujesz teraz dla czego się upijam; szukam w winie zapomnienia, chcę się pozbawić myśli i uczucia. A cóż! nie mówisz nic o przebaczeniu, więcéj jesteś wybladły i przerażony jak ja sam? Gdzież są te obietnice miłosierdzia i pokuty? Jestem przeklęty na wieki!

—»Mój bracie, twoja zbrodnia jest wielką, ale miłosierdzie Boskie niewyczerpane. Nie rospaczaj, może łzy twoje, skrucha i ufność w dobroci Nieba, zjednają ci odpuszczenie grzechów, chociaż śmiertelnych. Porzuć uczucie rospaczy i czyń daléj wyznanie. Chcąc złemu zaradzić, trzeba je poznać dokładnie. Bracie, nabierz odwagi!

—»Odwagi! tak mój ojcze, potrzeba mi jéj!

—»Dla czegóż zabiłeś tego starca?

—»Zazdrość, miłość sławy, ta straszna gorączka, ta cierniowa korona raniąca czoła tych co ją noszą! Byłem budowniczym; przywołany zostałem z głębi Niemiec, aby z trzema innemi artystami, na rozkaz króla Francyi, zbudować kaplicę w jego pałacu. Znałem moich przeciwników; żaden z nich nie wzbudzał we mnie obawy, gdyż ja to mój ojcze wystawiłem kościół Sgo Jakóba w Wiedniu, ja to utworzyłem te zębowane wieże i rzeźby tajemnicze, wyrażające sens mistyczny i tajemnice wielkiego dzieła. Ach ojcze! jeszcze lepszy

pomysł powziąłem do budowy kaplicy Ś. Ludwika. Geniusz mój nigdy jeszcze nie wzniósł się tak śmiałym polotem, żadne moje pomysły nie miały więcéj harmonii i wdzięku. Zewnątrz, skarby wyrabiania, dzwonica tak lekka, iż nikt nie zdołałby pojąć jak zdoła opierać się wysileniom burzy; tysiące postaci aniołów; nieprzeliczone mnóstwo szczegółów tworzących wielką i zupełną całość; a wewnątrz, dwie kaplice jedna na drugiéj; sklepienia zadziwiającéj śmiałości; sklepienia spoczywające na słabych tylko kolumnach, nie utrzymywane żadnym filarem. Ach! jakaż będzie radość moja, myślałem, gdy tysiące rzeźbiarzy i mularzy, posłusznych na każde moje skinienie, zaczną uskuteczniać szlachetny i szczytny mój pomysł, gdy kopać będą fundamenta, gdy się mury wzniosą, gdy zbudują belkowiznę z drzewa wybranego przezemnie. Chcę bowiem ażeby to było najdoskonalsze dzieło, jakie tylko utworzyć można. Na nikogo nie spuszczę się w wyborze materyałów i w dozieraniu budowy. Wszystko sam zrobię; matka nie ma tyle przywiązania do swego dziecięcia, ile ja mieć będę do mojego kościoła. A potem nastąpi nagroda za tyle prac i trudów: poświęcenie kościoła, tłum widzów płaczących z uwielbienia i radości, brzmienia organów, wonie kadzideł, słońce rzucające promienie przez różnobarwne szyby; monarcha na kolanach, przed ołtarzem zbudowanym przezemnie... Paryż..., Francya... świat cały powtórzą z uniesieniem imie moje.... moja chwała będzie wieczna, nie pożyła ani śmiercią ani upływem wieków.

Takie były marzenia moje, w szalonem zaufaniu, w bezrozumnéj dumie, mój ojcze. —

O dwadzieścia pięć mil od Paryża, prawie przy kresie mojéj podróży, spotkałem... starca. Podróżował sam i podobnie jak ja szedł do IXgo Ludwika, aby mu podać plany do budowy świętéj kaplicy. Śmiałem się z jego zaufania, gdyż myślałem sobie: któż może walczyć ze mną? Nareście, powodowany ciekawością, a raczéj chcąc uczynić zadosyć jego życzeniu, zobaczyłem jego plany, które pokazywał mi, ślepém zaufaniem popchnięty. Ach! mój ojcze, byłem zwyciężony. Człowiek ten większy miał gieniusz aniżeli ja.... Znikła moja chwała, trzeba mi było powrócić do mego kraju. Okryty wstydem, zniesławiony, już nie byłem pierwszym budowniczym w świecie. Nie pytaj się, co wówczas działo się w moim umyśle, jakie myśli mię ogarnęły, jaka mię gorączka pożerała. To tylko wiem, że w nocy, w lesie, widziałem starca, na kolanach przedemną, błagającego o miłosierdzie, że czułem moje ręce ciepłą krwią oblane, że płomień z palących się papierów i pargaminów, purpurowym blaskiem pokrył pobliskie drzewa... Od tego czasu nie mam chwili wytchnienia i wypoczynku. Chciałem udać się do pałacu króla Ludwika, lecz zawsze odepchnęła mię ztamtąd niewidzialna ręka. Jedna mi tylko pozostała ucieczka: pić, pić aż do pijaństwa, aż do odrętwienia, aż do zabicia myśli.

Kapłan powstał. Nie był to już chrześcijanin, który płakał i pocieszał, był to sędzia.

—»Słuchaj, rzekł, słuchaj, co Bóg, Bóg któren karze i przebacza, rozkazuje ci przez moje usta. Uczyń pokutę, wyrzecz się świata i bezrozumnych marzeń chwały, nie bądź niczém innem na świecie, tylko ubogim zakonnikiem, wyrzecz się swego nazwiska, nazywaj się bratem Antonim.

—»Będę posłusznym.

—»Przywdziej włosiennicę i habit, sypiaj na gołych głazach; w nocy przerywaj twój sen dla biczowania ciała twego; jedz tylko chleb czarny pomieszany z popiołem.

—»Będę posłusznym.

—»Skaż się na zupełne dozgonne milczenie; niechaj twoje usta otworzą się tylko do modłów. Jeźli cię będą znieważać, uklęknij z pokorą; jeźli cię uderzą, pocałuj rękę przeciw tobie wzniesioną; jeźli kto pozna w tobie sławnego artystę, odpowiedz: »Jestem tylko bratem Antonim.«

—»Będę posłusznym.

—»I, ażeby pokuta była zupełna, spal te plany, które cię do zbrodni przywiodły; niechaj wiatr rozwieje ich popioły; niech zginą podobnie jak plany twojéj ofiary.

Lecz na te słowa kapłana, podniósł się pokutujący.

—»Nigdy! zawołał, nigdy! Co! ja mam zniszczyć największy, najszlachetniejszy mój pomysł, mam zezwolić, aby kto inny wybudował świętą kaplicę, aby nic nie pozostało z mojego dzieła? Nie, zakonniku. Przyjmuję naznaczoną pokutę, będę płakał, będę modlił się, będę biczował ciało moje, nie odkryję mego nazwiska, mego sławnego nazwiska, nikomu, nawet tobie. Ale nie będziesz wymagał ażebym spalił moje plany, nie będziesz wymagał, ażeby kto inny wybudował Świętą Kaplicę. Wolałbym raczéj, wolałbym nową zbrodnię popełnić.

Głos jego, przed chwilą pokorny i drżący, rozlegał się pod sklepieniem samotnego kościoła; chodził szybkim krokiem,

gwałtownie uderzał ręką o rękę, zimny pot spływał po jego twarzy.

Zakonnik ulitował się nad nim, a nie chcąc gubić duszy jego, nie chcąc odpychać go z domu pokuty, wolał ustąpić co do tego punktu.

—»A więc słuchaj. Niechaj Bóg przebaczy mi pobłażanie moje, grzeszne może. Prześlesz twoje plany królowi przez nieznaną osobę; dzieło twoje wykonaném będzie, lecz chwała z niego nie spadnie na ciebie.

—»Ach! dziękuję ci ojcze. Cóż mi po chwale, byleby tylko moje plany nie zostały spalone, byleby pomysł mój nie zaginął? Oprócz tego, nikt nie pomyli się względem nazwiska architekta. Któż inny mógłby utworzyć taki cud budownictwa? Kożden powie: on tylko sam może bydź jego twórcą. Dziękuję ci ojcze, dziękuję,

—»Przepędź noc na modlitwach. W tym kościele jutro powierzysz mi twoje plany; prześlę je królowi, a potem, jeżeli szczérze pragniesz odzyskać twoje zbawienie, przysiężesz mi, że już nic na tym świecie nie będzie cię obchodziło.

—»Tak, mój ojcze, odtąd urządzisz życie, pokutę i każdą najdrobniejszą nawet myśl architekta Franciszka...

—»Milcz, przerwał mu zakonnik, twoje nazwisko już nie należy do ciebie. Nikt o niém wiedzieć nie powinien, ja równie jak i drudzy; gdyż to nazwisko jest sławne jak powiadają, a pokutnik porzucić winien wszelki przepych światowy. Bracie Antoni uklęknij.

Artysta westchnął głęboko i usłuchał.

—»Przynajmniej nim się oddalisz, rzekł, powiedz mi czyje nazwisko powinienem łączyć z modłami mojemi; gdyż winienem ci dobro, które jużem był utracił na zawsze, nadzieję zbawienia.

—»Módl się za ojca Tomasza z Akwinu, z zakonu świętego Dominika: rzekł mnich oddalając się od niego.

III.

Był w trzynastym wieku w Paryżu w rogu ulicy *Trzech Kądzieli*, bardzo sławny pasztetnik, który dostarczał ciasta na stół najpierwszych panów. Nietylko że posyłali do niego, lecz nawet raczyli sami wstępować do jego sklepu i nie pogardzali ciasteczkami i winem korzenném Jakóba Montreuil.

Nazwyczajony do przyjmowania tak znakomitych gości, Jakób Montreuil za nic w świecie nie byłby zamienił stanu swojego i mniéj nawet cenił pieniądze, któremi codzień napełniał się jego woreczek, aniżeli wziętość biegłego pasztetnika, któréj mu nikt nie zaprzeczał. I nie jeden szlachcic z pustą kieszenią a brzmiącém nazwiskiem, korzystał z téj próżności i posilał się gratis w jego sklepie. Lecz miewał tak wiele gości, iż nie zważał na te drobne wydatki, a Jakób Montreuil, gdyby nie miał był innych kłopotów, byłby najszczęśliwszy z ludzi.

Na nieszczęście, syn jego imieniem Piotr, nie cenił tak wysoko jak ojciec szlachetnego rzemiosła pasztetnika, i tylko z przymusu, zagrożony kijem ojcowskim, zbliżał się do pieca. Zawsze psuł ciasta jakąś niezręczną mieszaniną, i tak się nie znał na ogniu, że jeźli przypadkiem kazano mu pilnować ciasta, wszystkie placki spalił do szczętu.

Jakób Montreuil najgoręcéj pragnął, ażeby syn jego odziedziczył chwałę i majątek nabyty w sklepie przy ulicy *Trzech Kądzieli*; nie posiadał się więc z gniewu, widząc zupełną niezdatność Piotra w sztuce pasztetniczéj, tém bardziéj, że prócz téj jednéj rzeczy, Piotr okazywał we wszystkich innych pojętność i zręczność. Nikt lepiéj nie umiał ubrać stołu i robić piękniejszych form do placków, lecz na tém koniec. Prócz téj jedynéj gałęzi, jednéj z najważniejszych wprawdzie w sztuce kuchmistrzowskiej, lecz która sama do niczego nie doprowadzi, Piotr okazywał nieumiejętność i niechęć, która jego ojca przywodziła do rozpaczy i do gniewu, bardzo zabawnego dla wszystkich, wyjąwszy tego, któren stawał się jéj ofiarą. Bo nietylko Jakób Montreuil bił obelżywie syna swego, chociaż tenże miał już lat dwadzieścia, lecz jeszcze z wielkim wstydem biednego Piotra, opowiadał wszystkim swoje zmartwienia i głupotę syna.

Otóż więc, w piętnaście dni po rozmowie ojca Tomasza z Akwinu z jego pokutnikiem, Jakób Montreuil wykrzykiwał na syna i groził mu że go wybije, nie zważając na zgorszenie, które sprawiał na ulicy śmiesznemi wybuchy gniewu swego i na tłum, któren zebrał się przed jego domem. Wyznać trzeba, iż miał bardzo ważne powody; niezgrabny Piotr upuścił i zepsuł pasztet z gołąbków przeznaczony na stół pana z Joinville. Piotr chroniąc się gniewu ojcowskiego, uciekł na ulicę. Biegł tak śpiesznie, iż wpadł w ręce braciszka zakonu Dominikanów i ledwie go nie wywrócił. Zakonnik wdał się między bijącego i bitego, a na widok jego sukni zakonnéj, Jakób ochłonął nieco, zdjął czapkę i zaczął wyliczać winy swego syna. Tego mu właśnie było potrzeba, gdyż wówczas tylko brał się do kija, gdy nie

miał przed kim wynurzyć swoich dolegliwości. Brat Antoni (gdyż nowicyusz dominikański był to ów nieszczęśliwy artysta), spojrzał machinalnie w około siebie przez ten czas, gdy pasztetnik opowiadał jak syn jego niezdatny jest do roboty i jak lubi wyrabiać ozdoby i formy. Zdziwił się na widok modelu kościoła, któren Piotr ulepił z gliny, dopóki nie zrobi go z ciasta; gdyż model ten nie był pospolitą rzeczą, i braciszek poznał za pierwszym rzutem oka, oznaki talentu, któren był dla niego tak zgubnym.

Mocne współ-czucie wzruszyło jego serce.

— »Mości Jakóbie, rzekł stosując się do niedorzecznych wyobrażeń pasztetnika, niech każdy idzie za swojem powołaniem. Gdyby zmuszano ciebie do roboty samych ozdób stołowych i form do pasztetów, byłbyś oburzył się na to; dla czegoż nie będziesz wyrozumiałym dla twego syna? Chlubisz się z twego talentu; twój syn może pozyskać w innym zawodzie takąż samą wziętość. Zamiast odziedziczać twoją sławę, utworzy sobie inną; przyślij go jutro do naszego klasztoru, będzie moim uczniem.

To mówiąc, zapomniał że nosi habit zakonny; w jego oczach błyszczał zapał artysty, przenikło go konwulsyjne wzruszenie: lecz wkrótce powrócił do rzeczywistości i przydał:

— »Prosić będę przełożonego ażeby mi wolno było uczyć twego syna sztuki budownictwa. Jeżeli mi pozwoli, może rady moje przydadzą się temu młodzieńcowi. Żegnam was.

Wyszedł, zostawiając Piotra przejętego najżywszą radością, a Jakóba w zadumieniu. Lecz widok pasztetu leżącego na ziemi, znowu go wprawił w zły humor.

— »Na świętego Wawrzyńca naszego patrona! zawołał, cóż teraz począć aby nie rozgniewać pana z Joinville.

— »O to wujaszku włożyć w piec ten pasztet, któren zrobiłam przez ten czas gdyś się gniewał na Piotra i posłać go do pałacu pana z Joinville.

Zdumiony pasztetnik, spojrzał na ładną i młodą dziewczynę, która do niego rzekła te słowa.

— »Doprawdy, Agnieszko? Lecz wkrótce ruszył ramionami.

»Twój pasztet nie zda się na nic; ja tylko sam w całym Paryżu, wiem jak go robić.

— »Widziałam nie raz jakeś go robił wujaszku i pewna jestem że mi się udał.

— »W rzeczy-samej jest wszystko co potrzeba; gołąbki usiekane z młodą słoniną, jaja i mąka z kasztanów. Agnieszko, czy włożyłaś w ciasto jaja i śmietanę?

— »Tak jest wujaszku, dodałam szafranu dla koloru, a po wierzchu zwilżyłam go żółtkiem aby pozłocił się w piecu.

— »Dobrze, bardzo dobrze, a muszczki czy są?

— »Tak jest, muszczki ptaszków polnych pomięszane z muszczkami kurcząt.

— »Ażeby delikatność jednych ulepszyła się tęgością drugich; wyborna z ciebie dziewczyna.

»Piotrze, zanieś to do pieca.

— »Nie, wujaszku przerwała Agnieszka, bojąc się niezgrabności swego kuzyna. Nie, ja sama zrobię ten pasztet; nietylko włożę go do pieca ale go sama wyjmę.

— »Masz słuszność, pójdź więc.

— »Piotrze, rzekła Agnieszka, widzisz z jakiego kłopotu wybawiłam cię, czyliż mię za to choć trochę kochasz?

»Będę uczniem tego zakonnika, będę mógł oddać się mojemu powołaniu i zostać architektem: myślał Piotr nie słysząc co mówi jego kuzynka.

Agnieszka obtarła łzę i otworzyła piec ażeby się pasztet nie przypalił.

IV.

W głębi klasztoru Dominikanów, na długim korytarzu, utworzonym z małych celek, znajdowała się izba trochę większa od innych, chociaż jej sprzęty tak ubogie jak ostatniego braciszka, składały się tylko ze stołu, ławy i tarczanu.

Tam, Tomasz z Akwinu poświęcał nauce wszystkie chwile, które pozostawały mu od modlitwy i miłosiernych uczynków; tam pisał rozmaite dzieła, które dziś jeszcze służą za podstawę systematów teologicznych religii katolickiej. Głęboka znajomość Ojców Kościoła i wyobrażenia wyższe nad wiek współczesny zjednały mu sławę z nauki która jednakże nie przewyższyła jego sławy z cnót i dobroci. Nietylko wspomagał ubogich jałmużnami, nie tylko siadywał przy łożu umierających, dla pojednania ich z Bogiem, lecz jeszcze śpieszył na przeciw żałującego i przez troskliwość, pobłażanie i dobry przykład, naprowadzał go na drogę zbawienia. Wdziękom jego chrześciańskiej wymowy nie mogło oprzeć się chociażby najbardziej zatwardziałe serce. Nikt nie uczynił więcej dobrego w cichości i ukryciu; i dla tego nazywano go w Paryżu *doktorem anielskim*, a matki prosiły go aby błogosławił ich dzieci i przez to zabezpieczał je od chorób ciała i duszy.

Tomasz z Akwinu od młodości czuł niezwyciężone powołanie do zakonnego życia,

i wszelkie usiłowania jego familii nie mogły go odwieśdź od niego. Był on synem hrabiego Landolfa pana Loretu, siostrzeńca cesarza Fryderyka Igo; widząc że go przeznaczają do stanu wojskowego, skrycie opuścił swoją rodzinę i oblókł szatę zakonną w klasztorze Dominikanów w Neapolu. Przełożony klasztoru ocenił jego zdolności i posłał go do Kolonii na naukę teologii; z tamtąd Tomasz udał się do Paryża. Tam poznał się z świętym Bonawenturą i ci dwaj mężowie połączyli się dozgonną przyjaźnią. (*)

Tomasz z Akwinu siedział zajęty pisaniem, gdy lekko zapukano do jego drzwi i wszedł nowicyusz brat Antoni. Na bladéj twarzy tego człowieka tak mocne malowało się wzruszenie, iż prawie zatrwożyło Tomasza.

— »Ach mój ojcze, mój ojcze! błogosławmy Boga, bo jeśli zezwolisz, moje plany budowy świętéj kaplicy przyjdą do skutku. Mam na to niezawodny sposób.

— » A jaki?

— »Przed chwilą spotkałem przypadkiem, młodzieńca nadzwyczajną mającego zdolność do budownictwa, tak jest pojętny że w dwóch lub trzech tygodniach usposobię go do wykonania moich zamiarów. Poślę go potém do Króla z tym o to planem; osobliwy ten wypadek mocno podnieci uwagę monarchy; polecą mu budowę gmachu i będę mógł nią kierować, nieznany nikomu i wierny ślubowi który wykonałem w obliczu twoim.

— »Lecz to będzie kłamstwem.

— »Po tém ojcze, przysięgam ci, myśleć tylko będę o mojém zbawieniu, o pokucie za moje zbrodnie. Ach! powiedz że zezwalasz.

Tomasz z Akwinu wahał się jeszcze, brzydził się albowiem wyobrażeniem kłamstwa, jakkolwiek niewinném bydź mogło. Lecz odmawiając, zgubił by duszę tego nieszczęśliwego; rzekł więc:

— »Chłopiec nie wyjawi nazwiska twórcy tych planów, nie powie że sam je zrobił?

— »Nie powie ojcze, nie powie. Wszakże zezwalasz?

A za godzinę po téj rozmowie, brat Antoni siedząc w celi swojéj przy młodym Piotrze, tłomaczył mu tajemnice architektury. Chłopiec obejmował je z nadzwyczajném pojęciem. Dziwne to było widowisko: ten człowiek który niedawno dopuścił się zabójstwa przez zazdrość, ogołacał się z wszelkiéj umiejętności swojéj, aby nią oblec młodzieńca. Zapał ucznia, wyrównywał zapałowi nauczyciela.

»Piotrze, mówił do niego, śpiesz się, bo kto inny może nas uprzedzić, kto inny może podać swoje plany Królowi i uzyskać ich zatwierdzenie, a wówczas zginie twoja chwała, zginie nasz piękny kościół.«

I jeden po drugim wykładał wszystkie swoje plany Piotrowi, odkrywał mu symboliczne znaczenie ozdób, a w ośm dni, pewność i pojętność z którą młodzieniec rozwijał całość i szczegóły zamierzonéj budowy, byłaby zwiodła najbieglejszego nawet architekta. Używał technicznych wyrazów bez wahania się i z dokładnością, okazującą jak doskonale rozumie ich najdrobniejsze odcienia, a nawet podług bardzo trafnych jego postrzeżeń, brat Antoni poczynił rozmaite zmiany w swoich planach.

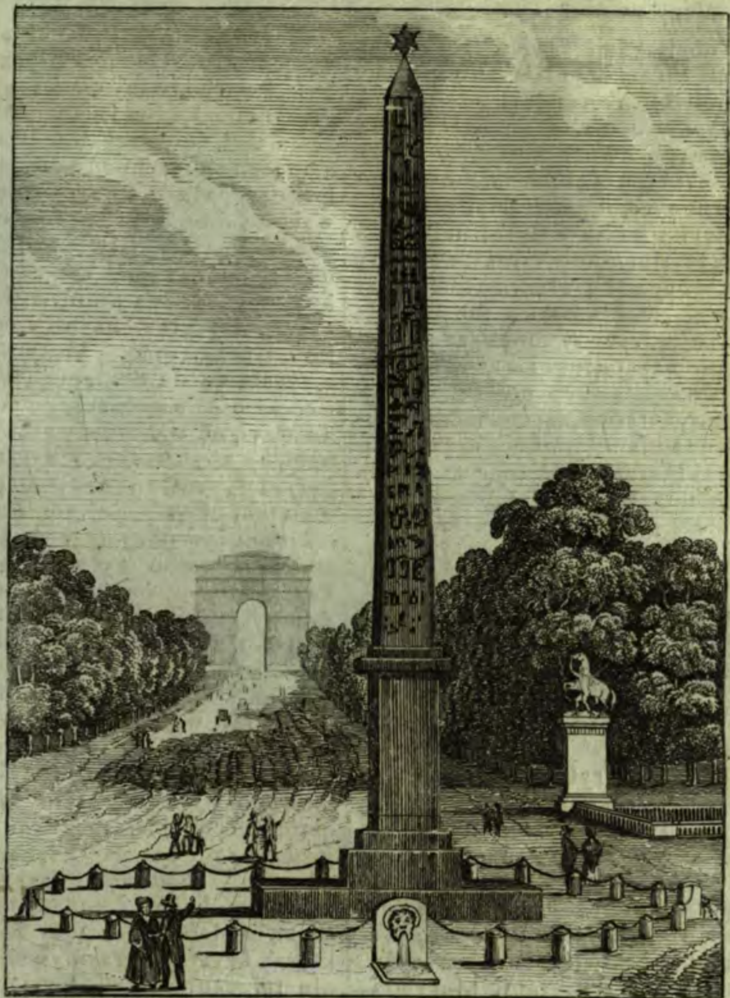
Postanowiono więc, że za dwa dni to jest 28 Czerwca, Piotr stawi się przed Królem i prosić będzie aby mu poruczono budowę Świętéj Kaplicy.

V.

Tego więc dnia, około godziny jedenastéj, Piotr ubrany w suknie świąteczną i ze zwojem pargaminu pod pachą, poszedł do pałacu gdzie król francuzki Ludwik IX. przyjmował wszystkich którzy chcieli z nim mówić. Brat Antoni nie opuścił go w tak ważnéj okoliczności, towarzyszył mu nie tylko do pałacu ale aż do ogrodu monarchy. Wyobraźcie sobie jak mocnego wzruszenia doznali obydwa, gdy stanęli przed obliczem monarchy, siedzącego na ławce z darniny pod cieniem wielkiego wiązu, którego rozłożyste konary tworzyły sklepienie zieloności nad głową xięcia i tych co go otaczali. Królowa Blanka siedziała po prawéj ręce Króla i z macierzyńską troskliwością śledziła każde jego skinienie i słowo. Religijném uszanowaniem przejmował widok téj monarchini, wspaniałéj urody. Szaty wdowie, których nie złożyła od śmierci Króla Ludwika VIII, nadawały jéj jakąś tajemną smętność, mimowolnie podzielaną przez obecnych. Długa biała zasłona, miarkowała blask jéj oczu, a w jéj białéj i drobnéj ręce był rożaniec z drzewa oliwnego, które jeden pielgrzym przyniósł z góry oliwnéj w Jerozolimie. Król liczył dopiero lat 21 i z podziwieniem zapytywano się, jakim sposobem tyle powagi i uprzejmości maluje się na jego młodzieńczéj twarzy.

(*Dokończenie nastąpi*).

(*) Papież Jan XXII. kanonizował go bullą z 18 Lipca 1323 a Pius V. w 1567 uznał go za jednego z Ojców Kościoła.



OBELISK LUXORSKI.

OBELISK LUXORSKI.

Starożytny ten pomnik cywilizacyi Egiptu, znajduje się teraz obok pomników cywilizacyi francuzkiéj; stare wieki z nadbrzeżów Nilu wznoszą się pośród naszych nowożytnych wieków. Dziwne przeznaczenie pomników!.. Dzieła człowieka, podobnie jak ludzie, doznają wstrząśnień i przygód. Gdy w Tebach egipskich przed 37 wiekami wzniesiono obelisk zwany teraz obeliskiem luxorskim, któżby powiedział, że przyjdzie czas, kiedy ten olbrzym pozostawszy samotnym pośród zwalisk Tebaidy, wyruszony będzie ze swojéj podstawy i zawieziony za morza, do ludów, które dziwić mu się będą nie rozumiejąc go wcale? Któżby przewidział że po 3000 lat, nowe narody przyklaskiwać będą pomnikowi wydobytemi z łomów Syeny, podobnie jak w tenczas, gdy starożytny lud Tebów powitał go po raz pierwszy?

Pomysł ozdobienia placu w Paryżu pomnikiem wziętym ze starożytnego miasta o stu bramach, należy do rządu Karola Xgo. Wyprawa Luxorska zamierzona była razem z wyprawą Algierską, ci sami ludzie, troskliwi o honor flagi Francyi, pamiętali tak-

że o sztukach pięknych. Karol X miał czas podbić Algier, lecz nie doczekał się przybycia olbrzymiego pomnika.

Pomiędzy obeliskami Egiptu stojącemi dotąd, trzy lub cztery zwróciły uwagę podróżnych: obeliski Alexandryi znane pod imieniem *Igieł Kleopatry*, a zwłaszcza dwa obeliski stojące po dwóch stronach bramy świątyni starożytnych Tebów, w obwodzie której zbudowano wioskę Luxor. Przyjazne stosunki Francyi z baszą Egiptu, nalegania starożytników i miłośników sztuki, skłoniły rząd francuzki iż prosił i otrzymał od Baszy pozwolenie wzięcia obelisków tebańskich. Izby uchwaliły potrzebny fundusz; zbudowano w Tulonie okręt długi i wązki, któren, opatrzony we wszystko co potrzeba i ciągnięty parowym statkiem, zaprowadzony został przez Środziemne morze i w górę Nilu, aż do wioski Luxor. Inżynier P. Lebas wyznaczony do kierowania tą pracą, zajął się spuszczeniem mniejszego lecz najlepiej dochowanego obelisku. W pracy téj zachodziły wielkie trudności, obelisk był zakopany po części; ażeby go doprowadzić aż aż do Nilu trzeba było wykopać drogę która zajęła trzy miesiące czasu i 800 ludzi; przydajmy do tego nieznośne upały i cholerę, która wówczas zabijała tysiące krajowców.

Gdy już pomnik odkryto zupełnie, obłożono go grubemi deskami związanemi za pomocą żelaznych sztab i śrub; uczyniono to w tém celu aby zachować obelisk od uszkodzenia podczas przewozu. Nareście wciągnięto go na statek i zaprowadzono wzdłuż brzegów Hiszpanii i w górę Sekwany aż na plac Ludwika XV w Paryżu. Sprowadzono potem z Bretanii bloki granitowe, do postumentu obeliska. Gdy ten postument wysoki na 25 do 30 stóp, ukończony został, zrobiono z muru i drzewa pochyłą płaszczyznę, do wtoczenia obeliska. Paryżanie ciekawe mieli widowisko, gdy za pomocą mnóstwa lin, drągów i machin, obelisk wznosił się w górę i stanął na miejscu jak go wyobraża nasza rycina. Praca ta, była tryumfem inżyniera Pana Lebas, któremu król i publiczność obecna oddali zasłużone pochwały.

Obelisk luxorski ma 68 stop wysokości, jest on rozpęknięty, zacząwszy od podstawy aż do trzeciéj części wysokości. Egipcyanie przewidzieli skutki mogące wyniknąć z tego pęknięcia i wzmocnili go kluczami z drzewa figomorwy; podobne klucze, lecz z bronzu, zastępują teraz starożytne.

PANI DE SEVIGNÉ.

Marya de Rabutin-Chantal, markizowa de Sevigné urodziła się 5 Lipca 1626 w Burgundyi. Postradawszy matkę w bardzo młodocianym wieku, była pod opieką swego dziadka z linii macierzystéj, pana de Coulanges a po jego śmierci pod opieką xiędza de Coulanges opata z Luzy. Odebrała staranne wychowanie, które potem ukształciła własną pracą. Jéj listy w młodości pisane już okazują dobry smak i wprawę. Nie była piękną, lecz ładna kibić, swieżość, żywe oczy i miły głos, czyniły ją bardzo zajmującą i przyjemną. W 1644 poszła za mąż za Markiza de Sevigné. Dwoje dzieci, syn i córka były owocem tego małżeństwa. Pan de Sevigné wkrótce wylał się na zbytki i uciechy zbyt wolnego życia i zginął w pojedynku, zostawiwszy bardzo zadłużony majątek. Postępowanie Pani de Sevigné, tak podczas pożycia z mężem, jako też w stanie wdowim było jak najprzykładniejsze. Zajęła się zupełnie wychowaniem dzieci i podźwignieniem majątku, a lubo w 24 roku życia pozostała wdową, odrzuciła najświetniejsze ofiary i nie weszła w powtórne śluby. Jéj urodzenie i majątek dawały jéj wstęp do najpierwszych towarzystw Paryża; znała najznamienitsze osoby, i dla tego to jéj listy zajmujące pod względem stylu, są także ważnym materyałem historycznym. Córkę swoją wydała za Pana de Grignan, i często była od niéj oddaloną. Przywiązanie macierzyńskie, było powodem tych listów, które są ozdobą literatury francuzkiéj. Niektórzy krytycy utrzymywali, że w wyrażeniu téj czułości macierzyńskiéj jest wiele przesady. Smierć pani de Sevigné jest najlepszą odpowiedzią na to krzywdzące podejrzenie. Przy końcu miesiąca Maja 1691, odbyła ostatnią podróż do Prowancyi, do Grignan. W Październiku 1695 Pani de Grignan zapadła w ciężką chorobę; matka znajdująca się przy niéj dozierała ją z jak najczulszą troskliwością; zbyteczne znużenie wyczerpało jéj siły, zachorowała 6 Kwietnia 1696 i umarła po czternastodniowéj chorobie, mając lat 70.

Jeszcze za życia Pani de Sevigné jéj listy były chciwie czytane i wielką miały wziętość w towarzystwach, którym ich udzielała jéj córka, Pani de Grignan. Publiczność poznała ich część w r. 1696: gdyż krewny Pani de Sevigne Bussy-Rabutin wydrukował pewną ich liczbę w swoich pamiętnikach. W roku 1726 wyszła edycya obejmująca część listów Pani de Sevigné pisanych do córki, od tego czasu, co raz bardziéj zbiór ten uzupełniano

porządkowano, tak iż doszedł do 11stu tomów.

Krytyk francuzki, La Harpe, tak pisze o listach Pani de Sevigne.

»Jeźli największą pochwałą dzieła jest to że je czytają i odczytują, jakaż książka bardziéj chwaloną była, jakaż może bydź szacowniejszą od téj, która bawi, zajmuje i uczy, bez wysilenia i pracy. Szczegóły historyczne o dworze i wieku Ludwika XIVgo, wiele wpływają na wziętość listów Pani de Sevigné. Lecz dwór Anny Austryacki, i niezgody Frondy są także bardzo ciekawym i zajmującym przedmiotem, a listy Pani de Motteville która je opisuje, nudzą czytelników.

Pani de Sevigné opowiada z wielkim talentem; najdoskonalsze wzory opowiadania, znajdują się w jéj listach. Nic nie wyrównywa żywości i trafności jéj wyrażeń, maluje tak, jak gdyby widziała i zdaje się nam, że widzimy to co maluje. Miała bardzo żywą wyobraźnią, przywięzującą się do przedmiotu o którym pisze. Czytajmy naprzykład o śmierci Tureniusza; nikt nie opłakiwał go z taką szczerością, lecz nikt także tyle łez nie wylał. Jest to najpiękniejsza i najtkliwsza pochwała pogrzebowa tego bohatyra. Dla czegóż? bo nie tylko wszystko oddycha w niéj prawdziwem uczuciem, lecz i z téj przyczyny, że listowi więcéj zawierzamy aniżeli mowie pochwalnéj. Jest to bardzo trudny obowiązek powiedzieć: Słuchajcie mię, będę chwalił; słuchajcie mię, będziecie płakać.“ I wówczas właśnie najmniéj skłonni jesteśmy do uwielbiania i płaczu, a gdy mówca zniewoli nas do tego, osiągnął cel zamierzony. Lecz ten, kto poufale rozmawia ze mną, daleko większe wrażenie czyni na mnie, jego dusza przemawia do mojéj, a jeźli istotnie jest dotknięty, panuje nademną i udziela mi swoich uczuć.

O Stylu listowym i o Pani de Sevigné, przez P. Suard.

Cóż jest istotną cechą stylu listowego? Trudno odpowiedzieć na to pytanie, styl listowy jest ten któren jest stósowny do osoby piszącéj i do przedmiotów o których pisze. Cyceron nie pisze o śmierci Cezara, tym samym tonem jakim opisywał wieczerzę daną na prędce Cezarowi. Można by zastosować tąż samą zasadę do stylu historyi, powieści i t. d.

Na cóż przydadzą się te rozróżnienia rodzajów i tonów, wprowadzone do literatury? Chcą wszystko uporządkować na klassy i rodzaje, uważają za kres doskonałości w każdym rodzaju, ten punkt na którym zatrzymał się autor najcelniejszy dotychczas i chcą jego sposób pisania narzucać jako prawidło. Taka krytyka przyłożyła się wprawdzie do upowszechnienia zdrowego smaku, lecz zarazem utrudniła popęd talentu i ograniczyła zawód sztuki. To szczęście, że geniusz nie da się skrępować temi prawidełkami, które pedantyzm, mierność i żądza sądzenia, wynalazły. Człowiek z geniuszem jest jak Guliwer pośród Lilipułów, którzy związali go we śnie: budząc się, kruszy słabe nici, które karły poczytywały za liny.

Lecz wróćmy się do stylu listowego. Jakże odmiennym jest styl listów Cycerona i Pliniusza, pani de Sevigné i Wolltera! Którenże potrzeba naśladować? ani jeden ani drugi, gdyż ten tylko ma styl własny, kto go stosuje do swego charakteru, umysłu i uczucia jakiego doznaje w chwili gdy pisze.

Celem listów jest udzielenie naszych myśli i uczuć, osobom nieobecnym; dyktuje one przyjaźń, zaufanie, grzeczność; jest to rozmowa na piśmie i dla tego ton listów nie powinien różnić się od zwyczajnéj rozmowy niczem innem, tylko nieco większym wyborem przedmiotów i poprawnością stylu. W szybkiéj rozmowie wykradnie się mnóstwo zaniedbań, które usuwają się pod piórem; oprócz tego, ten kto czyta, nie jest tak wyrozumiałym jak ten kto słucha.

Łatwość i naturalność stanowią przeto główną cechę listowego stylu; ubieganie się za dowcipem, zbyteczna troskliwość o wytwór i poprawność, staje się nieznośną.

Filozofia, polityka, sztuki piękne, anegdoty, dowcipne słowa, wszystko mieścić się może w listach, lecz z tą łatwością, naturalnością, prostotą, która cechuje rozmowę ludzi oświeconych i dowcipnych.

Któż najlepiéj pisze? ten kto ma najżywszą wyobraźnią, najwięcéj oryginalności, szybkości i wesołości w dowcipie, najwięcéj łatwości i smaku w doborze wyrażeń.

Ale dla czegóż człowiek najdowcipniejszy i najweselszy w rozmowie, jest częstokroć oziębłym, suchym i pospolitym w listach swoich? Dla tego, że jednych towarzystwo podnieca, a drugich miesza. Pierwsi są zimni gdy zasiędą do pisania; drudzy zaś odzyskują wtenczas cały swój dowcip i talent.

Łatwo pojąć można, iż kobiety posiadające dowcip i wykształcone czytaniem, lepiéj mogą pisać listy aniżeli najcelniejsi pisarze. Natura obdarzyła je żywszą wyobraźnią, delikatniejszą organizacyą; ich dowcip nie tyle poskramiany rozwagą, idzie za pierwszym popędem; nie tyle rozerwane interessami i nauką, większą uwagę zwra-



PANI DE SEVIGNE.

cają na charaktery, więcéj zajmują się małemi zdarzeniami wykształconego świata. Więcéj czucia, skromność ich wychowania i obyczajów, wpływa na zaostrzenie ich dowcipu i poddaje im delikatniejsze zwroty; ich zdania więcéj zależą od ich uczucia, a dowcip zawsze nosi cechę obecnego wrażenia. Z tąd pochodzi ta giętkość i rozmaitość tonu, którą postrzegamy w ich listach; ta łatwość przechodzenia z przedmiotu do przedmiotu, bez wysilenia i przez niespodziane lecz naturalne przejścia; te postrzeżenia trafne i częstokroć głębokie, jakby z natchnienia pochodzące i nareście ta szczęśliwa niedbałość przyjemniejsza od samejże dokładności. Mężczyźni bardziej nawykli do pisania i do myślenia, piszą listy tak, jakby pisali książkę lub rozprawę, i dla tego nie ma w ich listach tego przyjemnego zaniedbania, które tak jest powabne w listach kobiet.

Listy Balzaka i Voiture, które tyle miały wziętości za Ludwika XIV, już poszły w niepamięć, a listy pani Maintenon i de Sevigné pozostały i trwać będą tak długo jak nasz język; ale jakże wielka jest różnica między listami Pani de Maintenon i Pani de Sevigné! Listy pierwszéj są pełne dowcipu i rozsądku, ich styl jest wytworny i naturalny; lecz ich ton jest poważny i jednostajny. Jaki wdzięk, jakaż rozmaitość, jaka żywość panuje w listach drugiéj!

Szczególniéj odznacza Panią de Sevigné ta chwilowa czułość którą wszystko wzrusza, która się na wszystko rozlewa i z nadzwyczajną szybkością przyjmuje rozmaite rodzaje wrażeń. Jéj wyobraźnia jest czystém i świetném zwierciadłem, w którém malują się wszystkie przedmioty i odbijają się z nowym blaskiem.

Cudzoziemcy nie zdołają ocenić zalet stylu Pani de Sevignej łączą się one z postępami wyższego towarzystwa we Francyi i nie znając go nie można poznać wartości jéj stylu.

BUDOWNICZOWIE.

Powieść historyczna z wieku Ludwika XVIII.

(Dokończenie).

Odźwierni wprowadzali kolejno przed oblicze monarchy tych, którzy chcieli zanieść prośbę. Gdy przyszła kolej na Piotra, nogi zadrżały pod nim, lecz uzbroił się odwagą i ukląkł, a podniósłszy oczy, uspokoił się, ujrzał bowiem za królem stojącego Tomasza z Akwinu.

Miła postać Piotra zajęła królowę i króla; z uśmiechem spojrzeli na siebie. Ludwik IX rzekł do niego z szczególnym wyrazem dobroci:

—«Czego żądasz, mój synu?

—»Najjaśniejszy Panie! oto są plany do budowy świętej kaplicy.

—»Plany do budowy świętéj kaplicy! Ciekawy jestem, jakie też plany przynosi tak młody posłaniec.

Król rozwinął pargaminy, a królowa matka pochyliła się na ramię syna swego, aby lepiéj zobaczyć. Oboje krzyknęli podziwieniem zdjęci.

—»Na drzewo Świętego Krzyża! to jest cud jakiś, żaden plan architektów przybyłych z Niemiec nie zbliża się do tego rysunku. Kto rysował te plany?

—»Ja, Najjaśniejszy Panie.

—»Kto je układał?

Gwałtownie zapłonęła się twarz Tomasza z Akwinu, i zasłonił twarz rękoma, bojąc się, ażeby nie został spólnikiem kłamstwa. Zimny pot oblał ciało brata Antoniego.

Lecz młody Piotr odpowiedział śmiało i głośno:

—»Nie ja, Najjaśniejszy Panie.

—»A któż więc? zapytał się król, pośród szmeru podziwienia wszystkich obecnych.

—»Nie mogę tego powiedzieć, gdyż przysiągłem na moje zbawienie, że dochowam tajemnicy. Lecz, przydał z szlachetną dumą, niech Wasza Królewska Mość poruczy mi kierunek budowy, a za pomocą Bożą wykonam te plany godnie i tak, iż uczciwie zyskam nagrodę za moją pracę.

Serce brata Antoniego gwałtownie biło, a Tomasz z Akwinu dziękował Bogu, że uchronił młodzieńca od kłamstwa, jak niegdyś ocalił Samuela od ognistego pieca.

—»Najjaśniejszy Panie, mówił daléj Piotr, jest to tajemnica mego dobroczyńcy i idzie w niéj o zbawienie duszy. Wolałem wyznać prawdę, aniżeli kłamstwem zapewnić sobie skutek mego zamiaru, chociaż od tego skutku zależeć będzie całe życie moje; lecz przypomniałem sobie wyrazy waszéj Najjaśniejszéj Matki: *Że lepiéj umrzeć, niżeli popełnić grzech śmiertelny*.

Przychylny szmer całego zgromadzenia, pochwalił te pobożne słowa, tak trafnie przytoczone.

—»Cóż mówicie o tém, mój ojcze? rzekł król obracając się do Tomasza z Akwinu.

—»Mówię N. Panie, że Duch Święty raczył zlać światło swoje na tego chłopca i ocalić go od kłamstwa, na które był wystawiony. Wiem jego tajemnicę N. Panie.

Król rozmawiał przez czas niejaki po cichu z królową matką i zawołał ojca Tomasza z Akwinu. Podczas téj rozmowy, wszyscy ustąpili na bok z uszanowaniem. Ludwik IX skinął na obecnych iż mogą się zbliżyć, i rzekł:

—»Jak się zowiesz?

—»Piotr Montreuil.

—»A więc, Piotrze Montreuil, szanujemy twoją tajemnicę i mianujemy cię naszym architektem królewskim, dla budowania świętéj kaplicy naszego pałacu Jutro dostaniesz pod twoje rozporządzenie rzemieślników, materyały i pieniądze; chcemy bowiem, ażeby od dziś za lat sześć, kościół ten został ukończony i poświęcony. Idź więc w pokoju i nie zapominaj jaką drogą tajemną, Bóg doprowadził cię, z ubogiego i niskiego stanu, do tego zaszczytu, iż zbudujesz kościół prawdziwemu Bogu. Idź, bądź zawsze wierny twoim powinnościom i brzydź się kłamstwem.

Piotr Montreuil, z najżywszą radością w sercu, oddalił się w towarzystwie ojca Tomasza z Akwinu, gdyż brat Antoni bojąc się aby go nie wydało wzruszenie, pozostał przy bramie pałacu i tam czekał na swego ucznia. Wszyscy trzéj powrócili w milczeniu do klasztoru dominikanów i udali się do celi ojca Tomasza,

Piotrze, rzekł wówczas brat Antoni, ocaliłeś moją duszę, uwalniając mnie od jedynéj żałości która mię jeszcze mogła przywiązywać do życia: dzieło moje nie zaginie; odtąd zacznę pokutować za moją zbrodnią, któréj może nie zdołają zatrzeć łzy całego życia mego. Błagać będę Boga żeby zesłał na ciebie światło Ducha Świętego, iżbyś godnie wykonał wielkie dzieło które ci poruczono. Jeźli moje nauki i zdolność twoja nie wystarczą ci jeszcze, zapukaj do mojéj celi a ja ci dopomogę. Ale przyjdź dopiero wówczas gdy cię przyniewoli konieczność, rozumiesz mię; chcę

bowiem umrzeć dla świata i zapomnieć o wszystkiem co jest próżną chwałą, chcę pogrążyć się w żalu. Tak jest, przysięgam na Przenajświętszą Trójcę, że odtąd nie zapytam się nikogo, nawet ojca Tomasza, o gmach którenstawiać będziesz. Żegnam cię moje dziecię, niechaj ci Bóg dopomaga.

Piotr zalał się łzami i uklęknął przed bratem Antonim, któren położył drżące ręce na głowie młodzieńca i odmówił po cichu krótką modlitwę. A potém wszedł do swojéj celi i zamknął się w niéj nie odpowiadając na wyrazy, któremi Piotr z nim się żegnał.

VI.

W sześć lat po tem ukończyła się budowa świętéj kaplicy i pozostały tylko do zrobienia niektóre szczegóły, nie mogące opóźniać poświęcenia i inauguracyi gmachu.

Chociaż ten obrzęd nie nastąpił jeszcze, święta kaplica zajmowała uwagę Paryża i o jéj cudach opowiadano po całéj Francyi Utrzymywano że architekt musiał użyć nadprzyrodzonych sposobów dla zbudowania tych dzwonnic i wież tak wzniosłych i tak lekkich, iż zdawało się prawie niepodobną rzeczą ażeby mogły bydź zbudowane z kamienia. Czekano niecierpliwie dnia kiedy odejmą rusztowanie, na których opierały się rzeźby, mniemano bowiem że te śmiałe kolumny, te ozdoby na przód wysunięte, zawalą się i pociągną za sobą część gmachu, lecz Piotr z Montreuil przezwyciężył tę piérwszą probę, a najzawziętsi jego nieprzyjaciele musieli zamilknąć i mruczeli tylko, że szatan dopomagał mu w téj budowie.

Jednakże przy wykonaniu tego zadziwiającego dzieła, młody Piotr ani razu nie zapukał do celi brata Antoniego, dla zasięgnienia jego rady. Wolał uporczywie walczyć z przeszkodami, aniżeli do prac swoich przypuścić dobroczyńcę i nauczyciela. Dzięki jego nadzwyczajnéj zdolności do budownictwa, dzięki nocom przepędzonym na nauce, przezwyciężył wszystkie przeszkody i zazdrosnych przyniewolił do milczenia.

Postąpił sobie bardziej jako artysta, niżeli jako człowiek wdzięczny; bardziéj słuchał głosu miłości własnéj, niżeli obowiązków serca; gdyż powinien był wiedzieć o tém, że brat Antoni wyglądał niecierpliwie jego przyjścia, i mimo ostrości pokuty i gorącego żalu, czekał bez ustanku, dręczony powątpiewaniem, odwiedzin tego, który powinien był wspomnieć mu o jedynym przedmiocie, myśli jego zwracającym do ziemi. Ach! ileż razy, zakłócony w modlitwach, z bijącem sercem, z zapłonionem okiem, pochylił się ku drzwiom celi swojéj, słuchając czyli stąpania rozlegające się po korytarzach, nie są odgłosem kroków Piotra! A wówczas, zawiedziony w nadziejach, myślał czyli Piotr nie umarł bez dokończenia dzieła, dla którego on zaledwie duszy swojéj nie zgubił.

,,Niewdzięczny! mówił do siebie, niewdzięczny! zapomina o mnie, opuszcza, nie przychodzi powiedzieć mi: Budowa twego kościoła już się kończy; twój pomysł zamienia się w rzeczywistość.“ Niechaj będzie przeklętym, naraża bowiem zbawienie moje i gubi mię na całą wieczność. Nie mogę modlić się!.. Ach! dla czegoż zatrzymują mię śluby moje? Dla czegoż przysiągłem żz nie przestąpię bram tego klasztoru? Dla czegoż potok krwi, krwi mojéj ofiary, rozdziela mię od świata? Budowałbym teraz wspaniały mój gmach, gdy ten młody szaleniec, któremu niebacznie powierzyłem to staranie, upadł pod takim ciężarem. Albo może umarł, umarł razem z mojém dziełem... O Boże! Zbawicielu mój, ulituj się nad mojemi cierpieniami, nie dozwól ażebym nieszczęśliwy upadł pośród tysiąca tak zgubnych myśli!.. Boga Rodzico! wstaw się za mną. Moje dzieło!.. ach! moje dzieło! Niechaj wiem co się z niém stało! niechaj wiem że nie zginęło!... Wówczas podwoję surowość mojéj pokuty, dzień i noc biczować będę ciało moje. Niech tylko wiem że dzieło moje nie zginęło!...

Niestety! Piotr Montreuil nie przychodził pocieszać nieszczęśliwego.

I nietylko dla niego samego okazywał się niewdzięcznym. Jak zapomniał o dobroczyńcy który go uwolnił od nędznego rzemiosła pasztetnika, tak również zapomniał o młodéj dziewczynie, która tylokrotnie przynosiła mu ulgę w cierpieniach, tylokrotnie obtarła łzy jego, tylokrotnie odwróciła od niego gniew ojcowski. Lecz zapominamy w szczęściu o przyjaciołach których wsparcia wzywaliśmy w nieszczęściu. Piotr nie chciał być w piérwszéj chwili dopuścić się kłamstwa, a teraz pozostawił we łzach dobroczyńcę swego i tę która w czasach nędzy była jedyną jego przyjaciołką. Serce wyrzucało mu tę podwójną niewdzięczność, lecz próżność przytłumiała jego zgryzoty. ,,Do mnicha: mówił: należy pomysł dzieła, lecz wykonanie do mnie samego. Gdym stanął przed królem, nie chciałem przywłaszczać sobie udziału tego nieznajomego. Niechaj mi pozostawi mój udział, gdyż nie omieszkałby powiedzieć:“ Ja to wszystko zro-

biłem, ja byłem głową i myślą. Piotr Montreuil służył mi tylko za narzędzie“

„Co zaś dotycze się młodej Agnieszki, czyliż budowniczy królewski może wypełnić obietnice chłopca pasztetnika? czyliż dojrzały mężczyzna, ma przywieśdź do skutku marzenia dziecięcia? Zapewne, kocha mię Agnieszka i ja kocham ją wzajemnie, lecz cóż powiedzieliby moi współzawodnicy, cóżby powiedzieli wielcy panowie, którzy z powodu względów monarszych i wyższości mego talentu, obchodzą się zemną jak z równym sobie, gdyby się dowiedzieli iż się żenię z dziewczyną która przedaje ciastka?.. Nikt nie zna mego rodu, nikt nie wie jaką tajemniczą drogą dostałem się przed oblicze monarchy. Czyliż jak szaleniec narażę się na śmieszność, na szyderstwa dworzan i moich rywałów? Nie! Agnieszka niechaj toż samo uczyni co ja, i chociaż z żalem przytłumi swoją miłość. Oprócz tego, jeżli kocha mię nie samolubną miłością, przyzna, że ta ofiara jest konieczną, nie uchronną: ale nie, ona rozpacza gdy mię spotka, chce umrzeć, pada mi do nog, błaga ażebym jéj nie opuszczał... a ja ledwie że nie ulegam jéj rozpaczy.... Precz odemnie te gminne myśli! Zupełnie oddajmy się radości,chwale i wielkiéj uroczystości dnia jutrzejszego; jutro bowiem jest poświęcenie Świętéj Kaplicy; jutro złożone w niéj będą relikwie przysłane ze Wschodu; jutro zaczyna się dla mnie chwała, która imie moje przekaże najdalszym wiekom.

VII.

W rzeczy saméj, poświęcenie Świętéj Kaplicy odbyło się nazajutrz 25 Kwietnia 1248 w niedzielę *Quasimodo*, z niesłychanym przepychem. O świcie, dzwięk dzwonów uwiadomił wiernych o téj wielkiéj uroczystości. Niezmierny tłum zgromadził się w około Swiętéj Kaplicy i ze wszech stron przyciągnęły bractwa w świątecznych sukniach i z rozwiniętemi chorągwiami, przyszły potem rozmaite szkoły, cechy zgromadzenia kupców, nareszcie wszystkie zakony w Paryżu. To niezmierne mnóstwo stanęło wzdłuż Sekwany nie bez wielkiéj wrzawy i uniesień wielbienia na widok świętego gmachu, z którego w nocy zdjęto ostatnie zasłony.

O godzinie osméj,król Ludwik IX wszedł do kaplicy, bosemi nogami, w stroju monarszym. Wszyscy Panowie dworscy szli za nim, a królowa Blanka zajęła miejsce w trybunie, obok żony króla i królowéj Małgorzaty.

Dziewica biało ubrana i zasłoniona,przyniosła święte relikwie, między któremi była cierniowa korona Zbawiciela. Zabrzmiały organy, obłok kadzidła wzniósł się zewsząd i usłyszano śpiew *Ciebie Boże chwalimy*. Król mocno wzruszony, ronił łzy rzewne i dziękując Bogu bił się w piersi.

Lecz wzruszenie Monarchy, nie wyrównywało jeszcze wzruszeniu dominikana, który klęcząc przy ołtarzu łkał mocno.

» O Boże! mówił on, o Boże! za wiele okazujesz miłosierdzia,dla niegodnego grzesznika. Ulitowałeś się nad jego słabością i raczyłeś mu przebaczyć, że jeszcze żałuje czegoś na tym świecie. Dzięki ci o Boże! dzięki!

I byłby padł bez przytomności, gdyby go nie wsparł ojciec Tomasz z Akwinu.

— Bracie Antoni, rzekł do niego po cichu, przyrzekłeś mi że będziesz stałym.

— Będę mój ojcze; nie wyprowadzaj mię, zostaw mię jeszcze na chwilę w tym kościele. Czuję że moie zbawienie w niem się uskutecznia, że zły duch na zawsze oddala się odemnie, bo już niczego nie będę pragnął na tym padole. Teraz wszystkie moje myśli, wszystkie życzenia zmierzać będą do nieba.

Po mszy i błogosławieństwie, legat papiezki przeczytał bullę nadającą odpuszczenie grzechów tym wszystkim, którzy znajdowali się na obrzędzie poświęcenia kościoła, a potém przydał:

— „A teraz polecamy modłom waszym, króla Ludwika IX, któremu winno jest chrześciaństwo posiadanie relikwii cierniowéj korony Zbawiciela.

— ,Niech żyje król! Niech żyje król! z zapałem zawołali wszyscy obecni.

— Polecamy także modlitwom waszym królową Blankę, matkę króla i Małgorzatę żonę jego.

— „ Niech będą błogosławione! zawołał lud.

—„Powinniście także modlić się za Piotra Montreuil, budowniczego Swiętéj Kaplicy. Niechaj Bóg opiekuje się nim.

— „Niech się nim Bóg opiekuje! powtórzyli wszyscy obecni zwracając spojrzenia na artystę, klęczącego po lewéj ręce króla.

— „Panie! zawołał Piotr, panie, módl się także za brata Antoniego.

Brat Antoni zerwał się i ręką zamknął mu usta: lecz taka była wrzawa i ruch w kaplicy, iż nikt nie usłyszał wyrazów artysty, nikt nie postrzegł gestu zakonnika.

Gdy nastąpiło milczenie, przydał legat.

—„A teraz, aby go wynagrodzić, królowa matka chce ożenić go z jedną z dworskich dam swoich, z tą którą wybrała jako najpobożniejszą, najgodniejszą nieść relikwie święte i podać je nam, aby złożone były w relikwiarzu.

Wówczas, mocno wzruszony, jak gdyby był igraszką marzeń sennych, Piotr Montreuil ujrzał młodą zasłonioną dziewczynę; uklękła ona przed ołtarzem, przed któren zaprowadził go Tomasz z Akwinu. Legat dopełnił obrzędów małżeństwa i wówczas dopiero gdy trzeba było zamienić pierścionki, powiedział Piotrowi nazwisko nowo-zamężnéj.

—„Piotrze Montreuil: rzekł: czy chcesz zaślubić tę, którą tu widzisz, za dyspensą Ojca Swiętego, gdyż jest twoją kuzynką, czy chcesz zaślubić Agnieszkę Raparlier, damę królowéj matki?

„— Jéj poświęcam moje życie i miłość w tym i w tamtym świecie odpowiedział Piotr.

Po tych słowach, kapłan pobłogosławił nowożeńców.

—„Lecz jakże się to stało, rzekł Piotr, prowadząc żonę swoją aby złożyła dzięki królowi i królowym.

— „Cyt! opowiem ci to wszystko Piotrze. Rok temu będzie, spotkałam królowę matkę; przebrana jak zazwyczaj odwiedzała biedną chorą, któréj doglądałam z miłosierdzia; postrzegła że jestem smutną, wyznałam jéj...

Przyszedłszy przed galeryą monarszą, Agnieszka nie mogła więcéj mówić.

—„Piotrze, rzekła królowa Blanka, daję Agnieszce dziesięć tysięcy talarów posagu.

— „A ja! rzekła królowa Małgorzata, daruję jéj ładny dom nie daleko Paryża.

W tem, uwagę królowych zwróciły słowa wyrzeczone przez króla. Monarcha wziął szpadę wielkiego hetmana i zawołał.

„Chrześcianie, bracia moi! przed niedawnym czasem byłem umierający, cud przywołał mię do życia; lecz Bóg dla tego tylko zachował dni moje, ażebym poświęcił je oswobodzeniu jego świętego grobu. Otóż, chrześcianie, grób święty wpadł znowu w moc niewiernych; zdobyli oni święte miasto Jeruzalem; spustoszenia i klęski rozpościerają w Palestynie; wszystko co nosi imie Chrześciańskie, cierpi przesladowanie i śmierć. Nareszcie, nędznicy, skalali grób Zbawiciela i wprowadzili do niego konie swoje.

„Zemsta za takie znieważenie! Biorę krzyż. Kto mnie kocha niech idzie za mną, Bóg tego żąda!—I przypiął krzyż biały do swego lewego ramienia.

— „Bóg tego żąda, z zapałem powtórzyli panowie, dajecie nam krzyż, weźmiemy go na dowód ślubu naszego i zamierzonéj wyprawy!“

Piotr Montreuil nie poszedł z królem do Ziemi Swiętéj, jak to utrzymuje kilku pisarzy, którzy go pomięszali z Eudesem Montreuil architektem współczesnym. Oddawszy się sztuce budownictwa, został wielkim artystą i wykonał ważne dzieła, które zjednały mu zasłużoną chwałę. Umarł 17 Marca 1266 i był pochowany w chórze kaplicy, którą zbudował w kościele opactwa Sgo Germana. Jego żona Agnieszka zmarła dziesięć miesięcy wprzódy. Przed rewolucyą francuzką stał jeszcze grób jego, na którym artysta wyobrażony był z kompasem w ręku.

Tomasz z Akwinu usiadł był przy łożu umierającego Piotra, aby go przygotować do stawienia się przed Bogiem; on to zamknął oczy artyście i odmówił nad nim ostatnie modlitwy. Drugi zakonnik podzielał te pobożne starania, płakał on gorzko, a długa i ostra pokuta, więcéj go przycisnęła do ziemi, niż lata.

Ten mnich był to ów budowniczy niemiecki, o którego nazwisku nikt nie wiedział i którego pokuta jeszcze długo trwać miała.

W ośm lat potem, święty Tomasz z Akwineo udając się na powszechny zbór do Lugdunu, chciał odwiedzieć swoją synowicę Franciszkę z Akwinu zaślubioną hrabi Annibalowi de Ceccan. Opuścił więc Florencyą, gdzie od lat trzech uczył teologii z rozkazu Ojca Sgo. Zachorował w drodze i musiał zatrzymać się w klasztorze *Fosse Nuovo* niedaleko Terracyny.

Na godzinę przed śmiercią, chciał ażeby go zostawiono samego z dominikanem, który mu towarzyszył w podróży. Ten dominikan był to brat Antoni.

— „Mój bracie, rzekł do niego S.Tomasz, w imie Boga którego kapłanem jestem na ziemi, który mię przyjmie na łono swoje, w imie tego, któren rzekł do Apostoła Sgo Piotra. „Wszystko co rozwiążesz będzie rozwiązane“ rozgrzeszam cię z winy którą twój żal wynagrodził i odzywam się do ciebie słowami przebaczenia i nadziei. Bądź zdrów, czekam na ciebie przed majestatem Boga.“

Gdy zakonnicy zatrwożeni milczeniem panującém w celi Sgo Tomasza z Akwinu, weszli do niéj nareście, ujrzeli że obydwa dominikanie już nie żyli; trup Sgo Tomasza trzymał jeszcze opiekuńczą rękę nad swoim towarzyszem, klęczącym przy łożu, a któren jak się zdawało, umarł nagle, bez wysilenia i boleści.

Swięty Tomasz z Akwinu pochowany był w klasztorze *Fosa-Nuova*; złożono przy nim ciało brata Antoniego, któremu nie umiano dać innego nazwiska, gdyż nikt go nie wiedział i nigdy o niém wiedzieć nie będzie.

KWATALNIK KRAKOWSKI.

Odebraliśmy dwa ostatnie zeszyty Kwartalnika Krakowskiego z roku zeszłego: obejmują one: 1) Rys filozoficzny umiejętności (dokończenie). Fenomenologia ducha, 2) o Jako-występkach, 3) Rys obyczajów za panowania Zygmunta III w Polsce, 4) Nauki i sztuki piękne w Polsce, aż do czasów Kazimierza W. 5) Rys dziejów piśmiennictwa ułożył Lesław Łukaszewicz (Recenzya i odpowiedź na recenzyą) 6) Ważniejsze nowe dzieła, 7) Wyjątki z rozprawy o postępkach prawodawstwa karnego, ze względem na nowsze w tym przedmiocie usiłowania.—Z artykułów tych, umieszczamy niektóre wyjątki z *Rysu obyczajów*. Wystawiwszy autor że przykład Monarchy, skromny tryb życia, na jego dworze, zbawiennie wpływał na obyczaje ogółu, tak dalej mówi.

Posłuchajmy jaką mu zaletę Skarga nauczyciel prawdy oddaje: „Pobożność się i bojaźń Boga z przykładów Pańskich rozmnaża; pijaństwa i zbytki ustają, mierność i trzeźwość górę wzięła, Dworu wszystkiego cnoty Królestwu świecą.“

Rzadko więc w tym wieku widzimy owe zbrodnie niszczące porządek i bezpieczeństwo społecznego życia. Mimo słabéj ku powściągnieniu lub skarceniu złego praw naszych powagi, mimo rozwiązłego nieładu, rzadko zdarzyły się owe szkaradne zgorszenia, które oburzają ludzkość, niosą do serc zarazę zdolną przytłumić wszelki zaród cnoty towarzyskiéj i religijnéj, stanowiącéj szczęśliwość ogólną i domową każdego. Nie postrzegamy aby je wytykały napomnienia kaznodziejów, którzy najwięcéj w tym czasie o cnotach, tajemnicach chrześciańskich, i prawdach wiary, o powadze i pierwszeństwie Rzymskiego Kościoła, przeciw błędom różnowierców, przeciw ich zarzutom rozprawiali. Trwa jeszcze pod tym panowaniem wszczęta za Zygmunta Augusta *Rzeczpospolita Babińska*, w któréj szydząc z wad postrzeganych w społeczności, postrzegano naganne obyczaje. Związki małżeństw wierne przyjętym obowiązkom, nie szukały przyczyn prawnych do rozdziergnienia węzła tego, w którym szczęście rodzinne znajdowały, w którego niewątpliwych własności owocach, wystawiały sobie przyjemną nadzieję przedłużenia życia, imienia i rodu swego, przez rozplemienie następnych pokoleń! Lubo małżeństwa często w bardzo młodym wieku kojarzone były, z dojrzałą jednak uwagą zawierane być musiały, kiedy kilkakroć powtarzane, dowodziły niezawiedzionéj szczęścia nadziei. (*) Spokojność sąsiedztw nie psuły kłótliwe pieniactwa, Mało znane były jurgieltne rzeczniki, którzyby ziemian dla korzystnych obłowów kłócili. Obrony sądowe, pomoc i zastępstwa prawne, były poczytywane za usługę obywatelską, a nie za rzemiosło zysk przynoszące, nie za oddzielne zatrudnienie stanu, tyle mogącego być szanownym, ile cnotę z światłem, ile znajomość praw i dzielną wymowę z poczciwą chęcią usługi łączy.

Szlachta, cząc się zwykle *braci*, a lud pospolity *kumów* nazwiskiem, przypominali sobie obowiązki jedności i zgody, które zachować pilnie starano się. „Obyczaj używany objęcia się wzaiemnego przy witaniu“, mówi *Starowolski*, którego inne narody nie mają, chęć serdecznéj przyjaźni utrzymania oznacza.“ W powitaniu równych, zwyczaj też był podawania ręki i sciskania onéj; ukłon schyleniem głowy odbywano; a ten uprzejmość znaczył, niekiedy dodawano ucałowanie przytknięciem ust swéj ręki, co i kobiéty czyniły. Jeszcze się nie oswoiły obyczaje z owemi schylonemi ku ziemi ukłonami i chwytaniem za nogi, jeszcze nie było zwyczajem czcić każdego przez uszanowanie nazwą *Dobrodzieja*, gdy téj użycie, wdzięczności tylko dla tych co jéj istotnie są warci, należy. Wyraz *Waszéj Miłości* lub skrócony *Wasz Mości*, *Waści*, jako wyraz czci i przyjaźni, nikogo nie poniżał, ni mowy nie szpecił.

Że strojem węgierskim za Stefana, łatwiéj się oswoiły oczy. Jednak od Węgrów wygodne *bekiesze*, lekkie *magierki* i ozdobne pętlice, jak wprzód od Tatarów i Turków, *kontusze*, *żupany*, *szuby*, *ferezye*, *czekmany*, *kaftany i kołpaki* przyjęliśmy.

Za ważną przyczynę działającą zmiany w obyczajach ówczesnych, poczytać należy wychowanie za granicą majętniejszych domów młodzieży. Możniejsi rodzice pospo-

(*) *Korecka Jana Zawiszy* Wojewody żona, w dwunastym roku była matką. *Anna Pilecka z Stanisławem Kostką* Wojewodzicem Sandomirskim w roku jedenastym, *Krystyna Radziwiłłówna z Janem Zamojskim* w roku pietnastym poślubione były, i ganił *Petrycy Sebastyan* ten zwyczaj, twierdząc, iż z niedojrzałych rodziców płód niedojrzały bywa. “Dla tego, mówi, we Francyi rodzą się ludzie mali pospolicie, iż tam obyczaj jest młodo się żenić. to też i u Żydów bywa„. (Polit. Aryst. str. 249) Po trzykroć *Hieronim Gostomski* Wojewoda Poznański, *Janusz* Książe *Ostrogskie*, *Andrzéj Leszczyński*, Wojewoda Kujawski, Książe *Wisniowiecki Konstantyn* Wojewoda Ruski, *Zbigniew Ossoliński* Wojewoda Podlaski. *Krzysztof* Książe *Radziwiłł* Wojewoda Wileński i t., ponawiali śluby małżeńskie.

licie w tym wieku dzieci do obcych Akademij, do Włoskich, Niderlandzkich, Niemieckich, na nauki posyłali. Każdy z tych których zwano panami, mniemałby się był poniżonym, gdyby lat kilka w zagranicznej akademii nie był przebył. Pomogło to wiele do rozszerzenia światła nauk i ukształcenia krajowców; ale też była wielce szkodliwa przywożona cudzoziemczyna w obyczajach i stroju.

Że golenie głowy we zwyczaju tegoż wieku było, przekonywają nas dzieje *Heidensteina* prócz wielu niewątpliwych dowodów. Nie mieć brody, młodzika lub niewiastę znaczyło. Ale i brody i czupryny postrzygane były. Kształtem i trefieniem nowość zwyczaju (modą zwana) rządziła (*). Już później ku końcowi panowania Zygmunta III podgalano więcéj czupryny niżeli je golono. *Samuel Łaszcz* Strażnik Koronny Chorąży Podolski, strzyżenie dłuższéj czupryny w zwyczaj wprowadził. Piękna wysmukana czupryna, *ordyńskiéj* (od Tatarów wzięte) nazwisko miała.

Suknie po kostki w ubiorze właściwie krajowym, za czasów Zygmunta III noszono, lecz tych krój często się zmieniał. *Ferezye* zwierzchnie obkładano futrem, które im było droższe, tém większy przepych znaczyło. Lisie kołnierze już i mieszczanie za podłe mieli. *Kierye* i *delie* miękkim włosem podbite, zdobione były pętlicami i guzami. Bo w guzach których też przy ferezyach i kontuszach używano, największa ozdoba była, dla złota i drogich kamieni, jako i w długich futrzanych kołnierzach. Butów do stroju nie używano jak safianowych tylko. I w podkówkach przepych miał miejsce; srebrne i złociste bywały. Do stroju nosili niektórzy *Kandziar* zyli nóż turecki za pasem, pospolicie drogiéj oprawy.

Takowy męski strój wiele się podobieństwem do tatarskiego zbliżał, lubo pozostały przy nim i węgierskiego ślady, lubo nieco niemczyzny w *kraftach, kabatkach, obercuchach*, i *pludrach* zarwano.

Czyli-to Księża i panowie często odwiedzając Rzym i Włochy, czyli młodzież która do włoskich Akademij dla nauk jeździła, czyli nakoniec Królowa Bona, wiele rzeczy włoskich do naszych zwyczajów wniosły.

W tym wieku używane były bardzo stroje włoskie, jedzenia włoskie, ogrody włoskie, muzyka włoska, język i książki włoskie, malowania włoskie, rękodzieła, tańce, maski włoskie i t. d. Godziny jeszcze za Zygmunta po włosku liczono; to jest, od zachodu dnia jednego szły ciągiem dwadzieścia cztery godzin: zegary więc które tylko godzin dwanaście skazywały, *pół-zegarzami* się zwały. Sposobem włoskim używali kaznodzieje Klepsydry, i na kazalnicy ją stawiali, aby ich mowa więcéj nad godzinę czasu nie brała. Pobożny Zygmunt niekiedy każącemu *Skardze* sprzątnąć klepsydrę rozkazał;" znać pewnie iż go nie nudził, cierpliwości słuchacza nie nadużywał. Możniejszych domy utrzymywały pospolicie muzyków, śpiewaków, tancerzów i różnych sztukmistrzów, a nawet i trefnisiów Włochów. Wiele o ich zręczności i dowcipie mniemano, a co najprzedniejszego się być zdało, to sztuką włoską zwało się.

Co zaś najnaganniejszego w obyczajach ówczesnych upatrywać można, jest zbytek. Zdaje się iż go przejęliśmy od Wschodu. *Skarga* go jako skutek rozmnożonych dostatków, i bogactw krajowych uważa. Jak szybko wzmógł się zbytek pod panowaniem Zygmunta, mamy w *Starowolskim* świadectwo. "Pierwéj skromny ubiór, "co go z wełny domowéj robiono, boki na"sze okrywał, teraz jedwabiów, axamitów, "złotogłowów, tabinów, lada u kogo peł"no. I co na początku panowania Zygmun"ta III jeden tylko kupiec w Krakowie, al"bo raczéj we wszystkiéj Koronie bława"ty sprzedawał, to teraz nie po głównych "tylko miastach, ale i po miasteczkach "mniejszych kramów bławatnych pełno. "Teraz woźnica nie chce być w kożuchu ba"ranim widziany, ale go ferezya z wierzchu "okrywa, aby przecie suknią czerwoną od "ludu pospolitego się różnił. A mieszcza"nin i rzemieślnik każdy bez sobolej czap"ki na ulicę pokazać się nie śmie, już za "lisi kołpak wstydając się. Pierwéj pro"ste wozy i rzadkie kolebki na łańcuszkach "zawiesiste między Szlachtą bywały; cze"śniéj siodła z wojłokami miasto poduszek "używali, teraz bez poszustnych karet "strojnie obitych, jedwabiem i srebrem "ozdobionych rydwanów, jechać nie chcemy„. Powstało wielu z spółczesnych temu

---

(*) Używani byli do tego Perukarze. Umiejętność ich bardzo zyskowną musiała być, kiedy za list czyli za przywiléj wolnego sprawowania perukarstwa, po 500 Talarów płacono. Cech ich był jednym z najpierwszych w Krakowie. Nie lada-to sztuka była umieć włosy ostrzydz do miary, z kędzierzyć, umuszczyć. (*Przywiléj M. Krakowa*). W obrazach osób tego wieku uważać to można, iż w początkach panowania Zygmunta III od czoła włosy zapuszczano, a po nad uszy golono, tak że przód głowy był okryty włosami, które w tył podczesywano; później podgalano włosy od czoła i rozczesywano w ogrąg czuprynę; ale w téj mierze obyczaj nie był jednostajny. *Ob. w Statucie Sarnickiego ryciny.*

panowaniu, przeciw zagęszczonemu zbytkowi; jeden z nich w piśmie bezimiennem na wszelkie zbytki, utraty, i wystawy podatek nałożyć doradza. W nim pamięć i rzeczy zbytkowych, i ich nazwisk pozostała. Kobiety nosiły szaty z miękkich bławatów, z altembasów, teletów, hatłasów, labinów, morów, adamaszków, cygrynów, kitajek z materyj kwiecistych, co dwie zwory srebrem i złotem lśniących. Do pospolitych należały *rasy* i *potrasy*, *muchajery czworniłne i* proste *bawełniczki*, *czemloty*, *kiry* i t. d. Długie szat ogony albo się wlokły, bo i szelest do przepychu należał, albo je u możnych Pań karły czyli niziołki, nosiły: do stroju suknia bramowana czyli obkładana listwami była. *Mentliki*, *ormenki* czyli płaszczyki sobolami lub kunami podbite, albo tylko obłożone bywały. Inne suknie kobiet, zwane *szarafany*, *letniki*, *germaczki* i t. d. Płótno cienkie najlepsze było *kolińskie* (od miasta w Niemczech *Kolonia*); szyję zdobiły *kanaki* to jest naszyjniki, dla złota, dyamentów, rubinów, pereł i drogich kamieni, najbogatszy kobiet ubiór: do tejże ozdoby tłuzyły *Alzybanty* i sznury pereł. *Trepele* czyli *kresy* lub *krzyże* bramowały suknię od szyi. *Kolce* lub zausznice, zwane też *dyndele* ozdobę uszów czyniły. *Bramka* albo przepaska na głowie, którą inny pisarz *Na czołnikiem* zowie, dodając że był złoty, i kamieniami haftowany. *Pontały* to jest noszenia drogie różny kształt miewały; używano na szyję *biretka* lub też oddzielnie do ozdoby włosów. Należały jeszcze do stroju głowy, bogate *palatynki*, *chomle* złote, *rańtuszki*, *rąbki* i *policzki* jedwabne, perłami lub blaszkami przerabiane *czepki*. Na głowie też nosiły *biretek* z piórkami lub *feratami*, kołpaczek aksamitny przebrany w pontały, czepki z bobrami, *mycki* letnie. *W manele* ręce od ramion ubierano. *Zanklem* paski i szatę spinano. Nogi w *patynki* aksamitne lub *sandałki* z safianu strojono. *Nożenki* czyli pochewki srebrne, *wacki* z okowem w używaniu były. Wytworniejsze kobiety barwiły się czyli różyły, a *barwiczki* weneckie lub zamorskie najprzedniejsze były. Prócz tego twarz pokoszczono, brwi kraszono, umywano się pachnemi wodami; że zaś wysokie czoło za piękność miane było, przeto wyrywano włosy z nad czoła, i dla ozdoby oka brew targano. Starsze kobiety tkanką czoła zmarszczki gładziły. Pończochy niderlandskie, rękawice angielskie, wstęgi włoskie, podwiki morawskie zaletę miały. Koszule tkaniczkami, kryzę *farbotami* czyli koronkami bramować zwyczajem było. Ubiory kobiece hiszpańskie, włoskie, lub fozy francuskie więcej nad inne chwalono. Dzieci też miały swoje *knefliczki*, *bryzeczki*, *pstrotki* i z cętkami *biretki*. Prosty ubior niewiast wiejskich ani zbytku nie znał, ani odmian nie doświadczał. Może by dziś ten sam się znalazł, jak był przed dwoma wiekami. Chustka całym ubiorem; z niéj *gęzło*, *zawicie*, *kieca*, *indorak*, od święta barwiona tkanka. Ledwie na głowie dziewki wianek uwity z barwinku, bramka upstrzona kwieciem, lub pozłotką hochół się świecił.

Głowy mężczyzn sztyki zdobiły marmurkowe, kołpaki do stroju sobolowe, a pospolicie lisie ubranie okrywały. Sztyki drogie kitami czaplemi zdobiono. Kity przypinały się pontałami bogatemi od złota i drogich kamieni. Gdy używali powszechnie kit czaplich, i sztyków marmurkowych, tedy do tego rzeczy to przyszły były, że i kity i sztyki po 1000 Czerwonych płacono. Drogość była przyczyną iż ku końcu panowania Zygmunta III je porzucono.

Oprócz przepychu bogactw, droższy jeszcze przepych w ubiorze koni znajdował się. Rzędy z aksamitu lub safianu pokrywało złoto lub srebro złocone z drogiemi kamieńmi, albo *czapragi* świetne pontałami i szytem złotem, często droższe nad wszystko. *Dywdyk* konia z ubiorem, a rozsiodłanego *czordar* pokrywał.(*) Kolebki były lekkie, kryte i otwarte, ozdobne kobiercami; pojazdy kołyszące się na łańcuszkach, na których zawieszone były. Karety poszyte aksamitem, strojne w galony i frenzle, z szklanemi oknami. *Kotsze* suknem, często szkarłatem obite. Rydwany do wygodnéj podróży. Kolasa pojazd prosty i ładowny. *Brożek* był gatunek powozu od kształtu swego tak nazwany. Gdy w sześć koni po mieście Pan lub Pani w brożku się woziła, poprzedzała je sług barwionych gromada. Mieć konie maściste, woźniki jednakie, wiele pachołków, do okazałości należało. W poszóstnym zaprzę-

(*) Wszystko to ubranie koni przejęliśmy od Tatarów i Turków; wyrazy rzeczy do tego należących są dowodem Tak *Czuprak* od słowa tureckiego *Czaprac* które przykrycie konia znaczy, na którem się siodło kładzie. *Mitnik* zwał się krótki czaprak· *Jarczak* gatunek tureckiéj kulbaki. *Dywdyk* wyraz tatarski, którym bogate na konia okrycie zwano. *Czołdar* zaś długie kosmate przykrycie na kształt dery z wełny w kostki tkane. Czy nie z tąd polskie słowo *koldra*, jeżeli nie zwłoskiego *Coltra*? Bo i to co Turek zwie *czołdar*, u nas koldrą zwano. *Juki* od słowa tatarskiego, były to torby skórzane często wyszywaniem ozdobne; pakowano w nie różne sprzęty, które konie juczne nosiły. *Buklak* było naczynie skórzane do wody. *Rydwan* także od tureckiego wóz kryty znaczył. Czyliż nie mieli wprzód tych rzeczy i ich nazwisk własnych

gu woźnik przednik i zadni na koniach po prawéj ręce siedzieli.

Stoły do jedzenia nakrywano obrusami, a zbytkowo i dwoma dla ich cienkości, w których brzegi szyte w około były. Podobne szycia zdobiły i serwety, które po włosku składano. "Potrawy (mówi *Rej*) up-"strzone w rozliczne pozłotki, farby; snać "by je mógł kto zwać nie potrawami, ale "obrazkami. Na jednéj misie baran po-"złocisty, na drugiéj lew, na trzeciéj kur, "na czwartéj łani ubrana. Więc dęby z "żołędziami, róże pozłociste, kwiaty, "zające, a potrawa w środku diabła war-"ta,,. Za przednie ciasta miane były marcypany, kołacze, bijanki, torty, kreple, pasztety, ciasta formowane, moździerzowe, garnuszkowe, fumetowe, maczniki i t. d. Ciasta wyrażały różne kształty ludzi, zwierząt, a najwięcéj znaki herbowe. *Kortuz* był gatunek polewki; smak potraw pospolicie pieprzny i korzenny. Tak wielkie zaś mnóstwo srebra zastawiano, iż się pod ich ciężarem stoły uginały. Kruszec srebrny poczytany był za prawdziwe bogactwo. W srebrnych naczyniach stołowych i domowych kochali się przodkowie i w nie się parali. Po ich wielości szacowano mniéj lub więcéj majątek. „Już i napój: przymawiał współziomkom *Górnicki*: "ze szklanicy "nie tak smakuje jak z srebrnego puhara, "i z misy srebrnéj lepiéj niż z glinianéj. "Choć często w mieszku srebra nie ujźry, "na stołach go jednak do zbytku,,. Wszystko jedzenie razem na stoły stawiane było, a przy tém rozliczne srebrne z napojem i do napoju naczynia, dzbany, flasze, kufle, rostruchany, kubki, czary, konwie, kruczbanki, puhary i t. d. Na biesiadach bywały po stronach inne stoły nakryte i napełnione różném naczyniem, służbą złotą i srebrną, porcellaną, szkłem i napojem: na tych i po trzy razy jadło na stół stawiano. Pospolicie zastawy jedzenia, w których potrawy musiały się różnić od siebie postacią, kształtem i barwą, na dania się dzieliły. Ostatnie zajmowały smażone słodycze, owoce i t. d. Od stołów biesiadnych, chwalebnym zwyczajem ubogim i klasztorom posyłano jedzenie. Bochny pszennego chleba krajano na kramki. Win używano różnego gatunku, ale przy winach nie gardzono miodami.

Najochydniejszy i najszkodliwszy zbytek który w tym wieku miał górę, był zbytek w napoju. Sarkali nań rozsądni; z tych *Pewłowski* tak o nim: »Ta nam utkwiła zaraza, ten przewrotny zwyczaj pijaństwa, i »równych wymagania haustów, który na»ród nasz obyczajem przejęty, spólną »wszystkich zgodą pochwalony, za nieprzy»stojny nie rozumie. »Jak daleko od mier»ności i skromności przodków swoich ustą»pił, tak i w cnocie, obyczajach wstydli»wych, w męzkich życia zabawach wyro»dził się.»

»Z tąd gromady żebraków wsie obiegają»cych, tak wiele złodziejów na zbiory cu»dze, z tąd role odbieżałe, warsztaty z »rzemieślników obnażone i t. d.» Któż tak mało świadom rzeczy krajowych, aby nie wiedział ile naganny zwyczaj w kraju naszym pijaństwa klęsk zrządził? Albož nie widzieliśmy, mówi uczony nasz *Reszka*, pijanych narad, pijanych Trybunałów; z tąd i sprawy publiczne i wyroki pijane bywały. Gromił tę wadę gorliwie *Skarga*, w niéj wielu nieszczęść przyczynę wskazywał, i gniewem bożym odgrażał. Wytykał ją współziomkom *Starowolski* i uwagą zdrowego rozsądku do poprawy zachęcał.

Wada ta ledwie w potomkach poprawioną została. Trwa zaś dotąd cnota sławiańskiéj gościnności, która ją niejako usprawiedliwiała, jeżeli tylko w czém usprawiedliwioną być może. Tak tę gościnność *Szczesny Kryski* wystawia: «Wielkie naprzód ze zbytecznéj jakiejś ludzkości i szczodrobliwości swojéj mamy zalecenie. Żadnego bowiem inszego nie ma narodu tak osobliwéj dobroci i powinności przyjacielskiéj ku wszystkim cudzoziemcom. Bezpiecznie może wędrownik kraj nasz cały małym nakładem przejechać, gdyż ludzie nasi łaskawie gościa przyjmują, i z chęcią dostatkiem wszystkiego bez opłaty udzielają: w gościńcach pospolitych za słuszniejszą cenę niż w innych nacyach potrzeb dodawają gościowi. Skąpstwo na przyjście okazać, za jakąś sromotę sobie poczytują.» Dawno Sławianie z gościnności zaletę zawsze mieli. Domy nasze nietylko otwarte, ale i hojne dla cudzoziemców były. Gromadzili się przeto do kraju naszego, a w nim schronienie i utrzyma-

je potrzebowali przyjmować od Tatarów i Turków? Same tylko od nich wyrazy wzięli? Mogłoż być, aby konie czarne dopiero od Turków *karemi* zwać się nauczyli? Wszak koń zawsze był najpotrzebniejszym, a ubiór jego najdroższym sprzętem Ale zwyczaj Arabszczyznie, Perszczyznie i Tureczczyznie największą oddał zaletę, do tego stopnia, że możniejsi sprowadzali Arabczyków, Erzerumczyków zwanych Azuńczykami, i Turków, a tych umyślnie do koni trzymali, bo nikt koło koni tak dobrze chodzić jak Bisurman nie umiał, Dla tego słownik wyrazów do koni należących, jest słownikiem Wschodnich wyrazów. W tymże czasie także, od Turków wchodząc w powszechniejszy u nas zwyczaj kurzenie tytoniu, utworzyło drugi słownik wyrazów tureckich, jakiemi są *Tytuń, lula, cybuch* i t. d.

nie znajdowali Należało to do okazałości domów możniejszych, iż w nich mnóstwo cudzoziemców różnego języka, mieścić się wygodnie mogło.

Mimo wszelkie trudy i niewczasy, byli nawykli do ochędóstwa. Ubiory nazywali ochędóstwem, często łaźni ciepłéj używali, nawet lud prosty bez łaźni z nałogu i potrzeby obejśdź się nie mógł.

Łaźnie przeto we wszystkich miastach i miasteczkach naszych publiczne były, z których podatek łaziebnicy dziedzicom i skarbowi składali: po wsiach nawet łaźnie znajdowały się. Już za Zygmunta III nie tak powszechnie używano łazien, jak dawniej być poczynało. Jakim sposobem ten dobry zwyczaj, tyle zdrowiu pomocny, tyle dla schludności potrzebny, a narodom Sławiańskim właściwy, w zaniechanie poszedł u nas, śladu w dziejach dostrzedz nie można. Dłużéj przecie na Rusi niż indziéj przetrwał. Zmieniły go nam przywoźne z obcych krajów zwyczaje. Jagiełło co drugi dzień się parzył; syn jego Kazimierz, jak *Stryjkowski* pisze, co dzień się mył w łaźni, i wichą rad chłostał. I Zygmunt Stary, i syn jego August łaziebne poty lubili. Toż wówczas i wszystek lud czynił. Przybyli z Francyi, Węgier, i Niemiec panujący, łaźni używać nie chcieli.

I to do czystości lubionéj od przodków należało, że przed i po jedzeniu umywać się zwykli byli; który obyczaj zachowany jeszcze w wieku Zygmunta III, do liczby dziś zarzuconych już poszedł. Ręczniki zbytkowe szerokie i szyte w dziwne wzory, z Włoch nam przychodzić musiały, bo i z włoskiego słowa *Tovaglia*, nazwę *tobalia* miały. Na miejsce miedzianych (z kąd wyraz miednicy) jakich używano w domach uboższych, zbytek złote i srebrne drogo wysadzane nalewki wprowadził. Uwierzyż, skromniejszy raczéj z potrzeby niżeli z chęci od przodków swych potomek, że w domach możnych, do podawania wody gościom dla mycia rąk przed jedzeniem, 4 lub 6 sług trzeba było (pospolicie kuchmistrzów ta była powinność)? że ziołami pachnącemi izby natrząsano i skrapiano wodami? Do wonności należała kamfora. Podłogi, zwłaszcza przed łożem i siedzeniem, bogatemi obściełano kobiercami (*) Temi i altembasowemi kocami okrywano stoły, ozdabiano ściany. Obicie ścian zwane w tym wieku u nas *oponami*, lub wziętym z tureckiego wyrazem *makatami*, w jedwab złotem lub srebrem tkane były, które po 500 Złot. i więcéj, na sztuki płacono; flamandskie wiele ceniono. Sprzęty wytworniejszego domu, jako to szafy, stoły, stolce, ławy, taborki i t. d., bywały z cedrowego, cytrynowego, orzechowego, a najwięcéj dębowego drzewa; nogi toczone, foza na nogach posrebrzanych, na gałkach złocistych; na nich bogato lite, szkarłatne w różne wzory tkane pokrycie.

W lada szlacheckim domu dla zabawy bywał do bandurki kozaczek, do lutni Węgrzynek. Zawsze bowiem lubili wesołe biesiady, zabawy, tańce i przy jedzeniu słyszeć grającą muzykę. *Myszkowski Zygmunt* Marszałek Wielki Koronny, miał wyborną kapellę, gdyż sam był biegły w muzyce, i sam ich z Włoch przywiózł, a za odstąpienie królowi kilku swych muzyków, starostwo otrzymał. Inne narzędzia muzyczne znane wtedy były: regały, puzony, sztorty, cytry, skrzypice, cymbały, organy, trąby, lutnie, surmy, fletnie, turbany, bandura. Lud pospolity miał swoje kodźby, dudy, piszczałki, fujarki, gęźle, rużki, multanki i t. d.

W kraju obfitym w lasy, że lud przywykły do konia i boju łowami rad się bawił, dziwić się nie można; pierwszy Zygmunt III w myśliwstwo się wcale nie wdawał, i nad niepokojowe gry i zabawy przekła-

---

(*) *Kobierzec* wyraz wzięty z Ormiańskiego języka *Geberd*: tak Ormianie lepsze kobierce zowią; Turcy zaś *Dywan*, a podlejsze *Kilim*. Kochali się Polacy w wystawie kobierców i drogo je płacili. Przywożone z rękodzielni wschodnich, *Erzerumskie*, *Adziamskie* lub *Kożubalskie*, wyżéj nad inne cenione były. Rękodzielnie ich były i w kraju, gdy między rzemieślnikami licznemi *Kobierników* czytamy. Nazwy obcych, *Erzerumskie* od miasta *Erzerum*, *Adziamskie* od wyrazu *Adziam*, którym u Turków Persya się zowie. Lecz z kąd kobierce *Kożubalskie*, z kąd wyraz *kożubalce*, dar do ujęcia laski Urzędu znaczący, poszedł, na ślad pewny trafić nie mogłem. Może że te kobierce wychodziły od *Kożubem* miasta sławnego handlem kupców wschodnich, lub od *Kożbul* miasta perskiego. Wyrazu zaś *kożubalce*, znaczącego nie tylko dar którym się urząd albo zwierzchność zniewala, ale i daniny roczne iakie po miasteczkach za wieku Zygmunta księża i żaki dawnym zwyczajem od Żydów pobierali, ten zdaje się mieć początek, iż lud pospolity dań swoją zwykle w *kożubie* przynosił. Od *kożuba* czyli *kozuba*, poszły wyrazy: *Kożubalęc*, *Kożubiałka*, *Kobiałka*, *Kobieł*, i t. d. Pisemko bezimienne wydane r. 1626 z napisem: *Kożubalce albo obrona żydowska*, prawo do pobierania corocznéj daniny od Żydów, wywodzi od *Szymona Cyrenejczyka*, który zawołany nieść krzyż Chrystusów, porzucił gęś w kożubce na targ do Jerozolimy przyniesioną. Stratę kożuba nagradzając *Starosta Ananasz* (?), coroczną mu daninę z mieszkańców naznaczył, zwano ją przeto *kożubalce*. Szymon ten umierając, księżom ją i żakom odkazał.

dał. Przebierano miarę w chowaniu myśliwstwa. Pań nawet myśliwskich jak mówi *Górnicki*, pełno było. Miło było patrzéć, jak płoche i lekkie nasze Amazonki na koniu za srogim i ciężkim zwierzem goniły. Nietylko z psami, ale i ptastwem drapieżném myślistwo w używaniu było; jako to z krogulcem, białozorem, jastrzębiem i sokołem. Sokoły strojono w czapki, jastrzębie i krogulce w dzwonki i pierścienie, białozory w skórzane szyszaki, charty w obróże. Kto chce mieć obraz myśliwstwa w tym wieku, i sztuki łowczéj naukę, znajdzie ją w wierszu *Tom: Bielawskiego*, pod napisem *Myśliwiec*. Było to zaiste zbytkiem, iż psy wyborne po 1000 złp. płacono.

PIWO.

Mieszkańcy stref zimnych północnych, wystawieni przez większą część roku na dojmujące słoty lub mrozy, w trunkach krew zagrzewających, a pokrzepiających siły ciała, znajdowali zadowolenie i folgę. Ztąd piwo i miód, później wódka i wino stały się ulubionemi ich napojami, w których tylko za często miarę przebierali. Gotom piwo szczególniej tak się upodobało, że sobie i po śmierci w krainie rozkosznéj wieczności, obfitość tego napoju obiecywali. I u Sławian od najdawniejszych czasów znane było piwo. Powiastka o Piaście, którego nawiedzili trzéj duchowie niebiescy w postaci wędrowników, wspomina, że ci uraczeni hojnie rozmnożyli mu cudownym sposobem mięsiwa, miody i piwo. Był to w onych odległych wiekach zapewne tylko prosty napój ze słodu, któremu dopiero późniejsze wynalazki nadały lepszość i w różne zmieniły gatunki. Że na ulepszenie piw, obok miejscowego i obcy wpływał przemysł, mamy ślad w historyi naszéj za Zygmunta Augusta, któremu cesarz Ferdynand I dwóch piwowarów Niemców, na ulepszenie browarów przysłał. Mówi za tą uwagą i to, że Wielka Polska i Szląsk, jako prowincye z Niemcami pograniczne, najwięcéj dobremi piwy słynęły. Już w XIII wieku, Ludgarda, panująca w Poznaniu, liczne browary pozakładała, a w onych czasach i na dworach xiążąt; piwa tak, jak dziś wina, używane były. Piszą o Konradzie, xięciu Głogowskim, że mu cesarz ofiarował biskupstwo w Salzburgu. Wyprawił się na to dostojeństwo z licznym pocztem beczek piwa szląskiego. Ale już w Wiedniu wypróżniły się beczki; a gdy się dowiedział że w Salzburgu podobnego nie dostanie piwa, wrócił do domu, woląc wyrzec się godności biskupiéj.

Wkrótce namnożyły się browary, i obok piw krajowych zaczęto sprowadzać i zagraniczne, tak, iż już Stefan Batory, dla zapobieżenia upadkowi browarów, zakazał wprowadzenia piw obcych.

Piwa dawne, jako wareckie, piątkowskie, częstochowskie, garwolińskie, sądeckie, piotrkowskie i inne, musiały być dobre i tęgie. Gołębiowski Łukasz przytacza wyjątek z rękopismu XV wieku, téj osnowy:

Człowiecze, chcesz ulżyć duszy swéj,
Nie mów często: piwa naléj,
Boć piwo jest dziwny oléj.

I musiało być mocne, olejne, kiedy statutem z 1573 roku przepisano, aby pod stratą waru i karą 14 grzywien, piwa z jęczmiennego słodu albo z zboża mieszanego nie warzono, tylko z czystéj pszenicy; roku 1685 uchwalono, aby z 2ch korcy pszenicy i 10 korcy jęczmienia warzone było piwo. W tym samym roku już jest wzmianka o piwie szlacheckiém czyli ordynaryjném, nazwa, którą jeszcze dotąd po godłach szynkownych postrzegamy. Zdaje się, że w tym czasie już mocniejsze i lepsze piwa dostarczały tylko browary miejskie. Lżejsze piwo i tańsze robiono po wsiach szlacheckich, i ztąd nazwisko szlacheckiego piwa. Grodziskie piwo głośne już było w 17 wieku, i jako szczególniéj zdrowe zachwalane. Za Augusta III sławne także było w Poznańskiém piwo Gielniowskie, ostatniemi czasy najlepsze piwo małopolskie w Łowiczu, Warszawie, Wilanowie.

POEZYA.

HALKA.

(*Z gminnéj powieści z okolic Poznania*)

Czemuż po téj świętéj niwie
Zbierasz kwiatki tak skwapliwie?
Rzekł do Halki dziad kościelny.
Co się zrywa na cmentarzu,
To się składa na ołtarzu,
A dziś właśnie dzień niedzielny.

Nie, staruszku, dziewczę woła,
Nie zrywam ich dla kościoła,
Innym razem go ozdobię;
Dziś ja z rady dobréj matki
Na to zbieram święte kwiatki,
By w nieszczęściu pomódz sobie.

Pierwsza niegdyś z dziewic grona,
Urodą Józi zgaszona,
Straciłam serca młodzieńcze.
Mówią, że szczęściem obdarza
Kwiat zerwany w śród cmentarza,
A więc dziś się nim uwieńczę.

Nie kłopoć się, dziadek rzecze,
Już ci żaden nie uciecze,
Gdy w tém szczęścia widzisz tyle!
Wszystkie kwiaty uzbierane,
Dla zgaszenia Józi rwane,
Rwałaś je — na jéj mogile.

Fr. Mor:

SZTUKA DRUKARSKA.

Niezaprzeczoną jest rzeczą, że sztuka drukarska powstała w wieku XVstym, lecz bibliografowie nie zgadzają się w jakiem miejscu i przez kogo wynaleziona została. Holendrzy i Niemcy spor wiodą o ten zaszczyt. Niemcy nie zgadzają się nawet co do miejsca i nazwiska wynalazcy. Holendrzy zaś w tym względzie zupełnie są zgodni.

Powszechne jest mniemanie, iż rzeźbiarze na drzewie byli wynalazcami sztuki drukarskiéj; wiadomo że karty do grania, wynaleziono, podług kroniki Jana de Saintre pazia króla Karola V, około r. 1376 i że sztychowane były w Niemczech na początku roku 1400. Lecz wiemy także iż na kilkanaście wieków przed odkryciem tego sposobu, Chińczycy używali tablic drukowanych.

Najdawniejsze książki, razem sztychowane czyli ryte, i drukowane, w Europie, zasięgają roku 1431. One to cechują początek sztuki drukarskiéj, gdyż są całkowicie dziełem sztycharzy na drzewie. Kartki te, albo raczéj zbiory obrazków przeplatane były objaśniającemi słowy, umieszczonemi na górze lub na spodzie tablicy, a niekiedy na boku, jak to jeszcze widać na rycinach drukowanych dla ludu za niską cenę.

Od tego wynalazku, jeden tylko był krok do sztychowania całych kart pisma, znanych pod nazwiskiem edycyi xilograficznych czyli tabellarycznych (*). Lecz wielkie zachodziły niedogodności w użyciu takich sztychowanych tablic; trzeba było przygotować tyle tablic, ile stronnic jest w książce. Każda bowiem w jedném tylko miejscu służyć mogła. Litery były niejednostajne, a pomyłek sztycharza nie można było inaczéj poprawić, jak przez wsadzanie liter, które często wypadały z miejsca swego. Niedosyć na tém, tablice, raz maczane, to znowu suszone, paczyły się, pękały i długo wytrzymać nie mogły, oprócz tego służyły tylko do jednego dzieła. Postrzeżono jak wielkiéj ich liczby potrzeba było do drukowania xiążki i ile kłopotu sprawują w warsztacie. Pomyślano wówczas, ażeby robić ruchome drewniane charaktery, to jest pojedyncze litery (a).

W tém miejscu zaczynają się spory między historykami sztuki drukarskiéj. Podług jednych sposób ten wynaleziony był w r. 1437 przez Wawrzyńca Janszon Koster, w mieście Harlem w Hollandyi i to ma bydź pierwsza epoka wynalezienia sztuki drukarskiéj.

Drewniane litery najpierwéj wyrabiano nożem. Wawrzyniec Koster, mówią jego stronnicy, zajmował się tą pracą podczas przechadzki i głównie używał drzewa bukowego. Po kilku próbach umyślił drukować xiążkę zwaną Horarium. Meerman umieszcza to dzieło na czele najdawniejszych płodów drukarstwa. Xiążka ta musiała być *in quarto* w małym formacie i drukowana po obudwu stronach: wielkich liter brak, kilka liter jako to *ce*, *de*, są razem rznięte.

Junius powiada, że Wawrzyniec zrobił tę xiążkę dla edukacyi swoich dzieci. Enschede sławny giser i drukarz w Harlemie, znalazł jeden jéj arkusz w bardzo starym kawałku pargaminu; znajduje się na nim alfabet, Ojcze nasz i Wierzę. Ten

---

(*) Nazywają xilograficznemi drukowania uskuteczniane na tablicach drewnianych, podobnych do tych, jakich używają do drukowania perkalów; jest to prosty sztych na wypukło, zastosowany do pisma.

(a) Jakże powolnym był postęp umysłu ludzkiego! Czytamy w Kwintylianie w xiążce 1széj rozdziale 1szym. „Jest to sposób znany wszystkim, dawać dzieciom litery z kości słoniowéj do zabawki, ażeby nabrały ochoty do nauki. Od tych liter był tylko krok jeden do ich układania i drukowania xiążek, a jednakże czternaście wieków upłynęło nim go uczyniono. Święty Hieronim mówi o literach z bukszpanu i ze słoniowéj kości. Kwintylian żył w pierwszym wieku ery chrześcijańskiéj, a z jego wyrazów wnieść można, że ta zabawka o któréj wspomina, już była znana od dawna.

Platon w swojéj xiędze praw, już doradzał ten sposób w artykule, *Jak można zachęcać dzieci do nauki*, Przekładane i przewrócone litery, napotykane w niektórych medalach, naprowadziły hrabiego de Caylus i innych starożytników na domysł, że starożytni używali oddzielnych liter.

kawał pargaminu był przylepiony do staréj okładki xiążki zawierającéj modlitwy psalmy po holendersku. Ponieważ niepodobna było w zupełności odjąć tę okładkę, Enschede musiał przeciąć ją na dwoje. Wszystko zgadza się doskonale z opisem Juniusza; porównywając tę xiążkę z najdawniejszemi drukami, oczywiście pokazuje się, że jest jeszcze starsza od niej.

Junius, Scriverius, Boxhornius i inni holenderscy pisarze, wywodzą ród Wawrzyńca od familii holenderskiéj zwanéj Koster. Inni zapewniają, że to nazwisko pochodzi od jego posady zakrystyana i dowodzą, iż w rzeczy saméj Wawrzyniec był zakrystyanem w Harlem w połowie XV wieku i ztąd pochodzi nazwisko Koster dane mu przez współziomków.

Wycisk pieczęci, był jak mówią, piérwszą skazówką dla wynalazcy drukarstwa, i nauczył go robić kleistą kompozycyą któréj kolor naśladowałby pismo i która mogłaby pokrywać jego litery.

Uczyniono krok pierwszy, lecz jakimże sposobem drukować łatwo na arkuszu papieru, zbiór liter, które z powodu ich małości trudno się odciskały i których liczba tak znaczna wymagała wszędzie jednakiéj siły ciśnienia. Prasa do wytłaczania jagód winnych zwróciła jego uwagę, a działanie śruby wyrównywające niezmiernemu ciężarowi, uderzyło jego wyobraźnią. A tak zwalczywszy wszelkie przeszkody, powziął myśl pierwszéj prassy drukarskiéj.

To co pisarze holenderscy mówią o tym wynalazku przypisując go Kosterowi, Niemcy stosują do Guttenberga.

Próby Wawrzyńca, mówią jego stronnicy, rozpostarły się tak szybko, iż wkrótce zbudowano prassy drukarskie w wielu miastach Holandyi i Niemiec.

Lecz wkrótce poznano jak są niedogodne litery drewniane. Te kawałki buku pęczniały albo się kurczyły, podobnie jak tablice, stosownie do stopnia wilgoci albo suchości powietrza. Musiały ztąd rozmaite niedogodności wyniknąć, słabość tych drewnianych typów zniewalała rzeźbiarza do łączenia ich po dwie lub trzy, a tym sposobem do powiększania liczby liter, co wymagało więcéj czasu i wydatku. Ponieważ nierówna grubość tych liter przeszkadzała dokładnemu ich połączeniu, chociaż mocno były ściśnięte w żelaznéj ramie, przyszło na myśl, ażeby je przebijać u góry i przez te dziurki przeprowadzać sznurek, któremby jedne z drugiemi wiązał, jak np. ziarka w rożańcu, lecz zecerowie mieli przez to niezmiernie wielką pracę, musieli bowiem dobrze łączyć litery, przez które sznurek przechodził, mianowicie zaś dobrze justować wiersze i przywiązywać je potém do obu końców. Poprawa omyłek drukarskich pociągała za sobą przeciąganie na nowo sznurków, co było rzeczą niezmiernie zmudną. Paweł Pater zapewnia w rozprawie o literach drukarskich, że widział takie przebite litery. Daniel Spelin utrzymuje toż samo. Wyznaję, że bez takich świadectw nie dałbym wiary takiemu postępowaniu, które dla każdego znającego się na sztuce drukarskiéj wydawać się będzie niepodobném do uskutecznienia.

Po pierwszych próbach Wawrzyńca Koster, wyjśdź miały z drukarni w Harlem, po śmierci wynalazcy, to jest po roku 1440 jako to: różne xiążki *Wojny Alexandra Wielkiego*, *Skrócenie Wedata o sztuce wojennéj*; *Dzieła Tomasza A Kempis*, wydania zrobione literami z drzewa, rzniętemi i oddzielnemi.

Podług erudytów hollenderskich, Janszon Koster położył fundamenta sztuki drukarskiéj, on to wprowadził używanie ruchomych liter zamiast xilograficznych tablic. Holendrzy opierają się na dwóch bardzo dawnych świadkach; jednym jest Kornel introligator albo służący Wawrzyńca Coster, a drugim Ulryk Zell, najprzód pisarek w dyecezyi Moguńckiéj, potém kalligraf czyli kopista xiążek, a nareście pierwszy drukarz jaki był w Kolonii. Ulryk wyraźnie powiada, że sztuka drukarska wzięła początek w Hollandyi. Twierdzenie to umieścił przy końcu książki p. t. *Augustinus de Vita Christiano et de Singularitate clericum*. Kornel zapewnia, że wynalazek téj sztuki winni jesteśmy Wawrzyńcowi Janszon zakrystyanowi w Harlem, zkąd go potem nazwano Koster i że po jego śmierci, rzemieślnik zwany Jan, skradł ruchome litery i narzędzia téj drukarni. Kornel przydaje podług Janszona, iż doskonale znał tego złodzieja, i że razem sypiali pracując u Wawrzyńca w Harlem.

Chociaż Janszon urodzony w 1511 nie słyszał tego opowiadania od samego Kornela, zmarłego w 1515, słyszał je, mówi Meerman w dziele swojém *O wynalezieniu Sztuki Drukarskiéj*, od dwóch rzetelnych i wiarogodnych ludzi, to jest od uczonego Mikołaja Gael i Burmistrza Kwiryna Talesius, którzy o wszystkiem dowiedzieli się od samego Kornela i w kilkanaście lat po tém, powiedzieli Juniuszowi każden z osobna.

(Dalszy ciąg nastąpi).



B A J O N N A.

BAJONNA.

Pierwotne nazwiska miast, krajów, wiosek i gór, zmienione zostały ze zmianą rządów, i dla tego to trudno przychodzi poznać ich starożytność i początek. Rzymianie zdobywcy Hiszpanii, zmienili wszystkie nazwiska miast tego kraju. Zdaje się, że i Bajonna, miasto pograniczne Hiszpanii, temuż samemu losowi uległo, i dla tego to nie wiemy kto je założył, ani jakich doznawało kolei. Rzecz pewna, że to miasto zamieszkane było w trzecim wieku po Chrystusie; wzrastało bardzo powoli i nie ma o niém wzmianki w pierwszéj epoce dziejów Francyi. Cały kraj był naówczas obszérną pustynią, a przechody Gotów i Wizygotów, z Gallii do Hiszpanii, wytępiały mieszkańców. Nie tylko ta jedna klęska trapiła okolice Bajonny; Gaskończykowie osiedli w ówczas w Pireneach, zstępowali z gór, a ponieważ wojna była ich wyłączném rzemiosłem, a rabunek jedyném źródłem wyżywienia się, powracali obciążeni łupami. Kraj ciągle pustoszony ogniem i mieczem, nie mógł miéć ani handlu ani przemysłu, i dla tego przez tak długi czas Bajonna pozostała nieznana.

W szóstym wieku zwano ją *Baia-Ona*, co w języku Basków znaczy dobrą zatokę; z czego późniéj utworzyło się teraźniejsze nazwisko.

Miasto Bajonna leży w pięknéj dolinie zasłonionéj wzgórzami, przy zbiegu trzech rzek w bardzo malownéj okolicy. Rzeka Nive dzieli miasto na dwie części; cytadella i kościół katedralny są dwie najznaczniejsze budowy. Kościół katedralny ukończony w 1451 jest pięknym pomnikiem gotyckiéj architektury. Jako warownia, Bajonna wywiera znaczny wpływ na los okolicznych prowincyi, i nieraz była miejscem świetnych dla oręża francuzkiego wypadków. Port tego miasta jest cokolwiek niedogodny, z powodu rafy, którą trzeba ostróżnie przebywać, lecz bezpieczny; jest siedliskiem handlu kommissowego i tranzytowego pomiędzy Francyą, Hiszpanią i północną Europą.

Mieszkańcy są zimnego i poważnego charakteru i tworzą uderzającą sprzeczność z

wesołością Basków, w znacznéj liczbie przebywających w Bajonnie. Zasługuje na uwagę, że nie ma tam nędzarzy bez sposobu do życia, których massa jest klęską miast wielkich; każda klassa mieszkańców, każde rzemiosło, tworzy stowarzyszenie poddane szczegółowym przepisom. Posyłki, pakownicy i tragarze, mają naczelników, którzy ręczą za nich domom handlowym. Ludność dochodzi do 15,000. Bajonna pamiętna jest pobytem Napoleona w r. 1808, któren ściągnąwszy do tego miasta Karola IV oraz jego synów, zniewolił ich do zrzeczenia się korony i przez to zapalił tę długoletnią wojnę, która strawiła znaczną część sił jego i tak zgubny wpływ na jego losy wywarła.

KOŃ DZIKI.

Między zwierzętami które niegdyś na ziemi tutejszéj mieszkały, i których tradycya do dziś dnia się utrzymała, ważne zajmuje miejsce koń dziki. Nie bylibyśmy w stanie obrazu tego wygasłego u nas plemienia, czytelnikom naszym udzielić, gdyby ten sam właśnie gatunek nie istniał jeszcze w Tartaryi azyatyckiéj, gdzie go Pallas i inni po nim naturaliści dokładnie poznali i powyższy rysunek nam zostawili. Widać w nim, że pomimo nadanego nazwiska, większe ma to zwierzę do osła zbliżenie: nadają mu to podobieństwo i długie uszy, i grube wargi, i mało włosisty ogon i nakoniec czarna pręga, ciągnąca się wzdłuż całego grzbietu. Nie może zatem uchodzić za pierwotwór naszego konia domowego; ale wszystkie te oznaki odpowiadają opisom, jakie nasi i obcy pisarze o nim zostawili, w czasie, gdy jeszcze u nas zamieszkiwał.

Jak wiele innych zwierząt, których postęp cywilizacyi z Europy wypłoszył i ku Azyi zapędził, i ten (że go tak nazwę) koń dziki, widziany był niegdyś w starożytnych lasach niemieckich, to jest w pierwszych wiekach ery chrześcijańskiéj. Wspominają o nim w tym czasie pisarze rzymscy. Dotrzymał tam aż do ósmego wieku, téj wielkiéj epoki, w któréj chrystyanizm i łącząca się z nim oświata do Niemiec się przedarły, i odtąd ta kraina inną wcale wzięła postać. Ostatnią wzmiankę o dzikim koniu, widzimy w urządzeniach *Świętego Bonifacego*, wielkiego Niemców nawróciciela, i w których ten biskup i legat papiezki zakazuje neofitom zabijanie i pożywanie konia dzikiego, jako ostatek obyczajów pogańskich.

Daleko późniejsze jeszcze natrafiamy ślady o przemieszkiwaniu konia dzikiego w Polsce i Prusiech. W uczoném dziele Czackiego o Prawodawstwie polskiém i litewskiém, wymienione jest prawo, zakazujące ubicie konia dzikiego, i naznaczające karę na podobne przekroczenie. — W drugiej połowie szesnastego wieku, koniuszy nadworny Miciński wydał dzieło *o swierzopach i ograch*, w którém opisuje, jakich się chycono sposobów do przyswojenia koni dzikich litewskich, dodając jednak, że wszystkie te usiłowania niebardzo były skuteczne. Wszelako, po umieszczeniu kilku z nich w stadach królewskich, parzyły się ze swojskim koniem i płód takowego połączenia odznaczał się później aż do trzeciego pokolenia. W tymże prawie czasie Gratianus de Burga, opisujący podróże kardynała Komendoni w Polsce, wspomina o dzikich koniach, które widział w zwierzyńcu księcia Alberta pruskiego. Wystawia je jako małe, niepozorne, niezdatne ani pod wierzch, ani do jakiegokolwiek zaprzęgu, i że jedyny użytek, który z nich można ciągnąć, i dla którego nań polują, jest używanie ich mięsa. Późniejsi pisarze, a między innemi Herberstein, równie wspominają o tym koniu dzikim, jako zamieszkałym w Prusiech i w Litwie.

W téj ostatniéj prowincyi i na Ukrainie, utrzymało się to zwierzę aż do ośmnastego wieku, w którym na końcu łapanie żywcem młodych i zabijanie starych, wyniszczyło ten rodzaj zwierza. Ostatnie, które pojmano, usidlone zostały w wielkim zwierzyńcu Zamojskich, nie daleko miasta Zamościa, i gdzie się długi czas wespół z inném zwierzem utrzymywały. Ale gdy się nakoniec przekonano, że prócz osobliwości, żadnego nie przedstawiały użytku, wyłapano je na nowo ze zwierzyńca i porozdawano między chłopów. Tam połączył i pomieszał się ten ród z domowym chłopskim koniem, i przez długi czas jeszcze dość widocznie rozróżniane było to nowe pokolenie od czystéj swojskiéj rasy.

W krajach, gdzie dziś jeszcze ten koń dziki przebywa, to jest w stepach Tataryi rossyjskiéj i niepodległéj, ten sam właśnie zachował powierzchowny układ i skłonności. Pomimo zbliżonéj do osła postawy, różni się od niego wielkością, która pomiernemu koniowi odpowiada, żywością poruszeń i taką żartkością biegu, że Tatarzy doścignienie jego za niepodobne uważają. Ubijają je zatem strzałami, lub też bronią palną, bo wysoko cenią ich mięso. Wreszcie i wtedy, kiedy w Litwie przemieszkiwały, do żadnego użytku do-

mowego nakłonić ich nie potrafiono. Maść ich płowa lub myszata. Głowę zawsze trzymają do góry wzniesioną, jak tu w rysunku jest wydano, a kiedy są w pełnym biegu, jeszcze wyżéj głowę zadzierają. — Krajowcy ich nazywają *Czygietaj*, i to imię niektórzy naturaliści im zachowali.

Nie potrzebujemy tu zapewne ostrzedz czytelnika, że to, co na Ukrainie dzikiemi końmi nazywają, wcale inny jest rodzaj koni. Te przez część tylko roku puszczone na wolność, po rozciągłych stepach, na pół tylko dzikie uważane być mogą, bo co rok powracają pod zarząd człowieka. Są więc istotnie tego samego rodu co nasz koń domowy, i wreście zupełnie mu odpowiadają powierzchownością.

W Zoologii professora Jarockiego, zwierz ten pod nazwiskiem Dżygietta, liczony jest do odmian osła.

S. R. P.

HISTORYA.

Historya miasta Wilna przez Michała Balińskiego, Tom I zawierający dzieje Wilna od założenia miasta aż do r. 1430 *z rycinami, in 8vo majori, Wilno* 1836, *cena zł. pol.* 10.

Historya miasta Wilna przez P. Michała Balińskiego, jest najważniejszém dziełem między temi, które w ostatnich kilku latach wyszły w języku naszym. Pracowite poszukiwania historyczne, czysty i przyjemny styl, ciekawe dokumenta zamieszczone w dodatkach, usprawiedliwiają nasze zdanie. Historyk tylko może bydź recenzentem historyka: gdyż aby ocenić dzieło, tyleż a może i więcéj niż sam autor potrzeba pracować w tym samym przedmiocie. Wierni zamiarowi naszego pisma, umieścimy zarys dzieła P. Balińskiego i niektóre z niego wyjątki, a tym sposobem dawszy o niém wyobrażenie czytelnikom, do których ręku nie doszło jeszcze, wynurzymy uczucie wdzięczności, sprawiedliwie autorowi należne.

We wstępie do dzieła tak się wyraża:

»Pisząc dzieje miasta, które przez dwa blisko wieki było stolicą jednego z najpotężniejszych krajów północnéj Europy, a późniéj zostało aż do naszych czasów główniejszém siedliskiem nauk i władz rządowych w Litwie, dwa widoki miałem na celu: nietylko starałem się wydobyć z różnych kronik i starodawnych rękopismów, po archiwach zachowanych, te podania, z jakich wywodzą początek Wilna, te prawa i liczne przywileje, których jego mieszkańcy od dawnych wieków używali; nietylko odnowić w pamięci współczesnych przedniejsze wypadki, w przeciągu kilku wieków w téj stolicy zaszłe; ale nawet przyczynić się, ile mi przedmiot i możność dozwoliły, do objaśnienia niektórych zdarzeń w historyi litewskiéj. Mało znane nam samym, obce są zupełnie dla Europy, dzieje uświetnione rycerskiemi czynami i najbieglejszą polityką *Mendoga*, *Gedémina*, *Olgierda*, *Kiejstuta*, *Jagiełły i Witowda*, dzieje w szczupłych granicach zamieszkałego narodu, który sam jeden, odosobniony swojém pogaństwem od reszty Europy, zdołał przez osobistą dzielność, odeprzeć straszne Mongołów najazdy i nie dać się ujarzmić chciwemu łupieztwa zakonowi Krzyżaków pruskich. Takie wypadki nie są bez interesu dla świata cywilizowanego: ale, żeby je w zupełnem świetle wystawić i utworzyć godną swojego nazwiska, historyą narodu litewskiego, należy, prócz wielu innych warunków, poznać wprzódy dzieje szczegółowe miast tego kraju, a mianowicie jego stolicy.«

Kréśli autor obraz początku i stanu miast w Europie w średnich wiekach, przechodzi do ukształcenia się miast litewskich. Nowogródek, Grodno i Kowno są najdawniejszemi miastami w Litwie, jeszcze przed Gedéminem; oprócz nich wznosiły się tu i owdzie samotne zamki. Ludność tych miast składała się ze stanu niewolniczego, z osadników cudzoziemskich i ze służebników bojarskich, nie mogły więc pozyskać ani téj przewagi, ani téj organizacyi municypalnéj, jaką posiadały miasta zachodniéj Europy.

Kréśląc dzieje stołecznego miasta Litwy, musiał autor w znacznéj części objąć historyą całego kraju, o ile ta z historyą miasta bezpośrednio jest połączona. Z tego powodu znajdujemy na wstępie części pierwszéj, wiadomości o początkach litewskiego narodu i stanu Litwy aż do Gedémina. Miejsce gdzie teraz stoi miasto Wilno, już było znane w XIItym wieku z pamięci wędrowników islandskich, a w XIII było zamieszkałą osadą. Tam podług gminnych podań zachowanych u kronikarzy, palił się na sto lat może przed Gedéminem, wieczny ogień *Znicz* zwany, na cześć boga piorunów, i zdaie się, że Wilno jeśli nie było naczelnem miejscem małéj jakiéj dzielnicy książąt, to przynajmniéj bydź mogło jednem z głównych siedlisk już znikającego teokratycznego rządu.

Gedémin następca Witenesa, w 1321, król Litwy i Rusi, zbudował zamek na górze w zbiegu rzek Wilny i Wilii i mieszkanie swoje



KOŃ DZIKI.

z Trok przeniósł do niego. Wszedł w związki z Europą, dał przytułek apostołującym w Litwie Franciszkanom i Dominikanom, zbudował dla nich klasztory i kościoły przy zamku wileńskim, a dla rozkrzewienia rzemiosł, pozwolił osiadać w nowozałożonem mieście przychodniom z zachodniéj Europy. Autentyczne traktaty i akta urzędowe w Wilnie czynione, są dowodem tego faktum.

Niezgody między książętami litewskiemi i wojny z zakonem Krzyżackim, były przyczyną wielokrotnych klęsk Wilna. Kreśląc autor pasmo tych zdarzeń, dochodzi do rządów Jagiełły, do jego nawrócenia się na wiarę chrześcijańską, i do jego ślubu z Jadwigą. Do téj epoki doszedłszy, kréśli zajmujący obraz ówczesnego stanu Wilna podług spółczesnych historyków, kronikarzy i autentycznych dokumentów. Obraz ten przytaczamy w zupełności.

»Wyrzekłszy się nakoniec nadwątlonych już bałwochwalstwa przesądów, stanął na ziemi litewskiéj w stolicy Gedémina, Władysław Jagiełło, w Styczniu roku 1387, jako nowy Chrystusowéj wiary wyznawca i gorliwy apostoł swojego ludu. Przybyła z nim razem, niemniéj żarliwa o rozszérzenie chrześcijaństwa, a pięknością i wspaniałemi uczuciami jaśniejąca Jadwiga. Pokrewni Jagielle lenni książęta, arcybiskup gnieznieński i biskup krakowski, książęta mazowieccy, wielka liczba panów i księży, nakoniec ochrzczeni w Krakowie Bojarowie litewscy, składali świetny orszak tych dwojga mocarzy, najpiérwszego w ówczas na północy państwa. Ponury był jeszcze, ale zawsze uderzający pięknością położenia, widok ówczesnego Wilna, który się stawił oczom przybywających. Z głębi zielonéj doliny, na ostatniéj z gór, otaczających koryto rzeki Wilny, przy ujściu rzeki Wilii, wznosiła się murowana twierdza, dzieło potężnego Gedémina, trzema basztami i wysokiemi wałami obronna. Od południa

góry zamkowéj, między nią a rzeką Wilną, leżał obszerny dwór Moniwida, jednego z najpierwszych panów litewskich; u stóp zaś jéj rozciągał się nad Wilią dolny zamek, *Kreywym-Grodem* zwany. Najważniejszą jego częścią była święta dolina, *Szwintoroha*, sam klin łąki między Wilią a Wilną zajmująca i starożytnemi dębami porosła, na któréj palił się nieustający ogień *Znicz*, przedmiot najwyższéj czci u Litwinów. Osłaniała go drewniana świątynia, do któréj dotykały mieszkania pogańskich kapłanów. Daléj nieco, na tém samém miejscu, gdzie się teraz kościół katedralny znajduje, stał niekształtny posąg boga piorunów, *Perkuna*, na krzemiennéj podstawie osadzony. W okrąg tego placu, obrządkom dawnéj religii poświęconego, wznosiły się rozległe budowy dolnego zamku, z drzewa po większéj części stawiane, ale wysokiemi wieżami i blankami opatrzone. Dwór książęcy złożony z kilku gmachów, gdzie był także skarbiec i stajnie, najwięcéj miejsca zajmował (1); w rogu zaś obwodu zamkowego, między południem a zachodem, był wysoki dom murowany, czterma wieżyczkami zakończony, który potem Władysław Jagiełło dla biskupów wileńskich na mieszkanie przeznaczył (2). Obok niego stała wieża okrągła, z cegły i kamienia wymurowana, z oknem, z którego kapłani i wieszczkowie ogłaszali swe wyrocznie ludowi (3), a cały obwód Krzywego-Grodu, raz otoczony wielkim i mocnym ostrokołem, potem zaś oblany korytem rzeki Wilny z jednéj strony, a z drugiéj przekopem jéj, od Gedemina jeszcze dokonanym, nie łatwe zapory do zdobycia twierdzy nieprzyjaciołom Litwy wystawiał (4). Z zachodniéj bramy dolnego zamku wychodziła droga przez dwa mosty na rzece Wilnie i na strumieniu Wingier, który obok pierwszéj wpadał do Wilii, zbudowane; i zwracała się ku północy na przewóz na Wilii będący: ztamtąd zaś, rozdzielona podwójnie, prowadziła do Kiernowa, dawnéj litewskiéj stolicy i do zamku Wiłkomierza. Na lewo od przewozu, gdzie teraz jest przedmieście Łukiszki, rościągały się poświęcone różnym bóstwom dęby i sosny odwieczne, tu i owdzie nad Wilią rosnące (5).

»Z Krzywego-Grodu wychodziły dwie jeszcze główne drogi, jedna ku zachodowi do zamku trockiego, przy któréj na piaskach stał kościół niski drewniany i klasztor księży Franciszkanów, dawniéj dwór Gastowda; a druga ku południowi za ruskim monastyrem rozdzielała się na trzy szlaki, do zamków Garteny czyli Grodna, Lidy i Miednik prowadzące. Inny jeszcze gościniec przez rzekę Wilnę, koło młynu publicznego (dziś biskupim zwanego), wychodził z miasta w kierunku Połocka. Trzy już kościoły chrześcijańskie, chociaż poziome i ubogie, rozniecały światło dobroczynnéj wiary wsród bałwochwalców: to jest kościołek Świętego Mikołaja, cerkiew ruska, teraz kościół Bazyliański i kościół Franciszkański, o którym już wspomnieliśmy. Rozwaliny dwóch innych kościołów: Ś. Krzyża i Braci zakonu Kaznodziejskiego, zniszczonych za Olgierda, były tylko pamiątką życzliwych chęci Gedemina dla dobra chrześcijaństwa. Niemniéj jednak liczne były świątynie pogańskie: bo oprócz tych, któreśmy w obwodzie zamków poznali, jakieś miejsce święte znajdowało się na tym wzgórku, gdzie teraz jest kościół Świętego Jana; a na Antolu właśnie, w położeniu teraźniejszego kościoła Świętego Piotra, wznosiła się

(1) Stajnie były obszérne w czworobok zabudowane, z drzewa, na tém właśnie miejscu, gdzie był teraz ogród professora Szpitznagla, między górą zamkową a królewskim młynem.

(2) Taż sama budowa o dwu piętrach, z grubych bardzo murów złożona, obok wieży katedralnéj stojąca, a do roku 1832 przez Konsystorz dyecezalny i księży inwalidów zamieszkana, zbitą została w tymże roku razem z wielą innemi kamienicami, otaczającemi plac katedralny, dla odkrycia stoku nowéj twierdzy.

(3) Dzisiejsza dzwonica katedralna, ma bydź podług kronikarzy litewskich i podań miejscowych, ową wieżą, z któréj Lizdejko i poprzednicy jego, ukazywali się uroczyście poganom wileńskim, dla objawienia im złéj lub pomyślnéj wróżby. Jednakże nie ma na to dowodów oczewistych.

(4) Wilna czyli Wilenka, płynęła dawniéj z pod Łysej-Góry, mimo zamkowéj, przez dawne rochitańskie mury, koło zamkowéj bramy, potem przez mały rynek i okrążając obwód zamkowy, za teraźniejszym kościołem katedralnym, uchodziła do Wilii. Z przeciwnéj strony, od zachodu, przypływał strumień Wingier i również wpadał, obok ujścia Wilny. Teraźniejsze zaś połączenie się Wileńki z Wilią, jest tylko przekopem od Gedémina zrobionym, dla podwyższenia góry zamkowéj i oblania obu twierdz wodą.

(5) Łukiszki, nazwane są od wyrazów litewskich *Łaukas* pole, i *Kiszas* styka się, przytyka; a że *Łukiszki* są nad rzeką Wilią, nazwano więc to miejsce *Łaukay-kiszas-upys*: *pole przytyka do rzeki*, co się późniéj zamieniło na Łukiszki. Strykowski zaś mylnie twierdzi, że po litewsku las, zowie *laukos*, i że ztąd poszło nazwanie Łukiszek.

drewniana świątynia, wszystkim bogom litewskim poświęcona (6).

»Na około zamków rościągnęło się miasto: zbiór drewnianych i po większéj części dymem okopconych domów, niekształtnéj budowy i bez żadnego porządku, przy błotnistych drogach stawianych. Wszystkie te zabudowania, rozdzielone płotami lub parkanami licznych pól i ogrodów, które się między niemi znajdowały, podobne były raczéj do kilku wielkich wsi, otaczających dwa zamki, niż do takich nawet miast, jakie już w czternastym wieku Polskę zdobiły. Nieznane jeszcze były Litwie, długo odosobnionéj od cywilizacyi chrześcijańskiego świata i ciągłemi najazdami Krzyżaków trapionéj, owe gotyckie kamienice, które w obwodzie wysokich wałów, tworzyły proste, choć wązkie ulice Krakowa i Lublina, ani tak wielkie na swój wiek gmachy, jakie były Sukiennice krakowskie, od Kazimierza Wielkiego postawione. W pośród licznéj gromady tych domów, na płaszczyznie nieco wywyższonéj nad dolinę Szwintoroha, rościągał się plac dość obszerny, zabudowany kramami kupieckiemi i obwarowany parkanem przez ostróżność od napadu Krzyżaków. Był to sam środek miasta, tam właśnie, gdzie jest teraz ratusz i kościół S. Kazimierza, i stanowił niejako trzeci gród, po wyższym i dolnym zamku. Żadnych przedmieść dziś znajomych, w tenczas jeszcze nie było; samotne tylko domy ku świętym gajom na Łukiszkach rozsiane, i z drugiéj strony między górnym zamkiem a świątynią antokolską nad Wilią położone, ukazywały się jako pierwsze posady dzisiejszych Łukiszek i Antokola (7).

»Pod taką tedy barwą ukazało się Wilno przybyłym doń wyznawcom wiary Chrystusa. Złożony zaraz walny zjazd z książąt i bojarów litewskich, zwiastował napełnionéj ludem stolicy, wielką i stanowczą zmianę w religii. Wszyscy mieszkańcy Wilna, będący jeszcze poganami, przyjęli chrzest, a po odbytym obrządku, odzież z białego sukna rozdawano ludowi. Zgaszono uroczyście ogień bezustanny, wycięto gaje święte, obalono świątynię Perkuna, i na tém właśnie miejscu, w pośród zamku, zaczęto budować przyszły kościół katedralny na cześć Świętego Stanisława (8). Poświęcił go uroczyście w obecności książąt i panów litewskich i polskich, Bodzanta arcybiskup gnieźnieński, a Królowa Jadwiga drogiemi sprzętami i naczyniami z własnego skarbcu udarowała.«

Lecz z nawróceniem Litwy nie skończyły się jeszcze klęski Wilna, nie nastąpiła dla tego miasta epoka pomyślności i wzrostu. Krzyżacy nie przestawali podniecać niezgód między Jagiełłą i jego braćmi, a mianowicie Witowdem synem Kiejstuta, i kilkakrotnie kraj pustoszyli aż pod mury zamku wileńskiego, a nawet do tego stopnia posunęli niesprawiedliwość i zawziętość swoją, że Litwę świeżo nawróconą udając za kraj pogań-

---

(6) „Była jeszcze wielka sala albo bożnica na Antokolu, wszystkich bogów, których Litwa, zmamiona gusły czartowskiemi chwaliła tam świécę woskową po wieczerzach we Czwartki kapłani zawsze stawiali i palili.“ *Stryjkowski*, rozd. IV kar. 400. Nazwisko *Antokola*, gdybyśmy wywodzili, tak, jak chcą niektórzy, z łacińskiego, pochodziłoby od wyrazów *ante* przed i *Collis* wzgórek: bo jego położenie jest pod górami; ale miejsce, gdzie była świątynia litewska, oddawna musiało bydź także nazwane po litewsku, a nie po łacinie. *Antokol*, nazwany jest albo od wyrazów *ant-to-Kalna*, co znaczy z litewskiego: „*na téj górze*:“ albo od *ant-Pakalnes*, co znaczy „*na dolinie*:“ podług tego, jak ten, który pierwszy nadawał to nazwisko, uważał *Antokol*; bo płynąc Wilią, wydawać się będzie patrzącym, jako leżący na wzniesioném miejscu, stanąwszy na brzegu rzeki, Antokol, widziany będzie na płaszczyznie przy wzgórkach. Wreszcie nazwisko Antokol, nadane zapewne było z początku temu tylko miejscu, na którém świątynia pogańska stała, a nie teraźniejszemu przedmieściu, które już za chrzecijańskich czasów powstało. A że świątynia i budowy do niéj należące, były tam, gdzie dziś stoi kościół Świętego Piotra, to jest na wzgórkach, ztąd właściwie to miejsce starożytni Litwini nazwali: *ant-to-kałuk* na téj górze. *Kołajowicz Hist. Lituan. pars II lib. I p.* 11, mówiąc o Antokolu, pisze: *quem locum vulgari lingua, Antokalnie, id est, antemontanum dicimus*, co właśnie z naszym wywodem się zgadza. Kilka folwarków zwanych *Antokol*, znajduje się w powiecie wileńskim, w parafii pobojskiéj i wszystkie leżą na wzgórkach lub na pochyłościach.

(7) Opisanie to Wilna jak wyglądało za czasów Władysława Jagiełły, nietylko jest oparte na opowiadaniu Stryjkowskiego, Kołajowicza i dalszych kronikarzy, ale i na niektórych podaniach lub wzmiankach, na które natrafiłem w dyplomatach w archiwum kapituły wil. lub w tajném arch. królewiec. znajdujących się.

(8) Kościół katedralny wystawiony jest na cześć Trójcy Świętéj i Przesławnéj Bogarodzicy Panny Maryi, ale szczególniéj dedykowany Świętemu Stanisławowi męczennikowi i biskupowi, oraz Świętemu Władysławowi królowi i wyznawcy.

ski, mnóstwo rycerzy z zachodniej Europy ściągnęli pod swoje sztandary, mniemających w dobréj wierze, że z poganami walczyć będą. Oto jest opis tak pamiętnego oblężenia Wilna.

»W. Mistrz ufny w rozdwojenie potęgi litewskiéj, zaczął się gotować do powtórnéj, ale daleko ważniejszéj wyprawy, któréj celem, nie tylko już było plądrowanie Litwy, ale zdobycie jéj stolicy i osadzenie na niéj Witowda. Gdy w sierpniu wszystkie przygotowania wojenne w Prusiech skończono, przybyli jeszcze ochotnicy z Anglii i Francyi, którzy obyczajem tamtych wieków, szli chętnie walczyć przeciw poganom, gdzie tylko słyszéć mogli. Łatwo zaś w powszechnéj ciemnocie potrafili wmówić cudzoziemcom Krzyżacy, że cała Litwa do tego czasu jeszcze w pogaństwie zostawała. Ruszyło wreszcie to silne wojsko pod naczelném marszałka zakonu Engelharda Rabe; bo wielki mistrz Konrad Zolner, leżał ciężką chorobą złożony. Tysiąc wybornych łuczników angielskich, którzy w porcie gdańskim wylądowali, prowadził Henryk hrabia Derby, starszy syn Jana książęcia Lankastryi, który później pod imieniem Henryka IV, zasiadł na tronie angielskim. Francuzom i różnym innym wojownikom, przywodził waleczny rycerz Boucicaut. Pod Kownem złączył się z niemi, prócz hufców żmudzkich pod Witowdem, także mistrz inflandzki ze swojemi siłami; ale z drugiéj strony Wilii leżał obozem Skirgajłło, pod zamkiem Wissewalde, niedaleko starego Kowna, i z bratem Wiguntem licznemu wojsku dowodząc, zamyślał bronić przeprawy. Ażeby się nie narażać na niepewny los bitwy w otwartém polu, wielki marszałek zakonu z oddziałem wyborowego rycerstwa, przebył puszcze i brody, na północ miasta rościągające się, i nagle napadłszy z tyłu na niedbałego Skirgałłę, wielką mu klęskę zadał. Część jedna zwyciężonych, z samym W. Książęciem zawarła się w zamku Wissewalde, a druga część ustępowała przed zwycięzcami ku Wilnu. Tam jeszcze, między Werkami, a górą Szeszkinią, zaszła druga zacięta walka, ale przemagające siły Krzyżaków, nie dozwoliły wojsku litewskiemu opierać się długo; miasto zaś potrzebowało silnéj i rozległéj obrony. Cała więc załoga zawarła się w murach i parkanach ówczesnych twierdz wileńskich. Nakoniec dnia 4 września roku 1390, wszystkie siły krzyżackie i Witowda razem połączone, stanęły pod Wilnem, ściśle ze wszech stron opasując miasto; gdy tymczasem mnogie statki wpłynęły z Niemna na Wilią, niosły wielkie zapasy żywności i rynsztunek wojenny. Gdy po założeniu kilku obozów na około miasta, sprzymierzeni rzucili mosty na Wilii, przecięto tym sposobem wszelki dowóz żywności dla oblężonych, i gotowano się przez dwa dni do szturmu.

»Dwie silne warownie mieli przed sobą do zdobycia Krzyżacy: górny zamek, wysokiemi murami i basztami obronny i dolny, pod nim rościągający się, gdzie było mieszkanie książęce, Krzywym-Grodem zwane. Do niego przytykał sam środek miasta, nie obszérny, z drewnianych domów złożony, ale mocnemi palisadami i rowami na ten raz warowny. Tu się chronili z przedmieść i odosobnionych domów mieszkańcy i kupcy z towarami, i dla tego zwali go Niemcy *Kramnym-Zamkiem.* W górnéj twierdzy zamknęli się Polacy, pod wodzą Mikołaja Moskorzewskiego, podkanclerzego koronnego; w Krzywym-grodzie zaś i dalszych warowniach miejskich, dowodził nad Litwą Kazimierz xiąże Korygaiłło (Korygiełło), brat rodzony Jagiełły.

»Zaraz sprzymierzeni uderzyli na miasto. Witowd ze Żmudzinami, a obok niego xiąże Derby z angielską piechotą, walczyli z Korygajłłą; Niemcy zaś podzieleni na dwa obozy, Inflantczyków i Prusaków, posunęli się do murów górnego zamku. Wszystkie machiny wojenne ówczesnéj artylleryi i ogniste bombardy, zaczęły działać silnie i bez przestanku. Ale szóstego dnia rano, przypuszczono główny szturm ze wszystkich stron, z największém wytężeniem. Gwałtowny był napad cudzoziemców, lecz niemniéj dzielny przy początku odpór Litwinów; gdy nagle i niepojętym sposobem płomienie wybuchnęły w kilku miejscach dolnych warowni, zapalając drewniane budowle, parkany i zapory. Czy zdradą, czy zręcznie od nieprzyjaciela podłożony ogień, nagle obejmuje Kramny Zamek i resztę Krzywego-Grodu. Żmudzini i Anglicy z jednéj strony od gór, a Francuzi i Niemcy od Wilii, wpadają tłumami do zamków, powstaje okropne zamieszanie, męztwo odbiega najwaleczniejszych, wśród mordów i pożogi, wszystko ginie, i ludzie i domy i majątek. Niedawno poznane działa, straszliwym swym skutkiem, a łucznicy angielscy i odwagą i doświadczoną w bojach zręcznością, największe ciosy zadały Litwie. Natłok przerażonego ludu i gwałtowność wciskającego się zewsząd z zaciętością nieprzyjaciela, odjęły dowódzcom sposób ostatniego ratunku; sam nawet naczelny dowódzca, xiąże Korygajłło, chroniąc się do wyższego zamku, napadniony i niepoznany od nieprzyjaciół, przebity, legł na placu, i długo w niewiadomości

o swym losie wszystkich zostawił. Tak się skończył ten dzień, najokropniejszy dotąd dla stolicy litewskiéj.

»Wśród takich walk i zapasów różnego rodzaju, upłynęło pięć tygodni ciężkiego oblężenia dla załogi broniącej się w wyższym zamku. Tymczasem, obok tak uporczywéj obrony Moskorzewskiego, zimno jesienne zaczęło pomnażać choroby w wojsku krzyżackiém, obozującém pod gołém niebem, i znacznie już osłabionem wielką liczbą zabitych i pojmanych. Proch wyszedł zupełnie, a zbliżająca się zima, groziła przecięciem powrotu do Pruss statkom na Wilii znajdującym się. Prócz tego, Skirgajłło zgromadzał niedobitków, i podjazdową wojną z tyłu, zaczął napastować nieprzyjaciół: czém zmordowani nakoniec, po wysileniu a bezskutecznem oblężeniu zamku, odstąpili go, i opuściwszy Wilno, pustosząc kraj ogniem i mieczem, do Pruss i Inflant powrócili. Strata oblegających niemniéj znaczną była; prócz mnóztwa bowiem pobitego żołnierstwa, legli pod Wilnem: Toćwiłło syn Kiejstuta książe litewski, brat rodzony Witowda, postrzałem zabity i Algard hrabia z Hohensztejnu. Tym to sposobem krwawa polityka Zakonu Krzyżowego uzbrajała Litwinów przeciwko Litwie, a siejąc bez litości niezgody i łupieztwa po nieszczęśliwéj krainie, stale i z uporem dążyła do jéj przywłaszczenia. To nieszczęsne oblężenie, było długo pamiętnym ciosem dla stolicy litewskiéj. Wielka część mieszkańców zginęła w czasie zdobycia niższego zamku, a inni nie mając schronienia ani w mieście, ani w okolicznych zamkach, spustoszonych srogim najazdem Krzyżaków, rozbiegli się po całym kraju. Samo miasto prawie zupełnie zniszczone, Krzywy-Grod, czyli dolny zamek prócz murowanéj części, spalony; górna warownia nakoniec licznemi wyłomami osłabiona; tam tylko niezwalczony Moskorzewski, ocalony wśród powszechnych mordów i rabunku, zdawał się panować nad tą krainą spustoszenia.«

Dopiéro w ówczas, gdy Jagiełło pogodziwszy się z Witowdem oddał mu rządy całéj Litwy, gdy zwycięztwo pod Grünwaldem uskromiło Krzyżaków, a Witowd odparł Tatarów i aż do Czarnego morza rozszerzył władzę swoją, zaczęły się szczęśliwe lata dla Wilna.

Tę epokę w drugiéj księdze opisał autor, zamieścił w niéj najważniejsze czyny Witowda od historyi miasta Wilna nieoddzielne, i na śmierci Witowda skończył pierwszy tom dzieła swego.

DO ŁZY.

przez F.... M....

O ty! z anielskiéj ulana czystosci,
Łzo, kroplo boska, wyciśniona z duszy!
Słodki ulewie wezbranéj rzewności,
Kogóż twój widok nie wzruszy?

Niebo nas twoim pocieszając tworem,
W głębi serc tajne wskazało ci źródło,
I ztamtąd skrytym prowadząc cię torem.
Drogą spojrzenia wywiodło.

Jakże się czystą, jakże piękną rodzisz,
Wdzięcznem kochanki rozjaśniona okiem!
Ach! ty sam uśmiech dobroci przechodzisz,
Piękności twojéj urokiem.

W tobie to każde uczucie przemawia,
Miłość cię, litość, żal i radość leje,
W tobie to prawda serca się wyjawia,
I promień cnoty jaśnieje.

Jak na uwitym z młodych róży wieńcu,
Drży wonna rosa porankiem błyszcząca,
Tak ty na wstydu płonącym rumieńcu,
Lśnisz się i cicha, i drżąca.

Tyś jest ostatnią niewinności bronią,
Ty skrapiasz wszystkie i wieki i stany,
Ciebie bogacze, ciebie nędzni ronią,
Bo któreż serce bez rany?

O! jak w téj ciężkiéj życia nawalnicy,
Słodkiém, cudownem jest twoje przybycie,
Ledwie z wezbranéj wytryśniesz źrenicy,
I zaraz lżejszém jest życie.

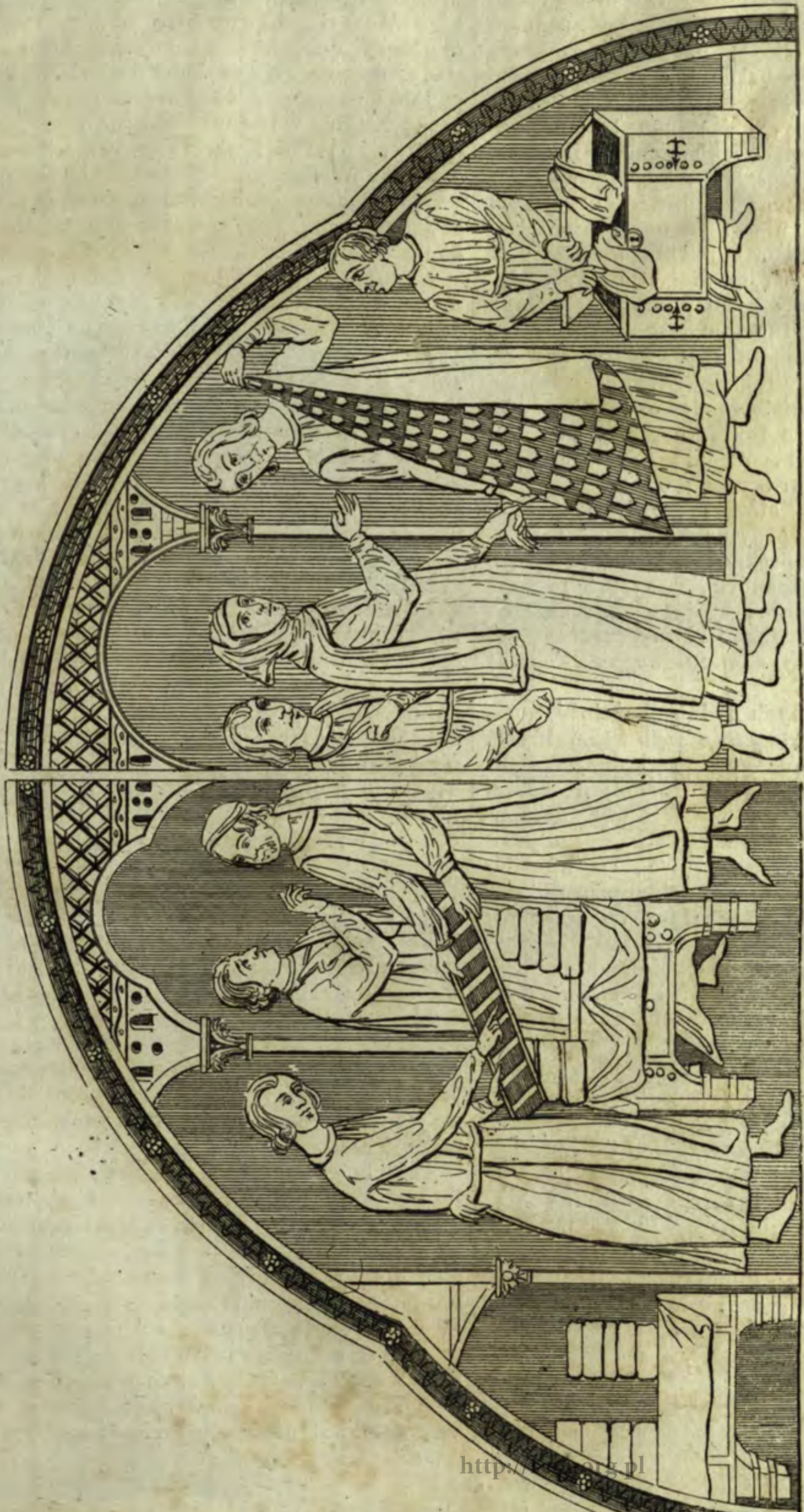
Wraca odwaga, powracają siły,
Boską rozkoszą orzeźwia się dusza,
I do tych ofiar, co tak trudne były,
Zmężniałą cnotę się zmusza.

Piękny, wyłączny człowieka udziale!
Tobie tę cenę same dały nieba,
Ażeby wszystkich win przeważyć szalę,
Jednéj łzy tylko potrzeba.

Bógto! Bóg ciebie w naszą istność wsączył,
On to nas w twojéj słodyczy przenika,
On to tak ścisłym ogniwem cię złączył,
Z każdą dolą śmiertelnika.

Tobą świat wita, z tobą z świata schodzi,
I tobą każdy ślad życia oznacza,
Tobą się z sercem rozdwojoném godzi,
Tobą pociesza, przebacza.

Ciebie on czeka, gdy boleść go tłoczy,
Ciebie z serc wszystkich w zgonie przywoływa,
I wtenczas nawet gdy cię już nie zoczy,
Jeszcze cię na grób przyzywa.



CZĘŚĆ SZYB MALOWANYCH W KOŚCIELE KATEDRALNYM W CHARTRES.

MALOWANIE NA SZKLE.

Piękne sztuki postępują razem z cywilizacyą, nie trzeba zatém szukać w średnich wiekach, téj wielkiéj doskonałości, która jest przymiotem bardziéj wykształconego towarzystwa. Lecz wszystko w nich tchnie młodością i siłą, i dla tego to pomniki religijne średnich wieków zadziwiają nas ogromem i śmiałością, uderzają wyobraźnią i mocniejszém religijném przejmują nas uczuciem, niżeli te naśladownictwa świątyń rzymskich, zupełnie niestosowne przeznaczeniu swojemu. Wnijdźmy wewnątrz którego z tych pomników wieku XIIIgo. Wszystko tam jest nacechowane chrześcijaństwem, te szkła różnobarwne, które pośród pobożnego tłumu odbijają błękitne lub ognisto-czerwone kolory, te długie i wzniosłe łuki, te groby tu i owdzie rozproszone, na których spoczywa wykuty z marmuru posąg opata, z pastorałem i mitrą, albo rycerza w zbroi z psem i sokołem przy nogach jego, ten uroczysty dźwięk organu, te ozdoby wyżłobione na stallach chóru, wszystko to czyni na nas wrażenie, którego daremniebyśmy szukali pod wspaniałym przysionkiem panteonu Agryppy, zamienionego na kościół chrześcijański.

Jedną z głównych ozdób kościołów gotyckich, było malowanie szyb kościelnych. Te wiekami nie uszkodzone kolory, to połączenie błękitnéj, czerwonéj i złotéj barwy, służyło do wystawiania symbolów wiary. Jezus Chrystus na górze Kalwaryi, z skrwawioną głową, w cierniowéj koronie; Święty Piotr idący przez morze; Święty Jan nauczający na puszczy; wyprawa Krzyżowców do Ziemi Świętéj; postaci opatów i założycieli klasztoru, wszystkie te przedmioty jaśnieją na szkle, a żywość ich kolorytu i rozmaitość rysunku zadziwia tegoczesnych artystów. Niekiedy malowano na szkle światowe także przedmioty. Takiém jest malowanie znajdujące się na szybie kościoła katedralnego w Chartres, którego rycinę umieszczamy; wyobraża ono kupca futer i kupca sukien, zajętych swemi interesami.

Sztuka malowania na szkle znana była starożytnym, lecz najbardziéj kwitnęła w średnich wiekach. Później zaniedbaną została, jednakże nie zaginęła zupełnie i wielu artystów żyjących w wieku zeszłym, w niéj się odznaczyło.

OBRAZY OBYCZAJÓW

LA HUERTA WALENCYI.

Dwa dni drogi przez puste płaszczyzny Manszy i piaszczyste góry stanowiące granicę Murcyi, doprowadzą na terrytoryum Walencyi. Postać kraju zaczyna się zmieniać, widać drzewa oliwne i morwowe. W kilka godzin po tém, podróżny przeprawi się przez rzekę Xujar, wówczas zupełną ujrzy przemianę, i jest w Huerta, w tym sławnym ogrodzie Walencyi. Piękna ta okolica ma swoją odrębną cechę; lud nazwał ją *Huerta*, ogrodem, jakoż wyraz ten najlepsze dać może wyobrażenie o téj żyznéj płaszczyźnie. Nie ma tam wspaniałych i rozmaitych widoków, nie ma tam nic wielkiego i uderzającego, lecz wytworna i doskonała uprawa, najusilniejsza praca, użyźniła przestrzeń trzech lub czterech mil kwadratowych. Zdaje się, że każden kawałek roli uprawiają motyką i rydlem. Grunt podzielony na niezliczone mnóstwo cząstek, przedstawia kwatery, na których zboże, warzywa i konopie, rosną z niezrównaną bujnością i plonem. Tu i owdzie postrzegamy nad brzegami rzeki zalane grunta, których niezdrowe wyziewy większą niestety zrządzają szkodę, niżeli ich płody przynieść mają korzyści; są to plantacye ryżu. Pośród zieleniejących się kłosów wznoszą się drzewa morwowe, figi, chléb święto-jański, a nawet i palmy, te zabłąkane dzieci Afryki, które zwiedzione łagodnością klimatu, wzrosły pod tem pięknem niebem. Na południe Walencyi między Alcira i San Felipee, są piękne gaje drzew pomarańczowych i cytrynowych, które mieszając się z kwitnącemi granatami, nadają całéj roślinności jakąś poetyczną i zachwycającą barwę. Wyobraźcie sobie na téj czarownéj ziemi, na pół afrykańską ludność, z obnażonemi nogami po kolana, z czerwoną czapką na głowie i z montyą czyli płaszczem tegoż samego koloru, w któren obwijają się bardzo malowniczym sposobem, a mniemać będziecie, że jesteście w Afryce pośród pokolenia Beduinów, nie zas w Europie o sześćdziesiąt mil od Madrytu.

Huerta właściwa zajmuje przestrzeń trzech kwadratowych mil fr. i ma postać trójkąta, którego podstawą jest morze. — Chociaż i daléj, znajdują się jeszcze, a mianowicie na południe, doskonale uprawne pola, jednakże w Huerta najlepiéj okazuje się bogactwo gruntu i nie spracowany przemysł człowieka. Zwykle trzy i pół razy na rok sprzątają żniwo w Huerta. Skoro tylko zbiór się skończy, zasiewają znowu, a klimat nieznający zimy, sprzyja ro-

ślinności. Przyznać jednakże potrzeba, że natura nie tyle może uczyniła dla Walencyi ile człowiek i sztuka; najszczersza i najusilniejsza praca, najdowcipniejszy przemysł używa wszelkich sposobów dla utrzymania i odnawiania téj płodności, która bez tego byłaby prawie bajeczną.

Arabowie posiadali ten kraj, aż do czasów króla Jana aragońskiego, a nawet po zdobyciu Walencyi składali większą część ludności aż do Filipa II i III; oni to obdarzyli Walencyą systematem skrapiania, utrzymującym się dotąd; przemysł ich potomków i zwycięzców, w niczém go ulepszyć nie zdołał. Systemat ten jest następujący. Wody rzeki Turja, wpadającéj do morza nieco niżéj Walencyi, zatrzymane są groblą o milę od ujścia, a trzy kanały po jednéj stronie, cztéry po drugiéj, rozdzielają te wody na płaszczyznie i użyźniają całą Huerta. Każden główny kanał dzieli się na kilkanaście mniejszych, tak iż najmniejszy zakątek jest skrapiany. Systemat ten bardzo prosty na piérwszy rzut oka, doznał w wykonaniu bardzo wiele trudności. Jedną z nich było zachowanie takiego stopniowania, aby wszystkie grunta bez wyjątku, z kolei używać mogły tego dobrodziejstwa. A że płaszczyzna chociaż dosyć równa, jednakże miała gdzie tu i owdzie małe wywyższenia; musiano zbudować kanalik, i małe wodociągi jedne nad drugiemi, które do kilku prętów gruntu niosą wązki strumyk wody. W inném miejscu napotykasz na zupełnie płaskim gruncie niespodziane wywyższenie; jest to podziemny wodociąg; praca ta jest niepozorna i po większéj części ukryta, lecz z wielką przezornością urządzona. Druga trudność zachodziła w równym podziale wody, ażeby każden mógł ją z kolei posiadać, bo dla wprowadzenia wody w jedne kanały, drugie trzeba osuszyć; po pracy inżyniera, następowała zatém praca administratora i prawodawcy. Także uskuteczniali ją Arabowie; dochowała się bez żadnéj zmiany. Każdy z siedmiu głównych kanałów ma swój dzień w tygodniu, wtenczas bierze on wodę od swoich sąsiadów, dla podniesienia własnéj do potrzebnego punktu; pomniejsze kanały żywiące się u większego, są także otwarte, lecz ponieważ ich liczba jest niezmiernie wielka, i że gdyby wszystkie razem ssały, woda nie doszłaby do potrzebnéj wysokości, każden z nich ma wyznaczoną godzinę. Od ośmiu wieków ustanowione są te drobiazgowe szczegóły, a każden kanalik, każden strumyk ma własną niezmienną godzinę i prawie minutę: gdy ta chwila nadejdzie, jeden z gospodarzy rozkopuje grobelkę, woda przybiera, a w miarę jak napływa do każdego gruntu, właściciele wpuszczają ją tym samym sposobem: a wówczas rola jest zalana i na kilka cali zakryta wodą przez oznaczony przeciąg czasu. Nazajutrz toż samo dzieje się w drugiéj stronie Huerty, a na końcu tygodnia cała okolica skropiona była tą użyźniającą wodą.

Niekiedy zdarza się, że niecierpliwy właściciel uprzedzi naznaczoną godzinę i wpuści wodę z krzywdą sąsiada. Ztąd wynikają procesa, lecz dzięki Bogu i zdrowemu wschodniemu rozsądkowi założycieli, cała procedura nie kosztuje ani arkusza stęplowanego papieru. Co czwartek, przed bramą katedralnego kościoła, trybunał składający się z jednego tylko alkada, odbywa swoje posiedzenia. Kady (gdyż i podług źródłosłowu i podług rzeczywistości, alkad nie jest czém innem), kady słucha zażaleń. Ponieważ nie ma adwokatów, sprawy kończą się od razu. Skarżący, sam zanosi skargę, obwiniony broni się, wyrok jest nieodwołalnym i natychmiast wykonanym. Czyliż to są europejskie czyli wschodnie zwyczaje?

Dzięki wspólnemu działaniu wody i słońca, ziemia w oznaczonych dniach odwilżana bezustannie, rozgrzewa się ciepłem klimatu, a prócz tego, sama z siebie bogata, wydaje przez cały rok bez utrudzenia, jęczmień, ryż, zboże, szafran, warzywa, pomarańcze i cytryny. Oliwa, jedwab i koszenilla składają najzyskowniejszą część zbiorów Walencyi. Hodowanie jedwabników jest znaczne i bardzo cenią jedwab téj okolicy; koszenillę niedawno zaprowadzono, lecz spodziewać się należy, iż w przeciągu lat kilku najświetniejsze rezultata przyniesie. Ta nadzwyczajna żyzność, te trzy lub cztéry zbiory w ciągu roku, zrządzają, że Huerta Walencyi jest najludniejszą okolicą w całéj Europie, liczą bowiem na milę 21,350 mieszkańców. Wyrachowano, że gdyby cała Hiszpania tak była zaludnioną, liczyłaby 300 milionów mieszkańców. Na nieszczęście, natura gruntu stawia niezwyciężoną przeszkodę temu świetnemu marzeniu statystyków.

Na téj żyznéj płaszczyźnie, ciągną się i prawie łączą jedne z drugiemi liczne i piękne wioski, odznaczające się, co jest osobliwością w Hiszpanii, nadzwyczajném ochędóstwem: chcąc coś podobnego w tym rodzaju znaleźć, trzeba szukać wzorów w Hollandyi.

Ludność Huerty jest przemyślna, pilna, święcie przestrzega zwyczajów i urządzeń Arabów co do uprawy roli, i pod tym względem jéj poznanie byłoby niezmiernie zajmującém. Z innego uważana stanowiska, jest plemieniem oczywiście upo-

śledzonem, jest szpetną, nędzną i zepsutą. Może, zastanowiwszy się bliżej, nędza wytłumaczyłaby nam fizyczną i moralną jéj brzydotę, chociaż wiele rozmaitych przyczyn zrządziło ten rezultat. Co do fizycznéj szpetności, ta szczególniéj jest właściwa ludności męzkiéj i niezdrowe klima główniejszym jest jéj powodem. Kraj ten, tak piękny na pierwszy rzut oka, tak zachwycający zielonością i żyznością, jest zatruty wylewem rzek, których wyziewy połączone z wyziewami wilgotnéj ziemi, zrządzają ciężkie febry. Mieszkaniec wsi, *Labrador* (rolnik), ma twarz wynędzniałą, albo przygasłą, fizyonomią ponurą i bez wyrazu. W mieście, kobiety są daleko ładniejsze, oraz w miejcach nie tak wilgotnych, lecz w la Huerta, chociaż przystojniejsze są od mężczyzn, uczuwają jednakże szkodliwy wpływ atmosfery.

Zepsucie obyczajów dochodzi do bardzo wysokiego stopnia. W żadnym kraju Europy może nie zdarza się tyle morderstw co w Walencyi. Zabójstwa, kradzieże, bójki i rany, wynoszą bardzo wielką liczbę, stosunkowo do ludności, i tak w r. 1832 na 700,000 mieszkańców podległych sądownictwu trybunału Walencyi, było zabójstw 210, skaleczeń w skutku kłótni 511, kradzieży 361, a skazanych na śmierć 31, przydajmy do tego 831 występków, których sprawców nieznaleziono, ocenimy w jakiém barbarzyństwie moralném zostaje ta piękna kraina. Oprócz tego, panuje w tym kraju zwyczaj, któren jawną statystykę cudzoziemcowi przedstawia. Gdy kto zostanie zabitym, przybijają na najbliższym murze krzyżyk czarny, z napisem w tych słowach: »Tu umarła nieszczęściem (*aqui murio de disgracia*) taka osoba, tego dnia tego roku.« Otóż chcąc dać wyobrażenie o liczbie takich napisów, powiem tylko, że na jednéj z najludniejszych ulic Walencyi, naliczyłem jedenaście krzyżyków położonych na pamiątkę zabójstwa. Jeśli więc mieszkańców Walencyi w ogólności mają za wiarołomnych i nikczemnych, przyznać trzeba, że dosyć na to zasługują.

Zresztą, nie trzeba dziwić się takiemu ich poniżeniu. *Labrador* zajęty od rana do wieczora uprawą roli, żyje jak bydlę; używa tych samych sposobów, jakich się nauczył od przodków, lecz nic w niém nie obudza moralnego i towarzyskiego życia; jest to doskonałe narzędzie do pracy, lecz zaledwie że jest człowiekiem; zbogaca ziemię własnym kosztem, że tak rzekę; nadzwyczajna żyzność gruntu zaledwie wystarcza do wyżywienia niezmiernéj ludności; pozorne bogactwo rozdzielone między taką liczbę, staje się niczém i tylko przez gwałtowną pracę Labrador unika nędzy ciągle na niego naciskającéj; ztąd pochodzi dzikość jego obyczajów. Tak więc choroby, nadmiar ludności, zbytek pracy, są najważniejszemi przyczynami nędzy i zepsucia tych ludzi. A że jedna plaga drugą zradza, z tych dwóch nieszczęść wynika trzecie. Właściciele gruntów żyją zawsze w Walencyi albo w Madrycie; tam wydają swoje dochody; tak więc pieniądze ciągle wychodzą z tego niewyczerpanego kraju, lecz nigdy nie wracają do niego. Smutna to jest rzecz, lecz trudno ją zmienić; któż bowiem chciałby mieszkać pośród ludzi ciemnych, dzikich i zawsze skłonnych do rozbojów?

SZTUKA DRUKARSKA.

(Dokończenie).

Meermann przytacza wielu jeszcze świadków na poparcie tego faktu, że Jan czeladnik Kostera skradł jego wynalazek i z nim uszedł do Niemiec, lecz prawie wszyscy inni bibliografowie nie zgadzają się z Meermanem.

Podług Juniusza, kradzież ta nastąpiła w nocy w Boże Narodzenie, w ten czas gdy wszyscy byli w kościele, a złodziéj uciekł ze sprzętami drukarskiemi, najprzód do Amszterdamu, potem do Kolonii, nareszcie do Moguncyi, do swojego ojczystego miasta, a tam będąc zupełnie bezpiecznym, wydrukował literami i sprzętami Kostera, w przeciągu roku, książkę *Alexandri Galli doctrinale*, grammatykę będącą w powszechnym użytku, oraz *Petri Hispanii Tractatus*. Stronnicy Guttemberga uważają to podanie za bajkę, zapytują się jakim sposobem można było wykraśdź w nocy całą drukarnię i to gdy bramy były zamknięte, a nikt nie spał w mieście. — Meerman odpowiada na to, że Jan nie potrzebował kraśdź wszystkich narzędzi, ale tylko niektóre i po kilka liter na wzór, co mógł łatwo uskutecznić.

Pisarze którzy trzymają stronę Niemców, zgadzają się, że w tejże samej epoce około r. 1438 Jakób Mentel wynalazł sztukę drukarską w Strasburgu, gdzie znajdował się także Guttemberg z Moguncyi, że połączyli swoje usiłowania, że za powrotem do Moguncyi około r. 1444 Guttemberg pracował przez kilka lat nad wydoskonaleniem téj sztuki, z Janem *Gensfleisch* starszym,. także ubogim jak on, że nareszcie zawarł spółkę około r. 1449 z Fustem złotnikiem z Moguncyi, czło-

wiekiem przemyślnym i zręcznym (1). Tego faktu nikt nie zaprzecza; badacze nie zgadzają się tylko co do początku wynalazku: od tej epoki historya drukarń już jest jasną i pewną.

Fust pragnąc podzielać chwałę z wydoskonalenia téj sztuki, połączył się z Guttembergiem, i skoro tylko poznał tajemnicę, dopomógł mu swoim majątkiem i gorliwością.

Obydwa czynili nowe usiłowania, i po licznych próbach, między któremi bibliografowie przytaczają kilka książek elementarnych, jako to: *Alphabet vocabularius*, *Donatus minor*, *Grammatica Alexandri Galii*, zdołali zastąpić literami rzniętemi z kruszcu, litery ruchome drewniane: i to uczeni nazywają drugą epoką drukarstwa.

Niezmierna cena książek zmniejszała się nieznacznie na widok tych, które były dziełem wynalazców (2).

Lecz przeciąg czasu i niezmierna praca podejmowana około rznięcia liter na miedzi, ołowiu lub cynie, wielkie koszta które ten sposób pociągał za sobą, intrygi wzbudzone przez przepisywaczy książek, zagrożonych upadkiem swego rzemiosła, zniechęciły Fusta i Guttemberga, a jednakże czyliż mogli wyrzec się owocu tylu prac i kosztów? Dla artystów godnych tego nazwiska, trudności i przeszkody są tylko bodźcem geniuszu, znikają obok pracowitej wytrwałości i szlachetnej żądzy chwały. Surowy dyament był w ręku Guttemberga, czyliż go mieli porzucić bez wygładzenia, czyliż mieli zaniechać doskonalenia sztuki, która im tak świetne wskazywała widoki i tak zaszczytną nagrodę?

Podwoili usiłowania; nowe próby ocuciły ich odwagę: rylec wydoskonalił kształt liter, pilnik dał im potrzebną wysokość i objętość, i już się zdawało, że odkryto całą tajemnicę.

Biblia łacińska, zwana z roku 1450, była pierwszém dziełem znaczącém, która wyszła z prac téj szlachetnej spółki: tak przynajmniéj zgodnie twierdzą bibliografowie; nie ma bowiem na téj biblii ani miejsca druku, ani nazwiska drukarza. Łatwo można zrozumieć powód téj tajemnicy, zwracając uwagę na to, iż ta pierwsza drukowana książka, zupełnie była podobna do pisanych i że początkowe exemplarze przedawano jako rękopisma.

Biblia ta jest in folio, liczy 640 kart, drukowana jest w dwóch kolumnach, drukiem wielkości teraźniejszego mittlu. Exemplarz jéj drukowany na welinie, znajduje się w królewskiéj bibliotece w Paryżu, są także w bibliotece berlińskiéj, hanowerskiéj i lipskiéj. Łatwo można poznać to najdawniejsze wydanie, z kształtu liter, ze skróceń i z punktuacyi. (3)

Podejście to, w którém nic złego nie było, stało się jednakże powodem ważnego zdarzenia.

Ci, którzy za znaczną kwotę kupili rękopisma Biblii, oraz przepisywacze, którzy bardzo drogo kazali sobie płacić, widząc tak wielką zgodność między drukowanemi exemplarzami, a temi które były dziełem ich pracy, roznieśli wieść, iż w tém jest jakaś czarnoksięzka sztuka. Fust, zaskarżony o porozumiewanie się ze złym duchem, uciekać musiał z Moguncyi, lecz

---

(1) Jakób Mentel doktor medycyny w Paryżu, zmarły w 1671, przypisuje temu Mentlowi swemu przodkowi, w dziele *de vera Tipographiae origine*, wynalezienie sztuki drukarskiéj, lecz niczém nie popiera tego twierdzenia. Jednakże to zdanie ma jakikolwiek pozór za sobą, gdyż dowiedzioną jest rzeczą, że Guttemberg pracował w Strasburgu z Mentlem Henryk (Jan) Gensfleis h, de Sulgeloch, Sorgenloch, zwany Guttemberger, Gudenburch, Gudinberg, Guttemberg, urodził się w Moguncyi między 1398 i 1400 r., zaburzenia zdarzone w 1420, zniewoliły go do opuszczenia tego miasta; udał się do Strasburga i tam żył aż do r. 1444. Prawie wszyscy pisarze mniemali, że Guttemberg i Gensfleisch znaczą też samą osobę. Meerman dowodzi, że to były dwie oddzielne osoby. Przydaje oprócz tego, że byli rodzonemi braćmi.

(2) Przed wynalezieniem sztuki drukarskiéj, książki były bardzo drogie; uważano je jak własność nieruchomą, zapisywano testamentem, zamieniano je na wioski. Rękopism Liwiusza przedany był za 120 talarów złotych, a Plutarcha za 70. Cesarz Frederyk II uczynił kosztowny podarunek posłowi księcia wirtembergskiego, dając mu Biblią hebrajską.

Jeszcze we dwanaście lat po wynalezieniu sztuki drukarskiéj, w 1462, Ludwik XI pożyczając z Fakultetu medycyny w Paryżu *Dzieła Rhazesa* lekarza arabskiego, nietylko dał w zastaw znaczną ilość sreber stołowych, ale musiał stawić kaucyą i urzędowym aktem zobowiązać się, iż odda książkę w oznaczonym czasie.

A jednakże były na początku XV wieku dość liczne biblioteki. Przy zgonie Karola VI w 1422 użyto trzech księgarzy dla spisania biblioteki tego monarchy: liczyła 853 woluminów po większéj części pisanych na welinie. W epoce wynalezienia sztuki drukarskiéj, liczono 10,000 przepisywaczy, w samym tylko Paryżu i Orleanie.

(3) W jednym z następnych zeszytów Muzeum, będzie facsimile biblii Guttemberga.

po dokładniejszém wyjaśnieniu rzeczy, uznano go za niewinnego.

Sztuka drukarska oczekiwała nowego mistrza: wprawdzie była już stworzoną, lecz bardzo słabo postępowała, a nowa metoda wymagała nowego udoskonalenia.

Młody służący Fusta, oddawna śledził tajemnie roboty swego pana i Guttemberga; z żywym i przedsiebierćzym umysłem, wywyższał się myślą nad los i stan swój; posiadał zamiast prostéj ciekawości tę żądzę nauki, tę niezmordowaną uwagę, która tylko jest udziałem wielkich ludzi i piętnem prawdziwego talentu. Szeffer, postrzegł, że jego panowie odstręczeni bezskutecznością tylu usiłowań, chcą zaniechać tego przedsiewzięcia; dusza jego już dościga tajemnicę, którą chce przeniknąć dla tego, iż mówią że jest nieodgadnioną. Jak Newton w dziecińswie kreślił linije i koła, nie znając jeszcze matematyki; jak dobry niezrównany Lafonten poznał że jest poetą czytając przypadkiem odę Malherba, jak Korredżjo zawołał, ujrzawszy obraz Rafaela, i ja także jestem malarzem, jak nareszcie sławny Vaucanson, uważając ruch zegaru odgadnął jego budowę i mechanizm: tak przenikliwe oko Szefera dostrzegło wszystko co przed nim ukryć chciano. Niecierpliwy, nie może długo w próżném zostawać oczekiwaniu; puszcza wodze wyobraźni swojéj, usiłuje, probuje, przywodzi do skutku swój zamiar, a drukarstwo stanęło na stopniu zupełnéj sztuki. Szeffer wziął kawałki czystéj stali i na nich wyrył litery; temi stęplami wybijał matryce na miększym kruszcu, matryce te zdołał osadzić w środku formy i odlewał litery z mieszaniny cyny i miedzi. Sposób ten z małemi tylko może ulepszeniami, do dziś dnia jest używany.

Szeffer więc był piérwszym, któren używać zaczął odlewanych liter, które nieskończenie aż do ich zużycia składać i rozbierać można. Przydają, że Szeffer wynalazł także farbę drukarską, a Fust ucieszony tém odkryciem, dał mu swoją córkę za żonę i udział w przedsiewzięciu.

Spółka między Guttembergiem i Fustem, trwała tylko lat 5, zerwała się w 1455, Guttemberg przegrał sprawę przeciw Fustowi i musiał mu oddać cały zakład drukarni. Nie ma zgody względem dalszego powodzenia Guttemberga. Pisarze niemieccy utrzymują, że za pomocą ławnika moguńckiego Konrada Hummer, nową prassę założył, i w 1466 został uszlachcony przez księcia Adolfa de Nassau, umarł w 1468. Inni utrzymują, że udał się do Hollandyi i w parę lat do Moguncyi powrócił.

Zdobycie i rabunek Moguncyi w 1462 r. przez Adolfa de Nassau rozproszyło drukarzy moguńckich. Fust miał udać się do Paryża. Szeffer pozostał w Moguncyi i umarł tam w r. 1491. Już w 1470 założona została drukarnia w Paryżu. Wynalazek ten prędko upowszechnił się po wszystkich oświeconych krajach Europy i prędko wydoskonalony został. Nazwiska Manucych, Elzewirów, Etienów, sławne są w historyi drukarń i w bibliografii.

Najdawniejsza drukarnia polska podług podań uczonego Jerzego Samuela Bandtkie, założona była około roku 1491 przez Swiętopełka Fiola. Są ślady, że około r. 1465 drukowano w Krakowie *Explanatio in Psalterium*, lecz nie ma na to pewnych dowodów. Szczegółowe uczone badania w tym przedmiocie, znajdują się w dziełach J. S. Bandtkie, Historya drukarń krakowskich i Historya drukarń w Krolestwie Polskiém, gdzie także pisząc o początku sztuki drukarskiéj, całą chwałę Guttembergowi przyznaje, a pretensye Holendrów zbija i podania o Janie Koster za bajeczne uważa.

Przy końcu wieku zeszłego i na początku bieżącego, sztuka drukarska nowe postępy uczyniła za staraniem Bodonich i Didotów. Za wydoskonaleniem mechaniki wydoskonalono prassy drukarskie, zrobiono prassy mechaniczne siłą pary obracane, na których w przeciągu dwóch godzin wydrukować można kilka tysięcy exemplarzy arkuszy bardzo wielkiego formatu. Wynalazek stereotypów czyli nieruchomych tablic do odbijania dzieł wiecznotrwałą wziętość mających, z początku bardzo kosztowny, został teraz daleko tańszym, przez odlewanie na formach gipsowych. A w ostatnich latach odnowiony i wydoskonalony wynalazek drzeworytów, jest najwyższym (jak na teraz) szczeblem sztuki drukarskiéj. Odciskanie to, doszło do tego stopnia doskonałości, że zwyczajnemu sztychowi w delikatności i czystości nie ustępuje.

Zakończymy zarys ten, uwagą, że jak początkiem sztuki drukarskiéj były figury na drzewie rznięte i xilograficzne drewniane tablice, tak jéj ostatniém udoskonaleniem, są właśnie drzeworyty i tablice stereotypów.

OBYCZAJE DAWNYCH NIEMCÓW.

Prawo gościnności. — Ten dawny wieków obyczaj w wielkiém był u dawnych Niemców poszanowaniu. Odepchnięcie spokojnego wędrowca, który stanął w progu ich domostwa,

poczytywał każdy za istotną zbrodnię. Skoro się obcy przybliżał, wychodzili naprzeciwko niego i zapraszali aby odpoczął, zasiadł u wspólnego stołu i przespał się pod gościnnym dachem. Byłoby to hańbą pytać się go wprzódy, zkąd idzie i dokąd. Dopóki też bawił w tym domu do którego przyjętym został, używał wszelkich praw gościnności i nikt pod ciężką karą nie poważył się go obrazić; chociażby nawet był zbiegiem, na którymby zbrodnia jaka ciążyła.

Gospodarz domu winien go był bronić z narażeniem nawet własnego życia. Odpowiedzialnym był za wszelką obrazę, jakiejby mógł doznać obcy, równie za błędy, jakichby się tenże podczas swojego schronienia dopuścił. Rozstając się z nim, dawano mu jaki zakład przyjaźni, on też nawzajem, jeżeli mógł, podobny ofiarować był winien.

Zarzucone później zostały wyobrażenia gościnności, z innemi dobremi zwyczajami, i trzeba je było obwarować prawem. Wtedy obowiązkiem było zatrzymać u siebie przychodnia przez trzy dni przynajmniej. Na gościńcach nie godziło się podróżnemu ubliżyć, a za podobne uchybienie trzeba było dwa razy większą grzywnę zapłacić niż za obelgę krajowcowi wyrządzoną.

Jeżeli zbieg dopraszał się przytułku u cudzoziemców, uważanoby za największą hańbę wydać go w ręce ścigających; i u Niemców niesłychaną było rzeczą, aby coś podobnego zaszło. Zdarzyło się jednym razem, że pewien Lombardczyk szukał przytułku u Gepidów. Jego ziomkowie domagali się wydania, z najstraszniejszemi groźbami, a jako mocniejsi, byli w stanie ich dotrzymać; jednakże Gepidowie na zgromadzeniu oświadczyli, iż raczej zginą wszyscy, niż dopuszczą się zgwałcenia ustaw gościnności. Królowa norwegska schroniła się raz do Szwecyi; odezwano się o nią, sam król szwedzki wysłał dla ujęcia jéj swoich żołnierzy; lecz wieśniak który jéj swoje otworzył mieszkanie, bronił jéj mężnie, póki w bezpiecznem nie znalazła się miejscu.

Taka gościnność wzajemnie z każdéj zachowywana strony, najpiękniejszém była społeczeństwą węzłem. Tym to sposobem kojarzyła się znajomość i przywiązanie; tym sposobem zawiązywały się małżeństwa i długotrwała przyjaźń; tym sposobem wiedziano co się w obcych krajach dzieje: podróżni bowiem przechodząc z kraju do kraju, roznosili wieści o ważnych wypadkach i wielkie opowiadali czyny.

Zwyczaje.— Zaszczytną to było dla Germanów rzeczą, licznem otaczać się potomstwem. Na bezżennych spoglądano okiem pogardy, a dzięki fizycznym mężczyzn siłom i wstrzemięźliwemu ich życiu, silne i zdrowe dzieci bywały zawsze owocem małżeństwa. Lecz jeżeli się jakie zjawiło słabe lub niekształtne, wówczas je zabijano: bo Germanowie przekładali śmierć nad życie nie mogące się rozwijać. Skoro dziecię na świat przyszło, zanurzano je w wodzie a wychowanie onego było mezkie i surowe. Zaraz za młodu wprawiano je do ćwiczeń ciała i robienia bronią; myśliwstwo piérwszą było dla młodego szkołą, a gdy już wzmógł się na siłach, szedł za wojskiem.

Ubodzy chodzili około roli i chowu bydła. Ale najczęściéj zatrudnienie to poruczano niewolnikom. Zgromadzenia gminne i sprawy publiczne wiele zabierały czasu; resztę poświęcano wojnie, a w pokoju myśliwstwu. Znużeni mężczyzni oddawali się grze, pijatyce, śpiewom, prawieniu powieści, lub też rozlegali się na niedźwiedzich skórach. Gra, a zwłaszcza w kostki, była u nich jedną z górujących namiętności; stawiali w niéj niekiedy na los cały majątek, a czasem nawet swą wolność. W téj rozrywce, równie jak w pijatyce żadnéj nie przestrzegali miary. Już w najdawniejszych czasach Niemcy wsławili się w oczach innych ludów z pijaństwa i mówiono o nich, iż woleliby raczéj z życiem niż z beczką się pożegnać. We wszelkich ważniejszych okolicznościach, w czasie uroczystości lub zgromadzeń gminnych, przed bitwą i po bitwie, pić trzeba było. Libacya ku czci bogów, uważana była zawsze za niezbędną, i nie mogli godnie uczcić pamięci naddziadów jak pijąc w ich imieniu. Z pełnym wina puharem zabierano przyjaźń, z nim wszelkie ułatwiano czynności. Były tam pozawiązywane towarzystwa, których wyłącznym celem było, pić co się zowie; a towarzystwa te, miały swoje ustawy, przepisy, i większa część ich zwyczajów przekazaną nam w puściznie została.

Naczelny domu zarząd do gospodyni należał; ona rozkazywała kobietom, niewolnikom i dzieciom; do niéj należało pamiętać o dobrym porządku, schludności około siebie, toż w piwnicy, szpichlerzu i przy stole; ona musiała myśleć o odzieży i o potrzebnych zasobach. Ona także sprawowała obowiązki lekarza, przyrządzała na rany z zbawiennych roślin soki. Była nareszcie *sybillą* domu i w ważnych wypadkach miała szczególniejsze znaki do wybadania woli bogów.

Cokolwiek tylko robili Germanie, robili wszystko dla siebie i teraźniejszość mie-

li jedynie na względzie; lecz wielką przywiązywali wagę do wyboru broni i odzieży. Najsławniejsi bohatyrowie sami sobie kuli zbroje; najznakomitsze niewiasty robiły sobie odzież, i zdaje się, iż dwa te pracy rodzaje do wysokiego doszły doskonałości stopnia. W odległym bardzo czasu okresie, mieli już świetną broń, tarcze, pancerze, naczynia do picia i inne sprzęty, różnemi przybrane kolory i bogato wyrobione. Z równą troskliwością budowano statki. Przód okrętu był pospolicie w kształcie smoka zrobiony, a tył onego rzeźbą i złotem ozdobny. Dawały się nawet widzieć statki z purpurowemi żaglami. Ale zbytek ów służył jedynie ku zaspokojeniu chwilowéj próżności i wspaniałych budowli, wiecznotrwałych pomników, świątyń i pałaców, nigdzie nie było.

Dawni Niemcy o tyle tylko cenili życie, o ile mogli go używać w całéj pełności, rozwijając w niem działalność i energię. Tak więc nietylko słabe zabijali dzieci, ale też starców i wszystkich chorych, dla których znikła uzdrowienia nadzieja. Zwykle wiekiem lub cierpieniem skołatani przebjali się sami, lub czynność tę na krewnych zdawali. W Norwegii była skała, z któréj starcy w morze się rzucali. Jeśli dwoje małżonków chciało sobie śmierć zadać, około nich cała zbierała się rodzina, obejmowała spadek, słuchała ich rad i ostatnich przełożeń, a następnie dzieci, kobiéty, przyjaciele i niewolnicy postępowali za niemi, chcąc się ich zgonowi przypatrzyć.

Kobiéty. Wierność w małżeństwie, poufałość w domowém pożyciu i uczucie godności w kobiétach, najwięcéj w Niemcach obce uwielbiały ludy i prawdę mówiąc, temi szlachetnemi przymiotami żaden naród dawnych nie przewyższył Niemców.

Aż do wejścia w śluby małżeńskie, dziewice zostawały pod opieką ojca. Córki bogatych rodziców, mieszkały w osobnych domach, które przez ostróżność zamykano, a częstokroć w warownię niejako zamieniano, aby ich porwaniu zapobiedz. Wychowanie ich bardzo było surowe, zbyt późno je za dojrzałe uważano, i nie szły nigdy za mąż przed rokiem życia dwudziestym. Wielka ich część do tego stopnia posuwała wstydliwość, iż unikały widoku mężczyzny; a gdy ubiegano się o ich rękę, uciekały wtedy, by życie obyczajem Amazonek pędzić. Głośna sława z męztwa i długiéj wierności, jedynemi były środkami do otrzymania za żonę ukochanéj osoby, a to powlekało miłość dziwnym urokiem i niejaką barwą miłośnych przygód. Zobopólna jedynie skłonność kojarzyła stadła. Żona żadnego nie wnosiła posagu. Odwagę przedewszystkiem ceniły kobiéty; jéj to naprzód starały się upatrywać w mężczyźnie, a jeżeli dwóch o jéj rękę dobijało się współzawodników, wtedy rozstrzygała odwaga. Występowali oni do pojedynku, a dziewica do zwycięzcy należała. Odbierał ją wtedy z rąk ojca lub opiekuna; lecz niekiedy wzbraniała się pójść za mąż, a w ówczas kochanek porywał ją gwałtem. Był to występek, za który ściągał na siebie karę niewoli, w razie, gdyby go uciekającego zatrzymano. Niekiedy ojciec, brat, lub opiekun panny, odmawiał zezwolenia na małżeństwo; wtedy kochanek mógł go wyzwać na pojedynek. Ztąd ciągłe niesnaski, ustawiczne wojny. Lecz piękny to był u Germanów zwyczaj, iż prawie zawsze zwycięzca córkę zwyciężonego pojmował za żonę.

Kiedy nikt się nie sprzeciwiał połączeniu dwóch osób, zaręczyny odbywały się w obecności dwóch rodzin. Pan młody rodzicom przyszłéj swéj małżonki dawał pewną kwotę, płacąc niby za opiekę nad nią, oblubieńcy zamieniali między sobą pierścienie i pocałunkiem obrzęd kończyli. Wtedy już związek ich równie był nierozerwanym jak sam związek ślubny. Po zaręczynach, narzeczony, do rąk rodziców swéj oblubienicy oddawał jeszcze posag dla zapewnienia jéj utrzymania, w przypadku gdyby wdową została. Następnie weselne gody uroczyście obchodzono i znaczną liczbę osób zapraszano na nie. Wszelkie potajemne śluby były zabronione. Panny chodziły zawsze z gołą głową i długie nosiły włosy, lecz je po ślubie nakrywały czépkiem. To rozróżnienie ściśle było zachowane i utrzymywało się prawie aż do naszych czasów. Nazajutrz po ślubie, mąż składał swéj żonie podarek i to nazywano *rannym upominkiem* (morgen gabe); co stawało się jéj własnością, którą przy śmierci oddawała krewnym. Rodzina męża nie mogła się temu opierać; w razie zaś gdyby chciała to uczynić, żona przysięgała kładąc palec na piersiach, iż to jest jéj ranny upominek, a sędziowie na jéj rozstrzygali stronę. Żona, jakeśmy to powiedzieli, nie wnosiła mężowi żadnego posagu; lecz zwyczaj ten zaginął późniéj, a posag wnoszony przez żonę zwał się groszem ojcowskim, ojcowskiém gospodarstwem. W dawnych czasach, kiedy nieznano jeszcze monety, podarunki składały się z broni, sprzętów, odzieży, bydła, a niekiedy i roli. Związki małżeńskie nie powinny były zachodzić między osobami różnego stanu, inaczéj z wyższego do niższego przechodzono stanu.



RATUSZ MIASTA GDAŃSKA.

GDAŃSK I JEGO OKOLICE.

(*Wyjątek z opisu podróży*).

Gdańsk sławne w dziejach miasto, port jego i brzegi morza, były zawsze przedmiotem mojéj ciekawości: dogodziłem jéj w tym roku. Czas piękny, okolice nowe którędy jechałem, i miłe towarzystwo kilku osób, uprzyjemniło tę podróż dla rozrywki jedynie przedsięwziętą.

Przebywszy małe miasteczko *Złoczów*; za piasczystemi lasami ujrzeliśmy rozległe i bujném zbożem okryte równiny, które prowadzą do *Warty*. Miastu temu dała nazwisko rzeka przy niém płynąca.

Nad nieprzejrzanym łęgiem przy rzece, jechaliśmy z Warty, a drugi brzeg wyniosły okrywają porządne wioski. Nasz odpoczynek był w *Miłkowicach*.

Za Miłkowicami skończyła się okolica wesoła. Posępny i korzenisty las prowadzący do *Dobry*, strudził nas niesłychanie, a ulewny dészcz z grzmotami i łyskawicą, dokuczył nie mogącym pośpieszyć. Tak zmokli i znudzeni, ledwieśmy dojechali do Dobry. To miasteczko błotniste sami prawie Żydzi zamieszkali.

W pochmurny wieczór i w myślach pogrążeni, przebyliśmy zwolna piaski koło Dobry, a za gęstym znowu i długim borem, pokazał się *Brudzew*.

Za Brudzewem o milę leży *Koło*, jedno z miast znaczniejszych, mające wysoki ratusz, dwa okazałe kościoły i porządne nowe budowy. Oblewa je Warta, na któréj stoi most wygodny i piękny. Szerokie koryto téj rzéki, już jest spławne w tém miejscu.

Na boku miasta widać rozwaliny starego jakiegoś gmachu. Zapytany odemnie mieszkaniec tameczny, tyle mi tylko powiedział: że to jest dawny bardzo zamek, i że w nim są wielkie skarby, ale ich dostać nie można.

Od *Brdowa* poczynają się Kujawy, ta sławna kraina jeziorami oblana, którą dla wdzięcznych okolic i urodzajnéj ziemi, Egiptem polskim nazywano.

Droga prosta prowadziła nas do *Torunia*, ale dla widzenia starożytnéj *Kruświcy*, z ochotą zboczyliśmy z drogi. Wprzód jeszcze widzieliśmy roskoszne i okiem nieprzejrzane równiny *Radziejowa*, którego kościoły na wzgórku wiatrakami okrytym, okazały czynią widok z daleka. Ale mylą pozory. Wjechawszy do niego, małe jest i nieludne. Zaraz za Radziejowem w otwartych płaszczyznach, ujrzeliśmy dawną basztę kruszwickiego zamku. Miasto ledwie z kilkudziesięciu nędznych domów złożone, nie ma najmniejszego nawet śladu znaczenia, jakiém niegdyś słynęło w pół-bajecznéj epoce historyi naszéj. Jezioro Gopło sławne powieściami Kadłubka, mocniéj nas zajęło.

Ciągnie się to jezioro na milę, długą doliną, użyzniając przyległe pola i zdobiąc nad brzegiem swoim rozrzucone wioski. Z uszanowaniem chodziliśmy po gruzach, gdzie niegdyś na wyspie Gopła stał zamek. Kościół kruświcki pociąga do siebie gotycką budową. Wewnątrz ciemny jest i ponury, mnóstwo zatartych napisów znajduje się na ścianach.

Nasyciwszy ciekawość, nie bez wzruszenia rozstaliśmy się z Kruświcą, a minąwszy *Inowrocław*, w którym znać ślady kwitnącego kiedyś miasta, długim borem i uprzykrzoną drogą brnąc cały dzień w piasku, gdyśmy się z góry spuszczali, nagle dała nam się widzieć w dolinie leżąca *Bydgoszcz*; chcąc i sobie odpocząć i zwiedzić to piękne miasto, dłużéjśmy się w niém zatrzymali.

Miasto opasane murem, było niegdyś obronném. Czas nachylił je do upadku, ale ręką Fryderyka dźwignięte, stało się zamożném i bogatém. Z niezmierną pracą bito kanały do spławnéj rzeki *Noteci*, a kosztowne śluzy, przez sztukę zastępując naturę, ułatwiły handel. Z podziwieniem i rozkoszą oglądaliśmy to godne wielkiego króla dzieło. Ciosowym kamieniem utwierdzone są brzegi głębokiego kanału, a woda trzymana żelaznemi zapory, gdy za ich otwarciem nagle się podniesie, ładowne statki płyną z łatwością. Ztąd miasto zrobiło się składem różnych rękodzieł i towarów, powstały magazyny, gmachy fabryczne, rzemieślników domy, i dziś kwitnący stan jego, winien wdzięczność dzielnéj opiece rządowéj. Ma to miasto kilka starożytnych kościołów, ulice porządne i jasne, przedmieścia drzewami zasadzone.

Obszedłszy w około miasto, wieczór przepędziliśmy w publicznym ogrodzie. Tam przy świetle i muzyce, bawili się w święto pracowici mieszkańcy. Ich szczególna kołyska, gry i tańce, były dla nas miłą rozrywką. Skoczna muzyka brzmiała nam w głowie przez całą drogę.

Ale podróż z Bydgoszczy do Gdańska była dla nas nieznośna. Trudno sobie wystawić smutniejszego kraju; porównany z Kujawami, zdawał się pustynią.

Taki był uprzykrzony przeciąg mil dwunastu. Za *Sztargardem* dopiéro, małém ale nowo zbudowaném miasteczkiem, zmieniła się trochę, nieprzyjemna postać. Obaczyliśmy przecie urodzajne niwy i wesel-

sze okolice, mało jednak na nie daliśmy uwagi, wyglądając z utęsknieniem celu podróży naszéj. Ciekawość podwoiła niecierpliwe chęci, i wygładziła na moment z pamięci, niesmaki, bezdróż i trudy, jakicheśmy niedawno doznali.

Nagle, pomiędzy górami zabłysły nam wieże Gdańska.

Co za pożądany widok! Skryły się one, i znowu pokazały, aż nareszcie zbliżyliśmy się do pierwszych okopów. miasta. Dwa długie przedmieścia ciągną się z tego przyjazdu. Z jednéj strony płynie wydobyta z gór rzeka *Radann*, któréj brzeg wałem sypany i cienistém drzewem jest obsadzony; z drugiéj stoją ozdobne domy z ogrodami. Przejechaliśmy potem zwodzone mosty i sklepione bramy. *Gdańsk*, wyniosłym wałem, murami i fosą opasany, jest twierdzą warowną.

Piérwszy rzut oka, zrobił nam najpochlebniejsze o piękności miasta wyobrażenie. Brama wysoka (i tak też nazwana) starożytną rzeźbą ozdobna, prowadzi na ulicę długą, najcelniejszą w Gdańsku. Domy téj ulicy, jedne dawną gotycką sztuką, drugie najnowszym gustem stawiane, wszystkie prawie mają z ciosowego kamienia przysionki i przezroczyste w oknach kryształy. Na długim rynku stoi giełda kupiecka. Gmach wspaniały, zewnątrz w posągi rzymskie ubrany, a w środku do publicznego przechodu otwarty; widać kolosalne wyobrażenie Augusta II, piękne rzeźby i malowidła. Naprzeciw giełdy jest statua bronzowa *Neptuna*, a pod nią płynące fontanny.

Już w dziesiątym wieku znajdujemy wzmiankę o Gdańsku. Było koleją w posiadaniu Duńczyków, Szwedów, książąt pomorskich i zakonu Krzyżaków. W 1158 wypowiedzieli Gdańszczanie posłuszeństwo Krzyżakom i poddali się pod zwierzchnictwo króla Kazimierza Jagielończyka. Mieli swoje prawa i magistrat, bili monetę z wyobrażeniem królewskiém.

Miastem rządził, pod zwierzchnictwem królów polskich, magistrat, złożony z Burmistrza, Radzców, ławników i członków gminy. Siedliskiem tego rządu był ratusz, któren rycina niniejsza wystawia. W gmachu tym, przez pięć wieków, magistrat złożony z najznakomitszych w każdym względzie osób, czuwał nad dobrem mieszkańców; z murów jego wychodziły uchwały, które się do wzrostu miasta, rozszerzenia handlu, utrzymania porządku, a niekiedy też i do klęsk własnych przyczyniały. Ratusz ten gra niepospolitą rolę w dziejach Gdańska.

Ratusz Gdański stoi na długiéj ulicy. Wzniesiony został —jak się *Kuricke* w opisie swoim Gdańska domyśla—w roku 1311; kształt atoli wewnętrzny i zewnętrzny, w ciągu 5ciu wieków rozmaitym ulegał zmianom. W roku 1556 dnia 3 Października, wybuchnął ogień w jednéj z dolnych izb ratusza, i w przeciągu kilku godzin zniszczył znaczną część tego gmachu, a między innemi i wieżą. W kilka lat potem, to jest w roku 1561, odbudowano ratusz ten w kształcie, w jakim go dziś widzimy. — Jakkolwiek ratusz Gdański okazałym jest zewnątrz, okazałość ta niknie w porównaniu z wewnętrznemi ozdobami, które w sobie zawiera. Szczególniéj zwracają uwagę na siebie dwie sale, w których magistrat Gdański niegdyś posiedzenia swoje odbywał. Sufity i ściany ich ozdobione są najpiękniejszą sztukaterską robotą, częścią z drzewa, częścią z gipsu, w guście 16go wieku, wystawiającą rozmaite figury i herby miasta Gdańska i t. p. Ławy na około nich, starożytnéj, pięknéj roboty, wybite są adamaszkiem. — Z wieży ratusznéj najpiękniejszy jest widok na zajmujące okolice Gdańska. Z jednéj strony ujrzysz nieprzejrzane płaszczyzny bogatych Żuław, z drugiéj wspaniałe morze z pięknemi nadbrzeżnemi siołami. Ratusz Gdański przywodzi nam na myśl wiele miłych wspomnień z wieków upłynionych.

Ratusz Gdański posiada ogromne archivum, od 13go wieku począwszy, w jak najlepszym porządku utrzymywane. Archivum to zawiera nieprzebrane materyały do historyi Polski i Prus królewskich; korzystali już wprawdzie z niego w szacownych dziełach swoich Lengnich i Voigt, przecież piszący dzieje, powinniby z skarbu tego bezpośrednio czerpać.

Do okręgu Gdańska należało trzydzieści trzy bogatych wiosek i miasteczko Hela, Gdańszczanie posiadali statki handlowe i wojenne, mieli znaczną przewagę handlową i polityczną w wieku XVI, XVII i XVIII. Przy końcu zeszłego wieku, miasto Gdańsk przeszło pod panowanie pruskie. Podczas wojen Napoleona wytrzymało dwa wielkie oblężenia, jedno w 1807, drugie w 1812 i 1813; kilkaset domów poszło wówczas w perzynę, a większa część została uszkodzoną. Od 1807 do 1812, zatamowanie handlu i klęski wojenne zniszczyły i zubożyły miasto, lecz za przywróceniem pokoju i opieką rządu pruskiego, odzyskało swoją świetność. — Miasto posiada rozmaite fabryki, lecz handel płodami spuszczanemi Wisłą, jest głównem źródłem jego bogactw i przemysłu.

Za ulicą długą, *Motława* oblewa wkoło kupieckie spichrze, te to nieoszacowane skarbnice, te składy płodów naszéj

ziemi, owoc pracy rolnika i źrzódło bogactw Gdańska.

Liczne okręty, statki i galary okryły wówczas Motławę. Chcieliśmy je zaraz oglądać, ale nielitościwy mrok przerwał nam tę rozkosz. Ledwie użyliśmy trochę spoczynku po drodze, gdy ciekawość sprowadziła nas nad kanały o świcie. Ludność handlowego miasta wtedy się najlepiéj wydaje. Co za osobliwszy obraz zamieszania!

Przecisnąwszy się przez ciżbę idących w prawo i w lewo, najpierwéj odwiedziliśmy okręt blisko brzegu stojący. Kapitan przyjął nas grzecznie. Trzeba się dziwić nad jego wygodném mieszkaniem, nad mocną i zręczną budową okrętu, nad rozliczném przeplataniem lin masztowych, i tysiącem potrzeb do żeglugi; ale te drobne szczegóły, choć oko bawią, czytającychby znudziły. My jak najprędzéj chcąc brzegi morza oglądać, szliśmy za przewodnikiem koło warsztatu okrętów, gdzie czynny rzemieślnik buduje te pływające domy, a ztamtąd płynąc przy odgłosie muzyki przez Wisłę i rznięte od niéj ku morzu kanały, wysiedliśmy u *Mindy* fortecy portowéj. Z wyniosłéj wieży téj fortecy, pierwszy raz obaczyliśmy morze. Pyszny ten widok był dopełnieniem wszystkich chęci naszych. Co za cuda przyrodzenia! Nie wiedzieć, co było pierwéj oglądać. Nieprzejrzana przestrzeń wody kołysanéj wiatrami, zdała nam się w razie opasana lasem. Ciemna powierzchnia w oddaleniu, może w ten błąd oko wprowadzić; lecz w momencie zniknęło omamienie, gdyśmy postrzegli zbliżające się ztamtąd okręty.

Te gmachy wodne zajmują kanały portowe, powiewając każdy banderą swego narodu. Rybackie statki chciwe połowu, krążą ustawnie nad brzegiem wokoło portu. Tysiące małych ich żaglów, bielą się wśród mgły morskiéj.

Nadzwyczajny upał przeszkodził nam bawić się dłużéj pięknym widokiem. Wróciliśmy do siebie, ale wyobrażenie i myśl nasza zostały przy morzu. O żegludze wszystkie były rozmowy. Porównane opisy zdały nam się słabym obrazem rzeczy. Nazajutrz idąc nad sam brzeg morza, dał nam się słyszeć szelest. Szum ten wydają bałwany, które skacząc tłuką się o siebie.

Chcieliśmy dla zabawy małą zrobić żeglugę do wyspy *Heli*, siedm mil morskich od portu odległéj, lecz mimo usilnego starania, nie można było dostać do przewiezienia okrętu, bo kupieckie na miejsce tylko swego przeznaczenia zabierają podróżnych. Przestając więc na chodzeniu wzdłuż brzegów, zbieraliśmy konchy, kamyki i bursztyny, na pamiątkę naszéj tam bytności, i oddąd dla rozrywki codzień odwiedzaliśmy morze. Resztę jednak czasu poświęciliśmy oglądaniu osobliwości w mieście. Z zadziwieniem postrzegliśmy, iż oprócz ulicy Długiéj, którą się wjeżdża, poboczne Gdańska ulice ciasne są i ciemne, nadzwyczajna tylko ludność miasta, robi je zawsze pełnemi. Wspaniałe kościoły zastanawiają uwagę znających się na budownictwie. Każdy z nich ma osobne piękności, ale przed wszystkiemi liczyć można kościoły, Dominikanów i farny. Piérwszy od *Sobiesława* jeszcze książęcia pomorskiego stawiany, szczyci się najdawniejszą budową w Gdańsku. Drugi przechodzi w ozdobach to wszystko, na co tylko sztuka gotycka wysilić się mogła. Ogromny i najwyższy w mieście, zewnątrz ma w różnym kształcie wieże, a we środku, wytworne rzeźby, sklepienia zwycięzkiemi chorągwiami okryte, starożytne kolumny, wrażają patrzącemu uszanowanie. Niegdyś fara Katolików, dziś się w nim modlą uczniowie *Marcina*. Jeden z dozorców pokazywał nam osobliwości kościoła, a między niemi zégar, któren jak mówił miał pokazywać obroty planet, lecz nierozumna zazdrość przeszkodziła ukończeniu tak pięknego dzieła.

Wieść jest powszechna między gminem, że gdy chciał rzemieślnik zrobić podobny dla Hamburga, Gdańszczanie kazali mu wyłupić oczy.

Chrzelnica bogato wyzłacana, kaplica senatorów czyli radnych miasta, wspaniałe grobowce, obrazy w tym kościele znajdujące się, zasługują na uwagę.

Pomiędzy ciekawościami miasta, liczono zawsze zégar grający sztuki muzyczne. Wielu dziejopisów naszych, a między innemi *Gwagnin*, unosi się z zapałem, nad opisem tego nadzwyczajnego jakoby cudu, twierdząc, że postronne narody dziwią się ujmującéj melodyi, z jaką się zégar ten co godzina odzywa. Ale kto słyszy prostą mięszaninę dzwonków, poruszanych sprężyną, które świszczący tylko i przykry dźwięk wydają, ten może się przekonać, jak często fałszywe i przesadzone opisy, łudzą łatwowiernych czytelników.

Zbrojownia w Gdańsku sławna była od dawna. Na jéj czele położono napis: *Felix est civitas, quae tempore pacis, cogitat de bello.*

Wdzięczność współziomków wystawia tam w każdéj sali wyobrażenie bohatyrów, którzy za całość miasta walczyli. Jest to chlubna ich męztwa pamiątka. Widzieliśmy nadto zbroje dawnych kawalerów niemieckich, starożytny ubiór żołnierzy gdańskich, różne osobliwe strzelby i ową cięż-

ką broń, z któréj sławny siłą swoją August II jedną ręką strzelał.

Reszta dnia zeszła na oglądaniu wielkiego młyna w mieście i wodociągu, który nieustannym obrotem koła na rzece *Radanni* całemu miastu wody dostarcza. Wieczorem zabawił nas teatr. Budowa jego okrągła, w najlepszym jest guście, a wewnątrz wesoły i wygodny.

Nie chcąc nic opuścić co było godne widzenia w okolicy Gdańska, wybraliśmy się do Oliwskiego klasztoru. Kościół, prócz starożytności, nic więcéj nie ma za sobą. Pokazywano nam nagrobek z czarnego marmuru, księcia Sobiesława, ołtarz z konch morskich, wielkie i głośne organy i malowidła, które lubo mierne, wybornemi nazwać im się podobało. Położenie Oliwy jest jedno z najpiękniejszych, ale sama prawie natura wszystko tam zrobiła, sztuka mało ją wsparła. W ogrodzie, w końcu wysokiego szpaleru, widać płynące okręty, ale ten ogród zaniedbany, ma ubogą tylko ozdobę z drewnianego posągu Fryderyka, i ledwie płynącéj kaskady. Góry przyległe patrzą na morze, z ich wierzchołka otwiera się widok całego portu i miasta, ale te góry ledwie okrzesane, przykrą pochyłości odstręczają przychodniów. Lepiéj korzystał z przyjaznego położenia bogaty jeden kupiec gdański, który mając przy ogrodzie swoim za miastem górę, utworzył z niéj publiczną przechadzkę. Góra ta wyniosła, hojnym nakładem właściciela upiękniona i od imienia jego *Johans-Berg* nazwana, ma wchód wygodny, szerokie po zarosłéj krzewinie ścieszki, a na jéj szczycie stoi zręcznie naśladowana wiejska chata, gdzie człowiek od spieki słońca zasłoniony, pozwala ciekawemu oku nasycać się tysiącem przedmiotów, w jakie płodne są brzegi morza. Chcieliśmy i ogród kupca tego obaczyć, ale zamknięty jest dla nieznajomych. Trudno jest bardzo widzieć wytworne domy, i gustowne ogrody kupieckie, bo oni w małém towarzystwie krewnych i przyjaciół żyją zamknięci. Rano zatrudnieni pracą w kantorze, jadą potem na odpoczynek do domów swoich za miastem, i tam resztę dnia przepędzają na samotnéj między sobą zabawie.

Wróciliśmy z Gdańska na *Żuławy* do włości miasta należące. Co za okolica wesoła! Co za dolina rozkoszna... ciągnąca się nad brzegami Wisły! Są to osady, słynące porządkiem, gospodarstwem i bogactwy. Starożytni poeci opiewali nam arkadyjskich pasterzy. Ich żywe wyobrażenie maluje nam w najprzyjemniejszych farbach te obrazy. Ale to co było miłym tylko płodem dowcipu, pokazuje się w całym blasku w Żuławach.

Mieliśmy rozkosz widzieć wewnętrzny porządek u jednego z osadników. Dziwić się potrzeba nad ochędóstwem i kształtem obszernego zabudowania, które liczną familia, sługi i dobytek mieści wygodnie. — Porcelana i szkła angielskie w izbie, zbliżały się nawet do zbytku. Na ścianie zawieszona była tablica, na któréj złoty napis świadczył bytność króla u niego. Poczciwy gospodarz szczycił się tą pamiątką, i nas najgościnniéj przyjmował. Na jego pogodnéj twarzy, malowała się spokojność duszy, jaką daje chlubne o uczciwości swojéj przekonanie. Pełen wdzięcznéj otwartości, opowiadał nam ciekawie słuchającym, sposób gospodarstwa i użytki sześciu włók ziemi, które go żywią i bogacą.

Kraina ta ogromnym wałem broniona od wylewu Wisły i niżéj jéj koryta leżąca, przypomina Holandyą. Wesoła, żyzna, obfita, czaruje oko i zmysły zachwyca. — Jednakże nieraz doznała wielkich klęsk podczas nadzwyczajnych wylewów Wisły, lecz pracowitość, rządność i zamożność mieszkańców, prędko wynagradzała poniesione straty. Hodowanie bydła i wyrabianie nabiału, jest głównym ich przemysłem; sławne są séry żuławskie.

Daléj, kraj zgórzysty, ale dosyć przyjemny i otwarty. *Czczewo, Gniew* i *Nowe*, trzy miasteczka leżą bliskie siebie. Wszędzie widać ułomki murów opasujących je niegdyś, zamki i kościoły spustoszałe.

Od *Nowego* jedzie się znowu wśród osad żuławskich (lubo mniéj już świetnych jak pierwsze) aż do *Grudziądza*. Twierdza grudziądzka leży na wyniosłym brzegu Wisły. Sztuka ukryła pod ziemią jéj ogromne wały, a góra po stopniach rznięta i darniną kryta, ma bardziéj pozór ogrodu jak fortecy. Wisła szeroko płynie pod miastem, i długi most łyżwowy prowadzi do niego. Kształtne domy i znaczne zbożowe szpichrze, dodają mu ozdoby.

O KOBIÉTACH

W AMERYCE PÓŁNOCNÉJ.

Kobiéty amerykańskie są w ogólności oświecone, lecz mało mają imaginacyi, więcéj rozumu jak czucia. Przyrodzenie hojnie udawało je powabami, szczególną pięknością celują z miasta Baltymora. — Oczy niebieskie przypominają ród angielski, a czarne oczy wpływ gorącego okazują lata. Konstytucya ich słaba de-

likatna, zaledwie może się oprzeć ostremu klimatowi i nagłym zmianom temperatury powietrza. Kto sobie wystawi, że ta piękność, ta świéżość i wszystkie powaby młodości zwiędną przed czasem, i okropnemu ulegają zniszczeniu, musi uczuć smutek i doznać bolesnych wrażeń.

Wychowanie kobiét w Stanach Zjednoczonych Ameryki północnéj, całkiem się różni od europejskiego. We Francyi młoda panienka, dopóki nie pójdzie za mąż, zostaje pod opieką rodziców, spoczywa na łonie pokoju i ufności, ponieważ czuła troskliwość ciągle nad nią czuwa i nigdy nie zasypia; wolna od zastanawiania się i rozważania, gdyż inni myślą za nią, robi to co jéj matka. Z nią razem weseli się lub smuci, nie wyprzedza życia, ale za niém postępuje. Jak słaby powój trzymając się gałązek krzewin opiekuńczych, podziela z niemi gwałtowne wstrząśnienia lub słodkie kołysania.

W Ameryce otrzymuje kobiéta wolność już przed nadejściem młodości. Samą siebie mając za przewodnika, puszcza się na los szczęścia drogami nieznanemi; piérwsze jéj kroki są prawie bezpieczne, w dzieciństwie przebiega życie, jak słaba łódka igrająca swobodnie na morzu skał niemającém.

Lecz cóż się stanie z tą słabą łódką, z rozpiętemi żaglami i sternikiem bez doświadczenia, gdy nadejdzie burza namiętności młodzieńczego wieku? Wychowanie Amerykanek zapobiega temu nieszczęściu. Młoda panienka dowiaduje się wcześnie o zasadzkach, w jakie wpaść może. Instynkt nie zawszeby ją ostrzegał przed nieszczęściem, staje więc pod strażą rozumu. Tak, wiedząc o sidłach na nią rozstawionych, aby ich uniknąć, na siebie tylko rachuje. Na roztropności Amerykankom nigdy nie zbywa. W piérwszéj młodości odbiera panienka wszystkie nauki, nieodzowne przy zupełnéj w swém postępowaniu wolności; lecz dla tego właśnie traci dwa piękne przymioty swego wieku, niewinność i naiwną otwartość. Amerykanka potrzebuje oświecenia, aby była roztropną; zbywa jéj przeto na powabach znamionujących prostotę.

Wczesna wolność nadaje jéj myślom powagę i w charakterze jéj przedstawia coś męzkiego. Często można słyszeć na towarzyskich posiedzeniach dwunastoletnie panienki, rozwiązujące pytania w najważniejszych przedmiotach politycznych. To ostudzenie zmysłów, to wzniesienie umysłu, te zwyczaje męzkie u kobiét, wielki znajdują powab na szali rozumu, lecz serca nigdy nie zadowolnią. Tak najprzód sądziłem o kobiétach Ameryki północnéj; znalazłem tam jednak młodą osobę, któréj charakter pełen ognia i czucia, zachwiał mojém przekonaniem.

Arbella okazywała mi najbystrzejszą żywość umysłu, najdelikatniejszą czułość serca i ten szlachetny zapał duszy, co pociąga i podbija. Przytém lubiła do zbytku nauki i sztuki piękne. Gdy mówiła w przedmiotach serca ludzkiego, oczy jéj niebieskie we łzach się rozpływały; gust jéj do muzyki był fanatyzmem; namiętność do poezyi szałem. O piérwszéj i drugiéj mówiła z największym zapałem i podziwieniem; zdawało się, że Korynna i Safo jednoczyły się w jéj duszy. Uwiedziony tyloma powabami, już oskarżałem płochość mego piérwszego sądu; w tém jedna okoliczność uchyliła uroczną zasłonę, co otaczała me nowe bóstwo. Byliśmy razem na koncercie. Chwilą wprzódy, mówiąc o koncertach w ogólności, wprawiała mię w zachwycenie; lecz kiedy zaczęła odkrywać szczegółowe zdania o różnych częściach koncertu, opanowało mię zdziwienie niepodobne do opisania. Źródło jéj pochwał nie wysychało; tak często i z takiém chwaliła zarozumieniem, że sama siebie nie mogła zrozumieć; wszelkie jéj podziwienia były niestósowne. Wreszcie, bez żadnego rozróżnienia używała oznaczonéj miary zapału, którym szafowała na chybił trafił, do samego końca. Charakter taki, jak późniéj w wielu młodych spostrzegłem Amerykankach, nie może się podobać; kobiéty pełne sztucznego zapału, są zimne równie jak inne, a im więcéj obiecują, tém bardziéj zawodzą. Powróciłem do piérwszego zdania, lecz dla tego, abym raz jeszcze zbłądził.

Osmnastoletnia *Alis* nie była bardzo piękną, lecz wabiła ku sobie dowcipem. O toaletę nie dbała; ubiór jéj nie był wytworny i widocznie o to się nie ubiegała; publicznie bowiem nosiła okulary. Jednak podobała się i tego pragnęła. Zaloty jéj były czysto-umysłowe, czarowała mocą dowcipnych żartów, prostotą i żywością. Wielbiciele ciągle ją otaczali. I ja sądziłem, iż jest prawdziwie godną hołdu, jaki jéj składano: w tém dowiaduję się, że już oddawna była zaręczoną. W Stanach Zjednoczonych dwie osoby gdy się przekonają o wzajemnéj ku sobie miłości, przyrzekają sobie pobrać się, co się nazywa wzajemném zobowiązaniem; jest to gatunek zaręczyn bez uroczystości, uświęconych przysięgą dotrzymania wiary. Młoda oblubienica mało starając się podobać, tém więcéj była zalotniejszą bez celu, co było źródłem mego zadziwienia; wreszcie, zbytnie zaloty są zwykłém znamieniem młodych Amerykanek i skutkiem ich edu-

kacyi. Dla 16-letniej panienki wielkim interesem życia jest małżeństwo, Francuzka go pragnie, Amerykanka szuka. Będąc panią swego postępowania, sama sobie wybiera męża. Łatwo pojąć jak delikatnym i niebezpiecznym jest obowiązek młodéj panienki, stanowiącéj o swém przeznaczeniu. Musi ona uzbroić się takąż samą przewidującą przezornością, jakiej u nas wymagamy po ojcach i matkach o los córki troskliwych. W ogólności, trzeba wyznać, dopełnia ona swego powołania z największą roztropnością. Na łonie towarzystwa tak poważnego, gdzie każdy zajmuje się swym przemysłem, młode Amerykanki zatrudniają się wynalezieniem dobrego męża. W Stanach Zjednoczonych mężczyzni są zimni i przykuci do swych interesów, trzeba więc albo iść do nich, albo ich uderzającym powabem przyciągnąć. Nie dziw przeto, jeżeli młoda panienka wśród nich żyjąca, hojnie rozdziela wyuczone uśmiechy i czułe spojrzenia; jéj chęć podobania się jest oświecona i roztropna, zmierzyła ona przestrzeń, któréj przejść nie powinna. Jeżeli jéj wyuczone sztuki podobania się zasługują na naganę, cel do którego dąży jest najchwalebniejszy, szuka bowiem męża.

Młodzieńcom i panienkom nie zbywa na okolicznościach objawienia sobie miłego uczucia wzajemnéj skłonności. Zwykle panienki wychodzą same. Towarzyszenie im młodzieży nie obraża przyzwoitości, byle nie trzymali się za ręce, gdyż to oznacza już zaręczonych. W salonach taż sama panuje wolność. Rzadko matka wmięsza się do rozmowy córki, która przyjmuje u siebie kogo się jéj podoba; przyjmuje nawet tych ludzi, których spotkała na ulicy, choć ich rodzice nie znają. Tak postępując źle nie czyni, ponieważ takie są miejscowe obyczaje. Zalecanie się Amerykanki jest szczególnéj natury. We Francyi panienka mniéj pragnie iść za mąż jak się podobać; w Ameryce o tyle stara się podobać, aby znaleźć męża. U nas sztuka podobania się jest namiętnością, w Ameryce rachubą. Jeżeli panienka zaręczona ciągle okazuje się zalotną, mniéj to czyni z upodobania jak z roztropności, ponieważ zdarza się,iż oblubieniec niedotrzymuje słowa. Przewiduje ona tę smutną zmianę i stara się pozyskać i inne serca, aby w razie potrzeby, utracone zastąpić drugiém.

W téj i innych okolicznościach, wyzywa, ośmiela, albo usuwa wzdychających, z zupełną wolnością. Jeżeli kobiéta wolność tę w Ameryce wcześnie otrzymuje, prędko też ją traci. U nas młoda panienka prawie z powicia przechodzi w związki małżeńskie, lecz nowe te obowiązki są dla niéj lekkie. Idąc za mąż, utrzymuje prawo uczęszczania sama między ludzi; zatem zostaje wolną. Wtenczas to otwierają się dla niéj uroczystości, bale, przyjemności. W Ameryce przeciwnie: życie pełne blasku i niewinnéj roskoszy, przynależy młodéj panience; poszedłszy za mąż umiera dla światowych przyjemności, a poświęca się jedynie zmudnym obowiązkom domowego gospodarstwa. Pierwéj hołdowano jéj nie dla tego iż jest kobiétą, lecz że mogła bydź żoną. Poszedłszy za mąż, nie potrzebuje się podobać i nie ma już nic do ofiarowania oddawszy swą rękę. W Stanach Zjednoczonych kobiéta wtenczas traci wolność, kiedy ją we Francyi nabywa. Te przywileje młodéj panienki i utrata ich po zamężciu, są przyczyną, iż wiele osób długo zostaje zaręczonemi, nim się pobiorą. Po takich zaręczynach, opierających się na umowie czysto moralnéj, następuje wkrótce ślub małżeński; lecz często się zdarza, iż młode panienki tak zabiegliwe o zaręczyny, małżeństwo do późniejszego czasu odkładają, gdyż ta zwłoka dozwala im używać jeszcze wolności, służącéj osobie niezamężnéj.

W kobietach amerykańskich nic nie przemawia do imaginacyi, jednak charakter ich, na osobach poważnych i myślących głębokie robi wrażenie. Poznawszy moralność kobiét, tém samém znamy już i całéj ludności, a zastanowiwszy się nad stosunkami pożycia domowego w Stanach Zjednoczonych, przejmujemy się uwielbieniem dla Amerykanów, otaczających związki małżeńskie świętém uszanowaniem. Boskie to ich uczucie u żadnego ze starożytnych ludów nie było posunięte do tak wysokiego stopnia, a towarzystwa europejskie w swém zepsuciu nie mogą mieć wyobrażenia o podobnéj czystości obyczajów. W Ameryce równie mało jest jak u nas surowości względem nieporządnego życia i gorszącéj rozpusty bezżeństwa (celiatu); znajdują się tam także młodzi ludzie rozmaitych obyczajów; opinia nie karze ich utratą sławy. Społeczność pobłaża przedajnym wolnych osób rozkoszom, ale nabyte z uszczerbkiem wiary małżeńskiéj karze bez litości: nieprzebłagana równie dla mężczyzny, który do błędu wyzywa, jak i dla kobiety co go popełnia, wypędza ich ze swego łoża i tak surowa w tym względzie, iż niewidoczny występek, samo podejrzenie dostateczne jest aby podpaśdź téj karze. Mieszkania domowe są niepokalanemi świątyniami, do których nawet tchnienie zepsucia przedrzeć się nie może.

Moralność kobiét amerykańskich, owoc edukacyi poważnéj i religijnéj, jest jeszcze skutkiem innych przyczyn.

Zajęty ważnemi interesami, Amerykanin nie ma ani czasu ani chęci oddawać się miłości i zalotnictwu; raz tylko nie pogardza sztuką przypodobania się, gdy się chce ożenić. Wtenczas nie idzie o intrygę, lecz o ważny interes. Nie ma czasu kochać, mniéj jeszcze starać się o wzajemność. Powab sztuk pięknych tak ściśle połączony z rozkoszami serca, jest mu nieznany. Jeżeli młody człowiek występując z zakresu przemysłowego, rzuca się namiętnie na łono *Mozarta* lub *Michała Anioła*, ginie w opinii publicznéj: słuchając bowiem głosu harmonii lub rozróżniając odcienia kolorów, nie można zrobić majątku. Jakże usiedzi ten w sklepie, co raz uczuł powaby życia poetycznego?

Młodzi Amerykanie, obyczajami kraju zmuszeni ograniczać się na tém co jest użyteczne, nie zajmują się ani sztuką podobania się kobiétom, ani są zdolni je uwodzić.

W Ameryce wszyscy pracują, ponieważ urodzenie nikomu nie nadaje wielkich bogactw, i nie znają tam nieczynności garnizonów: w tym bowiem kraju wojsk nie ma płatnych. Kobiéty wolne są od niebezpieczeństwa i uwiedzenia, a jeśli dochowują czystości, nie można im ztąd przyznawać trudnéj w Europie cnoty, bo tam łatwiejsza o nią walka. Zadziwiająca łatwość zbogacenia się, przybywa także w pomoc dobrym obyczajom. Majątek nigdy głównym nie jest warunkiem w małżeństwach; handel, przemysł, rzemiosło, zapewniają młodzieży dobry byt i szczęśliwą przysłość. Żenią się z piérwszą kobiétą którą kochają i bardzo rzadko można w Stanach Zjednoczonych spotkać jeszcze bezżennego mężczyznę, 25 lat liczącego. Społeczeństwo zyskuje moralność zamężnych, zamiast rozpusty bezżeństwa. Wreszcie, zmieszanie się stanów, podobnież wspiera związki małżeńskie. W Ameryce północnéj, żadna przyzwoitości zapora nie oddziela młodzieńca od panienki, chcącéj mu oddać rękę. Ten obyczaj sprzyjający związkom prawnym, przymusza i pkryte do ich zawarcia, kto uwiodł młodą anienkę, musi koniecznie bydź jéj mężem, jakkolwiek różne byłoby ich położenie, ponieważ jeżeli jest nierówność majątku, nie ma żadnéj różnicy stanu. Czystość ta obyczajów, więcéj nierównie zależąca od zasad społecznych jak pojedynczych osób, poważną okrywa barwą mieszkańców Ameryki.

W każdym kraju panuje opinia publiczna, z pod władzy któréj żadna kobiéta wyłączyć się nie może. Nie przebłagana we Włoszech dla zalotniczek kłamiących, przebacza słabości ludzkiéj; w Anglii wymaga delikatnéj i wstydliwéj skromności, któréj nie cierpi w Hiszpanii; w Madrycie równie surowo karzą uchybienia zmysłów, jak w Londynie urazę serca. W Ameryce opinia nielitościwie potępia wszystkie namiętności, tylko wyrachowanie upoważnia; obojętna na uczucia, niezmiernie jest wymagająca względem obowiązków.

Miłość kochanków, któréj powab stanowi całe życie niektórych ludów Europy, w Ameryce jest nieznaną. Jeżeli jaka ognista dusza czuje potrzebę kochania i namiętnie się temu oddaje, jest to wypadek tak rzadki, jak widok skały na płaszczyźnie amerykańskiéj. Biada téj osobie, samotnéj wśród wszystkich! Żadnego współczucia, któreby jéj szukało, żadnego echa coby jéj odpowiedziało, żadnéj pociechy, na łonie któréj mogłaby wypocząć. W tym kraju cenią rzeczy podług wartości arytmetecznéj. Jakże zamienić na dolary szlachetne uniesienia duszy i bicie czułego serca? Może bydź, iż kochają się w Ameryce, lecz o to nie czynią zabiegów. Kobiéty z natury tak czułe, mają w Ameryce wyraz poważny i rozumny.

Z tego wszystkiego okazuje się, iż kobiéty amerykańskie są godne szacunku nie zapału; towarzystwu zimnemu bardzo przystoją, lecz serce ich nie jest utworzone dla gorących namiętności uniesień.

UWIADOMIENIE.

Z dzisiejszym zeszytem skończyło się piérwsze półrocze MUZEUM DOMOWEGO z 1837. O czém się zawiadamia Prenumeratorów półrocznych.

Prenumeraty w Xięgarni F. S. Dmochowskiego na dzieła wydawane nakładem właściciela tejże Xięgarni.

Muzeum Domowe rok 1837—fl. 18 w Warszawie—fl. 24 na prowincyi.

Podróż Malownicza po Europie: rok piérwszy obejmuje opisanie Włoch, z 48 rycinami fl. 15 w Warszawie, fl. 18. na prowincyi.

Czytania pożyteczne i przyjemne, dzieło w języku polskim, niemieckim i francuzkim, z rycinami, zł. 12ście w Warszawie zł. 15ście na prowincyi.

Osoby razem prenumerujące na te trzy dzieła, mają odstąpione sobie od ceny 10 od sta procentu.



S Z T O K H O L M.

SZTOKHOLM.

Sztokholm, stolica Szwecyi, należy do najpiękniejszych miast północnéj Europy, zbudowana jest na siedmiu wysepkach, w miejscu gdzie wody jeziora Malar łączą się z wodami Baltyckiego morza. Pod niejakim względem to miasto podobne jest do Wenecyi, lecz woda płynąca wzdłuż jego murów, jest głębsza niżeli kanałów włoskiego miasta; okręty jakiéjkolwiek wielkości przepływają między dwoma rzędami domów i przed oknami mieszkańców.

Ze wszstkich stron widać ogrody, kępy drzew, wieże kościołów; w niektórych miejscach rzucono mosty od jednéj wysepki do drugiéj, lecz zwyczajnym środkiem komunikacyi są statki które krążą wszędzie jak powozy po ulicach miast lądowych. Temi statkami kierują kobiéty, nierówność skał, na których zbudowano domy zrządzają, iż ulice są przykre. Wielka część domów stoi jak gdyby na stopniach amfiteatru, na pochyłości wysokiego wzgórza; obszerny pałac panuje nad miastem. W ogólności domy są zbudowane z cegieł, i wytynkowane biało, uboższe okręgi zbudowane z drzewa stanowią niższą część miasta i wcale ich nie widać. Najpiękniejsza i najszersza ulica zowie się Dronnig-Gaten, czyli ulica Królowéj, przerzyna okręg Norrmal gdzie są najznakomitsze gmachy.

Lecz aby wyobrazić sobie wielkość i ruch Sztokholmu, nie na ulicach lecz na bulwarach trzeba mu się przyglądać. Bulwary ozdobione są wspaniałemi pomnikami; ruch kupiecki panuje tam bez ustanku. Na końcu widać z jednéj strony czyste wody Baltyckiego morza, a z drugiéj spokojne i romantyczne jezioro Malar, ciągnące się przeszło na 25 mil w głąb kraju.

Pałac królewski stoi na wierzchołku środkowéj wyspy zwanéj Staden czyli sta

rém miastem. Dwa lwy bronzowe ogromnéj wielkości stoją przy wjeździe. Po jednéj stronie ciągnie się piękny taras i ogród

Znaczna jest liczba kolumn i posągów, wzniesionych po rozmaitych placach miasta, na cześć sławnych mężów Szwecyi. Między posągami konnemi, zasługuje na wzmiankę posąg Gustawa Wazy i Gustawa Adolfa, oraz posąg bronzowy Gustawa III stojący na postumencie z porfiru. Na placu zwanym *Stoksbacken*, gdzie się znajduje ten posąg, stoi także obelisk z czerwonego granitu wzniesiony przez ostatniego króla na chwałę milicyi Sztokholmu.

Między kościołami, wspomnimy o kościele Riddarholm, w którym spoczywają zwłoki wielu monarchów i sławnych ludzi, oraz znajdują się trofea zwycięzkie. Tam pospolicie chowają zwłoki królów szwedzkich.

W jednéj z sal z arsenału zachowują ciąg postaci monarchów, na koniach lub pieszo, zrobionych z drzewa i wosku. Ta galerya nie wiele czyni zaszczytu smakowi Szwedów. Dozorcy arsenału pokazują także podróżnym statek zbudowany przez Piotra W. w warsztatach Sardam; skrwawioną koszulę Gustawa Adolfa, którą miał gdy zginął pod Lutzen r. 1628; zupełne ubranie Karola XII w którém był zabity pod Friderikshall w 1318, to jest mundur z niebieskiego sukna, tak grubego jak u prostych żołnierzy, szeroki pas ze skóry bawoléj, u którego wisiał rapir na 5 stóp długi, buty i rękawiczki bardzo wązkie, kapelusz przestrzelony w miejscu dotykającém się skroni: jest to dziura od kuli która zabiła tego wojownika.

Ludność Sztokholmu wynosi przeszło 80,000 dusz. Port jego jest obszerny i bezpieczny, lecz wnijście jest trudne i bronione dwoma warowniami. Stolica Szwecyi posiada znaczną liczbę naukowych zakładów jako to: akademią umiejętności z należącym do niéj obserwatoryum, gabinetem i biblioteką: akademią nauk pięknych historyi i starożytności; akademią języka i poezyi szwedzkiéj, akademią rolniczą, nauk wojskowych, kollegium min, szkołę żeglugi, rysunków, sztycharstwa, muzyki, instytut głuchoniemych i t. d., wspaniałą galeryą najpiérwszych artystów szwedzkich, bibliotekę królewską jedną z najbogatszych w Europie.

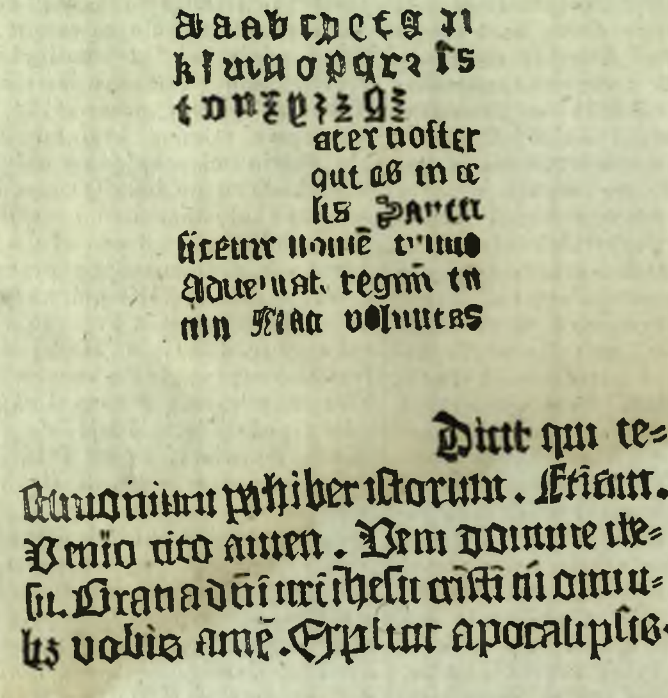
Głównym przedmiotem handlu zewnętrznego jest żelazo w sztabach. Gmach przeznaczony na skład tego produktu, uderza wielkością swoją i ogromną ilością tego kruszcu w nim nagromadzoną.

O początku Szkokholmu jest następujące podanie gminne: że przed kilkuset laty jeden z królów Szwecyi umyślił wsławić się założeniem wielkiego miasta. Lecz nie wiedząc gdzie go ma zbudować, zdał się na los. Puścił na wodę z końca jeziora Malar kawał drzewa, przysiągł że tam gdzie się to drzewo zatrzyma, wybuduje miasto. Zdarzyło się, że długo miotana wiatrem i falami sztuka drzewa, zatrzymała się przy małéj wysepce. Wierny swojéj przysiędze, król kazał zbudować miasto które nazwano Sztokholm (to jest *wyspa z drzewa*).

DOM ROTSZYLDÓW.

Założyciel tego domu, któren z pomiędzy tysiąca współzawodników, stał się najpiérwszym, najznakomitszym ze wszystkich, był Meyer Anzelm Rotszyld, urodzony w Frankfurcie nad Menem r. 1743. Utracił rodziców w 11 roku życia; do szkół chodził w Furth. Wróciwszy do Frankfurtu, znalazł sposób wydoskonalenia się w wiadomościach handlowych i bankierskich i powołany został do Hanoweru, do bogatego domu handlowego. Z małym kapitałem zebranym przez pilność i oszczędność, wrócił Rotszyld po kilku latach do Frankfurtu i na własną rękę interessa prowadzić zaczął. Znajomość rzeczy, czynność i rzetelność, wkrótce zjednały mu zaufanie wielkich domów, otrzymał udział w znacznych interesach, a przez to wzrosł jego kredyt i majątek. Stosunki Rotszylda z ówczasowym landgrafem, a późniéj Kurfirsztem Hessyi, miały wielki wpływ na dalsze rozwinięcie jego interesów. Książę znając jego zdolność i prawość, mianował go w 1801 ajentem swego domu, a gdy w 1806 Francuzi zajęli kraj jego, powierzył mu uratowanie swego prywatnego skarbu, składającego się z kilkunastu milionów. Rotszyld dokazał tego przez odwagę i roztropność, chociaż z osobistém niebezpieczeństwem i ofiarą wielkiéj części swego własnego majątku, a gdy nastąpił pokój, użył uratowanych skarbów do prowadzenia nowych interesów. Rotszyld coraz bardziéj powiększał czynności handlowe i wziętość swego domu, lecz nie doczekał się powrotu Kurfirszta do swego państwa, umarł w 1812 i zostawił dziesięcioro dzieci, między niemi pięciu synów którzy są: *Anzelm Rotszyld* naczelnik pierwotnego domu w Frankfurcie nad Menem, urodził się 12 czerwca 1773; — *Salomon Rotszyld* urodził się 9 września 1774, mieszka kolejno w Wiedniu albo w

Paryżu; — *Natan Rotszyld* urodził się 16 września 1774, umarł 28 lipca 1836, był głową najsławniejszego domu bankowego w Londynie; — *Karol Rotszyld* urodzony 24 kwietnia 1785, tak zwany neapolitański Rotszyld, mieszka od 1821 w Frankfurcie albo w Neapolu, i *Jakób Rotszyld*, któren od r. 1812 prowadzi interessa w Paryżu. Umierający ojciec wpoił w serca synów zasadę nigdy nieprzerwanéj jedności i wspólności we wszystkich interesach; zalecał im aby przy każdém przędsięwzięciu nie ubiegali się za niezmiernemi zyskami, działania swoje utrzymywali w pewnych szrankach, i starali się, ile tylko zdoła dokazać tego mądrość i przezorność ludzka, uczynić się niezależnemi od igrzysk losu. Rotszyldowie jak najwierniéj trzymali się i trzymają tych przepisów ojcowskich. Bezwątpienia wiele osób biegłych w polityce i handlu zastanawiało się, jakim sposobem dom Rotszyldów zdołał w tak krótkim przeciągu czasu uskutecznić tyle ważnych przedsięwzięć. Ich pomyślność ugruntowało ściśle wypełnianie powyżéj przytoczonych zasad. Po śmierci ojca naradzają się wszyscy bracia nad każdém przedsięwzięciem które mają rozpocząć, i ułożywszy plan, wspólnemi siłami przywodzą go do skutku, wspólny mają udział w jego rezultatach. Chociaż mieszkając w rozmaitych stolicach państw europejskich, oddaleni są jedni od drugich, nie przeszkadza to ich ścisłemu porozumieniu się, a przy tém tę korzyść nastręcza, że wszędzie są uwiadomieni jak najdokładniéj o stanie rzeczy, i tém korzystniéj prowadzić mogą interesa. Oprócz tych głównych zasad, wiele wpływał na powodzenie ich domu, osobisty moralny charakter wszystkich braci. Do wzniesienia się domu Rotszyldów przyłożyła się bardzo ta okoliczność, że gdy w r. 1813 Kurfirszt heski powrócił do swoich krajów, zostawił w ich ręku swój kapitał na lat kilkanaście, darowawszy im zaległy procent jako wynadgrodzenie za rzetelność w postępowaniu, a na wiedeńskim kongresie przez polecenia swoje rozszérzył ich wziętość tak, że w skutku politycznych wypadków, już od roku 1813, Rotszyldowie przez nieprzerwane pasmo pieniężnych i kredytowych działań, na tym stopniu stanęli, któren taraz zajmują. Piérwszém znaczném działaniem Natana Rotszylda były interesa finansowe z Anglią w roku 1813. W epoce gdy angielscy bankierowie przerażeni niezmiernemi wydatkami W. Brytanii i spadnięciem ceny papiérów rządowych, odmówili pomocy swojéj gabinetowi angielskiemu, nie zatrwożył się Natan Rotszyld i uwielbiać musimy wielkość widoków i moc jego charakteru. Tak to interesa finansowe łączą się z interesami państwa. Po zawarciu pokoju, Anglia i wielu książąt niemieckich poruczyło Rotszyldom pretensye swoje do Francyi. Wkrótce potem pomnożyły się stosunki handlowe między krajami Europy; Rotszyldowie mieszkając w najgłówniejszych ogniskach ruchu handlowego, rozwinęli na wielką skalę finansowe i wexlowe interesa. Nie mieli żadnego udziału w wielkich pożyczkach zaciągnionych przez Francyą w r. 1816, 17 i 18. Ich piérwszym znaczniejszym interesem z Francyą, była pożyczka w r. 1823, z któréj 414 milionów franków wpłynęło do skarbu francuzkiego. W tymże czasie Prussy i Austrya zaciągnęły pożyczkę. Zdaje się rzeczą niepodobną do wiary, że od 1815 do 1823 Rotszyldowie nie mieszali się do pożyczek europejskich rządów i tylko w tym czasie podjęli się pożyczki 125 milionów dla Pruss, oraz dopomagali wszelkiemi siłami jednemu z największych przedsięwzięć finansowych w naszéj epoce, to jest zaprowadzeniu na nowo wypłaty w gotowiźnie przez Bank angielski. Gabinet londyński zniewolony był w 1797 upoważnić Bank do zawieszenia wypłaty w monecie srébrnéj i złotéj. Papiéry jego przez to znacznie spadły i miały kurs przymuszony. Po zawarciu pokoju trzeba było przywrócić wypłatę pieniędzmi. Natan Rotszyld miał wielki udział w kombinacyach, które miały na celu opatrzenie Anglii niezmierną massą srebra i złota, potrzebną dla uskutecznienia tego przedsięwzięcia. Wielka kryzys handlowa w 1825-1826, która tyle domów handlowych do upadku przwiodła, nie przestraszyła bynajmniéj Rotszyldów. Od téj epoki dom ich pozyskał wielkie znaczenie i wziętość w handlowym świecie. Uskutecznił pożyczki dla rozmaitych państw niemieckich, włoskich, a w ostatnich czasach zaliczył znaczne summy Hiszpanii. We Francyi znegocyowali Rotszyldowie pożyczkę 80 milionów i 120 milionów w r. 1830, a 150 milionów w 1832. Ostatnie wielkie działanie przedsięwzięte przez Natana Rotszylda, była pożyczka 500 mil. franków zaciągnięta przez rząd angielski, dla wynagrodzenia osadników i uwolnienia niewolników w osadach. Dokazał także tego na krótki czas przed śmiercią, że wexle domu Rotszyldów otrzymały piérwszeństwo przed wszystkiemi innemi w handlu z Chinami. Ogólna summa pożyczek, które od 1818 do 1832 w Londynie negocyowane były na rachunek obcych rządów, wynosi 1,417 mil: franków. Pożyczki od których procent jest opłacany, wynoszą 658 mil. franków, a z tych



FAC-SIMILE DRUKU BIBLII GUTTEMBERGA NALEŻĄCE DO ARTYKUŁU O SZTUCE DRUKARSKIÉJ.

(*Patrz Nr.* 25 *str.* 197).

znegocyował dom Rotszyldów 545 milionów. Od żadnéj pożyczki którą trudnił się ich dom, nie zalega procent. Wpływ tego domu przeważny na wszystkich giełdach europejskich, wiele przyłożył się do utrzymania pokoju w ostatnich siedmiu latach. Rotszyldowie otrzymali od wielu dworów europejskich oznaki poważania, zaszczytne ozdoby i tytuły. — Zakończymy ten artykuł wiadomością o Natanie Rotszyldzie, zmarłym w Londynie w roku zeszłym. — Natan Rotszyld udał się do Anglii w r. 1798. Tam prowadził z początku interesa ojca swego, a w kilka lat później założył własny dom handlowy w Manszester, a następnie w Londynie. — Był to człowiek w obejściu prosty i uprzejmy, posiadał niepospolitą bystrość w objęciu interesów, zaszczycało go jako negocyanta, szlachetne a razem rozsądne zaufanie w rzetelności drugich. Pod tym względem był czczony jak opiekun od średnich i pomniejszych kupców w Londynie, którzy na jego pomoc śmiało rachować mogli, dopóki nie przestali zasługiwać na nią. Natan Rotszyld zostawił 4 synów i 3 córki, trzéj starsi synowie już dali dowody swoich zdolności w prowadzeniu interesów. Testamentem przeznaczył uposażenie każdéj córce po 100,000 ft. szt. (4 miliony złp.), a żonie swojéj 20,000 ft. szt. roczréj pensyi. Dom handlowy z całym majątkiem zostawił synom, w równym udziale. Przez pięć lat jeszcze po jego śmierci mają prowadzić interesa łącznie ze swemi stryjami. Na wiadomość o śmierci jego, spadły zaraz papiery w Londynie i w Paryżu. Kredyt stracił w nim jednę z najmocniejszych swoich podpór.

PIŃSK I PIŃSZCZYZNA.

(*Wyciąg zpamiętników J. J. Kraszewskiego).*

»Gdy gdzieindziéj potrzeba dla odkrycia nowych i nieopisanych krain płynąć jak Ross przez lody, lub przebijać się do źródeł Nilu; kiedy gdzieindziéj podróżni zmuszeni są bardzo dawno wiadome, widziane, opisane, oklepane rzeczy powtarzać, tylko w coraz inny sposób; kiedy już aż do znudzenia wymalowane są, objaśnione, upoetyzowane i brzegi Renu i drogi szkockie i biedniejsze od naszych chaty irlandzkich wyrobników; gdy nowych zwierząt w głębi ziemi, nowych roślin na dnie morza szukają — u nas, w krajach słowiańskich, wszystko jest w stanie dziewiczym, do opisania, do wynalezienia i odkrycia. Stern czy Pallas, Adamson czy Bulwer, pani Trollope czy Humboldt, każdy by tu znalazł o czém pisać. Wszelki rodzaj podróży byłby nowym i pożytecznym. Proszę, naprzykład, kto kiedy zwiedził dla opisania choćby tylko pod względem malowniczym artysty, Pińsk i Pińszczyznę, kto ocenił i wartość poetyczną tego tak mało znajomego zakątka, i wartość handlową przyszłego Liverpoolu, który ma z tém miastem tak uderzające podobieństwo błot otaczających i początkowego ubóstwa, za czasem mogącego się zamienić w wielki ruch przemysłowy? Sprobujmy, choć powierzchownie obejrzeć tę ciekawą krainę błota i czérotu (1), a naprzód weźmy jego wspomnienia historyczne.

Pierwszy raz wspomnieni u Nestora Pińczucy, ukazują się w roku 1097, gdy ich z Brześcianami Mścisław, syn Swiętopełka, bierze w pomoc do obrony Włodzimierza od Dawida.— Jak i kiedy stolica się rodzi w tym kraju? kto ją zakłada? milczą kronikarze. Lecz w XIII wieku, wśród zaburzeń w Litwie, Pińsk jest schronieniem Wolstynika i zabójców Towciwiłła; Wolstynika którego wkrótce potem (1267) tak okropna śmierć spotkała we Włodzimierzu, od księcia Leona. Monastery greckie od tego czasu już ukazują się tutaj; Mitrofanes, Czerniec Piński, nieco późniéj pisze dzieje ruskie (cytow. w Kron. Riviusa). Sławna katedra grecka w Pińsku powoli powstaje.

W połowie XIV wieku, Pińsk jest stolicą udzielnego księztwa, składającego się z Mozyrza, Pińszczyzny właściwéj i Polesia wołyńskiego; na tém księztwie osiada Narymund, Gedemina syn z Widy w r. 1277. Jeograf ruski wspomina o nim i liczy go do miast wołyńskich (Schloezer Nord. Gesch. 18) Narymund I, książe piński, wedle kronik ruskich, w bitwie z Tatarami w niewolą wzięty, wykupiony przez księcia Iwana moskiewskiego, chrzci się, bierze imię Hleba i zdaje się, że około Nowogrodu przesiadując umiera w r. 1310. Syn jego pozostawszy tutaj (Jerzy Narymundowicz) dostaje księztwo bełskie.

Narymund II książe piński, syn Olgierda, brat Jagiełły, zabity pod Wilnem przez Krzyżaków, miał na chrzcie imię Wasil. (Podpisał się tak na przysiędze posłuszeństwa cyt. u Naruszew. w r. 1386 w Łucku). Wszędzie się pisał *Dux de Pińsko* i po nim nikt już tytułu tego nie używał. Dzielnica Narymundów wpłynęła do dzierżaw wołyńskich, a nareszcie wcielono Pińsk z okolicą do województwa brzeskiego.

W r. 1567, książe Konstanty Ostrogski, dwadzieścia kilka tysięcy Tatarów zbił pod Pińskiem. W r. 1648, w czasie buntów kozackich, sprzeniewierzyło się miasto i spaloném zostało *(Rudawski)* W XVII wieku opisujący ten kraj Starowolski (Polonia Dant. 1652 p. 108) lasami go okrytym maluje i błotami zalanym, wystawia jego bogactwo w drzewie, miodach, zwierzu i handlu ze Szląskiem i Gdańskiem pruskim. Mówi o kupcach przemyślnych, którzy ztąd z towarami do Moskwy i Niemiec jeździli i wspomina, że po większéj części są Grecy, mają swego biskupa i katedrę. Późniejsze jeograficzne opisy, powtarzając te tradycyjne rysy Pińszczyzny, dodają że Pińsk ma 4,000 ludności.

Otóżto prawie wszystko, com o Pińsku wiedział, gdym do niego jechał; nie mogę opisywać podróży mojéj do tego miasta, przez kraj lasu, piasku i ubogiego ludu, bo by to była najnudniejsza frazomachia, jakąście w życiu czytali, a ja pisałem. — Do koła byli żydzi brudni i obdarci, karczmy śmierdzące, mosty pogruchotane, groble po których jadąc, trzeba dzwonić zębami ze strachu, aby się kości nie pogruchotały, lasy smutne sosnowe, sosny rachityczne, garbate, kulawe, pełno korzeni po drodze, czasem krzyż na rozstaju, cerkiewka stara podparta, a wsie! aj, chaty do pół w ziemi, psy chude, lud chudy i półnagi, żółty od dymu i niezdrowia, dzieci z rozczochranemi włosami i t. p. obrazy.

Nareszcie zbliżyłem się do Pińska, téj gwiazdy okolic, mającego związki z Czarném i Białém morzem. Z daleka pokazała się wieża pojezuickiego kościoła i nic więcéj; wlokłem się niecierpliwy po pia-

(1) Czerot, bagno zarosłe sitowiem, tatarakiem, trzciną i t. p.

sku powoli; do koła były sterty, karczmy, topole; nad drogą jakieś zarosłe sadzawki, domy o pięćdziesięciu kominach, wiatraki stojące jak na pokucie, nareszcie wielki słup na prawo od drogi, z rzeźbami, z napisem na chorągiewce, którem napróżno usiłowałem wyczytać.

Stajemy u rogatek — szukają wódki — wjeżdżam w szeroką błotnistą ulicę, jadę między dwoma rzędami domów drewnianych, gdzieniegdzie bieleje murowany lub nowszy, reszta stara i niepozorna. A wkoło idą processye długie czumackich furmanek z pod Kobrynia, Prużanéj, z żytem, pszenicą, zbożem wszelkiego rodzaju, które ztąd ładowne solą powracać będą; przy nich kręcą się roje żydów w popielicach, lisach, szopach i baranach, z brodami żółtemi i czarnemi, czerwonemi, siwemi, bez bród, w czapkach, kapeluszach, w pończochach, boso, w pantoflach, i butach; bogaci i obszarpani, słowem jacy tylko mogą bydź żydzi. Daléj jest rynek zawsze ożywiony i pełen ruchu, na prawo wielki kościół pojezuicki i wały starego niegdyś zamczyska, książąt jeszcze pińskich może.

Jak się nie dziwić cudownemu instynktowi, który przed tylu set laty wybrać potrafił to miejsce na siedzibę, u zbiegu kilkunastu rzek, na posadzie bajecznego morza? Wieleż to już lat żyje to miasto, a jeszcze nie ma nawet murów, skąpe jak handlarze tutejsi, pełne pieniędzy, nie chce się budować, nie lubi bruku i rade jest swoim brudom, ruinom i pieniędzom. Jak w tém znać żydowską zamożność i skąpstwo, żydowski rozum trzymający się rutyny, nie myślący nigdy o ulepszeniu, poprawie, mogących się setnie powrócić kosztach, dla tego tylko że daléj nad skorupę rzeczy nie widzi. Pińsk miał siedm czy ośm klasztorów: Dominikanów, których mury dotąd nie skończone, Jezuitów, Kommunistów, Bazylianów, Franciszkanów, etc Z tych zakonów jak wszędzie tak i tu najzamożniejszym był Jezuitów. Kollegium ich założone przez księcia Stanisława Radziwiłła, miało drukarnią jedyną w mieście, lecz bardzo mało zamożną, gdyż dzieła z okoliczności tutejszych pisane, jeszcze w XVII wieku drukowali w Wilnie. Mury ich kościoła i klasztoru, panujące nad miastem, uchodzą w okolicy za cudo architektury, chociaż w istocie jest to tylko wielka massa cegieł, z dwoma wieżami, ogrom tylko zastanawia. Zakon ich nawet w budowlach chciał cechę wyższości i panowania położyć; gdziekolwiek ujrzysz wielki i wyniosły kościół, postawiony tak, aby na siebie uwagę obrócił, nie pytaj czyj jest — pewno był jezuicki. Przytém mają oni właściwy sobie rodzaj architektury, giętkiéj, krzywionéj, floresowanéj, czépiającéj drobne ozdoby na potężnych murach, po któréj poznać ich łatwo.

Uderzył mnie w téj budowli jeden rys. W połowie okna zamurowanego od ulicy, odmalowano dwie postaci Turków rozmawiające z sobą. Powiadają, że to są dwaj czeladnicy, zabici w czasie budowania kościoła, ale ich ubiór to fałszywe tłumaczenie zbija.

Są to wyraźnie Turcy, a ich rozmowa powiada do ludu: »my nawracamy niewiernych.« Jeden z nich świeży przybylec w białym z różowym zawoju, drugi dawny neofita ubogo ubrany.

Gesta ich pokazują żywą rozmowę, zdają się dziwić i sobie i temu co ich otacza i błotnistéj nawet ulicy, będącéj pod ich nogami. To chyba tercyarz zakonu mógł wymyśléć i zrobić; obcy człowiek nie przejąłby się tak duchem familii.

W tym kościele spoczywało ciało Świętego Andrzeja Boboli S. J, które Jezuici za pozwoleniem rządu po kassacie, do Połocka uwieźli. Ksiądz Andrzéj Bobola (*rf. Flor. Jaroszewicz, Męczka SStych dz. XVI Maja f.* 259) urodził się w r. 1591, wstąpił do zakonu w r. 1611; odbył nowicyat w Wilnie. Teatrem jego pracy i śmierci był Janów i cały powiat piński, gdzie 26 lat nawracał po wsiach i miasteczkach. W r. 1657 za buntów i napadu kozaków, gdy w Janowie wszystkich katolików wycięto, a w Pińsku i Nieświeżu 6 Jezuitów zabito, Andrzéj Bobola koło Mohilnéj, tuż po za Janowem nawracał; tam go zastali kozacy mszą odprawującego i zamordowali męczeńsko. Ciało jego leżało długo w grobach wspólnych, nie myślano o kanonizacyi; ksiądz Godebski rektor w Pińsku, a potém biskup łucki Alex. Wychowski, piérwsi się o to starać poczęli. Ostatni ciało ks. Andrzeja z grobów pospolitych do osobnego przeniósł, mniéj wilgotnego. Proces kanonizacyi za Benedykta XIV zaczęto i uznany został męczenikiem. August II, chory na nogę, przysłał tu jako votum, szczerozłotą do jego grobu tablicę w r. 1726.

Część miasta przeciwna naszemu naszemu wjazdowi zowie się Karolin; jest to supplement Pińska, tak błotnisty jak samo miasto, lecz trzeba go zwiedzić, aby widzieć najważniejszą część Pińska: *Brzeg* gdzie przybijają statki z solą, zkąd odchodzą ze zbożem, wódką i t. p. Oschłe i pogruchotane statki, z obnażonemi masztami, na suchéj ziemi stojące, mnóstwo łodzi, obijaników, czółen, bark, Pińczuki w szarych opończach, z czarnemi pasami,

krzesiwem na rzemyku, z lulką w zębach, z kołtunem długim i poważnym, oparci na wiosłach. Żydzi czatujący u brzegu, goście wysiadający z *pokletów* rohożowych, zaspani po nocnéj żegludze; żydówki zapraszające do karczem, faktorowie rozpytujący się po cichu. Za tło do tego obrazu: woda széroko rozlana, jezioro, błota, daléj piaski i chmurne jak Holandyi niebo, i powietrze gęste, solą przesiąkłe. Życzyłbym malarzowi zrobić widok tego miejsca, osobliwie na wiosnę, kiedy wody puściły i rozlały jak morze, handel ożył, tłumy się cisną do brzegu, tratwy, barki i dęby czarnobylskie płyną, witane i błogosławione przez właścicieli, a cała brudna i zabłocona ludność Pińska stoi, patrzy, żyje tym ruchem handlu i przemysłu. Do tego obrazu, na piérwszym planie, dodaćby trzeba otwartą karczmę z całą rodziną żydowską, kilku panów i Izraelitę w koczu i sobolach, patrzącego z góry na odpływające nadzieje, z taką dumą, z jaką niegdyś jego przodkowie stąpali przez morze Czerwone. Byłby to obraz Teniersa i Rembrandta, gdyby mu zbyteczna jednostajność charakteru nie psuła: bo cóż innego wyczytasz na tych twarzach nad chęć zysku, łakomstwo i chciwość? Od starego żebraka, którego barka rozbiła się niegdyś ze szczęściem razem, zostawując mu żal, kij, torbę w spadku i wspomnienie, aż do dziecka, bachura, czekającego tylko przy szczęśliwéj emancypacyi z pod szpektorskich nauk, wszystko żyje, oddycha zyskiem, pieniędzmi, solą, wódką, żytem, skórami i nadzieją przedaży.

Sklepy kupców pińskich są bardzo zamożne w towary; próba założenia akcyonaryuszów kompanii, nie bardzo się udała, przyjdzie jednak czas, że handel dotąd wyłącznie w ręku Izraelitów zostający, inaczéj się musi rozwinąć.

Wielu obywateli z Pińszczyzny mają tu domy swoje; jeden z nich PP. Skirmuntów jest dość piękny, a nawet jak elegant na wsi, tak on zdaje się wstydzić swojéj pretensyjonalnéj architektury, przy innych domach, które stoją sobie po prostu, jak skrzyneczki na pułkach. Jest tu jeszcze drugi dom PP. Skirmuntów i książąt Lubeckich.

Ale zapomniałem jeszcze o jednéj osobliwości Pińska, o któréj wspomną niezawodnie każdemu nowoprzybyłemu. Jest to starożytność, razem palladium Pińska; jest to ciekawość, ciekawsza od najciekawszych ciekawości, od paryzkiego orangoutanga, od lwów królewskiego ogrodu, od psa Munito, od Albinosa, od niedźwiedzi berneńskich!! A jednak stworzenie bardzo tu pospolite, tutejsze, *oryginalne*; cóż nareszcie?— *Wiun*, wąż-ryba, mieszkaniec błot i rowów nadprypeckich, ale wiun, król wiunów, prapradziad wszystkich, wiun na łańcuchu, gdzieś u jakiegoś mostu będący.

Jeżeli w prostocie ducha uwierzy kto téj powieści, z jakąż radością Pińczuk, który od prapradziadów nauczył się téj mistyfikacyi, będzie go wodził po mieście, krążył z nim, chodził, brnął po błocie, niby szukając tego mostu i wiuna; z jakim potem śmiechem umęczywszy dobrodusznego, powie: »prima aprilis!«

Chłopi tutejszych okolic, choć koło tak handlownego miasta mieszkają, ale rozstrzeleni po wsiach, wśród błot niedostępnych, nie widząc świata, mają dosyć złą reputacyą we względzie usposobień umysłowych. Znajoma jest anegdota. »A z kul czełowiek? —Ja ne czełowiek, ja pińczuk!« I dla tego zowią ich nie ludźmi, ale pińczukami.

II.

»Piński powiat dzieli się swojém położeniem na Zarzecze i Zahorodzie, między któremi w środku miasto jego stołeczne, siedzi poważnie z brodą, na worku soli, z trzosem rubli. Zarzecze, najpuściejsza i najniedostępniejsza część powiatu, jest tém samém najciekawsza, Przerzyna ją mnóstwo rzek, rzeczułek i strumieni; błot, zarośli, czerotów; naliczysz tam: Styr, Pinę, Prypeć, Stubło, Słucz, Stochód, Strumień i wiele innych. Przez pół roku osychając, ta strona utrudnione ma kommunikacye i pustynią się prawie staje; lecz czas, ten wielki twórca cudów, już i tu wprowadził fabryki cukru, fortepiany petersburgskie i magazyny malownicze. Co za kraj gdyby się na nim znali jego mieszkańcy! co za usposobienia handlowe, dane mu od natury! jaka łatwość transportu i spieniężenia produktów, czego tak innym stronom braknie! Tu lepiéj niż żelazne koleje, bo wody nie ocenione mają Zarzeczanie! wody, które tylko zjednoczyć, zlać i poprowadzić potrzeba. Chcąc go w głębi widzieć, z Pińska płynąłem wodą daléj. Nie wiem kogo mam prosić o pożyczenie mi pióra na opisanie téj pustyni czeretów i łozy, jaką przebywałem. Proszę sobie wystawić niby las z plecionéj trzciny, związanéj i pomięszanéj jak włosy w pińskim kołtunie, las bez granic i końca, przecięty gdzieniegdzie korytem rzeki, która wąziuchno, jakby za wielkiem przeproszeniem przepływa zastępy czerotu. W tych czerotach,

że to była jesień, ani komara, ani muchy, ani żywej duszy, ani innego dźwięku, nad szelest poschłych łodyg i liści. W lecie snują się tu ćmy, tłumy wojska komarów nad błotami i rzekami; ale o téj porze w któréj przebywałem Pińszczyznę, byłbym zapłacił za stworzenie, któremuby się można przypatrzeć, któreby brzękiem lub postacią, jednostajność okropną pustyni rozjaśniło. W niedostatku innych przedmiotów, musiałem analizować ubiór i twarze wioślarzy, budowę czółna, nawet pochylenie listków na trzcinie i warkocze poschłe czerotu i spadłe w wodę gałązki i chmury na niebie.

Nareszcie okazała mi się karczemka! i wcale niepospolita, opasana do koła łozą, czerotem, krzakami, które się tu już rozpoczynają i zowią się lasem. Karczemka mała, schylona, nogami w wodzie stojąca; do któréj drzwi od wody kilka schodków prowadzi; nad rzeką, jak gdzie indziéj nad drogą postawiona; a w niéj staruszek siwy, garbaty! cudny staruszek: gdyby do niego była tam jeszcze stara baba, jak w bajce dziecinnéj, byliby mnie do rysowania zmusili.

Przez zakręty z rzeczki w rzeczkę płynąc, takim samym krajem siedm mil przebyłem! i prócz kilku karczem i spotkanych obijaników nic żywego i nowego nie widziałem. Ten kraj wodnisty ma mnóstwo rodzajów czółen do jazdy i transportów; grzechem byłoby ich nie poznać, bo one i wody należą koniecznie do składu całego obrazu. Najmniejsza łódź jest *pławiczka,* na któréj jeden człowiek stojąc się powozi; większa trochę jest *pławica.* Najpowszechniéj używany do mniejszych przewozek i podróży jest *obijanik,* zwany *szuhaleją* lub po prostu czółnem. Robi się on z jednego rozparzonego dębu z obojnikami sosnowemi, unosi od 100 do 300 pud. ciężaru. Wielkie obijaniki, zwane dębami czarnobylskiemi, niosą do 400 pudów. Gdy takim obijanikiem jedzie do Pińska pan obywatel, natenczas dla ochrony od deszczu i wilgoci, kładną *pokłat* czyli budkę na kilku zgiętych kijach, okrytą płótnem, skórą i rohożą plecioną z sitniku. Ta trawa gdy jest bardzo młodą, służy wieśniakom za rodzaj posiłku; wyssyssają z niéj słodycz, któréj dostarcza wypustka młodego. Czerot, którego tu tak wiele, lepiéj od słomy dachy pokrywa i wyborny daje opał.

Po obijaniku następuje *barka,* daleko od obijanika większa i misterniéj zbudowana, mająca już wyraźny nos i tył, niosąca od 3,000 do 5,000 pud. Służy ona do przewozu garnków, beczek, zboża, a przy większych bajdakach do lichtunku czyli ulżenia na płyciznach.

Bajdak największy z tutejszych ambarkacyj, niesie od 9,000 do 13,000 pudów, ma 3 lub 4 maszty. Chodzą zwykle do Krzemieńczuka z wódką, zbożem, drwami nawet, węglami, klepką i obręczami, a wracają nazad z solą; to jest główny handel Pińska, który na wyprzedaży zboża a kupnie soli mianowicie dotąd zawisł. Sól waży się na wisy; sypkie rzeczy przedają niekiedy na miarę zwaną *czasza,* stanowiąca dwunastą część beczki. Garncy aż trzy rodzaje używają; naturalnie, większym Żydzi kupują, mniejszym przedają.

Jak jest właściwy téj stronie handel i przemysł, tak i Poezyą ma swoją; mało ją kto może pozna, ale ja widziałem wszędzie w tych łozach i chróstach, w śpiéwie Knihi i Łożniuchy, w brzęku komarów, w zalanych jak morze błotach, na których wsie jak wyspy stoją.

Kiedym nazad wracając nocą, przez wody rozlane, dopływał do wałów starego zamczyska, i patrzył na mury Jezuitów, na maszty bajdaków, na uwijające się cicho pławice, uczułem całą poezyą tego miejsca. Cóż dopiéro gdy się targ wśród wody otworzył na łodziach! Był to widok nowy i zajmujący dla nas mieszkańców stałego lądu, którzy wody widujem tylko w karafkach na stole; to przypominało morze i dalekie kraje. Alem chciał jeszcze też same strony wśród zimy i zamieci oglądać! Było także co widzieć!

Te ogromne błota, cały ten kraj, pokryty białym śniegiem, nad nim śniegi zawieszone w powietrzu, w około fale śnieżyste; człowiek jadący lub idący wówczas, według tamtejszego wyrażenia znajduje się wśród tak jednostajnéj białości jak w jajku. Jest coś dziwnego w położeniu i uczuciach podróżnego, który dokoła siebie, nad sobą, przed sobą, nic prócz téj białości nie widzi, żadnéj skazówki w drodze, ani drogi nawet, konie idą instynktem. Czasem tylko jeden z tysiąca stogów stojących na błotach, pokaże się i zniknie. Tu jak w lecie płyną, tak zimą jadą po rzekach; one najlepiéj trakt wskazują; można się wprawdzie załamać i utonąć, ale to nie zawsze. Często, długie szeregi furmanek, mimo odwilży, ciągną się przez lody wodą już pokryte, czasem się topią, ale dla tego jadą. Kiedy tylko jakikolwiek rodzaj transportu jest podobny do uskutecznienia w dni targowe, całe te błota pełne są sań lub obijaników: widać że miasto wiele potrzebuje. Przemysł do którego natura sama tyle zrobiła pomocy, powoli się rozwija; kilka fabryk

otworzyło się w tych stronach, mianowicie płótna, cukru burakowego i sukna; ani wątpić nie można, że Pińsk będzie kiedyś ogniskiem handlu na bardzo znaczną przestrzeń kraju, i że sam się podnosząc, podniesie z sobą stan całej okolicy.

Tygodnik Petersburski.

OBRAZY TOWARZYSTWA.

KAWALER DO WZIĘCIA.

POWIEŚĆ.

I.

CZŁOWIEK BARDZO CZUŁY.

Była godzina piąta z południa, gdy pan La Girardiere wszedł do jednéj restauracyi paryzkiéj, w któréj za umiarkowaną cenę można zjeść porządny obiad, i gdzie nie znajdziesz trzpiotów i elegantów wielkiego świata, lecz porządne i dobrane towarzystwo.

Pan La Girardiere skończył już lat czterdzieści i dziewięć, lecz chciałby zawsze uchodzić za mężczyznę mającego dopiero lat trzydzieści i gotów był czynić co tylko można, aby tego dokazać. Nie jest bardzo przystojnym, lecz wzrost ma średni, a dla ukrycia dobréj tuszy, któréj zaczyna dostawać, nosi bardzo obcisłe suknie; ma bure oczy otoczone czerwoną prążką; lecz dla tego nosi okulary i nigdy ich nie zdejmuje; nos ma płaski, podbrodek zbyt kończasty, usta za wielkie; lecz ułożył sobie, zawsze uśmiechającą się postać i nigdy jej nie zmienia, chyba w jakim nadzwyczajnym przypadku. Nareszcie, jest to człowiek ubrany zawsze jak najstaranniéj i chlubi się z tego że nie nosi peruki; wprawdzie jego jasne włosy bardzo przerzedziły się na wierzchu głowy, lecz za to zapuszcza te, które jeszcze rosną nad uszami i zarzuca je na bok, dla zasłonienia czoła, które staje się niezmiernie wysokie.

Widać z tego opisu że pan la Girardiere pragnie podobać się, że ma bardzo czułe serce, że uwielbia płeć piękną, i że miłość była głównem jego zatrudnieniem.

Mało jest osób, któreby nie znały tego słodkiego uczucia i nie poświęcały mu kilku chwil życia. Nawet i ludzie zajęci innemi namiętnościami jeszcze znajdą w sercu swojém miejsce dla miłości, bo, jak powiada Wolter: *Trzeba kochać, to nas utrzymuje, a bez kochania smutno jest bydź człowiekiem.*

Lecz pan La Girardiere może aż do zbytku trzymał się tego prawidła. Od dzieciństwa okazywał już czułość swoją, uwielbiał ptaki, kochał koty. Przez ośm dni opłakiwał zgon swego pieska. Doszedłszy do młodzieńczych lat, zajął się służącą swoich rodziców. Mały La Girardiere zawsze przesiadywał w kuchni, i ażeby częściej miał do czynienia z Barbarką, umyślił uczyć ją po łacinie.

Podczas gdy Barbarka skubała gołąbka albo siekała potrawkę, chłopaczek przysuwał się do niéj mówiąc: *Amo*, Barbarko, *amo te*, ach! czy chcesz koniugować ze mną słowo *amo*?

—»Co to jest: co to znaczy to amo? przecież ja nie jestem panicza mamą.

—»Nie o tém jest mowa; mówię do ciebie po łacinie, chcę nauczyć cię abyś mówiła, kocham cię! językiem umarłym!

—»A niech mię Bóg broni gadać językiem umarłych; ja z umarłemi nie chcę mieć do czynienia.

—»To nic nie szkodzi, o Barbarko! o *mulier*, *mulieris!*

—»No i dla czegóż mię pan przezywasz? Ja się nie nazywam się mulier, ale Barbara Desmignart.

—»To nic nie szkodzi, jesteś kobiéta: o Boże! kobiéta.

—»Ja jeszcze jestem dziewczyną nie zaś kobiétą; co też pan gadasz? Daj mi pan pokój, zepsuje się wieczerza.

—»Powtórz więc za mną *amo*, *amas*, *amat*, uściskam cię za to.

—»To dobre! albożto chłopaczki w wieku panicza powinny myśleć o takich rzeczach?

—»Nie wiesz Barbarko, że *Formosum pastor Coridon...*

—»Nie znam tych jegomościów, co mi tam po nich; lecz jeżeli mi panicz nie dasz pokoju, spali się pieczyste, przydymi się potrawka, a państwo będą mię łajali.

—»Aby ich uspokoić, powiesz im przynosząc gołąbki: *jus hoc est coena*, mój ojciec zdziwi się niezmiernie i uraduje.

—»*Jus hoc!* ach mój Boże! nie spamiętam tych wyrazów. I przyrządzając wieczerzę Barbarka bezustanku mruczała sobie, *już hak u syna...* to dobrze. A gdy przyszło dać wieczerzę i wszyscy zasiedli do stołu, Barbarka przyniosłszy jedzenie, rozdziawiła gębę i zaczęła krzyczeć Jus, Jus! Nie spamiętała daléj, a matka małego łacinnika przerwała jéj mówiąc, to dobrze, Barbarko, wiemy że *już jest na stole.*

Lecz gołąbki były spalone, a potrawka przydymiona. Połajano kucharkę, ona zaś tłumacząc się rzekła:

— »Jest to wina panicza, bezustanku przesiaduje w kuchni, chce mię uczyć po łacinie, ja zepsułam wieczerzę powtarzając łacińskie wyrazy.

Rodzice nie chcieli aby ich kucharka uczyła się po łacinie i psuła obiad, odprawili więc Barbarkę a mały La Girardiere musiał gdzie indziej zwrócić swoje miłostki.

Takie początki oznajmiały młodość oddaną uciechom i miłości, a jednakże inaczej się stało; gdyż nie dosyć na tém, ażeby niezmiernie bydź tkliwym i zapalać się do wszystkich kobiét, które nie są bardzo bzydkie: potrzeba jeszcze posiadać dar albo talent podobania się, a tego właśnie brakowało panu Teofilowi La Girardiere, mimo wszelkich jego usiłowań.

W dwudziestym roku życia, młody La Girardiere miał zawsze pięć lub sześć romansów na sercu. Tylko co wyszedł na ulicę, już znalazł przedmiot miłości. Jeźli kobiéta jako tako przystojna, okryta wielkim szalem, spojrzała na niego przypadkiem, już wystawiał sobie że się nim zajęła i nawzajem już się w niéj zakochał. Wtedy szedł za nią i prawie następował jéj na pięty. Mówił do niéj kilka wyrazów, bardzo dowcipnych podług swego mniemania, a w istocie niedorzecznych, jak wszystkie w podobnéj okoliczności. Nie odpowiadano mu albo proszono bardzo sucho, aby sobie poszedł; lecz nie ustępował, szedł za damą, czekał na ulicy jeźli weszła do sklepu, porzucał ją dopiéro wtenczas, gdy weszła do domu, i to jeszcze długo stał przede drzwiami, rozumiejąc że dama wyjdzie znowu; a wtedy sądząc że zna jéj pomieszkanie, troskliwie zapisywał numer jego, i odchodził mówiąc do siebie: często będę tu przychodził, zobaczę jak wyjdzie i pójdę za nią. I to jest co pan Teofil Girardiere nazywał romansem. Tym sposobem za każdém wyjściem na ulicę zawiązać można pięć albo sześć romansów. Na to tylko trzeba mieć dużo czasu do stracenia i dobre nogi.

Lecz Girardiere strawił najpiękniejsze lata na chodzeniu za kobiétami w krótkich lub długich szalach, w kapeluszach a nawet i czepeczkach, a nie mógł zawiązać ani jednéj miłośnéj intrygi; zmartwiony tak niepomyślnym skutkiem usiłowań swoich, umyślił zmienić plan wojny i postanowił bywać w towarzystwach, spodziewając się iż tam lepiéj mu się powiedzie, niżeli na przechadzkach i miejscach publicznych.

Girardiere miał jaki taki majątek, z łatwością zatém przyjęty był w wielu domach, zapraszany na bale, na wieczory muzykalne i tym podobne zabawy.

Oprócz tego był to człowiek dobrze wychowany, nie był nawet zupełnym głupcem i byłby może zdołał podobać się bez téj nieszczęśliwéj manii zawracania głowy wszystkim kobiétom, manii, którą czas powiększał zamiast poprawiania i którą umacniały niepowodzenia.

Miłośne spojrzenia, pretensye, wzdychania, przyniósł do towarzystw; łatwość rozmawiania z damami które mu się podobały, wzbudziła w nim nadzieję, że prędzéj dojdzie do celu życzeń swoich, że łatwo zawiąże miłośną intrygę, a chcąc wynagrodzić czas stracony, ledwie trzy razy był w jakim domu, już cztérem kobiétom oświadczył że je kocha.

Biédny Teofil popsuł wszystko zbytecznym pośpiechem. W ogólności kobiéty nie lubią tych którzy im się narzucają.

Jest sposób przyśpieszenia intrygi miłosnéj, lecz nie polega bynajmniéj na bieganiu za wszystkiemi kobiétami, na ściskaniu ich za ręce i na wpatrywaniu się w nie bez przerwy, jak gdyby kto miał szklanne oczy.

Bawiono się jego westchnieniami i oświadczeniami. Jego czułość poszła w przysłowie, a śmieszność którą ściągnął na siebie, stała się przyczyną, iż żadnéj kobiéty podbić nie mógł.

Co wieczór biédny chłopiec wracał do domu mówiąc sobie: »To rzecz dziwna, rzecz osobliwa, że nie mogę zostać zwodzicielem, a jednakże czynię co tylko jest w mojéj mocy!... Ale kobiéty lękają się mnie... O! widzę, że się boją aby mnie za bardzo nie pokochały.

Pozostawała mu jedna pociecha, która jest osłodą wszelkich trosk naszych. Miał on matkę która go czule kochała, upatrywała w nim wszystkie zalety, doskonałości, mniemała, że cały świat tak sądzić powinien. Mieszkała ona przy synu i bardzo rzadko wychodziła z domu. Lecz wieczorem gdy zabierał się do wyjścia, dobra matka mówiła patrząc na niego z uwielbieniem.

—»Idziesz na wieczór?

—»Tak jest, moja matko.

—»A nic dobrego! jak się bawisz, jak się bałamucisz! założyłabym się że masz pełno miłostek.

—»Ach! mamo co za myśl! Girardiere uśmiechnął się na te słowa, przeglądał się w zwierciedle, układał włosy, poprawiał kołnierzyk, a stara matka mówiła daléj.

—»O! nie chcesz się przyznać... Lecz z resztą dobrze robisz... baw się mój synu, korzystaj z młodości, jesteś ładnym

chłopcem. Możesz zawracać głowy kobiétom.

—»Tak ci się zdaje? odpowiadał Teofil z miną znaczącą: i ja tak sądzę.

—»Czy mi się zdaje!.. ho!.. łotrze.... powinieneś wiedzieć że mam słuszność: tego tylko żądam mój kochanku, abyś nie wdawał się w niebezpieczne bardzo przygody. Bo jak wiesz nie wszyscy mężowie są kontenci gdy... rozumiesz mię... a przytém nie powracaj zbyt późno mój maleńki; nie zawsze jest bezpieczno na ulicach Paryża.

Girardiere zaspokajał troskliwość matki i wychodził bardzo kontent z tego co powiedziała; miło mu było, że jeszcze nazywa go maleńkim, chociaż tył coraz bardziej; lubił słuchać że mu radzi korzystać z młodości, chociaż miał już lat trzydzieści sześć; zbiegał w susy ze schodów śpiewając jak ośmnastoletni chłopak, czasem nawet skakał po trzy schody na raz, a to dla tego że matka nazwała go maleńkim.

Lecz mimo tak pochlebnego mniemania pani Girardiere, syn jéj nie był szczęśliwszym; jego tryumfy ograniczały się na kilku trąceniach wachlarzem; kilka siniaków na ręce były nagrodą jego śmiałości. Gdy jaka ładna kobiéta mocno uszczypnęła go w rękę, Teofil za powrotem do domu czemprędzéj zdejmował suknię i przypatrywał się siniakowi, a potém mówił do siebie: »Jest znak! o, tak mię uszczypnęła, chce zapewne żebym ją pamiętał! O nie dobra!...

Te były jedyne względy, któremi mógł się pochlubić.

Nie utrzymujemy jednakże, iż ten czuły człowiek nie znał wcale słodyczy miłości. Miał był kilka kochanek, lecz nie z rzędu tych, które można wprowadzić w towarzystwo, i w tych przemijających związkach był także nieszczęśliwym a gdy po kilkunastu dniach znajomości mówił do siebie:

»Sądzę że jestem bezinteresownie kochany, sądzę iż byłaby mi wierna, nawet chociażbym był ubogim: odbierał bilet z oświadczeniem, iż ważne powody i okoliczności zniewalają do zerwania z nim wszelkich stosunków.

Niemiła to rzecz odbierać takie bilety, a zwłaszcza gdy kto mniema, że istotne obudził przywiązanie. Girardiere zdarł z gniewem ten bilet i mówił do siebie:

»Dalibóg, dobrze zrobiła.... jużem jéj nie mógł cierpieć... nigdym jéj nie kochał, byłbym z nią zerwał lada dzień, uwolniła mię od tego kłopotu... Interesowana kobiéta, ach! to nie była miłość, to uczucie które wzbudzić pragnę, o którém marzę od piérwszéj młodości. Ach! gdyby kobiéty wiedziały ile moje serce objąć może miłości!.... rzekłyby do mnie: jesteś idealnym człowiekiem! wzorowym kochankiem, przyjęłyby mię w swoje objęcia. Na nieszczęście nie można tego wyczytać z naszéj twarzy.

Teofil Girardiere zaczynał znowu wzdychać w salonach, albo towarzyszyć damom na przechadzkach. Ale czas upływał, czas, ten nielitościwy starzec któren niczyich proźb nie wysłucha. Otóż więc, pan Girardiere doszedł a potém przeszedł lat czterdzieści, już był niedaleko pięćdziesięciu; a chociaż jego stara matka, któréj oczy osłabły a głowa się trzęsła, mówiła mu zawsze:

—»Korzystaj z twojéj młodości, mój maleńki! baw się rozpustniku, ale nie powracaj zbyt późno! Girardiere postrzegał, że młodośc swoją tracił razem z włosami które wypadały i nie odrastały więcéj, co mu zagrażało iż będzie łysym, pomimo wszelkiéj staranności z jaką zaczesywał na przód głowy, ostatnie kępki włosów z boku i z tyłu.

Wówczas, czuły ten człowiek, któremu nie powiodło się zostać bałamutem, a któren jednakże zachował w głębi serca przywiązanie do płci pięknéj, umyślił ożenić się.

Przez długi czas Girardiere żartował ze związków małżeńskich i śmiał się z mężów. Ale teraz, widząc że nie pozyska kochanki, umyślił pojąć żonę.

Pewnego zatém poranku, powiedziawszy dzień dobry swojéj staréj matce, Girardiere zaczął pokasływać kilkakrotnie, przechadzał się po pokoju, a zaczesawszy na czole dwa kosmyki włosów, które uporczywie spadały mu na kołnierz, zbliżył się do krzesła matki i rzekł do niéj:

—»Kochana mamo, chciałbym ci powiedzieć pewną rzecz.

—»No, cóż takiego mój maleńki? słucham ciebie, może mi opowiesz jaką awanturkę, któréj byłeś bohatérem! O! ty nic dobrego.

Girardiere uśmiechnął się, gdyż miło mu było że go nazywają nic dobrego, chociaż wiedział aż nadto, iż nie ma za co: jednakże odpowiedział:

—»Nie, kochana mamo, nie o to idzie... o rzecz daleko ważniejszą... o rzecz bardzo ważną, bo wreście powiem ci mamo, umyśliłem ożenić się.

—»Ożenić się? co ty, rzekła dobra staruszka, z wykrzykiem podziwienia. O Boże! ale cóż ci przyszło do głowy? Chcesz się żenić!.. Ty, coś zawsze mówił, że chcesz zachować twoją wolność. Tak je-

steś szczęśliwy! tak się bawisz... tyle masz kochanek.

—»Tak jest... wiem o tém wszystkiém... lecz na ostatek znudzi życie kawalerskie. Wszystkie te płoche miłostki zostawiają czczość w sercu... żona zaś i dzieci, które mię pieścić będą, staną się dla mnie źródłem nowych przyjemności. Nazwisko ojca rodziny jest bardzo szanowne, i dalibóg umyśliłem to samo zrobić co i drudzy.

—»Ożeń się jeżeli ci się podoba, nie będę ci przeszkadzać; ale nie ma nic pilnego, masz na to dosyć czasu.

I dobra stara lekko trącała ręką policzki swego syna, a gdyby jeszcze miała dość siły, byłaby go wzięła na kolana. Dla niéj był on zawsze małym Teofilkiem, ukochanym syneczkiem; nie pamiętała że ten syneczek ma już czterdzieści dziewięć lat; nie uważała iż się starzeje; zawsze był w jéj oczach młodym i ładnym. Słodki skutek przywiązania macierzyńskiego! Matka zawsze spogląda na dzieci swoje, oczyma serca.

Lecz Girardiere patrzał tylko własnemi oczyma, nie mógł ukrywać przed sobą że młodość jego już uciekła, i dla tego odpowiedział matce:

—»Powtarzam ci mamo, sprzykrzyło mi się kawalerskie życie; z radością wyobrażam sobie jak będę szczęśliwy w pożyciu z żoną, która mię będzie kochać i mieć około mnie jak najczulsze starania. Dalibóg, kiedy już kto postanowi co czynić, nie powinien odwlekać.

—»Dobrze więc, mój maleńki, skoro tak myślisz, ożeń się, wybierz sobie towarzyszkę także przyjemną, kochającą; znajdziesz kobiét ile sam zechcesz, ale nie bądź łatwy w wyborze. Czy już masz co na oku?

—»Nie kochana mamo, nic jeszcze nie mam na oku... lecz sądzę, że tylko mieć będę kłopot w wyborze. Mam tysiąc talarów dochodu... miałem więcéj, lecz nieszczęśliwie powiodły mi się moje spekulacye; wreście, tysiąc talarów dochodu jest to jeszcze dosyć ładna kwota, a zwłaszcza gdy kto jest zdrów, czerstwy, przystojny.

—»Powinieneś znaleźć żonę przynajmniéj z stoma tysiącami franków posagu, moje kochane dziecię.

—»Tak sądzisz mamo? tak jest, sto tysięcy franków to czyni ledwie 5,000 fran. procentu; lecz z resztą jeżeli znajdę osobę która mi się podoba, nie będę dbał o kilka tysięcy franków mniéj lub więcéj. A ja chcę mieć bardzo ładną żonkę.

—»Masz słuszność, a prócz tego kto jest ładnym chłopcem jak ty, ma prawo przebierać... O nic dobrego! kiedy się dowiedzą w świecie że chcesz ożenić się, wszyscy ojcowie i matki będą ubiegali się o ciebie; ale ci powiadam, nie śpiesz się.

Girardiere przekonany był że znajdzie wielką liczbę partyi, bo w Paryżu trudniéj jest o mężów jak o kochanków, i bardzo poszukują tego, kto oznajmi odważne postanowienie pojęcia żony. Mówił sam do siebie: »Nie miałem romansów, ponieważ mi los nie sprzyjał; ale kiedy powiem iż chcę się żenić, o! to rzecz inna. Wszystkie panny, wszystkie wdówki zaczepiać mię będą.«

Ale Teofil nie pomyślał sobie: »Wkrótce zacznę rok pięćdziesiąty, jestem prawie łysy, mam twarz pomarszczoną, czerwone oczy i nos jak gula; nie jestem dowcipny, nie posiadam żadnego przyjemnego talentu, a pełen jestem pretensyi.«

II.

KAWALER DO WZIĘCIA.

Tak więc, pan Teofil Girardiere, pokazuje się w towarzystwach, z nowém zaufaniem; daleko śmieléj lornetuje młode osoby, a pomijając wszystkie damy zamężne, tkliwie wzdycha i słodkie spojrzenia rzuca na panienki.

Wkrótce rozpostarła się nowina że pan Girardiere szuka żony, że pan Girardiere chce się żenić. Przy nim mówią o tém po cichu, a głośno kiedy go nie ma.

Wiadomość ta zrządziła w istocie znaczną zmianę w postępowaniu wielu osób względem niego. Dziewczęta zwracają nań uwagę, czego nie czyniły wprzódy; patrzą na niego ukradkiem i szepcą pomiędzy sobą gdy wnijdzie do salonu, lecz ich postrzeżenia wcale nie są z korzyścią dla pana Girardiere.

—»To ten pan, któren chce się żenić.

—»Jabym go nie chciała.

—»Ani ja.

—»Jest stary, brzydki i minę ma głupowatą,

Jedna lub dwie przydały:

—»Ach! gdyby jednak był bogatym.

—»Ale nie jest bogatym!

—»Już oświadczył się z tém, że nie kupi kaszmiru swojéj żonie. A więc ani powozu!... ani brylantów!..

—»Ma się rozumieć.... Ten człowiek nie pozwoli na krok wychodzić z domu, aby nie wydawać pieniędzy.

—»A przytém, jeźli pójdzie z żoną na teatr, weźmie bilet na galeryą. Ach! jak to byłoby przyjemnie.

Śmieją się te dziewczęta, lecz ponieważ matki spoglądają na nie surowym wzro-

kiem, przygryzły sobie usta i chcą ukryć swój szyderczy humor.

Girardiere nie sądząc iżby można było śmiać się z niego, zbliża się do grona młodych dziewcząt, uśmiechając się, kołysząc, i przewracając oczy. Oparłszy się o poręcz krzesła, mówi przeciągając wyrazy, jak gdyby się obawiał czyli go nie dosłyszą.

—»I cóż... panny nic nie robią?

Panna Anastazya, najśmielsza z pomiędzy nich, odpowiada przygryzając sobie usta:

—»I cóż pan chcesz abyśmy robiły, proszę pana?

Girardiere zadziwił się tą odpowiedzią i pomyślawszy nad nią odpowiada:

—»Ach! ja nic nie chcę.... Myślałem tylko... iż może nudzicie się panie, nic nie robiąc.

—»Nigdy nie nudzimy się; nie prawdaż moje panny?

—»Zapewne! tyle jest do widzenia w salonie... tyle można czynić postrzeżeń.

—»Ach! czynicie panie postrzeżenia. Do kata! lecz to nie każdy czynić może! To wymaga pewnego taktu, pewnéj trafności umysłu!

—»A więc pan sądzisz że ich nie mamy?

—»O nie, bynajmniéj.... nie o tém mówiłem. Proszę mniemać.... iż.... przeciwnie.... sądzę w ogólności.... że....

—»Nie wiem, czy ten pan sam wie dobrze, co myśli o nas; rzekła mała brunetka wyszydzającym tonem.

—»Jaki dowcip! zawołał Girardiere obracając się do młodego człowieka który stał przy nim. Młody człowiek odchodzi w złym humorze, niby nie słysząc go... kocha bowiem jednę z tych panienek i lęka się, aby Girardiere nie zażądał jéj ręki

—»Bawmy się w gry! rzekła jedna, a żywa Anastazya odpowiada: —»Dobrze, bawmy się w gry.

I przydaje po cichu: »Jeżeli ten pan zechce grać z nami, będziemy bawić się jego kosztem.«

Stało się to co przewidziały. Girardiere pomyślał: »Otóż mam wyborną sposobność do pogadania, do zapoznania się z temi pannami. Przy grach towarzyskich, śmieją się, żartują, pozwalają sobie różnych niewinnych poufałości, z których poznać można charakter. I rzekł:

—»Jeżeli panie pozwolą należeć do ich gier, umiem bardzo ładne pokuty.

—»I owszem graj pan z nami, bardzo dobrze.

Dziewczęta rozsunęły koło dla zrobienia miejsca temu panu, który chce się bawić w gry niewinne. Nie sam tylko Girardiere należy do tego grona, jest kilku młodych ludzi, którzy tam są na miejscu bardzo właściwém dla siebie; jeszcze bowiem nie skończyli lat dwudziestu pięciu. Nasz stary młodzik spogląda na nich i nie może utaić przed sobą, że co do wieku mają wyższość nad nim, lecz myśli sobie: żaden z tych młodych ludzi nie chce ożenić się.... a przez to właśnie mam nad niemi wielką przewagę.

»W cóż grać będziemy? zawsze pytają się o to, przed zaczęciem gier niewinnych.

Każdy doradza grę jaką; dziewczęta obrały cenzurowanego. Naprzód Anastazya usiadła na stołku, potém ładna blondyna, po niéj blada panienka ze smętnem spojrzeniem: na każdą z nich Girardiere powiedział tak aby go słyszano.

—»Panna jest bardzo piękna i przyjemna.

Za czwartym razem jemu kazano siedzieć na cenzurowanym i przyjął to z radością.

—»Co też powiedzą o mnie? pomyślał sobie, a panna Anastazya śmiejąc się zbierała cenzurę.

Aby tém więcéj podobać się pannom, Girardiere przekonawszy się dotknięciem lewéj ręki, że jego zaczesane i umuskane kosmy z tyłu głowy nie spadły na kołnierz, uśmiechał się jak mógł najprzyjemniéj i spoglądał kolejno na dziewczęta, zatrzymując wzrok na najpiękniejszych.

Mówił sam do siebie: »Odemnie zależeć będzie wybierać pomiędzy niemi. Rodzice tak pragną wydać za mąż swoje córki. Pewien jestem, że skoro tylko oświadczę się, przyjmą mię bez wahania; tak pragną zostać mężatkami!.... A teraz powiedzą mi wiele grzeczności, aby mię skłoniły na ich stronę.

W téj chwili panna Anastazya zebrała cenzurę, zbliża się do pana Girardiere i mówi głośno i wyraźnie:

—»Powiadają o panu że masz duży niezgrabny nos.

—»Powiadają o panu że jesteś łysy.

—»Powiadają o panu że masz wielkie uszy.

—»Powiadają o panu że wyglądasz jak chińska figurka.

—»Powiadają o panu iż powinieneś nosić perukę.

—»Powiadają o panu że nie jesteś pięknym. Nareszcie powiadają o panu, że nie jesteś młodym.

Gdyby jaki malarz chciał był przez ten czas schwycić rysy pana Girardiere, byłby postrzegł na nich osobliwsze grymasy. Biedny kawaler śmiał się, lecz za każdym przydatkiem zmieniała się jego fizyonomia; nos mu się krzywił, czoło się marszczyło

i wszystkie nie miłe wzruszenia, których doznawał a które chciał ukryć, wykazywały się zamiast uśmiechu.

Jedna z panien ulitowała się nad nim i rzekła do niego:

—»Pan wie, że w téj grze wolno żartować; a że to się mówi dla zabawki, nie należy gniewać się...

—»Ja też się bynajmniéj nie gniewam.. naprzykład.... to rzecz zabawna.... bardzo dowcipna....

—»Niech pan zgaduje?

—»O nie! nigdybym nie zgadł. Wszystko mięszam.

—»Jeżli pan zechce, to powtórzę; mówi żywa Anastazya.

—»Nie, nie, bardzo dziękuję, byłoby to napróżno, nie umiem grać w cenzurowanego.

Niewinne gry nie przypadły mu do smaku. Lecz proponowano dawać fanty, to go zatrzymało jeszcze, gdyż pomyślał sobie: Będą się ściskać, to rzecz zabawniejsza niżeli cenzurowany; znudziłem się przy jednéj grze, muszę mieć korzyści drugiéj.

Wkrótce rozkazano *odźwiernego*, *podróż do Cytery*, *skryte pocałowanie* i inne tym podobne pokuty. Panu Girardiere kazano bydź odźwiernym; widział jak wszyscy wchodzili do gabinetu, ściskali się, on zaś ciągle stał przy drzwiach i tak się nudził jak na cenzurowanym.

Nareście pewna dama, matka jednéj z dziewcząt, ulitowała się nad tym panem, który ciągle stoi przy drzwiach i weszła do gabinetu, a potém uchylając drzwi, zawołała: —»Proszę odźwiernego.

Girardiere obrócił się i uściskał ją z wielkiém zawdzięczeniem, a potém oddalił się od młodzieży i przyłączył się do starszych osób. Już dosyć bawił się w gry niewinne.

III.

PROŹBA O RĘKĘ.

Za kilka dni po tém, Girardiere ubrany starannie, odwiedził dawnego majętnego kupca, którego córka miała lat ośmnaście, piękne oczy, małe usta, małą rękę, małą nóżkę, lecz nie uchodziła za dowcipną.

Po rozmowie dość obojętnéj jak to bywa pospolicie, Girardiere przystąpił nareszcie do przedmiotu i tonem oznaczającym zaufanie w sobie samym rzekł:

—»Panie Grandvillain, nie słyszałeś zapewne, iż umyśliłem ożenić się.

Pan Grandvillain (był to ojciec panienki) ruszył głową na znak że nie wie o tém i obracając się do żony, która trzymała pieska na kolanach i pieściła go rzekł do niéj: Moja kochanko, czy słyszałaś, że pan Girardiere chce się ożenić.

Jejmość podnosi głowę, szuka chustki, zażywa tabaki i odpowiada nareszcie.

—»Zemirka nic nie je od dnia wczorajszego; nie chce nawet cukru, chociaż go tak lubi; boję się czy nie jest chora.

Pan Grandvillain widząc że jego żona tak jest zajęta psem swoim, nie ponawia zapytania i zaczyna poprawiać ogień na kominku.

Girardiere mówi daléj:

—»Tak jest panie Grandvillain, chcę ożenić się, wyrzekam się pustot kawalerskiego życia, odtąd będę jedynie zajmował się żoną i dziećmi które mi niebo dać raczy; bezwątpienia musi to bydź największą rozkoszą dla człowieka.

Pan Grandvillain ciągle poprawia na kominku, jako człowiek którego ta rzecz wcale nie obchodzi. Pani Crandvillain wlepiła oczy w Zemirkę i nie słuchała co kto mówi.

Girardiere ucieszony swoim wstępem, dumnie podniósł głowę i przydał:

—»A teraz panie Grandvillain przystępę do celu moich odwiedzin, celu któren odgadujesz zapewne.

Stary skinął głową, iż nic nie odgaduje.

—»A więc wytłómaczę się. Masz piękną córkę panie Grandvillain; jest ona wzorem wdzięków i piękności, uprzejma, światła, dobrze wychowana, najtrafniéj i najsprawiedliwiéj przyrównać ją mogę do jéj szanownéj matki.

—»Trzeba jéj będzie położyć plaster na krzyżu, rzecze pani Grandvillain kładąc rękę na głowie suczki.

Girardiere zatrzymuje się zdziwiony, lecz zbiera myśli i mówi daléj.

—»Nie mogłem obojętnie patrzeć na tyle powabów; uczułem tę miłość czystą i szlachetną, jaka przystoi człowiekowi chcącemu zostać ojcem rodziny. Nareście panie Grandvillain przychodzę prosić pana o rękę panny Heleny córki waszéj.

Pan Grandvillain opuszcza głowienkę, którą trzymał cęgami i obracając się do Teofila mówi: —»Prosisz mię pan o rękę mojéj córki, a dla kogo?

Pytanie to dowodziło, że stary jegomość nie słuchał albo nie zrozumiał co do niego mówią. Girardiere uważa to za rzecz bardzo dziwną i czémprędzéj przydaje.

—»Dla mnie panie, dla mnie, Teofila Girardiere. Znasz mię od tak dawna i musisz wiedzieć ile wart jestem.... Sądzę że nie potrzebuję wyliczać moich przymio-

tów; lecz śmiem zapewnić, iż córka pana będzie ze mną szczęśliwa.

Pan Grandvillain przygryza sobie usta, wystawiając wargę niższą: co nadaje jego fizyomii wyraz nie bardzo pochlebny dla tych, którzy czekają na odpowiedź. Stary jegomość bierze cęgami głowienkę i odpowiada po jednêm słowie:

—»Ach! chcesz ożenić się z naszą córką, ach! ach! Joanno przynieś mi drewek.

Joanna przynosi drewka, pan Grandvillain poprawia na kominku i mruczy po cichu: —»Chcesz ożenić się z naszą córką. Trzeba powietrza z pod spodu, bo się nie będzie palić.

—»Przyznać potrzeba, że to są ludzie dosyć nudni, pomyślał sobie Girardiere, ale ich córka jest bogata, ładna, przystojna. Trzeba nie zważać na to; jak się ożenię, to niechaj papa poprawia na kominku, a mama pieści Zemirkę ile im się podoba.

—»Basiu, rzecze pan Grandvillain po długiéj przerwie, oto pan Teofil Girardiere, nasz znajomy od dwudziestu i pięciu lat, prosi o rękę naszéj córki.

Basia ciężko wzdycha i odpowiada.

—»Gdyby jéj dano trochę białego mięsa, możeby jadła.

Girardiere tupnął ze złości, a suczka zaczęła szczekać; pani Granvillain krzyknęła i ledwie że nie płacze; z gniewem spogląda na tego który przestraszył jéj Zemirkę i rzecze do niego bardzo oziębłym tonem:

—»Mości panie, dla czego tupasz!.. to bardzo niegrzecznie.... nie należy tupać w salonie. Zemirka nie jest nazwyczajona do tego. przestraszyłeś Wpan nieboraczkę, aż jéj się sierć najeżyła... jest chora... a z przestrachu jeszcze bardziéj zachoruje.

Girardiere uczuł iż błąd popełnił; chwila zniecierpliwienia może go wiele kosztować; chcąc wynagrodzić swój błąd, czémprędzéj rzecze:

—»Ach pani! bardzo żałuję, jestem w rozpaczy, kurcz nagle mię schwycił... Jak ładna suczka!.. zlękła się... ach! biedaczka... to nie chcący, jak śliczny ma ogon.

Teofil posuwa rękę chcąc pogłaskać Zemirkę; lecz suczka zaczyna mruczyć, a pani Grandvillain cofa się z krzesłem mówiąc:

—»Daj jéj pan pokój!... daj jéj pan pokój! nie lubi pana, widać to od razu.... Nie przybliżaj się, będzie warczyć.

Girardiere oddala się z pokorną miną i zbliżywszy się do pana domu, rzecze:

—»Nie odpowiedziałeś pan na moje oświadczenie względem pięknéj panny Heleny. Cóż mam z tego wnosić?

—»Mój kochany panie, myślę nad niém... jesteś niedość już młody dla naszéj córki.

—»Będę tém troskliwiéj usiłował podobać się.

—»Nie posiadasz wielkiego majątku.

—»Mam ile potrzeba na moje utrzymanie, a z jéj wnioskiem będziem mieli dosyć oboje. Nie lubię zbytków.

—»Może jéj się nie podobasz?

—»Śmiem pochlebić sobie, że się podobam.

—»No to zobaczymy. Ja nie będę przeciwnym. Znam oddawna twoją familią, wiem że jesteś człowiekiem słusznym... a że moja córka jest bardzo rozsądna, może jéj się podobasz.

Girardiere uniesiony radością, chętnie rzuciłby się w objęcia pana Granvillain, lecz widząc że trzyma głowienkę w cęgach: poskramia swoje uniesienie, aby nowego błędu nie popełnił.

W téj chwili panna Helena weszła do salonu. Była to młoda dziewczyna, obdarzona tym szczęśliwym charakterem, którego nic nie zmartwi, nic nie zasmuci, wesoła, bez trosk, nie romansowa, nikim się dotąd nie zajęła, myślała tylko o chwilowéj rozrywce nie pamiętając o dniu wczorajszym, nie troszcząc się o jutro. Ładna była i wiedziała o tém; lecz nie była zalotną, bo nie pragnęła podobać się więcéj jednemu niżeli drugiemu. Śmiała się, gdy kto na nią spoglądał z westchnieniem.

Osoba z takim charakterem weźmie męża, nie zważając wcale czy jest młody czy stary, ładny czy brzydki; pójdzie za mąż, aby się ubrać w ślubną suknię, bydź królową wesela; zmieni stan z taką radością, jakiéj doznają dzieci, gdy im powiedzą, że się przeprowadzą do innego mieszkania, nie pytając się co z tego wyniknie.

Panna Helena weszła do salonu śpiewając i skacząc, uściskała matkę, pogłaskała Zemirkę, a potém wzięła ojca za głowę i pocałowała go w czoło. Girardiere wstał i uczynił głęboki ukłon połączony z przymileniem nieskończenie trwającém. Tymczasem pan Grandvillain skinął na córkę, pochyliła się ku niemu, rzekł jéj coś do ucha, a nasz kawaler do wzięcia pomyślał: —»Założę się, że papa mówi jéj o mnie.

W rzeczy saméj panna Helena podniosła oczy i przypatrując się Teofilowi, któren przybrał romansową postawę, rozśmiała się w głos, lecz rzekła potém po cichu:

—»Ach mój Boże! to mi wszystko jedno czy z tym panem czy z innym. Nosi okulary..., bardzo mię to będzie bawiło mieć męża z okularami.... A więc ożeń nas mój papo, już oddawna chciałam bydź na weselu. Ach! ożeń nas, będą mię nazywać panią.

Panna Helena wychodzi z salonu, podskakując i nucąc piosneczkę.

Girardiere nie mógł dosłyszeć jéj odpowiedzi, lecz zdaje mu się, że jéj wesołość dobrą jest wróżbą; zbliża się więc do pana Grandvillain.

—»Mówiłem o tobie z moją córką, rzekł stary znowu biorąc cęgi

—»I cóż odpowiedziała?

—»Nic złego.... Nie czuje ku tobie wstrętu.

—»Co! panna Helena powiada żem jéj się podobał.

—»To jest.... powiada że... Joanno! przynieś drewek... poszłaby za ciebie dosyć chętnie... Drewek twardych Joanno.

—»Ach panie! jestem szczęśliwy!

A Girardiere w uniesieniu radości nagle odsuwa krzesło chcąc schwycić rękę starego jegomości; krzesło upada, suczka zaczyna znowu szczekać a pani Grandvillain woła:

—»W istocie, mój panie, zdaje się że to czynisz z umysłu; chcesz zabić moją suczkę!... Ta biédna Zemirka już zaczynała drzémać... i takeś ją nagle zbudził... opuściła uszki, sama nie wie co się z nią stało. Patrz jak drży jéj ogonek.

Girardiere podejmuje krzesło z miną bardzo żałośną i przeprasza za błąd swój; chce prowadzić rozmowę z panem Grandvilliere, lecz ten zabiera się do drzymania i żegna Teofila, mówiąc mu. —»Przyjdź do nas za kilka dni ... pogadam z żoną.... damy ci ostatnią odpowiedź.

Girardiere kłania się aż do ziemi pani Grandvillain i jéj suczce, znowu poleca się staremu jegomości i odchodzi pełen nadziei; bo skoro tylko panna nie sprzeciwia się, rozumie że już ułatwił największą trudność i że reszta pójdzie sama przez się.

Wraca do domu uradowany, przegląda się w zwierciedle, wyobraża sobie iż mu włosy odrosły i śpiewa przy swojéj staréj matce:

„Już się stało!... Pojmę żonę."

—»Czy jużeś wybrał? mój maleńki?

—»Tak jest, kochana mamo, poszedłem dzisiaj, oświadczyłem się, podobałem się pannie, a z tego wnoszę że przy drugiéj wizycie powiedzą mi: Jest twoją.

—»Za bardzo spieszyłeś się mój chłopcze, powinieneś był dać sobie czas do wyboru.

—»Nie żałuję mego wyboru, panna Helena Grandvillain jest ładna... bardzo ładna... ma rysy dowcipne... wesołe... złośliwe... O! założę się że jest dowcipna... a do tego ma przeszło 120,000 franków posagu nie licząc nadziei.... zdaje mi się, że powinienem bydź kontent.

—»Ależ mój maleńki i ta będzie bardzo szczęśliwa, która ciebie dostanie za męża. Czyliż to za nic liczysz?

—»Kochana mamo, pochlebiasz mi trochę.

—»Powiadam ci że jesteś prześlicznym; muszę cię znać, wszakże jestem twoją matką.

Dwa dni upłynęły; lecz trzeciego już nie mogąc wytrzymać, Girardiere bierze czarny garnitur i idzie do pana Grandvillain.

Stary jegomość siedział przy kominku, lecz nie było jego żony. Teofil wszedł zatém ze śmielszą miną i zapytał się ojca Heleny, czy może pochlebiać sobie, że wkrótce zostanie jego synem?

—»Mój kochany panie Girardiere, rzekł pan Granvillain bawiąc się cęgami; nie mam nic przeciw tobie... wiem że jesteś słusznym człowiekiem, a do tego twój wiek dojrzały byłby dla mojéj Heleny rękojmią bezpieczeństwa. Moja córka nie czuje ku tobie wstrętu... ona z resztą kocha każdego... jest to najlepsza dziewczyna, jaką kiedykolwiek znałem.

—»A więc mogę spodziewać się.....

—»Nie, mój kochany panie, nie ożenisz się z moją córką.... bardzo tego żałuję; lecz moja żona odmawia ci jéj ręki, ponieważ dwa razy przestraszyłeś jéj suczkę i bardzo nie podobałeś się Zemirce.

Girardiere stanął osłupiały; tak pewnym był swego, iż to odmówienie tém boleśniéj go zmartwiło. Nareście rzekł:

—»Jak to panie, z przyczyny suczki, nie przyjmują mię za zięcia?

—»Tak jest kochany przyjacielu.

—»Lecz panie, człowiek słuszny więcéj zasługuje na wzgląd aniżeli pies.

—»Ach! cóż robić... moja żona bardzo kocha swoją suczkę.

—»I ja bym ją kochał.

—»Lecz ona ciebie nie kocha.

—»Może z czasem, ciasteczkami.

—»Jużem ci powtórzył odpowiedź mojéj żony. Jak raz co postanowi, już tego nigdy nie zmieni; a więc trudna rada. Żegnam cię kochany panie. Joasiu przynieś drewek.

Girardiere wyszedł w bardzo złym humorze. Nacisnął kapelusz na oczy a zstępując po schodach mówił: —»Przeklęta Zemirko! gdybym cię złapał... dopiérobyś zaskowyczała.

Nie dostać bogatéj i ładnéj żony, dla tego że się kto nie podobał suczce jest to rzecz bardzo przykra, a zwłaszcza gdy mniemał że wszystko już się ułożyło jak najpomyślniéj.

(*Dalszy ciąg nastąpi*).



KORYNT.

KORYNT.

Podróżny, któren w piękny dzień wiosenny płynie po morzach Grecyi i z daleka widzi rozbijające się fale o kręte i urozmaicone nadbrzeża, patrząc się na tę bezpieczne zatoki, na te wyspy rozsiane po morzu zdoła jeszcze przenieść się myślą do bohatyrskich czasów téj poetycznéj krainy: bo jeźli potęga ludzi znikła, wieczne i ciągle odradzające się wdzięki czarodziejskiéj natury, zawsze zdobią starożytną Helladę. Nadewszystko, w środku zatoki Sarony, największego dozna złudzenia; widać ztamtąd i cytadellę ateńską i wzniosłe góry Salaminy, i Egenę i jéj zagasłe wulkany i opustoszałe zwaliska, Megary i świeże gaje Epidauru.

W zachodniéj zwłaszcza stronie, massa wzniosłych gór czarnych, z rozdartemi szczytami, jak fale oceanu podczas burzy, zwraca jego uwagę: panują one nad szarym i płaskim kawałem ziemi ciągnącym się ku południowi: są to góry Derwendu i międzymorze Koryntu.

Tam zmierzał mój statek popychany lekkim wiatrem, pełnym woni sąsiednich sosen, Wiatr ustał nagle i musieliśmy szukać schronienia w małéj najbliższéj zatoce. Przypadek posłużył nam w tym razie. Ledwie kilka kroków postąpiliśmy, ujrzeliśmy piękne wijące się ścieszki piaskiem wysypane, wzgórza i doliny połączone z niewymowną sztuką, kępy zieloności z doskonałą harmonią zasadzone: taki to widok, natura sama sobie zostawiona, przedstawiła nam w pobliskości wioski Kułudżyk. — O pół mili od morza zbudowana, ta wioska godna jest tak pięknego krajobrazu; domy są porządne, żywym płotem otoczone: jest to osada Albańczyków. Wypoczęliśmy tam przez chwilę, najęliśmy kilku wioślarzy i o dziesiątéj wieczorem zawinęliśmy do Kalamaki. Noc była bardzo ciemna i ledwie mogliśmy dojrzeć drewniane domy wioseczki, gdy w tém ujrzeliśmy błysk długich pistoletów i jatagany błąkających się Pallikarów, którzy wi-

dząc że łódź nasza zbliża się do brzegu, czatowali na nią. —»Czyja to łódź? zawołał głos mocny i chrapliwy. —»Moja, odpowiedziałem. —»To bydź nie może, jesteś Frankiem a ta łódź jest grecka. —»Tak, jestem Frankiem, Frankiem którego powinieneś szanować.« Śmiałość nasza zrządziła pożądany skutek. Kleftowie oddalili się z wszelkiemi oznakami uszanowania i rzucili się na drugą łódź która także przybiła do lądu; dowiedziałem się że biédny właściciel téj łodzi został przez nich zrabowany i zabity.

Napisałem natychmiast z Kalamaki do pana Fabrycyusza, dowódzcy cytadelli korynckíej, prosząc go o muły i o straż, gdyż niczego nie było można dostać we wsi. Noc przepędziliśmy w łodzi, nazajutrz o świcie poszliśmy ścieszką prowadzącą do Koryntu. Z Kalamaki do tego miasta jest trzy godziny drogi, idzie się między krzakami koło obszernych zwalisk amfiteatru. Zbliżając się do miasta, spotykamy wiele budowli rzymskich; miasto jest z téj strony zasłonione górą Akrokoryntu. O godzinie ósméj rano byliśmy u podnóża góry, a zostawiwszy miasto po prawéj stronie, zaczęliśmy się wdzierać do cytadelli. Ta wspaniała warownia leży na górze z kwarcu, którego pokłady są bardzo regularne. Zupełny poziom od strony północnéj, tém wyższą ją czyni, od południa i zachodu są wzgórza tegoż samego kształtu, lecz nie połączone z górą Akrokoryntu. — Jechaliśmy na mułach, po ścieszkach niezmiernie przykrych i ostremi kamieniami posianych.

Rządzca Akrokoryntu, pan Fabrycyusz, młody officer szwedzki, był w bardzo smutnym stanie zdrowia, skutkiem febry epidemicznéj, która od najdawniejszych czasów niszczy tę krainę; mieszkańcy przypisywali ją niegdyś gniewowi Medei, a rozsądniéj znaleźć mogli jéj przyczynę w zaraźliwych wyziewach bagna Stymfale. Podczas naszéj bytności, bardzo wiele żołnierzy z załogi wymierało na tę chorobę. Pan Fabrycyusz leżał w łóżku, wycieńczony licznemi krwi upuszczeniami, które są jedynym ratunkiem. Oświadczył nam że wkrótce porzuci ten smutny kraj i wróci do Szwecyi żyć na łonie rodziny.

Zastępca gubernatora ofiarował nam się za przewodnika. Pokazał nam przy bramie, marmur, na którym wyryte były i opasane laurem, nazwiska zwycięzców na igrzyskach istmijskich. Całe wywyższenie gdzie leżał ten kamień, pokryte było kapitelami i ułamkami kolumn, lecz małego rozmiaru. Zdaje nam się, iż tam niegdyś stała świątynia; naprzeciwko w dolinie, między dwoma wzgórzami, widać było szczątki małego miasteczka Akrokoryntu. Domy stojące jedne nad drugiemi dają mu postać dosyć odznaczającą się. W kilku domach mieszkali żołnierze, reszta była zupełnie pusta. Ulice zarosły zielskiem tak, iż przez nie przejść nie można. Wygodne schody tegoczesnéj budowy zaprowadziły nas na plac dosyć obszerny. Tam łatwo było rozpoznać fundamenta kościoła. Jeszcze przez pół godziny wdzieraliśmy się na wierzchołek góry. Tam ujrzeliśmy sławny zdrój Pyreny i ślad kopyta Pegaza, który podług mitologii dał jéj początek. Zdrój jest bardzo słaby i tylko nie można pojąć jakim sposobem znajdować się może na samym szczycie góry. Ślad kopyta Pegaza jest w rzeczy samej podobny do podkowy i w jego obwodzie mogłoby stanąć z pięćdziesięciu ludzi. Z tego miejsca czarowny jest widok na całą krainę, a zwłaszcza jeźli go ozdobimy urokiem starożytnych wspomnień.

Niemniéj przykra była nasza droga, gdyśmy zjeżdżali na dół, lecz bez przypadku dostaliśmy się do podnóża góry, a ztamtąd pojechaliśmy do właściwego Koryntu. Działanie czasu, a zwłaszcza szkodliwsze jeszcze spustoszenia, konsula Mumiusza, Alaryka, Stylikona, Rogiera, Mahometa II, pana z Champlite, Komandora Vaugeras, nareście klęski ostatniéj wojny, prawie zrównały z ziemią powiérzchnią Koryntu. Stoi jeszcze kilka kawałów tegoczesnych murów na małém wywyższeniu, widać siedm kolumn złotawego koloru, szczątki świątytyni Junony, lecz gdzież znaleźć świątynię Cerery, Jowisza i Minerwy, gdzież są chłodne cienie fontanny Lirry i Dedala? Wszystko to znikło, dzika płaszczyzna zarosła zielskiem, a na zwaliskach świątyni Wenery, stoi zbudowana mała kapliczka: oto są jedyne szczątki Koryntu.

Rząd grecki umieścił prefekturę w Koryncie; prefektowi życzyć trzeba, ażeby miał kim zarządzać, cała bowiem okolica jest zupełnie spustoszona i bezludna.

Dość wcześnie przyjechaliśmy do małéj wioseczki Examili, osady amerykańskiéj, założonéj za staraniem pana Howe, członka komitetu tegoż narodu: mała ta wioska składa się z dwoch rzędów domów porządnie zbudowanych, w niéj zebrały się szczątki ludności Koryntu, lecz niszcząca febra tak dalece je wytępiła, że z 200 mieszkańców ledwie dziesięć zostało.

OBRZĘD RELIGIJNY W KAJRZE.

Święto urodzin Mahometa, obchodzą muzułmanie przez dziesięć dni i dziesięć

nocy. Między ich obrzędami religijnemi wowéj epoce, jest jeden bardzo dziwaczny, o którym opowiada podróżny angielski pan Seane.

Szejk derwiszów Sadi-yech, który jest kaznodzieją meczetu Hassana, pojechał konno od meczetu aż do domu El-Bekri, gdzie mieszka przełożony wszystkich derwiszów w Egipcie. Ten Szejk jest to człowiek z siwą brodą, szlachetnéj i przyjemnéj postaci. Tego wieczora miał na sobie białą szatę i torban z muślinu ciemnego. Tylko co wyjechał, mnóstwo derwiszów z Saadi-yech pośpieszyło za nim. Niedaleko od domu El-Bekri zatrzymał się orszak. Derwisze i inni wierni w liczbie sześćdziesięciu, położyli się na brzuchu jedni przy drugich, z wyciągniętemi nogami i z rękami podłożonemi pod czoło. Wymawiali słowo Allach. Dwunastu innych derwiszów, prawie wszyscy bosi, zaczęli biedz po grzbiecie swoich towarzyszów, uderzając w mały bębenek i wołając także Allah. Szejk nadjechał wówczas; koń jego nie chciał z razu tratować tych ludzi leżących na ziemi, lecz nareście ciągniony naprzód i podniecany zaczął deptać ten żywy pomost, nie bardzo będąc przestraszony i stąpając z góry. Widzowie krzyknęli natychmiast Allach! Nikt z leżących nie okazał znaków cierpienia. Lud poczytuje ten obrządek jako cudowny, i mniema iż się odbywa bez żadnego przypadku, na mocy nadzwyczajnéj władzy, nadanéj Szejkowi derwiszów. Wierni mniemają także, iż cudowna modlitwa którą odmawiają pacyenci, ochrania ich od boleści. Podług zdania niektórych, koń nie jest kuty, lecz postrzegłem że tym razem miał podkowy. Był tylko średniéj wielkości. Przydają także że jest wprawiony do tego stąpania: możnaby tak mniemać: wiemy bowiem że konie mają wrodzony wstręt do tratowania ludzi.

Tenże podróżny był świadkiem takiego obrzędu w rocznicę Mirah, czyli wniebowzięcia proroka. Leżało przeszło stu derwiszów, raz tylko spiął się koń i uderzył kilku w głowę, lecz żaden z cierpiących nie okazał znaku boleści, a w miarę jak Szejk postępował, derwisze wstawali i wesoło mieszali się z gromadą idącą za Szejkiem. Nasz podróżny uważał jednakże, że jeden z nich śmiał się przymuszonym śmiechem i zdawało się że jest ranionym.

MANSZESTER

JEGO POCZĄTEK, WZROST I STAN OBECNY.

Prawie każdemu z czytelników znane jest nazwisko tego bogatego miasta; wyroby Manszestru krążą po całym świecie; żyje tam ludność niezmiernie pracowita i przemyślna. Podróżny udając się do tego ogniska cywilizacyi, mniema, że tam znajdzie nietylko wspaniałe i obszerne gmachy, lecz przytém lud wesoły, szczęśliwy; że dobry byt i zdrowie maluje się na wszystkich twarzach; iż ujrzy piękne dzieci, bogate ubiory, połączenie porządku i świetności, słowem coś podobnego do miasta holenderskiego w wieku XVII, pomyślność, bogactwa, oszczędność i swobodę.

Drogi są przepyszne, bystre konie niosą podróżnego. Dym gęsty oznajmia bliskość rękodzielnego miasta. Wioski są jeszcze piękne, grunta dobrze uprawne, a te ładne domki, ta wytworność życia wiejskiego, uwodząca wyobraźnią cudzoziemca, daje mu poznać proste i wykształcone razem obyczaje, połączające dobry byt i zamożność, z zamiłowaniem w naturze i poezyi domowego zacisza. Jednakże, im bardziéj się zbliża, tém rzadsze są chaty: wkrótce zajmują ich miejsce karczmy i szynkownie. Otóż jest przedmieście wielkiego miasta w całéj szpetności i w smutnéj czynności swojéj; hałas się pomnaża, podróżny już jest w środku miasta. Cóż znaczy ta głucha i żałobna wrzawa? W jakież piekło dostał się? Wszędzie łachmany, wynędzniałe twarze, chrapliwe głosy, oczy zagasłe i zapadłe, dzieci chorowite i na pół nagie, kobiéty niepodobne do kobiét, a gromady szaleńców przebiegają ulice i żądają chleba. Jest to rozruch głodu, najuporczywszy ze wszystkich. Piekarze przedają chléb za zniżoną cenę; gmin rabuje jatki rzeźników. Kobiety zachęcają mężów i na placu publicznym rozdzielają pomiędzy dzieci swoje, zdobycz rabunku. Okropny to widok! zwierzęca potrzeba, pragnienie i głód, zniewala czterdzieści tysięcy robotników do wydarcia chleba bogatym.

»Toż to jest, zawoła podróżny, bogate miasto Manszester? Zbytek i nędza, obfite wyroby i cierpienia bez granic! Najczynniejsze miasto rękodzielniane na całym świecie, to które najwyżéj wzniosło się w przemysłowym zawodzie, w takimże jest stanie? Jego czterdzieści tysięcy robotników są nędzniejsi niżeli niegdyś byli niewolnicy Rzymian i Greków. Bankructwo grozi właścicielom rękodzielni.



OBRZĘD RELIGIINY W KAJRZE.

Cały ten ogrom machin, cała ta niezmierna produkcya przynosi w ostatecznym rezultacie pracę bez końca i nędzę bez ratunku. W historyi nowożytnych narodów; nie ma smutniejszego zjawiska i zagadnienia, któreby z większą trudnością rozwiązać można. Przemysł i handel podpadają nieuchronnym paroxyzmom, życie przemysłowe postępuje od jednych zdobyczy do drugich, od boleści do boleści. Pracować, produkować, to jest cel jego; a skoro tylko konsumcya nie wyrównywa produkcyi; skoro ustaje odbyt, natychmiast obarczone jest własną pracą i przygniecione produktami swojemi.

Przed kilką miesiącami przestraszały mieszkańców Manszestru, sceny któreśmy opisali powyżéj. Przebiegnijmy roczniki tego miasta z ostatnich lat trzydziestu, a zobaczymy, że też same klęski ponawiają się prawie przez pięć lat, a to z coraz większą wściekłością.

W r. 1808 rzemieślnicy burzą się i żądają podwyższenia zapłaty.

W r. 1812 rabują składy, niszczą machiny; sąd wdaje się w tę sprawę; czterech mężczyzn i jedna kobieta skazani są na śmierć.

W r. 1817 pomnaża się niedostatek, 80 bankructw następuje; jazda wezwana jest do rozproszenia tłumu robotników i 367 nędzników oddanych jest pod sąd przysięgłych. Też same rozruchy z większą jeszcze gwałtownością ponawiają się w r. 1818.

W 1825 i 1826 powraca klęska z nadzwyczajną mocą. Otwierają sklepy w których darmo rozdają żywność 14,000 robotnikom pozbawionym pracy przez nieczynność warsztatów. Lecz to wszystko jest nadaremném. Wojsko przychodzi na pomoc zwierzchności i muszą podwoić opłatę na ubogich, która wynosiła w samém mieście 2,550,000 franków

Toż samo dzieje się w 1831 i 1832.

Przez takie to peryodyczne konwulsye, ofiary i udręczenia, wzrasta pomyślność Manszestru. Gdy tak smutne wypadki dzieją się w jego murach, gdy biedni nie mają chleba i opału; wzmaga się kapitał miasta, towary zrobione rękoma tych nędzarzy rozchodzą się po całym świecie i nie można zaprzeczyć ani postępów massy, ani nieszczęść pojedynczych osób. Możnaż to nazwać postępem? jestże to zbawienny skutek cywilizacyi? Trzebażli przypisać te skutki nierozwadze robotników, ich obojętności na czas przyszły, ich zbytecznemu nagromadzeniu na jedném miejscu, nadmiarowi produkcyi, współubieganiu się i zawiści przedsiębierców? Wszystkie te przyczyny łączą się razem, lecz najważniejszą z pomiędzy nich jest brak moralnego postępowania, tak ze strony właścicieli fabryk, jak ze strony robotników. Fabrykant chcąc taniej produkować i zgnębić swoich rywali, zmniejsza zapłatę robotnika i uciemięża go bez litości. Robotnik zniecierpliwiony, w rozpaczy, niszczy machiny, rabuje składy. Skoro okaże się potrzeba nowych produktów, robotnicy porzucają warsztaty i chcą większéj płacy, a nawzajem fabrykant oddala robotnika i zostawia go bez żadnego sposobu, skoro tylko doświadczy chwilowego zatamowania odbytu. — Tak więc ta walka interesów, które właśnie w porozumieniu bydź powinny, niszczy jednych i drugich. Przykre i niezbezpieczne to położenie, pogorsza się jeszcze przez chciwość kapitalistów, którzy pożyczają pieniędzy pomniejszym łakomym spekulantom, i za najmniejszym znakiem złego stanu handlu, odbierają im ten jedyny zasiłek. Ale cóż kogo obchodzi to szaleństwo, ta wściekłość spekulacyi? Rząd angielski nie miesza się do tych działań, nie kładzie im tamy, i dla tego powstają towarzystwa dla wydobywnia min których nigdy nie było; dla kopania kanałów które są tylko na papierze; dla budowania miast które ledwie w trzy wieki zaludnione zostaną; dla budowania dróg żelaznych po których nigdy ani jeden wóz nie pojedzie; dla tego nędza idzie za czynnością i spekulacyą. Nie dosyć na tém, owe bezużyteczne prace tworzą urojony kapitał, któren służy za warsztat dla ażjoterów. Urojona wartość podnosi się i spada podług ich widoków i w końcu przywodzi do ubóstwa ludzi rzeczywiste posiadających kapitały, którzy się stają ich ofiarą.

Głównym przeto celem bydź powinno, przy wzroście moralności w narodach; postawić tamę zgubnym i podstępnym spekulacyom, uwolnić klassy przemysłowe od drapieztwa ażjoterów, zapobiedz zgromadzaniu się robotników grożącemu tak okropną katastrofą; używać ich kolejno do prac rolniczych i rękodzielnych, których zbawienne połączenie pomnaża czerstwość ciała i duszy: czego jest dowodem Szwajcarya i Niemcy. Nie dość jest zakładać kassy oszczędności, ale trzeba nauczyć ludzi jakim sposobem można oszczędzić; nie dosyć jest zakładać sale przytułku, ale trzeba wskazać jakim sposobem można obejśdź się bez nich.

Pod tym względem, przemysłowe miasto Manszester nie okazało światłéj troskliwości. Nigdzie nie ma więcéj i lepiéj utrzymywanych zakładów miłosiernych i szkółek, lecz wątpimy aby te zakłady przyłączyły się do rozwinięcia w klassach przemysłowych tego uczucia moralności, którego braku niczém zastąpić nie można. Przeszło 33,000 chłopców i dziewcząt chodzi do szkółek niedzielnych. Więzienia urządzone są wzorowym sposobem; więźniowie pracują i zarabiają znaczną kwotę. Lecz te wszystkie usiłowania, czyliż przykładają się do rozwinięcia umysłu dzieci, zawcześnie skazanych na zbyteczne prace, czyliż zapobiegają występkom i usuwają ich przyczynę? Bynajmniej. Liczba uwięzionych wyrokiem sądu wzrasta corocznie, tak iż od r. 1800 do 1835 r. blisko cztéry razy się powiększyła.

Miasto Manszester zasięga odległéj starożytności. Założyli je Bretonowie uciekający przed orężem Agrykoli. Zwane było Mancenion to jest miejsce pokryte namiotami. W wieku siódmym już było w kwitnącym stanie; lecz w r. 870 Duńczycy najechali to miasto. W średnich wiekach było własnością feodalnych baronów. Za czasów Henryka VIII już było zna-

cznem miastem handlowém, a w epoce wojen domowych trzymało stronę Karola I. Od połowy 17 wieku zaczyna się ciągły wzrost ludności, bogactwa i przemysłu Manszestru. Wychodzcy z Niderlandów przenieśli swoje rękodzielnie do Anglii i mianowicie osiedli w okręgu Manszester. Lecz najbardziéj wzrosło w przeciągu lat ostatnich sześćdziesięciu; w 1771 ludność parafii wynosiła 41,037 dusz, a w 1831 270,363, od tego czasu przybyło 700 nowych ulic a co czyni najmniéj 42,000 mieszkańców.

Manszester jest ogniskiem wyrobów bawełnianych, te fabryki zatrudniają główną część ludności i są najcelniejszą gałęzią przemysłu tego miasta i jego okręgu. W tem miejscu stósowną będzie rzeczą skréślić historyą tych fabryk i ocenić ich ważność. Początek wyrobów bawełnianych zasięga bardzo odległéj starożytności. Pochodzą z Indyi; między r. 912 a 960 Maurowie Hiszpanii wprowadzili do Europy fabryki wyrobów bawełnianych i na żyznych płaszczyznach Walencyi trudnili się uprawą jedwabiu i bawełny. Grenada, Sewilla i Korduba posiadały bogate rękodzielnie, lecz z upadkiem Maurów upadł ten przemysł w Hiszpanii. W cztérnastym wieku znajdujemy ślady fabryk bawełny we Włoszech, Szwabii, ztamtąd przeszły do Holandyi i Flandryi, nareście do Anglii, gdzie w kilka wieków potém, sztuki mechaniczne i machiny parowe nadały im wyższość nad wszystkiemi innemi. — Lecz nim doszły do tego stopnia pomyślności, ileż to wysileń, ileż walk znieść trzeba było! Najwięcéj zaszkodziły im wyroby fabryk indyjskich, których delikatność tém bardziéj wykazywała niedokładną robotę wyrobów angielskich. Nie dostawało przędzonéj bawełny, a zapłata prządków i prządek wyrównywała zapłacie tkaczy. W 1677 wprowadzono do Anglii 1,978,359 funtów bawełny, 1764 r. 3,870,892, 1790 r. 31,500,000 a w 1800 56,000,000. Tak nagły wzrost w przeciągu lat trzydziestu, pochodził ztąd, iż w owym czasie wynaleziono machiny do przędzenia, za pomocą których jedna osoba może tyle uprząść ile dawniéj 200 osób uprzędło na warsztatach ręcznych; od tego czasu fabryki angielskie szybko wzrosły i już się nie obawiały indyjskich. Nazwiska Jana Wyat, Arkwrighta, i Samuela Crampton wynalazców coraz to doskonalszych machin do przędzenia bawełny, na zawsze słynąć będą w historyi przemysłu Anglii. Umiejętności przyłożyły się także do ulepszenia fabryk wyrobów bawełnianych. Bielenie chlorkiem uchroniło je od wpływów niestałéj pogody. Drukowanie perkalów na cylindrowych walcach także doznało znacznych ulepszeń. Dziad Roberta Peel sławnego statysty, zbogacił się przez użycie tego wynalazku. Farbierstwo także posunęło się ku doskonałości; teraz bawełniane wyroby angielskie w niczém nie ustępują indyjskim i perskim.

Lecz nie same tylko fabryki bawełniane kwitną w Manszester. Wyroby jedwabne stanowią także bogate źródło jego dochodów, ilość ich i odbyt ciągle wzrasta. Ludność Manszestru wynosi 180,000 mieszkańców, jest w nim 300 machin parowych i 30,000 warsztatów.

Pozostaje nam jeszcze namienić o charakterze i obyczajach robotników. Bezwątpienia, robotnik angielski nie ma tyle pojętności ile francuzki, lecz dzięki licznym szkołom rzemieślniczym, jest oświeceńszy. Klassa prostych robotników wydała najznakomitszych wynalazcow machin, których nazwiska przytoczyliśmy powyżéj. Głównym przymiotem angielskiego robotnika jest cierpliwość bez granic, niezwalczona żadnemi trudnościami. Na nieszczęście, gruba wada ćmi te przymioty, i czyni go częstokroć złym ojcem i złym mężem. Wadą tą jest pijaństwo. Porzucać robotę i trwonić w szynkowni owoc kilkudniowéj pracy, jest to najmilsza rozrywka angielskiego robotnika; jego połowica nie jest wolna od téj wady, za przykładem męża lubi namiętnie rum i jałowcówkę.

Robotniczki angielskie piękne są w młodych latach, lecz poszedłszy za mąż, prędko bardzo starzeją się i więdną.

NOWE DZIEŁA,

Klechdy, starożytne podania i powieści ludu polskiego i Rusi, zebrał i opisał Kazimierz Władysław Wojcicki, Warszawa 1837 *dwa tomy, cena złp.* 15

Co mi tam po grubych i niedorzecznych baśniach gminu, którémi niańki usypiają dzieci, albo którémi bawią się dziéwki wiejskie napędzone do kądzieli w długich zimowych wieczorach! —takby zapewne przed dwudziestą laty odezwał się niejeden miłośnik i autor wytwornéj literatury salonowéj, możeby nawet okiem nie rzucił na książkę, która w sobie zawiera powieści, pieśni, albo przysłowia ludu. Jakże przez same odskoki postępuje umysł ludzki! Nieokrzesany i prosty, zachwyca się największą dwornością i wyszukaniem, które aż do śmiesznéj drobiazgowości posuwa. Znudzony, wycieńczony na téj nie-

wdzięcznéj niwie, przerzuca się w drugą ostateczność; szuka najdzikszych obrazów, najgwałtowniejszego wydania namiętności; aż nareście, po długiém błądzeniu, umiarkowany, zwraca się zwolna na drogę prawdy i natury. Smiem pochlebiać sobie, że wstąpiliśmy już w ten trzeci pożądany okres. Znamy wartość poezyi i podań ludu, i oprócz przyjemności którą nam ich czytanie sprawuje, umiemy z nich wyprowadzić ważne historyczne i filozoficzne postrzeżenia. Powtórzę więc tylko powszechne zdanie, oddając sprawiedliwość pracom P. K. Wład. Wojcickiego, który w ciągu nie spełna dwoch lat, już trzeciém dziełem w tym rodzaju zbogacił naszą literaturę, to jest: dał nam *Przypowiesci*, *Pieśni ludu*, a teraz jego *Podania* i *Powieści*. O dwoch piérwszych dziełach napiszemy w następnych zeszytach; teraz zastanowiemy się nad *Klechdami*.

We wstępie do dzieła wykazuje autor ważność tych pieśni, przedmiot ich i rodzaje. »Klehdy, mówi, podzielić można na trzy części. Do piérwszéj należą starożytne podania słowiańskich jeszcze wieków, powieści o powietrzu, wichrze, wiłkołaku i t. p. Do drugiéj, osoby wprawdzie historyczne, lecz o których milczą kroniki, albo małe dają objaśnienie, tu należą zapewne najstarożytniejsi bohatyrowie, mężowie olbrzymiéj siły, których pamięć zachował lud w osobach Wali-góry i Wyrwii-dębu, sławnego rozbójnika Madeja, a w końcu czarodzieja Twardowskiego. Do ostatniego i najliczniejszego rodzaju, należą powieści o czarach i czarownicach, o zaklętych królewicach i królewnach i t. p.

We wszystkich rej wiodą bujne marzenia wyobraźni i cudowność. Wyobraźnia ludu tak jest pełną téj cudowności, że ją wszędzie znajduję, i nią tłomaczy każde nadprzyrodzone zjawisko. Ta uwaga naprowadza autora do zamieszczenia we wstępie, poetycznéj powieści Serbów o Trojanie, ich starodawnym władzcy, który znieść nie ógł promieni słońca. Z klehdów przedchrześcijańskich jedna dochowała się w kronikarzach naszych, o Walgierzu i Heligundzie, i tę położył autor we wstępie do dzieła, jako nie z ust ludu powziętą, lecz z piśmiennych zabytków.

Tom piérwszy Klechdów obejmuje dwie części: piérwsza składa się z dziesięciu, druga z pięciu powieści, do każdéj są przypisy.

Nietylko badacz starożytnych zwyczajów i zabytków, lecz każden czytelnik, a nawet i taki, któren saméj tylko rozrywki szuka w książce, z przyjemnością przeczyta Klechdy P. Wojcickiego. Niejednemu odswiéży się słodka lat młodocianych pamiątka, kiedy niejedna z tych powieści była jego piérwszą zabawką, piérwszą że tak rzekę literaturą. Powieści o morowém powietrzu, istotnie poetycznym duchem napełnione, wskazują jak okropne zniszczenie rozpościerała ta klęska po kraju; niech nam jednę wolno będzie przytoczyć.

Co do innych Klechd, równie zajmujących i pięknem wysłowieniem zaleconych, odsyłamy czytelników do samego dzieła, które zapewne znajdować się będzie w ręku wszystkich miłośników literatury naszéj.

F. S. D.

POWIETRZE.

Siedział wieśniak pod modrzewiem, słońce piekło jakby ogień. Patrzy zdala, że coś idzie; patrzy znowu — to niewiasta!

Cała płachtą obwiniona, na wysokich nogach chodzi. Zląkł się zrazu, chciał uciekać; ale widmo długą ręką zatrzymało zlęknionego.

—»Znasz powietrze? — Ja to jestem! Weźże mię na barki swoje i obnoś: nie pomijaj wioski, miasta; bo wszędy zawitać muszę. Ty nie lękaj się niczego, zdrowy będziesz wśród umarłych.«

I długie ręce przewiesza na szyję biednego kmiecia. Szedł więc; lecz zdziwiony, że ciężaru nic nie czuje, spojrzy za się: ale widzi, że na barkach siedzi widmo.

Przyniósł najwpierw do miasteczka. Po gospodach tańcowano, wesołość na każdéj twarzy. Ledwie zatrzymał się w rynku, niewiasta powiała płachtą; wnet ustały rzeźwe tany i wesołość znikła z twarzy. Kędy spojrzy, wystraszony; niosą trunny, w dzwony dzwonią, cały cmentarz napełniony; nie ma już gdzie grzebać ludzi!

Na rynku stosami trupy leżą, nagie, niegrzebione!

Poszedł daléj. Gdzie wieś przejdzie, tam zostaną puste domy: z bladém licem, drżąc z bojaźni, uciekają ze wsząd ludzie; a po drogach, lasach, polach, konający w bólach krzyczą.

Na wysokiém wzgórzu stała wioska jego, kędy mieszkał wieśniak, co nosił *powietrze*; tam miał żonę, drobne dziatki i stare rodzice swoje.

Zakrwawiło mu się serce; więc okrąża wioskę swoją: silnie pochwycił niewiastę, by mu z barków nie uciekła.

Spojrzy: widzi *Prut* niebieski, za nim wszędzie coraz wyższe stoją góry zielonawe; daléj czarne, aż najwyższe białe śniegiem. Spieszy więc do rzéki; skacze, ca-

***

ły się zanurza chcąc utopić i niewiastę, by ochronił od pomoru i od klęski ziemię. Sam utonął: lecz powietrze, nie ciężyło i utonąć też nie mogło, przestraszone tą odwagą, uciekło w lasy na góry!

Tak ocalił swoją wioskę, rodzice, żonę i dziatki, i resztę téj ziemi, gdzie nie poniósł złéj niewiasty.

Pisma rozmaite autora Pana Jana ze Świsłoczy, Wilno, w drukarni A. Marcinowskiego 1837. *Tom Iszy str.* 211, *Tom IIgi str.* 339 *in* 12.

Zeszyt 16 wileńskich Wizerunków naukowych, taką daje nam wiadomość o tém dziele, które jeszcze do Warszawy nie doszło.

W piérwszym tomie są powieści, w drugim teatr naśladowany z pana Scribe.

W tomie piérwszym zawierają się dwie części *Pani Kasztelanowéj*, czyli tak nazwane dwie powieści: piérwszą ma za tytuł *Pan Wojski*, druga *Państwo Cześnikowstwo*.

Treścią tych scen, trafnie wystawionych, jest obraz domowego wiejskiego życia, pokolenia które już po większéj części wygasło.

Pan Władysław, młodzian pięknych przymiotów, który w uniwersytecie wileńskim stopień kandydata filozofii otrzymał i zamierza sobie udadź się do stolicy państwa, dla wejścia do służby Monarszéj, odwiedza domy wiejskie powinowatych i przyjaciół swoich rodziców. Widzimy go najpierwéj wysiadającego przed gankiem domu pana Wojskiego, któremu gdy oświadczył, iż był synem dawnego przyjaciela jego i współtowarzysza służby książąt Radziwiłłów, rządny ten, uprzejmy i dobroduszny ziemianin, przyjmuje go z serdeczną gościnnością, zaprasza na przepędzenie dni kilku w swoim domu, i w czasie téj gościny opowiada o swoich rodzicach, o swym dziecinnym wieku, o wychowaniu domowém, o wyprawie na dwór książęcy, tudzież o wysługiwaniu się od pokojowca aż do stopnia dworzanina, potém deputata na trybunał, chorążego pancernego i koniuszego, gdzie się czynniejszy zawód dla młodzieńca otworzył, w którym spełniając poruczenia dawane sobie, sprawując się bacznie i uczciwie, pozyskuje względy książęce, zapomaga się jego dobrodziejstwami, żeni się nakoniec z jedną z panien z orszaku księżnéj hetmanowéj, osiada we własnéj szlacheckiéj, dobrze zagospodarowanéj majętności, i tam służąc przyjaźnie domowi książąt Radziwiłłów, dobroczyńców swoich, współobywatelom i krajowi, błogie życie przepędza.

Jest to zaiste, chociaż nie obraz wykończony w szczegółach i drobnych odcieniach, ale szkic biegłą skréślony ręką, z największą prawdą wystawujący oryginały. Zwłaszcza, kiedy autor wprowadziwszy nas na dwór książąt Radziwiłłów, opisuje jego zwyczaje, urządzenia i pamiętniejsze obchodzone tam uroczystości. Ciekawym jest obrzęd weselny pana marszałka dworu:

»Ale, ale, mówi pan wojski do Władysława, o dworze! muszę się uiścić z przyrzeczenia opowiedzeniem tobie panuleńku wesela pana marszałka.

»Po konsensie na ten marjaż, obojga księztwa, był wyznaczony dzień aktu i całe sąsiedztwo nań zaproszono. Posłano nawet w odleglejsze strony po familią obojga państwa młodych. W wilią ślubu, to jest w dziewiczy wieczór, księżniczki z pannami dworskiemi zasiadły uroczyście w głębi sali, pięknie oświeconéj, splatały dziewiczy wieniec z rozmarynu i klejnotów. Kawalerowie bawili się w mieszkaniu pana młodego, sposobiąc się na porządną kalwakatę do assystencyi jemu.— Przewijały się flaszki węgrzyna z piwnicy książęcéj, ale pomiernie, tyle, aby dodadź do zabawy dobrego *kurażu*. W godzinę wieczerzy, zebrali się wszyscy na salę pałacową, mężczyzni byli osobno, zdaleka od dam. Za przybyciem obojga księztwa, panna młoda otoczona druchnami, nizki pokłon odała książęciu jegomości, który ją w głowę pocałowawszy przeżegnał; a w tymże czasie pan młody, w assystencyi kawalerów, bił czołem księżnéj pani, i uczczony został wolnością ucałowania jéj ręki. Po wieczerzy, tańce rozpoczął książe sam z panną młodą; ochota do późna się przedłużała. Wszakże pan młody nie miał wolności tańcowania z oblubienicą, ani nawet z nią rozmawiania; ile razy zbliżał się do niéj, druchny natychmiast robronami swemi, jak fortecą ją otaczały i broniły przystępu.

»Nazajutrz rano (była to niedziela) wszystko się zajęło weselnym aktem; w pokojach paradnych ubierano pannę młodą; siedziała ona pośrodku komnaty na dzieży, w któréj chleby pieką, pokrytéj bogatym kobiercem a po wierzchu błamem soboli. Druchny rozplatały jej warkocze, ubierały lamowany robron, bukietami z kwiatów i koronami ozdobiony. Klejnoty, perły, łańcuchy złote i tym podobne pretiosa nie miały miejsca, uważano je bowiem za godło nieszczęścia i smutku. Podobnież kolory czerwony i czarny przez żadną z dam nie były użyte. Suknia ślubna dla panny młodéj i bogate robrony dla czterech druchn były z garderoby księżnéj jejmości i nazawsze przy każdéj zostały. Tymczasem w pokojach książęcia pana zbierali się mężczyzni. Pana młodego, dwóch kawalerów

przybocznych i trzech nas oratorów, ubierał szatny książęcy z jego garderoby. Kawaler w bogatym lamowym żupanie, axamitnéj, sobolami bramowanéj czamarze, w kołpaku sobolim, czaplim piórem i pięknym z rubinów klejnotem ozdobionym. My równegoż pokroju bogate mieliśmy suknie, książe pan nie był z nami, lecz na apartamenta poszedł do księżnéj jejmości.

»Gdy wszystko gotowe było, dwóch paziów księżnéj po hiszpańsku ubranych, przyniosło na złotéj tacy wieniec dziewiczy. Odebrał go pan cześnik piltyński, krewny pana młodego, i w krótkich wyrazach podziękowawszy, oddał panu koniuszemu dworu, który poprzedzony przez tychże paziów, otoczony dworzanami udał się do panny młodéj. Siedziała ona jeszcze na dzieży, otoczona w pół koła gronem strojnych dziewic, na niższych taboretach pomieszczonych. Za otwartemi drzwiami bocznéj komnaty, siedzieli oboje księztwo, a za niemi w oddaleniu poważniejsze matrony dworu. Pan koniuszy, oddający wieniec, *acuminose* przemówił oracyą, po któréj księżna *in assistentia* dygnitarek swoich weszła do dziewiczéj sali. Powstała panna młoda, prowadzona przez druchny, i upadła do nóg téj pani, która przypięła jéj wieniec i łzami czułéj matki błogosławiła. Szlochy solenizantki i wtór, chociaż słabszy wszystkich niewiast, akordowały tym lamentom. Gdy księżna jejmość i damy na swe powróciły miejsca, wystąpił pan strukczaszyc łatyczewski, cioteczny brat panny młodéj, z perorą gratyfikacyjną, w któréj nie szczędził dzięków i pochwał księztwu ichmościom. Po tych obrzędach wprowadzono pana młodego; księztwo siedzący błogosławili mu, i tak ruszono do kościoła.

»Dwanaście karet dworskich, zaprzężonych cugami, w bogatych srebrnemi sztukami nasadzonych szorach, zabrało pannę młodą i damy. Mężczyzni na dzielnych wierzchowcach, tureckiemi okrytych rzędami, assystowali panu młodemu. Panna młoda z druchnami klęczała przez ciąg nabożeństwa na kobiercu, a pan młody po drugiéj stronie kościoła z przybocznymi kawalerami Po mszy świętéj ksiądz prałat ogłosił ostatnią zapowiedź, zabrzmiało *Veni Creator*, przez kapelę dworską melodyowane, po którém tenże prałat w długiéj przemowie zalecał nowożeńcom już to obowiązki przyszłego stanu, już niewygasłą wdzięczność księztwu ichmościom i oświeconéj ich generacyi. Po ślubie ruszono na powrót do zamku, w téjże saméj kalwakadzie, z tą tylko odmianą, że zaślubieni jechali w paradnéj książęcéj karecie, zewnątrz blachami srebrnemi i herbami złotemi, wewnątrz axamitem karmazynowym i galonami adornowanéj. Do obiadu zasadzono młodych na piérwszém miejscu. Książe pan raczył sam wznieść toast za zdrowie i pomyślność sukcessów wiernych sług swoich. Po skończonym stole *serenissimus* wprowadził pannę młodą do sali balowéj i polski taniec z nią przetańcowawszy, oddał do rąk mężowskich. Umilkła kapela, ja wystąpiłem naprzód i dziękczynną wypaliłem mowę.

»Gdym skończył perorować, pan młody z żoną rozpoczął tańce. Po północy zniknęła panna młoda z kompanii i zaprowadzoną była przez panią łowczynią do officyn, gdzie osobne dla nowego małżeństwa przygotowano komnaty. W godzinę późniéj zakończyła się ochota; mężczyzni, poprzedzeni kapelą, prowadzili pana młodego do oblubienicy. W piérwszym pokoju ustawione były słodkie przekąski z korowaju cukrowego, konfitur i rozlicznych bakalij składające się. Damy otaczały łakotki, a mężczyzni kieliszkami życzenia połączonéj parze przesyłali. Omijam winną polewkę i inne ceremonie dnia następnego; ale hojności książąt ichmościów zamilczeć niepodobna. Piękne łóżko z adamaszku czerwonego z galonami; obicie szpalerowe na ściany sypialni; gotowalnia i naczynia kawiane srebrne; kanak i zausznice z klejnotów, garderoba kosztowna i dostatnia, nakoniec mnóstwo ochędóstwa kobiécego, składało wyprawę pani oboźnéj: a na posag 8,000 złotych ze szkatuły pańskiéj wyliczono. Niemniéj hojnie obdarzony był małżonek: dostał w zastawę wieś porządną, chat 40 osady, w summie podarowanéj 20,000, z dzierżawą jéj dożywotnią; kolaskę z piękną furmanką czterokonną; wierzchowca arabczyka bogatym okrytego rzędem, i rozliczny sprzęt męzki, godny książęcego skarbu. W rok potém opuścili dwór państwo oboźnieństwo i na własną przenieśli się dzierżawę.«

W drugiéj powieści poznajemy dom państwa Cześnikowstwa, sąsiadów blizkich pana Wojskiego. Jest to jawna sprzeczność, i żywa, że tak powiemy, antyteza z domem porządnym, który w piérwszéj powieści nasz pan Władysław odwiedził. — Gospodarz jest myśliwy, mało dbający o dobry ład w całym ziemiańskim zachodzie; ztąd też pomieszkanie jest niechędogie i do upadku nachylone, ogród zarosły, nakrycie do stołu nieschludne, wszystko po kapcańsku; żyd arendarz jest wyrocznią i piérwszym niejako ministrem właściciela: słowem znajdujemy tu wszystko prawie skupione w idealnym, że tak powiem, nie-

porządku obrazie, co szlacheckie u nas majętności do stanu opłakanego przywiodło.

OBRAZY TOWARZYSTWA.

KAWALER DO WZIĘCIA.

POWIEŚĆ.

(*Dalszy ciąg*).

Przez kilka dni, Girardiere ledwie zdołał przezwyciężyć przekorę, którą mu zrządziło to zdarzenie; lecz nareście pocieszył się tą myślą:

Drugi raz nie spotka mię to nieszczęście, nie wszędzie znajdę matki zakochane w psach, kobiety tak złe, tak śmieszne, jak ta pani Grandvillain. Poszukajmy gdzie indziéj. A z resztą, dla tego że mi raz odmówiono, nie powinienem jeszcze wyrzekać się żony i powiedzieć z Katullem: *Lugete Venus Cupidinesque!*...

Pan Girardiere jeszcze pamiętał trochę łaciny, któréj chciał uczyć w młodości tłustą Barbarkę.

IV.

ZBYT UBOGI.

W kilka tygodni potém, pan Girardiere znowu w czarnym fraku i w rękawiczkach, odwiedził pana Duhaucourt; był to człowiek bogaty, któren zebrał majątek robiąc przez całe życie rozmaite przedsiewzięcia, które wszystkie upadły. Lecz sami tylko akcyonaryusze stracili na nich, i jak to zdarza się codzień, skutkiem pasma nieszczęśliwych interesów i kilkunastu bankructw, pan Duhaucourt miał się bardzo dobrze, bywał w towarzystwach, spoglądał jak najuczciwszy człowiek, a może i śmieléj jeszcze: uczciwi bowiem ludzie nie mają zwyczaju mieć takiéj zuchwałéj miny, jest to udziałem oszustów i tego nie należy im zazdrościć.

Lecz ten pan Duhaucourt miał dość ładną córkę, która po nim odziedziczy wielki majątek; okoliczność ta zrządziła, iż nie wspominano o poprzednich wypadkach, nie bardzo pochlebnych dla jéj ojca. Z resztą, świat ten jest bardzo wyrozumiałym dla ludzi bogatych i chętnie zamyka oczy, gdy mu dają obiady, herbaty, bale i tym podobne świecidełka, bez których umarłby z nudów.

Girardiere zrobił to samo co i drudzy; nie troszcząc się jakim sposobem pan Duhaucourt zebrał majątek, umyślił prosić go o rękę córki i w tym to zamiarze ubrał się czarno i poszedł do niego.

Wprowadzono go do wspaniałego salonu; tam zastał gospodarzarza domu, obwiniętego w szlafrok z perskiéj materyi, trzymającego nogi w szerokich pantoflach podszytych futrem lisiém, z głową obwiniętą fularem bruxelskim; siedział on albo raczéj leżał na dywanie, jak basza znudzony swoim haremem.

Duhaucourt znał pana Girardiere ztąd, że go często spotykał w salonach Paryża, i wsunął mu kilka akcyi na przedsiewzięcia które miały ten sam skutek co i drugie; lecz rozumiał że jest bogatym, ponieważ Girardiere nigdy nie zażądał od niego ani dywidendy ani procentu.

I dla tego, skoro go spostrzegł, raczył podnieść się trochę z sofy i podać mu rękę, wołając:

—»Ach! dzień dobry, kochany przyjacielu, jakże się cieszę że cię widzę! weźże krzesło... przepraszam że cię przyjmuję w szlafroku.... lecz poszedłem spać tak późno, wczoraj graliśmy aż do piątéj rano. Partya była dość zajmująca, stawiano po tysiąc franków, przegrałem, mając trzy damy w ręku... to rzecz osobliwa... na cóż teraz liczyć!..

Girardiere usiadł; z radością postrzegł że nie ma pani Duhaucourt; nie lęka się popełnić jakiéj niezgrabności, którąby ją obraził. Zaczyna rozmowę, nieznacznie zwraca ją na małżeństwo i nareście zmierza do celu.

—»Panie Duhaucourt, przychodzę w celu któren chcę opowiedzieć..... Pragnę ożenić się, wyrzec się pustot kawalerskiego życia, zajmować się tylko żoną i dziećmi, któremi niebo obdarzy mię zapewne; musi to bydź dla człowieka największém szczęściem.

Duhaucourt, któren słuchał pana Girardiere obwijając się szlafrokiem i drapiąc się po nodze, zaczął śmiać się i odpowiedział:

—»Mój przyjacielu, ożeń się jeżeli taka jest twoja wola, a zwłaszcza jeźli się dobrze ożenisz... Rozumiem, bogato... bo ja to tylko dobrym nazywam..... trzeba umieścić imie swoje, podobnie jak kapitały, na duży procent.

—»Zaręczam panu, iż bynajmniéj nie powoduje mną interes, lecz widziałem córkę pana w kilku towarzystwach, bardzo mi się podobała i dla tego przychodzę prosić o jéj rękę.

Pan Duhaucourt wyprostował się na sofie, nogi postawił na ziemi, a patrząc na

Teofila jako na człowieka którego jeszcze dobrze nie widział, lecz któren wart jest aby go poznano, rzekł, już nie żartobliwym tonem:

—»Przychodzisz prosić mię o rękę mojéj córki?

—»Tak jest panie, o jéj rękę.

—»A do kata... to wcale co innego... Lecz skoro tak jest, to ważny interes i zasługuje na naszą uwagę. Przyznam się, że bardzo powiérzchownie znam pana; lecz z téj propozycyi wnoszę, że twój majątek musi przynajmniéj wyrównywać mojemu. Przebacz mi kochany panie Girardiere, żem tak bez ceremonii postępował z tobą.

Girardiere sam nie wie co ma odpowiedzieć; zmieszała go ta mowa, jednakże ściska serdecznie rękę którą mu podał Duhaucourt. Spekulant spogląda mu w oczy i mówi daléj:

—»Ludzie naszego stanu prosto przystępują do rzeczy: zobaczmy ile wynosi twój stan czynny, tak w nieruchomościach jak w gotowiźnie.?

Girardiere poprawia okulary na nosie i pociera ręką po czole, powtarzając:

—»Mój stan czynny.... O! mój stan czynny pytasz się pan?... Chcesz go wiedzieć?...

—»Oczywiście, czyli o twój majątek, o to co posiadasz.... stan czynny jest to co kto ma; stan bierny, to co winien; każdy wie o tém.

—»O! co do stanu biernego, nie mam go wcale, nie winienem ani szeląga.

—»To nic nie znaczy. Miéj stan czynny na pięćkroć sto tysięcy franków, a bądź dłużnym sześćkroć sto tysięcy! mimo tego posiadasz zawsze pięćkroć sto tysięcy franków, ponieważ nie wszystko płacimy co komu jesteśmy dłużni... Można się ułożyć. Krótko mówiąc, wiele masz?

—»Mam tysiąc talarów dochodu! odpowiada Girardiere mocnym głosem.

Duhaucourt przysuwa głowę, mówiąc:

—»Nie dosłyszałem, albo źle zrozumiał.

—»Mam honor powtórzyć panu, że mam trzy tysiące franków dochodu w papierach rządowych przynoszących procent.

Duhaucourt pokłada się na sofę, zadziera nogi na poduszki i obwija się w szlafrok, śmiejąc się do rozpuku.

—»Ha! ha! ha!... Przewyborny żarcik... a ja wziąłem to za prawdę, ha! ha! ha! . to rzecz śmieszna... cały djabeł z ciebie mój Girardiere, nie wiedziałem żeś tak zabawny....

—»Jak to zabawny? odpowiada Teofil z miną obrażoną, lecz ja wcale nie żartuję; mam tysiąc talarów dochodu... sądzę, że jak na mężczyznę to nie źle. Nie pytam się jaki będzie posag córki pana, proszę tylko o jéj rękę, na tém mi dosyć.

—»Ha! ha! ha!.. bardzo ładnie... bardzo zabawnie.... moja córka, która ma 200,000 franków posagu, poszłaby za jegomości, który nie ma nic.... to rzecz śliczna!...

—»Jak to nic... powiedziałem...

—»Albo to samo co nic... O! jesteś bardzo zabawnym, jeśli ci się zachce... Założę się, że to jest skutek zakładu, któren z kimsiś zrobiłeś.

—»Mości panie, rzekł Girardiere wstając, nie idzie tu o zakład... Jeźli ci się nie podoba moja propozycya, nie powinieneś z téj przyczyny śmiać się ze mnie, nie lubię tego.

—»Ach! ach! wybornie, przewybornie!.. To jest ułożona scena, nieprawdaż?... Moja córka ma bydź twoją żoną?.. lecz mój biedny chłopcze, musiałbyś cały twój kapitał obrócić na podarunek ślubny!.. Weź raczéj akcye do nowéj antrepryzy, którą zaczynam...

—»Dziękuję, znam co są warte; odpowiada Girardiere szyderczym tonem, i nacisnąwszy kapelusz na głowę, wyszedł z salonu, a tymczasem pan Duhaucourt śmiał się i przewracał na sofie.

V.

ZA BRZYDKI.

»Spekulanci są to ludzie nienasyceni: mówił do siebie Girardiere wychodząc od pana Duhaucourt: serce mają tak oschłe, duszę tak łakomą; mało ich obchodzi szczęście własnych dzieci! znają tylko samo złoto, *auri sacra fames!* jak powiada Wirgiliusz. Sądzę!... Z resztą, źlem się udał!.. Nie byłbym szczęśliwy spokrewniwszy się z tą rodziną, lubię żyć skromnie, cicho... byłbym musiał przyjmować gości, duży dom prowadzić. Nie, to nie dla mnie! *Szczęśliwy, kto na łonie swych bogów domowych...* nie pamiętam reszty; poszukam żony ze skromnym majątkiem, niech ma tyle co ja, to będzie dosyć! Ten pan Duhaucourt odstręczyłby mnie od bogactw.

Ośm dni nie wyszło, a pan Girardiere zawsze we fraku i w rękawiczkach, oddał wizytę pani Belleville.

Pani Belleville była wdową po dawnym wojskowym, który jéj pozostawił skromny mająteczek i córkę podobnież skromną.— Zrodzona z bardzo majętnych rodziców, pani Belleville oparła się ich woli: chcieli ją bowiem wydać za bogatego kapitalistę: i poszła za młodego officera który jéj się podobał; została za to wydziedziczoną, lecz miłość męża wszystko jéj wynagrodzi-

ła, i od czasu jego śmierci, która już od lat wielu nastąpiła, płakała go bezustanku. Pani Belleville była niezmiernie sentymentalną, ubóstwiała córkę swoją i nie chciała jej oddać komu innemu, tylko takiemu człowiekowi, który ją także ubóstwiać będzie. Uczucie i przywiązanie powodowane rozumem, niedostateczne było w jéj oczach, lecz wszystko co najniedorzeczniejszém bydź może w przesadzonym romantyzmie, to właśnie zachwycało panią Belleville; trawiła czas na gadaniu o swojéj dawniejszéj miłości, na płaczu i na zażywaniu tabaki.

Girardiere wprowadzony jest do małego pokoiku, którego posępne obicie smutkiem przejmuje. Na szezlągu przy kominku siedzi pani Belleville, w jednéj ręce trzyma tabakierkę w drugiéj chustkę, a za nią leżą dwie chustki na zapas.

Pani Belleville ma około 55 lat; oczy ciągle zwilżone łzami, nos bezustanku zapchany tabaką, niemało ją szpecą, a jéj strój żałobny, nadaje jéj postać czarownicy albo wróżki.

Girardiere nizko ukłonił się i troskliwie spojrzał w około siebie, czyli nie ma jakiego psa, któregoby przestraszył i rozgniewał, lecz nic nie postrzegł i usiadł na krześle które wskazała mu pani domu, wydając ciężkie westchnienie.

—»Przyszedłeś odwiedzić mię panie Girardiere, rzecze wdowa podając mu rękę. Ach! to bardzo grzecznie... chcesz połączyć łzy twoje z mojemi i dopomódz mi do posiania kwiatów na jego grobie!.. Niestety! wkrótce będzie lat czternaście jak umarł ten najdroższy przyjaciel! ach! ach!.... miałby teraz lat sześćdziesiąt trzy.

Pani Belleville płacze, uciera nos i zażywa tabakę. Girardiere cokolwiek wzruszony tém zaczęciem, mruga oczyma dla przybrania miny rozrzewnionéj i usiłuje przystąpić do przedmiotu.

—»Szanuję smutek pani! i podzielam go, lecz jednakże, po czternastu latach... masz córkę, córkę bardzo piękną, bardzo zajmującą.

—»Wiem o tém panie, ale córka nie jest mężem... mój mąż był kochankiem, który mię wykradł... gdyż byłam wykradzioną kochany panie... wyjechaliśmy wśród nocy podczas okropnéj burzy... powozem, to prawda.. lecz wśród drogi wywróciliśmy się, on mię trzymał w swoich objęciach... nie byłby mię puścił za wszystko złoto na świecie... tak mię kochał!

Pani Belleville zażywa tabaki, uciera nos i płacze.

Girardiere niesie rękę do oczu, dla obtarcia okularów i mówi daléj:

—»Pani, mocniejsza pobudka sprowadza mię tu; chcę się ożenić, wyrzekam się pustot kawalerskiego życia, pragnę odtąd zajmować się jedynie moją żoną i dziećmi, któremi nieba obdarzyć mię raczą bezwątpienia. Musi to bydź dla człowieka najsłodsze szczęście! i śmiem sobie pochlebiać że...

—»Ach! chcesz się ożenić panie Girardiere, jesteś więc zakochany! gdyż nie pojmuję małżeństwa bez miłości! Ach! potrzeba wiele miłości.

—»Pani.., będę bardzo zakochany... gdy otrzymam pozwolenie rodziców panny.

—»Będziesz zakochany gdy otrzymasz pozwolenie rodziców.... to jest że twoje serce czeka na pozwolenie stryja lub matki, ażeby się zajęło ogniem miłości? Mówisz że będziesz zakochany, podobnie jakbyś powiedział: »Zjem smaczno obiad, jeżeli przejdę się wprzódy; albo też bawić się będę dziś wieczorem w teatrze jeżeli ten a ten aktor grać będzie.« Ach fe! panie, fe! nie domyślasz się co jest miłość... znieważasz to słowo... Ach! mój to mąż był zakochany. Gotów był odważyć się na wszystko, gdybym była nie odpowiedziała jego uczuciom. Ogień, żelazo, trucizna... byłby wszystkiego użył. Otóż to się nazywa miłością. A jeżeli kiedy wydam za mąż moją córkę, mąż musi tak ją kochać, albo jéj nie dostanie; oto jest moja ostateczna odpowiedź.

Girardiere widzi że trzeba innym tonem przemawiać, zaczyna więc wzdychać tak mocno, że aż popiół na kominku w górę podleciał, rozgarnia włosy dla przybrania romantycznéj miny, nareście, jak gdyby konwulsyjném miotany wzruszeniem, uderza się ręką w czoło. Wszystko to zajęło wdowę, poczęstowała go tabaką i rzekła:

—»No, mój kochany przyjacielu, możem się omyliła, albo téż źle się wysłowiłeś. Twoje pomieszanie, twoje westchnienia, zajmują mię, opowiedz mi twoje cierpienia, w kimże się kochasz, mój panie Girardiere?

—»W córce pani, o któréj rękę prosić przyszedłem, którą ubóstwiam!

—»W mojéj córce! Jak to! kochasz się w mojéj Celinie?

—»Namiętnie pani.

—»Namiętnie?

—»To bardzo dobrze... a jeźli ci odmówię?

—»Umrę ze zmartwienia.

—»Ze zmartwienia? Ach! mój przyjacielu, częstokroć zmartwienie zabija bardzo powoli.... Są osoby które żyją ze swojém zmartwieniem aż do ośmdziesięciu kilku lat... Wolałabym ażebyś umarł jakim prędszym sposobem.

—»A ja pani, wolałbym zaślubić córkę twoją.

—»Pojmuję to: lecz ona mieć będzie bardzo mały posag.

—»To mię nie obchodzi! jéj tylko pragnę.

—»To bardzo dobrze: przypominasz mi mojego męża. Ten czuły przyjaciel ach! ach! ach! I on także pragnął tylko chatki i mojego serca... i rostbefu na obiad... Bardzo lubił rostbef... A moja Celina czy podziela twoją miłość?

—»Nie śmiałem jéj wyznać i moje tylko spojrzenia musiały jéj wyjawić tajemnicę mego serca.

—»Twoje tylko oczy.... to bardzo romansowo. Jesteś bojaźliwym, mój kochany panie, lecz cię nie obwiniam o to. To jest rzecz tak rzadka za czasów naszych. Oprócz tego, silne uczucie może nas uczynić bojaźliwemi albo bardzo śmiałemi... Ostateczności łączą się. Mój kochany nieboszczyk był bardzo śmiały ach! ach! ach! Ach! jakimże on był mężem.

—»Gdybym podobał się córce pani?

—»Ach! wtedy pożeniłabym was... znam udręczenia miłości i lituję się nad niemi. Zawołam Celiny, uważać będę jakie na niéj uczynisz wrażenie. Zapytam ją; jest to sama niewinność i łatwo mi będzie wyczytać w jéj sercu.

Pani Bellewille zawołała córkę. Girardiere przegląda się w zwierciedle, poprawia kołnierzyk i włosy, pociera sobie lice dla nabrania rumieńców i niecierpliwie czeka przybycia panny Celiny.

Młoda dziewczyna wchodzi do pokoju matki, ssąc kawałek owsianego cukru. — Nie ma nic romansowego w jéj obejściu się i rysach, z uśmiechem wita pana Girardiere, łamie cukier i daje połowę matce, mówiąc: —»Jest bardzo smaczny.... z cytryną... Helena mi go dała.

Pani Belleville nie przyjmuje cukru i i mówi po cichu do Teofila: —»Twój widok nie wzbudził w niéj żadnego wzruszenia.

—»Nic nie szkodzi moja pani, racz jéj powiedziéć kilka słów za mną, błagam cię o to.

Pani Belleville skinęła na córkę i mówi do niéj po cichu. Panna Celina obraca się wtedy dla przypatrzenia się panu Girardiere, a potém parska śmiechem i wybiega z pokoju, odpowiedziawszy kilka słow matce, która ją daremnie chce zatrzymać.

Kawaler do wzięcia, nie wie co myśléć o nagłém zniknieniu córki, przysuwa się do matki i mówi do niéj: —»I cóż pani?

Pani Belleville szuka w woreczku: wyjmuje [z niego podwójną lorynetkę i przykłada ją do oczu, a bacznie patrząc na pana Girardiere, mruczy pod nosem.

—»To prawda... Celina ma słuszność, gdybym była wcześniéj spojrzała na ciebie przez moją podwójną lorynetkę, byłabym odpowiedziała za nią... Lecz tyle łez wylałam od niejakiego czasu, iż mam wzrok niezmiernie słaby; prawie nic nie widzę bez podwójnéj lorynetki.... mniemałam żeś daleko przystojniejszy... mniemałam żeś nawet dosyć przystojny... Ach! mój wzrok słabnie coraz to bardziéj, przekonywam się o tém.

—»Cóż to ma znaczyć, proszę pani?

—»To znaczy, iż moja córka nie chce iśdź za pana, ponieważ jesteś za brzydki. I w rzeczy saméj, ma słuszność. Niepodobna ażebyś wzniecił miłość w młodéj dziewczynie.... Gdybym była spojrzała przez szkiełko, skoro tylko wszedłeś, byłabym ci powiedziała to od razu. Wierz mi panie Girardiere, wyrzecz się ożenienia z miłości... ożeń się - rozumu... lecz przestań myśléć o mojéj córce.

Girardiere nie doczekał spokojnie końca téj mowy; wstał, przechadzał się po pokoju, wziął kapelusz i odpowiedział z wymuszonym uśmiechem:

—»Dalibóg pani, jeźli panna Celina uważa iż jestem brzydki... bądź przekonaną iż mię to bardzo mało obchodzi... gdyż szczerze powiem żem się nigdy w niéj nie kochał, i łatwo znajdę kobiety które oddadzą mi sprawiedliwość i lepiéj mię ocenią.

Girardiere odszedł mówiąc do siebie: »Córka tak jest szalona jak i matka.«

VI.

ZA STARY.

»Gdy kto mi zarzuca żem nie dość majętny, mniejsza o to: mówił do siebie Girardiere myśląc o swoich odwiedzinach u paniBelleville: lecz gdy utrzymuje że jestem brzydki... to niedorzeczność, to jest tylko pozór dla odmówienia. Ach! dla czegóż przestraszyłem suczkę pani Grandvillain, byłbym ożenił się z jéj córką... Lecz jeszcze jest wiele panien na świecie, a jak powiada moja szanowna mama, będę miał tylko kłopot w wybieraniu. Z tém wszystkiém, już kilka razy wybierałem daremnie. To jakaś fatalność!

Przez kilka dni, Girardiere wahał się dokąd ma się udać, nareście przypomniał sobie o pewnym domu, gdzie bywał wprzódy nim się rzucił w świat wielki, o domu ludzi uczciwych, prostych, szczérych, bez ceremonii, którzy cię zaraz zatrzymają na

obiad, a przy stole nakarmią tak, że aż na niestrawność zasłabniesz.

Był to dom państwa Lapoucette, dawnego fabrykanta, składał się z ojca, matki, dwoch ciotek i trzech córek. Panny były jeszcze bardzo młode, kiedy Girardiere uczęszczał do ich domu. Lecz od lat pięciu jak tam przestał bywać, musiały urość. Jedna ma lat szesnaście, druga ośmnaście, trzecia dziewiętnaście.

»Może już jedna albo dwie poszły za mąż, pomyślał Girardiere, lecz przecie która z nich musi bydź jeszcze panną. Ile sobie przypominam, były bardzo przystojne; wiek rozwinął ich wdzięki. Dalibóg, wezmę tę która jest wolną; dosyć mię lubiono w tym domu. Poczciwy Lapoucette! pójdę tam; szkoda żem tego wcześniéj nie uczynił.

Ubrawszy się jak zwykle, Girardiere, idzie do swego starego przyjaciela Lapoucette.

Ciotka otworzyła mu i zawołała wchodząc: —»Sądzę w istocie że to jest pan Girardiere!

—»Ja to sam kochana pani.

—»Ach! co za cud żeś pan zawitał do nas! Julio, Anno, Cecylio! moje siostry!... to pan Girardiere.

»To pan Girardiere! powtarzają wszyscy i wkrótce zbiegła się cała rodzina. Siostry, matka, ojciec, dzieci, wszyscy z pośpiechem witają dawnego przyjaciela, przyjaźnie ściskają go za rękę i czynią mu przyjemne wymówki że tak długo o nich zapomniał: rzekłbyś że to jest powrót syna marnotrawnego i że chcą zabić tłustego cielca, bo już gospodarz zawołał:

—»Zostaniesz się na obiedzie! zostaniesz... nie puścimy cię tak prędko. Żono pamiętaj zrobić nam kilka przysmaczków. Girardiere był żarłokiem i teraz bydź musi. Ten przymiot powiększa się z wiekiem. Obżarstwo nigdy nas nie opuszcza.

—»Mój przyjacielu! mój kochany przyjacielu! rzecze Girardiere niosąc rękę do oczu, tak jestem wzruszony, tak ucieszony twojém przyjęciem, iż w rzeczy saméj... sądzę...

—»No, nie rób głupstw, pojdź do kominka; lepiéj grzać się aniżeli płakać, a my tu wszyscy lubimy śmiać się i żyć wesoło.

Pan Lapoucette był człowiek nizkiego wzrostu, tłusty, rumiany; jego postać oznaczała zdrowie i dobry humor; posadził przy sobie pana Girardiere i rzekł.

—»Blizko pięć lat nie byłeś u nas.... zapewne nie mogłeś bydź? nieprawdaż? Nie będę czynił wymówek, nie pogniewaliśmy się wówczas, widzimy się więc znowu jako dobrzy przyjaciele. Tak zawsze trzeba postępować... A teraz wystaw sobie żeś nigdy u nas bywać nie przestał.

—»Kochany Lapoucette, bądź przekonanym że moja przyjaźń nigdy się nie zmieniłą.

—»Nie wątpię o tém mój przyjacielu, lecz twoja twarz nie pozostała tak niezmienną jak przyjaźń,.. zestarzałeś się i bardzo... wyłysiałeś, ha! ha! darémnie zaczesujesz te resztki włosów z tyłu głowy ha! ha!

Girardiere przygryza sobie usta i odpowiada:

—»Nie wiem czylim się zestarzał... lecz wiem iż zdrów jestem i czerstwy.

—»Ach, mój przyjacielu! to rzecz główna. Oprócz tego, czyliż nie starzejemy się wszyscy? nie jestże to powszechném prawem? A twoja matka, czy żyje jeszcze?

—»Oczywiście!...

—»Musi bydź bardzo stara, bardzo zgrzybiała.

—»Nie, bynajmniéj; jest zdrowa.

—»Tém lepiéj, tém lepiéj; lecz moje córki jak się zmieniły od pięciu lat... One to nie zbrzydły, spodziewam się... i owszem... Przyjdźcie tu moście panny, mój stary przyjaciel, pan Girardiere, odnowi z wami znajomość.

Trzy panny Lapoucette zbliżają się i z miłym uśmiechem witają starego przyjaciela domu, któren nieraz kołysał je na kolanach i przynosił im cukierki.

Girardiere z zachwyceniem patrzy na nie, a ojciec rzecze z chlubą:

—»Są dość przystojne, nie prawdaż?

—»Te panny są zachwycające.

—»O! zachwycające, zaraz używasz tych wyrazów, których używają na wielkim świecie gdy chcą kłamać. Są przystojne i będą dobremi gospodyniami, to rzécz główna.

—»O tak mój przyjacielu, to rzecz główna!..... na to trzeba zważać przedewszystkiem.

To mówiąc, Girardiere spoglądał na trzy młode dziewczyny, nie wiedząc jeszcze którą sobie wybierze.

Ojciec wziął starszą za rękę, mówiąc: —»Oto jest Julia, ma lat dziewiętnaście; jest to rozsądna dziewczyna, łaje siostry gdy im się nie chce pracować; ma bardzo dobre serce i robi doskonałe konfitury. Czy pamiętasz jak była zła w dziecińświe?.. Pewnego razu matka chciała ją obić, prosiłeś dla niéj o przebaczenie, będzie temu lat szesnaście... o tak! przynajmniéj lat szesnaście.

—»Panna Julia jest bardzo podobna do matki, rzecze Girardiere aby nie rozwodzić starych wspomnień i zmienić rozmowę.

—»Tak ci się zdaje?... nie zgadzam się na to. Oto jest Anna... figlarna Anusia... ma teraz lat ośmnaście. Czy pamiętasz? gdyś bywał na obiedzie, chciała koniecznie abyś ją nosił na ręku... O, wtedy nie była tak ciężka!

—»Panna Anna jakże jest podobna do ciebie... zupełnie twoje rysy, twój nos.

—»Co zaś gadasz! ja mam twarz okrągłą i rumianą, Anna wściągła i bladą. Nie wiem jakie upatrujesz podobieństwo; a to jest panna Cecylia. Nie dobra Cecylia! o była bardzo uparta w dzieciństwie. Onegdaj skończyła lat piętnaście. Lecz musisz pamiętać jéj wiek, byłeś na jéj chrzcinach. Czy pamiętasz mój stary?

—»Sądzisz że byłem...

—»A tak! jadłeś tyle ciasta żeś aż zasłabł... patrz, patrz Girardiere, to rośnie jak na drożdżach.

Girardiere uważa iż jego przyjaciel czyni niepotrzebne uwagi i ustawicznie odwraca rozmowę na inny przedmiot.

—»Te panienki są bardzo przystojne; jeszcze nie pomyślałeś o ich zamężciu?

—»O! tak, myślę o tém niekiedy; lecz to rzecz nie łatwa gdy nie ma dla nich posagu... Dalibóg żałuję tego, lecz nic nie mogę dadź moim dzieciom, tyle bowiem mam tylko, ile mnie samemu wystarcza na życie. Rodzice którzy ogołacają się ze wszystkiego dla swoich dzieci, są wielkiemi głupcami i ciężkie zmartwienia gotują sobie na starość. Wezmą moje córki bez posagu, albo ich nie wezmą, i na tém koniec.

—»O wezmą je, mój kochany Lapoucette; znajdą się mężowie, nie wątp o tém.

—»A tymczasem siadajmy do stołu.

Posadzono pana Girardiere między panną Julią i Anną: były to starsze córki pana Lapoucette. Są niezmiernie uprzejme dla starego przyjaciela ich ojca; ubiegają się w okazywaniu mu swojéj przyjaźni. Ojciec bez ustanku nalewa mu wina, matka ciągle nakłada na talerz, Julia podaje mu soli, Anna pyta się czy mu nie zawadzają nogi od stołu, a najmłodsza Cecylia z uśmiechem podaje mu korniszony albo musztardę.

Nawet i obie ciotki, z których już każda ma przeszło lat pięćdziesiąt, pytają go się czy chce stołeczka pod nogi, i czyli nie czuje cugu?

Girardiere nie wie komu odpowiedzieć i myśli sobie:

»Poczciwi ludzie! co za przyjemna rodzina... panny nie mają posagu, to prawda, lecz są przyjemne, grzeczne, posiadają talenta i przymioty... Nareście znam ja starego... ma się dobrze... Nic nie chce dać córkom... lecz po jego śmierci zawsze coś dostaną... to je nie ominie.

Girardiere zapomniał że jest w równym wieku z panem Lapoucette, a tém samem, iż zbyt zuchwale rachuje na jego spadek. Lecz jakeśmy to powiedzieli na początku naszéj powieści, Teofil Girardiere chciał zawsze mieć trzydzieści lat, grał rolę młodego i nareście w siebie wmówił że jest młodym. Podobny był do tych ludzi, którzy bezustanku powtarzając kłamstwa, sami w końcu biorą je za prawdę.

Wszystkie trzy panny Lapoucette były bardzo miłe a zwłaszcza bardzo wesołe. Jedna, śmiejąc się pokazywała ząbki białe jak perły, druga miała oczy bardzo wymówne, trzecia nareście, miała głos tak łagodny, tak przyjemny, że bez wzruszenia nie można było jéj słyszeć.

Girardiere bezustanku spoglądał to na jednę, to na drugą, to na trzecią i mówił sam w sobie:

—»Czyliż poproszę o rękę najstarszéj... jest bardzo zajmująca... Panna Anna tak jest dla mnie grzeczna.... Dalibóg sam nie wiem. O! gdybyśmy byli w Turczech, ożeniłbym się ze wszystkiemi trzema.

—»Lecz nie jesz i nie pijesz, mówił pan Lapoucette zadziwiony roztargnieniem dawnego przyjaciela.... Dawniéj byłeś żwawszy; o czémże myślisz, patrzysz na sufit... czyli cię zęby bolą?

—»Nie, kochany przyjacielu nic mię nie boli, i zaręczam że jem z wielkim apetytem. Twoje córki tak są uprzejme dla mnie... Jestem w zachwyceniu.

—»To wszystko nie powinno przeszkadzać ci do jedzenia.. Ach! niegdyś byłeś tak dobrym współbiesiadnikiem. Pamiętasz jakeśmy zajadali w owéj traktyerni... Jest to dziś bardzo porządna restaucya, a wówczas był to prosty kramarz, bywaliśmy tam co niedziela.... już temu lat dwadzieścia pięć, sądzę nawet że dwadzieścia siedm.

—»Proszę jeszcze o kawałek pieczystego! zawołał Girardiere; woli bowiem zachorować na niestrawność, niżeli dopuścić aby przyjaciel przypominał mu tak stare dzieje.

I zajada mówiąc: —»Wyborne, doskonałe pieczyste!

A gdy Lapoucette uporczywie przypomina daty i powtarza: —»Jest przynajmniéj lat dwadzieścia siedm, gdyż jeszcze nie miałem żony, a nawet i więcéj...

—»Proszę wina! proszę wina! woła Girardiere podając kieliszek; masz tak dobre wino! O bardzo dobre! znam się na niém.

—»Wybornie! rozruchałeś się, rzecze Lapoucette nalewając przyjacielowi.

A biedny Girardiere je i pije mówiąc sobie: »Jeźli będzie gadał o tém cośmy dawniéj robili, dalibóg zachoruję na niestrawność.

Nareście skończył się obiad. Przeszli do salonu; panna Julia pięknie gra na fortepianie, Anna pokazuje rysunki, Cecylia śpiéwa przyjemnie. Girardiere jest uradowany, zachwycony i drapie się w czoło myśląc: »Lecz którąż wybiorę! Ach czemuż wielożeństwo jest zakazane!... Lecz muszę się namyślać i to niezwłocznie, bo wkrótce mógłby kto poprosić o rękę téj, którą sobie wybiorę.

Widzicie więc, że Teofil był przekonany iż wybor od niego tylko zależy, a przecież poprzednie odmówienia powinny były umniejszyć jego zarozumiałość; lecz nie zawsze poprawia ludzi doświadczenie; częstokroć niczém ich poprawić nie można.

Przypatrzywszy się iak tylko mógł najlepjéj wszystkim trzem pannom Lapoucette, Girardiere umyślił prosić, nie sądźcie że o rękę najstarszéj, co byłoby przynajmniéj najrozsądniejszą rzeczą: »Nie, rzekł do siebie, otóż zaślubię Cecylią, jest zachwycająca!...

A zbliżywszy się do starego przyjaciela, Girardiere rzecze po cichu i mocno wzruszonym tonem.

—»Chciałbym... pragnę...

—»Mój kochany przyjacielu, odpowiada pan Lapoucete przerywając mu, dadzą ci świecę i wskażą miejsce... Zgaduję że...

—»Ale nie, kochany Lapoucette, chciałbym na chwilę pomówić z tobą, przejdźmy do twego gabinetu, albo do twego sypialnego pokoju, lub jeźli nie masz gabinetu, to do przedpokoju.

— Czy jesteś chory! czy chcesz szklankę wody z cukrem? może chcesz herbaty?

— Lecz nie, nie powtarzam ci iż chcę pomówić z tobą o rzeczy bardzo ważnéj, ale najprzód musimy pomówić sam na sam,

Lapoucette niezmiernie zdziwiony i nie domyślając się co za tajemnicę chce mu powierzyć jego stary przyjaciel, bierze świecę i idzie z nim do drugiego pokoju. Tam patrzy na niego z niespokojną miną i rzecze.

—»Cóż to jest?.. czyliż chcą zmniejszyć procent od papierów rządowych?

—»Nie o to idzie... Najprzód chcę pomówić z tobą o mnie samym. Posłuchaj mię Lapoucette;od czasu jakeśmy się nie widzieli, zaszła we mnie niejaka zmiana.

— O prawda! żeś się zmienił, jużem ci to powiedział; podstarzałeś się diabelnie.

—»Nie o to idzie; proszę cię posłuchaj mię. Pamiętasz zapewne, że przez długi czas byłem nieco roztrzepanym, nieco płochym, robiłem tysiące głupstw dla kobiét.

—»Nie pamiętam tego, ale to mniejsza, mów daléj.

— »Otóż mój przyjacielu, już nie jestem owym bałamutem, owym Foblasem, któren myślał tylko o rozkoszach, stałem się poważniejszym, a nawet bardzom się ustatkował.

—»Dalibóg to rzecz słuszna; z wiekiem trzeba się poprawić.

—»Proszę cię nie przeszkadzaj mi. Przystępuje prosto do celu, kochany Lapoucette. *Chcę się ożenić, wyrzekam się pustot kawalerskiego życia, pragnę odtąd zajmować się jedynie moją żoną i dziećmi, któremi niebo obdarzyć mię raczy, bezwątpienia, musi to bydź dla człowieka najsłodsze szczęscie.*

— »Ach! chcesz się ożenić! Dalibóg nie źle zrobisz... już czas ażebyś pomyślał o tém, lecz nie rozumiem dla czego z taką tajemnicą powiadasz to przedemną?

— »Zrozumiesz mię przyjacielu. Nie idzie mi o majątek, mogę utrzymać żonę lecz chcę pojąć tę, która mi się podoba... którejbym się podobał...

—»Która ci się podoba, to bydź może... lecz którejbyś ty się podobał, to będzie nieco trudniéj mój przyjacielu.

—»Lapoucette, czy chcesz mię słuchać? Wybrałem moją przyszłą, znalazłem tę która ma upięknić życie moje... i dla tego proszę cię o rękę twojéj Cecylii, zachwycającéj Cecylii.

Lapoucette wytrzyszczył oczy i spojrzawszy na swego przyjaciela zawołał.

—»Ach! ba! czy prawdę mówisz?

—»Jak największą prawdę; daj zezwolenie, a jutro zajmiemy się przygotowaniem do wesela.

— »Chcesz ożenić się z jedną z moich córek? ty Girardiere?

— »Cóż w tém dziwnego?

— »Cóż dziwnego! lecz nie zastanowiłeś się moj przyjacielu, jesteś za stary dla moich córek.

— »Za stary!... ty sam nie wiesz co gadasz, jestem w sile wieku.

— »Masz przynajmniéj lat pięćdziesiąt?

— »To nie prawda, jeszcze nie mam spełna czterdziestu dziewięciu.

— »I chcesz ożenić się z pietnastoletnią dziewczyną, bo właśnie wybrałeś najmłodszą. Ah! ah! jesteś szalonym mój stary przyjacielu, jesteś szalonym.

(*Dalszy ciąg nastąpi*).

TARNOW.



TARNÓW.

Miasto Tarnów dawniejszemi czasy leżało w województwie Sandomierskiém, w powiecie Pilzneńskim. Że przed rokiem 1330 wioską było, jasnym dowodem list króla Władysława Łokietka, z daty 20 marca, wspomnionego roku, znajdujący się w zbiorze dokumentów magistratu Tarnowskiego; w którym to liście Władysław król nadaje komesowi Spicymirowi krakowskiemu wojewodzie w dziedzictwie swojém Tarnowie, zupełną i wolną władzę założenia miasta.

W nagrodę zasług tegoż Spicymira, szczególniejszemi obdarza to nowe (założyć się mające miasto) przywilejami; wyłącza z pod sądowej mocy wojewodów, kasztelanów i sędziów, dozwala wybór wojta własnego, któremu dając moc rozstrzygania sporów cywilnych, nie odmawia i prawa miecza. Prócz tego dodaję, iż we wszystkich prawach, podatkach i ogólnych sprawach miast, mieszczanie Tarnowa praw i zwyczajów Krakowa używać mają.

Następni królowie potwierdzili używanie tych przywilejów, listami swobodnemi.

Odtąd, posiadacze Tarnowa od tegoż miejsca przyjęli nazwanie Tarnowskich, z których Jan, kasztelan krakowski, wierny trzech królów minister, zwycięzca Wołochów pod Obertynem, najwyższéj potęgi i sławy osiągnąwszy stopień, głośne miał imię w całéj Europie.

Na synie tegoż, Janie Krysztofie, (w 30 roku życia 1567 r. umarł bezdzietny), zakończyła się wielkich Tarnowskich linia. Córka Zofia, poślubiona Konstantemu księciu na Ostrogu, wniosła temuż wianem dobra Tarnów. W lat następstwie, zlewkiem tego prawa, spadła część jedna Tarnowszczyzny na Maryą Annę, córę księcia Lubomirskiego Józefa; marszałka wielkiego koronnego.

Poślubił ją książe Paweł Sanguszko, i stawszy się poprzednio panem téj części, odzierżał poźniéj hrabstwo całe. Małżonka tegoż druga, Barbara z Duninów, miała nad nim prawo dożywocia; którego się zrzekła na rzecz Hieronima księcia Sanguszki; dziś książe Lubartowicz Sanguszko jest tytularnym dziedzicem miasta i majętności Tarnowa.

Miasto to w pięknéj okolicy, u podnóża góry Śgo Marcina położone, małe jest w obrębie swojém; wszakże obszernemi przedmieściami swojemi wielką zajmuje przestrzeń. Nie podciągając w rachubę mieszkańców przedmieść, wyjętych z pod jurysdykcyi magistratu miejskiego, ludność onego do 4000 wynosi.

Jest siedzibą biskupa, sądów szlacheckich (forum nobilium), urzędu obwodowego i wyższych poborowych. Prócz domów kilku z podsieniami, kamienice składające rynek i ulice Tarnowa, nie sięgają dawnych czasów; owszem przypuścić wypada, iż miasto Tarnów, acz mocnemi mury obwiedzione było, w ich obrębie kilka wyjąwszy, drewniane domostwa miało, i przedmieścia drewniane. Wszakże starożytny ratusz, na rycinie oddany, z struktury swojéj zdaje się odnosić do XV wieku; równie kościół katedralny, w którego wnętrzu znajdujące się olbrzymie, równych sobie nie mające grobowce Tarnowskich i księcia Ostrogskiego, godne widzenia, późniéj opisanemi będą.

Tarnów ma 4 kościoły, wszakże szczególniéj godzien wspominki kościołek Śgo Marcina, na górze tegoż nazwania nad miastem panującéj. Acz drewniany, sięga czasów niemal pierwszych Chrześcijaństwa w Polsce. W przysionku wiszą kości Mamuta. Obraz S. Marcina ma rok 1626. Ważną i ciekawą w nim pamiątką czasów starożytnych, jest łańcuch modrzewowy, wiążący dwie przeciwległe kościoła ściany, z jednego jest wyrobiony drzewa i zamyka się na kłódkę drewnianą. Wieść niesie, iż go zrobił pasterz ciemny; kłódki odemknąć dotąd nikt nie zdołał. Opodal od tego kościołka, u schyłku góry rozwalają się ostatnie okruszyny zamku, co był gniazdem i siedzibą Tarnowskich.— Przypuścić wypada, iż przed rokiem 1776 acz opuszczony i niezamieszkały, miał jeszcze obszerne swoje mury, i może w całéj istniał okazałości, kiedy materyały z rozebranego zamku wystarczyły na wystawienie w mieście klasztoru panien Bernardynek. To dzieło zniszczenia szacownéj starożytności, stało się za rządów księżny Barbary z Duninów Sanguszkowéj. W poczet zdarzeń, odnoszących się do miasta Tarnowa, ważniejszych, policzyć można następujące:

W roku 1528 przebywał w nim Jan Zapolski późniéj węgierski król w ucieczce przed Ferdynandem królem rzymskim od Jana z Tarnowa przyjęty, przez miesięcy 6 po królewsku raczon i podejmowan był.

W roku 1571 przypada śmierć Jana Tarnowskiego; pogrzeb jego (opisany przez Orzechowskiego) i przejście Tarnowa w dom książąt Ostrogskich.

W 1653 okropny mór powietrza. Miasto Tarnów straciło w nim ludności do 1500 dusz.

OBRAZY TOWARZYSTWA.

KAWALER DO WZIĘCIA.

POWIEŚĆ.

(*Dalszy ciąg*).

— »A więc posłuchaj mię Lapoucette, jeźli mniemasz że mała Cecylijka jeszcze jest za młoda, ożenię się ze starszą, z panną Anną i ta mi się podoba.

— »Lecz Anna ma dopiero lat ośmnaście; zważaj że za lat dziesięć będzie jeszcze młoda, a ty...

— No, to może wolisz dać mi najstarszą; to mi wszystko jedno; wezmę najstarszą, podoba mi się także.

—»Jak widać wszystkie ci się podobają. Ach! ten biedny Girardiere chce bydź moim synem!...

—»Mniemałem że się o to gniewać nie będziesz, odpowiada Teofil z urazą.

—»Gniewać? oczewiście że nie, i gdybyś przynajmniéj o lat dwadzieścia lub piętnaście był młodszy...

—»A więc, odmawiasz mi?

—»Ach! bo mi się tak śmieszną rzeczą bydź zdaje, że ty mnie prosisz o rękę jednéj z moich córek, lecz ci nie odmawiam, o, nie odmawiam! nigdybym tego nie uczynił.

—»Kochany Lapoucette! I Girardiere ściska rękę przyjaciela.

—»Jeżeli która z nich będzie cię chciała, ożenię cię chętnie, lecz one ci odpowiedzą mój stary, one to nie będą chciały.

—»Lapoucette, proszę cię najprzód nie nazywaj mię starym, jest to bardzo pospolity wyraz, a przytem ja tego nie lubię.

—»Ach! i ty mniemasz że moje córki nie odmówią ci?

—»Spodziewam się; przyjęły mię tak uprzejmie, tak grzecznie.

—»Gdyż widziały w tobie dawnego przyjaciela ich ojca. Poczytałeś ich grzeczność, ich uprzejmość, za niewieścią zalotność; rozumiałeś żeś im głowę zawrócił. Ach! mój stary przyjacielu, sądziłem że jesteś daleko rozsądniejszym, ale mniejsza o to, przedstawię cię jako ubiegającego się o ich rękę, i od razu rzecz rozstrzygniemy.

—»Tylkoż przynajmniéj nie żartuj sobie, pamiętaj Lapoucette, że chcę się żenić na prawdę.

—»Bądź spokojny, jestem pewny że podobna propozycya nie rozśmieszy moich córek; lecz przyrzekam że ci nie będę szkodził. Przysięgam to nawet.«

Wracają do salonu, wszystkie trzy panienki przychodzą trzpiotać się na około Girardiera; jedna chce aby jéj co zaśpiewał, druga aby z nią tańczył galopadę, trzecia aby wykręcał młynka. Girardiere nie posiada się z radości, spogląda na przyjaciela z miną mającą wyrażać: »Patrzaj jak mnie kochają! jak mnie pieszczą!... Twoje córki inaczéj widzą niżeli ty; bardzo chętnie przyjmą mnie za męża.

Pan Lapoucette żąda chwilę posłuchania i z największą odzywa się powagą. —»Moje dzieci, Pan Girardiere nie przybył do nas jedynie w celu odwiedzenia dawnych przyjaciół; inny ma zamiar... postanowił ściśléj połączyć się z naszą rodziną... słowem pragnie, ożenić się, i prosi mnie o rękę jednéj z moich córek.“

Panienki śmiać się przestały, osłupiałym wzrokiem spoglądają na rodziców; spoglądają po sobie wzajemnie; na jednego tylko Girardiera nie patrzą.

Pan Lapoucette czeka na odpowiedź, lecz wszystkie ponure zachowują milczenie; ta wiadomość krew ich lodem ścięła; wreście, najmłodsza zawołała po chwili.

—»Ach! to są żarty... jestem pewna że to są żarty; papa z tym panem poszli do drugiego pokoju, i zmówili się żeby nas złapać. Pan Girardiere nie chce się żenić... żenić z którą z nas!

—»Moście panny! odezwał się Girardiere akademicką przybierając postawę; przysięgam wam że ojciec wasz prawdę powiedział.. Wszystkie trzy jesteście milutkie.... a że niepodobna byłoby wybór pomiędzy wami czynić, tę wezmę za żonę, która rękę moją przyjąć raczy; którakolwiek mi przypadnie, na ślepo ją przyjmę.

—»Och! tylko nie mnie! zawoła maleńka Cecylia, skrzywiwszy się najdziwaczniéj«

Girardiere przygryzł wargi i nagarnął włosów na łysinę, zwracając spojrzenie na dwie starsze. Pan Lapoucette tymczasem odezwał się do najmłodszéj córki:

—»Z jakiegoż powodu Cecylio, nie chcesz pójść za mego przyjaciela Girardiera?

—»Ach! papo! bo ja nie chcę mieć męża coby mógł bydź moim dziaduniem.“

Girardiere podskoczył na krześle i stara się uśmiechać wybąkując: „Ach! ach! panienka sobie żartuje!...“

Pan Lapoucette pragnie ile możności zachować powagę i odpowiada: „Twoim dziaduniem?.. moje dziecię... mylisz się... nie zupełnie... No kiedy nie chcesz pójśdź za Pana Girardiere, to zobaczny dalej. Anno, a tobie czy nie pochlebia żądanie mego przyjaciela? odpowiedz córko.“

Panna Anna spuszcza oczki i odpowiada skromnie, z przyciskiem:

—»Pan Girardiere bardzo jest łaskaw że się chce ze mną żenić!... ale to bydź nie może... bo jestem... jestem za młodą dla niego.

—»Lepsza odpowiedź, rzekł Lapoucette. Girardire tymczasem, zmięszany tém drugiem odmówieniem, ukradkiem spogląda na najstarszą z trzech panienek.

—»No Julio, teraz koléj na ciebie—znowu odzywa się Lapoucette, chceszli być żoną mego przyjaciela Girardiere?... mów otwarcie... jeśli ci się podoba, z chęcią przystanę na wasze połączenie.«

Panna Julia rzecze jak najoschléj.

—»Naprzykład!... ja miałabym zostać żoną tego pana!... czyliżby ten pan chciał ze

mną tańcować, chodzić na spacer, gonić się po polu? Ja chcę się ubawić, naśmiać z moim mężem... nie zaprzeczam że ten pan bardzo jest przyjemny, ale ja chcę mieć męża równego prawie ze mną wieku, inaczéj, wolę nie pójść za mąż.

—»Bardzo mi to przykro, kochany przyjacielu, rzekł Lapoucette spoglądając nieco szydersko na Girardiera, lecz widzisz że ci odpowiedziano... widzisz... że zdanie jest jednomyślne.. gdybyś jednak koniecznie chciał połączyć się z moją rodziną, wybierz jednę z siostr moich; najmłodsza ma pięćdziesiąty drugi rok, ale się jeszcze bardzo świeżo zachowała.

—»Dziękuję, nieskończenie zobowiązany! odpowiada Girardiere starając się uśmiechać dla pokrycia gniewu.

—»Spodziewam się że to wszystko nie przeszkadza abyś częściej u nas bywał: dodaje Lapoucette biorąc za rękę przyjaciela; pamiętaj że zawsze będzie dla ciebie nakrycie u mego stołu, i że córki moje będą cię uważać za bardzo przyjemnego, byleś tylko nie chciał żenić się z niemi.

—»Nie zapomnę o tém, odpowiada Girardiere, i biorąc kapelusz, oświadcza, że ma jeszcze pójśdź gdzie indziéj i żegna się z rodziną Lapoucetta. Wyszedłszy, puszcza wodze gniewowi i mówi:

— »O! możesz czekać z obiadem!.... Przez pięć lat nie byłem u ciebie, ale dłuższy czas upłynie nim mnie znowu zobaczysz. Rodzina samych głupców! umieją się tylko śmiać sami nie wiedzą z czego, Co za puste głowy te dziewczęta!..- Ach! żadna z nich nie warta Panny Grandvillain. Co za nieszczęście, żem przestraszył Zemirkę.

VII.

NIE DOŚĆ MĄDRY.

Pan Girardiere nie zaniechał jeszcze swego przedsięwzięcia; zawsze tylko oskarżał przeznaczenie, które od najpierwszéj młodości było mu przeciwne. Ileż to skarg musi wytrzymać to biedne przeznaczenie! je tylko oskarżamy w chwilach gniewu, w niepowodzeniu, lub gdy cierpi nasza miłość własna. Zamiast otwarcie wyznać przed sobą, żeśmy zrobili głupstwo, że nam zbywało na takcie lub przezorności, wolimy gorzkie wyrzuty czynić przeznaczeniu, które w gruncie rzeczy bynajmniéj nie jest przyczyną naszego nieszczęścia i nigdy nie pomnimy na owe wyrazy Swiętego Grzegorza, które powinny być wyryte w naszém sercu.

„Gdy ci się jakowe nieszczęście wydarzy, poszukaj dobrze, a przekonasz się, że choć cokolwiek twoja wina w tém zachodzi.“

Teofil Girardiere, który już się wyrzekł majątku, ponieważ majątek nim pogardza, rzekł do siebie niezadługo: Po cóż ubiegać się za pięknością? piękność przemija; przypadek, choroba, twarz zmienić mogą..'. Codzienne mamy tego przykłady, niektóre nawet kobiety po szczepieniu dostają jeszcze ospy! Za nic więc trzeba liczyć powaby twarzy; w duszy, rozumie, sercu, szukać należy stałych wdzięków, gdyż serce, rozum i dusza nigdy się nie zmieniają.

J w tém mylił się biedny Teofil Girardiere!... Wyobrażając sobie że rozum się nie zmienia, nie przypatrzył się swojemu wiekowi, nie czytywał dzienników, nie rozmawiał o polityce; bo wówczas poznałby, że nic bardziéj zmiennego, nic dziwaczniejszego nad rozum! Iluż to adwokatów przemawia za i przeciw; iluż to autorów jest dziś wesołych, jutro smutnych, a po jutrze niezrozumiałych! I kobieta więc, może bydź przyjemną gdy jest przedmiotem wszystkich hołdów, gdy o jedno jéj spojrzenie ubiegają się jak o łaskę, ta sama kobieta może się stać późniéj bardzo kwaśną, bardzo nudną, gdy przestaną się nią zajmować; jedno nic ją rozgniewa, jedna przeciwność wyciśnie z ust jéj gorzkie wyrazy i skarg potępienia!... O! nie wierz kobiécie, jeśli nie posiada dobroci, coby jéj zapędy łagodziła.

A na serce, czy można rachować?.. Serce!... serce jest właśnie tém co tylko posiadamy najbardziéj zdradzieckiego! najbardziéj zmiennego!... częstokroć nie jesteśmy jego panami; zdaje nam się że nim kierujemy, a ono nami rządzi. Gdyśmy je w dobréj wierze komu oddali, jakże się nieraz zdziwimy, postrzegając że się samo komu innemu oddało! Gdy rachujemy na jego stałość, okazuje się najsłabszém; gdy mniemamy że jest zimném, rozpłomienia się; gdy usiłujemy nakazać mu milczenie, przemawia ciągle mimo naszéj woli: i na serce więc rachować nie można. Pozostaje dusza, którą każdy podług swego widzi mi się określa.

Girardiere szuka teraz panny, wdowy lub rozwódki, którаby była rozumną. Mówi sobie: »Kobieta rozumna nie pogardzi mną. Wszystkie które mi odpowiedziały, były głupie, począwszy od pani Grandvillain, która jest tak głupia że psa nademnie przekłada. Udajmy się do kogo, co by umiał ocenić mnie, a jak powiada szanowna i czcigodna moja matka, oddadzą sprawiedliwość moim przymiotom, moim wdziękom.«

Teofil przypomina sobie że był kiedyś na wieczorze u Pani de la Berlinguerie, i że Pani de la Berlinguerie ma córkę, zwaną Arabella. Młoda ta panienka wcześnie zapowiadała że będzie cudem, dziesiątą muzą, Safoną, a przynajmniéj panną Scuderi. Kiedy miała lat sześć, ułożyła komplement na imieniny dla papy, w którym nie było żadnego *a*; na przyszły rok zrobiła dla matki powinszowanie bez *o* i bardzo śliczne rzeczy bez *u*, napisała dla chrzestnego ojca. Z tego wszystkiego wnoszono, iż potrafi mówić nie używając żadnéj litery alfabetu, co by w istocie bardzo nadzwyczajną uczyniło z niéj osobę. Girardiere rzekł do siebie: ,,Od czterech czy pięciu lat jakem nie widział Panny Arabelli de la Berlinguerie, umysł jéj musiał się bardzo zbogacić i upięknić. Jakże się rozumieć będziemy!... Ja przecie głupi nie jestem; jestem nawet dosyć uczony... Ja, com przecie, kiedym był mały, chciał koniecznie uczyć po łacinie naszą sługę, ową biedną Barbarę!... Jeśli Panna Arabella chce się uczyć retoryki lub łaciny, ja właśnie jestem człowiekiem jakiego jéj potrzeba.''

Pewnego wieczora, Girardiere bardziej się jeszcze stroi niżeli zwykle, bo sobie przypomina że u Pani de la Berlinguerie dość wielka panowała zawsze ceremonialność i udaje się na przedmieście *Marais*. Rodzina panny Arabelli mieszka na ulicy Trzech Pawilonów. Rodzina ta składa się nasamprzód z Pana de la Berlinguerie, maleńkiego siedmdziesiąt-letniego staruszka, który większą część życia strawił na robieniu i odgadywaniu logogryfów; potem z matki Arabelli, malutkiéj kobieciny ale to tak malutkiéj, że mąż prawie wysokim przy niéj się wydaje. Twarz jéj chuda, lecz dziwnie wyrazista, siwe oczy błyszczące jak karbunkuły, nakoniec niezmiernie ruchome rysy, nadają jéj pozór jednéj z owych wróżek, które łatwo mogą wyjśdź z pudełka lub schować się w dzbanek. Przydajmy do tego, że Pani de la Berlinguerie, ciągle trzyma w ręku, nawet przechadzając się po pokoju, laskę z gałką słoniową, tak długą jak kij bilardowy, którą w chwilach niecierpliwości uderza o podłogę, a dziwić się nie będziemy, że Pan de la Berlinguerie, człowiek z natury bardzo spokojny, zatrzymuje się w środku zaczętego periodu i całkiem traci wątek rozmowy, skoro tylko posłyszy stuknięcie groźną laską. Panna Arabella była pierwszym owocem dobranego związku. Panienka ta już zaczęła rok dwudziesty trzeci; wyższą jest od ojca i matki, choćby ich postawiono na sobie prostopadle, ma pięć stóp, sześć czy siedm cali, a nos jéj najdoskonaléj zgadza się z kibicią: co bardzo jéj musiało przeszkadzać, gdy chciała kogo pocałować. Płeć jéj miała kolor skórki pomarańczowéj, szyja niejakieś podobieństwo ze szyją strusia, a chód do chodu giraffy; niezmiernie była chuda; za najmniejszem poruszeniem każdy lękał się aby sobie czego nie złamała. Słowem, wszystko ostre było w téj panience, począwszy od kolana aż do łokcia, od nosa aż do rozumu. Szczęśliwe usposobienia okazywane w dzieciństwie, znacznie się rozwinęły. W prawdzie, mówiąc używała i *o* i *a*; lecz jak doskonale mówiła!

Arabela nie była jedynym owocem hymenu szanownych rodziców; urodził im się także syn, lecz w dziesięć lat później. Chłopczyna ten, o którym sądzono że będzie naśladował lub przewyższy nawet siostrę, nazwany został Fileosinus. Zaledwie mógł kilka słów wyszczebiotać, siostra chciała go nauczyć wyrażać się z wdziękiem; matka wymawiać *niania* bez a; a ojciec zgadywać logogryfy. Mały Fileosinus okazywał nadzwyczajny wstręt do wszystkiego czego chciano go nauczyć; nie miał upodobania w pięknych słowach siostry, żądał jeść i pić jak prosty chłopak i nie mógł nawet zrozumieć co to jest szarada. Rodzina de la Berlinguerie postanowiła że mały Fileosinus będzie jeniuszem i tak dręczono biednego chłopczynę, iż w ósmym roku całkiem stał się głupim i niedołężnym. Lecz mimo tego utrzymywano że dziecie było *natchnione*; każdy udawał że temu daje wiarę, bo dobrze wychowani ludzie nigdy nie zaprzeczają.

W téj to rodzinie, biedny Teofil Girardiere postanowił szukać małżonki; są osoby co by to wzięły za skutek rozpaczy, lecz Teofil który wszystko w najpiękniejszych widzi kolorach, naprzód już w siebie wmawia, że związek z mądrą Arabellą ustali szczęście jego życia.

Rodzina de la Berlinguerie mieszka w starym domu, którego czarne mury mogłyby walczyć o pierwszeństwo z murami zamku Kluny. Wielka brama roztwiera się na obszerny dziedziniec, porosły trawą. Odźwierny ma budkę w głębi dziedzińca.

Girardiere wysiada z kabryoletu, nie chciał bowiem przyjśdź pieszo, gdyż deszcz pada, pełno błota na ulicy, a lęka się splamić błyszczące swoje trzewiki. Płaci woźnicy, puka do bramy; nie prędko się otworzyła i tymczasem zmokł należycie. Nakoniec ciężkie drzwi obróciły się na zardzewiałych zawiasach: zamyka je nie wiedząc gdzie szukać odźwiernego: pierwszy raz jest w tym domu, gdyż rodzina de la Berlinguerie dopiero od dwóch lat w niem mieszka; ogląda się na wszyst-

kie strony, a nie postrzegając nikogo, mniema że się omylił; udaje się na domysł do niskich drzwiczek które postrzega na lewo; woła, nikt mu nie odpowiada; uchyla drzwi, wszystko jest ciemne i głuche; postępuje kilka kroków... pada, stacza się po kilku schodach i dopiero postrzega że wlazł do piwnicy: Girardiere podnosi się przeklinając; idzie na dziedziniec. Deszcz jeszcze większy pada: nasz kawaler w bardzo złym jest humorze, bruk prawie cały trawą zarosły niezmiernie jest ślizgi, i mimo deszczu musi postępować z największą ostrożnością, aby powtórnie nie upadł. Przybywa na środek dziedzińca, mówiąc sam do siebie: Co za osobliwy dom!.. jak zamek!.. smutna rzecz! nikt by się nie domyślił że jest w Paryżu. Gdzież u licha schował się odźwierny tego domu?... Ach! zdaje mi się żem przecie postrzegł światełko; byleby tylko nie był to nocny ognik. Odtąd jakem wpadł do piwnicy, wszystko już mam w podejrzeniu... Postępujmy przezornie.

Girardiere kieruje się ku światełku. Przybywa nakoniec do jakiegoś budynku, puka w zakopcone okienko; chrapliwy głos woła na niego: «A cóż to pan robisz tak długo na dziedzińcu? Już od pół godziny otworzyłem panu bramę? Co to za moda pukać do domu, a potem chować się do piwnicy?

—»Chować się do piwnicy! odpowiada Girardiere wchodząc do budki aby się uchronić przed deszczem; do kata mości odźwierny, bardzoś acan śmieszny!... wpadłem do téj przeklętej piwnicy... o małom nawet karku nie skręcił; gdy kto zastawia u siebie takie sidła, powinien przestrzedz o tem ludzi, postawić latarnię aby świeciła osobom udającym się do lokatorów. Niezmierniem sobie stłukł kolano; to rzecz przyjemna! będę się musiał prezentować kulejąc!... Powiedz że mi przecie, czy państwo de la Berlinguerie są u siebie?

—»Ach! Pan idzie do pani de la Berlinguerie! odzywa się odźwierny grzeczniejszym tonem; ach! to co innego, bardzo pana przepraszam za omyłkę, ale bo to widzi pan dobrodziéj, u nas pełno jest uliczników; lubiących dokuczać odźwiernym! te psotniki nie wiedzą już jakie nam figle płatać. Pukają do bram, otwieramy, nikt nie wchodzi; znowu musimy wstawać, wychodzić z budki i drzwi zamykać; czasem wchodzą, lecz tylko po to, aby nowe figle wyrabiać na dziedzińcu; znowu musimy wychodzić z budki aby ich wygnać. Przybiegamy uzbrojeni batem, lecz kiedy chcemy ich pochwycić, uciekają śmiejąc się nam w oczy. Te łotry niezawodnie wisieć będą. Drugi raz znowu....

—»Dość tego, panie odźwierny, resztę mi drugą razą powiecie; czy są goście u państwa de la Berlinguerie?

—»Tak jest panie; dziś jest dużo gości, wielka kompania, dzień w którym państwo przyjmują. Cztéry osoby poszło na górę, a między niemi jedna pani z małą czarodziejską latarką, zapewne dla zabawy pana Filopusa; pan wie, to brat panny, co to jak utrzymują jest natchniony. Biedny chłopiec! nie wiem prawdziwie co mu takowe sprawia natchnienia, ale cały dzień przepędza na wyrabianiu głupstw na dziedzińcu! Wrzuca kubeł do studni; ciska kamieniami w szyby, wszystkim język pokazuje....

—»Dobrze, dobrze, panie odźwierny; jużem się przecie oczyścił; teraz będę mógł się pokazać. Gdzież jest mieszkanie pani de la Berlinguerie?

—»Na drugiem piętrze, pierwsze drzwi na lewo; łatwo pan pozna, bo tam jest róg jeleni u dzwonka.

—»Dobrze, będę zważał na róg jeleni.

Teofil Girardiere idzie po schodach i przybywa na drugie piętro. Nasz kawaler postrzega róg jeleni zastępujący rączkę u dzwonka, chwyta go, dzwoni z jakowemś tajemném wzruszeniem, mówiąc sam do siebie: Śmieszny wymysł zawieszać u drzwi róg jeleni! Jak się ożenię, będę miał rączkę u dzwonka; to daleko wygodniéj niżeli róg jeleni.

Wkrótce drzwi się otwierają. Girardiere wchodzi do obszernego appartamentu, w którym meble jednak bardzo są rzadkie. W przedpokoju zupełnie nic nie ma; w sali jadalnéj stoją dwie ławeczki, w pokoju jegomości, przez któren przechodzić trzeba nim się wejdzie do salonu, prócz łóżka jest stare biórko i dwa fotele; w salonie nakoniec, do którego wreście dostaje się Girardiere, jest stara kanapa i właśnie tyle krzeseł, ile potrzeba dla towarzystwa gdy jest w komplecie, to jest piętnaście. Girardiere mówi do siebie, uważając na rzadkość mebli: »Osoby rozsądne małą cenę przywiązują do zbytkowych przedmiotów, przestają na koniecznie potrzebnych rzeczach. Tém lepiéj, panna Arabella musi bydź oszczędną; to jak raz dla mnie; przedstawmy się grzecznie i śmiało, wyrażajmy się jak najdowcipniéj.

Gdy Teofil wszedł do salonu, wszyscy siedzieli tworząc półkole. Pan de la Berlinguerie, zanurzony w starym swoim fotelu, powiadał właśnie towarzystwu logogryf własnego utworu. Małżonka jego siedziała na kanapie, trzymając w ręku grożną laskę, na któréj lewą opierała się ręką. Stara jejmość, bardzo wykwintnie ubrana, obok niéj siedzi, mając na kola-

nach małe blaszane pudełko i z wielkiém upodobaniem na nie spogląda. Wspaniała Arabella była nieco dalej, a spojrzenia jéj po nad całém unosiły się towarzystwem. Trzech panów siedziało na krzesłach tuż przy kanapie. Piérwszy mogący mieć lat sześćdziesiąt, był poważny, długi i zdawało się że jego ręka przywykła do trzymania bakałarskiéj rózgi. Po nim następował młodzieniec, uśmiechał się ciągle i szczerze do wszystkich; słuchał z uwagą, wyciągał szyję ku panu de la Berlinguerie, przewracał oczy jak gałki od loteryjki, niezmiernie uradowany że się w tak dobrém znajduje towarzystwie. Młodzieniec ten, mogący mieć najwięcéj lat dziewiętnaście, nosił wytarty surducik orzechowy, u którego rękawy o cztéry cale nie dochodziły do ręki, i podobnież krótkie pantalony, które musiał często pociągać na dół, aby się w krótkie spodnie nie zamieniły. Nakoniec ostatni, był to sobie gruby tatuś, w średnim wieku, a twarz jego rumiana zwiastowała człowieka szczęśliwego ze swego towarzyskiego położenia, mrużył niekiedy oczy, lecz otwierał je natychmiast i żywo przecierał, nadewszystko gdy posłyszał kaszlanie sąsiada, którego surowe spojrzenia ganiły jego niepowściągnioną chęć do spania.

(*Dalszy ciąg nastąpi*).

ZWYCZAJE LUDU.

Znajomość zwyczajów ludu, nieskończenie jest ważném dla dziejopisarstwa źródłem. Oddano słuszność téj prawdzie w ostatnich czasach, i już nie jeden dzielniejszy umysł z zapałem ciężkiéj pracy zawód rozpoczął. Zaprawdę, pojedyncze usiłowania małe tylko przynieść mogą korzyści, ale zespolone w jedno, jakimże nie wystarczą trudnościom! Z téj wychodząc zasady, ochoczo przydajemy grosz wdowi do ogólnéj zwyczajów ludu skarbony.

Uczeni chrześcijańskiego świata, wiele już zapisali tomów o obyczajach i obrzędach, żadném prawem nowéj wiary nie nakazanych, a jednak u rozmaitych narodów w starém będących używaniu; ale wszystkim tym pracom zbywa na porządku lub wykończeniu. Nie będzie i nasza praca zupełną, czujemy to dobrze; uprzedzamy nawet czytelników, że ją sami za wdowi grosz mamy, — nie odstąpimy wszakże przeto zamiaru.

Myślą naszą jest przebiedz wszystkie główniejsze uroczystości świata chrześcijańskiego, a zwracając się do źródła, śledzić ich początku w prawem przepisanych ustawach kościoła, albo w pogańskiéj wiary zabytkach.

Poszukiwania te posłużą do wyjaśnienia niejednéj z owych ciemnych powieści, którym w chwilach młodości tak chętne nadstawialiśmy ucho; wykażą wspólność niejednego u rozmaitych ludów obrzędu, a tém samém i oczywistość przedwiekowego ich związku i pokrewieństwa wykryją.

Dzieła obcych pisarzy, będą nam pomocą w przywiedzeniu niektórych zwyczajów obcych narodów, dzieła zaś własnych pisarzy i podania ustne, w roztrząsaniu obrządków naszemu ludowi właściwych.

Nowy Rok.

Nowy rok, u wszystkich ludów europejskich, z odznaczającą się uroczystością obchodzony bywa. Osoby przyjazne albo znajome, życzą sobie w tym dniu wzajemnie pomyślności, i przeszło to już w niejaki obowiązek składać życzenia w dzień nowego roku, ustnie lub piśmiennie każdemu z krewnych, przyjaciół, dobroczyńców, przełożonych i t. d. W dawnych latach spotykano się u nas życzeniem: *bóg cię stykaj*! (1), ale w następstwie czasu krótkie to wyrażenie zastąpiły naprzód rozmaitéj treści *oracye*, *perory*, *komplementa*, a potém zimne, czcze *bilety*, które służący roznosi, albo dla większéj wystawy, koczem lub karetą pańską rozwozi. Zwyczaj ten po wielkich miastach szczególniéj w powszechne poszedł używanie, mieszkańcy zaś wiosek posyłają sobie wzajemne listy, w których szczérze lub obłudnie, krótko lub długo z życzeniami się rozpisują. Odwiedziny w dzień nowego roku bywają rzadkie, a jeżeli się jedzie, to tam tylko, gdzie hucznéj i wesołéj zabawy niechybna nadzieja, bo nowy rok koniecznie wesoło przepędzić trzeba. Zdarzy się jednak dotąd spotkać zabytek starożytnego zwyczaju życzeń; jeszcze niekiedy po miastach większych, roznosiciel afiszów lub listów, a po miasteczkach i wioskach kościelny sługa lub organista, idzie z ustną lub wypisaną *oracyą* tam, gdzie się datku a przynajmniéj poczęstnego spodziewa. Zbierają się też czasem powoźnicy (dorożkarze) i trzaskaniem z batów słowne zastępują życzenia. Mnóstwo podobnych zwyczajów ma każda okolica,

(1) Gołębiowski nie przytaczając powodów domniemania swojego, że niegdyś, wyrażeniem „*bóg cię stykaj*" polecano się błogosławieństwu Wszechmocnego.

a dowcipniejsi mnożą je i zmieniają według potrzeby i upodobania.

Ale nietylko zwyczaj życzenia pomyślności odznacza dzień nowego roku. W Anglii, a szczególniej w okolicach Szkocyi południowej, skoro zegar wybije północ 31 grudnia, czyli zapowie skon starego a narodziny nowego roku, najstarszy wiekiem mieszkaniec wioski wybiera się skrzętnie z domu, a otoczony gronem mężczyzn i kobiét śpieszy nad brzeg wody, i czerpie kubkiem najpierwsze jéj warstwy. Tak zebrana woda *śmietanką studni* się zowie; całe towarzystwo rozpoczyna śpiéw wesoły:

»The flower of the well to our house gaes
An' d'll the bouniest lad get.«
(»Kwiat studni idzie do nas, a najpiękniejszy z okolicy młodzian, moim mężem będzie.«)

Jak bowiem zebrane piérwsze warstwy wody, *śmietanką studni*, tak znowu piérwszy jéj kubek *kwiatem studni* zowią. — Młode dziewczęta ubiegają się o jego otrzymanie, a któréj się dostanie, nie wątpi uradowana, że najpiękniejszego z całéj okolicy w tym roku zaślubi młodzieńca. Zwyczaj ten sięga bardzo odległéj starożytności i jest niewątpliwie zabytkiem uwielbienia, z jakiém Piktowie byli dla zdrojów. Znany on był i Rzymianom, wieszczkowie nawet z pewnego sposobu pienienia się wody w ręku, przyszłe przepowiadali zdarzenia.

We Francyi, oprócz składania życzeń w dzień nowego roku, istnieje zwyczaj podarków, połączony z trzykrotném pocałowaniem twarzy; wzbronne te inną razą dla młodych w obec świadków uciechy, nie zapłonią w dzień nowego roku i najskromniejszéj dziewicy, pocałunek na twarz młodzienca kładnącéj. Najpospoliciéj przy pocałowaniu pomarańcza jest objatą (ofiarą). Godna rzecz zastanowienia, że zwyczaj ten u Rossyan w powszechném jest używaniu, z tą różnicą, że nie w dzień nowego roku, ale wielkiéj nocy, i że pomarańczę zastępuje ubarwione jajko, *kraszanką* albo jak na Mazowszu *pisanką* zwane. (2)

W Polsce wieczór przed nowym rokiem zowią *szczodrym* albo *szczodruchą*. Toż samo nazwisko służy gdzieindziéj wieczorowi w przeddzień trzech króli. Niegdyś u Polaków, jak dotąd we Francyi, wydawano w tym czasie różne upominki dzieciom, czeladzi, plebanom, sąsiadom. Ubożsi nawet piekli chléb pszenny na podarki, który *szczodrakami* zwali. Na Podlasiu *szczodry* wieczór, *bogatym* (bohaty weczer) się zowie (3). Wtenczas gospodynie mięsiwo i inne potrawy gotują, pieką placki i pirogi. Dziewczęta i chłopcy przebrani chodzą po domach za podarkami i udają Cyganów, dziadów, Żydów, wieszczków, albo naśladują zwierzęta. Gdy chłopcy życzenia prawią, dziewczęta rzucają na ogień siemię lniane, które im z większym trzaskiem pęka, tém pomyślniejszą rokuje wróżbę; kiedy ich nie poczęstują, sami zjedzą i wypiją co na podręczu się znajdzie, i jeszcze czasem kilka sztuk drobiu uniosą, albo przynajmniéj powyrywawszy pióra zdobią niemi czapki. Obiegłszy wieś całą, schodzą się w umówionéra miejscu, jednę obierają gospodynię, inne pomagają i gotują wieczerzę; chłopcy za uzbierane pieniądze przynoszą napoje, a zabawa trwa do późnéj nocy.

Wiele osób przestrzega ściśle, żeby w dzień nowego roku w zupełnie nową ustroić się odzież, a jeśli jakiémś zdarzeniem coś starego się zaplącze i niepostrzeżenie za ubiór posłuży, smutnéj to bardzo przepowiedni znakim. Zabobon ten prawie wszystkim ludom Europy wspólny, sam w sobie przedwiecznéj starożytności ukryte ma źródło; podobnie pospolitym jest zwyczaj nie wydawania w dniu tym ognia do domu obcego; mieszkaniec Szkocyi nie dozwoli nawet wynieść ani drzewa ani węgla na opał, w obawie, ażeby z czasem do czarów przeciw niemu użyte nie były. Ślady tego przesądu widoczne są u Rzymian i Greków.

Na Podolu, Ukrainie, Wołyniu, Litwie i Rusi, istnieje zwyczaj ciskania w dzień i przeddzień nowego roku zboża po izbach mieszkalnych; wójt, sołtys, dziesiętnik na wsi, gumienny we dworze, a nieraz chłopcy wiejscy obiegają dwór, probostwo, mieszkania wszelkie, a stanąwszy we drzwiach ciskają w izbę garść zboża, z tém prostém życzeniem:

Rody Boże żyto, pszenicu,
I wszelakieju przeźnicu.
(Ródź Boże żyto, pszenicę i wszelkie zboże).

W okolicy naddniestrzańskiéj, właściciel pasieki wyjmuje w dzień nowego roku uściołki słomiane z butów, które włożył w przeddzień bożego narodzenia, i przewraca je od pięty ku palcom, a po trzech królach kadzi niemi pasiekę, w pewności, że to pomnoży rojenie się pszczół, uciec im z pasieki nie dozwalając.

(2) *Kraszanką*, że *kraśno* czyli *czerwono* najczęściéj ubarwiona bywa.

(3) K. W. Wojcicki w rosprawie o Podlasianach.



W E R S A L.

HISTORYCZNE MUZEUM WERSALSKIE.

Zamek Wersalu, dawna rezydencya królów francuzkich, odnowiony i wyporządzony przez króla Ludwika Filipa, zamieniony został w historyczne muzeum. Otwarcie tego muzeum nastąpiło z wielką uroczystością.

Zamek wersalski składa się z trzech głównych części: z korpusu, ze skrzydła południowego i skrzydła północnego. W korpusie, na schodach marmurowych umieszczono popiersia, posągi i statuy artystów i sławnych uczonych XVII i XVIII wieku. Są tu popiersia Mansarda budowniczego pałacu, Lenotra założyciela ogrodów wersalskich, malarza Lebrun, rzeźbiarza Coysevox, Ludwika XIV i Ludwika Filipa.— Na piérwszém piętrze w dawnéj sali gwardyi, są obrazy wystawiające wypadki wojenne z panowania Ludwika XIV. Pokój Ludwika XIV przyprowadzony został do tego samego stanu, w jakim był za życia tego monarchy. W pokoju Ludwika XV znajduje się obraz wystawiający jego namaszczenie i koronacyą w Reims, oraz portrety z wieku tego monarchy. W salach piérwszego piętra umieszczono oprócz zabytków pozostałych po Ludwiku XIV, XV i XVI, obrazy wystawiące sławnych ludzi i znamienite wypadki za panowania tych monarchów; oprócz tego znajdują się sale następujące: *Sala krucyat*— w niej zebrano obrazy dotyczące się wojen krzyżowych; *Sala Stanów Państwa*:—trzy wielkie obrazy wystawiają zgromadzenie stanów w 1506 za Ludwika XII, w 1614 za Ludwika XIII i w 1789 za Ludwika XVI. *Sala koronacyi Napolena* — w niéj są obrazy, rozdanie orłów przez Dawida, koronacya Napoleona przez tegoż, bitwa pod Abukir przez Grosa, portret generała Bonapartego, portret

Napoleona cesarza i portrety dwóch jego żon. *Sala roku* 1792, dawniéj sala stu Szwajcarów, obejmuje obrazy ważnych zdarzeń i zwycięztw ztéj epoki, a mianowicie bitew pod Jemmapes i Valmy przez Horacego Werneta. *Sala rysunków*: w niej znajdują się portrety najznaczniejszych osób z wyprawy do Egiptu, rysowane na miejscu i w owoczesnym stroju. Inne sale obejmują zbiór przeszło trzech set rysunków wystawiających kampanie od 1795 do 1797. Cztéry sale poświęcone są na obrazy kampanii roku 1793, 4 i 5go.

Na dole przy schodach marmurowych, przeszedłszy przysionki w których stoją posągi Kartezyusza, Pussyna, Kornela i Woltera, wchodzimy do sali, w któréj znajdują się portrety wszystkich admirałów Francyi w liczbie 63 od r. 1270 do 1814. W drugiéj sali są portrety wielkich hetmanów, w liczbie 39 od Alberyka w 1060, aż do Lesdiguiera w 1622. Czternaście sal przedzielonych galeryą Ludwika XIII zawiera autentyczne busta marszałków Francyi; te których wynaleźć nie można było, zastąpiono tarczami téj saméj wielkości z napisem ich nazwisk, tytułów i daty zgonu. W r. 1185 mianowano piérwszego marszałka Francyi. Jest tam prócz tego wiele portretów, umieszczonych podług chronologicznego porządku.

Galerya Ludwika XIII utworzoną została przez zrzucenie wielu małych pokoików zbudowanych za Ludwika XV; obejmuje obrazy historyczne z epoki Ludwika XIII i XIV. W dwóch salach umieszczono obrazy sławnych wojowników, którzy nie będąc admirałami, hetmanami wielkiemi, ani marszałkami, dowodzili wojskiem. Jest tam Dunois, Bayard, Kondeusz, Dumurier, Hoche, Moreau, Eugeniusz Beauharnais i t. d. W czterech salach umieszczono obrazy najsławniejszych bitew morskich, chwalebnych dla oręża Francuzów. Sala królów francuzkich, zrobiona z dawnych ciemnych pokoików starego pałacu, mieści portrety 72 królów Francyi.

W skrzydle południowém na dole, jest galerya cesarska czyli Napoleona. W przysionku stoi posąg Napoleona olbrzymiéj wielkości; galerya ta składa się z dwunastu sal ozdobionych rozmaitemi godłami i obrazami zwycięztw Napoleona, od 1796 do 1815. Galerya rzeźby i posągów zawiera popiersia sławnych generałów od 1790 do 1825.

Na piérwszém piętrze *wielka galerya bitew* nowo zbudowana i cała pokryta żelazem, złożona jest z obrazów wystawiających najsławniejsze bitwy od Klodoweusza aż do Napoleona, obrazy te są dziełem najlepszych tegoczesnych artystów. — Sala 1830 wystawia zdarzenia zaszłe przy wstępie na tron teraźniejszego monarchy. Galerya rzeźby, podobna do téj jaka jest na dole, mieści popiersia i posągi sławnych ludzi od 1500 r. do 1780. W salach drugiego piętra, są popiersia ludzi sławnych w zawodzie naukowym, sądowym i politycznym, od 1790 aż do naszych czasów.

Skrzydło północne na dole, obejmuje galeryą historyi francuzkiéj, składającą się z 31 sal wychodzących na ogród, są tam obrazy historyczne od epoki Kladoweusza aż do Ludwika XVI. Druga taka galerya na piérwszém piętrze, poświęcona jest epoce Napoleona, Ludwika XVIII i Karola X.

Liczba obrazów i posągów składających historyczne muzeum Wersalu, wynosi 4000 sztuk.

BODUIN.

Którego święta miłość bliźniego ujęła,
Mężu prawy! spoczywaj w pośród twego dzieła,
Bajeczna starożytność niech rycerzy głosi;
Nędzna sława! co światu nieszczęścia przynosi!

KRASICKI.

Pomiędzy wszystkiemi stanami w narodzie, duchowny niemal najobszerniejszy ma obręb działania, i najchlubniejsze powołanie. Księża będąc na ziemi głosicielami niebieskiéj nauki, wszczepiając Boską religią w serca, sposobiąc je do poznania Stwórcy i zachowania świętych przepisów cnoty; wyświadczają rodzajowi ludzkiemu największą przysługę. Niedość na tém: znając dokładnie ważne obowiązki stanu swego, znacznie przyłożyć się mogą do zmniejszenia niedoli na ziemi, osłodzenia trosk i kłopotów, do ulżenia jarzma, które każdy śmiertelny dźwigać musi. Oni to przez stósowną naukę, zwłaszcza wzrastającéj młodzieży, przyjmującéj ochoczo rzucone nasiona, przez wpływ swój na starszych radą i dobrym przykładem, podając dobroczynną rękę nędzy i ubóstwu, najskuteczniéj polepszyć mogą fizyczny byt najliczniejszéj klassy mieszkańców.

Ci, którzy zwiedzali Francyą i poznali dobrze ten kraj, utrzymują, że duchowieństwo francuzkie chlubnie się w tym względzie między innemi stanami odznacza. — Gruntowne usposobienie, bez którego częstokroć najlepsze chęci i talenta niszczeją, owo zamiłowanie i poświęcenie się wyłącznie obowiązkom stanu swego, będące skutkiem moralności i szlachetności duszy, z namionują większą liczbę duchownych.

Zdanie to podróżnych potwierdza historya. Z pomiędzy tylu dobroczyńców ludzkości, wiecznéj sławy godzien jest Boduin, także Francuz, któren osiadłszy w naszym kraju, dla niego tylko żył, i dla niego życia dokonał.

Odebrawszy wychowanie urodzeniu swemu przyzwoite, umyślił zostać kartuzem, ale gdy wuj jego radził mu, by lepiéj taki stan obrał dla siebie, w którymby Bogu i ludzkości mógł bydź użyteczny, zmienił pierwiastkowy swój zamiar, udał się do Paryża, i w korpusie zwanym *les gens d'Armes* otrzymał miejsce, dla ćwiczenia się w sztuce rycerskiéj. Lecz nie znalazłszy i w tém upodobania, wkrótce przyjął suknią duchowną u Missyonarzów Sgo Łazarza, w Paryżu roku 1710. Przełożeni zakonu, widząc w nim zasady gruntownéj nauki i moralności, powierzyli mu katedrę teologii w Seminaryum wersalskiém. W roku 1717 ze zlecenia swéj władzy przybył Boduin do Warszawy, i nauczywszy się po polsku, mieszkając w klasztorze zgromadzenia Krzyża Sgo, był uczestnikiem prac parafialnych. Wracając raz od chorego, postrzegł psa, unoszącego główkę niemowlęcia, świeżą jeszcze, a resztę członków już pożartych. Wzruszony tym widokiem, opowiada przełożonemu z płaczem, nieszczęśliwe zdarzenie, i ufny w Opatrzności Boga, przedsiębierze zaradzić temu, mimo nieprzebytych trudności. Stały przedsiewzięciu swojemu, pozyskawszy pozwolenie świeckiéj i duchownéj władzy, zajął się gorliwie zbieraniem na ten cel składek. Łaskawe nieba sprzyjały jego zamiarom: w roku 1732 kupił w Warszawie obszerną kamienicę przy ulicy Krakowskie przedmieście, osadził ją Siostrami miłosierdzia, zbierał do niéj dzieci przyciśnionych ubóstwem rodziców, aby te w zasadach religii, moralności i pracach stanowi swemu przyzwoitych, potrzebne brały nauki: niemowlętom zaś, których liczba wówczas do 200 wynosiła, u mamek w mieście i po wsiach obmyślił wyżywienie. Lecz wkrótce przeznaczone miejsce szczupłém się bydź okazało: pomnażała się bowiem coraz większa liczba opuszczonych od rodziców ofiar. Wspierany Boduin szczodrobliwością możnych, zakupił obszerny plac w parafii S. Krzyża i na nim r. 1756 wybudował szpital dla nieszczęśliwych dzieci, ubogich, kaleków i chorych, pod tytułem Dzieciątka Jezus. Budowa takowego gmachu przeszło 30,000 dukatów wydatku potrzebowała; nie mógł ich mieć mąż poświęcający się dobru ludzkości; szukał więc różnemi sposoby zasiłków, obchodził rozmaite domy w Warszawie, w celu zbierania jałmużny dla ubogich sierot, doznawszy nieprzyjemnności od nieczułych, mawiał z cierpliwością: »to dla mnie, a cóż dla dzieci?« Na ileż to trudów, prac i troskliwych starań w ciągu téj wielkiéj roboty czcigodny ten kapłan był wystawiony? Prawdziwie wielki jego umysł, czułe serce i wysokie cnoty, przywiodły do skutku jego zamiary. Ukończona budowa szpitala, w nim Boduin z kilku innymi kapłanami zajmował się opatrywaniem potrzeb; tu strapieni znajdowali pociechę i pomoc. Tak więc, nieoceniony ten człowiek, wzór kapłanów, zaszczyt zgromadzenia, którego był członkiem, ostatnie życia chwile przepędził; doszedłszy 79lat wieku, z zupełną umysłu przytomnością, i w przekonaniu, że dopełnił przeznaczenia, doczesne na nieśmiertelne zamienił życie. Zwłoki jego spoczywają w kościele S. Krzyża. Łzy rzewne osieroconych dzieci i kaleków, których był ojcem, nad zgonem jego ronione; piękniejszą są pamiątką dla niego, nad pyszne kolumny. — Wielki ten mąż,który tyle istot opuszczonych od wiecznéj zaguby ochronił, który zapomniał o sobie, pamiętając tylko o bliźnich, zasłużył sobie na wdzięczność narodu i na uwiecznienie imienia swego.«

OBRAZY TOWARZYSTWA.

KAWALER DO WZIĘCIA

POWIEŚĆ.

(*Dokończenie*).

Mały Fileozynus nie znajdował się w kole; leżąc na ziemi w kącie salonu. stawiał budki z kart, śmiał się chwilami głupowato, potém taczał się aż do kanapy, i ciągnął za nogi siedzące na niéj osoby.

Przybycie Teofila nie przerwało bynajmniéj czytania; gospodarz przestał na poważném skłonieniu się nowo przybyłemu; wskazano mu krzesło, potém znowu zajmowano się logogryfem, który był zwyczajną zabawą rodziców Arabelli. Teofil musiał więc usiąść i podobnie jak inni słuchać; bardzo mało jednak uważał na logogryf, oczy jego ciągle zwracały się na pannę Arabellę, któréj oddawna już nie widział i uważał że nadzwyczajnie urosła. Osądził że panna de la Berlinguerie wiele musi potrzebować materyi na suknie, lecz ta kupiecka uwaga bynajmniéj go nie wstrzymała, a koniecznie chcąc wmówić w siebie że panienka była piękna, upatrzył w niéj nakoniec jakoweś dziwne podobień-



B O D U I N.

stwo z Wenerą wstydliwą. Skoro pan de la Berlinguerie skończył, przytomni, przez kilka chwil pogrążeni zostali w głębokiém milczeniu. Każdy szukał znaczenia wyrazu, lub przynajmniej udawał że szuka. Bakałarz kaszle, pociera sobie czoło, uciera nos, drapie się po uchu, i woła nakoniec: —»Nie umiem zgadywać wieczorem,. lecz jutro rano przebudziwszy się, pewny jestem że będę wiedział.« Młodzieniec dziko toczy oczyma, pociąga rękawy, pociąga pantalony i mówi: —»Musi to bydź musztarda lub ocet.« Na co panna Arabella mu odpowiada: —»O mil sto pan jesteś.« Gdy przyszła kolej na grubego jegomości, musiano mu powtórzyć trzy razy tož samo pytanie, aby otworzył oczy, nareście przebąknął: —»Słowo? właśnie o tém myślałem, upewniam państwa żem o niém myślał. «Obrócono się potém do Teofila; zdziwił się nadzwyczajnie iż go pytano o znaczenie logogryfu i po prostu odpowiedział: —»Bardzoby mi trudno było odgadnąć pański logogryf, bo przyznam się żem go wcale nie słuchał.« Odpowiedź ta nie zadowalnia bynajmniéj szanownego zgromadzenia, a matka Arabelli uderzając laską o podłogę, odezwała się do Teofila urażonym tonem: —»I o czémże więc pan myślałeś, kiedyś nie słuchał co mówimy? Jakiż powód zjednał nam zaszczyt jego odwiedzin, po tak długiéj niebytności?

Teofil zapłonił się i zmieszał; nie chce prosić o rękę panny Arabelli w przytomności tylu osób i spuszczając oczy pomrukuje przez zęby: —»Łaskawa pani, późniéj będę miał zaszczyt wytłumaczyć się; lecz w ogóle nigdy nie miałem talentu do zagadek i logogryfów; trzeba mieć do tego pewne usposobienie, na którém zupełnie mi zbywa.«

Pani de la Berlinguerie spogląda na męża, ten spogląda na córkę, a Arabella wstrzymać się nie może od nieznacznego poruszenia ramionami i przygryza wargi, co wszystko nieskończenie wiele ma znaczyć. Lecz wkrótce obracając się do

towarzystwa mówi: —»Powiem szanownéj kompanii kilka szarad mego układu, a potém, jeśli się za długo nie pociągnie, zakończymy wieczór zadawaniem sobie końcowych rymów. Towarzystwo oświadcza, iż nadzwyczaj jest zadowolone tym przydatkiem zabawy. Sama tylko jejmość trzymająca na kolanach czarodziejską latarkę, gotowa jest jaki opór temu stawić; poruszając kolorowe szkiełka obok niéj leżące, odzywa się: »Spodziewałam się, że dla zabawienia małego Fileozyna, będziemy...

Pani de la Berlinguerie przerywa wołając: »Syn mój bardzo dobrze bawi się w téj chwili, i sądzę że lepiéj na drugi raz odłożymy widowisko szejne-kataryuki. Arabello, powiedz nam twoją szaradę, moje dziecię; słuchamy cię z wielką uwagą.« Arabella posłuszna woli matki, powiada towarzystwu szaradę. Każdy słucha uważnie, a przynajmniéj udaje. Sam tylko Girardiere, cały zajęty zamiarem żenienia się, nie może zmusić swojego umysłu do odgadnięcia wyrazu, a gdy panienka go pyta: »A co mości panie! jakież jest moje piérwsze, moje drugie i moje wszystko?

—»Pani wszystko? odpowiada Teofil, ach! to rzecz dziwna, tego pojąć nie mogę; przyznam się żem nie mógł schwycić wszystkiego pani.

Szmer niepochlebny rozlega się po salonie, nikt już nie raczy spojrzeć na Girardiera ani przemówić do niego. Umysłowe zabawy u państwa de la Berlinguerie nigdy nie trwają dłużéj jak do wpół do dziesiątéj. O téj godzinie, całe towarzystwo wstaje i rozchodzi się. Teofil, zamiast toż samo uczynić, pozostaje i zakłopotany zbliżając się do ojca Arabelli, prosi go o chwilę osobnéj rozmowy. Stary jegomość mniema że idzie o logogryf, który pod sąd jego pragną oddać, i prowadzi Girardiera do gabinetu, gdzie tenże, po zwykłéj przemowie prosi go o rękę córki. Pan de la Berlinguerie, mocno zdziwiony, spodziewał się bowiem wcale co innego usłyszeć, oschle mu odpowiada: »Rękę mojéj córki! to bynajmniéj do mnie nie należy. Z resztą pomówię o tém z żoną. Bądź pan łaskaw jutro powróć, dam panu odpowiedź żony i córki.«

Girardiere odchodzi nie bardzo zadowolony z przyjęcia; mocno się na siebie gniewa że nie mógł odgadnąć szarady panny Arabelli, i całą noc nad jéj rozwiązaniem przemyśla. Nazajutrz powraca na ulicę Trzech Pawilonów. Tym razem nie błądzi po dziedzińcu,ani wpada do piwnicy; prosto udaje się do pana de la Berlinguerie i zastaje go samego. Teofil niecierpliwie pragnąc wiedzieć czego się ma trzymać, od razu pyta o odpowiedź. Stary jegomość jak najoschléj mu odpowiada:

—»Odmówiono ci, kochany przyjacielu.

—»Odmówiono! zawołał Girardiere i nie wolnoż wiedzieć dla jakiéj przyczyny?

—»Jednę mi tylko dano, któréj wolałbym ci nie powtórzyć.

—»Ale koniecznie chcę wiedzieć.

—»Kiedy chcesz koniecznie mój kochany, oto dla tego ci moja córka odmawia, że cię znajduje nie dość mądrym.

Girardiere więcéj słuchać nie chce, i nacisnąwszy kapelusz na oczy, oddala się mówiąc: »Z resztą, mości panie, wolę być takim jak jestem, niżeli tak natchnionym jak syn WaćPana.«

VIII.

RESTAURATOR.

Nie będę opowiadał dalszych zabiegów pana Girardiere; nie były szczęśliwsze, a jednakże coraz to bardziéj ograniczał swoje żądania i oświadczał się pannom trzydziesto-sześcio-letnim, wdowom które już czterdzieści lat skończyły; ścigała go jakaś fatalność i jeszcze był kawalerem. — Czas upływał i nasz nieborak zaczął pięćdziesiąty rok życia. A przytém martwił się że mu ciągle odmawiają i przez to jeszcze bardziéj się starzał. Tracił rumieniec, apetyt i ostatek włosów. Ciągle był ponury; ile razy postrzegł ładną kobietę, skrzywił się i rzekł: I ona także nie będzie moją.

Ciężko wzdychał siedząc przy staréj matce, która gadała do niego: »Mój maleńki, nie śpiesz się... masz czas... człowiek mający taką postać, takie przymioty, ożeni się skoro tylko zechce. Pamiętaj że trzeba śpieszyć się powoli.

Mowa staréj zaczęła niecierpliwić biédnego Teofila i pewnego razu gdy jego mama rozwodziła się więcéj jak zazwyczaj nad przymiotami swego syna, znudzony wziął kapelusz i zamiast jeść w domu, poszedł do restauracyi. Była to właśnie chwila, od któréj rozpoczęliśmy naszą powieść.

A teraz gdy już znacie historyą pana Girardiere, bądźcie tak łaskawi moi czytelnicy, i zwroćcie się do restauracyi, o któréj na początku wspomniałem.

Gości było mnóstwo i wszystkie stoliki zajęte. Girardiere zabierał się do obiadu, gdy weszły dwie damy. Jedna już w podeszłym wieku, lecz mająca minę skromną i przyzwoite ułożenie, wygląda jak uczciwa parafianka, żyjąca z procentu i która przyjeżdża do stolicy po swoją kwartalną ratę. — Druga jest młoda, ma ledwie lat dziewiętnaście, ubrana również skromnie, jest zmieszana, i widać że jeżli

mieszka w Paryżu, to pewnie na jakiém przedmieściu.

Zapłoniły się wchodząc do salonu, jako osoby nieprzyzwyczajone jadać w miejscu publicznem. Nie wiedzą czy iść daléj czyli się cofnąć, lecz służący prowadzi je do stolika przy którym siedzi Girardiere i od którego w téj chwili wstał pewien jegomość.

—»Tu jest miejsce, proszę państwa.«. Pan raczy cokolwiek usunąć się.

Girardiere usunąwszy trochę swój talerz i butelkę, przypatruje się sąsiadkom, zważa na ich obejście i myśli: Widać że to są uczciwe kobiéty, a chociaż powiadają że w Paryżu łatwo można omylić się w tym względzie, jednakże zaręczam, że jeźli kobiéta na utrzymaniu, może zwieść ubraniem swojém, zaraz poznać ją można z tonu i sposobu mówienia.

Młoda dziewczyna jest bardzo przyjemna. Im bardziéj w nią wpatruje się Girardiere, tém bardziéj usuwa swój talerz i chléb, tak dalece, iż starsza dama rzekła do niego:

—»Pan jesteś za bardzo grzeczny; nie rób sobie tyle przykrości, mamy dość miejsca. Ach! prosiemy bardzo.

—»I owszem pani, to dla mnie wielka przyjemność... jestem zbyt szczęśliwy... Ach! panie nie mają chleba... Garson! chleba tym paniom.

—»W rzeczy saméj, bardzo sobie winszujemy, żeśmy usiadły przy tak słusznéj i grzecznéj osobie. Nie zwykłyśmy jadać u restauratora: jest to mały nadzwyczajny wydatek. Lękałam się z razu czy to nie jest rzeczą nieprzyzwoitą, iż dwie kobiéty idą same do restauratora; lecz zapewniono mię że to jest zwyczajem w Paryżu i dla tego weszłyśmy.

—»Prawdę mówiono pani; w Paryżu każdy robi co mu się podoba. Pan jak widać nie mieszka w stolicy?

—»Tak jest panie, nie mieszkałam dotąd, lecz osiadłam tu, z tego powodu, że moja siostrzenica chce w Paryżu znaleźć dla siebie zatrudnienie. Dziś umyśliłyśmy bydź w teatrze, piérwszy raz od czasu naszego przyjazdu i pomyślałyśmy że trzeba zjeść obiad niedaleko teatru, bo spóźniwszy się nie znajdziemy miejsca, a gazety zapewniają że w tym teatrze jest zawsze pełno widzów.

—»Gdybyś pani znała Paryż, wiedziałabyś że nigdy nie należy wierzyć gazetom; czy to w polityce czy w literaturze wychwalają swoje stronnictwo. Ja zapewniam panie, iż macie dosyć czasu do obiadowania i łatwo dostaniecie miejsca w teatrze.

Dama kłania się, a gdy garson przyniósł to czego żądały, zaczęły jeść i na chwilę przerwała się rozmowa. Girardiere już dokończał obiadu, lecz umyślił jeszcze kazać przynieść sobie jedną potrawę... nie chce bowiem odejśdź, a przy jedzeniu będzie mógł słyszeć rozmowę swoich sąsiadek i uważać na nie.

Obie mało mówiły; młodsza była bojaźliwa i pomięszana; nie śmiała spojrzeć na nikogo i ciągle patrzała w talerz. Girardiere byłby chciał rozpocząć rozmowę, lecz aby nie okazać się natrętnym, czekał sposobnéj chwili.

Ciotka kazała przynieść pieczone ptaszki, a młodsza jedząc je westchnęła lekko i rzekła:

—»Ach! gdyby tu był pan Frontyn... on co tak lubi ptaszki, jakże byłby się uraczył.

Ciotka odpowiada: —»To prawda!

Girardiere wnioskuje sobie że ten pan Frontyn jest przyjacielem tych dam i namiętnie lubi ptaszki.

Młoda osoba parę razy rzekła do ciotki: »Bylebyśmy tylko dostały miejsca w teatrze, moja cieciu.

—»Kochana Augustyno, wszakże mi powiedział ten pan, że nie mamy po co śpieszyć się.

—»I mam zaszczyt zapewnić panie, mówi Girardiere; oprócz tego ponieważ i ja będę w teatrze, wprowadzę panie, jeźli pozwolicie i wynajdę jak najlepsze miejsce.

—»Pan jesteś bardzo grzeczny, rzecze ciotka; z wdzięcznością przyjmujemy jego przysługę; moja siostrzenica tak rzadko bywa w teatrze, iż bardzo żałowałaby gdyby nie mogła dobrze widzieć.

—»Rzecz naturalna; lecz niech się panie zdadzą na mnie.

Młoda osoba dziękuje panu Girardiere, przyjemnym uśmiechem. Nasz kawaler niezmiernie cieszy się że umyślił pojść do teatru razem z swemi sąsiadkami, gdyż im bardziéj przypatruje się pannie Augustynie, tém mu się bardziéj podoba. Już się nawet w niéj zakochał, bo na to jeden kwadrans wystarcza dla pana Girardiere.

Panna Augustyna jest młoda, grzeczna, ułożenie ma cokolwiek proste, nieco niezgrabne może, lecz ta wada jest przymiotem w oczach bezżeńca. Mówi do siebie: »Ta młoda dziewczyna przyjeżdża z prowincyi, chcąc znaleźć zatrudnienie w Paryżu; nie wiem jakie, ale mniejsza o to. Jeszcze nienabrała płochych i zalotnych obyczajów Paryżanek, gdyby poszła teraz za rozsądnego; porządnego człowieka, zapewne byłaby dobrą gospodynią. Muszę zapoznać się z temi paniami; a z resztą cóż mi to szkodzi? Jeźli mi odmówią, będzie to jedna więcéj i na tém koniec.... lecz jeźli mi się uda... Ta panienka bardzo mile na

mnie spogląda... spodziewam się że mi się uda.

Girardiere kazał sobie przynieść orzechów i dziadka do tłuczenia ich; ażeby mógł tak długo siedzieć przy stole, jak i jego sąsiadki. Ciotka nie śpieszyła się z jedzeniem i nie zważała na niecierpliwość siostrzenicy. Panna Augustyna spoglądała kiedy niekiedy na zegar zawieszony w salonie, i lekko wzdychała, a Girardiere odpowiadał wzajemném westchnieniem, na które nikt nie zważał, chociaż było ciężkie i długie.

Nareście wstali od stołu i razem wyszli z restauracyi. Girardiere, jako grzeczny kawaler, kupuje bilety i prowadzi te damy. Trzy czwarte miejsc nie było zajętych; ciotka i siostrzenica usiadły w piérwszym rzędzie, a Girardiere w drugim, aby mógł łatwiéj rozmawiać: umyślił bowiem lepiéj zapoznać się z niemi przez ciąg widowiska.

Ciotka Augustyny zwróciła przedewszystkiém panu Girardiere pieniądze za bilety; nie odmówił zwrotu, ponieważ nie zapoznał się jeszcze tak dobrze z temi paniami, i nie śmie im ofiarować biletów. Chciałby potém prowadzić rozmowę. Lecz zaczęła się sztuka, a ciotka i siostrzenica zważają tylko na to co się dzieje na scenie. Przez ten czas, Girardiere uważa na nie i coraz to bardziéj cieszy się z téj znajomości. Ciotka jest zacną kobiétą, uczciwą, dobrych obyczajów. Poznał to Girardiere z jéj sukni, kapelusza i woreczka. Każdy ma własny sposób sądzenia o ludziach. Jedni, a tych jest najwięcéj, sądzą z fizyonomii; drudzy z głosu, z pisma, z obejścia się. Girardiere sądził o kobiécie podług jéj sukni i kapelusza.

Między aktami, Girardiere więcéj dowiedział się; ciotka zowie się Gerbois, jest wdową i ma szczupły mająteczek; siostrzenica będzie jéj dziedziczką, ale tymczasem nic nie posiada; musi więc pracować dla zebrania sobie małego posagu: bo teraz rzadko która dziewczyna pójdzie za mąż jeśli nic nie wniesie mężowi; a że panna Augustyna szyje doskonale, przyjechała więc do Paryża, aby założyła magazyn szycia bielizny.

Girardiere pochwala to przedsiewzięcie, i myśli sobie, wydając ciężkie westchnienie:

»Szwaczka! nie ma w tém nic złego; kobiéta gdy szyje nie myśli wtedy przynajmniéj o zalotnikach; a z resztą jeźli nie będzie miała cudzéj roboty, będzie mogła robić suknie dla siebie; i to jest oszczędność!... Panna Augustyna mogłaby mi robić kamizelki.

Przez cały wieczór, Girardiere patrzał na młodą dziewczynę, ona zaś patrzała na scenę; za każdym aktem coraz bardziéj był rozkochany, a że tego wieczora dawano bardzo długie sztuki, Girardiere namiętnie rozkochał się w Augustynie z końcem piątego aktu.

Między aktami, nasz bezżeniec rozmawiając z ciotką, nie omieszkał wspomieć o sobie, o swoim stanie i o tysiącu talarów dochodu. Pochlebiało to starszéj damie, że poznała tak słusznego człowieka.

Skończył się teatr. Girardiere nie pozwala żeby te damy wracały same. Mieszkają na przedmieściu Śgo Jakóba, które jest dosyć daleko; ofiaruje fiakra, ciotka odmawia. Ofiarował *omnibus*, przyjęły.

Girardiere siada z temi damami, chociaż mieszka w stronie zupełnie przeciwnéj; lecz miłość, która jak wiadomo zbliża serca, miesza stopnie i niszczy przesądy, zrządziła że nie zważał na tak znaczną odległość. Girardiere usiadł obok panny Augustyny; nie rzekła ani słowa przez drogę, gdyż zajmowały ją wzruszenia widowiska, a te wzruszenia jeszcze były dla niéj rzeczą nową i świeżą.

Wysiadły niedaleko swego pomieszkania. Girardiere wysiada także; podaje rękę; szli przez kilka minut jeszcze, lecz kawalerowi nie przykrzyła się droga. Prowadzi pannę Augustynę, a że było trochę ślizgo, młoda osoba poufale opiera się na jego ręku, co go niezmiernie radowało.

Zatrzymali się. —»Tu mieszkamy, rzecze pani Gerbois. Teraz pozostaje nam tylko podziękować panu za jego tak wielką grzeczność.

Girardiere sądził, że mogły coś więcéj powiedzieć, to jest poprosić go, aby je odwiedził niekiedy. Lecz gdy tego nie uczyniły, ośmielił się prosić o pozwolenie. Miłość dodała mu odwagi.

—»Panie, rzekła ciotka, ja i moja synowica, widujemy bardzo mało osób, gdyż w Paryżu można czasem zabrać niebezpieczną znajomość. Lecz nie mogę odmówić panu pozwolenia o które mię prosisz, a jeźli nasze towarzystwo nie znudzi pana, miło mi będzie bliżéj poznać się z tak grzecznym i tak słusznym człowiekiem.

Girardiere kłania się aż do ziemi; tak jest uradowany z tego co mu powiedziała pani Gerbois; tymczasem ciotka i siostrzenica wchodzą do sieni, a zamykając drzwi za sobą, zostawują naszego kawalera.

Girardiere postrzegłszy iż się kłania drzwiom zamkniętym, odchodzi nareście, lecz dobrze przypatrzył się domowi w którym mieszka panna Augustyna, żeby do niego trafił we dnie.

***

IX.

PAN FRONTYN.

Girardiere marzył przez całą noc o pannie Augustynie. Nie może oderwać się od myślenia o niéj.

Nazajutrz poszedł na przedmieście Sgo Jakóba. Nie śmie odwiedzić pani Gerbois: byłby może śmiesznym taki pośpiech: lecz patrzy na dom gdzie mieszka ładna szwaczka. *»Oddycha tém samém powietrzem co i ona!«* Wiemy, że kochankom wiele na tém zależy,

Dom ten nie jest ani nowy ani piękny; sień jest długa i ciemna; nie ma odźwiernego: co jest właśnie nie na rękę temu ktoby chciał się wypytywać. Girardiere posuwa się aż na schody których poręcze niezgrabnie wyrznięte nie czynią zaszczytu budowniczemu. Spogląda, wznosi nos do góry i wstępuje na piérwszy stopień.

W téj właśnie chwili, stara kobiéta wytrząsała siennik na poręczy schodów piérwszego piętra; tuman kurzawy i ździebeł słomy zasypał oczy Girardiera; cofnął się wtedy i rzekł:

—»Już rozpoznałem miejsce; dosyć tego na dziś; jutro powrócę i odwiedzę panią Gerbois.

Nazajutrz nasz kawaler stroi się, a potém idzie na przedmieście Sgo Jakóba.

Zna dom, ale nie wie na którém piętrze mieszkają te panie. Idzie po czarnych i brudnych schodach i puka do drzwi na drugiém piętrze.

Stara kobiéta w kaftaniku, z głową obwiniętą cztérema chustkami, otwiera mu. Girardiere pyta się o panią Gerbois i jéj siostrzenicę.

—»To nie tu, panie.

—»Przecież mieszka w tym domu?

—»Cóż robi ta pani?

—»Co robi? sądzę że nic nie robi. Ma synowicę ktora jest szwaczką... ładną osobą, bardzo zajmującą i grzeczną.

—»A... to muszą bydź moje sąsiadki z trzeciego piętra... Niedawno są w Paryżu.

—»Tak jest; przyjechały z prowincyi.

—»Izba siostrzenicy jest wprost nad moją... dosyć w niéj hałasują... nie wiem czy w niéj tańcują i skaczą, lecz niekiedy aż mi spać nie dają. Z resztą nie wiem czyli te panie są przyjemne; o nic ich nigdy nie prosiłam; raz tylko o zapalenie świécy, lecz mi odmówiły pod pozorem że się u nich nie pali. Widać że nie znają zwyczajów paryzkich. Nie są ani towarzyskie, ani usłużne.

Girardiere dziękuje i porzuca rozmowną sąsiadkę, wchodzi na trzecie piętro i puka. Nie otworzono mu. Jednakże słyszy hałas jakby kto krzesłem poruszał. W téj chwili otwierają się drzwi na przeciwnéj stronie będące i wychodzi pani Gerbois.

—»Przepraszam panią, rzecze Girardiere, rozumiałem że do pani pukam. Wskazano mi te drzwi.

—»Nie panie, te drzwi są od pokoju mojéj siostrzenicy; korytarz rozdziela nas; to rzecz dość nieprzyjemna, ale cóż robić? W Paryżu trzeba mieścić się jak można, gdy kto nie ma funduszu na zapłatę obszernego lokalu. Proszę pana, niech pan wnijdzie.

Girardiere idzie za ciotką do pomieszkania składającego się z porządnego pokoiku i kuchenki.

—»Oto jest moje pomieszkanie; moja siostrzenica ma pokoik ośobny, lecz bardzo rzadko w nim bawi, gdyż prawie zawsze siedzi przy mnie. Nie jesteśmy bogate, nie chcemy się dłużyć. Oprócz tego, prawie nikogo nie przyjmujemy. Kilka uczennic z magazynu, przyjaciółek mojéj siostrzenicy i jegomość osiadły na téj ulicy, właściciel małego handlu zabawek dla dzieci, któren niekiedy odwiedza nas wieczorem, oto jest całe nasze towarzystwo, niezmiernie szczupłe.

Girardiere upatruje panny Augustyny, lecz jéj nie widzi.

—»Moja siostrzenica wyszła, rzecze pani Gerbois, dla nauczenia się nowego kroju sukni od pewéj damy, która ją bardzo lubi, lecz wkrótce wróci.

—»Sądziłem że jest w swoim pokoju? rzekł Girardiere.

—»Nie panie, wyszła.

Girardiere czekając na siostrzenicę, rozmawia z ciotką. Rad jest że mu się nadarza sposobność mówienia o sobie, o swoim majątku. Tak bardzo lęka się uchodzić za intryganta, iż zawsze nosi przy sobie kwity komornego, i zabezpieczenie sprzętów w towarzystwie ogniowém. Lecz ciocia bynajmniéj nie wątpi o tém co jéj rozpowiada; sama owszem udziela mu jeszcze obszerniejszych szczegółów o swojéj familii i majątku. Ciocia posiada tylko 1,400 franków dochodu, i z tego żyć musi z siostrzenicą, dopóki ona sama nie nauczy się zapracować na siebie.

—»Lub nie pójdzie za mąż, dodaje Girardiere ze znaczącym uśmiechem.

—»Ach! łaskawy panie, i któż się teraz żeni z ubogą dziewczyną?.... Byłoby to wielkie szczęście, gdyby siostrzenica moja znalazła uczciwego człowieka, coby chciał szczęście jéj zapewnić.

Girardiere nie śmie jaśniéj się tłumaczyć; lęka się zbytniego pośpiechu i pomrukuje tylko przez zęby. »Znajdzie się taki, znajdzie, bądź pani pewna.«

Panna Augustyna przychodzi; uśmiecha się mile do Girardiera; ten się nie posiada z radości; długo z niemi rozmawia, odchodzi nareście, nie chcąc bydź natrętnym przy pierwszych odwiedzinach; lecz prosi pani Gerbois aby mu pozwoliła bywać niekiedy, a stara ciocia zapewnia go, że siostrzenica i ona zawsze go przyjmą z upodobaniem.

Girardiere wychodzi niezmiernie zadowolony. W sieni zatrzymuje się przy drzwiach Augustyny mówiąc: »*Tutaj to róża moja oddycha!*...«

Zdaje mu się że słyszy jakiś łoskot w jéj pokoiku. Słucha, łoskot ustaje; mniema że się omylił, schodzi po schodach, zaciera ręce i mówi sam do siebie:

»Wszystko idzie wyśmienicie... To są uczciwe osoby! Tego téż przedewszystkiém szukam. Bo jeśli się ożenię z ubogą dziewczyną, chciałbym przynajmniéj bydź pewny, że jest cnotliwą!... Ach! tym razem zdaje mi się żem znalazł żonę jakiéj mi potrzeba. Wprawdzie trudno mi to przyszło!... ale przecie dokazałem!«

Girardiere powraca jaśniejący radością, ściska starą matkę i mówi: —»Ciesz się mamo, wkrótce zobaczysz twoją synowę! Będzie miała dla ciebie jak największe poważanie.

—»Czy doprawdy, mój maleńki? odpowiada staruszka zaczynająca już całkiem dziecinnieć, ale mnie się zdaje że ty jeszcze jesteś za młody?...

Girardiere nie odpowiada matce, idzie do zwierciadła i śmiertelną wojnę wydaje siwym włosom.

Nazajutrz po obiedzie wraca się do pani Gerbois. Młoda panienka i jakiś jegomość siedzą przy Augustynie.

Jegomość wygląda jak gęś. Kiedy chce słowo przemówić, wyciąga nos, krzywi usta, lecz prawie zawsze przestaje na słuchaniu. Jest to człowiek w średnim wieku, którego nazywają panem Trubert, i Girardiere wkrótce się dowiaduje że ma sklep z zabawkami na tejże saméj ulicy.

Panienka młoda, przystojna i bardzo żywa, jest to modniarka, przyjaciółka panny Augustyny.

Przybycie Girardiera ucieszyło ciotkę i siostrzenicę; ośmielony Girrardiere zaczyna mówić, rosprawiać, gdyż słuchają go z przyjemnością, a Trubert nietylko nie śmie przerywać ale nawet i odpowiadać.

Wieczór szybko upływa. Wydawało się Girardierowi że trwał niezmiernie krótko: zawsze tam jest miło gdzie nas słuchają jako wyrocznię. Nasz kawaler oddala się zachwycony wrażeniem jakie sprawił. Trubert razem z nim wychodzi i żegna go na ulicy, mówiąc z jak największém uszanowaniem:

—»Mam zaszczyt życzyć panu dobréj nocy. Najdłuższy to frazes wymówił tego wieczora, a jeszcze i w nim trzy razy się zaciął.

Nazajutrz i dni następnych, Girardiere powraca do pani Gerbois. Piętnaście dni upłynęło a Girardiere co wieczór bywa u nowéj swéj znajomości. Tak się do niego przyzwyczajono, iż się niepokoją skoro go tylko o siódméj nie widać.

Towarzystwo składa się prawie zawsze z tych samych osób, to jest młodéj modniarki i kupca zabawek; lecz ten skłoniwszy się wchodząc i zapytawszy o zdrowie, ust nie otwiera, aż dopiéro gdy powiada dobra noc. A Girardiere mówi sobie: »Jeśli Trubert bywa u pani Gerbois, starając się o rękę panny Augustyny, nie jest to rywal bardzo niebezpieczny. Dość głupio wygląda ten jegomość.«

Girardiere nasunął już kilka dwuznacznych słówek o swym zamiarze żenienia się, dał do zrozumienia, iż szukając żony nie dba o majątek. Ciocia uśmiechnęła się na to z rozczuleniem, a siostrzenica spojrzała na niego z pod oczka i westchnęła.

Girardiere co wieczór odchodził i zacierając ręce mówił sam do siebie: »To coś dobrze idzie... Podobam się!.. okazują to... znalazłem przecie żonę!.. Niebu niechaj będą dzięki! Niezawodnie już się teraz ożenię!«

Lecz pewnego wieczora, Girardiere rozmawiając ze starą ciocią, nadstawia ucha na to co Augustyna mówi z przyjaciółką, Dziewczęta cichym gadały głosem; mimo tego Girardiere najwyraźniéj usłyszał te słowa:

—»Ale, ale, Augustyno, a pan Frontyn... Jakże się teraz sprawuje?...

— »O! jak najlepiéj!... Zawsze jest najmilszy!...

—»Wszak go jeszcze kochasz ... nieprawdaż?

—»Czy go kocham?.... przepadam za nim!...

—»A ja go tak dawno nie widziałam!

—»Kiedy go będziesz chciała zobaczyć, to przyjdź do mego pokoiku, prawie tam zawsze przesiedzi, bo moja ciotka go nie lubi.

Dziewczęta mówić przestały; lecz to co usłyszał wzburzylo Girardiera. Dreszcz przebiegł go, krew mu uderzyła do głowy, zaczerwieniał się i sam nie wiedział co powiedzieć, tak, iż pani Gerbois spytała go czy nie jest słaby i czyli czego nie potrzebuje.

—»Nie, pani, nic mi nie jest, zupełnie nic, odpowiedział Girardiere ukrywając swe pomieszanie; rzucił spojrzenie badawcze na Augustynę, lecz panienka patrzy tylko na robotę i nią jest jedynie zajęta.

Przez resztę wieczora, Girardiere jest rostargniony, niespokojny, nie zważa na rozmowę, śledzi najmniejsze poruszenie Augustyny, nadstawia ucha gdy rozmawia z przyjaciółką; słowem, doświadcza wszystkich niepokojów zazdrości; niewypowiedzianie jest nieszczęśliwy.

Odchodzi wcześniej jak zwykle, a gdy jest sam, zastanawia się i mówi do siebie:

»I cóż to za pan Frontyn?... Augustyna powiedziała że go kocha... że za nim przepada!... O fałszywa!.... I któżby się tego domyślił po dziewczynie tak skromnéj, tak nieśmiałéj?... I komuż teraz wierzyć? Z tego najbardziéj wnoszę, że związek ten musi bydź występnym, gdyż dodała: Zawsze prawie przesiaduje w moim pokoju, bo go moja ciotka nie lubi!... Już to rzecz niezawodna. Ciocia nie lubi tego jegomości, zabroniła mu wstępu do swojego domu, on téż wprost do panny siostrzenicy przychodzi!... bo przecież nigdy nie spotkałem tego pana Frontyna u pani Gerbois. To wielce mnie niepokoi... Tak mnie mile przyjmują... tak się cieszą gdy mówię że się chcę żenić... Może téż panienka musi pokryć jaką występną intrygę!.... Prawda, chciałbym mieć żonę, ale nie chcę wyjść na dudka..... Oh! dowiem ja się co się to święci! Wszystko wykryję!«

Girardiere przepędza noc nadzwyczaj niespokojną, bo przywodząc sobie na pamięć początek swojéj znajomości z ciotką i siostrzenicą, przypomina sobie że u restauratora panna Augustyna jedząc ptaszki odezwała się z westchnieniem:

»Ach! gdyby tu był pan Frontyn!... on tak bardzo lubi ptaszki.«

Ten Frontyn bardzo ją więc zajmuje... bezustannie o nim myśli! O zdradziecka Augustyno!...«

I Girardiere przewraca się po łóżku, i po chwili znowu mówi:

»A ten łoskot który słyszałem w pokoiku siostrzenicy, gdy ciotka mniemała że ona wyszła na miasto... Zapewne wtedy była tam ze swoim Frontynem... O kobiety!... o dziewczęta!... Matka ma wielką słuszność mówiąc abym się nie śpieszył... Gdybym był pierwszemu uległ wrażeniu, gdybym był o rękę jéj poprosił... Byłbym już teraz jéj mężem.... a ona by mnie nie kochała... ona by mnie zdradzała.... Lecz udawajmy jeszcze trochę, przekonajmy się o zdradziectwie panny Augustyny.«

Wieczorem, Girardiere powraca na przedmieście Świętego Jakóba, i postanawia jak najmocniéj ukrywać swoje podejrzenie.

Zwyczajne towarzystwo zgromadziło się u pani Gerbois. Pan Trubert nie gada więcéj jak zwykle, lecz za to obie panienki ciągle do siebie szepcą; na nieszczęście Teofil nie może dosłyszéć co mówią, lecz imie pana Frontyna znowu obiło się o jego ucho, a panna Augustyna kilka razy w głos się rozśmiała, co bardzo zgorszyło naszego kawalera.

Pani Gerbois siedząc obok Girardiera, nakręca mowę o małżeństwie, nie raz powtarza: »Bardzobym była rada wydać za mąż moją siostrzenicę!

Potém zatrzymała się spoglądając na Girardiera, jak gdyby oczekiwała jego odpowiedzi; lecz ten ciągle zmienia rozmowę, i udaje że nic nie rozumie. To nadzwyczaj zadziwia starą.

Nadeszła godzina rozstania się, Girardiere wymówił »Żegnam panie!« z jakąś uroczystą miną, i wychodząc wraz z towarzystwem, idzie zwykłą drogą do swego mieszkania. Lecz wkrótce zatrzymuje się i mówi:

»Wszyscy odeszli; teraz Augustyna musiała pożegnać ciotkę i pójść do swego pokoiku.... kto wié czy nie tę chwilę obiera na przyjęcie pana Frontyna?... Gdybym mógł o tém zapewnić się... Czemuż nie... nie ma odźwiernego... wiem jak się otwierają drzwi od sieni. Mogę więc o każdéj godzinie wejść bez najmniejszego podejrzenia. Niech wszyscy pójdą spać; potém wejdę po cichuteńku na schody, i będę słuchał pode drzwiami panny Augustyny. Jeśli kto jest u niéj, posłyszę go niezawodnie.«

Girardiere zachwycony tym pomysłem, przechadza się po ulicy przez trzy kwadranse. Gdy sądzi że już nikogo nie spotka na schodach, zbliża się do mieszkania pani Gerbois.

Wszystko już ucichło na ulicy, latarnie migające rzucają światło, Girardiere przesuwa się wzdłuż murów spoglądając po za siebie; przychodzi przed dom, porusza sprężynę i cichutko wkrada się do sieni.

Serce mu bije jak gdyby miał co złego uczynić: »Bardzo słusznie porównywają zakochanego do złodzieja.... Gdyby mnie teraz kto spotkał, myślałby zapewne że chcę kraśdź! Do licha! gdyby téż kto z domowych zszedł mnie na schodach... i zaczekał chcąc zobaczyć gdzie idę.. Uciekłbym natychmiast...• lecz nie.... koniecznie muszę wyjaśnić moje podejrzenie... muszę się dowiedzieć czy się mogę żenić z Augustyną.... Jeśli nic nie usłyszę, powrócę jutro, a jeśli przez piętnaście dni nic nie

postrzegę podejrzanego, na nowo oddam jéj moje serce.

Girardiere idzie jak najciszéj po schodach, oddech nawet zatrzymuje, tak bardzo lęka się aby które drzwi się nie otworzyły.

Dostaje się nakoniec na trzecie piętro; najprzód zagląda po de drzwi; niema światła w pokoiku, musiała się więc położyć, albo jest jeszcze u ciotki. Zbliża się, przykłada ucho do drzwi; cicho zupełnie; już ma się oddalić, gdy głos dobrze znany obija się o jego ucho; jest to głos Augustyny, i najwyraźniéj słyszy te słowa:

—»I cóż to panie Frontyn, nie chcesz przyjść do mnie? No, pójdźże prędzéj, nic dobrego!... A to jak widzę sama będę musiała pójść do ciebie!

—»O zdrajczyni!.... o niegodna!.... mruczy Girardiere uderzając czołem o klamkę: ma przy sobie kochanka.... tego niegodnego Frontyna, mego obrzydłego rywala!... jest w jéj pokoju... w nocy!

Girardiere ledwo się z gniewu nie dusi; wstrzymuje się jednak i ciągle słucha. — Wkrótce się jednak coś nowego obija o jego ucho i jeszcze srożéj serce mu rozdziera; słyszy lube pocałunki tkliwie powtarzane; nie mogąc dłużéj wytrzymać, ucieka odedrzwi, szuka poomacku poręczy schodów i szybko zbiega mówiąc sam do siebie:

»Jużem się dowiedział, aż nadto się dowiedziałem!.... już więcéj słyszeć nie chcę!... O Opatrzności! dziękuję Ci żeś mi doradziła słuchać pode drzwiami. I byłbym się ożenił z tą dziewczyną!. byłbym się ożenił w zupełnéj ufności, gdybym nie posłyszał co mówiła do przyjaciółki!.. Podziękujmy niebu... pożegnajmy się z przedmieściem Sgo Jakóba... O! nieprędko mnie tu zobaczą!«

Girardiere wybiega z sieni i prędko drzwi zamyka, lecz nie dba czy narobi łoskotu; teraz już mu to wszystko jedno. Podwojonym krokiem bieży przez ulicę, i przez całą drogę głośno gada sam do siebie; puszcza wodze zagniewaniu, przeklina kobiéty, przeklina dziewczęta i wpada w rynsztok; ale że już bardzo późno, może bezpiecznie iść środkiem ulicy.

Przez cały miesiąc nie wychodzi Girardiere od siebie. Gdy go matka pyta o przyszłą żonę, zaraz od niéj odchodzi i mówi z gniewem: »Nie wspominaj mi o małżeństwie, ani o kobiétach, ani o dziewczętach... O! kobiéty!... cierpieć ich nie mogę!«

Jednak Girardiere utrzymując że nie nawidzi kobiéty, dzień i noc myśli o pannie Augustynie i przeklinając zdrajczynę, mówi do siebie:

»Co za szkoda!.... ta dziewczyna była właśnie taką jakiéj szukałem... pracowita,.. bez zalotności, ukrywała ją przynajmniéj... ale to najmniéj godne przebaczenia i zdawało się że mnie kocha!... I dla czegóż tak dobrze ze mną się obchodziła, kiedy skrycie uwielbiała tego pana Frontyna!...

Upłynął miesiąc, Girardiere nie może dłużéj wytrzymać, chce dowiedzieć się co myślą, co robią u pani Gerbois: gdyż przynajmniéj musi ich bardzo dziwić jego nieobecność, kiedy im dawniéj co wieczór dotrzymywał towarzystwa.

»I któż mi zabroni oddać im wizytę? mówi sobie Girardiere. Z resztą... czegóż mogę się obawiać?... teraz kiedy znam intrygę panny Augustyny z panem Frontynem, już mnie w sidła swoje nie uwikła!... Nie oświadczyłem się i nic mi nie mają do wyrzucenia. Odwiedźmy te panie! Doprawdy, może mnie zabawi gniew panienki, gdyż odtąd hołdów składać jéj nie będę... Powiem jéj kilka dwuznacznych słówek.... i będę się cieszył jéj pomieszaniem.«

Girardiere zachwycony tym pomysłem, ubiera się, wsiada do fiakra i każe jechać na przedmieście Sgo Jakóba.

Było właśnie samo południe, gdy nasz kawaler do wzięcia, wszedł do owego domu, któremu wieczny rozbrat wypowiedział. Serce bije mu gwałtownie gdy idzie po schodach, a jeszcze bardziéj gdy przechodzi około drzwi, gdzie podszedł tajemnicę która wszystkie zamiary jego zniszczyła.

Augustyna mu otwiera. Ubrana jest wytworniéj jak zwykle. Zastaje modniarkę, pana Trubert i jeszcze cztéry inne osoby. Mężczyzni ubrani są czarno, kobiéty strojno.

Postrzegłszy Girardiera, Augustyna zawołała: —»Ach! to pan jesteś... mój Boże, od tak dawna już o nas zapomniałeś... Co za cud że przychodzisz!.. Ciocia zaraz przyjdzie... jest w drugim pokoiku... niechże pan siada.

Girardiere stara się odgadnąć jaki może bydź powód takowego zgromadzenia u pani Gerbois. Gdy kłania się i przysuwa krzesło, Augustyna bierze na ręce dużego żółtego kota, który przez pokój przebiegał, i ściskając go najczuléj, przynosi go panu Girardiere i mówi:

—»Przedstawiam panu, pana Frontyna... oto jest ów wielki psotnik..- nie znałeś go pan jeszcze, bo prawie zawsze przesiadywał w moim pokoiku, gdyż moja ciocia nie bardzo lubi kotów... ale na dzisiejszą uroczystość wyjednałam mu wstęp do salonu... No, panie Frontyn, powiedzże prędko *mru mru* gościowi....

Gdy to panienka mówi, Girardiere płoni się, blednie, zimny pot spływa z jego czoła, okulary spadają mu z nosa i by

stro wpatrując się w Augustynę, wyjąkał wreście:

—»Jak to, mościa panno!... ten kot... to pan Frontyn!... pan Frontyn jest kotem?...

—»Oczywiście, i cóż w tém jest tak dziwnego, mości panie?

Girardiere uderza się ręką w czoło i nie podjąwszy nawet okularów bieży przez pokój, trąca nosem o szafę, obala dwa krzesła, wbiega do pokoju gdzie znajduje się pani Gerbois i krzyczy:

—»Mościa dobrodziejko! przychodzę ją prosić o rękę jejmość panny jéj siostrzenicy... Chcę się żenić... wyrzekam się pustot kawalerskiego życia... uwielbiam pannę Augustynę... Błagam cię, połącz nas co prędzéj... mam tysiąc talarów dochodu... żadnego nie żądam posagu...

Całe towarzystwo dziwi się nagłym szałem tego jegomości, który wszystkich potrąca prosząc o rękę panny. Lecz pani Gerbois najspokojniéj odpowiada Girardierowi:

—»Mości panie, żądanie jego zaszczyt nam czyni, i gdybyś go pierwéj był uczynił, jużbyś teraz był mężem mojéj siostrzenicy; lecz przestałeś u nas bywać, bez żadnego powodu. Tymczasem, pan Trubert oświadczył się i prosił o rękę Augustyny. Pan Trubert jest godnym i uczciwym człowiekiem i nie miałyśmy żadnego powodu odmówienia...«

Tu pan Trubert nizki ukłon czyni całemu towarzystwu, a pani Gerbois mówi daléj:

—»Oddałam mu rękę siostrzenicy i dziś idziemy do urzędnika cywilnego... Czas już nawet iść, śpieszmy się, żeby na nas nie czekano... Do miłego zobaczenia, panie Girardiere; siostrzenica moja mieszkać będzie na téj saméj ulicy; jeśli pan będziesz kiedy potrzebował jakich zabawek i drobiazgów, racz wstąpić do jéj sklepu.

Girardiere przerażony nie może ani słowa odpowiedzieć. Towarzystwo tymczasem wychodzi; on musi toż samo uczynić, wszyscy mu się kłaniają, i wkrótce sam pozostał w sieni.

Wówczas oddaje się rospaczy, tłucze głową o mur, wydziera sobie resztę pozostałych włosów, potém wraca do domu z gwałtowną gorączką, a gdy matka pyta co mu się stało, sam nie wie co odpowiedzieć, najżałośniejszą przybierając minę.

—»To był kot!... moja matko!.. to był kot!... Ale bo co téż za myśl nazwać kota panem Frontynem!... Ach! jakiż ja nieszczęśliwy!... pies przeszkodził mi otrzymać rękę panny Grandvillain, a dzisiaj kot staje się przyczyną że tracę Augustynę. Te przeklęte zwierzęta skazały mnie na bezżeństwo!

Girardiere długo i ciężko chorował, i przez całą chorobę marzył tylko o psach i kotach. Wyzdrowiał nakoniec, lecz pozostał smutny, zniechęcony, niepocieszony. A widok psa lub kota zawsze mu drżenie nerwów sprawiał.

Pozostał kawalerem przy staréj matce, która mu jeszcze i za lat sześć powtarzała:

»Nie śpiesz się kochaneczku, znajdziesz żon więcéj niż sam chcieć będziesz!«

ZWYCZAJE LUDU.

(*Dalszy ciąg*).

Myśliwi na łowach, gracze w kartach szukają w dniu nowego roku szczęśliwéj wróżby. Rozkochani, z przyjaznych, czułych albo obojętnych słówek, wnoszą o skutku swoich zamiarów. Tu zapewne ma początek owa żartobliwa kradzież, dozwalająca w przeddzień nowego roku pochwycenia tajemnie cudzéj własności, a kto ją niepostrzeżoną do Trzech Króli u siebie przechowa, sądzi, że mu wszystko w nowo zaczętym roku pójdzie dobrze. Żart ten wszakże pomiędzy złemi ludźmi często na prostą przemienia się kradzież.

Święto trzech królów.

Zwyczaj jedzenia ciast w uroczystość trzech króláw, i przytém żartobliwego obierania w tym dniu króla i królowéj, bardzo odległych zasięga czasów. Po miastach i wszechnicach (niemieckich), uczniowie i inni mieszkańcy dają w dzień trzech króli wspaniałą ucztę, i większością głosów wybierają jednego z pomiędzy siebie na króla. We Francyi obiór takiego króla losem rozstrzygany bywa; w tym celu ukrywają w jedném cieście ziarnko bobu, a komu się takie ciasto dostanie, urząd *króla bobowego* (roi de la féve) przez cały rok sprawuje. Tenże sam zwyczaj w wielu okolicach Polski długo się przechowywał; w końcu obiadu roznoszono ciasto, którego tyle sztuk było, ile osób zasiadało u stołu, a w jednéj ukryty był migdał. Kto go z ciastem otrzymał, królem rodziny okrzyknięty, królowę mianował, składając jéj w podarunku drogi wieniec lub związkę kwiatów. Czasem roznoszono dwa półmiski ciast, jeden dla mężczyzn drugi dla kobiét, a wtedy los zarówno króla i królowę stanowił. Wszyscy pili ich zdro-

wie, cześć im oddawali, a rok cały trwało ich panowanie. Swietna to i wesoła bywała uroczystość, zbierała się cała gromadka jednego plemienia (4) ze stron rozmaitych do najznakomitszego w tym rodzie, zbierała się nie na jedną dobę, lecz na czas dłuższy. Z nim i wspólnie rok dawny kończyć, rok nowy zaczynać przyjemnie było; tak więc zjechawszy się przed wilią nieco, razem przepędzali święta Bożego narodzenia, nowy rok i trzy króle; potém rozjeżdżali się. Że to była ostatnia zwykle uczta rodzinna, ożywić ją chciano niewinną zabawą. Ciasta, w dawnych osobliwie czasach, ręką rodziny wyrobione, były jéj zaszczytem i już dla tego milszemi, smaczniejszemi się stawały. Zręczna gospodyni umiała nakierować losy, ażeby się migdał dostał temu, komu go przeznaczała: to najsędziwszemu z gości, to mężowi kochanemu, to najmilszemu z rodziny, to najszanowniejszemu z przyjaciół domu i tém samém iakby członkowi rodziny, to dziewicy, którąby synową ujrzéć chciano. Czasem, gdy przewidywano trudność i lękano się, żeby wybór nie ominął się z życzeniem, wszystkie ciasta były z migdałami, lecz słowo dano sobie to ukryć, a pilnować i okrzyknąć umówionego tylko. Zwykle *król migdałowy* zapraszał do siebie na dzień pewny, zasiadała obok niego królowa, częstowali wszystkich, raczyli, upominki rozdawali i tym podobnie. Niedość było na tém; w ważniejszych wypadkach każdéj osobie z rodziny dopomagać byli powinni, i czynili to chętnie.

Zwyczaj ten niezawodnie przeszedł do nas od Greków i Rzymian; u Greków był wybierany *Symp siarchos vasileus* i t. d. u Rzymian *Rex modimperator* i t. d. Stanowił on w czasie uczt prawa, do których współbiesiadnicy stósować się byli obowiązani i pilnował, żeby każdy czarę sobie przeznaczoną spełnił całkowicie, zkąd u Greków niekiedy *opthalmos* (oko) był zwany. Los go zwykle mianował; używano w tym celu *bobu* lub *kości*; rzymskie nawet dzieci w czasie *saturnaliów* miewały takiego króla (fabam mimum), a Horacyusz bardzo często wspomina o królu uczty pod nazwą *rex convivii* albo *rex bibendi*.

Uczony Bullet w swojéj rosprawie o początku uroczystości *króla bobowego* we Francyi (migdałowego gdzieindziéj) powiada, że w piérwszych wiekach chrześcijaństwa ostry post rościągał się aż do trzech króli; dopiéro w wieku XI zdało się duchownym niestosownie, obchodzić radośnie narodzenie Zbawiciela umartwieniem i głodem, uznano więc za rzecz konieczną post ten złagodzić.— Jednakże ani Saint Pierre Damien, ani Durand i Wilhelm biskupi, których dzieła Bulletowi pomocą w poszukiwaniach starożytnych były, nie wspominają wcale o *królu bobowym*, zkąd Bullet wnosi, że zwyczaj ten dopiéro w XIV wieku wziął początek. Wniosek ten wszakże nie stanowi pewności, bo choćby uczta i zwyczaj obioru *króla bobowego* w dzień trzech króli nie były znajome piérwszym wyznawcom kościoła chrześcijańskiego, tak jako obrzęd w wilię Bożego narodzenia, nie idzie za tém twierdzeniem, że ich nie obchodzono wcale np. podczas świąt *Kalendami* zwanych, które jak wiadomo były hasłem największych uciech, zabaw i wesołości. Wiadomo nawet z pewnością, że w piérwszych wiekach chrześcijaństwa, kanonicy wybierali w przeddzień Bożego narodzenia z pomiędzy siebie jednego, który króla królów przedstawiał. Wybrany zasiadał w koronie na pysznym tronie umyślnie na tę uroczystość przygotowanym, trzymając w ręku rószczkę palmową zamiast berła. On w przeddzień Bożego narodzenia rozpoczynał uroczyste nabożeństwo, nazajutrz zaś w czasie mszy, trzech księży (zazwyczaj kanoników), jeden w ubiorze białym, drugi różowym, a trzeci czarnym, każdy z koroną na głowie i palmą w ręku, wychodziło poważnie z zakrystyi, za każdym szedł giermek z darami, a przed nimi niesiono pochodnię wyobrażającą gwiazdę. Tak obchodzili wszystkie kaplice i zakątki kościoła, szukając nowonarodzonego Zbawiciela i śpiewając ewangelię na ten dzień przeznaczoną. Gdy przyszli do wyrazów, w których mówi pismo, że magowie weszli do stajni wielbić Zbawiciela, zwracali się nagle ku wielkiemu ołtarzowi, korzyli się przed kanonikiem króla królów wyobrażającym, i składali mu dary. Poczém odchodzili stroną przeciwną téj, którą weszli. Kanonik król wilii i dni Bożego narodzenia, dawał po skończoném nabożeństwie u siebie świetną ucztę, w czasie któréj królem mianowany, honory od całego towarzystwa odbierał.

Piérwszy Poniedziałek po Trzech Królach.

Dzień ten zowie się w Anglii *poniedziałkiem uprawy roli*. Obchodzą go tameczni mieszkańcy uroczystym pochodem (processyą) śmieszka pługowego. Skoczki poprzedzeni muzyką, ciągną pług a na nim siedzi śmieszek okryty skórą zwierzęcą z czapką włosianą na głowie i z wilczym albo lisim ogonem na plecach. Do koła roz-

(4) Gołębiowski w dziele: *Lud polski, jego zwyczaje i zabobony* i t. d.

maicie przystrojeni wiejscy chłopacy skaczą i wrzeszczą, wykrzywiając się dziwacznie. Tak wychodzą na pole najstarszego lub najbogatszego w wieku gospodarza, odwracają kilka skib jego roli, rzucają w nią zboże, udają potém żniwiarzy, a główny śmieszek trzymając w ręku snop słomy, idzie wuroczystym pochodzie z całą wesołą gromadą pod dom właściciela roli, który im ucztę wyprawić za to musi.

Ś. Agnieszka.

Liczne przesądy z uczuciami miłości w związku, do uroczystości dnia tego są przywiązane. Tak naprzykład, jeżeli młoda dziewica w wilię S. Agnieszki wieczorem weźmie cały arkusz szpilek i odmawiając: »Ojcze nasz« powyjmuje wszystkie kolejno, a potém do snu się zabierając, jednę z nich w rękaw swojéj bielizny zatknie, nie wątpi, że się jéj przyśni młodzieniec, którego z czasem zaślubi.

Młode dziewczęta we Francyi zwykły noc przed S. Agnieszką przepędzać na ustroniu, gdzie najmniéj lub nigdy nie przebywają. Gdy się rozbiorą, każda z nich przywiązuje podwiązką z lewéj nogi pończochę z prawéj nogi, zostawując drugą podwiązkę i pończochę nietknięte. Przy związywaniu robi kilka węzełków, a za każdym z nich powtarza następujące słowa:

»Ce noeud je le fais encore,
Pour savoir ce que j'ignore,
Et pour que je puisse voir
L'époux que je dois avoir,
Et son maintien et son habit,
Et la manière dont il vit. —

Poczém szczęśliwa zasypia, a we śnie musi koniecznie ujrzéć przeznaczonego sobie małżonka, i twarz i postawę i ubiór i sposób życia jego.

Rzymianie mieli także zwyczaj robienia węzłów, dla przywiązania do serc swoich serca ukochanéj osoby.

Ś. Wincenty.

Powszechnie uważają czy słońce świeci w dzień Ś. Wincentego. Dr. Foerster sądzi, że to powstało z mniemania niektórych, że słońce nie świeci w rocznicę dnia w którym tego Ś. męczennika okrutnie spalono, a jeśli świeci, przepowiada niezawodnie szczęśliwe jakieś zdarzenie. Atoli domysł, że zwyczaj ten odnosi się do staréj przypowieści winiarzy francuskich:

A la fête de saint Vincent
Le vin monte dans la sarment,
Et en va bien autrement
Si il gèle, il en descend.

(W dzień S. Wincentego dziczeje wino, a wcale jest inaczéj, jeżeli mróz trzyma).

ma także swoją powagę.

Nawrócenie Ś. Pawła.

Dzień ten także uważają w wielu krajach za przepowiednię stanu powietrza, w rozpoczęty rok szczególniéj mającego się odznaczyć. W średnich wiekach wiersze następujące były w ustach każdego Francuza:

Si le jour de saint Paul voit briller le soleil,
Abondante moisson le laboureur espère;
Si le vents déchainés hâtent votre reveil,
La guerre troublera les peuples de la terre.
Si le ciel est couvert de nuages épais
Vouz verrez vos troupeaux mourir dans (votre étable;
Et s'il neige ou s'il pleut, ce sont des signes (vrais
De recolte manquée et disette effroyable.

(Jeżeli w dzień Ś. Pawła świeci słońce, bogatego żniwa spodziewaj się rolniku; jeżeli wiatr burzliwy sen twój skraca, wojna zakłóci pokój ludów ziemi; jeżeli niebo pokryją chmury, gęste, ujrzysz w twéj stajni ginącą trzodę; a jeżeli śnieg lub deszcz pada, pewna to nieurodzaju i ostatecznéj nędzy przepowiednia).

Gromnice.

I dzień Gromnic czyli Oczyszczenia Panny Maryi, uważają wieśniacy za przepowiednię ogólnych własności powietrza w rozpoczętym roku. Całéj niemal Europie — powjada Tomasz Browne, spólne to mniemanie, że, jeżeli słońce w dzień Gromnic świeci czyli ciepło jest, zima długo jeszcze trwać będzie. W Polsce powszechna jest przypowieść, że jeżeli na Gromnice mróz trzyma, niedźwiedź budę rozwala, bo się wkrótce ciepła spodziewa; i przeciwnie, poprawia ją, jeżeli deszcz pada, bo to niechybna dłuzjéj zimy zapowiedź.

Nazwa gromnic pochodzi ztąd, że w dniu Oczyszczenia Panny Maryi święcą po kościołach świece woskowe, które zapalone podczas grzmotów, mają zdaniem pobożnych rozpędzić chmury czyli gromy uśmierzać, i przeto Gromnicami się zowią, a dotąd dają się w ręce konającym. Jakoż, Brand w starożytnościach gminnych przytacza stary katechizm angielski, w którym znajdujemy pytanie: »Do czego służą gromnice poświęcone?« — »Do rozpędzenia grzmotów i wsparcia konających.« W niektórych okolicach Polski stawiają po domach w dzień Najświętszéj Panny Gromni-

cznéj świeczki woskowe z imionami całéj rodziny; czyja prędzéj zagaśnie, ten piérwszy umrze. Niektórzy zapaloną gromnicę niosą z kościoła do domu; kto płomień przed wiatrem ustrzeże, albo komu trzy krople wosku na ręce padną, szczęśliwą ma wróżbę. Z taką gromnicą gospodarz polski rozpoczynał niegdyś wszystkie ważniejsze piérwsze w roku prace; wypędzał bydło w pole, odkładał piérwszą skibę ziemi na wiosnę; rzucał w nią piérwsze ziarno zboża, otwierał i zamykał żniwo i t. d. Zwyczaje te wszakże wyszły powoli z używania.

W wielu okolicach Hiszpanii, Francyi, Anglii i Niemiec długo utrzymywał się, a we Włoszech gdzieniegdzie dotąd utrzymuje się jeszcze zwyczaj przyodziewania w dzień Gromnic młodéj dziewczyny w białe szaty, która w liczném towarzystwie młodzieńców, przedstawiających aniołów, z których dwaj nieśli synogarlice, szła w uroczystym pochodzie do kościoła, odmawiać jakieś wiersze odwiecznego układu, i składała w skromnym podarku owe dwie synogarlice.

Święty Maciéj.

Wieczorem, w przeddzień S. Macieja, wieśniacy niektórych okolic Polski biorą liście, znaczą i na święte miejsca niosą; kto swój liść nazajutrz dziurawym znajdzie, umrze; kto zwiędłym, w chorobę wpadnie. Dusze zmarłych odprawiają téj nocy uroczystą przechadzkę, a za niemi idą dusze tych osób, żyjących jeszcze, które wkrótce umrzeć mają. Nie pocieszy się łatwo, kto swój cień, żony, męża, syna, córki, krewniaka albo przyjaciela zobaczy.

Na początku miesiąca lutego obchodzono niegdyś w Rzymie uroczystość *februa* zwaną; było to także święto *oczyszczenia*. Rzecz oczyszczona przez poświęcenie, zwała się *februatum*, a miesiąc ztąd właśnie wziął nazwę februarius.

Swięty Walenty.

Jest to jedno z najpospolitszych mniemań w Anglii, że dwie piérwsze różnéj płci osoby, spotykające się w poranku dnia Świętego Walentego, jeśli są wolne jeszcze, niezaślubione, mogą mieć pewną połączenia się nadzieję. Długo utrzymywało się mniemanie, że w uroczystość S. Walentego ptaki gromadzić się zwykły, i to dało powód zapewne do uważania go za dzień postrzeżeniom miłości wyłącznie przeznaczony; jakoż rozsyłane w dniu tym słodkie listy, wzięły imię tego Świętego i zowią się *Walentynkami*.

We Francyi i Anglii młodzieńcy układają w dzień Świętego Walentego tak zwany *kalendarz kochania*, piszą w tym celu na listkach oddzielnych imiona dziewic znajomych, ciągną potém, a którą któremu los w ręce poda, *Walentynką* jego się zowie. Radość to wielka i nadzieja dobra, jeżeli los z życzeniem się zgodzi. Podobnéj próby używają w Polsce w wieczór przed S. Jędrzejem dziewczęta, a przed S. Katarzyną chłopcy, z tą tylko różnicą, że listki z imionami kładą się pod poduszkę, i dopiéro nazajutrz się wyciągają. Nie podpada wątpliwości, że pospolita w Polsce nazwa *Bogdanki*, dawana narzeczonéj, odpowiada Walentynce we Francyi i Anglii używanéj.

Tłusty Czwartek, Ostatki i Popielec.

Jeżeli mięsopust krótki, tłusty czwartek i ostatki w miesiącu lutym przypadają. — Tłusty czwartek wesołością, zadowoleniem żołądka i gardła koniecznie odznaczyć zwyczaj każe. Zabawy przeto huczne i jadła wszędzie dostatek bywa. W Polsce jedzą pączki i kruche ciasto *faworkami* zwane, piją przytém i tańczą; jest to niejako wstęp do dni *kusych* czyli *ostatków*. W Krakowie tłusty czwartek *combrem* zowią. Od świtu wtedy przy odgłosie muzyki, wśród pląsów i gęsto wychylanych kieliszków przeciągają tłumy po ulicach, i niegdyś nikt z przechodzących wolnym nie był; każdy z nich musiał do zabawy się łączyć lub sowitym okupić się datkiem, a do kogo z pospólstwa żal i uraza była, chwytano, czochrano się za włosy, przy powszechnym wrzasku *comber! comber!* Zwyczaj ten w następującém zdarzeniu ma źródło. Na jedném przedmieściu Krakowa, na Piasku podobno, był niegdyś wójt czyli burmistrz *Comber* nazwiskiem; złośliwy i okrutny, władzy nadużywał, targał ludzi za włosy i dręczył rozmaicie. Umarł w sam tłusty czwartek, co tak powszechną sprawiło radość, że lud krakowski dotąd rocznicę jego śmierci wesołością obchodzi, a wyrażenie *combrzyć za głowę*, znaczy targać kogo za włosy, po całéj ziemi naszéj w przysłowie poszło.

Jeszcze huczniéj niż w tłusty czwartek obchodzić się zwykły *ostatki*, *zapusty* lub *kuse dni* inaczéj. Koniec to mięsopustu i zabaw karnawałowych, do tego czasu przywiązanych. Dnie od tłustego czwartku, a mianowicie niedziela, poniedziałek i wtorek przed środą wstępną, należą do nich; wszakże dostanie się czasem i popielcowi, jeżeli się towarzystwo rozhula, ale najpospoliciéj trwają zabawy do święta wstę-

pnéj środy, a w niektórych miejscach do północy tylko. Cała Europa chrześcijańska, z niezwyczajną wesołością obchodzi dnie zapustne, każdy zaś naród właściwym sobie sposobem. Ostatni wtorek najhuczniejszy bywa. W wielu miejscach zowią go *wtorkiem pączków*; zwyczaj wymagał niegdyś, żeby każda osoba tyle własną ręką usmażyła pączków, ile zjeść miała. — W dawnym poemacie angielskim *Pasqul's stolinotia* (Londyn 1634 w-8), czytamy ustęp: »Było to w dzień, kiedy bogaci i ubodzy jedzą pączki z jednego półmiska, kiedy wszystkie myśli ludzkie zwracają się tylko do pączków, kiedy chłopcy i dziewczęta kolejno smażą pączki na ogniu, i kiedy cała kuchnia rozlega się głośnym śmiechem na widok pączka lecącego na ziemię.«

Wtorek zapustny albo ostatni, zowie się u Anglików *shroue tousday*, co znaczy *wtorek spowiedzi*; w Szkocyi zowią go *fastonevin*, *fastyngus - ewyn*, *fasternseen* lub *fastenseen*, to jest przeddzień (wilia) postu. Nazwa szkocka odleglejszéj sięga starożytności aniżeli angielska, bo ta ostatnia nie znajduje się wcale w narzeczu anglo-saxońskiém. Niemcy zowią ostatni wtorek jak Szkotowie *Fastenabend* a Holendrzy *Vastenavond*. Przed laty w Neucastle wtorek ostatni był dniem odpustu, dzwoniono wtedy w wielki dzwon Ś. Mikołajem zwany, a skoro głos jego rozległ się po mieście, zamykano wszystkie sklepy, bo się rozpoczynał po ulicach *karnawał* (carni vale, bądź zdrowe mięso, — żegnamy cię mięso). Dotąd jeszcze dzień ten jako szczególna uroczystość obchodzony tam bywa. Rozrywką najpospolitszą w dzień wtorku ostatniego w Anglii, były walki kogutów. Godném jest uwagi, że i u nas w Polsce, choć wcale walki kogutów nieznane, było niegdyś w zwyczaju po wioskach, że w ostatni wtorek parobczaki obwozili po chałupach *kurka drewnianego*, osadzonego na dwóch kółkach z dyszlem, czyli raczéj prostym kijem, zapraszając dziewki i gospodynie, a te obeznane z obrządkiem, dawały im sér, masło, szperkę, jaja, kiełbasy, do czego dokupiwszy gorzałki, mieli ucztę nieladajaką. Wieczerza nawet, po jadle mięsném w ostatni wtorek, zwała się w Polsce *podkurkiem*; znano ją w bogatych i ubogich domach, składała się z mléka, jaj, śledzi, dawano ją zwykle o 12 godzinie północnéj po sutéj wieczerzy mięsnéj; było to więc niejako przejście od mięsa do ścisłego postu, i wyobrażało także *carnivale* czyli pożegnanie mięsa. Na zupełne zakończenie, jeden z towarzystwa ubierał się za księdza, i włożywszy na siebie koszulę i pas zamiast stuły, prawił kazanie śmiesznéj jakiéj treści.— A komuż nieznany karnaweł wenecki ulicznemi maszkaradami wsławiony!

»Czy znasz weneckie zapusty?
»I w noc i we dnie
»Wesołe, szalone, przednie;
»Maska twarz kryje — a kto się pyta
»O sprawy czyje, tego przywita
»Wrzawa, śmiéch pusty.
»Żywo, radośnie,
»Skrycie, miłośnie,
»Staruszek, doża, arlekin, młody,
»Dziewczyna hoża, szuka osłody;
»Matrony... oszusty,
»Swobody;
»A kryte łodzie
»Czernią na wodzie.
»Wrzawa, śmiéch pusty;
»Czy znasz weneckie zapusty?« (5)

Liczne o karnawałach weneckich pisma wyręczają nas w mówieniu o nich; wszakże niebrak i w Polsce na podobnych zabawach. Śpiéwak *Maryi* tak je wystawia:

»My sobie jedziem kulikiem;
»I w noc i we dnie,
»Wesołe, szalone, przednie:
»Maska nas kryje — a kto chce wiedzieć
»Zkąd my i czyje — to odpowiedzieć
»Z śmiéchem i krzykiem.
»Szczéra ochota,
»Otwiera wrota.
»Bo Krakowianki i pielgrzym stary,
»Żydzi, Cyganki, uderzą w pary;
»Wróżki, djabli, nie oszusty
»W puhary;
»Lecim saniami,
»I jadą z nami,
»Wrzawa, śmiéch pusty;
»Czy znasz ty polskie zapusty?«

Przebierają się więc u nas mężczyzni za Krakowiaków, Żydów, Turków, Cyganów, Węgrów, dziadów; — niewiasty za Krakowianki, Żydówki, wróżki i t. d. mową i ruchem udając osoby, jakich postać przybrały. Nieraz zdarzy się spotkać naśladujących zwierzęta, a szczególniéj wilka, niedźwiedzia, bociana, tura i t. d. Do jakiego zaś stopnia wykwintność i przesada w strojach doszły w ostatnich czasach maskarady miast wielkich, wiadomo dostatecznie każdemu.

(*Dokończenie nastąpi*).

(5) Marya, powieść Ukraińska przez Antoniego Malczewskiego.



C H I N C H I L L A.

CHINCHILLA.

Te małe zwierzątka należące do familii gryzących, długi czas brane były za jedno ze *Skrzeczkiem* (*Hamster*). Teraz objęte są w wielkiéj amerykańskiéj familii odpowiedniéj rodzajowi *Cavia*, czyli świnek morskich w Lineuszu.

Dziwna rzecz, iż aż do ostatnich lat nieznano zewnętrznego kształtu i wewnętrznego składu zwierzątka, którego futerko tak jest poszukiwane w Europie, i od wieków wprowadzano piękne i mięciuchne skórki tych małych stworzeń, nie wiedząc bynajmniéj obyczajów, charakteru, ani nawet pochodzenia tych zwierzątek.

Milczenie lub niewiadomość kupców Peruwiańskich, stały się powodem rozmaitych bajek i nie brakuje fantastycznych opowiadań o tych zwierzątkach, podobnie jak o *Bobroszczurze* (hydromis), którego futerko, pomarańczowego koloru, jest źródłem bogactw dla mieszkańców wysp kanału Entrecasteaux.

Ksiądz Molina w *Historyi naturalnéj kraju Chili*, wydanéj w Bolonii r. 1782, opisał Chinchillę jako gatunek rodzaju *Mus* podług Lineusza, lecz w ostatniém wydaniu jego dzieła w 1816, Chinchilla umieszczona jest w rodzaju *Skrzeczków* (Hamster) i zowie się *mus laniger*. Dopiéro panowie Bennet i Becchy dokładniéj opisali to zwierzątko; dostali kilka sztuk w r. 1831 w podróży do zachodnich brzegów Ameryki. Dzięki ich staranności, towarzystwo zoologiczne w Londynie mogło dać dokładny opis Chinchilli.

Długość jego wynosi 9 cali, a długość samego ogona cali 5. Futro ma długie, gęste, świecące, czasem kędzierzawe i splątane, szarego albo popielatego koloru z wierzchu, a bladego od spodu; kształt gło-

wy jest jak u krolika; oczy duże, szerokie i czarne; uszy także szerokie, nagie, zaokrąglone przy końcu i prawie tak długie jak głowa. Wąsy są bardzo gęste i długie, każden z nich jest prawie trzy razy dłuższy od głowy; jedne są białe, inne czarne. Chinchilla ma cztery małe palce u nogi, z wyraźnym znaczkiem wielkiego palca kończącego przednią nogę. Zadnie nogi mają taką samą liczbę palców, trzy z nich są bardzo długie; środkowy jest dłuższy od bocznych, ostatni zaś bardzo krótki i umieszczony w tyle. U wszystkich palców pazurki są bardzo krótkie i prawie zakryte końcami ostrych włosów. Ogon jest przez pół tak długi jak reszta ciała, wszędzie jednakowej grubości i okryty długiemi gęstemi włosami. Sierć jest zwykle najeżona na grzbiecie, nie zaś gładka jak u wiewiórek.

Zwierzątko to zwykle siedzi, może także stać na zadnich nogach. Jé siedząc, chwyta pożywienie i niesie je do gęby przedniemi łapkami. Pożywienie jego składa się głównie z suchéj trawy; mianowicie lubi koniczynę i lucernę. Molina napisał że Chinchille żyją gromadnie, lecz zdanie to zbiły postrzeżenia zrobione w Breetonstreet: zamknięte bowiem w jednéj klatce dwie Chinchille tak zajadle bić się zaczęły, iż musiano czémprędzéj je rozłączyć.

Familia Chinchillów składa się zwykle z ośmiu lub dziewięciu sztuk; często znajdują się i w większéj liczbie. Lubią siedzieć w miejscu i wówczas dopiero opuszczają nory swoje, gdy jaki przypadek albo zbyteczny natłok, zniewoli ich do tego. Rzadko można je spotkać daléj jak o dwadzieścia kroków od ich pomieszkań i to dopiero po zachodzie słońca, gdy się przekonają że wszystko w koło nich jest spokojne. Ta rostropność i unikanie niebezpieczeństw, nie wyłącza jednakże pewnego stopnia odwagi. Indyanie zapewiają że Chinchille bronią się dosyć dzielnie przeciw pomniejszym zwierzętom drapieżnym. Chinchilla żywi się roślinami i trzy razy do roku pomiata pięć lub sześć małych. Jest tak łagodna i łaskawa, że można ją brać w rękę, nie ucieka i lubi żeby ją głaskano. Ponieważ jest niezmiernie czysta, nie można się obawiać aby poplamiła suknie tych co się nią bawią. Nie wydaje także złéj woni. Z téj przyczyny możnaby ją trzymać w domach bez nieprzyjemności i prawie bez wydatku, gdyż jéj utrzymanie obficie byłoby wynagrodzone pięknem jéj futrem. Dawni Peruanie, przemyślniejsi od nowożytnych, robili z jéj sierci kołdry i kosztowne materye.

NOWE DZIEŁA.

Klechdy, starożytne podania ludu Polskiego i Rusi, zebrane przez K. Wł. Wojcickiego. Warszawa 1837.— *Tom drugi.*

Wyszedł z druku drugi i ostatni tom Klechdów, starożytnych podań i przypowieści ludu Polskiego i Rusi przez K. Wł. Wojcickiego. Znajduje się w nim dwanaście powieści, wszystkie oparte na czarodziejstwie i przeobrażeniach. Treść ich jest zajmująca; w wielu okazuje się bujna wyobraźnia; taką jest powieść Duch pogrzebanego, którą tu przytaczamy.

DUCH POGRZEBANEGO.

Szedł drogą do miasta żak ubogi i spotkał pod murami bramy ciało zmarłego człowieka nie pogrzebione, potrącane nogą przechodniów. Nie wiele miał w mieszku, ale dał z chęcią na pogrzeb, by nań nie pluto i nie rzucano kije. Pomodlił się nad świeżo wysypaną mogiłą i poszedł daléj w świat wędrować.

W dębowym lesie sen go umorzył; a gdy się zbudził, z podziwem zobaczył pełne kieszenie złota. Dziękował niewidoméj dobroczynnéj ręce i przyszedł nad wielką rzekę, gdzie się przeprawiać potrzeba było. Dwaj przewoźnicy ujrzawszy pełne kieszenie złota, wzięli go w łódkę, i na samym wirze, odebrawszy złoto, utopili.

Gdy bezprzytomnego unosiły wały, przypadkiem pochwycił deskę, i za jéj pomocą, wypłynął na brzeg szczęśliwie. Nie była to deska, ale duch pogrzebanego, i temi doń przemówił słowy:

»Uczciłeś zwłoki moje pogrzebem; dziękuję ci za to. Na znak wdzięczności, nauczę cię jak przemienić się można w wronę.« Tu go nauczył zaklęcia. »Oto masz list do mego rodzonego brata; on cię nauczy przedzierzgnienia w zająca i sarnę.«

Żak nauczony zaklęć, z łatwością mógł się przemienić w wronę, zająca i sarnę. Wędrował długo, wędrował daleko, aż przywędrował na dwór możnego króla, gdzie został strzelcem nadwornym. Król ten miał córkę nadobną; ale ta mieszkała na wyspie niedostępnéj i zewsząd oblanéj morzem. Mieszkała w miedzianym zamku, a miecz miała taki, że kto nim machnął, największe wojska zwyciężał. — Właśnie nieprzyjaciele naszli granicę onego króla: zapotrzebował i zapragnął zwycięzkiego miecza! Lecz jakże go otrzymać,

gdy nikt się dotąd jeszcze nie dostał na wyspę samotną!

Ogłosił przeto, że ktokolwiek miecz zwycięzki od królewnéj przyniesie, nietylko że jéj rękę otrzyma, ale i tron po nim osiędzie.

Nikt nie był tak śmiały; aż żak wędrowny, a teraz strzelec nadworny, staje przed królem, oświadcza gotowość, prosi o pismo, by na ten znak królewna oręż wydała.

Zdziwili się wszyscy, a król powierzył mu pismo do swojéj córki. Poszedł do lasu, nie wiedząc wcale, że drugi strzelec nadworny za tropami jego śledzi.

Zrobił się naprzód zającem, a potém sarną, i leciał prędko i żwawo; ubiegł drogi już nie mało, aż nad brzegiem morza staje. Wtedy zamienił się w wronę, i przeleciał wody morza, a nie spoczął aż na wyspie.

Wszedł do zamku miedzianego; pięknéj królewnie oddaje pismo od ojca i prosi, by mu miecz zwycięzki dała.

Piękna królewna na strzelca patrzy. Ujął jéj serce od razu. Pyta ciekawie, jakim sposobem mógł się dostać do jéj zamku co oblany zewsząd wodą, stopy ludzkiéj nie dowidział?

Wtedy strzelec opowiedział, że zna tajemne zaklęcia, któremi zmienić się może w sarnę, zająca i wronę. Piękna królewna prosi więc strzelca, by się w jéj oczach zamienił w sarnę. A gdy się zrobił wysmukłą sarną i począł łasić i skakać, królewna skrycie z samego grzbietu wycięła mu kosmyk sierści. Kiedy w zająca zmienił się znowu, z podniesionemi słuchami skakał, królewna skrycie z samego grzbietu wycięła mu sierści trochę. A gdy się zrobił i czarną wroną, zaczął podlatać w komnacie, ze skrzydełek ptaka skrycie królewna wyrwała po kilka piórek.

Wnet napisała pismo do ojca, i oddała miecz zwycięzki. Żak młody wroną przeleciał morze, biegł potém sarną niemało drogi, aż blisko lasu zającem skacze.

Zdradliwy strzelec już tam czatował, widział kiedy się zmienił w zająca, i poznał teraz. Naciągnął łuk, wypuścił strzałę— zabił zająca. Wyjął mu pismo i miecz odebrał: poszedł do zamku; królowi pismo i miecz oddał zwycięzki, lecz zarazem dopełnienia obietnicy danéj żąda.

Król radością uniesiony, wraz przyrzeka rękę córki; wsiadł na konia, i z tym mieczem przeciw wrogom jedzie śmiało. Ledwie dojrzał ich sztandary, machnął silnie kilka razy na cztéry strony świata. Za każdym zamachem miecza, szeregi wrogów upadły; a drugie trwogą przejęte, jak zające uciekały.

Wraca wesoł ze zdobyczą i sprowadza piękną córkę, by strzelcowi, co miecz przyniósł, oddał za małżonkę.

Sprawiono ucztę. Już brzmią grajkowie, cały zamek świeci jasno. Lecz królewna zasmucona siedzi obok strzelca zbójcy; poznała zaraz że nie ten wcale, którego widziała w zamku, ale nie śmiała ojca zapytać, gdzie tamten dorodny strzelec; płakała jeno wiele a skrycie, do tamtego serce biło.

A on żak biédny, w zajęczéj skórce, leżał zabity pod dębem, leżał rok cały. Aż jednéj nocy czuje się zbudzon ze snu mocnego. I staje przed nim on duch znajomy, którego ciało pogrzebał. Tęn mu przygody jego powiedział, wrócił do życia i mówi:

»Jutro królewnéj zaślubiny: śpiesz więc do zamku co prędzéj; ona cię pozna i strzelec, co ciebie zabił zdradziecko.«

Młodzieniec zerwał się żywo; idzie do zamku z bijącém sercem, wchodzi do wielkiéj komnaty, gdzie liczni goście jedli i pili. Piękna królewna wnet go poznała: krzyczy z radości i mdleje; a strzelec zbójca, skoro go dojrzał, zbladł ze strachu i zzieleniał.

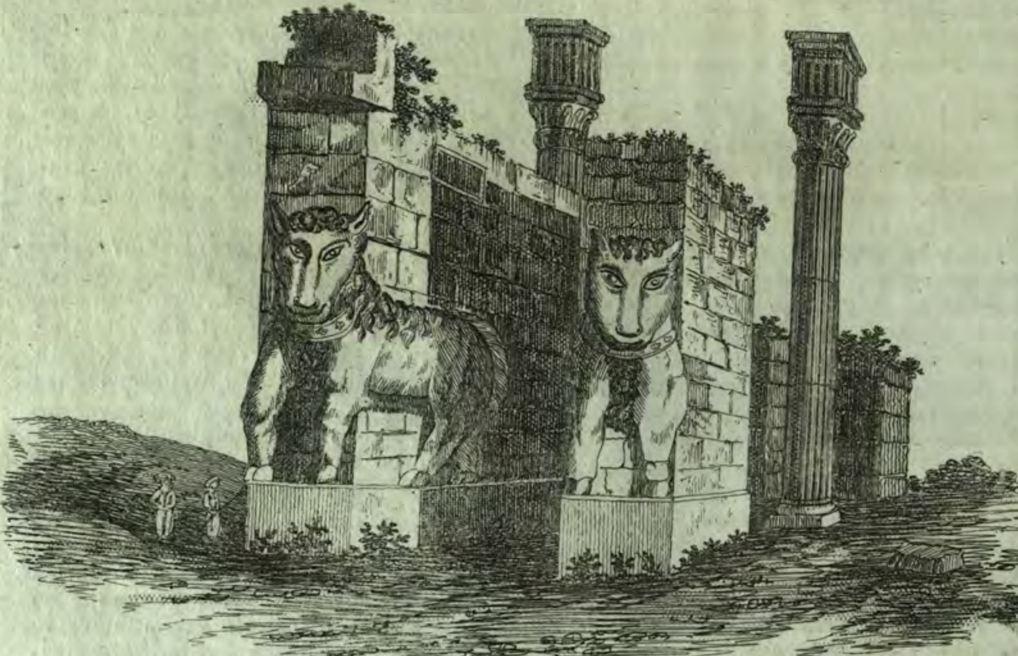
Wtedy młodzian opowiedział zdradę strzelca i morderstwo; a, by słowom dał świadectwo, w obec wszystkich zgromadzonych, zrobił się wysmukłą sarną, i królewnie począł się łasić. Ta, sierść mu uciętą w zamku, na grzbiet sarny przyłożyła, a sierść zaraz przyrosła. Znów zamienił się w zająca, i podobnie sierść ucięta, którą schowała królewna, za dotknięciem wnet przyrosła. Wszyscy podziwieni, aż się młodzian zrobił wroną. Królewna dobyła piórek, co z skrzydeł w zamku wyrwała, a piórka zaraz porosły.

W on czas stary król rozkazał, aby strzelca zbójcę stracić. Wywiedziono cztéry konie. A były to wszystkie. Przywiązano ręce i nogi, popędzono biczem konie; a te za jednym poskokiem, rozszarpały zdrajcę strzelca.

Młodzieniec otrzymał rękę młodéj i gładkiéj królewnéj. Cały zamek jaśniał świetno: pili, jedli z wesołością; a królewna nie płakała, bo jak chciała tego miała.

Na końcu tomu znajdują się ważne dodatki o rozmaitych przesądach wspólnych ludom słowiańskim i przytoczone powieści serbskie, podobne do naszych. Wszystkie te historyczne i obyczajowe postrzeżenia, czynią to dzieło równie ważnem jak zajmującém.

*



RUINY PERSEPOLU.

Historya Biblijna podług Pisma Świętego tłumaczenia Wujka, *dla użytku młodzi szkolnéj ułożona, przez* Leona Rogalskiego. *Część I Historya Starego Testamentu*; *Część II Historya Nowego Testamentu. — Wilno nakładem i drukiem T. Glücksberga* 1836, *tomów* 2 *in* 12.

Trafny układ tak pożytecznéj książki; jaką jest niniejsze dzieło, skłonił nas do oddania winnéj sprawiedliwości autorowi w pismie naszém. Prócz naturalnego podziału na dwie części, to jest Historya Starego i Nowego Testamentu, autor miał na względzie to szczególnie, żeby wyrazami samegoż Pisma Świętego podług przekładu Wujka, oddać wykład Biblii w swojéj książce; co nadaje uroczystszy charakter jego pracy i prawdziwą mu jedna zaletę. Na początku I części położony jest skład Starego Testamentu z wyliczeniem wszystkich ksiąg jego, tak tych które Zbór Trydencki przyjął i za święte uznał, jako i tych kilku co się zazwyczaj kładą na końcu Biblii, dla tego że niektórzy Ojcowie Święci czasem je wspominają. Tu znajdzie czytelnik krótkie ale dokładne objaśnienie co każda księga zawiera w sobie, i dla czego nosi pewne oddzielne nazwanie, np. Exodus, Deutheronomium i t. p. Potém idzie krótki wstęp dający stósowne do pojęcia dziecinnego wyobrażenia o Bogu: daléj zaś następują w zwyczajnéj kolei, oddzielnemi paragrafami wszystkie wypadki podane rodzajowi ludzkiemu w Starym Testamencie, zacząwszy od stworzenia świata, a kończąc na historyi Machabeuszów. Pod tytułem każdego paragrafu przytoczona księga Pisma Świętego która o tém co się ma wyłożyć traktuje.— W części II zawiera się Historya Nowego Testamentu, również podzielona na paragrafy, która się kończy na wiadomości o zgonie wszystkich Apostołów i o pismach po nich pozostałych. Wszędzie podobnie jak w I części wytknięte

źródła, z których każda materya była czerpaną; brakuje tylko podobnego objaśnienia na początku części II, o czterech Ewangelijach, Dziejach Apostolskich i t. d. jakie jest przed częścią I o księgach Starego Testamentu. Z resztą, pracy autora równie dobrze wykonanéj, jak ze wszech miar i dla młodzi szkolnéj i dla dojrzalszych osób nader użytecznéj, nic zarzucić nie można ani pod względem układu, ani pod względem stylu, chyba to jedno, że obie części téj książki na najgorszym bibularnym papierze są wydrukowane. Z tego powodu radzibyśmy byli wlać to przekonanie w panów księgarzy i wydawców, że już w naszym wieku, oko czytelnika tak jest przyzwyczajone do białego przynajmniéj papieru, że bez wstrętu do czytania jakichkolwiek brudno-szarych kart, choćby najczyściéj drukowanych, wziąźć się nie może. Tak spodlone edycye choćby nawet elementarnych ksiąg, jesteśmy pewni, że nietylko dobrym ich autorom ubliżają, ale nawet małe zyski pod względem papieru, a wielką szkodę pod względem wziętości edytorskiéj, wydawcom przynoszą. Cóżkolwiekbądź, Historya Biblijna o któréj mówiemy, jako wybornie ułożona w swoim rodzaju książka, jest nowym dowodem rzadkiéj pracowitości i talentu pisarskiego autora. P. Leon Rogalski, już oddawna znany jest w naszéj literaturze, jako niepospolity bibliograf, który i niejednemu z swoich starszych kolegów i miłośników téj ważnej nauki, rzadkich i zajmujących wiadomości dostarczył, i sam w tym przedmiocie ważną rozprawę w rękopismie dotąd znajdującą się wypracował. Prócz tego, tłumaczenia z rossyjskiego Historyi powszechnéj Kajdanowa i Historyi Rossyjskiéj Konstantynowa, liczne prace wierszem i prozą po różnych pismach peryodycznych znajdujące się, nakoniec dzisiejsze pisma jego w Encyklopedyi i Magazynie powszechnym, Żywotach Świętych i t. d. pomieszczone, dowodzą niepospolitego talentu i obszernych wiadomości pisarza, który na długo jeszcze obiecuje zbogacać literaturę krajową, coraz obfitszemi plonami, przez rzadką zdolność, pracę i usilność z nauk odniesionemi.

ZWALISKA PERSEPOLU.

Ciekawa jest rzecz uważać, jak częstokroć tanim kosztem nabyć można wielką wziętość; dowodem tego jest Tavernier, który za powrotem wydał opisanie podróży przedsięwziętych wyłącznie w celu handlowym, i któren zwiedził Persyą, nie jak uczony, nie jak artysta, lecz jako kupiec. W dziele jego napotykamy następujące miejsca:

„Nim zacznę opisywać Szyraz, wspomnę, o sławnych zwaliskach Czelminar czyli Persepolis. Dla ich widzenia trzeba odwrócić się trochę na lewą stronę rzeki. U podnóża góry widać mnóstwo kolumn, niektóre jeszcze stojące, a największa część już zwalonych. Pewnego dnia zwiedziałem te ruiny z panem Angel, Holendrem, którego posłała kompania holenderska aby dawał lekcye rysunków królowi Abasowi II. Przerysowywał je przez kilkanaście godzin, lecz ukończywszy pracę, przyznał, iż żałuje straconego czasu, i że nie warto było nawet na kwadrans zbaczać z drogi. Są to, koniec końcem, stare połamane kolumny, rzezby w złym smaku, i małe ciemne czworoboczne izby.«

Nie trzeba dziwić się, że Tavernier, któren żałował czasu straconego na zwiedzenie ruin Troi, wyraził się w tych słowach o zwaliskach Persepolis. Jednakże nie są one tak nieznaczne i tak nieliczne jak on utrzymuje. Inni podróżni odmiennego są zdania i Chardin, Koempler, Franklin, Niebuhr, a świeżo jeszcze Anglik Ken Porter, zwiedzili Persepolis i ogłosili opisy bardzo zajmujące i pełne erudycyi, mianowicie zaś Ken Porter przerysował zwaliska tego miasta, z wielką dokładnością i pięknem wykończeniem. Z tych to sumiennych i rozsądnych podróżników, wyjmujemy następujące szczegóły o ruinach miasta założonego przez Dżemszyda wielkiego monarchę.

Płaszczyzna na któréj było zbudowane, ma długości 18 do 19 mil fran., szerokości 2, 3, a nawet 6; skrapia ją rzeka Arar.

Szczątki Persepolis wyglądają z daleka jak obszerny amfiteatr, objęte górą w kształcie półksiężyca. Budowle stoją na pochyłości góry ściętéj w tarasy i stosownie do rozmaitéj wysokości tychże tarasów dzielą się na trzy części, stojące jedne nad drugiemi; mur wysoki na 24 stopy utrzymuje taras z przodu i z boku i tworzy równię długą na 1,200 stóp od południa do północy, a szeroką na 1,690 od wschodu ku zachodowi. Mur ten zbudowany jest z kamieni twardszych od marmuru, bardzo gładkich i tak wielkich, iż trudno pojąć jakim sposobem można było dźwignąć takie ciężary. Są głazy długie na 52 stóp, a szerokości mające 30 do 35 stóp. Tak są doskonale spojone, że po upływie 3000 lat nie można rozeznać miejsc spojenia.

Główny gmach, któren jak się zdaje był kościołem, stoi w środku najwyższego tarasu, składa się z wielkiéj liczby kolumn

i dla tego nadano mu nazwisko *Czelminar*, czyli czterdzieści kolumn. Tarasy łączą się schodami; najgłówniejsze schody nie są w środku wystawy lecz nieco dalej ku stronie północnej. Drugie schody od strony północnej, są mniejsze, złożone z trzydziestu stopni. Wielkie schody są podwójne i łączą się przy wierzchołku; mają 103 stopni na 22 stóp szerokich. Dochodzą do przysionka złożonego z piedestałów i kolumn. Nasza rycina wyobraża to co z niego jeszcze zostało, to jest cztery wielkie piedestały i dwie kolumny. Piedestały są wprost schodów i mają 30 stóp średnicy, kolumny są oddalone od nich o stóp dwadzieścia.

Na przodzie każdego piedestału jest figura na pół w płaskorzeźbie, olbrzymiej wielkości, wyobrażająca potworne zwierzę. Na wierzchu są napisy, których dotąd nie mogli wyczytać uczeni; kolumny są z marmuru białego i wyżłabiane jak wszystkie inne tego pomniku.

Na lewéj stronie przysionku są same stosy zwalisk. Po prawéj jest obszérna przestrzeń dotykająca do tarasu utrzymywanego murem na trzysta stóp długim, wysokim od 6 do 10 stóp. Prowadzi do niego troje schodów. W części zachodniéj tego muru, najlepiéj dochowały się szacowne zabytki starożytności. Są tam dwa rzędy płaskorzeźb a jeden postaci w płaskorzeźbie przez pół wydatnych. Postaci mają przeszło cztéry stopy wysokości, a wydatne są na półtora cala. To olbrzymie dzieło tak jest doskonale zachowane, iż wygląda jak gdyby wyszło z rąk rzeźbiarza. Płaskorzeźby wystawiają uroczystą processyą i są bardzo ważne dla badaczów starożytności, znajdzie bowiem na nich oręże, sprzęty i zwyczaje starożytnych Persów. Temi schodami dostajem się do obszernéj sali na 400 stóp długiéj a na 300 szerokiéj. Część najbliższa schodów najbardziéj ucierpiała, gdyż jedna tylko kolumna pozostała, w przeciwnéj zaś stronie stoją wszystkie, a przynajmniéj leżą na ziemi. Pomiędzy kolumnami jest 25 stóp przedziału, każda ma 56 stóp wysokości i czterdzieści wyżłobień na 3 cale głębokich. Trudno odgadnąć, czyli te piękne kolumny utrzymywały sklepienie, sufit, kopułę albo inne jakie pokrycie. Powszechnie mniemają że stały na nich posągi bożyszczów.

Idąc daléj, znowu napotykamy schody ozdobione płaskorzeźbami, wyobrażającemi walki byków i polowanie na lwa. W środku jest wielki napis. Schody te prowadzą do trzeciéj części świątyni, wyższéj i obszerniejszéj od innych. Są tam wielkie stosy gruzów, należące jak się zdaje do różnych budowli. W części południowéj znajdują się najlepiéj dochowane szczątki; są to izby 15 stóp kwadratowych mające, z sześcią drzwiami i dwunastą oknami. — W wielu z nich są jeszcze ślady płaskorzeźb, których postaci są naturalnéj wielkości, lecz także wznoszą się niekiedy do olbrzymiéj proporcyi.

Nareście w górze do któréj dotykają te zwaliska, znajdują się jeszcze szczątki wielu grobów i pomieszkań wykutych w skale i studnia doskonale zachowana na 50 sążni głęboka.

Oto jest krótki opis, tego co czas a mianowicie barbarzyństwo ochroniło dotąd z tego nieszczęśliwego miasta, które Alexander spalił odurzony pijaństwem, a które w nowożytnych czasach zaledwie nie zginęło ze szczętem, z powodu skąpstwa i ciemnoty wielkorządzcy. W owéj epoce, wielu Europejczyków zwiedzało Persyą w charakterze dyplomatycznym, i z tego powodu rząd perski podejmował wszelkie koszta ich utrzymania. Nie omieszkali odwiedzać Persepolis i tam zatrzymywać się przez dni kilka. Wielkorządzca postrzegając iż to przynosi znaczny wydatek, zawołał zniecierpliwiony: »Niech czarci porwą ciekawość tych Franków, zaradzę ja temu, aby nie odbywali podróży do Czelminar. Natychmiast rozkazał zniszczyć wszystko co pozostało ze starożytnych zabytków, lecz dosyć opieszale wykonywano ten rozkaz, ponieważ mieszkańcy sąsiedniéj wioski zyskiwali na odwiedzinach cudzoziemców. Szach wstrzymać kazał dalsze zniszczenie.

ZWYCZAJE LUDU.

(*Dokończenie*).

Do najbardziéj uderzających dziwactw zapustnych należy uroczysta przechadzka *tłustego wołu* po ulicach miast francuzkich. Jak we wszystkich zbytkach na obrazę rozsądku wymyślonych, i w tym także Paryż naczelne miejsce przed innemi miastami trzyma. Nie przepchasz się wtedy przez ulice oświeconego miasta, bo ważniejsza rzecz nad nie, pochód tłustego wołu, oczy i umysł całkowicie zajmują; kto nie widział tego obrzędu, nie jest w stanie pojąć, jak silną i zaciętą walkę, zdoła z rozumem i oświatą głupstwo i ciemnota prowadzić.

Mniéj karnawałowych uciech, albo wcale nie napotykamy ich śladów w krajach protestanckiego wyznania, bo należą do dziwactw najsrożéj ustawami wiary téj wzbronionych. W rzeczy samej, maska-

rady i tańce karnawałowe są zabytkami dawnych świąt *saturnalia* zwanych: kościół nawet katolicki od początków istnienia swego surowo przeciw tym nadużyciom uciech powstawał, a gminne powieści pełne są podań o karach, które wyrokiem tajemniczym zbytkujących w tego rodzaju uciechach spotykały; przytaczamy jednę z liczby tysiącznych. W r. 1012, w chwili, gdy Robert, proboszcz jednego kościoła w Saksonii, zaczynał mszę świętą, przerwał mu nabożeństwo hałas, wszczęty na ulicy. Był to niejaki Others, który w towarzystwie piętnastu mężczyzn i trzech niewiast karnawałową zabawę odprawiał. — Wierni upominali Othersa i towarzyszów, aby zaprzestali tańców, ale zagrzani napojem zważać nie chcieli. Robert tedy prosił Boga, żeby Others z towarzyszami przez rok cały na tańce skazany został,i wysłuchał Bóg prożbę księdza Roberta, a weselnicy 365 dni i nocy, choć słońce ich paliło, choć deszcz moczył, choć mróz ziębił, nic nie jedząc ani pijąc, tańczyli. Napróżno krewni i przyjaciele wołali na nich; zajęci tańcem nie słyszeli głosu ludzkiego; odzież ich i obuwie nie podlegały zniszczeniu, ale ziemia od ciągłych skoków na jednem miejscu znacznie się zapadała i już prawie po pas wybrzeżami sięgać poczęła. Synowiec Roberta ulitował się nad siostrą, i chciał ją wyrwać z grona nieszczęśliwych tancerzy, pochwycił ją więc za rękę, lecz ręka po ramię oderwana, została w dłoni jego, a siostra najmniejszego nie wydawszy krzyku ani znaku boleści, dalej tańcowała. Rok tak upływał, aż nakoniec S. Herdbert arcybiskup koloński ulitowany zdjął klątwę z grzesznych i z kościołem ich pojednał. Wszakże wielka z nich część wkrótce pomarła, a ci, którzy czas jakiś żyli jeszcze, do śmierci mimowolnego drgania członków doznawali.«

Sprzymierzenie się dziwactw starego i nowego świata było potworem godnym ciemnoty czasu, który je uświęcił; wyznać jednak należy, że nie mogło bydź inaczej; nałóg, przesąd i namiętność niełatwo ustępuje nowości, choćby na najczystszego rozumu wspartej posadzie, i wielkie musiała wytrzymać walki prawda w początkach objawienia się swego, za nim się ustalić zdołała. Przechowanie aż dotąd obrzędów najśmieszniejszych, zabobonów najdziwaczniejszych tu ma swoje źródło, i wiele jeszcze walk odbydź przyjdzie, zanim zdrowy rozsądek całkowite zwycięztwo nad uprzedzeniem odniesie. Szereg tych, zakałę wieku stanowiących obrzędów, liczny jest jeszcze bardzo; w ostatnich wszakże latach, nie jeden z nich sile wieku ducha ustąpić musiał. Do rzędu takich należał we Francyi obrzęd pogański *lupercalia*, czyli święto bożka *Pana* przypominający. Ludzie prawie całkiem obnażeni przebiegali w ostatni wtorek ulice, i smagali przechodzących worami napełnionemi popiołem, lub zasypywali im oczy. — Podobny temu obyczaj, skromniejszy wszakże, znany był niegdyś w Polsce, w niektórych nawet okolicach dotąd jeszcze istnieje, wyłącznie jednak do *środopustu* lub *półpostu* jest przywiązany. Młokos wtedy przed niewiastą przechodzącą, albo też za nią, dziewka podobnież przed mężczyzną rzucała o ziemię garnek popiołem napełniony, tak blisko, ażeby popiół wzniesiony na powietrze obsypał i okurzył, przyczém wołał swawolnik lub swawolnica: *połpoście mości panie! mościa pani!* lub *mościa panno!* szybko uciekając. Że nie każdy mógł to znosić cierpliwie, powstawały więc zwady i bitwy, z czasem przykry obyczaj do Żydów rozciągnięto; sądy wszakże i temu nadużyciu tak skuteczną położyły tamę, że obecnie prawie nigdzie się nie powtarza. Po wsiach tylko uderzają jeszcze garnkiem podobnym we drzwi lub okiennicę, trwożąc tym sposobem spokojnych mieszkańców domu.

W wstępną środę, chłopcy i dziewczęta frankońskie zaprzęgały do wozów konie, i przy odgłosie trąb przejeżdżając ulice ciągnęły nad krzeg rzeki lub jeziora, gdzie jakby na *bachusową* objatę wpadali do wody, różne przy téj zabawie odśpiewując piosnki. Podobny zwyczaj także znany był w Polsce, a w Litwie dotąd się utrzymuje, z tą tylko różnicą; że dziewczęta ciągną na wozie kloc drzewa, zatrzymując się przed każdym domem, gdzie nieżonaty młodzieniec, śpiewają, a on podarek dać im obowiązany. Zwyczaj ten powstał zapewnie z powszechnie znanego przypinania klocków w popielcową środę wszystkim tym chłopcom i dziewczętom, które w ciągu mięsopustu w śluby małżeńskie nie weszły.

Nie będziemy się wdawać w obszerniejsze opisywania zapustnych uciech, ciekawi łatwo je znajdą nie w jednem skréślone dziele. Wspomnieliśmy już nieco wyżéj, że wszystkie obrzędy tego rodzaju czasów pogańskich są zabytkiem, tu dodać musimy, że podług zdania bardzo upowszechnionego w Niemczech, u Hebrajczyków szukać początku chrześcijańskiego karnawału potrzeba. I w rzeczy samej, Żydzi aż dotąd podczas świąt Hamana (Aman) i dnia sądnego (Purim), które przypadają około zapustnego wtorku Chrześcijan, oddają się zabawom wielką styczność z uciechami naszego karnawału mającym; większa jednakże część uczonych, przy-

***

chyla się do zdania, że tak Żydzi jak Chrześcijanie od pogan karnawałową zabawę przyjęli.

Dzień Świętego Dawida.

Dzień ten uroczyście obchodzony u Gallów na pamiątkę wielkiego zwycięztwa odniesionego przez Świętego Dawida nad Saksonami. Zwyczaj przypinania do kapeluszów gałązek gruszkowych ztąd pochodzi, że wojska Gallów używały ich w téj rozprawie jako środka do poznania się w zamieszaniu.

Czterdziestu Męczenników.

Uważają pilnie gospodarze wiejscy, jaka w dniu tym pogoda, utrzymując, że taka będzie przez następnych dni czterdzieści.

Pierwsza Niedziela wielkopostna.

W Szkocyi i północnych ziemiach Anglii, niedziela ta zowie się *Carlin-Sunday*. Zdaje się, że przedtém zwano ją *Care-Sunday*, albo niedzielą cierpienia i męki, co odpowiada wyrazowi *passya*. W późniejszych czasach nastał zwyczaj jedzenia w tym dniu rodzaju szarego grochu zwanego *carlings*, który przez noc moczono w wodzie, a potém w oleju smażono. Z resztą pewną jest rzeczą, że gatunek tego grochu wziął nazwę od téj uroczystości, nie zaś uroczystość od grochu, albowiem niedziela ta zowie się w niemieckim języku *die Charwoche*, co znaczy *tydzień boleści*. Brand chciał wyjaśnić początek jedzenia grochu w téj porze roku, lecz przywodząc tu wyrazy jego, wyznajemy, że nie zaspokoją nas wcale. »Znachodzę w dawnym kalendarzu katolickim, że w dniu tym rozdawano bób drobny, i nie wątpię, że nasz zwyczaj ztąd pochodzi. U Katolików rozdawano bób przy pogrzebach; i u pogan był podobny obrzęd. Jeśliśmy groch natomiast przyjęli, to dla tego zapewne, że lepszym jest do jedzenia w téj porze roku.« — Daléj jednak wyraża się Brand w bardziéj zaspakajający sposób. Zwróciwszy bowiem uwagę, że Plutarch, podług Erazma, przypisywał roślinom warzywnym największą moc wywoływania cieniów zmarłych, twierdzi, że jakkolwiek śmieszne i niedorzeczne zdawać się mogą te przesądy, pewną jest rzeczą, iż zwyczaj nasz *carlings* od nich pochodzi.«

Niedziela Kwietnia.

Niedziela ta w Anglii zowie *Palm-Sunday* (dominica ad palmas), w Polsce *kwietnia* albo *wierzbowa*, z powodu obnoszonych powszechnie gałązek, na pamiątkę owych, któremi słano drogę Zbawicielowi, gdy do Jerozolimy wjeżdżał. Palma nie rośnie w północnych stronach, i przeto na jéj miejscu używają gałązek bukszpanowych, oliwnych i wierzbowych. Ztąd nawet lud w Cumberland wierzbę nazywa palmą.

Uroczysty to dzień w całém Chrześcijaństwie, bo zapowiada po długim poście i nudach powszechną wesołość i biesiady. Dzieci w tym dniu szczególniéj się cieszą. Kitowicz w swoim rękopisie powiada, że niegdyś w Polsce młodzież szkolna po skończoném w kwietnią niedzielę nabożeństwie, uszykowawszy się w kościele we dwa rzędy, prawiła oracye wierszami, następnie szły perory o śledziu, poście, biédzie szkolnéj, kołaczach i plackach święconych. Po nich chłopaki miejscy i wiejscy za pastuchów, pielgrzymów, olejkarzy, huzarów i innych żołnierzy przebierani, także po swojemu oracye prawili, ale powoli zwyczaj ten wyszedł z używania; zostały tylko rószczki wierzbowe, wcześnie sztucznem ciepłem do rozwijania się zmuszone, które lud dla poświęcenia do kościoła znosi, a potém po domach w poszanowaniu utrzymuje. Przed laty gmin połykał pączki czyli bagniątka wierzbowe, w przekonaniu, że kto w kwietnią niedzielę bagniątka z poświęconéj wierzby nie połknął, zbawienia duszy nie może bydź pewnym. W Litwie i na Rusi wracający z rószczkami do domów trzepią się nawzajem, mówiąc:

	Na Żmudzi zaś:
Ne ja bju	Ne asz muszu
Werba bje	Werba musza
Za tyżdeń!	Usz nedelie
Wełykdeń.	Welikie.

(Nie ja biję, wierzba bije, za tydzień Wielkanoc (6).

Wielki Czwartek.

Szczególna nazwa, jaką dzień ten w Anglii mianują, *Manudy Thursday*, pochodzi jak mówią, z łacińskiego *Dies manda-*

(6) Podobny zwyczaj istnieje w sam dzień Wielkanocny między osadnikami niemieckiemi na Żmudzi; biją się wtenczas brzozowemi roszczkami mówiąc: *Schmak Oster*, *bunt Eyer*, *sechs Flade*, *steck Speck*, co znaczy: Smaczna Wielkanoc, pstre jaja, sześć placków i kawał słoniny,— a smagany, jeżeli nie chce boleśnego powtórzenia, musi się natychmiast wspomnionym datkiem okupić.

ti, dzień w którym Zbawiciel wzajemną zalecał miłość i umywał nogi swym uczniom. Umywanie nóg jest dotąd w zwyczaju w krajach katolickich, dopełnia ich monarcha albo naczelnik duchowieństwa. U nas za Stanisława Augusta zdarzyło się, że każdy z dwunastu starców, którym biskup Naruszewicz umywał nogi, miał 100 lat z okładem, a jeden 123, tak, że wszyscy razem przeszło 1,300 lat mieli. Przy każdéj takiéj uroczystości sadzono starców u stołu, a król i inne znakomite osoby im usługiwały; każdy starzec otrzymywał zupełny ubiór, łyżkę, nóż i grabki srebrne, tudzież serwetę, w którą był dukat zawiązany. W Anglii dwunastu sierotom dają po szylingu i bułce chleba w imieniu króla. W Holandyi wielki czwartek zowie się *witte donderdag*, biały czwartek; ta nazwa przyjęta jest i w niektórych ziemiach Francyi, a to dla tego, że w dniu tym rozdają się bułki białe ubogim. — W Niemczech zowią go *grüner Donnerstag.*

Wspomnieć tu należy o grzechotkach i klekotkach po wszystkich kościołach, od wielkiego czwartku do Zmartwychwstania używanych; zastępują one w tych dniach żałoby odgłos dzwonów. Niegdyś w Polsce, skoro na wieży kościelnéj odezwała się w wielki czwartek grzechotka, zwołując wiernych na modły do świątyni, natychmiast chłopcy biegali po ulicach z swojemi grzechotkami, turkotem niesłychanym całe napełniając miasto. Grzechotki chłopców były ręczne, kościelną zaś większą osadzano jak taczki na kółkach, dla łatwiejszego toczenia jéj do około świątyni, i oznajmiania ludowi o rozpoczynającém się nabożeństwie. Nie wiemy z pewnością, o ile ten obyczaj był w używaniu u innych ludów katolickiego wyznania.

Wielki Piątek.

Niektórzy pisarze angielscy utrzymują, że nazwa dnia tego po angielsku *Good Friday* wyłącznie angielskiemu tylko służy kościołowi, ale błędne jest to mniemanie: Holendrzy bowiem chociaż kalwini, zwą go także *Goede vrydag*, dobry piątek — i tę nazwę przenieśli dawniéj do Niemiec i Danii. W niektórych angielskich miastach, a mianowicie w Londynie, jedzą w wielki piątek pewien rodzaj drobnego pieczywa z mąki z wyciśniętém wyobrażeniem krzyża, co zowią *Gross bunns*. Bryandt podaje szczególny wywód wyrazu *bunns*. »Objaty, które poganie zwykli byli nieść swoim bożkom, kupowały się przy wstępie do świątyni, szczególnie różne rodzaje święconego chleba. Jeden z tych nazywał się po grecku *boun*, i ten podług Hesichiusa i Juliana Polluksa nacechowany był wyobrażeniem dwóch rogów.« Należy tu zważyć, że chleb ten nazywany jest od Hesichiusa *bous*, i chcąc z niego zrobić *boun*, trzeba wziąźć wyraz w czwartym przypadku, co poniekąd odejmuje wagę wywodowi Bryanta.

Dzień wielkopiątkowy przeznaczony jest rospamiętywaniu męki Zbawiciela; po wszystkich kościołach chrześcijańskich znane są groby wielkopiątkowe. Pani Guebriant wystawia ich przepych w Polsce i nad francuzkiemi pierwszeństwo daje. Kwestarki czarno ubrane w każdym kościele potrząsają tackami, wzywając litości dla wdów, sierot i kalectwa. Po południu odprawiali niegdyś processyę, biczownicy przytém w szarych lub kolowych kapach smagali się po kościołach. W późniejszych jednak czasach, że to widowisko zbyt rażącém było, zniesiono kapników.

Przed kilkądziesięciu laty był także zwyczaj w Warszawie, że chłopcy miejscy ustroiwszy w wielki piątek bałwana za Judasza, oprowadzali po ulicach, bili, targali, wlekli go potém na wieżę kościoła Panny Maryi, zrzucali nakoniec i topili w Wiśle; w innych miejscach obchodzono to we środę wielkiego tygodnia. — Mnóstwo podobnego rodzaju wielkopiątkowych obrzędów było we Włoszech, Hiszpanii, Francyi, Niemczech i wszystkich narodach chrześcijańskiego wyznania; z postępem wszakże oświaty, wielka ich liczba zapomnieniu oddana wyszła z używania.

Wielka Sobota.

Ostatni to dzień postu i rozpamiętywania. Gołębiowski pisze, że przed laty dworska w Polsce drużyna, uwiązawszy śledzia na długim powrozie, wieszała w dniu tym na suchéj wierzbie, karząc, że przez siedm tygodni męczył ich żołądki. Żur równie wynoszono z kuchni jako już niepotrzebny; były to sidła na nieświadomego zwyczaju. Namówili go, ażeby garnek z żurem w kawałku sieci wziął na plecy lub głowę, i niósł tak do pogrzebu. Za nim szedł jeden z łopatą jako grabarz czyli mający dół kopać; gdy się wyprowadzili z orszakiem niemałym na podwórzec, grabarz ów uderzył w garnek, a żur oblewał niosącego, i sprawiał śmiech długotrwały.

Wieczorem dnia tego rozpoczyna się radośna dla chrześcijan uroczystość Zmartwychwstania *resurekcyą* zwana; strzelano niegdyś z dział, moździerzów, palono w około kościołów beczki smolne, lecz że

te znaki radości nieraz nieszczęśliwych przypadków były przyczyną, na wielu już przeto miejscach zaniechane zostały.

Wielkanoc.

W Anglii zowią *Easter*; nazwa ta wywołała wielkie spory między uczonemi. Dr. Forster sądzi, że *east* oznacza wschód, stronę, gdzie gwiazdy wschodu się udają, i że dla tego wybrano ten wyraz dla oznaczenia uroczystości Zmartwychwstania Jezusa Chrystusa. Ale uczony Bede inny téj nazwie naznacza początek; wywodzi on ją od pogan. »*Easter* — nazwa wzięta od bogini czczonéj przez Saksonów i u innych północnych ludów, a zwanéj *Eastre*; święto jéj obchodzono w tym miesiącu, a do wyrażenia uciechy, z powodu nowéj uroczystości, użyto wyrazu, który przez kilkowieczne użycie domową stał się własnością.« Niemcy zowią także dni wielkanocne *Ostern*, ale uczeni tego kraju odrzucają powyższy wywód. Zwyczaj jaj wielkanocnych, tak powszechny niegdyś prawie na całym stałym lądzie, zatracił się w wielu krajach, trwa jeszcze jednak w Szkocyi i wielu okolicach północnéj Europy. — W Polsce nawet dotąd wraz ze *Swięconem* niepospolitą odgrywa rolę. Gołębiowski powiada, że święcone, naszego kraju wyłącznym jest obyczajem; cóżkolwiekbądź, to pewna, że nigdzie podobnego przepychu widzieć nie można, największa nawet część ludów chrześcijańskiego wyznania, wcale zwyczaju tego nie ma w używaniu. U nas przeciwnie, w dnie wielkanocne i najuboższy musi koniecznie zdobyć się na kiełbasę, placek i jajko, a jak w przeddzień Bożego narodzenia opłatkiem, tak w dzień wielkanocny święconém jajkiem, życząc sobie wzajemnie pomyślności, wszyscy częstować się zwykli. Baranek przy wykwintniejszém święconém znajdować się musi; do jakiego zaś zbytku dochodził w Polsce zwyczaj przysposabiania jadła wielkanocnego, zwłaszcza w czasach dawniejszych, każdemu z nas wiadomo.

Wspomnieliśmy już wyżéj, że u Rossyan znany jest obyczaj trzykrotnego całowania się w dzień Zmartwychwstania, przyczém jedni drugim jajka malowane, inaczéj kraszanki lub pisanki zwane, w podarku dają. Obyczaj ten na Wielkanoc, w powszechném także jest używaniu między ludem na Ukrainie, Podolu, Wołyniu, całéj Rusi, a nawet na Żmudzi i Litwie. Chłopaki nadto po wsiach i miastach biją się w kraszanki; który z nich sobie dobierze mocne, wygra czasem nie jedną jaj kopę.

Swięty Patrycy.

Ś. Patrycy jest patronem Irlandyi, a w święto jego każdy Irlandczyk niesie pęk koniczyny związany w kształcie bukietu. Brandt powiada, że Ś. Patrycy opowiadając naukę świętą w Irlandyi, tłumaczył tajemnicę Ś. Trójcy przez koniczynę, któréj liść każdy z trzech części czyli listków się składa, i że tym sposobem przekonani Irlandczykowie święcą odtąd dzień nauki Ś. Patrycego, nosząc na pamiątkę bukiety z koniczyny.

Dnie nieszczęśliwe czyli feralne miesiąca Marca.

Zabobonni ludzie uważają trzy ostatnie dni Marca za nieszczęśliwe czyli *feralne*.

Podobnie piątek w całém Chrześcijaństwie uchodzi za dzień feralny. Chociaż znany jest powód, albowiem w dniu tym ukrzyżowano Zbawiciela, godną jednak uwagi jest rzeczą, że i u Birmanów nie godzi się w piątek żadnéj rozpoczynać sprawy. Sobota jest w Anglii dalszym ciągiem dnia poprzedzającego.

Przesąd ten najdawniejszéj sięga starożytności, a rozważywszy rzecz dobrze, wypływa on niezaprzeczenie z saméj przyrody człowieka. Chciwy albowiem poznania przyszłości, pragnie ją zgłębić, i niejako przywiązać do skutków swoich przedsiebierstw. Prosty ztąd wniosek, że wierząc w przepowiednie, sądzić zarazem musiał, że dnie nacechowane nieszczęśliwym jakim wypadkiem, same w sobie coś tajemniczego mieszczą. — Jednakże piérwsi apostołowie chrystyanizmu powstawali ciągle na niedorzeczność tego uprzedzenia. Ś. Paweł w liście do Galatów wyrzuca im przywiązywanie wiary do pewnych dni, miesięcy, pór roku i t. p., co Ś. Augustyn w ten sposób objaśnia: »Ludzie, na których apostoł powstaje, są ci, którzy mówią: nie puszczę się w drogę, bo jutro jest dzień taki lub owaki, albo księżyc jest w téj lub owéj porze; albo puszczę się w drogę, bo położenie gwiazd jest pomyślne; nie chcę wchodzić w kupno, zła jest gwiazda; alboli téż przeciwnie, kupię dziś, bo gwiazda szczęsna; nie zasadzę w tym roku winnicy, bo to rok przestępny i t. d.«

Trzy ostatnie dni Marca zowią się gdzieniegdzie, *dni pożyczane*. Dni te bywają zwykle bardzo burzliwe, a przodkowie nasi, chcąc to dobitnie oddać, mawiali, że Marzec pożyczył sobie dni tych u Kwietnia, chcąc tym sposobem przedłużyć panowanie swoje. Mocno zabobonni ludzie, nie dają ani pożyczają w tych dniach pieniędzy

Wiara ta powszechna jest u szkockich Górali, z tą tylko różnicą, że cofnięta jest data i wsteczna pożyczka. U nich to *faioltcach*, trzy pierwsze dni Lutego, mnogie poetyczne zrodziły podania. Podług nich Luty pożycza dni owych od Stycznia za objatą trzech młodych koźląt. Owe trzy dni wypadają wedle rachuby Górali między 11 a 14 Lutego, i zwykle szczęśliwa to wróżba dla bieżącego roku, jeśli wiatr duży panuje. Gdy zaś zaś przeciwnie pogoda jest, nie spodziewaj się pięknej wiosny.

(Artykuł ten wyjęty jest z Pamiętnika Naukowego wydawanego w Krakowie, zeszyt 4ty r. 1837).

WSPOMNIENIA PODRÓŻY DO HISZPANII *w latach* 1835 *i* 1836.

Czém jest Hiszpania? można tysiącem sposobów odpowiedzieć na to zapytanie. Ostatnie zdarzenia i tocząca się wojna domowa w tym kraju, dostarczają obfitych materyałów jéj oskarżycielom i chwalcom. Bohatyrstwo i szaleństwo, świetność i nikczemność, samolubstwo i poświęcenie; znajdziesz tam wszystko co świat szacuje, i to czém pogardza. Dosyć długo bawiłem w stolicy Kastylii i przejechałem z narażeniem się na niebezpieczeństwo, pośród prowincyi tak wytrwale broniących sprawy Don Karlosa; udzielam publiczności owoc moich postrzeżeń, może w nich znajdzie nowe, a przynajmniéj prawdziwe wiadomości o położeniu tego dziwnego kraju.

Hiszpania niegdyś związana w jedną całość, silną wiarą i poświęceniem się dla monarchy, straciła teraz swoją starożytną jednozgodność i to jest jéj najgroźniejszą plagą. Bardzo wydatna linia rozdziela klassy wyższe od niższych. Wyższe i średnie stany przejęły cywilizacyą francuzką i bez rozwagi pragną reform i zmian, których skutku nie umieją przewidzieć i ocenić; pospólstwo pozostało przy dawnych mniemaniach i zachowało swoją dziką energię. — Co więcéj, gdyż już kilkadziesiąt lat doświadczenia naprowadza Francuzów na drogę umiarkowania i przeświadcza ich jak błędne były po większéj części zapędy reformatorów ośmnastego wieku, reformiści hiszpańscy są dopiéro na wstępie do zawodu i z całéj nowożytnéj cywilizacyi; znają tylko płochość i zepsucie.

Przebądźmy tę linią o któréj wspomniałem, a znajdziem natychmiast zabobon, niewiadomość i gnuśność, ktoréj nie zdoła wyobrazić sobie ten, kto podobnie jak ja czas jakiś nie zamieszkał w Madrycie. Daremnie szukałbyś jakichkolwiek wygód i przyjemności życia. Postrzegasz za piérwszym rzutem oka, że mieszkańcy nie dbają o to ażeby ci dobrze było u nich i są nazwyczajeni do wszelkiego rodzaju niewygód. Wszystkie przystępy do miasta, prócz jednéj bramy Alkala, noszą znamiona oburzającéj nędzy i nieładu. Tu i owdzie domy porządnie zbudowane, stoją pośród zrujnowanych chat: wszędzie piszczą żebracy i napastują przechodzących; wszędzie kręcą się brudne dzieci i kobiéty złego życia; wszędzie panuje nieochędóstwo, nieład i łachmany, godne pędzla malarza Murillo. Stolica Hiszpanii głównie zaludniona jest tysiącami tych obmierzłych i nieznośnych owadów, których wymienić nie chcę. Pełno ich jest w starych domach, a tylko co zbudują nowy, już ich gromada przylata w tryumfie i gnieździ się we wszystkich zakątkach. W porze zimowéj zdarzają się dosyć mocne zimna, przeciw którym nie ma żadnego opatrzenia ani pieców. Ulice nie są lepsze od domów. Większa ich część nie ma bruku; krzyki mulników, formanów, dzwonki mułów, bezustanku mieszają się z odgłosem dzwonów. Mamże wspominać o woni panującéj na ulicach tego nieszczęśliwego miasta? Byłoby to jeszcze fraszką, gdybyś nie musiał lękać się o życie i pieniądze, lecz pikaros (rozbójnicy) czekają na ciebie. Wiedzą zawsze zkąd przybywa cudzoziemiec, dokąd jedzie i co ma przy sobie. Jeśli go nie obedrą w mieście, uskutecznią to o parę mil za miastem. Krajowcy opłacają się bandom złodziei, tak jest bezsilne działanie policyi. Nie jeden grand hiszpański płaci jak najregularniéj podatek złodziejom, żeby miał prawo wprowadzać do Madrytu rolnicze płody ze swoich posiadłości.

Takie jest to miasto. Zrób z niego Paryż, Londyn, Wiedeń lub Berlin! Niepodobna w niém mieszkać, lecz warto je widzieć, gdyż romansowe wzbudza zajęcie. Szałasy stoją dumnie obok pałaców. Pod przysionkami zakładają przenośne sklepy i warsztaty. Szewcy, krawcy, złotnicy i t. p. wybierają za miejsce swojéj rezydencyi sień lub mur, wbijają dwa gwoździe, co stanowi ich prawo posiadania i pracują od rana do wieczora. Życzę najbogatszym negocyantom Madrytu (jeżeli tylko są w tém mieście) ażeby tak byli weseli i spokojni jak ci dobrzy majstrowie. Gdy słońce wzbije się w górę, spią spokojnie, nie dbając czy im kto co ukradnie. Garczek kamienny, denarek, groch i słonina, składają cały zapas i wszystkie sprzęty ich zwyczajnéj kuchni. Obiad szewca gotuje się na środku

ulicy, on tymczasem pracuje lub drzymie. Wieśniak przyjeżdżający na targ, żywi się tymże samym sposobem. Ma on z sobą denarek, garczek i trochę węgli; rozciąga płaszcz na ziemi i siada na nim, zapala ogień, je spokojnie, spi potém i ma się za najszczęśliwszego z ludzi. Obudzony dźwiękiem gitary, poziewa, przeciera oczy, i nadstawia ucha z niewymowną roskoszą. Jeżeli śpiew łączy się z muzyką, wówczas wstaje, uciszają się wszystkie warsztaty, zaludnia się ulica, otaczają śpiewaka; kupcy stoją we drzwiach sklepów; stary szlachcic wygląda oknem. Ostatnie dźwięki ucichły; zatłuszczona czapeczka śpiewaczki dopomina się o wdzięczność obecnych. Wszystko wtedy ucieka i znika. Deszcz burzliwy nie rozproszyłby prędzéj, gromadki wystrojonych dziewcząt. Lecz strzeż się, bo jeżeli zapatrzywszy się na tę scenę pozostaniesz na ulicy, możesz bydź stratowanym bez ceremonii pod kopytem mułów i koni; nieraz kilkadziesiąt tych zwierząt postępuje gromadą i całą ulicę zawala. Bynajmniéj nie zważają czy kto znajduje się na niéj. W Madrycie jedzą śniadanie na koniu, spią na koniu, na grzbiecie muła lub osła; skoro tylko posłyszysz dzwonki, uciekaj do najbliższéj sieni.

Osioł jest jednym z najważniejszych członków ludności hiszpańskiéj i Cerwantes słusznie dał mu tak piękny udział w swoim romansie. Zawsze poważny, wtedy nawet gdy słucha koncertów ulicznych, przejął charakter Kastylijczyków. Właściciel jego, położywszy płaszcz na ziemi, wiąże dwie nogi swemu podjazdkowi; obadwa kładą się na bruku i spią spokojnie. Niech się wtedy co chce dzieje, niechaj biją się po ulicach, zmieniają ministrów i statuta kortezów, ich to bynajmniéj nie obchodzi.

Anglik nie może ochłonąć z podziwienia, gdy postrzeże iż nie ma kobierców w Madrycie, nie ma zwierciadeł, stoły są bardzo rzadkie, krzesła a raczéj stołki tak małe i słabe, iż się potrzaskają na kawałki, jeśli kto tłusty i ciężki zechce na nich wypocząć.

Gastronomowie, omijajcie Madryt! Ledwie zdołacie zaspokoić wasz głód podniecony trudami podróży. Rano, gospodyni przyniesie wam kawałek chleba i filiżankę czekolady, to jest wasze śniadanie. Jeżeli chcecie mieć śniadanie mięsne, zęby wasze będą musiały walczyć z najtwardszém mięsem wołowém lub baraniém. Zamarynujcie raczéj kilka pasów skóry; gdy zmiękną zaprawcie je, a będziecie mieli lepsze mięso niż to, które jest w jatkach madryckich. Gniewać się, byłoby to głupstwem. Słudzy są nielitościwi dla cudzoziemców, którzy się skarżą. Ci tak zwani *criados* mają jak się zdaje szczególniejszy obowiązek uczenia cierpliwości. Żalisz się na opieszałość, idą jeszcze wolniéj.

—»Podaj mi zegarek, zawołasz.

—»*No lo se*, (nie wiem), odpowiadają spokojnie i patrzą nie wstając ze stołków na których siedzą z założonemi rękoma i poziewają.

No lo se jest główna odpowiedź służącego i jego zwycięzki argument. Powtórz zapytanie; *criado* poskrobie się w głowę i na tém koniec. Kląć zaczniesz:

—»Jesteś pan bardzo zły, odpowie sługa.

Jeśli go uderzysz, nic nie odpowie, lecz bądź pewien, że złodzieje ściśle skojarzeni z twemi służącemi, oddadzą ci szkodliwą i bezkarną wizytę.

Na cóż więc gadać o instytucyach, o cywilizacyi i postępie, o wszystkiém co potrzebuje światła, czynności, porządku i karności, narodowi, który nie ma jeszcze nawet materyalnéj cywilizacyi? Przez zetknięcie się z Francuzami Hiszpanie nie nabyli ogłady, a postradali powagę i szlachetność, która była ich znamieniem i ozdobą. Teatr hiszpański upadł zupełnie; trzy jedności przyjęte od wieku, wprowadziły do niego jednostajność bez wytworu i nudy bez talentu. W ogólności, mało kto dba o aktorów i sztukę; trzeba przepędzić wieczór, zbierają się przeto w salach źle oświeconych, źle zbudowanych, ozdobionych bez gustu, utrzymywanych nieporządnie. Każda płeć zajmuje oddzielne miejsce. Kobiéty siedzą na ławkach amfiteatru, przerywają widowisko żywszą i dramatyczniejszą rozmową, gdyż bez żadnéj subjekcyi kłócą się z sobą w głos o miejsce albo o przejście.

Imiona kobiéce nie są rozmaite, a że kobiéta nie nosi nazwiska swego ojca póki jest panną, ani nazwiska męża gdy go już ma, ten tłum podobnych imion niezmiernie utrudza poznanie téj, do któréj kto ma interes.

Gospodyni domu gdziem stanął, nazywała się Teresa; pewnego wieczora powróciwszy zawczasu, znalazłem drzwi zamknięte. Teresa wzięła klucz i poszła do teatru. Zacząłem jéj szukać od sali do sali, zapytując się jak najgrzeczniéj, żołnierzy stojących na warcie i tych co odbierają bilety. Nareście jeden żołnierz w lepszym humorze, raczył mi odpowiedzieć:

—»Dalibóg szczęśliwy będziesz, jeźli znajdziesz to czego szukasz. Teresa! alboż ja wiem wiele Teres jest w teatrze? Sala jest pełniuteńka; wnijdź pan jeźli chcesz, zajrzyj, a przy końcu aktu patrz czy nie znajdziesz twojéj gospodyni.

Takem zrobił. Tylko com wymówił głośno imię Teresy, ze sto głów obróciło się ku mnie.

— »Jakiéj Teresy szukasz? zawołała młoda kobieta. Młodéj czy staréj?

—»Nie bardzo młodéj, odpowiedziałem dość nieuważnie.

—»Kocha starą, przerwała wysoka osoba z czarnemi oczyma.

—»Gdzie jest stara? rzekła piérwsza.

Postrzegłem moją gospodynię; siedząc w kącie nie mówiła ani słówka. Jéj synowa przez złośliwość rzekła do niéj:

—»Czy nie słyszycie! wołają na was. Odpowiedźcież waszemu lokatorowi.

—»Niechaj czeka, rzekła Teresa cierpkim tonem, niech robi jak drugie; nie chcę wyjśdź.

—»Niech wyjdzie! niech wyjdzie!

—»Przepuścić starą! przepuścić starą! zawołały wszystkie dziewczyny od piętnastu do dwudziestu lat, śmiejąc się jak szalone. Jéj lokator ma do niéj interes.

Znalazłem klucz i moją gospodynię, lecz nazajutrz wypowiedziała mi pomieszkanie.

Teraźniejsza Hiszpania chce zastąpić utracone przymioty, mnóstwem pretensyi, chce naśladować bogactwa, wytworność i obejście się Francuzów. Bale posła francuzkiego zawracały głowę grandom hiszpańskim. Jeden z nich dał bal, przez którenchciał poprzéć sławę swoich współziomków, lecz ani urządzenie pokojów, ani ich umeblowanie, ani wprawa służących, nie odpowiadały zamierzonemu celowi. Był to zbiór wszelkiego rodzaju śmieszności.

Skarb tego biédnego kraju zostaje w jak najgorszym stanie. Są jeszcze ludzie, którzy chcą wierzyć w pożyczki hiszpańskie; wkrótce wyjdą z błędu. Rząd hiszpański jest jak najregularniejszy w *niewypłacaniu*. Powszechnie najohydniejsze panuje zepsucie. Nic nie pozyskasz bez pieniędzy. Wszyscy to wiedzą i nikt się nie dziwi. Podatki, taxy, cło, wszystko to jest rozerwane i roztrwonione. U ludu tak dumnego i tak chlubiącego się z wielkości duszy, jak Hiszpanie, jest to rzecz dziwna, lecz taki jest skutek złych i niewcześnie zaprowadzonych instytucyi. Często zdarzają się zmiany ministrów i urzędników w Madrycie; nie idzie tam bynajmniéj o dobro publiczne, całe pytanie ogranicza się na tém: *Czyli zarobię*, *czyli téż stracę na odmianie*?

Z tém moralném zepsuciem, łączy się wyrodzenie i osłabienie tak fizyczne jak umysłowe w wyższych klassach. Ci synowie Gotów, ci dumni potomkowie Pelaga, stali się tak słabemi, tak nędznemi, iż niejeden z tych starych bohatyrów, gdyby na świat powrócił, pewnieby nie uznał ich za swoich potomków. Służący powtarzają przy wnijściu do salonu imię sławne w dziejach Hiszpanii, patrzysz i postrzegasz człowieka małego wzrostu, z dużym brzuchem, z przygasłym wzrokiem, z nic nieznaczącém uśmiechem: to grand hiszpański; jego rozmowa jest nic nie znacząca, grzeczność pospolita i zimna; jego władze umysłowe zgadzają się z powierzchowną postacią. Za przykład przytoczę, że gdy hrabia Mirasol, rządzca Bilbao, przypadkiem wpadł w ręce Karlistów i miał bydź rozstrzelany, udał się za czternastoletniego dobosza, wzniecił politowanie tych co go schwytali i zdołał uciec.

Podobnież upadają majątki. Każden grand hiszpański utrzymywać musi mnóstwo bezczynnych służących, którzy go objadają i na się nie przydadzą; zalegają przysionki i przedpokoje, czekając dopóki ich pan nie wyznaczy im wysłużonéj płacy. Książe Medina Coeli trzyma dwustu takich sług płatnych; ich liberya jest w łachmanach, pokoje pełne kurzawy. — Grand którenby przez oszczędność oddalił tę czeredę, straciłby wszelkie poważanie.

Żądza widzenia i poznania była jedną z najgłówniejszych sprężyn mego życia. Wyczytałem w gazetach nazwiska kilku Anglików moich znajomych, zostających w służbie Don Karlosa, i ufny w ich opiekę wybrałem się do jego obozu. Prowincye Nawarry i Biskai mają zupełnie oddzielne prawa i obyczaje od reszty Hiszpanii i przy nich uporczywie obstają. Lud ten, nawykły do niewygód, do życia w lasach i górach, długiém prowadzeniem kontrabandy zaprawiony do toczenia podjazdowéj wojny, lubiący przygody i awanturniczą odwagę, nie przykrzy sobie tak długo trwającéj wojny. Zdaje się że to jest jego stan naturalny. W Tolozie, Onacie, Durango, Vergara, we wszystkich miasteczkach i wioskach Biskai, życie cywilne i obozowe razem postępuje. Wszystko odbywa się jak zwyczajnie. Jarmarki i targi nie są przerwane, chociaż każdy przychodzi na nie z bronią w ręku. To coby było gwałtownym stanem dla innych narodów, jest zabawką dla Biskajczyków. Starożytnik, malarz, pisarz romansów, z zachwyceniem widziałby te starożytne hełmy, szpady, kirysy, halabardy, zasięgające jeszcze epoki Karola W., te włocznie, te maczugi saraceńskie, które oczyszczone z odwiecznéj rdzy, stały się groźną bronią w ręku wieśniaków, odzianych kożuchem, i którzy pośród ciągłych utarczek trudnią się spokojnie przedażą, kupnem, uprawą roli, nabożeństwem.

Don Karlos jest miernego wzrostu, włosy ma bardzo jasne i nosi ogromne wąsy. Fizyonomię ma łagodną, postać krępą. Podziela on wszelkie trudy swoich żołnierzy i tylko wytwornością i grzecznością swego obejścia odróżnia się od nich. Żyje zupełnie po obozowemu, nie ma w koło niego ani straży ani etykiety. Jego wrodzona uprzejmość wiele przyczynia się do powodzenia jego sprawy. Przyjął mię bez trudności; rozmowa nasza była ożywiona i zajmująca. Jego zapytania okazywały znajomość rzeczy i trafność sądu. W przedpokoju było wielu officerów z jego orszaku, wszyscy z cygarem w ustach; jedni spali, drudzy grali w szachy, inni czytali książkę.

POUFAŁE ROZMOWY Z GOETHEM.

Znamienity pisarz niemiecki pan J. P. Eckermann, wydał w Lipsku pamiętnik rozmów swoich z Goethem, w ostatnich latach jego życia. Posiadał zaufanie tego męża i otrzymał od niego polecenie, aby przejrzał zbiór kompletnych pism jego. — Taka praca pociągała za sobą poufałe rozmowy; pan Eckermann codziennie zapisywał to wszystko, co Goethe mówił. Te zapiski mają tym większą cenę, iż prawie zawsze toczyła się rozmowa o zdarzeniach, dziełach i autorach tegoczesnych.

W téj książce Goethe nie jest już radzcą stanu, wielkim poetą, otoczonym gronem wielbicieli; jest to człowiek pozbawiony wszelkich powierzchownych ozdób i w całéj prostocie geniuszu.

Praca pana Eckermann uzupełnia dzieła Goethego. W krótkim wyciągu umieszczonym poniżéj wybraliśmy to co się dotyczyło ludzi i wypadków, bardziéj, niżeli jego teoryi o sztuce. Czytając oryginalne myśli, głębokie postrzeżenia, które Goethe wyrażał w 80 roku życia, uwielbiać należy jego siła umysłu, nie osłabioną latami.

Ażeby pisać prozą, trzeba mieć jakiś przedmiot i myśl, lecz ten kto nie ma ani myśli ani przedmiotu, może mimo tego robić wiersze; w nich bowiem wyraz idzie za wyrazem i nareście wynika dzieło, które w gruncie jest niczém, lecz które jest do czegoś podobne. Nie sądźcie jednak, iż rzeczywistość nie ma poezyi; pisarz okazuje że jest poetą, jeżeli pospolitéj rzeczy umie nadać zajęcie. Rzeczywistość powinna bydź zawsze pobudką i gruntem dzieła: artysty jest obowiązkiem zrobić z tego piękną i harmonijną całość.

* * * *

Wszyscy poeci za czasów naszych piszą tak, jak gdyby byli chorzy, a świat był obszérnym szpitalem. Wszyscy mówią o boleściach, o troskach tego życia i roskoszach przyszłego świata, na wyścigi obudzają zniechęcenie. Jest to nadużycie, poezyi celem jest uspokajać burze życia i godzić człowieka z jego położeniem. Lecz poetyczne plemię naszych czasów, lęka się prawdziwéj mocy i tylko w samotności ma upodobanie.

Znalazłem wyraz właściwy dla takich pisarzy; ich poezyą nazwę poezyą szpitalną. A prawdziwą poezyą wlewającą moralną odwagę w serce człowieka, nazwę poezyą *tyrteuszowską*.

* * * *

Już nie czas błądzić: było to do wybaczenia nam starcom. Na cóżby służyły nasze poszukiwania, gdyby młodzi ludzie zaczynali na nowo? Tym sposobem nie byłoby nigdy postępu.

* * * *

Gdy pomyślę o mojém przeszłém życiu i jak mało żyje jeszcze z liczby tych których znałem niegdyś, zawsze wyobrażam sobie zjazd u wód: przybywszy, zapoznajemy się ze wszystkiemi którzy są tam i zabierają się do odjazdu; odjeżdżają i zasmuca nas ich oddalenie; wówczas przywiązujemy się do drugiego pokolenia kąpiących i ścisłą z niemi zabieramy znajomość; lecz i to pokolenie odjeżdża i zostawia nas z trzeciém, przybyłém na krótki czas przed naszym odjazdem, a do którego już się nie chcemy przywiązywać.

* * * *

Książe Eugeniusz Beaucharnais był jednym z tych wielkich charakterów, które rzadko się zdarzają. Europa postradała w nim znamienitego człowieka. Znałem go osobiście i przepędziłem z nim jedno lato u wód w Marienbadzie. Był to wówczas przystojny mężczyzna mający lat 42; zdawało się że jest starszym, i nie można dziwić się temu, gdy pomyślimy co wykonał i jak w jego życiu jeden wielki czyn następował po drugim. W Marienbadzie powierzył mi plan, o którym wiele mówiliśmy: chciał połączyć kanałem Ren z Dunajem. Olbrzymie przedsiewzięcie! lecz nic nie było niepodobnem dla człowieka, któren służył pod Napoleonem.

Niemcy chcą znaleźć w dziele powagę, wzniosłość i wewnętrzną *pełność* i dla tego tak wysoko cenią Szyllera. Za zwyczaj, osobisty charakter pisarza więcéj działa na publiczność aniżeli urok jego talentu. Napoleon, mówił o Kornelu: »Gdyby żył, zrobiłbym go księciem.« Nie mówił tego o Rassynie. Z téj przyczyny Lafonten tak jest ceniony we Francyi: jego dzieła, oprócz wartości poetycznéj noszą piętno wielkiej szlachetności charakteru.

My tegocześni pisarze, zdołamy uczuć wielką piękności prostego przedmiotu, umiemy nawet ją wydać, a jednak jéj nie oddajem. Dowcip zbytecznie u nas panuje i przytłumia wrodzone wdzięki.

* * * *

Kto ma lat sześćdziesiąt pięć, ten musi nieraz myśléć o śmierci; lecz ta myśl nie trwoży mię wcale; przekonany jestem że dusza nasza nie ulega zniszczeniu i trwać będzie przez całą wieczność. Podobna do słońca, które widzimy zachodzące, naszemi ziemskiemi oczyma, a które w rzeczywistości nigdy nie zachodzi.

* * * *

Napoleon w tém był mianowicie wielkim, iż zawsze był jednakowy, przed bitwą, podczas bitwy, po zwycięztwie lub po przegranéj.

* * * *

Znają wszyscy wnioski Anglików przeciw handlowi murzynami; oni sami tłumaczą nam jakie zasady ludzkości powodują ich postępowaniem. Na nieszczęście, odkryto że mają wcale inne pobudki. Anglija potrzebuje murzynów do uprawiania swoich posiadłości na zachodnim brzegu Afryki, przeto ich wywóz nie zgadza się z jéj interesem. Oprócz tego, ma w Ameryce bardzo produkcyjne osady Negrów. Anglicy wysyłają część tych niewolników do Stanów Zjednoczonych; zyski z tego handlu ustałyby, gdyby wolno było wprowadzać murzynów z Afryki. Tak więc, przyczyna deklamacyi przeciw temu barbarzyńskiemu handlowi wynika z osobistych widoków.

* * * *

Abstrakcye filozoficzne szkodzą Niemcom, czynią ich styl ciemnym, szalonym. Ludzie oddający się praktycznym naukom, piszą lepiéj. Styl Szyllera, wówczas dochodzi najwyższego stopnia mocy i piękności gdy się nie wdaje w filozofią. Są między Niemcami kobiety, które piszą doskonale i przewyższają naszych najsławniejszych autorów.

W ogólności, wszyscy Anglicy piszą dobrze, ponieważ są mówcami z urodzenia i bezustannie zajętemi rzeczywistością.

Francuzi zachowują w stylu własny charakter, są z natury towarzyscy i nie zapominają nigdy o publiczności dla której piszą. Usiłują bydź jasnemi dla przekonania czytelników, a przyjemnemi dla pozyskania ich względów.

* * * *

Wszystko w Szyllerze było szlachetném i wielkiém, jego tylko oczy były łagodne, a talent zgadzał się z jego zewnętrzną postacią. Smiało zagłębiał się w jakim przedmiocie, rostrząsał go ze wszystkich stron. Talent jego wyłącznie był stworzony do sceny. Co ośm dni był to inny człowiek, coraz doskonalszy. Za każdém widzeniem go zdawało mi się że jest uczeńszym, że zdanie jego jest głębsze i silniejsze. Jego listy są najpiękniejszém wspomnieniem jakie mam po nim. Ostatni uważam jak relikwią, można je liczyć między jego najcelniejsze płody.

* * * *

Molier tak jest wielkim, iż zadziwia nas, ilekroć go czytamy. Jest to człowiek odrębny; jego sztuki dochodzą aż do traiczności i nikt nie śmiał go naśladować. Jego *Skąpiec*, w którym ta ohydna wada niszczy wszelkie przywiązanie między ojcem i synem, jest jedném z najszczytniejszych dzieł i w najwyższym stopniu dramatyczném.

Co rok czytam jedną sztukę Moliera, podobnie jak od czasu do czasu przypatruję się jakiéj rycinie wielkich mistrzów włoskich. My bowiem mali ludzie, nie zdołamy zachować w sobie szczytności takich rzeczy, musimy wrócić do niéj po niejakiéj przerwie i ożywić nasze wrażenia.

* * * *

Dzieło teatralne powinno bydź symboliczném; to jest każda jego akcya powinna bydź ważną sama w sobie i dążyć do akcyi jeszcze większéj, Tarstüf Moliera jest wielkim wzorem w tym względzie. Jakiż to wykład sztuki obejmuje pierwsza scena! Już w początku wszystko ma wielkie znaczenie i każe nam przeczuwać coś jeszcze ważniejszego.

W Kalderonie znajdujemy samą doskonałość sceniczną. Jego sztuki są wyborne dla wystawy, i wszystko w nich jest wyrachowane; w tym celu Kalderon jest geniuszem posiadającym najwięcéj dowcipu.

Nie można nic powiedzieć o Szekspirze, wszystko jest niższém od niego. Nie jest to poeta sceniczny, nigdy nie myślał o scenie; była za szczupłą dla jego geniuszu. Cały świat widzialny był dla niego za ciasnym.

Jakże jest bogatym i potężnym! Ten kto sam pisze oryginalnie, powinien jedną tylko jego sztukę przeczytać na rok; w przeciwnym razie postrada własną twórczą siłę. Szekspir podaje nam złote jabłka na srebrnych półmiskach. Zgłębiając jego sztuki, przywłaszczamy sobie półmiski srebrne, lecz zamiast złotych jabłek kładziemy na nich kartofle.

* * * *

Byrona uważać należy pod trzema względami: jako człowieka, jako Anglika i jako pisarza z talentem. Dobre przymioty są jego udziałem jako człowieka; złe należą do Anglika i do para Anglii. Talent zaś jego jego jest bez granic i miary.

Udawało mu się wszystko co tworzył; natchnienie zastępowało u niego miejsce rozwagi. Gdy pisał wiersze, wszystko co pochodziło od niego, a zwłaszcza z jego serca, było doskonałém. Był to wrodzony talent i w nikim nie widziałem większego ducha poetycznego. W zewnętrznych malowaniach jest tak wielki jak Szekspir, lecz Szekspir wyższy jest od niego pod względem czystéj indywidualności. Stopień para Anglii bardzo szkodził Byronowi; świat zewnętrzny, a tém bardziej wielki majątek i urodzenie przeszkadzają talentowi. Wielcy artyści i wielcy pisarze pochodzić muszą z pośrednich stanów społeczeństwa Nie nasycone żądze nie mogłyby mu tyle szkodzić w pomiernym stanie, lecz mógł bezkarnie zaspakajać wszystkie swoje fantazye, ztąd wynikły jego niezliczone kłótnie i pogardzam całym światem.

W ogólności, większa część życia bogatego Anglika upływa na pojedynkach i na porywaniu kobiét. Lord Byron odpowiada, że jego ojciec uwiódł trzy kobiéty. Jakże więc syn takiego człowieka mógł rozsądnie postępować!

Gdyby lord Byron znalazł był sposobność wynurzenia swego ducha oppozycyi w mowach parlamentowych, byłby czystszym jako poeta; lecz nigdy prawie nie zabrał głosu w izbie parów; w sobie samym zawarł to wszystko co miał do wyrzucenia narodowi swemu i gniew ten w poezyach umieścił. Lecz Anglicy nie mają nikogo coby mógł się mierzyć z Byronem. Różni się od wszystkich innych poetów i zawsze wyższy jest od nich. Jest to największy talent tego wieku.

Walter Skot jest jedynym pisarzem w swoim rodzaju i musiał pozyskać wielki wpływ na ogół czytelników. Nastręcza mi wiele do myślenia i odkrywam w nim nową sztukę, mającą właściwe prawidła.— Przedmioty, charaktery, wykonanie, wszystko jest wielkie u niego. A przytém jaka to wierność w rozważaniu, jaka prawda w malowaniu szczegółów!

* * * *

W autorach francuzkich, Willemam, Guizot Cousin, głęboka umiejętność, którą dawniéj u samych tylko Niemców znaleźć było można, zastępuje powierzchowny dowcip Woltera. Mają zadziwiającą przenikliwość i pojęcie. Są to trzéj znakomici ludzie. Z tém wszystkiem, daję piérwszeństwo Guizotowi; żaden historyk nie ma tak badawczego rzutu oka. Jego rozbiory i postrzeżenia okazują nam że fakta ledwie widzialne, są przyczyną najważniejszych wypadków.

* * * *

Klassyczność nazywam *zdrowém*, a romantyczność *chorém.* W mojém zdaniu, poemat Niebelungów jest tak klassycznym jak poemata Homera. Dzieła nowożytne nie są romantyczne dla tego że są nowe, lécz lecz że są słabe i chorowite. Dzieła starożytne są klassyczne, nie dla tego że są stare, lecz że są silne, świéże i czerstwe. Jeźli pod tym względem uważać będziemy klassyczność i romantyczność, łatwo się zgodzim.

* * * *

Prawdo-podobieństwo powinno bydź gruntem drammy, a trzy jedności o tyle są dobre, o ile do niéj doprowadzają. W przeciwnym razie byłoby niedorzecznością uważać je jako przepis. Grecy, którzy są wynalazcami tego prawidła, nie zawsze go przestrzegali. Scena zmienia się w Faetonie Eurypidesa i w wielu innych sztukach; prawdziwe wystawienie przedmiotu więcéj u nich znaczyło, niżeli ślepe uszanowanie dla przepisów sztuki. Szekspir nie zachowuje jedności czasu i miejsca, lecz wszystko w niém można zrozumieć i pod tym względem Grecy nie uczyniliby mu żadnego wyrzutu.



K O N C H I L.

KONCHIL.

Zwierzę to należy do klassy przeżuwających, do rodzaju antylopów, znajduje się na wyspie Jawa. Nie da się oswoić i używa rozmaitych wybiegów dla wydobycia się z mocy człowieka, lub dla ujścia pogoni. Gdy go schwytają w sieci, pada na ziemię i udaje zdechłego przez cały czas gdy rosplątują sieci, a potém zrywa się i znika w mgnieniu oka. Jeśli go psy ścigają, usiłuje najprzód oddalić się od nich, lecz ponieważ długo biedz nie może, zniknąwszy im z oczu, podrzuca się w górę i zaczepia się szczęką o jaką gałęź, tak zawieszony czeka dopóki psy uniesione zapałem pogoni nie miną go daleko. Jawańczykowie opowiadają wiele zadziwiających szczegółów o tém zwierzu, jest on dla nich godłem przebiegłości, i mówią nieraz o zręcznym oszuście: »Tak jest przebiegły jak konchil.«

ZARYSY BELGII.

Miasto Mechlin (Malines).

Mało miast przyjemniéj wygląda jak Mechlin. Jego dachy starożytnego kształtu,

malowane gzymsy, delikatne rzeźby, emblematyczne napisy i godła złotemi literami, okazują dawne bogactwo cech rzemieślniczych. Nieprzeliczone okna opatrzone doniczkami wijących się kwiatów, dosyć ładne twarzyczki flamandzkie w czepeczkach, ludny targ na bydło i zboże: wszystko to bawi wzrok, zadowalnia serce, i można mniemać, że zdrowie, dobre mienie i cywilizacya, mają ulubiony pobyt w tém mieście. Kościół katedralny jest pięknym gmachem, ma szerokie galerye i kaplice. Mechlin jest duchowną stolicą Belgii; arcybiskup mechliński jest prymasem tego kraju. Nie ma w tym kościele żadnego znakomitego obrazu. W kościele Ś. Wawrzyńca znajduje się *Cudowny połów*, Rubensa. Obraz ten tchnie prostotą. Podczas gdy jeden z uczniów ciągnie sieć a drugi popycha czółno, Jezus uśmiecha się łagodnie, widząc ich podziwienie i radość z powodu tak obfitego połowu. Po lewéj ręce są starcy, zapewne z orszaku Jezusa Chrystusa, z podziwieniem patrzący na ogromną rybę; po prawéj jest scena Tobijasza i anioła, pokazującego mu rybę któréj żółć ma przywrócić wzrok jego ojcu. Młody Tobijasz podejmujący rybę i patrzący na anioła, którego słów słucha z szczytném wyrażeniem nadziei i wiary, jest może najpiękniejszą postacią tego obrazu.

Antwerpia.

Przybyliśmy do Antwerpii pośród uroczystości wrześniowych; kilka statków na Skaldzie było postrojonych w chorągiewki; muzyka załogi grała arye z opery komicznéj; chłopaki wdzierały się na mydlone maszty po nową odzież, nagrodę zwycięzców. Zapaleni i zbyt pośpieszni, opadali po pięciu lub sześciu silnych rzutach. Roztropni, którzy wdzierają się powoli, dostali się na szczyt masztu i zyskali nagrodę. Śmieszny ale prawdziwy obraz życia, w którém ludzie wytrwali i umiarkowani, otrzymują wyższość nad temi, któremi tylko ślepy zapał powoduje. Taka jest filozoficzna nauka mydlonego masztu.

Przeszedłszy pośród tłumu, chciałem zobaczyć Antwerpią z wierzchołka wieży katedralnego kościoła, najwyższéj ze wszystkich wież gotyckich po Strasburgskiéj. Nie wiem, czyli Napoleon któren tyle wyświadczył dla Antwerpii, wstąpił kiedy na szczyt téj wieży, lecz pojmuję, że z téj wysokości na widok tego wielkiego łuku któren Skalda zakreśla, mógł powziąźć myśl, ażeby uczynić Antwerpią najpiérwszym portem zachodniéj Europy.

Ze szczytu wieży rozwija się jeden z najpiękniejszych krajobrazów w świecie. Kościół katedralny stoi w środku tego pół koła które Skalda zakreśla. Wprost na przeciwnym brzegu jest *Czoło Flandryi*, wioska czyli przedmieście, do którego dochodzi droga z Gand, przecinająca w prostéj linii obszerną równinę objętą półkolem rzeki; niektóre jéj części są jeszcze zalane od czasu jak Holendrzy w wojnie z Belgami przerwali groble. Pięć wiosek zostaje dotąd pod wodą; widać tylko szczyty dachów i dzwonnice kościołów. Niepodobna wyrachować ile szkody zrządziły nieszczęśliwe wypadki wojny między Belgią i Holandyą. Gdyby nie położono końca tym niezgodom, cała płaszczyzna w koło Antwerpii byłaby może zalana na zawsze.

Całą niedzielę przepędziłem w kościołach. Tam to można napatrzyć się ludowi Antwerpii i okolicy. Kościoły są utrzymywane jak najczyściéj, wierni wchodzili do nich z oznakami szczeréj pobożności. Jakaż to różnica od Paryża!

Antwerpczycy i w ogólności wszyscy Belgowie nie są hojni. Mimo mnóstwa kwestarzy i skarbonek, prawie nikt nie wrzucił w nie ofiary swojéj. Lecz za to, w godzinie śmierci bogate czynią zapisy kościołom. Toż samo skąpstwo okazuje się w innych przedmiotach. Nieznośnych mają aktorów, a nie dadzą ani szeląga na sprowadzenie lepszych. Na jedno wino francuzkie nie skąpią i hojnie niém częstują. Sala teatru w Antwerpii jest piękna i wygodna. Damy atwerpskie są tłuste; ich okrągłe twarze, ich fizyonomie, nie mają tego wyrazu dowcipu i przenikliwości, któren jest owocem starannego i delikatnego wychowania. Prawie nie ustępują mężczyznom w jedzeniu i piciu, a z resztą naśladują mody i zwyczaje innych krajów. Słyszałem, że nie są bardzo wyrozumiałe i dobrotliwe, że lubią wyłącznie zajmować się obmową, która jest skutkiem braku gruntownéj edukacyi. Co do mnie, nie wdając się w sprawdzenie tych zarzutów, z upodobaniem widziałem na twarzach matek i żon w Antwerpii, wyraz zdrowego i prostego rozsądku, który daleko wyżéj cenię niżeli dowcip, wymowne spojrzenie, wysmukłą kibić i tym podobne przymioty, nieprzykładające się do szczęścia w domowém pożyciu.

Antwerpia pełna jest chwały Rubensa. Grobowiec tego wielkiego malarza jest w ozobnéj kaplicy kościoła S. Jakóba. Trzy wielkie czworoboczne kamienie zajmują posadzkę kaplicy; są na nich wyryte nazwiska kilku Rubensów. Na środkowym kamieniu czytamy dzień urodzenia i śmierci Ruben-

sa malarza. Muzeum Antwerpii ma wiele obrazów lub portretów tego artysty. W jednych widać jego sposób malowania, ognisty i z pierwszego rzutu, w drugich, spokojny i rozważny. Arcydziełem Rubensa jest obraz *Zdjęcie z krzyża;* niczyje pióro nie zdoła wydać wzruszenia, które widok jego czyni na znawcy i miłośniku sztuki.

Znajdując się w Antwerpii, nie można pominąć milczeniem starożytnego malarza Kwentyna Metsys zwanego także Mathys lub Malthys, który żył przed urodzeniem się najsławniejszych malarzy włoskich i sam z siebie bez żadnych wzorów utworzył tak świetny koloryt, taką świeżość i delikatność pędzla, że jego obraz *Pogrzebanie Jezusa Chrystusa* jest najciekawszém dziełem w muzeum antwerpskiém, jednėm z najpiękniejszych pomników malarstwa w wieku XV. Kronika malarzy antwerpskich opowiada, że miłość była jego nauczycielką. Na ścianie katedralnego kościoła przy wnijściu głównėm, znajduje się nagrobek Metsysa.

Kwentyn Metsys był kowalem z rzemiosła. Naprzeciw jego kuźni mieszkał malarz, ojciec pięknéj córki; Metsys zakochał się w niéj. Malarz odpowiedział mu że nie wyda swojéj córki za kowala, lecz za artystę. Metsys porzucił młot i kowadło i poświęcił się malarstwu. Piérwszy obraz którén śmiał pokazać malarzowi, był to portret jego córki. Malarz oddał mu ją za żonę. Metsys tém mocniéj przyłożył się do téj sztuki i został sławnym artystą. Takie jest objaśnienie tego przedmiotu.

Widząc tak znakomite twory malarstwa, i architektury, będące dziełem artystów Belgii, nie można zaprzeczyć jéj mieszkańcom mocy ducha i wielkich zdolności, chociaż myślą o samych tylko materyalnych korzyściach.

KARTEZYUSZ.

(DESCARTES).

Paskal powiada, iż za zwyczaj wyobrażamy sobie Platona i Arystotelesa, przybranych w długie szaty i jako osoby poważne zawsze i z uroczystą miną. Byli to uczciwi ludzie, lubili zabawić się z przyjaciołmi, a gdy pisali projekta do praw i rozprawy o polityce, czynili to dla igraszki i rozrywki. Była to część najmniéj filozoficzna w ich życiu. Największą zaś ich filozofią było to, ażeby żyć spokojnie i po prostu.« To co Paskal powiedział o Platonie i Arystotelesie, można także zastosować do największych filozofów nowożytnéj Europy, do Kartezyusza, którén obalił samowładną powagę Arystotelesa i musiał wytrzymać zawzięte i mocne napady jego stronników. Większa część tych którzy tylko od professora filozofii słyszeli o Kartezyuszu, wyobraża sobie iż to musiał bydź groźny mędrzec, nastroszony erudycyą, zatopiony w książkach, nie mieszający się do interesów swego kraju i żyjący bardziéj ze starożytnemi niżli ze spółczesnemi. Takim nie był ten wielki człowiek, umiał on razem pozostać uczonym i obywatelem. Tak czynne i użyteczne życie prowadził, że chociażby był ani słowa nie napisał, zaszczytne wspomnienie zostawiłby po sobie.

Obdarzony mocną duszą i gorącą wyobraźnią, Rene Kartezyusz zawczasu dał poznać swoją skłonność do rozmyślania. Urodził się w la Haye w Turenii, w r. 1596. Ojciec jego, radca parlamentu Bretanii, żartami nazywał go *swoim małym filozofem.* Mimo słabowitego zdrowia, skończył nauki szkolne w szesnastym roku życia. Chciwie pragnąc poznać rzeczy nie zaś wyrazy, żałował czasu poświęconego na te nauki i sądząc że ludzie nie mogą nabyć prawdziwéj umiejętności, zaprzestał uczyć się więcéj. Skłonność i urodzenie powoływały go do stanu wojskowego; służył jako ochotnik, odwagą swoją odznaczył się przy oblężeniu Roszelli, pod księciem Maurycym w Holandyi. Lecz myśl jego nie mogła gnuśnieć. Mając lat dziewiętnaście, rozwiązał zagadnienie geometryczne zadane w języku flamandzkim na afiszu, którén kazał sobie wytłumaczyć. Dał kilkakrotne oznaki odwagi. Niespokojna czynność umysłu przywiodła go do Paryża i tam przykładał się do nauk moralnych i do matematyki. Miał popęd do gier hazardownych, zdołał przezwyciężyć go mocném postanowieniem. Filozofia zyskała na tém. Zaczął rozmyślać z całym zapałem namiętnego gracza i z tą śmiałością, którą w wojsku rozwinął. Filozofia perypatetyków panowała wówczas we Francyi, niebezpiecznie było uderzać na nią; uderzył i zwyciężył nakoniec. Przekonany iż tylko w wielkiéj księdze świata możemy dobrze poznać ludzi i naturę, zaczął podróżować, odwiedzał wszystkich sławnych uczonych i wszędzie szukał prawdy. Przebiegł Włochy, i szkoda że nie widział się z Galateuszem, którego dzieł nie znał należycie. Miłość swobodnego życia przywiodła go do Holandyi; mieszkał tam przez lat dwadzieścia pięć, unikając wziętości którą swemi pracami nabywał. Żyć w ukryciu, jest to żyć szczęśliwym, mawiał. Chociaż obarczony mnóstwem sprzecznych i rozmaitych wyo-



KARTEZYUSZ.

brażeń, które nagromadziły się w jego umyśle przez czytania i podróże, śmiały ten geniusz nie dał się znękać; umyślił sam stworzyć sobie filozofią bez żadnéj obcéj pomocy, i dokazał tego, ile to jest w mocy człowieka. W Holandyi napisał większą część dzieł swoich, między 1620 a 1649, a zarazem prowadził naukowe korrespondencye z całą Europą.

Nigdy nie dbał o majątek; chociaż miał tylko 7,000 liwrów spuścizny, nie chciał przyjąć niczyjéj pomocy. Mnóstwo osób wszelkiego stanu ofirowało mu znaczne summy; nie przyjął ich bez przesady i wdzięcznym był za ofiarę, chociaż z niéj nie korzystał. Wolał umniejszyć wydatki niżeli tracić czas użyteczny dla drugich. Nosił się i jadał bardzo skromnie. Zawsze był słabego zdrowia. Nie widząc pewnego sposobu przedłużenia życia, nie lękał się śmierci, i tak dożył aż do lat pięćdziesięciu. Pewnego razu przeprawiając się przez rzekę, postrzegł iż przewoźnicy zmawiali się go zabić; ocaliła go przytomność umysłu i odwaga, dobył szpady, a ci nędznicy padli mu do nóg. Zawsze panował nad sobą samym i gdy go kto obraził i usiłował tak podnieść duszę swoją, ażeby obraza nie mogła jéj dosięgnąć. Przystępny wszelkim słodkim uczuciom, w wolnych chwilach bawił się rozmową z przyjaciołmi albo uprawą ogrodu: a rano naznaczywszy miejsce jakiéj planecie podług swego systematu, wieczorem podlewał kwiatki. Przez całe życie żałował pięcioletniéj córeczki, która umarła na jego ręku. Chociaż nie mieszał się do płochych rozmów wielkiego świata, każdego zajmował łagodném obejściem się. Postępował ze służącemi swemi jako z przyjaciołmi w nieszczęściu, których powinien pocieszyć i nauczyć, ażeby ich lepszemi uczynić.

Słysząc o jego sławie, królowa szwedzka Krystyna, oddawna chciała go poznać. Uległ nareszcie wezwaniu téj monarchini

i pojechał do Sztokholmu. Krystyna przyjęła go tak, jak tego był godnym, i uwolniła go od wszelkich ceremonij dworskich. Prosiła go ażeby często z nią rozmawiał. Lecz zmiana klimatu zaszkodziła jego zdrowiu. Umarł w Sztokholmie 11 lutego 1650 roku. W ostatnich latach życia, często powtarzał zdanie Seneki: *Smutna jest rzecz umierać będąc zbyt znanym od drugich, nie poznawszy samego siebie.*

Kartezyusz nietylko był wielkim metafizykiem i matematykiem; był także wielkim fizykiem i fizyologiem, jak na wiek swój. Podzielał z Bakonem chwałę, że był twórcą wielkiego popędu naukowego w ostatnich dwóch wiekach. Lecz chwała jego jest czystsza niżeli sławnego kanclerza Anglii. Kartezyusz przez całe życie był prawym, godnym, prostym i szlachetnym.

Kiedy Kartezyusz chciał znaleźć punkt stały i pewny, któryby mógł posłużyć za gruntowną podstawę dla filozofii, powiedział sobie, że myśl może wszystko podać w wątpliwość oprócz siebie samej. Jakoż, chociażby o wszystkiém kto wątpił, nie mógłby przecież wątpić o tém, że wątpi. Otóż wątpić jest to myśléć, ztąd wynika, iż nie można wątpić o tém że myślimy, i że myśl nie może zaprzeć się saméj siebie. *Myśl więc jestem.* Jakież jest znamię myśli? to że jest niewidzialną, niedotykalną, nierozciągłą, pojedynczą. Otóż, przyjąwszy myśl jako stały przymiot przedmiotu którym jestem, z jedności jednego wynika jedność druga. Myśl jest pojedyncza, więc i dusza jest pojedyncza; jest pojedyncza, więc jest nieśmiertelna. Lecz myśl zwodzi nas częstokroć, jest niedoskonała, otóż te wyobrażenia niedoskonałości, skończoności, względności, prowadzą prosto do wyobrażenia tego co jest doskonałém, nieskończoném, koniecznem. To wyobrażenie doskonałości i nieskończoności, jest we mnie, a nie pochodzi ode mnie; nie utworzyłem go i nie mogę go zniszczyć; odnosi się więc do wzoru który mu jest właściwym. Jest więc istota konieczna, nieskończona, doskonała. Jest Bóg. Widać zatém że na pierwszym wstępie filozofii Kortezyusza, natrafiamy nieśmiertelność duszy i bytność Boga.

Oto są główne prawidła metody, którą wprowadził do filozofii.

Zawierzać saméj tylko oczywistości, to jest porzucić podania i formy szkolne.

Rozdzielać, to jest rozbierać przedmioty ile tylko można.

Czynić podziały tak liczne, tak rozmaite, tak rozciągłe ile się tylko dadzą, to jest wyczerpać uwagę przed wyprowadzeniem jakiegobądź wniosku, co jest łatwiéj doradzać aniżeli w praktyce wykonać.

Biada człowiekowi, któreby przyjmując ślepo tę metodę, wykonywał ją zawsze i co do słowa. Nie żyłby, wyrzekłby się życia na korzyść rozumu, to jest poświęciłby samego siebie dla jednéj z władz swoich. Gdyby nie było na świecie innéj powinności prócz téj którą jeometrowie wskazać mogą, gdyby człowiek to tylko wiedział co sam sobie dowiódł przez rozumowania, czémże byłaby umiejętność ludzka? o to niedokładném wyliczeniem, wiecznym sofizmatem. Szczęściem, jest prostsza i bezpieczniejsza droga, którą dochodzimy do Boga i do moralnego życia.

Kartezyusz jest twórcą nauki psychologii. Mimo nieuchronnych sprzeczności które mieściła w sobie jego filozofia i sprzeczności które byłyby wyszły u niego na jaw, tak jak wyszły u jego następców, gdyby był przystąpił do kwestyj moralnych, nie można odmówić mu téj chwały, że jego systemat silnie zachęcił do samodzielnego myślenia.

WIADOMOŚĆ
o życiu i pismach Grzegorza Knapskiego.

Dla uczonych, jako i uczących się, wiadomość o Knapskim obojętną bydź nie może. Praca jego każdemu chcącemu umieć i rozumieć język łaciński, istotnie potrzebną się stała; każdy chcący się ćwiczyć w mowie greckiéj, bardzo użyteczną pomoc znaleźć w niej może. Udzielając o nim wiadomości, ten mamy zamiar, aby niedobrze oswojonych z jego pismiennemi dziełami, obeznać lepiéj z niemi, i do korzystania z nich zachęcić. Rzekł nie gdyś o Cyceronie Kwintylian, że ten tylko może się pochlubić, iż w wymowie postąpił, któremu się ten mówca podobał. Mogę to śmiało rzec o naszym Knapskim, iż ten tylko w mowie łacińskiéj postąpić mógł, komu słownik Knapskiego obcym nie jest.

Grodzisko miasteczko w Mazowszu, jest miejscem urodzenia naszego Knapskiego: inne jest w tymże kraju miasteczko Grodziec, w którém Skarga wziął życie. Ród jego nie był szlachetnym; wspomniałbyłby pewnie o nim w poczcie szlachty Niesiecki. Urodził się r. 1564. Odbywszy nauki początkowe w Pułtusku w szkołach Jezuitów, powziął chęć zaciągnienia się do ich zgromadzenia; dopełnił jéj mając lat 14. W zakonie słuchał retoryki rok jeden, filozofii i teologii lat 3. W obydwóch naukach

średni tylko uczynił był postęp, bo ani zdrowia mocnego, ani żywego bystrego pojęcia nie miał, ale brak szczęśliwéj z przyrodzenia zdolności, nadgradzał i zastępował usilnością i pracą, w której spółuczniów przewyższał. Dla niéj szacowali go wiele przełożeni, i na niéj użytecznego członka swéj społeczności nadzieję budowali. Miał u nich oraz wielką z pobożności zaletę, któréj ćwiczeniom znaczną część chwil życia poświęcał. Powolny, łagodny, więcéj zawsze smutny niżeli wesoły, pilny w obowiązkach i pracowity, przychylność wszystkich jednać sobie umiał.

Po skończonych naukach własnych, nauczyciela zawód rozpoczął. Niższych szkół lat 4, matematyki, teologii szkolnéj i krasomówstwa lat dziewięć nauczał; i ta ostatnia nauka była, w któréj postrzegano, że najlepiéj celował, i najwięcéj w niéj siebie i uczniów ćwiczyć lubił.

Wśród zatrudnień i prac nauczycielskich, przekonywając się i własném i uczniów swych doświadczeniem, jak ważną była potrzeba dobrego słownika mowy łacińskiéj i polskiéj, dla obydwóch nauki, powziął wielki zamiar ułożenia go z dołączeniem języka greckiego, i tę ogromną pracę przedsięwziął. Aż do tego czasu schodziło naszemu językowi na doskonałym zbiorze wyrazów stanowiących własne jego bogactwo. Sam Knapski przebiega słowniki wcześniejsze i niedołężność ich wytyka z szczerością, która nie daje miejsca podejrzeniu, żeby zdartą z nich sławą chciał się napuszać. »Mamy »wprawdzie, mówi on w przemowie do części pierwszéj, kilka słowników polsko-łacińskich i odwrotnie, ale które zwać się słownikami nie są warte; ani bowiem nie »zawieraią wszystkich wyrazów, ani ich »dobrze i właściwie w języku łacińskim nie »wykładają, iż więcéj krzywdy jak pożytku »językowi naszemu przynoszą. W tych »liczbie jest piérwszy dykcyonarz Mikołaja Wolmara, od Borneńczyka jakiegoś »pomnożony, który ma wyrazów wiele »wcale nie polskich; drugie tak są przekształcone, skaleczone i zepsute, iż do »zrozumienia krajowcowi są trudne, i dowodzą oczywiście, że autorowi język polski był obcym. Tegoż rodzaju jest dzieło: Zbiór wyrazów tożznacznych (synonima) przez Łukasza Brzeźwickiego, który rzecz całą ze słownika Wolkmara »sklecił i wszystkie błędy z niego wypisał, »tém więcéj naganny, że lepiéj rodowity swój język od Niemca znać był powinien.«

»Nielepszy jest słownik Dazypodyusza »łacińsko-niemiecko-polski, w Gdańsku u »Hunefelda odbity (*). Wiele ma słów łacińskich, którym znaczenia polskiego nie »dał, których prawopism w dziwny sposób pokaleczył, mimo tego, że słownik »mój dla powtórnego wydania u drukarza »będący, złupił; grecki język tak potrzebny dla młodzieży szkolnéj powszechnie »się go uczącéj, bez przyczyny wyrzucił, »i zamiast dogodnego abecadłowego porządku, wszystkie słowa złożone pod »pierwiastkami umieścił, przez co wynalezienie ich utrudnił. Słowniki zaś 2 »wielkie Mączyńskiego i Kalepina liczne »wady szpecą. Piérwszy wydany r. 1564 »jest wcale niedokładny, nie różni słów »dobréj i złéj łaciny, niewłaściwie je tłumaczy i polskie błędnie pisze. Kalepin »między jedynastą językami zawiera i polski, ale tak przekształcony, iż wielu słów »rozumieć trudno; wyraz łaciński mający »np. dziesięć znaczeń, jedném zbywa, tak »jest niedostateczny i niedogodny iż ledwie jego użyciu służyć może.«

Daléj w téjże przemowie wykłada zamiar swéj pracy: »Chciałem, pisze, rozszerzyć między ziomkami, łacińskiéj mowy czystość, właściwość, oraz przyzwoite jéj używanie, i szkołom poniekąd ułatwić sposób snadniejszego jéj uczenia »i nauczenia się. Ku czemu za zdaniem »wszystkich biegłych, uznałem bydź potrzebą naprzód, aby uczeń każdą rzecz »po łacinie nazwał, czyli, co toż samo jest, »każdy wyraz polski łacińskim oddać, »wszystkie słowa łacińskie nagiąć, według prawideł grammatyki ułożyć, i myśl »całą złożyć umiał. Przytém to miałem »w baczeniu i staraniu mojém, aby język skażony przez mieszaninę łaciny poprawić, i krój jego właściwy przywrócić. »Badałem, postrzegając wzmagający się »dziś zwyczaj, który polskie i łacińskie »słowa na obcy sposób stósowane, w niesforną mieszaninę tak sprzęga, że jéj ani »Polak ani Łacinnik ze wszystkiem zrozumieć nie zdoływa. Sadzący się na łataną »łacińskimi wyrazami mowę, co do łaciny »mniemają sie bydź Cyceronami, co do »polszczyzny Kochanowskimi lub Górnickimi, a nie są jak mieszańcami dzikimi »i kazicielami obydwóch języków. Tym »to wskazałem w mym słowniku sposób,

(*) *Dasypodius* Piotr, uczony grammatyk i lekarz z wieku XVI, umarł w Strasburgu r. 1559, pisarzem jest słownika grecko łacińsko-niemieckiego, który przebito w Gdańsku z dopisanymi wyrazami mowy polskiéj. Wydawca porwał się na rzecz, ktoréj wykonać nie umiał, lubo miał pomoc z słownika Knapskiego, którego mu Cezary drukarz krakowski pozwolić musiał.

»że język nasz bez téj lichéj i szpetnéj ła»taniny obejść się może i powinien.«

Zdając sprawę z pracy swéj, że wszystkie słowa polskie, ile ich w obcowaniu potoczném, ile w książkach mógł postrzedz i znaleźć, zgromadzić starał się; wszeteczne tylko wstydliwe, dla niegorszenia młodzieży, opuszczał; nie mieścił téż i tych, które rubaszność, swawola, a często i dziwaczne upodobanie, ile to z łatwością w naszéj mowie dziać się zwykło, utwarza. Zaniedbane zaś wyrazy, ale rodowite, treściwe i dobrze odpowiadające znaczeniu swemu, aby je przywiódł w używanie, z niepamięci wydobywa. Na miejsce słów z obcéj mowy pożyczonych, swojskie wskazuje: np. zamiast *prowent*, *intrata*, dochód; zamiast *expens*, wydatek i t. d.

W obszerniejszym wywodzie zbioru wyrazów mowy polskiéj, względem ich różności, jako światły i biegły znawca jéj własności, uwagi swe wykłada. »Pierwszy rodzaj, mówi, jest wyrazów pro»stych i właściwych, jakie są: *niebo*, *zie»mia*, *drzewo*, *ptak* i t. d. 2) Przenośnych: »*rospasać się na co*, *poszczwać kogo kim*, »*gorący*, *kwaśny* o człowieku. 3) Wielo»znacznych, jako: *wilk zwiérz*, *wilk*, *ró»szczka*, *wilk wrzód*, *wilk ziele*, *wilk żelazne »naczynie*. *Kamień prosty*, *kamień droga*, »*kamień waga*, *kamień choroba*, *kamień ska»ła* i t. d. 4) Jednoznacznych: *powiadaią*, »*mówią*, *tarkaią*, *trzęsą*, *gruchnęło*, *słyszeć*, »*głoszą*, *wieść iest*. *Piękny*, *cudny*, *nadobny*, »*chędogi*. *Rączy*, *prędki*, *chutki*, *żartki*. »*Szalbierz*, *oszust*, *matacz*, *machlarz*, *ciar»latan*. 5) Różnoznacznych: *budować co*, »*budować kogo*, *cisnąć kamień*, *cisnąć cięża»rem*. *Wyiście* działanie, *wyście* miesce. »*Noszenie*, *niesienie*. *Obalanie*, *obalenie* i t. d. »6) Różnych co do składu: *stoię na czém*, »*stoię o co*, *stoię przytém*, *stoię tu gospodą*, »*stoi*, *czeka* i t. d. Niezliczoną téż różność »znaczenia słów sprawiają podane przed»imki: *do*, *na*, *nad*, *od*, *pod*, *prze*, *przed*, »*z*, *za*, *w* i t. d. 6) Właściwie swojskich, »jako to: *dosiedział się*; *dosypiam*, *dobiiam*, »*iak bić tak bić*, *nabiegałem się*, *nabiiam*, »*stać się*, *nawołać się*, *naczekać*, *nabudować*. »Także: *pobić*, *pochwytać*, *pocierpić*, *pości»nać*, *podchodziłem sobie*, *przeczekać się*. »*Usypuię*, *ulewam*, *uchylam*. *Wdrożyć się*, »*wczytać się*, *wpatrzyć* i t. d. Są to wy»razy; których jednym wyrazem łacińskim »oddać nie można, lecz przez okrążenie »tłumaczą się. To daje nam poznać obfi»tość i bogactwo mowy naszéj, z którém »się łacińska poszczycić nie może. Daje »się to widzieć w utworzonych tylu wyra»zach z słów i imion przymiotnych lub »rzeczownych, jako to: *bogacz*, *siwiec*, »*śmiałek*, *plugawiec*, *starzec*, *chudak*, *ślep*»*przebieglec*, *gylec*, albo *gębal*; *nosal*, *no»gal* i t. d. albo w przysłówkach: *białe*, »*czarno*, *czerwono* i t. d., których łacina »nie ma. Nie zna też różności słów do»konanych i niedokonanych tak wiele bo»gacących mowę naszą, jakie są: *brać*, »*wziąść*; *sprzątać*, *sprzątnąć*; *strzelać*, *strze»lić*, *pisać*, *napisać*; ani częstotliwych np. »*iadać*, *sypiać*, *mawiać*, *słuchywać*, *czyty»wać*, *grywać* i t. d. Mamy też wiele nie»znanych łacinie wyrazów głosu, jako: »*płask*, *prask*, *szast*, *puk*, *huk*, *łub*, *puf*, *uf*, »*huf*, *chlust*, *szust*, *rum*, *sik*, *myk*, *sio*, *fiu*, »*bziu* i t. d Omijam mnogość słów złożo»nych z przedimków, w które nasz język »obfituje więcéj jak inne; tudzież imion »zdrobniałych i zgrubiałych; takich np. »z pierwiastku chłop mamy kilkanaście: »*chłopek*, *chłopeczek*, *chłopię*, *chłopiec*, »*chłopczyk*, *chłopiątko*, *chłopiątęczko*, *chło»pięcina*, *chłoptas*, *chłoptaszek*, *chłopczysko*, »*chłopczyszcze*, *chłopisko* i t. d.«

Dla dowodniejszego okazania obfitości języka naszego, przywodzi niektóre wyrazy łacińskie, na które po dwadzieścia wyrazów mamy np. imie rzeczowne: *strepitus*.

1) Szept. 2) Szemranie. 3) Grzmot. 4) Gruchot. 5) Trzeszczenie. 6) Szum. 7) Trzask. 8) Puk. 9) Dźwięk. 10) Brzmienie lub brzęk. 11) Skrzyp. 12) Skrzypanie. 13) Kołat. 14) Kołatanie. 15) Gwar. 16) Szmer. 17) Szelest. 18) Chrobot. 19) Zgiełk.

Drugi przykład z przymiotnika *justus*, możemy go oddać dziesięć razy i więcéj.

1) Sprawiedliwy 2) Słuszny. 3) Pełny, zupełny, cały. 4) Spory, niemały. 5) Wczesny, mierny. 6) Powinny. 7) Prawdziwy. właściwy. 8) Przyzwoity. 9) Łaskawy. 10) Pewny, opisany. 11) Wielki. 12) Prawy.

Trzeci przykład z słowa *sustinere*.

1) Cierpieć. 2) Zahamować. 3) Przewieść na sobie. 4) Zatrzymać się, niekwapić się. 5) Zwłaczać, odkładać. 6) Oprzeć się. 7) Zatrzymać na sobie. 8) Podpierać się. 9) Podjąć kogo. 10) Mieć, trzymać na sobie. 11) Obronić, utrzymać co. 12) Zdołać. 13) Sprawować urząd. 14) Zastępować. 15) Nosić na sobie. 16) Podejmować. 17) Wytrwać. 18) Pokrywać. 19) Śmiałym bydź w oczy. 20) Żywić. 21) Wspierać. 22) Zachować. 23) Dostarczyć wydatków.

Znał więc Knapski dobrze swój język; znał jego bogactwo, którego aby dać wyobrażenie swoim, ten się z przemowy jego wyjątek przywiodło. Aby umieć przyzwoicie pracę jego ocenić, potrzeba wnijść w sposób, którym ją wykonywał. Nie ograniczał się na tém, żeby jaki obcy słownik tłumaczył lub przepisował. Czerpał swój ze źródła, tak jak gdyby ni miał przed sobą, coby mu tę drogę prze-

torował. Jego słownik jest jego własnym tworem. Podzielił go na 3 części: 1) *Thesaurus polono-latino-graecus*; wydany w Krakowie r. 1721. Powtórnie poprawiony od samego Knapskiego, i jak sam wyznaje, więcéj o czwartą część pomnożony, wyszedł w Krakowie r. 1648 już po śmierci autora, zmarłego r. 1638, w drukarni i nakładem Franciszka Cezarego, który go Janowi Zamojskiemu synowi Tomasza a wnukowi sławnego Jana przypisał. — Krom dziwnie potrzebnych wiadomości, zdanie jest Kopczyńskiego tak w przemowie jako i w ciągu dzieła zamkniętych, podaje abecadłowym porządkiem wyrazy polskie; tak rodowite jako i od cudzoziemców przejęte, z których ostatnie, jedne dla prawdziwego niedostatka swojskich wyrazów są zatrzymane, drugie po przypomnieniu starych, lub po utworzeniu nowych wywołane z używania zostały. Tak wielkie i zmudne dzieło obejmujące 372 arkuszy druku, nie iednego człowieka pracy wymagające, nie mogło w sobie zamknąć wyrazów wszystkich, a dzisiejsi czytelnicy rozumieć nie mogąc, nie bez żalu i zawodu darmo ich w niém szukają. Największą wdzięczność winniśmy temu mężowi, że nam prawdziwy mówienia i pisania po polsku sposób zachował. 2) *Thesaurus latino-polonus*; w Krakowie 1426. Wydania jego wielokrotnie i w różnych miejscach ponawiane były, a tożsamo użyteczność i potrzebę jego dowodzi. Są i rozmaite jego skrócenia, równie jako i pierwszéj części dla łatwiejszego użycia szkolnéj młodzieży. 3) *Adagia polonica selecta, et sententiae morales, ac dicteria faceta et honesta, latina et graece reddita. Cracoviae* 1622. Zebrał używańsze w swym wieku przysłowia polskie, i one przysłowiami łacińskiemi i greckiemi wykłada. Najwięcéj zdania obyczajowe ma na celu, aby z wiadomością języka naukę dla młodzieży użyteczną połączył. Całe to dzieło tak ogromne, tak pilnie i dokładnie wypracowane, uczonym tylko dzisiaj jest przydatne, mówi Kopczyński (**), użyteczniejsze by było, gdyby je był Knapski, w własnym a nie w łacińskim języku zrobił. Ale sam uczywszy się języka łacińskiego z łacińskiéj Alwara grammatyki, mniemał że i słownika dla nauki młodzieży nie godziło mu się innym pisać językiem.

Mimo tak niezmiernéj pracy, któréj się oddawał, mimo słabości wielu, którym podlegał, dożył Knapski lat wieku swego 74, i w Krakowie r. 1638 go dokonał.

Fr. Siarczyński.

(**) Przypisy do grammatyki str. 199.

NOWE DZIEŁO.

Eugeniusz Aram, romans L. E. Bulwera, przełożony przez F. S. Dmochowskiego; *tomów 4 na welinowym papierze cena zł.* 18. *Warszawa* 1837 *w księgarni F. S. Dmochowskiego.*

L. E. Bulwer należy do najcelniejszych tegoczesnych pisarzy romansów w Anglii. Prócz wyjątków z jego romansu, Ostatni dzień miasta Pompei; umieszczonych w Muzeum Domowém z r. 1835, nie mieliśmy dotąd żadnego jego dzieła całkowicie przełożonego na nasz język. Eugeniusz Aram należy do rzędu tych romansów, które nie samą tylko ciekawość zaspokoją, i chwilowe obudzając zajęcie idą w zapomnienie. Człowiek myślący, badacz tajników serca ludzkiego, nietylko przeczyta, ale nawet kilkakrotnie odczyta ten romans, w którym autor okazuje niesamym zręcznym wystawiaczem ciekawych i powikłanych wypadków, lecz oraz filozofem i moralistą.

OGRÓD ZOOLOGICZNY W LONDYNIE.

Największe, najużyteczniejsze zakłady w Anglii, są dziełem ducha stowarzyszenia się. Przed kilkunastą laty, dwaj uczeni sir Humpfery Davyy i Stamfford Kaffier podali myśl założenia botanicznego ogrodu i muzeum przeznaczonego na zachowywanie żywych zwierząt. Natychmiast zebrało się towarzystwo, ustanowiono stałe składki; w krótkim czasie urządzono zoologiczny ogród w zwierzyńcu Regenta i zapełniono go mnóstwem rozmaitych zagranicznych zwierząt. Ogród ten urządzony jest na wzór ogrodu botanicznego w Paryżu w którym także znajduje się menażerya. Obfituje w zwierzęta bardzo rzadkie, i tak np. na małym stawie pływają dwa małe czarne łabędzie *cygnus atratus*. *Sekretarz* odznacza się biegłością i odwagą; wpuśćcie do jego pomieszkania zwyczajnego węża, a zobaczycie jak przezornie będzie sobie postępował, jak bacznie będzie śledził każde poruszenie nieprzyjaciela, aż go nareście zabije. Orły i sępy, których jest kilkanaście gatunków, mają zbyt ciasne i smutne pomieszkanie. — Domadery i wielbłądy także znajdują się w tym ogrodzie. *Hieria*, dromader do szybkiego biegu, tak się różni od wielbląda, jak koń rasy arabskiéj różni się od furmańskiego konia.

Pewien Arab z miasta Suzy, którego kochanka prosiła o pomarańcze z Maroko, pojechał rano na Heirii, (jeźli mamy wierzyć podróżnikowi Jakson), odbył dwieście mil ang. drogi tam i napowrót w ciągu jednego dnia i wrócił wieczorem z pomarańczami.

Menażerya straciła wiele zwierząt; przeniesione w inne klima, podpadają chorobom i zdychają. Grunt gliniasty ogrodu jest także niezdrowy, gdyż utrzymuje wilgoć. Wszystkie posiadłości w Brytanii złożyły temu ogrodowi daninę swoją.

Cztéry giraffy dotąd utrzymują się zdrowo. Zbiór małp, papug i wszelkiego rodzaju ptastwa, jest jeden z najzupełniejszych. Znajduje się także słoń i ogromny nosorożec.

PEREGRYNACYA DO ZIEMI Ś.

odbyta przez X. K. R. przez Tomasza Tretera kustosza warmińskiego łacińskim językiem napisana, a przez X. Andrzeja Wargockiego na polskie przełożona. Kraków 1628.

Krainy wschodnie, a zwłaszcza Palestyna, nie zmieniła swojéj postaci od lat kilkuset; oświata i przemysł nie przyłożyły się do jéj wzrostu, a czas zwolna tylko uszkadza, jéj odwieczne zwaliska. Z tego powodu mniemamy, że opis podróży do Ziemi Świętéj przez Xcia Kr. R. odbytéj, podwójnie zajmować będzie czytelników: jużto jako rzadki zabytek literatury, już to jako opis wierny, rozsądny i z bardzo wielu względów stósowny jeszcze do teraźniejszego stanu tych krajów. Słusznie uważano, że autor téj peregrynacyi, mąż światły, wolny od zabobonów owego wieku i łatwowierności zwyczajnych pielgrzymów, jest oraz badaczem, wszędzie dochodzi prawdy, i trzeba wyznać, iż przy zdrowém zdaniu rzadko się myli. Należy więc do małéj liczby podróżników, na których słowie bezpiecznie polegać można. Nie unosi on się wprawdzie zapałem na widok okolic, pięknością natury lub historycznemi pamiątkami sławnych, jak nowsi podróżni, a mianowicie Lamartine; bo wszędzie zapominając o sobie, zajmuje się tylko rzeczą, przedmiotami zewnętrznemi, któremi swą ciekawość zaspokoić pragnie: gdy przeciwnie Lamartin, sobą zawsze zajęty, wszędzie stan swéj duszy i uczucia swoje w serce nasze, zwyczajem poetów przelać pragnie.

»Roku tedy pańskiego 1582 dom mój rozrządziwszy i testament uczyniwszy, w Sierpniu do króla Stefana w Grodnie będącego jechałem, abym mu o drodze oznajmił, a razem pożegnał. Rozmaitym sposobem odwodził mnie od tego, radząc, abym do Rzymu jechał raczéj, niż z tak słabém zdrowiem na tak niebezpieczną drogę puszczał się. Otrzymawszy nakoniec u króla pozwolenie, wróciłem do Nieśwież, i w Imię Pańskie puściłem się w drogę 16 września 1582. Udałem się do Wenecyi, tam otrzymawszy paszport (bezktórego nikt do Jeruzalem nie jedzie) i list apostolski, dla różnych przyczyn dopiéro roku 1583, 16 kwietnia, wziąwszy odzienie pielgrzymskie, po zachodzie słońca do okrętu wsiadłszy, o godzinie 3 w noc podnieśliśmy kotwice. Zaraz na początku téj drogi, kilkakroć byliśmy w wielkiém niebezpieczeństwie, z którego Bóg zachowawszy mnie pokazał, że mnie w swéj opiece chował. Wysiadłszy na ląd do Kandyi jechałem po krajach góry Ida, labiryntu Tezeuszowego (*). Ja z tymi trzymam, którzy to miejsce nie za labirynt, ale za takowy plac, kędy kamienie łamano, mają; czego znakiem i świadkiem są kupy kamieni i drogi wozów, któremi wożono też kamienie. Jest tu wiele lochów podziemnych, kędy iść,

(*) Labirynt na wyspie Krecie, nie był to gmach jak poeci starożytni głosili, podając nawet Dedala jako budowniczego tegoż, lecz jak słusznie Xże Kr. R. uważał, o czém także późniejsze podróże przekonały, podziemne ganki. Wnijście wcale nieznaczne, w pagórku należącym do góry Ida. Otwór jest nizki, zapełniony ziemią i zawalonemi głazami, prowadzi gankiem spadzistym do podwójnego wchodu zkąd cztérma bramami wchodzi się wewnątrz jaskini, z których tylko otwór po prawéj stronie teraz przystępny: główny ganek prowadzący wewnątrz jest 8 stóp széroki i téjże wysokości. Leżące po obu stronach komórki i gmachy, wyżéj nieco wznoszą się niż ganek, i są wszystkie suche. Pewien podróżnik angielski, który go wymierzył, powiada, że ma ¾ mili angielskiéj długości. Użył on téj ostrożności, jak ów bajeczny Tezeusz, któremu Ariadna kłębek dała, aby posuwając się z nim w głąb' mógł za pomocą wijącéj się za nim nici, wyjść bezpiecznie. Anglik także wszedł z kłębkiem i dopiéro po cztérogodzinném błąkaniu odkrył nić swoją. Kamień w téj skale jest miękki piaskowiec, zdatny do budowli, w bliskości miasta Gortyny, zkąd zapewne brano materyały na budowlą. Później może porobiono także inne kryjówki, dla ukrycia tamże, w czasie rozruchów, swych skarbów tudzież jeńców wojennych.

chyba zapaliwszy pochodnią, nikt nie może: i to bardzo ostróżnym bydź trzeba, aby nietoperze świec nie zagasiły latając, a potém w onych ciemnościach nie uwikłały.

Oględowałem prawie dziwnie wielkie rozwaliny miasta Gortyny, które król Taurus Europę, córkę Agenorowę, uniósłszy, zbudował i imieniem swéj matki nazwał. Miasto to leżało niżéj pod samym labiryntem, co się jaśnie pokazuje, że z tych kamieni murowane było, które z tego to mniemanego labiryntu łamano i wywożono. Szerokie i piękne było miasto, jako filary i słupy przednie cudne świadczą, które dla gęstwy zdadzą się jako las jaki z daleka. Ale najdziwniejszy tu most jest, na maluchnéj rzece, z okrutnych kwadratowych kamieni, które ani ołowiem, ani wapnem spojone, przecie tak mocno trwają, że bezpiecznie po nich jeżdżą. Minęliśmy tureckie wyspy, Karpat i Rod; dla nocy trudno je było widzieć. Weszliśmy w morze licyjskie, a w nocy pamfilijskie. Dziewiętnastéj godziny ujrzeliśmy Cyprus, a ku wieczorowi minęliśmy wyspę Paf. Równo ze świtaniem przypłynęliśmy do Lemnissu. Tam przed nami jednym dniem wpadły były niespodzianie cztéry galery książęcia Florentskiego: miasto splondrowali, Turków nieco pojmali, do trzydziestu zabili. Na brzegu wieża stoi: część jéj trzęsienie ziemi przed lat kilką obaliło zaczém niektórych Turczynów przywaliła. Gdym z okrętu dla ujrzenia położenia miejsca wysiadł, zabiegł nam drogę niejaki szaleniec, (zowią takich pospolicie *Masłocznikami*), w ręku nóż szeroki, brzytwie podobny mając, który iż nas pielgrzymami bydź sądził, (a było nas cztérech) przystąpił i pytał: co mi dacie, a ja się za zdrowie cesarza pana mego będę rzezał. Chciał za to grosza, który Turcy zowią Majdyn; my abyśmy ladajako pieniędzy nie terali, powiedzieliśmy, że Majdynów nam nie zbywa; wszakoż, i to jakoby z trudnością pożyczyliśmy u kupca, niejakiego Włocha, który tamże w Cyprze mieszkał, a z nami w te czasy był, i daliśmy mu przez tłumacza, oznaczając, że takowego rzezania widzieć nie pragniemy. Ale on wziąwszy Majdyn, dwa razy się na piersiach głęboko dosyć zarznął: i była rzecz straszna, tak bardzo lejącą się krew widzieć. Nie był znać przy rozumie jako i ci, którzy Masłok w proch starłszy, piją (masłok, **Muschlach**, sok z kwiatu konopnego lub ciemierzycy). Leczą się wodą ziół niejakich przydawszy, i goją się rany wkrótce, co się i na tym pokazało. Nie daliśmy mu byli nic, ale nas upominał ten kupiec, powiadając, że zwykli ci nieczłowie Chrześcijany obrażać zmyślając szaleństwo.

1 Czerwca nająłem okręt wielki (zowią go w téj stronie karamuzan) patrona miał Arabczyka Chrześcijanina. O czém, gdy się onego miejsca turecki starosta (zowią go kaddy) dowiedział, za powodem Greczyna jednego, który się był przed lat kilką na muzułmańską wiarę obrzezał, żagle i liny okrętowe zaraz nam pobrał, abyśmy nie odjechali, czego mu nie dawszy. Bo Turcy w tym kraju często sobie do życia ratunki zbierają z potwarzy Chrześcian i łupieztwa. A tak tego Greczyna, gdy do okrętu naszego przyszedł, ludzko i przyjacielsko przyjęliśmy i niecośmy mu darowali, który u kaddego, to co nam było wzięto, że zwrócono, otrzymał. Godziny wtóréj w noc wsiedliśmy na nasz karamuzan i ku Ziemi Świętéj obróciliśmy. Skorośmy wieżę, która nad portem jest do Jopy, obaczyli, wiatr Africus gwałtownie począł się silić, do brzegu nas nie dopuścił, żagle podrapał, powrozy potargał. A gdy rządzca okrętu nie wiedząc rady, do Cypru się wrocić myślił i mówił, że jeślibyśmy podwyższyli fory, mogłoby się takim wiatrem do Trypolu zajechać. Kędy my bacząc wątpliwego owego patrona, podwyższyliśmy mu aż do sta złotych. Podniósłszy tedy żagle, jechaliśmy wiatrem sporym: minęliśmy Tyr i Sydon, miasta w pięknéj równinie leżące, na 4 mile polskie jedno od drugiego odległe. Ztamtąd 10 mil tylko od Trypolu do Berytu i Anafy miast, gdzie się góra Libanu podnosi. Leżą te miasta w Syryi; mało nie wszyscy tam Chrześcijanie mieszkają. Druzyanami je zowią; wolno im nakształt Turków, w białych zawojach chodzić. Poszli z onych Francuzów i ostatki ich są, którzy byli ziemię obiecaną Saracenom odjęli, ale tak życie i sprawy ich złe są, iż od pogan gorsi, że więcéj o nich pisać, uszom cnym folgując, nie chcę.

Gdyśmy 60 mil ujechali wiatrem złym, niepogodnym i gwałtownym, wbiegliśmy do portu Trypolu, kędy przecie kotwice zarzuciwszy, nie zostalibyśmy się byli, by Turcy z okrętu alexandryjskiego wysiadłszy, w bacie wielkim na ratunek nam nie przybiegli. Na brzeg wysiadłszy, szliśmy pół mili do miasta: jest w miejscu wesołém; połowica go ku górze idzie; ogrodami pięknemi okrążone; źródła ma częste; powietrze, zwłaszcza lecie, nie bardzo zdrowe. Co było widzenia godne w tém mieście, tośmy wszystko pilno oględowali. Tamtejszy Semir, który jest nad cłami, wziąwszy od nas podarek, dał nam dla obrony Janczarów dwóch pieszych i dwóch konnych i półtoréj mili uszedłszy na polu,

pod Libanem (*) nocowaliśmy. Rano w drodze, niedaleko gościńca, widzieliśmy drzewa cedrowego dwadzieścia cztery, którego nie rąbią, bo go więcéj w tym kraju nie masz. Jest drzewo dosyć piękne i dosyć wysokie, rozłożyste ma gałęzie, podobne temu, które Polacy zowią modrzewiem. Wierzchem góry Libanu, kędy śniegi nigdy nie giną, acz daleko większe są gorąca niż we Włoszech, przyszliśmy do miasta Balbech, gdzie król Salomon zbudował był pałac, gdy królewnę egipską, córkę Faraonowę pojmował (3 Reg. 7). Autorowie późniejsi różnie o tém mieszkaniu piszą: ja to za pewną rzecz twierdzę, czemum się bardzo pilnie przypatrzył, że ten pałac właśnie tak w księgach królewskich opisują, jak go teraz widziemy w Balbechu, czego łacno każdy dojdzie, ponieważ nie z fundamentu rozwalony, ale dawnością zepsowany, po kąsku opada i wali się.

Idąc z góry przeszliśmy chróścinę pagórka, który Antilibanem zowią, kędy się Celesyrya poczyna. Janczarowie i Turcy, których końmi jechaliśmy do Jeruzalem, z okolicznych wsi najęli za pieniądze nasze do 40 Arabów Maronitów, z łukami, dla niebezpieczeństwa od Arabów Saracenów; gdyż dniem przed nami kupce byli tureckie rozbili i 15 z nich zamordowali, co się tu często trafia. Arabowie, którzy białych chorągwi używają, mało nie zawsze rozbojem się w swojéj ziemi, w Egipcie, w Ziemi Świętéj bawią. Jest ich przecie w Galilei nieco, którzy wielkie trzody owiec i wielbłądy chowają, pod namioty mieszkają, pastwisk dobrych i wód zdrowych szukając. Gdy im w inném miejscu nie stawa pastwisk, żony i dzieci na wielbłądy wsadziwszy, owce pędzą daléj: potkaliśmy ich dwie kupie wielkie w Galilei u góry Tabor. Ale Arabowie Chrześcijanie, we wsiach mieszkają, ogrodów pilnują, tak na górze Libanie jak w Syryi, osobliwie w Damaszku i Ziemi Świętéj, acz nie tak gęste.

Wyjechawszy z Balbechu, iż ani gospód ani karczmy nie było, musieliśmy w polu nocować, nie bez wielkiego niebezpieczeństwa, któremu jednak Janczarowie nasi znaleźli radę prędką. Bo obaczywszy ono Turczyn jeden mając około siebie kilkadziesiąt żołnierza, z któremi na wojnę perską jechał, na témże polu pod namiotem stanął, kędy i nam było przyszło nocować. Kazali się nam między blizkie pagórki skryć, sami do Turczyna jechali i powiedzieli, że ubogie niektóre pielgrzymy z daleka idące prowadzą; prosili żeby się nam godziło w témże polu stać i nocować, kędy się on położył. Co iż Turcy w powiérzchowném miłosierdziu się kochają, nietrudno u niego otrzymali. Niedaleko tedy za tém pozwoleniem stanęliśmy. Albowiem przedtém ile Turków nas spotykało, zawsze odzierać nas chcieli: a ilekroć ich cesarz na wojnę poseła, tąż wolnością, którą i Czauszowie mają, konie i coby im się podobało, wszędzie bez karania brać i przywłaszczać im wolno. Drugiéj nocy przyszliśmy do Tykiejum, szpitala tureckiego, który acz nie tak ozdobnie jest wymurowany, ale bogato i dostatecznie nada-

---

(*) Jest to najwyższy gór grzbiet w Syryi (9600 stóp), stanowiący północną granicę Palestyny, ciągnący się wzdłuż morza: za Libanem równolegle, od połnocy na południe, ciągnie się podobny ale trochę niższy gór łańcuch, Antilibanon zwany, środek zaś romantyczna zajmuje dolina.

U stóp jego rosną drzewa morwowe (jedwab z tych okolic sławny) i trochę wina. Wyżéj zaś widać nagie i porozdzielane skały, przeplatane roskosznemi dolinami, na których udają się wybornie: wino, owoce, drzewa oliwne i t. d. Potoki z gór spadające, w różnych kierunkach płyną. Z owych tak sławnych cedrowych lasów, używanych przez Fenijczyków na budowlą okrętów, został tylko gaj mały stojący u stóp góry, w głębokiéj dolinie; liczy on tylko 200 drzew: z tych niektóre mają do 15 stóp średnicy i zapewne do 1000 lat liczą.

Miasto Bajruth wznosi się na pagórku schylającym się ku morzu: tu i owdzie zaś wysunięte skały, opierają się hukliwym morza bałwanom; Turcy użyli ich za twierdzę: daléj roskoszne gaiki, laski oliwkowego drzewa. „Spojrzałem na morze, mówi Lamartine, i na błyszczący grzbiet okrążający Bajruth. Nigdy jeszcze widok gór nie zrobił na mnie takiego wrażenia. Są to Alpy pod azyatyckiém niebem, kryjące swe niebotyczne wiérzchołki w pogodzie odwiecznéj światłości. Zdaje się że słońce spoczywa wiecznie na złoconych kątach tych grzbietów: białość rażąca słońca wyrównywa białości śniegów, które tam najwyższe wiérzchołki aż do połowy lata okrywają. Na trzydzieści mil długości przedstawia się oku ten łańcuch od przylądka Sajdy, starożytnego Sydonu, aż do okolic Latakii.

Raz dumny Liban wznosi się prawie prostopadle nad morzem ze swemi wioskami, ogromnemi klasztorami, zawieszonemi nad przepaścią, to znowu oddala się od brzegu, tworząc ogromne zatoki, lub zielone błonia, albo też żółtych piasków płaszczyzny; liczne żagle przerzynają te zatoki, zmierzając do brzegów. Morze jest tam zupełnie niebieskie i posępne.

ny od jednego Damasceńskiego baszy. Tam widziałem jak jeden Turczyn mając pięć ptaszków zielonych, po jednemu wolno puszczał, oraz coś mamrocząc. A gdym się przez tłumacza przyczyny postępku jego dowiadował, odpowiedział, że to czyni za duszę rodziców zmarłych, wierząc iż tym uczynkiem nieco im dopomoże.

Potém przybliżając się do Damaszku, mijali nas Mamelucy, których tam jest bardzo wiele. Naród ten poszedł z Arabów i Murzynów; są mężni i dziwna ich prędkość; jeźdzcy do tego przednie dobrzy. Odzienie mają z płótna białego, tak szerokie, że nim konia wszystkiego okrywają, prócz głowy, którą zdobią strzępkami i dzwonkami. Używają zawojów, szabel perskich, tarcze, włócznie z grubszéj trzciny, zaostrzywszy ją na końcu. Na wierzchniém odzieniu, które zowią Albornoi, w tył zawieszają skórę zwierzęcia, a spodnią (zowią Marlota) z nader szerokiemi rękawami noszą. Konie mają prawie dobre, wędzidła z kołem, siodła andziamskie; więcéj między niemi jest Maurów. Z téj góry widzieć dobrze Damaszek, bo przy jéj krawędzi to miasto daleko się rozwlekło na pięknéj, wesołéj i wszelkiemi owocami okwitającéj równinie. Dla czego siła ich rozumie, że Adam pierwszy rodzaju ludzkiego ojciec, tu w tém miejscu był stworzony, bo i ziemia jest żółta, jaka tylko w Damaszku znajduje się, i Adam wykłada się żółty. Gdyśmy u bramy miasta samego byli, zsiedliśmy z koni; bo w większych tureckich miastach nie godzi się Chrześcijanom jeździć na koniach, a zwłaszcza w Damaszku, dokąd z Europy nie wiele Chrześcian przychodzi. Aczkolwiek Damaszek ludne jest bardzo miasto i ochędożne i szérokie (bo go na półtoréj mili), jednak iż opodal morza leży, kupcy europejscy rzadko do niego jeżdżą; człek pospolity jest nieprzyjacielem Chrześcijanom. Otóż janczarowie konni wzięli nas między się i tak prowadzili: gdzie jednak skoro nas lud obaczył, wołaniem swém, szeptem i krzykiem, a zwłaszcza chłopcy nas witali, ze wszystkich ulic ku nam bieżeli, i gdyśmy do miejsca kędy kupcy przedawają przyszli, kamieńmi na nas ciskali i plwali, i gdyby byli janczarowie nie bronili, pewnieby nas byli rozszarpali. Widzieliśmy dom Judaszów. Wyszedłszy za miasto, ukazowano nam miejsce, do którego S. Pawła spuszczono w koszu: okienko jest przy wieży. Tam też niedaleko jaskinia jest w ziemi, kędy się był tenże apostoł skrył po spuszczeniu i kędy siła świętych kryło się czasu prześladowania. Nawiedziliśmy wszystkie miejsca o których czytamy w dziejach apostolskich: tamże i dom Ananaszów, do którego po kilku stopniach trzeba zstępować i dom Ś. Jana Ewangelisty w którym się urodził. Widzieliśmy z daleka kościół S. Jana Chrzciciela, dawno kiedyś od Chrześcian murowany, wielkością egipskim podobny: nie masz do niego wolnego wejścia Chrześcijanom jako i do zamku, który jest z kamienia kwadratowego murowany, wieże także około czworograniaste. Znajdują się tutaj ludzie, którzy się za nabożne udawają, tak zimie jako i lecie naguśko, bez wszego zgoła zakrycia chodzą, brodę i głowę ogoliwszy. Napadłem w Damaszku jednego i rozumiałem że to człek święty i żywota niewinnego, który światem i doczesném szczęściem pogardziwszy, na ziemi anielski żywot przwadzi. Tegoż czasu widziałem dwu murzynów kupców z Indyi wschodniéj, którym się twarze bardzo świeciły; ci drogie kamienie przedawają: jakoż na znak tego czerwone jakieś kamienie wielkie, by laskowy orzech, a prawie nader jasno świécące, w czoło i w obie jagody wprawione mieli, i z nimi tak chodzili, właśnie by greccy maszkarnicy. Dziwna, jako te kamienie wprawiają w skórę twarzy, że się tak mocno trzymać mogą.

Po obiedzie najęliśmy Pałuka, do któreśgo z Trypolu od brata jego Lemira mieliśmy listy, żeby z nami jechał do Jeruzalem: jakoż z pięciu janczarów i pięciu pieszych, pomógł nam towarzystwa. Jest w Syryi, w Trypolu i w Balbechu i tu w Damaszku frukt jeden, wielu narodom znajomy, zwią go pospolicie Mauza: zda się, że jakoś naszym ogórkom podobny, tylko że dłuższy i grubszy i krzywo rośnie, a pospołu będzie podczas do 50 tych ogórków jako laskowych orzechów, dla czego nim dojrzeje, biorą je do domów, kędy powoli przychodzą do doskonałości; zapach i smak własny uryantowek gruszek naszych. Ale się prędko nimi nasyci, i więcéj ich niż dwa z chlebem albo z sérem jeść nie może. Chrześcijanie którzy tu w tym kraju mieszkają, tak mniemają pospolicie, że Jadam i Jewa w raju ten owoc jedli. Wożą ten frukt do Konstantynopola przez morze; lecz iż nie jest trwały, dla tego jeszcze niedojrzały rwą, piaskiem zasypawszy wiozą, a potém na słońcu kładą, i tak dojrzewa.

Arabowie i konie ich na prace i głód przedziwnie są trwali, i tak straszni Turkom, że kiedy ich dziesięciu tylko z swojemi długiemi włóczniami w koszulach i to do południa, gdyż potém dla zbytniego gorąca, głowę i zawój pospołu obwinąwszy, nago siedzą na koniu) stanie tam trzydzieści Turczynów zbrojnie i z muszkietami, kusić się o nie ledwie śmieją. Boją się ich bardzo Turcy; także około morza siarczystego i

we wszystkiéj Ziemi świętéj, wszystkie wsi tureckie roczny trybut im płacą, okupując pokój, który przecie i tak nie przestawają zbijać. I owszem ilekroć karawany z Damaszku, Alepu, Kajru, do Mechy jadą, co się w każdym miesiącu Październiku trafia, baszowie tych trzech miast przez posły swoje podarki im posełają, aby kupców i pielgrzymów nie rozbijali, chociaż każda karawana swojego sędziaka ma z trzemaset ussarzów i trzemasty janczarów z półhakami, którzy podczas i polne działka z sobą prowadzą. Biorą wprawdzie Arabowie podarki, i chowają co obiecują; ale iż ich jest niezliczona liczba, za podaną okazyą i Turki biją i towary biorą, na miejsca skryte uciekają: któżby ich tam potém szukał?

Gdym był w Kajrze, pilnom Turków, którzy z Medyny przyjeżdżali pytał: prawdali to co o grobie Mahometowym powiadają, że z żelaza jest zrobiony, a kamień magnes przyciągnąwszy go do siebie trzyma, i tak jakoby na powietrzu wisi. Zeznali że tam tego nie masz, ale trumnę samę wyżéj podniesioną, kolumny albo słupy nie bardzo miąższe na sobie trzymają, a iż to tam miejsce ciasne jest i ciemne, i światła żadnego mieć oprócz łamp nie może, tym którzy z daleka patrzą, dla tego się zda, jakoby trumna wisiała na powietrzu: przystąpiwszy jednak bliżéj, każdy obaczy, że ją kolumny dźwigają.

Rano przyszliśmy do mostu, który sami Turcy zowią mostem Jakóba patryarchy. Dosyć jest szeroki i mocno zbudowany na Jordanie. Po lewéj stronie u brzegu jest domek, w którym tenże patryarcha mieszkał: jeszcze są całe ściany, znać że budowanie było nizkie. Niedaleko ztamtąd widać jezioro Genezaret; ma wzdłuż jako mogę sądzić 10 mil naszych, w szerz nie wszędy jednakie, ledwo idzie na dwie mile.

Od tego mostu poczyna się już Galilea: ziemia ta najprzód kamienista i skał jako i Syrya pełna: ale dwie mile uszedłszy, tak bardzo wielka wesołość pól się ukazuje, że trudno opisać albo wyrazić. Żyzność ról i pól zkąd osądzić łacno, że acz ich dla nabiegów nie orzą, przecie osobliwych ziół dostatek dawają, rozmarynu zwłaszcza, którego wszędy krzaki zagęszczone zielenieją się. Na wielu miejsach Arabi mieszkają, którzy gwoli pastwiskom swoich owiec i wielbłądów przy rzekach się stanawiają i wedle tejże pasze, miejsce odmieniają. Rozmaryn też gorzki bardzo lubią owce, który trzodę od chorób broni. Gospodarstwem rolném Arabowie nie bawią się żadném, mleczném tylko żyją.

Rano byliśmy pod górą Tabor: jest nader wysoka, dziwną pięknością okrągło sprawiona, tak że raczéj ludzką ręką usypana zda się, niż od natury uczyniona. Bo na dole idzie w około szara skała wieńcem, po niéj także wieńcem w około zielonych krzów rozmaitych dostatek, że od dołu do wierzchu patrząc, we środku jakoby wieniec umyślnie od kogo zda się uwity.. Na samym jéj wierzchu kościół jest nie bardzo wielki od S. Heleny zmurowany, kędy się Pan nasz przemienić raczył.

Aczkolwiek obietnice Pańskie nie podpadają żadnéj wątpliwości, wszakoż w tym tu kącie świata, który Żydom za żyzny i okwity był obiecany, jawnie widzieć może każdy. Galilea zbożem i wszelkich użytków dostatkiem opływa, pola piękne ma, acz je przerywają góry. Samarya nie bardzo wysokie ma skały, jednak ogrodów dosyć i okrągłych a żyznych padołów także. Winnice też tu są gęste i bardzo dobre, a iż tak żyzny, jest ten powiat bardzo ludny. Ale judzka ziemia choć nie tak chlebna, bo kamienista i skał dziwnie wielkich siła, ma przecie oleju, użytków zwłaszcza wina niewypowiedzaną hojnością dodawa. Bo od granic jéj począwszy aż do Jeruzalem (co 7 mil wynosi) mury, któremi winnice obwiedzione były, zdadzą się jakoby jakie stopnie od krawędzi gór aż do samego wierzchu idące. Około Jerycha także wszelkiéj żywności i użytków (daktylów zwłaszcza i im podobnych, lekarskich też rzeczy, którym ciepły kraj służy) i wina są wielkie są znaki, tak, że niedarmo sam Pan Bóg tę ziemię mlékiem i miodem opływającą nazywa.

Z daleka ujrzeliśmy miasto święte Jeruzalem, i Panu Bogu, że nam dał je oglądać, podziękowaliśmy. Każdy z nas pacierz i Zdrowaś S. Marya dla otrzymania zupełnego odpustu, zmówił. Półtoréj godziny przed zachodem słońca przyszliśmy do Jeruzalem, i wedle zwyczaju stanęliśmy u bramy rybnéj; ojcowie Bernardyni dowiedziawszy się o naszém przybyciu, przyszli do nas, a przywitawszy nas czekali, iżby Turcy przybyli i tłómaki nasze zwartowali, patrząc jeśli towarów jakich nie wieziemy. Broń nam odjąwszy, którą nosić w drodze tylko wolno, ciż Turkowie nas aż do klasztoru S. Salvatoris, do bramy jego odprowadzili; a wszedłszy do kościoła i pospołu z zakonnikami poklęknąwszy, śpiewaliśmy Te Deum laudamus, Panu Bogu za tak wielkie dobrodziejstwo dziękując, że nas do tych miejsc świętych zdrowo i szczęśliwie doprowadzić raczył, w których stały najświętsze Jego nogi, gdzie zbawienie nasze sprawował. Potém stanie zwyczajne pielgrzymów naznaczano każdemu i wieczerzą przyniesiono. Rano słuchaliśmy mszy świętéj, po obiedzie wedle zwyczaju

szliśmy do domu kadego, kędy imiona nasze i ojców naszych pisarz spisował. To odprawiwszy zakonnicy, od każdego z nas odliczyli 11 cekinów (uczynią złotych 22) na każdego dwa cekiny za wejście do miasta, a 9 także za przypuszczenie do grobu świętego. Dukaty złote ważono, prostą monetę, gdy kto złota nie miał, brano bez wagi. Kucharza mojego mieli za zakonnika i 5 tylko cekinów od niego wzięli. Jakoż sami zakonnicy nic nie dawają, chyba laicy, którzy 5 muszą odliczyć. Dla czego i temu widząc go w habicie, kazali byli przysiądz że jest zakonnikiem; ale on nie mogąc tego uczynić, a to rękę wzniósł do nieba, powiadając iż nie jest. To Turcy rozumieli iż prawdziwie i wedle ich myśli przysiągł i dali mu pokój. Zaczém ich oszukawszy, pięć drugie cekinów sobie zostawił, które im był powinien dać. Wracając się z domu kadego, a niedaleko kościoła idąc, przed portą daliśmy Panu Bogu chwałę, potém wszedłszy do klasztoru, i potrzeby nocne wziąwszy, szliśmy na nieszpory. W samych drzwiach kościelnych znowu tym którzy nam otwierali musieliśmy kilkanaście dać majdynów (każdy z nich waży nasz grosz) a wszedłszy do kościoła (*), szliśmy do kaplice grobu Pańskiego. Tu nieszpor zakonnicy odprawowali, a potém processya była z chorągwiami; za którąśmy pielgrzymowie parą szli, mając w rękach świécę i obeszliśmy wszystkie stacye i kaplice. Pielgrzymowie spowiedź czynią, gotują się do Najświętszego Sakramentu na dzień przyszły. Tę zaś noc, która następuje, pielgrzymowie na nabożeństwie trwają: kogoby jednak sen zmorzył, może się nieco u grobu Pańskiego albo na górze Kalwaryi, albo kędy indziéj uspokoić trochę. Na rannéj mszy pielgrzymowie u grobu Pańskiego bywają. Gdy czas wielkiéj mszy przychodzi, kapłani jako w uroczyste święto ubiory kościelne przedniejsze na się wziąwszy, do grobu Pańskiego idą. Ten który ją ma odprawować, sam do ołtarza przystępuje, insi kapłani ją przed kaplicą w kościele śpiewają. Bo ta kapliczka przed S. Grobem jest maluczka, i tylko w niéj pielgrzymowie klęczą, przez drzwiczki niższe do S. Grobu patrzają, przy mszy świętéj nabożeństwo swoje odprawiają, tamże kommunikują, czegośmy téż nie zaniechali. Kapłan właśnie na tém miejscu, na którém ciało Zbawiciela leżało, (podobne jest ławie w skale wykowanéj) ofiarę przenajświętszą sprawuje, dosyć stojąc sposobnie, gdyż od ziemie jest ta ława daléj niż dwa łokcie, a szerokości przeszło łokieć. Przy ścianie obraz Zmartwychwstania Pańskiego, między dwoma aniołami klęczącemi. Widzieliśmy téż groby Baldwina króla i Godofrida Buloniana brata jego, którzy tę Ziemię S. z rąk poganom wydarli i miasta samego Jeruzalem dnia 30 po oblężeniu, roku pańskiego 1098 (albo jak drudzy twierdzą roku 1099 15 Lipca) dobyli. Jest innych pięć albo sześć grobów jednymże kształtem murowanych: czytać ich napisy dla dawności trudno, znać że są ludzie narodu greckiego. Tylko jeden nagrobek mogliśmy czytać, jam go wypisał:

»Król Balduinus, drugi to był Judasz Machabejczyk, nadzieja ojczyzny, czerstwość kościoła, moc i siła obojga.

Bali się go i dawali mu trybut

Żydowska ziemia, egipska, pokolenie Dan i Damaszek.

Ach! w tym lichym grobie pochowany leży. Drugi nagrobek nie wszystkie ma słowa:

Tu leży sławne xiążę Godofridus z Bulanu, który też całéj ziemie dostał.... temu.... ty Chrześcijaninowi.... jego dusza niechaj króluje z Chrystusem. Amen. Litery są stare, już wytarte, groby też same połamane i niecałe (*). O południu

(*) Kościół grobu świętego wewnątrz okrągły u góry w kopule mający okno otwarte, pod którą w samym środku stoi mała czworograniasta kapliczka z marmuru. Jedwabna zasłona, za przybyciem pielgrzymów odsłaniana, zakrywa wnijście, przy którém na dużych srebrnych lichtarzach palą się świéce: schody wązkie z porfiru, prowadzą do właściwego grobu, wyłożonego wszędzie marmurem: jest to czworobok 5 stóp długi a 4 stopy szeroki: w głębi ów kamień, na którym Chrystus Pan był złożony, służy księdzu za ołtarz, nad grobem pali się 27 wielkich srebrnych lamp: są, to dary królów, papieżów, a między niemi i lampa Radziwiłła, fundowana podczas jego pobytu w tém świętém miejscu.

Przy grobie świętym, do którego tylko 5 do 6 pielgrzymów na raz, dla szczupłości miejsca wpuszczają, stoi dzień i noc kapłan jeden na straży (naprzemian Katolik, Grek, Ormiańczyk, Kopta) z wodą święconą w ręku, którą skrapia pobożnych i odbiera przyniesione ofiary. Dawniéj gdy natłok pielgrzymów był wielki, nie jeden kilka miesięcy czekać musiał nim został wpuszczony, i dla tego nieraz między cisnącemi się tamże, krwawe powstawały utarczki. Teraz już nie masz takiego natłoku; tu także poświęcają różańce i inne świętości.

(*) Teraz już te groby nie exystują: zniszczone pożarem, nie jak mniemali niektórzy, przez greckich kapłanów, patrzących na łacińskie pamiątki zazdrośném okiem.

Turcy przyszedłszy otworzyli kościół, dla czego jakeśmy byli weszli, takeśmy też z zakonnikami i inszymi niektórymi wyszli, a ci byli Chrześcijanie różnych nacyj, którzy w Jeruzalem mieszkają, i ilekroć przychodzą pielgrzymowie niejakim sposobem jednają sobie z nimi wolne wejście. Bo innego czasu nie wchodzą, chyba na większe święta gdy dla nich otwierają kościół. Przy pielgrzymach nic nie dawają, dla czego bardzo im dziękują, jakoż i nam dziękowali. Puszczają też i rzemieślniki albo przekupnie jerozolimskie, którzy przynależące do nabożeństwa rzeczy przedawają, z rozmaitych kamieni paciórki, krzyże, z relikwiami miejsc Ziemi S. miary grobu Pańskiego i co innego takowego. Wyszliśmy tedy wszyscy, nikt tam nie został, czego Turcy pilno przestrzegali licząc wszystkich. Była też tam w te czasy białogłowa polska, niejaka Dorota Siekierzecka, która w Jeruzalem od lat kilku mieszkała, mając już jakoby lat 50. Rozumieli o niéj niektórzy że była głupia, co samemu Panu Bogu było wiadomo. Bo zdało się w niéj wielkie i dziwne nabożeństwo; żadnéj okazyi wejścia do kościoła Pańskiego nie zaniedbywała. A iż była katoliczka, z téj miary w Jeruzalem gospody mieć nie mogła, gdyż w konwencie nie godziło się jéj bydź, dokąd tylko na spowiedź chodziła. Zaczém gdy się po mieście tułała, często ją Turcy draźnili, a podczas tak zbili, że dziwna jak żyć mogła. Bo w subtelném ciele żebra niemal wszystkie od bicia połamane miała, i gdyśmy trzeci raz do grobu Pańskiego wchodzili, ledwieśmy ją od swawolnych chłopców tureckich obronić i wydrzéć mogli. A z tych miar dla zgorszenia, które się tu za jéj okazyą działy, Grzegorz XIII pod klątwą zakazał, aby żadna niewiasta do Jeruzalem pielgrzymować więcéj nie ważyła się. Chodziłem do kadego prosząc, iż to bez jego dozwolenia bydź nie mogło, bo ona sama nie chciała, aby gwałtem ztąd wzięta i odwieziona precz była. Powiedziałem że Polka jako i ja, a iż się jéj głowa psuje: czego łacno pozwolił. Zostawiwszy tedy pieniędzy tyle, ile na zajechanie do Trypolu było potrzeba, sam pierwéj z miasta świętego ruszyłem się.

Aczkolwiek rozmaici długo tu mieszkając, kościół ten i jego budowanie szeroce opisali, jednak com też sam widział, ile mi krótkość czasu dopuszczała, tu przypomnę. Opuszczając tedy, jakim kosztem i wielmożnością kościół ten z zabudowaniem przyległém jest postawiony, w którym nietylko liczba znacznie wielka kapłanów, ale niemal całego Bożogrobskiego żołnierza wojska (gdy w rękach chrześcijańskich Jeruzalem było) stały, to trzeba wiedziéć że wszystka jego machina z pięknego i wielkiego kwadratowego kamienia, z wieżą dla dzwonów, jest wysoko na krzyż wymurowana. Zasklepiony jest ciosanym kamieniem, ściany do czterech węgłów się schodzą, to jest na cztery granic murowane, chyba na wschód słońca i zachód półokrągło stanęły. Filary czworograniaste w koło idą, wedle których processye czynią, a na nich tylko ku zachodowi krużganek leży. Nad samym grobem Pańskim bania jest kościelna, podniebienie zasie okrągłe, do połowice sklepiste, ostatek tramy fugowane położone zakrywają. Jest i jedno okno okrągłe na wierzchu, które ostatek światłości dodawa, nakształt onego rzymskiego w kościele apud S. Mariam Rotundam. — Deszcz w tym też kraju rzadko bywa, dla czego mniéj niebezpieczeństwa budowania mają, a zwłaszcza kaplica ś. grobu, iż wierzch ma położony marmurem, ściany też nie tam wewnątrz, ale wyszedłszy wszędy są marmuru popielatego, szarego, tablicami, które słupy porfirowe przedzielają, pokryte. Bania jako wszystek kościół blachą pokryte.

Wejście do kościoła ze środka jest ku południ. Po prawéj ręce groby są królów francuzkich w kaplicy greckiéj. Przeciwko drzwiom kościelnym leży kamień, na którym Pan z krzyża zdjęty, maściami wonnemi był pomazany. Daléj trochę przy dwu filarach dwa są groby i nagrobki, ale ponieważ dawnością zmazane, czytane być nie mogą. Ku północy jest kaplica Katolików apparationis, któréj z dawna niejakie mieszkania blisko samego kościoła są przyłączone. Jest w nich komór nie mało i stania sposobnego; jest i kuchnia średnia, przy niéj jadalna izba, kędyśmy jadali; jest i miejsce maluchne w środku, które nad sobą z wierzchu domu krycia nie ma. Niedaleko izby jadalnéj są stopnie, po których do krużganku wyższego kościelnego idą. A wychodząc z téj kaplicy, blizko drzwi jest ołtarz S. Maryi Magdaleny. Ztąd zaś rzędem iść do sanctuaria i ku stopniom, po których do kaplicy S. Heleny schodzą, a za nią do miejsca znalezienia Krzyża S. Potém idziemy do sanctuarium Abissynów, kędy chowają sztukę onego kamienia, na którym Pana cierniem ukoronowano. Ztąd po schodkach wstępujemy na kalwaryjską górę, która ku południowéj ścianie przyległa kościelnéj. Mają tu Grekowie swoje oratorium wśród kościoła, między filarami nizkim murem obwiedzione, które wszystkie insze wielkością przechodzi. Ku wschodowi ma przedniejsze kościelne drzwi, ku zachodowi grób Pański, zkąd do niego jest wejście, a przytém ołtarz mały tych-

że Greków, prosty, bez ochędóstwa. Okna żadnego nie masz w kościele, okrom tamtego okrągłego, które dostatek światła i do drugich oratoryj dodawa; acz po nim małe, gdyż lampy zewsząd doświecają. Jest przecież na górze Kalwaryi ku południowi okno wysokie, do ulicy z niego pojrzenie i jest obwarowane dosyć dobrze kratami żelaznemi. W kaplicy tóż naszéj, to jest Katolików, na wschód jest okno kratą żelazną opatrzone, światłe dosyć. Pawiment albo posadzka z kamienia kwadratowego pięknego i wielkiego, z czego obaczyć nie trudno, jakim sumptem i pilnością S. Helena cesarzowa te miejsca święte na czasy i lata dalsze warowała. Jeśliby tedy to kto czytając, żem co opuścił, wyrozumiał, ma słusznie wybaczyć i poprawić. Bo ani tamtego budynku do końca pamiętać mogłem, ani nacyi wszystkich które w kościele bywają; ponieważ trzy tylko razy w kościele byłem, trwając każdego razu od nieszporu aż nazajutrz do południa: za taką krótkością czasu więcéj się obaczyć nie mogło. A też miejsce to święte ma tę własność od Pana Boga i że największego każdego (jakim się ja znam) grzesznika, dziwnie do nabożeństwa pobudza i zapala i przy nim dzierży, aby tak niewypowiedziane dobrodziejstwa i sprawy Pańskie racéj pilno rozbierał i uważał, a za nie pokorném sercem najświętszemu majestatowi dziękował.

Ojciec wikary dał mi sprawę, że u subbaszego, któregośmy na górach judzkich widzieli, zjednał nam (com mu był zlecił) przewodnika Araba, do morza Martwego i do Jordanu.

A tak około południa szliśmy do subbaszego: mieszkał w Piłatowym domu, kędy jeszcze jest Lithostratos, (w ewangelii mamy o niém) albo miejsce, marmurowemi tablicami położone, do którego z wierzchu samego murowania (gdyż krycia nie masz) widzieć. Podsienie idzie z obu stron, kędy Piłat na tronie siedział: są słupy trzy z porfiru, kamienia czerwonego; u jednego z nich na rogu Pana naszego biczowano. Pod tém podsieniem (zkąd widzieć kościoła Salomonowego podwórze) siedział ten subbasza na ziemi, kobierzec mu podłożono i wezgłówko jakieś drogie; zwyczajem tureckim. Siedział z nim po prawéj ręce jakiś Turczyn: był i Arab, który dla bezpieczeństwa miał nas za słuszną kontentacyą prowadzić. Albowiem rzadko pielgrzymowie do Jordanu i dla nakładu i dla niebezpieczeństwa od Arabów, jeździć albo chodzić zwykli. Ja, żem koniecznie postanowił te miejsca nawiedzić, z subbaszym o drodze bespiecznéj traktowałem, który odemnie sto czerwonych złotych wziąwszy, dla nas Araba najął; a podawszy mu tylko 5 cekinów (uczyniło złotych 10) i koszulę przyrzuciwszy, ostatek sobie wziął, gdyż bez jego pozwolenia Araba sobie najmować nie godzi się.

A tak przy nas do Araba przez tłumacza mówił: ci pielgrzymowie chcą do Martwego morza (tak go zowią), iż po nim żeglować nie można dla zbytniéj gęstwy siarki, gdzie aby i człeka wrzucił, nie utonąłby) i do Jordanu i do Jerycha jechać; obiecujeszże ich zdrowo tu zaś na to miejsce odprowadzić? Odpowiedział że obiecuje, gdyż będę miał piętnastu towarzyszów Arabów z łukami, przednich strzelców: do tego Araby, którzy w tamtych krajach zbijają, znam dobrze i mam z nimi wielką przyjaźń. Co jeśliby się jako trafiło na nieznajome wpaść, pierwszy uderzę na nieprzyjaciela i pierwéj się dam zabić, niżelibym miał wiary nie dotrzymać. Strawę przecie będą mi powinni dać, którą póki będę miał od nich, kędy zechcą poprowadzę ich wszędy. Przysięgę potém swoim czynił, prawą ręką się swego czoła dotykając, a w niebo oczy podnosząc. Wtém odeszliśmy od subbaszego, który nam téż trzech janczarów z półhakami przydał. Ten Arab szedł za nami do klasztoru, kędy na potwierdzenie onego juramentu chléb z solą ochotnie jadł. Albowiem chociaż Arabowie rozbojem się bawią, szczerość jednak i prostotę tę z Bozkiego zrządzenia zachowują, że ilekroć przysięgają, a tę przysięgę pełnić chcą, chléb z solą na znak tego jedzą.

Wyszedłszy tedy za bramę rybną i wsiadłszy na osły, puściliśmy się w drogę. Ujechawszy trzy mile drogą trudną i kamienistą, trochę przed zachodem słońca przybyliśmy do greckiego klasztoru S. Saby, niebardzo budownego, przecie około tak wiele ma w skale wykowanych komórek, że w onych dawnych czasach 5,000 mnichów Czerńców tu mieszkało. Po wieczerzy trochęśmy się uspokoili; a gdy o północy na jutrznią kołatano w tablicę, bo w państwie tureckiém dzwonów zakazano zażywać), wyszliśmy z klasztoru, i szliśmy drogą górzystą, między skałami i rowami kamienistemi, którędy, by był miesiąc nie świecił, żadnym sposobem nie moglibyśmy byli iść. A jednak téj nocy uszliśmy trzy tysiące kroków, i na świtaniu ujrzeliśmy *Mare Asphalticum*, na którego brzegu stanęliśmy dwie godziny na dzień.

(*Dokończenie nastąpi*).



OSADA W JAMAICE.

OSADA CUKROWA W JAMAICE.

Osada cukrowa w Jamaice, mająca 360 do 400 morgów gruntu zasadzonego cukrem, potrzebuje przeszło 250 murzynów, 80 wołów i 60 mułów. Jej wartość, licząc w to ziemię, budowle, sprzęty i murzynów, wynosi 700 do 800,000 franków. Dla oszacowania dochodów, liczą, że każden murzyn użyty do uprawy trzciny cukrowéj, przynosi 250 franków rocznie, co czyni na 250 murzynów 62,500 fr. rocznie. Grunta dzielą się na trzy części, z tych jedna jest zasadzona trzciną cukrową, druga przeznaczona na wyżywienie bydła, trzecia zasadzona lasem do budowli i opału. Główne budynki są, mły-

ny wodne lub deptaki, budynek do umieszczenia kotłów, magazyny mogące objąć połowę zbioru, a w których znajduje się cyterna na melass, mająca objętości 27,000 litrów, dystylarnia, szpital dla murzynów, magazyny zapasów, budynki dla warsztatów cieśli, bednarzy, kołodziejów i kowalów, obora na sześćdziesiąt mułów, nareście domy dozorców i białych użytych do zarządu.

Domy plantatorów są prawie wszystkie wybudowane w jednym kształcie, są z drzewa, pospolicie o jednym piętrze i stoją na palach. — Wzdłuż budynku ciągnie się wielka galerya; po obu jéj końcach są izby sypialne, są także alkierze na zapasy i sala gościnna. Słudzy czarni nie mieszkają w domu i nocują w chatach.

Każda chata Negrów jest otoczona ogrodem, składa się z dwóch izb, jednéj na kuchnią drugiéj sypialnéj, powszechnie opatrzone są w krzesła i stoły, a łóżko ma dosyć posłania i okrycia: bo mimo gorącości klimatu, murzynowi zawsze jest zimno po zachodzie słońca. Murzyni pracujący dzielą się na trzy gromady: piérwsza składa się z najsilniejszych mężczyzn i kobiét; oni to ścinają trzcinę, pracują we młynach i cukrowniach; co rano powołują ich do pracy odgłosem dzwonu lub trąby. Szacują, że każden z tych wyborowych robotników przynosi właścicielowi 625 fr. rocznie. W osadzie dobrze urządzonéj, ta piérwsza klassa składa część trzecią ogólnéj liczby murzynów, oprócz służących, cieśli i innych rzemieślników. Druga klassa składająca się z młodych chłopców i dziewcząt, z powstających z choroby albo ze słabowitych, używana jest do lżéjszych robót, jako to do opielania trzciny; nareście trzecia składająca się z dzieci murzyńskich płci obojéj, zajęta jest pod dozorem murzyna, opielaniem roślin warzywnych, robotą w ogrodzie, albo inną jaką pomniejszą.

Od lat kilku, dzięki usiłowaniom przyjaciół ludzkości i uchwałom Parlamentu, dążącym do stopniowego zniesienia niewoli murzynów w osadach angielskich, byt tych ludzi znacznie się polepszył.

RUJTER

ADMIRAŁ HOLENDERSKI.

Michał Adryan Rujter, urodził się w Flessyndze 24 Marca 1607 r. z ubogich rodziców. Nic nie znaczące zdarzenie, zjednało jego familii przezwisko Rujter, co znaczy po holendersku *kawaler*, i ten przydomek pozostał w jego famili.

Pewnego dnia, gdy naprawiano dzwonnicę w Flessyndze, Rujter dzieckiem jeszcze będąc, wszedł na rusztowanie, wdrapał się aż na wierzchołek strzały i usiadł na jéj końcu. Robotnicy nie widzieli tego niebezpiecznego wdarcia się i odjęli deski i drabiny. Osoby będące świadkami tego zdarzenia, krzyknęły zdjęte przestrachem; wszyscy mniemali, że dziécię już zginęło. Lecz Rujter zręcznie i z zimną krwią rozbił piętami kilka dachówek, dostał się wewnątrz dzwonnicy i zszedł na dół bez szkody.

Ojciec umieścił go naprzód w fabryce lin, ażeby nauczył się tego rzemiosła. W dziesiątym roku już zarabiał sześć soldów na dzień: mała zapłata to prawda, jednak dość znaczna ze względu na jego wiek i czasy. Żywość i porywczość charakteru, zniewoliła go do porzucenia tego spokojnego rzemiosła; obrał sobie zawód marynarza. W r. 1618 wszedł w służbę jako chłopiec okrętowy. W 1622 otrzymał płacę kanoniera i dał dowody zręczności i odwagi przy obronie Berg-op-Zoom, które oblegał Spinola generał wojsk hiszpańskich. Wkrótce zrobiono go bossmanem okrętu, to jest dozorcą lin i kotwic. W walce okrętu na którym się znajdował, z okrętem hiszpańskim, jeden z piérwszych skoczył na statek nieprzyjacielski i został zraniony w głowę. Razem z okrętem dostał się w moc Hiszpanów. Gdy go wysadzono na ląd, zdołał uciec. Przechodząc przez Francyą do Holandyi, musiał żebrać i nareście wrócił do Flessyngi, wynędzniony trudami i głodem.

Między rokiem 1631 a 1641, Rujter ożenił się dwa razy. Był najprzód sternikiem handlowego statku, a potém na okręcie wojennym eskortował kupiecką flotę swego narodu. — Była to najświetniejsza epoka handlowéj i morskiéj potęgi Holandyi. Ruiter odbył wówczas kilkanaście podróży do Grenlandyi, do ziemi Magielońskiéj, do Brazylii, do Antyllów i wykształcił się na tych dalekich wycieczkach w sztuce wojny i żeglugi.

W r. 1641, Portugalia wezwała pomocy Holandyi, Rujter został mianowany kontradmirałem i kapitanem okrętu i popłynął z flotą ku brzegom Hiszpanii. Za powrotem do Flessyngi, znowu przyjął obowiązek na okręcie kupieckim, uzbrojonym taką liczbą armat, ile ich mógł unieść i odpłynął do Ameryki. W podróży uderzył na niego okręt hiszpański. Rujter odważnie się bronił i zatopił statek nieprzyjacielski.

W 1652 odniósł zwycięztwo nad admirałem Jerzym Askine, dowódzcą floty angielskiéj. W 1661 powierzyli mu Holendrzy wyprawę, mającą na celu odebrać Anglikom swoje posiadłości na brzegach Afryki. Przypłynął najprzód do brzegów Gwinei, opanował w imieniu Holandyi wyspę Goreę i wypędził angielskiego gubernatora. W téj to podróży spotkał negra Kampani, któren został wice-królem w tamtych stronach, a z którym niegdyś służył razem jako prosty chłopiec okrętowy.

Po téj ważnéj wyprawie, Stany holenderskie mianowały go generalnym admirałem Holandyi: jest to najwyższy stopień, jakiego marynarz mógł wtedy dostąpić, gdyż tytuł generalnego admirała był nieoddzielnym od urzędu Stadthudera. Rujter okazał w wojnach z Anglią i z Francyą, że był godnym téj dostojności. Lecz na tym urzędzie prześladowała go nienawiść i zazdrość jego nieprzyjaciół. — Poduszczono pospólstwo przeciw niemu i gdy na czele floty bronił Holandyą przeciw połączonym siłom Anglii i Francyi, gmin zgromadził się w około jego domu, a żona jego i dzieci ledwie zdołały ujść z życiem. W 1673, Holendrzy napastowani razem na lądzie i na morzu od najpotężniejszych narodów Europy, cieżką wytrzymali wojnę. Rujter mianowany został dowódzcą floty, i dzielnie bronił Holandyi. Walczył z nadzwyczajną odwagą i zręcznością, a hrabia d'Estrées admirał flotty francuzkiéj napisał do Ludwika XIV: »Chciał»bym opłacić życiem mojém tę chwałę, »którą Rujter w tym dniu pozyskał.«

Powróciwszy z téj wyprawy, Rujter już obarczony wiekiem, zmordowany takiemi trudami, tyloma zwycieztwy, postanowił resztę życia przepędzić w domowéj ustroni. Lecz w roku 1695 Hiszpania wezwała pomocy Holendrów przeciw Ludwikowi XIV i poruczono Rujterowi dowództwo nad posiłkową flottą. Mimo chęci spoczynku, mimo wstrętu do przedsięwzięcia, które za zuchwałe poczytywał, Rujter usłuchał woli Stanów i popłynął. Francya stawiła przeciw niemu bohatéra, który był godnym jego, i także samemu sobie winien był wywyższenie swoje. Był to Duquêne. Pierwsze spotkanie dwóch flott nie miało stanowczego skutku. Nareście 22 Kwietnia 1676, dwaj admirałowie stoczyli straszliwą walkę pod miastem Syrakuzą. — »Huk dział rozlegający się na mil kilka»naście, mówi pewien historyk, uwiada»miał, że sławny Rujter i wielki Duquêne »walczą z sobą. Rujter ugodzony został kulą, która mu roztrzaskała nogę; padł natychmiast i upadając zranił się w głowę. Zaniesiono go na łóżko; nie przestał wydawać rozkazów i czuwać nad ocaleniem flotty, która się cofnęła w porządku. Umarł w kilka dni potém. Jego zwłoki przewieziono do Holandyi i uczczono wspaniałym pogrzebem.«

Tak więc, jeżli zbierzemy historyą jego życia, najprzód terminator w linowni, potém chłopiec okrętowy, majtek, bossman, stérnik, kapitan, komandor, kontradmirał, wice-admirał, a nareście generalny admirał, Rujter przedstawia uderzający przykład, o ile praca, wytrwałość i geniusz, zdołają otworzyć zawód dostojeństw i chwały. Historycy zgodnie twierdzą, że posiadał wszystkie przymioty i cnoty, które tworzą nietylko wielkiego wodza i marynarza, lecz i wielkiego człowieka. Monarchowie Europy okazywali mu wielokrotne dowody wysokiego poważania. Król Hiszpanii przysłał mu tytuł księcia dla niego i dla jego rodziny, połączony ze znacznym dochodem. Te wspaniałe dary doszły dopiero po śmierci Rujtera, lecz jego synowie nie przyjęli tytułów książęcych, woląc pozostać przy wsławioném nazwisku ojcowskiém. Król Danii napisał do niego, aby mu przysłał swój portret. Ludwik XIV uczynił toż samo żądanie i umieścił jego portret między portretami swoich wodzów. W zamianę posłał mu swój portret z łańcuchem orderu Śgo Michała, a gdy mu doniesiono o jego śmierci, rzekł: »Był to groźny nie»przyjaciel, lecz musimy opłakiwać jego »straty; człowiek ten był zaszczytem ludz»kości.«

PEREGRYNACYA DO ZIEMI Ś.

odbyta przez X. K. R. przez Tomasza Tretera kustosza warmińskiego łacińskim językiem napisana, a przez X. Andrzeja Wargocki'go na polskie przełożona. Kraków 1628.

(Dokończenie).

Morze Martwe albo raczéj jezioro (bo tylko mil 20 wzdłuż, a kędy najszersze 6 albo 7 tylko) w tém jest miejscu, kędy na świadectwo sprawiedliwości pańskiéj, pięć miast ogień z nieba spalił: zwano je Sodoma, Gomora, Sochot, Amona i Sebion. Niektórzy twierdzą, że się te miasta zapadły. To jezioro całe prawie jest siarczyste, ma kamienie na brzegu, które zapaliwszy jako drzewa goreją: niecom ich z sobą przyniósł dla pokazania experyencyi. Józef Żydowin w historyi o wojnie żydowskiéj i do-



RUJTER ADMIRAŁ HOLENDERSRI.

brze i prawdziwie to miejsce opisał, najbardziéj że się tu na dzień trzykroć barwa odmienia tego jeziora, bom to sam widział. Rano czerniała się woda; w południe gdy słońce pali (bo tu gorąca są zbytnie) jak modre sukno była; przed zachodem po gorącach, by błotem przemieszana trochę się czerwieniała albo raczéj zżółkła (*). Owoców z drzew brzegu tego (jako ten Żyd pisze lib. 5, iż zdadzą się piękne jabłka, a gdy je urwiesz i ściśniesz, wewnątrz popiołu i perzyny pełne obaczysz) jam tu nie

(*) Więcéj niżeli który świata zakątek, zajmuje uwagę podróżnego wielkie jezioro Morzem Martwem zwane. Pismo święte opowiada, a fizycy tłumaczą, jakim sposobem ta nieszczęśliwa okolica zamieniła się w pustynią. Gomora, Sodoma i inne z miast, pływające, że tak rzekę, na zebranych tutaj podziemnych wodach, zawieszone na pokładach siarki i żywicy ziemnéj, same zbudowane z kamieni żywicznych, zalegały doliny Siddin. Pewnego dnia, gdy według Pisma ś. już nieprawości przepełniła się miarka, piorun spadł z nieba, spalił miasto, od którego zajęły się pokłady siarki i żywicy; ziemia się zapadła, a woda wyparta z podziemnych lochów, wytrysnęła do góry i utworzyła morze do 20 mil długości mające, a 6 do 7 szérokości. Tysiące wieków upłynęły, a ślady okropnego pożaru dziś jeszcze widać nietylko w jeziorze, lecz nadto w gruzach i zupełnie przepalonéj ziemi. — Pasma gór, pomiędzy którémi ciągnie

widział. Już ich tu więcéj nie masz, ani drzew, ani bałwana soli, postaci żony Lotowéj, który choć sak i owak otrącony i okrzesany, przecie cały musiał bydź. Pytałem ja się pilno i tego Araba naszego, i osób miejsc tych wiadomych, którzy wszyscy twierdzili jednostajnie, że tu nigdzie nie masz nic takowego. Jezioro z samego wejrzenia straszne jest, bo zewsząd go okrążyły góry i skały głuche; wodę ma miąższą i śmierdzącą, któréj choć kroplę na język weźmiesz (jakośmy i my uczynili) bardzo go kąsa, a głowę ciężkim smrodem i zaraźliwym napełnia. Zastaliśmy na brzegu, nagiego a bardzo czarnego murzyna, sól (bo to jezioro sól rodzi: acz gorzka, jakoby z żółcią zmieszana) zbierającego: straszną twarz miał, skokiem prędki i chyży; wisiał na nim sajdak z łukiem: znał go nasz Arab, jako sławnego zbójcę. Jordan rzeka w to jezioro wpada, stroną tą, którą też do klasztoru S. Saby przychodzimy. Potém szliśmy półtorej mili przez głębokie piaski do miejsca, kędy Pana naszego Jan S. chrzcił. Po prawéj ręce rzeki, która częstokroć wężykowatym nurtem idzie, przy tém miejscu, kędy Zbawiciela chrzczono, jest lasek ciemny, wzdłuż na pół mili, a wszerz na strzelanie z łuku, brzegiem wciąż idzie. Ma drzewa, których liście podobne jest wierzbie, ale przecie inaksze jest, jako się z gałązek obaczyć może, które z sobą przywiózł. I ta to jest puszcza, o któréj Marek S. czyni wzmiankę, kędy Jan S. chrzcił i pokutę opowiadał. To zaś co Jan S. jadał (koniki polne czyli szarańcze i miód leśny), już to w tych miejscach zginęło wszystko. Lecz podobna rzecz ku wierzeniu, że rzéka która niebłotna ale kamienista jest, i między skałami ciecze, ślimaki, które i tak surowo jeść może, na brzeg wymiatała. Lecz o tém wszystkiém pewno-

---

się ta nieszczęśliwa dolina od północy ku południowi, są z kredy i czarnych skał, które tak są gołe, że jak się wyraża pewien podróżny, najmniejszy ptaszek niebieski nie znalazłby na nich ani jednéj trawki na pożywienie. Również nieurodzajna i pusta jest dolina temi górami otoczona: grunt żółty, zawierający sam tylko popiół, sól, szlam suchy i piasek; rzadki wrzos schyla gdzieniegdzie swe zwiędłe wierzchołki, a liście na pół spalone, popiołem okryte: ich smak i zapach zdradza spaleniznę. Nie masz tam życia, ruchu, ani wrzawy; wszystko wieczna ogarnęła cisza. Im bardziéj się zbliżamy do martwego morza, owego ogniska pożaru, tym większe spostrzegamy spustoszenie i smutniejszą rzeczy postać. Brzegi jeziora okryte są piaskiem soli, podobnym do szronu europejskiego. Wody koloru zielonawego i niebieskiego, mające postać oliwy, pomimo przezroczystości, stoją bez ruchu, bez szumu lub huku; zdają się bydź stężałe i ścięte w lód. Woda napuszczona cząstkami soli, żywicy i siarki, tak jest ciężka, że człek chcący pływać, nie zanurzy się w niéj, lecz na powierzchni zostanie. Wespazyan kazał w nie wrzucić niewolników, mających związane ręce i nogi, lecz nie utonęli. W różnych czasach uczeni powtarzali to doświadczenie, i przekonali się, że niepodobna żadną miarą utonąć. Wietrzyk powolny nie pędzi wcale bałwanów; orkan dopiero gwałtowny zdoła je rozkołysać i natenczas bijąc w brzegi, bielące się od soli, a czerwieniejące się od żywicy, sprawują jakąś posępną melancholią, wydając szum ponury i płaczliwy. Długo myślano, iż żadne zwierzę żyć nie może w ich łonie; tymczasem nowsi badacze odkryli w niéj gatunek ryb drobnych, brzydkiego smaku, a na brzegach pewien rodzaj muszli. Ponieważ to jezioro zasila się wodami i żyłami żywicy ziemnéj i siarki, kiedy te żyły przybiorą, kłęby dymu wznoszą się po martwych bałwanach, a smoła płynna wydobywa się na powierzchnią wody, gdzie tęgnie i twardnieje. Zwierzęta i ptaki uciekają przed zaraźliwemi wyziewami, opuszczając szybko te posępne brzegi, gdzie napróżno szukały pożywienia. Nigdy czółno nie ożywi głębokiéj ciszy tych wód. Arabowie przybywają z swych pustyń dla zbierania tutaj soli i żywicy; przybliżają się nie bez strachu do morza Lotowego (tak oni to jezioro nazywają). Opowiadają oni że w nocy słychać jakieś ciche jęki z głębi tych wód, i że w tych porach, kiedy jezioro opada, spostrzegać można szczątki i gruzy miast przeklętych. Taki jest widok tych miejsc, a podług jednozgodnego świadectwa wszystkich prawie podróżnych, nie można nie uczuć przestrachu, religijnéj bojaźni, i łatwo rozpoznać, choćby Pismo święte nie było o nich wspomniało, że ta dolina musiała bydź widowiskiem jakiego smutnego zdarzenia, śmierci, upadku i spustoszenia.

Morze martwe, ten żywy i prawdziwy obraz jezior i rzek piekielnych w mitologii greckiéj: pochłania w sobie pomiędzy innemi strumieniami, wody Jordanu, który przed powstaniem tego jeziora, podług zdania wielu uczonych, wpadał w morze Czerwone, wskazując nawet ślady swego dawnego koryta. Że to jezioro mimo wpadania do tylu rzek, nie wylewa z swych brzegów, to jedynie tylko przypisać należy waporowaniu wód jego; ponieważ domysł jakoby miało kommunikacyą podziemną z innemi morzami, nie ma za sobą żadnego dowodu.

**

ści nie masz. Miód też w tym lasku bydź mógł: teraz nie masz nic, puszcza tylko pusta, która nic nie rodzi.

Jordan ma wodę bardzo mętną ale zdrową; wziąwszy ją w flaszkę trwa i nigdy się nie psuje, czegom doświadczył w téj którąm z sobą przywiózł. Myli się w niéj nasi, gdyśmy na brzegu jedli; wszerz ledwie ma łokci 30, chyba kędy w Martwe morze wpada, gdyż tam szerzéj leje. Za rzeką, po prawéj ręce jeziora Asfaltydu, poczyna się Arabska ziemia, zowią ją pustą, i słusznie, gdyż okrom piasków i skał, więcéj nie ma nic.

Ztąd przez Betanią wróciłem do Jeruzalem, a iżeśmy się byli nieładajako spracowali, wytchnęliśmy sobie.

Osmego Lipca nająwszy muły, gotowaliśmy się na jutrzejszą drogę: dwie niedzieli w Jeruzalem mieszkałem, a 9go wysłuchawszy mszy ś. i obiad odprawiwszy, pożegnaliśmy się z zakonnikami: droga dosyć dobra; przyjechaliśmy do Jope: miasto to przedtém na górze siedziało, teraz wszystko rozwalone, okrom jednéj wieży, w któréj straż mieszka. Na brzegu morskim jest kilka starodawnych sklepów, dokądeśmy się schronili. A tuśmy zastali Sabadyna naszego Karamuzanu w porcie, który jest ciasny, i nie stawają w nim chyba mniejsze statki. Gdyśmy do karamuzanu rzeczy wnieść kazali, powstał wiatr wielki, ale ku wieczorowi ucichł, a my téż poklęknąwszy i ziemię świętą pocałowawszy, już po zachodzie słońca wsiedliśmy na nasz karamuzan i puściliśmy się do Trypolu.

Na tém kończy się list drugi; w trzecim opisuje książę obszernie podróż swoją do Egiptu: a najprzód kraj ten, rzekę Nil, ptastwo rzeczne i zwierzęta, klima, potém miasto Kajro i ważniejsze jego osobliwości: daléj piramidy, ruiny starożytnego miasta Memfis, różne produkta kraju, zwyczaje i osobliwości, mumie i miasto Alexandryą. Na początku Października wsiadł znowu na okręt, chcąc powrócić do Włoch: opisuje okropną burzę i przesądy marynarzy, jakoby mumie które wiózł z sobą, były tego przyczyną; musiał je więc wrzucić w morze. Po różném nakoniec błąkaniu, dnia 6 Marca 1584 r. szczęśliwie do włoskiego portu zawinął, zkąd lądem odbywając podróż do Wenecyi, niedaleko Loretu od rozbójników napadnięty i nielitościwie z pieniędzy i wszystkich kosztowności obdarty został. Nie sądząc się bezpiecznym w dalszéj podróży, najmuje dwóch Włochów: piérwszego Franciszka, który 8 lat między rozbójnikami przepędził, drugiego zaś pewnego księdza, który dwóch braci miał pomiędzy bandytami. Przez Ankonę w Kwietniu przybył do Wenecyi, a ztamtąd na Tryest, Wiedeń, powrócił do kraju w Maju r. 1584.

LEGENDA POETÓW.

Wielu poetów nie pozyskało sławy o którą się ubiegali, lecz prawie wszyscy doznali nieszczęść i cierpień. I dla tego nie wspominam o téj wielkiéj chwale i wielkich nieszczęściach znanych powszechnie; nie wspominam o ślepym Homerze, o wygnanym Dancie, o Tassie zamkniętym w szpitalu obłąkanyh; nie wspominam o rozbiciu Kamoensa, o niewoli Cerwantesa. Są inni, nie tak sławni z dzieł swoich, a równéjże litości godni. Ich wyliczenie i przygody zbyt wieleby czasu zabrały.

Jedni byli igraszką losu; cóżkolwiek chcieli uczynić, zawsze ich ścigało nieszczęście, zawsze jakaś fatalność niszczyła ich zamiary, zawodziła nadzieje. Drudzy sami sobie utworzyli widziadło, które ich prześladowało. Większa ich część była uboga, bez przyjaciół, bez pomocy. Zdradna wróżka obdarzając ich przy urodzeniu wszystkiemi darami umysłu, wydzierała im dary losu.

Wiadoma jest śmierć Gilberta i Chatertona. Otwaj poeta angielski, umarł także ubogi i nieszczęśliwy. Uczył się w uniwersytecie, lecz nie uzyskał stopnia, gdyż nie miał pieniędzy na opłatę dyplomatu. Przybył do Londynu i został aktorem, lecz mu się nie powiodło. Pisał tragedye, które podobały się publiczności, lecz nie wydobyły go z nędzy. W r. 1685 grano jego arcydzieło *Ocaloną Wenecyą.* Sława jego wzrosła nagle, chwalono go, okrywano oklaskami, a tegoż samego roku był ścigany przez wierzycieli i umierał z głodu. Goldszmidt, zajmujący autor Wikarego Wekfildzkiego, chciał podróżować. Wziął flotrowers, była to jedyna jego własność, i tak zwiedził Belgią, Szwajcaryą i część Francyi. Szedł przez cały dzień; wieczorem zatrzymywał się w wiosce, przededrzwiami domów grał na flotrowersie lub śpiéwał; wieśniak zapraszał go do swojéj chaty, młody poeta siadał przy rodzinnem ognisku i zapominając o swojém znużeniu, już to bawił gospodarzy opowiadaniami podróży, już to przygrywał im, ażeby tańcowali. Tak zwiedziwszy część Europy, wrócił do Anglii, lecz był jeszcze uboższym, jeszcze bardziéj nieznanym. Dla zarobienia na życie, zaczął pracować u

aptekarza.. Powoli dał się poznać publiczności, przez dowcipne artykuły w dziennikach, a potém przez wiérsze. Wsławił się jak poeta, nie znając ceny dzieł swoich. Pewnego dnia, księgarz dał mu 100 funtów szterlingów za poemat *Wioska opuszczona*. Biédny Goldszmidt nigdy jeszcze nie miał tyle pieniędzy, z radością i uniesieniem wziął tę summę. Spotkawszy się z przyjacielem, opowiedział mu jak dobrze sprzedał swoje dzieło. —»Jest to wielka summa za tak małą książeczkę, rzecze jego przyjaciel. —»Masz słuszność! zawołał Goldszmidt, to za wiele! biédny księgarz straciłby na niéj.« I natychmiast wrócił do wydawcy i oddał mu zaliczone 100 fun. szt. Milton nie był tak szczęśliwy. Samuel Simmons dał mu tylko 5 fun. szt. za *Raj utracony*, a Szekspir dostawał po 6 fun: szt: za każde swoje arcydzieło: 6 fun: szt: za *Romea i Julią!* 6 fun. szt. za *Otella*; tyleż dzisiaj płacą za ulotny artykuł do dziennika.

Burger śpiéwak *Lenory*, tegoż samego losu doświadczył. Ojciec jego był ubogim; dziadek wziął go na wychowanie i posłał na uniwersytet. Tam, wyobraźnia Burgera zaczęła się rozwijać, wprzódy był smutnym, niedbałym, zamyślonym; książki niemiały dlań żadnego powabu; całemi dniami błąkał się po lasach i siedział pod drzewem pogrążony w smutku i dumaniu. W Hali uczuł potrzebę nabycia wiadomości; pracował z zapałem i odznaczył się między uczniami; lecz przez niedoświadczenie popełnił kilka ważnych błędów i stracił łaskę swego dziadka. Przybył do Gettyngi bez żadnych zasiłków; chciał uczyć się daléj i dla utrzymania życia dawał repetycye. Wówczas zaprzyjaźnił się z młodemi poetami z Gettyngi i z zapałem pracował nad naukową reformą Niemiec. Umieścił kilkanaście ballad w *Noworoczniku Muz*; zyskały wielkie powodzenie; sława poetycka i nalegania jego przyjaciela, pana Bojer wyjednały mu urząd sędziego w okręgu nie daleko Gettyngi. Dziadek jego widząc to, pogodził się z nim i posłał mu pieniądze na zapłacenie długów: lecz wszystko co mu przeznaczył, wpadło w ręce nędznika, który pod pozorem przyjaźni zwiódł Burgera, zatrzymał pieniądze i zostawił go w smutniejszém położeniu niżeli kiedykolwiekbądź. Burger chciał się ożenić, a to stało się dla niego zródłem nowych cierpień. Tego dnia gdy uroczyste zawierał związki, postrzegł raz pierwszy siostrę swojéj narzeczonéj i w téjże chwili uczuł że ją kocha. Chciał zerwać swój ślub, lecz nie śmiał tego uczynić; młoda dziewczyna kochała go także, i oboje, dla tego że się zapóźno poznali, postradali na zawsze radość i spoczynek. Posada Burgera przynosiła bardzo mały dochód, chciał zadzierżawić folwarczek; lecz ani on ani jego żona nie umieli prowadzić gospodarstwa. Podejmował wielkie prace i zubożył się do reszty. Po dziesięciu latach cierpliwości i szlachetnéj rezygnacyi, żona Burgera umarła. Ożenił się naówczas z tą, któréj kochać nie przestał, porzucił wiejskie ustronie i osiadł w Gettyndze. Układał *Noworocznik Muz*, dawał lekcye, pisał artykuły. Zaczął żyć spokojniéj i szczęśliwiéj, lecz jego żona umarła nagle, a jéj śmierć pozbawiła Burgera ostatniego uroku, ostatniego promyka nadziei. Popadł w ciężkie zniechęcenie. Cały świat przybrał w jego oczach szaty żałobne. Nauka, a nawet i poezya, już go nie mogły pocieszyć. Od kilku miesięcy był pogrążony w głębokim smutku, gdy list z Stutgardu niespodzianie przerwał jego żałobę. Młoda dziewczyna pisała do niego, iż z zapałem kocha go oddawna, a wiedząc że jest wolnym, ofiaruje mu swoją rękę. Nieszczęśliwy Burger, samotny na świecie, wyobraził sobie, że szczęście może jeszcze uśmiechnąć się do niego. Całe życie kochał, sądził że jeszcze będzie mógł kochać i zaślubił tę, która do niego pisała. To romansowe małżeństwo rozproszyło wszelkie jego złudzenia. W dwa lata rozwiódł się i odtąd żadna już myśl radośna, żadne marzenie miłości, nie ułagodziło goryczy panującéj w jego sercu. Ostatnie lata przepędził w głębokiéj samotności, w ciągłéj goryczy. Przez całe miesiące zamykał się w pokoju swoim i z nikim nie chciał się widzieć. Gdy był w niedostatku, zajmował się tłumaczeniem, lecz mało zarabiał, gdyż był słabowitego zdrowia. Im bardziéj wzmagała się jego nędza, tém uporczywiéj odłączał się od ludzi. Rząd Hanowerski dowiedział się przypadkiem, w jak opłakanym stanie znajduje się poeta, którego wiérsze powtarzają całe Niemcy. Przysłano mu pieniędzy, nieco zapóźno, lecz przynajmniéj Burger nie umarł z głodu. Inni poeci sławniejsi od niego, żyli w takimże samym niedostatku. Klopsztok, młody i ubogi, mieszkając w Lipsku pracował nad swoim wielkim poematem. Trzy piérwsze pieśni *Messyady* wyszły w dzienniku, całe Niemcy przyjęły je z zapałem, lecz to powodzenie było tak bezowocne, iż nigdy Klopsztok nie byłby mógł dokończyć tego poematu, gdyby król Danii nie przyszedł mu na pomoc.

Kilku poetów okazało pośród swoich cierpień, ewangeliczną cierpliwość i rezygnacyą. Krytyka nie umiała ocenić ich cnot i usiłowań. Jakże słodkie i zajmu-

jące jest życie angielskiego poety Kirkhe-White! Jakaż odwaga w walce, jakaż spokojność w cierpieniach! Biedny poeta zaczął od tego, że wszedł jako uczeń do fabrykanta pończoch. Rodzice pochlebiali sobie, że go umieszczą kiedyś w porządnym sklepie za komissanta, na tém ograniczała się ich duma.

Wypełniając obowiązki swoje, Henryk przeczuwał że jest poetą. Pisał wiersze, i wolne godziny obracał na ćwiczenie się w naukach. Rodzice pozwolili mu nareście pracować u adwokata. Tam odznaczył się pilnością, lecz skoro tylko mógł upatrzyć wolną chwilę, czytał ulubionych poetów. Nauczył się po grecku, po włosku i po portugalsku, poznał fizykę, astronomią, chemię. Posiadał żywe i głębokie pojęcie i rozwiązywał od razu najtrudniejsze zagadnienia. Pracował bez ustanku, na przechadzce, przy obiedzie, w nocy. Pragnął wejśdź do uniwersytetu i wydał tom poezyi, spodziewając się że za dochód z prenumeraty przez rok utrzyma się w Cambridge, lecz zawiodła go nadzieja. Matka uczyniła nowe wysilenie i płaciła mu pensyjkę, brat przyrzekł mu taką samą pomoc, a jeden z jego przyjaciół uzupełnił potrzebną kwotę.

Tylko co przybył do Cambridge, uniwersytet ogłosił konkurs na stypendyum. Henryk ubiegał się o nie. Jeszcze nie uczęszczał na żadne kursa, nie miał nauczyciela i przewodnika. Tego co umiał, nauczył się tylko przez pracę i wytrwałość, a jego współzawodnicy byli to po większéj części młodzieńcy którzy odbyli nauki pod stérem zręcznych nauczycieli. Lecz Henryk wiedział co może wola człowieka. — Trzy razy zatrzymywało go wyniszczenie sił fizycznych; konsumpcya, która wtrąciła go do grobu, zniewalała go do zaniechania pracy. Lecz zwalczył wszelkie przeszkody. Gdy nadszedł dzień współubiegania, świetnie wytrzymał próbę i jednozgodnem zdaniem otrzymał stypendyum. Był to zadziwiający tryumf, lecz okupił go kosztem życia. Dusza jego zachowała dzielność swoją, lecz wyczerpały się jego siły fizyczne. Słabnął coraz bardziéj i zgasł powoli. W ostatnich chwilach życia, znał on położenie swoje; lecz gdy pisał do matki, usiłował ukrywać je przed nią. Lękał się wzniecić niespokojność w jéj sercu, zasmucać ją, udawał że jest wesołym i czerstwym, pełnym nadziei. Zostawił kilkanaście tkliwych elegii, których nikt nie będzie czytać bez rozrzewnienia, lecz w zbiorze dzieł jego najbardziéj wzruszają listy, tchnące przywiązaniem synowskiém, ich udana radość, ich pobożne zmyślenia.

Tak umarł Kirke-Wihte, tak umarł Hoelty poeta niemiecki i Bellamy poeta holenderski; zabiło ich wysilenie pracy, przez którą chcieli walczyć z ubóstwem i osiągnąć zawód do którego czuli powołanie.

Jest w historyi poezyi angielskiéj, życie poety podobne do dziwacznego romansu. Tym poetą był Savage. Był on synem z nieprawego łoża hrabiny Maclesfield i hrabiego Rivers. Od piérwszéj chwili urodzenia, matka poprzysięgła mu niezbłaganą nienawiść. Oddaliła go od siebie, oddała na wychowanie ubogiéj kobiécie, wymogła na niéj przysięgę że mu nigdy nie wyjawi jacy są jego rodzice. Hrabia Rivers przed śmiercią chciał mu zapisać część majątku swego; hrabina powiedziała że ich syn nie żyje i zapisał obcym ludziom 6,000 fun. szt. które dla niego przeznaczał. Matka bojąc się aby go nie odkryto, chciała go posłać do Ameryki. Nie udał się ten zamiar. Oddała go do szewca. W tym czasie umiera jego mamka. Savage przegląda jéj rzeczy, znajduje listy hrabiny i z nich dowiaduje się o swojém urodzeniu. Był to dla niego promień radości, świetny lecz zwodniczy. Daremnie pisał do matki, nie odpisała mu. Chciał ją widzieć, nie przyjęła go. Błąkał się rano i wieczór pod oknami jéj domu, czatując na tę chwilę jak będzie wychodzić, lecz na jego widok hrabina spuszczała story w powozie i kazała pędzić galopem. Niepodobna wyliczyć i opisać wszelkich dowodów zawziętości, jaką mu okazywała i któremi ścigała go bezustanku. Poezye jego, w których opisał historyą swego życia, zyskały wielką wziętość; wielu lordów ofiarowało mu pomoc i pomieszkanie. Lecz był dumny i niezgodny; wkrótce odstręczył od siebie możnych swoich opiekunów. Dostał się do więzienia za długi i umarł w ostatniém opuszczeniu i nędzy.

PODRÓŻ PO ETYOPII

HOSKINSA.

Nie mało wieków upłynie, nim się zaspokoi ciekawość, do pomników Egiptu i Nubii przywiązana. Tajemnicza zasłona powleka jeszcze nazwiska ludów co je dźwignęły; ale ta zasłona za każdym dniem bardziéj się uchyla, z każdym dniem odkrywa coś nieznanego usiłowaniom nowych badaczów. Już ów szereg świątyń, grobowców, piramid, stérczących nad brzegami Nilu, a rozciągających się wzdłuż na tysiąc mil z okładem, nabrał dziejowéj

ważności za odkryciem hieroglificznego pisma. To odkrycie, wprawdzie gdzieniegdzie tylko rzuca niepewne światło na przepaść czasu, ale dzięki przenikliwości i badawczemu naszéj epoki duchowi, o dziejach Egiptu i Etyopii wiemy coś więcéj, niżeli Grecy i Rzymianie.

Nazwisko Meroe nie obiło się o uszy Greków, dopókąd Herodot nie opowiedział im, co o tém dawném państwie od kapłanów w Memfis zasłyszał. Starożytni też krajopisarze lubili przenosić do Etyopii baśnie i dziwy, dla których przyzwoitego w znajomym sobie świecie miejsca nie znajdowali. Już za Herodota, Elefantyna (rzeka) była granicą Egiptu. I Persowie też daléj nie zapuścili swych podbojów. Klęska kambizesowskiego wojska, jedyna wyprawa przez Persów przeciwko Etyopii podjęta, postawiła piérwsze graniczne przedmurze między podjarzmionym Egiptem a Nubijczykami, którzy zdołali ostać się przy wyznaniu, ustawach, sztukach i obyczajach, jakie z Egiptem za Faraonów wspólne mieli. Granice obudwu krajów zostają te same pod Ptolomeuszami; jeżeli zaś oręż rzymski rozerwał je na chwilę, nie długo to potrwało. Pierwszy wodospad (katarakta) odznaczał granice państwa rzymskiego. Pliniusz, Strabon i Ptolomeusz świadczą o niewiadomości owoczesnéj, co się tycze krajów ciągnących się na południe Egiptu.

Równie czynny, a szczęśliwszy od pogańskiego Rzymu pogromca, chrystyanizm, przedarł się wzdłuż wyższéj doliny Nilu. Mnóstwo starożytnych świątyń obróconych na chrześcijańskie kościoły, a noszących dotąd greckie i koptyckie napisy, zaświadcza o rozległości jego podbojów. Zatrzymał je w swojém władaniu aż do końca XIII wieku, kiedy Muzułmanie egipscy, zgromiwszy wycieńczoną i nie mającą ob céj pomocy ludność, w pokonanéj Nubii otworzyli pole napadom Beduinów.

Nie wielebyśmy wiedzieli o Nubii w wiekach średnich, gdyby jeden z ostatnich krajopisarzów Macrizi nie był wypisał z dzieła Jon-Selima ciekawych dowodów piśmiennych; Burckhard wykazał ich ważność, a tyczą się niemal wszystkie, części kraju najbliższéj Egiptu. We trzy wieki później udajemy się z pewnym Europejczykiem w głąb tak nieprzystępnego kraju. W 1698 r. z lekarzem francuzkim Poncel i z ojcem Xawerym de Brevedent zachodzimy do Gondaru przez oazy nubijskie i krainę Sennaar. We czterdzieści lat później Norden doprowadza nas aż do Derru. W towarzystwie Brussego znowu przeglądamy nubijską pustynię; lecz on śpiesznie podróżując, rzuca okiem na niektóre stare pomniki, nie zatrzymując się, i nie wiele nam powiada o nubijskiéj dolinie nad Nilem. Nakoniec z początkiem wieku dziewiętnastego, Europa zaczyna umiejętnie śledzić starożytną Etyopię; to pomyślne zdarzenie winna zwycięztwu Muzułmana. Idąc za synem Mechmeda Alego, w pośród jego wodzów i zastępów, Anglicy, Niemcy, Francuzi, Włosi, przebywają wodospady i siadają na gruzach starożytnéj Meroe.

Między piérwszymi w tym zawodzie badań, niebezpieczeństw i przygód Legh występuje. Przez zarazę z wybrzeżów Lewantu wypędzony, przedziera się do Nubii na początku 1813 r., zapędza się aż do Ibrimu, starożytnego kraju Blemmów i przy powrocie spotyka Burckhardta, który miał daleko za sobą swoich poprzedników zostawić.

Mając jednego tylko przewodnika z karawaną, składającą się z dwóch dwugarbnych wielbłądów, w jednéj tylko niebieskiéj sukni i około zł. 60 w kieszeni, Burckhardt przebiega przestrzeń 75 milową. Potrzykroć w trzech kierunkach przeciwnych przebywa równiny Nubii; zwiedza wielkie targi w Berberze i Shendach (Chendy); nie uchodzi jego uwagi nic takiego, co jest godne zwrócić na się oko oświeconego człowieka, i wskazuje piękną świątynię w Ebsambule badaniom uczonego świata. Jego wzorowe opowiadanie przenosi nas do starożytnéj i nowoczesnéj Nubii; pomniki, krajowidoki, plemiona, obyczaje, język, przemysł, kupiectwo, nic nie pominione; dla tego też o nim powiedziano, że po raz drugi odkrył tę wielką krainę.

Przedrzeć się do świątyni w Ebsambule, i daléj posuwać archeologiczne badania swego przyjaciela Burckhardta, zdawało się Belzoniemu tak piękną i chlubną rzeczą, że jéj nie chciał zostawić dla innych badaczów. Wkrótce staje w staréj budowli; gorliwości jego nie wstrzymuje żadna zawada. Po dwakroć oszukując chciwych Arabów, zniewala ich do uczestnictwa w swém wielkiém przedsięwzięciu; ich rękami trzy pagórki piasku rozgrzebane, i światło dzienne znowu oświeca niejednakowym pomrokiem okryte wnętrze pomnika, jego wielkie sale ze słupami, dwanaście izb, liczne rzeźby i malowanie tak świeże, jak gdyby wczoraj dopiéro je ukończono. Ebsambuł, ten piękny medal sztuki starożytnéj, objawia się na podziw Europy; pułkownik zaś Straton, wymierzywszy go z dokładnością matematyczną, dokonał jego wskrzeszenia w ogóle i w szczegółach. Inne prace archeologiczne w Nubii, nadają Belzoniemu nowe prawa do wdzięczności starożytników.

Nie myślimy pominąć milczeniem podróży Wadolingtona i Hanbarego, ni pięknych prac Ganów, Rosselinich, Szampolionów, około pomników Nubii niższéj: przyznajemy wszystko, czego dokonali dla dobra umiejętności archeologicznych; ale zapaleni miłością starożytności, nie sięgnęli okiem po za miejsca dotąd przejrzane. Azali w Solibie przestały się pojawiać te olbrzymie pomniki, zaświadczające o uprawie sztuk w téj części Afryki? gorliwy Caillaud zajął się odpowiedzią na to pytanie; zapuścił się daleko po za Solib, a nawet za miejsce, gdzie leżą gruzy Meroe; poszedł w górę doliny nadnilowéj, aż pod 2 stopień szerokości północnéj, i w swych badaniach objął starodawną Etyopię i nowożytną Nubię. Ci są celniejsi poprzednicy Hoskinsa, których torem sam się puszczając, nie zawsze ich bezstronnie oceniał.

Do dnia 1 Lutego 1833 r. Hoskins już rok bawił nad brzegami Nilu; wtedy postanowił zapuścić się ku północy, lecz po krótkim pobycie w Tebach, zaczął myśléć gdzie się na dal ma udać. Czy iść do Meroe, czy powrócić do Londynu? mówił do siebie Hoskins w chwili, kiedy podróżnik waha się co ma przenieść: czy pamięć miejsc rodzinnych, czy powab miejsc nieznanych. Niewiadomo, co byłby obrał z tego dwojga, ale przybycie Bandoniego, zdatnego rysownika włoskiego, rozstrzygnęło pytanie. Nubija i jego pomniki zyskały przodek. Ołówek Bandoniego wspierał uczoność Hoskinsa, który sobie wtedy dopiéro obiecywał wrócić do Anglii, gdy będzie mógł do niéj zawieźć w dzienniku podróżnym całą starożytną Etyopię. Idźmy więc za tym śmiałym podróżnikiem, bo jeżeli Hoskins pomylił się niekiedy, za to często dobrze mówił i dobrze widział. Uwagi jego są trafne, rozmaite, prawie zawsze uczące a nigdy znudne.

Kto nigdy nie doznał przyjęcia u dowódzcy tureckiego lub egipskiego w Nubii, niech się dowie, co ma czynić a czego unikać. Wchodząc do tego Turka, podróżnik ma się nizko ukłonić, położyć prawą rękę na sercu, poczém niech usiędzie na dywanie po muzułmańsku, czyli innemi słowy po krawiecku. Wszakże nie koniec na tém; usiadłszy ma jeszcze raz pokłonić się, a jeżeli gospodarz jest osobą wielkiego znaczenia, tedy ma uniżenie rękę prawą do ust a potém do czoła przyłożyć: tu następują grzeczności ze strony Turka: »Jak się pan masz? Jak piękny człowiek z pana! jak piękną masz brodę! Właśnie, jakbyś był jednym z naszych! Witam pana i dzięki mu składam!« Poczém niewolnicy przynoszą filiżanki z kawą i fajki. Jeżeli należysz do wyższéj szlachty, gospodarz poda ci swoją fajkę. Gdy ten którego odwiedzasz jest tylko kaszefem lub nazrem, za twym przybyciem powstanie nieco ze swego siedzenia. Ale duma jego rzadko kiedy zniży się do takiéj dworności; bo i on lubi na małym dworze swoim odgrywać rolę sułtana. Wszyscy Turcy mają z urodzenia, lub téż łatwo przybierają poważną minę. Daje się widzieć nawet, że wyzwoleńcy, nagle na godności i do władzy podniesieni, okazują się bez wymusu takiemi, jak gdyby od dzieciństwa do podobnego znaczenia nawykli.

Ten rodzaj wychowania polegający na tém, że umieją jako tako przeczytać i napisać list cztéro lub pięciowiérszowy, nie może stanowić odróżnienia, bo i na téj zdolności schodzi zupełnie nie jednemu naczelnikowi wysokiego znaczenia. Podałem mojemu nazrowi, mówi Hoskins, firman baszy; pocałował go według tamecznego zwyczaju i przyłożył do czoła, potém Kopt sekretarz przeczytał mu; wysłuchawszy co opiewa, natychmiast podał mi swoją fajkę, czego z razu nie uczynił. — Lecz w téj chwili mój służący przyniósł mi moję według danego sobie rozkazu. Wiedziałem, że ustępując cośkolwiek z moich praw przy téj dziecinnéj dworności, mniéj byłbym poważany przez nazra i jego dwór, a co większa, przez Arabów mających mi towarzyszyć w pustyni aż do Berberu. W ogóle nie nawidzę etykiety i ceremonii, lecz z doświadczenia się nauczyłem, że w obejściu się z Turkami nieodzownie potrzeba przestrzegać tych wszystkich zwyczajów. Europejczycy nie znający obyczajów wschodnich, są w ogóle bardzo pokorni.

Wyjdźmy czémprędzéj z tego przybytku ceremonii, i udajmy się do zastępu mającego nam towarzyszyć aż do Berberu. Otóż i jego dowódzca szajch Ababdeków, wesoły i grzeczny, jak człowiek mający żądać od nas okupu: jest to bardzo piękny Afrykanin, rysy ma regularne, ubiór przesadzony, turban płócienny bieluteńki. Oddając się jemu albo raczéj Opatrzności pod opiekę, idźmy na dolinę nadnilową.

Wystawcie sobie po prawéj i po lewéj stronie pustynię nierówną, zasutą czerwonym piaskiem lśniącym pod ognistém słońcem, pustynię objętą cale niebieskim widnokręgiem, kędy tu i owdzie sterczą czarne lub brunatne skały. Wystawcie sobie między temi dwoma skwarami Nil szeroki na kilkaset sążni; już toczący, roztrącające się o granitowe skały, wody, wybiegłe z koryta, już to cichy i niemy, rozpościerający długie mielizny, na których zasypia szkaradny krokodyl. Tu Nil wy-

daje się nakształt srebrnéj wstęgi, biegącéj po wązkiéj taśmie z murawy, która się zdaje być jéj frandzlą. W swoim biegu jest dziwaczny, bądź gdy zamknięty między dwie ściany murowane przemyka się z szybkością strzały, bądź to gdy swobodnie między dwoma nizkiemi brzegami lubi zwalniać swój bieg i białemi wodami opasuje wielkie zielone wyspy z najbogatszą wegetacyą, między któremi odznacza się piękna wyspa Argo, z dwudziestu dwoma wsiami, z ciekawemi zwaliskami, żyznemi łanami, gęstym i tak łagodnym cieniem, pod tak gorącém niebem.

Nietylko Nil tak malowniczy, z temi skałami czerwonemi, brunatnemi lub czarnemi, które czasem służą mu za koryto, z tą wązką wstęgą uprawnych łanów, ciągnącą się do Dongoli, i w szerokości zmieniacy się co ćwierć pół mili, z drzewami palmowemi, łanami durrahu i wioskami, ale i cała ta dolina, łup przez rzekę wydarty pustyni, zwraca uwagę, którą daleko silniéj budzą zwaliska świątyń olbrzymiéj wielkości, w saméj skale wykutych.

Te ukazują się powszechnie na brzegu, leżącym naprzeciw uprawnych łanów, i winny po części widok swój cudowny olbrzymiéj wspaniałości, nagości i jednostajności ziemi, która je otacza. Większa ich część została odrysowana i opisana przez Gana, Burckhardta, Caillauda i Hoskinsa. Wiemy, że te dawne pomniki są owocem sztuki egipskiéj, wiemy nawet nazwiska królów, co niektóre z nich powznosili. Szampolion powiedział nam, że świątynie, których zwaliska ukazują się pod Ibrimem, były zbudowane z rozkazu Tutmozysa I. że Tutmozys III wzniósł te, których gruzy leżą niedaleko Semneh, Amady i Tomas; że świątynia w Athor nosi nazwisko od żony Sezostrysa wielkiego. Na świątyni w Amarah i na innych, należących jeszcze do Nubii niższéj, znać niezaprzeczone ślady tegoż samego pochodzenia.

Cały ten krajowidok znika zaraz na wstępie do pustyni. Wiadomo, że w bliskości Koroska tworzy Nil ogromne zagięcie aż pod wyspę Mograt, długi zakręt ciągnący się na 700 mil, który można wyminąć przechodząc przez pustynię. Tu chodzisz po ruchomym piasku, po spiczastych głazach, a często po pokładzie soli, który ziemię powleka Stają ci przed oczyma ułamki granitu, jaspisu, marmuru; rzadkie to szczęście, jeżeli napotkasz niekształtną akacyę, pod którą mógłbyś schronić się przed spieką; gdy się zbliżasz do źródeł, musisz lękać się zasadzek zastawionych przez Arabów. Szczęściem, Hoskins nie spotkał innych nieprzyjaciół, oprócz nudów i utrudzenia. Słyszał tylko śpiéw Araba poganiającego dwugarbnego wielbłąda, tylko powieści Arabów, osładzające godziny wytchnienia. Widział na kilku skałach napisy hieroglificzne, zaświadczające, że starożytni puszczali się tą samą drogą, prowadzącą z Egiptu do Berberu.

Na stanowisku w El Marrah ludzie wydawali się jego oku równie ubodzy jak ziemia, na któréj żyją. Tam na rozkaz baszy osiadło dziesięć rodzin z obowiązkiem odgrzebywania zasypanych piaskiem studzien. Ci biedni ludzie, których robota, tak blizko, tak mocno obchodzi życie podróżnika, nie otrzymują żadnéj od rządu pomocy; mają po kilka wielbłądów i te sprzedają lub wynajmują kupcom przechodzącym z karawanami. Każda karawana daje im niewielki podarunek, często drobnostkę, oni zaś i z tego są zadowoleni. Żyją pod rogożowemi namiotami; dzika ich postać, dziwne ułożenie włosów, piękne rysy twarzy, dosyć odpowiadają naszemu wyobrażeniu o ludziach na pustyni. Piją tylko wodę słoną i mdlącą, ale taka jest siła nawyknienia, że im się przykra nie wydaje. Nie masz nic nędzniejszego ani smutniejszego, jak to obozowanie arabskie na pustyni. Kobiéty i mężczyzni są chudzi, nędzni, okryci łachmanami; niektórzy i tego nie mają. Lenistwo jest jedynym zbytkiem u tych mieszkańców. Wszakże obok téj tak wielorakiéj nędzy, ci Nubijczykowie nie mający żadnych z sobą stosunków, żyjąc odgrodzeni w każdéj wiosce, zdają się bydź mniej nieszczęśliwymi od chłopów egipskich. W obudwu tych krajach, ziemianin jest niewolnikiem. Ale Nubijczyk nie ma nad sobą dozoru, przeciwnie zaś biedny fellach egipski ciągle pod okiem okrutnego pana; ten ostatni jest to kat stojący nad swą ofiarą i obecnością swoją podwajający jéj męczarnie.

Droga aż do El-Mekhejru (Ankhejre), stolicy Berberu, nie ma nic zajmującego. Ta ziemia Berber tak pięknie kwitnąca za czasów Burckhardta, dziś wyludniona i uboga. Abbas bej, rządzca téj prowincyi, oświeci nas, dla czego rzeczy tak stoją. — »Mam tu, mówił do Hoskinsa, nie wielu albo żadnych przyjaciół, a wielu przeciwników. Tym Aleksandryjczykom nigdy nie poślesz dosyć pieniędzy, a gniewają się, gdy do nich dochodzą krzyki złupionych Tuszę sobie, że Bóg mi poszczęści i poda sposób, jak sprawować urząd z zadowoleniem mego pana.« To szczęście, jakiego satrapa żądał od Boga, było to zdanie się na los, i stało mu się według życzenia. Nie miejcie tego Turka za złego; doprawdy, jest to najlepszy w świecie czło-

wiek; wspaniałomyślny, uprzejmy, poprzestaje na dawanych mu podarunkach i sam je lubi rozdawać; usłużność tak daleko posunął, że gdy Hoskins oświadczył mu, iż krajowcy ze wstrętem pozwalają się malować Bandoniemu, wydał natych miast rozkaz ścinania głów tym, co nie zechcą siadać do malowania. W jego służbie znajdował się syn pewnego melika, czyli królika krajowego, i pełnił przy nim obowiązki giermka; Bandoni odmalował go tak dokładnie, że biedny młodzieniec mocno się tém zmartwił i lękał się, czy bej nie myśli wystawić tego wyobrażenia na widok jego ziomków. »Obchodź się ze mną, rzekł do niego dumnie, jak z człowiekiem, i nie wystawiaj na widowisko ludu, jak ciekawe i rzadkie zwierzę.« Ten książe bez znaczenia, miał wzniosłe serce, zręcznie wywijał szablą, i, że go pochwalę według tamecznego sposobu mówienia, był zdolny do zabicia stu ludzi w bitwie. Zresztą był doskonałéj budowy i hożéj kibici, jaką tylko można sobie wyobrazić.— Młody Bisharyn nie zdołał także uchronić się włoskiego pędzla. Z okoliczności tego portretu, Hoskins opowiada, jak bej zażartował z tego Bisharyna.

Jest to obrazek wschodnich obyczajów, dosyć, jak się zdaje, ciekawa afrykańskiéj wesołości próbka. Bej ze swoimi urzędnikami oświadczył biednemu młodzieńcowi, że jesteśmy do nich wysłani z Kairu dla ucięcia mu głowy. Chodziło wszakże tylko o odmalowanie jego portretu, my nie wiedzieliśmy wcale, że sobie z niego takie żarty strojono. Usiadł na ziemi spokojnie, z rezygnacyą odwrócił na bok głowę, i wcale się nie ruszał. Przez trzy ćwierci godziny był w takiéj postawie. Żaden z tych, którzy siadali przed nami w postawie do odmalowania, nie okazał podobnéj stałości; wyznać należy, że jak na pacyenta nader była wzniosłą. Po ukończeniu portretu wezwaliśmy go aby wstał, i daliśmy mu mały podarunek. Jak twarz jego była wtedy piękna i pełna wyrazu! jak oczy jaśniały radością a zarazem i podziwieniem! jak go to rozrzewniało, że wraca do życia! Opowiedział nam, jakiego właśnie uniknął losu, jaką w nim budziło niespokojność oczekiwanie zabójczego ciosu; podziękował nam za ludzkość, a to słowami taką wdzięczność wyrażającemi, że nas do łez poruszył i niechęć ku bejowi wzbudził. Ale nie koniec na tém, nasz młodzieniec miał jeszcze jedną próbę wytrzymać. Bej zastraszył go, że na mocy zrobionego przez nas portretu, nabyliśmy czarodziejskiéj mocy nad jego osobą, i że go możemy natychmiast wywieźć z sobą. Tą razą przywiązanie do kraju było silniejsze niżeli pierwéj obawa śmierci. Śmierci czekał z niezmrużonem okiem — na samą myśl, że mu przyjdzie opuścić rodzinne pustynie, wpadł w głęboki smutek. Z wielkim bólem serca dopytywał się ludzi beja, czy to jest prawda. Co większa, melik i obecni naczelnicy, aczkolwiek śmiech na sobie wymuszali, bez mała nie uwierzyli w nekromantyczną potęgę naszych ołówków, a zwłaszcza mojéj *camerae lucidae*.

W końcu odmalowano beja, który ten portret przeznaczył dla jednéj ze swych oblubienic. Zdawało się, że rad widział siebie odmalowanego w bogatym stroju, przy pałaszu, i z wąsami. Nie podobały mu się tylko cienie; były to w oczach jego czarne plamy, i prosił usilnie, żeby je jako wywabić. Hoskins miał zaszczyt z nim wieczerzać. Była wszystka szlachta z okolicy, a między innymi kady, sędzia i wielki kapłan w zielonym zawoju, szajch Ababdeków z najdawniejszego rodu w całém plemieniu, szajchowie Bisharynów i jakiś melik w niebieskiéj odzieży, uchodzący za człowieka doświadczonéj odwagi. Jego okrzykiem bojowym było: *jestem bykiem, synem byka; zginę lub zwyciężę.* Żył sobie nawet wyśmienicie, zjadał za czterech. Zapewniano nas, że na śniadanie zjadał barana. Całe to dostojne towarzystwo zasiadało u okrągłego stołu, albo raczéj u tablicy na nizkich nogach z kruszcu białego, stojącéj na ziemi, w porządku, jakiego wymagała dworność. Dano dwadzieścia potraw mięsnych jedne po drugich, w końcu zaś zupę z ryżu. We wszystkich tych potrawach niewielka była rozmaitość. Składały się z baraniny w rozlicznych postaciach, z wielorakiemi przyprawami, ziółmi, fasolą i sosami kajrowskiemi. Na mocy przywileju, bej pierwszy zanurzał ręce w potrawach, a po nim dopiero zaproszeni goście; skosztowawszy jednego lub dwóch wyborowych kąsków, jego mość bejowska kiwnął głową, i wnet znikał półmisek, który na stole nie postał dłużéj nad minutę. Niewiele mówiono i nie bez przyczyny. Gaduła musiałby się obejść bez wieczerzy. Hoskins nie odzywał się i nie zaspokajał apetytu; myślał, że należy do dobrego tonu niewiele jeść z razu; lecz gdy chciał powetować za swoje, już było po czasie. Wieczerza nie trwała dłużéj nad 20 minut.

El-Mekhejr posiada około 3,500, a cała ziemia najwięcéj 30,000 mieszkańców. — W okolicach znajdują się rękodzielnie indygo i garbarnie. Trudnią się w Berberze uprawą bawełny, pszenicy i innych zbóż. Trzcina cukrowa doskonale się udaje na wyspach Nilu. Te różne gałęzie

przemysłu doznają zachęcenia ze strony baszy, ale pracują w nich na jego tylko liczbę. Zarząd Mehmeda Alego, tak zachwalany w Europie, jest czynniejszy, lecz niemniéj uciążliwy jak innych baszów. Z początku wysysa krew z opanowanych ziem, i gdy mu już sam trup zostaje pod ręką, w miejsce pierwiastku żywotnego stara się podstawić ruch sztuczny, jaki mechanika nadać może kościotrupowi.

Ale udajmy się w górę rzeki, a przy lekkim wietrze przepłyńmy, kędy się Nil łączy z Astaborasem starożytnych. Ta ziemia leżąca przed nami jest to wyspa Meroe, głośna od tak dawna, cel długiéj podróży naszego badacza.

Długą wieków koleją, aż do nas brzmiało imię Meroy, ale kraina z miastem tegoż nazwiska, niepewna i tajemnicza, pojawia się w zamglonéj oddali. Długo jéj poszukiwali nowożytni, a jednak weszliśmy na jéj ślad za przewodem starożytnych; naszą to własną było winą, jeżeliśmy błąkali się zbyt blizko, po posadzie Merawe, pod górą Barką, lub po innych miejscach Nubii niższéj. Herodot, Agatarchides, Strabon, piérwsi podali nam odległość drogi od Egiptu, a dwaj ostatni, nazwisko i położenie rzek skrapiających tę krainę Meroe. Eratostenes i Pliniusz wskazali nam dokładnie nawet rzekę, na któréj brzegach stało miasto tegoż imienia. Żyjący w XIX stuleciu mężowie: Burckhardt, Caillaud, Ruppel, owi uczeni badacze, skorzystawszy z ich nauki, zwiedzając piramidy, zwaliska, gruzy rozrucone pod wsią Assur, na północ Shendy a na południe znijścia się Atbary z Nilem, rzekli: »tu leżała starodawna Meroe.« Nie zachodzi więc już wątpliwość co do posady téj świętéj ziemi, kędy się spełniło rozwinięcie jednéj z najdawniejszych cywilizacyj, jakie tylko dzieje zapamiętać mogą. Nie dziw, że podróżnicy doznają uniesienia na widok takiéj posady, takich pomników, takich grobowców. Po wszystkich stronach, piramidy wznoszą się jedne za drugiemi, a na wszystkich wyryte ślady ręki czasu. Niektóre piaskiem zasute, inne zaś całkiem rozwalone. Główna, najokazalsza grupa, ta, co właśnie najmniéj uszkodzona, leży nieco mniéj niż o pół mili od rzeki, na wyniosłości górującéj po nad rozległą równiną. Ta grupa wygląda niemal w kształcie łuku, którego cięciwa 150 a obłączystość 125 stóp wynosi. Caillaud ogłosił już obszerny opis tych piramid; dla uniknienia więc powtarzania, podamy kilka szczegółów, chociaż i z tych nawet niektóre nie uszły uwagi biegłego poprzednika Hoskinsa.

W portykach bywa zwykle izba, mająca od sześciu do dwudziestu stóp długości, sześć do jedenastu stóp szerokości. Stoją powszechnie na wschód lub w kierunku północno-wschodnim; należałoby to przypisać jakiéj pobudce religijnéj, czy téż względowi astronomicznemu? możnaby słusznie mniemać, że ten kierunek wyniknął z potrzeby zasłonienia portyków od zwykle w tych stronach wiejących wichrów, któreby je wkrótce piaskiem napełniły. Większe piramidy spoczywają na podstawach, mających 63 stóp kwadratowych; podstawy mniejszych wynoszą stóp siedmnaście. Wszystkie zbudowane z drobnych kwarców glinkowych dość kruchych i bez cymentu. Zadziwiającą ich trwałość temu przypisać wypada, że leżą na wyniosłych skałach, gdzie się woda utrzymać nie może. Wszystkie budowle na równinach i ślady miast starożytnych całkiem znikły; co téż nastąpić musiało, gdyż na takim gruncie peryodycznie padają deszcze.

Czyli Etyopowie, mówi Hoskins, od Egipcyan znajomość sztuk przyjęli, czyli téż sztuki popłynęły w górę Nilu, aby się dostały do Etyopii? Jedno lub drugie z tych domniemań przyjąć wypada, bo podobieństwo stylu wykrywa widocznie spólne pochodzenie. Ani wątpić, że te piramidy sięgają najodleglejszych wieków. Ponieważ stały w kraju nie znającym trzęsienia ziemi, w kraju, gdzie rzadko deszcz pada, gdzie rzadko gwałtowne wieją wichry, nieodzownie przeto liczny szereg wieków minąć musiał, zanim te kamienne ogromy uszczerbku doznały. Zagrażały im tylko piaski pustyni lub ręka człowieka, gorsza niżeli ręka czasu. Ich portyki dotąd jeszcze stojące, wiele ucierpiały, niektóre nawet już nie istnieją. Runęły od starości, nie widać bowiem śladu zniszczenia sztucznego z powodu ciekawości lub fanatyzmu. Zdobiące je rzeźby nie na wielką zasługują chwałę; ich styl dziwaczny, a w ich wielkich postaciach widać odrębne znamię, pewną okrągłość kształtów, która nie daje się postrzegać w rzeźbach egipskich. Hieroglify daleko więcéj ucierpiały, przepisałem niemal wszystkie, co pozostają. Niższe od egipskich, nie tak dobrze ugrupowane, zdają się znamionować zepsuty styl egipski, albo raczéj ten ostatni zaświadcza o wielkim postępie od czasu wynalezienia etyopskiego. Wszakże między temi dwoma krajami ta zachodzi różnica: w Meroe znajomość pisma symbolicznego była wspólna wszystkim, w Egipcie zaś było tajemnicą kapłanów. Tu płaskorzeźby są daleko od tebańskich pośledniejsze. Nie jest to ani styl pięknych wieków egipskiéj sztuki, ani piérwszych okresów chylenia się ku upadkowi, ani wieku Psammetyków, ani grubych i nieo-

zdobnych płodów pod rodzinami perskiemi, ani wieku Ptolomeuszów lub rzymskiego: nie jest to naśladowanie, ale raczéj zepsucie sztuki tych różnych okresów. Te rzeźby z właściwemi sobie ozdobami, zdają się wyobrażać obrządki religii prostszéj i czystszéj od zepsutéj mitologii Egipcyan. Wszystko naprowadza nas na mniemanie, że styl etyopski poprzedził inne i jest najdawniejszy, jeżeli nie najlepszy.

Nie wdając się w uczony rozbiór tego wątpliwego pytania, pozwolimy sobie wysnuć kilka uwag z roztrząśnieniem dostrzeżonych faktów.

A naprzód rozróżnić wypada cywilizacyą pierwiastkową, od udoskonalonéj. Piérwsza pokazuje nam sztuki w kolebce; w drugiéj widzimy, jak je przekształciły nowe potrzeby i nowe sposoby działania. Obejrzenie posady wyświeca, że wyższa Etyopia wcześniéj była zamieszkana aniżeli niższa, Nubia i Egipt. W Sabah nie widać głazu; im bardziéj posuwamy się na południe, tém bardziéj ziemia odkrywa pierwotne swoje piętno. Ta budowa jeologiczna wskazuje, że w wyższych okolicach Etyopii, gdzie nie można znaleźć ni szlamu ni osadu; ziemie nie były zalane, z czego można wnosić, że tam żyła skupiona ludność, nim rewolucye przyrodzone uczyniły zamieszkalnym Egipt i niższą Nubię. I to przyznać potrzeba, że urodzajność Etyopii, górnego dżdżystego kraju, nie zależała nigdy od obcéj a niepewnéj pomocy Nilu, który zasila długą dolinę egipską. Pochyłość rzeki wabiąc tu ludy, już tém samém pokazuje wcześniejszą cywilizacyą. Musiała ona tam się zawiązać, gdzie ludy najpiérwéj zastały lasy do łowów, pastwiska dla trzody i orne niwy. Wszystko to piérwéj było w Etyopii i na wyspie Meroe, nim powstało na północy.

Jeżeli od tych fizycznych uwag przejdziemy do rzeczy religijnych, które są najtrwalszemi obrazami cywilizacyi ludzi, spostrzeżemy, że tu zwierzęta czczone przez starożytnych Egipcyan, wyłącznie należały do Etyopczyka, a takiemi były: chrząszcz cynocefal, różne małpy, bocian egipski, węże, żubr, koń rzeczny, żyrafa, słoń, nosorożec, lew, struś, co tak rzadki w Egipcie, pintada (ptak), zwykle używana do stroju na głowę Izydy w płaskorzeźbach świątyń. Wszystkim tym zwierzętom piérwsi Egipcyanie bili nabożne pokłony. Oni także mieli podostatkiem tego, co było potrzebne do nabożeństwa, a czego Egipt nie wydawał, jako to: kadzidło, mirrę, pachnidła i wonne drzewa. U kolebki ich bogów rozwija się ich cywilizacya teokratyczna, według świadectwa najdawniejszych pamiątek dziejowych, ale cywilizacya z niedokładnych składająca się żywiołów, i sztuki równie jak ona grube. Ziemia na któréj te sztuki wzięły początek, nie sprzyjała ich rozwinięciu się; pod innem niebem dojrzéć mogły, a egipskie właśnie było dla nich przychylne. Zaszły tam wraz z plemionami etyopskiemi, tudzież z Arabskiemi plemionami półwyspu, które były w stosunkach z ludami indyjskiemi; tam wzrastały pod wpływem pięknego nieba, żyznego i nowego gruntu, szczęśliwego położenia jeograficznego, bogatego, świetnego i zbytkowego a niewojowniczego dworu. W Egipcie dłuto rzeźbiarza regularniejszemi kształtami odziewa godła piérwiastkowéj wiary; drobna piramida etyopska z kruchych kamyków, zamienia się na ogromne piramidy z szerokich brył granitowych. Od wieku do wieku, po całéj ziemi Faraonów, powstają świątynie, obeliski, olbrzymie posągi, wysokie i długie kolumnady, których okazałe zabytki dziś jeszcze świat w podziw i zadumienie wprawiają.

Późniéj nastaje jedno z tych oddziaływań pospolitych w dziejach ludzi. Wydoskonalone w Egipcie sztuki postępują w górę téj saméj rzeki, któréj dolnego kierunku trzymały się w niemowlęctwie. Aby się o téj prawdzie przekonać, dosyć obejrzéć pomniki niższéj Nubii, po większéj części od tebańskich późniejsze. Daléj Barkal i wyspa Meroe ukazują pomniki zupełnie egipskie, piramidy, będące tylko skróconym obrazem piramid w Memfis, z propyleami przypominającemi piękne propylea w Edfu. Kilka świątyń w Nubii średniéj: jak świątynia w Solibie, jest dziełem Faraonów; świątynie zaś niższéj Nubii, Barkalu i wyspy Meroe, za wcześniejsze poczytać wypada. Co tylko w Meroe nosi znamię czysto-etyopskie, dawnością nie o wiele wyprzedzić musiało wystawienie innych. Nie masz na to stanowczego dowodu, że wielka świątynia Assura i świątynie w Sobach uprzedziły ów czas, kiedy Egipcyanie znali sztukę budowania i ozdabiania pismem hieroglificznem wielkich budynków; zgodziłożby się z rozsądkiem, gdybyśmy je chcieli zaszczytnie przypisywać niemowlęcéj sztuce, kiedy ich budowa, ogromne bryły kamienne, zapowiadają wysoko posuniony przemysł i użycie doskonałych narzędzi do rznięcia granitu? Piérwsze pomniki Etyopów, równie jak te które późniéj dźwignęli, zbudowane są z małych materyałów, a nie mogąc opierać się niestałéj pogodzie podniebia, nie mogły wieków przetrwać, ni też zostawić po sobie śladu.

Po większéj części dochowujące się jeszcze zabytki na wyspie Meroe, są grobo-

wcami. Z Nekropolu, czyli miast martwych, przynajmniéj gruzy pozostały, a nie ma zwalisk miast żyjących. Ich słabe materyały nie mogły się oprzéć wpływowi czasu i wilgoci; mury zaś z wypalonéj cegły uległy temu losowi; bylibyśmy wszakże bardzo łatwowierni, gdybyśmy im przyznawali świetność i przepych, któremi tamci je uposażyli. Ludzie w Meroy, za czasów królowéj Kandancyi, oddychali pod tém skwarném niebem, co dzisiaj poddani Mehmeda Alego; nie potrzebowali chronić się w pałacach; świątynie były dla bogów, pałace dla samych królów, a dla całego narodu nietrwałe chaty. Nie rozumiejmy, jakoby nie było zbytku i przemysłu w téj części Afryki, ale zbytek kupił się w niewielu rękach, jakoby Meroe i inne poblizkie miasta nie były dla swego położenia miejscem, kędy się zjeżdzały karawany, jakoby tam nie było wielkiego targowiska, utrzymującego stosunki z przystaniami morza Czerwonego, a tém samém z Indyą, Abissynią, Nordofanem, Bornu, i z zachodnim Sudanem. Mocno w to wierzy Hoskins, a nawet przez szczególniejsze upodobanie w staréj Etyopii, mniema, że to kupiectwo daleko bardziéj kwitnęło, aniżeli było w istocie.

Z żalem opuszczając staréj Meroy posadę, Hoskins, nie opuszcza wyspy tegoż nazwiska: zwiedza Shendy, które Burckhardt zastał tak czynne, tak handlowe, tak chciwe zysku, tak zepsute, tak przystępne dla wszystkich występków, wynikających z chciwości i rozpusty, tych to dwóch bóstw tamecznych; tak obfite w niewolników wszelkich odcieniów, wielbłądów wszelkiego wzrostu i nierządnic na wszelkie ceny. Te Shendy Hoskins widzi smutne, spustoszałe, zniszczone, wyludnione; i posądza o fałsz oko i rzetelność Burckhardta! Hoskins bardzo się myli. Zapomina on, że tchnienie straszniejsze od tchnienia pustyni tamtędy przeleciało. Gniew wice-króla Egiptu sprawił te ruiny i tę odludność: gniew to był ojca, mszczącego się za zgon syna. Wiadomo, że w Shendach zamordowano młodego baszę Izmaiła, pogromcę Nubii i Sennaru, wówczas, kiedy dumny że zaniósł ottomańską chorągiew tam dokąd się nie przerznął ani perski ani rzymski oręż, wracał do Kajru cieszyć się tryumfem. Okoliczności tego wypadku, jak je opowiada Hoskins, różnią się poniekąd od tych, które dało się czytać w innych opisach. Izmaił, mówi nasz podróżnik, jechał z Sennaru do Kajru, a chcąc w Shendach zabawić się polowaniem, zatrzymał się tamże. Za przybyciem jego, były naczelnik tego kraju, melik Nimir (tygrys), ten sam, którego z dumą przyjął był nieco wprzódy w El-Mekhejrze, stawił się znowu dla złożenia mu hołdu. Towarzyszył mu melik z Metammy. Basza zażądał od Nimira haraczu 100,000 piastrów w pieniądzach, niewolnikach i w bydle. Nimir zapewniając o swojém posłuszeństwie, oświadczył, że mu niepodobna takiéj ilości dostarczyć. Tymczasem Izmaił nalegał, a Nimir nie przystawał na to. Rozgniewany młody zwycięzca, myśląc że mu wszystko wolno, uderzył go fajką. Krwawa była to zniewaga; oczy Nimira zaiskrzyły się gniewem. Bierze się do szabli, ale melik z Metammy wziął za rękę przyjaciela i wymówił kilka słów w języku Bisharynów, który obadwa rozumieli. Te czarodziejskie słowa uspokoiły Nimira.

—»Dostawię ci Izmajle te 100,000 piastrów,« rzekł Nimir głosem spokojnym i umiarkowanym. »Dobrze uczynisz, odrzekł Egipcyanin, tylko śpiesz się.« Po takiéj rozmowie, Egipcyanin poszedł na polowanie, zostawiwszy w Metammie żołnierzy składających straż jego. Miał tylko przy sobie 10 Mameluków. Za powrotem Kazanudar rzekł do niego: »Widziałem jak Nimir i melik z Metammy krzątali się i jak ich niewolnicy zbierali suche drzewo i krzaki. Dobrzeby było gdybyś się oddalił. Wróć między swych żołnierzy.« Słysząc o cofaniu się, Izmaił z pyszną nierostropnością, Turkom właściwą, zawoła: »Czyż nie jestem baszą? któryż Arab poważy się mnie dotknąć?« Nie chcąc dłużéj słuchać, siadł do stołu, weselił się, podochocił sobie i twardo zasnął. Tymczasem już dawno było po zachodzie słońca, a ciemna noc sprzyjała zabójcom. Wszyscy spali w domu Izmaiła. Nimir z drugim melikiem otoczyli go po cichu płotem z suchego drzewa i krzaków, które Kazanadar widział jak w dzień zbierano. W oka mgnieniu ten wał stanął w płomieniach, a Izmaił ze swemi ludźmi nadaremnie przezeń przebić się usiłował. Wszyscy się spalili. Po dokonanym czynie nastąpiła trwoga. Nimir uciekł na północ, gdzie poślubił córkę naczelnika z Habeszu i tam dotąd jest nieubłaganym przeciwnikiem Turków. Biédne miasto Shendy ze drżeniem czekało losu, jaki mu zgotuje gniew Mehmeda Alego. Straszliwy był gniew ojca Izmaiłowego. Niezliczone a niewinne ofiary przypłaciły za winnych. Cały kraj pokrył się zwaliskami, a rząd przeniesiono do Metammy, blizko rzeki.

(*Dokończenie nastąpi*).

NOWE DZIEŁA.

Bal w Resursie i dworek na Topielu, powieść dla młodzieży, przez autorkę Powieści z prawdziwych wydarzeń. Warszawa cena złp. 4 gr. 15.

Powieść ta, wystawiająca tkliwy przykład dobroczynności i poświęcenia się dla biednych, użytą została przez autorkę jako powód do skréślenia obrazu stanu naszego Towarzystwa Dobroczynności, jego początku i usiłowań podejmowanych dla zaopatrywania potrzeb ubóstwa, dopóki liczne zapisy i stała coroczna pomoc Rządu nie utrwaliły tego instytutu. Skréśliła w niej autorka opisy zabaw, loteryi fantowych, obrazów, szarad w działaniu, z których dochód służył na szlachetne dobroczynne cele. Aż do łez rozrzewni czytelników wzmianka o Appolonii Bielińskiej, téj starej i wiernej słudze, która razem z ubożałą panią swoją w instytucie znalazłszy przytułek, nie przestała służyć jéj i używać jéj niedolę aż do śmierci. Z tego dziełka, znaczna liczba czytelników powéźmie wyobrażenie o instytucie, którego dla téj właśnie przyczyny nie zna wcale, że go ciągle ma przed oczyma. Powieść tę nietylko młodzież, lecz wszelkiego stanu i wieku osoby z upodobaniem przeczytają.

Pierwiosnek. Noworocznik na rok 1838 zawierający pisma samych dam. Cena złp. 9.

Z prawdziwą przyjemnością przebiegliśmy to dziełko, zalecające się doborem zajmujących artykułów i pięknym stylem. Miło iest także widziéć, że tak znaczna liczba dam, zajmuje się literaturą, a wdzięczność należy się temu, kto powziąwszy pomysł wydania *Pierwiosnka*, ośmielił i zachęcił damy do ogłoszenia drukiem płodów ich talentu. Pomiędzy artykułami prozą, szczególniéj zwróciła naszą uwagę powieść pani Pauliny K...... p.t. *Dróciarz*, tchnąca tkliwością, prostotą i wdziękiem wysłowienia; téjże *Dar wieszczki*, lekka alegoryczna powieść w rodzaju lorynetki, pani Gay; *Wyjątki z moich pamiętników* przez autorkę Powiastek dla dzieci z prawdziwych wydarzeń; — *O czytaniu* przez H.... Klementynę z T..... *Cudowna kaletka* powieść pani W .... J. w któréj styl przejęty z dawnych naszych pisarzy, zastósowany jest do epoki w jakiéj powieść ta jest umieszczona, i *Wyjątki z dziennika podróży* przez Eleonorę Ziemięcką. Z poezyi wspomnimy o wiérszach pani Pauliny K..... i Józefy P..... zakończymy to zdanie sprawy przytoczeniem wiérsza pod tytułem *Człowiek*.

CZŁOWIEK.

Spojrzyj na twarz niewinną maleńkiéj dzieciny,
Jak przyjemne wrażenie swym uśmiechem sprawia!
A przez jéj oczki zda się że niebo przemawia!
Z rozkoszą do każdego wyciąga rączyny,
Wszystkich kocha, całuje, pieści swym zwyczajem,
A miła tak jak w trawie ukryty fijołek.
Jeszcze ziemia dla niéj rajem,
A ona, jeszcze aniołek.

Lat kilka ten sam uśmiech jaśnieje na twarzy,
Nim znowu z przymileniem ojca, matkę darzy.
Chcąc zyskać pobłażanie swojemi pieszczoty,
Samo rzuca zabawki co je wprzód mamiły:
Bo z wiekiem przybywają nowe urojenia,
Z wiekiem straciło cząstkę niewinnéj prostoty.
Jeszcze błogo mu na świecie,
Lecz to już nie anioł miły,
To dziecię.

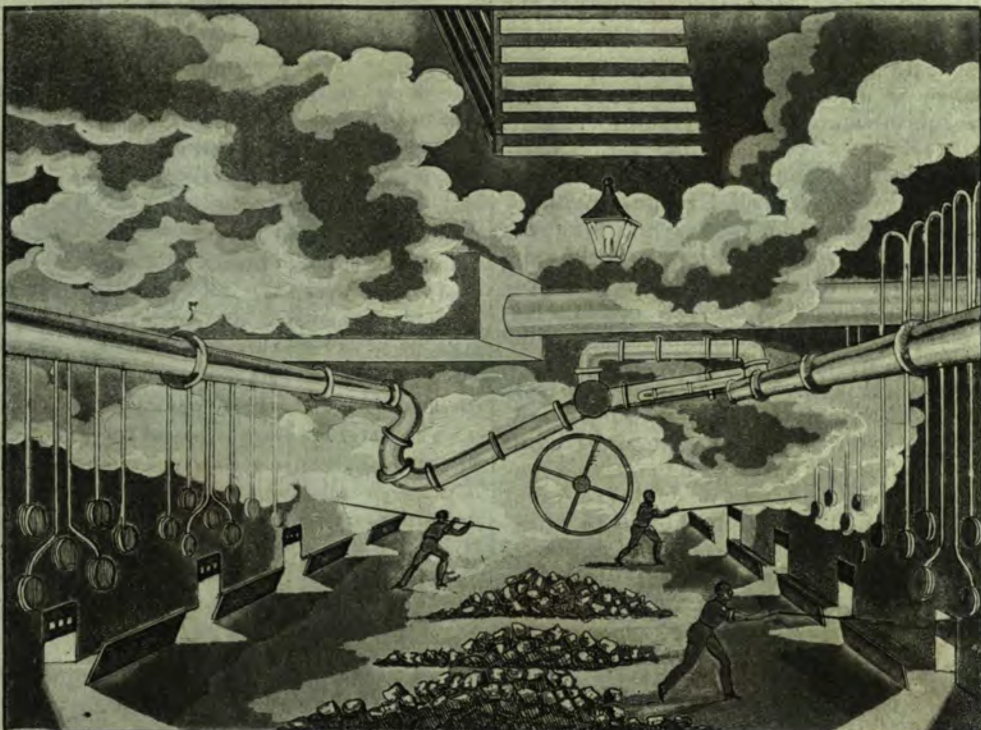
Wzrosło dziecię szczęśliwie wśród lubej swobody.
Słyszy o wielkich ludziach, uwielbia ich dzieła,
I jego młody umysł chęć sławy zajęła.
Rzuca tkliwych rodziców spokojne zagrody,
Wspomnienia chwil dziecinnych w niepamięci grzebie;
Puszcza się w świat odważny różne chwyta drogi,
By zyskawszy nauk wieniec
Wrócić z nim w domowe progi.

Gardzi niebezpieczeństwy — mężnie trudy znosi — .
Na los się nie uskarża, łza oka nie rosi,
Bo wszędzie ma przed sobą powabne koleje....
Lecz choć mu świat otworem i przyszłość się śmieje,
Choć często marzy o cnocie, o niebie;
To nie anioł — to młodzieniec.

Minęły dni roskoszy, znikło omamienie.
Zmęczony usilnością pochylony wiekiem,
W nagrodę prac zyskawszy smutne doświadczenie,
Młodzieniec został człowiekiem.

Choć mówią że w wspomnieniach osłody doznajem:
On z sercem pełném żalu, pochyloném czołem
Zapomniał że dlań młodość była kiedyś rajem,
Że sam był kiedyś aniołem. —

WALENTYNA T.



FABRYKA GAZU.

OŚWIETLENIE GAZEM.

Oświetlenie, jakiéjkolwiek materyi używają do niego, jest zawsze w gruncie rzeczy oświetleniem gazowem, jest bowiem skutkiem palenia się gazu. Rzeczywiście bowiem nie pali się łój, wosk albo oliwa, lecz gaz wodorodny wynikający z rozkładu tych substancyi skutkiem ciepła. Zamknijmy łój, oliwę, albo jakiekolwiek tłuste ciało, w lufie żelaznéj dobrze zatkanéj po obu końcach, rozgrzejmy ją mocno, a wkrótce zobaczymy że przez otwór wydobywać się będzie gaz wodorodny, który będzie można zapalić przy wyjściu i który palić się będzie dopóty, dopóki nie zabraknie tłustéj materyi w lufie. Gdy ten gaz przestanie się wydobywać, a płomień zgaśnie, nic nie znajdziemy w lufie, cała więc tłustość w niéj zawarta wydobyła się przez działanie ciepła pod postacią gazu. Można zebrać ten gaz pod dzwon szklanny, w miarę jak wychodzi, a zważywszy przekonamy się, że waga jego odpowiada wadze materyi zamkniętéj w lufie. Wyłożyliśmy wszystko co potrzeba wiedzieć dla pojęcia fabrykacyi gazu użytego do oświetlenia. Fabryka gazu niczém inném nie jest, jak tylko lufą którąśmy przytoczyli za przykład. Powiększyjmy tę lufę, połączmy wielką liczbę w ogniskach stosownie rozgrzanych, do otworu tych luf, przydajmy rury prowadzące gaz aż do miejsca gdzie go chcemy wypuścić i zapalić, a mieć będziemy cały systemat oświetlania gazem. Powiększmy proporcyą tego systematu tak, abyśmy tyle gazu otrzymali, ile nam będzie potrzeba, rozprowadźmy rury w jakiéjbądź odległości i we wszystkich kierunkach, dla oświetlenia całego miasta wyrobem jednego zakładu:— jakkolwiek olbrzymie będzie to przedsięwzięcie, podstawą jego zawsze bydź musi lufa żelazna poło-

żona w ognisku i napełniona materyą wydającą gaz wodorodny. Czytelnicy widzą na czele tego artykułu wnętrze fabryki gazu; widzą liczne rury w których się gaz rozkłada i któremi przechodzi na miejsce przeznaczone.

Oświetlenie gazem rozwinęło się i rozszerzyło w ostatnich latach w najznaczniejszych miastach Europy, mianowicie w Londynie.

Głównie używane bywa do oświecania ulic, lecz wielu właścicieli domów ułożyło się także z przedsiębiercami i zaprowadziło kanały, któremi gaz przechodzi i oświeca wnętrze ich pomieszkań. Wyrabianie gazu na wielką skalę, połączone jest z znacznem niebezpieczeństwem, wymaga nakładów i wielkich środków ostrożności, albowiem gaz zebrany w znacznéj massie i zapalony zrządza okropny wybuch i może roztrzaskać i zburzyć najmocniejsze budowle. Główna korzyść z oświetlania gazem jest ta, iż można go wydobywać z materyałów tanich i takich które do zwyczajnego oświetlania nie są przydatne. — Wydobywają go głównie z węgli ziemnych i z oleju. — Gaz z oleju może bydź od razu użytym, gaz z węgli ziemnych potrzebuje poprzedniego oczyszczenia.

DZIEŃ DOBRY MAŁEMU SYNKOWI

wiérsz poświęcony

EUSTACHEMU ORZESZKOWI

przez

LUDWIKA ORZESZKĘ.

I.

Już się budzi jutrzenka po nocnym spoczynku
Dzień dobry niosąc tobie nasz kochany synku.
Miliony kwiatków jak ty nadobnych,
Chóry ptasząt jak ty drobnych,
Ranek świeży, nieba czyste,
Wszystko ci powitanie składa uroczyste.
Cała natura mile ożywiona,
Zda się przytulić pragnie do swego cię łona.
Pod twojém dziś okienkiem nóciły skowronki,
Do ciebie było piérwsze róż westchnienie,
Na twoje padło obsłonki,
Piérwsze poranku spojrzenie.
Świat zorzy, ciebie nasza wyglądała chatka,
Obudź się nam pociecho serc naszych i zdrowie
W pośród tylu powitań niech ociec i matka,
Piérwsze dzień dobry ci powie!

II.

Dzień dobry! już się budzi, już tchną życiem lica;
Spiesz dziécię porankową zacząć z nami chwilę,
Dzień dobry! już się jasna podnosi zrenica,
Spojrzenie jak pierwiosnek rozwija się mile.
Przez nie po raz najpierwszy znajomi się dziécię
Ze światem! szczupła wprawdzie jest jego granica,
Lecz bodaj wiecznie synu żyć na takim świecie!
Jakie rzewne widoki: Matka! ociec! ciotka!
Ach! tak lube przedmioty zawsze wzrok twój spotka?
Może mu nieraz się zdarzy,
Cnotliwą nędzę łzami powitać,
I z smętnéj bliźniego twarzy,
Jego niedole wyczytać,
A goniąc za nadzieją, zbłąkany urocznie,
Może nigdy na lubym przedmiocie nie spocznie.
Ale dość już dręczyć się myślą zasępioną,
Niech tak tkliwe obrazy będą pod zasłoną.
O synku mały! nie płacz — porzuć trwogę,
Niech żałość pozostanie dla ciebie nieznaną,
Obyś twego życia drogę
Widział zawsze kwieciem słaną!

III.

Luba moja! weź dziécię — niech na twoim ręku
Siły nabiéra i wdzięku!
Ledwie rzekłaś, dzień dobry! i uśmiech wnet błysnął
Na jego ustach ogniem brylantowym,
Jak łezka nieba — rosa, na pączku różowym.
Tuli się — i u piersi matczynéj zawisnął.
Podaj mu młoda matko! z czułemi pieszczoty,
Piérwszy, najsłodszy pokarm człowieka!
Niechaj wyssie twoje cnoty,
Z każdą kroplą twego mléka.
Nie broń tego posiłku. — Skryte sądy Boże!

IV.

Dzień dobry! wyjaśnia się horyzont daleki,
Podnosi niebo senne powieki,
I barwą dnia przejrzystą,
Ożywia swoją twarz mglistą.
Roskoszny uśmiech przeleciał jutrzenki,
Ubiéra się wschód słońca w różowe sukienki,
Ich strój złocisty po niebie spłynie,
Na ziemię spadną promienne ich końce,
I twój tak dziécię lube poranek przeminie.
I twoje tak wznijdzie słońce!
Gdy sprzykrzysz miękkie, pieszczone powicia
I pobiegniesz wskazaną od losu drożyną,
Uśmiéchaj się tak zawsze jak w piérwszych dniach życia!
Uciekaj z miejsc gdzie głośny śmiech, gdzie radość płocha.
Lepiéj to czasem kiedy łzy płyną —
Wesołe, tylko bawi, czuje serce kocha.
Między rozsianą na ziemi pustotą,
Cichą radość rozeznać zdoła myśl ostrożna,
A poglądając na świat powie razem z cnotą
„Niekażdy dzień wesoły, dniem dobrym zwać można.

Obyś się mógł strasznego uchronić widoku,
Gdy dzikość duszy odmawia łez oku,
A twarz człeka szatańskiem znamionuje piętnem;
Nieszczęście — będzie widmem u niego natrętném,
Wyciągających rękę odepchnie nędzarzy,
I tylko śmiechem pogardy obdarzy,
Ciężarem ziemi nazwie sieroty,
Piekłem każdy promień cnoty.

Mocniéj się jeszcze rozdziera me serce,
Gdy wspomnę sobie że może
Wrzaskliwym ciebie kołem otoczą bluźnierce,
Co ustawy depcąc Boże
Gorszącą mową, sprosnemi pióry,
Wywrócili porządek wspaniałéj natury.
Poglądaj na nich synu jak na groźne fale;
Zamąciły ocean burząc się zuchwale,
Aż je nakoniec u brzegu
Miotany niemi okręt rozsiekał w swym biegu.

V.

Dzień dobry! dojdąż ciebie synku te wyrazy?
Powtórzone tyle razy —
Brzmieć będą pieśnią serca i dzień i noc całą!
Ono nie słucha — nieba ujęte widzeniem,
Długo snem niewinności będzie jeszcze spało,
Nim odpowie nam mile dobrych dni życzeniem.

VI.

Dzień dobry! patrząc dziecię w senne oczy twoje,
Jakaś rozkosz nieznana wzrusza nas oboje,
Cóż kiedy się obudzi myśl w oku i twarzy?
Kiedy nas pierwszém słowkiem twe serce obdarzy?
Gdy pojrzysz na nas duszy niewinnéj oczyma?
Do tak tkliwego obrazu,
Imaginacya farb nie ma,
A serce nie ma wyrazu!
Widzę ciebie luba żono!
Nowym wtedy radości ogniem zapłonioną,
Słyszę jak naszą błogosławisz dolę,
I dzień twojego zamęźcia,
Wszystkie pieszczoty nasze, wszystkie twoje bole,
Nie — nie staje wyrazów, dokończcie łzy szczęscia!

VII.

Dzień dobry! powtarzany po milion razy,
Kiedyż cię głos rodziców mały synku wzruszy,
Prędkoż najpierwsze, najświętsze wyrazy,
Zgodnym dźwiękiem z ust naszych spłyną do twéj duszy?
O! mamy święte wyrazy dla ciebie;
Jak ranna zorza na dniejącém niebie;
Tak one błysną w życia twojego poranku.
Niech się najpierwéj w twoje serce wrażą.
Niech się najpierwéj w promiennym wianku
Na twoich ustach dziecięcych ukażą!

Z nieba początek mieć muszą,
Każdy z nich, między ludźmi aniołów tchnie duszą.
Wszelkie prawdziwe dobro jest tu ich istotą,
Dają życie naturze, ziemi barwę złotą.
Boże! niech ciebie najprzód pozna moje dziécię;
Od ciebie dane poczęło dziś życie. —
Ty swiatłem wiary i cnoty,
Rozjaśnij błędną pielgrzymkę sieroty.
Twoje wymówi imię nim zdoła cię dociec,
I ojcem ciebie nazwie — kochaj go jak ociec.
Bóg! wyraz nieziemski! święty!
Sam sobą istniejący, sam z siebie poczęty!
O dziécię moje! tym ja wyrazem poświęcę,
Twoje usta niemowlęcę.
Niechaj się nim ożywi piérwsze twoje tchnienie!
On uszczni przeznaczenie,
On twoję słabość pokrzepi,
Z pospolitych cię stworzeń wyprowadzi tłumu,
I piérwszą czułość w sercu zaszczepi,
I piérwsze światło zapali rozumu!
Matka! to drugi wyraz — któż się nie rozczuli?
Tym wyrazem przemówił świat w kolebce swojéj.
On ociera łzy jego, w piérwszych troskach tuli,
Karmi życiem i tkliwą pieszczotą go poi.
Najczulszym jest zakładem wszechwładnéj opieki,
Dźwięk jego, dzikich pustyń, głuchych serc dosięga,
Wszystkie na ziemi stany, ludy, wieki,
Niebieskiém ogniwem sprzęga. —
Ucz się tego wyrazu nasz kochany synku,
On gorzki kielich życia będzie tobie słodził,
A choćby się pochmurny los nie rozpogodził,
Wspomnienie ci zostawi szczęścia w upominku;
Bo przeżyć swoją wiosnę na niebianki ręku,
Tulić się do kobiéty pełnéj cnot i wdzięku,
Bóstwo — nazywać matki imieniem,
Nie jestże to bydź w raju, anioła żyć tchnieniem?

VIII.

Już z chmur noc głucha pogląda,
Ciemném, posępném wieczora spojrzeniem,
Ty nam jeszcze jutrzénki świecisz uśmiéchnieniem,
Serce jeszcze dzień dobry mówić tobie żąda!
Dzień dobry! dziécie lube, niechaj te dwa słowa,
Na całe życie twoje blask szczęścia rozwiodą,
Niech jak zorza porankowa,
Oznaczą dzień twój pogodą,
Niechaj ci tkliwém brzmieniem błogosławią wszędzie,
I niechaj cię rozczulą, gdy już nas nie będzie!

RAJACH z BARODA.

Baroda jest obszérne i ludne miasto w Indyach wschodnich, ma ulice szérokie i brudne; snuje się na nich mnóstwo wieprzów, co nie oznacza dostatków, chociaż pomiędzy kupcami znajdują się tacy którzy niezmierne posiadają majątki; domy



RAJACH z BARODA.

w ogólności są bardzo wysokie i po większéj części zbudowane z drzewa, kryte dachówką. Pałac Rajacha, stary budynek, ma cztéry piętra i stoi na głównym placu miasta. W obrębie murów znajduje się kilka pagod, lecz żaden gmach nie zasługuje na szczególną uwagę. Za miastem jest stanowisko wojsk kompanii indyjskiéj: wioska zupełnie angielska jakby w okolicach Londynu, mająca murowane domy i ogródki otoczone żywym płotem. Kościół chrześcijański zbudowany w stylu gotyckim, objąć może cztérysta do pięćset osób.

Teraźniejszy rajach z Baroda jest człowiek zdatny, sam trudni się rządem krajów swoich i rządzi niemi silnie i sprawiedliwie. Jedyną jego wadą jest zbyteczne zamiłowanie pieniędzy. Posiada znaczną przestrzeń kraju, lecz dziwacznie pomieszaną z posiadłościami Wielkiéj Brytanii i innych udzielnych rajachów; dochody jego wynoszą 20 milionów franków; większa część jego terytoryum składa się z niepłodnych gruntów, lecz niektóre okręgi są bardzo ludne i bogate. Z resztą rajach z Baroda jest po Rundjet-Singu (u którego zostaje generał Allard, patrz Muzeum z 1836 r.) najbogatszym i najpotężniejszym władzcą Indyi.

Biskup Kalkutty Hebert, zostawił nam niektóre szczegóły o swojéj bytnosci w Baroda i odwiedzinach, które złożył rajachowi. Oto są ciekawsze wyjątki jego opisu: »O trzy mile spotkaliśmy rezydenta W. Brytanii, który wyjechał naprzeciw nas i powiedział nam, że rajach wyszedł ze swego pałacu i czeka pod cieniem drzew za murami. Pośpieszyliśmy ażeby jego wysokość zbyt długo nie czekała za nami, a po dwu godzinach ujrzeliśmy tłum żołnierzy arabskich na koniach i wielbłą-

dach, niosących duże pęki rac; inni byli pieszo, uzbrojeni w szable i muszkiety. Wojska tworzyły długi szereg, na jego końcu postrzegliśmy kilkanaście słoniów, a jeden z nich, świetnie przybrany, był słoniem rajacha. W ogólności co do przepychu i bogactw, widowisko to przewyższało moje oczekiwania i tém bardziéj obudziło moją ciekawość, że miało we wszystkiém azyatycką cechę, bez naśladowania europejskich strojów i ceremoniału. Tam zsiedliśmy z koni i idąc między dwoma rzędami żołnierzy, doszliśmy nareście do rajacha; jest to mały, krępy człowiek, i wygląda jakoby miał lat trzydzieści. Po wzajemnych powitaniach, jego wysokość zapytała się kiedy ją odwiedzę; powiedziałem że nazajutrz. Rajach wsiadł na słonia, my udaliśmy się do naszego pomieszkania.

W dniu naznaczonym, rezydent angielski i ja, z najwspanialszym orszakiem jakiśmy tylko zebrać mogli, pojechaliśmy do rajacha. Przyjął nas podług najściślejszych przepisów wschodniéj etykiety, w długiéj i wielkiéj sali, do któréj brzydkie schody prowadzą. Sala ta obita była czerwoną materyą, miała firanki u okien, żyrandole zawieszone u sufitu, mnóstwo lichych rycin angielskich i małą fontannę w środku. Na jednym końcu leżał na posadzce stos poduszek tworzących tron jego wysokości; a po lewéj ręce rzęd krzeseł dla nas przeznaczonych. Wieczorem była muzyka, taniec i wieczerza; a książe przez ceremonią albo przez grzeczność dał nam prywatne posłuchanie w gabinecie swoim, w małéj izdebce obejmującéj rozmaite przedmioty zbytkowe lub do wygody, sprowadzone z Europy, oraz dwie ryciny, jednę Napoleona, a drugą Wellingtona. W wigilią odjazdu mego, o zachodzie słońca książe odwiedził mię nawzajem i pożegnał się ze mną. Rajach przyprowadził ze sobą swego syna dziecko sześcioletnie, które już uważają jako znakomitą osobę i szanują jako przyszłego dziedzica tronu. Wszyscy obecni zaczęli rozmawiać po cichu między sobą; rajach powiedział nam, iż ma córkę już dorosłą, i znalazł dla niéj wyborną partyą, lecz brakuje mu pieniędzy na wydatki ślubne; spodziewa się, iż rząd angielski pożyczy mu ich na umiarkowany procent. Podczas téj rozmowy, tancerze i tancerki usiłowały zabawić towarzystwo, lecz nikt nie zważał na nie; muzyka nie była bez harmonii, lecz jednostajna i wątła. Tancerki były brzydkie jak zazwyczaj i obciążone niezmiernemi czerwonemi spodnicami; ich ciężki i niezgrabny taniec nie mógł zabawić Europejczyków.

Do tych szczegółów, przydamy niektóre o obyczajach Indyan tego kraju. W miesiącu Sierpniu i Wrześniu, właśnie w porze żniwa, oddają się gnusności, tańcom i grze, którą lubią namiętnie. Są bardzo gościnni i ofiarują cudzoziemcowi to wszystko co mają najlepszego. Nie zaprosić gościa, aby jadł natychmiast skoro tylko wnijdzie do chaty, jest to ciężka uraza. W takiém zdarzeniu nie przestają na zwykłéj żywności, lecz stawiają największe łakocie: cukier, tłustość niedźwiedzią, miód i rum. Jeżeli, co się często zdarza, nie mą żadnego pożywienia, natychmiast oznajmiają o tém gościowi i służy to za dostateczną wymówkę.

Posiadają nadzwyczajną zdolność znoszenia niezmiernych trudów; kobiety nawet mogą iśdź bardzo prędko, niosąc na plecach znaczny ciężar. Nie są bardzo surowi dla dzieci. Rzadko używają kary cielesnéj; karzą dzieci zanurzeniem w wodzie zimnéj; można zatém wystawić sobie, że ich dzieci posłuszniejsze są w zimie, aniżeli w lecie. Smutny zwyczaj panuje jeszcze pomiędzy niemi, to jest dzieciobójstwo; zwykle zabijają dziewczyny. — Zwyczaj ten wynika z trudności wyszukania dla nich stósownego zamęźcia. Rajach z Budi, skłoniony przełożeniami angielskiego rezydenta, zakazał dzieciobójstwa w swym kraju.

Wojownicy indyjscy zdolni są do znoszenia niezmiernych trudów, mogą biedz przez dwanaście lub cztérnaście godzin bez przerwy, a po krótkim posiłku i wypoczynku, znowu są gotowi do nowego biegu. Ich strategika opiera się na małéj liczbie prawideł zastósowanych do rodzaju wojny którą prowadzą. Ostróżność bardziéj niżeli śmiałość jest ich podstawą. Niesłusznie utrzymywano że nie znają karności; ich obroty nie są mnogie i rozmaite, lecz je wykonywają z pojętnością i pośpiechem. Niezmiernie są zabobonni i okazują wielką cześć czarownikom.

GMINNE PODANIA NIEMIEC.

Niemcy obfitują w podania historyczne, ubarwione cudownością, lecz oparte na rzeczywistych faktach. Gmin uwiedziony wyobraźnią ubarwił je i upięknił, otoczył poetycznemi obrazami, lecz nie uszkodził ich pierwotnéj cechy, imion które sławią, i wypadków o których świadczą. O każdym klasztorze w Niemczech, o każdym zamku, o każdéj warowni jest legenda. Za naszych czasów, zakładając węgielny kamień budowli, umieszczają w nim medal. Niegdyś legendą uświęcano nowy po-

mnik. Pomnik rozsypał się w gruzy, legenda została. Dziś gdy budujemy pomieszkanie nasze, jedna tylko rzecz nas zajmuje. Chcemy wiedzieć wiele będzie nas kosztowało i czyli będzie wygodne. W średnich wiekach, miłość, heroizm, wiara, przywiązywała się do wszystkich budowli jako i do wszelkich nadziei. Rycerz któren przez długi czas świat obiegał, wracał znużony przygodami, żałujący za błędy, sprzedawał wszystkie włości swoje, część rozdzielał ubogim, za resztę budował klasztor. Możny pan, dostawszy się na krucyacie w moc Saracenów, prosił Matki Boskiej aby go wyswobodziła; a za powrotem poświęcał dla niej kaplicę.

Pewien baron bawarski, znajduje u pod nóża skały skrwawione zwłoki swojej ulubionej, i w miejscu gdzie młoda dziewica żyć przestała, wznosi religijny pomnik.— W Niemczech podobnie jak we Francyi, w klasztorach pisano i opowiadano wszelkie pobożne legendy, o cudach i świętych, o pokucie za grzechy, o żydach, tem biédnem plemieniu tak srodze prześladowaném w wiekach średnich.

Legendy zamkowe tchną samą tylko wojną i miłością. Do legend czysto germańskich przyłączyły się legendy Prowancyi, Armoryki, Anglii i Hiszpanii. Najsławniejszym bohatérem podań niemieckich jest Karol W. Podania te przypisują mu wprawdzie wiele przygód, o których ani Eginhard ani nawet arcybiskup Turpin nie pomyśleli. Lecz wszystkie narody podobnież postąpiły sobie z Karolem W. Poema anglo normandzkie wystawia go jako podróżującego z Konstantynopola do Jerozolimy, a pieśń o Rolandzie rozszerza się nad zakres bitwy pod Roncevaux.

Pewnego dnia, mówi podanie niemieckie, Karol W. ruszył do Węgier. Chciał nawrócić pogan; ściska swoją żonę Hildegardę i mówi do niej: »Czekaj na mnie lat dziesięć. Jeżeli w tym przeciągu czasu nie powrócę, będziesz mogła uważać się za wdowę i pójśdź za mąż. Dziesięć lat upłynęło; magnaci królestwa nic nie słysząc o Karolu, nalegają na Hildegardę, ażeby wybrała sobie innego męża. Długo opiera się, lecz nareście ustępuje coraz to mocniejszym naleganiom. Wybrano małżonka; naznaczono dzień ślubu. Pewnéj nocy, Bóg posyła swoich aniołów do Karola W. uwiadamiając go o tém co się dzieje. Natychmiast Karol siada na konia, i za wsparciem swego niebieskiego przewodnika, w trzech dniach przyjeżdża z głębi Węgier do Akwisgranu. — Już bito w dzwony, już zakrystyanie ozdabiali kościół, już hrabiowie i baronowie zbierali się na koniach przed pałacem, a gdy cesarz zapytał się co znaczą te przygotowania i ten ruch pomiędzy tłumem, odpowiedziano mu, że jutro Hildegarda idzie za mąż. Karol nie daje się poznać. Nocuje w gospodzie, lecz nazajutrz rano, gdy miano odprawiać mszę uroczystą, najpiérwszy wchodzi do kościoła. Było na przodzie nawy złocone krzesło, w którém nikt nie mógł siedzieć prócz cesarza. Siada na nim, wyjmuje swoją széroką szpadę, kładzie ją na kolanach i czeka. Ksiądz, któren postrzegł najpiérwszy tego człowieka z siwemi włosami, siedzącego na tronie i toczącego w koło gniewne spojrzenia, krzyknął przelękły. Drudzy księża przybiegają natychmiast, a biskup zbliżywszy się w potyfikalnych szatach, zapytuje się wspaniałego lorda, kto jest. —»Kto jestem! zawołał Karol piorunującym głosem, czyliż mię nie poznajecie? Ja jestem wasz monarcha, o którym zapomnieliście.« Biskup rzuca się w jego objęcia, lud wita go okrzykiem radości, Hildegarda dziękuje niebu za powrót małżonka.

Historya o człowieku, któren puszcza się w dalekie kraje a potém niepoznany powraca i zastaje żonę swoją albo już zaślubioną innemu, albo idącą do ślubu, znajduje się w podaniach wszystkich ludów.

Inne podanie twierdzi, że Karol W, znajdując się w Akwisgranie, zakochał się w kobiécie niemłodéj i niepięknéj. Każden dziwił się téj osobliwéj namiętności. Poufali Karola nieraz przekładali mu jak zły wybór uczynił. Lecz ani rady, ani wymówki nie mogły go oderwać od tego uroku. Ta kobieta umarła; Karol gorzko ją opłakiwał, kazał przynieść jéj ciało do swojéj komnaty, zatrzymał je przy sobie, dzień i noc patrzał na nie. Trup już zaczynał gnić, a Karol tego nie postrzegał. Wówczas arcybiskup Turpin dorozumiał się że taka namiętność musi bydź skutkiem czarnoksięztwa. Wszedł do komnaty gdzie było ciało zmarłéj, kazał je obejrzéć i znalazł pod językiem pierścień złoty. Wyjął go i zatrzymał. Gdy Karol powrócił, zdawało się iż się zbudził z długiego uśpienia. Spojrzał zdziwiony i z gniewem zapytał się, kto przyniósł do jego komnaty te smrodliwe zwłoki. Lecz natychmiast całe jego przywiązanie zwróciło się do arcybiskupa. Chciał go widzieć bezustanku i wszędzie chodził za nim. Zacny kapłan poznał jaka jest potęga pierścienia, a przewidując ileby nieszczęść wyniknąć mogło, gdyby ten czarodziejski talizman wpadł w ręce złego człowieka, wrzucił go w jezioro. I dla tego to Karol Wielki tak lubił Akwisgran i jego jezioro.

Otton III kazał otworzyć grób Karola W. i ujrzał starego władzcę siedzącego w

krześle, z koroną na głowie, z berłem w ręku. Śmierć nie uszkodziła rysów jego twarzy, a widząc go w tak wspaniałej postawie, w płaszczu monarszym, można było mniemać, że jeszcze panuje w Akwisgranie. Baronowie państwa oddali mu pokłon, a Otton patrzał nań z uszanowaniem.

Niemcy opiewali imię Rolanda podobnie jak Karola W. Na lewym brzegu Renu, niedaleko skały smoczéj, widać wyspę, a na niéj miłe pomieszkanie w środku ogródka; nad tą wyspą wznosi się góra skalista dźwigająca wieżę i na pół rozsypane wały. Wieżę nazywają zamkiem Rolanda. Tam jak mówi podanie, przez długi czas żył waleczny siostrzeniec Karola W. Pewnego poranku płynąłem w łodzi wzdłuż tych poetycznych brzegów, a gdyśmy przypłynęli wprost wyspy, naprzeciw starego zamku, wioślarz opowiedział mi następującą legendę:

* * *

Na tym pięknym i żyznym nadbrzeżu, stał niegdyś klasztor, klasztor zakonnic, święte schronienie. Z dalekich stron odwiedzali go wierni.

* * *

W nim to piękna Hildegarda Bogu poświęcała życie swoje. Pewien rycerz postrzegł ją w kaplicy i nagle pokochał.

* * *

Był to wojownik Roland, zacny hrabia, lękający się Boga. Kochał ją, lecz Hildegarda już wykonała śluby dozgonne.

* * *

Wtedy na wzgórzu zbudował ten zamek, którego smutne tylko pozostały zwaliska.

* * *

Tam myśląc o młodéj dziewicy, bezustanku chciał ją widzieć, a za murami za kratą szukał jéj rano i wieczór.

* * *

A potém zamykał się na noc w ustroniu swojem, zapominał o turniejach, zabawach i wojnie, szczęśliwy tém że ją kocha.

* * *

Pewnego dnia, dzwon klasztorny zabrzmiał dźwiękiem, który aż do jego serca przeniknął. Słucha i słyszy skargi głębokiéj i gorzkiéj boleści.

* * *

A potém rozwija się długi orszak w żałobnych szatach i zdala pośród tłumu widać trumnę, krucyfix, wieniec, białe róże i całun. Roland patrzy, blednieje, dziwi się. Ona to była....

* * *

Uszedł w obce kraje, opuścił swój zamek, szukał wojny i niebezpieczeństw, i nic już nie słyszano o nim.

* * *

Lecz w zimie wśród ciemnéj nocy, powiadają w osadzie wiejskiéj, że widać dwa białe cienie unoszące się nad zamkiem.

Nie każden rozwalony zamek wznoszący się nad brzegami Renu w koło lasów Turyngii albo na górach Szląskich, przypomina podróżnemu powieści takąż smętnością napojone. Niektóre wskazują podania, jako siedlisko złych duchów. Lud średnich wieków zachowywał w legendach pamięć cnot i dobrodziejstw; w legendach podobnież uwieczniał imiona tych, którzy byli ohydą i biczem ludzkości. W zwaliskach tego zamku, nienasycony jego posiadacz tarza się z bólem po złocie, które niesprawiedliwemi środkami zebrał. Tam znowu morderca błąka się bezustanku z zakrwawioną raną w sercu. Gdzieindziéj, ten kto pogardził boleścią biednéj wdowy, powraca wśród nocy prosić o modlitwę dzieci tego, którego skrzywdził.

W Czechach wskazują podróżnemu zwaliska zamku Kunast i opowiadają dziwne zdarzenie. Pan tego zamku miał jedyną córkę zwaną Kunegundą; umierając zostawił jéj cały swój majątek. Kunegunda była piękna, lecz miała duszę nieużytą i dumną. Gdy starzy słudzy jéj ojca prosili ją ażeby sobie wybrała męża, zaprowadziła ich nad brzeg przepaści na szczyt spadzistéj skały, gdzie najmężniejszy człowiek ze drżeniem stawiał swoje kroki, i rzekła do nich: »Jeźli kto chce mię pojąć za żonę, musi wjechać konno na ten wierzchołek, przysięgam na wszystko co jest najświętszém, że temu tylko kto wytrzyma te próbę oddam moją rękę. Wielu rycerzy chciało zadosyć uczynić tak strasznemu warunkowi, lecz wszyscy zginęli. Jednych uwodziła piękność Kunegundy, drugich duma, innych chciwość bogactw, a nielitośna dziewica obojętnie patrzała na ich zgubę. Pewnego dnia, trzéj nowi

rycerze przybyli ubiegać się o jej rękę. Byli to trzéj synowie potężnego rodu, młodzi, piękni, waleczni, towarzyszyły im życzenia wszystkich patrzących. Jeden po drugim usiłowali wedrzéć się na zgubną skałę. Piérwszy nie dojechał jeszcze do połowy drogi, gdy koń jego potknął się i rzucił go w przepaść; drugi strącony został wyżéj nieco; trzeci jechał ostrożniéj, i już zwalczył główne przeszkody, już się zbliżał do celu, gdy w tém poślizgnął się koń na wilgotnéj trawie i spadł ze skały na skałę, aż w głąb przepaści. Lud wydał krzyk boleści, a nawet Kunegunda doznała wzruszenia. Lecz wkrótce wracała do zwykłéj obojętności i dumy i bez żalu patrzała na śmierć wszystkich, których nie zdołał odstraszać zgubny los poprzedników. Pewnego rana, dźwięk trąby oznajmił przybycie nowego zalotnika. Rycerz świetną zbroją okryty, wjeżdża do zamku, orle pióro powiewa na jego szyszaku, a długie czarne włosy spadają mu na ramiona. Jest piękny, piękniejszy od wszystkich co go poprzedzili. Spojrzenie jego tchnie dumą. Wspaniałą ma postawę. Kunegunda widząc go doznaje uczucia bojaźni i miłości, którego nigdy jeszcze nie znała. Gdy oświadczył że chce wedrzéć się na górę, zadrżała, chciała go wstrzymać i natychmiast zaprzysiądz mu wieczną wierność. Lecz on postanowił odbydź tę niebezpieczną podróż. Wyjeżdża, jedzie krętą ścieszką po stromych skałach. Kunegunda z utęsknieniem patrzy za nim; liczy przeszkody które zwalczyć powinien. Gdy widzi jak zręcznie omija niebezpieczeństwa, jak staje na pochyłości najspadzistszéj; drży jéj serce, wznosi oczy do nieba, modli się, ma nadzieję i znowu przejęta jest obawą. Z tém wszystkiém, rycerz wjeżdża coraz to wyżéj; dostaje się z wierzchołka na wierzchołek i nagle zatrzymuje konia. Dojechał na sam szczyt i pióro jego powiewa nad przepaścią. Na ten widok, Kunegunda pada na kolana, a powietrze brzmi okrzykami radości. Potém biegnie do rycerza; lecz on ją odpycha z pogardą: »Precz odemnie, rzekł, nikczemna kobiéto, która stałaś się przyczyną łez tylu; przypomnij sobie ilu rycerzy zginęło dla ciebie; przypomnij sobie trzech braci, na których śmierć patrzałaś bez litości. Przyjechałem ażeby pomścić się za nich. Ty mnie kochasz, a ja ciebie przeklinam.«

To rzekłszy oddalił się, a Kunegunda udręczona miłością i zgryzotą, rzuciła się z szczytu góry w przepaść, która pochłonęła tyle jéj ofiar.

To podanie dziwną tworzy sprzeczność z innemi podaniami miłości między ludem niemieckim. Prawie we wszystkich, miłość okazuje się pokorna i skromna, wierna i uległa. Wzrasta w ustroniu, rozwija się w samotności. Młoda dziewica poświęca się temu którego kocha; bierze go za opiekuna, za pana serca i duszy, sprzymierza się z jego losem. Ona cierpi z nim razem, ulega jego woli, opatruje zranionego w boju i bez przerwy czuwa przy jego łożu. Podczas jego nieobecności usuwa się od świata i czeka długi lat przeciąg; pyta się nurtów rzeki, pyta się obłoków, czyli go nie widziały i kiedy powróci.

W Hercyńskim lesie widać zwaliska dwóch zamków. Mieszkali w nich dwaj bracia; wychowani byli razem z młodą sierotą; kochali ją obydwa. Wyznali jéj miłość swoją, i prosili aby uczyniła wybór. Dziewczyna nie śmiała oświadczyć któremu sprzyja. Lecz starszy uważając że woli jego brata, szlachetnie zrzekł się miłości swojéj i pojechał. Młodszy chciał przed ślubem odbydź pielgrzymkę do Ziemi Świętéj; w kilka lat potém dowiedziano się, że powrócił do Niemiec z młodą Greczynką i chciał ją zaślubić. Na tę wiadomość, brat starszy rozgniewany że łamie wiarę przysiężoną téj którą tak długo kochał, chce ukarać krzywoprzysięzcę i wyzywa go na pojedynek. Wyznaczono dzień bitwy. Dwaj bracia już dobyli mieczów, gdy wtém młoda dziewica wbiega pomiędzy nich, uspakaja ich swojém słowem i spojrzeniem. Ściskają się i zaprzysięgają sobie wieczną przyjaźń. Lecz ta która ich pojednała, oddala się nie czyniąc wyrzutów wiarołomnemu i zamyka się w klasztorze.

Następujące podanie może bydź przedmiotem rycerskiego romansu.

Rycerz z Lotaryngii zwany Alexander, wyjeżdża do Ziemi Swiętéj. Żona oddaje mu przy wyjeździe kaftan biały, na którym wyszyła krzyż czerwony.

Rzekła do niego: »Noś go zawsze. Ten kaftan jest godłem mojéj wierności; nic jéj splamić nie może.« Rycerz dostaje się w niewolę Saracenów; posłany jest sułtanowi i skazany na prowadzenie pługa. Zawsze nosi na sobie swój kaftan; ani deszcz, ani kurzawa, ani błoto nie mogą go splamić. Jest biały jak w tym dniu, gdy go skończyła jego młoda małżonka. Strażnicy Alexandra postrzegłszy tę okoliczność, donieśli o tém sułtanowi; zawołał niewolnika i zapytał się zkąd ma tę cudowną odzież. —»Jest to dar Florentyny mojéj żony, rzekł Alexander; jest to godło jéj wierności. Sułtan posyła jednego z powierników do Metz i rozkazuje mu wszelkich użyć środków dla uwiedzenia Floren-

tyny. Lecz daremnie Saracen nie szczędzi obietnic i darów, młoda małżonka odrzuca jego zaloty. Wkrótce potém bierze ubiór pielgrzyma, harfę i idzie od kraju do kraju aż do Ziemi Świętéj. Przybywa do krainy gdzie jéj mąż zostaje w niewoli. Wchodzi do pałacu sułtana i śpiéwa tak pięknie, iż sułtan zapytuje się czego żąda w nagrodę śpiéwu. Florentyna prosi o uwolnienie jeńca, wybiera męża swego i nie dawszy mu się poznać, wraca z nim do Lotaryngii. O dwa lub trzy dni drogi od Metz, rzecze do swego towarzysza podróży. —»Muszę cię porzucić; tędy jest moja droga, tamtędy twoja. W nagrodę wyświadczonych przysług daj mi kawałek kaftana « Rycerz czyni zadosyć jéj żądaniu, Żona obiera najkrótszą drogę, przybywa do Metz dzień wprzódy; bierze suknie kobiéce i przyjmuje męża z wszelkiemi oznakami radości i podziwienia, jak gdyby nie była go widziała od dnia odjazdu. Przyjaciele Alexandra wzbudzają w nim podejrzenie. Mówią mu, że jego żona była nieobecna przez długi czas, że niewiadomo dokąd poszła i co robiła. Zazdrość ogarnia rycerza. Zwołuje swoich krewnych i przyjaciół, a wśród uroczystego zgromadzenia wzywa żonę, ażeby zdała sprawę ze swego postępowania. Florentyna prosi aby mogła wyjśdź na chwilę. Wchodzi do swojéj komnaty i wkrótce powraca w ubiorze podróżnego z harfą pod ręką i trzymając kawałek kaftana. Rycerz poznaje pielgrzyma który go wyswobodził i pada przed nim na kolana.

Wszystkie podania Niemiec tchną najwyższym hołdem oddawanym piękności. Ilekroć piękność jaka pokazuje się albo w legendzie albo w pieśni gminnéj, wzrusza, podbija, niszczy wszelkie różnice stanów, mężczyzni najsławniejsi ze swego rodu szukają jéj uśmiechu, królowie wstają przed nią jak starcy trojańscy przed Heleną.

PAMIĘTNIKI LEKARZA.

Okropne doświadczenie.

W roku 1837 spłonęła w Dublinie wielka dystylarnia pana B.... Podczas tego wypadku spotkała mię przygoda, która jak mniemam, nie miała i nic mieć nie będzie podobnéj sobie. Mieszkam w Dublinie i tam jestem lekarzem. Wieczorem w dzień pożaru poszedłem na ulicę Harold i Crop, ażeby bydź obecnym kąpieli jednego z moich chorych, o którym szczególne miałem staranie. Wracając około jedenastéj wieczorem, postrzegłem czerwonawy płomień pożaru i pośpieszyłem ku dystylarni pana B.... Była to długa czworoboczna budowla dotykająca się z jednéj strony pod kątem prostym starego zabudowania, a z drugiéj, nowego jeszcze nieukończonego skrzydła.

W chwili mego przybycia, trzy sikawki postawione na dziedzińcu wyrzucały bez ustanku potoki wody na dachy i okna, któremi wybuchał pożar. Była to przerażająca walka, w któréj człowiek używał jednego żywiołu dla pokonania drugiego. Dziedziniec napełniony wodą odbijał płomienie. Naczelnicy pompiarzy stali na pompach i wydawali rozkazy krzycząc przez trąby na swoich podwładnych, którzy stali na dachach i już to znikali otoczeni kłębami dymu, już to pokazywali się na ognistém tle obrazu jak bronzowe posągi. Nie przypatrywałem się bezczynnie i w kilka minut, już byłem, jak wszyscy, oblany wodą i znojem.

Wytaczałem razem z drugiemi beczki ze spirytusem ustawione w magazynach. Aby to uskutecznić, trzeba było przechodzić przez obmurowanie otaczające ogromny kocioł czyli alembik bardzo głęboki, z otworem na dwie lub trzy stopy średnicy. O kilka stóp nad naszemi głowami była posowa, końce belek tkwiły w murze rozdzielającym nas jeszcze od ogniska pożaru.

Gdym przeszedł dwa lub trzy razy, jeden z widzów będący świadkiem moich usiłowań, wskazał mi że końce belek zaczynają się palić, posowa zatém wkrótce się zawali i pociągnie mur za sobą, który jeszcze nie był zupełnie wysechł. Oddaliłem się o kilka kroków, lecz w tejże chwili ujrzałem, iż na drugim końcu obmurowania, człowiek należący do towarzystwa zabezpieczenia, daje mi znak abym mu dopomógł.

Spojrzałem na posowę, zdało mi się że dość jest mocna, i że niebezpieczeństwo nie zagraża mi niezwłocznie. Rzuciłem się więc ku drabinie stojącéj na drugim końcu, lecz zaledwie stanąłem na najwyższym szczeblu, kawał muru oberwał się nad głowami naszemi. Nie wiem jakim sposobem ocalałem, złamała się drabina; tuman dymu, kurzawy i płomieni zasłaniał miejsce którem porzucił.

Straciłem przytamność, chciałem biedz, nowy zawał ognia i kamieni zatamował mi przejście. Byłbym przygnieciony jaką palącą się belką, bo ze wszystkich stron padały w około, gdy wtem nagle osunęła się ziemia podemną i dźwięk metaliczny zabrzmiał w moich uszach, gdyż moje nogi trąciły o metalowe ściany. Wpadłem w wielki kocioł alembikowy. No, pomy-

ślałem sobie ochłonąwszy z pierwszego pomieszania, z resztą bezpieczniejszy jestem w tém osobliwém schronieniu, nie dosięgaja mię bowiem wielkie zawały.

I nie troszcząc się jakim sposobem wyjdę ztamtąd gdy pożar zgaśnie, umieściłem się jak mogłem najlepiej.

Słyszałem łoskot łamiących się ścian i zapalonych belek, które spadały odbijały się i znowu spadały. Zdawało mi się, że świat zawala się nad głową moją. Mniemałem iż spłaszczy się kocioł, lecz ochroniło go obmurowanie. Znaczna liczba gruzów wpadła dziurą aż na dno alembika, tym to gruzom winien jestem ocalenie życia mego, jak się o tém później przekonają czytelnicy. Ogromna belka spadła prostopadle na górną ścianę kotła; miedź zaklęsła się lecz nie pękła, tak iż utworzyła wewnątrz garb ogromny. Usiłowałem wdrapać się po ścianach alembika, daremna praca. Były gładkie jak zwierciadło; moje więzienie miało przeszło siedm łokci średnicy i tyleż prawie wysokości, niepodobna zatém było wydobyć się z niego. Zacząłem tworzyć sobie dokładne wyobrażenie o mojém położeniu, gdy w tém cała massa starego muru zachwiała się i upadła, większa część zwalisk toczyła się nad mojem więzieniem. Wówczas to oddałem się rozpaczy patrząc na pożar huczący nad głową moją. Czerwony popiół padał, był to jakby śnieg ognisty. Stałem przy bocznej ścianie chroniąc się zapalonych ułamków, które wpadały otworem. Co chwila spodziewając się śmierci, zamykałem oczy, a przejęty przestrachem schylałem głowę i kurczyłem się oczekując ostatniego ciosu. Z tego stanu konania wyprowadził mię ćmiący blask płomieni, które już nie mając zapory, wypadały jak z łona wulkanu, a moje miedziane więzienie błyszczało przy nich jak puhar złoty.

Pożar huczał ciągle, dzwoniło mi w uszach, a nademną, w koło mnie i we mnie. działy się rzeczy, których nikt pojąć nie może, których niczyje pióro nie opisze.

Po niejakim czasie gdy się uspokoiła ta wrzawa, pomyślałem jakimby sposobem wyjśdź można. Niepodobna było wdrapać się w górę; zrobiłem sznur z moich sukien, a przymocowawszy cegłę na końcu, wyrzuciłem go w téj nadziei, że cegła zahaczy się za krewędź otworu i tym sposobem zdołam się wydostać na wierzch. Daremna nadzieja, kocioł był zupełnie w równi z obmurowaniem i sznur nie mógł się o nic zawadzić. Wołałem ażeby mnie usłyszano; nikt nie odpowiedział. Biłem kamieniem w brzmiące ściany kotła, lecz ten hałas, który w innym razie byłby obudził poł miasta, ginął pośród trzasku zwalisk, pośród krzyku umierających i zebranego tłumu,

Usiłowałem przeto poddać się mojemu losowi i czekać końca pożaru. Potém przyszło mi na myśl, iżby mię usłyszano może, gdybym wołał rurą od kurka. Był to otwór w któreuby można włożyć rękę i którym wypróżniano kocioł. Dziura ta była w głębi; ukląkłem więc na gruzach dla zbliżenia ust do otworu. Na ręku miałem grube zmoczone rękawiczki i dopiéro przyłożywszy twarz do kruszcu, odkryłem okropną prawdę. Miedź była tak gorąca, żem się jej nie mógł dotknąć. Dotąd nie mogę pomyśléć bez drżenia o mojém okropném położeniu. Wstałem nagle, czyniłem niesłychane wysilenia ażeby wdrapać się i skoczyć. Wołałem, ryczałem wzywając pomocy. Sam tylko świst płomieni odpowiadał na moje krzyki. Usiadłem na stosie gruzów, myśląc iż będę spalony w kotle bronzowym siedmkrotnie rozgrzanym.

Poniosłem rękę do mego czoła; oblane było zimnym potem. Wyjąłem z kieszeni mały termometr, któregom używał dla oznaczenia ciepła kąpieli chorego. znaczył 40 centigradów. Przytknąłem kulkę do miedzi, merkuryusz podniósł się tak nagle, iż ją cofnąłem natychmiast, bojąc się ażeby rurka nie pękła. Wtedy siedziałem przez czas niejaki nieporuszony, a potém zacząłem płakać. Opuściła mię odwaga, gdym sobie pomyślał jakie męczarnie czekają mię; jeżli kruszec który mię otacza rozpali się do czerwoności, jakem się tego mógł obawiać. Ta słabość, jeżli ją kto zechce tak nazwać, skłoniła mię do szukonia w modlitwie sił, których mi nie dostawało. Modliłem się. Prosiłem Boga ażeby mi dodał mocy do wytrzymania ciężkiej próby na którą mię skazał. Prosiłem Go ażeby mi nie pozwolił poddać się rozpaczy. Modlitwa nie była bez skutku; uczułem że jestem spokojniejszy i mocniejszy. Wstałem i śmiałem w obec przypatrzyć się niebezpieczeństwu.

Termometr wskazywał 45 stopni, lecz wiedziałem że doświadczenia Fordisa i Banksa dowiodły, iż ciało żyjące może przez ograniczony przeciąg znieść dwa razy mocniejsze gorąco i jeszcze się nie rozłożyć. Promień nadziei orzeźwił mię gdym sobie przypomniał liczne przykłady, których dostarczyły mi moje własne badania. Przypomniałem sobie młodą córkę de Larachefoucault, co weszła w piec, w którym termometr oznaczał 142°. Podług Sonnerata są ryby żyjące w wodzie na 66° stopni gorącej w ciepłych źródłach Manilii. Usi-

łowałem przypomnieć sobie nazwiska roślin, które tenże sam autor widział na wyspie Lucon, a których ich korzenie oblewa strumień mający średnią temperaturę na 70°. Nareście usiłowałem wmówić w siebie, że ponieważ kocioł ogrzany jest tylko ogniem z wierzchu, ten zaś coraz się zmniejsza, spodziewać się mogę że kruszec w wkrótce stygnąć zacznie. Lecz niestety! ciągłe podnoszenie się termometru rozproszyło tę słabą nadzieję. Zacząłem potém obliczać do jakiéj temperatury dojśdź może kruszec wprzódy, nim powietrze które mię otacza dojdzie do 120°, mniemałem bowiem, że ten stopień gorąca jeszcze mogę wytrzymać i nie umrzeć. Lecz moje myśli zakłócały się i nie mogłem czynić długich wyrachowań. Jednakże te wysilenia posłużyły do utrzymania przytomności umysłu, mogłem nawet pisać i zrobić następujące memorandum, pewien rodzaj naukowego testamentu, pisanego w obec niezawodnéj i niezwłocznej śmierci; udzielam go czytelnikom w takim stanie w jakim go napisałem.

»Jestem doktor R... mieszkam przy ulicy... Jeżeli kto znajdzie ten papier, niech przyjdzie do kotła nowéj budowli, w którym umrę spalony.

W pół do piérwszéj. Prędzéj! Prędzéj! (Jużem napisał dwa takie kawałki i wyrzuciłem je przez otwór będący po nad głową moją, zawinąwszy w nie kawałek cegły, lecz musiały wpaśdź w ogień);

»Znajdą mój testament w szufladce p[illegible] lewéj stronie w mojém biórku. Niechaj Jerzy X*** ma staranie o moich papierach. Niech spalą wszystkie mające związek z interesem S*** Moje zmoczone suknie wydają obłok pary co mię otacza.

31 *minut na piérwszą.* Powietrze jest duszące, jestem cały oblany potém. Będę pisał co będę mógł.

Trzy kwadranse na piérwszą — Termometr 55°.

Trzy kwadranse i minut dwie. Termometr 60°.

Pięćdziesiąt minut — Termometr 66° moje suknie są teraz suche jak hupka i twarde w dotknięciu.

Pięć minut po piérwszéj; — Termometr 77°. Zdjąłem dwie moje suknie i trzymam je nad głową moją. Powietrze zewnętrzne udziela powietrzu wewnętrznemu ruchu, któren czyni nieznośném jego gorąco.

Ośm minut po piérwszéj. — Termometr 81°. Mój zegarek parzy mię, wyjąłem go z kieszonki; mój rejsfeder staje się bardzo gorący. A przecież moje ciało jest jeszcze chłodne. Teorya o cieplíku musi bydź mylną.

Trzynaście minut po piérwszéj. — Termometr 90°. *Szesnaście minut.* Termometr 92°. — Wszystko zdjąłem prócz bótów. Nie mogę znieść dotknięcia żadnego ciała. Powietrze którém oddycham, zdaje się bydź chłodniejsze podczas wypuszczania go z piersi, niżeli podczas wciągania.

Zegarek stanął z powodu rozgrzania kruszcu. Termometr 99.° — Płomienie gasną nademną. Zaczyna nie dostawać światła. Widzę róg kotła do ciemnéj czerwości rozpalony. O Boże! woda wrzałaby tam gdzie ja teraz piszę. Gdyby nie gruzy, suknie paliłyby się pod mojemi nogami. Zdjąłem bóty, żelazo podkówek byłoby spaliło sukno, i dym palącej się skóry byłby mię zadusił. Zagrzebuję podkówki w gruzach ażeby ostygły.

101°. Będę upieczony żywcem. Ostatnie moje myśli są o mojéj żonie i moich biednych dzieciach... O Boże! ulituj się nademną i nad niemi. Dodaj im siły któréj mnie zaczyna brakować. Falaris sam tylko wyciérpiał tyle co ja. Wół upiekłby się w tém miejscu.

110°. Widzę jak moje ręce pokrywają się bąblami. Jedna część kotła rozpalona jest do jasnéj czerwoności. Pot wysusza moje wnętrzności .... O Boże! dopókiż to trwać będzie... Wkrótce zostanę wysuszony ze szczętem... niech Bóg ześle na mnie śmierć, wprzódy nim się dotknę rozpalonego kruszcu.

Sto jedenaście stopni. Już nie mogłem utrzymać termometru, upadł i rozbił się; kto znajdzie to memorandum, proszę aby zaniósł go do M... ulica... Zdaję się na jego do... upał piecze... Wyziew kruszcu mię dusi... muszę przestać pisać, gdyż mój reisfeder parzy mię okropnie .... Gorąco jeszcze się powiększa.. moje wnętrzności skręcają się od niego... Ach! okropne pragnienie. Transpiracya przychodzi powoli.. Jestem pokryty bąblami... *O Boże! cóżem Ci zawinił!* (słowa przemazane drżącą ręką). Zlituj się o Boże! zlituj się na miłość Boga. Umieram... przebaczam moim nieprzyjaciołom... przebacz mi Boże!

Czując że mię siły opuszczają, śpiesznie zawinąłem pugilares w chustkę z garścią gruzów i zebrałem resztę sił ażeby go wyrzucić z mego ognistego więzienia. Szybkie poruszenie rąk w rozpalonem powietrzu, zrządziło mi taką samą boleść, jak gdybym je zanurzył w wodzie wrzącéj, tak dalece, iż czując słabość która poprzedza omdlenie, dziękowałem Bogu, spodziéwając się że umrę wprzódy nim stoczę się na ogniste ściany co mię otaczały. Lecz rozproszyły się te symptomata i byłem

wystawiony na wszystkie męczarnie powolnego konania. Twarz, szyja i ramiona pokryły się bąblami; czułem że rozkładanie się przez ogień zaczyna się od nóg, zdawało mi się że wszystkie części płynne wyszły ze mnie przez transpiracyą skórną i płucną. Mniemałem iż tylko brak cieczy zrządził, że cała moja skóra nie zamieniła się w jeden bąbel. Ten wyraz tortura, jest za słabym dla wyrażenia moich cierpień.

W tém okropném konaniu zwróciłem spojrzenie na żyły u rąk, wzdymające się skutkiem powolnego krwi krążenia. Płomienie odwróciły się i zostawiły mię w ciemności, w téj przestraszającéj ciemności, przy któréj postrzegłem okropny blask rozpalonéj miedzi, dochodzącéj aż do białości od strony kurka. Okropna myśl ogarnęła mię, myśl natchniona przez szatana. Chłodny wiatr nocy zwróciwszy na kocioł gasnące płomienie, oświecił przepalone suknie, na których stałem jeszcze. Porwałem moje pantalony, szukałem po kieszeniach, znalazłem nóż, otworzyłem go do połowy; żelazo parzyło mi palce... odrzuciłem od siebie zgubne narzędzie wołając: O Boże! uwolnij mię od pokusy!

Modły moje zostały wysłuchane; usłyszałem głosy nademną, potém stąpania, które oddaliły się, zbliżyły się znowu.... przyszli mi na ratunek.

W sześć tygodni potem mogłem wstać z łóżka. Jestem pewien, że gdyby termometr nie był się rozbił, byłby wskazał stopień daleko wyższy niżeli ten, do jakiego doszli Blagsen i Bank. Jeszcze kilka minut dłużéj, a byłbym umarł; tak więc mogę twierdzić, żem ze wszystkich ludzi wytrzymał najwyższy stopień gorąca. Temperatura mojego ciała, prócz kilku miejsc, nigdy nie była wyższa nad 45°. Doznałem nawet wielkiéj ulgi przykładając dłonie rozpalonych rąk moich, do któréjkolwiekbądź części mojego ciała. Nareście jestem pewny iż było 90° stopni różnicy moją temperaturą a okolicznego powietrza.

Dublin 5 *Lipca* 1837 *r.*

FERDYNAND COLLET.

PODRÓŻ PO ETYOPII HOSKINSA.

(Dokończenie).

Metamma jeszcze smutniejsze jest niż wyludnione Shendy. Widzisz tam ulice zasute piaskiem, ulice puste a po obu stronach chaty. Owe długie karawany, co wnosiły życie, już tam nie zajeżdżają. — Takie to są dzisiaj stolice Etyopii. Cała ta sławna wyspa Meroe, niegdyś okryta pomnikami ludzi, zaludniona bitnemi i przemysłem trudniącemi się plemionami, żyjącemi pod teokracyą zbliżającą się do religijnego systemu Indyi, cała ta ziemia bogata darami przyrodzenia, użyzniana peryodycznemi deszczami, co ożywiają królestwo roślinne nawet w pośród piasków pustyni, jest tylko pomieszkaniem dzikich zwierząt, lękliwéj gazelli i niektórych pokoleń arabskich, trudniących się łupiestwem, rozbojem, uprawą durrahu, wychowaniem wielbłądów i licznych trzód baranów; te pokolenia obozują wśród starych zwalisk etyopskich, z całą obojętnością barbarzyńców.

Dla Arabów zwaliska te nie mają dziejów, ich wyobraźnia lubi je zaludniać wróżkami i duchami opiekuńczemi, jeżeli położenie miejsca jest wesołe i ożywione, a duchami szkodliwemi, jeśli widok jest posępny i smutny. Tak są chciwi, że w podziemnych jamach widzą skarby, domyślając się że tam są ukryte. Uczony Europejczyk, co opuścił słodkie i miękkie życie w ojczyznie i przychodzi wśród niedostatku i znoju, jakich się doznaje na pustyni, szukać kilku zatraconych stronnic dziejów rodu ludzkiego, kilku śladów zagasłéj cywilizacyi, jest dla nich czarnoksiężnikiem tysiąca nocy i oka. Na wyspie Argo, pewien Arab pytał się Hoskinsa czy jest zadowolony z wielkich skarbów zebranych w podróży; potém obracając mowę do słuchających go Arabów, opowiadał im, że gdy jednego dnia towarzyszył Anglikom do Dendery, ci namacali wielki skarb; lecz ukazał im się czart, oświadczając, iż nie wezmą skarbu, póki mu nie dadzą pięknego melona na ochłodę: nie było to drogo. Ale Anglicy byli w wielkim kłopocie, bo w tych rozwalinach nie rodzą się melony; prosili więc czarta, aby przyjął inny podarunek. Temu bardzo się chciało melona i nie chciał od swego żądania odstąpić; Anglicy więc, którym się także chciało skarbu, wysłali jednego ze swoich ludzi do Kenny, aby zakupił największy melon, jaki się znajdzie w okolicy; dostali ogromnego i zaraz go dali czartowi. I wraz spadł na Anglików tak okwity deszcz złoty, że musieli wziąźć łódź w Dongoli, i na niéj zawieźli skarb do Egiptu. Arab opowiadał tę baśń z całą siłą przekonania, i zapewniał na brodę i na święte imię proroka, o prawdziwości tego opowiadania.

Berber, Shendy. Dar-Shaikie, Dongola, nim je podbili Egipcyanie, były stolicami

kraików rządzonych przez melików niepodległych lub hołdujących wielkiemu melikowi z Senaru. Ci melikowie wyznaczali swym synom ziemie na własność feudalną, z obowiązkiem posłuszeństwa i towarzyszenia na wojnie im i ich ludziom. Demoralizowali oni tę krainę haniebném kupczeniem niewolnikami zakupowanemi lub zdobywanemi na wojnie: wynajmowali je na niby-żony i nałożnice cudzoziemcom i krajowcom, a przywłaszczali sobie dzieci z tych przemijających związków. Sami nie żeniąc się przez dumę z kobiétami niższego stanu, zaślubiali sobie wiele córek melików. Te niewiasty pędziły w seraju próżniackie życie, jak przystoi na panie afrykańskie. Dzisiaj ci melikowie bez władzy, bez posiadłości, cisną się pokornie na dwory turecko-egipskich rządzców, zabiegając o jaką taką płacę lub o jakikolwiek stopień w wojskach zwycięzcy. Ci rządzcy tak spokojnie zasypiają w miastach indyjskich, jak gdyby byli w samym Kajrze, a jednak dowódzca wojskowy w Berberze nie ma ani cztérech set jeźdźców na utrzymanie w posłuszeństwie ludności, liczącéj dusz 30,000. Ale potęga Mehmeda spoczywa na niezachwianéj podstawie, a tą jest czynna policya, mądry zarząd, energiczne tłumienie i wyższość w tém, co się tycze broni wojennéj i karności wojskowéj.

Może cała ludność nubijska do wspólnego pnia należy, i czy to pod różnemi nazwiskami oddaje się pracy na żyznéj wstędze Nilu, czy téż tuła się to na wschód, to na zachód téj rzéki. Tam to pod namiotem trzeba się jéj przypatrzyć; tam to widzieli ją i dobrze opisali Burckhardt i Caillaud. Oglądał ją i Hoskins; ale zwaliska, świątynie, piramidy, Meroe, stare państwo teokratyczne w Etyopii, prawie go wyłącznie zaprzątały. Mijał krajowca nie racząc mu spojrzéć w twarz, nie śledząc jego rysów, nawyknień, obyczajów, języka, wyznań, a przecie ten krajowiec jest także zwaliskiem, ruiną prawie zatartą, ale na któréj można jeszcze dojrzéć jakieś rysy innéj epoki odległego pochodzenia. Ztémwszystkiém, niełatwe to badanie; bo krajowiec ukazuje się w tylu różnych postaciach, że niełatwo sprawdzić, co jedni mają wspólnego z drugiemi. W Shendach zasiedlonych kupcami i ludźmi bogatymi w pieniądze, krajowiec jest obłudny, chciwy, zły, gniewliwy i zepsutych obyczajów. — W Damérze zdaje się bydź jakoby odosobniony od swych sąsiadów; jest religiantem i przykłada się do nauk; ma uczelnie, w których uczy się czytać, pisać, tłumaczyć ustawy Koranu i układać amulety: kształci się na pełnomocnika, tudzież na kierownika sprawami książąt i panów. Pod nazwą Berberów wspólną Kenuzyjczykom, Nubijczykom i Sennarczykom, wydaje się bydź najdawniejszém plemieniem na téj ziemi. Wysokiego wzrostu, urodziwy, od Murzynów różni się pięknością kształtów, a jego żony są piękne między najpiękniejszemi Nubiankami. Pod nazwiskiem Bisharyna zajmuje posiadłości dawnych Blemyssów. Przenosi namioty po Troglodytycku i mówi może jednym z ich dyalektów. Język jego ani to arabski ani abisyński. Jest pasterzem i rozbójnikiem, a trzody i łupieztwo stanowią jego majątek. Mieszka w górach blizkich morza Czerwonego, i kiedy z nich wyjdzie, to rozsiewa postrach i śmierć aż po Sennar i Dongolę. Obyczajów jego nie znamionuje zazdrość wschodnia, nie podnosi sztyletu na cudzoziemca przypatrującego się jego żonom nie zasłonionym; tych kibić wysmukła i lekka, oko iskrzące wesołością; z ust śmiejących się widać najpiękniejsze w świecie zęby, a ruchy roskoszne zdają się do miłości nęcić.

Ababdedowie, wrogi Bisharynów, których mówią językiem, okazują nam inną jeszcze fizyonomię, inne obyczaje, nawyknienia, inną waleczność i pewne ślady dawnéj cywilizacyi. Nie tak pasterze jak raczéj wojownicy, chodzą zawsze zbrojno i nie wiele spoczywają. Żyją zwykle pod namiotem, w nagłym razie kładą się na ziemi w cieniu wielbłądzich siodeł. Lubią nader taniec, ale taniec wojenny, poezyą i muzykę. Piosenkami wojennemi i miłośnemi, wyrazistemi śpiéwkami na mandalionie wygrywanemi, osładzają sobie godziny spoczynku i długie pochody wojskowe. Stroją się codzień, aczkolwiek w grube materye. Kędziory włosów spadają im na barki, lub téż gęsto stérczą na wiérzchu głowy. Nie tak liczni jak Bisharynowie ale waleczniejsi. Liczbę ich namiotów podają na 30,000. W podbiciu Nubii wiernie posiłkowali namiestnika egipskiego, za co wywdzięczając się Mehmed, uwolnił ich od bezpośrednich danin, składają tylko opłaty z ziem ustąpionych. Burckhardt miał ich za wiarołomców i gwałcicieli poprzysiężonéj wiary. Hoskinsowi, który przebył pomiędzy niemi przez trzy miesiące, zdawali się bydź dobrzy, wierni, wspaniałomyślni i dumni z wolności. Przywłaszczyli sobie wyłączne prawo zabezpieczania karawan przez pustynię, i ta usługa jest dla nich źródłem niezmiernych bogactw.

Niektóre rysy wspólne wszystkim tym hordom, wykrywają to samo pochodzenie. Czy je należy wyprowadzać od

Blemmysów czy od Berberów? są to trudne pytania nieraz już dotknięte; ale w rysach tych Afrykanów, któż zdoła wyśledzić potomka pierwiastkowych mieszkańców Etyopii, tych co chodzili do jéj świątyń na modlitwę, tych, co żyli na dworze królów i kapłanów etyopskich, a zarazem byli świadkami świetnych czasów Meroi!

(*Z Pamiętnika naukowego krakowskiego*).

PUSZKIN.

W roku przeszłym żyć przestał jeden z najznakomitszych poetów rossyjskich, Puszkin. W Wizerunkach naukowych wileńskich znajduje się artykuł tłumaczony z rossyjskiego pana Polewoj, będący obrazem uczuć i talentu zmarłego poety, oraz żalu którym zgon jego napełnił serca Rossyan. Z artykułu tego umieszczamy niektóre wyjątki.

Młoda i ognista wyobraźnia, wcześnie go uniosła w świat urojeń; dla urojeń, zmarnował on najpiękniejszy, bo pierwszy kwiat żywota: a uposażony takim niezrównanym talentem, tak wielkim umysłem, musiał czuć aż nadto swoję w tym względzie rozrzutność, kiedy wyrzekł w 1825 roku:

»Gdyś muzom ślubował, zapomnij o świecie;
Gdyś piękne ukochał, rzuć wszystko na stronę;
Lecz często się zwodzim w młodości swéj kwiecie,
I same nas bawią widziadła rojone:
Czas przyjdzie, że przejrzym, i w smutku godzinie
W tył spojrzym, tam nawet przeszłości ślad zginie!«

A jednak w samym warze życia, w chwili wygórowania świetnego talentu, Puszkin z niewymówną duszy radością ślubował znowu muzom. Witały go z chlubą oklaski całéj ojczyzny. Ale minęło nie więcéj jak dwa lata, i Puszkin w czarujących wierszach, policzonych przez jednego z wielkich, spółczesnych poetów do jego lepszych utworów, gorzko się żalił przed światem:

Kiedy dla śmiertelników ucichną dnia gwary
I noc w pół przejrzystą szatę
Rozciągając nad głuchéj stolicy obszary,
Spuszcza sen, trudów zapłatę:
Wtenczas mnie samotnemu, rozmyślań godziny
W ciszy leniwo się wleką:
Wtenczas mnie ukąszenia serdecznéj gadziny
Bezczynnemu srożéj pieką.
Mary wrą w myśli, którą tęsknota przytłacza,
I trosk oblegają roje;
Wtenczas i przypomnienie w milczeniu roztacza
Przedemną swe długie zwoje.
Ze wstrętem i przestrachem czytam własne dzieje,
Sam na siebie pomsty wzywam,
I serdecznie żałuję i gorzkie łzy leję;
Lecz smutnych rysów nie zmywam.«
(*Przekł. A. M.*)

Wówczas już Puszkin zapytał przeznaczenia swego, na jaki koniec żyje:

»Po co dar ten niebłagany,
Po co mi to życie dane?
Życie cierpkie bez odmiany,
Codzień gorzko opłakane.
Żadne cele mnie nie łudzą;
W sercu, myślach, czczość bez miary,
I boleśnie duszę trudzą
Jednostajne życia gwary!«

I toż są własne Puszkina słowa? Jemuż to wyrzec do siebie przystało, że *myśli* i *serce* jego sama czczość wypełnia? Marzył już nawet o śmierci poeta:

»Gdy cię do serca przytulam młodzianie,
Wnet od ust moich rwie się — pożegnanie!
Smiało mój luby, miejsca nie zabiorę.
Czas tobie kwitnąć, mnie konać jak w porę.
Nieraz dzień cały, Boży dzień przeminie,
A ja samotny, a ja w myślach tonę,
Ja jedną żądzą, by odgadnąć płonę,
W jakiéj śmierć do mnie zawita godzinie.»

Z udaném weselem, z gorzkim na ustach uśmiechem, on powtarzał to samo i na innem miejscu, innemi słowy. Oto jest dokończenie szóstéj pieśni. »*Onegina*.«

»Gdzież się lubość marzeń działa?
Złota wiara, duch młodzieńca?
Toż więc *młodość* uleciała,
I liść opadł już z jéj wieńca?
Toż bez kłamstwa i udania,
Uchyliwszy żart na stronę,
Zbiegły dni me nieliczone,
Ku schyłkowi wiek się skłania?
Bez powrotu przeszłość zginie?
Mnie *trzydziesty* rok wnet minie?

Komuż to poeta przynosił ofiary? przed jakim to martwym przechylał czoło, posągiem? Gdzie szukał natchnienia człowiek, z ust którego słyszeliśmy, że w ciągłéj i niezmiennéj kolei:

»Ktobądź z gości tu się zjawi
Gwar go wita, próżność bawi!

Martwo, tęskno, źle u ludzi,
Ich obmowa nawet nudzi;
W tłumie rozpraw dziwnéj treści,
Tłumie plotek, zdań i wieści,
Nie pożądaj myśli zgoła,
Żadna myśl się w nich nie mieści;
Nie rozjaśni rozum czoła;
I choć na żart, choć na dziwo,
Nie zabije serce żywo;
Nawet głupstwa w śmiesznym stroju,
Choćbyś znużył się do znoju,
Nie wynajdziesz w pustym świecie!«

Owo jeszcze żart gorzki, na którym się kończył »*Onegin*«:

»Błogo mu kto z żywota godów odszedł rano!
Kto wychylając puhar dna w nim nie powitał;
W romansie życia kartek wszystkich nie doczytał!«

Łzy w oczach stały, kiedy ten żarcik był na ustach. W rychle też po nim ozwał się smutny poeta:

»Kto młodości użył młodo,
Był źrzałym o swojéj porze,
Wszystko złe przeniósł z pogodą,
Taki się szczęsnym zwać może!.......
»Lecz gorzko wspomnieć, jeżeli
Młodość użytą źle była;
Żeśmy ją zdradzać umieli,
Że ta nas wzajem zwodziła;
Do czego serce nawykło,
Te żądze, światy marzone,
Wszystko to zwiędło, ponikło,
Jak kwiaty mrozem zwarzone.
Smutno nic nie mieć na oku,
Krom długie obiadów rzędy;
Na każdym spotykać kroku
Nudne żywota obrzędy;
Biedz z tłumem ludu Bożego,
Nic z nim nié mając wspólnego.«

Z tych poetyckich ułamków, z téj szczéréj spowiedzi duszy, pojmujecież teraz człowieka w poecie? poetę w człowieku? widzicie ich nieszczęśliwą walkę pomiędzy sobą? Owo jeszcze smutny oddźwięk duszy poety:

»Przebóg! pokolenia jako żniwa na bujnych łanach, stósownie do wyroków Opatrzności plenią się, dojrzewają i giną, a ich miejsca następne zajmują pokolenia..... Równaż koléj i naszego rodu; rozrasta, wre, burzy się, i swoich przodków wtłacza do mogiły! I nasza wybije godzina! Przyjdą wnukowie. i my im swego miejsca ustąpić zmuszeni będziemy!...«

»Póki czas, póki pora, wy przyjaciele chylcie nektary żywota! Jam poznał znikomość jego, i już go mało szacuję. Zmrużyłem na wszystko powieki: sama tylko daleka, niepewna nadzieja, zatrważa niekiedy serce moje; porzucić świat ten nie zostawiwszy żadnego śladu po sobie, to smutno, to boleśnie! Żyję przeto i piszę, lecz nie dla marnych oklasków; ja los mój opłakany chciałbym uwielbić, godnym zazdrości uczynić; chciałbym aby dźwięk pieśni moich, jak serdeczny przyjaciel, kiedyś, daleko, przypomniał światu o mnie!«

Ale tu jeszcze wielki poeta, nie obnażył siebie w zupełności. Oto jest jego głos ostatni, głos nadgrobowy; jęk bolesny udręczonego żywota, bez żadnéj ironii, bez wymuszonego uśmiechu: któż mógł wtedy pomyśléć, że to będzie ostatnia, pieśń łabędzia Puszkina?... Mimowolnego doznajemy drżenia serca, gdy chcemy powtórzyć te posępne dźwięki, dolatujące uszu naszych jakby od tamtéj strony grobu:

»Szał i wesele zaledwo przeminą,
Ciążą jak pochmiel: ale jako wino,
Po latach zbiegłych, w piersiach gorycz smutku,
Im wiekiem starsza, tym dzielniejsza w skutku.
Przykrą mam drogę, cierpkie życie moje,
Same w przyszłości i *troski* i *znoje*;
Jednak umierać nie chcę przyjaciele!
Chcę żyć by cierpieć, żyć, by myśléć wiele:
A śród tych cierpień, śród tylu katuszy,
O! jeszcze radość wstąpi do méj duszy:
Jeszcze ją nieba upoją dźwiękami;
Stworzę, i utwór mój obleję łzami;
A wprzód nim w proch się rozsypią me kości,
Może z uśmiechem zejdę się miłości!«

Staraniem było naszém skreślić Puszkina jako człowieka, jego, własnemi słowy. Kto słyszał te słowa, niech z własnych jego zeznań bada go i poznaje.

Ale Puszkin był jeszcze poetą.

Już dla tego samego, aby dać poznać spółczesnym wielkość ich utraty i słuszność smutku naszego; i aby ludzie w tym szczérym żalu później nie upatrywali chełpliwości, winniśmy mówić o Puszkinie, jako o poecie. Winniśmy przechować dla potomnych, czucia i wrażenia spółczesne, by mieli na czém opierać swoje domysły. Winniśmy wykazać naszym wnukom, czém mianowicie był dla nas Puszkin.

Trudno jest mówić błędnie, kiedy się mówi co czuje.

Puszkin nie należał do rzędu tych wiekuistych geniuszów, zjawienie się których, czas od czasu, rzadszém już bywa na świecie, i stanie się w końcu zgoła niepodobném, jak ukazywania się pierwotnych natury fenomenów, w karlejących coraz bardziéj pokoleniach, przy nieustannéj wal-

ce żywiołów i działaczów świata społecznego. Homer, Dante, Szekspir, już i teraz są niepodobni: do osób mitologicznych należą.

Za to dzielniéj i korzystniéj świetniéć mogą geniusze odrębne, objawienia jednéj jakiéjbądź strony człowieczego ducha i jednego narodu.

Wszystkie te objawienia nie mogą przejść za granicę swojego posłannictwa, swojego czasu i swojego miejsca; ale stają się tym wznioślejsze i tym znakomitsze, im bardziej im sprzyjają okoliczności, i czas i miejsce.

Stósownie do tego, Puszkin był poetą, *wielkim lirycznym poetą*, jedynym reprezentantem swojéj współczesnéj ojczyzny.

Mikołaj Polewoj — *Czytelnia.*

O ZNACZNIEJSZYCH DYAMENTACH.

Doświadczenia chemików dowiodły, że dyament jest czystym skrystalizowanym węglem. Odkrycie to nie przyniosło dotąd żadnego użytku. Przez długi czas mniemano, że tylko w Indyach wschodnich znajdują się kopalnie dyamentów, potém znaleziono je w Brazylii, a w ostatnich czasach w Syberyi. Dyamenty ważą się na karaty, (potrzeba 156 karatów na uncyą). Podług obliczenia znawców, liczba dyamentów ważących więcéj jak 36 karatów znajdujących się w Europie, nie przenosi 90, a jest tylko sześć dyamentów znamienitéj wielkości. Największy dyament nie szlifowany należy do domu Braganckiego i waży 1680 karatów, zdaje się że to jest topaz biały. Jeden z naszych przyjaciół widział go i udzielił nam historyą jego znalezienia.

W r. 1808, gdy książe regent Portugalii przeniósł się do Brazylii, pewien murzyn z kopalni dyamentów w Gerais, zdołał przesłać mu list, w którym upraszał aby mógł osobiście stanąć przed Jego Królewiczowską Mością i ofiarować mu dyament niezmiernéj wielkości. Książe kazał przyprowadzić murzyna pod strażą. W rzeczy saméj, dyament był niezmiernie wielki. Książe obdarzył murzyna wolnością i wyznaczył mu i jego rodzinie dożywotnią pensyą. Dyament ten jest ciemno-żółty, wielkości kurzego jaja, ma kształt grochu. Jubilerowie brazylscy szacują go 300 milionów funtów szterlingów. Jedna strona tego dyamentu jest lekko wyszlifowana.

Drugi wielki dyament należy do wielkiego Mogoła; wspomina o nim Tawernier. Wpada w piękny kolor różowy i jest podobny z kształtu i wielkości do połowy kurzego jaja, waży 290 karatów, szacują go 15,623,000 franków, znaleziono go w kopalni *Kolor*, w Bengalu.

Rajah z Mathan na wyspie Borneo, posiada dyament ważący 367 karatów; znaleziono go dopiéro przed pięćdziesięcią laty. Mówią że jest jak może bydź najczystszy. Gubernator Batawii chciał kupić go i ofiarował rajachowi 150,000 dolarów, dwa brygi wojenne opatrzone w armaty i znaczny zapas amunicyi i broni, Lecz rajach nie przyjął ofiary, a to skutkiem zabobonnego mniemania, iż dyament posiada cudowną moc leczenia wszystkich chorób, za pomocą wody w któréj go moczą.

Dyament zwany *Pitt* czyli *Rejent*, kupiony był przez Tomasza Pitta, (dziada sławnego Wiliama) za 312,500 franków.— Szlifowanie kosztowało 125,500 franków. Rejent Francyi książe Orleanu kupił go w 1717 za 3,375,000 franków. Waży 135 karatów, cenią go teraz 12,000,000 liwrów; ma najpiękniejszą wodę, jest jeźli nie największym, to najczystszym ze wszystkich znanych dyamentów.

Dyament *Sanci* tak nazwany od Mikołaja de Sanci do którego należał; waży 55 karatów i kosztował 625,000 zł. reń. Dyament ten należał do ostatniego z Xiążąt Burgundyi, który miał go u szyszaka w bitwie pod Nancy. Żołnierz szwajcarski znalazł go między łupami nieprzyjacioł, po sławnéj klęsce nie daleko Morat w r. 1475, gdziei sam Karól zuchwały poległ na placu. Szwajcar przedał go za dwa franki pewnemu xiędzu, ten zaś odprzedał go za trzy franki. W 1589 posiadał go Król Portugalii i zastawił pewnemu szlachcicowi francuzkiemu zwanemu de Sanci za 40,000 liwrów bitych, a potém odprzedał mu go za 100,000 liwrów. Familia Sanci posiadała go przeszło przez sto lat. Pod czas wojen Ligi, Henryk III. chcąc zaciągnąć Szwajcarów do swego wojska, prosił jednego ze swoich kapitanów z domu Sanci, aby jego familia dała w zastaw ten dyament Szwaycarom. Kapitan przystał na to, lecz zaufany sługa któremu powierzono ten dyament znikł z nim razem i nie mały przeciąg czasu upłynął nim się dowiedziano co się z nim stało. Nareszcie usłyszano iż złodzieje napadli go i zabili, odkryto miejsce gdzie był pochowany, wydobyto ciało i znaleziono dyament w jego żołądku: połknął go bowiem wpadłszy w moc zbójców. Po tém baron de Sanci odstąpił ten dyament Jakóbowi II. Królowi Anglii; od niego przeszedł w posiadanie Ludwika XIV i należy dziś do dyamentów korony Francyi.



LIZBONA.

LIZBONA

Podług jednozgodnego zdania podróżników, żadne widowisko wykształconego świata, nie przewyższa zewnętrznej wspaniałości Lizbony, widzianej w odległości mil kilku. Zbudowana jak starożytny Rzym, na siedmiu wzgórzach, wznosi się i rozwija w kształcie amfiteatru na przestrzeni trzech mil francuzkich, albo nawet siedmiu, jeżeli łącząc z miastem zamki i pomieszkania które je otaczają, obejmiemy jednym rzutem oka okręg od Xabergaz aż do Belem. Klasztory i pałace Lizbony, dzięki nierówności gruntu, nie są zakryte i zagrzebane między domami, jak w naszych miastach zbudowanych na płaszczyznie. Wszystkie gmachy odbijają się na widokręgu i błyszczą całą świetnością czarownego nieba.

Bajron który znajdował się w Lizbonie w r. 1809, mówi w pierwszej pieśni Childa-Harolda: „O Boże! z jakiemże uniesieniem widzimy to, co niebo uczyniło dla tej zachwycającej krainy. Ileż wonnych owoców wszędzie ubarwia drzewa! Ileż świetnych widoków ze wszech stron otwiera się na wzgórzach! Ileż piękności rozwija, przed oczyma naszemi, Lizbona i jéj obraz kołyszący się na téj szlachetnéj rzece, którą poeci złotym piaskiem usłali!“ Lecz ten zapał Childa-Harolda nie trwa długo; skoro tylko wnijdzie wewnątrz stolicy Portugalii, czuje niesmak. „Chaty i pałace, mówi, zarówno cechuje obmierzłe niechędóstwo. Mieszkańcy wychowują się w błocie, wielcy i mali równie nie stoją o czystość odzieży!

Od roku 1809 poczyniono rozmaite ulepszenia, które byłyby uspokoiły oburzenie poety. Lizbona dzieli się na dwa miasta. Stare miasto składa się z szczątków pozostałych po okropnéj klęsce w r. 1755: jest to brudny zbiór krytych i wązkich ulic, nic się tam nie zmieniło; lecz nowe miasto powiększające się co dzień, zaczyna zasługiwać na, to aby zdjęto z niego klątwę przez Bajrona rzuconą. Domy wyso-

...e na trzy do pięciu piąter, ulice proste, nie brukowane wprawdzie, lecz opatrzone chodnikami, każden dom dotyka do ogrodu. Policya jest także daleko czynniejsza, aniżeli była przed dwudziestą lub trzydziestą laty. W owej epoce, cudzoziemcy nie byli pewni życia, a przynajmniej tak pisze Bajron w nocie do swego poematu. »Jest to wiadomą rzeczą, że w roku 1809 zabijano po ulicach Londynu i w okolicach, i nie tylko Portugalczycy padali ofiarą morderców. Codziennie dowiadywaliśmy się że zabijano Anglików. Zamiast starać się o poskromienie tych zbrodni, polecono nam, żebyśmy nie mięszali się do kłótni i sporów których będziemy świadkami; chociażby nawet napadnięto na jednego z naszych współziomków. Jadąc do teatru, byłem napadnięty o godzinie ósméj wieczorem, chociaż o téj porze bywa wiele osób na ulicy; zdarzyło się to na przeciw otwartego sklepu i było nas dwóch w powozie. To szczęście żeśmy byli uzbrojeni; bez tego środka ostrożności, dostarczylibyśmy przedmiotu do powieści, zamiast jéj opowiadania" Można sobie wystawić, że w takim stanie Lizbona nie wzbudziła zajęcia podróżnych i to wyjaśnia dla czego tak mało piszą teraz o Portugalii.

Lizbona nie ma ludności odpowiedniéj jéj obszernemu okręgowi; liczba mieszkańców nie dochodzi 260,000. W dwóch okręgach miasta, liczą przeszło 500 ulic i 60 rynków po większéj części źle wytkniętych.

Najważniejszy jest plac handlowy Roccio. Z jednego do drugiego placu prowadzą trzy równoległe ulice, Oro, de Plata i del Panno.

Plac Handlu, zwany także *placem Pałacowym*, albo też *placem konia Czarnego*, jest czworobokiem z jednéj strony dotykającym do Tagu, z trzech zaś otoczonym dwu piętrowemi gmachami. Plac ten służy do tego użytku co i giełda i w pewnych godzinach zbiérają się na nim kupcy. W rzędzie gmachów co go otaczają, jest dom kompanii Indyjskiéj, komora celna i biblioteka publiczna. W środku stoi posąg Józefa Igo na koniu, ulany z bronzu. Zapewniają, że oczy konia były niegdyś zrobione z bardzo kosztownych dyamentów i gmin opowiada, że za czasu najazdu francuzów, generał Junot nie mogąc zabrać konia wyłupił mu oczy. Postument jest z jednéj sztuki białego marmuru, którą wydobyto z łomów osiemnastu parami wołów; ściany ozdobione są rzeźbami wystawiającemi tryumfy Portugalii w Indyach i Ameryce. Pomnik ten stoi na podwyższeniu, do którego prowadzi siedm lub osiem stopni i otoczony jest łańcuchami zawieszonemi na marmurowych filarach. Rysunek tego placu należał do ogólnego planu odbudowania Lizbony, po klęsce w r. 1755, który był ułożony przez ministra Pombala. Plan ten bardzo trafnie zastósowany do położenia miasta, poszedł w zaniedbanie po śmierci ministra.

Plac Rocio rozciąga się przed dawnym pałacem Inkwizycyi, teraz zajętym przez ministeryum. Tam odbywa się przegląd wojsk i gwardyi narodowéj, nieco daléj widać publiczne ogrody, których drzewa wycięte są w rozmaite dziwaczne kształty.

Najznaczniejszym gmachem w Lizbonie, jest wodociąg Bemfika. Długi jest na 56380 stóp. Największa jego arkada ma 206 stóp wysokości a 106 otworu, i dostarcza wody dla całego miasta. Jest to jedno z najwspanialszych dzieł tegoczesnéj Europy, mówi Maltebrun; równać je można z największemi dziełami starożytnych.

W liczbie innych pomników i gmachów, można wspomnieć o klasztorze Sgo Wincentego di Fora, założonym przez Jana IIIgo; o klasztorze Garcia stoiącym na szczycie wzgórza, teraz zamienionym w koszary i magazyn, gdzie się mieści 5 do 6 tysięcy ludzi; o kaplicy St. Roque, w któréj filary wielkiego ołtarza są z jednéj sztuki *lapis lazuli*, a posadzka i ściany wyłożone są mozaiką niezmiernéj wartości. Jako anegdotę o jenerale Junot, przeciwną wyżéj przytoczonéj, opowiadano, że rozkazał oderwać te mozaiki i przesłać je do Francyi, lecz gdy rzemieślnicy uszkodzili szkło: „Zatrzymajcie się, rzekł, nie powiedzą że Junot był takim barbarzyńcem, iż zepsuł to arcydzieło." Estrella czyli kościół gwiazd, zbudowany jest na wzgórku Buonos-Ayres; w nim najczęściéj król i królowa słuchają mszy świętéj. Kolumny tego kościoła są porządku Koryntckiego, kopuła jest wzorem szlachetności, wieże zalecają się wytwornością, lecz portyk jest nędzny i nie odpowiada rozmiarowi całego gmachu. Podanie utrzymuje, że architekt przywiedziony do rozpaczy przyganami które ten błąd ściągnął na niego, rzucił się ze szczytu wodociągu i zginął. Klasztor Necessidades jest teraz zamieniony w rezydencyą królewską. Wymienimy nareszcie kościół katedralny, kościoły N. Panny Maryi, da Rosa, i de Coraçao de Jesus, zamek Sgo Jerzego, patrona Portugalii, obszerny pałac królewski któren zaczęto budować, pałac Bemposta, gdzie się odbywają posłuchania monarsze, arsenał marynarki, kolegium szlachty, pałac Calharez, gdzie się zgromadza Akademia umiejętności, teatr San Carlos i t. d.

Z tego wyliczenia, chociaż niedokładnego, można wyobrazić sobie że to jest wielkie i bogate miasto. Jednakże pamiętać trzeba, iż Lizbonę więcéj zaleca klima

i położenie, aniżeli jéj pomniki: ani jeden z nich, prócz wodociągu, nie zadowalnia ze wszystkiem wyobraźni i nie zniesie roztrząsania podług prawideł gustu. To prawda, że w ogólności, podróżni jeżeli nie długo bawią w jakiem mieście, napotykając co chwila przedmioty wzbudzające ich ciekawość i podziwienie, nie mają czasu i chęci wdawać się w roztrząsanie uchybien sztuki. Wyobraźmy sobie, jak osobliwe wrażenie czynić może ten labirynt ulic i gmachów pnących się w górę, zstępujących na dół, wijących się w około wzgórzów we wszystkich kierunkach, widok téj hałaśliwéj ludności, odmiennéj obyczajami i ubiorem, od wszystkich europejczyków. Nędza i znikczemnienie pospólstwa Lizbony, przez długie lata dziwne będą mieszkańcom szczęśliwszych krajów. Barqueiros i Gallejos którychby można do Lazaronów przyrównać, z tą tylko różnicą, że na ich twarzach maluje się dzikość i srogość, bez ustanku błąkają się około domów, szukając roboty, gotowi wmięszać się do każdéj sprzeczki, do każdego zaburzenia; ich liczba wynosi przeszło 20,000. Spią i jedzą na ziemi okryci robactwem. Smażą mięso lub ryby na środku ulicy, a dym zaślepia przechodzących. Maurowie, murzyni, dzieci prawie nagie, kręcą się wszędzie; żebracy wydają żałosne krzyki, przekupki handlujący rybami i drobiem krzyczą lub śpiewają dla przynęcenia kupujących, nosiwody wrzeszczą chrapliwym głosem „Agoa! Agoa! Przydajmy do tego turkot ciężkich wozów, ciągnionych wołmi, których koła i osie nigdy nie smarowane, piszczą przeraźliwie, szeregi mułów i osłów, zwykłe ekwipaże Portugalczyków: bo kto może wyżywić zwierza, ten nigdy nie chodzi pieszo. Gromady kur gdaczą bez ustanku, mnóstwo psów szczeka i włóczy się po ulicach, mleczarki pędzą krowy i doją je przededrzwiami domów i pałaców. Rozprawiają, tłoczą się i kłócą; pospólstwo nie zna żadnego względu, sprawuje się na ulicy tak jakby w stanie natury; a nieład, wrzask, brudy i bezwstyd gminu, częstokroć obudza najwyższy stopień rozjątrzenia i przestrachu. A jednakże, pośród tego obmierzłego zamętu, zdarzają się ładne sceny, widać zachwycające kolory, wytworne orszaki, długie szeregi mułów, obciążonych pomarańczami, cytrynami, figami, różami i mnóstwem innych kwiatów słodką woń roznoszących. Majtkowie ze wszystkich krajów, w strojach właściwych, zacząwszy od czarnego murzyna aż do bladego żeglarza północy, młode kobiety z paziami, żołnierze w świetnych mundurach, kosztowne ekwipaże, przebiegają ulice i urozmaicają widowisko. Oprócz tego, dla uśmierzenia wstrętu, trzeba tylko spojrzéć na czyste i pogodne zawsze niebo Lizbony, na piękne wody Tagu tysiącami żagli okryte, albo też na bogate okoliczne pola. Pewien Niemiec, chcąc w krótkich słowach zebrać swoje wrażenia o stolicy Portugalii, użył tego dziwacznego porównania: „Lizbona rzekł, podobna jest do kobiety na schyłku piękności swojéj, siedzącéj w różanym ogrodzie i dumającéj o tém czem była za młodu, gdy świat cały uwielbiał jéj piękność i ubiegał się o jéj uśmiech. Może też duma o swoich dzieciach, odłączonych od niéj, osiadłych za daleką przestrzenią oceanu, nie pomnych o staréj opuszczonéj i ubogiéj matce, i smutne rzuca spojrzenie ku brzegom Brazylii i Afryki.“

O ŻYCIU I PISMACH
PANI de STAEL.

Pani Stael należy do liczby tych pisarzy, którzy nie tylko w własnym kraju, lecz w całéj Europie wiecznotrwałą zyskali sławę. Gdyby dzieła pani de Stael były płodem pióra męszczyzny, wzbudziłyby uwielbienie i podziw, tem bardziéj przeto zasługują na uwagę, iż są dowodem jak wysoko wznieść się może kobieta, a mocą myśli i urokiem stylu, stanąć w rzędzie największych autorów.

Skreślimy najprzód zarys życia pani de Stael; bliższe szczegóły oraz stopniowe rozwijanie się jéj pomysłów znajdzie czytelnik przy kolejnym jéj dzieł rozbiorze. Pani de Stael urodziła się w Paryżu 12go kwietnia 1766. Jéj ojcem był Necker, minister Ludwika XVI w ostatnich latach przed wybuchem rewolucyi francuzkiéj, sławny jako statysta, bankier i pisarz. Jéj matka była także kobietą znakomitego umysłu, znaną z zajmujących i ważnych prac literackich. Ona sama wyłącznie chciała trudnić się wychowaniem córki. Jéj systemat edukacyi w tém przynajmniéj zgadzał się z naturą jéj uczennicy, iż wszystko w nim sprzyjało rozwijaniu umysłu. Salon w którym panna Necker siadywała na taburecie przy krześle matki, był dla niéj najbardziéj nauczającą szkołą; tam roztrząsano najważniejsze przedmioty; tam bywali Thomas, Biuffon, Rajnal, Marmontel, Champfort, Grimm; żaden z nich nie pogardzał rozmową dziecięcia, które ich zadziwiało żywością i trafnością odpowiedzi. Czytanie xiążek działało na nią nadzwyczajnie; wspominała nie raz, że wykradzenie Klaryssy w romansie Ryszard-



PANI de STAEL.

sona, było jednym z ważnych wypadków jéj młodości. W piętnastym roku życia, poczyniła wyciągi z *Ducha praw* przez Montesquieu, a Rajnal prosił ją, ażeby do jego dzieła napisała artykuł o odwołaniu Nanteńskiego edyktu.

Rzadko się zdarza, aby zdrowie nie cierpiało na zbyt mocném rozwijaniu się umysłu. Panna Necker zasłabła niebezpiecznie. Doktór Tronchin zalecił wiejskie powietrze, przechadzki i zaniechanie wszelkich poważnych nauk. Wówczas, pani Necker, nie mogąc daléj posuwać swego planu edukacyi, zupełnie go zaniechała. Swoboda i czynne istnienie, dało nowy popęd władzom umysłu jéj córki, lecz matka przestała zajmować się nią jako swojém dziełem. Odtąd była obojętna, a nawet nieprzyjazna dla świetnych przymiotów, których sama nie ukształciła; a pozorem żalu kryjąc mimowolną zazdrość, odpowiadała gdy jéj winszowano sławy pani de Stael: „*Jest to nic, zupełnie nic, w porównaniu tego co chciałam z niéj uczynić.*“

Przeciwnie zaś, między panem Necker a jego córką, panowało najściślejsze współuczucie. Z jéj strony, było to uwielbienie i cześć do najwyższego stopnia dochodząca. Od dzieciństwa tak dalece posuwała poświęcenie swoje, iż będąc świadkiem z jakim zapałem jéj rodzice przyjęli autora angielskiego, Gibbona, wystawiła sobie iż powinna pójśdź za niego i wynurzyła to życzenie swojéj matce. Miała wówczas lat dziesięć. Względem ojca zachowała zawsze toż same uczucie. Wszystko odnosiła do niego, nigdy nie chciała pomyśléć o tém iż go może stracić, a po jego zgonie nigdy nie mogła jego straty zapomniéć.

Liczni pretendenci ubiegali się o rękę panny Necker; mimo tego poszła za mąż dopiero w dwudziestym roku życia. Baron de Stael-Holstein, poseł szwedzki we Francyi, zwyciężył swoich rywalów, dzięki wstawieniu się Gustawa III i uroczystéj obietnicy, że nigdy nie zniewoli żony, aby mu towarzyszyła do Szwecyi. Zawarte obojętnie, małżeństwo to skończyło się tym

samym sposobem; baron umarł z tą pewnością, ze jego imie nie zginie: jest to jedyne wynagrodzenie zachowane dla człowieka pospolitego umysłu, który zaślubił kobietę z talentem.

Gdy wypadki rewolucyi coraz to smutniejsze i okropniejsze, zniewoliły jéj ojca, iż złożył ministerstwo w Czerwcu 1790 i na zawsze opuścił zawód polityczny, pani Stael musiała z mężem pozostać w Paryżu, ledwie nie padła ofiarą wściekłego gminu jak tyle najznaczniejszych i najznamienitszych osób; nareście z nie małym trudem schroniła się do Szwajcaryi, do Koppet, majętności swego ojca. W 1795 wróciła do Paryża, gdyż jéj mąż objął znowu urzędowanie swoje przy Dyrektoryacie, jako poseł szwedzki. W 1797 pierwszy raz poznała Bonapartego po jego powrocie z kampanii włoskiéj. W 1798 straciła męża i osiadła przy ojcu swoim w Koppet. Odwiedził ją Bonaparte w 1800, podczas przeprawy przez górę Sgo Bernarda i wiele rozmawiał z nią o przyszłych zamiarach swoich. Nie długo trwało to dobre porozumienie. Necker wydał w 1802 pismo p. t. „*Ostatnie postrzeżenia polityczne i skarbowe*“ a w niém oddając pochwały geniuszowi Bonapartego, wskazał jego dalsze zamiary dążące do osiągnienia tronu. Panią de Stael obwiniono że dostarczyła ojcu fałszywych wiadomości o stanie Francyi i zabroniono jéj pobytu w Paryżu. Od tego czasu żyła w Koppet przy ojcu, albo podróżowała po Europie aż do r. 1814. W r. 1802 wydała romans *Delfina*. W 1803 odbyła pierwszą podróż do Niemiec. Wiadomość o słabości ojca zniewoliła ją do powrotu, lecz już go nie zastała przy życiu; umarł w Kwietniu 1804 r. Dla rozerwania się w smutku, pojechała do Włoch. Owocem téj podróży jest *Korynna*, najzupełniejsze, najświetniejsze jéj dzieło. W 1810 pojechała do Wiednia, dla zgromadzenia materyałów do dzieła, traktującego o obyczajach, literaturze i filozofii Niemiec. Dzieło to już ukończone w druku, zostało zniszczone na rozkaz Napoleona, a pani Stael zabroniono mieszkać nie tylko w Paryżu, ale nawet we Francyi i rozkazano, ażeby się nie oddalała z Koppet.

Przymuszony jéj pobyt w ojcowskiéj majętności, upiękniony został nowym związkiem małżeńskim. Młody oficer z południowéj Francyi, pan de Rocca, odznaczył się walecznością w Hiszpanii; okryty ranami musiał porzucić służbę i osiadł w Genewie. Kilka wyrazów pełnych współczucia, które usłyszał z ust pani de Stael, zapaliły jego serce i wyobraźnię. „Tak ją będę kochał: rzekł do jednego ze swoich przyjaciół: iż musi mi oddać rękę.“ Okoliczności sprzyjały temu życzeniu. Pani de Stael zawsze pragnęła ziścić to, co uważała za ideał szczęścia, to jest miłość w małżeńskiém pożyciu. Tknięta przywiązaniem pana de Rocca, została jego żoną. Nowy ten związek uczynił ją szczęśliwą, chociaż wprowadził w trudne położenie: gdyż obawiając się śmieszności i nie chcąc zmieniać wsławionego nazwiska, zataiła swoje zamężcie. Gdy Napoleon co raz bardziéj ją prześladował, opuściła Szwajcaryą na wiosnę r. 1812 i przez Austryą, Rossyą i Szwecyą udała się do Londynu. Za powrotem Burbonów wróciła do Paryża. Ludwik XVIII wypłacił jéj dług należny jeszcze jéj ojcu, a wynoszący dwa miliony franków, któremi Necker przy objęciu ministerstwa za Ludwika XVI, zasilił kassę publiczną, a o które daremnie upominał się u Dyrektoryatu i Bonapartego. Ostatniém dziełem pani de Stael były: „*Pamiętniki i uwagi nad głównemi wypadkami rewolucyi francuzkiéj.*“

Z początkiem roku 1817, ciężko zasłabła, przyczyną jéj choroby były troski wygnania, długi pobyt w ostrym klimacie północnym w 1812 i zmartwienie po stracie ukochanego syna. Umarła 14 Lipca 1817. Zostawiła syna i córkę. Syn, baron August de Stael umarł w Koppet 17 Listopada 1827 w 38 roku życia, a wnuk, ostatni dziedzic imienia de Stael Holsztein, umarł w Paryżu 1829. Córka pani de Stael, jest za xięciem Broglio.

Po tym zarysie ważniejszych wypadków jéj życia, przystępujemy do obrazu jéj geniuszu, do stopniowego rozwijania się jéj pomysłów, do jéj prac piśmiennych.

Zwróćmy się do jéj pierwszéj młodości. Śmiało postępowała na drodze życia, która jéj same tylko szczęście wróżyła; przez wrodzoną dobrotliwość nie mogła pojąć nienawiści; a ceniąc i miłując talenta, nie domyślała się zazdrości. Wysławiała geniusz, entuzyazm, natchnienie i sama była dowodem ich potęgi. Miłość chwały i cnoty, powaby tkliwych uczuć, dostarczały przedmiotów jéj wymowie. Nie sądźmy, że jéj umysł zawsze był w uniesieniu, zachowywała trafność i takt w rozmowie; nie porywał ją zapał. I dla tego, w kraju gdzie śmieszność jest tak niebezpieczną bronią, szyderstwo nie mogło jéj dosięgnąć. Wznosiła się nad jego zakres.

Pisma pani de Stael, chociaż w ogólności jednym tchną duchem, posiadają nieco odmienną cechę, stosownie do epoki w któréj napisane były. Podzielę je więc na trzy klassy, odpowiednie trzem okresom jéj życia; pierwszy bardzo krótki przed rewolucyą francuzką; drugi od początku rewolu-

cyi do śmierci Neckera, trzeci od téj epoki aż do kresu jéj życia.

Wzrastająca reputacya pani de Stael zrządziła, iż chciwie czytano każde jéj pismo, jako to synonimy, obrazy i inne próby w tym rodzaju, a te owoce rozrywek towarzyskich, już się odznaczały trafnością myśli i żywością uczuć. Napisała w ówczas komedyą wierszem i dwie tragedye. Nie potrzeba wspominać, że te sztuki są bardzo niedokładnemi zarysami i nie były przeznaczone do druku. Sztuki te mają tytuł: *Tajemne uczucia*, *Joanna Gray i Montmorency*. Zrażona trudnością wersyfikacyi, porzuciła poezyą i w 20 roku życia napisała trzy powieści, ogłoszone drukiem dopiero w r. 1795. W ostrzeżeniu do czytelnika pisze autorka, *iż sytuacye są tam raczéj wskazane, niżeli rozwinięte i że jedyną ich zaletą jest obraz kilku uczuć serca*. Wstęp do tych powieści obejmuje rozprawę o zmyśleniach, pełną nowych postrzeżeń i pięknych myśli. Rozmaite rodzaje zmyśleń, ich względna stósowność do rozmaitych stopni cywilizacyi, ocenione są z rzadką trafnością.

Lecz najbardziéj wykończoném jéj dziełem z tego peryodu, są listy o pismach i charakterze J. Jakóba Russa. W nich znajduje się żywość i największy urok młodości. Tam już widać autora myślącego, moralistę, kobietę zdolną malować namiętności; lecz jeszcze to wszystko widać pomieszane i jakoby we mgle. Tam złożony jest zaród wszystkich zdań które potem rozwinęła. Przebiega niezmierny zakres wyobrażeń, w tym przebiegu dotyka mnóstwa przedmiotów, a chociaż swój krok zawsze kieruje podług kroku Russa, widać, iż dzieła tego autora bardziéj ją podniecają do własnych uwag, niżeli prowadzą. Zawsze zachowuje samodzielność swego umysłu i obficie rozrzuca własne myśli, wyrażając je z wdziękiem i z lekką skromnością młodéj kobiety.

Wkrótce po tém zaczęła się rewolucya francuzka. Przez czas wzrastających zaburzeń, rozruchów, a nareszcie terroryzmu, pani de Stael nie była zdolna zajmować się żadném ciągłem dziełem; wszystkie zdolności swoje obracała na ratowanie ofiar i dała dowody największego poświęcenia. Pierwszy raz gdy odzyskała swój talent, użyła go na obronę królowéj Maryi Antoniny. W piśmie tém panuje mocne i głębokie uczucie, delikatna litość. Nie chcąc rozjątrzać szaleńców krwi chciwych, usiłuje żeby widzieli tylko w Maryi Antoninie, dobrą i litościwę kobietę, czułą matkę, odważną i poświęcającą się małżonkę. Czyliż mamy powiedzić, że pani de Stael nigdy nie posiadała względów królowéj?

Po upadku Robespierra, pani de Stael wydała bezimiennie dwa pisemka ulotne, jedno: *Uwagi nad pokojem adressowane do pana Pitta i do Francuzów*, a drugie: *Uwagi nad pokojem wewnętrznym* W tych pismach usiłuje złagodzić uprzedzenia Anglików i Francuzów i przywieśdź ich do zgody.

O wpływie namiętności na szczęście pojedyńczych ludzi i narodów.

Kwestya traktowana w tém dziele jest oderwana i ogólna, lecz zgodna była z niespokojnym stanem ówczesnego społeczeństwa. W *Listach o Russie* widać młodą osobę, pełną dowcipu, roztrząsającą z zapałem i uczuciem, mnóstwo świetnych przedmiotów, pośród oklasków licznego zgromadzenia. *W wpływie namiętności*, wszystko przeciwnie ma cechę samotnego dumania. Przestraszona burzami życia, szuka schronienia i wypoczynku; namiętności wrą w koło niéj. Będąc świadkiem i ofiarą wściekłości stronnictw, widzi w około siebie obszerne zwaliska, zburzone instytucye lat dawnych i te które po nich nastąpiły. Cnota, rozum, prawa człowieka, w imieniu których wzburzono namiętności, daremnie chciały oprzéć się ich mocy. Pani de Stael usiłuje przeto rozebrać te tajemnicze siły; zapytuje się, czyli nadzieje przez nie wzbudzone, mogą się ziścić i daje na to zaprzeczającą odpowiedź. Namiętności, zawsze spodziewają się od losu i od ludzi, spełnienia swoich życzeń, a tak więc, szczęście nasze pod obcą zależność poddają. Miłość chwały, duma, próżność, chcą dosięgnąć celu któren się co chwila usuwa przed niemi; tkliwe uczucia potrzebując wzajemności, sądzą że jéj nigdy nie doznają; a samolubstwo i zmysłowe żądze, wysuszając serce, niszczą ognisko szczęścia.

Autorka czyni doskonały rozbiór namiętności, odznacza jedne od drugich tak jasnemi rysami, iż przybierają zupełnie oddzielny charakter, a definicye oderwanych wyobrażeń stają się że tak powiem indywidualnemi obrazami. Rzadki talent do satyr, okazuje się w tych zarysach, jednakże nie ma tam owéj lekkiéj wesołości, którą potem pani de Stael jaśniała. W owéj epoce obarczały ją zmartwienia.

Rozdział o *duchu stronnictw*, zasługuje na szczególną uwagę. Zagorzałość polityczną, jéj zaślepienie, zgubną łatwowierność, maluje z jak największą trafnością i mocą; kreśli potem z tąż samą dokładnością dwie klassy entuzyastów, to jest wielbicieli nowości i obrońców przeszłości. Wszystko jest prawdą w tych obrazach i takiém pozostanie na zawsze, bo zawsze

te dwa stronnictwa trwać będą. Słusznie zarzucano pani de Stael, że wystawiając każdą namiętność jako szkodliwą szczęściu prowadzi do oziębłości i odrętwienia. Najsłodsze uczucia rodzinne, miłość rodzicielska i dziecięca, wdzięczność, dobroczynność, są także namiętnościami, czyliż je mamy poświęcać zimnéj rachubie?

Literatura uważana w związku z towarzyskiemi instytucyami.

Między tém a poprzednim dziełem, upłynął przeciąg lat czterech. Szczęśliwa przemiana zaszła w umyśle pani de Stael. Jéj zasady pozostały też same, lecz jéj myśli wzięły inny kierunek. Rozwagą dojrzały jéj wyobrażenia, ciągłe rozmyślania ulżyły ciężar jéj nieszczęść, podźwignęła się jéj dusza. Jéj myśl zagłębia się w przyszłości, płynie pełnym żaglem do dalekiéj chwały. Mniema że ród ludzki zbogaca się dziedzictwem wieków. Podług niéj, pokolenia nie daremno następują po sobie i zwolna posuwają się ku lepszemu porządkowi rzeczy, którego główne rysy postrzega wieszcze oko talentu. Lecz rozbiór dziejów powinien usprawiedliwić tę błogą wróżbę; trzeba dowieść, że ród ludzki dążył ciągle do udoskonalenia, mimo chwilowych klęsk i przeszkód. Tę pracę podjęła autorka.

Jéj analityczny umysł, szczególnie usposabiał ją do téj pracy, a jéj świetna wyobraźnia musiała ją upięknić. Trudność w ściganiu nierównego postępu cywilizacyi, w wytłomaczeniu jéj przerw chwilowych a nawet cofania się, w zebraniu do jednego rezultatu rozmaitych faktów historyi, ta trudność nie przestrasza ją wcale i prawie zawsze szczęśliwie ją zwalczyła. Ten sam talent dostrzegania z jakim roztrząsała popędy serca, zwraca do roztrząsania władz myślenia, ich skutków i czynności. Uważa instytucye, obyczaje i literaturę, w ich wzajemnéj zależności; rozplątywa delikatne i liczne nitki, wiążące stan społeczeństwa ze stanem religii i filozofii; wskazuje jak na pisarzy wpływa zawsze charakter ich narodu i jak oni nawzajem na ten charakter wpływali. Piękna to myśl, ścigać rozwijanie się umysłu ludzkiego przez pasmo wieków i każdemu z wielkich wypadków, każdemu wielkich ludzi, oznaczyć udział w jego postępie!

Możemy powiedzieć, że Pani de Stael pierwsza zapatrywała się tym sposobem na literaturę, któréj rozbiór był ograniczał się odtąd na ocenieniu dzieł autora podług prawideł Horacego, Boala i Kwintyliana, ona to otworzyła świetny zawód nowożytnéj filozoficznéj krytyki.

(*dalszy ciąg nastąpi*)

DOBROCZYŃCY.

POWIEŚĆ FILOZOFICZNA.

Nie jeden człowiek miany za niewdzięcznego, nie tyle przewinił przez swoją niewdzięczność, ile ten, który mu dobrodziejstwo wyświadczył.

Maxymy de Laroche: foucault.

Lopez mieszkał w ubogiéj chatce, lecz pod pięknem niebem Andaluzyi w małém królestwie Jaen, u kwiecistego podnóża Sierry Moreny, a jego córka Inezylla, jedyne jego dziécię, jego dobra, piękna, ukochana Inezylla, mieszkała z nim razem. Stracił znaczny majątek, lecz tego tylko żałował, że przez to nie mógł ukończyć świetnéj edukacyi córki swojéj.

—»Inezyllo, mówił do niéj; w czasie mojéj pomyślności nieraz świadczyłem dobrodziejstwa, a nikt mi nie przychodzi na pomoc; wspaniałomyślność rzadko przebywa w sercu człowieka,

—»Wielka liczba niewdzięcznych zdaje się bydź dowodem przeciwnego twierdzenia, odpowiedziała Inezylla.

—»Niewdzięczność nie byłaby tak pospolitą, gdybyśmy umieli bydź dobroczynnemi; lecz ludzie bogaci i możni, otoczeni bez ustanku pochlebcami, intrygantami, nie zdołają przedrzéć się przez ich natłok, i przynieść szlachetne dobrodziejstwo cnotliwéj nędzy, coby ją wsparło bez upokorzenia. Przedewszystkiém, należałoby dobrze znać tego, któremu świadczyć chcemy.

—»Człowiek idzie za popędem serca i myli się; tak postępowałeś mój ojcze.

—»Złem czynił!

Chciał mówić daléj; gdy wtém zagrzmiało mocno; zbliżała się gwałtowna burza, a Lopez zapominając o dobrodziejstwach i o niewdzięcznych, pośpieszył otworzyć bramę dziedzińca, ażeby podróżni zaskoczeni burzą, mogli znaleźć schronienie pod jego szopą i uniknąć potoku, który już zaczynał toczyć się z hukiem ze wszystkich wąwozów góry.

Świetny powóz zaprzężony sześcią mułami, wjechał na dziedziniec. Don Fernando, młody pan z madryckiego dworu, podróżujący dla nauki, wysiadł z niego, kazał umieścić muły i służących pod szopą, a sam zapukał do drzwi chaty Lopeza; Inezylla otworzyła mu i mocno zdziwił się, że w tak ubogim domku znalazł tak piękną kibić i tak szlachetne rysy. Widok Lopeza niemniej go zdziwił: nie wstrzymał się z wyrażeniem myśli swoich.

***

W chwili jego przybycia, ojciec i córka zabierali się do oszczędnéj wieczerzy. Lopez zaprosił nieznajomego ażeby usiadł, a Inezylla bojaźliwie podała mu krzesło. Fernand przyjął je, przepraszając iż tak niespodzianie przerwał ich wieczerzę, lecz niepodobna było jechać daléj, a żadnéj *posady* (austeryi) nie było w poblizkości. Ten ostatni wyraz przypomniał Lopezowi że podróżny jest na czczo, lecz nim słowo powiedział o tym przedmiocie, Inezylla tąż samą myślą powodowana, położyła trzecie nakrycie na stole.

Fernand zasiadł bez ceremonii i jadł z tak dobrym apetytem, iż biédna dziewczyna zaczęła się lękać, ażeby im nie zabrakło zapasów. Ledwie śmiała dotknąć się jedzenia; Fernand udał iż tego nie postrzega, lecz tak zręcznie naprowadził Lopeza na rozprawę o najlepszych winnicach w Hiszpanii i o sposobie robienia *olla podrida*, że nic nie mogło bydź naturalniejszém od tego wykrzyknienia, którém przerwał starcowi:

—»Dalibóg! o tych rzeczach nie można sądzić bez pokosztowania. Mam właśnie w powozie kilka butelek wina Xeres i wina Rancio, a prócz tego moja dobra stara ciotka z Kazorla, nie puściła mię od siebie bez zapasów podróżnych.

I mimo oporu Lopeza, Fernand natychmiast wydał rozkaz służącym swoim, a dzięki wybornym winom i nowéj żywności, skromna wieczerza Lopeza zmieniła się w biesiadę jakiéj nie jadł oddawna.

Inezylla już spokojna o jedzenie, odzyskała zwyczajną wesołość; jéj ojciec podniecony winem Xeres i Rancio, oraz nalegającemi pytaniami młodego podróżnego, zaczął mówić z większą ufnością. Pewna zażyłość nastała między niemi; opowiedział swoje nieszczęścia, a gdy Fernand wysłuchał go aż do końca z głęboką uwagą:

—»Na oręż Cyda! zawołał ze łzami w oczach: dzięki składam świętemu patronowi mojemu, iż sprowadził mię do twego pomieszkania! Lopezie, jestem bogatym i czułe mam serce; nie odrzucisz mojéj ofiary. Prędzéj czy późniéj odzyskasz majątek... chciéj bydź moim dłużnikiem...

—»Niczego nie pragnę dla siebie, rzekł Lopez; lecz moja Inezylla jest jeszcze w kwiecie wieku, a już oddawna pozbawiona użytecznych nauk, pieszczot towarzyszki, troskliwości matczynéj: są bowiem starania, których najtkliwszy ojciec nie zdoła zastąpić.

—»Mam ciotkę: odpowiedział natychmiast Fernand z mocném wzruszeniem, biorąc starca za rękę: moja dobra, moja szanowna ciotka mieszka w Kazorla, z dwiema córkami, będącemi prawie w wieku Inezylli. Ta rodzina, połączająca niewyczerpaną dobroć, żywą wiarę, gruntowną oświatę, pozbawiona darów fortuny, żyje z miernéj pensyi, którą jéj udzielam przez wzgląd na jéj cnoty, ludzkość i pokrewieństwo. Kazorla leży niedaleko ztąd nad brzegiem Vegi, w roskosznem miejscu; pójdź w mojém imieniu do mojéj szanownéj ciotki i powierz jéj twoją Inezyllę.

Lopez nie dał mu dokończyć, ucałował jego ręce i skropił je łzami wdzięczności.

Inezylla doznała jak najtkliwszego przyjęcia u ciotki Fernanda, a Lopez wywiedziony z uprzedzenia o ludziach, wrócił do swojéj chaty, sam, lecz zadowolony z siebie i z drugich, przyrzekając sobie, że już nie będzie powstawał na ród ludzki, i że często odwiedzać będzie córkę swoją.

Pewnego dnia, gdy myślał o Fernandzie, o jego delikatnéj wspaniałomyślności: rzuciwszy okiem w około siebie, ujrzał na drzewie nie bardzo wysokiém, maleńką czerwoną gołąbkę ledwie co pokrytą lekkim puszkiem, a która jak gdyby opuszczona od całéj natury, smutnie narzekała w gniazdku swojém. W téjże chwili, ze szczytów Sierra Morina, ptak drapieżny, był to jastrząb, skierował lot swój ku niéj i przez czas niejaki ulatał nad drzewem. Lopez już chciał śpieszyć na pomoc biédnéj ptaszynie, gdy wtém postrzegł, że na widok jastrzębia mała gołąbka przestała piszczyć, wesoło trzepotała się w gniazdeczku i wyciągnęła ku niemu roztwarty dziobek. Jakoż ujrzał, że ptak drapieżny spuszczał się powoli do ptaszyny i dał jéj pożywienie stósowne, dobrane z troskliwością i uwagą, nieznaną pospolitym jastrzębiom.

»O cudo! zawołał dobry Lopez; jakżem był niesprawiedliwy i zaślepiony! Nie chciałem wierzyć w dobroczynność, a ona znajduje się nawet u drapieżnego ptaka.

Nie mógł nasycić się tak tkliwym widokiem i codziennie mu się przypatrywał; był on dla niego powodem niezliczonych uwag. Wkrótce jego wyobrażenia zwróciły się do Kazorla, gdzie także dobra jego Inezylla żyje szczęśliwa, pod opieką bogatego człowieka.

Już gołąbka zaczęła porastać w srebrzyste piórka, już od gałązki do gałązki doświadczała bojaźliwego lotu, a jéj dziobek ostrzejszy i twardszy, łatwiéj chwytał pożywienie. Pewnego dnia, jastrząb przyniósł jéj zwyczajną pastwę: bacznie przypatrzył się wychowanicy swojéj, obudziła się jego drapieżność i rozszarpał biédną.

Lopez patrzał się na to; stanął zadumiony i przerażony.— O Boże! zawołał, cóż ja to widzę! (Dobry człowiek dziwił się że jastrząb zjadł gołębicę, gdy właśnie przeciwny wypadek byłby rzeczą nadprzy-

rodzoną). Lecz natychmiast przypomniał sobie córkę swoją, i nie tracąc chwili pośpieszył do niéj... Przez drogę powtórzył ze sto razy: »*Wprzódy nim przyjmiemy dobrodziejstwo, trzeba należycie wywiedzieć się o tych, którzy je świadczą. Protektorowie i protegowani nie powinni wchodzić w stosunki aż po wzajemném zasięgnieniu wiadomości.*

To mówiąc, przybył zadyszany do Kazorla; pobiegł do mieszkania córki swojéj... Jeszcze nie było zapóźno....

SYBERYISCY KUPCY

KARAWANA W WSCHODNIO POŁNOCNEJ CZĘŚCI TEJ KRAINY.

przez J. K. autora dzieła: Wiadomości o Syberyi i podróże w niej odbyte.

Dziwiemy się niebezpieczeństwom i stratom na jakie poświęca się kupiec, przebywający na wielbłądzie, wśród znojów, obszerne pustynie Arabii lub Afryki, gotowe co chwila wzburzyć się i pochłonąć śmiałka w oceanie piaszczystym. Bandy rozbójników grożą łupieztwem i niewolą, a duszące wiatry zieją śmiercią... lecz za to podróż ta dosyć prędka, a korzyści z niéj aż nadto wynagradzają wszelkie obawy i straty. Przypatrzmy się teraz Syberyjskiemu kupcowi, który dla 10 procentów zysku, przejeżdża corocznie po dwa razy trzy tysiące wersżt od Jakucka do Kołymy, i z tamtąd wraca w czterdziestostopniowe mrozy, przez ponure lasy i niezmierzone okiem bagna; nie widzi żadnéj postaci ludzkiéj, w przeciągu trzech miesięcy ani razu pod strzechą gościnną nie spoczywa i ciągle wystawiony jest na niebezpieczeństwo iż może go zasypać zamieć śniegowa, może w czasie noclegu stać się pastwą dzikich zwierząt, a co najgorsza, żywcem może być zagrzebanym błąkając się wśród nieprzebytych pustyń. Wolno, jeden za drugim, noga za nogą, ciągną konie, ustające pod siedmiopudowemi ciężarami. Z trudnością stąpają po zaspach śnieżnych, na których spostrzegać się tylko dają ślady zwierząt, tylko fale wczorajszéj zamieci. Podróżujący, okryci *dochami* (1) i szubami, w ogromnych czapkach sierścią na wierzch włożonych, nazywanych *czabakami* i w jelenich *untach* (2) nieledwie aż do pasa, w maskach na twarzy, z futrem obwiniętym w koło szyi, siedzą nieruchomi na wysokich Jakuckich siodłach, wszyscy zachowują najgłębsze milczenie. Atmosfera ponura i zgęszczona; karawana postępuje wśród mgły dotykalnéj; wschodzące słońce zaledwie przebija się; krwawe światło rannéj zorzy, okazuje się w przezroczu na krawędzi horyzontu, i z gęstéj pary zasłona podnosząca się, wije kłęby nad ich głowami. Słońce jakby kula ognista opiera się na ziemi, i w oka mgnieniu miliony tęcz przesuwają się po śniegu, po zlodowaciałéj trawie okrywającéj błota i po niskich krzakach. Swiecące gwiazdeczki latają w powietrzu, jasne promienie podnoszą się i poruszają jak kłosy w porze żniwowéj. Cienie drzew odbijając się i wzrastając w zgęszczonym tumanie, w olbrzymich postaciach powstają z ziemi, tworzą fantastyczne wyobrażenia baszt, wież, słupów, i zamków (3). Widok okazały, chociaż tylko przez chwilę trwający. Słońce zaszło, a z nim zniknęły te uroki; martwe pole znowu okryło się całunem śniegowym; znów suche krzewiny stoją na około, obciążone szronem. Nie słychać świergotania ptaszka, ani żadnego głosu. To coś okropniejszego od mogiły! Tam śmierć połączona z myślą o życiu, lecz tu go nie ma. Pewne znaki zwiastują że karawana już się zbliża do miejsca noclegu; wędrowcy ożywiaią się, popędzają konie wykrzykując bar! "ar! (daléj, daléj). Chwała Bogu przyjechali! opalone pniaki sterczą z pod śniegu, to jest miejsce

(1) Szuba z sarny lub z konia, sierścią na wierzch wywrócona.

(2) Z jeleniéj skóry zszywane buty powyżéj kolana, sierścią na wierzch.

(3) Podobne odbicia się (mirage) widział w zimowéj porze Półkownik Tod w stronach północnéj Azyi i kapitan Wrangel w czasie niebezpiecznéj podróży psami na lodach zatoki Beryngа. Pierwszemu przedstawiały one wspaniałe miasto z zębczastą ścianą, z minaretami, basztami, cudowne zamki, olbrzymie drzewa. W oczach drugiego były to skały, nadbrzeża, odległe lasy i tym podobne przedmioty. Trzeba jednak wiedzieć, że to nie było odbicie się od wody (mirement) przedstawiające rzeczywiste przedmioty przewrotnie albo na powietrzu, ani też była to woda stepowa (tak nazywają Araby i Persy optyczne morze, uciekające od podróżnego; o którem wspomina Kwintus Kurciusz) lecz to było osobne zjawisko dotąd jeszcze nie objaśnione przez badaczy przyrodzenia. Indyjanie nazywają go (sie-kote) zimowe gmachy. Niewiadomo jakie imie nadają mu dzikie narody Syberyjskie.

ogniska. Jezdzcy z siadają z koni. Jedni zdejmują z nich ciężary i siodła, inni szukają pastewniku, na którymby z większą łatwością konie mogły dobywać kopytem nędzny mech z bagien; inni znów ciągną chrust, z którego powoli trzeszczący wznieca się ogień; kupcy kładą się w około niego na niedźwiedzich skórach, oczekując na herbatę i wieczerzę. Odzienia wszystkich bielą się od mroźnego szronu; ich boa i maski na twarzach zlodowaciały; zdejmują więc je do przesuszenia. Oddychają, a oddech spada w szron obrócony; rozmawiają, a ruch głosu widać w powietrzu. Wiele trzeba czasu póki nie odmarznie zlodowaciały chleb i aż zgotuje się pożywienie; lecz i wtedy trzeba jeść nie zdejmując kotła z ogniska ani rękawic z ręku. Kładąc się spać, koniecznie aż do koszuli trzeba się rozbierać, aby przesiąkłe parą szaty, przesuszyć nad ogniem: można sobie wystawić jak nieprzyjemne takie rozebranie na mrozie i wietrze. Częstokroć w nocy zrywa się *buran* (4); zasypuje śniegowym wałem konie i podróżnych. Wydarza się niekiedy, że w takiém niebezpieczeństwie zostają po dwa dni, i tyleż potrzebują czasu dla posilenia wynędzniałych koni. Nad rankiem znowu puszczają się w dalszą podróż przy blasku zorzy północnéj, już to sypiącéj po niebie snopami rakiet, już to przemieniającéj się w tęcze lub w jasne słupy. Tak to jest znojna i jednostajna cała podróż. Sama tylko tęsknota i przykre cierpienia, przekonywają człowieka że jeszcze żyje; lecz myśl i serce jego w odrętwieniu zostają.

Tym sposobem przywiezione towary w strony biegunowe, kupcy sprzedają na jarmarkach w Lasziwersku. w Srednim i Niżnym-Kołymsku, urzędnikom, mieszkańcom składającym się z kozaków, Jakutom którzy już zapomnieli własnego języka, Koriakom, Jukagirom (5) i nakoniec Czukczom. Jarmarki te odbywają się w miesiącu marcu lub w początku kwietnia. Od nich to, za kotły, grube sukna, kitaj i różne drobnostki, wymieniają najlepsze z lisów futra, z ogniwek, krzyżaków, czarnych soboli i piesaków, któremi stroją się elegantki całéj Europy i baszowie wschodu.

Czukcze, naród wojenny i zapalczywy, składają swe Jessaki czyli podatki z futer, rządowi, kryją się jednak w lasach i nie uznają nad sobą żadnéj władzy. W ostatnich latach, w mniejszéj daleko liczbie ściągali na jarmarki i u wielu z nich spostrzegać się dały bronie palne nie pochodzące bynajmniej z Rossyjskich fabryk. Wnosić wypada, że Amerykańscy łowcy wielorybów, zaopatrują ich temi przedmiotami. Czukczy jak i wszystkie dzikie narody, mają wielką skłonność do wódki, chociaż zamiana jéj surowo wzbroniona. Lecz czegóż nie robi się ukradkiem? Za szklankę wódki w podobnym razie kupiec dostaje futro z krzyżaka (Чернобурая лиенца) za drugi, Czukcza gotów oddać trzy razy tyle, lecz obawa i strach wstrzymują chęć zysku i zamiana kończy się w zgodzie. Kupcy odrachowawszy futra po czterdzieści, zaszywają je w worki i nakupiwszy mamutowéj kości (6), ładują wiuki na konie i śpieszą przebydź jaknajprędzéj bagna syberyjskie, póki nie odtopnieje lodowa skorupa pod mchem ukryta, ażeby jeszcze pośpieszyć na jarmark Jakucki, dokąd przybywają w miesiącu Lipcu, w objęcia żon, krewnych i znajomych.

Przywiodłem was przyjaciele moi aż do Kołymy, trzeba nam się jéj przypatrzyć. Powierzchowność tych osad nazwanych miasteczkami, wcale niepowabna: kilka dziesiątków domów rozrzuconych po niskim brzegu, u których nie widać ani podwórza, ani przybudowań, dla tego że niema domowych zwierząt ani gospodarstwa; niewielka drewniana cerkiew, takiż magazyn zboża, soli, prócz tego tu i owdzie porozrzucane jurty (7): oto i wszystko. Do tego dodajcie rozciągnięte sieci, żerdzie z zwiędłą rybą, gdzie niegdzie postaci ludzkie, a wszędzie wielkie mnóstwo psów, oto macie zupełny obraz téj okolicy. Lecz i w tym zapomnianym od świata kącie, żyją ludzie; i oni mają żądze a nawet namiętności. Kołymiaki słyną gościnnością, również jak córki ich pięknością i przyjemnością. Sen, albo raczéj śpiączka powszechna, w kraju w którym cała zima jest nocą, koniecznie zajmuje większą część czasu. Dla oszczędności, zazwyczaj śpią dniem, dla tego iż w nocy przyświeca zorza północna. Porzuciwszy miękkie puchy, zasiadają w około samo-

(4) Tak w Syberyi nazywają zamieć gwałtowną.

(5) O tych wszystkich narodach można powziąść dokładniejszą wiadomość z dziełka pod tyt:.. Wiadomości o Syberyi przez JK.

(6) Mamutowéj kości wywożą corocznie około 2000 pudów: pud w Jakucku kosztuje do 25 rubli assyg. W bliskości Kołymy, oprócz rodzajów słoni znajdują jeszcze kości wielu innych zwierząt czworonożnych. Między innemi rogi Nosorożca (Rhinoceros), które to rogi mieszkańcy tych miejsc poczytują za pazur olbrzymiego ptaka, ogołającego ich kraj. Opowiadają oni, że jeden z przemyślnych ludzi osadził na wierzchołku sosny ostre żelazo w kształcie kopii, i ptak przebił się siadając na niego.

(7) Pomięszkanie koczujących narodów.

waru, tego że tak rzekę bożka Syberyjczyków, i popijając z przekąską cukru (8) herbatę, z próżniactwa zaczynają ogadywać bliźnich. Czas ten przebywania kupców Jakuckich w Kołymie, jest karnawałem dla mieszkańców najweselszym, a chociaż tam drogie są mocne trunki, popijania jednak i zabawy bezprzestannie następują jedne za drugiemi i to jest przyczyną dla czego mała liczba kupców zbogaca się pomimo korzystnych zamian. Posiedzenia wieczorne, pieśni i jazda na saniach, zajmują ostatnie chwile, i w czasie tych spacerów psami, niekiedy mimowolnie całe to wesołe towarzystwo natrafia na białego niedźwiedzia, który głodny błądzi w około pomieszkań. Psy ujrzawszy go rzucają się, śmiałe wielością swoją i nie słuchając głosu panów; dogoniwszy go, otaczają i skubią. Możecie wystawić sobie, strach, krzyk i zamięszanie *towarzystwa!* Zazwyczaj jednak polowanie to kończy się szczęśliwie, dla tego, że psy okręcają go zaprzęgą swych sani jak siecią, włoką po śniegu, a mężczyznom pozostaje tylko dobić zwierza kopijami których używają do opierania się na wywrotnych skurzannych saneczkach. Zebrawszy się wracają do domu, i znów do samowaru, tytoniu i wódki: trzy rzeczy które lubią namiętnie do najwyższego stopnia. Kołymiec nie mając chleba na stole, używa z herbatą suszonéj ryby *Iakuty*, zamiast sucharów, niszczy się ażeby upić się wódką, chociaż ta jest droższa od mąki (9). Kołymka gotowa oddać ostatnią *parkę* (10), *za szczypkę herbaty i za kawałeczek cukru dla przekąseczki.*

Tabakierka lub fajka nie wychodzi nigdy z rąk północnego Syberyjczyka; ta ostatnia najwięcéj jest używana od dzikich narodów. Nie zawsze jednak spoczywa zima na *fundrach* biegunowych. Jak przelotny ptak zjawia się lato, czém krótsze tém piękniejsze. Przyrodzenie ujmując tym stronom, zbóż, ogrodowych roślin i wszelkich domowych i roboczych zwierząt (11) wynagrodziło za to w letniéj porze, przelotem ptaków ogromnemi stadami, które w czasie lenienia się, mieszkańcy tysiącami w sieci zaganiają. Rzeki napełnione są smacznemi rybami, w nadzwyczajnéj obfitości, i nakoniec dzikie reny, zaopatrują darem mięsa swego na rok cały.

Syberya obfituje w różne rodzaje jeleni. Są i zwyczajne nasze jelenie (*cerf*, *stag*) i moraty które Anglicy nazywają *elk*, Amerykanie *moofe deer*, a których rogi chińczyki tak wysoko cenią, i nakoniec właściwe tylko Syberyjskie jelenie, czyli reny, i tych to ostatnich najwięcéj znajduje się w Syberyi. Reny żyjące w stronach górzystych, zimową porą pasą się na dolinach, a w letnie upały uchodzą przed komarami i owadami w śniegowe *golce* (12). Przeciwnie zaś, te które żyją w lasach, szukają chłodu w stronach przybiegunowych, i ciągną na bagna dla mchu, ulubionego pożywienia swego, i dla miękkiego legowiska na niém.

(8) *Z prikuskoj*, biorąc kawałek cukru w usta tak piją herbatę w Syberyi.

(9) Pud żytniéj mąki kosztuje tu 18 rubli assy: a kwarta wódki owocowéj 25 rubli.

(10) *Parka*, jelenia, szuba w kształcie koszuli, uszyta z kapturem, sierścią na wierzch Ostiaki używają i drugiéj sierścią do ciała, i ta się nazywa malica.

(11) We wszystkich tych miejscach gdzie używają psów do jazdy, niepodobną jest rzeczą hodować bydło, chociażby mogło wyżywić się, zażartość albowiem głodnych psów w letniéj porze jest tak wielka, iż rozrywają konie i krowy w kawały. W Ochocku i kot nawet jest osobliwością.

PRZYGODY

pewnéj familii angielskiéj.

ROZDZIAŁ I.

DZIECIE ZRANIONE.

Gdy w roku 1818 sprzymierzone wojska zajmowały Francyą, nagła i niespodziana pomyślność, objawiła się w północnych miastach tego kraju, gdzie stały najznaczniejsze oddziały wojska angielskiego. Kambraj, przeznaczone dla głównego sztabu lorda Welingtona, więcéj jak inne miasta, zmieniło postać, stało się ożywionem, handlowem i bogatém. Cudzoziemcy starali się ująć mieszkańców; dawano świetne zabawy, hojną dłonią sypano złoto, to wszystko zaprowadzało między mieszkańcami i wyspiarzami przyjazne stosunki. Z ciekawością przypatrywano się obrotom wojennym i przeglądom wojska, nakazywanym przez lorda Wellingtona dla zatrudnienia żołnierzy. Zadziwiająca dokładność obrotów, świetność i bogactwo mundurów, urok muzyki, to wszystko wzrok przynęcało.

Skoro tylko pułki wychodziły na plac musztry, natychmiast ludność śpieszyła za niemi, gdy tym czasem, biédny mały chłopczyna dwunasto letni, blady, słaby, siedział smutnie na krześle przy pro-

(12) Tak nazywają ogołocone z roślinności góry okryte śniegami.

gu księgarni, i z żalem patrzał na żołnierzy i wesoły tłum ludu. Ach? cóżby on nie dał żeby mógł biedz razem z temi chłopcami, którzy przez pustotę naśladowali poruszenia muzykantów Angielskich. Cóżby on nie dał, żeby mógł biedz, skakać, prześcigać się tak jak oni! Ale to nie dla niego! on musi trawić dni w bezczynności, nie zna dziecinnych uciech; bez ustannie matka pielęgnuje go z jak największą troskliwością; zdrowie jego wymaga tysiącznych starań: bez nich, to wątłe życie zgasłoby wkrótce. Jest to słabe światełko, które ochraniać trzeba od najmniejszego powiewu; jest to roślina, któraby uschła od promieni słońca, przy których inne kwiaty rosłyby i kwitły.

Lecz pewnego dnia, poranek był tak ładny, powietrze tak miłe, tak orzeźwiające, muzyka tak zachwycała i unosiła swym dźwiękiem, że mały chłopczyna uczuł w sercu gwałtowną chęć bawienia się choć raz w życiu jak inne dzieci i zobaczenia tych obrotów, o których tyle zawsze słyszał, a nigdy widzieć nie mógł. Zerwał się ze swego krzesła i rzucił się w tłum który uniósł go z sobą. Wkrótce, świeżość powietrza, hałas, ruch, odurzyły go; uczuł jakiś zamęt w głowie; chciał się zatrzymać, lecz nie mógł; chciał się wesprzéć lecz nikt mu ręki nie podał; wtenczas siły go opuściły, i padł bez zmysłów w chwili gdy oddział kawaleryi nacierał w tę stronę a tłum cały z pośpiechem się cofał.

Nieszczęśliwe dziecię uderzył koń nogą w głowę.

Wtenczas, nagle rozszedł się krzyk przerażenia i boleści; każdy przybiegł do niego. Gdy się przyglądano martwemu ciału nieznajomy przedarł się przez tłum ciekawych, nakazująca postać jego wrażając poważanie ułatwiła mu przystęp do zranionego dziecięcia. Tam przyklągł na ziemi; przerażenie malowało się na jego twarzy gdy ujrzał szeroką ranę w głowie. Nie tracąc jednakże czasu, rozdarł chustkę, opatrzył ranę, wziął dziecię na ręce i dowiedziawszy się o mieszkaniu zranionego, nikomu nie chciał powierzyć swego ciężaru i pośpieszył do księgarni.

Możecie sobie wyobrazić rozpacz biédnej matki, na widok zbroczonego ciała które jéj przyniesiono. Lecz była to kobiéta silnéj duszy, przyzwyczajona oddawna walczyć z nieszczęściem i cierpieniem; zamiast narzekać i łzy ronić; uzbroiła się w odwagę, posłała łóżko dla dziecięcia, i wydała najdokładniejsze rozporządzenia, ażeby natychmiast przywołano chirurga. Wskazała miejsca gdzie mają go szukać, na przypadek gdyby go nie zastano w domu, jeszcze przydała kilka szczegółów mogących przyśpieszyć ratunek dla jéj dziecięcia, i nie straciwszy ani na chwilę przytomności umysłu, wróciła do łóżka, gdzie oficer angielski zajęty był rannym jéj synkiem.

—„Pani, rzekł, długo przypatrując się ranie: Pani, zaręczam ci za wyleczenie dziecięcia, jeśli je zechcesz powierzyć moim staraniom.

Biedna matka patrzała na cudzoziemca, oczyma, w których czytać można było wątpliwość, nadzieję, obawę i niepewność.

—„Dosyć długo uczyłem się chirurgii, i tę ranę potrafię szczęśliwie zagoić; spuść się na mnie, dodał, i zaufay temu co ci powiadam. Matka znowu spojrzała na człowieka który do niéj mówił: mógł on miéć czterdzieści pięć lat, czoło zupełnie miał nagie, prócz pozostałych gdzie niegdzie kilku jasnych włosów na samym wierzchu głowy; oczy pełne ognia i umiejętności, nadawały jego twarzy wyraz mocy i pogody; łatwo było można poznać, że pod zimną powierzchownością, ukrywa się serce przystępne w spółuczuciu.

— „Zaufam ci Panie, rzekła, gdyż tajemniczy głos mówi mi, że mię nie zawiedziesz.

Cudzoziemiec zimno się uśmiechnął, napisał na kartce wydartéj ze swego pugilaresu, czego potrzebuje z apteki, i polecił żeby mu to wszystko natychmiast przyniesiono. Gdy to nastąpiło, zajął się opatrzeniem rannego, z taką zręcznością i biegłością, jakąby poszczycić się mógł najdoświadczeńszy chirurg.

—„Teraz Pani zostaw mię samego z moim chorym; będę się starał jak najrzadziéj go odstępować i ja tylko sam pielęgnować go muszę. Jeśli Pani pozwolisz, napiszę do domu kilka słów, ażeby mój służący przyniósł mi łóżko obozowe na którém zwykle sypiam i które mi postawią przy łóżku syna twego. Gdy dziecię już będzie można ruszyć z miejsca, każę je przenieść do siebie, ażebym mógł je ciągle doglądać i nie czynić pani przykrości przebywaniem w jéj domu. Chociaż wezmę je do siebie, bądź pani spokojna, będziesz je mogła często odwiedzać!

Mowa tego człowieka miała tyle powagi i taką ufność wzbudzała, iż matka nie opierała się i na wszystko przystała. Już wyjść miała z pokoju, gdy wszedł przywołany chirurg. Był to człowiek światły, nie mógł się jednak wstrzymać od wyrazów podziwu i uwielbienia, gdy ujrzał z jaką cudną zręcznością Anglik opatrzył ranę Samuela: tak się nazywał mały chłopczyna. Po tém usilnie namawiał Panią N*** ażeby położyła ufność swoją w nie-

znajomym który się podjął wyleczyć jéj syna, i odszedł napełniwszy pociechą i nadzieją serce matki.

Cudzoziemiec przez całą noc nie odstąpił chorego. Pani N. również nie spała, jak się tego domyślacie; przejęta niespokojnością nieraz przykładała ucho do drzwi pokoju i słyszała jak lord E. zrywał się z łóżka, skoro dziecię najmniejszy jęk wydało, i uśmierzał cierpienie, podając mu napój, ktoren sam własną ręką przyrządził.

To trwało przez trzy dni; czwartego dnia, chłopczyna odzyskał przytomność, poznał matkę, biedną matkę, która płakała z radości i boleści.

—„Już teraz żadne niebezpieczeństwo nie grozi: rzekł oficer angielski do Pani N. Jednakże stan Samuela wymaga ciągłych starań; ja sam wystarczyć nie mogę. Chcę więc, jak już Pani mówiłem, wziąść go do siebie. Mam ogród obszerny, kilkoro dzieci; ich towarzystwo i świéże powietrze, uprzyjemnią i przyśpieszą wyzdrowienie Samuela.

Pani N*** z niemałą boleścią wymogła na sobie saméj tę ofiarę tak wielką dla serca matki. Lecz musiała; pod tym tylko warunkiem lord E*** ręczył za wyleczenie Samuela, a przytém była mu winna tak wielką wdzięczność, że musiała przystać na jego żądanie. Dziecię opuściło dom matki i przeniesione zostało do lorda E.***

Codzień Pani N*** odwiedzała syna, i codzień cieszyła się widząc, że przychodzi do zdrowia. Wkrótce Lord E.***, pozwolił choremu używać lekkiego posiłku; wkrótce kazał go wynieść do ogrodu, pośród wonnych wyziewów kwiatów, i na ożywcze promienie wiosennego słońca. Zwolna Samuel zaczął się podnosić z krzesła i podzielać zabawy dzieci lorda E.*** One zaś idąc za przykładem ojca, podzielały jego zajęcie się małym rannym, miały około niego najtkliwsze starania. Dla niego przestały biegać po ogrodzie, gonić za motylkami, przerwały ćwiczenia gimnastyczne, i tylko wolnym krokiem przechadzały się z swoim nowym towarzyszem nad brzegiem czystego strumyka, w którym się pluskały złote i purpurowe rybki. Jeśli Samuel uczuł najmniejsze znużenie, jeśli się zatrzymał, zaraz przynoszono mu krzesło; jeśli pochwalił jaki kwiatek, czemprędzéj pośpieszono zerwać go, a jeśli jakiego cierpienia doznawał, w téj chwili biegły dzieci do lorda E.*** żeby przyniósł ulgę biednéj dziecinie.

Dzieci okazujące taką troskliwość dla Samuela, były to dwie dziewczynki, jedna trzynasto-letnia Sara, druga dziesięcio-letnia Nelly. Te trzy ładne istoty, sprawdzały cudny ideał wdzięków i świeżości, jakie nam przedstawiają obrazy Lawrensa i sztychy z wzorów tego znakomitego artysty. Jasne włosy Sary spływały w długich pierścieniach na białe ramiona; nic nie mogło wyrównać jéj szczupłéj i giętkiéj kibici. Obie siostry zawsze były biało ubrane, ręce, ramiona i szyję miały odkryte. Nelly nie była tak szczupłą jak siostra, jeszcze w niéj więcéj znać było dziecko; szczupła postać Sary oznaczała przejście z dziecinnego do młodzieńczego wieku. Jerzy zaś, piękny, żywy, odważny, cały dzień wdzierał się na drzewa: już to dla wydobywania ptasząt z gniazd, już to dla saméj przyjemności wdzierania się tak wysoko. Skoro się tylko zdarzyła jaka niebezpieczna wyprawa, czyli to dla wydobycia z wody jakiéj zabawki, czyli dla wypłoszenia szczura wodnego przed którym siostry uciekały, on był zaraz gotów wskoczyć w strumień, lub za strzelbę pochwycić!

Wychowaniem tych dzieci trudniła się guwernantka angielka, pod kierunkiem Lorda E.*** który wcześnie owdowiał i nie chciał zawrzeć powtórnych ślubów. Z miłości ożenił się z lady E***, sierotą po pastorze protestanckim. Bóg pobłogosławił temu związkowi; przez sześć lat nic nie zakłóciło szczęścia lorda. Po upływie tego: czasu, lady E*** umarła, zostawiwszy troje dzieci. Przez czas niejaki lękano się ażeby rozpacz nie zabiła lorda E*** lecz po pierwszém przesileniu boleści, wspomnienie na dzieci przywróciło mu nieco odwagi. Jednakże nie mógł znieść widoku miejsc gdzie tak szczęśliwe lata przeżył z ukochaną żoną. Było to w roku 1815; umyślił podróżować po Francyi, a przepędziwszy kilka miesięcy w Paryżu, wrócił do Kambrai, dokąd wzywała go przyjaźń z lordem Wellingtonem i lordem Hill, jego towarzyszami lat dziecinnych i kolegami w izbie wyższéj. Ulegając ich życzeniu, umyślił przepędzić czas niejaki przy głównéj kwaterze wojsk angielskich i w tym celu najął dom i ogród, gdzie jego dzieci i Samuel tak się ochoczo bawiły.

Po trzech miesiącach, Samuel przyszedł zupełnie do zdrowia i musiał powrócić do matki. Dzieci zasmuciły się tém rozłączeniem. Sara i Nelly płakały, a Jerzy ściskając Samuela, oświadczył że go nie puści. Musiały rozłączyć się, lecz przyrzekły sobie iż się będą codzień widywać.

W rzeczy saméj, chociaż Samuel wracał co wieczór do mieszkania matki, dzień cały przepędzał w domu lorda E***. Co rano około dziewiątéj, przychodził po niego służący. Samuel prędko nauczył się mówić po angielsku, a Sara, Jerzy i Nelly

wprawiały się przy nim w wymawianie francuzkie. Lord E*** okazywał mu takież same przywiązanie jak własnym dzieciom, a gdy każdemu z nich darował małego kucyka angielskiego, Samuel otrzymał taki sam podarunek, mógł brać lekcyą jeżdżenia na kôniu i odbywać przejazdki ze swemi młodemi przyjaciołmi.

Tak ścisłe i tkliwe stosunki, trwały przez dwa lata. W owym czasie, lord Egerton przyszedł do Pani N*** i rzekł do niéj.

—,,Muszę wypełnić powinnosć, a ta powinność zniewala mię do dalekiéj podróży, przez czas której nie chcę odłączać się od moich dzieci. Kupię okręt i opatrzę go we wszystko czego potrzeba do wygodnego życia; jeźli zechcesz, wezmę z sobą Samuela, Sarę, Jerzego i Nelly. Podejmuję się jego wychowania i zabezpieczę jégo przyszłość. Co miesiąc mieć będziesz pani o nim wiadomość.

Pierwszą myślą pani N*** ubogiéj i mającéj troje dzieci, było to, żeby przyjąć ofiarę lorda Egerton; lecz gdy sobie pomyślała że rozstanie się z ukochaném dziecięciem, na długo a może na zawsze, zabrakło jéj odwagi i odmówiła, dziękując z rozrzewnieniem wspaniałomyślnemu lordowi.

Ten człowiek zazwyczaj tak zimny i małomówiący, nie mógł wstrzymać się od oświadczenia, jak mocno go dotyka odmówienie pani N: i zbijałje z wytrwałą cierpliwością.

—,,Kocham to dziecię jak własnego syna, a jeźli zadosyć odpowie moim staraniom, jeźli na dal mieć będzie tak czułe serce i tak trafną pojętność, jestem tak bogatym, iż będę mógł przypomnieć sobie, gdy czas przyjdzie, żem znalazł szczęście w ożenieniu się z ubogą osobą i tym samym środkiem zechcę uszczęśliwić jednę z moich córek. Powtarzam ci nareście, iż kocham Samuela jak własnego syna.

Pani N. zachwiała się w postanowieniu i zapewne byłaby w końcu przyjęła ofiarę lorda, gdyby jéj dziecię nie zachorowało w tym właśnie czasie i to na długą i uporczywą słabość. Musiał więc Lord E*** odstąpić od swego zamiaru i wyjechać bez Samuela.

W dzień odjazdu, gdy Sara, Nelly i Jerzy, ściskali ze łzami kochanego towarzysza nauk i zabaw swoich, ojciec ich oświadczył, iż chce przez chwilę pomówić z nim sam na sam. Wziął go na kolana, uścisnął czuléj jeszcze i rzekł:

—,,Moje dziecię, musimy rozłączyć się i Bogu tylko wiadomo czyli zobaczymy się jeszcze na tym świecie. Lecz jest okoliczność o któréj obydwa nie zapomnimy nigdy i która zawsze łączyć nas będzie, to jest, żeś mi winien ocalenie twego życia. Weź ten pierścień i zachowaj go na pamiątkę moją, na pamiątkę tego który chciał wziąść cię z sobą i byłby cię nigdy nie opuścił Samuelu, gdyby go do tego nie zniewalało dopełnienie ważnéj powinności. Posłuchaj mię przyjacielu, gdyż nie wiem dla czego, czuję, iż muszę przed tobą usprawiedliwić powody mego odjazdu i rozłączenia się z tobą, jak gdybyś był jednym z moich dzieci.

Słyszałeś nieraz jakem wspominał o mojéj żonie, o matce moich dzieci, o téj która przez lat sześć uczyniła mię tak szczęśliwym jak tylko człowiek może bydź szczęśliwym na téj ziemi, a przez cnoty swoje ściągała błogosławieństwo nieba na mnie i na moją rodzinę. Otóż moje dziecię, dowiedziałem się przed dwoma miesiącami, że ta najlepsza z kobiet popełniła okropną niesprawiedliwość, że mimo wiedzy swojéj, przez mylne przekonanie, stała się sprawczynią potępienia niewinnej osoby. Opowiem ci to zdarzenie moje dziecię.

Pewnego dnia, skradziono brylanty Lady E***. Tę kradzież widocznie popełnić musiała osoba obeznana z miejscowością, gdyż żaden ślad gwałtownego otwarcia nie pozostał na biórku, w którém moja żona chowała brylanty: Jakim sposobem mógłby kto dostać się niepostrzeżony do najodleglejszych pokojów mojego domu? Jakimże sposobem mógłby kto wiedzieć gdzie moja żona chowa brylanty?

Długi czas poszukiwania nasze i policyi były daremne; nareście stara ochmistrzyni mojéj żony, Anna Johson, oświadczyła, że widziała garderobianę Lady E*** Dianę Griffiths, chodzącą około biórka wieczorem kiedy tę kradzież popełniono, i że potem nagle wyszła z domu z zawiniątkiem pod chustką.

Lady E*** zaraz dała znać do policyi; zaczęto przetrząsać rzeczy Diany, istotnie znaleziono w jéj łóżku pod materacem, szpilkę i zapinkę brylantową. Na widok tych kosztowności, Diana zaklinała się że jest niewinną, i rzekła, że widać iż ją chce ktoś zgubić niegodnym podstępem. W jéj usprawiedliwieniu się było tyle prostoty i szczerości, iż chciałem wstrzymać dalsze poszukiwania, i czekać jakiś czas dopóki nie wyjaśni się rzecz cała, lecz moja żona sprzeciwiła się temu, nazywając to słabością z mojéj strony, i Dianę oddano pod sąd. Naprózno zeznawała że jest niewinną, na prózno zaklinała Lady E*** ażeby nie wierzyła kłamliwym pozorom, będących dziełem nienawiści i potwarzy: skazano ją na wywiezienie do Botany-Bay na całe życie.

Trzy miesiące temu, otrzymałem z Anglii opieczętowane pudełko. Była to szkatuł-

ka, którą stara ochmistrzyni mojéj żony testamentem kazała mi oddać. W téj szkatułce były brylanty mojéj żony i zeznanie podług prawnych przepisów, że Diana jest niewinną. Stara zbrodniarka wyznała, że powodowana zawiścią z tego powodu iż Lady E*** okazywała przychylność dla garderobiany, postanowiła pozbydź się rywalki jakimkolwiekbądź sposobem; dobranym kluczem otworzyła biórko, zabrała brylanty i dwie tylko sztuki schowała w łóżko Diany. Wiesz co się potém stało.

Przedewszystkiem złożyłem sądowi zeznanie Anny Johnson, a że formy sądowe, zwłaszcza gdy idzie o odwołanie wyroku, wiele wymagają zwłoki, wyrobiłem tymczasowy rozkaz uwolnienia Dyany, i odpływam za tydzień, ażeby wyszukać niewinnie skazaną sługę i sprowadzić ją do Anglii. Za powrotem ogłoszę jéj niewinność, a troskliwością i dobrodziejstwami wynadgrodzę okrutną niesprawiedliwość, któréj padła ofiarą.

Dla tego też bez ciebie odjeżdżam dziecię moję; nie mogąc czekać dopóki nie odzyskasz zdrowia,dla tego przedsiębiorę cięźką i długą żeglugę; gdyż wystaw sobie ile cierpię myśląc o téj niewinnéj istocie, znoszącéj karę i ochydę należną winowajcom. Nie chcę obcym osobom poruczać jéj wyszukania w Botany-Bay; gdyby jéj nie wynaleziono, całe życie wyrzucałbym sobie, że moje osobiste usiłowania, byłyby odniosły pożądany skutek.

Rozstaję się więc z tobą, lecz skoro tylko ukończę podróż moją, jeżli Bóg pozwoli mi szczęśliwie powrócić do Europy, wyląduję w najbliższym porcie Francyi. Nasze rozłączenie nie będzie przeto trwać długo, najpóźniéj za dwa lata zobaczymy się i wówczas już się więcéj nie rozstaniem.

To rzekłszy, uściskał Samuela, postawił go na ziemi i wyszedł.

ROZDZIAŁ II.

NIEOBECNOŚĆ.

Młody Samuel przywiązał się był do lorda Egerton, z tém szczerém i mocném uczuciem, które jest właściwe tkliwem dzieciom; mocno zatem zmartwił się od jazdem cudzoziemca któremu winien był życie i w którego rodzinie doświadczył tyle przyjaźni i szczęścia. Powiększyła się jego niemoc, wpadł w niejakie odrętwienie, które czyniło go obojętnym na wszystkie uciechy jego wiekowi właściwe. Niespokojna matka o życie syna, tém jednym tylko słowem orzeźwiała go:

,,Samuelu, miéj odwagę; wkrótce dostaniesz list z Anglii od twoich przyjaciół.

W rzeczy saméj, pierwszy list wkrótce nadszedł. Datowany był z Londynu i oznajmiał bliski odjazd familii lorda, do Plymuth, gdzie miała wsiąśdź na okręt. Każde z dzieci chciało przypisać się do niego, i mały nawet Jerzy, chociaż dopiero co zaczynał stawiać duże litery. Sara podjęła się najznaczniejszéj części korespondencyi; wchodziła w jak najdrobniejsze szczegóły przygotowania do tak dalekiéj żeglugi i kończyła wyrażeniem, jak mocno żałuje, że Samuel nie należy do tak przyjemnéj i zajmującéj wyprawy.

Samuel płakał czytając ten list, odpisał długo i z wynurzeniem najtkliwszego przywiązania dla lorda Egerton, Sary, Nelly i Jerzego.

Drugi list lorda przybył z Plymuth; znajdowały się w nim rady względem zdrowia Samuela, których zasięgnął od najsławniejszych londyńskich lekarzy. Ładne i cienkie pismo Sary, zajęło trzy dalsze stronnice.

,,Nie zdołasz wystawić sobie mój kochany Samuelu, ile środków i zabiegow użył mój ojciec, ażeby podróż nasza nie była przykra, a raczéj żeby była przyjemna i wygodna. Statek jest jeden z najlepszych, wszyscy go wychwalają, odznacza się w porcie przez wytworność i piękność.

,,Wstąpiwszy na jego pokład, dopiero to trzeba uwielbiać i dziwić się. Dla każdego z nas zrobiono pokoik, w którym niczego nie brakuje co tylko należy do przyjemności i wygody życia. Zawieszone łóżka lekko i przyjemnie kołyszą; mamy ładny salonik gdzie będziemy pili herbatę, pokój jadalny i gabinet dla naszego ojca. W gabinecie znajduje się biblioteka z 2000 tomów złożona, która skróci nam nudy żeglugi, jeżli podczas żeglugi można się nudzić. Ładne ptaszki w klatce, śpiewają i jedzą z rąk naszych cukier albo siemię, a duża małpa którą kupił nasz ojciec, bawi majtków i nas także Samuelu, skacząc i drapiąc się na maszty i liny.

Dziś rano mój ojciec rozmawiał z kapitanem; (jest to młody człowiek bardzo światły). Zdawał on sprawę z zapasów, których zakupienie miał sobie poruczone i nie uwierzysz Samuelu, jak daleko nasz ojciec posunął swoją troskliwość. Mamy żywe bydlęta, drób, jarzyny, nawet owoce i kwiaty. Nie prawdaż, że ta podróż podobna jest do czarodziejskiéj powieści? Dla czegóż nie jedziesz z nami, dla czegóż nie będziesz podzielał naszych uciech i przygód, gdyż spodziewam się że miéć będziem przygody? Bądź zdrów, napiszemy do ciebie za pierwszą sposobnością.

(*Dalszy ciąg nastąpi*).

NOWE DZIEŁA.

Porównanie Miar i Wag teraźniejszych i dawniejszych w Królestwie Polskiém używanych, z zagranicznemi, przez Juliusza Kołobrzeg Kolberga, Doktora Filozofii, Professora Radnego przy b. Uniwersytecie Królewsko-Warszawskim i Szkole szczególnéj Leśnictwa, Kommissyi Najwyższéj Examinacyjnéj i Towarzystwa Królewsko-Warszawskiego Przyjaciół Nauk członka. — Wydanie wtóre. Przerobił i powiększył Wilhelm Kolberg. Warszawa, druk Józefa Węckiego. 1837.

Dzieło to potrzebne jest niezbędnie w każdym stanie i zawodzie, jakoto przemysłowym, handlowym, gospodarskim, naukowym i urzędniczym. Pierwsze jego wydanie winniśmy ojcu, drugie synowi; obydwa uskuteczniając tak mozolną pracę, uskuteczniając ją gorliwie, dokładnie i jak najobszerniéj, ważne dla kraju położyli zasługi. Nowe wydanie o którém piszemy, znaczne obejmuje ulepszenia i zupełnie przerobione zostało. Postanowienia rządowe różnych państw, przytoczone na czele dzieła, służyły za podstawę porównań, a co do krajów w których na podobnych postanowieniach zbywa, autor trzymał się dzieł najcelniejszych i najnowszych. Obliczenia odrabiał kilkakrotnie różnemi sposobami. Ponieważ wartości wszelkich miar odnoszą do miary francuzkiéj dawnéj i nowéj, albo do angielskiéj, przeto przy każdym rozdziale umieścił najtroskliwiéj, tabliczkę porównania i wzajemnéj zamiany tych miar zasadniczych. Do porównania wszelkich miar, użył miary dziesiętnéj francuzkiéj jako najdokładniejszéj i wziętéj za podstawę miar naszych. Układ dzieła jest następujący: Na wstępie daje zarys ustanowienia nowych miar francuzkich i jak najściślejszych prac, podjętych w wymierzeniu łuku południka, jednę dziesięcio milionową cząstkę czwartéj części tego łuku, wzięto za jednostkę miar długości i nazwano metrem. Z tego metru wyprowadzono potém jednostki miar i wag innych. Przytacza potem postanowienia rządowe o miarach polskich, rossyjskich, francuzkich, angielskich, pruskich i austryjackich. Następne cztery rozdziały mieszczą obliczenie miar i ich porównanie, najprzód miary długości, potem miary powierzchni, miary objętości i miary ciężkości. Rozdział piąty obejmuje porównanie podziałek termometrów Reaumura, Celsiusza i Fahrenheita; porównanie podziałek barometrów, oraz wiadomość o miarach i wagach starożytnych, ważną dla historyka. Część druga zawiera tablice zamiany teraźniejszych i dawniejszych miar długości w kraju naszém.

Ile pracy kosztowało najprzód ułożenie a potem przerobienie tak ważnego dzieła, ocenią światli czytelnicy i przyznają należną wdzięczność gorliwemu wydawcy.

OGŁOSZENIE

O Muzeum Domowem i o Czytaniach przyjemnych i pożytecznych na rok 1838.

Muzeum Domowe zaczyna w roku 1838 nową seryą bytu swego. Przez pierwsze trzy lata wychodziło in 4to przez następne wychodzić będzie in octavo majori. Czytelnicy uważali zapewne, iż pismo to przez umieszczanie co raz to obszerniejszych artykułów, przez wyciągi z najnowszych dzieł i dzienników tak zagranicznych jak krajowych, zbliżało się co raz bardziéj do téj cechy jaką mają francuzkie i angielskie *Przeglądniki Krytyczne* (Revue de Paris, Revue Britannique, Revue Universelle, Revue Etrangere), z przyjemnością i pożytkiem czytane w całéj Europie. Z początkiem r. b. wychodzi Muzeum Domowe w formacie i podług planu pism powyżéj wymienionych.

Dwa pisma wychodziły w r. z. nakładem i pod redakcyą wydawcy.

Muzeum i Czytania przyjemne i pożyteczne.

Muzeum kosztowało rocznie	Zł.	18.
Czytania przyjemne	Zł.	10.

Pisma te w roku 1838. razem tylko prenumerowane bydź mogą i razem kosztują Zł. 18. w Warszawie, a złp. 21 na urzędach i stacyach pocztowych. Obejmują 60 Arkuszy druku.

MUZEUM przeznacza się na artykuły z historyi, statystyki, pamiętników, tegoczesnych, nauk przyrodzonych, życiopisy sławnych ludzi, badania zwyczajów różnych ludów, mianowicie sławiańskich, na wyciągi z najnowszych dzieł i dzienników zagranicznych i krajowych.

CZYTANIA *przyjemne i pożyteczne*, które nie *w trzech językach* jak dotąd lecz tylko *w jednym* wychodzić będą, obejmą obrazy towarzystwa, powieści filozoficzne, artykuły z moralności i filozofii praktycznéj.

W ciągu roku 1838 wyjdzie dwanaście zeszytów Muzeum i tyleż czytań. Wyjście każdego zeszytu ogłoszone będzie przez pisma publiczne. Dotąd wyszedł zeszyt 1szy Muzeum i zeszyt 1szy Czytań. W Muzeum znajduje się: Salon Cesarzowéj Józefiny, Wrażenia podróży przez Alexandra Dumas, Wspomnienie Zuzanny z Redlów Wilczyńskiéj (z ryciną). Cud w Sewlli (poezya) Nowe dzieła. — Czytania obejmują powieść z wieku Ludwika XIV p. t. *Chamillart.*

Zeszyty Muzeum z roku 1837 ciągle się drukuią, i bez zawodu doręczone będą prenumeratorom.



KADYX.

KADYX.

Andaluzya, prowincya Hiszpanii, znana niegdyś pod nazwiskiem Betyki, podniecała zawsze chciwość i dumę zdobywczych ludów. Najdawniejsze podania historyków wskazują, że Fenicyanie mieli tam swoje osady, potem zdobyli ją Kartagińczycy, a następnie Rzymianie. W epoce upadku państwa Rzymskiego, Andaluzya stała się łupem mieszkańców północy, którzy zaleli Europę. Na początku piątego wieku, zajęli ją Wandalowie i od nich otrzymała imie które dotychczas nosi. Krótko trwało panowanie Wandalów; rozproszyli ich Gotowie, i Andaluzya wcielona została do ich państwa. Panowanie Gotów trwało blisko dwa wieki, aż do najazdu Maurów w 711. Andaluzya najpierwej wpadła w moc Arabów i najdłużej w ich posiadaniu zostawała, ich osady trwały tam przez lat osiemset. Andaluzyą odgraniczają na północ góry Sierra Morena, rozdzielające ją od Estremadury i Manszy; na wschód graniczy z królestwem Murcyi, na południe z Oceanem i cieśniną Gibraltarską, na zachód z małem królestwem Algarwii. Pojąć można przywiązanie Maurów do Andaluzyi, zwróciwszy uwagę na powaby któremi jest uposażona od natury. Nie ma w całej Hiszpanii żyzniejszej prowincyi, mającej dogodniejsze położenie do handlu, obfitszej w zboże, kopalnie i pastwiska; bliskość morza, pasma gór, liczne rzeki i strumienie,

(*) W numerowaniu poprzedzających dwóch zeszytów zamiast Nr. 41 42 powinno bydź 42 i 43.

ułagadzają moc południowych, upałów. Główną rzeką jest Gwadalkawir, która przerzyna całą prowincyą. Starożytni utrzymywali, że jéj nurty toczą piasek złoty. Ze szczytu Sierra Moreny widać piękne płaszczyzny Andaluzyi, a wspomnienia historyczne, powiększają powab jéj widoków. Korduba, rodzinne miasto Seneki i stolica pierwszego państwa Maurów, najprzód zwraca naszą uwagę, potem Sewilla, tak sławna pięknością gmachów swoich, Italika ojczyzna Trajana, Adryana, i Teodozyusza, nareście Kadyx i dziś jeszcze handlowe, bogate i rozkoszne miasto, jak było niegdyś.

Miasto Kadyx założone przez Fenicyan, upięknione przez Rzymian, leżało w inném miejscu niż teraźniejsze; widać jeszcze zwaliska sławnéj świątyni Herkulesa, przy wyspie Sgo Piotra. Tegoczesne miasto zbudowane jest na końcu długiego pasma ziemi, posuwającego się w Ocean; jest to miasto handlowe i wojenne, natura i sztuka tak je obwarowała, iż go prawie niepodobna zdobyć. Obszerne stosunki handlowe ze wszystkiemi częściami świata, ciągle je zbogacają. Odnoga Kadyxu ma obwodu dziesięć mil francuzkich i służy razem za skład towarów, zbrojownię i warsztat do budowy okrętów. Kadyx jest dobrze zbudowaném miastem; ulice i place utrzymywane są niezmiernie czysto, a czynność i porządek w nim panująca, zbliża je do miast Holandyi.

Nie wiele jest gmachów publicznych zasługujących na szczególną uwagę, miasto handlowe, przejęte duchem spekulacyi, rzadko bywa siedliskiem sztuk i nauk. Wszystkich wyobrażenia zwrócone są do handlu morskiego; port jest w jak najdogodniejszém położeniu, przy wstępie na Ocean atlantycki, obok ciesniny Gibraltarskiéj, na końcu morza Srodziemnego, ma łatwe związki z Portugalią, Anglią, Hollandyą, południową i zachodnią Francyą, Włochami, Wschodem i Afryką. Dla tego też, port ten stał się jednym z najważniejszych w Europie. Przejścia z wielkiéj zatoki Kadyxu, do zatoki *Puntales*, bronią dwie warownie, Matagordo i San Lorenzo, na przeciw siebie zbudowane. Ten to przesmyk przebydź potrzeba, chcąc udać się do Chiklane miejsca wypoczynku i uciechy dla mieszkańców Kadyxu: gdyż położenie ich miasta prawie zewsząd oblanego wodą, czyni, że w pobliskości nie można używać przechadzki. O kilka set kroków od strony stałego lądu, zaczyna się nie żyzna ziemia i ciągnie się o mil kilka. W pięknéj porze roku jadą do Chiklane dla wynagrodzenia sobie tego braku zieloności; wielu handludlujących posiada ładne domki wiejskie. Damy Kadyxu, połączając ponęty andaluzyanek z wykształceniem cudzoziemskiem, przenoszą tam na kilka tygodni, zabawy miejskie, wielkie biesiady, tańce, koncerta; wszystko tam odznacza się bogactwem i wytworem strojów, są to w pewnym względzie szranki otwarte roskoszom, w których spekulanci rozpogadzają czoła swoje, zasępione rachubą. Cóż może bardziéj zachwycać jak widok hiszpańskiego miasta w dzień uroczysty? te domy z balkonami, te różnobarwne firanki u wszystkich okien, te sztuczne róże, te kobiety w Mantyllach i świetnych wachlarzach, te andaluzyjskie ubiory, to mnóstwo intryg miłosnych, wszystko to wprowadza w słodkie zadziwienie. Podróżny przeniesiony jest w świat nowy, może powiedzieć z niejakiém zadowoleniem: „Nie jestem w Paryżu, w Londynie w Neapolu, pośród tego towarzystwa Anglików i Francuzów, których fizyonomie wszędzie za mną ścigają.“

W Kadyxie, podobnie jak w całéj Andaluzyi, widać ślady panowania Maurów. Na każdéj górze znajduje się wieża obronna: tam mięszkali emirowie czuwający nad utrzymaniem w posłuszeństwie chrześcian, którzy trudnili się uprawą roli. Dotąd są jeszcze niezatarte znamiona cywilizacyi Maurów. Kraj cały przerznięty jest sztucznemi kanałami, wioski zachowują kształty wschodnie, drzwi domów obrócone są ku wschodowi słońca. Kadyx liczy 57,000 mieszkańców, posiada szkołę sztuk pięknych, matematyki, chirurgii i medycyny, kolegium jezuitów, seminaryum i ogród botaniczny.

KOT LATAJĄCY czyli LOTOKOT.

Lemur volans podług Linneusza.

Kot latający jest jednym z najosobliwszych zwierząt dawnego świata, znajduje się tylko w wielkich lasach wysp Sondy, wysp Moluckich i w niektórych częściach Wielkich Indyów.

Różni się od niedoperzów palcami u rąk, które są opatrzone ostremi pazurami i nie dłuższe od łap tylnych. Jego kły są nacinane i krótkie jak zęby trzonowe; w górnéj szczęce są także dwa kły nacinane i bardzo rozsunięte od siebie, ma ich sześć na dole, pociętych w wązkie pasy, jak kolce grzebieni, który to kształt jest mu wyłącznie właściwy. Ale szczególniéj odznacza się kot latający, błoną cienką, lekką, zewnątrz pokrytą krótkim i gładkim włosem, wyrastającą po obu stronach szyi, i ciągnącą się wzdłuż ciała, czterech łap i ogona tak, iż tylko końce palców i paznokcie nie są nią pokryte.

Kolor jego jest rudawy ze spodu, a pięknie szaro czerwony z wierzchu, z białemi pasami obwiedzionemi szarą obwódką i ciągnącemi się po każdéj stronie ciała, od uszów aż do ud. Ma paszczę długą, cienką, jak łasica, uszy krótkie, oczy żywe, a cycki na piersiach jak niedoperze. Jest prawie téj wielkości co kuna.

Zwierze to nie może latać jak niedoperze, gdyż jego błona służy mu tylko za spadochron, lecz tak doskonale umie rzucać się, iż przebiega dość znaczne przestrzenie w powietrzu i łatwo dostaje się z drzewa na drzewo, w odległości pięćdziesiąt lub sześćdziesiąt kroków. W tym celu wdrapuje się na koniec najwyższéj gałęzi i jednym podskokiem rzuca się ku pobliskiemu drzewu, padając rozciąga swoją błonę i pochyla głowę ku ziemi, a tak prześlizguje się w powietrzu, przebiegając ukośną linią na horyzoncie. Z tąd wynika, że skoczywszy z najwyższéj gałęzi jednego drzewa, dostaje się na najniższą gałęź drugiego i nigdy nie zdarzy się, ażeby podrzucił się ku wyższéj. Bez ustanku trudni się chwytaniem owadów i małych ptaszków, podobnie jak on mieszkających po lasach. Kot latający jest zgubą kolibrych i innych małych ptaszków, które chwyta w gnieździe pod czas nocy i zjada ich jaja. Niekiedy przyczaja się na grubéj gałęzi już to leżąc na korze, już to zawieszony za ogon i zadnie nogi. Jeźli Kolibry albo jaki duży motyl przelatuje o kilka stóp od niego, rzuca się nagle, chwyta go w locie i spada na pobliską gałęź gdzie go dowoli pożera. Albo też czeka, ażeby kolibry przeleciał wprost pod nim chociażby o piętnaście lub dwadzieścia stóp niżéj, wtedy spada na niego, chwyta, rozwija błonę swoją dla złagodzenia upadku i dostania się na pobliską gałęź. Ma rzut oka tak trafny i szybki iż nigdy nie chybi swojéj zdobyczy.

Zwierzę to rodzi zwykle jedno tylko małe, a rzadko dwa, i bardzo jest do niego przywiązane. Robi sobie gniazdo z cienkiéj i suchéj trawy, w dziurze drzewa. Lecz tylko przez dni cztery lub pięć tam je zostawia; potem małe już ma tyle siły, iż może przyczepić się do brzucha matki i ciągle przy niéj pozostać, dopóki nie urośnie.

Kot latający nie chodzi jak inne zwierzęta po wierzchu gałęzi lecz ze spodu, tak iż ciało jego jest zawieszone na przewrót. Ztąd wynika, że małe leży na jego brzuchu jak w kolebce. Jeźli małe chce spać matka zatrzymuje się i lekko je kołysze. Postawa ta zwyczajna jest temu zwierzowi, a gdy nie nosi małych i chce zasnąć, zawiesza się zadniemi nogami, a głową na dół, jak nietoperze.

Indyanie dosyć lubią mięso latającego kota, a zwłaszcza w pewnéj porze roku, gdy te zwierzęta przestają chwytać owady i żywią się pewnym rodzajem jagód podobnych do pożyczek. Koty latające lubią te owoce i niemi się tuczą. Zwierzę to trudno schwytać w sidła i dla tego polują na nie strzelbą, lecz aby je ubić, trzeba doskonale strzelać, przeskakują bowiem niezmiernie szybko z drzewa na drzewo, a jeśli nie będą ubite podczas skoku, prędko się kryją. Są bardzo przebiegłe, a gdy je kto zejdzie na odosobnioném drzewie, co się bardzo rzadko zdarza, kryją się między dwiema wielkiemi gałęziami, albo też kręcą się koło drzewa, w miarę jak je strzelec obchodzi, tak iż do nich strzelić nie może. Jeźli nie są od razu ubite, zdychając przyczepiają się tak mocno do gałęzi iż nigdy nie spadną na ziemię. W takim razie trzeba wdrapywać po nie na drzewo, albo zaniechać swojéj zdobyczy.

BOITARD.

PRZYGODY

pewnéj familii angielskiéj.

(*Dokończenie*)

Sara istotnie dotrzymała przyrzeczenia, a w trzy miesiące po tém, listy pisane z Portugalii, z Madery, z Senegalu, dały dowód Samuelowi, że jego przyjaciele nie zapominają o nim.

W rok po tém, po sześciu miesiącach milczenia o które był bardzo niespokojnym biédny chłopczyk, przyszły jeszcze wiadomości od familii angielskiéj. Przepędziwszy czas niejaki na wyspie Świętéj Heleny, odpłynęła do przylądka Dobréj Nadziei. Z tamtąd pisali do Samuela przez statek odpływający do Francyi; listy te bardzo późno odebrał.

„Po kilku tygodniach wypoczynku, pisała Sara, popłyniemy do Batawii; z tamtąd do portu Jakson, żegluga jest krótka, w porównaniu z niezmierną przestrzenią którąśmy już przebyli. Jeźli znajdziemy sposobność, napiszemy do ciebie z Batawii; w przeciwnym razie, odbierzesz od nas wiadomość, skoro tylko zawiniemy do Botany-Bay i uściskamy biédną Dyanę.“

Był to ostatni list. Od tego czasu, Samuel przepędzał tygodnie, miesiące, lata, w dręczącem oczekiwaniu i niepewności.



KOT LATAJĄCY czyli LOTOKOT.

Na próżno matka chcąc go pocieszyć i ułagodzić jego boleść, przekładała mu, że listy mogły zaginąć, tajemny głos niszczył te przypuszczenia i ostrzegał biédne dziecię, że już nie zobaczy tych, których tak kochał i że musiało ich dotknąć wielkie nieszczęście.

Siedemnaście lat upłynęło; dziecię stało się człowiekiem, i przebyło ciężkie próby rzeczywistego życia, które w szkołach wytrzymać musi każde słabowite stworzenie, nie mające tęgich piersi i barków. Z tém wszystkiém, jeźli więcéj wycierpiał aniżeli drudzy, nie stracił jednak szlachetności i mocy duszy. I dla tego też, nie osłabł w walce z przeciwnościami, które na pierwszym wstępie na świat, toczyć musi młodzieniec bez stanu i majątku. Stworzył sobie stan, stworzył sobie majątek; po długiéj pracy wydobył się z prowincyi i prowadził w Paryżu szczęśliwe i niezawisłe życie, będące udziałem znamienitych a razem rządnych artystów.

Przez ten długi przeciąg lat, w tym następstwie prac i zachodów, myśl o lordzie Egerton i jego rodzinie, chociaż nie zatarła się zupełnie w pamięci Samuela, pozostała tylko jako dalekie wspomnienie, do którego zwracała się jego wyobraźnia, z lubym smutkiem, jako do pierwszych lat dziecinnych.

Pewnego wieczora, gdy w salonach posła angielskiego zebrał się wybór mieszkańców W Brytanii, którzy przybyli na zimę do Paryża, Samuel postrzegł tam młodego człowieka, szlachetnéj i zajmującéj postawy, a którego rysy przypominały mu lorda Egerton. Młody ten człowiek rozmawiał z dwiema damami, jedna z nich miała lat przeszło trzydzieści, druga około dwudziestu sześciu; każda była bardzo piękna, lecz w odmiennym rodzaju. Starsza, blada i mająca na czole cechę jakiéj nieoznaczonéj smętności, odznaczała się powagą i wspaniałością, któréj odpowiadał jéj wzrost wysoki i lekka otyłość; druga przeciwnie, wysmukła i szczupła, zachowała wszystkie znamiona młodości; nie można było bez wzruszenia ujrzeć jéj długich jasnych włosów, jéj niebieskich oczu i

wdzięcznego uśmiechu. Samuel kilkakrotnie zapytał się o nazwisko tych osób, lecz nikt nie mógł go objaśnić. Zapewne od kilku dni dopiéro, przybyły do Paryża. Jednakże, im bardziéj wpatrywał się w młodzieńca, tym bardziéj odkrywał w jego rysach, a nawet w jego najdrobniejszych gestach, tysiące wspomnień o lordzie Egerton. Nareście, ta myśl tak mocno go zajęła, iż nie mógł wytrzymać dłużéj i głośno wyrzekł stanąwszy za cudzoziemcem:

—„Lord Jerzy Egerton!"

Młody człowiek obrócił się nagle i zadziwiony ujrzał nieznajomego, któren mu podał rękę z mocném wzruszeniem.

—„Jerzy! rzekł do niego, czyliż ze wszystkiém zapomniałeś o Kambraj i o Samuelu?

Obie damy usłyszawszy te słowa, zbliżyły się do niego i rzekły

„Nie zapomniałyśmy! nie zapomniały"

Z przyjaźnią uścisnęły rękę Samuela, gdyż była to Sara, była to Nelly, były to dzieci lorda Egerton.

—„Nie jest tu miejsce do wzajemnego poznania: rzekła Sara, postrzegając, że kilku ciekawych krążyło w koło nich. Odwidź nas jutro rano w hotelu Meurice. Tam będziemy rozmawiać z sobą i usłyszysz Samuelu, osobliwe i bolesne wyznania. To rzekłszy, ukłoniła się i odeszła z bratem i siostrą.

Samuel nie omieszkał przyjśdź nazajutrz na umówioną rozmowę. Sara, Nelly i Jerzy przyjęli go jak najczulej, jak najserdeczniéj.

—„Dziwić się musisz Samuelu, że nas widzisz, rzekła Sara, a jednakże jest to dla nas jeszcze większym cudem, gdyż od czasu jakeśmy się rozstali z sobą, wycierpieliśmy wiele nieszczęść i przemian losu.

Mój ostatni list, jak to pamiętasz, datowany był z przylądka Dobréj Nadziei. Z tamtąd popłynęliśmy do Batawii i już zbliżaliśmy się do kresu naszéj podróży. Jeszcze kilka dni żeglugi, a mieliśmy wylądować w Botany Bay i tam znaleźć nieszczęśliwą Dyanę. Nasz odjazd z Batawii, uskutecznił się, jak cała poprzedzająca żegluga, bez niebezpieczeństw, bez dolegliwości, bez obawy; nasza nawet edukacya nie szkodowała na tém i dzięki czułéj troskliwości naszego ojca, dzięki staraniom pilnéj i dobréj guwernantki, panny Skott, tak biegłéj w muzyce, ja i moja siostra nie przestałyśmy ciągłych czynić postępów.

Trzeciego dnia po odpłynieniu z Batawii, około godziny dziewiątéj wieczorem, gdyśmy odgrywały symfonią Bethowena, okręt zaczął doznawać tak gwałtownego wstrząśnienia, iż musieliśmy przerwać koncert. Nasz ojciec wyszedł na pokład i tak długo tam bawił, iż przejęte niespokojnością poszłyśmy do niego. Ach! Samuelu, jakże okropny widok uderzył nasze oczy! Deszcz padał strumieniem, wicher dął gwałtownie, a fale straszliwie wzburzone miotały statkiem. Kapitan wybladły, rozpaczający, nie wiedział co począć; majtkowie pogrążeni byli w osłupieniu, które wkrótce zamieniło się w krzyk przestrachu i śmierci; okręt rozbił się o skałę.

Gdy wszyscy rozpaczali, oyciec mój, z zimną krwią dobrze ci znaną, przyszedł do nas, zdjął z nas suknie mogące nam zawadzać, i zbił na prędce kilka desek: wszyscy bowiem cisnęli się do łodzi i tak ją napełniali, że co chwila mogła zatonąć. Potém przywiązał nas mocno do desek, i czekał ostatecznéj chwili.

Do samego świtu, okręt którego przód był zgruchotany, wspiérał się na skałach między któremi uwiązł, lecz ze świtem, fale bez ustannie bijące na niego, wyruszyły go z téj podstawy, i woda zaczęła ze wszystkich stron wchodzić. Na ten czas, oyciec kazał nam polecić dusze nasze Bogu, spuścił na wodę deski do których byliśmy przywiązani i w téjże chwili sam wskoczył do morza. Powiedzieć ci Samuelu co się wtenczas z nami działo, byłoby to nad moje siły!.... Długi czas nasz słaby statek był igraszką fal morskich, zanurzały go i wyrzucały w różne strony... Wreście, morze zaczęło się uspakajać, i mój ojciec który dotyczas jedynie usiłował utrzymać nas na wierzchu desek, zaczął popychać naszą tratwę do brzegu, będącego o pół mili od nas. Usiłowania jego powiodły się nad spodziewanie, gdyż za kwadrans tratwa zatrzymała się na piasku. Ojciec odwiązał nas od desek i mogliśmy wdrapać się na skałę, będącą na teraz jedyném naszém schronieniem.

Lecz w ówczas usłyszeliśmy niedaleko od nas przeraźliwy krzyk i ujrzeliśmy o kilkaset kroków, naszą ochmistrzynię trzymającą się kawałka masztu; spostrzegła nas i wzywała pomocy ojca mojego.

—„Milordzie! wołała, nie opuszczaj mię, na miłość Boga zlituj się nademną! ty jeden możesz mię ocalić"

Mój ojciec, wzruszony tym błagającym głosem, umyślił ratować panią Scott.

Na daremnie zaklinaliśmy go żeby się nie narażał na nowe niebezpieczeństwa, odpowiedział nam, iż to byłoby nie godnie patrzyć na śmierć téj nieszczęśliwéj i nie przyjść jéj na pomoc. Wskoczył w morze i wkrótce dopłynął do mistris Scott. Ona puściła maszt, uchwyciła się mojego ojca... Widzieliśmy jak przez chwilę walczyli z falami.... potem znikli.... I zostaliśmy troje sierot, bez przytułku, po-

mocy, na skale na którą burza nas wyrzuciła.

ROZDZIAŁ III.

NA PUSTYNI.

Przerażenie i rozpacz po śmierci ojca, wprawiły nas w odrętwiałość która trwała kilka godzin: mówiła Sara: lecz spojrzawszy na moją młodszą siostrę i na brata, którzy zginęliby gdybym się nie uzbroiła w odwagę, odzyskałam siłę i postanowiłam ocalić ich od okropnéj zguby.

Mój Boże! zawołałam, nie opuszczaj nas, a kiedyś ojca naszego wezwał do niebios, bądź teraz naszym ojcem; i wspieraj w tych ciężkich przygodach, które twoja wola na nas zesłała.

Tak jest, Bóg wysłuchał moją modlitwę i zesłał anioła świętego, żeby mię wspiérał i osłaniał swojemi skrzydłami; gdyż nie tylko ja sama uczułam w sobie odwagę, udało mi się przelać ją w Jerzego i w Nelly; oboje wzięli mię za rękę, i postępowali ze mną do lasu znajdującego się o pięćset lub sześćset kroków od skały, na którą byliśmy wyrzuceni.

Przyszedłszy do lasu, piérwszą myślą moją było, przypatrzéć się otaczającym nas drzewom, i zobaczyć czy będziemy mogli miéć z nich jakiekolwiek wyżywienie: gdyż gorącość klimatu sprawiała, iż nie tyle naglącą potrzebą były dla nas suknie, ile wyżywienie, chociaż jedyną naszą odzieżą były koszule poszarpane o skały, do których dopłynęliśmy.

Drzewa które mię najbardziéj zajęły i których było najwięcéj, miały liście podłużne i świecące, a wśród nich kwiaty o pięciu listkach, koloru biało siarczanego wydające woń przyjemną, ale nie mogły nam służyć do żadnego użytku. Również żadnéj korzyści miéć nie mogliśmy z olbrzymich *Casuarina* wznoszących się w powietrzu na sto dwadzieścia stóp, u których gałęzi, zamiast liści zwiesza się długie zielone włókno, podobne do ogonów końskich. Te olbrzymy roślinne, jeszcze przewyższały *Encalypty*, wybujałe na sto pięćdziesiąt stóp po nad ziemią; kwiaty tego drzewa są koloru niebieskiego i jakby obsypane mąką. Lecz na szczęście nasze znalezliśmy *Jambus*; krzew ten jest na cztery stopy wysoki, na gałązkach okrytemi drobnem liściem, dostrzegliśmy jagody różowe, których smak słodko kwaskowaty przypomniał nam wiśnie, i uspokoił gwałtowne pragnienie.

„Mniéj już cierpiąc, zapuszczaliśmy się w las, i wkrótce uyrzeliśmy się w pośród drzew daktylowych, palmowych i kokosowych. Znałam te dwa drzewa i wiedziałam iż mają owoce doskonałe i pożywne. Lecz jakże ich dostać! wysokość tych drzew była olbrzymia w porównaniu z nami tak małemi!... Jednakże byliśmy tak szczęśliwi, że znaleźliśmy nieco daktylów i kilka kokosowych orzechów na ziemi. Daktyle zaraz zjedliśmy, orzechy zaś kokosowe złożyliśmy pod skałę, szukając sposobu jakby je otworzyć i dobydź z nich wyborne pożywienie. Noc nadchodząca, zaczęła nas trwogą przejmować; widzieliśmy co chwila zwierzęta dziwnego kształtu przedzierające się przez zarośle, i tysiące przerażających krzyków mięszało się z wiatrem kołyszącym gałęzie. Nakoniec dzień zniknął, i możesz wyobrazić sobie jakiego przestrachu doznawało troje słabych dzieci, bez żadnéj obrony, w pośród téj dzikiéj pustyni, zamieszkałéj bez wątpienia przez najdziksze zwierzęta. Jerzy zaczął płakać, a Nelly tuliła się do mnie, przywołując oyca naszego na pomoc, jak gdybyśmy nie patrzały na śmierć jego. Doznawałam największéj niespokojności, lecz musiałem ukoić obawę dwoyga dzieci, zasłonić ich od niebezpieczeństwa; to mi dodało siły żeby przezwyciężyć własną obawę i zaczęłam szukać miéjsca, gdziebyśmy przez noc mogli się schronić przed dzikiemi zwierzętami.

Byliśmy za słabi do wdrapywania się na drzewa; obrałam więc po chwili szukania i namysłu, ogromny krzak dzielący się na cztéry krzaki wychodzące z jednego pnia; liście jego długie na cztery stóp uzbrojone w kolce, splatały się i tworzyły jakby klatkę, do któréj trzeba było się dostać! Skoro tam wnijdziem, chociażby nas odkryły dzikie zwierzęta, kolce nie dopuszczą im przystępu. Te drzewa jak się później dowiedziałem, nazywają się zamia.

Uzbierałam i kazałam uzbiérać Jerzemu i Nelly szerokie liście, któremi kilkakrotnie po obwijaliśmy sobie ręce, szyję, twarz i nogi. Tak obwinięci, mniéj już byliśmy wystawieni na zadraśnienie; rozdzieliłam kilka gałęzi krzaku i wpuściłam dzieci, weszły w środek bez żadnego zadraśnienia, i nawzajem podnosiły gałęzie, żebym mogła się do nich dostać.

Nareście dostawszy się do tego przytułku, mogliśmy bez obawy zasnąć, i odmówiwszy modlitwę, wkrótce zamknęliśmy powieki.

Takie było nasze życie Samuelu, przez pierwsze dni piętnaście przepędzonych w tym lesie, gdzie prócz nas nie postała dotąd żadna ludzka istota.

Po niejakim czasie, oswoiliśmy się z naszém położeniem i umyśliłam uczynić je nie tak przykrém i niewygodném. Doświadczenie wskazało, iż zwierzęta prze-

bywające w tym lesie, nie są szkodliwe i niebezpieczne. Największe z nich były wielkie małpy, które nie zaczepiały nas, nie uciekały przed nami i co rano zrywały owoce z drzew palmowych i kokosowych, nie zważając na nas. Cieszyliśmy się z ich przyjścia: dotąd bowiem nie mieliśmy innego pożywienia, prócz owoców które upuszczały przy zrywaniu. Niekiedy także widzieliśmy pokazującą się między gęstemi gałęziami, głowę Kangura, któren wpatrywał się w nas przez chwilę, a potem podrzucał się nagle i biegł w inną stronę lasu, podpierając się ogonem. Inne zaś przeraźliwe głosy, które nas tak przestraszyły zrazu, przekonaliśmy się, iż je wydaje niezliczone mnóstwo papug. Jeszcze śmielsze od małp, nie lękały się naszéj obecności i nie raz widziałam, że zbiérały jagody z krzaku przy którym leżeliśmy.

Nie lękając się napaści drapieżnych zwierząt, mogliśmy pomyśléć o wygodniejszém pomieszkaniu. Znaleźliśmy je między korzeniami palmy sagowéj, które spuszczały się z pnia jak sznury masztu i które zapewne odsłoniły wody potoku. Oderwawszy kilka kamieni i odjąwszy resztę ziemi trzymającéj się przy korzeniach, mieliśmy zręby ładnego pomieszkania, szerokiego na sześć lub osiem stóp i mającego kształt namiotu. Trzeba było osłonić i okryć te zręby. Użyliśmy do tego liści bananasowych, a gęsty mech dostarczył nam wygodnego posłania. Posiliwszy się daktylami i jagodami, zasnęliśmy dziękując Opatrzności za te wygody.

Nazajutrz rano obudziliśmy się czerstwi i pełni odwagi. Trzeba było zmienić najprzód liście bananasowe, okrywające naszą chatkę, gdyż zupełnie zwiędły. Była to ciężka praca; liście palmowe użyte do tego samego celu, byłyby nas ochroniły od niéj, gdyż były mocne, grube i giętkie; lecz znajdowały się na wierzchołkach palm i nie mogliśmy ich dostać.

Powiedziałam ci Samuelu, że suknie nasze były podarte i już się do użytku przydać nie mogły. Mimo łagodności klimatu, bolało mię to mocno, że wkrótce zupełnie zostaniemy bez okrycia i umyśliłam zrobić suknie z szerokich liści. Zaczęłam od Jerzego i zdjęłam z niego resztki jego bluzy. Zajmując się tą pracą, znalazłam sprzączkę stalową u rzemiennego paska którym się ściskał. W téj chwili przyszło mi na myśl, iż sprzączka ta może nam posłużyć do skrzesania ognia. Znalazłam krzemień, a resztki wyschłych purchawek zastąpiły miejsce hupki. Zaczęłam krzesać, wkrótce zapaliła się purchawka i powiększyliśmy ogień przykładając do niego zeschłe liście i gałązki. Ogień ten zajął się tuż pod drzewem kokosowém; postrzegłam iż pień czernieje i może się zapalić. Zawołałam na Jerzego i Nelly, ażeby ciągle przyrzucali gałązek. Za dwie godziny przepaliło się drzewo, spadło na kępę drzew palmowych i oparło się o nie.

Gdy pomyślę o tém zdarzeniu, tak prostém a jednak tak ważném dla nas, Samuelu, widzę w niem nowy dowód łaski i opieki Boga. Opatrzyliśmy się nie tylko w orzechy kokosowe, w daktyle i w liście do pokrycia naszéj chatki, lecz i w co lepszego jeszcze, jak się o tém przekonasz.

Łatwo dorozumiesz się, że drzewo kokosowe pochylone i oparte o palmy, służyć mogło za drabinę albo raczéj za most, po którym można było dostać się do wierzchołka tych drzew, zrywać daktyle i liście. Ja najprzód podjęłam się téj pracy, łatwo dostałam się na wierzchołek a ztamtąd zrzuciłam mojemu bratu i siostrze, najprzód tyle liści ile nam było potrzeba do pokrycia naszéj chaty, ażebyśmy co dzień nie musieli zrywać liści bananasowych. Nie zdołam ci opisać, jak żywa była radość nasza na widok dobrze opatrzonych ścian naszéj chaty, zabezpieczonéj od wiatru i od deszczu. Podłogę wyłożyliśmy także liściami palm i miło nam było stąpać po niéj obnażonemi nogami: jakoż tego dnia nie wyszliśmy z chaty i leżeliśmy aż do dnia następnego, na posłaniu ze mchu, jedząc świeże daktyle.

Lecz po téj całodziennéj gnuśności i wypoczynku, trzeba było wziąść się do pracy i myśléć o pożywieniu. Weszłam więc znowu na drzewo palmowe. Wkrótce zeszłam, ostrożnie trzymając gniazdo papuzie, w którém były trzy jaja świeżo zniesione; matka uciekła spłoszona. Przyniosłam także duży worek włóknisty, który znalazłam na odmiennem drzewie palmowém.

Gdy Nelly krzesała ogień dla upieczenia jaj, przypatrywałam się uważnie workowi znalezionemu na drzewie palmowém. Długi był na trzy stopy i składał się z włókien czerwonawych, giętkich, bardzo ścisłych i tak posplatanych, jak gdyby był dziełem tkacza. Bijąc go kamieniem dla wydobycia zawartych w nim owoców, uważałam, że staje się co raz miększym; nie ustawałam w téj pracy, a wkrótce worek stał się istotną materyą, któréj chcąc użyć jako suknię, trzeba było zrobić otwory na głowę, ręce i nogi; uskuteczniłam to ostrym kamieniem. Nic nie mówiąc, wdrapałam się na to same drzewo palmowe, zerwałam dwa takie worki, i urządziłam je tymże samym sposobem.

Miałam więc trzy wygodne suknie, lecz chciałam jeszcze uzupełnić nasze ubranie.

***

Zajęta tą myślą, chodziłam około chaty, tym czasem Nelly piekła jaja, a Jerzy bawił się kokosowym orzechem. W tém wpadł mi w oko krzak zamii, długiemi uzbrojony kolcami. Znalazłam to czego mi było potrzeba. Zerwać te kolce, uciąć je w stósownéj wysokości i przedziurawić kolcem od sprzączki, było to dziełem jednéj chwili. Trzeba było wystarać się jeszcze o nici, lecz mieliśmy je już od dni kilku: włóknista roślina, formium tenax, (len Nowéj Holandyi) dostarczyła nam cienkich i mocnych nici, któremi przywiązywaliśmy liście do naszego ciała.

Po śniadaniu zawołałam Nelly, dałam jéj drugą igłę, zaczęłyśmy szyć, a wieczorem wykąpawszy się w strumyku, mogliśmy wszyscy troje ubrać się w naszą nową odzież. Jerzy nie próżnował przez ten czas, a przepiłowawszy ostrym kamieniem orzechy kokosowe, zrobił z nich talerze i miseczki. Suknie nasze były nam bardzo do twarzy. Zrobiłam grzebień z kolców zamii, i niemi uczesawszy włosy mojéj siostry, ozdobiłam ją wieńcem z kwiatów. Nelly wyświadczyła mi też samą przysługę.

Oceniasz Samuelu i wybaczysz mi wszystkie te szczegóły; są dziecinne zapewne, i drobiazgowe, lecz zawsze wspominam je z rozrzewnieniem. Nie opowiadałabym ich przed obcą osobą; lecz powtarzam je z zaufaniem, przy tym, którego nasz ojciec nazywał synem swoim.

Nie będę ci więc ukrywała jak szczęśliwi byliśmy wszyscy troje, ustroiwszy się i pozbywszy śmiesznéj i niezgrabnéj odzieży z liści bananasowych.

Drzewo palmowe przyniosło nam inne jeszcze korzyści. Zrobiłam z materyi któréj nam dostarczało, pantalony, i czapeczki. Liście olbrzymiego porostu morskiego zbiérane nad brzegiem morza, i zatknięte na kiju, służyły nam zamiast parasola.

Brakowało nam jeszcze obuwia. Jerzy, którego pojętność i moc rozwijała się co raz bardziéj, podjął się dostarczyć nam obuwia i wkrótce dotrzymał obietnicy. Spłaszczył i pokrajał zwierzchnią łupinę orzecha kokosowego, zrobił z niej podeszwy, włóknami formium przymocowaliśmy je do nóg naszych, a odtąd nic już nie było na przeszkodzie naszym przechadzkom i wycieczkom.

Widzisz więc Samuelu, że nie byliśmy w bardzo nieszczęśliwem położeniu, ponieważ mieliśmy smaczne pożywienie z owoców kokosowych, daktylów, a zwłaszcza z jaj papuzich, które Jerzy wybiérał wdrapując się na najwyższe drzewa.

Rozmaite muszle oderwane od skał nad brzegiem morza, kraby i jaja Dziobaka urozmaicały naszą żywność. Bardzo zdziwiliśmy się, ujrzawszy pierwszy raz tego osobliwszego czworonoga z kaczym dziobem, niosącego jaja jak ptaki. Przypadkiem znajdowaliśmy także w wysokich trawach nad brzegiem pobliskiego jeziora, jaja czarnych łabędzi, bardzo smaczne, albo też w jakiém ustroniu suchém, piaszczystém i dobrze wygrzaném od słońca, jaja dużego ptaka podobnego do strusia. Jeźli chcieliśmy dostać orzechów kokosowych, podpalaliśmy drzewa. Jerzy wynalazł łatwiejszy i śpieszniejszy sposób dostania daktylów. Skoro tylko postrzegł gromadę małp obierającą jakie drzewo daktylowe, natychmiast rzucał kamieniami na te zwierzęta i przestraszał je krzykiem, porzucały uciekając, uzbierane owoce.

Tak więc czas nam upływał na zbiéraniu żywności, na ulepszeniu naszego pomieszkania, w którém wkrótce nic nie brakowało: mieliśmy bowiem stołki bambusowe z poduszkami palmowemi, a z liści tegoż samego drzewa i z włókien formium, zrobiłam żaluzye.

Co wieczór i co rano poświęcałam godzinkę na naukę religii, dwojgu dzieci których matką w pewnym względzie uczyniła mię Opatrzność. Łasce Boga byliśmy winni zapewne tę spokojność duszy i umysłu; którą posiadaliśmy, odłączeni od całego świata i zostawieni samym sobie. Tak jest Samuelu, powinnam przyznać, że nie raz wieczorem, spoczywając na miękkim mchu, czułam w duszy mojéj, szczęście i spokojność którego nie doznałam po powrocie do Europy. Jakżeby można obojętnym wzrokiem patrzéć na tę głęboką ciszę lasów, na ich niebieskawe gałęzie, lekko kołysane wiatrem przedzierającym się przez ich drżące liście, jakżeby można nie doznać religijnego uczucia w obec tak wielkich i tak tajemniczych dobrodziejstw Stworzyciela!

W tém miejscu, ledy Sara przerwała opowiadanie.

„Nie jeden poranek, rzekła, zabierze historya przygód naszego wygnania. Jutro prowadzić ją będę, a dziś Samuelu przestańmy na tém.

Wstała i rozeszli się, ona znużona wspomnieniami tylu przygód, on zaś niemniéj wzruszony.

ROZDZIAŁ IV.

CHOROBA.

Nazajutrz gdy Samuel odwiedził ledy Sarę, wypoczęła po utrudzeniu wczorajszem i gotowa była ciągnąć zaczęte opowiadanie. Nelly i Jerzy usiedli przy niéj.

Wiedziałeś Samuelu, że nasza chatka stała się wygodném i prawie wesołém po-

mieszkaniem; wiesz, że już nie doznawaliśmy naglących potrzeb i że codzień powiększaliśmy nasze wygody. Nie tylko znajdowaliśmy w lesie rozmaite pożyteczne rośliny i krzewy, lecz oprócz tego zbierałyśmy nad brzegiem morza mnóstwo muszli i użytecznych płodów. Tym sposobem, *Szynka morska,* wielka muszla przyczepiająca się do skały długim pasmem giętkich i mocnych nici, dostarczyła nam mocniejszych i delikatniejszych włókien, niż te któreśmy otrzymywali z formium. Jerzy namówił nas, ażebyśmy zrobiły z nich dwie sieci, mniejszą i większą.

Pewnego dnia, poszedł o świcie, z mocniejszą siatką. Przyrzekł, iż powróci na obiad i możesz sobie wystawić, jakeśmy były niespokojne, gdy już wieczór nadchodził, a jego jeszcze nie było widać. Przerażone i zapłakane, już chciałyśmy pójśdź do lasu, gdy w tém usłyszałyśmy jego głos w dalekości. Przyszedł obciążony zwierzyną i ciągnąc małego żyjącego kangura.

—„Do schwytania kuropatw, przerwał Jerzy, użyłem sideł; z kangurem miałem więcéj trudności. Uradowany mojém polowaniem, już chciałem wrócić do siostr, nie używszy wielkiéj sieci, gdy w tém usłyszałem szmer w gęstwinie. Zbliżyłem się ostrożnie i ujrzałem dużą samicę kangura, leżącą na mchu. Roztworzyła się jéj wielka torba którą miała pod brzuchem, trzy małe zwierzątka wyszły z niéj i zaczęły skakać w około matki. Oddaliłem się po cichu i rozpiąłem sieć moją pomiędzy dwoma wielkiemi drzewami. Obszedłem potem kangura, zacząłem krzyczéć i i klaskać w ręce. Zwierz przestraszony gwizdnął, otworzył torbę w którą schowały się jego małe i zaczął uciekać... Lecz biédne zwierzę uplątało się w sieć moją i dobiłem je kijem. Wówczas zawiesiłem je na drzewie i wyjąłem małe z jego torby pod brzusznéj; żywcem przyprowadziłem najmocniejsze,a zabiwszy dwa inne, włożyłem je w moją myśliwską torbę, razem z kuropatwami.

—„Ponieważ ja trudniłam się kuchnią, przydała młodsza siostra Jerzego, wkrótce oskubałam dwie kuropatwy i upiekłam je na rożenku drewnianym. Była to wielka dla nas uciecha, gdyż oddawna nie jadłyśmy mięsa. Nazajutrz, jeden z młodych kangurów dostarczył nam także smacznego i delikatnego pożywienia.

Schwytany kanguro prędko oswoił się i przywiązał do nas. Pies nie może bydź wierniejszym i życzliwszym dla człowieka jak był nasz Oberon. To imie dała mu Sara.

„Jerzy, mówiła daléj Sara, nie przestawał dostarczać nam pożywienia, z zapałem który co raz bardziéj rozwijał jego wzrost i siłę. Zrobił wędkę, używszy do niéj kolca rosnącego na pewnéj roślinie i chwytał na nią smaczne ryby morskie. Doświadczenie nauczyło nas, że liście bananasowe namoczone w wodzie morskiéj i wysuszone w cieniu, nabierają mocy i giętkości tak, iż mogłyśmy je z szywać i krajać; porobiliśmy z nich poduszki, materace, kołdry, firanki, obrusy. Jeżeli kiedy przyjedziesz do Anglii Samuelu, zobaczysz te osobliwsze materye, któreśmy zabrali z Nowéj Holandyi a na pamiątkę przygód naszych urządziliśmy jedną altankę, zupełnie z takim sposobem jak była nasza chatka.

„Chociaż Jerzy przepędzał część dnia na polowaniu i rybołostwie, nie zaniedbywałam jego edukacyi. Co wieczór brał lekcyę pisania, języka angielskiego, rachunków i rysunków. Nelly uczyła się z nim razem. Używaliśmy zamiast papieru, delikatnéj kory z pewnego gatunku brzozy, rosnącéj w Nowéj Holandyi. Z soku muszli *Sepia* mieliśmy czarną farbę, a pędzelki z sierci kangura. Było to nam dość przykro, żeśmy nie mieli światła i musieliśmy iśdź spać skoro tylko noc zapadła. W prawdzie zrobiliśmy lampę z tłustości zwierząt i z włókna kokosowego, lecz wydawała woń tak nieznośną i tak kopciła, że jéj nie podobna było używać. Jerzy, nasz niespracowany Jerzy i temu zaradził.

Nie raz postrzegał świetne gwiazdy które przebiegały po lesie rozpościerając pasmo ognia i niknęły w krzakach. Chcąc odgadnąć przyczynę tego zjawiska, starannie obejrzał te krzaki i znalazł duży owad, (*Latarnik*); z paszczy tego owadu wychodziło światełko które Jerzy poczytał za gwiazdę. Natychmiast zrobił klatkę, zamknął w niéj pięć lub sześć takich owadów, które nie tylko przyświecały mu przez drogę, lecz także dostarczyły nam światła, wyrównywającego światłu dwóch świec woskowych. Nic przeto wieczorem nie przerywało naszych nauk i bez obawy czekaliśmy pory zimowéj, czyli raczéj pory dżdżystéj.

Na ten czas przygotowaliśmy żywność, jakoto suszone i wędzone ryby, suszone jagody i korzonki upieczone w piecu kamiennym. Opatrzyliśmy naszą chatkę grobelką, co ją ochroniło od zalewu, a posadzka z kamieni, wylana gummą, zabezpieczyła od wilgoci. Zrobiliśmy talerze i łyżki z muszli i kokosowych łupin, a noże z ostrych kamyczków. Nie zapomnieliśmy o serwetach. Na pręcikach z twardego drzewa, robiliśmy pończochy i rękawiczki. Swię-

cie przestrzegając niedzieli, zrobiliśmy sobie na ten dzień piękne suknie, które ci pokażę Samuelu.

Ledy Sara zadzwoniła na garderobianę i wydała jéj rozkaz w języku angielskim. Dyana, gdyż ona to była, powróciła wkrótce z bogatą skrzyneczką, którą Sara otworzyła złotym kluczykiem. Wyjęła z niéj suknię z palmowego włókna, delikatną i miękką, ciemnego koloru, ozdobioną arabeskami z piór ptasich i zielonym haftem. Do téj sukni należał pasek świetnéj białości, z włókna formium, zapinany na sprzączkę z muszli.

Oto są nasze suknie świąteczne; taką to niewinną rozrywką upiększałyśmy nasz wypoczynek niedzielny.

Oprócz Oberona, Jerzy schwytał i oswoił kilka innych zwierząt, jako to papugi i latającego falangona, pewien gatunek małego kota ze skrzydłami.

Dla rozrywki, robiliśmy z siostrą salopy ze skóry czarnych łabędzi, papug i innych ptaków pięknemi piórami pokrytych. Oto jest jedna z tych salop, możesz ocenić jéj piękność, oraz sztukę i cierpliwość z jaką były robione.

Figa elastyczna powiększyła jeszcze nasze wygody; zbieraliśmy gummę z jéj łodyg, a z niéj potem robiliśmy rozmaite naczynia i powlekliśmy nią suknię Jerzego, która przez to stała się giętką i nie przepuszczała deszczu. Jednym z najważniejszych naszych zapasów były konfitury z owoców, nic nam nie brakowało do ich przysposobienia, nawet cukru: zbieraliśmy go z *cukrowego porostu*, rośliny nadmorskiéj, na któréj znajduje się lekka, biała i słodka materya. Chowaliśmy drób w osobném ogrodzeniu, a mianowicie *Bezlotki*.

Przy końcu zimy, kilka smutnych wypadków przerwało naszą spokojność, i wystawiło nas na ciężkie próby, któremi Bóg chciał zapewne doświadczyć jeszcze naszéj cierpliwości i rezygnacyi, wprzódy nim zesłał godzinę uwolnienia.

Lecz postępujmy kolejno. Jutro Samuelu opowiem ci zmartwienia nasze.

To rzekłszy, ledy Sara pożegnała się z Samuelem, Jerzy wziął go pod rękę i obydwa udali się do teatru opery, gdzie tańczyły zachwycające Fanny i Teressa Elsler. Gdy Samuel klaskał i unosił się, Jerzy stał milczący i obojętny.

„—Jakto! zapytał się Samuel, jakto Jerzy, tak długo byłeś pozbawiony uciech cywilizacyi, i obojętnie patrzysz na te cuda lekkości i wdzięków?

Jerzy odpowiedział:

—„Nie jestem na nie obojętny, ale chociaż nie mogę sobie wytłómaczyć pobudek, czuję to, że gdy jestem pośród waszych uciech, ściska się serce moje, zasępiają się wyobrażenia i moje wspomnienia zwracają się do pustyń przylądka Cuvier. Samotność, gdy kto w niéj żył przez czas długi, zostawia w duszy niczem nie zatarte wrażenie. Tak napatrzyłem się szczytnéj i pierwotnéj naturze, iż w sercu mojém mało pozostało miejsca dla wrażeń sztuki.

A twoje siostry czy toż samo czują?

—„Tak jest kochany Samuelu. Sara i Nelly podobnież nad wszystko przenoszą samotność. I dla tego podróżujemy ciągle, i wolimy błąkać się między górami Szwajcaryi, niżeli gościć w salonach Paryża i Londynu. Wrażenia w młodocianych latach powzięte, trwają przez całe życie. Gdybyś nie był naszym przyjacielem z lat dziecinnych, nigdybyśmy cię nie przypuścili do naszéj poufałości i nie opowiedzieli naszych przygód. Troskliwie ukrywamy je przed ciekawością obojętnych ludzi. Po cóż mamy rozpowiadać byle komu, nasze cierpienia i cnoty Sary? Mało kto potrafi ocenić ile mocy duszy posiadała piętnastoletnia dziewczyna, ażeby walczyć mogła z najokropniejszym losem i nie umrzéć z przestrachu w obec tak ciężkich nieszczęść.“ Gdy to mówił; łzy stały mu w oczach, a jego fizyonomia, na pozór zimna i niema, wyrażała mocne wzruszenie.

Matka nie może bydź czulszą i bardziéj poświęcającą się jak była Sara. Odważna w nieszczęściu, jakeś się o tém przekonał, drżała i lękała się każdego przypadku któryby nam zagrażał. Pewnego razu wyszedłszy do lasu, wdarłem się na drzewo akacyowe dla zebrania wielkiego kawała gummy. Kolec gałęzi głęboko rozdarł piérś moją, a krew tak obficie płynęła z rany, iż czułem że mię siły opuszczają. Ledwie mogłem zsunąć się na ziemię i zawiązać ranę. Blisko pół mili byłem oddalony od naszéj chatki, zacząłem iśdź, lecz wkrótce nogi zaczęły drżeć podemną, dostałem zawrotu głowy i było mi niepodobna nie tylko iśdź daléj, lecz nawet rozeznać drogę. Usiadłem więc pod drzewem, zdając się na wolę Opatrzności.

Z tém wszystkiém, gdy wieczór nadszedł, moje siostry nazwyczajone do tego żem regularnie wracał na objad, zatrwożyły się i pomyślały że musiał spotkać mię jaki przypadek. Sara natychmiast postanowiła co ma uczynić.... „Zostań w chatce, rzekła do Nelly, abyś udzieliła ratunku Jerzemu jeźli powróci zraniony. Ja pójdę z Oberonem, szukać naszego brata, który miał udać się w wschodnią stronę lasu, jak mi to powiadał dziś rano.“

To mówiąc, zawołała na kangura, przywiązała mu do szyi latarkę z dwoma lub trzema latarnikami, wzięła w chustkę kil-

kadziesiąt tych owadów i każdemu do nóg przywiązała nitkę. Ukończywszy te przygotowania poszła do lasu.

W pewnych odległościach, przywiązywała do drzew latarniki, których światło miało jéj służyć za skazówkę gdy wracać będzie.

Szła tak przez półgodziny; nagle Oberon zatrzymał się, usiadł na ogonie i nadstawił uszy; po tem wahaniu się zaczął skakać przez krzaki. Sara poszła za nim i dostała się na miejsce na którém leżałem. Za jéj pomocą powróciłem do domu. Utrudzenie i boleść zrządziło mi ciężką gorączkę i byłem chory przez dni piętnaście.

Widzisz Samuelu, kto doświadczył takich rzeczywistych przygód, czyliż może zajmować się zmysleniami? Zostawmy wzruszenia sztuki tym, którzy nigdy nie doznali wzruszeń natury. Lecz ten, czyje dziecinne lata upłynęły w dzikiéj puszczy, jedno tylko widowisko patrzéć może, na widowisko dzieł Boga.

To rzekłszy, Jerzy rozstał się z Samuelem.

ROZDZIAŁ V.

OSWOBODZENIE.

Nazajutrz Sara tak opowiadała daléj.

„Jerzy wspomniał ci o swojém zranieniu i chorobie. Tylko co przyszedł do zdrowia, zachorowała Nelly, zbladła, ogarnął ją głękoki smutek. Nic ją zająć nie mogło, a gdym się pytała o przyczynę jéj smutku, odpowiadała że jéj nic nie jest i płakała. Wkrótce dostała gwałtownéj gorączki, krew zbiegła się do piersi, nastąpił suchy kaszel, a nawet gadanie od rzeczy. Zdało mi się że poznaję symptomata zapalenia piersi, lecz moż[illegible] się myliła, i czemże ją mogłam ratować? W takiéj słabości potrzeba krwi puszczenia albo pijawek, a nie mieliśmy żadnéj wiadomości jak się to czyni. Stan Nelly pogorszał się co chwila i już prawie nie było nadziei. Ja i Jerzy byliśmy w rozpaczy.

W tém brat mój wyszedł i powrócił wkrótce, z małym kamyczkiem bardzo ostrym, jak lancet.

—„Posłuchaj mię Saro, rzekł, musimy ratować siostrę; nie raz widziałem jak krew puszczają w szpitalach dokąd mię prowadził mój ojciec. Sprobujmy wykonać tę operacyą. Bóg nie opuści nas w tym razie.

Uklękliśmy oboje, a po krótkiéj i gorącéj modlitwie wstaliśmy pełni odwagi.

Jerzy śmiało wziął rękę siostry, przewiązał ją i trafił na żyłę którą trzeba było otworzyć. Pochylił się, ja odwróciłam głowę i wkrótce usłyszałam krzyk. Przybiegłam, Jerzy blady był jak trup i twarz jego oblała krew wytryskująca z ręki Nelly.

Puściliśmy krew, lecz jakiż będzie skutek? Była to okropna wątpliwość! Gdy już dosyć krwi upłynęło, Jerzy rozwiązał przepaskę i krew zatamował. Od téj chwili, znacznie polepszyło się zdrowie choréj, oddech był wolniejszy, kaszel ustał i nadeszły poty.

Ciepłe kąpiele dokonały jéj uzdrowienia. Jerzy zrobił wannę dla Nelly, wykopawszy tuż przy chatce mały dół, któren wyłożył wielkiemi muszlami, przerwy zapełnił mchem i gliną, a potem całą powierzchnię wylał gummą. Wodę rozgrzeliśmy za pomocą rozpalonych kamieni.

Po dwóch miesiącach obawy i zmartwienia, znowu byliśmy spokojni i szczęśliwi, chociaż nie mieliśmy nadziei powrotu do Europy. Rzadko nawet myśleliśmy o tém. Zdawało nam się, iż niepodobną jest rzeczą, ażeby nas znaleziono na tem pustem nadbrzeżu, nawykliśmy przeto do naszego sposobu życia i myśleliśmy iż go prowadzić będziem aż do śmierci. Inaczéj rozrządziła Opatrzność. Pewnego dnia rano, Jerzy przybiegł, oznajmując nam iż postrzegł na morzu, żagle okrętu. Pobiegliśmy nad brzeg i czekaliśmy skutku tak niespodzianego zdarzenia.

Poznaliśmy wkrótce, że okręt zmierza ku brzegowi, i w godzinę potém zarzucił kotwicę o cwierć mili od wyspy. Postrzeżono nasze znaki i spuszczono łódź z okrętu. Łódź przybiła daleko od nas i oficer marynarki znajdujący się na niéj, dobył szpady jak gdyby chciał się bronić przeciw naszéj napaści. Usiłował rozmawiać z nami przez znaki, lecz jakże się zdziwił, gdy mu Jerzy odpowiedział po angielsku. Porucznik, któren był rozumiał że ma do czynienia ze zdradzieckiemi dzikiemi ludźmi, natychmiast rzucił broń i przybiegł do nas.

Opowiedział nam, iż okręt ten wysłany został ażeby nas wynaleśdź. Szalupa z kilkoma ludźmi z okrętu naszego ojca, przypłynęła do Portu Jackson po długiéj i ciężkiéj żegludze, od nich dowiedziano się o rozbiciu statku i że zapewne kilka osób dostało się do brzegu. Major Lachlan Maquarie, rządca osady i bliski krewny mojéj matki, natychmiast wysłał statek dla wyszukania rozbitków, a mianowicie członków swojéj rodziny. Statek ten napróżno szukał nas przez osiemnaście miesięcy, i już miał powrócić bez żadnego skutku, gdy dla braku wody zatrzymał się przy naszéj wyspie.

Tego samego wieczora opuściliśmy naszą chatkę i miejsce gdzieśmy tak długo mieszkali, nie bez wylania łez, zabrawszy

jako drogie pamiątki, narzędzia któreśmy zrobili, nasze suknie, obicia, posłania i wiernego kangura który dziwił się i lękał widoku majtków. Gorzéj było gdy statek zaczął się kołysać, biédne zwierzę schroniło się do nóg moich i kilka tygodni upłynęło nim się nazwyczaiło do biegania po pokładzie.

W kilka tygodni po opuszczeniu przylądka Cuvier, przybyliśmy do portu Jackson. Widok nasz uczynił mocne wrażenie, gdyż dla braku stosownéj odzieży nie mogłyśmy były porzucić naszych sukien z włókna palmowego. Sam tylko Jerzy pożyczył ubioru od chłopca okrętowego.

Nasz krewny, major Lachlan Macquarie użyczył nam gościnności i opieki zajął się przygotowaniem naszego powrotu do Europy, gdzie na odgłos naszéj śmierci, poboczni krewni już chcieli objąć majątek naszego ojca.

Przez ten czas wypełniliśmy zamiary ojca względem Diany i zaraz nazajutrz po naszém przybyciu, dobra ta i nieszczęśliwa dziewczyna już była w naszym domu.

Już od dawna nie podzielała losu winowajców i mogła wrócić do Europy, lecz nie chciała opuścić Australii bez dowiedzenia się o naszym losie. Ofiarowaliśmy Dianie znaczną summę, chcąc wynagrodzić ile było w naszéj mocy, nieszczęścia i niesprawiedliwość, których przyczyną był błąd naszéj matki. Diana nie przyjęła tych ofiar.

„Wycierpiałam okropny wyrok wygnania, odpowiedziała, lecz świetne uznanie mojéj niewinności, które wyrobił wasz ojciec, podróż podjęta przez niego dla uwolnienia mię z tych smutnych miejsc, podróż niestety! którą życiem przypłacił i wasza przyjaźń, czyliż nie wynadgradzają mi już zapomnianych cierpień? Jeźli chcesz uczynić mię szczęśliwą, pozwól mi panno Saro, ażebym już się nigdy nie rozstała z tobą. Wychowana byłam w waszym domu, na waszych usługach, dozwól niech przy was umrę.“

Czule uściskałam Dianę i od tego czasu Samuelu, nie opuściła mię ani na chwilę; powróciła z nami do Europy, towarzyszyła nam we wszystkich naszych podróżach; sama tylko śmierć nas rozdzieli.

Samuel ciągle odwiedzał rodzinę lorda Egerton, pod czas jéj pobytu w Paryżu. Na wiosnę, Sara z siostrą swoją i Jerzym wyjechała do Niemiec. W ówczas dopiero, w chwili rozstania się może na zawsze, pozwolili mu ogłosić ich przygody, jednakże pod warunkiem zatajenia prawdziwego nazwiska ich starożytnéj i znamienitéj familii.

HENRYK BERTHOUD.

O ŻYCIU I PISMACH
PANI de STAEL.

(*ciąg dalszy*)

Delfina.

Talent pani de Stael, pełen mocy i wylania, nie mógł swobodnie rozwinąć się w dziełach filozoficznych, trudno jéj było poddać bystry swój umysł, pod ostre i systematyczne formy i może dopiero wtenczas uznano jéj wyższość, gdy ją mimowolnie rozwinęła. Wszystkie te świetne płody jednéj chwili, te myśli z obecnych powstające wrażeń, nie mogły uzyskać trwałego istnienia, gdzieindziéj tylko w fikcyi. Urozmaicona forma romansu w listach, nastręczała miejsce dla jéj wyobrażeń najbardziéj ugruntowanych, dla jéj najulotniejszych postrzeżeń i podawała jeszcze, jéj czułéj i gorącéj duszy, sposobność do zupełnego wywnętrzenia. Kto tylko posiada tę moc wymowy, pragnie jéj użyć. Miłość, ta namiętność najbardziéj dramatyczna ze wszystkich, ta któréj szczere rozwinięcie nosi cechę piękności, poświęcenia, szlachetności, czci nawet, była także dla pani de Stael najpowabniejszą do malowania. Smętna myśl ścigała ją od młodości; przejęta mocnem politowaniem dla losu kobiet, żałowała nadewszystko, kobiet wyższemi zdolnościami obdarzonych. Mniemała, że gdy nie uzyskają szczęścia, największego ze wszystkich, podług jéj zdania, to jest miłości w małżeńskiem pożyciu, nie mogą wtedy ani zawrzéć się w ścisłych szrankach swego przeznaczenia, ani też ich przestąpić, bez narażenia się na gorzkie boleści. Ta myśl mogąca rozwinąć się w romansie pod niezliczonem mnóstwem kształtów, naprowadzała ją na obraz kobiety zarazem świetnéj i nieszczęśliwéj, kobiety, nad którą panują jéj uczucia, którą źle kieruje jéj niepodległy umysł i która cierpi właśnie z powodu swoich najmilszych przymiotów.

Taki charakter najstosowniejszym był dla pani de Stael. Pod lekką zasłoną téj zmyślonéj osoby, uwolniła się od własnéj odpowiedzialności, a wyrażając mnóstwo uczuć, przez połowę tylko należących do niéj, zachowała całą żywość wrażeń swoich i nie była obowiązana je oceniać. Z umysłu wyszukała różnicę między swoim charakterem, a Delfiny. Nie nadała jéj tego przenikliwego rzutu oka, którym sama przewidywała wypadki, ani téj stałości duszy, za pomocą któréj znosiła to, czego sa-

ma nie usiłowała uniknąć. Delfina nic nie przewiduje i za wszystko cierpi. Prędko umiejąca schwycić najmniejsze odcienia uczuć i wyobrażeń, nie pojmuje próżności i interessów, lecz taż sama niewiadomość obleka jéj charakter barwą czystości. Spodziewa się, że rozbroi ludzi niezmienną dobrotliwością i ofiarą saméj siebie we wszelkich stosunkach; dla tego też troski które jéj duszy ufającéj i niewinnéj zrządza złośliwość społeczeństwa, są w tem dziele doskonale odmalowane.

Lecz pośród tysiąca zewnętrznych różnic, jest wewnętrzne podobieństwo między autorką i bohatyrką romansu, podobieństwo tém silniejsze, że jest mimowolne. Korynna jest ideałem pani de Stael; Delfina jest jéj rzeczywistością w młodych jéj latach. I dla tego, wszystko w Delfinie jest dziełem pierwszego popędu. Jest w niéj dobroć pochodząca z natchnienia, poświęcenie się instynktowe, wrodzona delikatność i szlachetność, a to wszystko połączone z niejaką dzikością i dziecińatwem uczuć, czyni ją jedynym nie naśladownym utworem.

Wrodzone cnoty Delfiny czynią nieznośnemi jéj błędy i nieroztropność. Czytelnik cierpi i gniewa się, gdyż ją kocha. Romans ten wzbudza mocne zajęcie, a to może w częściach swoich najmniéj burzliwych. Pani de Stael zdolniejsza była do malowania szlachetnéj exaltacyi miłości, aniżeli jéj szalonych zapałów. I dla tego, najpiękniejsze są listy Delfiny, gdy mniema że jest na zawsze rozłączona z Leoncyuszem, Charaktery są skreślone z mocą i nadzwyczajną trafnością. W całem tem dziele, bez ustanku znajdujemy panią de Stael; są to jéj upodobania jéj zdania, jéj teorya o powinnościach przyjaźni, jéj politowanie dla wszelkich trosk, jéj zapatrywanie się na życie, razem tak obszerne i szczegółowe. W dziele tém okazuje się talent, raczéj w najsilniejszym wzroście niżeli już w dojrzałości. Ogień młodości łączy się tam z zapałem wyobraźni. Delfina znalazła mocnych wielbicieli i przeciwników. Pani de Stael nie wiele ważała na przygany literackie, lecz mocno ją dotknęły zarzuty czynione temu romansowi pod względem moralności. *Delfina* była w tym względzie bardzo drażliwym dla niéj przedmiotem i zawsze oświadczała, że pisząc ją miała jak najczystsze zamiary. I chociaż nie lubiła zajmować się swojemi pracami, napisała *Uwagi nad moralnym celem Delfiny.* Dowodzi w nich, że usiłowała w dziele tém usprawiedliwić epigraf na jego czele położony: *Mężczyzna powinien umiéć wyższym być nad opinią; kobieta powinna jéj ulegać*; objaśnia potem dla czego każdy z nas czuje wrodzoną skłonność ku istotom czułym i exaltowanym, gdy tym czasem massa społeczeństwa sądzi je jak najsurowiéj. Miała podwójny cel moralny. Z jednéj strony powiada kobietom z wyższym umysłem: „szanujcie opinią ponieważ wszystko co tylko w was jest dobrem, może ucierpić przez nią i ona ścigać was będzie aż w sercu tych których kochacie“; z drugiéj zaś strony odzywa się do opinii: „Nie bądź niezbłaganą dla istot rzadkich, przystępnych nieszczęściu, a które są urokiem i ozdobą życia“.

Możnaby uczynić uwagę, że nauka surowości i nauka wyrozumienia, osłabiają się na wzajem; lecz obie są trafne i sprawiedliwe. Gdyż zwykle, nikczemne i nienawistne namiętności powstają przeciw exaltowanym przymiotom serca i umysłu, złośliwość karze nieroztropnych i słabych; czysta cnota nigdyby nie była tak surową i okrutną.

Tu kończy się drugi okres pism pani de Stael. Ziściła nadzieje powzięte w pierwszym. Jéj pisma już zwróciły uwagę myślących cudzoziemców, gdy we Francyi jeszcze jéj nie oddawano zupełnéj sprawiedliwości.

Wspomnieliśmy już że przy końcu roku, 1803, pani de Stael, po wydaniu Delfiny, prześladowana przez Napoleona, pojechała do Niemiec. Tam postrzegła, że jéj sława większą jest aniżeli sobie wyobrażała. Ludzie z geniuszem odpowiednim jéj geniuszowi, przyjęli ją z uniesieniem, xiążęta i monarchowie pragnęli ją poznać, a całe towarzystwo dało oklask jéj talentom, jéj postępowaniu w polityce i entuzyazmowi dla jéj ojca. Tam skojarzyła się ścisła zażyłość między nią a Fryderykiem Szleglem, znamienitym pisarzem, która na jénastępne pisma korzystny wpływ wywarła. Ten rok był bogatym dla pani Stael, w powodzenia, zabawy, nowe wyobrażenia, lecz w nim straciła ojca. Ciężki żal po jego stracie, działał na rozwinięcie jéj talentu. Już była poznała nieszczęście. Zbrodnie rewolucyi, niewdzięczność Francuzów względem Nekera, ich niesprawiedliwość względem niéj samėj i inne troski rozdarły jéj serce. Lecz takie zmartwienia drażnią i powściągają zupełnie wywnętrzenie duszy. Dla tego też okazywała ten satyryczny i gorzki dowcip, który jest także narzędziem powodzenia w zawodzie piśmiennym; lecz główną cechą i ozdobą jéj talentu, było wzniosłe i patetyczne natchnienie. Boleść pochodząca z woli nieba, wynikająca z porządku rzeczy, łącząca się religijném uczuciem, musiała działać na jéj duszę, w sposób któryby szczęśliwym nazwać można, jeźli najwyższe wydoskona-

lenie, nazwiemy szczęściem. Ciągłe jéj zastanawianie się nad przymiotami Nekera, mocna żądza ażeby stała się tem dla dzieci swoich czem on był dla niéj, odczytywanie wraz z niemi, pięknych jego rozpraw o religii i moralności, wszystko to zrobiło na niéj uroczyste i głębokie wrażenie. Odtąd, jéj religijne uczucie nabrało więcéj mocy, jéj pobożność była stalsza i czynniejsza. Nią przejęta, skreśliła zachwycający obraz prywatnego życia Nekera, który umieściła na czele pośmiertnych pism jego. Sławny pisarz, *Benjamin Constant*, powiedział, iż żadne z dzieł pani de Stael, nie daje tak dobrze jéj poznać.

Korynna, czyli Włochy.

Przyniósłszy tym hołdem ulgę sercu swemu, pani de Stael wyjechała do Włoch. Jeszcze pogrążona w boleści, nie spodziewała że znajdzie wielką przyjemność w téj podróży i nie mniemała że będzie czułą na ten rodzaj pongt, jakie ta podróż mieć może. Dotąd uwielbiała sam tylko geniusz, zastanawiała się tylko nad sercem człowieka i nad xiążkami nie nad naturą. Oddawna oddalona od świetnéj widowni swoich uciech i powodzenia w młodych latach, mocno żałowała Paryża. Dość była obojętna na piękne sztuki i na obrazy natury. Gniewała się, że tak powiem, na jeziora, góry i lodowiska Szwajcaryi, pośród których żyć musiała. Co tylko nie było ani myślą ani uczuciem, nie miało wartości w jéj oczach. To usposobienie umysłu, już się zmieniło pod wielą względami w epoce gdy wyjeżdżała do Włoch. Jéj ojciec umarł, nie otrzymawszy sprawiedliwości w opinii Francuzów. Pewna będąc, że wszędzie musi cierpiéć, obojętna była na wybór swego pobytu. W podróży do Włoch, doznała ulgi którą przypisała wpływowi ojca swego. Piękne niebo i klimat Włoch działały na nią mimo jéj wiedzy. Jéj rozrzewniona dusza zaczęła bydź przystępną słodkiem wzruszeniem i zewnętrzne przedmioty uczyniły na niéj to wrażenie jakie czynić powinny. Było to wrażenie wielkie, potężne, niespodziane; zdało jéj się, że pierwszy raz poznaje naturę i sztuki piękne, gdy je ujrzała w ich uroczystym przepychu.

Rozwinięciu tego nowego uczucia sprzyjało bez wątpienia towarzystwo Szlegla. Wiadomości tego uczonego w sztukach pięknych, jego poetyczny sposób zdawania sprawy z ich wrażeń, zajęły panią de Stael. W skutku tajemnéj analogii, uwielbienie sztuki obudziło w jéj sercu uwielbienie natury, a kopije zwróciły ją do wzorów. Może korzystne są dla talentu późne te wrażenia, zrządzające nagłe wstrząśnienie w wykształconym umyśle. Gdyby pani de Stael była od dzieciństwa tkliwą na wdzięki natury, jéj pierwsze prace byłyby zbogacone większą liczbą obrazów, lecz nie byłaby napisała *Korynny*.

W właściwéj literaturze i za obrębem polityki, *Korynna* jest arcydziełem pani de Stael. Korynna jest świetnym i nieśmiertelnym tworem, który ją umieścił w rzędzie wielkich pisarzy. Jest to płód geniuszu, w którym dwa odrębne dzieła, romans i obraz Włoch zlały się razem. Dwa te pomysły jednocześnie zrodziły się: czujemy, że każden pojedynczo nie byłby zajął autorkę, i nie byłby odpowiedni jéj myślom. I dla tego, między najbogatszą rozmaitością stylu i kształtu, panuje zachwycająca zgodność i harmonijna barwa rozlana jest na całość dzieła. *Korynna* jest razem dziełem sztuki i tworem umysłu, poematem i wywnętrzeniem duszy. Naturalność, naturalność gorąca i namiętna, chociaż melancholiczna i tkliwa, przebija się wszędzie; nie ma wiersza któryby nie był napisany ze wzruszeniem. Pani de Stael, podzieliła się że tak powiem między dwie główne osoby. Jednéj dała swoje nigdy niewygasłe żale, drugiéj swoje nowe uwielbienie. Korynna i Oswald, jest to entuzyazm i boleść, obie razem jest to ona sama.

Melancholia którą od samego początku przypisuje lordowi Nelvil, jest pięknym pomysłem. Z niéj wynika, że druga część tak żałobna w ogóle swoim, nie jest sprzeczna z pierwszą, a ten odcień smutku, tworzy tło posępne i łagodne, od którego wszystkie przedmioty, a zwłaszcza postać Korynny odbijają się z tym mocniejszym blaskiem. Z tąd wynika, że czystszy urok rozlany jest na samąż Korynnę. Litość łączy się ze wszystkiem, czego ona doznaje. Nie jest to już namiętna kobieta, usiłująca podbijać serca, jest to dobroczynny geniusz, przychodzący na pomoc boleści. Wszystko nas w niéj rozrzewnia nawet to co zaślepia i zadziwia. A jednakże koloryt dzieła jest jak najbardziéj ożywionym, a często nawet jak najweselszym; dla tego właśnie, że uciechy i troski życia, wystawione są z mocą, fikcya romansu jest tak piękną tak uderzającą.

Pierwsza część, Włochy malowane przez miłość, ciągłe wzbudza zachwycenie, Korynna wysławia wszystkie cuda sztuki, dając poznać Oswaldowi największy z jéj cudów, Rzym, napiętnowany gieniuszem tylu wieków, Rzym który nad światem i wiekami odniósł zwycięztwo. Wszystko co największego znajduje się w historyi,

wszystko co obecna chwila nastręcza dostrzegaczowi, połączone jest w jéj wyrazach. Z pierwotnoruemi postrzeżeniami młodéj wyobraźni, połącza wiadomość wszystkiego, co myślano o przedmiotach, o których mówi. Wie ona, jaki był sąd starożytnych i artystów z średnich wieków, jaki jest sąd różnych tegoczesnych narodów; tłomaczy i stawia na przeciw siebie te wszystkie stanowiska widzenia, z pełnym życia wdziękiem młodéj kobiety, chcącéj przedewszystkiem podobać się i miłość wzbudzić. Prawdziwéj nauki udziela nam czuła istota, przemawiająca do naszego serca.

Zręcznie autorka umieściła w cieniu, początek podróży lorda Nelwil, ażeby całe światło zwrócić na przepyszną scenę, będącą istotnem rozpoczęciem dzieła! Obarczony smutkiem po stracie ojca, Oswald lord Nelwil, przyjechał dniem wprzódy do Rzymu, na nic nie uważając, gdy w tém rano, obudziło go światło słońca, dźwięk muzyki i huk armat. Muza Włoch, Korynna, improwizatorka, celująca przy tém w malarstwie i w muzyce, ma bydź uwieńczona w Kapitolu. Całe miasto jest w ruchu, lud cały obchodzi święto geniuszu. Podzielamy wrażenia Oswalda, gdy mimowolnie idzie za świetnym wozem Korynny. Z nim razem powzięliśmy uprzedzenie przeciw kobiecie szukającéj powszechnych hołdów i z nim także godzimy się z Korynną, gdy widzim to przyjemne oblicze na którém maluje się dobroć i prostota serca, złączona z najpiękniejszym entuzyazmem. Podzielamy jego wzruszenie, gdy stojąc w tłumie słuchaczy, postrzega, że jego szlachetna postawa, jego żałobne suknie, a może i wyraz smutku, zwróciły uwagę Korynny, iż rozrzewniła się patrząc na niego, że już zmieniła przedmiot pieśni swoich, iż hymnem tryumfalnym połączyła tkliwe wyrazy. Lecz pośród pomięszania Oswalda, już wykazuje się jego charakter. Gdy przy wyjściu z Kapitolu spada wieniec Korynny, gdy Oswald go podniósł i gdy mu podziękowała po angielsku, nienaśladowny akcent rodzinny wzruszył całą jego istotę. Był zachwycony, teraz uderzony jest w samo serce; wiemy co go najmocniéj dotknie: takim sposobem zaczyna się romans, a ten wstęp wspaniały, jest kluczem do całego dzieła.

Improwizacye Korynny, które jak przypuszcza autorka, są przełożone z włoskiego, świetną ozdobę przydają temu dziełu; nie wiem jednakże czyli ich blask umyślny, przewyższa ponętę innych rozmów Korynny. Wszystko jest zachwycającém co tylko mówi Korynna. W gronie przyjaciół któremi jest otoczona, zawsze obudza jak najżywszy entuzyazm. Zawsze oczekują jéj słów z jak najżywszą niecierpliwością i zawsze dają im poklask. Każdy mówi: słuchajcie Korynny, ona was zachwyci. Korynna mówi i zachwyca w rzeczy saméj. Jakże to niezmierna trudność dla autora, zapowiadać cuda geniuszu, i dotrzymać słowa! przygotować nas do podziwienia i w rzeczy saméj zadziwić! To mnóstwo wymownych ustępów, albo zajmujących obrazów, nie szkodzi romansowi, gdyż autorka tam je tylko umieściła, gdzie zawiesza się postęp akcyi, gdzie czytelnik obawia się jéj biegu, i gdy tém lepiéj używa chwilowéj spokojności, gdyż wie że burza już jest blisko.

Przeznaczenie Korynny otoczone jest tajemnicą; mówi ona kilkoma językami, połącza powaby wszystkich klimatów, a nie wiadomo gdzie się urodziła. Oswald nie znający innego szczęścia, prócz szczęścia w domowém zaciszu, chciałby z nią połączyć się świętym węzłem, lecz przedewszystkiem wymaga jéj zaufania. Tego to wyznania, które Korynna odednia do dnia odwleka, lęka się czytelnik, i lubi te przechadzki, te zajmujące wycieczki które ona nieustannie nastręcza Oswaldowi, chcąc przez ciekawość umysłu oderwać go od ciekawości serca. Rozmowy Korynny tchną szczęściem, lecz szczęściem już bliskiém końca, i namiętnością co go ma przeżyć. Im bardziéj zbliża się chwila zgubnego wyznania, tém bardziéj pragnie sama odurzyć się a kochanka swego upoić najszczytniejszemi rozkoszami poezyi i sztuk pięknych. Zdaje się, iż tym żywsza barwa pada na wszystkie przedmioty, im groźniejszém staje się niebo i że jedyny promień jeszcze przebija się przez chmurę, którą w krótce pobruzdują pioruny.

Dopiero po wnijściu na Wezuwiusz razem z Oswaldem i przypatrzeniu się zblizka, płonącym potokom lawy, Korynna oddaje lordowi Nelwil pismo obejmujące historyą jéj życia.

Nigdy jeszcze nie zdarzył się tak nieszczęsny zbieg okoliczności. Korynna jest angielką i nie mogła znieść jednostajnego życia w Anglii. Korynna była od dzieciństwa przeznaczona dla Oswalda, a jego ojciec przerażony żywością jéj upodobań i wyobrażeń, które już się w niéj rozwijały, zwrócił swój wybór na Lucyllę, młodszą siostrę Korynny. Zranione są przeto uczucia Oswalda jako Anglika i jako syna Dotknięty jest w tem co w niém jest głębsze i bardziéj zakorzenione niż miłość sama. Odtąd fikcya przybiera inne znamie i czujemy że odtąd idzie tylko o rozłączenie się i śmierć. Odtąd w stosunkach Oswalda

z Korynną, będą tylko okrutne walki, cierpienia duszy, wynikające ze sprzeczności między uczuciami równie żywemi, nie jednostajność w postępowaniu i wzajemne oszczędzanie sie, jeszcze smutniejsze niżeli sama burza. Oswald zaczyna myśleć o powrocie do Anglii, a opisanie jego pobytu w Wenecyi razem z Korynną, nacechowane jest żałobną i niezmiernie oryginalną pięknością. Nie będziemy dalej ciągnąć tego zarysu. Nie możemy kreślić okropnéj podróży którą tajemnie Korynna odbywa do Anglii, powolnéj choroby która ją trawi, ślubu Oswalda z jéj siostrą, którego jest prawie świadkiem, jéj samotnego powrotu do Florencyi, przybycia Oswalda i Lucylli do tego miejsca i nareście jéj pożegnania się z niemi, pożegnania w szczytnym hymnie, prawdziwym śpiewie łabędzim.

Druga połowa dzieła, zupełnie się różni od pierwszéj, w niéj panuje posępniejsza barwa i rozwija się przerażający talent malowania boleści. Jest to nadzwyczajne bogactwo odcieni w stopniowaniu smutnych wrażeń. Widać z początku lekkie zmniejszenie się szczęścia, potem przemijające i nieoznaczone cierpienie, które co chwila staje się wyraźniejszem, potem najsroższą siłę nieszczęścia a nareście rozpacz najspokojniejszą na pozór, rozpacz zbyt słabéj i pobożnéj istoty, nie zdolnéj powstać przeciw niéj, lecz nie zdolnéj także jéj przeżyć.

Mimo tak mocnego smutku, jest zawsze piękna harmonia w każdym obrazie. Korynna nieszczęśliwa, zawsze jest natchnioną muzą, a czytelnik nigdy nie traci przyjemności, którą mu piękne sztuki przynoszą. Powiedziano, że osoba Korynny jest zbyt teatralna i przez to niepodobna do prawdy. Autorka nie zamierzyła wystawić pospolitéj natury, lecz exaltowany charakter kobiety, poetki, która wtenczas gdy kocha i wtenczas gdy cierpi, jest zawsze improwizatorką. Uczucie własnego talentu i uwielbienia które wznieca, nigdy jéj nie opuszcza, i wyrażeniu jéj najprawdziwszych uczuć, świetny i odrębny koloryt nadaje. To właśnie natchnienie, zwracające się również na świat zewnętrzny jak na uczucia duszy, stanowi zgodność między częścią opisową a częścią romansową dzieła.

Ci którzy oceniają to dzieło jako romans, uważają, że bohatyr nie dosyć jest namiętnym. Lecz Korynna nie powinna bydź przewyższona w niczem, nawet w miłości, i trzeba było stworzyć charakter zupełnie różny od jéj charakteru; ażeby się obok niej utrzymał. Charakter Oswalda jest zgodny z naturą, a zwłaszcza z naturą Anglików. Jakże wiele jest ludzi, a mianowicie w krajach poważnych obyczajów, takich jak Anglia, którzy kolejno żałują i rozkoszy i surowości, którzy razem ulegają swoim nazwyczajeniom i chcą się od nich uwolnić, i wtenczas właśnie najbliżsi są wyrzeczenia się swoich namiętności lub zasad, gdy się zdaje że już im ulegną. Ten charakter, utrzymujący Korynnę w ciągłéj obawie i nadziei, jest właśnie takim, jakiego było potrzeba dla ustalenia jéj wyobraźni i myśli.

Wszystko co się dotycze sztuk pięknych, jest w Korynnie ważném i zajmującém. — Obok świeżości i żywości wrażeń, widać gruntowną naukę i erudycyą. Najcelniejsze wyobrażenia Winkelmana i innych autorów niemieckich, a nawet uczonych włoskich, odradzają się w wykładzie Korynny, pod kształtem natchnienia. Korynna obok swego zapału posiada takt pani de Stael. Najżywsze jéj uwielbienie, ma zawsze swoje granice; słowo co je wyraża, oznacza razem kres jego, ocenia doskonałości i wady.

Zarzucano pani de Stael iż samą siebie chciała wystawić w Korynnie. Może pragnęła zmniejszyć uprzedzenia powzięte względem kobiet z wielkim talentem, może chciała okazać, jak to poznała z doświadczenia, że miłość chwały nie pociąga za sobą tych wad z któremi ją łączy pospolite mniemanie. Utworzyła więc istotę podobną do siebie, kobietę, którąby potrzebę tryumfu łączyła z głęboką czułością, ruchomość wyobraźni ze stałością serca, wylanie się w rozmowie z tą godnością duszy, za którą idzie godność obejścia i nareście jak najżywszą namiętność, ze zbadaniem siebie i drugich. A tą istotę tak wystawiła, tak wydatny kształt jéj nadała, że fikcya posłużyła za dowód prawdzie i że Korynna dała nareście poznać panią de Stael.

Z tem wszystkiém; ten cel mógł bydź tylko podrzędnym. Nie trzeba szukać wyjaśnienia tego co jest piękne w sobie samem. Korynna jest owocem natchnienia. Jest to obraz który tak mocno ogarnął wyobraźnią autorki, iż go musiała skreślić, a cechą geniuszu jest to, że sam siebie maluje w dziełach swoich. Można także uważać, że charaktery Lucylli i Korynny wyobrażają ogólne pomysły: jest to Anglia i Włochy, szczęście domowe i rozkosze wyobraźni, świetny geniusz i skromna i surowa cnota. Obrona jednego lub drugiego trybu życia, jest równie mocna i wielka. Kwestya ta ciągle roztrząsana jest w dziele, mimo wiedzy czytelników, pociągniętych jego drammatycznem zajęciem.

(*Dokończenie nastąpi.*)



ROTTERDAM

ROTTERDAM.

Rotterdam jest jedném z najznaczniejszych miast Holandyi, piérwszém może co do handlu po Amsterdamie; nazwisko jego pochodzi od rzeczki Rotter wpadającéj w Mozę. Położenie Rotterdamu bardzo jest dogodne do żeglugi i handlu. Nie znamy jego początków, wiadomo tylko, że w 1240 r. otoczono je wałami i nadano mu przywileje. Wnijście do miasta od strony rzeki, bramą zwaną *De nieuwe Hoofds Port*, jest piękne; ulice wysadzane drzewami podług zwyczaju przyjętego w całéj Holandyi, tworzą piękny widok; drzewa te zrządzają chłód i czyszczą powietrze podczas upałów. Podróżnego który pierwszy raz przybywa do Holandyi, najbardziéj uderza widok murowanych domów, bardzo wysokich, z wielkiemi oknami, pochylających się na ulicę w miarę swéj wysokości; zdaje się iż co chwila zawalić się muszą na głowy przechodzących, a jednakże są zbudowane bardzo gruntownie, czysto utrzymane i wybielone. Cóżkolwiek bądź, obraz miasta Rotterdamu mocne wzbudza zajęcie. Widać maszty z długiemi chorągiewkami: są to *Trechtschuitz*, małe lekkie statki: potém piękne aleje, domy bogato złocone; a tak w jedném miejscu, łączą się główne rysy wioski, miasta i morza.

Ta część Holandyi, pisze pewien podróżny, jest najniższym, najbardziéj płaskim krajem w Europie, a może i na całym świecie. Kraj ten, chociaż nie mający téj rozmaitości wzgórków i dolin, uderza osobliwszym widokiem kanałów, któremi jest przerznięty na wszystkie strony. Te pastwiska oddzielone jedne od drugich, nie murem lecz kanałami, te pola otoczone groblami w kształcie żywych płotów, te domy opasane rowami i do których idzie się po zwodzonych mostach, ta zieloność tak bujna i tak rozmaita, te rosłe drzewa, których cienie odbijają się w tysiącach kanałów: wszystkie te przedmioty, mają właściwą sobie zaletę w moich oczach. Żaden kraj więcej mię nie zajął i nie obudził mojéj ciekawości, jak wilgotna Holandya. Podróżowałem w najdogodniejszéj porze, w lecie, gdy każda okolica może nam się podobać; lekkie wyziewy z kanałów i rzek ochładzały duszący upał; wieśniacy siedząc przed domami, spokojnie palili fajkę: gospodynie powróciwszy z pola, czyściły sprzęty gospodarskie, z tém ochędóstwem właściwym Holendrom; znużone krowy podnosiły łeb do góry albo też szły do wody. Rzekłbyś, iż to jest obraz Gerarda Dow. W ogólności, na widok holenderskiego krajobrazu, pojmujemy, iż mógł natchnąć flamandzkich malarzy, którzy takiém mnóstwem wiejskich widoków ozdobili galerye.

Rotterdam w tém jest wyższy od Amszterdamu, że do jego wnętrza wpływać mogą okręty kupieckie, wszelkiego rozmiaru. Stawają one przededrzwiami sklepów, wyładują towary i biorą nowe. Zwodzone mosty podnoszą dla przepuszczenia okrętów i spuszczają je potem dla przejścia osób, czekających nad brzegami kanału. Dwóch ludzi wystarczy do podniesienia i spuszczenia największego mostu, tak są zręcznie zbudowane. Kanały zastępujące miejsce ulic, łodzie przesuwające się szybko tu i owdzie, nadają Rotterdamowi niejakie podobieństwo z Wenecyą. Na tém też ogranicza się to podobieństwo; nie ma bowiem w Rotterdamie żadnych prawie pomników budownictwa; jest to porządny plac handlowy; cała jego poezya, znajduje się na tych ciężkich okrętach, przynoszących mu płody wszystkich krajów. Jednakże miasto nie jest smutne, mimo powagi i małomówności mieszkańców. Zajmującą jest żegluga po kanałach Rotterdamu, na lekkim statku, między dwoma rzędami pięknych drzew, za któremi widać domy osobliwszéj budowy, z mnóstwem okien; ruch handlowy, ubiory wszystkich niemal narodów, bandery różnokolorne, wszystko to nie jest zwyczajnym pospolitym widokiem.

Boomquaj, czyli Boomqees, (aleja drzew) jest najcelniejszą ulicą miasta; ciągnie się blisko ćwierć mili, wzdłuż rzeki aż do czoła grobli, do miejsca którém woda wchodzi do Rotterdamu i napełnia kanały; widok Mozy i przeciwnego brzegu, jest bardzo piękny. Wiele domów jest z kamienia ciosowego, któren, ponieważ nie znajduje się w kraju, musiano sprowadzić wielkim kosztem; te wspaniałe domy należą do najbogatszych rodzin. Nazywają tę przechadzkę bulwarem, lecz właściwie jest to tylko szeroki taras zasadzony wiązami. Domy co go otaczają, można porównać z najpiękniejszemi pałacami Paryża. Połączają one świeżość, porządek i czystość. Podróżni chcieli przyganiać temu zbytecznemu ochędóstwu, téj drozbiagowéj troskliwości w myciu i malowaniu bez ustanku wnętrza domów i ich zewnętrznych murów. Lecz, gdyby się zastanowili nad naturą klimatu, poznaliby że nadzwyczajna czystość jest nieuchronnie potrzebna do utrzymania zdrowia mieszkańców. Nic w świecie nie jest zupełnie niedorzecznem i naród nazwyczajony do ścisłego obliczania wartości czasu, nie traciłby go na porządkowanie i czyszczenie, gdyby nie był przekona-

ny, że jest nieuchronnie potrzebne do utrzymania zdrowia i życia. Przy Boomquay mieszkał sławny Bayle, autor *Dykcyonarza historycznego i krytycznego*, professor filozofii i historyi w Rotterdamie. Mieszkańcy znają to miejsce i każdemu cudzoziemcowi pokazują domek, na którem nazwisko jego wypisane jest złotemi literami.

W wielu częściach Rotterdamu znajdują się ślady panowania Hiszpanów. Kształt domów przypomina sposób budowania tego narodu; rozmaite gmachy wzniesione w owéj epoce, jeszcze mają napisy hiszpańskie. Rotterdam jest miastem pełnym dobroczynnych instytucyi, odznacza się także najczynniejszym duchem kupiectwa i wyuzdanéj żądzy zysku. Te dwa uczucia nie są sprzeczne. Oprócz wrodzonego upodobania spekulantów w porządku i regularności, kupcy dosyć są skłonni do otwierania zakładów przytułku dla ubóstwa; już to dla umniejszenia zazdrości, już to aby uchronić się od smutnego widoku nędzy. Przytaczają ciekawe szczegóły o łakomstwie Holendrów. Podczas wielkich wojen Napoleona, rząd holenderski surowo zakazał wprowadzania towarów angielskich; lecz kupcy tém czynniéj prowadzili ten zakazany handel. Wówczas, gdy postanowienia rządu były poprzylepiane po wszystkich rogach ulic Rotterdamu, kupcy tego miasta ułożyli się z przedsiębiercami francuzkiemi, o dostawę sukien angielskich i dziesięć tysięcy żołnierzy francuzkich dostało mundury z sukna wyrobionego w warsztatach ich nieprzyjaciół. Przytaczają drugi rys z czasów wojen między Anglią i Holandyą. Podczas bitwy morskiéj, ułożono się o kilka godzin rozejmu. Holendrzy wówczas ofiarowali Anglikom, za znaczną cenę, proch armatni, którego tymże już prawie zupełnie nie dostawało. Spodziewać się trzeba, że za czasów naszych, podobnego rodzaju postępek jużby się nie ponowił.

Między kościołami w Rotterdamie, jeden tylko S. Wawrzyńca zasługuje na uwagę. Ze szczytu wieży, widać największą część płaszczyzn Holandyi. Mało jest w nim pomników godnych wzmianki: między niemi groby wielkich pensyonaryuszów Holandyi, Kornela Wita, Jana de Brakel i Admirała Kornaar. Przed kilkudziesięcią laty, zbudowano w nim wspaniałe organy: jednakże niedostateczna była kwota na ten cel wyznaczona, gdyż usiłowano ażeby mogły ubiegać się o wyższość z organami w Harlem. Mylne byłoby mniemanie, że je zbudowano przez zamiłowanie w muzyce; była to kupiecka spekulacya, chciano przeciągnąć tłum, który co rok idzie do Harlem, dla słuchania tamtejszych organów, co znaczny dochód przynosi miastu. Żaden lud, prócz samych tylko Chińczyków, tych zawziętych nieprzyjaciół wszelkiéj nowości, nie jest bardziéj przywiązany do płodów swego kraju. To niezmienne przywiązanie tém bardziéj zadziwia, że Holendrzy prowadząc od wieków handel ze wszystkiemi częściami świata, przywożą ich rozmaite płody, lecz nie po to ażeby je przysposobić za swoje lub naśladować, albo nawet zużyć, lecz tylko po to żeby je odprzedać z zyskiem. Nie ma więc nic dziwnego, iż giełda jest najpiękniejszym, a może nawet jedynym pomnikiem Rotterdamu. Mało co możemy powiedzieć o tym gmachu, który ukończony został w r. 1736, chyba to tylko, iż tworzy długi czworobok dosyć dobréj architektury. Trzeba iść na plac giełdowy, albo raczéj wnijść do sali, ażeby powziąć wyobrażenie o téy osobliwszéy powadze odznaczaiącéy mieszkańców Rotterdamu, a w ogólności Holendrów. Poważne fizyonomie, czoła zmarszczone nazwyczajeniem do rachub, i to jeszcze wyrzeczonych po cichu, odróżniają giełdę holenderską od hałaśliwéj giełdy paryzkiéj, a zbliżają do londyńskiéj. Przydajmy do tego, iż ażyoterowie angielscy są spólnikami ażyoterów Rotterdamu.

Pewien rodzaj chwały literackiéj spadł na Rotterdam z powodu wielkiéj liczby dzieł wydanych tamże, w ciągu trzech ostatnich wieków. Rotterdam nie jest jednak miastem naukowém: wydano tam wiele książek, nie przez zamiłowanie nauk, lecz tylko dla zysku. Dzieła te, zakazane we Francyi, wchodziły tam przez kontrabandę. Z tém wszystkiem, panuje w Rotterdamie jeźli nie zamiłowanie w naukach, to przynajmniéj szlachetne poważanie dla znamienitych uczonych i pewien rodzaj synowskiéj czci dla tych pisarzy, którzy byli rodem z Rotterdamu. Dowodem tego jest uwielblenie dla Erazma. Wystawiono mu wspaniały posąg bronzowy, na 10 stóp wysoki, umieszczony w środku mostu; zrobił go w r. 1662 Henryk Keisel sławny rzeźbiarz holenderski. Erazm, sławny erudyt, urodził się w Rotterdamie przy końcu XV wieku, wówczas gdy wynalazek druku rozszerzał się po świecie, a z nim szlachetna epoka odrodzenia nauk; gdy uczeni greccy, po upadku Konstantynopola rozeszli się po Włoszech, Francyi i Niemczech. Powstały wówczas nowe wyobrażenia; pokolenie uczonych oddało się umysłowym pracom; zamiana uczonych listów i rozpraw, wszczęła się w całéj naukowéj Europie. Uczony był w owéj epoce uniwersalnym człowiekiem, znanym od wszystkich, podejmowanym od monarchów, którzy ubiegali się o to, aby go mogli

posiadać na dworze, albo w uniwersytecie swoim. Gdy znaleziono ułomek Homera, dobry text Eurypidesa lub Anakreona, powstawał powszechny okrzyk wdzięczności; odwiedzano sławnego erudyta; uwieńczano go w Kapitolu. Czyjaż reputacya była poważniejsza i czystsza jak Erazma z Rotterdamu? Cóż można porównać z tą potęgą sławy, którą czczono jednocześnie w Holandyi, we Włoszech, w Niemczech, we Francyi i w Anglii. Życie Erazma jest wiernym obrazem erudycyi jego wieku; gimnazyum Rotterdamu nosi nazwisko Erazma; a na wystawie domu w którym żył, znajduje się piękny napis na jego pochwałę.

Ludność Rotterdamu wynosi teraz 66000. Oprócz gmachów wymienionych powyżéj, zasługuje na wspomnienie pałac Admiralicyi, pałac byłéj kompanii Indyiskiéj i szpital starców. Towarzystwo batawskie nauk ścisłych i doświadczalnych i szkoła łacińska, są to najznaczniejsze naukowe zakłady tego miasta.

O ŻYCIU I PISMACH

PANI DE STAEL.

(*Dokończenie.*)

Czyniono ten zarzut pani de Stael, że samą siebie odmalowała w Korynnie. Może w istocie chciała osłabić uprzedzenia powzięte przeciw kobietom z wielkim talentem, może chciała okazać, jak o tém wiedziała z doświadczenia, że miłość chwały nie pociąga za sobą wad które im zwykle przypisuje zdanie powszechne. Utworzyła więc istotę podobną do siebie, kobietę połączającą potrzebę chwały z mocném uczuciem, wywnętrzenie w rozmowie z tą godnością duszy, nakazującą godność w obejściu i nareście całą moc namiętności z rozważaniem siebie i drugich, a tę istotę tak doskonale wystawiła, iż fikcya posłużyła za dowód prawdzie i Korynna dała poznać panią de Stael.

Korynna zyskała nadzwyczajne powodzenie. Dzieło przystępne do pojęcia wszystkich, z którego artyści czerpią nowy entuzyazm, razem z nowemi środkami wyrażania go; badacze starożytności, trafne postrzeżenia; podróżni, potrzebne skazówki; krytycy rozsądne i dowcipne uwagi, które wzrusza nawet najzimniejsze serca, musiało podobać się wszystkim. Jednozgodny okrzyk uwielbienia rozszedł się po całéj Europie.

Druga podróż Pani de Stael do Niemiec w 1807 odbyta, miała na celu zebranie nowych materyałów do wszelkiego dzieła o Niemczech, uważanych pod względem obyczajów, religii i filozofii.

O Niemczech.

Włochy można było opiewać, lecz trzeba było opowiadać o Niemczech. Kraj, w którym sama tylko myśl jest wielką, gdzie sztuki, natura i towarzystwo, nie mają nic takiego coby mogło opanować wyobraźnią, nie zdołał natchnąć improwizatorkę, a jednakże znajdują się tam niezmierne bogactwa umysłowe. Tam, badawcze oko pani de Stael, postrzegało odrębny zupełnie sposób czucia, marzenia i istnienia, a mnóstwo nowych wyobrażeń, które znalazła u ludzi oświeconych, potrzebowało, ażeby je wydać, całéj zręczności jéj talentu. Zrzucając więc przybraną postać Korynny, mówi w imieniu własném.

Dzieło o Niemczech odznacza się zaletą wyższą nad wszystkie inne, jest głęboko moralném i religijném. Cnota i religiia, nie są tam użyte jako środek do zrobienia wrażeń. W całym utworze panuje ta żądza, ażeby zasady odrodzenia wzięły górę, i ciągła toczy się walka z zasadami odrętwiającemi uczucie i wyobraźnię.

Żadna rzecz nie zdawała jéj się doskonałą w Niemczech; książki, teatr, sztuka rozmawiania, nic nie było posunięte do wysokiego stopnia doskonałości. Lecz wszędzie był zapał, życie, współ ubieganie się między pisarzami i dobrotliwość w społeczeństwie. — Odetchnęła swobodniéj, otoczona ludźmi którzy nie narzucali żadnéj tamy talentowi, żadnéj granicy myślom. Duch ożywiający pisarzy niemieckich, skłonił ją iż korzystnie o ich pracach sądziła, lecz bardziéj pragnęła żeby ten duch panował we Francyi, aniżeli wskazywała literaturę niemiecką jako wzór do naśladowania.

Pierwsza część dzieła, o obyczajach Niemiec i ogólnéj postaci tego kraju, zbliża się do rodzaju podróży. Pani de Stael maluje smutek którego doznała z razu, w posępnym i ostrym klimacie, a potém słodsze uczucia następujące po nim. To co opowiada o zachwycającéj muzyce, którą słyszała w ponury poranek zimowy, na ulicach małego miasteczka, zawalonych śniegiem, może bydź godłem samego kraju. Tegoż doznajemy wrażenia, ucząc się języka i literatury niemieckiéj; moc i czułość przenika do naszego serca, przez mgłę nieoznaczonych i ciemnych wyrażeń. W téjże części, pani de Stael cechuje z trafnym rozsądkiem,

duch towarzystwa w rozmaitych państwach niemieckich.

Druga część traktująca o literaturze niemieckiéj, jest obszerniejsza i najbardziéj pobudza ciekawość. W niéj rozwija przed oczyma naszemi, wybór umysłowych płodów pracowitego narodu i pełnego entuzyazmu. Wprzódy nim zacznie mówić o dziełach, zapoznaje nas z pisarzami: gdyż ta literatura młoda jeszcze, liczyła zaledwie dwa pokolenia: a pani de Stael znała dostojnych starców, którzy byli jéj założycielami. Ciekawém było zjawiskiem, to nagłe rozwinienie się oryginalnego umysłu, w starym europejskim narodzie, który pod wielu względami stanął już być na tym samym stopniu cywilizacyi co i inne. Wystawić to zjawisko i wyjaśnić jego przyczyny, było to przedsięwzięcie godne pani de Stael.

Skréśliła obrazy pisarzy, z zapałem i życzliwością pochodzącą z jéj serca. Z szczególniejszém upodobaniem pisała o Szyllerze. Dobrze i wiernie wystawiła także gieniusz Getego. Wyjątki z sztuk teatralnych są zachwycające. Dwa lub trzy słowa oswajają nas z położeniem osób, a sztuka drammatyczna z całą czarodziejską potęgą natychmiast na nas działa. Język, przesądy, zwyczaje krajowe, są dla niéj przejrzystém szkłem, przez które widzi dokładnie, piękność uczuć, sytuacyi i pomysłów literackich.

Część trzecia, o filozofii i moralności w Niemczech, jest bardziéj oderwaną, trudniejszą, nie tyle bawi i przywiązuje ile dwie piérwsze; lecz niemniéj dla tego winniśmy szacować piękną pracę pani de Stael, pracę przedsięwziętą dla najpiękniejszych pobudek i uskutecznioną z największą mocą umysłu. W ośmnastym wieku, filozofia materyalizmu upowszechniła się w Europie, od czasu, jak zasada prawdziwa sama w sobie, posłużyła za podstawę fałszywego systematu, niszczącego wszelką odpowiedzialność moralną. Ztąd, iż żywioły naszych wyobrażeń dochodzą nas przez zmysły, wyprowadzono wniosek, że dusza jest tylko machiną służącą do odbierania wrażeń, a że działająca pojętność w człowieku, i Bog panujący nad światem, są wyobrażeniami tak ściśle łączącemi się z sobą, iż nie można jednéj bez drugiego odrzucać, wyniknął był z takiego zdania, zupełny materyalizm czyli ateizm. Od czasów Leibnitza, wszyscy filozofowie niemieccy zbijali tę naukę. Lecz chcąc przywrócić naturę moralną do praw swoich, wielu posunęło się aż do idealizmu. Pani de Stael, z zadziwiającą jasnością, a nawet z wdziękiem, zdaje sprawę z tych rozmaitych systematów. Nie ma w jéj dziele żadnego śladu pedanteryi. Unika, ile tylko bydź może, naukowych wyrazów, mówi to tylko, czego potrzeba dla ocenienia moralnego wpływu tych nauk. Nie ustanawia się bezpośrednim sędzią tego co jest prawdą, lecz przekonana, że świat cały jest dziełem myśli dobroczynnéj i szczytnéj, szuka prawdy w tém co najbardziéj wznosi naszą duszę, w tém co nas czyni najzdolniejszemi do spełnienia rzeczy wielkich i pięknych.

Duch filozofii niemieckiéj powinien był podobać się pani de Stael. Jakże sprzyja polotowi wyobraźni, filozofia która podnieca czynność duszy i świat czyni podległym pojętności! Wystawia jéj zbawienny wpływ na sztuki i poezyą, na nauki moralne. Nie można bez mocnego uwielbienia, czytać rozdziału *o moralności opartéj na interesie osobistym.* Z niezwalczoną mocą rozumowania, z wymową i czułością jéj tylko saméj właściwą, pani de Stael kruszy naukę, która chce nakazywać nam ofiarę, w imie naszego własnego pożytku, która nieprzyjacielowi, to jest samolubstwu, powierza straż zagrożonego miejsca, która naznaczając za podstawę wszystkich czynności też samą interesowaną rachubę, usprawiedliwia występek, a zniesławia cnotę. Rozdział ten, umieścił panią de Stael w rzędzie najpiérwszych moralistów.

Lecz w ostatniéj części dzieła o Niemczech, traktującéj o religii i entuzyazmie, talent pani de Stael doszedł do najwyższego stopnia wysokości. Tam zjawia się nowa Korynna, albo raczéj boski gieniusz, który zbiera w zachwycającym hymnie, wszystko co utrzymuje i wzmacnia szlachetne serca. Entuzyazm, nie jest podług niéj, szalejącą exaltacyą; jest to boska harmonia duszy, zarazem namiętnéj i spokojnéj, w któréj panuje cześć moralnéj piekności i pierwotnego źródła wszelkiéj piękności. Rozbierając najwznioślejsze roskosze serca, myśli, a nawet wyobraźni, znajduje wszystkie w tym boskim płomieniu, odrywającym od ziemi, serce w którym płonie. Chwała, talenta, sztuki, poezya, miłość nawet, wszystkie te rozkosze tak często poniżone i spotwarzone przez człowieka, pokazują się jéj w pierwotnéj czystości, jako dary Stworzyciela, a promień bozkiéj piękności oświeca w jéj oczach całą naturę.

Wiadomo jaki był los tego dzieła, Napoleon upatrzył w niém szkodliwą dążność widokom swoim, już wydrukowane exemplarze kazał zabrać i zniszczyć, a nad autorką roziągnął najsurowszy dozór policyi. Wszyscy jéj przyjaciele popadli w niełaskę u niego i pani Stael poznała iż nic dla niéj nie pozostało prócz ucieczki. Nim opuściła Szwajcaryą, napisała w 1812 rozprawę o samobójstwie. Nie raz wyrzucała sobie, że

w pierwszych dziełach swoich okazała niejaki rodzaj uwielbienia, dla odwagi, któréj wymaga ten czyn występny. I chociaż miała wówczas ten tylko cel, ażeby oczyścić kilku nieszczęśliwych od zarzutu na który nie zasłużyli, spiesznie korzystała z nastręczonéj sposobności ogłoszenia lepszych zasad. Podwójne dobrowolne samobójstwo, połączone z romansowemi okolicznościami, wzbudziło nierozważny entuzyazm między uczonemi i w towarzystwach niemieckich. Pani de Stael uczuła, iż powinna w tém zdarzeniu odłączyć się od tych których niegdyś chwaliła. Okazuje, iż człowiek może jeszcze zachować pewien rodzaj przesady, nawet w ostatniéj chwili życia, i zrobić sobie widowisko z własnéj śmierci. Uważając samobójstwo z ogólnego punktu widzenia, używa wszelkich sił swoich dla rozwinięcia tych pomocy, które wzniosła moralność i wzniosła religia nadaje człowiekowi w nieszczęściu. Boleść wystawia ona w tém piśmie jako środek odrodzenia, użyty przez Opatrzność. Nie unikać cierpienia, które jest przeznaczne do wyskonalenia naszego, badać przepisy a zwłaszcza ducha wiary Chrystusa i zasadzać godność moralną na rezygnacyi, nie na oporze, takich to rad udziela nieszczęśliwym.

Owocem szybkiéj podróży a raczéj ucieczki pani de Stael, przez Austryą, Rossyą, Szwecyą, do Anglii, jest dzieło p. t. *Dziesięć lat wygnania*. Czytając je, dziwić się trzeba, że pośród tylu niebezpieczeństw które sobie wyobraża i pośród tylu trudów, mogła czynić postrzeżenia nad krajami, które przebiegła tak szybko i tajemnie. Przybywszy do Anglii, przyjęta była z jak największém uniesieniem. Zwróciła bystry swój umysł na poznanie rządu i ducha tego narodu, stała się wielbicielką instytucyi angielskich. Wrażenia te, opisała za powrotem do Francyi, w *Uwagach nad rewolucyą francuzką*, ostatniém jéj dziele, o którem wspomnieć mamy.

Dzieło to, wyszło już po jéj śmierci, w epoce gdy największe rozdrażnienie umysłów i największa walka stronnictw panowała we Francyi; przeto sąd o tém dziele bardzo był rozmaity. Trzy przedmioty miała na celu w uwagach nad rewolucyą francuzką, biografią i obronę swego ojca, Nekera, historyą okresu zaburzeń politycznych i wykład teoryi rządu. Uwielbiając formę rządu W. Brytanii, usiłuje taką samą ustalić we Francyi. Część historyczna dzieła, jest najświetniejsza i najbardziéj zajmująca. Stanowisko moralne obrane przez nią, jest niezmiernie uderzające. Zawsze biorąc za przedmiot serce człowieka, wykazuje tajemne jego sprężyny we wszystkich wypadkach życia. — Maluje kolejno, gwałtowne przesilenia namiętności, dręczące zgryzoty i nędzne zabiegi próżności. Zawsze wymowna, częstokroć miła i prosta, nieraz uderza i piorunuje oburzeniem zdjęta, a bez ogródki wystawia zbrodnie popełnione podczas rewolucyi.

CIĘŻKI KRZYŻ.

Charakter zazdrosny i nie zadowolony niczém, jest dla człowieka ciągłém zródłem cierpienia, jest trucizną wmięszaną do jego najsłodszych uciech, kolcem przyczepionym do jego obuwia, którego ukłucie czuje za każdym krokiem stawionym na drodze życia.

Robert Hope i Samuel Hullins, mieszkali obok siebie już od lat dwunastu i zdaje się, iż byliby ciągle zostawali w najlepszéj zażyłości sąsiedzkiéj, gdyby Samuel, służąc na flocie pod admirałem Nelsonem, nie był otrzymał za bitwę pod Trafalgar, małéj pensyjki, którą opłacił stratą jednéj nogi. Ta stracona noga i ta zyskana pensya, były dla Roberta ciągłym przedmiotem zazdrości. Obwiniał przeznaczenie, że mu zostawiło obie nogi i gorzko narzekał, że nie mógł przedać swoich, za tę samę cenę jak Hullins. Ilekroć trzeba było płacić komorne, powtarzał mrucząc, że jego sąsiad był bardzo szczęśliwy, iż może łatwo uiścić się, dostając dobrą pensyą od króla; on zaś nieborak, ledwie zdoła przy końcu roku zetknąć brzeg z brzegiem, bez zachodzenia w długi.

Robert, z początku po cichu czynił te uwagi i narzekania; lecz z czasem jego zazdrość stała się głośniejsza i wkrótce była ulubionym przedmiotem jego rozmów.

Pewnego razu, gdy zaległ komorne za jeden tydzień i smutnie zbliżał się ku domowi pana Taylor, ażeby przeprosić go za opóźnienie, spotkał swego sąsiada Hullins, który jak najregularniéj opłacał swoją należytość i tylko co ją był odniósł. Już sam widok Samuela nieznośny był dla Roberta; jakoż, gdy ruszył głową na pozdrowienie Hullinsa, spojrzał na niego z pod oka, ponuro, jak byk kiedy go psy opadną. Przyszedłszy do właściciela, usłyszał połajanie i przytoczono mu za przykład, sąsiada, który regularnie wypłaca się aż do szeląga.

—„Tak jest, tak, pomruknął Robert, są ludzie którym się rodzą pieniądze. Hullins jest szczęśliwy i nie dziwię się że regularnie płaci komorne, pobierając pensyą od rządu.

—„Hullins ma pensyą, to prawda, odpowiedział pan Taylor, lecz jego kalectwo jest ciężkim krzyżem i gdybyś niém był dotknięty, bardziéj byś narzekał.

—„Nie, bynajmniéj: odpowiedział Hope: gdybym był tak szczęśliwy jak on i stracił nogę przed dwudziestą laty, byłby to dzień bardzo dla mnie zyskowny. Wszystkie członki moje przedałbym za taką cenę. Co! jego dębowe szczudło ma bydź ciężkim krzyżem? Ja sądzę, że jego pensya czyni je lekkim. Najcięższy krzyż jest ten, gdy kto musi pracować bez ustanku na zapłacenie komornego.

Pan Taylor był człowiekiem wesołym, lecz trafnym dostrzegaczem. Oddawna uważał zazdrość Roberta i umyślił przekonać go, że najlżejszy krzyż staje się ciężkim dla niespokojnego umysłu.

—„Widzę, rzekł do Hopego, iż masz wielką ochotę nic nie robić: a więc mogę cię uwolnić od pracy, na którą tak boleśnie narzekasz. Krzyż twojego sąsiada Samuela jest lekkim jak mówisz. Chceszli przyjąć daleko lżejszy, a ja cię zwolnię od opłaty komornego?

—»Ale jakiż to krzyż każesz mi pan nosić? zapytał się niespokojny Robert, bojąc się czy będzie mógł przyjąć tę propozycyą.

—„Ten o to: rzekł pan Taylor, biorąc kawałek kredy i naznaczając biały krzyż na sukni Roberta: dopóki będziesz go nosił, nie zapłacisz ani grosza za komorne.

Hope pomyślał zrazu, iż jego właściciel żartuje; lecz przekonawszy się, iż mówi na prawdę:

—„Dalibóg! zawołał, możesz pan bydź pewnym, że to są ostatnie moje pieniądze; gdyż gotów jestem nosić ten krzyż przez całe życie.

Robert wyszedł natychmiast, winszując sobie takiego szczęścia, a przez drogę śmiał się z pana Taylor, że za taką fraszkę skwitował go z komornego.

Nigdy jeszcze nie wrócił do domu w tak wesołym humorze; niczemu zatem nie przyganił i nawet psa nie potrącił co mu się łasił. Ponieważ zaraz był usiadł, żona nie postrzegła białego krzyża na jego ramieniu, lecz obszedłszy męża dla nakręcenia zegara, zawołała cierpkim głosem.

—„O Boże! Robercie, gdzieżeś bywał?... Masz na plecach krzyż długi na stopę. Zapewne przychodzisz z karczmy i któryś z twoich przyjaciół pijaków wypłatał ci tego figla, ażebyś jak dudek wyglądał; jak gdyby ci było jeszcze potrzeba tego śmiesznego przystrojenia?... Wstań i stój spokojnie, niech zetrę ten krzyż.

—„Pójdź precz! zawołał Hope usuwając się czemprędzéj; moje suknie nie potrzebują tego ażebyś je czyściła; rób pończochy i daj mi pokój.

—»Nic z tego! rzekła pani Hope jeszcze wrzaskliwszym głosem: i chociażbym na sztuki podarła twoją suknię, nie będziesz nosił tego krzyża.

To mówiąc, gospodyni usiłowała zetrzeć krzyż z ramienia Roberta; on zaś widząc iż wszelki opór na nic by się nie przydał, uciekł złorzecząc i drzwi za sobą zatrzasnął.

—»Co za jędza! mruknął oddalając się: gdyby była łagodniejsza, powiedziałbym jakie szczęście mię spotkało, lecz nie zasługuje na to.

—„Hej! hej! Robercie: zawołał stary Fox, w chwili gdy Hope zawrócił się na rogu domu, cóż to znaczy ten biały krzyż który nosisz na plecach?

—„Patrz własnych sukien! zuchwale odpowiedział Hope, idąc daléj.

—„Panie Hope! rzekła maleńka Patty Steewens, córka kupcowéj korzennego kramu, zaczekaj proszę cię, niech zetrę ten wielki krzyż który ci zrobiono na plecach.

—„Patrz twoich śledzi i pieprzu, próżniaczko: odpowiedział Robert: a nie wdawaj się do przechodzących.

Dziewczynka zmięszana, czemprędzéj wróciła do kramu.

Hope doszedł przed dom rzeźnika, który rozmawiał na progu z kowalem, swoim sąsiadem.

—„A właśnie miałem do was interes: rzekł tenże zatrzymując Roberta: lecz tylko co wyrzekł słów kilka, przyszła stara Peggy Tuston, przepasana niebieskim fartuchem.

—„O Jezu! panie Hope, zawołała, biorąc fartuch w obie ręce, co też masz na plecach!...

Robert obrócił się chcąc odpowiedzieć żeby mu dała pokój, lecz kowal postrzegł w tedy znak zrobiony przez pana Taylor.

—„Dalibóg: rzekł śmiejąc się: mógłby posłużyć za szyld do karczmy pod białym krzyżem.

—»Sądzę: przydał rzeźnik: iż go tak żona naznaczyła, żeby jéj nie zginął.

Hope uczuł, że jeden tylko ma sposób uniknienia fartucha staréj Peggy i szyderstw rzeźnika i kowala: jakoż odszedł natychmiast powiedziawszy dobréj kobiécinie że jest głupią babą, a sąsiadom, że są głupcy i próżniacy. Krzyż zaczął cięzyć na jego ramieniu, bardziéj niżeli się spodziewał.

Rozmaite przykre spotkania czekały biédnego Roberta. — Ledwie kilka kroków postąpił, nadszedł przed dom szkolny. Właśnie studenci wychodzili z klassy, gotowi nie pominąć żadnéj psoty jaka im się nadarzy. Hope uczuł okropną niespokojność, już mu się zdawało że śmiechy i krzyki rozlegają się za nim. Sprawdziła się

jego obawa, gdyż tylko co minął drzwi szkoły, powstał krzyk szyderczy i kilkadziesiąt studentów zaczęło biedz za nim, wytykając go palcem i podrzucając w górę czapki i kaszkieciki.

—,,Patrz, patrz, mówił jeden, wygląda jak baran naznaczony do jatek.

—,,Czy nie widzisz, odpowiedział drugi, że został krzyżowcem i wyjeżdża do Palestyny?

A śmiechy i szyderstwa rozlegały się co raz mocniéj.

Hope zbladł z gniewu, obrócił się jak brytan co go dzieci ścigają i może byłby srodze zemścił się na swoich młodych prześladowcach, gdyby Pan Johnson nauczyciel szkółki, nie był pokazał się w progu domu.

Robert postąpił ku niemu, żaląc się że jego szkoła składa się z samych hultajów i zuchwalców. Pan Johnson odpowiedział mu łagodnie, iż bynajmniéj nie myśli upoważniać zuchwalstwa swoich uczniów; lecz krzyż biały któren nosi na plecach może pobudzić do śmiechu ludzi starszych i rozstropniejszych niżeli jego uczniowie.

—,,Cóż cię obchodzi ten krzyż? odpowiedział Robert opryskliwie: czyliż moje plecy już nie są moją własnością?

Nauczyciel pożegnał go z uśmiechem, a Hope szedł daléj, lecz krzyż co raz bardziéj mu ciężał.

Zaczął myśléć, iż nie tak łatwo mu przyjdzie skwitować się z komornego. Jeźli już wytrzymać musiał tyle szyderstw, cóż dopiero będzie, gdy się dowiedzą o dziwacznéj przyczynie ozdoby którą nosi? Na jedno wyjdzie, żeby mu właściciel przyczepił do pleców generalne pokwitowanie. Myśląc o tém, Robert przyszedł do karczmy; chciał ją minąć, lecz postrzegł samego pana Taylor o kilka kroków z tamtąd, a z drugiéj strony swego sąsiada Hullinsa z drewnianą nogą, któren rozmawiał z Harrym Stokke, cieślą. Cieśla był to żartowniś téj wioski i za nic w świecie Hope byłby nie zniósł ażeby szydził sobie z niego w obec Hullinsa. Schronił się więc do karczmy, lecz i tam nie mógł długo posiedziéć. Pijacy postrzegli krzyż i zaczęli z niego żartować; rozgniewał się, powstała kłótnia, a oberżysta bojąc się żeby nie przyszło do bitwy, wypędził Roberta za drzwi.

Wyszedł on był z domu dla ugodzenia się o robotę w sąsiedniéj wiosce, lecz stary Fox, Patty Steewens, kowal, rzeźnik Peggy Turton i studenci, tak dalece pomięszali mu głowę, iż umyślił wrócić do domu, spodziewając się iż tam będzie spokojniejszy.

Czy widzieliście kiedy w miesiącu wrześniu, młodę kuropatwę postrzeloną, usiłującą ukryć się w rżysku i powłóczącą zranione skrzydło. Takim był Robert, patrząc na swoje pomieszkanie znajdujące się na drugim końcu wioski. Jużto szedł szybko ażeby go nie dogoniono; już to zatrzymywał się nie chcąc wyprzedzić idącego przed sobą; już to szedł drogą; to znowu przez pola; przesuwał się za krzakami koło murów i tak troskliwie unikał oczu ludzkich, jak cygan który ukradnie kurę na folwarku. Od téj chwili, jego biały krzyż stał się niezmiernie ciężkim.

Nareście doszedł do swego domu i spodziewał się że cokolwiek spokojniéj odetchnie. Lecz jego żona skoro go tylko spostrzegła, zaraz zaczęła krzyczéć.

—,,Czyliż się nie wstydzisz wracać tak jakeś wyszedł? Pięciu lub sześciu naszych sąsiadów, już mi się pytało czyś rozum stracił. Dawaj, niech czémprędzéj zetrę ten krzyż.

—,,Nie zbliżaj się kobiéto, krzyknął rozjątrzony Robert.

—,,Chociażbym miała zgubić duszę moją, nie zostaniesz z tym krzyżem; nie chcę ażeby wyszydzano tego który jest moim mężem. Zdejm ten kaftan, zdejm go natychmiast.

To mówiąc, pani Hope schwytała męża za rękę. Odepchnął ją od siebie. Pani Hope nie bardzo cierpliwa, odpowiedziała policzkiem, a ztąd wszczęła się bójka między małżeństwem, z wielkiém zgorszeniem sąsiadów, którzy przybiegli ich rozłączyć.

Ma się rozumiéć, iż wszyscy przyznali winę Robertowi. Gardził z razu powszechną naganą i złość dodała mu stałości, lecz im mocniéj pali się ogień, tém prędzéj strawi wszystko co go podsyca; podobnież u ludzi namiętnych, wyczerpuje się wkrótce energia. Robert, ochłonąwszy nie miał odwagi prowadzić daléj tak przykréj walki; zrozumiał, że nie znajdzie spokojności, ani w domu ani za domem, dopóki tylko będzie nosić ten krzyż na sukni i umyślił zetrzéć go tego jeszcze wieczora.

Następnego poniedziałku, poszedł zawczasu do pana Taylor, z komornem w ręku.

—,,Ach! ach! Robercie: rzekł pan Taylor skoro go spostrzegł: spodziewałem się, iż pożałujesz twojéj umowy. Jest to dobra nauka dla niecierpliwych i zazdrosnych charakterów, którzy bez ustannie narzekają na Boga i na swój los. Przypomniéj to sobie w potrzebie, mości Hope. Ten kto nas stworzył, zastósował naszą dolę do sił naszych. Nie żal się, że jesteś nieszczęśliwszy od drugich, nie wiesz bowiem co cierpi twój sąsiad. Wszystkie krzyże są ciężkie, lżejszemi może je tylko uczynić cierpliwość, odwaga i dobra wola.



PARK w BRUXELLI.

BRUXELLA.

W Muzeum z r. 1835 uczyniliśmy krótką wzmiankę o tém mieście, załączając widok botanicznego ogrodu Bruxelli; teraz dajemy obszerniejszą wiadomość.

Bruxella zwana w starożytnych kronikach Brosella czyli Brussella, winna jest swój początek świętemu Geri biskupowi Cambraj i Arras, który w pierwszych latach VII wieku zbudował kaplicę na wyspie rzeki Senny. W koło niéj zaczęto osiadać i budować domy. W r. 1044 to miasto już było znaczne. Lambert Balderik otoczył je murami, a w 1357 zostało powiększone i opasane bardzo wysokim i obronnym murem. Było rezydencyą książąt brabanckich, a potém wielkorządzców austryackich. Podpadło dwom wielkim pożarom; jeden w r. 1321 spalił 2400 domów, drugi w r. 1405, 1400. W 1695 bombardowali je Francuzi, zapalili i w dwudziestu cztérech godzinach zniszczyli przeszło 4000 domów. Po bitwie pod Ramilies w 1706, zdobył je Malborugh. Elektor bawarski napróżno uderzył na nie w 1708. Francuzi zdobyli je w 1746 i oddali w skutku warunków akwisgrańskiego pokoju. W 1792 weszli znowu do tego miasta, po bitwie pod Jemmappes; opuścili je po bitwie pod Louvain i znowu odzyskali 10 Lipca 1794. Bruxella była stolicą Niderlandów austryackich. Za panowania Napoleona, należała do państwa francuzkiego i była stolicą departamentu Dyle. No mocy traktatu wiedeńskiego, stała się częścią niderlandzkiego królestwa, a gdy Belgia oddzieliła się od Holandyi, Bruxella jest stolicą nowego królestwa i rezydencyą monarchy.

Bruxella zbudowana jest nad rzeką Senną i nad kanałem łączącym się ze Skaldą.

Leży o pół dziesiątej mili francuzkiéj od Antwerpii, o sześćdziesiąt od Paryża. Ma pół trzeciéj mili obwodu. Cesarz Józef II kazał znieść dawne fortyfikacye tego miasta, a na ich miejscu zasadzić aleje tworzące piękną przechadzkę. Teraz jest tylko obwiedziona prostym murem. Stoi na nierównym gruncie. Wiele ulic jest bardzo spadzistych, dziesięć z nich nazywa się górą. Bruxellę możnaby podzielić na dwa miasta: na górne i dolne, z powodu widoku; na miasto szlachty i miasto pospólstwa.

Nowe miasto jest najpiękniejszą częścią Bruxelli, a jednak nie najbardziéj zajmującą. Ulice są szerokie i proste, domy wzniosłe i pięknie zbudowane. Park, piękna przechadzka zasadzona drzewami, pełna posągów, jest jego ogniskiem. Ze środka wielkiéj ulicy przepyszny jest widok; po prawéj stronie widać pałac królewski, po lewéj pałac stanów. Rzęd pałaców i wielkich domów, wznosi się na około tego parku.

Plac królewski i bulwar Namiurski, gdzie głównie stawają cudzoziemcy, uzupełnia tę część miasta. Plac królewski jest jednym z najpiękniejszych w Europie, otacza go ośm wielkich gmachów, w liczbie których jest piękny kościół S. Jakóba. Jego portyk z frontonem opartym na sześciu kolumnach koryntckiego porządku, zbudowany był podług rysunku Guimarda francuzkiego architekta. Po każdéj stronie drzwi głównych, stoi posąg olbrzymiéj wielkości, jeden wyobraża Mojżesza drugi Dawida.

Wnętrze kościoła odpowiada piękności wystawy; cechuje go szlachetna prostota; składa się z jednéj nawy dobrze oświeconéj. Kolumnada porządku koryntckiego, w kształcie półkola, zakończa chór, którego sufit ozdobiony jest bogatą rzeźbą. Może to jest jedyny kościół katolicki, w którym nie ma obrazów, gdyż jego wewnętrzny rozkład, żadnych ozdób prócz architektonicznych przyjąć nie mógł.

Wielka ulica pełna sklepów urządzonych na wzór paryzkich, prowadzi do starego miasta, i zowie się ulicą Królewską. Tam zmienia się zupełnie widok i styl budownictwa. Jesteśmy na wielkim placu. Z jednéj strony widać dom królewski, po flamandzku *brood hus* (dom chleba). Jest to starożytny budynek. Był niegdyś ratuszem, dopóki nie zbudowano nowego, po drugiéj stronie placu.

Ten nowy ratusz zasięga roku 1401. Przyległe domy niemniéj są starożytne; jego budowa podoba się samém nawet dziwactwem. Ma galeryą otwartą, która ciągnie się nad jego wystawą, opatrzoną sześcią wieżyczkami i mającą czterdzieści okien; przytém wieżę ośmioboczną, zupełnie przejrzystą, a która, nie wiedzieć dla czego, nie wznosi się w środku gmachu. Wysoka jest na 364 stóp; na jéj wierzchołku stoi złocony posąg archanioła Michała, który depce szatana w postaci smoka. Budowniczy zwał się *Van Ruys Brock*, pracował nad tém dziełem przez lat czterdzieści.

Fontanny miejskie są ozdobione rzeźbami; wspomnę tylko o najpiękniejszych i najciekawszych, a najprzód o *Manne ken-pist*. Ta fontanna sławna od niepamiętnych czasów, miała aż do r. 1614 małą kamienną figurkę. W owym roku magistrat odlać kazał bronzowy posąg podług modelu sławnego rzeźbiarza Duquesnoy. Fontanna przy ulicy Wysokiéj, jest pięknym obeliskiem, podług planu budowniczego Guimard. Wszystkie fontanny są zaopatrzone wodą z jeziora znajdującego się w pobliskości miasta. Powinienbym wspomnieć jeszcze o nowym pałacu sądownictwa, o rezydencyi króla Leopolda, o kościołach Najświętszéj Panny i Sablon, o botanicznym ogrodzie, o teatrze, o zielonéj alei, pięknéj przechadzce ciągnącéj się nad brzegiem kanału aż do mostu Laken, lecz pomijam je, a obszerniéj cokolwiek namienię o katedralnym kościele świętéj Guduli. Gmach ten zaczęty był za czasów Lamberta, hrabiego Louwenu i Bruxelli; poświęcono go w r. 1017 pod wezwaniem S. Michała. Tegoż dnia umieszczono w nim z wielką uroczystością zwłoki S. Guduli, a z czasem od jéj imienia nazwano ten kościół. Odbudowano go w 1226 i 1273, odnowiono w 1543. W 1587 rada Brabancyi kazała naprawić kaplicę Przenajświętszego Sakramentu będącą przy tym kościele. Każdy członek rady mógł w niéj umieścić filar miedziany ze swoim herbem; przykład ten naśladowali członkowie innych władz. Francuzi zabrali i stopili te filary w r. 1793. Wielki ołtarz jest z białego marmuru, mieszanéj architektury. Stoją na nim dwa posągi sławnego rzeźbiarza Delvaux. Po prawéj stronie ołtarza, widać grób książąt Brabancyi, na którym leży bronzowy lew złocony, oparty na tarczy brabanckiéj; lew ten waży sześć tysięcy funtów. Po drugiéj stronie chóru, jest grób arcy-książęcia Ernesta, wielkorządzcy Niderlandów, zmarłego w 1595. Nad stallami, zawieszają w dni uroczyste, cztéry wspaniałe kobierce, wyobrażające przedmioty z historyi cudów Najświętszego Sakramentu.

Nawa kościoła przedzielona jest dwoma rzędami kolumn, utrzymujących bardzo wysokie sklepienie. Przy każdéj kolumnie stoi posąg na 10 stóp wysoki, wyobrażający

Jezusa Chrystusa, Matkę Boską i Apostołów.

Kościół ten posiada przepyszne szyby kolorowe, malowane przez najsławniejszych mistrzów flamandzkich. Bruxella posiada kilka ważnych naukowych zakładów, jako to: *akademią umiejętności i nauk pięknych, towarzystwo królewskie sztuk pięknych, towarzystwo botaniczne, ateneum, ogród botaniczny, muzeum przemysłu i sztuk i wielką bibliotekę publiczną.* Ludność dochodzi do 100,000.

Nie tak łatwą jest rzeczą skréślić obraz charakteru mieszkańców i wrażenia, które na umyśle cudzoziemców czyni to miasto, jak wymienić znaczniejsze gmachy i zakłady Bruxelli. Jest to miasto pośrednie; wszelkie przybiera barwy, jest odbiciem Francyi, z niejakim odcieniem Niemiec. Przypomina Włochy pod względem sztuk pięknych, Holandyą pod względem życia domowego, Anglią zaś przez tę liczną emigracyą, która zapełnia Bruxellę bankrutami trzech królestw W: Brytanii. Bruxella bardziéj jest miejscem schadzki wszystkich narodów, niżeli stolicą państwa. Jéj cechą jest to, iż nie ma żadnéj odrębnéj cechy. Chwal, gań, potępiaj, wynoś pod obłoki mieszkańców i obyczaje Bruxelli; powiedz o Bruxelczykach że są oszczędni, rozrzutni, skromni, rozwiąźli, lubiący sztuki, oddani przemysłowi, próżnujący, zawsze mieć będziesz słuszność. Łatwo poznać główne piętno ludu w wielkich miastach stołecznych. W Londynie przeważa handel, żegluga morska w Amszterdamie, Wenecya była roskoszną, Paryż lubi chwilowe uciechy, Wiedeń skromne domowe życie, Rzym jest stolicą obrzędów wiary, Bruxella żyje naśladowaniem.

Gdybym koniecznie chciał wybrać główne znamię z tylu mieszających się znaków, rzekłbym, że naśladownictwo Francuzów głównie odznacza Bruxellę; lecz są także i inne znamiona; ciężki duch handlu unosi się nad nią; z Hiszpanii zostały tam ślady średnich wieków i panowania Hiszpanów; cnoty domowego pożycia nie są tam rzadkie. Oszuści z całéj Europy tam się zbiegają. Wydaj więc zdanie o Bruxelli. To połączenie nie jest bez powabów; zdaje nam się że jesteśmy na ogólnym zjeździe podróżującéj Europy. Na górze, w dzielnicy zwierzyńca mieszkają bankierowie, dyplomaci, znamienici cudzoziemcy i bogaci podróżni. O kilkadziesiąt kroków ztamtąd, minąwszy ulice zajęte sklepami, wnijdziemy do zakątów starego miasta flamandzkiego, gdzie mówią niezrozumiałym dyalektem, gdzie nie cierpią Francuzów i cywilizacyi, gdzie zachowano starodawny ubiór.

W południowo-wschodniéj stronie, mieszkają ludzie pracowici, czynni, szukający zarobku, mówiący językiem wallońskim. W najbrudniejszych, najnikczemniejszych uliczkach, mieszka ubogie żydostwo. Zróbcież więc sobie wyobrażenie tego natłoku tak rozmaitych plemion, przypominających wieżę babilońską.

Co za dziwaczne sprzeczności! Jest to najmoralniejsze i razem najbardziéj zepsute miasto w Europie. Na ulicy zaczepiają cię tysiące ofiar nierządu, w oberżach znajdziesz porządek, skromność i obyczajność, aż do zbytku posuniętą. Domowe pożycie większéj części rodzin bruxelskich, odznacza się oszczędnością, rozwagą, porządkiem i wszystkiemi patryarchalnemi cnotami. Bruxelczycy są z natury zimni i poważni, jest to zwyczajna cecha kupieckiego ludu; dają jałmużny, lecz nie czynią ofiar, nie można powiedzieć że są wspaniałomyślni i gościnni. Głównemi ich cnotami jest roztropność, rządność, milczenie. Nie mają i mieć nie mogą samodzielnéj literatury. Francuzka, angielska i niemiecka literatura, zupełnie ją zagłuszają. Księgarstwo bruxelskie żyje przedrukiem xiążek francuzkich i spuszczając je za tanią cenę, zaopatruje całą Europę. Z tych wszystkich postrzeżeń, takie zdanie utworzymy sobie o téj stolicy Belgii, że to co tam jest dobrém, pochodzi z zakorzenionych rodzinnych zwyczajów; zepsucie zaś jest owocem steku cudzoziemców, których ściąga jeograficzne położenie tego miasta.

NARD.

(*Valeriana montana.*)

W Nowym Testamencie znajdujemy wzmiankę o Nardzie; widzimy że kobieta skropiła tą wonią nogi Zbawiciela. Wielu także autorów greckich i łacińskich wspomina o téj roślinie, że jéj woń roskoszna rozmaite posiada własności. Dziś pod nazwiskiem nardu rozumieją korzeń waleryany celtyckiéj i waleryany z gór (*valeriana celtica, valeryana montana*). Mocny i przenikający ich zapach, mógł bydź uważany za wonność. Czyliż to był nard starożytnych? Sławny oryentalista Jones nie jest tego zdania. Przekonał się że nard był korzeniem i łodygą rośliny po dziś dzień znajdującéj się w Indostanie, a którą krajowcy zowią djamatani, znanéj także u Arabów pod nazwiskiem sambul, to jest kłosów: wyraz ten zupełnie usprawiedliwia jego postać i nazwisko *spica* dane mu od Łacinników.



NARD.

Jednakże, chociaż poszukiwania tego uczonego wykazują rożnicę między waleryaną gór, a nardem starożytnych, nie ma wątpliwości, iż była do niej podobną, ponieważ Rzymianie mieszali nieraz djamatani nietylko z waleryaną, lecz i z wielą roślinami podobnemi wonią i kształtem do prawdziwego nardu, a bajeczne powieści gminne o tym przedmiocie, potwierdzają to pomieszanie.

Waleryana nie jest rośliną, którąby jéj wysoka łodyga, piękne liście i świetne kwiaty, odróżniały od innych roślin. Jéj wysokość nie przechodzi sześć do siedmiu stóp, kwiaty ma białe, liście niejednostajnéj barwy, lecz nigdy nie są mocno zielone.

Gminne podanie twierdzi, że pewnego razu król zwany Walerus, zabłąkał się na polowaniu daleko od swego orszaku, padł zemdlony w rów i byłby niezawodnie zginął, gdyby upadając nie zgniotł skronią swoją, cienkiéj łodygi rośliny; jéj sok przeniknął w głowę i ocucił omdlałego króla. Przejęty wdzięcznością za tak wielkie dobrodziejstwo, roślinę tę nazwał waleryaną, i odtąd zachowała to nazwisko. Sciślejsi etymologiści odrzucają ten wywód jako bajeczny i twierdzą, że jest tylko wyrażeniem lekarskich przymiotów téj rośliny: *valere* znaczy po łacinie, bydź zdrowym.

Jeden gatunek waleryany rosnący dotąd w Indyach, w krainach Nepol i Butan, nie jest może niczém inném tylko rośliną djamatani. Przez długi czas mniemali mieszkańcy Wschodu, iż ma własność zmieniania postaci, w miarę odległości z któréj się na nią zapatrujemy. Jestże to złudzenie optyczne? Niewiadomo. Przytaczamy powieść arabską, powziętą od Indyan.

Ubogi Bramin mieszkający daleko od brzegów Gangesu, z niemałym trudem zebrał trochę pieniędzy dla odbycia pielgrzymki do rzeki świętéj i obmycia w niéj grzechów swoich. Wyruszywszy w drogę, zabłąkał się pośród obszernéj płaszczyzny. Słońce w całym blasku padało na biédnego podróżnika, a żadne drzewo dobroczynne, żadna chmurka nie chroniła go od skwaru. Napróżno spoglądał w koło siebie, nigdzie nie mógł wypocząć; nareście postrzegł małą roślinę, która ledwie wychodząc z ziemi, wypuszczała w górę dwa szerokie liście. Uszczęśliwiony tém odkryciem, spodziewa się, iż przynajmniéj sokiem z jéj łodygi uśmierzy pragnienie; postępuje szybko, lecz im bardziéj się zbliża, tém bardziéj wzrasta i powiększa się roślina; liście które były ledwie o kilka stóp od ziemi, zamieniają się w gałęzie opatrzone małemi gałązkami, u których są listki; przed chwilą było to ziele, teraz jest piękny krzew, pochylający ku ziemi łodygi obciążone kwiatami; dochodzi nareście do niego, a krzew stał się niezmierném drzewem, którego wierzchołek uwieńczony gęstym liściem, rozpościera chłód i świeżość; jego wyborne owoce, białe i zielone, skutkiem dojrzałości oderwane od drzewa, leżą na ziemi. Wyobraźcie sobie jaka była radość bramina; posilił się tajemniczemi owocami i skąpał się w wodach Gangesu, śpiewając pochwały Bramy. Lecz, przydaje opowiadacz indyjski, nie sądźcie iżby to miało bydź cudem. Wy, którzy podróżujecie do stolicy Tybetu, idźcie wschodnim stokiem gór Himalaya, a po trzech dniach podróży, wnijdziecie w doliny, które natura chciała ukryć przed oczyma ludzi; tam ujrzycie wzrastającą i przemieniającą się przed waszemi oczyma, tajemniczą waleryanę.

Toż samo opowiadano wielu naturalistom zwiedzającym Bengal. Nie sama Azya uważała nard za cudowną roślinę; wieśniacy prowincyi Maine i Bretanii, wielbią waleryanę celtycką, nietylko z powodu jéj lekarskich własności. Jest to ulubiona roślina wróżek, tych wróżek tak sławnych u Celtów i Gaulów. Podług nich, wróżki uwieńczywszy się tą rośliną i siedząc na skrzydlatym koniu lub smoku, zwyciężały czary, mocą których jaki zazdrośnik więził nieszczęśliwą piękność w zaklętym nadpowietrznym zamku; tą rośliną, jakoby gałązką złotą, uśmierzały wściekłość strażników tych nadpowietrznych zamków, cerberów nawykłych do karmienia się ciałem tych, którzy dosiadłszy hipogryfa śmieli do nich zawitać.

Rzecz dziwna, że u wieśniaków Morawii i okolic Lwowa, ludu tak odległego od Bretanii, ten sam znajdujemy zabobon. »Strzeżcie się, mówią, podcinać lemieszem korzenia waleryany, wydobyłaby się z niego para, któréj czarodziejska potęga zwiesiłaby was w powietrzu.« Pewien podróżny z siedmnastego wieku, twierdzi, że niedaleko Grodna spotkał wieśniaków którzy mu powiadali, że waleryana może zamienić się w drzewo w pewnéj porze roku. Tak podania i baśnie gminne najodleglejszych ludów, pochodzą z błędnego uważania zjawisk przyrodzenia.

KOŚCIÓŁ Ś. PAWŁA W RZYMIE.

Basilica di San Paulo fuori le mura.

Nie jeden z czytelników należał do składek na wznowienie bazyliki ś. Pawła, pożarem przed kilkunastu laty zniszczonéj, których, jakie są skutki, następująca objaśni wiadomość:

Za murami starożytnego Rzymu, na lewym brzegu Tybru, w pobliżu piramidy Kaja Cestyusza, w okolicy pustéj, odludnéj i dla niezdrowia swojego opuszczonéj, wznosi się budowla kościoła rzeczonego, jako pamiątka na cześć ś. Pawła apostoła wystawiona, któren, jak legenda święta opiewa, w tem właśnie miejscu ad Aquas Salvias ścięty, był pochowany. Bazylika ta, przez cesarza Konstantyna za sprawą Inocentego III zbudowana, jest trzecią z kolei najcelniejszych świątyń w Rzymie, po świętym Piotrze Watykańskim i Janie Laterańskim. Przetrwawszy wieki, w 1824

nakoniec roku, przez niesforność robotników, pokrycie kościoła poprawiających, pożarem niemal do szczętu zniszczoną została. Otwarte następnie składki przez Leona XII i zatwierdzone plany odnowy budowniczego Belli, któren z rad sławnego architekta Ajgnera korzystać umiał, nowe pomnikowi religijnemu nadadzą życie; podstawą wszakże całego dzieła, miały bydź szczątki pożogą oszczędzone, ile tylko można zachowane, aby do nowéj świątyni powróciły. Najwięcéj atoli zmian w budowie dzisiejszéj powstało ztąd, że chcąc uchylić niesłychaną wilgoć, posadzkę podwyższono: za tém poszła nowa budowa łodzi pobocznych kościoła i wszystkie starożytne marmurowe słupy, całą niegdyś wartość budowli stanowiące, a nawet pożarem oszczędzone, nowemi z granitu zastąpiono; przez co na harmonii wprawdzie zyskano, lecz nie bez obrazy starożytności, którą powaga wieków nakazywała szanować. Pochwały godną jest także okoliczność, iż wiele z nowoczesnych niby to ozdób i niesmacznych rzeźb zniesiono; lecz cóż, kiedy w miejsce tychże wystąpiono znów z dzisiejszą przyprawą, którą niemniéj prawy gust potępia; słowem, z pomnika starożytnego, powstaje nowożytność stara.

Ogół dawnéj budowli stanowił czworobok podłużny, czterma rzędami słupów wewnątrz przegrodzony; zkąd powstało pięć łodzi kościelnych i to poprostu bez sklepień, podsiebitek, tak, że od pokrycia kościoła wszystkie niemal wiązania z dołu patrząc widzieć można było. Dawne czoło budowli czyli facyata, nową ma bydź zastąpiona; a starodawne mozajki rzymskie Piotra Cavallini, dotąd jeszcze pozostały, wielce jednak zniszczone. Na dziedzińcu kościoła, mnóstwo materyałów i robotników w ruchu, widok świątyni ożywia; tu także pracują nad posągami kolosalnemi, do restauracyi przeznaczonemi. Tyber obok płynący, który w czasie wylewów nie szczędzi świątyni, wynagradza poniekąd szkody spławem potrzeb do budowli. Mimo to, na gościńcu do Ostia bieżącym, gromada złoczyńców przetacza głazy na walcach ku świątyni. Wchodząc do kościoła, uderza wielkość budowli i dziwić nie przestaje ogrom kilkudziesiąt kolumn z granitu szarego, korynckiemi głowy marmurowemi przybranych, już zupełnie ustawionych; które wielką łódź świątyni stanowią: posadzka z starożytnych marmurów w różne esy wyłożona, wilgocią całkiem zniweczona, poprawy jeszcze oczekuje.— Czterdzieści tych słupów granitowych, pochodzą z łomów Symplonu od Nergozzo. Trzony ich, każden z jednéj bryły, powierzchni gładkiéj, nierówkowanéj, są wielkości sławnych niegdyś marmurowych, pożarem zniszczonych, (na wapno spalonych) po 39 palmów wysokich. Skrajne rzędy słupów, boczne łodzie kościoła dających, z tego granitu, lecz mniejszych, właśnie stawiają. Wielkie kolumny nowe, kosztowały do 50,000 skudów (25,000 flor,) mniejsze zaś do 30,000; każden atoli słup większy, biorąc w to ostatni połysk mu dawany, głowę i stopę z marmuru, na 4,000 skudów wypada. Przejście z środkowéj łodzi kościoła do poprzecznéj, które łukiem „Galii Placydy“ (Teodozyusza córki) nazywają, wspiera się na parze słupów granitowych, porządku jonickiego, téjże co dawne z marmuru pentelickiego, wysokości 49 piędzi rzymskich; kosztowały zaś do 24,000 skudów. Mozajki dawne tegoż łuku naprawiają. Po bokach będą posągi olbrzymie ś. apostołów Piotra i Pawła, na dokończeniu będące, robione podług wzorów uczniów niegdyś Kanowy, pp: Fabris i Tadolini; a jakkolwiek posąg ostatniego, lepszym jest od piérwszego; obydwa atoli pod względem sztuki, do podrzędnych robót należą.

Z prawéj strony kościoła rozpoczęto rzucanie łuków marmurowych na słupach osadzonych, na których spoczywać będą wiązania pokrycia świątyni, jak dawniéj. Co do poprzecznéj łodzi, która dla ogromu swego już sama stanowićby mogła kościół nie mały, nierównie daléj roboty posunięto. Środkiem od przodu biorąc, podobnie jak np. w katedralnym kościele w Krakowie (gdzie jest sławny sarkofag ś. Stanisława) będzie konfessya, którą zdobić ma dawne Tabernaculum w 1295 r. przez Arculumolfo di Lapo i Pietro robione, a dziś odnowione. Sławną mozajkę trybuny, która Chrystusa przedstawia z apostoły, odświeżono. Do wykładania ścian, służy cybulkowy zielony marmur dawny (z Karysto); a na płaskosłupy, frygijski, pawim (pavonazetto) zwany, również starożytny, z ruin rzymskich wzięty. Przed trybuną będzie wielki ołtarz, po bokach tegoż podwoje prowadzą do kaplic: lewe do kaplicy ś. Krzyża i ś. Szczepana; prawe zaś do Najświętszego Sakramentu i ś. Benedykta. W końcach poprzecznéj łodzi kościoła, olbrzymie ołtarze zdobią słupy koryntskiego porządku, marmurem frygijskim powleczone; do których przeznaczono nowe obrazy: Nawrócenia ś. Pawła i Wniebowzięcia N. P. Maryi, piérwszy przez Kamuczyniego a drugi przez Agrykolę wykonany; żałować atoli należy daremnego w tém nakładu; wilgoć albowiem niesłychana, strawi je prędzéj, nim zasłynąć potrafią: przy tak ogromnych nakładach, o mozajkowych raczéj myśléć należało. W ni-

szach wspomnionych ołtarzy, cztery kolosalne będą posągi, z których dwa ś. Grzegorza i Benedykta już postawiono; reszta jest pod dłótem, również jak i te, pośledniém. W lewym końcu poprzecznéj łodzi kościoła, jest wyjście do portyku ośmiosłupowego, któren ku miastu zwrócony będzie; główne albowiem miejsce do świątyni, jak wiadomo ku brzegom Tybru wypada. Z prawéj strony jest świątnica czyli zakrystya, a w pobliżu téjże podwórzec klasztorny z napisem: „Claustrales, claudens, claustrum, de claudo, vocatur.“ — Starodawność tegoż sięga połowy XIII wieku, a w około bieżące drożki czyli krużganki (Kreutzgänge) pełne są napisów i ułamów rzeźby starodawnéj: klasztor obszerny, dla niezdrowego powietrza, zdawna, bo od Leona X pustkami stoi, wyjąwszy porę saméjże zimy, w któréj mnichy ś. Benedykta część jego zajmują.

Pokrycie poprzecznéj łodzi już ukończone: zachwyca wyborem ciesiołki. Niebotyczne sosny na wiązania użyte, już to z sławnych lasów kamedulskich „San. Romualdo,“ z dolin toskańskich Constantino, już z Monte Corona, już nakoniec z puszcz węgierskich sprowadzają. Obecnie zatrudniają się robotą podsiebitek, których ozdoby nadobnością rysunków zajmują. Wiązania łodzi środkowéj, dawniéj odkryte, płaski pułap ma zasłaniać. Kto chce roboty górne odwiedzić, lub pysznym okolicom przypatrzyć się, niech kręconemi schody, w ścianie łodzi poprzecznéj dądącemi, idzie na wierzch kościoła.

Wydatki wszystkie od początku samego pod Leonem XII wzięte, aż do r. 1833, wyniosły do 320,000 tal. rzymskich; lecz od téj epoki zaczynając, z podwójnym pośpiechem fabryka postępować zaczęła, tak dalece, że z końcem 1836, ogół wydatków do 600,000 skudów doszedł. W roku 1837, niezawodnie 120,000 skudów wyszło, gdyż w Czerwcu pracowało 450 robotników, a tygodniowo na tychże 500 tal. rzymskich wydawano. Professorowi akademii świętego Łukasza p. Poletti, powierzona teraz budowa z pomocą jeszcze podwładnych budowniczych. Nadzorem fabryki kongregacya kardynałów zawiaduje; rzecz zaś skarbową, podskarbi generalny apostolski sprawuje. W obecnym stanie rzeczy, przy okolicznościach i nadal sprzyjających, dokończenie całego dzieła przynajmniéj lat 15 jeszcze potrzebować będzie.

XIĄDZ I SIEROTA.

(LEGENDA.)

Już sygnują na wieżycy;
Przed kościółkiem tłum się mnoży;
Lud się zebrał z okolicy,
By cześć oddać chwale Bożéj.

Gdzie cień jodeł i darń gładka,
Stoją młodzi, siedzą starzy,
Tam gromadka, tu gromadka,
Jak rój pszczółek sobie gwarzy.

Ale skromnie i pobożnie:
„Dobre żniwa, — Bogu dzięki,
„Da Bóg, reszta w lot się dożnie,
„Wszystko w mocy Jego ręki“

Tak co mówią, to w pokorze,
Przydawają imię święte;
I jak grzeszny człowiek może,
Wielbią rzeczy niepojęte.

A gdy tylko posłyszeli,
Anioł Pański i organy;
Wszyscy biegną: chór się dzieli;
I śpiewają na przemiany.

I od kruchty do ołtarza,
Matki, starce, drobne dzieci,
Wszystko święty hymn powtarza,
I modlitwa w niebo leci.

Wtém głos dzwonka się rozchodzi,
Zcichli: lud się korzy, zniża,
Bo xiądz ze mszą już wychodzi,
Do ołtarza się przybliża.

Jak gołąbek starzec siwy:
Idzie zwolna, — błogosławi.
Widok prosty! wielki! tkliwy!
Któż go pojmie a nie sławi?

Módl się ludu, módl ze łzami:
Głód, powietrze i niedola,
Nie postaną między wami,
Jeśli taka Jego wola.

Módl się ludu za twe winy;
Zdrowie, pokój i plon pola,
Spłynie na cię i twe syny;
Jeśli taka Jego wola.

Westchnij także wśród pacierza,
By owczarnia była cała,
By śmierć nagła ci pasterza,
Lub owieczki nie zabrała.

Tak się modlą, a w tém z wieży
Jękły dzwony, na gwałt biją!
Gore! gore! krzyk się szerzy,
Wszyscy z trwogi ledwo żyją.

Kwilą dzieci, płaczą matki,
I ku niebu wznosząc oczy
Uciekają, tuląc dziatki,
A lud tłumi się i tłoczy.

Płoną ściany, dach opada,
Już się wewnątrz kościół pali,
Ludzka pomoc nic nie nada,
Jeśli cud go nie ocali.

Klęknął ludek na cmentarzu,
Hymn do Boga śle Rodzicy;
Bo xiądz został przy ołtarzu,
I niemowlę przy chrzcielnicy.

„Matko czysta! Matko Boga!
„Użal się naszéj biédocie;
„Niechaj nie szkodzi pożoga,
„Twemu słudze i sierocie.

„Żar piekła łza Twa ugasza,
„Uproś nam, uproś u Syna!
„O Orędowniczko nasza!
„Niech żyje xiądz i dziecina."

Patrzą, otchłań się otwiera!
I drogą w płomieni lesie,
Xiądz w ornacie się przedziera,
I ochrzczone dziecię niesie.

A gdy lud zdumiony czyni
Dzięki za cud, człowiek święty
Znów powraca do świątyni,
By dokończyć mszy zaczętéj.

Słyszą, słyszą, Boga chwali,
Błogosławi, jeszcze żyje;
Wtém się kościół z posad wali,
Xiędza kupą gruzów kryje.

Umilkł święty głos pasterza,
Tylko z ognia gołąb biały,
Wyleciał, i w niebo zmierza,
Tam anioły go witały.

K. Z.

ALHAMBRA

JÉJ OPIS PODANIA I POWIEŚCI.

przez Wasyngtona Irwinga.

I. WSTĘP.

Na wiosnę roku 1829, zwiedzając Hiszpanią pojechałem do Sewilli i Grenady z jednym z moich przyjaciół. Niech mi wolno będzie uczynić na wstępie kilka postrzeżeń o ogólnym widoku Hiszpanii i o sposobie podróżowania w tym kraju. Pospolicie wyobrażamy sobie Hiszpanią jako przyjemną krainę, ozdobioną wszystkiemi powabami roskosznéj ziemi włoskiéj. Jest to przeciwnie, oprócz kilku nadmorskich prowincyi, kraina dzika, posępna i smutna, mająca obnażone góry, niezmierne płaszczyzny ogołocone z lasów, ciche, samotne i podobne w pewnym względzie do pustyń Afryki. Ciszę tę i samotność powiększa jeszcze brak śpiewających ptaków, będący skutkiem braku lasów i krzewów. Widać tylko orły i sępy unoszące się nad szczytami skał. Gromady przebiegłych dropiów snują się w krzakach, lecz drobne ptaszki znajdują się w niektórych tylko częściach Hiszpanii i to bardziéj w sadach i ogrodach przy domach, nie zaś na otwartém polu.

W środkowych prowjncyach, podróżny przejeżdżając obszerne płaszczyzny okryte zbożem, daremnie szukać będzie ręki która je uprawiła. Nareście postrzeże na spadzistéj górze, wioskę otoczoną wałem na poł zniszczonym, lub jaką starą wieżę, dawne schronienie mieszkańców podczas wojen domowych, albo napadu Maurów. Lecz jeźli największa część Hiszpanii pozbawiona jest bogatéj ozdoby drzew i lasów, jéj krajobrazy mają za to piętno wielkości, wynagradzające ten niedostatek. Są odpowiednie charakterowi mieszkańców i od czasu jak zwiedziłem ten kraj, lepiéj pojąć mogę dumę nieuskromionych, oszczędnych i wstrzemięźliwych Hiszpanów.

W surowych i prostych rysach krajobrazów hiszpańskich, jest coś szczytnego. Niezmierzone okiem płaszczyzny Kastylii i Manszy, wzbudzają zajęcie przez swoją jednostajność i wielkość i czynią takie same wrażenie jak widok oceanu. Przebiegając te pustynie bez granic, postrzegamy z daleka tu i owdzie, trzody pod przewodnictwem pasterza stojącego niewzruszenie jak posąg, trzymającego kij okuty zamiast laski; szereg mułów powoli przebywających pustynię, jak karawana wielbłądów przechodząca piaski Arabii i wieśniaka idącego samotnie, uzbrojonego sztyletem i karabinem. Tak więc, kraj, zwyczaje, nawet rysy mieszkańców, noszą piętno Arabów. Zwyczaj noszenia broni, jest dowodem jak są niebezpieczne drogi. Najmniejsza podróż pociąga za sobą przygotowania wojenne. Podróżni zbierają się w gromadki, podobne na mniejszą skalę do karawany wschodniéj. Mulnicy i furmani wyruszają w wielkiéj liczbie w dniach oznaczonych, podróżni przyłączają się do nich i powiększają ich siły. Sposób życia tych ludzi jest twardy i oszczędny; są ma-

łego wzrostu, lecz przystojni i krzepcy, mają ogorzałą cerę, wzrok śmiały i spokojny zwykle, lecz pełen ognia gdy nagłego doznają wzruszenia, ich obejście jest otwarte i uprzejme, nigdy nie pominą podróżnego bez powitania: *Dios garde a usted,— vaga usted on Dios caballero. Niech was Bóg strzeże. Niech Bóg z wami będzie panie kawalerze.*

Mulnik hiszpański umie niewyczerpane mnóstwo pieśni i dumek, któremi uprzyjemnia ciągłe trudy swoje. Nuty tych gminnych pieśni są bardzo proste. Śpiewają je mocnym głosem, siedząc na mule, który słucha z niezmierną powagą i krok swój stosuje do taktu. Są to starożytne dumy o Maurach, legendy święte, pieśni miłośne, a najczęściéj pieśni o jakim dawnym kontrabandziście lub rozbójniku, gdyż to są poetyczni bohatyrowie hiszpańskiego gminu.

Starożytne królestwo Grenady, do którego mamy wjehać, jest jedną z najbardziéj górzystych części Hiszpanii. Obszerne pasma gór, pozbawione drzew i krzaków i upstrzone marmurami rozmaitego koloru, wznoszą nagie szczyty pośród ciemnego błękitu nieba. Lecz żyzne i zielone doliny kryją się w ich łonie; tam puszcza ustępuje miejsca uprawie i najbardziéj spiekłe skały zniewala do wydawania drzew pomarańczowych, krzewów róży i mirtu. W najdzikszych wąwozach tych gór, obronne wioski i miasteczka, zbudowane jak orle gniazda na szczytach przepaści, przypominają czasy rycerskie, pobyt i wojny Maurów. Przebywając je, podróżny nieraz musi iśdź pieszo i prowadzić konia za cugle po wązkich i spadzistych ścieszkach, wyglądających jak zniszczone schody.

Niekiedy idzie droga nad brzegiem odurzających przepaści, od których nie oddziela żadna poręcz, niekiedy zapada w niebezpieczną i gwałtowną pochyłość, ginącą pośród ciemnéj głębi, albo téż idzie wąwozami, utworzonemi przez potoki zimowe, gdzie się kryją kontrabandziści. Tu i tam widać krzyż na mogile; smutna ta pamiątka rozbojów i morderstwa, postawiona przy zakręcie drogi na stosie kamieni, ostrzega podróżnego, że jest w niebezpieczném miejscu, i może w téj chwili czatują nań rozbójnicy. Częstokroć, wśród posępnéj doliny uderza nas ostry ryk pochodzący z góry, podnosimy głowę i widzimy na zielonym jéj stoku, gromady dzielnych byków przeznaczonych do walki w amfiteatrze. Nic nie może bydź wspanialszym od widoku tych groźnych zwierząt, błądzących po rodzinném pastwisku. Nie uskromione i prawie obce człowiekowi, znają tylko pasterza co ich strzeże i nie zawsze śmie przybliżyć się do nich.

Za wiele rozszerzyłem się nad ogólnemi rysami krajobrazu Hiszpanii, lecz wspomnienia téj pięknéj krainy silnie działają na moją wyobraźnię i trudno mi przychodzi oddalić je, gdy się obudzą.

Piérwszego Maja wyruszyliśmy z Sewilli do Grenady. Wiedząc jak są przykre i niebezpieczne drogi, wysłaliśmy nasze rzeczy naprzód przez mulników, a z sobą mieliśmy tylko pieniądze potrzebne na podróż i kwotę przeznaczoną na okupienie się rozbójnikom na przypadek napaści. Wiedzieliśmy także, iż nie należy rachować na kuchnie oberży hiszpańskich i zawsze mieliśmy dostateczny zapas żywności i wina. Najęliśmy trzy konie, dwa dla nas, a trzeci dla naszego przewodnika. Był to silny i żwawy Biskajczyk, usłużny, wesoł i bogaty w przysłowia, jak stary Sanszo Donkiszota, którego imię od nas otrzymał.

Niechaj kto inny wychwala bite drogi zamykane rogatkami, pyszne hotele wykształconego kraju, wszelkie wygody na zawołanie podróżnego; ja przenoszę Hiszpanią, więcéj przemawia ona do wyobraźni mojéj.

Pewnego razu, gdyśmy popasali na pięknéj łące otoczonéj oliwnemi drzewami, zbliżył się do nas żebrak podobny do pielgrzyma. Jego postać oznaczała nędzę, lecz widać było że ją znosi szlachetnie; żebractwo niepoużyło i nie znikczemniło jego duszy. Przywitał nas z tą poważną grzecznością, cechującą Hiszpanów nawet w najniższych klassach społeczeństwa. Pokrzepieni smacznym posiłkiem, byliśmy chętni do udzielenia jałmużny i daliśmy mu nieco drobnéj monety, kawałek białego chleba i szlankę malagi. Pokosztowawszy wina, przypatrzył mu się i wypił od razu, mówiąc; „Już od wielu lat nie piłem tak dobrego, jest to prawdziwy kordyał dla biednego starca.“ Chléb schował do sakwy, a gdyśmy go namawiali żeby jadł zaraz: »Nie panowie, odpowiedział: wina nie mogłem zabrać; lecz ten chleb muszę zanieść do domu i podzielić się z moją rodziną.« Pomnożyliśmy nasz datek, pod warunkiem jednak, że natychmiast spożyje część jego. Pokrzepiwszy się, opowiedział nam swoje przygody. Przez lat pięćdziesiąt był pastérzem, a teraz został bez zatrudnienia i sposobu do życia. Wiele na tém cierpi że musi żebrać. Pokazał nam zwaliska starego zamku Maurów, o którym jest podanie, że królowa Izabella cudownym sposobem doprowadzona była do niego, wraz z wojskiem swojém, ścieszką, którą nikt nie szedł wprzódy, i potém iśdź nie będzie. Wino dodało starco-

wi ochoty do opowiadania; opowiedział nam historyą o skarbie zakopanym w murach tego zamku. Proboszcz i notaryusz wioski sąsiedniéj, uwiadomieni o niém we śnie, mieli go wykopać. Uważałem, że mnóstwo jest powieści w Hiszpanii o skarbach które Maurowie zakopali. Tak zwykle natura daje nam marzenia, aby pocieszały w braku rzeczywistości. Człowiek spragniony marzy o bieżącéj wodzie, zgłodniały o swietnych biesiadach, nędzarz o ukrytych skarbach; nic nie może bydź bogatszém od wyobraźni żebraka.

Wyjechaliśmy z gór na piękną równinę Grenady. Tam obiadowaliśmy pod otwartém niebem, w cieniu drzew oliwnych, nad brzegiem strumienia, mając przed sobą starożytną stolicę ostatniego królestwa muzułmanów w Hiszpanii, sławną wieżami i murami Alhambry. Dzień był czysty i bez żadnéj chmurki, chłodny wiatr z gór, łagodził upały słońca. Po obiedzie rozciągnęliśmy płaszcze, zasnęliśmy na murawie pośród miłego brzęku pszczół i gruchania synogarlic. Gdy już słońce nie tak mocno dopiekało, wyruszyliśmy w drogę, i jadąc pośród mnóstwa ogrodów, przybyliśmy na krótki czas przed nocą, do bram Grenady.

Podróżny zamiłowany w historyi i poetyczności Alhambry Grenady, tak czci ten pomnik, jak muzułmanie czczą Kaabę, święty dom Mahometa. Ileż to legend i podań, prawdziwych lub bajecznych, ileż to pieśni, dum i ballad miłośnych lub wojennych, hiszpańskich i arabskich, wiąże się z tym romantycznym grodem! Czytelnik może zatem wystawić sobie zachwycenie nasze, gdy za przybyciem do Grenady, gubernator Alhambry pozwolił nam zamieszkać w tym pałacu maurytańskich królów. — Następne zarysy są owocem dumań i poszukiwań moich, podczas tego roskosznego pobytu. Gdyby mogły wzbudzić w wyobraźni czytelnika, chociaż część tego zachwycenia z jakim je kreśliłem, nie żałowałby że lato przepędził ze mną, w tych salach Alhambry, tak bogatych w cudowne wspomnienia.

II. OPISANIE.

Alhambra jest dawną warownią czyli obwarowanym pałacem maurytańskich królów Grenady. Z tamtąd panowali nad swoim tak wychwalonym rajem ziemskim. Pałac jest tylko częścią warowni, zbudowanéj na szczycie góry, która panuje nad miastem i łączy się z pasmem gór śniegiem okrytych.

Za panowania Maurów, mogło tam pomieścić się czterdzieści tysięcy żołnierza. Po ich wypędzeniu, Alhambra nie przestała bydź rezydencyą królewską i niekiedy mieszkali w niéj kastyllańscy monarchowie. Karol V zaczął budować nowy pałac w jéj obrębie, lecz kilkokrotne trzęsienia ziemi, przeszkodziły temu zamiarowi. Na początku ośmnastego wieku, Filip V i piękna królowa Elżbieta z Parmy, byli ostatniemi z monarchów którzy mieszkali w tym pałacu. Poczyniono wielkie przygotowania na ich przyjęcie, naprawiono pałac i ogrody, zbudowano nowe apartamenta i polecono ich ozdobienie artystom włoskim. Jednakże, po chwilowym pobycie tych książąt, Alhambra znowu pozostała samotną, lecz zawsze utrzymywano w niéj załogę. Gubernator był bezpośrednio mianowany przez króla, a jego sądownictwo rozciągało się aż do przedmieść miasta i nie zależało od generalnego kapitana Grenady. Załoga była liczna; gubernator zajmował pokoje tworzące wystawę starego pałacu i nigdy nie przyjeżdżał do Grenady, bez wojskowego orszaku. Warownia tworzyła odrębne miasteczko; miała kilkanaście ulic, klasztor Franciszkanów i kościół parafialny.

Nieobecność dworu zadała zgubny cios Alhambrze. Jéj piękne sale niszczą się codziennie i już wiele z nich zamieniło się w zwaliska. Zaniedbano ogrody, zepsuły się wodotryski. Ludzie bez stanu i sposobu do życia, zagnieździli się w pustych częściach jéj gmachów. Kontrabandziści korzystając z przywilejów tego miejsca, składali w niém towary swoje; złodzieje i oszuści mieli tam schronienie i z tamtąd łupili Grenadę i okoliczne kraje. Nareście, rząd położył tamę takim nadużyciom, wypędzono włóczęgów i tych tylko zostawiono, o których wiedziano że mają prawo tam mieszkać i uczciwy sposób zarobkowania. Zwalono większą część domów; zostało tylko kilkanaście, klasztor i kościół parafialny. Za Napoleona, Francuzi zajęli Grenadę i umieścili załogę w Alhambrze. Dowódzca mieszkał w pałacu, a ten pomnik wielkości i przepychu Maurów, ocalony został od zupełnego zniszczenia. Naprawiono dachy, zabezpieczono resztę sal i galeryi, oczyszczono ogrody i odnowiono wodociągi. Zachowanie tak pięknego pomnika, winna jest Hiszpania swoim najezdzcom. Francuzi opuszczając Alhambrę, zniszczyli zewnętrzne jéj mury. Od tego czasu już nie jest warownią: załoga składa się z kilku inwalidów, a gubernator woli mieszkać w Grenadzie. Don Francisco de Lerna, który w r 1830 zarządzał Alhambrą, czynił co tylko mógł dla podźwignienia i ratowania pałacu królów maurytańskich. Gdyby rząd dopomógł jego chęciom gorliwym, ten drogi zabytek,

mógłby jeszcze przez długie lata bydź ozdobą kraju i ściągać z całéj Europy ciekawych podróżników.

Nazajutrz po naszém przybyciu do Grenady, wyszedłszy z oberży Espada, zwiedziliśmy sławną dzielnicę Vivarambla, niegdyś siedlisko igrzysk i turniejów, a teraz zamienioną w uczęszczany plac targowy. Z tamtąd przeszliśmy do dzielnicy Zakaten, któréj główna ulica była wielkim bazarem za panowania Maurów: małe sklepy i wązkie sienie, jeszcze noszą cechę wschodniego budownictwa. Przebywszy plac na którym stoi pałac generalnego kapitana; weszliśmy na krętą i wązką ulicę prowadzącą do mocnéj bramy, w stylu greckim, zbudowanéj przez Karola W. i będącéj wnijściem do Alhambry.

Dwóch lub trzech weteranów, siedząc na ławce kamiennéj, zastępowało dawnych Zegrisów i Abencerragów; chudy i wysoki sługa, zasłaniał starym płaszczem szczątki swojéj jeszcze starszéj odzieży i rozmawiał z rudowłosym strażnikiem. Natychmiast ofiarował nam się za przewodnika. —»Zapewne panowie nie znacie tego miejsca? Nikt lepiéj nie zna go odemnie, gdyż jestem synem Alhambry.

Hiszpanie mają w rzeczy saméj poetyczny sposób wysłowienia. Syn Alhambry! uderzyło mię to wyobrażenie; łachmany mego przewodnika nabrały powagi w moich oczach, wydawały się godłem tego miejsca i były właściwe potomkowi zniszczonego grodu. Wypytałem się i uznałem że ten człowiek ma prawo do tego tytułu. Jego familia mieszka w warowni od epoki zdobycia. Nazywał się Mateo Xymenes. —»Jestżeś z rodziny wielkiego kardynała Xymenes? —»Bóg to wie, panie, bydźby to mogło. Jesteśmy najdawniejszą familią w Alhambrze, starzy chrześcijanie, nie pomięszani z krwią maurytańską lub żydowską. Wiem iż należymy do wielkiego domu, lecz zapomniałem do jakiego; mój ojciec wie o tém wszystkiém, zachowuje naszą tarcz herbowną, zawieszoną na ścianie jego chaty, tam w warowni.« Każdy Hiszpan, chociażby najuboższy, chlubi się znakomitą rodowitością. Lecz piérwszy tytuł tego szlachetnego biédaka zajął mię najmocniéj i z radością przyjąłem usługi syna Alhambry.

Weszliśmy w głęboki wąwóz, pokryty pięknemi drzewami. Spadzista droga szła przez niego, a kręte ścieszki ozdobione wodotryskami przecinały go w różnych kierunkach; tu i owdzie były kamienne ławki. Po lewéj stronie wznosiły się nad głowami naszemi wieże Alhambry; po prawéj były wieże również wysokie, zbudowane na skale. Są to *torres vermejas* czyli wieże rumiane, tak nazwane od ich koloru. Nikt nie zna ich początku; są daleko starsze od Alhambry; jedni sądzą że je zbudowali Rzymianie, drudzy że Fenijczycy. Doszliśmy do stóp czworobocznéj wieży, w któréj jest główne wnijście do warowni. Tam była druga gromadka inwalidów; jeden z nich stał na straży, reszta spała. Brama ta, zowie się bramą sprawiedliwości, ponieważ pod jéj sklepieniem zasiadał trybunał i rozstrzygano pomniejsze sprawy za panowania Maurów. O tym zwyczaju tak pospolitym na całym Wschodzie, wzmiankuje Pismo Swięte. Wielki przysionek, czyli sklepienie, tworzy łuk niezmierny w kształcie podkowy, dochodzący prawie do poł wysokości wieży. Na węgielnym kamieniu zewnętrznego sklepienia, wyryta jest olbrzymia ręka, a na odpowiednim kamieniu wewnątrz, klucz ogromny. Znawcy symbolów mahometańskich, utrzymują, że ręka jest godłem przepisów religijnych, a klucz godłem wiary; przydają, że ten znak wyszyty był na sztandarach Maurów. Lecz syn Alhambry inaczéj tę rzecz tłomaczył, opierając się na odwieczném podaniu. Podług niego, ręka i klucz są to czarodziejskie figury i los Alhambry jest do nich przywiązany. Król Maurów, który kazał wybudować ten gród, był wielkim czarownikiem, przedał swoją duszę złemu duchowi, i umieścił tę warownię pod opieką czarów. Za ich potęgą, oparła się tylu szturmom i trzęsieniom ziemi. Mówią, że czary pozostaną w mocy swojéj aż do czasu, gdy ręka tak się pochyli, iż się dotknie klucza; wtedy runie Alhambra i odkryją się skarby królów maurytańskich ukryte pod jéj murami.

Mimo téj przerażającéj wieszczby, przeszliśmy tą zaczarowaną bramą, a ztamtąd wązkiém i przykrém przejściem zrobionem między murami, dostaliśmy się na wewnętrzną esplanadę zwaną placem cystern. Wielkie wodozbiory wykute w skale, rozciągają się pod tym placem; jest także niezmierna studnia dostarczająca jak najczystszéj i najzimniejszéj wody. Prace te wskazują, jak Arabowie byli troskliwi o zaopatrzenie się i czystość tego żywiołu.

Wprost téj esplanady, widać pałac zaczęty przez Karola V, a który miał jak mówią, zaćmić dawne pomieszkanie królów maurytańskich. Lecz mimo ogromu i zalet architektury, gmach ten wydaje się tylko jako zuchwały przybysz i nie zatrzymując się przed nim, weszliśmy w prostą i bez ozdób bramę, prowadzącą wewnątrz starego pałacu.

Było to prawie czarodziejskie przejście; zdało nam się, iż nagle jesteśmy przeniesieni w inne miejsca, w inne wieki, że będzie-

my spoglądać na sceny historyi Arabów! Znajdowaliśmy się w obszernym dziedzińcu wyłożonym marmurem białym i ozdobionym na każdym końcu lekkim maurytańskim przysionkiem. Był to dziedziniec Alberka. W środku był niezmierny wodozbiór, sto trzydzieści stóp długi, pełen ryb i otoczony różanym płotem; na wyższym zaś końcu wznosiła się wieża Komares.

W przeciwnej stronie wieży, weszliśmy sklepionem przejściem na sławny dziedziniec Lwów. Ta część gmachu daje najlepsze wyobrażenie o jego starożytnym przepychu, najmniéj bowiem ucierpiała od niszczącéj władzy czasu. Widać we środku fontannę tak sławną w historyi i w pieśniach ludu. Z alabastrowych paszcz dwunastu lwów, ciągle płyną kryształowe strumienie, jak za czasów Boabdila. Dziedziniec jest pokryty kwiatami, otaczają go lekkie arkady, złożone z rzeźb tak delikatnych jak koronki, i tak przejrzystych, oparte na cienkich kolumnach z białego marmuru. Architektura całego pałacu bardziéj jest wytworna, niżeli wielka i wskazuje smak delikatny, przyjemny i skłonność do gnuśnych uciech. Widząc te nadpowietrzne przysionki, na tak słabych filarach oparte, pojąć nie można, jakim sposobem czas, trzęsienia ziemi, zaniedbanie, rabunki ciekawych podróżników, również niebezpieczne jak rabunki żołnierstwa, nie zniszczyły dotąd wielkiéj części tego pomnika. Myśląc o tém, możnaby uwierzyć w podanie, że Alhambra zostaje pod opieką czarów.

Z drugiéj strony dziedzińca, brama bogato ozdobiona, prowadzi do wielkiéj sali mającéj posadzkę z białego marmuru i zwanéj salą dwóch siostr. Przez otwartą kopułę, dochodzi do niéj łagodne światło i zewnętrzne powietrze. Niższa część murów jest wysadzana pięknemi maurytańskiemi cegłami, na których widać herbowne tarcze królów.— Część wyższa jest pokryta stukiem wynalezionym w Damaszku i składającym się z wielkich odlewanych tablic, tak sztucznie połączonych, iż zdaje się iż na miejscu wyrobione były w wytworne płaskorzeźby, w kształtne arabeski, przeplatane wyjątkami z koranu i wierszami w języku arabskim. Ozdoby i kopuły są bogato wyzłacane, lub pomalowane kolorem lapis lazuli. Po wszystkich stronach sali, znajdują się alkowy, w których były sofy albo łóżka. Nad zewnętrznym krużgankiem panuje galerya łącząca się z apartamentem kobiet. Są jeszcze żaluzye, przez które piękności haremu mogły przypatrywać się uroczystościom odbywanym w sali dolnéj.

Patrząc na ten starożytny i ulubiony gród Arabów, na ten pałac w którym rozwijał się cały przepych, cała wytworność obyczajów wschodnich, przypominamy sobie ich czarodziejskie i rycerskie powieści, i prawie wyglądamy, ażeby biała ręka księżniczki skinęła na nas z balkonu, albo téż czarne oko zabłysło za żaluzyą. Schronienie piękności jest nie mal w tym stanie w jakim było wczoraj; lecz gdzież są Zoraidy, Lindaraxy?

Z strony dziedzińca Lwów, jest sala Abencerragów, tak nazwana na pamiątkę mężnych ryrerzy téj znakomitéj familii, zamordowanych w tém miejscu. Niektórzy historycy wątpią o prawdzie tego zdarzenia, lecz nasz ubogi przewodnik pokazał nam furtkę, którą ich wprowadzono jednego po drugim, białą marmurową fontannę na środku sali i łoże marmurowe w które spadły ich głowy; co więcéj, pokazał nam kilka czerwonawych plam na posadzce i rzekł, iż to są ślady krwi niczém nie zatarte. Postrzegając iż go słuchamy z ciekawą łatwowiernością, przydał, iż czasem słychać w nocy na dziedzińcu Lwów ciche i pomieszane dźwięki, jakoby szemranie tłumu, połączone z brzękiem kajdan w odległości. Zdaje się, iż przyczyną tych dźwięków jest woda płynąca rurami pod posadzką sali, dla podsycania fontann; lecz syn Alhambry przypisuje one duszom zamordowanych Abencerragów.

Z dziedzińca Lwów, zwróciliśmy się wstecz i przez dziedziniec Vivier doszliśmy do wieży Komares, tak nazwanéj od jéj budowniczego Araba. Jest mocna i niezmiernie wysoka, panuje nad całym gmachem i stokiem wzgórza, spadzisto zstępującym aż do rzeki Darro. Sklepione przejście prowadzi do niezmiernéj sali zajmującéj wnętrze wieży: była to sala posłuchalna królów Grenady, i dla tego zowie się salą Posłów. Widać jeszcze ślady jéj dawnéj wspaniałości. Mury bogato są ozdobione arabeskami; posowa z cedrowego drzewa, tak wysoko umieszczona, że jéj prawie dojrzéć nie można, jaśnieje złotem i świetnemi kolorami. Z trzech stron okna są wybite w murach niezmiernie grubych, a ich balkony wychodzą na żyzną dolinę Darro. Mógłbym szczegółowo opisać inne pokoje téj części gmachu, jako to: tokador czyli toaletę królowéj, belweder na szczycie wieży, gdzie sułtanka przychodziła oddychać chłodném powiewem z gór wiejącym, mały ustronny dziedziniec czyli ogród Lindaraxy, a w nim alabastrową fontannę, różane krzaki, myrtowe i cytrynowe klomby, chłodne sale i groty kąpielne. Lecz nie chcę wdawać się w te szczegóły; zamierzam tylko wprowadzić czytelnika w to miejsce, gdzie będzie mógł

błądzić razem ze mną i stopniowo z niém się zapoznać.

Wodociągi zbudowane przez Arabów, sprowadzają z gór wodę, która obficie krąży po całym pałacu, zapełnia jego kąpiele i stawy, wytryska pośród sal i szemrze w kanałach pod marmurowemi posadzkami. Gdy już opłaciła daninę pałacowi monarchów, spada niezliczonemi strumykami, wzdłuż ulicy prowadzącéj do miasta i ciągłą utrzymuje zieloność w gankach ocieniających wzgórza Alhambry.

Gdy cała Grenada omdlewa od słonecznego skwaru, miły wietrzyk przeciąga po wysokich salach Alhambry i rozpościera miłą woń okolicznych ogrodów. Tam wszystko skłania nas do spoczynku, do téj najmilszéj uciechy południowych krajów.

Przebiegłszy wnętrze Alhambry, czytelnik zechce może poznać okolice tego pałacu. Poranek jest jasny, piękny, słońce jeszcze nie zwalczyło chłodu nocnego. Wstąpmy na wieżę Komanes i ztamtąd spojrzyjmy na Grenadę i okolice. Zacny czytelniku i towarzyszu, przejdź ze mną ten przysionek, bogatą rzeźbą ozdobny, łączący się z salą posłów i wnijdź w te małe drzwi zrobione w murze. Strzeż się; są tam schody przykre, ciemne i kręte, a jednakże po nich szli dumni władzcy Grenady i ich piękne sułtanki, aby przypatrywać się z wierzchołka wieży, wojskom chrześcijańskim i walkom toczącym się na płaszczyznie. Nareście dostaliśmy się na taras; odpocząwszy przez chwilę, spojrzyjmy na świetny krajobraz, składający się z gór najeżonych skałami, z cienistych dolin, z żyznéj płaszczyzny, z miasta, w którém rozróżnić można katedralny kościół, gotyckie wieże, walące się domy i kwieciste ogrody.

Zbliżmy się do blanków i spojrzyjmy wprost na dół. Z jednéj strony widzimy cały plan Alhambry; z drugiéj od północy, jakaż przerażająca wysokość! Długa rozpadlina w grubym murze, wskazuje iż go zachwiało trzęsienie ziemi, które od czasu do czasu przeraża Grenadę i prędzéj czy późniéj zamieni w stos gruzów reszty Alhambry. Ten wązki i głęboki smug, rozszerzający się w miarę oddalenia od gór, jest to dolina Darro. Większa część tych białych domków między gaikami i winnicami, były to wiejskie ustronia możnych Maurytanów. Ten pałac nadpowietrzny, z wysokiemi i białemi wieżami, wprost naprzeciw wzgórza, jest Generalifa dawna rezydencya królów Grenady; powietrze jest tam jeszcze świeższe jak w Alhambrze. Od zachodu widaać pasmo gór, które były niegdyś granicą między posiadłościami Maurów Grenady i królów chrześcijańskich. Na ich szczytach stoją warowne miasta i pojedyncze zamki. Tamtędy zstąpiło wojsko Ferdynanda na płaszczyznę Grenady. Jakaż zmiana! Dziś, zamiast zbrojnych szeregów, ciągnie karawana cierpliwych mulników. Za tém wybrzeżem jest most Los-Penos, sławny takiém mnóstwem krwawych potyczek, a bardziéj jeszcze z tego, że tam doścignął Kolumba posłannik królowéj Izabelli, w téj właśnie chwili, gdy ten wielki człowiek zwątpiwszy o przywiedzeniu do skutku swego zamiaru, chciał powieść do Francyi swoje wielkie pomysły i odkrycie nowego świata. Od strony południowéj, wzrok przyjemnie spoczywa na gaikach, ogrodach i żyznych niwach bogatéj Wegi, którą rzeka Xenil obwija srebrnemi pierścieniami. Niezliczone strumienie dawnemi prowadzone kanałami, wszędzie roznoszą ożywcze wody i utrzymują ciągłą zieloność na téj pięknéj płaszczyznie, gdzie jeszcze są te same gaje, te roskoszne ogrody, których bronili Maurowie z rozpaczającą odwagą. Folwarki i chaty zamieszkane teraz przez ubogich wieśniaków, noszą jeszcze ślady bogatych ozdób i poznać można czém były za panowania muzułmanów.

A teraz wznieśmy oczy aż do śnieżystych szczytów, jaśniejących jak biały obłok letni, na błękicie nieba. Jest to Sierra Newada, chluba i roskosz Grenady, źródło jej chłodnych powiewów jéj wiecznéj zieloności, jéj zdrojów i strumieni, które nigdy nie wysychają. Owe to pasmo gór, pozwala Grenadzie połączyć świeżą roślinność, i umiarkowaną temperaturę środkowéj Europy, z upałami podzwrotnikowego słońca, z pogodą południowego nieba.

Lecz już słońce wzbiło się nad góry, a jego promienie wprost spadają na głowy nasze. Znijdźmy, szukajmy chłodu pod przysionkami przy fontannie Lwów.

III. UWAGI NAD PANOWANIEM MAURÓW W HISZPANII.

Ulubioném mojém miejscem jest balkon środkowego okna w sali poselskiéj w wieży Komares. Tam siedząc wieczorem, uwielbiałem wrażenie, jakie czynią promienie zachodzącego słońca, padające na gmach starożytny. Zwróciłem myśl moją na osobliwszą koléj losu Maurów Hiszpanii, których byt podobny jest do romansu i tworzy osobliwszy a razem najświetniejszy ustęp w historyi. Nie wiemy jak nazwać ich panowanie, mimo jego rozciągłości i trwania: gdyż lud ten nie miał własnego kraju, własnego nazwiska. Jak da-

leki bałwan wielkiego zalewu Arabów, uderzył na brzegi Europy. Podboje muzułmanów, od cieśniny Gibraltarskiéj aż do Pireneów, były tak szybkie, tak świetne, jak podboje ich braci w Syryi i Egipcie.— Gdyby nie byli zatrzymani i odparci na płaszczyznach Turenii, Francya i reszta Europy byłaby uległa ich władzy, tak łatwo jak państwa wschodnie, a półksiężyc błyszczałby może do dziś dnia, na murach Paryża i Londynu.

Odparte za Pireneje, pomieszane hordy Afryki i Azyi, zaniechały mahometańskiego dogmatu nieustannych podbojów, założyły w Hiszpanii stałe i spokojne panowanie. Ci zdobywcy odznaczyli się umiarkowaniem odpowiedniém ich męztwu, i pod temi względami przez długi czas wyżsi byli od narodów z któremi walczyć musieli. Oddaleni od rodzinnéj ziemi, przywiązali się do téj, którą jak mniemali dał im Allah, i usiłowali zbogacić ją wszystkiém, co może przyłożyć się do szczęścia człowieka. Mądre ustawy, pielęgnowanie sztuk i umiejętności, zachęty udzielane rolnictwu, handlowi i rękodziełom, obdarzyły ich kraj pomyślnością, nie znaną wtedy w chrześcijańskich państwach. Maurowie Hiszpanii otoczyli się płodami najwytworniejszéj cywilizacyi Arabów na Wschodzie i rozpostarli oświatę w Europie, jeszcze pogrążonéj w barbarzyństwie.

Rzemieślnicy chrześcijańscy przychodzili do miast muzułmańskich Hiszpanii, doskonalić się w użytecznych sztukach. Studenci ze wszystkich krajów Europy, tłumami udawali się do uniwersytetów Toledu, Korduby, Sewilli i Grenady, dla doskonalenia się w umiejętnościach Arabów i dla poznania skarbów starożytnej historyi. Miłośnicy *wesołéj sztuki*, przychodzili także do Korduby i Grenady, dla przejmowania się poezyą i harmonią Wschodu, a wojownicy połnocy odwiedzali ich, dla nauczenia się ćwiczeń i zwyczajów rycerskich.

Jeźli w pomnikach mahometańskich istniejących dotąd w Hiszpanii, w meczecie Korduby, Alkazarze Sewilli, Alhambrze Grenady, są jeszcze napisy, wysławiające potęgę i trwałość panowania Arabów, czyliż można obwiniać ich o próżną pychę? Liczne pokolenia nastąpiły wprzódy, nim przestali panować w Hiszpanii. Upłynął dłuższy przeciąg czasu, niż ten jaki po dziś dzień liczymy od najazdu Anglii przez Normanów; a potomkowie Mussy i Tarika, tak nie mogli przypuszczać, że będą wypędzeni z Hiszpanii, jak dziś synowie Rolla i Wilhelma nie sądzą że kiedykolwiek będą musieli wrócić na brzegi Normandyi.

A jednakże, mimo téj świetności, panowanie Arabów w Hiszpanii, było tylko piękną exotyczną rośliną, która nigdy nie zapuściła korzeni głęboko w ziemię, chociaż ją ozdabiała. Oddzieleni od sąsiednich ludów, nieprzełomną zaporą religii i obyczajów, Maurowie Hiszpanii, tworzyli przednie czaty Islamizmu. Półwysep był polem bitwy, na którém gotyccy zdobywcy połnocy i mahometańscy zdobywcy Wschodu walczyli o panowanie nad światem, a wrząca odwaga drugich, musiała nareście uledz wytrwałemu męztwu pierwszych.

Żaden lud nie został tak zupełnie zatartym jak Maurowie Hiszpanii. Gdzież są teraz? Trzeba szukać ich szczątków na brzegach Barbaryi i w sąsiednich pustyniach. Zniknęli między dzikiemi hordami Afryki i nawet imienia nie zostawili po sobie. Hiszpania, ich ulubione siedlisko, nie chce ich uznać i nazywa ich obcemi. Kilka na pół zniszczonych gmachów, poświadcza ich dawną potęgę, jak wzniosłe skały na przestrzeni wód wskazują wielki zalew. Taką jest Alhambra, ten pałac wschodni pośród gotyckich budowli, ten wytworny pomnik mężnego, światłego i przyjemnego ludu, który zwyciężył, panował i zniknął.

IV. URZĄDZENIE SIĘ I MIESZKAŃCY ALHAMBRY.

Umyśliwszy czas niejaki przepędzić w Alhambrze, urządziłem moje gospodarstwo. Pałac ten oddany jest pod dozór staréj i dobréj dziewczyny, dona Antonia Molina, poufalej zwanéj tia Antonia, (ciocią Antonią). Ona ma utrzymywać w porządku sale i ogrody, a za to dostaje podarunek od podróżnych i do niéj należy cały dochód z ogrodów. Mieszka w jednym kącie pałacu, ze swoim synowcem i synowicą. Manuel Molina jéj synowiec, jest człowiekiem poważnym i rozsądnym. Opuścił służbę wojskową i uczy się medycyny, w téj nadziei, że kiedyś zostanie lekarzem Alhambry, które to miejsce przynosi 140 piastrów rocznie. Synowica jest to mała Andaluzyanka, świeża i tłusta, z czarnemi oczyma, z wesołą twarzą. Ułożyłem się z Antonią o moje pomieszkanie i żywność, a Mateo Xymenes, syn Alhambry, służył mi za kamerdynera, opowiadacza, historyka. Przyczepił się do mnie skorom tylko wstąpił w obwód Alhambry i odtąd ani na krok nie odstąpił. Nie ma ani jednéj wieży, bramy i komnaty, o któréjby nie wiedział jakiejś cudownéj powieści i nie wierzył w nią jak najmocniéj.

Antonia chciała mi dać pomieszkanie w nowożytnéj budowie przeznaczonéj dla wielkorządcy. Lecz mimo jéj odradzania, wolałem zająć pokoje odleglejsze, wychodzące na dziedziniec Lindaraxy, w których niegdyś mieszkała piękna Elżbieta z

Parmy, ze swoim mężem królem Filipem V. Kazałem naprawić drzwi i okna, dla zabezpieczenia się od napaści włóczęgów.

Uważałem nie raz, że pomieszkania które w dniach pomyślności zajmowane były przez najdostojniejsze osoby, stają się przytułkiem najuboższych w dniu upadku. Alhambra znajduje się w tém położeniu. Nie raz dla zabawy zwróciłem uwagę moją na tych biednych mieszkańców dawnéj monarszéj rezydencyi. Wspomnę o niektórych, a najprzód o staréj kobiécie zwanéj Maria Antonia Sabuka, lecz którą przezwano *królową zmarszczków*. Jest tak małą, iż mogłaby uchodzić za wróżkę i może nią jest, gdyż nie wiadomo zkąd przyszła. Mieszka w zakątku pod schodami pałacowemi i co dzień siedząc na zimnych kamieniach pod przysionkiem, rozmawia, śpiewa i zagaduje do wszystkich podróżnych: bo chociaż jest najuboższą, jest jednak najweselszą z kobit jakie kiedykolwiek widziałem. Możnaby przypuścić, że ta kobiéta ma w sobie coś nadprzyrodzonego, jeźli zastanowimy się nad jéj osobliwszém szczęściem. Chociaż bowiem jest bardzo mała, bardzo brzydka, bardzo uboga, znalazła podług swojéj rachuby, pięciu mężów i pół, licząc za połowę męża, młodego dragona, który umarł starając się o jéj rękę. Drugą osobą nie mniéj ważną, jest starzec wysokiego wzrostu, z czerwonym nosem, w wytartéj i zatłuszczonéj odzieży, w takimże kapeluszu, ozdobionym czerwoną kokardą. Jest on także prawym synem Alhambry; całe życie wypełniał w niéj rozmaite obowiązki, jako to sługi miejskiego, dzwonnika i markiera gry w kręgle. Jest uboższy od szczura, lecz bardziéj dumny niżeli ubogi i bez ustanku chlubi się że pochodzi z dostojnego domu Aguilar, do którego należał sławny Gonzalw z Korduby. Nosi toż samo nazwisko Alonza d'Aguilar, tak sławne w historyi podbicia Grenady. Jest to dziwaczne igrzysko losu, wystawiające w osobie i nazwie tego nieboraka, imie i potomka sławnego Alonza d'Aguilar, najznamienitszego ze wszystkich rycerzów Andaluzyi, żebrzącego o kawałek chleba w obrębie téj fortecy, niegdyś tak groźnéj, którą jego naddziad zdobył. Taki może byłby los potomków Agamemnona i Achillesa, gdyby osiedli byli w około zwalisk Troi. Rodzina mego przewodnika Mateo, jest bardzo liczna i mieszka w domku na pół zniszczonym. Jakim sposobem wyżyć mogą, samemu tylko Bogu wiadomo. Utrzymanie się takiego rodzaju familii hiszpańskiéj, jest dla mnie zagadką, a przecież żyją i co więcéj, zdaje się, że są szczęśliwi ze swego sposobu życia. Żona przechadza się co niedziela na placu Grenady, niosąc jedno dziecko na ręku, i otoczona pół tuzinem starszych, a najstarsza córka; już prawie dorosła, ozdabia włosy kwiatami i wesoło tańcuje. Są dwie klassy ludzi, dla których życie może bydź tylko ciągłém świętem: bardzo bogaci i bardzo ubodzy: jedni ponieważ nic nie potrzebują, drudzy, ponieważ nic nie mają do czynienia. Lecz sztuka próżnowania i utrzymania się z niczego, nie doszła nigdzie do tak wysokiego stopnia jak w Hiszpanii. Klima przez pół wpływa na tę szczęśliwą obojętność, a charakter mieszkańców dopełnia reszty. Daj Hiszpanowi cień podczas lata, słońce podczas zimy, nieco chleba, czosnku, oliwy i garbanzos, stary płaszcz ciemny i gitarę, o nic w świecie troszczyć się nie będzie. Ubóstwo nie wstydzi go; spada na niego wspaniale, jak jego płaszcz podarty. Jest to hidalgo (szlachcic) nawet w łachmanach. Synowie Alhambry są uderzającym przykładem téj praktycznéj filozofii. Nic nie posiadają, o nic nie dbają. Z tém wszystkiém, chociaż próżnują przez cały tydzień, obchodzą tak skrupulatnie niedziele i święta, jak najpracowitsi rzemieślnicy.

Przed zakończeniem tych uwag, wspomnę o jednéj zabawie, która mię szczególniéj uderzyła. Uważałem nieraz dużego chłopaka stojącego na szczycie wieży, z dwoma wędkami w ręku, jak gdyby chciał łowić gwiazdy. Przez długi czas nie mogłem domyśléć się co on robi i ciekawość moja wzmogła się, gdym postrzegł kilkanaście osób tym samym sposobem zajętych na blankach i bastyonach. Nareście zapytałem się mego przewodnika.

Czyste powietrze przyciąga do Alhambry tysiące jaskółek, które latają w koło nad wieżami, a nie dadzą złapać się na lep. Lecz zręczniejsi chłopcy chwytają je w lot na wędkę, na któréj zasadzają muchy. Jest to ulubiona zabawka synów Alhambry, którzy z próżniactwa wynaleźli sztukę łowienia w powietrzu.

(*Dokończenie nastąpi*)

WIADOMOŚCI LITERACKIE.

Xięgarnia Józefa Zawadzkiego w Wilnie, ogłosiła prospekt na Zbiór wzorowych kazań w języku polskim. Do tak użytecznego przedsięwzięcia, zachęcił wydawcę

JWJX. Biskup dyecezyi wileńskiéj. Piérwsze sześć tomów obejmować będą kazania Xiędza Białobrzeskiego i Xiędza Filipeckiego. O Białobrzeskim przytacza wydawca następujące zdanie X. Korczyńskiego, autora wielu pism duchownych, umieszczone w jego dziele: *Xiądz pleban czyli wizerunek dobrego dusz pasterza.*

»Myliłby się, ktoby szukał kaznodziei »naszych wzorowych, w dziełach wieku »XVII lub XVIII. Złoty wiek wymowy »polskiéj od 1500 do 1620 roku jaśniał. »Czystość, delikatność wyrazów, loiczny »wykład rzeczy, dźwięk i moc języka, klas»sycznemi dzieła owych czasów zawsze ce»nić będą. Wymieniam co znakomitsze.

»Marcin Białobrzeski biskup kamienie»cki a opat mogilski, wypracował dzieło dla »kaznodziejów wielce pożyteczne, które »okrzesawszy tu i owdzie z przydługich »uwag, wartoby przedrukować i rozdać mię»dzy kapłanów, bo prócz pięknych rzeczy, »celuje i rzadką Pisma świętego wiadomo»ścią.«

Dokonane to życzenie zostało, z wielką znajomością rzeczy w niniejszym czasie.

Uczony professor wileńskiéj akademii duchownéj, kanonik katedralny Xiądz Fijałkowski, wchodząc w myśl i zamiary JW. Pasterza, wygotował do druku Kazania i Homilie Xiędza Marcina Białobrzeskiego Biskupa Kamienieckiego i Opata Mogilskiego.

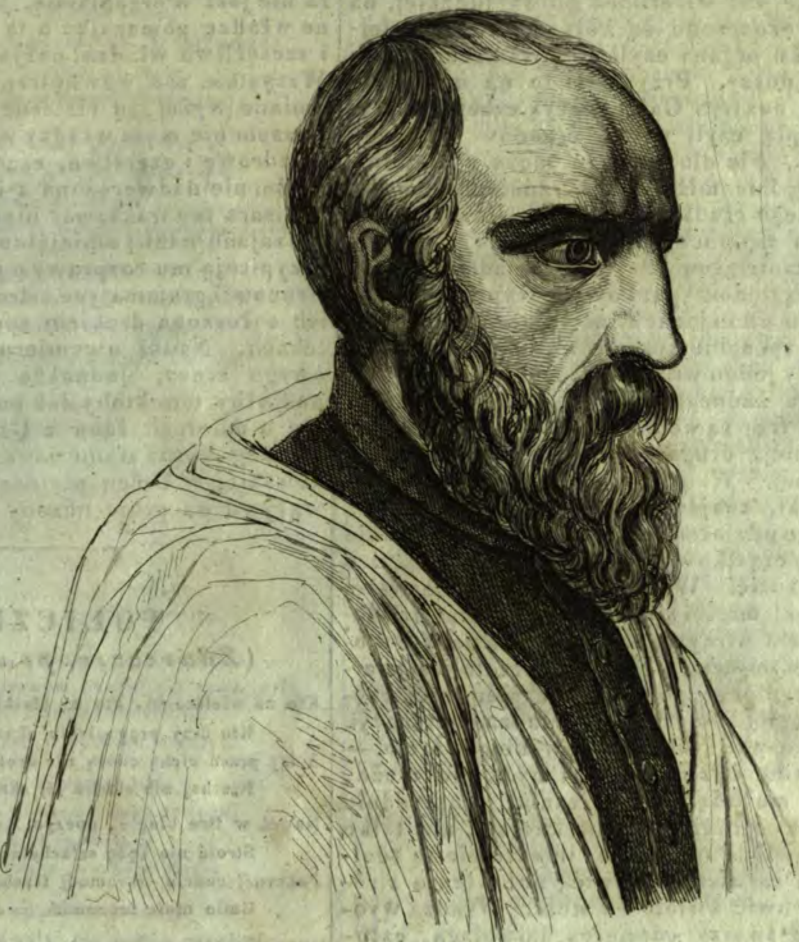
Nieodżałowanéj pamięci X. Jan Skidełł, professor téjże Akademii i kanonik katedralny, w tymże celu wybrał do druku wzorowe Kazania xiędza Andrzeja Filipeckiego 4 tomy.

Prenumerujący płaci z góry na każdy oddział rubli sr. 4 kop. 80. Prenumerujący na dwa oddziały w ośmiu tomach płaci 9 rubli srebrem.

Lista prenumeratorów na końcu dzieła wydrukowana będzie.

Lubo szereg wzorowych kazań zaczyna Białobrzeski, i ten naprzód szanownym prenumeratorom należećby się powinien; lecz, że do dzieła jego będzie przyłączone popiersie na kamieniu ryte, przeto będące już pod prassą kazania X. Andrzeja Filipeckiego naprzód wydane będą.

Zbiór wzorowych kazań, ciągle dopełniany będzie, a w miarę wygotowania go do druku, nowy prospekt o tém doniesie.



JAN z GŁOGOWY.

JAN Z GŁOGOWY,

inaczéj Głogowczykiem lub Głogowskim zwany.

W drugiéj połowie piętnastego wieku, akademia krakowska szczyciła się wielą uczonemi, w tych liczbie Jan z Głogowy był jednym z najznakomitszych. Urodził się w Szląsku, lecz wcześnie przybywszy do Krakowa, zostawał tam aż do zgonu. Niewiadomy jest rok jego urodzenia i szczegóły życia, podobnie jak większéj części naszych uczonych. Umarł w roku 1507, jak się tego domyśléć można z wzmianki przy jedném dziele jego uczynionéj. Był professorem akademii krakowskiéj i kanonikiem przy kościele Sgo Floryana. Głośne u postronnych imię jego, ściągnęło do Krakowa wielu słuchaczów. Umiejętność i charakter Jana z Głogowy, poważał wysoko król Kazimierz i poruczył mu dokończenie edukacyi Jana Gastolda księcia litewskiego, którą początkowo trudnił się do roku 1490 Bernard z Nissy także akademik krakowski. Filozofia Arystotelesowa i matematyka, były główným przedmiotem licznych prac jego, które znajdują się wymienione w literaturze Bentkowskiego. Jedném z najważniejszych

są *Kwestye o duszy, zadane przez magistra Jana Versora, a rozwiązane przez Jana z głogowy. Arkuszy* 60 *in* 4.— Na 8 karcie arkusza *x* jest wizerunek głowy ludzkiéj, na któréj oznaczone są kółkami różne miejsca, jako organa czyli siedliska rozmaitych władz duszy. Przywodzi to na myśl sławnego doktora Galla teoryą czaszek, Kranioskopią czyli nauką organów od niego zwaną. Nie dla jednego może z czytelników będzie miłą rzeczą, znaleźć tu wyjątek z tego rzadkiego dzieła. Rozdział ten w tych się poczyna wyrazach:

Opisanie głowy fizyczne, ze zdań lekarzy pod względem naukowym wyprowadzone. Ustęp o znamionach instynktu zwierząt, w jakim sposobie zmysły wewnętrzne różnią się, gdy jeden wrażenia doznaje, drugi nie odbiera żadnego. Uważać należy, że w mózgu trzy są komórki. Piérwsza w części przedniéj, druga w środkowéj, trzecia w ostatniéj. W przedniéj części piérwszéj komórki, znajduje się pojęcie pospolite, którego udziałem jest obejmować wszystkie formy cząstkowém pojęciem nabyte, i o nich sadzić. W ostatniéj części piérwszéj komórki mieści się fantazya, któréj działaniem jest utrzymywać wrażenia nabyte w ogólném pojęciu. Fantazya przeto jest skarbem ogólnego pojęcia. W piérwszéj części drugiéj komórki, jest władza imaginacyi, która ciągle jest czynna w biegu życia.— Człowiek bez imaginacyi bydź nie może, która ma udział stwarzania. Poprzednie bowiem władze nic nie tworzą, ale tylko pojmują. Poprzednie władze nie są zdolne ani całości wystawić, ani wieńca z różnych uwić kwiatów i woni. Władza wyobraźni tworzy chimerę, dziwoląga, człowieka latającego, górę szmaragdową. Ztąd ta władza ma dwa imiona. Jeśli bowiem ulega rozumowi i właściwie zgadza się z rzeczywistością, natenczas nazywa się władzą myślenia, jeżeli zaś nie zgadza się z rzeczywistością i ulega władzy ocenienia, zowie się właściwie władzą urojeń; ponieważ wtenczas wystawia rzeczy fałszywe i prawie takie, które bydź nie mogą. Naostatek w środkowéj komórce mieści się władza oceniająca, któréj działaniem jest sądzić o formach zmysłami nienabytych, jak o przyjaźni i nieprzyjaźni. Za jéj pomocą jagnię sądzi za nieprzyjaciela tego, którego nie widziało piérwéj, a pasterza za przyjaciela. Przeto zwierzęta rządzą się władzą instynktu, ludzie władzą rozumu. — Ludzie przeto którzy się rządzą władzą instynktu, w działaniach swoich grzeszą, i tacy są zwierzęcemi: rządzący się zaś rozumem do rzędu zwierzęcych nie należą. — W ostatniéj komórce jest pamięć, któréj działaniem jest utrzymywać w ogóle wrażenia wszystkich rzeczy i nabytych zapasów. Po tém dodaje: W człowieku zaś, oprócz tych jest pewna władza niematerya lna, która nie jest w organizmie, któréj wspomnione władze pomagają: a ta Boska wzniosła i szczęśliwa władza, nazywa się rozumem. Wszystkie zaś wewnętrzne władze wspomniane wyżéj, są cielesne i w organizmie. Czasem nie masz władzy wyobraźni, a inne są zdrowe i czerstwe, czasem władza wyobraźni nie nadwerężona a inne osłabione."

Pisarz ten traktował niemal o wszystkich rodzajach nauk i umiejętności. Biografowie przypisują mu rozprawy o poezyi, fizyce, astronomii, grammatyce, astrologii i t. d. Część ich ogłoszona drukiem, spoczywa w bibliotekach. Nauki niezmiernie postąpiły od owego czasu, jednakże użyteczną pracę podjąłby ten, ktoby dał porządne wybrażenie o dziełach Jana z Głogowy: byłby to zarazem obraz stanu nauk w akademii krakowskiéj w końcu piętnastego wieku, i jéj wpływu na świat uczony w Europie.

POLICZEK.

(*Zdarzenie prawdziwe.*)

Kto za wielkością, kto za blaskiem goni,
Kto drży przy pieniu okazałéj treści,
A łzy przed cichą cnotą nie uroni;
Niechaj nie słucha téj skromnéj powieści.

Nawet w twe błogie, poezyo, kwiaty,
Stroić nie będę szlachetnego czynu;
Pokornéj cnocie skromnéj trzeba szaty,
Gmin mnie zrozumié, ja śpiewam dla gminu.

Wiek blizko temu, jak wszedł do Warszawy
Sługa Chrystusa z nadsekwańskiéj ziemi:
Zwał się Boduin: a był człowiek prawy,
Co umiał uczuć litość nad bliźniemi.

I widział w państwa możnego stolicy,
Z bólem dla serca, hańbą dla ludzkości,
Widział, o! zgrozo, jak się na ulicy
Psy ujadały o dziecięcia kości.

Gdy otarł oczy napełnione łzami,
Wzniósł je w niebiosa i wyrzekł w pokorze:
Ty! co opiekę masz nad sierotami,
Myśl moję czystą pobłogosław Boże!

Od tej godziny, starca i kalekę,
Dziecię rzucone na łup poniewierce,
Choć skarbów nie miał, w silną wziął opiekę;
Bo umiał wmówić litość w każde serce.

Razu jednego, gdy swoim sierotom,
Wyszedł za wsparciem ów człowiek ubogi,
Anioł, co jego przewodniczył cnotom,
Zawiódł go w domu wspaniałego progi.

Był to dom graczy. O ty! co w podziele,
Oddajesz nędzy grosz wdowi wesoło,
I chléb z nią łamiesz pieczony w popiele,
Słuchaj i z dumą wznieś ku niebu czoło.

W bogatéj sali, przy zielonym stole,
Dwunastu graczów zasiadło w milczeniu;
Trzynasty z piętnem Judasza na czole,
A wszyscy jego posłuszni skinieniu.

Gdyby to złoto co błyszczy przed niemi,
Rozdał ludzkości ginącéj w potrzebie;
Ileżby jęków, łez, oszczędził ziemi!...
Litości! gdzież to śmiałem wspomnieć ciebie.

Na téj zapadłéj, trupio-bladéj twarzy,
W oku, co mało z głowy nie wyleci,
Litośćże ogniem tak dzikim się żarzył...
Wszak Bóg dał temu człowiekowi dzieci.

Patrzcie, to młode szlachetne oblicze,
Już rozpacz krzywi uśmiechem Kaina,
Jeszcze dwa kroki fortuny zwodnicze,
A matko! matko! płakać będziesz syna.

Pobożny kapłan ku temu się zbliżył,
Który najhojniéj miotał kruszec złoty;
Głos do pokornéj, cichéj prośby zniżył,
I żądał wsparcia w imieniu sieroty.

W téj właśnie chwili, odwiecznym wyrokiem,
Co ludzkim sprawom pewien cel zamierzył,
Gracz przegrał kartę; z zapaloném okiem
Skoczył, kapłana w policzek uderzył.

Rozszedł się odgłos po obszernéj sali,
A potém cisza, potém zimna trwoga;
Gracze zadrżeli, pobledli, powstali,
Jakby ujrzeli twarz groźnego Boga.

On stał spokojny, cichy, niewzruszony,
Tylko blask chwały, łza w oku zaświeci;
Tylko natrętniéj potrząsnął skarbony,
I rzekł „to dla mnie, panie! cóż dla dzieci.“

Cnota tak wzniosła, godny tryumf bierze,
Bo litość serca rozbraja nieczułe;
A złoto czartu niesione w ofierze,
Idzie w ubóstwa i nędzy szkatułę.

O! jeślim kogo tak prostemi słowy
Wzruszyć nie zdołał, niech pójdzie, przebieży
Przytułku sierot rozległe budowy,
A uczci męża i w cnotę uwierzy.

CHOCHUŁ
CZYLI SZCZUR PIŻMOWY
(*Mygale moschatus.*)

Jest to małe zwierzątko; kształt jego i tryb życia zasługuje na uwagę; znajduje się w południowéj Rossyi, wzdłuż stawów, rzek i jezior i jest tam bardzo pospolitém zwierzęciem. Na Ukrainie zowią go Chochuł i to gminne nazwisko zachował mu Jarocki w Zoologii. Naturaliści mieszczą go w klassie czworonogów owadożernych między ślepuszonką i pletwokretem. Jakoż różni się od ślepuszonki dwoma tylko małemi zębami umieszczonemi w dolnéj szczęce, między dwoma wielkiemi zębami, i tem, że dwa zęby przednie u góry są trójgraniaste i spłaszczone. Wielkością przechodzi jéża, sierć ma szarawo-popielatą, albo ciemną na grzbiecie, a srebrno-białą pod brzuchem. Nie ma zewnętrznego ucha, oko zaś niezmiernie małe. Paszcza przedłuża się w małą bardzo giętką trąbkę, którą bezustanku porusza. U nóg ma po pięć palców połączonych błoną i otoczonych pewnym gatunkiem frandzli z szorstkich włosów, co mu dopomaga do pływania. Ogon jest o czwartą część krótszy od ciała, spłaszczony, szeroki, podobny do ogona węgorza i całkiem łuską pokryty.

Zwierzątko to ma przy ogonie siedm lub ośm woreczków, zrobionych z zagięć skóry i leżących jeden przy drugim, koloru żółtego. Za naciśnieniem wydobywa się z nich ciecz gęsta i wychodzi pomiędzy łuskami ogona. Ciecz ta jest tłusta, podobna do téj jaką mają kaczki i inne ptaki, i służy do tego samego użytku. Zwierzę smaruje nią sobie ciało, ażeby woda nie przesiąkła przez jego futro; lecz ta materya ma woń piżmową tak mocną i przenikającą, iż przejmuje wszystko czego się dotknie. A ponieważ chochuły są ulubioną pastwą dla szczupaków dużych, ztąd ryby te w wodach, w których się chochuły znajdują, miewają mięso do tego stopnia wonią piżma przejęte, że ich prawie jeść niepodobna. Chochuły pływają i nurzają się bardzo szybko i zwinnie; lecz uganiając się za rybkami drobnemi, włażą często do zastawionych więcierzy, z których nie mogąc się wydobydź, giną bez oddychania. Z téj przyczyny rybacy ukraińscy znajdują je pospolicie już nieżywe w więcierzach swoich. Pospólstwo tamtejsze używa ich futra za przyozdobienie kożuchów; krają albowiem skórki chochułowe w wązkie listwy i obszywają niemi szwy i brzegi kożuchów swoich. Wyższe zaś damy, przekładają skórkami chochułów kosztowne futra, w celu odstraszenia od nich mółów; gdyż wspomniane skórki zachowują prawie na zawsze zapach piżma.

Rzadko zdarza się, ażeby to zwierzę długo bawiło się na lądzie. Dla przywołania samicy lub dzieci, wydaje krzyk podobny do krzyku kaczki, i wtedy, jak powiada Pa



CHOCHUŁ.

llas, musi tak zgiąć nos, iż koniec jego kładzie w pyszczek i używa go jak trąby. Żyje zawsze w parze z samicą i dość zręcznie buduje sobie norę. W tym celu wybiera brzeg prawie prostopadły i tak wysoki, żeby go woda nie zalała. Znalazłszy stosowne miejsce, daje nurka i zaczyna grzebać pod wodą tak głęboko, iżby nie można było odkryć wnijścia do jego nory, nawet przy największém opadnięciu wody. Jama jego tak jest prawie szeroka jak królika i wznosi się ukośnie; dwie tylko lub trzy stopy są zalane; gdy już dojdzie równo z powiérzchnią wody, jama dzieli się na dwie odnogi w kształcie litery *Y*, nie obok siebie lecz zwykle jeden pod drugim. Wyższa odnoga ciągnie się niekiedy pod samą powiérzchnią ziemi, lecz nigdy nie ma wyjścia na otwarte powietrze. Chochuł napotykając korzonki traw, zbiera je troskliwie i przenosi do niższéj gałęzi jamy, i z nich ściele gniazdo dla samicy. To gniazdo znajduje się w głębi nory, w małéj okrągławéj izdebce, mającéj przynajmniéj stopę szerokości a długości ośmnaście cali. Na wiosnę samica lęże cztery albo pięć małych jaj, bardzo jest do nich przywiązana i troskliwie je karmi; wyprowadza je na wodę wówczas dopiéro, gdy już są mocne.

Chochuły żywią się poczwarkami, robakami, a mianowicie pijawkami, na które bezustannie polują. Cienki nos zapuszczając w muł, bardzo zręcznie chwytają swoją zdobycz i, co jest im tylko samym właściwe, pożerają ją pod wodą, czego nie czyni wydra, ani żadne z wodnych czworonogów.

ALHAMBRA
JÉJ OPIS, PODANIA I POWIEŚCI.
przez Wasyngtona Irwinga.

(Dokończenie).

VI. PODANIA I POWIEŚCI.

Na szczycie wzgórza Albacya, najwyższéj dzielnicy Grenady, są szczątki królewskiego zamku, założonego wkrótce po zdobyciu Hiszpanii przez Arabów. Zamek ten przerobiono teraz na rękodzielnią i ledwie mogłem dopytać się o niego. Nazywa się *Casa del Gallo de viento*, a to od figury bronzowéj, która umieszczona na wieży zamkowéj, kręciła się na wszystkie strony za wiatrem i wystawiała wojownika na koniu, uzbrojonego włocznią i puklerzem. Pod nią były dwa wiersze arabskie, które tak przetłumaczono po hiszpańsku:

Dice el sabio Aben Habuz
Que asi se defiende el Andaluz.

Tak to, powiada mądry Aben Habuz,
Powinien bronić się Andaluzyjczyk.

Ten Aben Habuz, podług kronik arabskich, był jednym z kapitanów Tarika i został alkadem Grenady.— Zdaje się że zrobić kazał tę wojenną figurę, dla przypominania muzułmanom, iż mieszkając w zdobytym kraju, zewsząd otoczeni nieprzyjaciołmi, muszą bydź zawsze w pogotowiu do boju. Podanie gminne utrzymuje, że ten rycerz bronzowy był niegdyś talizmanem mającym wielką siłę tajemną, lecz z przeciągiem czasu postradał ją zupełnie i stał się prostą figurką kręcącą się za powiewem wiatru. Podanie to jest następujące:

Był przed wiekami król maurytański zwany Aben Habuz i panował nad królestwem Grenady. Przez długie lata toczył ciągłe wojny, lecz zestarzawszy się, zapragnął żyć w zgodzie ze wszystkiemi i spokojnie używać owoców zwycięztwa.

Zdarzyło się jednak, iż ten monarcha rozsądny i spokojny, musiał walczyć z młodemi współzawodnikami, chciwemi chwały i panowania. Naprózno wybudować kazał obserwacyjne wieże na górach i wojskiem obsadził przejścia. Miał do czynienia z zręczniejszym i szybszym nieprzyjacielem, który mimo wszelkich jego ostrożności, zawsze zdołał wpaśdź w jego dziedziny i uprowadzić łupy i niewolników. Gdy takiemi dręczył się troskami, przybył na dwór jego stary lekarz arabski. Długa broda spadała mu aż do pasa, powierzchowność jego okazywała że jest niezmiernie starym, a jednakże odbył piechotą podróż z Egiptu, podpierając się kijem, na którym wyryte były hieroglificzne charaktery. Poprzedziła go sława. Nazywał się Ibrahim Eben Abu Ażyb, mówiono że urodził się za czasów Mahometa, i że jego ojciec Abu Ażyb był ostatnim towarzyszem tego proroka. W młodości, Eben Abu Ażyb, o którym mówimy, poszedł był do Egiptu z zwycięzkiém wojskiem Kalify Amru, i przez długie lata osiadł w tym kraju zajęty uczeniem się tajemniczych nauk, a zwłaszcza czarnoksięzkich, od kapłanów egipskich.

Powiadano także iż wynalazł sztukę przedłużenia życia, za pomocą któréj, już dożył lat dwóchset. Na nieszczęście już był bardzo starym gdy zrobił to odkrycie; pozostał zatém przy zmarszczkach i siwiźnie. Król przyjął go z wielkiém uczczeniem, chciał mu dać pomieszkanie w zamku, lecz astrolog wolał zamieszkać w jaskini, na wzgórzu panującym nad Grenadą, tam właśnie, gdzie potém zbudowano Alhambrę. Kazał rozprzestrzenić tę jaskinię i zrobił z niéj obszerną salę. Przez otwór okrągły wykuty w górze, widać było, jak z głębi studni, gwiazdy chociażby w porze południowéj. Ściany pokryte były hieroglifami egipskiemi, postaciami konstellacyi i gwiazd. Narzędzia zrobione podług rozporządzenia mędrca, przez najbieglejszych sztukmistrzów Grenady, zapełniały salę, lecz ich użytku i przymiotów nikt nie znał prócz samego Ibrahima.

Wkrótce potém, stał się poufałym doradzcą króla, który nic nie czynił bez zasiągnięcia jego rady. Aben Habuz często użalał się na nieustanne napaści sąsiadów; astrolog wysłuchawszy go, odpowiedział w te słowa: „Dowiedz się królu, że widziałem w Egipcie wielką osobliwość, dzieło dawnéj pogańskiéj księżniczki. Na górze panującéj nad płaszczyzną Nilu, stała figura barana, na któréj był kogut, i jedna i druga były z miedzi i kręciły się na wrzeciądzu. Ilekroć nieprzyjaciel zagrażał krajowi, baran obracał się w tę stronę którędy ciągnął nieprzyjaciel, a kogut śpiewał: co ostrzegało mieszkańców i wskazywało w którą stronę mają zwrócić siły swoje.“

„Bóg jest wielkim! zawołał spokojny Aben Abuz. Jakimże skarbem byłby dla mnie taki baran i kogut!“ Astrolog mówił daléj.

„Gdy już zwycięzki Amru dokonał podbicia Egiptu, dowiedziałem się od starego kapłana, iż w środkowéj piramidzie znajduje się mumia arcykapłana, który dopomógł do wystawienia tej olbrzymiéj budowy, a z nią razem pochowano cudowną książkę, obejmującą wszystkie tajemnice czarodziejskiéj sztuki.» Książkę tę posiadał mądry

król Salomon i była mu bardzo pomocna do budowy kościoła w Jeruzalem. Jakim sposobem przeszła do budowniczego piramid, ten tylko to wie, dla którego nic nie jest tajném.

„Usłyszawszy te wyrazy egipskiego kapłana, zapragnąłem posiąśdź tę książkę. Mogłem zarządzać częścią zwycięzkiego wojska, do niéj przyłączyłem znaczną liczbą Egipcyan i użyłem ich pracy do przebicia ścian piramidy. Po długiém usiłowaniu, odkryłem tajemne przejście prowadzące wewnątrz gmachu, a wczołgawszy się w ciemny i straszliwy labirynt, doszedłem do środkowéj izby grobowéj, gdzie od wieków spoczywała mumia arcykapłana. Odwinąłem płótna które ją ściskały i nareście znalazłem szacowną księgę. Porwałem ją drżącą ręką i wyszedłem z piramidy.

—»Syn Abu-Ażyba, zawołał Aben-Habuz, jesteś wielkim wędrownikiem i widziałeś cudowne rzeczy, lecz cóż mię obchodzi tajemnica piramidy i księga Salomona?

—„Powiem to natychmiast. Ciągłém czytaniem téj książki nauczyłem się wszystkich tajemnic czarnoksięztwa i mogę rozkazać genjuszom ażeby mi dopomogli do wykonania moich zamiarów. Jeźli zechcesz, zrobię taki sam a nawet mocniejszy talizman jaki był w Egipcie.

—»O mądry synu Abu-Ażyba! rzekł Aben Habuz przejęty radością, taki talizman jest więcéj wart niżeli moje straże na granicy i wieże na górach. Zrób, a będziesz rozrządzał wszystkiemi skarbami mojemi.

Astrolog natychmiast zajął się pracą, kazał wybudować wysoką wieżę naprzeciw wzgórza Albaycia i mówią że kamienie do jéj budowy wzięto z piramid Egiptu. Okrągła sala z oknami wychodzącemi na wszystkie strony widokręgu, zajmowała wyższą część wieży. Przed każdém oknem był stół, na którym ustawiono jak szachy małe wojsko, jazdę i piechotę z królem na czele, wyrobione z drzewa. Przy każdym stole była także włocznia wielkości dużéj iglicy, na któréj wyryte były jakieś litery chaldejskie. Sala zamykała się na drzwi miedziane z stalowym zamkiem, od którego klucz miał sam monarcha. Na szczycie wieży była figura bronzowa wystawiająca maurytańskiego jezdca, w jednéj ręce trzymał on tarczę a w drugiéj podniesioną włocznię; twarz miał zwróconą ku miastu jak gdyby dla czuwania nad niém; lecz jeźli zbliżał się nieprzyjaciel, wówczas obracał się ku niemu i trzymał włocznię gotową do boju.

Skoro tylko ukończony był ten talizman, Aben Habuz pragnąc doświadczyć jego mocy, tak niecierpliwie wyglądał napaści jak jéj się wprzódy obawiał. Wkrótce stało się zadosyć jego życzeniu. Pewnego poranku, straż stojąca na wieży ostrzegła króla, iż twarz bronzowego jezdca zwrócona była ku Elwira, a włocznia wymierzona prosto ku wąwozowi Lope.

—»Niech trąby i bębny uderzą na gwałt w Grenadzie: rzekł król: niech każdy bierze się do broni.

—»Królu, odpowiedział astrolog, nie przerywaj spokojności twojéj stolicy; nie potrzebujesz siły dla odparcia twoich nieprzyjaciół. Oddal twój orszak i wnijdźmy sami do tajemnéj sali na wieży.

Stary Aben Habuz wszedł po schodach, opierając się na ramieniu mędrca i otworzyli miedziane drzwi rotundy. Okno wychodzące na wąwóz Lope, było otwarte.— »Z téj strony, rzekł astrolog, zagraża niebezpieczeństwo, zbliż się królu i spojrzyj na stolik.

Król spojrzał na szachownicę, na któréj stały małe drewniane figurki, i z wielkiém podziwieniem postrzegł że wszystkie są w ruchu. Konie biły kopytem, wojownicy wstrząsali bronią, słychać było drobny dźwięk trąb i bębnów, szczęki oręży, rżenie koni, lecz to wszystko nie robiło większego hałasu jak brzęczenie pszczoły.

—„Widzisz o wielki królu,rzekł astrolog, że twoi nieprzyjaciele już są w polu. Chceszli zmieszać ich szeregi nagłym przestrachem i bez wylania krwi zmusić ich do ucieczki? uderz te figurki nieokutym końcem czarodziejskiéj włoczni; lecz jeźli pragniesz rzezi, uderz ostrzem

Zasiniała twarz Aben Abuza, porwał włocznię drżąc ze wzruszenia i rzekł: „Synu Abu Ażyba, przelejemy nieco krwi.

To mówiąc, uderzył ostrzem włoczni kilka tych czarodziejskich figurek, a innych zaś dotknął się drzewcem. Natychmiast piérwsi wojownicy padli nieżywi na szachownicę, a reszta zaczęła walczyć jedni z drugimi. Z niemałym trudem astrolog odwiódł go od wyniszczenia wszystkich co do szczętu i skłonił go iż zszedł z wieży i wysłał na zwiady do wąwozu Lope.

Posłańcy wrócili z doniesieniem, że wojsko Chrześcian podstąpiło prawie aż do bram Grenady, że nagle wszczęła się kłótnia między niemi i po krwawéj walce wrócili do swego kraju. Aben Habuz nie posiadał się z radości. »Nareście, rzekł, będę mógł żyć spokojnie; los moich nieprzyjaciół jest w moich ręku. Mądry synu Ażyba, czémże ci wynadgrodzę tak wielkie dobrodziejstwo?

—»Umiarkowane są potrzeby starca i filozofa; proszę cię królu, abym mógł uczynić

jaskinię moją przyzwoitem pomieszkaniem, a na tém przestanę.

—»Oto jest skromność prawdziwego mędrca! zawołał Abuz, uradowany tak pomiernem żądaniem. Kazał zawołać podskarbiego i polecił mu, ażeby dostarczył Ibrahimowi tyle pieniędzy ile tenże potrzebować będzie.

Astrolog kazał wykopać w skale kilkanaście izb, które utworzyły apartament przyległy jego czarodziejskiej sali, potém ozdobił go przepysznemi sofami i kobiercami. »Jestem stary, rzekł, nie mogę sypiać na twardém posłaniu, a te wilgotne ściany potrzebują pokrycia. Miał także kąpiele złożone z wszelkiego rodzaju woni i aromatów, gdyż kąpiele potrzebne są dla orzeźwienia ciała wycieńczonego naukami. Zawiesić kazał w apartamencie niezmierne mnóstwo lamp srebrnych i kryształowych, w których paliła się wonna oliwa, a której przepis znalazł w grobach egipskich. Ta oliwa paliła się bez wyczerpywania i rozlewała miłe światło. »Światło słońca, mówił, jest za mocne dla oczu starca; światło lampy najwłaściwsze jest dla filozofa.«

Jednakże podskarbi Aben Habuza niechętnie wypłacał kwoty, których od niego bez ustannie żądał astrolog i nareście poskarżył się przed królem.

—»Dałem słowo królewskie, odpowiedział Aben Habuz, trzeba mieć cierpliwość. Ten starzec może chce naśladować w swojém filozoficznem ukryciu, to co widział wewnątrz piramid i w obszernych gmachach Egiptu; lecz każda rzecz skończyć się musi, a przeto i urządzenie jaskini.

Król nie mylił się; nareście skończono pustelnię astrologa; był to podziemny pałac niesłychanej wspaniałości. Teraz kontent jestem, rzekł Ibrahim Abu Ażyb do podskarbiego. Zamknę się w mojéj celi i wszystek czas poświęcę nauce. Niczego już nie pragnę prócz jednéj fraszki, małéj rozrywki w moich głębokich badaniach.

—»Mądry Ibrahimie, żądaj czego zechcesz. Wszystkiego powinienem ci dostarczyć, czego ci będzie potrzeba w twojém ustroniu.

—»A więc, rzekł filozof, chciałbym mieć kilka tancerek.

—»Tancerek? powtórzył zdziwiony podskarbi.

—»Tak jest, tancerek, poważnie odpowiedział mędrzec. Mała liczba wystarczy, gdyż jestem starcem i filozofem. Niech jednak będą młode i piękne, gdyż widok młodości i wdzięków, orzeźwia starość.

Gdy filozof tak mądrze czas trawił, Aben Habuz odbywał świetne kampanie na szczycie wieży i bawiąc się swoim talizmanem, wypędzał najsilniejsze wojska jak roje much. Przestraszeni sąsiedzi już go nie śmieli napastować; i przez kilkanaście miesięcy posąg bronzowy stał spokojnie, a stary król zaczął się nudzić, że nie ma zwyczajnéj rozrywki.

Nareście jeździec bronzowy obrócił się nagle i wskazał włocznią ku górom Kadyxu. Aben Habuz pośpieszył na wieżę, lecz zdziwił się nie postrzegłszy żadnego ruchu na stoliku; wszystkie figurki stały spokojnie. Wysłał oddział jazdy w góry, dla rozpoznania nieprzyjaciela. Żołnierze powrócili za trzy dni i rzekli do swego pana:

—»Przebiegliśmy wszystkie wąwozy i nie spotkaliśmy żadnego śladu nieprzyjaciół; znaleźliśmy tylko młodą dziewczynę nadzwyczajnéj piękności; spała przy zdroju i tę przyprowadzamy.

Na tę wiadomość ucieszył się Aben Habuz: mimo bowiem późnego wieku jeszcze był wielbicielem kobiét. Kazał tę dziewczynę przyprowadzić przed siebie. Ubrana była w strój Gotów Hiszpanii; perły niezmiernéj białości, wplecione były w jéj krucze włosy; dyamenty jaśniały na jéj czole, a na łańcuchu złotym zawieszonym na szyi, nosiła lirę srebrną.

—»O najpiękniejsza z kobiét! zawołał Aben Habuz, któż jesteś? jakież jest twoje nazwisko?

—»Jestem córką jednego z gockich książąt, któremu ten kraj niegdyś podlegał.— Wojska mego ojca były zniszczone w tych górach jak gdyby czarodziejstwem; wypędzono go z państwa, a jego córka jest teraz niewolnicą.

—»Strzeż się królu, rzekł po cichu Ibrahim. Ta piękna dziewczyna może bydź jedną z tych czarnoksiężnic Północy, które przybierają najpiękniejsze postaci dla usidlenia nieroztropnych. Poznaję to z jéj spojrzenia i poruszeń. Jest to zapewne ów nieprzyjaciel o którym ostrzegał talizman.

Król nie uwierzył téj przestrodze i coraz mocniéj zajął się branką.

—»Panie, rzekł astrolog, posłuchaj mię. Zjednałem ci wielką liczbę zwycięztw a nie należałem do podziału zdobyczy. Daj mi tę niewolnicę, niech umila moją samotność dźwiękiem swojéj liry. Jeźli w rzeczy samej jest czarodziejką, potrafię zniszczyć jéj siłę.

—»Jeszcze chcesz kobiéty? rzekł rozgniewany Aben Habuz. Czyliż nie masz dosyć tancerek?

—»Tak jest, mam tancerki lecz nie mam śpiewaczki. Potrzebowałbym muzyki dla orzeźwienia mego umysłu strudzonego naukami.

—»Dosyć już tych żądań! zawołał król. Tę dziewicę przeznaczam do mego haremu.«

***

Próżne były nalegania astrologa. Zamknął się w jaskini i tam ukrył swoją urazę i zniewagę.

Branka posiadła zupełną władzę nad umysłem Aben Habuza. Podniecała go do nadzwyczajnych zbytków, wycieńczała skarby jego, odstręczała od niego serca poddanych. Mimo tych wszystkich ofiar, nie uczynił żadnego wrażenia na jéj sercu. Skoro tylko zaczął mówić o miłości, trącała struny liry. Jéj dźwięk wprowadzał go w głębokie uśpienie; budził się potém czerstwy, żwawy i na chwilę wolny od swojéj namiętności.

Astrolog powtórnie doradzał mu aby oddalił od siebie tę piękną niewolnicę, Aben Habuz nie przystał na to. —»Ulituj się nademną, rzekł do mędrca, i wynajdź jaki sposób dla ukojenia moich cierpień. Nie żądam wielkości i potęgi, lecz tylko spoczynku. Czyliżbym nie znalazł jakiego schronienia, gdzie zdala od świata przepędziłbym resztę życia na łonie miłości?

Astrolog spojrzał na niego, marszcząc gęste brwi. —»J cóżbyś mi dał, rzekł nareście, gdybym ci zbudował takie ustronie?

—»Sam wskazałbyś nagrodę, a jeźli mógłbym ci ją udzielić, zaklinam się na duszę, iżbym ci nie odmówił.

—»Słyszałeś, mówił daléj mędrzec, o czarnoksięzkim pałacu i ogrodzie Hirama w szczęśliwéj Arabii? Książka Salomona nauczyła mię jakim go sposobem zbudowano. Mogę więc panie wystawić ci na górze panującéj nad miastem, podobny pałac i ogród. Żądam tylko, abyś mi w nagrodę dał piérwsze zwierzę z ładunkiem jego, które przejdzie przez bramę tego pałacu.

Aben Habuz przystał na ten skromny warunek. Astrolog zajął się pracą. Wystawił na szczycie wzgórza, wprost nad swoją pustelniczą jaskinią, wielką bramę przechodzącą przez środek mocnéj wieży. Na węgielnym kamieniu zewnętrznego łuku, wyżłobił olbrzymią rękę, a na odpowiednim wewnątrz, wielki klucz. Były to potężne talizmany, nad któremi wymówił wyrazy w nieznanym języku.

Gdy już brama była skończona, zamknął się przez dwa dni w swojéj czarnoksięzkiéj izbie, trzeciego wstąpił na wzgórze i przebywał tam aż do wieczora. Późno w noc przyszedł do Aben Habuza. —»Skończyłem moją pracę, rzekł: wybudowałem na szczycie wzgórza najrozkoszniejszy pałac, jaki kiedykolwiek mógł bydź dziełem geniuszu człowieka. Połącza to wszystko co może przyłożyć się do szczęścia, wspaniałe salony, cierniste ogrody, chłodne wodotryski, wonne kąpiele; jednem słowem, wzgórze zamieniło się w raj ziemski. Podobnie jak pałac Hirama, jest on niewidzialnym dla wszystkich, prócz tych tylko którzy posiadają tajemnicę jego talizmanu.

Nazajutrz Aben Habuz z szczupłym orszakiem wjechał na wzgórze, towarzyszyła mu księżniczka Gocka. Assrolog szedł przy nim podpierając się kijem. Monarcha napróżno spoglądał, nie widział ani pałacu ani ogrodów. —»Na tém właśnie polega bezpieczeństwo tego miejsca, rzekł astrolog, nie można nic widzieć, nie przeszedłszy zaczarowanéj bramy.« Gdy już doszli do téj bramy, wskazał rękę i klucz wyryte na łukach sklepienia: »One to, rzekł, strzegą wnijścia do tego pałacu, i żadna siła ludzka, żadna potęga czarodziejska nie zdoła zwyciężyć władzcy tego wzgórza.

Gdy Aben Habuz z podziwieniem przypatrywał się tym talizmanom, koń księżniczki wjechał w środek wieży.

—»Oto jest! zawołał astrolog, nagroda moja; przyrzekłeś mi panie, piérwsze zwierzę które wnijdzie w tą bramę, wraz z jego ładunkiem.

Aben Habuz uśmiechnął się, sądząc iż starzec żartuje; lecz przekonawszy się że mówi na prawdę, oburzył się mocno.

—»Synu Abu-Ażyba, rzekł, co znaczą te dwójznaczne słowa? Wiesz com ci przyrzekł; weź najsilniejszego muła z moich stajen, obciąż go najkosztowniejszemi skarbami a będą należeć do ciebie, lecz nie wznoś twoich myśli aż do téj która stanowi szczęście mego życia.

—»Cóż mi po złocie i bogactwach? odpowiedział astrolog. Wszakże posiadam książkę Salomona? mogę rozrządzać wszystkiemi skarbami świata. Księżniczka do mnie należy; dałeś słowo, dopominam się o nią jako o moją własność.

Księżniczka uśmiechnęła się widząc ich kłótnią. Nareście gdy Aben Habuz chciał użyć swojéj władzy, astrolog schwycił za cugle konia księżniczki, uderzył w ziemię laską swoją i zapadł się w głąb pieczary z nią razem. Ziemia zamknęła się nad niemi i nie pozostał żaden ślad ich przejścia.

Aben Habuz oniemiał z podziwienia; nareście przyszedłszy do siebie, rozkazał tysiącu robotnikom kopać ziemię w tém miejscu gdzie astrolog zniknął. Daremne były ich usiłowania, łamały się ich narzędzia o skałę, albo też ziemia zasypywała wykopane doły. Szukano u spodu góry wnijścia do podziemnego pałacu czarownika, lecz go nie znaleziono: tam gdzie był niegdyś otwór pieczary, ujrzano gładką skałę.

Ze zniknieniem Abu-Ażyba ustała moc jego talizmanów. Rycerz z bronzu stał spokojnie z twarzą obróconą ku wzgórzowi i z włócznią wymierzoną ku miejscu gdzie

się zapadł astrolog, jak gdyby dla wskazania, że tam się ukrywa najzaciętszy nieprzyjaciel Aben Habuza.

Czasami słychać było dźwięki narzędzi muzycznych i śpiew kobiéty wychodzący jakby z pod ziemi. Wieśniak pewien, doniósł królowi, że poprzedniéj nocy postrzegł przez rozpadlinę, podziemną salę, w któréj drzymał astrolog siedząc na wspaniałéj sofie, przy dźwięku liry księżniczki, która wywierała czarodziejską władzę na jego zmysły.

Aben Habuz szukał téj rozpadliny, lecz nie mógł jéj znaleźć. Żadna potęga ludzka nie zwalczyła tych czarów. Na domiar jego nieszczęścia, sąsiedzi postrzegłszy że już go nie broni czarodziejski talizman, ponowili napady i reszta jego panowania była ciągłém pasmem wojen i zamieszek.

Nareście umarł Aben Habuz i został pochowany. Upłynęły wieki. Zbudowano Alhambrę na téj dziwacznéj górze i ziszczono w pewnym względzie bajeczne rozkosze ogrodu Hirama. Czarodziejska brama, z kluczem i ręką, jest jakeśmy o tém wspomnieli, głównem wnijściem do tego gmachu. Utrzymują że stary astrolog znajduje się jeszcze pod tą bramą w swoim podziemnym salonie i drzymie na sofie przy dźwięku liry księżniczki.

Inwalid i stojący na straży przy téj bramie, często słyszą te dźwięki podczas nocy letniéj i wtedy zasypiają spokojnie na swojém stanowisku. Tak jest mocny wpływ narkotyczny tego miejsca, że nawet w dzień, straże ciągle drzymią na ławkach kamiennych albo pod drzewami. Jest to najbardziéj usypiające stanowisko w całym świecie chrześcijańskim. Wszystko to, mówią legendy, ma trwać od wieku do wieku, aż do ostatecznego sądu.

GWIAZDY SPADAJĄCE.

Nie ma zapewne na świecie myślącego człowieka, na którymby gwiaździste niebo żadnego wrażenia nie robiło, owszem, większa liczba znajduje się takich, którzy chociaż tych hieroglifów czytać nie umieją, którym nawet na myśl nie przyjdzie zadać sobie kiedyś pytanie: co to bydź mogą te świetne kwiaty rozsypane na niebieskiéj łące, te to prawdziwe gracye pogodnéj nocy, czasem równie jak kwiaty ziemskie umierające, lub ten wspaniały kaganiec zawieszony u lazurowego sklepienia, albo nareście ta dobroczynna pochodnia dzienna, ta prawdziwa monarchini świata, za każdém pokazaniem swego królewskiego oblicza życie i wesele przynosząca? wszelako z wielkiém upodobaniem wpatrują się w to sklepienie, sądząc po jego wspaniałości o tym, który z tamtéj strony swój wszechwładny tron założył. Takim tedy nawet postrzegaczom nieba, nie rzadko przytrafia się widziéć *gwiazdę spadającą*, co pospólstwo nazywa *czyszczeniem się gwiazdy*, sądząc, że gwiazda pali się tak jak świéca, a zatém i objaśnienia czyli czyszczenia potrzebuje. Mniemanie to, jakoby się gwiazdy czyściły, nietylko między pospólstwem, lecz także i w wyższéj klassie ludzi nie rzadko słyszéć można, a do stwierdzenia tego niemało się przyczyniła dość często na łąkach i innych miejscach wilgotnych znajdowana massa galaretowa. Chcąc przeto okazać niedorzeczność tego mniemania, przedsięwziąłem powiedziéć nieco o gwiazdach spadających, przepolszczając bardzo piękną rozprawę p. Olbersa w téj materyi napisaną, i podając niektóre własne uwagi.

Gwiazdy spadające należą wprawdzie do najpospolitszych, ale zarazem do najpiękniejszych i najbardziéj zadziwiających zjawisk napowietrznych. Każdy prawie człowiek zna to zjawisko powierzchownie i nie ma pewno takiego, któryby go sam, bardzo często a przynajmniéj kilka razy nie widział. Pozorna wielkość tych gwiazd spadających jest bardzo różna. Najwięcéj jest takich, które się równają gwiazdom 3éj, 4éj, 5éj i 6éj wielkości; atoli znajdują się i takie, które świetnością swoją przewyższają gwiazdy piérwszéj wielkości, a nawet samego Jowisza i Wenus, dowodem czego może bydź gwiazda spadająca, widziana przez pastora Fritsch, w Quedlinburgu dnia 19 Stycznia 1798 o godzinie 2 po południu, w teleskopie. (1) W niektórych można nawet rozpoznać kształt kulisty, a takie bardzo są podobne do tak nazwanych kul ognistych, tak, że między wielkiemi gwiazdami spadającemi i kulami ognistemi, żadnéj różnicy i żadnéj granicy naznaczyć nie można.

Że gwiazdy spadające są w każdym klimacie równie częstém zjawiskiem, poświadczają to podróżnicy a szczególniéj żeglarze; że temperatura nie ma żadnego wpływu na ich pokazywanie się, potwierdzają postrzeżenia Brandesa, który dnia 6 Grudnia 1798, przy mocnym mrozie, widział równie wiele gwiazd spadających, jak w przyjemnych wieczorach letnich, w dniach 10 i 11 Sierpnia 1823. Co się zaś tyczy liczby tych zjawisk w różnych nocach, ta jest bardzo różna; czasem bowiem widziéć można niezliczone ich mnóstwo, a czasem bardzo mało; w ogólności jednak, w koń-

(1) Berlinar Jahrbuch für 1802 S. 220.

cu lata i w jesieni, to jest w Sierpniu, Listopadzie i Grudniu, są liczniejsze niż w innych porach roku; wszelako i w tym czasie rzadkie są nocy takie, w którychby widzieć można nadzwyczajną liczbę gwiazd spadających, w innych zaś porach trafiają się także lubo bardzo rzadko.

Niektóre gwiazdy spadające zostawiają po sobie ślad białawego światła, co ogonami nazywamy, atoli i to światło niknie najczęściej w kilku sekundach, i tylko po wielkich, kulom ognistym podobnych, zostaje ten ślad czasem kilka minut. Olbers widział 23 Października 1805 i 26 Września 1829, przy spadaniu prawdziwéj kuli ognistéj, ogon zaś czyli rzeczony ślad 6 do 7 minut. Brandes zaś przy pierwszej, którą także uważał, widział, jak sam utrzymuje, ślad białawego światła jeszcze w 15 minut po zniknieniu saméj kuli. Lecz co jeszcze dziwniejsza, że Krusenstern i Horner w podróży około ziemi, widzieli dnia 10 Października 1803 ślad kuli spadającéj dłużéj niż godzinę! Pozostałe te ślady zdają się bydź walcami nie mającemi wewnątrz, którędy kula ognista przebiegła, materyi świécącéj. Najwięcéj tych śladów, dotąd uważanych, z początku bywa prostych i wolno się posuwających, potém nakrzywiają się często w linii wężykowatéj, czego przyczyną zdaje się bydź powietrze, które pozostałe wyziewy z kuli ognistéj porusza i zakrzywia.

Lubo każde światełko, które na niebie przebiegające albo też z pomiędzy gwiazd spadające spostrzegamy, nazywamy gwiazdą spadającą, wszelako między światełkami, co do ich powierzchowności, ich początku i własności, wielka zachodzi różnica.

Długo mniemano, że gwiazdy spadające zostawiają na ziemi massę galaretową. Przekonano się teraz, że ta massa jest płodem roślinnym lub zwierzęcym.

Ale wróćmy się do właściwych gwiazd spadających. Dawni fizycy zjawiska te mieli za tłuste, olejne lub siarczyste wyziewy w naszéj atmosferze unoszące się, które w jakiś nieznany sposób zapalone, przedstawiały gwiazdę spadającą. Dopiéro w przeszłym wieku, gdy działania i zjawiska elektryczności bliżéj poznano, Beccaria i Vassali mieli je za iskry elektryczne, lecz Reimarus i Lichtenberg pokazali trudność w wytłumaczeniu tychże z elektryczności. Późniéj Lavoisier, Volta, Herbert, Toaldo, Gren i inni, przypisywali takowe gazowi wodorodnemu, który dla lekkości swojéj zbiera się w najwyższych warstwach atmosfery naszéj. Wszelako Dalton dowiódł, że gaz ten nietylko w najwyższych warstwach, lecz równie w całéj atmosferze według praw Mariotta rozlewa się. De-Luc utrzymywał, że niektóre ziemskie wyziewy, wyrabiające fosfor i dla tego łatwo zapalające się, podobne massy galaretowate tworzą i t. d.

Takie tedy były mniemania względem gwiazd spadających aż do roku 1791 w którym Chladni wydał sławne swoje dzieło o początku czyli pochodzeniu żelaznych i innych im podobnych mass, znalezionych przez Pallasa w jego podróży do Syberyi. Zebrawszy Chladni różne postrzeżenia nad kulami ognistemi, dowiódł, że meteory te nie w naszéj się atmosferze tworzą, lecz że to są massy odbywające swój bieg podobny do biegu planet w przestrzeni świata, to jest z tamtéj strony atmosfery naszéj, a skoro w biegu swoim około słońca w atmosferę naszą wpadają, zapalają się i świecą, albo pękając posyłają nam żelazo i kamienie, a rzadko inne materye. Ale już wprzód Halley, Wallis, Pringle, Rittenhouse, Maskelyne i inni, utrzymywali także, że kule ogniste nie tworzą się w naszéj atmosferze, nie wiedząc, ani się nawet domyślając, że przy ich pokazaniu się spadają na ziemię massy kamieni i żelaza. Lubo z początku zdanie Chladniego o kulach ognistych nie wielką znalazło wziętość, i lubo spadanie kamieni z powietrza, potwierdzone nawet najwięcéj na wiarę zasługującemi świadectwami, miano jeszcze za bajeczne i zabobonne, jednak wkrótce licznemi doświadczeniami zmuszeni byli naturaliści przyznać tę prawdę, że pokazanie się kul ognistych towarzyszy spadaniu na ziemię kamieni, szczególniéj zaś, gdy Howard pokazał, że wszystkie te kamienie są między sobą podobne, i że skład ich jest taki, jakiego na ziemi nigdzie nie napotykamy (2), a nareście rozpękniona kula ognista dnia 26 Kwietnia 1803 r. w blizkości miasteczka Aigle w Normandyi, z któréj na znaczną przestrzeń wysypało się mnóstwo podobnych kamieni (3), przekonała uczonych dowodnie, o spadaniu kamie-

(2) Powierzchnia kamieni aerolitami zwanych jest czarna jakby przypalona, odłam ziarnisty, koloru biało-żółtawego; są one różnéj wielkości. Ciężkość gatunkowa wszystkich jest między 3 i 4 biorąc wodę za 1. Składają się te kamienie z krzemionki, czystego żelaza czyli w stanie metalicznym, w jakim się na ziemi nigdy nie znajduje, siarki, niklu, chromu, magnezyi, glinki, wapna, kobaltu, manganezu, natrum, gazu węglikowego i kwasu solnego, które pierwiastki lubo się na ziemi znajdują, kompozycyi jednak z nich wszystkich nikt jeszcze nie widział.

(3) Miało ich bydź około 3,000, a z tych największy ważył 17 funtów.

ni z powietrza. I owszem, skoro się raz odważono temu wierzyć, pokazało się, że to zjawisko wcale nie jest tak rzadkiém, bo skoro kule ogniste pilniéj zaczęto uważać, przekonano się, że prawie co rok kilka kamieni napowietrznych na ziemię spada (4).

Gdy się tak udało dowieść miejsca, zkąd kamienie (aerolity) do nas przychodzą, Chladni uważając bardzo blizkie podobieństwo gwiazd spadających z kulami ognistemi, odważył się utrzymywać, że i te piérwsze są to także massy wpadające w naszą atmosferę z przestrzeni świata, którą przebiegając rozgrzewają się i zapalają, lecz wkrótce, albo będąc jeszcze w atmosferze, alboli téż po jéj przebieżeniu gasną. Zdanie to na czas odrzucił był Chladni, wkrótce jednak powrócił do niego i stale przy niém obstawał.

Że właściwe kule ogniste przebiegają w znacznych wysokościach, wiedziano o tém już dawno. Lecz że i gwiazdy spadające równie w odległych okolicach się tworzą, wniesiono ztąd, że Brydone i Saussure zapewniali, iż piérwszy na wierzchołku Etny, a drugi na Montblanc te meteory w równéj pozornéj wysokości widzieli jak na dole. Atoli aż do 1798 r. nie wiedziano jeszcze nic pewnego o odległości od ziemi, o drogach przebieżonych, szybkości i wielkości gwiazd spadających. Dopiéro w pomienionym roku, dwóch uczniów w Gietyndze na prelekcye uczęszczających, którzy potém stali się sławnymi i głośnymi w uczonym świecie, to jest: już zmarły professor fizyki w Lipsku Brandes i dotąd żyjący professor w Düsseldorf, Benzenberg, przedsięwzięli mozolną, lecz wiele im zasług jednającą pracę, wynaleźć przez obserwacye coś pewnego i stanowczego o gwiazdach spadających. Z wielkiém tedy zastanowieniem obrali sobie podstawę 27,000 stóp paryz. zamykającą, którą wkrótce na większą to jest 46,000 mającą zamienili; a wziąwszy zupełnie zgodne zegarki, stanął jeden z nich na jednym, drugi na drugim końcu téj podstawy i zaczęli w umówionych godzinach, leżąc wznak, postrzeżenia wszystkich jakie im się nawinęły gwiazd spadających, i drogi jakie między gwiazdami stałemi przebiegały; każdy z nich na karcie niebieskiej rysował, zapisując przytém czas każdego zjawiska. Tak tedy, ze zgody czasów, w których obydwa widzieli jaką gwiazdę spadającą i z innych okoliczności, łatwo dały się rozpoznać postrzeżenia odpowiednie, czyli łatwo dały się wybrać takie gwiazdy spadające, które rzeczywiście obydwa razem uważali, a z różnicy narysowanych dróg obrachowali tak nazwane parallaksy, a zatém i ich odległości od ziemi i długości drog przebieżonych — Tym sposobem postępując, w sześciu pogodnych nocach między 11 Września i 4 Listopada 1798, obserwowali obydwa wszystkich gwiazd spadających 402, z których dało się wybrać tylko 22, które razem uważali. Tych 22 gwiazd spadających obrachowali odległości od ziemi i znaleźli, że najmniejsza była $1\frac{4}{10}$ a największa przeszło 30 mil; 7 z pomiędzy powyższych miały odległość mniejszą niż 10, 9 odległość między 10 i 20, a 6 odległość większą niż 20 mil. Co do dróg przebieżonych, tych tylko 4 dały się obrachować, a ztąd znaleziono i chyżość ich, która pokazała się między $4\frac{1}{2}$ do 6 mil w sekundzie. Jeszcze jedno zastanowienia godne zrobili spostrzeżenie, to jest: że przynajmniéj jedna z powyższych gwiazd, którą dnia 6 Października uważali, nie na dół spadała lecz do góry, oddalając się od ziemi.

Tym sposobem powzięto jasne wyobrażenie o wysokości, odległości i szybkim biegu tych zjawisk, tudzież tym sposobem zostało dowiedzioném ich zupełne podobieństwo do kul ognistych. Od tego czasu, obadwaj wspomnieni młodzieńcy obrali sobie za wyłączne zatrudnienie uważanie gwiazd spadających; ale szczególniéj Brandesowi winniśmy, że początkowe owe obserwacye powtórzył znowu i to na daleko większą podziałkę. Albowiem w 1817 r. zaprosił wiele osób w okolicy Wrocławia mieszkających, do wspólnéj pracy, to jest, żeby każda w umówionych dniach i godzinach uważała i zapisywała wszystkie jakie dostrzeże gwiazdy spadające. Lecz nieszczęściem trafiono na czas taki, w którym bardzo mało pokazywało się tych meteorów, dla tego wielu do związku tego należących, sprzykrzywszy sobie długie a bezużyteczne czekanie, zaniedbało umówionego czasu, a tak z tego przedsięwzięcia nic wiadomości nasze nie zyskały. Jednak niezmordowany Brandes nie odstraszał się tém niepowodzeniem. W 1823 r. zaprosił znowu różne osoby, żeby chciały mieć udział w tych postrzeżeniach. Tym sposobem, w samym Wrocławiu i okolicy, a nawet w Dreznie, Berlinie i Krakowie, w umówionych godzinach, skoro księżyc nie świecił, obserwowano wzrokowi nawijające się gwiazdy spadające; obserwacye berlińskie i krakowskie nie miały sobie odpowiednich, dla tego zupełnie bezkorzystne. Z pomiędzy 1800 w innych miejscach podobnych meteorów dostrzeżonych, znalazło się przecież 62 takich, które lubo nie wszędzie, wszelako w kilku miejscach

(4) Wyliczenie tych kamieni znajduje się w różnych dziełach.

razem uważano, a z postrzeżeń tych dały się wyrachować ich wysokości czyli odległości od ziemi, zaś 36 było takich, których całe drogi wyznaczyć się dały. Tak tedy znalazł Brandes, że z pomiędzy 98 obrachowanych wysokości, były tylko 4 mniejsze od 3, 15 między 3 i 6, 22 między 6 i 10, 35 między 10 i 15, 13 między 15 i 20, a 11 wysokości wynoszące więcéj niż 20 mil. Z tych ostatnich były dwie gwiazdy spadające, których wysokość 30 do 32 mil rachunek pokazał, jednéj blizko 46, innéj 60 a nareście jednéj wysokość znalazł większą niż 100 mil. Lubo wypadki te dalekiemi bydź mogą od prawdy, bo błędy nawet małe w obserwacyach popełnione mają wielki wpływ na wypadki, jednak można sobie z tych wysokości zrobić jasne pojęcie téj prawdy, że gwiazdy spadające nie należą do naszéj atmosfery. — Z tych obserwacyj i rachunku przekonał się jeszcze Brandes, że wszystkie małe gwiazdy spadające, są nie w wielkiéj wysokości i tylko od 1 do 2 mil, wszystkie zaś wielkie, które wśród tych postrzeżeń widziano, były w wysokości od 5 do 30 i więcéj mil. Ponieważ Brandes z takim zapałem i z takiém poświęceniem oddał się gwiazdom spadającym, przeto żadna okoliczność uwagi jego nie uszła. Z licznych więc spostrzeżeń znalazł, że przemagający kierunek dróg, któremi gwiazdy spadające biegną, jest od północno-wschodniéj w południowo-zachodnią stronę, to jest w kierunku zupełnie przeciwnym biegowi ziemi. —

Tak skończywszy z Olbersem opowiadanie usiłowań uczonych mężów celem dojścia natury i miejsca, zkąd przychodzą na ziemię gwiazdy spadające? zapytajmy się równie z Olbersem, cóż one są gdzie i jak powstają? — Są to pytania, na które jeszcze trudno, przynajmniéj w części, dać zaspokajające odpowiedzi. — Atoli wyżéj wspomnieliśmy, że między małemi kulami ognistemi a właściwemi gwiazdami spadającemi, żadnéj różnicy naznaczyć nie można, bo tak piérwsze jak drugie mają też samą wysokość, chyżość, światło i powierzchowność, i zostawiają za sobą zupełnie podobne ślady. Dla tego przynajmniéj część kul ognistych musi miéć ten sam początek i też same własności; że zatém wszystko co się o kulach ognistych dowiedzie, albo przynajmniéj do prawdopodobieństwa zbliży, bez namysłu do gwiazd spadających zastosować będzie można.

Lecz czyż rzeczywiście gwiazdy spadające są między sobą różne? Olbers, Brandes i wielu innych tak istotnie utrzymuje. Szczególniéj Brandes, ten niezmordowany postrzegacz tych meteorów, dostrzegł ich różnicę co do chyżości, światła i kierunku spadania. Małe bowiem gwiazdy spadające przebiegały z niezmierną chyżością, większe zaś, których średnicę rozróżnić było można biegiem wolnym, jedne miały światło spokojne, do światła planet podobne, inne zaś migoczące, i takie zawsze prosto spadały, inne nareście, które nigdy inaczéj tylko prostopadle leciały. Może przeto bydź, mówi Olbers, że między temi gwiazdami spadającemi znajdują się takie, które niczém inném nie są jak iskrami elektrycznemi, alboli téż tworzą się przez zapalenie się, w sposób nam nieznany, w atmosferze naszéj, gazów lub wyziewów palnych, lub téż nareście, że te gazy i wyziewy, mające światło fosforyczne, mogą dać początek niektórym gwiazdom spadającym, wszelako daleko większa ich część jest tém samém co kule ogniste. Atoli wielu jeszcze sławnych fizyków, jako to: Izurn, Fischer, Egen i t. d. utrzymuje, że gwiazdy spadające są to twory napowietrzne. Słusznie mówi Olbers, że tym mężom zawsze będzie trudno dowieść, chociażbyśmy nawet przypuścili, że w atmosferze naszéj znajdują się i metaliczne wyziewy, w jaki sposób wyziewy te, w tak wielkich wysokościach, gdzie powietrze jest nadzwyczajnie rzadkiém, skupiać się mogą w tak znaczne massy, jakie na ziemię spadają, gdy przeciwnie, szczególniéj chyżość planetarna, z jaką się kule ogniste i gwiazdy spadające poruszają, jest bardzo mocnym dowodem, że meteory te nie w naszéj się atmosferze tworzą, lecz z tamtéj strony do niéj wpadają. Możeby tu kto zarzucił, że skoro te meteory w atmosferę wpadają, dla czegóż, jak to wyżéj wspomnieliśmy, nie wszystkie na dół spadają, ale niektóre z nich biegną w górę, oddalając się od ziemi? Ta bowiem okoliczność przez Brandesa i Benzenberga dostrzeżona, skłoniła samego Chladniego do zmienienia zdania swego, jakoby kule ogniste były też same z gwiazdami spadającemi. Ale gdy sam dostrzegł, że wiele kul ognistych zamiast na dół biegło do góry i to po liniach krzywych, nawet wężykowatych i w gzygzak idących, powrócił do dawnego swego zdania, objaśniając ten bieg, że kula poruszając się z wielką chyżością, ściska mocno powietrze przed sobą, które przez swoję sprężystość kulę w górę odpychać musi. A lubo Brandes i Benzenberg zrobili uwagę, że ruch taki kuli w środku (medium) ze wszystkich stron wolnym, sprzeciwia się zasadom dynamiki; wszelako nie można przypuścić, ażeby kula w ruchu będąca była kulą doskonałą, lecz mniéj więcéj musi bydź spłaszczoną; jeżeli więc kamienie płaskie, przez chłopców po wodzie

rzucane, robią na wodzie falistości i przebiegają drogi wężykowate, czasem w gzygzak a czasem odbiwszy się od wody biorą zupełnie inny kierunek, dla czegóżby powietrze nie miało wywierać na kulę ognistą podobnegoż działania? Nareście, te kule ogniste i gwiazdy spadające, które prawie w prostéj linii o naszą atmosferę tylko zawadzają, muszą nawet bez powyższego działania powietrza z swojego punktu przyziemnego (perigaeum) oddalać się od ziemi na swojéj drodze, a zatém bieg ich będzie w górę.

Więc przekonaliśmy się, że kule ogniste i im podobne gwiazdy spadające, nie są utworami w naszéj atmosferze powstałemi, ale do niéj tylko wpadają. Ale każdy się zapyta: i zkądże one przecie w atmosferę wpadają? Przed niewielu laty pytanie to było łatwém do odgadnięcia. Najsławniejsi bowiem uczeni utrzymywali i dowodzili, że wazal naszego planety (księżyc) tyle jest zuchwałym, iż zamiast uległości ziemi jako swemu panu, kamieniem na nią rzuca, ta zaś w krytycznem znajduje się położeniu, bo na tę kanonadę odpowiedziéć nie może. Prawda, że dotąd nie wiele mamy przykładów, iżby takowe kamienie kogo zabiły, bo oprócz kamienia który spadł blizko Medyolanu 1654 roku i zabił zakonnika Franciszkana (5), tudzież kamienia 15 cali średnicy mającego, który spadł przy dészczu kamiennym dnia 24 Lipca 1790 r. w blizkości Roquefort, i wpadłszy do jednéj chatki zabił tamże spokojnego pasterza, żadnego więcéj przykładu nie mamy, lubo już tyle kamieni spadło, że się stały nawet przedmiotem przemysłu, gdy to jednak nie jest niepodobném, przeto, nietylko spokojnego zakonnika lub pasterza, ale najznaczniejsze osoby taki karambol spotkać może, nie źleby więc było, jeżeli rzeczywiście lennik nasz tak jest niespokojnym, obmyślić jaki środek odwetu, a najprędzéj przez otwartą wojnę, bo istotnie ta byłaby piérwszą dla dobra ludzkości prowadzoną!

Zdanie, jakoby te massy z księżyca na ziemię spadały, tak głowy uczonych zajęło, że Olbers, Biot, Poisson, sam nawet wielki Laplace, podobieństwo takowe rachunkiem stwierdzili. Gdy bowiem księżyc jest bardzo małém ciałem, i żadnéj albo bardzo rzadką ma atmosferę, przeto též prawie żadnego oporu nie daje ciałom tamże w górę wyrzuconym. Rachunek zaś pokazał, że dostateczną jest rzeczą wyrzucić na księżycu ciało jakie w kierunku pionowym z taką siłą, iżby w jednéj sekundzie 7967 a w przyjaznych okolicznościach nawet 7780 stóp paryzkich przebiegło, żeby toż ciało już więcéj na księżyc nie spadło, ale się ciągle od niego oddalało. A że chyżość taka tylko 4 do 5 razy przewyższa chyżość kuli z działa wystrzelonéj, tudzież gdy powierzchnia księżyca, że tak powiem zrujnowana i dziwnie ukształcona, nasuwała myśl, że na niéj wulkany wiele dokazywać muszą, przeto te okoliczności spowodowały najsławniejszych nawet fizyków, do przyjęcia zdania o możności spadania kamieni i mass żelaznych z księżyca na ziemię, a zdanie to jeszcze mocniéj potwierdzoném zostało, gdy przy rozbiorze chemicznym, spadłe massy, co do istot formowania się i składu, pokazały się prawie wszystkie tak sobie podobnemi, że koniecznie ten sam początek przyznać im było potrzeba.

A więc przynajmniéj te kule ogniste, które mają chyżość 4 do 8 mil w sekundzie, nie pochodzą z księżyca; czyli jednak między temi ciałami które gwiazdami spadającemi nazywamy, nie znajdują się podarunki przez naszego lennika nam posyłane, trudno twierdzić za lub przeciw. Że to jednak mało ma za sobą prawdopodobieństwa, przekonywają powyższe uwagi. Owszem uważaćby potrzeba księżyc, w teraźniejszym jego stanie, za bardzo spokojnego sąsiada, któremu przy braku wody i powietrza, zbywa także i na mocnych wystrzałach. Światełka na powierzchni jego ciemnéj czasem dostrzegane, które miano za palące się wulkany, można naturalniéj wytłumaczyć, niż przez wybuchanie wulkanów; kratery zaś małe, nowo odkryte, zostają jeszcze niepewne, bo kratery te, będąc oświecone pod różnemi kątami, łatwo oko mamić mogą, szczególniéj zaś ważenie się księżyca wiele co do tego punktu łudzić może, jak to liczne przykłady, które się samemu sławnemu Schröterowi zdarzyły, dowodzą.

Otóż widzimy się spowodowani uważać gwiazdy spadające, przynajmniéj te, które mają chyżość planetarną (te które spadają ruchem pozornym wolnym) i z przestrzeni świata w naszą atmosferę wpadają, za massy czyli ciałka małe, opisujące, według praw powszechnego ciężenia, około słońca linie krzywe z przecięć ostrokręgu wypadające, a najwięcéj jest do prawdy podobném, ellipsy, aż dopiéro gdy wpadną w atmosferę jakiego planety, tam zapaliwszy się, albo się zupełnie niszczą, albo pod rozmaitemi kształtami spadają, albo nareście, jeżeli o rzeczoną atmosferę tylko zawadziły, tę, gasnąc opuszczają, a będące posłuszne sile słońca, odbywają około nie-

(5) Z powodu to tego kamienia, Paolo Maria Terzago, rozbierając go, pierwszy zrobił przypuszczenie, że takowe z wulkanów księżycowych pochodzą.

go dalsze swoje drogi zmienione niemało przez opór doznany w atmosferze i przez działanie planety. Bo jeżeliby jeszcze zachodziła jaka wątpliwość w wyznaniu téj prawdy, że spadające gwiazdy są meteorami za naszą atmosferą powstającemi i tylko do niéj wpadającemi, tedy znosi się ją zupełnie przez nader zadziwiające doświadczenia w latach 1831, 32, 33, 34 i 36 zrobione.

Humboldt i Bonpland w czasie swego pobytu w Ameryce, widzieli dnia 12 Listopada 1799 rano, przed wschodem słońca, na pobrzeżu mexykańskiém, przez 4 godziny ciągle, tysiące gwiazd spadających i małych kul ognistych. Zapełniały te meteory przestrzeń nieba 60° wynoszącą, to jest od wschodu po 30° na obie strony. Wznosiły się one nad poziom z wschodnio-północno-wschodniéj strony, opisywały różnéj wielkości łuki i spadały w stronę południową, niektóre z nich dosięgały 40°, a wszystkie 25° do 30° wysokości. Niektóre zdawały się pękać, lecz największe pomiędzy niemi znikały, nie pokazując śladów pęknienia. Niektórych wielkość równała się wielkości Jowisza i wszystkie zostawiały za sobą ślady białawego światła, czyli jak je nazwaliśmy, ogony. To szczególne zjawisko widzianém było w tymże samym czasie w Kumana, na granicach Brazylii, w francuzkiéj Gujanie, na kanale Bahama; na stałym zaś lądzie w Labrador i Grenlandyi, nawet w Niemczech, w Karlsruhe, Halli i t. d. widziano w powyższym czasie bardzo wiele gwiazd spadających. Zdaje się, że w Nain i Hoffenthal, w Labrador, tudzież w Neuhernhut i Leichtenau w Grenlandyi, te gwiazdy spadające były najbliżéj. W Nain spadały one we wszystkie strony i po części średnicę w nich rozróżnić było można, którą postrzegacze na pół łokcia oceniali.

Dnia 13 Listopada 1831, także przed wschodem słońca, kapitan okrętu Bérard, znajdując się w tenczas z swoim statkiem Loiret przy brzegach Hiszpanii, niedaleko Kartageny, od godziny 4 po połnocy, widział w ciągu trzech godzin niezwykłe mnóstwo gwiazd spadających, tak, że w każdéj minucie przynajmniéj dwie. Gazety donosiły, że w tymże samym czasie w Tyrolu i południowych Niemczech, bardzo wiele gwiazd spadających widziano.

W nocy z dnia 12 na 13 Listopada 1832 widziano w Anglii, wschodniéj Francyi, Niderlandach, Szwajcaryi, prowincyach nadreńskich, Lipsku, Berlinie, Rydze i t. d. równie zadziwiające mnóstwo gwiazd spadających rozmaitéj wielkości, lecz najwięcéj widziano ich w Rossyi. W Oremburgu, zdawały się tak jak w 1799 r. w Ameryce, od połnocno-wschodniéj w południowo-zachodnią stronę spadać. Żałować atoli należy, że zjawisko to nie było przez znawców uważaném, najwięcéj tylko przez żołnierzy na straży stojących.

Z dniem 12 na 13 Listopada 1833 w nocy widziano w północnéj Ameryce zdumiewające mnóstwo wielkich i małych gwiazd spadających, tak, że pospólstwo strachem wielkim przeraziły. Denison-Olmsted, professor w Neuhaven w Massachusest, opisał obszernie to zjawisko. Liczba kul ognistych i gwiazd spadających wszelakiéj wielkości, była nadzwyczajna. Pewien postrzegacz tego zjawiska w Bostonie, o godzinie 6 rano, a zatém już po czasie najliczniejszych, tylko na 10éj części nieba, w przeciągu 15 minut narachował 350 gwiazd spadających, które podanie sam Olmsted za skromne poczytywał, zkąd Arago liczbę tych meteorów, które téj nocy widzianemi bydź mogły, na 240,000 obrachował. Prawie wszystkie miały za sobą ślady. Co zaś jest najważniejszą rzeczą, że według świadectwa wszystkich postrzegaczy i samego Olmsteda, te tysiące gwiazd spadających i kul ognistych, ciągle z jednego miejsca nieba, to jest w bliskości gwiazdy γ konstellacyi Lwa, albo przynajmniéj z przestrzeni przez cztéry gwiazdy γ, ς, μ i ε téjże konstellacyi zakréślonéj, wychodziły, pomimo, że rzeczona konstellacya z powodu znacznego przeciągu czasu przez który postrzegano, wysokość swoję nad poziomem znacznie zmieniała. Okoliczność ta, daje niezaprzeczony dowód, że meteory te nie miały żadnego udziału w obrocie wirowym ziemi, lecz że z przestrzeni świata do naszéj atmosfery wpadały.

Zupełnie podobne zjawisko przedstawiła noc z 13 na 14 Listopada 1834 w Ameryce; tylko że w tym roku nie tak wiele widziano tych meteorów, ale i tą razą zdawały się wszystkie z konstellacyi Lwa wychodzić.

Gdy to wspaniałe zjawisko co rok w między 11 i 15 Listopada powracało, badacze przyrody widzieli się bydź spowodowanemi dawać większą uwagę na te meteory w czasie wyżéj wspomnionym, dla tego teraz wszędzie, skoro tylko niebo pozwoli, gwiazdy spadające z największą troskliwością szczególniéj astronomowie uważają. Tym sposobem w 1835 r. lubo w wielu miejscach w rzeczonych dniach było pochmurno, wszelako tam, gdzie było pogodném, widziano najliczniejsze w roku gwiazdy spadające; bo np. w okolicy Dusseldorf cztérech obserwatorów razem, widziało w nocy z dnia 12 na 13sty, 303 tych meteorów, i zdawało się, że ten rok mniéj będzie bogatym w te zjawiska niż inne la-

ta, gdy z 13 na 14 Listopada dopiéro o godzinie 3 po północy, wypogodziło się w Wrocławiu; ale téż prawdziwie jakby tylko dla tego żeby odsłonić scenę, jaka się na niebie przedstawiła, bo w tym czasie zewsząd gwiazdy spadać zaczęły. W ciągu trzech godzin obserwowano ich 146, z których 4 większe niż Wenus, 13 wielkości Jowisza, a 33 równych co do wielkości gwiazdom piérwszéj wielkości. W nocy z dnia 14 na 15, także w Wrocławiu obserwowano 142 gwiazd spadających. Lecz nietylko w Wrocławiu, i w innych miejscach, nawet w półnoenéj Ameryce, widziano w tych czasach bardzo wiele tych meteorów.

Tak więc pochodzenie nietylko tych właściwych kul ognistych ale gwiazd spadających z za naszéj atmosfery, zupełnie i oczywiście dowiedzionem zostało. Musimy więc, po tak zadziwiających doświadczeniach, przyjąć z panem Arago, że około słońca, prócz planet i komet, krążą jeszcze miliony ciał małych, które wtenczas tylko widzimy, gdy do naszéj atmosfery wpadają i w niéj się zapalają. Nierównie większa liczba tych ciał, zawadziwszy o atmosferę naszą i przebiegnąwszy w niéj pewny łuk, takową opuszcza, odbywając dalszą swoją drogę około słońca. Kończą one zapewne swoje drogi dopiéro w kilka lub kilkanaście lat, dla tego téż, gwiazdy spadające widziane 1834 r. nie były to też same ciała, które w 1832 i 1833 obserwowano. Te małe massy są także, jak się zdaje, nierówno w przestrzeni rozłożone, czyli, że nierówno zapełniają przestrzeń około słońca, tudzież, że mnóstwo ich nadzwyczajne dosięga drogi ziemskiéj właśnie w tym czasie, gdy ziemia znajduje się na swojéj drodze w dniach od 11 do 14 Listopada, to jest gdy się ziemia znajduje w 19° do 22° Byka. Obserwacye wyżéj przytoczone dowodzą, jak to namienililiśmy, że piękne widowisko, jakie przy spadaniu licznych gwiazd oko zachwyca, odnawia się corocznie w dniach listopadowych już nieraz wzmiankowanych: atoli też same obserwacye przekonały nas i o tém, że noce te nie każdego roku są równie świetne, czyli że nie zawsze równie wielka liczba spada tych meteorów, i że tylko 1799 i 1833 r. bardzo sobie były podobnemi i odznaczyły się nadzwyczajném mnóstwem gwiazd spadających. Zdaje się więc, że te ciałka opisują około słońca drogi przecinające ekliptykę między 18° i 21° Byka. Te blisko siebie leżące i prawie do siebie równoległe drogi, formują, że tak powiem, wspólny przechód dla milionów tych niezmiernie małych ciałek, które w bardzo różnych czasach, może w 5 lub 6 latach, drogi swoje około słońca odbywają. Atoli i na téj wspólnéj drodze zdają się także bydź nierówno rozłożonemi, i w jednném miejscu bardziéj, a nawet aż do zadziwienia skupionemi, a w innem zaś więcéj od siebie oddalonemi. W latach 1799 i 1833 a może i 32 przechodziła ziemia przez te tak skupione ciała, w innych zaś latach jak równie 1831, 34 i 36 spotkała tylko bardzo rzadkie lubo i tak dość liczne. Może bydź, że niejedna i tak skupiona gromada, że tego wyrazu użyję, przebywa tę wspólną drogę, a może też bydź, że musimy czekać aż do 1867 r. żeby nam się to wspaniałe widowisko w takiéj świetności jak było w 1799 i 1833 r. znowu odnowiło. Jeżeli tak będzie, tedy zjawisko nadzwyczaj wielkiéj liczby gwiazd spadających, następuje peryodycznie co 34 lat. I rzeczywiście, zaledwoby nie można z pewnością twierdzić, że w takim peryodzie przychodzi ziemia na to skupione mnóstwo cząstek około słońca krążące, co mnie bowiem w tém mniemaniu najwięcéj utwierdza, pokrótce opowiem.

W miesiącu Wrześniu r. b. dostał się w ręce moje Kalendarz polski z 1563 r. wydany w Wrocławiu przez Kaspra Goskiego. W tym kalendarzu między innemi artykułami jest także, jak w owych czasach był zwyczaj, *główne opisanie tego roku*, to jest 1563. To opisanie Goski tak zaczyna: »Przeszli 62 wiele nam dzywnich »y rozmaytich y straszliwich na powietrzu »figur okazował, iako woiska ogniste y »trwogi ich, trąbienie, bębnienie, nieba »gwałtowne gorzenie, płomienie ogniste »s słupów wychodzące, miecze, strzali, y »drzewa boiowe, s obłoku ognistego stra»chem liudskiem winikaiące, krzyże blia»de na dół spadayące i t. d.« Że wojska ogniste nie co innego były jak wielkie mnóstwo gwiazd spadających, jest więcéj jak pewna, albowiem kto tylko te meteory widział, jak się po niebie przesuwają, każdy przyzna że w owym wieku gdzie każde nadzwyczajne zjawisko za karę niebios miano, takie mnóstwo gwiazd na wszystkie strony po sklepieniu niebieskiém uwijających się, mianém było za znak kary Boskiéj (6), wielkie zaś ich podobieństwo z wojskiem w czasie boju, biorącém różne kierunki i na wszystkie strony uwijającém się, nastręczyło Goskiemu niezły wyraz porównania, gdy je nazwał wojskiem *ognistém*. Co jednak najwięcéj zdaje się utwierdzać mo-

(6) Cóż dziwnego, że w 1562 r. wielkie mnóstwo gwiazd spadających strachem ludzi przerażało, gdy w 1833 r. blizko o 3 wieki późniéj wielka liczba takichże meteorów nie inne wrażenie na mieszkańcach północnéj Ameryki sprawiła!

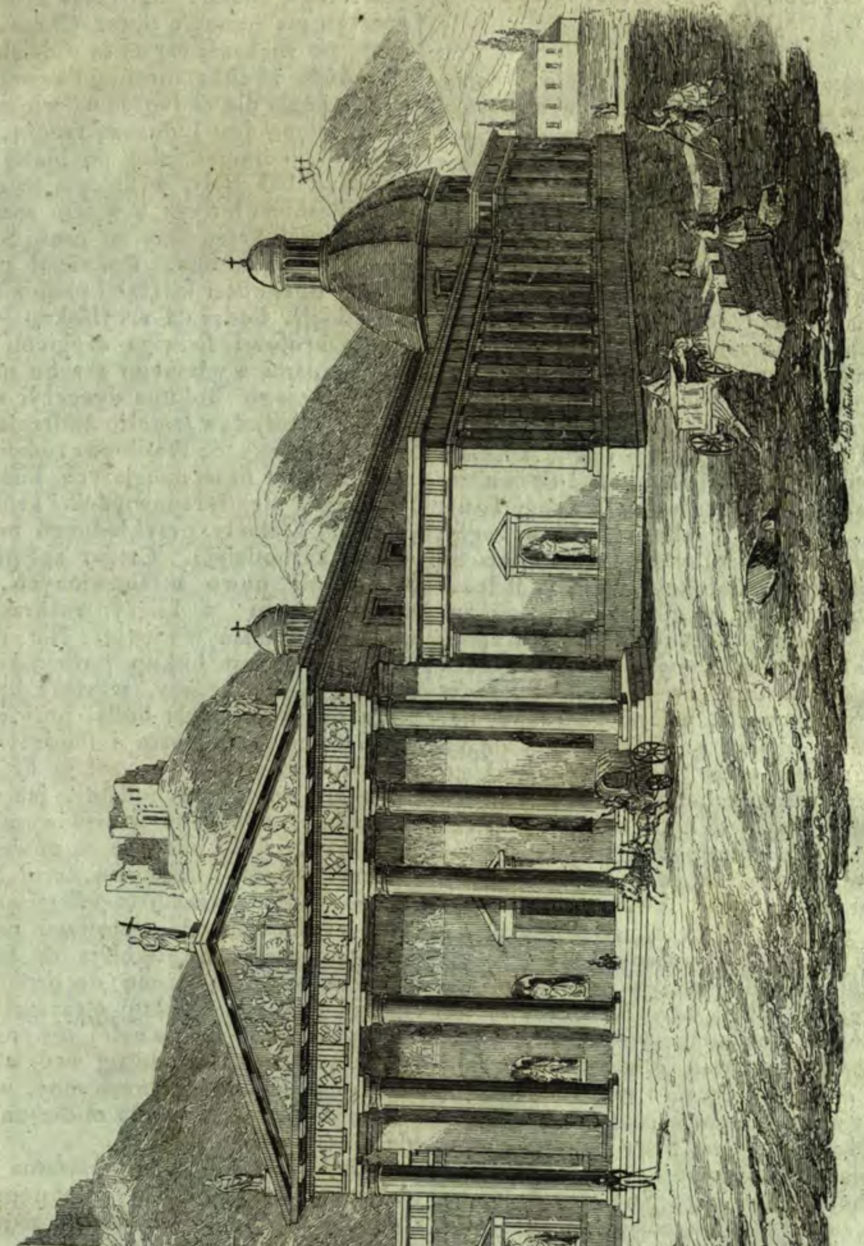
je domniemywanie, to to, że widzieliśmy, iż w latach 1799 i 1833 tak nadzwyczajne było mnóstwo gwiazd spadających, iż pospólstwo strachem przeraziło. Od 1799 do 1833 upłynęło 34 lat, rachujmyż więc, zacząwszy od r. 1799, 7 takich peryodów wstecz, a natrafimy na r. 1561. Różnica rok jeden, jest prawie nieznacząca, albowiem i przytoczony peryod nie może jeszcze bydź dokładnym, bo dopiéro jeden z pewnością był obserwowanym. Wr. więc 1562 przechodziła ziemia pewno przez takie gromady ciałek w przestrzeni rozrzuconych, tak jak w latach 1799 i 1833. Coby znaczyło *trąbienie*, *bębnienie*, z pewnością powiedziéć nie mogę, zdaje mi się tylko, że zapewne Goski tak nazwał łoskot przy pękaniu niektórych kul ognistych słyszeć się dający. *Nieba gwałtowne gorzenie i płomienie ogniste z słupów wychodzące* nie co innego były jak zorza północna, która się w czasie tego peryodu pokazała. Bo sam byłem świadkiem, gdy się w teraźniejszym roku dnia 28 Lipca zorza północna pokazała, jaki to był wspaniały widok patrzeć na światełka bardzo często migające tu i owdzie, a szczególniéj między kolorowemi słupami zorzy północnéj. Ale ten widok w owych czasach nie tyle ile teraz zachwycał, owszem strachem przerażał. Co się tycze innych znaków w powyższém opisaniu wspomnianych, jako to *drzewa bojowe*, *strzały*, *krzyże blade* i t. p. o tych tyle tylko powiem, że ludzie strachem przerażeni, różne narzędzia kary na niebie przez imaginacyę widzieć mogli.— Z tego atoli opisania, niezaprzeczony jest dowód, że rok 1562 był bardzo okwitym w gwiazdy spadające i świetniejszym niż lata 1799 i 1833, bo zorza północna dodawała temu zjawisku zachwycającego uroku (7).

Nieco wprzód wspomniałem, że ciała te małe nierówno w przestrzeni są rozłożone. To też właśnie nierówne rozłożenie, równie jak wielkie podobieństwo co do powierzchowności składu, i prawie też same własności kamieni spadających, dowodzą nietylko wspólnego ich początku, ale nawet każą nam twierdzić, że jedna i taż sama katastrofa, która się przed wieki wydarzyć musiała, i te małe massy w przestrzeń świata wyrzuciła. Niechcący nawet i samo z siebie nasuwa nam się tu przypuszczenie, jakie o początku czterech nowych planet w tym wieku odkrytych (Ceres, Pallas, Juno, Westa) zrobiono, że planety te są częściami z rozbitego przed wieki, między Marsem i Jowiszem będącego, większego planety. Gdyby przypuszczenie to kiedyś się potwierdziło, początek gwiazd spadających byłby niewątpliwym. Bo rzecz bardzo naturalna, że przy tak gwałtownem rozbiciu się planety, oprócz większych części, nieskończenie wielka mniejszych i bardzo małych oderwać się musiała, które siłą, to zniszczenie planety sprowadzającą, w przestrzeń świata wypchnięte, rozliczne drogi eliptyczne około słońca opisują.

I cóż więc wiemy o gwiazdach spadających? Oto, że odbywają biegi swoje w wielkich wysokościach, w odległości od ziemi kilka nawet 30 do 40 mil wynoszącéj; że chyżość pozorna jest podobna do chyżości planet, względem zaś ziemi naszéj uważana, czyli chyżość względna wynosić może 8 do 9 w jednéj sekundzie; że z przestrzeni świata wpadają w naszą atmosferę a nie w niéj się rodzą; i na ostatek, że nie księżyca na ziemię spadają. Lecz wieleż to jeszcze okoliczności pozostaje dla nas ciemnych, niepewnych, a nawet nieodgadnionych! I tak: dla czego meteory te wpadając w naszą atmosferę, zapalają się? jakim sposobem mogą w tak rzadkiem powietrzu, jakie przebiegają, palić się tak żywém światłem? przez jaki proces tak małe massy, jakie na ziemię spadają, rozszerzać się mogą w przestrzeni którą przebiegają, do tak wielkiéj objętości, że średnice ich nawet kilka set stóp wynoszą? Na wszystkie te i tym podobne nie możemy dotąd albo wcale, albo tylko niedokładnie odpowiedziéć i nawet wątpić potrzeba, żeby kiedyś rozum ludzki nabył w téj mierze większéj pewności, trudno bowiem spodziewać się tego, żeby kiedyś uczeni zbadali, co się dzieje w tak wielkiéj od ziemi odległości, gdzie powietrze kilka razy jest rzadszém niż nasze najlepsze machiny powietrzne rozrzedzić je mogą, gdzie to samo powietrze składa się może z innych a nam nieznanych gatunków gazów, i gdzie temperatura jest bardzo nizka, albo jaka tam bydź może modyfikacya siły przyciągania, jak tam działa elektryczność, magnetyzm i t. d.

(Z Pamiętnika naukowego Krakowskiego.)

(7) Ponieważ Goski nie wspomina, czyli owe zjawiska które opisuje, razem się przytrafiły, przeto bydź także może, że zorza północna była w owym roku, lecz nie téj natury, gdy się wojska ogniste pokazały.



KOŚCIÓŁ KATEDRALNY W WILNIE.

KOŚCIOŁ KATEDRALNY
W WILNIE.

W miejscu, gdzie dziś w Wilnie wspaniała w nowym guście wznosi się świątynia, stał od wieków las dębowy, poświęcony pogańskim bożyszczom, tam gdzie Wilejka z Wilią się łączy. Tuż przy lesie wielki kościół Perkuna, to jest boga grzmotów, zbudowany przez księcia Gierajmunda w r. 1285, z kamienia, bez dachu: jedno tylko wejście od strony wielkiej rzeki prowadziło do niego, przy ścianie naprzeciw wejścia położonej, była kaplica zawierająca w sobie rozmaite osobliwości i bogate świętości; pod nią był sklep, gdzie poświęcone węże i ziemne żaby utrzymywano. Nad kaplicą była wysoka altana, 16 łokci wyżej nad ścianę kościoła wyniesiona. W samej altanie był drewniany posąg bożka, przyniesiony z Połongi lasów świętych. Kaplica i altana były z cegły; przed kaplicą stał ołtarz na 12 stopniach, balami otoczony, 3 łokcie wysoki, 9 łokci széroki, w kwadrat, w górze mnóstwem żubrowych rogów otoczony. Każdy stopień był z osobna poświęcony pewnemu znakowi zodyaku: w dniu, w którym słońce w znak ten wstępowało, palono ofiarne ognie. Na wysokim ołtarzu gorzały ogniem ofiary zwierzęce: tutaj także nieustanny palił się ogień, przez osobnych ku pilnowaniu go kapłanów strzeżony. Była w nim tak misternie sporządzona wklęsłość w środku, że żadna ulewa deszczu, ani śnieg, ani wiatr nie mogły ognia przygasić, owszem płomienie wznosiły się jeszcze wyżej, co przez palne materyały zapewne sprawiano. (1)

Przy wchodzie do świątyni był pałac Krywe-Krywejty: miał on okrągłą wieżę, z któréj bieg słońca uważano; według niego, palenie ofiary na stopniu ołtarza, oznaczało pierwszy dzień miesiąca, a cegła z pewnym znakiem wmurowana w ścianę wieży na nowy rok, okazywała lata. Stara powieść niesie, iż gdy książe Gierajmund zamyślał kościół ten stawiać, ojciec jego Swintorag wyprawił 2 lata przed tém wspaniałe poselstwo do wyroczni rzeki Niemna na Żmudzi, z zapytaniem o przyszłe świątyni losy? Wyrocznia obiecała mu tak długie trwanie, jak pogaństwo samo trwać będzie, i rozkazała 101 sztuk okrągłéj cegły zrobić, ze wskazanemi hieroglificznemi znakami; dobre i szczęśliwe lata w nich się znamionowały; lecz ostatnia cegła była ze znakiem podwójnego krzyża, co jakoby za podarek księciu od wyroczni uważano i do herbu państwa wniesiono. Inni powiadali, iż za nadejściem z kolei tego znaku, zburzenie kościoła i pogaństwa ma nastąpić przez Chrześcian. Te cegły po większéj części są widzialne ze strony południowéj katedralnéj dzwonnicy. Chociaż te cegły nie zasługują na większą uwagę, dowiedzioną jest jednakże rzeczą, że w roku 1396, w poniedziałek po białéj niedzieli, w liczbie 101 były, w którym to dniu świątynię Perkuna burzyć, a w tém samém miejscu kościół katedralny na cześć Ś. Stanisława budować zaczęto. Poświęcił go uroczyście w obecności książąt i panów litewskich i polskich, Bodzanta arcybiskup gnieźnieński, a królowa Jadwiga drogiemi sprzętami i naczyniami z własnego skarbu udarowała. Na pierwszego biskupa dyecezyi wileńskiéj, wybrał Władysław Jagiełło Andrzeja z Wasilewa Ważyłę, czy téż Wasilona z rodziny Jastrzębów, zakonu braci mniejszych, biskupa cereteńskiego, niegdyś spowiednika królowéj węgierskiéj Elżbiety, przykładnego męża i sławnego kaznodzieję. Cztery zaś prelatury i 8 kanonii nowo ustanowionych, oddano najgorliwszym z księży rozkrzewiającym wiarę Chrystusa w Litwie. Nie długo potém, Dobrogost biskup poznański, w orszaku Jagiełły będący, wysłany był do papieża dla wyjednania bulli, potwierdzającéj wybór nowego pasterza i fundacyą biskupstwa wileńskiego. Opatrzył je król natychmiast znacznemi dochodami, jak świadczą przywileje oryginalne w archiwum Kapituły wileńskiéj. (2) Fundusze te powiększył jeszcze Władysław, nadaniem kościołowi i biskupom jego znacznéj części miasta Wilna, która zajmowała całą przestrzeń od zamku, aż do cmentarza Ś. Mikołaja do Rudnickiéj ulicy, a w drugą stronę do drogi trockiéj rozciągającą się. Biskup otrzymał wolność budowania domów na całéj téj rozciągłości i korzystania z niéj podług swéj woli, a razem dom królewski murowany, w obrębie zamku dolnego, na ciągłe mieszkanie dla siebie i następców.

Jakiego kształtu była pierwotna przez Jagiełłę wystawiona, a przez następców jego zdobiona świątynia, nie mamy najmniejszego śladu, albowiem pożar wielki, co większą część Wilna obrócił w perzynę, zniszczył także w roku 1531 i kościół katedralny. Bernard Zenobi, Genueńczyk, przywrócił go w przeciągu 8 lat, na rozkaz króla, do dawnéj pory, lecz w roku 1610 na nowo stał się pastwą płomieni. Wystawiona świątynia za staraniem różnych dobrodzie-

1) Szanownego Pr. Teodora Narburta, Badania starożytności litewskich.

(2) Historya miasta Wilna p. M Balińskiego. Wilno 1836. T. I.

jów, na nowe klęski była przeznaczoną, albowiem w roku 1769 orkan gwałtowny wieżę jedną z niej zrzucił, i tak wielkie poczynił szkody, iż naprawa prawie nie była podobną. Kapituła wileńska wraz z biskupem Ignacym Massalskim zajęła się budową dziś stojącej świątyni, w roku 1777, podług planu zasłużonego professora architektury przy akademii wileńskiej, Wawrzeńca Gucewicza.

Kościół katedralny wileński, zajmuje znawcę swém położeniem na wolnym placu, znaczną obszernością i wspaniałemi ozdobami. W kształcie równoległoboku ma na czele portyk na 6 filarach oparty: w górze trzy filary kolosalnej wysokości, w środku ś. Helenę z krzyżem, z boku ś. Kazimierza i Stanisława unoszący. Z przeciwnéj wchodowi głównemu strony, są dwie kaplice kopułami ozdobione, jedna poświęcona czci ś. Kazimierza, w drugiej znajduje się wspaniała zakrystya i sala, mieszcząca w sobie ważne archiwum kapituły. Płaskorzeźba nad głównym wchodem wystawiająca ofiarę Noego, jako też posągi Abrahama, Mojżesza i 4 Ewangelistów, są dłuta sławnego w Rzymie snycerza P. Righi. Wnętrze świątyni odpowiada godnie jej powierzchowności; zdobią ją wewnątrz dzieła pędzla znakomitych mistrzów, a pomiędzy wszystkiemi zasługuje na uwagę dwunastu Apostołów, zawieszonych na dwunastu filarach dźwigających podniebienie świątyni, i w głównym ołtarzu umieszczony obraz, wystawiający męczeństwo ś. Stanisława, dzieło F. Smuglewicza.

Z wielkiej liczby nagrobków, mała się tylko zachowała do dziś dnia. Ośm kaplic zawiera niemniej szacowne obrazy, najwięcej dzieła Smuglewicza.

Dopiero w roku 1801 ukończono przy wielkich staraniach teraźniejszą świątynię, którą tegoż r. 29 Września, biskup wileński J. Nep. Kossakowski, na cześć ś. Stanisława i Władysława, uroczyście poświęcił.

ZARYSY ANGLII.

Fabryka szpilek i dom obłąkanych w Londynie.

Dwa te przedmioty łączę pod jednym tytułem, gdyż zwiedziłem je tegoż samego dnia i obadwa podały mi sposobność podziwiania małomówności Anglików. Sławna była małomówność starożytnych Spartanów, lecz wątpię czyli była ściślejsza od angielskiej. Nigdy nie mówić nadto, jednym tonem mówić wszystko, jest to powszechnym zwyczajem Anglików. Widząc ich spotkanie, założę się, iż nikt nie pozna, czyli to są dwaj kupcy rozmawiający o interesach, czyli dwaj przyjaciele, rozłączeni od dawna. Zdaje się, iż z umysłu przyszli w toż samo miejsce i zamiast tracenia czasu na miłéj rozmowie, używają go użytecznie. — Wszystkie te fraszki, które przyjaciel opowiada przyjacielowi, ta krótka historya głównych wypadków życia, obojętne są dla Anglika. Zawsze on wydaje się zajętym, zatrudnionym; nie śpieszy się, lecz nie ma ani chwili do stracenia. Rzechy można, iż wychodząc z domu, oblicza ile minut poświęci każdéj rzeczy. Tyle mu czasu zajmie dzień dobry, tyle pożegnanie: gdyby kto przedłużył odpowiedzi lub zapytania, on przez ten czas myślałby o swoich interesach.

Szczególniéj w rozmowie z cudzoziemcami, Anglicy nadzwyczajnie są zwięźli; doświadczyłem tego na sobie. Mając zwiedzić fabrykę szpilek i dom obłąkanych, ograniczyłem ile tylko było można, liczbę moich zapytań. Wiedziałem że zabiorę cokolwiek czasu ludziom zatrudnionym; bo jeźli Anglik troskliwie słucha tych od których może co skorzystać, wypędziłby jak złodzieja, tego, który mu czas zabiera naprożno, gdyby go nie zniewalały stosunki towarzyskie do poświęcenia chociaż kilku chwilek. Ułożyłem przeto na pismie zapytania moje i spodziewałem się dowieśdź, iż równie oszczędzam swego jako i cudzego czasu. Wycieczkę moją zacząłem od fabryki szpilek.

Zastałem właściciela fabryki, przy kantorze, piszącego, z kapeluszem na głowie: nie zdjął go na moje powitanie, gdyż to jest rzecz zbyteczna. Przeczytał list polecający, ukłonił mi się i natychmiast przystępując do pokazania swego zakładu, pokazał mi próbki rozmaitych gatunków szpilek. Zapytywałem się o cenę każdego gatunku, odpowiadał jedném słowem, tyle a tyle. Gdym obejrzał pudełka, otworzył drzwi prowadzące do warsztatów. Poszedłem za nim.

Dozwolił ażebym obejrzał piérwsze warsztaty, ze wszystkiemi szczegółami, bez pośpiechu. Przez ten czas rozmawiał z robotnikami i odzyskiwał czas któren dla mnie poświęcił. Nie wiele przy tém zadawałem zapytań. Człowiek najmniéj oswojony z zakładami przemysłowemi, poznałby za piérwszym rzutem oka, cały mechanizm fabryki szpilek. Tak więc, przebiegłem w jego towarzystwie, główne warsztaty, gdzie z kawała miedzi grubéj na palec, ciągną drut obwijający się około walca, — warsztat, gdzie kobiéty rozciągają i prostują na długim stole tenże sam drut pocięty na kawałeczki jednakowéj długości, — warsztat gdzie te laseczki długie na

ośm do dziesięciu stóp, przecinane są na tysiące kawałeczków długości szpilek,— warsztat, gdzie te kawałeczki ostrzą na kamieniach. Wszystko tu było proste. Zapytania moje trafiały do celu. Ile na dzień wyciągnie drutu? Ile zrobi laseczek? ile szpilek wyostrzy jeden robotnik? Na to wszystko otrzymałem stanowczą odpowiedź.

Po cichu sam w sobie porównywałem moc i prostotę środków, z doskonałością wyrobów, z niezdrowiem budynków, z nędzą robotników, którzy więcéj mię obchodzili, niżeli to co z ich rąk wychodzi. Pod tym względem popsuły mię zakłady Jana Coquerill w Belgii. W nich on połączył wszystko, czego potrzeba do utrzymania zdrowia i dobrego bytu robotników. Zwiedzając Manszester, Liwerpool, Birmingham, zawsze miałem na pamięci jego zakłady. — W Anglii przemysł XIX wieku mieści się w izbach zasięgających wieków średnich Nowe wynalazki walczą tam ze staremi zwyczajami. Lecz dobry skutek pierwszych, daje się tylko uczuwać w rzeczach,a zły skutek starych zwyczajów, cięży na wyrobnikach. Uczułem to, oddychając powietrzem pełném kurzu metalicznego i drapiąc się po drabinach, które zawieszone zamiast schodów, dla oszczędzenia miejsca. Lecz nic nie mówiłem właścicielowi fabryki. Czułem iż wszelkie postrzeżenia moje w tym względzie, na nic się nie przydadzą; ograniczyłem się tylko na zapytaniu ile robotników pracuje w zakładzie, czy są pilni i o tym podobnych przedmiotach.

Toż samo zachowałem milczenie, przechodząc przez salę, gdzie robią sposobem równie prostym jak szybkim, główki do szpilek. Jeden człowiek i dziecko uskutecznia tę robotę.

Weszliśmy do sali nizkiéj, ciemnéj, w któréj ze trzydzieści dzieci, chłopców i dziewcząt, pod dozorem kobiety uzbrojonéj rózgą, osadzało główki na szpilkach. Każde siedziało przed narzędziem podobném do zawieszonego młotka, prostopadle padającego na szpilkę umieszczoną pod nim, a któréj główki wystają z dziurki zrobionéj w małym kowadełku. Brać szpilkę jednę po drugiéj z szuflady i osadzać na niéj główkę, umieszczać ją potém w dziurce, uderzyć i wyjąć, a to tak zręcznie, żeby się nie ukłóć i nie zbić palców; tak prędko, żeby fabrykant nie tracił na tém; siedzieć bez przerwy przez sześć godzin, nie jestże to za wiele, dla tych biednych dzieci? Nie wolno im rozmawiać, a nawet uśmiechać się nawzajem do siebie, w tych krótkich chwilach, gdy mogą wzrok swój oderwać od pracy. Dozorczyni chodzi koło warsztatów, trąca rózgą opieszałych lub nieuważnych i woła cierpkim głosem: »Prędzéj, prędzéj!« Karze każdą psotę, każde słowo wyrzeczone po cichu: dzieci bowiem są zawsze dziećmi, a w ich drobnych rękach, narzędzia do pracy zamieniają się w zabawkę. Ucho téj kobiety, tak wprawne jak jéj oko, rozpozna pośród odgłosu trzydziestu młotków uderzających bez przerwy, czyli się który opóźnił, albo też nie wydał właściwego odgłosu, ponieważ uderzył w palec nie usunięty zawczasu. Błędy karzą odtrąceniem jednego penny z nędznéj zapłaty, a któż wie co się stanie dziecku, gdy nie przyniesie całkowitéj zapłaty swoim wygłodniałym rodzicom?

Dowiedziałem się, że za sześć godzin pracy, dostają sześć pensów, czyli dwadzieścia cztéry grosze. Za nadto byłem wzruszony i nie mogłem zamilczyć.

—»Czy nie zdaje się panu, rzekłem do fabrykanta, że sześć godzin pracy, jest to za wiele dla tak małych dzieci?

Nic nie odpowiedział.

—»Ileż szpilek osadzi jedno dziecko pilnie pracujące, w tym przeciągu czasu?

Z upodobaniem wymienił liczbę.

—»Lecz jeźli te dzieci tyle zrobią ileby zrobili dorośli, dla czegoż nie dostają przynajmniéj połowę płacy?

Nie otworzył ust.

—»Jaki jest średni wiek tych dzieci?

Powiedział: —»Najstarsze nie mają lat dwunastu. — „Czy sądzisz pan, że praca tak ciężka i wczesna szkodzi ich zdrowiu?

Mówił z dozorczynią.

—»Czy te dzieci przez cały rok pracują?

—»Nie.

—»A gdy je pan odprawi, cóż się z niemi dzieje?

Milczał.

—»Lecz jeźli pan wymagasz od dziecka ażeby pracowało ile tylko ma sił, niejestże słuszną rzeczą, ażeby otrzymało zapłatę wystarczającą na jego całodzienne potrzeby?

Milczał.

—»Czegóż więcéj pan sprzedajesz, białych szpilek, czyli też czarnych?

—»Białych: odpowiedział, jako człowiek zwrócony do właściwego przedmiotu rozmowy.

Wyszliśmy z warsztatu i pożegnanie nasze zawarło się w trzech słowach *Good by sir— Good by sir.*

Czyliż ten człowiek, który biedne małe dzieci uważał za machiny, poczytał mię za głupca? Bydź to może. W każdym razie nie byłem mu obowiązany za to że mi kwadrans czasu poświęcił, albowiem przyśpieszył tylko swój przegląd fabryki.

Z czystém przeto sumieniem poszedłem do domu obłąkanych.

Jest to dom założony i utrzymywany z dobrowolnych składek. Napis uwiadamia o tém podróżnych, a na zaszczyt Anglii, napisy tego rodzaju są dosyć pospolite. — Budynek jest bardzo prosty. — Dom obłąkanych, podobny jest do wszystkich domów, których mieszkańcy miani są za rozumnych. Zapukałem do bramy; otworzył mi służący lekarza kierującego zakładem. Zaprowadził mię do swego pana, człowieka poważnego i oziębłego, który przeczytał mój list polecający, ukłonił się potém i nie rzekłszy ani słowa, poszedł naprzód z kluczami w ręku, dawszy mi znak abym mu towarzyszył. Wkrótce ujrzeliśmy się pośród obłąkanych. Przyjmują tam mężczyzn i kobiéty. Zaczęliśmy przegląd od mężczyzn.

Zobaczyłem najprzód jakiegoś perukarza; dostał obłąkania nie z powodu nędzy lub trosk, lecz z naturalnéj słabości mózgu. Jego trefione włosy, zawinięte rękawy, słuszczony surdut, gesta, wielomówność, wszystko oznajmiało jakiém się trudnił dawniéj rzemiosłem. Ten biédny perukarz mniema że jest mistrzem obrzędów. Trzy razy na dzień oprowadza doktora po korytarzu, pokazując mu pomieszkania swoich towarzyszów. Jest to najlepszy waryat w świecie. A jednakże, tego który tyle bród ogolił, golą teraz, bojąc się żeby sobie gardła nie poderznął.

Następował po nim, z wspaniałą miną, z podniesioną głową, z połą surduta zarzuconą na ramię, człowiek który się ma za aktora Karola Kemble. Pośród potoku słów nie mających żadnego związku, rozróżniłem wyrazy Otello i Desdemona. Skarżył się iż go uwięzili zazdrośni rywale i prosił aby mógł powrócić na scenę, gdzie nań czekają oklaski gminu. Przyrzekłem iż się tém zajmę. Wtedy odszedł od nas, kalecząc wiérsze z Otella i teatralnym krokiem przechodził się po korytarzu.

Cóż go wprawiło w to dziwaczne obłąkanie? Byłże to jaki ubogi aktor z prowincyi? albo też człowiek z delikatnym lecz słabym umysłem, dla którego czytanie Szekspira było za mocnym działaczem? Chciałem dowiedzieć się o tém od lekarza. Zapytałem się. Co się dotycze piérwszego domysłu, nic nie wiedział i rzekł do mnie *I do not knau*, nie wiem. Drugiego zaś domysłu nawet nie słuchał i nie zastanowił się nad nim, jako nad rzeczą niepotrzebną.

—»Ile teraz jest obłąkanych, tak mężczyzn jak kobiét?

Doktor z pośpiechem powiedział mi ich liczbę.

—»Ile kosztują w przecięciu?

Powiedział ile.

—»Jaki jest stosunek nieuleczonych, do tych których można uleczyć?

Oznaczył go.

A to wszystko z uradowaną twarzą. Otóż to są pytania godne ludzi rozumnych i znających wartość czasu.

—»Patrz pan, rzekł do mnie wskazując na człowieka mającego około trzydziestu lat i drzymiącego na stole, to jest Francuz. I poruszył go ażeby się obudził.

Podałem rękę temu biédakowi.

—»Jesteśmy ziomkami, rzekłem.

—»Tak jest, odpowiedział poziewając.

—»Z jakiéjże okolicy Francyi jesteś?

—»Tak jest.

—»Jesteś smutnym; na cóż się uskarżasz?

—»Tak jest.

Nie rozumiałem tych wszystkich tak jest. Byłże to upor obłąkanego? Czyliż chciał ukarać mię za to żem go obudził? Wziąłem go za rękę.

—»No, rzekłem, pogadaj ze mną. Czyliż jesteś kontent że widzisz twego współziomka?

—»Tak jest.

Zawsze tak jest: to więc było jego obłąkaniem. Czyliż tym sposobem ukarany został, że wtedy gdy był przy zdrowych zmysłach, niesprawiedliwie powiedział nie? Albo, czyliż jego wycieńczona pamięć, zachowała to tylko jedno słowo?

Pożegnałem się z nim. —»Tak jest, odwiedział. Doktor uśmiechnął się. Uśmiech ten poczytałem za wezwanie i zapytałem się, lecz nic mi nie odpowiedział. Zapytania moje uważał jako wprawę w język angielski.

Widzieliśmy ze czterdziestu obłąkanych, niektórych bardzo dziwacznych; większa część nie miała odrębnéj cechy. Dwóch tylko było skrępowanych. Wymyślali na nas. Jeden z nich skarżył się na lekarza że go pozbawił wolności, był to jeden z tych których nazywają złemi waryatami. Lecz iluż to gorszych jeszcze, chodzi swobodnie, ponieważ mają związek w swojéj złośliwości i zepsuty ich rozum służy przewrotności ich serca?

Obłąkani których można uleczyć, pomieszani są z temi, których choroba już jest bez ratunku. Chciałem zapytać się lekarza, czyli to pomieszanie nie przeszkadza wyzdrowieniu i czyli obłąkanie nieuleczone nie jest zaraźliwém? Lecz uczułem, iż to pytanie byłoby za nadto spekulacyjne i nie zadałem go; nie chcąc jednakże uchodzić za człowieka nie znającego się na niczém, rzekłem:

—»Czy obłąkani mają w ogólności tak dobry apetyt, jak ludzie zdrowi?

—»Niektórzy jedzą wiele; większa część je mało.

»Czy są draźliwi na zmianę temperatury?

—»Niektórzy są. Inni nie rozróżniają zimna od ciepła.

—»Czy śpią dobrze?

—»Niektórzy mało; niektórzy nigdy. Reszta jako ludzie przy zdrowych zmysłach.

Żywą prowadziliśmy rozmowę. Nie przestąpiłem właściwego okresu. Doktor oddychał swobodnie. A jednakże, po czémże można było rozróżnić że mówimy o ludziach nie o zwierzętach?

Doktor otworzył duże drzwi żelazne, prowadzące do pomieszkania kobiet. Zwrócił moją uwagę ubiór i mina dziewcząt służących. W krajach protestanckich, nie ma tych dziewic poświęcających się dla ratowania obłąkanych, dobrowolnie zamykających się w więzieniu, młodość swoją i rozum przynoszących w ofierze starości i szaleństwu. Zamiast skromnych i milczących zakonnic, widziałem przystojne sługi zgrabnie ubrane, mające odkryte piersi i ramiona, albo ledwie zasłonione muślinową chusteczką, jak to jest powszechnym zwyczajem sług w domach angielskich.

Jedna z nich zaprowadziła nas do izby, gdzie trzy spokojne obłąkane szyły i prasowały. Prasująca położyła żelazko, przyszła prosto do mnie i rzekła że jest córką Karola I, i że nieprzyjaciele osadzili ją w więzieniu. Przydała że będzie uwolnioną, że nareście odniesie tryumf nad swojemi nieprzyjaciołmi i zaślubi księcia którego kocha. Byleby tylko mogłem jéj dopomódz do wydobycia się z rąk tego człowieka i przydała wskazując na doktora. Potém wzięła żelazko i prasowała zręcznie, pomrukując te wyrazy: król, zamęźcie, więzienie. Dwie inne, nawet nie podniosły głowy. Szyły prędko i dobrze; lecz trzeba było pokazać im gdzie mają zacząć i gdzie skończyć, gdyż bez tego szyły na przewrot albo na powietrzu, jak machina która obraca się jeszcze i po ukończeniu roboty. Te biedne kobiety doznają lepszego obejścia. Żyją ze sługami którym dopomagają w robocie, dostają herbatę, siadają przy kominku, a słaby szczątek rozumu, stawia je na równi z domowemi zwierzętami.

Największa część tych kobiet nie mogła zająć ciekawego widza, który nie poprzestając na tak wielkiej niedoli, jeszcze chce szukać nowości, nawet na ostatnim szczeblu nieszczęścia. Niektóre błąkały się po korytarzach trącając się bez mówienia do siebie, może nawet nie widziały jedne drugich, zatrzymywały się bez celu, spoglądały bez ciekawości, gadały lub milczały bez powodu, nacechowane na czole nie zatartym smutkiem. Inne siedziały w kątach swoich izdebek: miejsce to wybierają powodowane jakimsiś wstydem, jak gdyby mniemały iż wielki błąd popełniły, tracąc rozum. Inne przyciskały się do okien nie patrząc przez nie. Któż wie, może nawet mniemają, że są w ciemnościach? Nie znają się z sobą, chociaż widują się codziennie; wygasł w nich ten instynkt towarzyskości, który oswaja i wiąże zwierzęta nawet najsprzeczniejszych rodzajów. Nowo przybyłe nie obudzają ciekawości. Zkądżeby wiedziano że tu nie były dnia wczorajszego. Co to jest wczoraj, co to jest dziś, lub jutro? Obłąkani nie mają uczucia czasu; nie czują tego iż się starzeją, nie mają wyobrażenia początku i końca, nie spodziewają się śmierci, nie wiedzą że kto zniknął z pośród nich i co się z nim stało.

Doktor oprowadzał mię nie mówiąc ani słowa; niekiedy mię porzucał dla wydania rozkazów albo dla wysłuchania rapportu służących, i jak fabrykant szpilek, korzystając ze swojéj uprzejmości, razem ułatwiał dwa interessa. Jednakże nie chciałem ażeby mię poczytał za marzyciela i szukałem jakich postrzeżeń statystycznych lub administracyjnych. Przyszło mi na myśl kilka zapytań, lecz nie wszystkie się udały.

—»Doktorze, rzekłem, czyliż wyszukano i oznaczono najpowszechniejsze przyczyny obłąkania?

—»Są trzy główne, zazdrość, pijaństwo i nędza.

—»Czy mniemasz iż wszędzie są też same?

Nic mi nie odpowiedział. Było to zbyteczne pytanie.

A z tych trzech przyczyn, przydałem, któraż najwięcéj ofiar pociąga?

—„Pijaństwo.

—»»W takim razie obłąkanie jest karą. Ta myśl przynosi ulgę.

Nie słuchał mię.

—»Jakiż jest najpowszechniejszy sposób leczenia?

—»Nie używać żadnego. Hygiena i dobre obchodzenie się, są najlepszym, prócz niektórych powikłanych przypadków.

—»Ileż czasu potrzeba do wyzdrowienia?

—»Tego oznaczyć nie można.

—»Ileż na rok dostajecie i tracicie chorych?

Powiedział liczbę.

Jużem wyczerpał stanowcze kwestye i czułem że do ust moich cisną się wyobrażenia ogólne; które tak lubimy we Francyi i które ożywiają rozmowę. Chciałem się odezwać z niemi, gdy wtém śpiew dziwacznéj wesołości, pochodzący z sali szalonych, przerwał moje wyobrażenie. Śpiew ten, albo raczéj to wycie, brzmiało na korytarzu i

rozlegało się po całym gmachu. Biedna dziewczyna, mająca około dwudziestu pięciu lat, szalona tak, iż się rzucała na ludzi, i że musiano włożyć na nią kaftan obronny, śpiewa, mówił mi doktor, przez cały dzień i noc bez ustanku. Nędza, złe życie i choroba, przyprowadziły ją do tego stanu. Jeszcze ze wstrętem wyobrażam sobie tę ogoloną głowę, kołyszącą się regularnie jak u dzikiego zwierza, tę twarz czerwoną od wysilenia śpiewu, te duże usta i te oczy bezwstydne, okazujące że zdaje jéj się iż jeszcze jest w karczmie i zapija z majtkami. Doktor rzekł do niéj kilka wyrazów, lecz go nie zrozumiała; położył rękę na jéj głowie, lecz nie miała tego nawet uczucia, jakie ma zwierze gdy go głaszczą; śpiewała ciągle i śpiewać będzie dopóki piersi nie zerwie. Ledwie można jéj przerwać na chwilę i gwałtem wcisnąć w jéj usta trochę pożywienia. Na noc wynoszą ją do oddalonego zakątku, ażeby jéj okropna wesołość nie zakłócała snu tym towarzyszom jéj nieszczęścia, którzy go jeszcze nie stracili. W życiu nie widziałem nic okropniejszego, jak to ciało bez rozumu, wydające szalone śpiewy, a przecież w téj samej izbie, o kilka kroków od téj nieszczęśliwéj, znalazłem jeszcze żałośniejszy przedmiot.

Była to druga dziewczyna, prawie w tym samym wieku; przyprowadzono ją rano i musiano związać, gdyż była szalona. Siedziała w zamkniętém krześle, przeznaczoném dla tych, których wściekłość uspokaja się chwilowo. Biedne stworzenie, po wielu krzykach i wysileniach uspokoiło się nagle, a gdym ją widział, pogrążona była w jakiémsiś zadumaniu. Głowę pochyliła na kolana, na jéj szyi i obnażonych ramionach widać było ślady wrzodów tylko co zagojonych, piętno złego życia, które zepsuło jéj rozum a potém go zupełnie zniszczyło. Lecz zkądże pochodziło złe życie? Z nędzy. W żałobnych hulankach ubóstwa, złe życie łączy się z szaleństwem. Ta dziewczyna jeszcze miała szczątki piękności. Jéj ramiona były niezmiernie białe; miała delikatną szyję i długie włosy, które obciąć miano dziś wieczorem. Nie śmiałem prosić lekarza ażeby pokazał mi jéj twarz. Jeżeli ukryła ją powodowana ostatkiem wstydu, jakżebym sobie wyrzucał, żem zranił jedyny i ostatni cień rozumu, który w niéj pozostał! Lecz doktor nie był tak trwożliwym; podniósł z lekka jéj głowę; nie opierała się z razu, jak gdyby była śpiąca, lecz tylko co mię ujrzała, natychmiast wydając przytłumione westchnienie, jak gdyby czysta istota któréj skromność obrażono, wyrwała się z rąk doktora i zasłoniła twarz; zaledwie mogłem ją dojrzéć, lecz zdało mi się że jéj twarz łagodna nie nosiła cechy obłąkania, i że, czyli to jéj słabość początkowa dopiero, jeszcze nie zatarła boskiéj cechy, czyli téż, że jéj obłąkanie było tylko skutkiem gorączki, jéj oczy wyrażały wstyd i skargę, dwa najszlachetniejsze cierpienia istot rozumnych.

Drżąc wyszedłem z téj izby. Aż dotąd szanowałem małomówność lekarza, lecz w téj chwili byłem tak wzruszony, iż nie mogłem wstrzymać się od wynurzenia moich uwag.

—»Czy nie zdaje się panu, rzekłem wzruszonym głosem, iż lepiéj byłoby odosobnić tę biedną dziewczynę, nie zaś zamykać ją razem z tą szaloną śpiewaczką, któréj widok, przyprawiłby zdrowego nawet człowieka, o utratę rozumu?... Nie wątpię, iż byłbyś to już uczynił, gdyby ten zakład był podzielony nie na sale i izby, lecz na osobne komórki. Ponieważ jéj obłąkanie jest skutkiem nieporządnego życia, czyliżby, zamiast wtrącenia jéj pomiędzy waryatki bardziéj obłąkane od niéj, nie wypadałoby otoczyć ją rozsądnemi i litościwemi osobami, któreby przez wyobrażenia porządku, skromności i spokojności, sprostowały jéj rozum, zmieszany tylko, nie zaś zniszczony zupełnie? Wnosiszli że jest obłąkana, z tego, że jako obłąkaną przyprowadzono ją do tego domu? Ach panie! jak szlachetne jest twoje powołanie. Przywracasz rozum tym co go utracili; wskrzeszasz umarłych, gdyż przywołujesz duszę człowieka w ciało zwierzęcia. Lecz powołanie to ileż trosk zrządzać musi! Jakże jest delikatném, niebezpieczném! Jakże się lękać należy, iżby jego trudności nie odstręczyły nareście i obojętnym nie uczyniły lekarza, który mu się oddaje. Mówię do ciebie, może nie jako człowiek poważny i panujący nad sobą, jakiemi wy jesteście panowie Anglicy: lecz jeźli w tym zakładzie sam nie postradałem cząstki rozumu, nie mogę wierzyć iż ta nieszczęśliwa, którą widzieliśmy przed chwilą, jest zupełnie obłąkaną i przekonany jestem, że towarzystwo z tą drugą szaloną, uczyni ją waryatką bez ratunku...

Doktor jednę tylko odpowiedź uczynił na tę całą przemowę i na zapytania, które przerywałem z umysłu, żeby go zniewolić do odpowiedzi. Zeszliśmy na dół, schodami które dzielą zakład na dwie części. Podał mi rękę na znak pożegnania i rzekł: „Już nie ma nic do widzenia" a potém ukłoniwszy się grzecznie, wszedł do swego gabinetu, a tenże sam służący który mię wprowadził, drzwi zamknął za mną.

***

ARTUR WILMOT,

Wspomnienia Kaplicy Windsoru.

Jeżeli dwa narody krótką przestrzenią morską rozdzielone, mogą pochlubić się takim pomnikiem budownictwa nowoczesnego, jak opactwo Westminsteru i kościół N. Panny Maryi w Paryzu, jak katedra w Kantorbery i katedra w Rouen, jak klasztor w Montrose i klasztor ś. Trofima w Arles i t. p. to owi jeszcze tak dumni ze swego Windsoru Anglicy, pałac ten feodalny drugim Wersalem nazywają.

Windsor w istocie podobniejszy jest do warowni jak do pałacu. Jego mury noszą piętno dwóch sławnych malarzy, Wilhelm zdobywca był pierwszym jego założycielem; a Edward III dźwignął go z starości. Z poszanowaniem patrzymy na tę część wzniosłych murów, na te wieże, z których powiewają chorągwie i u stóp których Tamiza płynie. Przebywszy progi pałacu, wspomnienia wojenne towarzyszą nam po jego dziedzińcach, pokojach i w kaplicy. Wszędzie pęki broni lub znaki zwycięzkie sztucznie rozłożone, wszędzie postaci rycerskie, wywołane w obrazach, jak lubił je Van-Dyck malować, od stóp do głowy okryte zbroją, lub na koniu bojowym. Gdyby Wilhelm wstał znowu, znalazłby upodobane miejsce pobytu swego, godne założyciela, i marzyłby może o jakiem zwycięztwie pod Hastings; lecz gdyby doszedł na taras, który otacza zamek od strony południa, bogata równina z dwunastu hrabstw złożona, wróciłaby go powoli do uczuć spokojnych: z nikąd bowiem Wielka Brytania nie okazuje się staranniej uprawna, bardziej ziemska i szczęśliwsza, jak w widokręgu, który objąć można z wysokości tego olbrzymiego balkonu.

Po tym tarasie, król Jerzy III odbywał zwyczajną przechadzkę. Niestety! przy schyłku dni swoich, przy końcu długiego zawodu, znajdował tę jedyną roskosz, iż mógł oddychać czystém powietrzem. Ten monarcha umarł pozbawiony wzroku i przytomności umysłu, nakształt króla Leara, którego tkliwe dzieje czytamy w Szekspirze. Był to zasmucający widok, gdy Jerzy jako widziadło przesuwał się po windsorskim zamku, posępny i z głową zwieszoną, albo téż mieszał spokojność dziedzińców, okrzykami szału.

Wiernym i gorliwym sługom udało się niekiedy umiarkować okropne jego męczarnie, wprowadzając go pod jakimkolwiek pozorem do kaplicy ś. Jerzego, lub do kollegialnego kościoła Windsoru.

Obojętny był na piękności tego ozdobnego budownictwa; zatrzymywał się bez wzruszenia w chórze przeznaczonym do installacyi kawalerów podwiązki; ledwie spojrzał na trzydzieści stallów z dębu, snycerskiéj roboty, na te nagrobki i herby wystawne, na ten ołtarz ozdobiony bronią Edwarda, na świetne malowidła okien, i na wszystko co nas przenosi do poetycznych czasów rycerstwa. Dla cierpiącego, były one hieroglifami, lub zagadkami bez wyrazu... Ale nagle dała się słyszeć harmonia organów; do tych poważnych i miłych dźwięków, łączyły się głosy śpiewaków. Jerzy III podnosił zwolna, głowę zwieszoną; oczy jego przybierały wyraz słodkiego zdziwienia; odzyskiwał porządek w swoich wyobrażeniach, lub jeżeli marzył jeszcze, ta muzyka, te śpiewy, wprawiały go w mniemanie, iż znajduje się w raju i słyszy niebieską harmonią.

Pośród młodych śpiewaków choru, w kaplicy ś. Jerzego, był jeden, który odznaczał się głosem czystym i miłym. Jego piękna jasnowłosa głowa, i miłe oczy błękitne, z wejrzeniem niewinności i szczéroty, przedstawiały wizerunek anioła. Nazywał się on Artur Wilmot, i był synem dawnego zamkowego sługi. Księżniczka Amelia spotkawszy go dwa czy trzy razy w kaplicy, weszła z nim w rozmowę, z uprzejmością zwyczajną sobie; powzięła życzliwość dla młodego Artura, a zajęta jego trafnemi odpowiedziami, chciała się zająć udoskonaleniem jego talentu do śpiewu i muzyki. Księżniczka Amelia była ukochaną córką starego króla, zwano ją Kordelią rodziny królewskiéj, przez zastosowanie do córki nieszczęśliwego Leara, o którym wyżéj się nadmieniło. Nic nie mogło wyrównać jéj troskliwości dla ojca; żadna praca nie była dla niéj trudną: jakoż, w chwilach najmocniejszego paroxyzmu, cierpiący Jerzy jeszcze poznawał córkę; ona go uspakajała wówczas jeszcze, gdy obłąkanie stawiało opór pomocom sztuki i usiłowaniom służących.

Księżniczka zamierzyła sama dawać początkowe lekcye małemu Arturowi; lubiła mu wtórować przy śpiéwie ballad rycerskich, lub pieśni nabożnych, których go nauczyła: ballad i pieśni, które zdołały kilkakroć rozerwać króla. Przy podobnych zachętach, Artur uczynił szybkie postępy. Tytuł pazia który mu nadała księżniczka Amelia, zapalił płomień ambicyi, w téj duszy niegdyś tak szczéréj i niewinnéj. Artur znalazł uprzedzającego przyjaciela, który wmówił księżniczce, iż powinna uzupełnić wychowanie swego pazia-artysty, odsyłając go do Londynu, gdzie bieglejsi od niéj mistrzowie, mogliby udoskonalić smak i śpiéw jego.

Artur odjechał do stolicy, i powierzono go znamienitemu muzykowi. Młodzieniec nie zawiódł nadziei; mówiono wkrótce o nim w salonach arystokrackich. Oklaski upoiły jego dumę. Daremnie księżniczka uszczęśli-

wiona wieściami dochodzącemi do niéj o Arturze, spodziewała się iż wróci nakoniec w samotne cienie Windsoru i będzie pomagał w rozrywaniu obłąkanego jéj ojca. Artur wolał pozostać w okazalszym świecie Londynu; nietylko zapomniał o starym królu i dobroczynnéj swojéj opiekunce, ale i o własnéj rodzinie. Lata upływały; a wspomnienie ledwie mu wróciło pod postacią wyrzutu sumienia, wówczas dopiéro, gdy szukając w gazecie artykułu o koncercie, na którym był oklaskami okryty, wyczytał, że księżniczka Amelia śmiertelnie zachorowała.

W istocie, Kordelia nowego króla Leara, wkrótce potém porzuciła nieszczęśliwego ojca (r. 1811).

Był to żałośny widok. pogrzebu ukochanéj córki Jerzego III. Jednozgodnie wspominano jéj cnoty; z wszystkich oczu łzy płynęły; trumna żałobnym kirem okryta, już znajdowała się w kaplicy Windsoru; kapłan odmawiał ostatnią modlitwę, wszystkich oczy zwróciły się pomimowolnie ku otwartemu grobowi, który zdawał się dopominać o ciało dziewicy. Nagle, wymknąwszy się, niewiadomo jakim sposobem, z pod oka czuwających nad nim, Jerzy III wszedł do choru. Lud rozstąpił się, z dwoistém poszanowaniem dla korony i dla nieszczęścia. On się dostaje blisko trumny, z tą obojętnością na twarzy, tak straszną w obłąkanych i tém straszniejszą gdy się odbija obok boleści, któréj oni pojmować nie mogą, ale ta cisza niedługo trwa dla nieszczęśliwego starca. Okropna myśl uderzyła go nagle; Amelia! moja córka! zawołał, poznając stratę swoją. Wszystkich przeniknął dreszcz zimny na to przerażające wykrzyknienie. Ach! ze wszystkich co go słyszeli, najuboższy, najciemniejszy, najgodniejszy pożałowania, pewnieby nie chciał doświadczyć jednego z tych udręczeń, które wyrażały te słowa tak słodkie: „Amelia! moja córka!" Ale, niestety! po rozpaczy ojcowskiéj nastąpiła wkrótce rozpacz starca pozbawionego rozumu, gesta szaleństwa, nie powiązane obłąkańca wyrazy. Scena boleśna dla synów monarchy, dla królewskiego majestatu, dla Anglii saméj! Tymczasem nadbiegli słudzy pilnujący Jerzego, i widzieli się zmuszeni użyć siły do odprowadzenia go z tego miejsca. Daremne usiłowania; starzec był obdarzony okropną siłą, zdolną stawić opór liczbie. Nie przewidywano jakim sposobem skończy się ta fatalna scena, w takiém miejscu i w takiéj chwili.

Pośród służby pogrzebowéj, w długich czarnych płaszczach towarzyszącéj zwłokom księżniczki, był jeden, którego łkania głośniéj dawały się słyszeć nad innych. Tenże sam sługa przemknął się ku organom. — Po chwili, z zadziwieniem powszechném, dźwięki uroczystéj muzyki napełniają przestwór kościoła. Wszechwładny urok téj boskiéj sztuki! Natychmiast, okropne wykrzyknienia Jerzego III konają na jego ustach: jednak powiedziećby można, iż jakiś zły duch przytłumiony wewnątrz niego samego, jeszcze nim miota. Zwolna zmienia się jego oblicze, odzyskuje spokojność, zgina kolano i szemrze półgłosem wyrazy psalmu liturgii anglikańskiéj. Domówiwszy ostatniego wersykułu, zwraca się ku temu z czuwających, któremu jego opór gwałtowny zagrażał najwięcéj i rzecze: William! prowadź mię do mego pokoju; pójdźmy tam, do córki mojéj!... Zmienił się dźwięk organów i słychać było nutę do muzyki kościelnéj nie należącą; wszyscy rozrzewnieni i złudzeni, mniemali, iż anioł-stróż dziewic, przyzywa do siebie córkę, tak poświęconą dla ojca. Umilkła muzyka i zakończono obrzęd pogrzebowy; lecz gdy dozorca kaplicy obszedł ją w około, przed zamknięciem przybytku, napotkał młodzieńca bez życia, z głową pochyloną na klawiaturze organów.

Był to Artur Wilmot, zgryzotą sumienia przywiedziony do Windsoru; tchnienie jego zagasło, z ostatnim dźwiękiem ulubionéj aryi swojéj opiekunki.

Imię jego można wyczytać na głazie, niedaleko grobowca księżniczki, a zakrystyan opowiada przechodniom jego dzieje, za jeden szeling przyrzucony do karbonki składkowéj.

O BURSZTYNIE

przez

Józefa Haczewskiego, Magistra Filozofii.

Veniet tempus quo ista quae nunc latent in lucem dies extrahat et longioris aevi diligentia; veniet quo posteri nostri tam aperta nescire mirentur.

SENECA, Nat. Quaest. Liber VII cap. 25

Przyjdzie czas, w którym rzeczy teraz zatajone, światło i niezmordowana praca na widok wykaże; przyjdzie czas, w którym potomkowie nasi zdumiewać się będą, żeśmy tak jawnych nie znali rzeczy.

Istototy organiczne i nieorganiczne na powierzchni ziemi znajdujące się, przed innemi zwróciły na siebie uwagę ludzi, którzy wszelkiego dokładali starania w dochodzeniu ich początku, rozwijania się i pożytku. Później z kolei rzeczy i z postępem nauki, zaczęto wyszukiwać ukrytych w łonie ziemi bogactw; szczególniéj zaś za-

jęto się badaniem saméj ziemi, która nas nosi i żywi.

Badając stopniowo kształcenie się ziemi, rozróżnili uczeni sześć warstw skalistych, czyli utworów gór. Najprzód *góry* czyli *skały pierwiastkowe*, składające się z granitu, gnejsu, porfiru, łupku i kwarcu. Do utworu tego należą góry Skandynawii, Pirenejskie, Alpy, Uralskie i obszerne Karpaty, które jedném pasmem sięgają na wschód morza Czarnego, drugim zaś pną się przez Tyrol aż do Alp i następnie ciągnąc się ku południowi dotykają lądów morza Adryatyckiego i Śródziemnego; w szerokości zaś pasmem łysych gór są powiększone. Podstawą ich jest granit.

Drugi utwór stanowią *skały przechodowe*, w których znajduje się waka, trap, kamień wapienny i gips.

Trzeci utwór składa się ze *skał warstwowych* czyli *pokładowych*, w których jest piaskowiec, sól, gips i kamień powtórny wapienny.

Czwarty utwór składają *skały przechodowe powtórne*, w których znajdują się prócz piaskowcu, glina, węgle kamienne i szkielety zwierząt ssących. Już w tym utworze zaczyna się gdzie niegdzie okazywać Bursztyn.

Piąty utwór, najpóźniejszy, składa się z *warstw napływowych*, nad któremi poniżéj obszerniéj zastanowimy się, z przyczyny, iż w nich obrał sobie siedlisko bursztyn, którego opis jest przedmiotem niniejszéj rozprawy.

W końcu dodać należy *góry wulkaniczne* i *niby wulkaniczne* z wyrzuconéj lawy utworzone, które stanowią utwór szósty.

W pierwszym, a nawet powiedziećby można w drugim utworze nie ma śladu istot ożywionych, w trzecim dopiéro i czwartym znajdują się wyraźne ich ślady; ukazują się tam bowiem kości zwierząt dziś już nie istniejących.

Szczególniejszą i podziwienia godną jest rzeczą, że w utworach tych między dotychczas znalezionemi szczątkami zwierząt i roślin, najmniejszego nie znaleziono śladu kości człowieka; z tego wypływa wniosek, iż człowiek wtenczas jeszcze nie istniał: nie może się więc poszczycić, że należał do świata, w którym się góry pierwiastkowe tworzyły, ani nawet do tego, w którym żyły mammuty, amony, mastodonty, anoplotery, paleotery, jako też słonie i nosorożce, gęstą i długą siercią pokryte. Nie dla niego więc te utwory zdziałane były.

Człowiek stworzony został dopiéro wtenczas, gdy wody pozbywszy się przez osad ostrych płynów, usunęły się i zamknęły w szczuplejszych granicach, odsłaniając warstwy napływowe, na których mu panować dozwolono.

Najnowszy usypany wiérzch ziemi w Europie, rozciąga się od brzegów morza Baltyckiego aż do Harcu, do gór olbrzymich Karpatów i gór Uralskich; w szczuplejszym zaś biorąc zakresie, od brzegów wspomnionego morza, aż do rzek Wisły, Pilicy, Wieprza, Bugu, Styru, Harynu, Słucza i Teterowa. Całe zaś Pomorze i księżęce Prusy, są dna, z których morze na ostatku ustąpiło. Warstwy *napływowe* przez wodę z różnych stron w rozmaite miejsca poroznoszone, powiększają się ciągle, nietylko na wysokość przez urwiska z gór i kruszenie się skał, lecz również i w obszerności. Zwierzęta bowiem z rodzaju zoofitów w morzach, a rośliny z rodzaju Sphagnum, Byssus, Conferva, Lemna, w jeziorach, ścielą nowe pokłady ciągle nad powiérzchnią wody wznoszące się.

Twierdzenie to nie jest przypuszczeniem, zasadza się bowiem na doświadczeniu, i tak: poczynione w r. 1700 i 1819 przez Dawisona, Halstroma i innych na skałach przy brzegu morza Baltyckiego znaki równo z wodą, okazały, iż w przeciągu jednego wieku podniosło się dno morskie wybrzeża botnickiego około 4 stóp i pół. woda zaś zlewa się do północnego morza przez ciaśniny Zund, mały i wielki Bełt. Wreście góry *wulkaniczne* i parowanie wód morskich, przyczyniają się także do układania i wydobywania nowych wiérzchów z ziemi.

Utwór *napływowy*, do którego i dno morza Baltyckiego należy, obficie bursztynem uposażony, mieści w sobie prócz niego warstwy gliny, piasku, żwiru, iłu, torfu, węgla kopalnego, skamieniałości, różne kamienie, szczątki a nawet całe szkielety zwierząt i mnóstwo muszli. Znajdujemy w nich także zwaliska całych lasów, które wiérzchami ku stronie północno-zachodniéj są obrócone. Drzewa te zczernione, olejem skalnym przesiąkłe, wielkości przeszło 90 stóp, zbliżają się do gatunku modrzewiu. Tym to zwałom towarzyszą kopalnie bursztynu, które im bliżéj morza Baltyckiego, tém są obfitsze. Kraj nasz jest po większéj części utworzony z gór napływowych, a mianowicie całe Augustowskie, Podlaskie, Mazowieckie i Płockie, a w części Lubelskie, Kaliskie i Sandomierskie (1).

(1) Że cała równina wymienionych ziem była kiedyś morzem zalaną, to żadnemu powątpiewaniu nie podpada: grunt bowiem w nich jest morski mułem rzecznym przeplatany. Znajdujemy na niéj, szczególnie w Augustowskiém, wielkie jeziora niezmiernéj głębokości, w któ-

Południowe zaś części Lubelskiego, Kaliskiego, Sandomierskiego, równie jak całe Krakowskie, utworzone są z gór warstwowych i przechodowych.

Z tych krótkich badań o częściach składowych ziemi, okazuje się, że bursztyn, którego ślady już w czwartym utworze są widoczne, ma swoje siedlisko w morzach i ziemi napływowéj, z jakiéj po większéj części Królestwo nasze składa się. Płód ten pochodzący z drzew z powierzchni ziemi znikłych, w wielu dotąd miejscach ukrywa się i długo jeszcze plemieniowi ludzkiemu dostarczany bydź może; nie wszystkie bowiem kopalnie w ziemi znajdujące się, są znane, jak to ciągle nowe dowodzą odkrycia. Prócz ilości w morzu znajdującéj się i na brzegi w czasie burz przez bałwany wyrzucanéj, pewna część bursztynu jest jeszcze piaskiem i zielskiem przywaloną, która może dopiéro w odległym od nas czasie wydobytą zostanie, to jest: wtenczas, gdy w miejscach morza Baltyckiego obfite z ziemi zbierać będą plony.

Jakkolwiek bursztyn stanowi tylko uboczny dochód z lasów, kiedy jednak płód ten oprócz morza Baltyckiego, na teraz najwięcéj w lasach się znajduje; gdy nadto ciało to kopalne od niejakiego czasu szczególną na siebie zwróciło uwagę, nie od rzeczy będzie zastanowić się po krótce nad naturą jego i nad rozmaitemi o nim domysłami, wyjaśniającemi, że i kraina nasza posiadała niegdyś lasy bursztynowe, których szczątki z zadziwieniem ciągle z łona ziemi wydobywamy.

Dawne podania o bursztynie.

Bursztyn jest jednym z najdawniejszych płodów morskich i ziemi napływowéj. Przez wylew wody, któren Pismo ś. potópem nazywa, drzewa bursztynowe z korzeniem powyrywane, w piasku zagrzebane zostały. Największa część tych drzew, z których wiele przed okiem ludzkiem ukrytych w ziemi spoczywa, zaniesioną została w najgłębsze doliny dziś jeszcze morzem zalane; z tych od najdawniejszych czasów odrywały bałwany morskie i wyrzucały na brzegi różnéj wielkości kawały bursztynu, które ludzie zbierając mieli sposobność zastanowienia się nad tym płodem odznaczającym się od innych kolorem, blaskiem i przezroczystością.

Drzewo bursztynowe było, jak się poniżéj okaże, drzewem do rodzaju drzew miękkich należącém, które w wodzie od bursztynu się odłączyło i na pierwiastki swoje rozłożyło. Odkrycia potwierdzają to mniemanie; od trzech tysięcy bowiem lat poławia się bursztyn ciągle w morzu Baltyckiém, zbieranie zaś jego na brzegach tego morza do wcześniejszéj należy epoki; rzadkie jednak dziś są przypadki, aby kawałki drzewa, z których bursztyn pochodził, na brzeg wyrzucane lub sieciami poławiane były, o czém jednak pan Struve i Boch w pismach swych wspominają. Historya podaje nam, iż Fenicyanie znaczny handel bursztynem prowadzili; oni dla sprowadzenia tego płodu nie szczędzili kosztów na daleką żeglugę. Statki w roku 1800 przed Narodzeniem Chrystusa przepłynąwszy morze śródziemne, ciaśninę Gibraltar, morze atlantyckie i niemieckie, doszły do brzegów morza baltyckiego zkąd bursztynem naładowane do kraju wracały i różnym go narodom w zamian za inne towary rozwoziły. Od nich dostał się bursztyn do Grecyi i Egiptu. Późniéj Rzymianie utworzyli do tegoż morza drogę przez Szląsk, jedynie dla sprowadzenia bursztynu, który się w małéj tylko ilości znajdował we Włoszech i Sycylii.

Ze starożytne narody bursztyn od brzegów morza baltyckiego zwoziły, nie ulega żadnéj wątpliwości. Homer żyjący na 900 lat przed Chrystusem, wspomina już nietylko o surowym bursztynie, ale nawet o wyrobach z niego i pochodzeniu z morza baltyckiego.

Thales z Miletu, żyjący na 600 lat przed Narodzeniem Chrystusa, znał już moc przyciągającą bursztynu, z téj przyczyny duszę mu przypisywał.

Herodot na 500 lat przed Chrystusem żyjący nadmienia, że mieszkańcy brzegów morza baltyckiego, zbieraniem bursztynu trudnili się.

Diodor Sycylijski, żyjący na lat 100 przed Pliniuszem, mówi, że za Gallią leży Scytya, a naprzeciwko niéj wyspa Bazylea, na brzegi któréj fale morskie wiele wyrzucają bursztynu, inne zaś miejsca w bursztyn nie obfitują.

Tacyt wspomina, iż po prawéj stronie morza Swewów, mieszkają ludy, umiejące

---

rych wody są słone i do wód morskich podobne; w jeziorach tych znajdują się ryby do rodzaiów morskich należące, jakoto: sielawy sieje (*Coregonus maraena*), sielawy sulwicé (*Coregonns maraenulla*) i sztynki (*osmerus eperlanus*), które w słodkich jeziorach poławiane nie bywają: w ziemi zaś znajdują się szczątki zwierząt, muszle i rośliny, które się tylko w rozmaitych mnożyć mogą morzach. W dawném Województwie Nowogrodzkiém, w kanale za Rządu dawnego dla połączenia jeziora Hryczyn z rzeką Prypecią kopanym, znaleziono nawet okrętową kotwicę.

się obchodzić z morzem, i oni tylko wyłącznie wydobywają z niego *succinum*, bursztyn, który *glessum* nazywają.

Pliniusz zaś wspomina, że *Electrum*, bursztyn, który Niemcy *glessum* nazywają, pochodzi z wysp morza północnego, z tej przyczyny jednę z tych wysep zowią *Glessaria*; daléj mówi, iż na 600,000 kroków od Carnum w Pannonii jest brzeg morski, zkąd *succinum* pochodzi; oprócz tych pisarzy, wspominają jeszcze o bursztynie Clesius, Theophrastrus, Dioscorides, Hippiasz, Philoxenes, Euripides, Martialis, Teodoryk król Gotów etc. Również i Arabowie nim się zajmowali; Nawet Pismo Ste wspomina o kamieniach *Gabis*, *Bdellium* i *Schoham*, które bursztyn oznaczać zdają się.

Nazwiska bursztynu.

Prawdziwe jego nazwisko przez Greków używane jest *ἤλεκτρον Electron.* Rzymianie zwali go *succinum* inaczéj *Glessum ambra citrina.* U Fenicyan i Hebrajczyków miał się nazywać *Sachalt* שחלת. Niemcy nazywają go *Börnstein*, *Berstein*, albo *gelbe Amber.* Anglicy *Ambar*, mieszkańcy Holandyi zowią go *Barnsteen.* Duńczycy *Bernsteen.* Francuzi *Succin ambre jaune.* Włochy *Ambra gialla.* Hiszpanie *El Ambar.* U Szwedów nosi nazwisko *Raf* albo *Guel.* U Rossyan Янтарь to jest *Genitar* v. *genitum terrae*, płód ziemi. U Arabów zowie się *Jik* albo *Eleck* (żywica), albo *Cebar* lub *Carabe*, to jest przyciągacz słomy. U Indyan *Vmbra.* Egipcyanie zowią go *Sukal.* Xenocrates pisze, że u Scytów, gdzie się bursztyn formuje, nazywano go *Sacrium.* Bursztyn koloru płomienistego podług Philemona nazywali Scytowie: *subalternicum* albo *Chryseectrum*, albo *Arsopodon.*

Okolice, które starożytni bursztynowi za siedlisko naznaczali.

Starożytni nie zgadzali się z sobą co do tego przedmiotu, ztąd téż wiele różnych zdań powstało. Jedni mniemali, iż ten płód znajduje się w Afryce, drudzy że w Azyi, inni zaś że w Europie, i tak: w Afryce naznaczono mu miejsce w ogrodach Hesperydów w Egipcie i Etyopii. W Azyi w bliskości Arabii, a osobliwie w Indyi. Między krajami Europy naznaczali mu miejsce w rzece Erydanie, w morzu Adryatyckiém, a szczególniéj na wyspach morza Baltyckiego. Theophrast wspomina, że kopią go w Liguryi (w Genewie i Piemoncie). Chares naznacza mu siedlisko w Etyopii, Philemon w Scytyi. Sofokles i Pliniusz utrzymują za rzecz pewną że jest w Indyi, ponieważ Archelaus, który w Kappadocyi panował, utrzymywał, iż z tego kraju sprowadzano surowy bursztyn do kory drzew przylgnięty, któremu przez gotowanie ze słoniną polor nadawano.

Pytheas utrzymuje, że Guttoni (Gotowie) mieszkają wzdłuż brzegów oceanu nazwanego Mentonomon, od którego na dzień jeden żeglugi oddalona leży wyspa Abalus, na którą bałwany morskie wyrzucają bursztyn służący tamecznym mieszkańcom do opału: wnosić więc ztąd należy, iż niezmierna ilość bursztynu w téj okolicy znajdowała się. Timaeus jest podobnego zdania i powyższą wyspę Basilia nazywa.

Theophrast i Xenokrates sądzili, że bałwany morskie wyrzucają go na góry Pirenejskie. W późniejszym wieku przypuszczali niektórzy, iż bursztyn rodzimy sprowadzają z Afryki, Azyi i nowo odkrytego świata, pod nazwiskiem bursztynu wschodniego; lecz mniemanie to pochodzi z nieznajomości rzeczy, albowiem znalezione w Afryce, Azyi i Ameryce, Kopal i Gagat (gagates) wzięto błędnie za bursztyn. Nie ma dotychczas pewnych dowodów, aby się bursztyn prócz Europy i Rossyi azyatyckiéj w innych częściach świata z pewnością znajdował; przekonywa nas o tém i ta okoliczność, iż ludy tamecznych krajów, a szczególniéj Chińczycy, sprowadzali ten płód z Europy, co nie miałoby miejsca, gdyby się u nich znajdował. Wielu wiarogodnych pisarzy, znajomszych rzeczy, zamieszkując przez niejaki czas na wschodzie, nie popiera wcale wiadomości o tamecznych kopalniach bursztynu podanych.

Okolice, w których się rzeczywiście bursztyn znajdował i teraz znajduje.

Nadbrzeża morza Baltyckiego zacząwszy od ujścia rzeki Odry aż do Kurlandyi, to jest: pobrzeża Pomeranii, zachodnich i wschodnich Pruss i Żmudzi obfitowały od dawnych czasów w bursztyn; najobficiéj zaś pobrzeża wschodnich Pruss bursztynem uposażone były. — Fenicyanie, a po nich Kartagińczykowie, najwięcéj na tych brzegach bursztynem zaopatrywali się.

Późniéj za czasów cesarza Nerona, który do zbytkowego użytku nadzwyczajnie wiele bursztynu potrzebował, Julianus urządzając dla tego cesarza widowisko gladyatorskie (2) wysłał rycerza rzymskiego do brzegów morza Baltyckiego po bursztyn;

(2) Zwyczaiem było u starożytnych mieć widowiska gladyatorskie, w których ludzie ze zwierzętami, lub same zwierzęta dzikie sobie nienawistne, w zapasy wypuszczano.

ten przybywszy (3) na miejsce, objechał tameczną okolicę, obeznał się z handlem bursztynu i przywiózł z sobą w podarunku od króla Esthów 13,000 funtów tego produktu, między którym była jedna sztuka 13 funtów ważąca; wszystkie zaś do tego widowiska narzędzia, jako to: broń, łoża dla rannych i zabitych, a nawet wiązania ok w siatkach, któremi *Podium*, to jest miejsce dla widzów przeznaczone ozdabiano, upiększone były bursztynem.

W pismach Aureliusza Kassyodora kanclerza króla Teodoryka, który nowe we Włoszech państwo Ostrogotów utworzył, czytamy, iż bursztyn należał do skarbu publicznego, i ten przez posłów estyjskich Teodorykowi przesyłany bywał. Drugie miejsce, w którém się oddawna bursztyn okazywał, są Włochy; gdzie i w obecnym czasie kopalnie tego płodu istnieją i podania dawne niektórych autorów mniemamnie to potwierdzają, a nawet powieści bajecznéj historyi, która mówi: iż Siostry Phaetona zamienione w topole, ogrzewane w nocy przez boga słońca, zamiast łez, bursztyn wzdłuż Erydanu kroplami wydawały.

Dziś kopalnie bursztynu istnieją w tych samych miejscach co dawniéj, a mianowicie w Prusach, w dawnéj prowincyi Sudawii, między Palmeiken i Dirschkeim, czyli zacząwszy od fortecy Pillau aż do Kuriszhafu, który to brzeg na 10 mil drogi rozciąga się. Dawniéj prowincya ta, jako jądro wszystkich kopalni bursztynu odznaczała się 7ma nomenklaturami tychże kopalni, jako to: Krecke, Nadums, Lasznıken, Kukhe, Palmenik, Ampe i Thierskiem. Okolice Rauschen i Rantau wydają w obecnym czasie wiele bardzo bursztynu.

Od lat blisko 200, kiedy już na brzegu morskim mniéj znajdowano bursztynu, zaczęto, mając pewne poślaki, kopać go w ziemi w okolicach odleglejszych od brzegu morskiego; i tak znajdowano go w Warmii, Zambii, Natangii, Hokerlandyi, Pomeranii, w okolicy miasta Liebstadt, w okręgu oliwskim, gdańskim, w bliskości miasta Elbląga. W r. 1611 w lesie zwanym Krebswald w krótkim przeciągu czasu wykopano 700 funtów; największe kawałki dochodziły wagi 7 funtów, tudzież wyorywano i wykopywano go na Żuławach, w Brandeburgii, około Berlina, w okolicy kanału Finowskiego. Natrafiano również na bursztyn w jeziorach i rzekach, jako to: w Warmii w jeziorze pod wsią Lutry, w jeziorze pod Bydgoszczą: w Pomeranii przy Hildensee, po brzegach rzeki Odry blisko Küstryna i wsi Schauenburg. Oprócz Prusss i Polski, znajduje się bursztyn na Ukrainie; pod Kijowem wykopywano go w roku 1735. Także w Norwegii, w Węgrzech, w Podhorodyszczach pod Lwowem; w Austryi w Grincing i Kirchbach; w Czechach w Skalig i Bonat; w Saxonii w amtcie Pretsch przy Graswich; pod Wirtembergem nad Elbą; pod Meisen, pod Dreznem; w Hanowerze pod Blumenau, Harzgerode; w Wittembergii, na Alpach; przy Kirchheim pod Teck; w Kantonie szwajcarskim Schafhausen, w wielkiém hrabstwie Niederheim; we Francyi w Autel blisko Paryża w departamencie Aisne, du Gard; w Hiszpanii, w Arragonii i Asturyi; okolice od Kurlandyi do Kopenhagi obfitują również w bursztyn jako i wyspy Rügen, Wollin, Wangerwoge i Bornholm, daléj w Schleswig, Oldenburgu i Danii.

Brzegi oceanu Atlantyckiego około Francyi, a szczególniéj Anglii w prowincyach Norfolk, Suffolk, Essex i okolice Londynu; niektóre okolice Śródziemnego morza około Genui, w Sycylii około Katanea, rzeki Giaretti, Ankony, Neapolu, a nawet brzeg morza lodowatego między ujściem rzek Oby i Gathanga, tudzież brzegi Kamczatki posiadają także miejscami kopalnie bursztynu.

Według urzędowego sprawozdania w dzienniku górniczym rygskim umieszczonego, wykopują teraz bursztyn w górach Uralskich; już w r. 1802 znaleziono tam w rozpadlinie kawałka zgniłego, iglastego drzewa kawałek żywicy, którą chemik Lowitz za prawdziwy uznał bursztyn.

Przepomnieć tu nie należy o znajdowaniu się bursztynu w Wielkiém Księstwie Poznańskiém, jako to: w jeziorze Zbąskiém, w Gople; piszący zaś naocznym był świadkiem wykopywania kawałków bursztynu przy kopaniu kanałów, który dla osuszenia błot Przementskich wyprowadzono.

Prócz wymienionych krajów Europejskich, bursztyn ma się znajdować w Azyi w Chinach, Persyi; na pobrzeżach Afryki, na wyspie Madagaskar i na brzegach Nilu; w Ameryce w kraju Stanów zjednoczonych blisko Trenten i na brzegach Chili.

Pod nazwiskiem bursztynu amerykańskiego, dostajemy mieszaninę, w którą wchodzi gummi-laca, również przywożą ztamtąd szkło zafarbowane do bursztynu podobne. Mieszanina ta jednak różni się od bursztynu tém, iż potarta nie posiada żadnéj elektryczności, i rozpuszcza się w gorącéj

(3) Działo się to w 100 lat po Pompejuszu, który na statkach pokonanych morskich rozbójników znalazł już był wielką ilość Bursztynu.

wodzie, wyjąwszy zafarbowane szkło, które nieznający się także za bursztyn kupują.

Sposób poławiania bursztynu z morza, i kopania go w ziemi.

Rybacy trudniący się poławianiem bursztynu z morza, co zwykle w jesieni odbywa się, oczekują burzy morskiéj od wiatru północnego powstałéj; po takich burzach udają się zaraz na brzeg morski i wyrzucone przez bałwany kawałki bursztynu, rękami przerzucając ziemię, wybierają; potém w kaftanie i majtkach skórzanych wchodzą po samą szyję w morze i tam zarzuciwszy przysposobione do tego sieci w formie worka, wszystko co tylko niemi zagarnąć mogą, na sam brzeg wyciągają, gdzie pospolicie żony i dzieci rybaków, z wyciągniętego zamiecia bursztyn wybierają. W głębsze miejsca udają się na łodziach i zapuszczają sieci na 40 prętów głębokości i podobnym sposobem na brzeg wyciągnąwszy, bursztyn złowiony z piasku wybierają. Rybacy zarzucają sieci zwykle w takie miejsca, na które bałwany morskie podczas burzy wiele naniosły piasku, tak, iż ten na dnie morskim formuje pagórki. Po wyłowieniu takich pagórków oczekują znowu z niecierpliwością korzystnéj dla nich burzy.

Rybacy z doświadczenia wiedzą, w których miejscach i po jakich burzach najobfitszy może bydź połów, rzadko się zdarza, aby wyciągnęli zamiast bursztynu sam tylko piasek, zielsko morskie, muszle i t. p. Praca ich przy pozyskiwaniu tego płodu jest bardzo mozolna i niebezpieczna, następuje bowiem zwykle w czasach niepogodnéj jesieni, po któréj nie jeden z przeziębienia z tym światem pożegnać się musi. Dawniéj do wydobywania bursztynu z morza, nurków używano.

Sposób wydobywania bursztynu z ziemi, większéj jeszcze wymaga pracy i zabiegów; miejsca bowiem, w których ten produkt znajdować się może, są zwodnicze i często chybiają, bo nie masz żadnych powierzchownych znaków, któreby pokłady jego w ziemi wskazywały. W ogólności szukać go potrzeba tam, gdzie się już ślady bursztynu okazały, a które tém są rzadsze, im głębiéj bursztyn ziemią przywalony został, co czasem od 3—5 sążni dochodzi; gdzie zaś bursztyn płytko pod ziemią leży, tam wydobywają kawałki przez samo oranie i kopanie rowów.

Mając już niejakie poślaki bursztynu, obierać potrzeba do dalszego wyszukiwania miejsca niskie, pagórkami otoczone, w bliskości bagien, łąk, rzek i jezior położone. W takich miejscach robią się próby, to jest: wykopywać trzeba szpadlami małe prostokątne dołki i upatrywać ziemi brudno-żółtawéj lub czarnéj, a szczególniéj niebiesko-sinéj z wiórzyskiem zmieszanéj. Nie wszędzie bowiem znaki te, czyli żyły, lub (jak tu nazywać je będziemy) *pasy bursztynowe*, jednakowego okazują się koloru, i tak pasy, w których się bursztyn przy Rantau znajduje, są żółtawo-szare, farbujace palce, bez blasku, pomięszane z kawałkami węgla brunatnego i żwirem drobnym, gdzie niegdzie mieszają się do nich blaszki małe migające się. Pan Hagen przy rozbiorze téj ziemi znalazł w 100 częściach onéj:

85	części	żwiru,
7	—	ziemi ałunowéj,
5,75	—	niedokwasu żelaza,
1,25	—	wody,
0,08	—	kwasu siarkowego,
0,92	—	w doświadczeniu zginęło
Razem 100,00		

W tameczném okolicy, kopaczom bursztynu brzegi morskie dają niejaką wskazówkę ukrytego bursztynu, i tak uważają na żółtawe pasy niedokwasu żelaza wzdłuż morskiego brzegu ciągnące się.

Bech wspomina, iż pasy składają się z drzewa czarnego farbującego płótno, które po wyschnięciu brunatnieje i pęka.

Kluk pisze, iż bursztyn znajduje się pod warstwą piasku, gliny, massy podobnéj do drzewa i ziemi koperwasowéj.

W naszym kraju, pasy bursztynowe, które leżą od 1 do 9 łokci głębokości w ziemi, są koloru czarnego, sinego i ciemnopopielatego.

Po natrafieniu przeto próbami na pasy bursztynowe, trzeba wyśledzić ich kierunek i za nim postępując odrzucać wierzchnią ziemię; mając zaś odkryty pas, łatwo jest takowy szpadlami przerobić i bursztyn z niego wybrać.

Czasem znajduje się bursztyn osobno w tak zwanych *gniazdach* bez śladu pasów w piasku i glinie i to nawet w pagórkach zdarzać się zwykło. Na takie miejsca tylko przypadkowie natrafić można.

Tak połowiony bursztyn z morza, jako i wykopany z ziemi, okazuje się nam w takiéj postaci i naturze, jaki w handlach surowy sprzedają i jaki w drobnych kawałkach do kadzenia kupujemy.

KONIEC MUZEUM Z R. 1837.

SPIS PRZEDMIOTOW
ZAWARTYCH W MUZEUM DOMOWÉM.

(*Do wszystkich artykułów oznaczonych gwiazdką należy rycina.*)

POEZYE.

POWIEŚCI.

ROZMAITOŚCI.

WIADOMOŚCI HISTORYCZNE.

MUZEUM DOMOWE wychodzi wr. 1838 miesięcznemi zeszytami z dołączeniem dla Prenumeratorów tyleż zeszytów CZYTAN PRZYJEMNYCH czyli Zbioru najnowszych powieści. Wyszło już 6 zeszytów MUZEUM na r. 1838 i tyleż zeszytów CZYTAN. Prenumerata na te oba pisma złp. 18.

SPIS PRZEDMIOTOW

ZAWARTYCH W MUZEUM DOMOWÉM.

(*Do wszystkich artykułów oznaczonych gwiazdką należy rycina*).